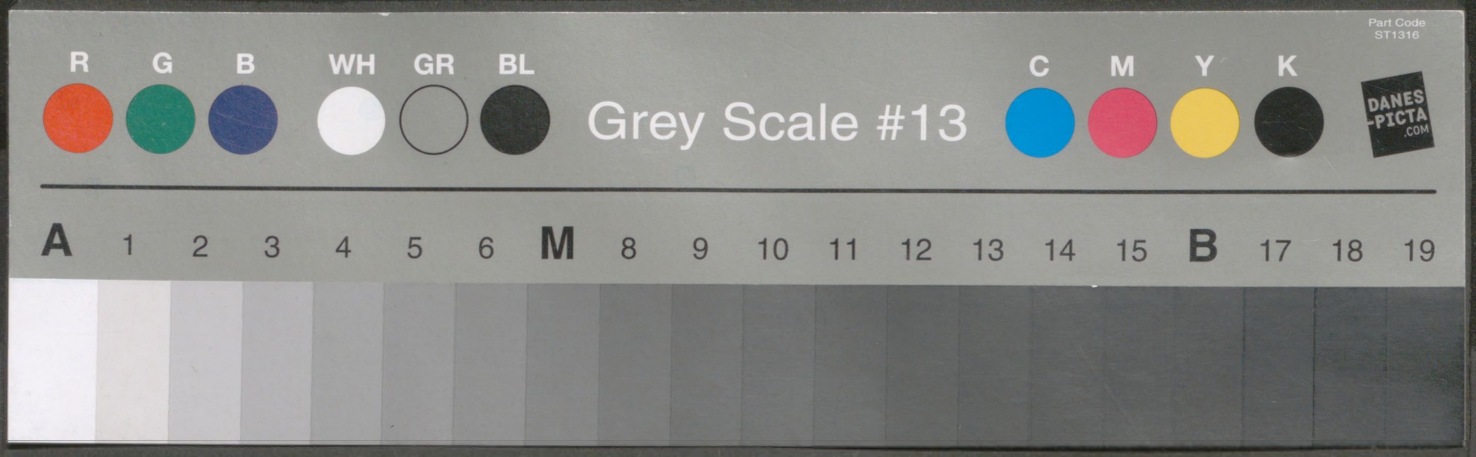
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code
ST1316
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

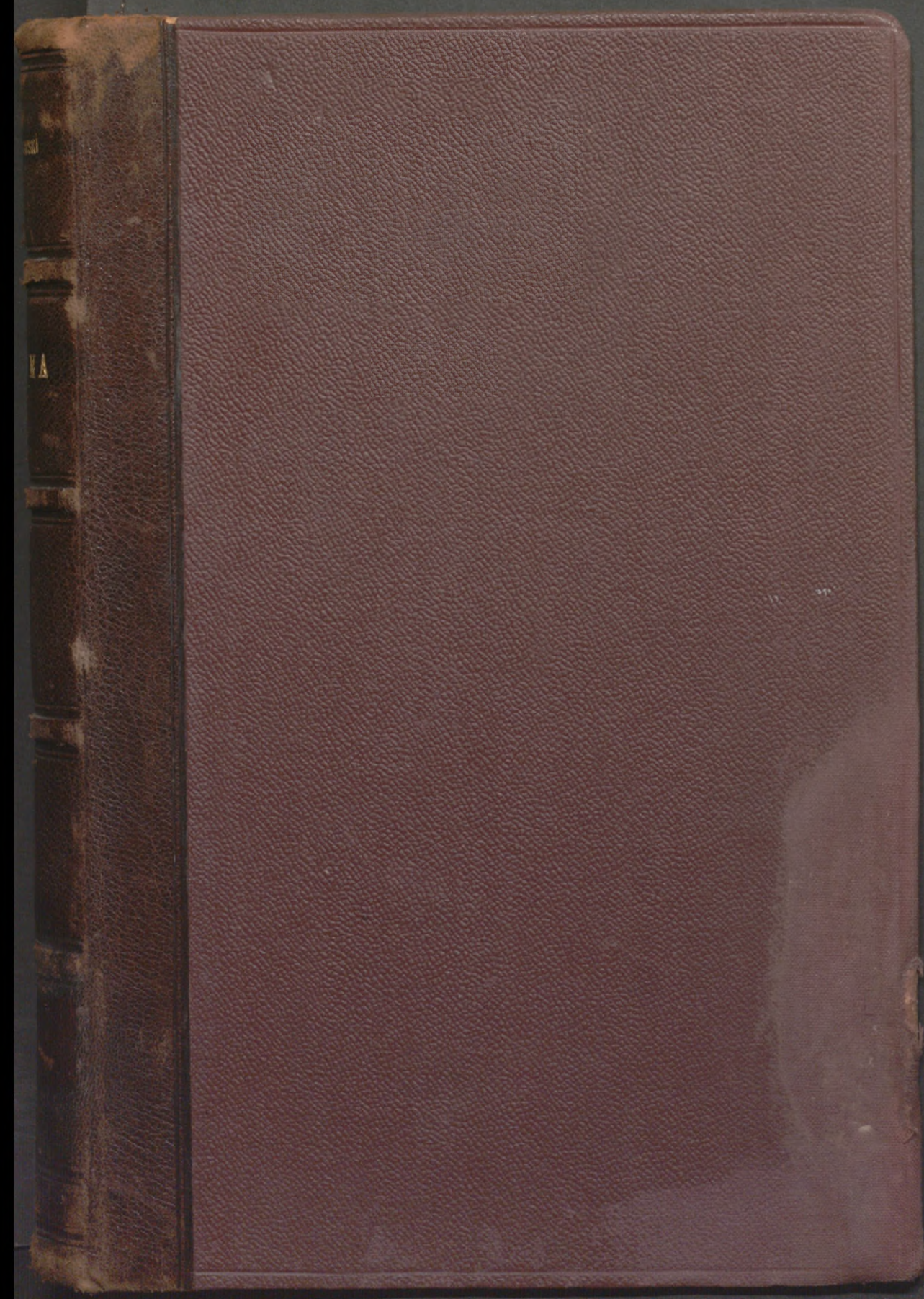

Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES PICTA .COM

PISMA ALEXANDRA REMBOWSKIEGO

TOM II

PISMA

ALEXANDRA REMBOWSKIEGO

TOM II

SPRAWY PUBLICYSTYCZNE

KRYTYKI NAUKOWE

(Z częściowej zapomogi Kasy pomocy imienia Mianowskiego)

WARSZAWA
NAKŁADEM AUTORA
KSIĘGARNIA JANA FISZERA
1902

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego
47320/2

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

W tomie drugim zamieściłem artykuły treści publicystycznej i krytyki naukowe, jakie od 1874 roku drukowałem w różnych czasopismach. Nie uważałem jednak za stosowne przedrukowywać wszystkiego co było napisanem przezemnie. Z publicystyki wybrałem jedynie prace obszerniejsze, a z pism codziennych przeszły do tomu II jedynie dwie drobniejsze rzeczy: 1) O procesie Kraszewskiego w Lipsku i 2) O ks. Dinderze, jako mogące i dziś zainteresować szersze grono czytelników. Pomniejsze prace krytyczne, noszące więcej charakteru sprawozdawczego, pominąłem również, ograniczając się wyłącznie na krytykach z dziedziny historyczno-politycznej. Wszystkie artykuły w tomie II zamieszczone, wydrukowane zostały bez zmian lub poprawek i żaden z nich nie ukazał się swego czasu w osobnej odbitce.

A. R.

I.

SPRAWY PUBLICYSTYCZNE

1.

Z DZIEDZINY SPEKULACYI POLITYCZNEJ [1])

I.

W jednym z zeszłorocznych zeszytów znanego czasopisma historyczno-naukowego p. t. „Preussische Jahrbücher“ wydrukowany został artykuł p. t. „Ein Blick auf die Vergangenheit und Zukunft Polens“, a podpisany przez niejakiego dra Didolffa. Ponieważ, jak tytuł wskazuje, nieznany autor zajmuje się nietylko przeszłością, ale i przyszłością naszą, przeto poznajomienie się bliższe z treścią artykułu nie może być dla naszych czytelników obojętnem, i dlatego pośpieszamy nasamprzód ze sprawozdaniem, które odkryje nam niespodziewanego i nieoczekiwanego przez nikogo dobroczyńcę.

Nic nie może być mylniejszego, powiada dr. Didolff, jak sąd, że tylko instynkt zaborczy trzech mocarstw był powodem upadku Polski. Powyższego faktu dziejowego nie należy uważać za urzeczywistnienie prawa socyalno-politycznego, wyrażanego zwykle w plastycznym obrazie: „wielbie ryby zjadają małe ryby“. Państwo polskie bowiem było już śmiertelnie chorem i dogorywało na trzy nieuleczalne słabości, a mianowicie: na wybieralność królów, „liberum veto“ szlachty, a nareszcie na brak stanu miejskiego w połączeniu z poddaństwem włościan.

Śmiertelnie chore państwo polskie przed zewnętrznym upadkiem przeznaczone było na nieuchronną zdobycz ruskiemu sąsiadowi. Prusy i Austrya nie były w stanie uwolnić z arkanu ruskiego takiego państwa, które się samo nie było w stanie oprzeć klęsce. Wzajemna nieufność i osłabienie długoletniemi wojnami były tego bardzo wymownym dowodem. Nie pozostawało zatem dwom mocar-

[1]) Artykuł ten drukowany był w „Niwie“ i w „Gazecie Polskiej“ w r. 1889.

stwom nic innego do uczynienia, jak odebrać zaufanej w swe siły Rosyi część łupu z ziem kraju, który był już stanowczo upadłym.

Czy jednak zdobycz trzech mocarstw była równą? Pozorny pogląd na fakt upadku Polski zwykł się zadawalać takim sądem, lecz cyfry najlepszy stanowią dowód. Otóż przy pierwszym podziale Prusy otrzymały 600 mil. kw. terytoryum dawnej rzeczypospolitej, Austrya 2000 mil kw., Rosya 3500 mil kw. Przy drugim podziale otrzymały Prusy 700 mil kw., Rosya 4500 mil kw., przy trzecim zaś Prusy 1000 m. k., Austrya 1000 m. k., Rosya 2000 m. kw. Rosyi zatem przypadło $^2/_3$ dawnego terytoryum polskiego w udziale, a Austrya z Prusami kontentować się musiały razem $^1/_3$, czyli, inaczej mówiąc, na każde z nich wypadło po $^1/_6$ zdobyczy.

Odmiennie się wszakże przedstawia pruski łup po burzy rewolucyjnej i kongresie wiedeńskim. „Na szczęście“ — według autora — pozostała królestwu pruskiemu z ziem polskich zaledwie $^1/_{15}$ terytoryum dawnej rzeczypospolitej, bo tylko 1000 mil kw., gdy tymczasem Rosya powiększyła swoją zdobycz z $^2/_3$ na $^3/_4$ i zagarnęła tym sposobem 1200 mil kw. samego Królestwa Polskiego. Prócz tego jeszcze zwrócić należy uwagę na szczególnie dziwną historyę ziem, które przypadły w udziale państwu pruskiemu. Krainy te były poprzednio zdobyte przez kolonizacyę niemiecką i w XIII, a nawet w XIV. wieku znaczniejsze miasta w Wielko- i Małopolsce przepełnione były żywiołami niemieckiemi. Dopiero też w XV wieku rozpoczętem zostało szybko i energicznie dzieło polonizacyi.

Prusy zachodnie i Bydgoszcz, które przypadły Prusom w r. 1772 w udziale, rozdzielały rdzenne dzielnice Hohenzollernów, t. j.: Brandenburgię i Prusy wschodnie, na dwie części. W posiadaniu polskiem rzeczone prowincye były dla królestwa pruskiego trwałem niebezpieczeństwem, w rękach Rosyi zaś śmiertelną raną, którąby spowodowała stanowczy upływ krwi. Prowincye powyższe odebrała Polska po ciężkich walkach zakonowi krzyżackiemu, mimo to jednak, gdy je zabrał z powrotem Fryderyk II., były one w znacznej części jeszcze niemieckiemi. Historycznie i narodowościowo rzeczy biorąc, zdobycz r. 1772 należała się słusznie Prusom. Pod względem zaś militarnym i politycznym stanowiła ona nieodzowne uzupełnienie, wydarte niegdyś pruskiej ziemi i państwu. Nawet też samowola

korsykańskiego mocarza nie pokusiła się o odebranie tej części zdobyczy Hohenzollernom.

W r. 1793 otrzymało państwo pruskie tak zwane Prusy południowe, obejmujące Księstwo Poznańskie i klin ziemi, posunięty ku Warszawie. Z drugim zaborem wszakże inaczej się już rzeczy miały, i niemożna go było nazwać złożonym z ziem niemieckich. Był to bowiem istotnie kawał obcy, wcielony do państwowego organizmu pruskiego. Jednak pod względem politycznym i militarnym stanowiła druga zdobycz dla Prus niezmiernie pożądane zaokrąglenie nadzwyczaj nieszczególnie uformowanej wschodniej granicy, wcielające klin ziemi, który między Prusami i Śląskiem wysuwał się ku Berlinowi. Kongres wiedeński odebrał państwu pruskiemu całą część wschodnią drugiego zaboru, pozostawiając tylko ów klin, wysunięty ku Berlinowi, a który ze względów militarnych był koniecznym.

Zupełnie odmienne położenie było tych ziem, które przypadły państwu Hohenzollernów w r. 1795. Nasamprzód pod względem narodowościowym należały one do ludności polsko-litewskiej; pod względem zaś militarnym przedłużały niepotrzebnie wschodnią granicę, wsuwając ją w terytoryum obcego państwa. Bardzo też szczęśliwem dla Prus zdarzeniem należy nazwać fakt, że ziemia ta po kongresie wiedeńskim odpadła stanowczo od korony Hohenzollernów. Z łupu pruskiego zatem podług ciekawych obliczeń dra Didolffa państwo pruskie otrzymało zaledwie $^1/_{15}$ terytoryum dawnego państwa polskiego, a jeżeli się uwzględni, że terytoryum powyższe już było w części zniemczone, to przyznać będzie można, że tylko w rzeczywistości 500 mil kw. czyli $^1/_{30}$ Polski przypadła w udziale, a i ta reszta z resztek już jest przeważnie zniemczona, położenie zaś jej jest pod względem militarnym i politycznym dla całych Niemiec kwestyą życia.

Na tem się kończą szacowne uwagi dra Didolffa odnośnie do naszej przeszłości. Niewątpliwie oświecą one nowemi błyskami prawdy dziejowej umysły tych historyków polskich oraz obcych, którzy się XVIII wiekiem zajmować zechcą. Niezwykły jednak artyzm, którego nawet p. Pindter mógłby pozazdrościć, ujawnił dr Didolff, dopiero w nawiązaniu ostatniej uwagi z naszą przyszłością. Posiadanie bowiem owej resztki z resztek polskich przez państwo pruskie, nie-

tylko jest kwestyą życia i dla Polaków samych, chociaż w przeciwnem zupełnie znaczeniu. Zobaczmyż więc, jakiem jest w istocie owo przeciwne znaczenie? Sądzimy, że nas nikt tym razem o zbytnią ciekawość nie posądzi, zwłaszcza, że ów dr Didolff twierdzi, iż obecnie nadeszła decydująca chwila, w której się pokaże: czy polski naród zdolnym jest do wskrzeszenia swego państwa, lub czy też politycznie jest niezdolnym do wyrzeczenia się szkodliwej a małej cząstki swych ziem, które wskrzeszeniu całości staną na przeszkodzie. Polacy, — twierdzi dr Didolff, — nie są w możności podjąć walki łącznej z wschodnimi i zachodnimi sąsiadami. Powstania w roku 1831 i 1863, przeciw samej Rosyi podniesione, zakończyły się stanowczemi klęskami, a dzisiejsze stanowisko militarne cesarstwa ruskiego w Królestwie Polskiem nie pozwala myśleć Polakom o powstaniu bez obcej pomocy, którą wojna Rosyi z Niemcami przynieść musi. Niemożna też sobie nawet pomyśleć oswobodzonej Polski bez oparcia się jej na pokrewnych „losem, a obecnie zjednoczonych Niemcach“.

Ze wszystkich dawnych wrogów Polski, — mówi autor, — Niemcy są obecnie najpotężniejszem mocarstwem, które posiada zaledwie $^1/_{30}$ dawnych ziem polskich. Ten drobny kawałek, nawpół zniemczony, jest odrodzonemu cesarstwu nieodzownie potrzebny, — i o jego posiadanie musiałoby w każdym razie prowadzić walkę na śmierć i życie. Tymczasem Polacy, — powodowani koniecznością i rozsądkiem politycznym, mogliby łatwo swego dawnego i obecnego wroga ułagodzić i zjednać wyrzeczeniem się tej cząstki, która dla nich jest bezpowrotnie straconą. Tym sposobem cesarstwo niemieckie pokrewne losem, stałoby się związane z Polakami wspólnością interesów. Polacy pozyskaliby w niem przyszłego przyjaciela i stałego sprzymierzeńca.

Niemieckie Poznańskie jest jednak — zdaniem autora — warunkiem uprzednim, koniecznym dla odzyskania niepodległości Polaków. Poznańskie polskie stanowiłoby zaś otwartą ranę, zapalny organ w ciele zgnębionego narodu. W tem położeniu tylko, stanowcza wola i absolutne postanowienie mogą być drogą ratunku. Polityczny geniusz winien się silnie oprzeć fantastycznemu marzycielstwu, pozbawionemu gruntu politycznego. Jeżeli zaś Polacy dowiodą tej

siły politycznej woli i wyrzekną się tego, co stanowi dla ich rozwoju śmiertelną ranę, — czyż będą wówczas zdolni do życia? Niemcy niewątpliwie próbę wskrzeszenia osądzą łaskawie za możliwą. Przecież w r. 1790 Polacy sami usunęli $^2/_3$ wad dziedzicznych i tylko Rosya, nie chcąc utracić zdobyczy, nie pozwoliła ich państwu ozdrowieć. Nadto włościanie zostali już wyzwoleni z pańszczyzny, a stan średni począł się rozwijać i zajmuje jako zwiastun narodowego życia stanowisko po starej szlachcie.

Pytanie jednak zachodzi: czy wskrzeszenie Polski byłoby konieczne lub pożyteczne dla Zachodu? Czy Rosya jest rzeczywiście dla Niemiec, dla środkowej Europy, wreszcie dla cywilizacyi zachodniej wrogiem, który grozi i szkodzić pragnie? Czy nareszcie wojna z Rosyą jest nieuniknioną? Według autora, kto rozwój Rosyi — tego bezmiernie dużego i bezmiernie chciwego państwa — obserwował, ten przyznać musi, że po wcieleniu Polski, pozostaje jej tylko dążenie do zagarnięcia półwyspu Bałkańskiego, do zgnębienia Austryi, a ostatecznie do osłabienia za pośrednictwem przymierza samych Niemiec. Czy Rosya odstąpi przed sojuszem mocarstw pokojowych od swych planów? Dr Didolff ma nadzieję, że to uczyni, ale nadzieja to nie pewność. Zanim też burza zawiśnie nad niemieckiemi głowami, wypada zastanowić się nad kwestyą, co należy uczynić wówczas, gdy Rosya uczuje się dość silną, aby przez Wiedeń lub nawet od razu przez Wiedeń i Berlin szukać drogi do Konstantynopola i Tryestu.

Czyżby miało być przeznaczeniem dziejowem, żeby mocarstwa wschodnie zniszczyły zachodnie? Czy też przeznaczono Niemcom i środkowej Europie, aby były przodowymi bojownikami, chroniącymi cywilizacyę świata. O niemiecką siłę i niezłomność rozbiły się wszystkie najazdy hord azyatyckich, jakie po napadach Persów na Hellenów miały miejsce. O innych narodach nie uważa dr Didolff za stosowne wspominać tym razem, przypomina tylko i powtarza swe hasło sztandarowe: (Poznańskie polskie, śmierć Polski; Poznańskie niemieckie, zbawienie Polski) „ein polnisches Posen ist Polens Tod. Ein deutsches Posen ist Polens Rettung“.

Dwa pobratymcze losem z Polakami a dziś zjednoczone narody powinny służyć za historyczny przykład i wzór godny do naślado-

wania. Temi narodami są Włochy i Niemcy z Austryo-Węgrami. Prusy wyrzuciły Austryę ze związku niemieckiego w r. 1866, a dziś gotowe są swemu sprzymierzeńcowi oddać krew serdeczną. Królestwo włoskie odebrało Austryi Wenecyę i Medyolan, a dziś jest z nią złączone najściślejszemi węzłami. Czyżby Polacy nie byli w stanie zdobyć się na wysiłek politycznej woli, jakiego dokonała Austrya? Na to pytanie odpowie stanowisko, jakie zajmą Polacy na małym kawałku ziemi poznańskiej. Jeżeli Polacy posiadają choćby kroplę krwi politycznej w swych żyłach, — choć jedną iskrę politycznego zmysłu w mózgu, a w piersi choć odrobinę politycznej woli, — to powinni z żywem pragnieniem witać każdy rozwój narodowy niemiecki na Wschodzie, który im tylko ułatwi zmartwychwstanie. Na ziemię rzucony, zdruzgotany bohater powinien z otwartem czołem a niewzruszonem sercem zdecydować się na wypalenie niebezpiecznej rany, które umożliwi jego wyzdrowienie. Tak nazwane „Polengesetze“, są istotnie polskiemi prawami w daleko obszerniejszem znaczeniem tego słowa.

Niemiecka bowiem kolonizacya Księstwa Poznańskiego, jeżeli zostanie szczęśliwie przeprowadzoną, jest pierwszym uprzednim warunkiem, zwiastującym powstanie Polski i stanowczy bój na Wschodzie. Z każdym też Polakiem, opuszczającym swą ojcowiznę w Księstwie Poznańskiem, i z każdym Niemcem, osiedlającym się w tej prowincyi, rośnie prawdopodobieństwo uratowania Polski. Im prędzej i zupełniej Księstwo Poznańskie zostanie zniemczonem, tem lepiej dla Polaków. Jeżeli zaś Polacy nie zdołają wyzyskać okoliczności, jakie im się nasuwają, wówczas podług wszelkiego prawdopodobieństwa, ostatni raz w dziejach, los ich spoczywał w ich ręku, a tymczasem samowolnie skazali się na zagładę.

Prawdziwi też przyjaciele radzą Polakom, aby się zastanowili i obrali drogę rozsądku. Jakkolwiek to dziwnie brzmi, jednak pewnem jest, że prawa pruskie przeciw Polakom — były w interesie polskiej narodowości. Zapowiadająca się walka na Wschodzie musi ludy zniweczyć lub wyswobodzić — tymczasem Księstwo Poznańskie polskie byłoby w owym momencie dziejowym śmiercią Polski, a niemieckie Poznańskie będzie hasłem jej zmartwychwstania.

Czytając bogatą w oryginalną argumentacyę pracę dra Didolffa,

doznajemy przedewszystkiem dziwnego wrażenia, jakbyśmy z rzeczywistości twardej i niezbyt rozkosznej przenieśli się w krainy nadziemskiej ułudy. Widząc, że się coś podobnego dzieje w „Preussische Jahrbücher“, zdaje się, że ogarnął nas jakiś nadzwyczajny sen, i że sam litościwy Morfeusz szeptaniem zapala w umyśle naszym nowe słońca prawdy i otwiera rozległe horyzonty polityczne. Tymczasem artykuł dra Didolffa nie jest bynajmniej złudzeniem. Możemy go odczytać kilkakrotnie, aby ochłonąć z pierwszego wrażenia, wstrząsającego do głębi. Po odczytaniu wszakże nasuwa się nam cały szereg pytań i wątpliwości, któremi dzielimy się z naszym czytelnikiem.

Przedewszystkiem zaznaczyć winniśmy, czem są „Preussische Jahrbücher“. Fakt ten bowiem dziś podrzędnej natury może nie być wiadomym wszystkim naszym czytelnikom. Otóż miesięczne wydawnictwo pod powyżej wymienionym tytułem zostaje pod naczelnem kierownictwem Henryka Treitschke'go, który po śmierci Rankego został mianowany urzędowym historykiem Prus. Stanowisko powyższe otwiera danej osobie nietylko wszelkie tajne archiwa, lecz stawia ją w bliskim stosunku z koroną i rządem. Pamiętnem też pozostanie podziękowanie, jakie Treitschke odebrał od cesarza Wilhelma II za swe dzieje niemieckie i pruskie. Mówiąc o tych ostatnich, wyrzekł urzędowy historyk z dumą, że w nich niepotrzeba nic „zu verheimlichen oder zu bemänteln“, a czasopismo „Preussische Jahrbücher“ służyło mu za pole ćwiczeń i popisów dla wszystkich aspirantów na przyszłych urzędowych historyków, którzy musieli przebyć jego szkołę.

„Preussische Jahrbücher“ zatem, jeżeli nie zyskiwały przez Treitschke'go, jak „Nord. allg. Ztng“ przez Pindtera, półurzędowego charakteru, to w każdym razie cień oficyalności spadał na wszelkie rozprawy, tam drukowane, i nie było obawy, aby szef czasopisma ogłosił poglądy, nieprzyjemne księciu Bismarckowi lub uznane przez niego za wystąpienia nie na dobie. Artykuł dra Didolffa jest też bezwątpienia pomysłem, poczętym nie w głowie nieznanego publicysty, a oprócz tego jest balonem próbnym, którego lot został wydoskonalonym i rozważanym nietylko w samej redakcyi pisma. Przedewszystkiem więc nasuwa się pytanie: przeciw komu został skie-

rowany zatruty grot dra Didolffa i gdzie jest cel rzeczywisty tego iście fryderycyańskiego pocisku.

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, sądząc zwłaszcza po niezbyt wytwornych wyrażeniach, że grot dra Didolffa przeznaczony jest dla Rosyi. Pogardliwe określenie misyi politycznej cesarstwa ruskiego i obietnice wyraźne odbudowania niepodległej Polski z ruskiej zdobyczy zdają się być nieprzepartym tego dowodem. Mimo to jednak ośmielamy się być zdania, nieco odmiennego, a to na zasadzie następującego procesu myślenia:

Szefowi „Preussische Jahrbücher“ bardzo dobrze wiadomym był fakt ciągłego pozostawania odrodzonego cesarstwa niemieckiego z ruskiem mocarstwem na stopie jak najżyczliwszych sąsiedzkich stosunków. Również historykowi urzędowemu nie mogło być obcem, że w r. 1870 cesarstwo ruskie swem życzliwem i niezmiernie lojalnem zachowaniem się dopomogło Niemcom do zjednoczenia się i do obfitego zebrania wawrzynów zwycięztwa. Skądże więc nagle to złowieszcze przeczucie wojny na śmierć i życie i skąd to platoniczne, choć niespodziane szafowanie dzierżawami swego życzliwego sąsiada?

Rząd ruski, posiadający doświadczoną dyplomacyę, nie potrzebuje się obawiać groźby, wyrażonej w artykule dra Didolffa, ani też jakikolwiek artykuł, choćby piórem mędrca z Warcynu skreślony, nie przyprawi go o klęskę. Rząd ruski może spokojnie przysłuchiwać się temu, jak dr Didolff swemi czcionkowemi armiami gnębi go i ćwiartuje. Tego rodzaju bowiem klęski są jeszcze do przetrwania i przebolenia, zwłaszcza gdy dyplomacya ruska czuwać może nad tem, aby słowo nie poczęło się przeistaczać w czyn, i gdy jest wiadomem, co znaczą obietnice i groźby, zawarte w artykułach, obliczonych na chwilowe wrażenie.

Niemożliwem jest też przypuszczenie, aby dr Didolff brał na seryo owe „quos ego“, ciśnięte cesarstwu ruskiemu. Że groźby swoje wydrukował za pozwoleniem, a może za inspiracyą kanclerską, w to wierzymy bardzo chętnie, lecz wydrukował je dlatego, że taż sama kanclerska kancelarya mogła wytłómaczyć, gdzie należało, iż groźby rzeczywiste pozostają zawsze ukrytemi aż do ostatniej chwili, i pociski zatrute wypuszcza się w momencie decydującym, nieprzechwa-

lając się niemi przedwcześnie. Dowieść też przyszłoby łatwo dyplomacyi niemieckiej, że w artykule dra Didolffa nie szło bynajmniej o groźby, bo te nacechowane były naiwnością, lecz cała doniosłość artykułu leżała w obietnicach. Obietnice wspaniałe miały przynieść bogate żniwo polityce niemieckiej bez urzeczywistnienia groźb. Cele upragnione i drogie niemieckiemu sercu miały być osiągnięte bez żadnego nakładu krwi i mienia. Sztuka mistyfikacyi kanclerskiej zasilona tradycyami fryderycyańskiemi, miała święcić jeden z niepomniejszych tryumfów. Na tryumf powyższy wszakże miało się złożyć niedoświadczenie polityczne, spotęgowane zgnębieniem wśród tych, o których chodziło tak zwanemu drowi Didolffowi. Łupem bowiem, zdobytym jego nieoszacowaną argumentacyą, miała się stać ludność Księstwa Poznańskiego. Grot zaś jego jadowity pokryty jest lepem obietnic, nieujętych czasem i przestrzenią, migocących błędnym ognikiem, który zawsze zaślepionego sprowadza na zdradliwe topiele.

Dr Didolff w imieniu odrodzonego cesarstwa niemieckiego ofiarowuje ludności polsko-poznańskiej polityczne odrodzenie, ale nietylko „sub conditione“, lecz zarazem i „sub reservatione mentali“. Aby przekonać zaś swą ofiarę o przyjaźni niemieckiego odrodzonego cesarstwa, roztacza przed nami niezwykłą wspaniałość pseudodoktrynerskiej sofistyki. Dr Didolff nieomieszkał nawet oczyścić z pleśni ośmnastego wieku, aby tylko dowieść, że Prusy wzięły jedynie z konieczności udział w zdobyczy i zabrały tak mało cudzej ojcowizny, iż istotnie za wroga uchodzić dzisiaj niepowinny. Z wywodami historyozoficznemi dra Didolffa krótko się załatwimy, albowiem noszą cechę publicystyczną, która się jedynie pozorem i blichtrem nauki zadawalać zwykła.

Prawdą jest niewątpliwie twierdzenie dra Didolffa że w końcu XVIII wieku państwo polskie było chore, a nawet bardzo chore. Gdyby jednak nauka polityki nie przedstawiała dowodów, że organizmy polityczne, bardzo chore, mogą powrócić do zdrowia, i, gdyby ze słabości należało wywodzić prawo zagłady, to cóżby się stać powinno w XVIII wieku z Niemcami, Szwecyą, Niderlandami i Węgrami, a przedewszystkiem co z Prusami z początku XIX stulecia?

Nie zatrzymując się dłużej nad ex post proroctwami dra Di-

dolffa, przejdziemy do drugiego twierdzenia, znajdującego się w nieocenionej jego pracy. Dr Didolff utrzymuje, że Prusy z konieczności wzięły udział w rozbiorze Polski, aby odebrać choć cząstkę kraju, który Rosya w całości zagarnąć pragnęła. Wątpimy bardzo, czy dr Didolff zadał sobie patryotyczny trud przejrzenia prac i korespondencyi Fryderyka II, a przedewszystkiem czy przeczytał Treitschke'go słynne z tendencyi i fałszu dzieje niemieckie.

Otóż z korespondencyi Fryderyka II, znanej historykom niemieckim (Janssen — „Zur Genesis der ersten Theilung Polens"), pokazuje się, że inicyatorem i prowokatorem podziałowego pomysłu był Fryderyk II, a pomysł rzeczony przeprowadził wybornie brat jego, Henryk, w sferze dyplomacyi. Pruscy książęta, a następnie królowie upatrywali zawsze w osłabieniu państwa polskiego „die Wiege der preussischen Kraft". Nienasycona pożądliwość polskich ziem i fryderycyański system, zawarty w dezyderacie: „pro justitia, pro foedera stat ensis", nazwane zostały prawem konieczności historycznej. Przyznać się do tego musimy, żeśmy sobie powyższe prawo inaczej wyobrażali i że nie utożsamialiśmy go nigdy z podstępem i brutalną siłą.

Jeżeli dr Didolff przekonywa, że Prusy zabrały tyle tylko ziem polskich, ile było koniecznem dla egzystencyi zaborczego królestwa, to dowodzi jedynie, że nie czytał uważnie historyi Niemiec tegoż samego Treitschke'go, w którego czasopiśmie drukował artykuł. Urzędowy historyk pruski, znający wybornie archiwa tajne, upewnia, iż rząd pruski czynił wszystkie wysilenia, aby zagarnąć jak najwięcej, a jeżeli się jego niepowściągliwemu apetytowi niestało zadość, to jedynie dlatego, że sił po temu nie było. Śmiertelnie chore państwo polskie bowiem czuło się dość silnem, aby wyrodzonym bohaterom Fryderyka II stawiać czoło. Hardenberg przyznaje, że wojska polskie w roku 1794 nie stały w Polsce na wysokości zadania [1]), i, gdyby tylko armiom pruskim przypadło przeprowadzać w rzeczywistości dzieło rozbioru, wówczas bez szowinizmu można twierdzić, iż bohaterowie pruscy mogliby dzierżawy polskie jedynie

---

[1]) Ranke: „Hardenberg und die Geschichte des preussischen Staates". T. III, str. 383.

„mit den Rücken ansehen“, — że użyjemy wyrażenia Heine'go. Lwi udział w rozbiorze musiał przypaść temu, kto w czynie lwem się okazał, a że Prusacy nie mogli wówczas w boju przypominać tego stworzenia, na to się chyba zgodzi każdy, kto je widział, choćby przynajmniej na papierze namalowane lub wypchane w gabinecie zoologicznym.

O jednym fakcie z przeszłości zamilcza jednak dr Didolff bardzo starannie. Nie wspomina bowiem nic o tem, że gdy inne mocarstwa wymierzały jedynie organizacyi politycznej państwa polskiego śmiertelne ciosy, Fryderyk II swym demonicznym geniuszem nakreślił program zagłady dla narodowości polskiej. Słowo „ausrotten“, wygłoszone przez nowożytnego filozofa, Hartmanna, nie przynosiło, jako pomysł, nic nowego, bo było tylko wykończeniem i rozwinięciem fryderycyańskiej polityki. Od chwili pierwszego zaboru system Fryderyka II uderzył nietylko w instytucye polityczne polskie, ale w prawo prywatne, w narodowy język i we własność prywatną, którą starano się wydrzeć z rąk polskich za pomocą zręcznie i energicznie prowadzonej kolonizacyi [1]). Myśli i czyny Fryderyka II stały się gwiazdą przewodnią dla przyszłych mężów stanu. Od niego to przejęła pruska polityka nieubłaganą nienawiść i wyższą pogardę kulturną dla narodowości polskiej i od niego nauczyła się być puszczykiem grobowym, który przy najlżejszem drgnięciu narodowego życia w sferze spraw gminnych, naukowych lub literackich, wydawał okrzyk ostrzeżenia i wpędzał nas siłą w okręg cmentarny.

Tradycya fryderycyańska nie doznała w dziejach późniejszych królestwa pruskiego żadnej przerwy, bywały tylko chwile, w których występowała jaskrawiej lub słabiej. Wprawdzie nadszedł moment, w którym Hardenberg podał swemu królowi projekt odbudowania Polski, ale to działo się w momencie, tak desperackim dla dzierżaw Hohenzollernów, i projekt był przesiąknięty tak samolubnemi motywami, że istotnie nie można go uważać za apostazyę od fryderycyańskiej polityki. Powszechne panuje mniemanie, iż rządy

---

[1]) Stadelmann: „Preussens Könige in ihrer Thätigkeit für die Landescultur“, str. 73.

Fryderyka Wilhelma IV zadały kłam polityce szczęśliwego przodka. Wątpimy, aby i to przekonanie zyskało w przedmiotowej historyi prawo obywatelstwa. Nie ulega żadnej wątpliwości, że osobisty wpływ monarchy łagodził zbyt pośpieszne żądania i zapędy, lecz jest również pewną rzeczą, iż powolny system germanizacyi trwał nieprzerwanie, i za tego właśnie panowania usunięto stanowczo urzędową nazwę „Księstwa Poznańskiego“ jako niebezpieczną reminiscencyę [1]).

Poczucie sprawiedliwości nakazuje nam przyznać, iż rządy pruskie pozyskały sobie niejedną zasługę, otaczając opieką stosunki prywatne ludności. Działanie administracyi oraz sądownictwa było przeważnie uczciwe i oparte na znajomości rzeczy, a polityka agrarna, nadająca włościanom własność gruntową, zasługiwała na nazwę przezornej i o rozwój dobrobytu krajowego dbałej. Sądzimy też, że nikt lepiej nie ocenił zasług rządów pruskich nad hr. Edwarda Raczyńskiego, który w swej słynnej przemowie do Fryderyka Wilhelma IV wyraźnie zaznaczył, że dbałość o dobra materyalne ludności polskiej istniała zawsze w rządzie pruskim, lubo właśnie owemi dobrami materyalnemi starano się stłumić pragnienie dobra duchowego i skazywano ludność na najhaniebniejsze upokorzenia, mieszczące się w wynaradawianiu.

Za panowania zacnego Fryderyka Wilhelma IV ukazała się niewielka broszura jenerała Grolmanna, która uzupełniła naukę fryderycyańską, nawołując rząd do gorliwszego jej wyznawania [2]). Żarliwy żołnierz przypomina, że niedość Poznańskie zjednoczyć nierozerwalnie z państwem pruskiem, każdy uczciwy człowiek powinien myśleć o tem przedewszystkiem, żeby je: „deutsch zu machen“. System kolonizacyi fryderycyańskiej ma też być ulepszony ryczałtowym skupem własności szlacheckiej, co zmusi następnie opornych do wyniesienia się z kraju.

Broszurę Grolmanna upodobał sobie szczególnie książę kanclerz niemiecki, posługując się niejednokrotnie najjadowitszemi z niej cytatami. Ów klin polski, wysunięty ku Berlinowi, o którym dr Di-

---

[1]) Żychliński: „Historya sejmów W. Ks. Poznańskiego“. (T. II, str. 104).
[2]) „Bemerkungen ueber G. Herzogthum Posen, Glogau“ 1848.

dolff wspomina, to także pomysł Grolmanna, zapamiętany dobrze przez księcia Bismarcka. Jednem słowem pod wpływem kierującego męża stanu wskrzeszone zostały tradycye fryderycyańskie ze wszystkiemi uzupełnieniami następców. Nie widmo politycznej Polski straszyło potężnego kanclerza, lecz tego widma używał za jawny pozór do uderzania bezwzględnego na to wszystko, co narodową siłę stanowi. Czegóż to nie nasłuchała się narodowość polska od księcia Bismarcka? Ileż pogardliwych natrząsań, przemożnych urągań i tendencyjnych oskarżeń musiała przełknąć ze łzą w oku, i to po wojnie z roku 1870, śród której jej synowie spełnili z poddaniem się i rycerskim honorem swój obowiązek na licznych polach bitew.

Usłużna nauka niemiecka posługiwała wiernie kanclerzowi niemieckiemu. Gdy reprezentant nauk politycznych, Mohl, upominał, aby nie czuć wstrętu do wyrazu: „germanisiren“, filozof Hartmann doradzał doraźniejszy środek: „ausrotten“. Sejmy zaś pruskie prześcigały się w objawach sympatyi dla polityki kanclerskiej i zachęcały administracyę do przenoszenia walki antynarodowej na pole szczegółów czysto prywatnej, domowej natury.

Śród takiego arcyfryderycyańskiego nastroju ducha nietylko w Prusach, lecz i w Niemczech całych, zjawia się pod auspicyami wyraźnemi urzędowego historyka Niemiec głos, przystrojony w strzępy pseudonaukowe, który nam ukazuje w odrodzonem cesarstwie bezinteresownego dobroczyńcę, wskrzesiciela, zbawcę! Czyż pierwsze wrażenie tak niepojętego ludzkim rozumem przeistoczenia nie musi być upajającem? Na szczęście znajdujemy w warunkach jawnych i w restrykcyach mentalnych dra Didolffa, które pozwolimy sobie nazwać wyrachowaniem ukrytem, pierwiastki aż zbyt silnie trzeźwiące.

Dr Didolff wymaga przedewszystkiem, aby poznańscy Polacy pomagali rządowi pruskiemu do zgermanizowania swej własnej ojcowizny. Pomoc ta będzie tytułem, nieokreślonym wprawdzie przez naukę polityki, ale zawsze tytułem do zaskarbienia sobie łaski przepotężnych Niemiec. Zastanówmy się na chwilę, co ten skromny warunek oznacza. Pragnienie dra Didolffa jest tak wyraźnie sformułowanem, że nie pozostawia najmniejszej wątpliwości. Ludność polsko-poznańska ma wyrzec się swej narodowości, ma gniazdo

Biblioteka Wojsk. Akad. Pol.

swoje, tak zaszczytnie bronione mieczem jagiellońskim przeciw krzyżackiej powodzi, oddać własnowolnie na pastwę niemieckiej kolonizacyi, i to za cenę niepochwytnych w czasie i przestrzeni, jak samum pustyni, obietnic.

Dr Didolff zdradza się z pewnemi brakami w swem teoretycznem wykształceniu i nawet nie uważa za stosowne zapoznać się z tem, co jego mistrz, Treitschke, napisał o narodowości w swych „Politisch-historische Aufsätze“. Pozwolimy sobie więc przypomnieć mu kilka elementarnych wiadomości z nauki polityki, i to tem cenniejszych, że się na nie zarówno Węgier Eötvös, Francuz Renan, jak i niemieccy uczeni zgodzili. Podług tych wiadomości narodowość jest wytworem cywilizacyjnym, który się śród danej ludności, osiadłej na danej ziemi, wyrabia za pośrednictwem wspólnej wiary, wspólnego języka i wspólnej pracy kulturalnej nad ziemią. Te trzy główne pierwiastki: język, wiara i ziemia, rozwijają się i uszlachetniają pracę kulturalno cywilizacyjną, stwarzając świadomość wspólnych zadań, poczucie publicznego dobra i wszczepiając w serca ludu podniosłe, duchowe pragnienia. Nikt też z poważnych teoretyków nie zaprzeczył temu, że w idei narodowościowej spoczywa potężna moralna dźwignia, spajająca lud z ziemią nierozerwalnym duchowym węzłem. Potęga duchowa, tkwiąca w idei narodowościowej, dlatego właśnie, że stwarza poczucie dobra publicznego, jest niezmiernie ważną dla organizacyi politycznej. Ona to wlewa ożywcze ciepło i niespożytą siłę w ustrój państwowy, co bardzo dobrze zrozumieli Niemcy, dążąc do rozwoju narodowego, usuwającego wszelkie współzawodnictwo.

Doprowadzając własny kult narodowościowy do niemożliwych wyżyn, rząd pruski wymierzył śmiertelne pociski przeciw temu wszystkiemu, co stanowi treść narodowości polskiej. Własność prywatna gruntowa wydzieraną była wszelkiemi możliwemi sposobami z rąk polskich, ponieważ wiedziano, że sprawdzi się przepowiednia Libelta, i po usunięciu właścicieli dawny ruch narodowy uleci w krainę przeszłości, a obcy duch natomiast wstąpi w ziemię i przeistoczy ją w obcą ojczyznę. Jakież to jadowite ciosy wymierzono podczas walki kulturnej przeciw wierze religijnej, zaszczepiając zwątpienie i rozdwojenie! Z jakąż nienawiścią nieubłaganą

prześladowano mowę w najdrobniejszych jej objawach! Gdy się to wszystko okazało niedostatecznem, gdy ludność poznańska nie usłuchała rad szlachetnych księcia Bismarcka i nie pojechała do Monaco roztrwonić resztkę ojcowizny, postanowiono uciec się do tradycyi fryderycyańskich i z nich zaczerpnąć nowy pomysł. Istotnie nieśmiertelny geniusz Fryderyka II natchnął tak zwanego dra Didolffa wybornym pomysłem. Gdy hasła: „germanisiren oder ausrotten“, nie pomogły, trzeba było wmówić w ludność poznańską, że powinna się zniemczyć lub usunąć sama w interesie własnego odrodzenia się „in partibus infidelium“.

Świadome wszelako oddawanie swej własności ziemskiej w ręce obcej kolonizacyi jest zdradzeniem i pohańbieniem się przed sumieniem własnem, a zarazem wystawieniem się pod pręgierzem pogardy wszystkich ucywilizowanych ludów świata. Naród, co się na podobny krok odważa dla jakichkolwiek, choćby najprawdopodobniejszych spekulacyi politycznych, niweczy własnemi rękami siłę moralną, jaka w nim spoczywa, zatruwa swego ducha i kopie sobie grób nieuchronny. Jakże wierzyć w egzystencyę polityczną takiego narodu, który roztrwonił tę siłę, co instytucyom politycznym trwałość nadaje? Jak wierzyć w przyszłość ludu, który spuściznę narodową lekkomyślnie sfrymarczył i dał się sprowadzić z drogi najelementarniejszych obowiązków? Wszedłszy raz w targ z sumieniem, — otwiera się wrota nieograniczonej i zmiennej szacherce politycznej, wyprowadza się na handel duchowe siły narodu dla ułudnego chwilowego zysku i kopie się grób własnemi rękami, — grób, który nie będzie zaszczytnem wspomnieniem w historyi. Targowicę polityczną może przenieść jeszcze naród, targowicy narodowej — nie przeżyje, i dlatego to skromny warunek dra Didolffa jest wspaniałym pomysłem, zaczerpniętym z tak zwanej „Stoss ins Herz“ polityki księcia Bismarcka.

Dotychczas wspominaliśmy tylko o warunku jawnym naszego odrodzenia. Kilka słów wszakże musimy poświęcić wyrachowaniu tajnemu dra Didolffa „et consortium“. Jeżeli kto, to z pewnością opiekunowie natchnieni autora, budującego nam przyszłość polityczną, wiedzą najlepiej, co znaczą najuroczystsze przymierze międzynarodowe, że nie wspominamy już o naiwnych obietnicach. Pamiętny

nam dobrze los legionu węgierskiego w r. 1866, świadczy wymownie o etyce politycznej ks. Bismarcka. Wartość atoli i doniosłość propozycyi dra Didolffa gdzieindziej spoczywa, wyrachowanie jego tajne przewiduje zupełnie inny rezultat.

Poznańska ludność, zgnębiona nieubłaganym naporem rządu niemiecko-pruskiego, musi wśród nierówności sił dać przystęp zwątpieniu i apatyi. W takim stanie społeczeństwa, zwodnicze plany złamią opór narodowy, zaszczepiając rozdwojenie. „I rozdzieliło się serce ich, — teraz upadną“; na to liczył dr Didolff, a istotnie istnieje poważna obawa, że przy braku doświadczenia i wykształcenia politycznego znajdą się tacy, którzy plewy marne, pokrywające sidła fryderycyańskie, wezmą za posilające ziarno. Tymczasem jednak, zanim rozczarowanie nastąpi, ułatwi się działalność komisyi kolonizacyjnej, odwróci się uwagę od reformy administracyjnej, która nawet w zakresie gminy stwarza dla ludności polskiej stan wyjątkowy, i, skusiwszy wreszcie pewną ilość zgnębionych, wystąpi się przed światem z nowym aktem potwarczym, dowodzącym, że Polacy sami urzeczywistnili słowa Skargi: wygnańcy, — wszędzie nędzni, — które nogami kopać tam, gdzie was wprzódy szanowano, będą...

A jednak myśl dra Didolffa posiada znaczną terorystyczną siłę, której ukryci inicyatorowie artykułu są dobrze świadomi. Wiedzą oni nasamprzód, że w trójprzymierzu Niemcy główną odegrają rolę, i że w razie wojny na Wschodzie bez ich woli i poparcia żadne kombinacye polityczne możliwemi nie będą.

Ludność polsko-poznańska zrozumie zatem łatwo, iż żadne sprzymierzone mocarstwo nie ośmieli się pójść własnemi tory, i wszelkie samodzielne plany Austryi rozbiłyby się w proch, niepoparte siłami Niemiec. Artykuł tedy dra Didolffa niweczy wszelkie dawniejsze iluzye polityczne, a zmusza do przyjęcia i zespolenia się z tą jedną nieubłaganą myślą — odrodzenia tylko przez Niemcy, — po za Niemcami bowiem — niema ocalenia.

Natchniony pomysł dra Didolffa „et consortium“ nie przestaje być dlatego arcydziełem niedoścignionem polityki fryderycyańskiej. Jest to nieodrodne dziecię geniuszu Fryderyka II, myśl, z jego nieśmiertelnego ducha poczęta. Zetrzeć w proch narodowość całą

i wmówić w konających, że się jest ich wskrzesicielem; usłyszeć ten upragniony okrzyk: „morituri te salutant“, czyż to nieprzepiękny nieśmiertelnik, wyrosły na grobie Fryderyka II? Pomyślność upaja niewątpliwie niepohamowaną dumą. Od tego objawu nie pozostała wolną szkoła ks. Bismarcka. Wychowańcy jej nietylko lubują się na wzór bogów starożytnych w zwycięskiej sprawie, lecz utożsamić się pragną z Jowiszem, podnosząc starą zasadę: „quem vult perdere Jupiter, dementat“. Czy osiągną rezultat, — to przyszłość pokaże; lecz autor niniejszej pracy czuje się w obowiązku wypowiedzieć swe przekonanie: że dewiza dra Didolffa: „Poznańskie polskie — śmierć Polski“ (Posen polnisch — Polens Tod), a „Poznańskie niemieckie — zbawienie Polski“ (Posen deutsch — Polens Rettung), jest tylko uzupełnieniem słynnych słów Fryderyka II: „będziemy komunikowali Ciałem Polski“ (nous communierons du même corps eucharistique, qui est la Pologne). Obie te myśli — to nieodrodne potomstwo polityki prostytucyjnej, to wierny pomiot fryderycyańskiego dobrodziejstwa.

II.

W roku 1889 [1]), w artykule pod tymże samym tytułem wydrukowanym, naprzód w „Gazecie Polskiej“, a później w „Niwie“, poświęciłem uwagę nieoczekiwanemu i zdumiewającemu darowi, jaki nam ukazywał w perspektywie dr Didolff, nieistniejąca w rzeczywistości figura, w pracy p. t. „Ein Blick auf die Vergangenheit und Zukunft Polens“. Jakkolwiek przybrane nazwisko autora nic nie mówiło i wskazywało jedynie jednego ze wstrętnej rzeszy najemnych pismaków, to wszakże rzecz publicystyczna ukazała się w łamach „Preussische Jahrbücher“, które nosiły charakter półurzędowy a redagowane przez zaciętego i zaślepionego wroga naszego prof. Treitschkego, były powiadamiane najdokładniej o najskrytszych pragnie-

[1]) Powyższy artykuł został wydrukowany w „Słowie“ w lutym 1900 r.

niach rządu pruskiego i ówczesnego bożyszcza zjednoczonych Niemiec, księcia Bismarcka.

Aby czytelnikowi wyjaśnić, co po dziesięciu z górą latach, skłania mnie do poruszenia jeszcze raz sprawy już przesądzonej i przebrzmiałej, muszę w kilku słowach przypomnieć cel, do którego dr Didolff dążył i obietnice, któremi nas łudził w tem przekonaniu, że mu do osiągnięcia politycznych zadań dopomożemy. Otóż dr Didolff za pośrednictwem dość rozwlekłego i powierzchownego rozumowania doszedł do tego wniosku, że „ein polnisches Posen ist Polens Tod, ein deutsches Posen ist Polens Rettung“. Polska narodowość nadaremnie kusiła się o obronę swej ojcowizny na kresach zachodnich i wschodnich i próżnymi okazały się jej wysiłki w latach 1831 i 1863. System konwulsyjnych wytężeń zużył i sterał jedynie siły narodowe, cóż więc w przyszłości czynić należało? Czy może wzmacniać wyczerpaną narodowość, skupioną, spokojną i wszechstronną pracą cywilizacyjną. Nie! bynajmniej, dr Didolff nie zajmował się wcale takimi drobiazgami; wynalazł on jeden sposób czarnoksięski, który nas uszczęśliwi, a środkiem tym — własnowolne wynarodowienie, a raczej zgermanizowanie Poznańskiego, albowiem ono okaże się stanowczym ratunkiem Polski.

Daremnie jednak, przerażony ogromem ofiary, czytelnik polski z wytężeniem śledzi, gdzie mu błyśnie owa jutrznia zaranna, owa szumnie zapowiedziana ucieczka dla zwątpiałych i słabnących. Ratunek, okupiony kosztem zniemczenia Polaków berła pruskiego, jest tak wątpliwym i tak zagadkowym, że jedynie domyślać się możemy, iż polegać on ma na podtrzymaniu fermentu rewolucyjnego wśród Polaków z pod innych rządów i łudzeniu ich nadzieją, że gdy na wschodzie przyjdzie chwila wyswobodzenia ludów(!) Niemcy czy Prusy nie zapomną o nas i ta pamięć, która nam się tyle razy dała we znaki, będzie naszem szczęściem, no i ocaleniem!

Odpowiedziałem w roku 1889 na tę szalbierską i cynizmem fryderycyańskim na wskróś przesiąkłą argumentacyę, w sposób na jaki mię stać było, kategorycznie w końcu oświadczając, że tego rodzaju polityczna targowica byłaby ostatniem naszem poniżeniem. Obietnice dr Didolffa należy też oceniać na równi ze wszystkimi pomysłami szatańskiej polityki fryderycyańskiej, które pragną Pola-

kom pruskim „wyjąć duszę“ [1]), a w niepruskich Polakach podtrzymać ferment rewolucyjny, aby ich użyć w dogodnej chwili za wyborny środek do rozszerzania i wzmocnienia swej niemieckiej ojczyzny.

Czy pomysł Didolffa był rozbieranym i uzupełnianym przez prasę prusko-niemiecką nie jest mi wiadomem. Ścisła kontrola z oddalenia jest utrudniona; od roku więc 1889 nie dostrzegłem nic takiego, coby zdradzało, że artykuł z „Preussische Jahrbücher“ poruszył choć cokolwiek umysły poważniejsze w Niemczech. Dopiero wydane w 1897 r. wykłady polityki zmarłego prof. Treitschkego [2]), wskazują na źródło, skąd trysnęło nasze oryginalne ocalenie i wskrzeszenie oraz wypowiadają myśl Didolffa wyraźniej i pewniej, nie domagając się tak natarczywie od nas samowynarodowienia się, czyli etycznego zwyrodnienia.

Wykłady polityki prof. Treitschkego opracowywane były przez długie lata, ale spisane zostały przez słuchaczy w r. 1889, czyli w tym samym czasie, w którym się ukazał artykuł Didolffa. Wprawdzie mąż wiarogodny i będący w blizkich stosunkach z prof. Treitschkem, upewniał mnie, że Didolffem nie był Treitschke i że artykuł ów znamienny nie pochodził od urzędowego historyka Niemiec XIX wieku, ale to nie przeszkadza bynajmniej, że istnieje niezaprzeczone powinowactwo duchowe między pracą publicystyczną Didolffa a wykładem polityki Treitschkego i że w tym wykładzie znajdujemy wyjaśnienie zagadki, której Didolff nie zdołał rozwiązać, oraz dopowiedzenie tego, co u Didolffa stanowić miało tajemniczy talizman naszego ocalenia i uszczęśliwienia.

Właśnie owo uzupełnienie i dopowiedzenie przerwanych spekulacyj politycznych, skłoniło mnie do przyjrzenia się jeszcze raz darom, z jakimi dla nas występowała nauka prusko-niemiecka. Prof. Treitschke bowiem był niewątpliwie mężem rozległej nauki i historykiem znacznego talentu, ale z tymi cennymi przymiotami nie pozostawał w harmonii charakter, skutkiem czego sprawiedliwości

---

[1]) Engelmann: „Die Leibeigenschaft in Russland“ str. 18 „wynimat' duszu“ dem Lande die Seele nehmen. Wyrażenie z dawnego prawa ruskiego.

[2]) „Politik. Vorlesungen gehalten an der Universität zu Berlin von Treitschke. Herausgegeben von Max Cornicelius“. 1 Band.

i prawdzie wciskał on poniżające piętno swych stronniczych pragnień i namiętności. W każdym razie nie powtórzył on ani razu Didolffowskiego hasła, że niemieckie Poznańskie jest naszem ocaleniem, bo nawet jego fryderycyańskie sumienie wzdrygnąć się musiało na objaw takiej publicystycznej naiwności, którąby się koniecznie chciało nazwać nieco inaczej.

Prof. Treitschke w swym wykładzie polityki nie miał zresztą potrzeby zajmowania się takiemi drobnostkami przejściowemi. Na zniemczenie Poznańskiego, na owo hasło germanizmu przed nim wyrzeczone zapatruje się historyk urzędowy, jako na konieczność absolutną, którą wybornie zrozumiał i racyami stanu uzasadnił książę Bismarck. Najdrobniejsze ustępstwo na drodze germanizacyi, uważa Treitschke za błąd nie do darowania i nauczanie religii dzieci polskich w języku polskim nazywa się u niego polonizowaniem Niemców, którego rząd pruski dopuszczać nie powinien w żadnym wypadku. Na uroczyste zobowiązania królewsko-pruskie ma środek unicestwiający, rozgrzeszający Prusy raz na zawsze. Polacy w Poznańskiem otrzymali wprawdzie mnóstwo dobrodziejstw, ale okazali się zdrajcami i zdrajcami są nieustannie, niema więc potrzeby robić sobie jakichkolwiek zachodów lub kłopotów z nimi. Wschodnie kresy muszą być niemieckie lub rdzennie zniemczone; o ile nie wystarczy hasło „germanisiren“, dopomoże „ausrotten“, w każdym zaś razie dumą narodu niemieckiego będzie zdobycie dla swej narodowości kresów wschodnich, które, rozumie się samo przez się, zawdzięczają całą cywilizacyę Prusom.

Wyrok tej srogości nieludzkiej nie był wynalazkiem Treitschkego; wydali go przedewszystkiem mężowie, których on bałwochwalczo uwielbiał — Grolman i Bismarck; nic więc dziwnego, że poszedł utartymi przez nich tory i stał się wyznawcą nowej, upolitycznionej moralności w swych wykładach polityki. Dopóki też Treitschke skazuje Poznańskie na zagładę narodową, nie wmawiając w nas, że czyni to dlatego jedynie, aby nam uratować — narodowość i państwo, nie możemy mieć do niego żadnej pretensyi, jakiej nie mamy do oprawcy, że się podjął swego zawodu, i że go wykonywa z wytworną precyzyą. Za taki sąd historyczny i za takie uporczywe poduszczenia rządu pruskiego, odpłacimy się Treitschkemu

sowicie, wykreślając go z rzędu historyków, którym sprawiedliwość i prawa przewodniczyły w badaniu naukowem, a zamieszczając go natomiast w rzędzie tych pisarzy, którzy nie cofnęli się przed żadną potwarzą, przed żadną krzywdą, kłamstwem lub niesprawiedliwością, jeżeli tylko Prusy z nich jakikolwiek pożytek odnieść mogły.

Niestety! Treitschke nie wytrzymał na raz obranej drodze. Charakter niezmienny i żelazny, który mogliśmy podziwiać u Grolmana i Bismarcka, nie dopisał mu i za to odstępstwo od konsekwencyi, które wypływało z jego nienawiści do Polaków i za te jego dary, z którymi dla nas za przykładem Didolffa wystąpił, mam do niego wiekuistą pretensyę, którą w artykule niniejszym wyrażam. Niemiecki świat uczonych publicystów, prawników, statystów i filozofów obrzucił dzieje nasze, zwłaszcza XVIII wieku, takim potokiem potwarzy, pogardy i wścieklizny, że mała kropla, dodana przez Treitschkego, nie spowoduje wezbrania owego potoku i spokoju naszego nie zamąci. Wszakże niedawno, bo w roku 1893, taki pogodny i jasny umysł, jak Roschera, zapuszczając się w dziedziny nauki polityki [1]), nie mógł się uchronić od lekceważącego sądu o dziejach i naszych instytucyach politycznych, o których mu brakło nawet elementarnych wiadomości. Nawet Rudolf Gneist, który miał odwagę przyznawać się do nieznajomości polskiego prawa państwowego, przytaczał sejm polski, jako przykład piekielnej monstrualności. Nic więc dziwnego, że i w wykładzie polityki Treitschkego, ile razy jest mowa o dawnej Rzeczypospolitej, lub o Polakach, znajdują się uwagi, przytyki i uprzedzenia, które boleśniejby nas ranić mogły, gdyby przez nie nie przezierały: nieświadomość i namiętność.

Wszyscy jednak uczeni niemieccy, zwiastujący nam zagładę, byli przynajmniej szczerzy i otwarci. Nie taili nam wstrętu i nienawiści, badając przeszłość naszą, a te same uczucia potęgowały się niezmiernie i to z jawnością, gdy szło o naszą przyszłość. Widmo jakiegokolwiek państewka polskiego było dla tej pracowitej i przeważająco spokojnej rzeszy, zmorą tak przerażającą i wstrząsającą,

---

[1]) Politik. „Geschichtliche Naturlehre der Monarchie, Aristokratie und Demokratie“.

że nerwy uczone nie mogły się z jej widokiem oswoić i dlatego na przeszłości naszej kładziono napis grobowej powagi: „Tausend Jahre sind vor Dir, wie der Tag der gestern vergangen“ [1]), nie pozwalając sobie na żadne odchylanie zasłon przyszłości.

Treitschke postąpił inaczej i swej politycznej logice, że inne rzeczy pominę, złożył nieszczególne świadectwo. Z tego bowiem, co napisał o naszej przeszłości, o naszem społeczeństwie i o naszej narodowości, moglibyśmy dojść do przekonania, że zaledwie w Afryce środkowej zdołanoby nam odstąpić jakiejś nieużyteczne puszcze, jako sukcesyę po mniej inteligentnych gatunkach małp. Wtem nagle, gdy nas już ogarnęło zupełne zwątpienie i gdy pogrążeni zostaliśmy w nicości, Treitschke nas wskrzesza, co więcej — daje nam państwo niezależne; jednem słowem, tworzy cuda niebywałe w polityce, o których się nie śniło nawet Napoleonowi I, gdy w Berlinie zwoływał polskich wojowników, aby mu dopomogli zamienić w gruzy państwo Hohenzollernów. Treitschke, mówiąc o narodowościach, odmawiał nam nawet prawa do uważania się za narodowość w nowożytnem tego słowa znaczeniu. Zbiorowisko szlachty (Ritter) nie posiadające mieszczaństwa, nie byłoby zdolne podjąć twardej pracy społecznej w XIX stuleciu i równie jak społeczeństwo muzułmańskie zostało skazane na wymarcie. Traktując jednak rzecz o upadku państw, przypomniał sobie Treitschke, że jakiś poważny pisarz był zdania, iż narody chrześcijańskie nie umierają, z tego powodu przychodzą mu na myśl następne sensacyjne refleksye: czy państwo polskie (Polenreich) powstanie jeszcze kiedykolwiek? — to pozostanie zapytaniem. Jedno jest pewnem, że nie powstanie ono w poprzedniej swojej postaci, a sięgającego do morza Czarnego państwa nie przyjmą Polacy, powodowani waryackim swoim uporem (und einen ans Schwarze Meer reichenden Staat werden die Polen in ihrer hirnverbrannten Verstocktheit nich annehmen, str. 138).

Przypuszczenie odmowy z naszej strony stwierdza fakt, że ze strony publicystyki niemieckiej w ogólności, a prof. Treitschkego w szczególności zaofiarowanie państwa polskiego nastąpiło. Było to państwo, oparte o jedno z mórz, a więc z posiadłości rosyjskich

---

[1]) Hüppe: „Verfassung der Republik Polen“.

wykrojone. Przedewszystkiem zaciekawia nas pytanie, jaki obszar, jakie granice to nowe państwo polskie posiadać miało i tej ciekawości nie można nam brać za złe, bo w dziedzinie polityki nie ma zastosowania chłopskie przysłowie: „Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy“, a akt darowizny, wystawiony nam przez prof. Treitschkego, jest bardzo ogólnikowy i nieścisły. Znając historyę Niemiec w XIX wieku prof. Treitschkego, za które to dzieło odbierał kilkakrotnie podziękowania monarchów niemieckich, miałem pewne wątpliwości, czy przypadkiem, wysiedlając nas nad morze Czarne, Treitschke nie chce posiąść dla Prus lewego brzegu Wisły, wraz z Warszawą, w imię tego, że te ziemie i miasta należały już do Prus, no i wreszcie, tak jak ziemie i miasta Węgier oraz Siedmiogrodu, były dla cywilizacyi zdobyte przez kolonizacyę niemiecką.

Opisując zjazd Fryderyka Wilhelma III z cesarzem Mikołajem I w Kaliszu w r. 1835, Treitschke nie może się wstrzymać od bolesnych wspomnień, że król pruski przyjmowany był w gościnie w tem mieście, w którem marmurowa tablica zamieszczona na dawnym gmachu kadetów, świadczyła o jego wspaniałomyślności i dobrodziejstwach. Nie może on odżałować tego, że państwo pruskie tak skąpo uposażone zostało ziemiami polskiemi, a więc z natury rzeczy nasuwało się podejrzenie, czy przy puszczaniu tych czarnomorskich baniek mydlanych, nie marzy on o pozyskaniu dla swej niemieckiej ojczyzny, reszty Wielkopolski i Mazowsza, jak wiadomo, od wieków niemieckich.

Ogólnikowość aktu darowizny prof. Treitschkego wzmacniała owo podejrzenie, ale ze strony poważnych niemieckich uczonych wtajemniczonych w pomysły prof. Treitschkego otrzymałem zapewnienie, że do owego czarnomorskiego państwa polskiego, miało być wcielone całkowite Królestwo Polskie, i że Prusy, t. j. właściwie prof. Treitschke nie marzył o żadnej korzyści dla siebie. Szczytna jego bezinteresowność wzrusza nas do głębi i chętnie w nią wierzymy, ale nie możemy zrozumieć w żadnym razie pewnej drobnostki, mianowicie jaką jest logika polityczna profesora Treitschkego, nie podająca żadnych racyi stanu dla swej zagadkowej utopii.

Profesor Treitschke napisał dzieło obszerne, poświęcone nauce polityki, która, jego własnem zdaniem, miała być stosowaną histo-

ryą. W takiem studyum naukowem, obejmującem owoc długoletniej pracy i doświadczenia, powinny być przyczyny upadku, zarówno jak i powstania, czy tworzenia się państw, wyłożone jasno, wyrozumowane ściśle i politycznie. Tymczasem w rozumowaniu politycznem prof. Treitschkego spotykamy wielkie niedostatki i nie możemy zwykłą logiką dociec, co go skłoniło do wskrzeszania państwa polskiego i jakimi politycznymi potrzebami uzasadni jego wejście do koncertu mocarstw europejskich. Zdaniem prof. Treitschkego dawna Rzeczpospolita polska była chorą, a nawet śmiertelnie chorą, wstąpiła też do grobu, niejako sama, niewtrącona przez nikogo „mole propria ruit“, jak jej to przepowiadał Stanisław Leszczyński. Gorzej atoli, że społeczeństwo polskie w tej upadającej Rzeczypospolitej, nie posiadało odpowiednich żywiołów inteligencyi i pracy, aby stać się mogło czynnikiem cywilizacyjnym, krzewiącym światło i postęp w duchowym rozwoju Europy. Byliśmy, zdaniem uczonego niemieckiego, podobni a przynajmniej zbliżeni podobieństwem do świata muzułmańskiego, a więc skazani co najwyżej i najłaskawiej na wymarcie, i to szybkie, bo powolne drażniłoby zbytecznie nerwy uczonych pokroju profesora Treitschkego.

Jakie więc pożytki dla ludzkości zdołała odnaleźć nauka polityki prof. Treitschkego, wskrzeszając państwo polskie? Trudno zaiste dociec. Czem, to jest jakiemi racyami stanu przekonywa polityk niemiecki monarchów, czy narody o niezbędnej potrzebie i wielkich pożytkach takiego czarnomorskiego nowotworu? I pod tym względem, panuje w jego książce głuche milczenie. Przecież prof. Treitschke, jako uczony polityk i jako historyk powinien był wiedzieć dokładnie, że państwa, a nawet drobne państewka uzyskiwały albo odzyskiwały byt polityczny w XIX w., jedynie kosztem niesłychanych poświęceń życia i mienia ludzkiego. Tymczasem po co i na co ma być utoczoną krew z serca europejskich ludów, kiedy nauka polityki Treitschkego udowadnia, że państwo dawne polskie stało, a przyszłe będzie stało w sprzeczności z pragnieniami i dążeniami świata ucywilizowanego.

Nietylko owa zasadnicza sprzeczność tkwi w nauce Treitschkego, ale w dodatku jego pomysł, rozważany sam w sobie, jest chorobliwą mrzonką, ideologicznym kaprysem, niemożliwym do urze-

czywistnienia. Jeżeli Księstwo Warszawskie, utworzone z dzielnic gniazdowych polskich, przy pierwszym podmuchu niefortunnych okoliczności, znikło z powierzchni ziemi, to jakąż przyszłość można przepowiadać państwu, nie mającemu żadnych historycznych tradycyj. W wypadku, urojonym przez prof. Treitschkego, niema przedewszystkiem potęg, któreby pragnęły, a następnie zdołały zwyciężyć Rosyę, a następnie samemi pragnieniami, choćby one były najgorętszemi, nie zwycięża się pierwszorzędnego mocarstwa. Zresztą gdybyśmy nawet dali się ogarnąć halucynacyjnym złudzeniom profesora Treitschkego i widzieli się w posiadaniu czarnomorskiego państwa, to co za przyszłość, co za trwałość mogłyby nam rokować to nowe różnoplemienne, różnonarodowościowe i różnowyznaniowe gniazdo, będące nieustającą prowokacyą i zwiastunem zagłady dla Rosyi. Najnowsze studya francuskich, rosyjskich i polskich historyków (Askenazy), zgadzają się na jeden niezbity pewnik, że nie tyle hiszpańskie wojny, ile utworzenie Księstwa Warszawskiego złamało potęgę wojenną Napoleona, sprowadzając katastrofę w 1812 roku. Uczony polityk, za jakiego pragnął uchodzić prof. Treitschke, powinien przedewszystkiem wskrzeszając w abstrakcyi państwo Polskie, odpowiedzieć gruntownie na dwa pytania: 1) czy istnieją macarstwa, któreby były w stanie z potężnego organizmu Rosyi, wyszarpać dla nas państwo Polskie, 2) następnie, czy podobna budowla mogłaby przetrzymać choćby jednodniową egzystencyę? Na te pytania jednak polityka prof. Treitschkego odpowiedzi nie daje; występuje ona jedynie z czarnoksiężniczemi produkcyami, w których panuje zagadkowość i tajemniczość.

Co jednak mogło skłonić prof. Treitschkego do takiej nieoczekiwanej dla nas łaskawości? Wprawdzie ma on żal do Rosyi, za wypieranie żywiołów niemieckich z prowincyi Nadbałtyckich, ale mściwości swej za lekceważenie współbratymców, nie posunąłby prawdopodobnie aż tak daleko. Inny powód, ułatwiający zadanie i cele rządowi pruskiemu musi tkwić w jego greckim darze i mimowoli nie szukany zbytecznie rzuca się on w oczy obdarowanym. Zniemczenie Poznańskiego może być w zupełności osiągnięte tylko wtedy, kiedy inne dzielnice polskie nie będą w możności zasilać Poznańskiego narodową siłą i pomocą. Państwo Polskie, wskrzeszone

przez Treitschkego, ożywiłoby serce w pruskiej Wielkopolsce i stanowiłoby dla jej ludności nieprzepartą siłę przyciągania. O tem prof. Treitschke wiedział dobrze, a życzyć sobie podobnego owocu nie mógł zupełnie. Musiał więc on mieć inne wyrachowania skryte, które zadawały kłam rachunkom jawnym i widocznym. Owe tajemnicze obliczenia są łatwe do odcyfrowania. Profesor Treitschke wiedział o tem bardzo dobrze, że jego pomysł jest najzwyczajniejszem oszustwem politycznem, ale biorąc nas za niepoprawnych politycznych idyotów, żywił nadzieję, że się złapiemy na tę smutną przynętę, że wszystko porzucimy chętnie, jako bagatelkę, byle tylko cieszyć się w przyszłości państwem, przynajmniej o jednem morzu. Nietylko, że tym sposobem zajmując się sprawą czarnomorską, pomożemy do zniemczenia Poznańskiego, ale wykopiemy własnemi rękami grób daleko obszerniejszy dla naszej narodowości. Prof. Treitschke skazał bowiem na śmierć naszą narodowość w Poznańskiem za to, że Polacy zdradzili Prusy. W nagrodę jednak jeżeli łatwo i pokornie przejmą się duchem prusko-niemieckim, obiecuje nas uczynić zdrajcami Rosyi, aby i to mocarstwo naśladując hasła pruskie, wyrzekło pseudo-chrześcijańską maksymę „ausrotten“.

Wpajanie w Polaków pragnień i dążeń, podkopujących istnienie mocarstwa rosyjskiego, jest jako groźba, dla rządu i narodu rosyjskiego wprost śmieszną. Cesarstwo rosyjskie ma pewność niewzruszoną i może ją mieć w przyszłości, że ani dynastya Hohenzollernów, związana blizkimi węzłami rodzinnymi z monarchami Rosyi, ani rząd, parlament, wreszcie naród cały niemiecki nie poświęci ani jednego feniga lub żołnierza dla wstrętnej sprawy Polaków, którąby wykopała przepaść między Rosyą a Niemcami. Dziecinny projekt Treitschkego obliczony jest w rzeczywistości na to, aby się sposobem fryderycyańskim zasłużyć Rosyi i jednocześnie zapobiedz wszelkiemu zbliżeniu się Polaków do Rosyi, oraz wytworzeniu się wśród nich wszelkiego poczucia lojalności i legalności.

Stworzenie zdrajców w społeczeństwie polskiem pod berłem rosyjskiem uwieńczyłoby też ostatecznie pomysły tajne profesora Treitschkego. Rząd pruski bowiem, wydając ich lub denuncyując zdradzonym w danej chwili, jak to uczynił z Węgrami w r. 1866, rościłby sobie prawo do wdzięczności rosyjskiej, wykazując swe

wyborne i umiejętne usługi sąsiedzkie. Owo czarnomorskie państwo, jako zaszczepiony nam jad trujący, pomogłoby znakomicie nietylko do zniemczenia Poznańskiego, ale i do bezużytecznego zmarnowania sił narodowych w Polakach, po za Prusami żyjących.

Namyślałem się długo nad tem, czy wystąpić przeciwko wskrzeszeniu państwa Polskiego, podjętego w dziedzinie abstrakcyi przez prof. Treitschkego. Dawne wspomnienia, ukazujące mi go prawie przed trzydziestu laty w Heidelbergu, jak wbijał w nadmierną dumę uniwersytecką młodzież niemiecką, a nadewszystko ten wzgląd, że zstąpił już do mogiły i nie ma możności ciśnięcia mu w oczy polemicznej rękawicy, wpływały na zwłokę i na moje ociąganie się. Byłbym też niewątpliwie nie podnosił przeciwko prof. Treitschkemu żadnych zarzutów, choć poprzednie jego prace obszerne ku temu dawały pole; gdyby nie wystąpił z obrębu, który mu zakreśliły dawne jego hasła „germanisiren — ausrotten“. Profesor Treitschke pozazdrościł jednak laurów, zarówno Fryderykowi II, jak i księciu Bismarckowi, którzy marzyli jedynie o zniemczeniu pruskich Polaków. Zapragnął on wykopać nam większy grób, szczepiąc Judaszowy zarazek, a przed ostateczną zagładą chciał nas ujrzeć pod pręgierzem ogólnej pogardy i śmieszności. Polityka Treitschkego przepełnia też wszelką miarę fryderycyańskiej obłudy i przewrotności. Pozostanie ona książką, wykładającą politykę, nie chrześcijańską, ale prostytucyjną, czyli sprowadzającą zwyrodnienie i upodlenie chrześcijańskiej etyki.

2.

PRUSKA WAGNERYADA [1]).

Franz Wagner: „Der Polenring“ 1899 r. — Georg Wagner: „Der Polenkoller“ 1899 r.

Nieustająca wojna publicystyki i nauki pruskiej z narodowością naszą, niedająca za przykładem wyznawców Koranu ani chwili wytchnienia czy spokoju swemu przeciwnikowi, datuje nie od dzisiejszej chwili. Pierwszy promień owej zaciętej, a z każdą chwilą wzmagającej się walki błysnął po pogromie jenajskim, kiedy prowincye wielkopolskie oderwanemi zostały od Prus i utworzyły Księstwo Warszawskie, wbijające się klinem w posiadłości Hohenzollernów. Historycy i publicyści pruscy nie mogli się pogodzić z myślą, ażeby lewy brzeg Wisły miał być bezpowrotnie straconym dla ich Królestwa, zagrożeni i zastraszeni na razie spuścili oni znacznie z tonu wyższości i wyniosłości, ale w głębi serca zachowali myśl odwetu, przyrzekając sobie w skrytości, że w sprzyjającej godzinie i piędzi ziemi nie wypuszczą z dawniejszej zdobyczy.

Ciekawemi są owe pierwsze próbki publicystycznej wojny podjazdowej, z jakiemi Prusy przeciwko nam wystąpiły w r. 1811. Chodziło wówczas o wycofanie funduszów wypożyczonych Wielkopolsce z kasy wdów i sierot na melioracye, bądź też na kolonizacye. Zadania owego podjął się dawny urzędnik pruski w Wielkopolsce, Kleewitz, a broszura jego, wydrukowana w Berlinie p. t. „An die polnische Nation — Ueber die preussische Verwaltung in den ehemaligen Süd- und Neu-Ost Preussen“, budzi po dziś dzień jeszcze niezwykły interes. Pruski urzędniczyna rozpoczął od wyrażenia głębokiego współczucia, jakie odczuwał dla naszej niedoli i zarazem od podziwu dla przywiązania, jakieśmy okazali dla naszej narodowości, a przedewszystkiem dla naszej mowy. Zręcznie stara się nam Kleewitz wy-

[1]) Praca niniejsza wydrukowaną została w „Słowie“, w sierpniu, 1900 r.

tłómaczyć, że rządy pruskie nigdy nie żywiły względem nas zamiarów wynaradawiających, mając jedynie dobrobyt i rozwój pomyślności ekonomicznej na celu. W końcu jednak broszury zdradza się Kleewitz z tajonem dążeniem i pragnieniem swojem. Dowiadujemy się nareszcie, dlaczego nie szczędzono nam wyrozumiałości, ani nawet pochlebstw. Oto Kleewitz oświadcza nam ni mniej ni więcej tylko: „Ein Staat wie der Ihrige, in welchem der Nationalgeist so lebendig erwacht ist, dessen fähige, feurige Nation in sich selbst die Mittel seines Wohlstandes findet, bedarf nicht des Eigenthums der Einzelnen, die nichts gegen sie verschuldeten“.

Sygnałem do zmiany przyjaznego i wyrozumiałego tonu na usposobienie nieubłaganej nienawiści i dążenie do doszczętnej zagłady dała broszura generała Grolmana p. t. „Des Generals von Grolman Bemerkungen ueber das Grossherzogthum Posen“. (Glogau, 1848). Napisana ona została już w r. 1831 dla użytku sfer rządowych, które żywiły dla generała, wsławionego w wojnach przeciw Napoleonowi I, wielkie uznanie i szacunek. Grolman nie mógł darować ks. Hardenbergowi nawet tego, że się zgodził na zatrzymanie nazwy Księstwa Poznańskiego; zdaniem jego trzeba było poznańskie rozdzielić między sąsiednie prowincye, szlachtę polską skupić i nie zostawić w tych stronach śladu polskości i przywiązania do przeszłości. Broszura Grolmana była prawdopodobnie mało rozpowszechnioną, a jeszcze mniej znaną. Przynajmniej Bismarck na jednym z sejmów pruskich, w celu ostatecznego wykazania, że Polacy zawsze należeli i należeć będą do nieprzejednanych wrogów państwa pruskiego, wyciągnął broszurę Grolmana w odpisie z archiwów pruskich, nie wiedząc nic o tem, że w r. 1848 została w Głogowie wydrukowaną.

W każdym razie jeszcze po r. 1848 zjawiały się w pruskiej literaturze poważne i przychylne dla nas głosy, i to głosy specyalnych wojskowych. Tak np. w r. 1854 wydrukowano w Lipsku dzieło p. t. „Militärische Briefe eines Lebenden an seinen Freund Clausewitz im Olymp“. Listy owe, pisane wkrótce po r. 1840, oświadczają się nietylko dla nas z wysokiem uznaniem i sympatyą, ale autor, widocznie wysoki oficer pruski, utrzymuje rzeczy nie do uwierzenia i nie do usłyszenia dla hakatysty-Prusaka, a mianowicie: „Wir Deutschen haben die Verpflichtung und zwar die ehrenvolle Verpflich-

tung, dieses heldenmüthige Volk (t. j. Polaków) in seiner Nationalität auf alle mögliche Art und Weise zu erhalten".

Im większe powodzenie wieńczyło dyplomacyę i oręż pruski, tem większa bezwzględność i tem większy ucisk stawał się udziałem Polaków. Zapomniano zupełnie czem było Poznańskie, jaką przeszłość miała powyższa kraina i jakie zobowiązanie przejęli względem niej Hohenzollerni na kongresie wiedeńskim a wspominano jedynie o marchiach kresowych wschodnich (Ostmarcken), gdzie wszystko powinno być rdzennie pruskiem t. j. niemieckiem i luterskiem, bo wszelki pierwiastek polski i katolicki podawał w podejrzenie ortodoksyę pruską. Już też w 1864 r. pisał Wuttke w swem „Städtebuch des Landes Posen": „Ein Jahrtausend lang ringt Deutschland um Wiederbesitz seines Ostens, den das Slavenvolk ueberschwemmt und zertreten hat. Für Posen gilt dasselbe Recht, welches Schlesien und Sachsen, die Makken, Pommern und Meklenburg an Deutschland bindet".

Po roku 1870 Bismarck wznawiał niejednokrotnie tradycye grolmanowskie w celu steroryzowania Poznańskiego i wszczepienia ludności polskiej przekonania, że politycznie jest najzupełniej zmiażdżoną i że nie pozostaje jej nic innego, jak szukać schroniska w todze lojalnego obywatela pruskiego.

Uczeni i publicyści niemieccy, którzy obecnie chcieli wysługiwać się potężnym Prusom, poszli jednak w swej uniżoności dalej. Jedność i trwałość państwowej budowy pojmowali oni nieco inaczej. Marchie kresowe a przedewszystkiem marchia wschodnia powinna być monolitem germanizmu, nienaruszonym a tembardziej nienadwyrężonym żadnym trującym czy rozkładowym pierwiastkiem. Cóż więc zrobić z ludnością polską w tem niewygodnem położeniu? Można bowiem zatrzeć nazwę Poznańskiego, można rozdzielić ową niefortunną prowincyę między sąsiednie, można usunąć język barbarzyński z urzędów, ze szkół i próbować czy się nie uda go wyrzucić z Kościoła, ale zawsze pozostanie ta niewygodna ludność, której ani z przeszłością, ani z wiarą i językiem rozdzielić niepodobna, pomimo chęci, a co więcej, pomimo środków wyjątkowych, nie czerpanych bynajmniej z ducha cywilizacyi chrześcijańskiej.

Około r. 1830, t. j. w chwili kiedy Grolman spisywał swoje spostrzeżenia, w sferach rządowych panowało przekonanie, że wy-

kupiwszy garść szlachty a rozpędziwszy kler dawny, sprawę narodowości polskiej pogrzebie się na zawsze. Uwłaszczenie włościan przeprowadzone umiejętnie w epoce 1823—1827 zdawało się potwierdzać powyższe przypuszczenie. Ale po r. 1870 trzeba było rozstać się z temi wszystkiemi różowemi złudzeniami. Wprawdzie Bismarck w chwili rozgoryczenia słał w mowach parlamentarnych szlachtę polską do Monaco, aby tam resztki fortuny przegrywając, wykopała tem samem grób swej narodowości w Poznańskiem, w każdym razie ochłonąwszy z chwilowego rozdrażnienia, kanclerz niemiecki musiał przyznać, że reminiscencye grolmanowskie nie wystarczają zupełnie i że poza garścią owej pogardzonej szlachty polskiej wyrósł poważny w swej wytrwałej pracy stan mieszczański i włościański, który ludności niemieckiej robi niebezpieczną konkurencyę na rozległem polu ekonomicznej działalności.

Na pytanie: co począć z owymi upartymi a niewygodnymi? — odpowiedziała niezgodnie wprawdzie co do środków, ale zgodnie w duchu, nauka polityki i filozofia niemiecka. Robert v. Mohl zmienił pod koniec swego zaszczytnego żywota humanitarne zasady i poczucie sprawiedliwości, które przez tyle lat szczepił w sercach młodzieży niemieckiej. Państwo Niemieckie stało się owem palącem słońcem, które oślepiło jego wzrok starczy i spaliło, obracając w popiół wszystkie jego dawniejsze, szlachetniejsze porywy oraz instynkta. Przyznając się też pokornie do win dawniejszych, dał otuchę i bodźca rządowi pruskiemu w tem stronnem orzeczeniu: „Scheuen wir nicht vor diesem Wort: germanisiren“, które miało ów rząd pozbawić jego dotychczasowej dziewiczej trwożliwości. Filozof Hartman posunął się jeszcze dalej w swej apodyktycznej wyniosłości, pomiatającej wszelkimi chrześcijańskimi i politycznymi względami. Hasło jego „Ausrotten“ zastąpiło starożytne „Delenda est Carthago“, pobudzając rząd pruski do jeszcze większego rozbratu z jego tradycyjną metodą półśrodków. Można sobie wyobrazić, jaka era rozpasania się nastąpiła w prusko-niemieckiej publicystyce, gdy filozofia i polityka wystąpiły z podobnemi teoryami, które w dodatku stado urzędowych historyków przykrawało do chwilowych potrzeb, dowodząc rzeczy niemożliwych i niebywałych, czyli stawiając fałsz i kłamstwo przy każdej sposobności, zamiast prawdy, jako postulat przewodni i jako patry-

otyczny pruski obowiązek. Od r. 1870 prąd ten publicystyczny potęgowany był prawodawstwem pruskiem, administracyą państwową i podszczuwaniem dymisyonowanego Bismarcka, wylewającego na ludność polską swą bezsilną wściekłość. Komisya kolonizacyjna i stowarzyszenie, dążące do wzmocnienia żywiołu niemieckiego na kresach wschodnich, wszystko to przekonywało, czego pragnie rząd dopiąć i czego domaga się od społeczeństwa pruskiego, a społeczeństwo to zarazem dawało wymowną odpowiedź, jak pojmuje i ocenia położenie swoje i patryotyczne obowiązki, oraz poświęcenie, jakie z nich wypływają.

Publicystyka też niższego rodzaju pozwalała sobie prawie codziennie tępić nas, jak wstrętne robactwo, a co więcej przemyśliwała z godną uznania wytrwałością nad środkami prędszego i doszczętniejszego naszego wytępienia. Publicyści pruscy zrozumieli dobrze, że filozof może wyrzec, bez zastanowienia się i liczenia z okolicznościami politycznemi, hasło etyczne Hunnów „ausrotten“, ale wprowadzenie w czyn i życie owego hasła zniszczenia, musi się przystroić w różne formułki, dowodzące prawa wyższej cywilizacyi i kultury, do tępienia niższej i szczątkowej, bo przeżytej zupełnie. Następowały też nieskończone wykazywania, że praca polska w każdej dziedzinie nic nie jest warta i że cywilizacya nasza i kultura mogą być uważane jedynie za objawy przeżytków; następnie zaś, że gdzie tylko się owa praca pojawi, jest ona groźną nietylko dla państwa, ale i dla społeczeństwa pruskiego i dlatego winna być wszelkimi środkami państwowymi, zarówno jak i społecznymi, stłumiona. Cokolwiek Polak w Poznańskiem czynił, lub myślał, było czynione i myślane w imieniu propagandy rewolucyjnej, grożącej nietylko Królestwu Pruskiemu, ale i Cesarstwu Niemieckiemu zagładą. O dowody nie troszczono się zupełnie; one bowiem płynęły pełnym, naturalnym strumieniem, który się nazywa insynuacyą. Doszło więc do tego, że sprowadzenie robotnika tańszego z Królestwa Polskiego było propagandą w chęci uszkodzenia dobrobytu niemieckiego i to propagandą tem złośliwszą, że tani ów, cierpliwy, a wytrwały robotnik pozwalał sobie odbierać zarobek Niemcom nietylko w Poznańskiem, ale i w Westfalii.

W epoce owego rozpasania, gdzie Polakom wyznaczyła publi-

cystyka niemiecka wraz z uczonymi przytułkowe miejsce w historyi naturalnej, ucichły głosy sympatyczne, ośmielające się nas bronić! Po Mohlu szedł Momssen, a po Momssenie Treitschke ofiarował nam państwo gdzieś na skałach nadbrzeżnych morza Czarnego, aby rząd pruski mógł nas zadenuncyować Rosyi i dowieść, że jesteśmy wiekuistymi i niepoprawnymi zdrajcami. Jeden Delbrück w roku 1894 w swych studyach p. t. „Die Polenfrage“ ośmielił się przywrócić nam prawa ludzkie i nie odmawiać nam sprawiedliwości. Jakkolwiek stanowisko, jakie Delbrück wyznaczał pierwiastkom polskim w państwie pruskiem, było bardzo skromne, w każdym razie przynajmniej było ono ludzkie, i dlatego też nie zostało uwzględnione ani przez rząd pruski, ani otoczone przez społeczeństwo pruskie uznaniem.

W r. 1899, t. j. w chwili, gdy publicystyka pruska wypowiadała najgoręcej chęci rządu i społeczeństwa pruskiego, pozbycia się nas z W. Księstwa Poznańskiego, ukazały się dwie broszury, napisane przez dwóch Wagnerów, obydwóch Prusaków rodem. W jednej z nich, zatytułowanej „Der Polenring“ czyli pierścień polski, hakatysta pruski występuje z oskarżeniem ryczałtowem ludności polskiej i z dowodami, czerpanymi z gazet polskich. Drugi Wagner jednakże w broszurze zatytułowanej „Der Polenkoller“, czyli bzik lub kolka polska, wystąpił ze względną obroną Polaków, dowodząc, że zacietrzewienie się pruskiej polityki i społeczeństwa, przeszło w wielu wypadkach dozwoloną miarę. Mniemam, że obie powyższe broszury zasługują na naszą ciekawość i pilną uwagę. Prasa nasza zajmowała się cokolwiek broszurą nam przychylną, choć nie w tym stopniu, jakby należało, broszurę zaś oskarżającą nas, pominęła prawie zupełnie. Pozwolę sobie streścić obie, rozpoczynając od wrogiej nam, aby panu hakatyście wyznaczyć honorowe miejsce i nie odpłacać mu lekceważeniem.

Na początku swej broszury stwierdza hakatysta-Wagner ten objaw znamienny w ostatnich dziesiątkach lat w całej Europie, że narodowości dążyły wogóle do wyswobodzenia się i do uorganizowania w państwa lub państewka. Nic więc dziwnego, że i Polaków, wśród których żyło zawsze silne poczucie narodowe, ogarnął prąd powyższy. Dość, że w chwili obecnej cała ludność polska, zwarta, zorganizowaną masą i z nienawiścią w sercu, stoi wobec niemieckiej

ludności w W. Księstwie Poznańskiem. Organizacya polskiej ludności dokonaną została przeważnie za pośrednictwem stowarzyszeń polskich. Stowarzyszeń owych istnieją całe seciny i ogarniają one wszystkie stosunki towarzyskiego, społecznego życia. Istnieją np. bractwa religijne i kościelne, obok nich funkcyonują stowarzyszenia rolnicze, banki parcelacyjne, stowarzyszenia budowlane, pożyczkowe, przemysłowe, pomocy, ludowe, śpiewacze i gimnastyczne. Niema tylko ani jednego stowarzyszenia wśród Polaków, któreby dążyło do ogólnego dobra ojczyzny, wspólnej mieszkańcom wschodniej marchii. Polskie stowarzyszenia służą nietylko celom, wyrażonym w statucie; przedewszystkiem zadaniem ich ma być rozwijanie języka polskiego, w którym są prowadzone ich książki handlowe. Każde z nich powinno być też przejęte poczuciem tego obowiązku, iż występować zawsze winno w imieniu swego narodu. Z polskich stowarzyszeń i związków zasługuje przedewszystkiem na uwagę związek czy stowarzyszenie Marcinkowskiego. Stowarzyszenie powyższe, założone przed 50 laty, powzięło zadanie dostarczania technicznego, czy naukowego wykształcenia pracującej młodzieży. Dzięki temu stowarzyszeniu, od dziesiątków lat setki Polaków mogły zostać: inżynierami, technikami, adwokatami, lekarzami i aptekarzami. Stowarzyszenie Marcinkowskiego rozdziela stypendya i trzyma stypendystów w zawisłości przez całe życie. Muszą oni, chcąc nie chcąc, wysługiwać się polskim interesom. Ciekawem jest również stowarzyszenie polskie gimnastyczne, Sokołami zwane. Ubiór Sokołów przypomina dawny strój piechoty powstańczej; ideą Sokołów jest uważanie się za członków jednej, wielkiej a niepodzielnej rodziny polskiej.

Następstwem zorganizowania polskiej ludności w stowarzyszenia i związki, jest stanowcze odosobnienie się jej od ludności niemieckiej. Polacy nie chcą zasadniczo nic wspólnego mieć z Niemcami i nietylko wzbraniają swoim wstępowania do związków niemieckich, ale nawet tym, którzy się tam przypadkiem dostali, rozkazują bezzwłocznie się wypisać. Nie tylko katolickie niemieckie związki nie cieszą się zaufaniem Polaków, ale nawet stowarzyszenia polsko niemieckie są stanowczo unikane przez Polaków, a to dlatego, że w nich język polski cieszy się za małemi prawami, a sprawy polskie bywają z obrad zupełnie wyłączane. To samo dzieje się ze związkami wojskowymi.

Polacy, nie zwracając uwagi na braterstwo wojenne, upominają swoich, aby od związków stronili, uczą się bowiem w takiem towarzystwie jedynie pijaństwa i pieśni niemieckich. Nawet nie wolno cieszyć się Polakom razem z Niemcami. Podczas uroczystości Sedanu nie pozwolono dzieciom polskim cieszyć się razem z niemieckiemi. Prócz tego ostrzeżono polskich prawników, aby w zjeździe niemieckich prawników w Poznaniu w r. 1898 nie brali udziału. Polkom nie dozwolono brać udziału w wieczornych pracach, ku wspomożeniu niedołężnych nauczycielek, a dzieci polskich nie chciano posyłać do spowiedzi niemieckiej. Jednem słowem, w pojęciu polskiem jest grzechem modlitwa po niemiecku, a ksiądz i nauczyciel katolicki niemiecki są najzaciętszymi nieprzyjaciółmi polskości.

Odosobnienie Polaków od Niemców ogarnia również i całą atmosferę ekonomiczną. Polacy od lat wielu nauczają swoich, że ich najświętszym obowiązkiem jest kupować wszystko od swoich kupców, pracę zamawiać u swoich rękodzielników, wspierać tylko polskie hotele, powierzać sprawy jedynie polskim adwokatom, jednem słowem, ciężko zapracowany grosz oddawać tylko swoim. Nawet na urzędowych stanowiskach, w dozorach kościelnych i szkolnych starają się Polacy, aby wszelkie budowle lub roboty melioracyjne oddawane były ich rodakom. Gdzie brak jest polskich kupców, rękodzielników, handlarzy, tam bywają skrzętnie sprowadzani, a rozumie się, że każdy z nich bierze za oficyalistę i służącego jedynie Polaka. W r. 1896 wyszła w Berlinie u Jaworskiego księga adresowa handlu polskiego. Naturalnie, że książka ta została wydrukowana po polsku, ale prócz tego podano w niej wszystkie dawne polskie nazwy miast i miejscowości. Wiele z tych dawnych nazw poszłoby w zapomnienie, księga Jaworskiego utrwaliła je w pamięci, stawiając obok niemieckich.

Ludność polska posługuje się przedewszystkiem polską mową (!) i stara się wszelkimi środkami o jej rozpowszechnienie. Polacy wiedzą o tem dobrze, że kto wie coś po polsku, ten mimowoli zaczyna myśleć po polsku i że narodowość idzie w ślad za mową. Każdy z nich, wchodząc do jakiegokolwiek sklepu lub magazynu, mówi rozmyślnie po polsku, aby skłonić właściciela do przyjęcia pomocnika polskiego. W ten sposób język polski dostaje się do domów niemieckich, w których się starają bardziej o polskich, niż niemie-

ckich pomocników. W dodatku Polacy pisują do kupców niemieckich polskie listy i wymagają od tychże, aby im przysyłali rachunki w języku polskim. Przed władzami Polacy bardzo często zapierają się znajomości języka niemieckiego, utrzymując, iż władają tylko językiem ojczystym. Przyciśnięci jednak i do tłómaczenia zmuszeni, przyznawali się niektórzy, że to proboszczowie zabraniali im mówić po niemiecku. Gdzie tylko na to okoliczności pozwalają, a mianowicie siła Polaków, tam zamieszczają oni szyldy w dwóch językach, zmuszając tem Niemców do naśladownictwa. Natrętnem domaganiem się doprowadzili oni do tego, że kolej konna w Poznaniu i skrzynki do listów zamieściły napisy w dwóch językach.

Istotną i rzetelną podporę ma ludność polska w swem duchowieństwie. Zdarzają się w marchiach wschodnich księża katoliccy, którzy są dobrymi Niemcami, ale ci stanowią rzadki wyjątek. Przeważnie bowiem kler katolicki jest polskiego usposobienia i normalnie te dwa pojęcia: katolicki i polski identyfikują się zupełnie. Duchowieństwo katolickie odznacza się też ogólnie uprzedzeniem nienawistnem dla niemczyzny. Przy wyborach można być pewnym, że księża będą agitowali na korzyść kandydatów polskich, i Polacy na wskróś są przeświadczeni o tem, że stan duchowny ożywiony jest tym samym duchem, co oni. Podpora, jaką duchowieństwo katolickie daje sprawie narodowej, jest tem donioślejsza, że działa za pośrednictwem kazalnicy i konfesyonału. Księża nadają sprawom polskim charakter świętości, wiążący się bezpośrednio z rzeczami religijnemi.

Prasa polska, korzystając z wolności prasy pruskiej, nieci zapał płomienny wśród ludności polskiej. W każdem większem mieście i w wielu mniejszych mieścinach pojawił się dziennik polski. Jedne z tych pisemek zachowały ton spokojny i wyrozumiały, inne okazały się więcej wybuchowemi, wszystkie jednak zgodnemi były w swej nienawiści do wszystkiego, co niemieckie i wszystkie dążyły wiernie do rozwoju polonizmu. Wschodnia marchia bywa nazywana przez prasę polską ziemią polską, ziemią Piastów, a Niemcy, którzy tam osiedli przed wiekami, zawsze nazywani są obcymi, przybyszami, wiecznymi wrogami. Niemieckie uroczystości narodowe i narodowe pieśni nazywa prasa polska prowokacyą ludności miejscowej, a nazwę Prusak odrzucają Polacy, jako ubliżającą ich godności. Polacy

unikają Prusaków, jako rodu niższego pokroju, który czyni wrażenie moru i zarazy. Niejednokrotnie prokuratorowie musieli występować przeciwko redaktorom gazet polskich, a sądy skazywały ich na kary pieniężne. Zawsze jednak w tym ostatnim wypadku znajdowały się fundusze, choćby pismo było najuboższe, co wskazywało, że ludność gotowa była zawsze do ofiar w obronie swej prasy.

Wszystko, co było dotychczas wykazane, budzi podejrzenie, że cele, do których dąży ludność polska, nie dadzą się pogodzić z dobrem i szczęściem niemieckiej ojczyzny. Wprawdzie Polacy gotowi są zawsze do zapewnień, iż są spokojnymi i dobrodusznymi obywatelami, którzy wykonywują wiernie swe prawno-państwowe obowiązki i chcą zachować jedynie swą narodowość i mowę. Są to jednak tylko czcze słowa, którym wierzyć nie należy, albowiem im przeczą w zupełności czyny. Przecież narodowy komitet polski w r. 1848 radził swym ziomkom okazywać Niemcom przyjazne usposobienie, a potajemnie zbroić się i być gotowym do walki. Niemcy powinni o tem pamiętać, że zaledwie pięćdziesiąt lat temu Polacy walczyli przeciwko nim z bronią w ręku. Sprawozdanie też generała Colomb dowodzi, że gotowi byli nietylko zrzucić panowanie Hohenzollernów, ale i rozniecić ogień wojny domowej. Powstania polskie święcone są dotąd przez ludność polską jako uroczystości narodowe i niewątpliwie wzmocnienie państwa niemieckiego nie jest celem działalności Polaków. Oddani są oni bez przerwy dawnym swoim życzeniom i pragnieniom zorganizowania nowego państwa polskiego i żywią to przekonanie, że Pan Bóg ich wybawi. Znajdują się naturalnie i między Polakami ludzie trzeźwi i rozważni, którzy powyższe życzenia uważają za niemożliwe do urzeczywistnienia, ale owe rozsądne jednostki giną w masie opętanej tradycyjnemi utopiami. Wskrzeszenie jednak państwa polskiego musi w nieprzepartej konsekwencyi pociągnąć za sobą oderwanie od Niemiec marchii wschodniej, czyli inaczej mówiąc, na końcu drogi, po której biegną wszelkie sprawy i czyny ludności polskiej, spotykamy się oko w oko ze zdradą stanu.

Polacy powołują się wprawdzie na to, że wypełniają lojalnie i wiernie wszystkie obowiązki prawno-państwowe, że płacą podatki i pełnią służbę wojskową, a więcej od nich wymagać nie należy

i nie wypada. Jest to jednak, zdaniem Wagnera-hakatysty, pogląd zupełnie mylny. Każdy obywatel nietylko winien być wiernym swemu państwu, ale ma obowiązek czynnie przykładać się do powiększenia jego dobrobytu, popierając dążenia, wzmacniające jego dobro i siłę. Poglądy polskie na obowiązki prawno-państwowe wstrząsają zupełnie podstawami państwa. Żadne państwo bowiem nie może istnieć, jeżeli nie gości w sercach swych poddanych. Tymczasem część ludności w tem państwie posiada odrębną ojczyznę i stanowi pierwiastek zupełnie odmienny w organizmie państwowym. Wpływ wrogi i siła owego pierwiastku musi być więc zdruzgotana, jeżeli państwo ma być ochronione od wielkiego niebezpieczeństwa.

Tymczasem dążności polskiej ludności spotykały w państwie niemieckiem sprzyjające okoliczności. Przedewszystkiem w parlamencie niemieckim starano się o głosy partyi polskiej, zdobywając je sobie pobłażliwością i duchem tolerancyjnym, jak to miało miejsce za urzędowania kanclerza Capriviego. Ale nietylko stronnictwu rządowemu można uczynić ten zarzut. Opozycya starała się również pozyskać głosy Polaków i w tym celu zwalczała środki rządowe, użyte przeciwko polskiej propagandzie. W takich okolicznościach Polacy odzyskiwali zachwianą już w pewnym stopniu odwagę i czerpali siłę do nowej walki. Prócz tego sprzyjają Polakom pewne szczególne właściwości charakteru niemieckiego. Niemcy nie mając dotychczas należytego pojęcia o wielkości swojej ojczyzny, zanadto zwykli mieć względów dla obcych narodów. Po dziś dzień istnieje moc niewiast niemieckich, które znajdują w tem upodobanie, aby swe nazwiska, kończące się na „ski“ pisać polskim zwyczajem: „ska“. Wogóle wszyscy Niemcy w drobnostkach życiowych nie wyrobili w sobie poczucia honoru i czci narodowej. Słabostki owe stały się jednak w walce z polonizmem złowróżnemi, albowiem każdy z Polaków zadaje sobie najpierw pytanie: czy to, co czyni, szkodzi, lub przynosi jego narodowości pożytek i najdrobniejsze sprawy przejęte są na wskróś myślą o narodowym pożytku.

Szczególniej dogodnym jest dla Polaków brak robotnika rolnego, jaki się odczuwać daje we wschodnich prowincyach państwa pruskiego. Wprawdzie posiadacze ziemscy w owych prowincyach są zdania, że robotnik polski, napływający z Królestwa Polskiego, jest

dla rolnictwa w obecnej chwili niezbędny, ale właśnie taki pogląd na rzeczy przekonywa, że i oni nie oceniają należycie całego niebezpieczeństwa, jakie płynie z uwzględnienia wyłącznie ekonomicznych potrzeb. Chociaż bowiem robotnik polski przybywa tylko do wschodniej marchii na czas ograniczony i otoczony jest rozmaitemi ograniczeniami, i jakkolwiek większa część tych robotników wraca w tymże samym roku do swych stron rodzinnych, to niewątpliwie wzmacniają oni niższe warstwy społeczne żywiołu polskiego. Pobyt czasowy, ale peryodycznie się powtarzający, jest już niezawodnem umocnieniem polskości, a tymczasem izby rolnicze w Prusach Wschodnich oświadczyły się nawet za osiedlaniem robotników z Królestwa w państwie niemieckiem, a przedewszystkiem na kresach wschodnich.

W końcu trzeba przyznać, że Poznańskie należało do stron najbardziej zaniedbanych i upośledzonych w Królestwie Pruskiem. Niemieckiemu urzędnikowi czy koloniście było ckliwo w tych stronach i nie można mu się dziwić, że tęsknił za zachodniemi prowincyami, gdzie był wśród swoich. Tymczasem Polak nietylko, że nie żywił tych pragnień, ale nawet nie myślał wynosić się do Rosyi lub do Galicyi, bo pod opieką pruskich monarchów było mu zupełnie dobrze i bezpiecznie. Wszystkie te okoliczności przyczyniły się do podniesienia polskiego handlu i rozszerzenia polskiej mowy. Skutek, czyli owoce ich dążeń narodowych okazały się niezaprzeczenie wielkimi. Przedewszystkiem sami Polacy podnieśli swój narodowy poziom; jednem słowem spotężnieli. Dawniej w marchii wschodniej znano jedynie polskich duchownych, polskich zadłużonych szlachciców wiejskich, flisaków i oficyalistów. Dziś wzrósł pełny stan średni polski, składający się z rękodzielników, kupców, inżynierów, lekarzy, aptekarzy, adwokatów, których liczba zwiększa się coraz bardziej. Owo niezaprzeczone rozwijanie się społeczne i ekonomiczne ludności polskiej byłoby nawet dodatnim objawem, gdyby tylko tym sposobem nie potęgowały się jednocześnie narodowe dążenia i gdyby przez to ludność niemiecka nie ponosiła dotkliwej szkody. Szkoda zaś i straty kupiectwa niemieckiego stają się z każdą chwilą większemi. W wielu miejscowościach kupiectwo polskie wyparło współzawodnictwo niemieckie i cieszyć się może z odniesionego zwycięstwa. Naturalnie, że okoliczności pomagały Polakom na każdym kroku. W miejsco-

wościach, gdzie się zjawił kupiec polski, cała polska klientela opuszczała natychmiast kupca niemieckiego, zwracając się zaraz z poparciem ku rodakowi.

Tak samo wielkie są postępy Polaków w rozwoju polskiej myśli narodowej. Przed laty 50-ciu jedynie ksiądz i szlachcic brali udział rzeczywisty w pracy narodowej. Chłop, ceniący błogosławione skutki rządów pruskich, był raczej źle, niż dobrze usposobiony dla polskiej propagandy. Dziś rzeczy stoją zupełnie inaczej. Dawne gnębienie i wyzyskiwanie chłopa polskiego poszło w niepamięć. Szlachcic, ksiądz, chłop i świeżo powstały mieszczanin stoją ramię w ramię zjednoczeni w poczuciu pragnień i nienawiści. Co więcej, ruch polski rozszerzył się znacznie. Fale narodowe wystąpiły już z Poznańskiego i zalały nietylko Prusy Zachodnie, ale i Wschodnie, Szląsk, wkroczyły do Pomorza, a nawet w niektórych miejscach Cesarstwa, jak np.: w Berlinie i Westfalii zrobiły sobie znaczną ostoję. Skutkiem też rozlicznych przyczyn utworzyła ludność polska w państwie niemieckiem gospodarczo-ekonomiczny i narodowo-polityczny pierścień, jakiego żadne państwo nie posiada i jaki w żadnem państwie cierpianym być nie może.

Dość długo mieli Niemcy wiele kłopotu ze swojemi stronnictwami i sprawami konstytucyjnemi; następnie zaś wojny i wykończanie budowy Cesarstwa Niemieckiego odwróciły uwagę narodu w inną stronę. Obecnie jednak aspiracye polskie przybrały za wielkie rozmiary i wśród narodu niemieckiego obudziło się żywe poczucie potrzeby obrony żywiołu niemieckiego w marchii kresowej wschodniej. Przykład poszedł z góry, bo od cesarza, który w r. 1894 w mowie, wygłoszonej w Meklenburgu, ostrzegł Polaków, aby się stali dobrymi poddanymi pruskimi, jeżeli chcą liczyć na jego łaskę. W tymże samym czasie zaczęły się pielgrzymki Niemców poznańskich i z Prus Zachodnich do Warcina, do księcia Bismarcka, gdzie ich mąż stanu, w spoczynku się znajdujący, zachęcał do energii i wytrwania, utrzymując, że się znajdują na straży wschodniej, jakby w obozowisku. Pobudzony z tak poważnych stron rząd pruski, zaczął troskliwiej i konsekwentniej opiekować się żywiołem niemieckim, zalecając w r. 1898 stanowi urzędniczemu niemieckiemu, aby w marchiach kresowych uosabiał niemiecką kulturę i niemieckiego ducha. Mini-

steryum państwowe wystąpiło też z inicyatywą w stworzeniu różnych stowarzyszeń ekonomicznych, ułatwiających Niemcom pobyt na kresach i popierających rozwój ich dobrobytu. Wreszcie sama ludność niemiecka na kresach podniosła się duchowo i przyszła do samowiedzy i samopoczucia swego położenia. Wyrazem otrząśnięcia się z dawnej apatyi jest powstanie związku niemieckiego wschodniej marchii w r. 1894, który przedewszystkiem popieranie i wspomaganie żywiołu niemieckiego ma na celu. Polaków wprowadził ten związek w prawdziwe zapamiętanie się; nietylko, że zagrozili oni głównym ich twórcom powieszeniem w ich własnych ogrodach, ale postanowili cały niemiecki przemysł wogóle i każdego z Niemców w osobności bojkotować bez przestanku aż do ostatecznej zagłady.

Prąd jednak, wytworzony przez hakatystów, nie jest wartki i jednolity, jakby w interesie niemczyzny wymagać należało. Jeszcze dotychczas znajduje się zbyt dużo Niemców, którzy mają dla Polaków za dużo sympatyi a zresztą poczciwy niemiecki Michałek, „der deutsche Michel“, dotąd lubi pogrążać się w martwocie i wszelkie poświęcenie pieniędzy i pracy w najważniejszej sprawie pozostawiać rządowi. Sumienie pozwala mu spać snem błogosławionego, narażając na szwank potrzeby i dobrobyt swych współbraci. Niema co wspominać o socyalnej demokracyi, bo ta naturalnie odsunęła się od udziału w narodowej pracy niemieckiej. Przecież kongres socyalny demokratyczny postanowił, że państwo polskie ma być wskrzeszone. Wprawdzie w ostatnich czasach Polacy stali się demokratom socyalnym trochę niewygodnymi, a to dzięki zniżeniu cen, jakie wywołali ich robotnicy. Pogardliwie nazwali socyalni demokraci ową konkurencyą robotniczą polską „Schmutzkonkurrenz“, stając w przeciwieństwie z ową kardynalną dewizą: „Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!“

Niemieckie prądy nie doznają również dostatecznego poparcia ze strony centrum. Zrozumiały jest zupełnie objaw, że katolicy niemieccy sprzyjają Polakom, ponieważ ich łączy wspólność przekonań religijnych. W każdym razie Niemcy-katoliccy powinni pamiętać o tem, że Polacy ponad wszystko stawiają sprawę narodową, podporządkowując jej Kościół i religię. Niemieccy katolicy nie cieszą się bynajmniej zaufaniem i sympatyą Polaków. W Toruniu stowa-

rzyszenie katolików niemieckich jest przedmiotem napaści i nienawiści ze strony Polaków. Mimo to i w innych miejscowościach założono podobne stowarzyszenia, co dowodzi, że w Poznańskiem polonizm nie jest utożsamiony z katolicyzmem i że katolicy niemieccy w tej prowincyi poczuwają się już do odrębności i do swych narodowych obowiązków. Wśród szeregów stronnictwa centrum powstaje często zarzut, że popieranie niemczyzny w marchii wschodniej jest tylko fałszywym płaszczykiem, pod osłoną którego idzie głównie o zlutrzenie prowincyi. Pogląd ten nie jest trafny. Nie ulega wątpliwości, że wielu protestanckich księży znajduje się między propagatorami niemczyzny w Poznańskiem. Są oni. zwykle najwykształceńsi i stanowią niezawodnie inteligencyę miejscową, ale na charakter ich działalności wpływa przedewszystkiem to, że są Niemcami i to niezależnymi od wpływów polskich. Katolickie niemieckie duchowieństwo byłoby niewątpliwie dźwignią niemczyzny na kresach, ale dotychczas opiekuje się ono i popiera raczej interesy polskie, niż niemieckie. Z tej to przyczyny duchownym protestanckim przypadła główna rola w pracy narodowej niemieckiej, która z propagandą religijną niema żadnej wspólności. Niemcy, t. j. otwarcie mówiąc hakatyści, żywią nieustannie nadzieję, że nadejdzie nareszcie ta błoga chwila, w której Niemcy katoliccy zrozumieją, jakie są ich obowiązki względem ojczyzny i że popieranie katolików polskich jest działaniem zupełnie poronionem. Na nieszczęście stronnictwa niemieckie, a zwłaszcza wolnomyślni, zanadto mało znają warunki kresów wschodnich i dlatego powodować się dają oderwanymi teoretycznymi frazesami. Tak np. odzywają się głosy, że wszystkie wyjątkowe prawa przeciwko Polakom są niewłaściwemi, albowiem zasadą podstawową nowożytnego państwa jest równość wobec prawa.

Niewątpliwie w powyższej zasadzie tkwi wielka myśl polityczna, ale i ona musi ulegać i podporządkowywać się wyższej zasadzie, jaką stanowi dobro państwa. W imię owego dobra spotykamy się nieustannie z prawami wyjątkowemi, tak np. każdy pełnoletni mężczyzna upoważniony jest do brania udziału w wyborach do parlamentu, tymczasem udział ten jest wzbroniony wszystkim tym, którzy pozostają w czynnej służbie wojskowej. Powtóre, każdy za obrazę lub lekceważącą krytykę władz rządowych odpowiada przed sądem,

tymczasem członkowie reprezentacyi narodowej są od niej wolni i otoczeni są opieką prawa wyjątkowego. Przykładów podobnych znalazłoby się więcej i wyjątkowość prawa nie jest niczem nadzwyczajnem, ani monstrualnem w dzisiejszym porządku państwowym. Wreszcie dają się słyszeć żądania, aby Polakom okazywać szczególną tolerancyę i uprzejmość. Ci, którzy się tego domagają, zapominają o tem zupełnie, że rząd pruski okazywał Polakom niejednokrotnie uprzejmość i pobłażliwość, nawet niedawno za czasów kanclerza Capriviego miało to miejsce, ale Polacy wszelkie ustępstwa spożytkowali na cele propagandy narodowej i okazywali się uporczywszymi w swych dążeniach. Gdyby Niemcy posunęli swą uprzejmość względem Polaków aż do odbudowania ich upadłego państwa, to i tak nie zdobędą sobie ich przyjaźni. Państwo polskie byłoby tak samo nieprzejednanym wrogiem Niemiec. W końcu dają się słyszeć i takie głosy, że niegodnem jest prześladowanie Polaków ze strony narodu niemieckiego. Bez tego prześladowania narodowość niemiecka, jako silniejsza, wchłonie w siebie polską i załatwi na drodze pokojowej swar odwieczny. Nic błędniejszego jednak, jak powyższe złudzenia. Najlepszym dowodem, że na taki rezultat nigdy liczyć nie można, stanowi garstka Polaków w Westfalii, która i tam odosobniona i otoczona żywiołem niemieckim, przechowuje wszystkie właściwości narodowe i nic nie chce przyjąć od Niemców.

W celu ostatecznego zwalczenia polskich aspiracyj na kresach wschodnich, wysunął się na czoło związek hakatystów, zwany urzędowo „Ostmarkenverein“. Związek ów od samego początku stał się Polakom niewygodnym, a tem samem nienawistnym. Nie szczędzili mu też gniewu i wymyślań; ale związek hakatystów powinien był z góry być na to przygotowany, albowiem i ze strony niemieckiej zapominano niejednokrotnie o jego dążności i przeznaczeniu. Zarzutu, że związek ów jest zbytecznym, bo dla osiągnięcia celów jego rząd najzupełniej wystarcza, nie można uznać za słuszny i właściwy. Rząd nie wszędzie i nie wszystkim, drobnym zwłaszcza potrzebom ludności niemieckiej może zaradzić; wtedy to związek hakatystów występuje ze swoją dobroczynną działalnością, nie mówiąc już o tem, że jego najważniejszem zadaniem jest zwalczanie pierścienia polskiego i rozpowszechnianie wśród Niemców świadomości celów, do których

rząd dąży, a które każdy Niemiec wspierać powinien. Były wprawdzie robione próby, aby ze związku hakatystów uczynić stowarzyszenie polityczne z odcieniem agraryjnem, bądź to antisemickiem. Kierownictwo związku hakatystów nigdy się jednak nie zachwiało i nigdy nie straciło z oczu swego przewodniego celu. Wszelkie pokuszenia, aby związek skłonić do wyraźniejszego wyznania wiary pod względem politycznym, religijnym lub ekonomicznym spełzły na niczem i dlatego możliwem się okazało, że związek jednoczył mężów niemieckich najrozmaitszych stronnictw.

Niektórzy przeciwnicy związku hakatystów wystąpili z twierdzeniem, a raczej z zarzutem, że jemu należy przypisać ową, coraz płomienniejszą waśń narodowościową i że on jest sprawcą ogólnego bojkotu. Przypuścić jednak w żaden sposób nie można, aby w ciągu kilku lat związek ów lojalnych Polaków przerobił na nieubłaganych wrogów. Związek uczynił niewątpliwie walkę jawniejszą i nadał jej charakter ostrzejszy. Co się zaś tycze zarzucanego podszczuwania, to nadmienić należy, że związek hakatystów czyni tylko to dla wzmocnienia narodowości niemieckiej, co czynią Polacy dla poparcia i rozwoju swojej. Bojkotu nie wynaleźli Niemcy, bo on już przedtem był zastosowany przez ludność polską. Związek hakatystów nie ustanie też w swej pracy, żywiąc nadzieję, że zdobędzie sobie uznanie i pomoc wszystkich Niemców.

Po tem wszystkiem pan Wagner-hakatysta kończy temi słowy: Walka o marchię wschodnią rozpoczęła się! nie jest ona wymierzona ani przeciw narodowości, ani przeciw religii, ani przeciw mowie Polaków. Do walki tej nie skłoniła nas również nienawiść; owszem, nawet wśród walki gotowiśmy uznać wszystko dobre, które znajdujemy w Polakach. Niezaprzeczamy bynajmniej, że usiłowania Polaków, podjęte w obronie narodowości, jakkolwiek wrogie dla nas, wzbudzają szacunek. Mamy tylko za ujmę Polakom, że zwykli skrywać i maskować wszystkie swoje dążenia narodowe. W każdym razie, ostatecznym celem każdej walki jest osiągnięcie pokoju. Pokój z Polakami może tylko wtedy być zawarty, jeżeli się wyrzekną wskrzeszenia dawnego swego państwa, jeżeli się prócz tego zrzekną dążenia do odrębności, a mianowicie aby ich język w publicznym i urzędowym zakresie był równouprawniony z niemieckim. Ale nie

koniec na tem. Prócz tego winni się wyrzec wszelkiego odosobniania i pracować czynnie i pożytecznie dla dobra i oświaty niemieckiego państwa. Gdy temu wszystkiemu zadość uczynią, mogą nareszcie zachować swą narodowość, religię i język, jak to czynią Niemcy w północnej Ameryce, gdzie znaleźli drugą ojczyznę. Tymczasem jednak w marchii wschodniej trwa wojna, a wojna ta musi być zwycięsko przeprowadzona, bo tego honor niemiecki wymaga. Oby Bóg, który nie opuszczał Niemców, dopomógł im do dobrego zakończenia walki.

Tem bogobojnem westchnieniem kończy Wagner-hakatysta swoją broszurę. Zanim pozwolę sobie uczynić kilka uwag co do sposobu argumentacyi i co do refleksyi historyozoficznych, które właściwie są sofistycznem szalbierstwem, poświęcę uwagę wywodom naszego Wagnera-przyjaciela, który miał nietylko odwagę przemówić za nami, ale, prócz tego, zwracał się z zarzutami wprost przeciw hakatyzmowi. Nasamprzód Wagner-przyjaciel uprzedza czytelnika, że do wydania broszury (Polenkoller) skłoniła go zupełna nieznajomość sprawy polskiej w Prusach, z której wielokrotnie korzystał rząd w sposób niezupełnie odpowiedni. Od pewnego czasu prasa niemiecka zalała opinię swego społeczeństwa taką powodzią wyzwierzań się na Polaków, że poczciwy niemiecki Michałek wierzy temu najkompletniej, że na wschodnich kresach polonizm wypiera niemieckie pierwiastki i że tam poważne niebezpieczeństwo grozi niemieckiej ojczyźnie. Wywody autora mają przekonać nieuprzedzonego czytelnika, do jakiego stopnia przedsiębiorczy agitatorowie mogą spaczyć i sfałszować opinię publiczną i jak społeczeństwo pozwala sobie wmówić, zwłaszcza prasie, rzeczy nieprawdopodobne i nieprawdziwe.

Pierwszy ustęp poświęcił autor pruskiej polityce, stosowanej względem Polaków i zastanowił się głębiej nad artykułami Delbrücka, sprawie polskiej poświęconemi. Wagner przypomina objaw, który już przedtem zastanowił Delbrücka, a mianowicie, że Alzacya parę wieków pozostawała pod rządami Francyi, a jednak żadnemu mężowi stanu francuskiemu nie przyszło na myśl narzucić ludności tej prowincyi język francuski. Przeciwnie, czyniono pod tym względem wiele, aby dogodzić kaprysom Alzatczyków, a Francuzi starali się usilnie o to, aby nie mowę, ale serce Alzatczyków uczynić francuskiem. Gdy państwo niemieckie odzyskało utracone dawniej pro-

wincye, trzeba było rozpocząć od praw wyjątkowych, bo się pokazało, że Alzatczycy zachowali co prawda język i obyczaj niemiecki, ale sympatye zwrócone były w inną stronę. Przyjrzyjmy się teraz marchiom wschodnim. Po stu latach panowania pruskiego rozlegają się skargi na oporność i krnąbrność Polaków. Najlepszy to dowód, że stuletnie rządy pruskie nie osiągnęły żadnego rezultatu, czyli, że chybiły celu. Do 1870 r. istniały między dwiema narodowościami jakie takie stosunki, ale walka kulturalna, a później wypędzenie z granic 1889 r. 20,000 polskich współziomków, rozdzieliło w samej rzeczy ludność na dwa obozy i rozdział ów jest niewątpliwie owocem bismarckowskiej metody rządzenia.

W usprawiedliwieniu nieustannego podszczuwania Niemców przeciwko Polakom, przytaczanem bywa przeciwieństwo nie do załagodzenia, jakie istnieje między polonizmem a germanizmem i które z tych dwóch narodowości czyni niejako wrogów dziedzicznych. A jednak historya poucza, że właśnie monarchowie polscy ubiegłych wieków posiadali wiele i to rzetelnej sympatyi dla pierwiastku niemieckiego. Niemieccy pisarze, a przedewszystkiem Löwenberg, wiedzieli o tem doskonale i przyznawali Polakom ducha tolerancyjnego i dostrzegali w Polsce prądy humanitarne i cywilizacyjne już w XIV w., t. j. począwszy od Kazimierza W. Ale nietylko dla Niemców polskie rządy były ludzkiemi, takiemi samemi okazały się dla żydów, wtedy gdy ich w całej Europie wyzyskiwano i traktowano w sposób bezwzględny. Jakżeż się Niemcy wywdzięczyli Polakom w chwili gdy ich państwo upadało?

Pewien lepszy zwrot w polskiej sprawie, pewne złagodzenie ostrego i nieprzyjaznego tonu nastąpiło za kanclerza Capriviego. Pojednawczość i uprzejmość względem Polaków cechowały tego męża stanu, który stanowił zupełnie przeciwieństwo z Bismarckiem. Polityka handlowa i polityka względem Polaków, jaką Caprivi przeprowadzić usiłował, stała się przedmiotem najenergiczniejszych napaści. Okrzykiem oburzenia przyjęto wiadomość, że ks. Stablewski został mianowany arcybiskupem gnieźnieńskim, a nie zastanowiono się ani na chwilę nad tem, że wybór ks. Dindera nie przyniósł rządowi pruskiemu żadnego pozytywnego pożytku. Tymczasem z chwilą mianowania ks. Stablewskiego, położenie rzeczy zmieniło się znacznie na

korzyść rządu, bo od chwili wstąpienia na tron arcybiskupi, stał się ks. Stablewski członkiem niejako rządu, a cały kler usunął się z szeregów nieprzejednanej opozycyi. Pomimo surowych środków, z jakimi występuje bez przestanku rząd przeciwko Polakom, ks. Stablewski umie trzymać swe duchowieństwo w posłuszeństwie dla rządu i w zupełności zachował charakter męża lojalnego.

To samo, co o arcybiskupie Stablewskim, można powiedzieć i o całej szlachcie poznańskiej. Gdy cesarzowa Fryderykowa przybyła do Poznania, aby ludności, dotkniętej powodzią, nieść pomoc i pociechę, zgromadziły się damy polskiej arystokracyi, aby jej wyrazić swój hołd. W rok później, gdy przybył cesarz Wilhelm II, znowu szlachta polska ukazała się przy jego boku. Nadeszła wreszcie pora, w której p. Kościelski łącznie z całą frakcyą Polaków stał się strażą przyboczną rządową, która przy projektach wojskowych i marynarskich w sejmie i parlamencie duże temuż rządowi oddała usługi. Polacy czuli się zadowoleni, należąc do stronnictwa rządowego, gdy wtem ukazał się hakatyzm, zmieniając zupełnie położenie rzeczy. Niemcom zaczęło się niepodobać stanowisko, jakie Polacy na dworze pruskim zajęli, a przedewszystkiem kłóło ich życzliwe usposobienie monarchy, jakie sobie potrafili uzyskać. Pierwszy Bismarck ogłosił wojnę krzyżową przeciwko Polakom i wywołał powstanie hakatyzmu, stowarzyszenia, które postanowiło naród 50 milionowy i posiadający najpotężniejszą armię chronić i bronić od ludu $2^1/_2$ milionowego, który w dodatku znajduje się pod panowaniem monarchy niemieckiego. Hakatyzm wystąpił w imię naczelnego i przewodniego hasła: Germanizm jest na Wschodzie dławiony! — i w imię tego hasła wypowiedziano zawziętą walkę polonizmowi. W walce owej wytworzył się nowy, przedtem nieznany szowinizm niemiecki, który ogarnął nawet Niemców austryackich i ujawnił się w scenach parlamentarnych, które musiały wywołać ogólne obrzydzenie, oraz wstręt.

Hakatyzm wywołał zrazu mało sympatyi i odgłosu między obywatelstwem niemieckiem marchii wschodniej; jedynie tylko biurokracya pruska stanowiła dla niego potężną dźwignię. Rodziny urzędnicze wytwarzają jednak w miastach główną część ludności i mało się przyczyniają do wytworzenia społecznej zgody i narodowościo-

wego zbliżenia się. Urzędnicy pruscy przywykli uważać Polaków za niższą rasę, która powinna być z tego zadowoloną, że się ją toleruje. Sam dźwięk mowy polskiej drażni już uszy pruskiego biurokraty, a na widok polskich zwyczajów dostaje on literalnie jakiegoś bzika. Hakatyzm jeszcze bardziej rozzuchwalił pierwiastek urzędniczy i w sojuszu z nim prowadził systematyczną walkę z polonizmem. Ale między ludnością wiejską hakatyzm nie zdołał się rozpowszechnić. Niemiecki rolnik nie widzi konieczności stawania z Polakami na wiekuistej stopie wojennej i w rolniku polskim ceni istotną, a dla siebie użyteczną siłę. Przyzwyczaił się on nawet do mowy polskiej i o tyle jej się wyuczył, że może się porozumiewać od biedy ze swymi robotnikami. Wreszcie Niemcy-rolnicy żyją zazwyczaj we wzorowej zgodzie z proboszczami polskimi, którzy chronią jego robotników od zarazy, wiejącej z propagandy socyalno-demokratycznej. Jeżeli zaś stronnictwo agrarne nie uwolniło się zupełnie od podszczuwania przeciw Polakom, to jedynie z obawy przed innemi stronnictwami i w uległem poddaniu się teroryzmowi prasy.

Wielką podporę znalazł hakatyzm niewątpliwie w protestanckiem duchowieństwie, które już z samego przeciwieństwa z księżmi polsko-katolickimi stanęło w szeregach jego wrogów. W listach hakatystycznych mężów zaufania zamieszczono aż 42 pastorów, czyli $^2/_5$ z ogólnej cyfry. Mimo tego wszystkiego, hakatyzm we wschodniej marchii ma daleko mniejsze znaczenie, aniżeli w innych dzielnicach państwa niemieckiego. We Wrocławiu uczony profesor Feliks Dahn uczynił się nowożytnym Don Kichotem pruskiego hakatyzmu i występując zajadle przeciwko polskiej mowie i zwyczajom, jednocześnie dowodzi Niemcom czeskim, że najdroższy skarb spoczywa w ich narodowej mowie. Z tem wszystkiem w r. 1896 liczył hakatyzm w marchii wschodniej zaledwie 6,135 członków, co wobec tylu tysięcy Niemców, zamieszkujących owe strony, jest ostatecznie niczem. Miasta, liczące po kilkanaście tysięcy ludności, liczą zaledwie dwudziestu do czterdziestu członków, za to rezydencye p. Kenemanna liczą po kilkaset, świadcząc godnie o zdolności rekrutacyjnej głównych agitatorów. W dodatku nadmienić należy, że hakatyzm bardzo słabo dźwignął żywioł niemiecki na kresach pod względem ekonomicznym. Ze sprawozdania w r. 1896 można się dowiedzieć, że

w ciągu tegorocznego czasu hakatyści osiedlili w marchii wschodniej 6 lekarzy, 4 adwokatów i 5 rękodzielników, oraz przemysłowców. A więc dla tych 15 ludzi zaalarmowane są całe Niemcy. Rzeczywiście, to wszystko wydaje się nieco śmiesznem.

Trojakie są motywy, przytaczane zazwyczaj dla udowodnienia konieczności istnienia i rozwoju hakatyzmu. Nasamprzód trzeba chronić Niemców przed polskim bojkotem, następnie Polacy rozmnażają się tak szybko, że tem samem wypierają żywioły niemieckie i w końcu niezmierne wzmocnienie się ekonomiczne polonizmu zagraża germanizmowi. Zastanówmy się naprzód nad sprawą bojkotu, albowiem podszczuwacze potrafili w tej sprawie pomieszać zupełnie rzeczy prawdziwe z fałszywemi. Istotnie wśród Polaków powstawały głosy, przemawiające za bojkotem, ale ci wyjątkowi kaznodzieje bojkotu nie mieli na ludność polską żadnego wpływu, ani nie robili na niej żadnego wrażenia. Każdy z Polaków kupował tam, gdzie sądził się być najlepiej obsłużonym, a na podszczuwania prasy brukowej nie zwracał uwagi. Dopiero z chwilą powstania hakatyzmu spór i walka z pola narodowościowego przeniosły się na pole ekonomiczne. Gdy wystąpiono z zaciętością przeciwko polskiemu przemysłowi, nic dziwnego, że i ludność polska chwyciła się środków obrony, skutkiem czego kupiectwo niemieckie poniosło dotkliwe straty. Niedawno temu w Poznaniu w wielu gałęziach przemysłu dominował żywioł niemiecki. Hakatyzm wytworzył polski pierwiastek, popierany usilnie przez rodzimą ludność, ze stratą niemieckiego kupiectwa.

Rzeczywiście, dzięki hakatyzmowi, powstała mała ekonomiczna wojna i rozwinęła się polska konkurencya, która nieustannie postępuje naprzód. Skutkiem tego jeden z kupców niemieckich w Poznaniu nazwał hakatyzm stowarzyszeniem, popierającem wysiedlenie Niemców z marchij wschodnich, a choćby nawet obecnie heca hakatystyczna ustała, nikt nie zdoła wynagrodzić poniesionej straty i nikt już polskich przedsiębiorstw konkurencyjnych nie zdmuchnie z powierzchni ziemi. Pozostaną one już na zawsze przekleństwem hecy narodowościowej. Hakatyzm osiągnął więc skutek przeciwny swemu zadaniu. Miał on sprowadzać niemieckich rzemieślników, przemysłowców, wyrobników, tymczasem przyczynił się do wytworzenia i zjednoczenia polskiego przemysłu i rękodzielnictwa.

Co się tyczy drugiego zarzutu, t. j. nadmiernego wzrostu ludności polskiej, to przedewszystkiem trzeba się cokolwiek zastanowić nad cyframi. Podług spisu ludności z r. 1883, znajdowało się w prowincyi poznańskiej 532.498 ewangelików, 1.111,962 katolików i 40.019 żydów: Tymczasem w r. 1895 spis ludności przedstawił 559.710 ewangelików, 1,227.197 katolików i 40.019 żydów. Pokazuje się z tego, że pierwiastek niemiecki nie cofnął się wcale, ale mógł się nawet poszczycić przyrostem 27.000 głów. Co się tyczy katolicyzmu to w ciągu lat 12 nastąpił przyrost raptem 115.235 głów wynoszący, który ma naturalnie wynosić przyrost polonizmu. W tem twierdzeniu spoczywa przedewszystkiem najzupełniejsza pomyłka. W Poznańskiem znajduje się znaczna ilość rzeczywistych katolików niemieckich i cyfra ich bynajmniej się w ostatnich czasach nie zmniejszyła. Z cyfry ogólnej katolików poznańskich można stanowczo około 150.000 odpisać na rzecz Niemców i ostatecznie wszystkich żydów załączyć do masy, wzmacniającej pierwiastek niemiecki. Cyfra Niemców w Poznańskiem wynosi więc prawdopodobnie 750.000 głów, wobec czego wszelkie skargi wyrzekające na wypieranie żywiołu niemieckiego są nieuzasadnione. Wogóle wychodztwo niemieckie z Poznańskiego nie przepada i zostaje w cesarstwie. Tak się rzecz miała szczególnie z żydami poznańskimi. W r. 1890 znajdowało się w Berlinie 76.876 takich wychodźców poznańskich.

Ostatecznie w państwie Pruskiem jest to faktem bezspornym, że ludność niemiecka powiększyła się o 32.464%, a ludność słowiańska zaledwie o 29.746%. W dziedzinie jednak baśni tendencyjnych powstał okrzyk zgrozy na to, że Polacy mnóstwo dawnych kolonistów niemieckich spolonizowali, przyczem powoływano się na dawnych Bambergów pod Poznaniem. Wiele kolonij francuskich lub holenderskich w Niemczech straciło swój charakter cudzoziemski, fakt ów nie zdziwił ani rozdrażnił nikogo, ale fakt tak naturalny, jak spolonizowanie się nazwisk niemieckich, wywołało całą hecę, pomimo, że nawzajem mnóstwo nazwisk polskich zgermanizowało się zupełnie i nikogo z Polaków fakt powyższy nie drażni.

Nareszcie z kolei rzeczy trzeba się przypatrzeć ekonomiczno-gospodarczemu wzmocnieniu i skrzepieniu się Polaków. Nasamprzód oświadczyć należy, iż to jest rzeczą jasną i zrozumiałą, że w cza-

sach ogólnego postępu lud polski, tak zdolny do życia, bierze w nim udział ze skutkiem i powodzeniem. Przeciwko też temu naturalnemu rozwojowi rząd pruski nic nie jest w stanie wyrządzić i temi zjadliwemi krępowaniami, oraz niedogodnościami rozdrażnia jedynie ludność polskiego pochodzenia. Że Polacy nie lubią biurokracyi pruskiej, w tem niema nic dziwnego, albowiem jest wielu Niemców, którzy jej także nie lubią. Ale mówić o jakiemś ekonomicznem wypieraniu i tłumieniu elementu niemieckiego przez Polaków, jest zupełnie bezpodstawnem. Wrzawa, którą podnoszą hakatyści, za ukazaniem się jakiegoś polskiego aptekarzyny, krawca lub rękawicznika, jest wprost dziecinna, jak śmiesznemi są skargi, że przez tychże aptekarzy i t. d. narodowość niemiecka skazana jest na śmierć nieuchronną. Gdyby istotnie ludność polska wzmogła się tak niepomiernie na polu ekonomicznem, musiałby się ten fakt odbić na wyborach gminnych. Siła podatkowa ludności polskiej wzrosłaby skutkiem podniesionego dobrobytu, a dzięki sile podatkowej, powiększyłaby się liczba polskich głosów wśród reprezentacyj miejskich. Tymczasem jakżeż się rzeczy mają w rzeczywistości. We wszystkich miastach, w których ludność polska znakomicie przeważa, liczba reprezentantów miejskich jest po stronie niemieckiej i prawie że przytłumia reprezentantów polskich. Jeżeli na którem, to na tem właśnie polu odzwierciedla się najwyraźniej nietylko polityczna, ale i ekonomiczna przewaga Niemców.

Reprezentanci rządu pruskiego zapewniają, że nikt w Prusach nie zamierza odbierać Polakom ich mowy rodzinnej. W takim razie pocóż ta nieustająca wojna przeciwko językowi polskiemu i to karanie prywatnych nauczycieli języka polskiego. Przytem stosunki szkolne w Poznańskiem pozostawiają dużo do życzenia i szkoła rządowa nie jest w stanie ludności polskiej należycie nauczyć po niemiecku. W wielu miejscowościach na jednego nauczyciela przypada przecięciowo 136 dzieci, co na dokładność nauki języka niemieckiego wpływać dodatnio nie może. Nie przeszkadza to jednak hakatystom żądać zniesienia sądowych tłómaczy, chociaż praktyka sądowa wykazywała tyle razy w jaskrawy sposób, iż znajduje się znaczna liczba Polaków, którzy wcale po niemiecku nie mówią i nie rozumieją. Przed laty, gdy w niższych klasach językiem wykładowym

szkoły był język polski, uczyły się i dzieci niemieckie języka polskiego, co im się w późniejszem życiu bardzo przydawało. Dziś rzadko który Niemiec umie po polsku i ślady tego języka z wszelką skrupulatnością usuwane są ze szkoły. A jednak coby Niemcy powiedzieli, gdyby ich dzieci w Poznańskiem wpakowano do wyłącznie polskiej szkoły i pozbawiono możności nauczenia się ojczystej mowy. Bebel też występując przeciw takiej polityce, wyrzekł słusznie: Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

Inaczej jednak zapatruje się rząd pruski na naukę języka polskiego, gdy chodzi o interesy militaryzmu. Polscy rekruci otrzymują elementarze wojskowe w języku polskim i nikt przeciwko temu okropnemu faktowi nie ma nic do nadmienienia. Niedość tego, i organ związku landwerzystów w Poznaniu ukazuje się w języku niemieckim i polskim a jednak hakatyści przeciwko temu niezrozumiałemu faktowi nie mają nic do zarzucenia. Wobec takiej tolerancyi języka polskiego w zarządzie wojskowym, każda chwila przynosi dowód nieubłaganej nienawiści zarządu cywilnego do tegoż języka. Nawet nauczycielom, zrodzonym z polskiej matki, nie wolno w domu używać języka polskiego, i wydane zostały ministeryalne przepisy o używaniu mowy w zakresie rodzinnym. Istotnie, wobec tego objawu powstają wątpliwości, czy znajdujemy się jeszcze w państwie Fryderyka Wielkiego.

Zarówno jak polityka szkolna pruska, nie wytrzymuje krytyki i polityka kolonizacyjna pruska. Już Delbrück oświadczył, że całe to wielkie dzieło kolonizacyjne dla walki narodowościowej nie ma żadnej wartości. Zbankrutowanym polskim szlachcicom dano tylko pieniądz do ręki i tem uratowano ich od ekonomicznej ruiny. Po dziesięcioletniej działalności komisyi kolonizacyjnej osadzono 1.975 nowych kolonistów, z których 808 pochodzi z Poznańskiego i Prus Zachodnich. Raptem więc żywioł niemiecki wzbogacony został 1.167 osadnikami obcymi, którzy w ziemi i innych wartościach otrzymali od rządu przeszło 22 miliony marek. Za to na innem polu komisya kolonizacyjna była szczęśliwsza. Do r. 1896 wybudowała bowiem 9 kościołów (8 ewangelickich i 1 katolicki), 10 domów modlitwy i 16 plebanij. Podobnie jak w Berlinie, gdzie budowano nowe kościoły, gdy stare świeciły pustkami, tak samo i komisya koloniza-

cyjna bez pożytku zajmowała się dziełem budowy kościołów, ściągając na siebie zarzut, iż raczej jej idzie o sprawę protestantyzmu, niż o ekonomiczne interesy. O ileż byłoby właściwszem dla komisyi kolonizacyjnej zająć się budową szkół, których jest stanowczy brak w Poznańskiem! Zdaje się, iż w Berlinie powinni wszyscy dobrze być poinformowani o tem, że komisya kolonizacyjna nie osiągnęła zasadniczych celów ekonomicznych. Tymczasem sfery rządowe z wielkim naciskiem prowadzą tę samą ekonomiczną politykę i zaczerpnęły ze skarbu państwa drugą secinę milionów marek. Gdyby swego czasu posłowie polscy w Berlinie podziękowali rządowi za pierwsze sto milionów, nadmieniając, że bardzo im się przydały, możeby rząd nie uważał za stosowne upominać się o drugą setkę, ale nie uczynili tego i obecnie doświadczenie drogo nabyte może pójść na marne.

Oryginalnem niezwykle jest zachowywanie się prasy niemieckiej względem sprawy polskiej. Sprawiedliwość niemiecka bowiem okazuje prasie polskiej od pewnego czasu niezwykle srogie oblicze. Więzienie kilkumiesięczne grozi redaktorom polskim za każde, choćby najdrobniejsze wykroczenie, a za wykroczenie poczytywane bywa najobojętniejsze wyrażenie, któremu się przypisuje utajone kryminalne myśli. Tymczasem prasa niemiecka pełna jest nieustających insynuacyj, obrażających dotkliwie naród polski. Wystąpienie podobne dzienników polskich wywołałoby oburzenie ogólne i najsurowsze kary, Niemcom zaś uchodzi zupełnie bezkarnie. Prasa niemiecka nie oszczędza nawet tych mężów polskich, o których dzienniki urzędowe pruskie odzywają się z uznaniem. Ani arcybiskup Stablewski, ani z Miłosławia Kościelski nie pozostali wolnymi od hakatystycznych napaści. Prasa hakatystów gotowa jest napadać każdego, kto tylko mówi po polsku, gotowa go piętnować pod pręgierzem i wyszukiwać dla niego pozorne i fałszywe zarzuty. Pozycya socyalna powiększa tylko nienawiść hakatystów i dlatego cała walka staje się tembardziej nizką i wstrętniejszą. Jeżeli zdolny polski lekarz dostanie jakiekolwiek miejsce urzędowe, lub polski budowniczy, czy też inżynier zostanie użyty przy budowie drogi żelaznej lub gmachów rządowych, zaraz dzienniki hakatystów rozbrzmiewają żalami, iż polonizm wypiera zewsząd Niemców i do tego smutnego objawu rząd pruski czynną przykłada rękę.

Nietylko, że prasa hakatystyczna jest nieznużona w swej denuncyacyjnej czynności, ale prócz tego pragnie zteroryzować rząd swemi radami i wskazówkami, ziejącemi nienawiścią przeciw Polakom. Najdrobniejszy przypadek, najzwyklejszą okoliczność wydyma prasa hakatystów do niemożliwości, aby tylko ukuć nową broń przeciw Polakom i pobudzić rząd do użycia nowych środków wyjątkowych. Niema uroczystości, zebrania, zabawy, zwyczaju polskiego, któregoby nie denuncyowano jako spisku polskiego, skierowanego przeciwko państwu pruskiemu w celu ostatecznej jego zagłady.

Ażeby dowieść, że zarzuty, czynione prasie hakatystów, nie są tworami własnej wyobraźni, Wagner, przyjaciel nasz, przytoczył liczne wyjątki z prasy hakatystycznej, które ciekawemu mogą posłużyć za niezbity dowód. Z tych wyjątków możemy się przekonać, jaką odmienną wagą sprawiedliwości traktowano polską i niemiecką prasę i że istotnie, nietylko o równym wymiarze sprawiedliwości, ale wogóle o poczuciu sprawiedliwości w państwie pruskiem nie mogło być mowy.

Najbardziej dziwnem i niezrozumiałem z tego wszystkiego — powiada w końcu nasz Wagner-przyjaciel — jest to, iż ministrowie pruscy nie zdają sobie sprawy z rzeczywistego położenia rzeczy w Poznańskiem i ciągle im się zdaje, że zapobiegają wskrzeszeniu dawnego państwa polskiego. Tymczasem, jeżeli rząd pragnie w istocie dopomódz wschodnim kresom, to powinien skończyć z podszczuwaniem narodowości i napiętnować właściwie hakatystów. Silny i pewny siebie rząd nie pozwoliłby nigdy na powstanie i rozpowszechnienie się stowarzyszenia hakatystów, a tem mniej zdecydowałby się na użyczenie mu poparcia lub pomocy. Pomoc bowiem rządowa jest świadectwem niedołęstwa, wystawionem państwu pruskiemu, na które ono przecież nigdy nie zasłużyło. Był też podobno minister pruski (v. Köller), który miał wyraźnie oświadczyć, iż stowarzyszenie hakatystów powstało przeciwko rządowi nowego kursu i bynajmniej myśli rządowej nie wyraża.

Hakatystyczna prasa lamentowała też w niebogłosy, że od chwili usunięcia Bismarcka od steru spraw, rząd pruski zaniedbał zupełnie interesy niemieckie i poszedł w służbę polskości. Hakatyści rozciągnęli baczny nadzór i kontrolę nad czynnościami rządu,

a nieustannem podszczuwaniem opinii przeciw niemu, zmusili go do uległości, to jest do uwzględnienia hakatystowskich prądów i wymagań. Obecnie administracya zaczyna popierać instytucye z ogólnych względów dla Poznańskiego lub Poznania niezbędne jedynie dlatego, ażeby wzmocnić na kresach wschodnich żywioł niemiecki. Mają być w tym celu założone muzea, biblioteki, domy stowarzyszeń w rodzaju klubów czy resurs. Wszystkie te zadania wprawdzie nie mają doznać szczodrości rządowej i na szwank narazić systemu oszczędności ministra Miquela. Zalecany też jest przedewszystkiem żebraczy woreczek z haczykiem, w któryby Niemcy wrzucali drobne ofiary, a więc myśl hakatystów zyskała uznanie, tylko skąpstwo Miquela przyodziało ją w dziadowskie łachmany.

Zdawało się również, że rząd skłoni wybitnych mężów niemieckiej nauki do patryotycznej pielgrzymki w Poznańskie, ażeby tam mogli podnieść duchowy poziom niemczyzny. Tymczasem użytemi były w tym celu miejscowe, poznańskie lub berlińskie siły, które długoletnią działalnością nie poprawiły stosunków w Poznańskiem ani odrobiny. Z góry rodzi się też pewna wątpliwość, czy tych panów ogarnie nareszcie po tylu latach natchnienie lub jasnowidzenie i czy zdołają rządowi cośkolwiek pożytecznego wywróżyć.

Prawdą jest niewątpliwie, że wschodnie kresy państwa pruskiego potrzebują ekonomicznego wzmocnienia i podniesienia, ale to wzmocnienie nie może być jednostronnem podniesieniem żywiołu niemieckiego ze szkodą innych, bo nie należy o tem zapominać, iż Niemcom na tych kresach dziesięć razy lepiej się dzieje, niż innym narodowościom. Zwolennicy wypierania polskości utrzymują, że naród ten jest nawpół barbarzyński i że od Niemców przejął dopiero potrzebę kultury. Ale jeżeli kasy państwowe, napełniane podatkami przez Polaków, będą wypróżniane jedynie dla dobra uprzywilejowanych Niemców, wtedy wśród Polaków zrodzi się przekonanie, że narzucono im kulturę jedynie w celu pozbawienia ojczystej narodowości i zerwie na zawsze wszelki ślad wdzięczności. Teorya też, domagająca się stanowczego zgniecenia i zdeptania polskości, jest nauką barbarzyńską, która niema nic wspólnego z poglądami zasadniczymi, jakie państwu kulturalnemu przewodniczyć powinny.

Tymczasem uwzględnienie pragnień narodowości polskiej, jak

to wybór arcybiskupa Stablewskiego pokazał, nie pozostało dla rządu pruskiego bez korzyści. Kto wie, czy mianowanie w niektórych miejscowościach landrata z pośród Polaków, nie zapewniłoby rządowi tych samych pożytków, ale na samą myśl podobną obóz hakatystów objawia apoplektyczne skłonności.

Z tem wszystkiem jednak wypadnie zasadniczo odwrócić prądy hakatystyczne. Komisya kolonizacyjna i rentowa powinny przedewszystkiem pracować dla dobra włościan, bez względu na narodowość, czemby skłoniły bank parcelacyjny polski do podobnego postępowania. W każdym razie byłoby lepiej, ażeby fundusze tych banków i komisyj były użyte na budowę szos i kolei drugorzędnych. Jednem słowem, należy przedewszystkiem pomyśleć o ekonomicznem podniesieniu marchii wschodniej, a nie o zwalczaniu języka polskiego. Aby stosunki w Poznańskiem wróciły do stanu zdrowotności, potrzeba, ażeby wszyscy Niemcy wyzwolili się z jarzma stronniczego frakcyi, która mniema, że patryotyzm wydzierżawia wieczyście. Gdy to nastąpi, nabiorą Niemcy poczucia, że wszyscy są równouprawnieni do życia, do pracowania i że wszyscy mają prawo do duchowego i obyczajowego rozwoju, oraz do poszanowania w dziedzinie polityki. Wtedy też, naturalnie, patryotyzm niemiecki pozbędzie się przymieszki szowinizmu i troska o kresy wschodnie wyda się walką z wiatrakami, choćby z tego powodu, iż nikt nie myśli o tem w rzeczywistości, aby je wydrzeć Niemcom i wyprzeć z nich pierwiastek germański.

Na tem zakończam sprawozdanie z poglądów obu Wagnerów, które, jak to czytelnik sam łatwo zauważyć może, stoją na dwóch zupełnie przeciwległych biegunach. W tem miejscu zaznaczyć mi tylko wypada, że gdy głosy w tym rodzaju, jak naszego Wagnera-przyjaciela, są niezwykłą rzadkością, złowróżbne i złowieszcze nawoływania hakatystów, są częste i stają się ową zwrotką powszechnie przyjętej pieśni, którą się nieustannie i codziennie powtarza. Zastanawiać się bliżej nad poglądami obu Wagnerów uważam za zbyteczne, gdyż wszelkie niedomówienia, ukryte myśli i zamiary, pożądane cele, jak i wszelką obłudę frazeologiczną, krytyka wzajemna wykazała. Natomiast na zakończenie pozwolę sobie wyrazić kilka uwag,

charakteryzujących dzisiejszą publicystykę hakatystów i wykazujących jej różnicę od dawnych ultrapruskich publicystycznych prądów.

Przedewszystkiem aż do usłania jadowitego gniazda hakatyzmu, publicystyka pruska uderzała głównie na naród i narodowość polską, o ile one marząc o dawnem państwie niepodległem, dążyły do doszczętnego rozbicia państwa pruskiego. W obawie tej fatalnej katastrofy, publicystyka pobudzała rząd do energicznego i stanowczego zapobieżenia wszelkiej polskiej agitacyi politycznej, namawiając go do wzmocnienia kolonizacyi niemieckiej w Poznańskiem, do wzmocnienia coraz to staranniejszego języka niemieckiego, jako wyłącznie obowiązującego w szkołach. Jednem słowem domagała się od rządu, aby ten na każdym kroku i w każdym szczególe dał uczuć Polakom, że się znajdują w państwie niemieckiem i że Polakami mogą się uczuwać jedynie w zakresie życia prywatnego. Nawet pragnienia dzielnego wojaka z doby Napoleońskiej, Grolmana, jeżeli dążyły do wykupienia szlachty polskiej w Poznańskiem i usunięcia polskich księży, to jedynie dlatego, aby zniszczyć doszczętnie narodowość polską, która dzięki przyrzeczeniom królewskim na kongresie wiedeńskim i skutkiem lekkomyślności księcia Hardenberga, słuchającego rad Adama Czartoryskiego i Radziwiłła, znowu w górę podnosić się zaczęła.

Publicystyka hakatystowska zmieniła zarówno taktykę jak i strategię bojową. Nasamprzód stosownie do wskazówek światłego Bismarcka, zaczęła podżegać nie rząd, ale społeczeństwo niemieckie, wiedząc doskonale, że tym sposobem osiągnie niezawodnie i cel pierwszy. Od czasów Grolmana zaszły w państwie pruskiem poważne zmiany. Przedewszystkiem pomiędzy tron a lud niemiecki wcisnął się kawałek papieru zwany konstytucyą, a jakkolwiek reprezentacya państwowa nie zdołała doprowadzić do rządów parlamentarnych, w każdym razie stała się czynnikiem politycznym, z którym zarówno korona, jak i ministeryum liczyć się musiało. Wpojenie w społeczeństwo niemieckie ducha hakatystycznego, wywoływałoby w nieuniknionem następstwie ten objaw, że i reprezentacya narodowa solidaryzowałaby się z tymże złym geniuszem Niemiec. Kwestya zaś ujarzmienia korony i rządu mogła więc być jedynie kwestyą niedalekiej przyszłości.

Podżeganie społeczeństwa niemieckiego i zdemoralizowanie tym sposobem reprezentacyi narodowej, usunęło hakatystom wiele trudności z drogi. Monarchowie Prus zawsze się znajdowali w pewnem zakłopotaniu, gdy im przypominano zobowiązania i przyrzeczenia 1815 r., a ministrowie pruscy jeszcze więcej mieli ambarasu z wymaganiami, przekraczającemi o wiele granicę, poza którą państwo sięgać nie może, ani powinno. Jakkolwiek też polska ludność doznawała od korony oschłości serca, a od rządu bardzo słabego poczucia sprawiedliwości, w każdym razie zarówno monarchowie, jak i rząd zachowali resztki świadomości co do tego, że natura państwa jest polityczna, i że istnieje pewna różnica między państwem nowożytnem konstytucyjnem, a despotyami azyatyckiemi, zjawiającemi się w niemowlęctwie ludzkości. W społeczeństwie niemieckiem nie było żadnych stałych, tradycyjnych, politycznych pojęć i łatwo było pod płaszczykiem fałszywych haseł, a przedewszystkiem przesądnego i źle zrozumianego patryotyzmu zaszczepić lub obudzić instynkty łupiestwa, nienawiści, wreszcie wytępienia, nie mające nic a nic z polityką wspólnego. W społeczeństwo niemieckie więc nie trudno było wmówić, że polityka hakatystów jest nieuniknionem prawem samoobrony germanizmu, a za pośrednictwem fałszu, kłamstwa i obłudy nie trudno było dowieść, że istotnie społeczeństwo niemieckie znajduje się w stanie obrony koniecznej.

Hakatystom nie wystarczało też bynajmniej usunięcie dawnej mary państwa polskiego za pośrednictwem zniweczenia doszczętnego narodowości polskiej. Dawne hasło „anéantir le génie polonais“ nie zadawalało hakatystów, również Mohla „germanisiren“ nie stało na poziomie ich pragnień; jedynie „ausrotten“ Hartmanna przerobili na swoją modłę i ukuli z niego system społecznej i parlamentarnej agitacyi. Już polityka bismarckowska objaśniła hakatystów, jak niebezpieczną jest własność ziemska w rękach polskich. Libelt przecież pouczał, że jeśli ziemia polska przejdzie w obce ręce, duch polski z niej uleci; skupując więc ziemię dla Niemców, toruje się drogę geniuszowi niemieckiemu, a zaciera ślady polskości. Hakatyzm przeszedł jednak we wszystkiem swego mistrza i przewodnika. Nietylko z ziemi należy wyprzeć Polaków, ale z przemysłu, ze wszelkich inteligentnych stanowisk i z wszelkiej możności zarobkowania. Właści-

ciel ziemi, fabryki, rękodzielni, sklepu, sklepiku, apteki, budowniczy, lekarz, inżynier, adwokat, geometra, przemysłowiec, handlowiec, agronom, jeżeli tylko zarabiają i cieszą się samodzielną egzystencyą, krzywdzą Niemców i odbierają kawałek chleba im bezspornie przynależny. Nie dość tego, robotnik z Królestwa Polskiego, dostarczający niemieckim właścicielom ziemi w Poznańskiem tańszej, a wytrwalszej pracy, popełnia zbrodnię, bo literalnie ogładza i wytępia żywioł niemiecki na kresach.

Hakatyści więc socyalnym i ekonomicznym stosunkom nadali zabarwienie czysto polityczne, jak to uczyniono poprzednio ze sprawami religijnemi i językowemi. Dziś, podług nauki hakatystów, nietylko ten jest zdrajcą bogów niemieckich, kto mówi po polsku lub uczy się religii od polskiego księdza, ale każdy, kto wyrabia mydło, szyje buty, lub kopie kartofle, jeżeli jest Polakiem, obraża śmiertelnie społeczeństwo niemieckie, bo podkopuje rozmyślnie jego byt ekonomiczny i przyszłość polityczną. Polskie społeczeństwo nie ma na kresach żadnej racyi bytu i żadnego historycznego uprawnienia. Wszystko co myśli i coby pomyśleć mogło, wszystko, co uczyni i coby uczynić mogło, jest owym „Stoss ins Herz“ wymierzonym w serce niemieckie, a nacechowanym perfidyą i zdradą, za którą się mu należy pośrednio lub bezpośrednio banicya, czyli poznańskiej wody i ognia interdictio.

Polityka hakatystów usuwa więc ze stosunków społecznych etykę chrześcijańską, wskrzeszając na to miejsce stare żywiołowe siły panujące w naturze. Odtąd haseł przewodnich życiu państwowemu nie będzie dostarczała nauka Chrystusa, tem mniej naturalnie nauka Arystotelesowa. W miejsce miłości bliźniego, rządów sprawiedliwości i prawa, hakatyści wstawią taką cywilizacyjną dewizę, jak: „grosse Fische essen kleine Fische“ czyli, że odtąd rządzi ludzkością silniejsza pięść jak światem zwierzęcym, silniejszy szpon, pazur, lub kieł. Uosobienie cywilizacyi i kultury niemieckiej w nieporównanie silnej pięści, mało ma jednak siły przyciągającej i przekonywającej. Przed groźnem widmem zagłady zachwiać się i ustąpić mogą drobne i słabe narodowości; historycznie wyrobionym i uprawnionym prowokacya podobna stanowi wezwanie do rozpaczliwej obrony. Polityka hakatystowska jest też wypowiedzeniem śmiertelnej walki ca-

łej egzystencyi polskiej ludności, ludności spokojnej, pracowitej, lojalnej i na bezsporne swe prawa powołującej się. Do czego ta walka doprowadzi? Naturalnie, że do wielu i to dotkliwych klęsk, do wielu cierpień ludności polskiej. Ale w pierwszym rzędzie dotknie Niemców trąd zwyrodnienia, jaki bywa udziałem tego narodu, który sprostytuował ducha swojego i na wszystkich szlachetnych dążnościach i uczuciach człowieka wycisnął piętno obłudy, fałszu, zawiści, nienawiści i pychy. W ślad za tem zwyrodnieniem, pójdzie ogłupienie polityczne, które zacznie podkopywać potęgę państwową. Hakatystowska polityka oślepiła już tak Niemców austryackich, że nie wahali się stawić Austryi nad przepaścią, pomimo, że stanowiła najwierniejszego sprzymierzeńca Niemiec. Oślepienie to pójdzie niewątpliwie dalej, schlebiając patryotyzmowi i biorąc rozbrat z wszelkim rozumem stanu. Jaki będzie kres tej polityki wścieklizny, co ją może zmusić do opamiętania — trudno w tej chwili przewidzieć, a gubić się w domysłach i dociekaniach, rzecz bezpożyteczna i daremna. Jednakże niepodobna mi zakończyć rzeczy o pruskich Wagnerach, nie poświęciwszy uwagi poznańskiej ziemi, a mianowicie co jej czynić wypada wobec tego germanistycznego naporu, wobec tych żywiołowych zapasów, w których sformowane przez hakatystów morze niemieckie grozi zalewem światu słowiańskiemu wogóle, jako nieubłagana ślepa siła, kierowana instynktem barbarzyńców, w rodzaju Attyli. Niejednokrotnie już zabierałem głos w powyższej sprawie i zawsze znajdowałem jeden, jedyny środek ratunku dla ludności polskiej w zjednoczeniu wszystkich serc polskich w pracy i obronie praw narodowości i własności swojej. Przeciwko zalewowi morza niemieckiego, grożącemu nietylko Wielkopolsce, ale i innym Słowianom, tylko wytrwała tama z piersi ludności polskiej zbudowana, może się okazać skuteczną. Wiem z góry, że dla wielu ludzi słabego ducha, powyższa moja uwaga wyda się pustym frazesem, który ostatecznej zagłady ani na jedną sekundę nie opóźni. Ale o słabe serce i dusze, ulegające z pokorą fatalizmowi dziejowemu nie idzie tym razem. Przedewszystkiem w takiej epokowej obronie całego swego narodowego, społecznego i ekonomicznego jestestwa, chodzić nam winno o ludzi głębokiej wiary w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości i prawa, o ludzi silnej woli i charakteru, którzy nie zrażą się za-

dnemi trudnościami i nie dadzą się zepchnąć z obywatelskiego stanowiska, wreszcie o ludzi ofiarnego czynu, którzy miłości swej dla publicznego dobra nie zawrą w błyskotliwym, retorycznym frazesie.

Tych mężów wzmocni i pokrzepi ów pusty frazes, nawołujący do zgodnej, wytrwałej, a codziennej obrony narodowości polskiej we wszystkich kierunkach i w najdrobniejszych szczegółach. Ci mężowie zrozumieją bowiem, że budując tamę i odpychając fale morza niemieckiego, nie pozostaną odosobnionymi i samotnymi, lecz znajdą oddźwięk i pomoc nietylko wśród rodaków, lecz w całym słowiańskim świecie. Zresztą, powtarzam jeszcze raz, w dobie gdzie się sprawiedliwości ludzkiej dzieje taki gwałt bezprzykładny, w chwili, gdy Niemcy, a raczej inspirowani przez hakatystów Prusacy, depczą najświętsze prawa dlatego jedynie, że one przysługują polskiej ludności, potrzeba nam przedewszystkiem ludzi głębokiej wiary w zwycięstwo dobrej sprawy, w zwycięstwo nauki Chrystusa nad wykrętnymi frazesami, wygłaszanymi przez ukrzyżowanych obok Niego łatronów.

3.

FIKCYE PLEMIENNE[1]).

W szeregu tych, którzy się zajmowali badaniem społeczeństwa, czy to pod względem politycznym, czy socyalnym lub ekonomicznym, znajdowało się zawsze i wszędzie dużo umysłów nawet zdolnych i zasobnych w wiedzę, co przepowiadały zbawienie albo wróżyły zagładę narodom i ludzkości całej, w imię wynalezionej przez siebie doktryny. Nawet najstarsza nauka polityczna nie mogła się zwolnić od złej czy dobrej wiary doktrynerów, którzy, uwiedzeni siłą jednego z czynników politycznych, opierali na nim cały przyszły rozwój państwowy, lub, dostrzegłszy jedną wadę, jeden żywioł rozkładowy, nie mogli dla swego kraju, — dla całej cywilizacyi dostrzedz żadnego ratunku. Ileż to razy wśród poważniejszych statystów zjawia się człowiek, upatrujący zbawienie kraju tylko w pewnej formie państwowej, bądź to rzeczypospolitej, bądź monarchii, — ileż to razy inny myśliciel dostrzega we wszystkich instytucyach rozkład, zepsucie, obłudę, które prędzej czy później doprowadzić muszą do rozkładu i anarchii zniecierpliwione i zniechęcone społeczeństwa.

Jeżeli jednak nauka mędrca ze Stagiry nie zdołała się uwolnić od optymistycznych lub pesymistycznych proroków, to cóż dopiero mówić o młodszej nauce ekonomii społecznej i o najmłodszej socyologii? Ileż tu przesunęło się przed oczami naszemi i przesuwa nieustannie tęczowych obietnic albo grobowych przepowiedni. Ekonomia społeczna raz w ziemi czyli w rolnictwie, drugi raz w przemyśle, a następnie w pracy, nakazywała nam upatrywać jedyne źródło bogactwa i materyalnej szczęśliwości. Raz odosobnione ekonomicznie państwo Thünen'a, drugi raz harmonia, polegająca na

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Gazecie Polskiej w r. 1888.

wolnym handlu i wolnej konkurencyi, miała doprowadzić do pożądanego celu. Gdy jedni ekonomiści w małej własności gruntowej ukazywali pomyślny rozwój rolnictwa, które przechodziło przez ciężkie przesilenia, inni jednocześnie w rozdrobnieniu czyli spiaszczeniu (pulverisation du sol) własności ziemskiej, upatrywali źródło wytworzenia się proletaryatu wiejskiego, który całą przyszłość rolnictwa pogrąży w przepaść.

Jeszcze w większym obłoku czy to różanych, czy to czarnych iluzyi spoczywała nauka o społeczeństwie, czyli tak zwana socyologia. Wykazując błędy organizmów politycznych, pragnęła ona niejednokrotnie przeistoczyć naturalny porządek rzeczy podług wynalezionych przez siebie praw i stworzyć daleko solidarniejszą rodzinę, gminę, państwo i Kościół, aniżeli te, jakie dzieje w tyle wiekowej pracy wytworzyły. Nie potrzebujemy powtarzać wszystkich prób owych budowniczych socyalnych, począwszy od Fourier'a, St. Simon'a Owen'a i t. p. Do czego one doprowadziły w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, gdzie wolność indywidualna sprzyjała tego rodzaju eksperymentacyom, to nam przedstawił w bardzo interesującej pracy Semler. Przypomnieć tylko winniśmy, że gdy wszystkie arcydzieła aberacyi doktrynerskiej rozbiły się o naturę ludzką, nie zdolną zamienić swej bogatej i swobodnej indywidualności na automatyczny mechanizm, wtedy wśród wróżbitów socyalnych panowała nienawiść do wszystkiego, na czem się wspierał dotychczasowy porządek, pełen wad i błędów niewyleczalnych. Nienawiść zaczerpnięta z tak zwanej publicznej melancholii, którą Niemcy określili wybornym terminem: „Weltschmerz'u", zrodziła znowu grobowe obrazy nicości, gaszącej na całym świecie cywilizacyjne światła.

Jeżeli zapytamy: z jakich powodów tylu mężów dobrej wiary, a często bardzo dużej wiedzy, pomimo najlepszych chęci i gorącej miłości dla bliźniego, zboczyło na manowce i zamiast światła prawdy dało tylko swemu społeczeństwu błędny ognik fałszywych iluzyi, — odpowiedź na to mieć będziemy w tym fakcie, iż reformy społeczno-polityczne należą do najtrudniejszych, najbardziej skomplikowanych, i już Cycero zauważył, że, podejmując je, człowiek powinien się duchowo wznieść aż na boskie wyżyny. Szeregi doktrynerów czy proroków w socyalno-politycznem znaczeniu rekrutowały się zwykle

z pośród ludzi, pozostających w ciasnym obrębie jednej nauki, i to jeszcze niewzbogaconej odpowiedniem doświadczeniem. Nic więc dziwnego, że w wywodach, stwarzających nowe światy w jednym lub kilku paradoksach, przebijała się przedewszystkiem jednostronność, niepozwalająca zbadać gruntownie ani społeczeństwa, ani państwa, i doprowadzającą doktrynera do nieuniknionego „absurdum“.

Jeśli polityk, świadom swej specyalnej nauki, zapomniał o tem zupełnie, że ekonomia ma swe nieprzełamane prawa w świecie materyalnym, a socyologia takież same posiada w zakresie społecznego ustroju, to jakżeż mu łatwo rozszerzać obręb, władzy państwowej przysługujący, i z takim wszechwładnym organem w ręku jakżeż łatwo stwarzać cuda. Że cuda te jednak pozostaną w dziedzinie złudzeń lub, wzięte na seryo, sprowadzą szereg kataklizmów i gorzkie rozczarowanie, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. To samo, cośmy powiedzieli o politykach, stosować się musi jeszcze w wyższym stopniu do ekonomistów i socyologów. Czemże będą ekonomiczne pomysły, jeżeli się uwolnią od polityczno-socyalnego węzła? i czem socyalne budowy, zapominające o tem, że człowiek jest, podług Arystotelesa, zwierzęciem politycznem, i że świat materyalnych dostatków i pracy ludzkiej opiera się na niewzruszonych zasadach?

Badacz, pragnący ze stanowiska swej ulubionej nauki reformować społeczno polityczny porządek i w ten sposób uszczęśliwić ludzkość, przedewszystkiem będzie stwarzał szczęście dla jakiegoś oderwanego, a nie dla rzeczywistego człowieka. Porządek społeczno-polityczny jest bowiem na to, aby jednostce zapewnić wszystkie korzyści, które przynosi jedność polityczna w połączeniu ze swobodą ekonomiczną i socyalną. Porządek ten musi więc być wzmacnianym i rozwijanym przy pomocy wszelkich nauk, które, wzajemnie się kontrolując i krytykując, mogą nareszcie doprowadzić badaczów do praktycznego rozwiązania kwestyi. Jednostronność zaś, zacieśniająca myśliciela w wyłącznym zakresie nauki politycznej, socyalnej lub ekonomicznej, musi go sprowadzać na manowce, ukazać mu widmo siły, pozorne środki i nadewszystko fałszywe doktryny. W tym szczupłym widnokręgu dojrzy on jedynie bogate następstwa swobody indywidualnej, i zdawać mu się będzie, że ziemia, używając wyrażenia Stein'a, jest w systemie planetarnym gwiazdą interesu osobi-

stego, albo dostrzeże w zjednoczeniu państwowem jedyne zbawienie i obdarzy reprezentantów siły państwowej taką potęgą, iż, jako Leviathan Hobbesowy, pochłoną wszelką indywidualną swobodę. Pośredniej drogi, łączącej jedność ze swobodą indywidualną w społeczeństwie, nie będzie nigdy u jednostronnych doktrynerów. Im bowiem zawsze przewodniczyć będą oderwane zasady, a nie istotne życie; sztuczne mechanizmy, wytworzone przez bujną fantazyę, a nie organizmy socyalno-polityczne, których człowiek przeistoczyć nie potrafi, lecz tylko uszlachetnić i częściowo naprawić może.

Uwagi powyższe uznaliśmy za stosowne przypomnieć naszym czytelnikom, przystępując do przedstawienia i rozbioru programu, ogłoszonego w „Ruskim Kuryerze“ (nr. 304), pod tytułem „Idea słowiańskiego braterstwa“. Autor p. Aksakow, nie po raz pierwszy w tym artykule wystąpił z ideałami dla przyszłego społeczeństwa słowiańskiego, ale poprzednie jego wywody mniej są dla nas interesującemi, albowiem zawierają tylko ułomki idei przewodniej. W artykule zaś powyżej przytoczonym spotykamy się już z całkowitym produktem teoryi p. Aksakowa. Widzimy tam wszystkie celniejsze historyozoficzne uwagi, któremi się, jako dowodami niezbitemi, posługuje, i zarazem owoc dojrzały jego umysłu, t. j. ideały, mające nieuniknienie uszczęśliwić wszystkich Słowian, a zatem i Polaków.

Przedewszystkiem zanim przyjrzymy się tej idealnej doktrynie w trzeźwiącem świetle ziemskiej nauki, powinniśmy czytelnika zapoznać z rezultatami jego intuicyjnych wynalazków.

Podług twierdzeń pana Aksakowa epoka romantycznego odrodzenia się słowiaństwa i wszelkiego platonizmu w rzeczowym kierunku stanowczo przemija. Epoka ta udowodniła w zupełności swoją bezsilność. Po niej też nastąpiły czasy praktycznej narodowej roboty, czyli wszechsłowiańskiej działalności. Dla wlania życia w te usiłowania, czyli dla wprowadzenia ich z dziedziny myśli w czyn, trzeba koniecznie, aby Słowianie rozumieli się wzajemnie, aby się w myśli duchowo zjednoczyli, i dlatego w celach wyłącznie publicystycznych powinni mieć odrębny, a jak się samo przez się rozumie, ogólny literacki język. Słowianie, jak to p. Aksakow zauważył, żyją dotychczas w odosobnieniu, zajęci wyłącznie swymi partykularnymi celami, i niema w nich dotąd poczucia, ani świadomości, któ-

raby mogła ożywić ogólnosłowiańskie ideały. Plemiona te rozproszone nie wiedzą nawet, coby należało w danej chwili ożywić. Każde z nich przyjęłoby prawdopodobnie przewodnictwo Rosyi, gdyby wiedziało, co Rosya osiągnąć pragnie dla Słowian, gdy tymczasem i to mocarstwo nie dowiodło jeszcze i nie przekonało wszystkich, iż żywi ogólnosłowiańskie ideały.

Do jakiego stopnia słowiańskie plemiona żyją odosobnionem zupełnie życiem, może służyć za dowód np. fakt, że literatura ruska znana jest w Czechach w tym samym stopniu co we Włoszech lub Holandyi. Czeska literatura w Rosyi także niewięcej jest znana niż norweska. Co się zaś tyczy znajomości literatury drugorzędnych plemion słowiańskich, to ta stanowczo nie przechodzi poza obręb ich własnych krain, a poza temi granicami jest zupełnie nieznaną. Nawet równa ruskiej potęgą duchową literatura polska zaczęła być dopiero niedawno przyswajaną w ruskich przekładach. Nie obeszło się jednakże przy tej sposobności bez oryginalnych zdarzeń. Zaledwie bowiem pokazało się, iż historyczne ideały polskie nie zgadzają się z ruskiemi, podnieśli publicyści ukrainofilscy okrzyk niezadowolenia, zapominając o tem, że nie znać błędów sąsiada znaczy to tyle, co nie znać go wcale. Tylko też na drodze międzynarodowej, a w danym wypadku, na drodze międzysłowiańskiej wymiany myśli, może nastąpić zbliżenie się narodów i dadzą się usunąć przeszkody, tamujące porozumienie.

Koniecznem jest, aby oprócz literatury ruskiej, czeskiej, polskiej i t. p. istniała jeszcze niezależnie od narzeczy, w których pierwotnie powstała, ogólnosłowiańska literatura, uosabiająca jeden duch, jedną narodową osobowość, czyli inaczej mówiąc, reprezentująca produkt umysłowy jednego, choć rozpraszającego się w narzeczach narodu. Aby osiągnąć cel ten, p. Aksakow podejmuje skwapliwie projekt, powstały na Zachodzie (!), a zamierzający wprowadzenie ogólnosłowiańskiego języka dla inteligentnych sfer, z nadmienieniem, iż tenże język mógłby się rozwijać, nie przeszkadzając bynajmniej rozwojowi miejscowych narzeczy. Wszystko, co tylko jest najbardziej wewnętrznem, subjektywnem, to pozostanie zawsze bezsporną dziedziną rodowitego języka. Cały zakres twórczości w dziedzinie sztuk pozostanie nietkniętym, i jedynie porównawczy,

więcej przedmiotowy zakres nauki, oraz publicystyki przekroczy granice plemienne i posługiwać się będzie w imię dobra całej Słowiańszczyzny językiem ogólnosłowiańskim. Polak, Serb, Czech i t p., nie przestanie być w ten sposób Polakiem, Serbem, Czechem, ale po za swojemi plemiennemi interesami żyć będzie i zajmować się sprawami wszechsłowiaństwa. Wtedy to naturalnie wszystkie plemiona słowiańskie dojdą do poczucia ogólnej słowiańskiej woli, staną się jednym potężnym narodem, któremu nie będą strasznemi Bismarcki.

Każdym razem, gdy Polak, Czech, Serb lub inny Słowianin, chce być przystępnym dla obszerniejszych sfer, jako pisarz, używa do pomocy francuskiego lub niemieckiego języka. Liczba dzieł, napisanych przez Polaków po niemiecku, jest znaczna, a nawet wielka. Palacky nawet pisał pierwotnie swoją historyę Czech po niemiecku, a następnie dopiero przerobił ją po czesku. Czyż jednak Polak, chcąc się porozumiewać z austryackimi Serbami, Słoweńcami, powinien się uczyć języka niemieckiego i za jego pośrednictwem stawać się członkiem słowiańskiej rodziny?

Chorwacki poseł, Barczycz, oświadczył niedawno, że jego rodziny język tak mało różni się od ruskiego, iż w przyszłości być bardzo może, iż się z nim zupełnie zjednoczy. Tak jednak nie sądzi pan Aksakow, ani sobie podobnego rezultatu zupełnie nie życzy. Owszem, pierwszy autor „idei wszechsłowiańskiego bractwa“ zaprotestowałby żywo przeciw zupełnemu zlewaniu się, nie widząc w niem żadnej dla ogólnej sprawy korzyści. P. Aksakow pojmuje, że język nie jest nigdy czemś skończonem, martwem, ale żywym organizmem, udoskonalającym się i uszlachetniającym nieustannie. Dlatego zanikanie lub wsiąkanie kompletne narzeczy w ogólnym języku, nie leży bynajmniej w jego planie. W tem wszystkiem jednak zaznacza nie bez pewnej goryczy, iż partykularyzm w religii, języku, tradycyach i bycie społeczno-politycznym zawdzięczają Słowianie tylko fatalnym wpływom niemieckim. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że seperatyzm słowiański zaszczepiony był i popierany wytrwale przez Teutonów, a to naturalnie w ich własnym interesie i z wrogiemi zamiarami dla Słowiańszczyzny. Dlatego to jednak plemiona słowiańskie powinny nietyle dbać o zachowanie swego partykularyzmu, ile

o to, aby, nie szkodząc w zasadniczych rzeczach owej odrębności, wytworzyć jednolitą organizacyą, obejmującą wszystkie plemiona. Dziś zwłaszcza, gdy niemczenie postępuje pod rozmaitemi postaciami wielkim krokiem, nadewszystko trzeba być Słowianami. Bądźmy więc my, członkowie rodziny słowiańskiej, duchowo w literaturze zjednoczeni.

Załatwiwszy się w powyżej przytoczony sposób z koniecznością istnienia języka wszechsłowiańskiego, p. Aksakow przystępuje do drugiej części zadania, a mianowicie do tego, w jaki sposób stworzyć podobny język, gdyż naturalnie język, przez niego pożądany, po dziśdzień wcale nie istnieje. Języki wogóle, jak twierdzi autor, nie tworzą się, i dlatego też trzeba koniecznie dla celów wszech- i między-słowiańskich posiłkować się jednem z istniejących narzeczy. Sądzi on dalej, że, ze stanowiska cywilizacyjno kulturalnego rozpatrując rzecz samą, trzeba przyjść do przekonania, iż dwa języki mogłyby pretendować do tego honoru i znaczenia w świecie słowiańskim, a mianowicie: ruski i polski, albowiem one zdołały wytworzyć dwie główne i niezależne od siebie literatury. A ponieważ język ruski jest mową najliczniejszego i największego plemienia słowiańskiego, trudno więc nie oddać mu palmy pierwszeństwa.

Zdaniem autora, Polska, ze względu na swój byt, swą historyę i obecne swe położenie, może być tylko jedną ze stron słowiańskiej sprawy, gdy tymczasem Rosyi pod względem moralnym i duchowym przypada bezwarunkowo centralne stanowisko. Nawet to stanowisko należy się językowi ruskiemu ze względów lingwistycznych. Gdy bowiem języki: polski, czeski, serbski i bulgarski, odbiegają często od słowiańskiego typu, ruski język zajmuje środkowe miejsce i dlatego posiada najwięcej przymiotów, aby zająć ogólne stanowisko w Słowiańszczyznie. Nietylko więc ze względów narodowej dumy i samolubstwa możemy — jak twierdzi p. Aksakow — uważać język ruski za najpoważniejszego kandydata na to nowe stanowisko. Istotne korzyści przemawiają za nim, jakie już dawniej dostrzegli zachodni nasi bracia. W świecie słowiańskim istniał już niegdyś powszechny, nieogarniający tylko Polski, język książkowy, literacki słowiański. Był nim język kościelny słowiański, a fakt ten jest najlepszą wróżbą dziejową i zarazem otuchą dla autora, iż proponо-

wany przez niego eksperyment uda się zupełnie, stwarzając wymarzony ideał słowiańskiego świata.

Ponieważ nadziejom podobnym, jako zużywającym i roztrwaniającym szlachetne uczucie patryotyzmu, oddawać się nie możemy, choćby z tego powodu, iż stoją one w jaskrawej sprzeczności z najprostszemi wiadomościami oraz zasadami nauk politycznych, przeto postanowiliśmy bliżej przyjrzeć się ideałom, które uważamy z góry za owoc dobrej wiary i za znamie hypertrofii serca, przepełnionego zbytnią miłością i zbytnim zapałem uszczęśliwienia wszystkich Słowian, ale które przybierają często charakter natchnienia, pogardzającego elementarzem nauki. P. Aksakow, uwiedziony prawdopodobnie analizą, w jakiej socyologia podaje społeczeństwo i państwo, zapomniał o tej jednej, a bardzo ważnej rzeczy, iż socyologia bada, a nie stwarza, i że to samo zadanie przypadło dawniej w udziale naukom politycznym i ekonomicznym.

Zamiłowanie do ogólników bez treści i do frazesów, brzmiących mile dla rodzinnego ucha, spowodowało niewątpliwie, iż autor zapomniał o tem, że nauki polityczne istnieją na świecie i że np. nauka polityki może objaśnić nawet fanatycznego ideologa w kwestyi, o ile państwo lub społeczeństwo samo może przeistoczyć, t. j. uszlachetnić lub zdemoralizować narodowość, dla której język czyli mowa rodzinna jest niezaprzeczenie duszą i sercem. Pogarda dla nauki, a traktowanie wyłączne spraw publicznych ze stanowiska uczuć plemiennych, dążących do wzmocnienia potęgi własnego kraju, doprowadziło p. Aksakowa do tego, iż zupełnie mylnie zapatruje się na faktyczne położenie i sam się wikła w sprzecznych określeniach — jednych i tychże samych objawów. Utrzymuje on albowiem, iż świat słowiański składa się z plemion, język słowiański z narzeczy, a Słowiańszczyzna jest narodem, chociaż sam przyznawać musi, iż nie posiada dotychczas osobowości ani mowy narodowej.

Dotychczas słyszeliśmy, że Słowiańszczyzna jest jednem plemieniem, które pracą cywilizacyjną w dziejach wytworzyło wśród siebie różne narodowości a różne ludy pod względem politycznym. Przyznać się jednak musimy, że nie spotkaliśmy się ani z narodem wszechsłowiańskim, ani z państwem i dlatego mniemamy, iż trudno będzie doczekać się takiej narodowości czy ludu gdzieindziej niż

w sferze mrzonek. Słowiańskie ludy żyły i żyją pod różnemi rządami. Niektóre z tych rządów noszą słowiański charakter, ale już nie czysto plemienny, tylko narodowościowy, mający specyalne nazwisko. Słowiańszczyzna jednak cała, jako posiadająca uspołecznienia różniące się od siebie językiem, religią, tradycyą dziejową, obyczajem i dążeniami w przyszłości, czyli, jako posiadająca narodowości zupełnie odrębne, może się tylko powoływać na wspólność plemienną, na podobieństwo naturalne, jakie zachowały wszystkie społeczeństwa wtedy, gdy się znajdowały na bardzo nizkim szczeblu cywilizacyjnym.

Widzimy zatem, że ideały p. Aksakowa opierają się przedewszystkiem na zupełnie mylnem ocenieniu faktycznego położenia Słowiańszczyzny. W idealnym poglądzie autora Słowiańszczyzna to naród, złożony z plemion i narzeczy, bogaty w rozmaitość społeczną i w pragnienie zlania się we wspólnem pożyciu. W rzeczywistości atoli, rozpatrywanej przy pomocy pierwszego lepszego podręcznika nauk politycznych, Słowiańszczyzna owa przedstawia się, jako zbiór wybitnych i wysoko rozwiniętych narodowości, jako zbiór potężnych lub mniej silnych państw, uposażonych w lojalniejszy lub mniej lojalny lud, ale w tem zbiorowisku olbrzymiem, nazywanem „światem słowiańskim“, spotykamy tylko jeden węzeł wspólny, t. j. plemienny, który pan Aksakow pozwolił sobie we wszech-słowiańskiem natchnieniu przemianować na narodowy. Pomyłką czy błędem powyższym Aksakow usunął na bok pracę tysiącletnią, która zwykła towarzyszyć przeistoczeniu się plemienia jednego lub kilku w narodowość, ale, pogardziwszy nauką i dziejami stworzył wzamian budowę z kart niezdolną wytrzymać najlżejszego podmuchu rzeczywistości.

Ponieważ w programie idealnej reformy Aksakowa główne założenie czyli podstawa dowodzeń była najzupełniej fałszywą, przeto i dalsze wywody, opierające się na owym sztucznym gruncie, musiały się okazać zwodniczemi. Przeistaczając plemię w narodowość i przypisując plemiennym właściwościom siłę narodową, p. Aksakow nie zmienił w niczem rzeczywistości ani skrócił procesu, jaki dziejowa praca społeczeństwa odbyć musi, tylko sam pogrążył się

w dziedzinie utopii, i mary chorobliwej fantazyi brał za dojrzały owoc doświadczenia.

Pierwszy lepszy podręcznik nauki polityki poinformowałby p. Aksakowa o tem, że na plemiennych uczuciach i pierwiastkach budowany gmach czy to polityczny, czy cywilizacyjny zapaść się musi, jako widmo gorączkowe wobec światła dziennego. W plemiennej przeszłości przecież objawia się do pewnego stopnia historya naturalna człowieka, czyli dzieje jego duchowego niemowlęctwa. Tymczasem wspomnienia takie nie mają w sobie żadnej odradzającej, twórczej siły, i człowiek jedynie w celach czysto naukowych pragnie sobie przypomnieć, iż był niegdyś całkiem zoologicznym okazem. Wspomnienia, oraz idee podnoszące umysł i serce człowieka, rozpoczynają się dopiero tam, gdzie się rozpoczyna praca ducha jego, znacząca ślady w dziejach cywilizacyą i kulturą. Pracę tę wszakże rozpoczął wszędzie duch narodowy, który przeistoczył często bardzo odmienne i liczne pierwiastki plemienne, socyalne, wyznaniowe i z nich wytworzył jedną duszę, pracującą cywilizacyjnie i pragnącą być zwiastunem duchowego rozwoju w przyszłości.

Narodowość, w imię której zdziałano dawniej i obecnie, jak to wykazali Eötvös i Renan, bardzo wiele, nie jest owocem procesu naturalnego, ale rezultatem pracy cywilizacyjno-dziejowej ludzkości. Dlatego też uczucie narodowe podnosi zasłużoną dumą pierś człowieka, potęguje w nim miłość dobra publicznego i pobudza do pracy duchowej, oraz do szlachetnych poświęceń. Toż samo uczucie wytwarza w człowieku z czasem świadomość, co do przeszłości i co do przyszłych zadań, wyrywając z piersi poety podniosłe wyznanie: „Byle cię można kochać, byle wspierać, — Nieżal żyć w nędzy, nieżal i umierać“.

Nic więc dziwnego, że w chwilach niebezpieczeństwa władze państwowe starały się cele polityczne przyoblekać w szatę narodową, aby tym sposobem wywołać dla nich większe poświęcenie. Samemu p. Aksakowowi, jako gorąco kochającemu Rosyę, powinien być pamiętnym rok 1812. Czyż obudzone uczucie narodowe ludu jego zdobywało się na bohaterski opór wobec genialnego najezdcy w imię przyszłości Słowian na Śląsku, w Chorwacyi lub Łużycach? Sądzimy, że sam twórca teoryi wszechbractwa słowiańskiego przyznać

musi, iż straszliwa i pełna dantejskiej grozy wojna 1812 roku prowadzoną była pod sztandarem czysto narodowych i politycznych idei Rosyi, tak samo jak szeregi księcia Poniatowskiego zasiewały kośćmi swemi śnieżyste przestrzenie Rosyi w imię swych narodowych haseł i bez żadnego względu na plemienną przeszłość.

Wspomnienie plemiennego pochodzenia, nie mając styczności z duchową pracą człowieka, nie posiada, jak to już nadmieniliśmy, żadnych pierwiastków odrodzenia, żadnych ideałów przyszłości, jednem słowem nic, coby zdobywało i podnosiło serce człowieka, które niepodzielnie należy się jego własnemu narodowi. Człowiek bowiem szczyci się tylko tem, co duch jego stworzył i czem okiełznał naturę, a na niemowlęcy stan swój spogląda z politowaniem i, co najwyżej, z ciekawością naukowego badacza.

Wiadomo dobrze, iż naukę, badającą pierwotny stan społeczeństw, znalazła człowieka najprzód w stanie dzikości, potem barbarzyństwa, a następnie w stadyach przejściowych do cywilizacyi (Morgan). Darwin jednak postawił hypotezę śmiałą, ukazującą nam człowieka w stanie zwierzęcym, a protoplastą rodu Adamowego zamianował stworzenie, które dziś zajmuje przynależne sobie stanowisko w ogrodach zoologicznych. Nie mamy żadnego prawa wyrażać swego zdania o prawdziwości lub mylności teoryi Darwina, ale, gdybyśmy na chwilę trzymali się systemu zadawalania się fikcyami i uznali przypuszczenia Darwina za prawdziwe, to nie dowodziłoby jeszcze w żadnym razie aby człowiek XIX wieku, uszczęśliwiony tem nowem pokrewieństwem, zawieszał w galeryi antenatów swego najodleglejszego przodka, choćby w postaci rycerskiego goryla. Ani do epoki zwierzęcości problematycznej, ani do epoki dzikości lub barbarzyństwa, ani wreszcie do stanu ciemnoty duchowej, czyli jednem słowem do swej historyi naturalnej, nie będzie się zwracał człowiek z tęsknotą marzyciela i z tych rozrzewniających wspomnień nie będzie formował ideałów przyszłości. Każdemu pragnącemu uszczęśliwiać świat cały, lub tylko słowiański powinno być wiadomem, choćby to z historyi, że plemienne uczucia nie zapobiegły nigdy najzażartszym bojom między zbliżonemi pochodzeniem ludami, ani zapobiegły temu smutnemu objawowi, iż jedne wydawały drugie na łup zupełnie obcemu plemieniu, gdy tymczasem w najświeższych

czasach powstały dwa potężne państwa w imię narodowości, Włochy i Niemcy.

Pan Aksakow jednak bractwo wszechsłowiańskie buduje żarliwie na podstawie uczuć plemiennych i wytworzenie języka wszechsłowiańskiego literackiego uważa za rzecz tak łatwą i możliwą, iż dziwićby się należało, gdyby się znalazł niedowiarek „cum graeca fide“. Przecież Polacy pisują dzieła uczone po niemiecku, aby się porozumieć ze Słowianami w Austryi, — dlaczegóżby więc nie mieli pisywać dzieł w języku ruskim? — któryby się odział w szatę wszechsłowiańską. Jak poprzednio, tak i tym razem podziwiać musimy niebywałą w publicystach naiwność autora, którego natchnienie przeistacza fakta elementarne i zrozumiałe zresztą dla każdego śmiertelnika. Czyż albowiem istotnie Polacy pisują dzieła uczone po niemiecku i po francusku, aby się porozumiewać ze Słowianami austryackimi lub nieaustryackimi? Nie ulegając wszechsłowiańskiemu natchnieniu, musimy sprostować przepiękne obrazy tej fantazyi.

Polacy, tak samo jak i Rosyanie, pisują coraz częściej traktaty naukowe w językach zachodniego świata, dlatego właśnie, że im, jako silnie rozwiniętym i mającym swe stanowisko w dziejach cywilizacyi narodowościom, nie jest obcem poczucie, które Laurent nazwał „conscience de l'unité humaine“, to jest poczucie jedności i wspólności w imię pracy ducha, w imię zadań humanitarnych i badania prawdy. Potężna narodowość nie zasklepia się w ograniczonym i często śmiesznym szowinizmie, nie chełpi się ani wynosi urojonemi zasługami lub przymiotami, ale staje do ogólnej pracy cywilizacyjnej i pragnie się zdobyczami ducha podzielić z tymi, którzy w tej orlej drużynie zajmują przodujące stanowisko.

Rosyanie przeto, jak i Polacy, nie pozbywając się swego narodowego patryotyzmu, ogłaszają prace naukowe w języku francuskim lub niemieckim, aby przekonać świat, że nietylko są narodem, ale zarazem i zwiastunem cywilizacyi, i że poczuwają się do powinowactwa duchowego z temi ludami, które od wieków świeciły przykładem pracy i postępu Poczucie powinowactwa duchowego nie jest bynajmniej fikcyą plemienną, ale istotną potęgą i pragnieniem, którego nie zniweczą polityczne niesnaski. Historya, nieprzerabiana podług wzorów natchnienia, wskazuje, jakie walki zacięte w obronie

swego bytu politycznego i narodowego musieli toczyć z Niemcami Polacy i Czesi. Dziś nawet Księstwo Poznańskie słyszy naprzemiany mordercze hasła: „ausrotten“ lub „germanisiren“; a przytem nazwano w Prusach wszystkie demoniczne potęgi, aby tylko uczucie narodowe zdemoralizować oraz zniweczyć obłudnemi obietnicami politycznemi, zachęcając do szacherki z najświętszemi obowiązkami względem swego sumienia.

Mimo to jednak łudziłby się bardzo mistrz teoryi bractwa wszechsłowiańskiego, mniemając, iż narodowość, niesłusznie prześladowana, powodując się jakąś zasadniczą nienawiścią i pragnieniem zemsty, nie potrafi rozróżnić, co ma potępić a co uznać w swoich przeciwnikach. Bolesne eksperymenta, niegodne wielkiego i ucywilizowanego narodu niemieckiego, spadną niewątpliwie prędzej lub później brzemieniem złowrogich następstw na rząd pruski, ale wszelkie agitacye, podszczuwające do walki narodowościowej, rozbiją się, jak o opokę, o powinowactwo duchowe, które zmusi Polaków do uszanowania w ludzie niemieckim zasług cywilizacyjnych, położonych w przeszłości i składanych nieustannie w bieżącej chwili. Gdyby p. Aksakow chciał z dziedziny mrzonek zejść na pole twardej rzeczywistości, przekonałby się bardzo szybko, iż tam gdzie się toczy rozpaczliwa obrona, jak w Księstwie Poznańskiem, wszyscy rycerze, ze Słowackiego hasłem na ustach: „syn twój na sztandarach, jak pies, się położył“, walczą do upadłego, licząc na własne siły i na przebudzenie się sumienia w narodzie niemieckim, a nikt w tak twardej chwili nie wspomina nawet o uczuciach plemiennych.

P. Aksakow zaś pragnie, aby wszyscy Słowianie, a między nimi naturalnie i Polacy, dla owej nowej miłości plemiennej porzucili swój język, który w jego natchnionych oczach przybrał szczupłe rozmiary narzecza, i aby w literaturze naukowej posługiwali się językiem ruskim, jako wszechsłowiańskim. Nie będziemy zajmowali uwagi niczyjej wywodami filologicznemi, wyjaśniającemi doniosłość mowy rodzinnej. Odsyłając czytelnika po podobne wyjaśnienia do specyalistów, nadmienimy jedynie, że język jest dla narodowości jednym z największych skarbów, jest częścią, i to bardzo poważną, jego przeszłości, a jedną z najpoważniejszych gwarancyi na przyszłość. Język narodu zawiera nietylko formę dla wypowiadania

treści, ale już gotowe i wyrobione pojęcia, które każdemu ułatwiają zgłębienie prawd naukowych w jakimkolwiekbądź kierunku. Jest to serce i umysł zarazem w historycznem znaczeniu, ponieważ język zachował wiernie i wiecznie to, co pomyślała głowa narodu i co uczuło jego serce. Mamyż wyrwać to serce, stępić ten umysł w imię uczuć plemiennych?

Bardzo nam przykro, że marzenia podobne rozwiać musimy znowu z elementarzem nauki polityki w ręku. Wszak p. Aksakow powinien był, reformując Słowiańszczyznę całą, zasłyszeć coś o żelaznem prawie wyższej cywilizacyi i kultury, które znaczą mniej więcej to: — że, jeżeli narodowość zwątpi o swej duchowej potędze i ulegnie procesowi rozkładowemu, to łączy się z narodowością wyższą i silniejszą politycznie, ale bynajmniej nie cofa się do swej historyi naturalnej, aby się orzeźwiać w plemiennych zdrojach. Wszelkie nadzieje zmodyfikowania i nakręcania do swych tendencyi niezmiennych i nieuniknionych praw — okazałyby się płonnemi.

Czy, pisząc swą doktrynę, zastanowił się autor nad tem: jaką usługę oddaje własnemu społeczeństwu, karmiąc je chorobliwemi fikcyami? Czy nie błysła mu ani na chwilę myśl prosta, a wskazująca Rosyi inne, świetniejsze, a prawdziwe stanowisko wśród Słowiańszczyzny? Sądząc z tego co dotychczas napisał, mamy prawo mniemać, iż epoka jego otrzeźwienia daleka, i dlatego na zakończenie pozwolimy sobie skierować zarówno jego, jak i jemu podobnych reformatorów, uwagę na to: iż zamiast dążyć do niepodobieństw i stawiać się na stanowisku Stwórcy, dyktującego światu nowe prawa i nowy porządek, lepiej wskazywać swemu społeczeństwu oraz państwu te obowiązki i to stanowisko, które się im z sytuacyi politycznej niewątpliwie należą.

Nie wątpimy, iż następcom Aksakowa przypomni się ta droga, chociaż i to nam się wydaje pewnem, że ci następcy nie będą mu wdzięczni, jak i jemu podobnym, za ową strawę duchową, którą podawał swemu krajowi. Karmienie fikcyami nie nadługo może wystarczyć. Fikcye te, ukrywając pewne cele polityczne, mogą się nawet przez jakiś czas podobać masom, ale natury praw społecznych i politycznych nie przeistoczy się wykrętami, jak w mechanizm nie tchnie się ducha organicznego.

Wszelkie ideały, reformujące ludzkość, muszą czerpać swą siłę w prawdzie i miłości. Jak Aksakow pojmuje prawdę, o tem staraliśmy się poinformować czytelnika, co się zaś tyczy rzetelnej miłości dla Słowiańszczyzny, to jesteśmy przekonani, że uczucie powyższe gości w sercu razem z poczuciem prawdy. Jedno jest bez drugiego niemożliwem, a gdzie obu niema, tam rozpoczyna się panowanie szkodliwych namiętności.

4.

NOWE PRAWO[1]).

Ustawa o urządzeniu gruntowem wiejskiem czynszowników wieczystych w guberniach zachodnich i białoruskich z d. 9 (21) czerwca 1886 r. i zdanie o niej „Wiestnika Ewropy".

Zanim druk pracy mojej, poświęconej kwestyi wieczysto-czynszowej w guberniach północno i południowo-zachodnich Cesarstwa został ukończony w „Niwie", już sprawa powyższa została na drodze prawodawczej rozstrzygniętą. Ponieważ jednak poprzednio publikowałem rozprawę rzeczoną w przekładzie rosyjskim, z zamiarem wyjaśnienia w odpowiednich sferach niektórych wątpliwości, przeto doczekałem się ze strony prasy rosyjskiej licznych zarzutów i krytyki, bardzo dalekiej zarówno od znajomości samej kwestyi jak i od bezstronności Podnoszenie wszakże i rozbiór zarzutów czynionych mej pracy, uważałbym za rzecz satysfakcyi osobistej, mogącej znudzić czytelnika „Niwy". Pominę zatem całą stronę polemiczną, przy przedstawieniu treści nowej ustawy z d. 9 (21) czerwca milczeniem, a ograniczę się jedynie na przytoczeniu zdania „Wiestnika Ewropy"[2]) albowiem wydawnictwo powyższe używa słusznie znacznej reputacyi naukowej w Cesarstwie i godzi nietylko w moją pracę lecz zarazem poddaje krytycznej ocenie samą ustawę i, ubolewając nad zbyt wielkiem uwzględnieniem interesów większej własności, wskazuje niejako na moje studyum jako na źródło zarażliwe i mętne, z którego do pewnego stopnia czerpał prawodawca. Zdanie też „Wiestnika

[1]) Pracę powyższą wydrukowałem w „Niwie" w r. 1887.

[2]) Вѣстникъ Европы октябрь 1886 str. 807 i dalsze — krytyka ustawy, w poprzednim (str. 900 i dalsze) krytyka mej pracy.

Ewropy“ może uchodzić za opinię inteligencyi rosyjskiej o ustawie z d. 9 (21) czerwca, a więc rozbiór poglądów niniejszego czasopisma może nie odbiegać od samego prawodawczego przedmiotu i nie uchodzić za obronę osobistą, na której mi w tym razie nic nie zależy.

Przedewszystkiem wszakże przystąpię do streszczenia ustawy o urządzeniu gruntowem wiejskich czynszowników wieczystych z dnia 9 (21) czerwca, nadmieniając, że posługiwałem się tekstem wydanym przez „Kraj“ w języku rosyjskim i polskim [1]). Nasamprzód moc ustawy z d. 9 (21) czerwca, rozciąga się na czynszowników wieczystych wszelkiego stanu i wyznania, będących poddanymi rosyjskiemi i władających poza obrębem miast i miasteczek cząstkami gruntów na prawie przekazywanego potomstwu bezterminowego użytkowania i rozporządzania, z obowiązkiem wykonywania na rzecz dziedzica określonych powinności, pieniężnych lub naturalnych, wysokości których dziedzic dowolnie zmieniać nie może (art. 1). Co się tycze dowodzenia praw wieczysto czynszowych, to ustawa zaprowadza dwie kategorye czynszowników. O pierwszej z nich, mogących się powoływać na dowód ze świadków, mówi art. 2 jak następuje: władanie cząstką gruntu, które się rozpoczęło w guberniach zachodnich przed dniem 21 sierpnia 1840 r., zaś w guberniach białoruskich przed d. 9 stycznia 1831 r. uważa się za wieczyście czynszowe: 1) jeżeli się opiera na akcie piśmiennym, chociażby nieformalnym, z którego widać, iż cząstka ziemi zajmowana przez czynszownika, była oddaną przez dziedzica w obce użytkowanie i rozporządzenie na warunkach wskazanych w artykule 1; 2) w braku podobnego aktu, jeżeli władający cząstką za pomocą dowodów piśmiennych lub zeznań świadków i ludzi okolicznych dowiedzie: a) że cząstka pozostawała w bezterminowem użytkowaniu i rozporządzaniu osób postronnych względem dziedzica; b) że przechodziła od jednego czynszownika do drugiego prawem spadku lub na innej dozwolonej przez prawo drodze; c) że władający cząstką obowią-

[1]) Ustawa o urządzeniu gruntowem wiejskich czynszowników wieczystych w guberniach zachodnich i białoruskich Najwyżej zatwierdzona z dnia 9 (21) czerwca 1886 z objaśnieniami i wszystkiemi przepisami uzupełniającemi. Petersburg.

zany był oddawać na rzecz dziedzica pewne powinności pieniężne lub naturalne w określonej wysokości, i d) że rodzaj i wysokość tych powinności, od samego początku władania czynszowego aż do czasu obecnego pozostawały niezmiennemi, lub zmieniały się nie inaczej, jak z zachowaniem warunków, ustanowionych przy samem zawarciu umowy.

Władanie zaś ziemią (art. 3) rozpoczęte w guberniach zachodnich po d. 21 sierpnia 1840 r. a w guberniach białoruskich po 9 stycznia 1831 r. ale nie później jak na dziesięć lat przed dniem wydania ustawy niniejszej (to jest nie później jak 18 (30) lipca 1876 r.) uważa się za wieczyście czynszowe: 1) jeżeli przez dowody piśmienne będzie ustalonem, że wykonywanem było na warunkach wskazanych w art. 1 i — 2) w razie niejasności, niezupełności lub w braku takich dowodów — wtedy tylko, jeżeli cząstka gruntu podana za wieczyście czynszową, znajduje się w obrębie posiadłości pozostających w użytkowaniu mieszkańców całego lub części przysiołka, uznanych za czynszowników wieczystych. Widzimy więc, że druga kategorya czynszowników określonych art. 3 może się powoływać na dowód ze świadków przy dochodzeniu swych praw, jedynie w bardzo szczupłym zakresie wypadków określonych z góry przez ustawę.

Prawo wieczyście czynszowe uznane w należytej drodze, rozciąga się tylko na te grunta, które w chwili wydania ustawy niniejszej będą pozostawać w rzeczywistem użytkowaniu i rozporządzaniu posiadaczów czynszowych (art. 5). Nie będą jednak pozbawieni praw korzystania z urządzenia gruntowego, o ile dowiodą swych praw: a) osoby, które chociaż wyrugowane zostały przez dziedziców, ale wytoczyły w należytym porządku akcye o przywrócenie im odebranych cząstek, i nie zapadł jeszcze prawomocny wyrok odrzucający to żądanie i b) osoby wyrugowane z posiadanych przez się cząstek w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przed wydaniem ustawy niniejszej (to jest po 18 (30) stycznia 1866), jeżeli władanie ich będzie następnie przywróconem przez wyroki sądowe (art. 6). Za dowody wieczyście-czynszowego posiadania i odbywanych na rzecz dziedzica powinności czynszowych służą: statuty organizacyjne, przywileje, nadania, umowy, kontrakty i inne dokumenty piśmienne

wydane przez dziedziców jak również własne tychże dziedziców przyznanie (art. 7). Prócz tego mogą być za dowód przyjmowane: a) wyroki sądowe oraz akta i dokumenty proceduralne, b) cesye, testamenty i dokumenta dotyczące spadku zamiany lub sprzedaży, c) książeczki płatnicze, kwitki od dziedziców, plenipotentów, poświadczające płacenie rat czynszowych lub odbycia naturalnych powinności czynszowych, d) inwentarze ekonomiczne, książki gruntowe, rejestra, spisy, plany, i tym podobne dokumenty odnoszące się do majątków, e) przypisanie czynszowników wieczystych albo ich przodków lub wreszcie osób, od których przeszły do nich grunta, do liczby mieszkańców osiadłych na gruntach zajmowanych przez wieczystych czynszowników, według wykazów rewizyjnych, spisów rodzinnych metryk oraz innych świadectw stanu i wyznania. Wreszcie, w razie niejasności, niedokładności lub braku dowodów pisemnych przyjmują się zeznania świadków i mieszkańców okolicznych: a) dla stwierdzenia cech wieczyście-czynszowego władania w wypadkach wymienionych w punkcie 2, artykułu 2 oraz w punkcie 2 artykułu 3, b) dla wykazania osoby, która włada cząstką uznaną za wieczyście czynszową.

Rozdział II ustawy z d. 9 (21) czerwca 1886 r. na samym wstępie (art. 10) przepisuje, że w ciągu lat trzech od dnia ogłoszenia ustawy, dziedzice i wiejscy czynszownicy wieczyści mogą zawierać między sobą dobrowolne ugody o rozwiązanie dotychczasowego stosunku, bądź przez wykup prawa przez dziedzica, bądź przez nabycie na własność czynszowej cząstki przez samego czynszownika, bądź wreszcie przez zamianę władania czynszowego na dzierżawę. Wymienione powyżej dobrowolne ugody nabierają wszakże dopiero wówczas mocy obowiązującej, gdy po odpowiedniem sprawdzeniu zostaną zatwierdzone przez powiatową komisyę czynszowniczą. W razie zaś gdy dobrowolna ugoda określi skup praw dziedzica przez czynszownika, rząd dopomaga temu ostatniemu za pośrednictwem udzielenia pożyczki wykupowej, której wysokość nie powinna przenosić tej sumy, jaka przypadałaby do wypłaty ze skarbu przy obowiązkowym wykupie powinności czynszowych (art. 18).

Po upływie lat trzech od dnia ogłoszenia ustawy z d. 9 (21) czerwca 1866 r. wiejscy czynszownicy wieczyści nabywają na wła-

ność przyznane im grunta czynszowe, za pomocą obowiązkowego, przy współudziale rządu, wykupu wszystkich ciążących na tych gruntach powinności (art. 13). Wysokość sumy wykupowej ustanawia się przez skapitalizowanie, w stosunku sześć od sta, rocznej wartości wszystkich obciążających cząstkę gruntu powinności czynszowych, (to jest mnożąc roczną wartość wszystkich powinności przez $16^2/_3$) a mianowicie czynszu pieniężnego stałego i peryodycznego, powinności naturalnych, laudemiów i Bożego grosza (art. 14). Wysokość czynszu stałego pieniężnego przyjmuje się w tej sumie, jaką czynszownik obowiązany był opłacać w chwili wydania samej ustawy (art. 16). Powinności zaś naturalne oceniają się przez dobrowolną ugodę stron, jeżeli zaś te się nie zgodzą, przez komisyę czynszową, przy udziale biegłych wskazanych przez strony, po dwóch z pomiędzy miejscowych właścicieli ziemskich i z pośród sąsiednich czynszowników (art. 16). Roczna wartość czynszu pieniężnego peryodycznego, laudemiów i Bożego grosza oznacza się w sposób wskazany przepisami z 1870 r. wydanemi dla Królestwa Polskiego (art. 17). Rząd dopomaga do spłaty powinności ciążących na gruntach wieczyście-czynszowych, udzielając pod zastaw tychże gruntów pożyczki skarbowe, których wysokość nie powinna przenosić szacunku wskazanego w specyalnej tabeli (18). Jeżeli suma wykupna nie dosięga najwyższej normy pożyczki, to do sumy tej dodają się zaległości czynszowe nie wypłacone przez czynszownika od r. 1876, wszakże bez doliczenia procentów. Jeżeli zaś suma wykupna przenosi najwyższą normę pożyczki rządowej, to ta ostatnia udziela się tylko podług normy a resztującą sumę czynszownik wypłaca dziedzicowi w całości, przy zawieraniu aktu wykupnego, albo w ratach za zobopólną zgodą (20).

Pożyczka wykupowa wypłaca się dziedzicowi w pięcioprocentowych papierach państwowych a następnie zostaje spłaconą przez czynszownika, podług prawideł operacyi wykupnej, w ciągu lat czterdziestu dziewięciu, w rocznych ratach, wynoszących 6% od udzielonej pożyczki (21). Naturalnie, że czynszownicy mają prawo i przed terminem w. art. 21 wskazanem, spłacić wszystkie lub część przypadających od nich rat wykupnych, za pomocą osobnych pojedyńczych upłat (22). Regularność spłaty rat wykupnych przez czyn-

szowników, zabezpiecza się środkami wskazanemi w art. 126, 131—138 i 170 ustawy o wykupnie z d. 19 lutego 1861 r. (28). Przy sprzedaży cząstki czynszowej przez publiczną licytacyę za zaległości w ratach wykupnych, cząstka powyższa może być nabywaną przez mieszkańców tejże samej wsi, w której mieszka niewypłacalny czynszownik, choćby należeli oni do kategoryi osób nie mających prawa nabywania własności ziemskich w kraju zachodnim (24). Wraz z prawem własności do sadyb i gruntów czynszowych, przyznaje się czynszownikom prawo korzystania z serwitutów na gruntach dziedzica, w takiej postaci i zakresie, w jakich używalność serwitutowa była im dozwoloną i wykonywaną przed zniesieniem stosunków czynszowniczych. O tem, że czynszownik posiada serwitut, robi się wzmianka w akcie wykupnym z określeniem o ile można najdokładniejszem zakresu i charakteru serwitutowego użytkowania. Przy zachowaniu serwitutu pastwiskowego powinny być szczegółowo oznaczone: położenie i granice gruntów, na których przysługuje rzeczony serwitut, jak również rodzaj i ilość bydła, które może być wypuszczone na paszę (25).

Dobrowolne umowy dziedziców z wieczystymi czynszownikami o odseperowanie używalności i szachownic, przeniesienie sadyb czynszowniczych i zniesienie serwitutów, zawarte przed zatwierdzeniem czynszowych aktów wykupnych, poświadczają się przez mirowego pośrednika albo członka stałego powiatowej komisyi włościańskiej i zatwierdzają się razem z aktami wykupnemi. Dobrowolne zaś umowy zawarte po zatwierdzeniu aktu wykupnego poświadczają wyżej wymienieni urzędnicy i zatwierdzają zarazem, stosując się w tym względzie do uwagi I-szej art. 86 tejże ustawy (26). Wreszcie czynszownicy wiejscy należący do stanu mieszczańskiego, jednocześnie z zatwierdzeniem aktu wykupnego, przepisują się do kategoryi wiejskich obywateli i zapisują się do gminy, w której mieszkają, bez uzyskiwania zgody gromad włościańskich. Przytem osoby zapisane w ten sposób, jakoteż członkowie ich rodzin, są wolni od kar cielesnych na mocy tych samych zasad co mieszczanie (27).

Trzeci i ostatni rozdział ustawy z d. 9 (21) czerwca 1886 r. zajmuje się wprowadzeniem w życie urządzenia gruntowego wiejskich czynszowników wieczystych, poruczając wykonanie przepisów

powyżej streszczonych: a) utworzonym w tym celu powiatowym komisyom czynszowniczym i b) gubernialnym komisyom do spraw włościańskich pod zwierzchnim nadzorem ministra spraw wewnętrznych, oraz pod bezpośredniem kierownictwem jenerał gubernatora, gdzie takowy się znajduje. Kwestye zaś sporne oraz nieporozumienia, dotyczące praw i obowiązków dziedziców oraz wiejskich czynszowników wieczystych, rozstrzygane będą przez senat rządzący, albo też przedstawione w razie potrzeby do rozpatrzenia w drodze prawodawczej (28). Powiatową komisyę czynszowniczą składają: a) w guberniach gdzie są pośrednicy mirowi — prezes powiatowego zjazdu pośredników mirowych, członek władzy sądowej wyznaczony przez ministra sprawiedliwości, jeden z miejscowych właścicieli ziemskich zaproszony przez gubernatora i pośrednik mirowy; b) w innych guberniach — prezes i członkowie powiatowych komisyj włościańskich wraz z członkiem władzy sądowej, mianowanym przez ministra sprawiedliwości i jednym z miejscowych właścicieli ziemskich, zaproszonym przez gubernatora. Prezydowanie w powiatowej komisyi czynszowniczej należy do prezesa powiatowego zjazdu pośredników mirowych albo prezesa komisyi włościańskiej (30—31). Gubernialną komisyę włościańską do roztrząsania spraw czynszowniczych składają: gubernator jako przewodniczący, wice gubernator, gubernialny marszałek szlachty, zarządzający izbą skarbową, zarządzający dobrami państwa, prokurator albo podprokurator znajdującego się w mieście gubernialnem sądu okręgowego, członek stały, a gdzie takowego niema członek od rządu i jeden z miejscowych właścicieli ziemskich, zaproszony przez jenerał-gubernatora, lub gdzie tego ostatniego niema, przez ministra spraw wewnętrznych (33).

Procedury dla spraw czynszowniczych w powiatowych komisyach czynszowniczych i w gubernialnych komisyach włościańskich, określają ogólne przepisy, wyłuszczone w ustawie o instytucyach włościańskich powiatowych i gubernialnych (34). Skargi na decyzye powiatowych komisyj czynszowniczych i gubernialnych komisyi włościańskich, podają się w terminie dwumiesięcznym, licząc od dnia ogłoszenia decyzyi na wyroki komisyi powiatowych do komisyi gubernialnej, a na postawienia tej ostatniej do drugiego departamentu

Rządzącego Senatu; przyczem skargi wnoszą się za pośrednictwem tej instytucyi, w której zapadła skarżona decyzya. Wszystkie wyżej wymienione instancye roztrząsają sprawy w całej osnowie (in merito). W rządzącym Senacie sprawy powyższe są rozpatrywane przy udziale ministra spraw wewnętrznych (35). Dokumenty, co do których zadeklarowano spór o fałsz, przesyłają się przez instytucyę rozpatrującą prokuratorowi miejscowego sądu okręgowego, dla ocenienia ich autentyczności na drodze sądowej w porządku przepisanym przez artykuły 547—565 ustawy postępowania sądowego cywilnego (36). Prócz tego każdy właściciel, w majątku którego władają posiadłościami gruntowemi wiejscy czynszownicy wieczyści, powinien w ciągu roku od dnia ogłoszenia ustawy, złożyć miejscowej powiatowej komisyi, wprost od siebie albo przez pośrednika mirowego, lub stałego członka powiatowej komisyi: a) sporządzony podług formy, imienny wykaz czynszowników osiadłych w majątku, z wymienieniem: wieczystych czynszowników, będących gospodarzami sadyb, ilości ziemi, jaką każdy z nich włada, przybliżonego opisu tej ziemi, wysokości płaconych, lub do płacenia przypadających pieniężnych czynszów wszelkiej nazwy, jak również powinności, jakie winny być odbywane, ich wartości pieniężnej oraz serwitutów, z jakich korzystają czynszownicy wieczyści, b) mapy gruntów wieczyście czynszowych jeżeli są takowe (38). Powyższą pisemną listę czynszowników, powiatowa komisya odsyła do zarządu gminy, w której leży majątek i tam wywiesza się ją na miejscu widocznem, a prócz tego odczytuje się na głos wezwanym z majątku czynszownikom. Osoby niezamieszczone na liście, mają prawo wnieść oświadczenie w swoich prawach i złożyć stwierdzające dowody komisyi, przed upływem sześciu miesięcy od czasu ukończenia sprawdzania na gruncie. Po upływie tego terminu żadne pretensye do wieczyście czynszowego władania przyjmowane nie będą (39).

Objaśnić jeszcze należy, że wszelkie sprawdzania listy odbywać się będą w obecności stron albo ich pełnomocników lub plenipotentów oraz przynajmniej trzech świadków z pośród mieszkańców okolicznych. Niestawienie się wszakże stron lub ich pełnomocników nie może wstrzymywać czynności. Przy sprawdzaniu zaś, pośrednik mirowy albo stały członek szacuje na pieniądze naturalne powinności

czynszownicze, nakłania spierające się strony do zgody i poleca zdjąć plan oraz oznaczyć na gruncie czasowemi znakami cząstki wieczyście czynszowe. Ze wszystkich swych czynności urzędnik dokonywający sprawdzenia sporządza protokół, który podpisują obecne strony lub ich pełnomocnicy i świadkowie a po podpisaniu nie później jak we dwa tygodnie, protokół powyższy wraz ze wszystkiemi czynszowemi aktami składa się powiatowej komisyi (42 i 43). Jeżeli zaś powiatowa komisya dowie się, że właściciel, w majątku którego znajdują się wieczystoczynszowe cząstki, nie złożył w terminie rocznym wykazu wymaganego przez art, 38, w takim razie wydaje polecenie, aby pośrednik mirowy lub stały członek wspomniany wykaz sporządził na miejscu (44).

Do atrybucyi powiatowej komisyi czynszowniczej należą następujące czynności: a) nakłanianie stron spierających się do polubownej zgody; b) ustalanie praw wieczystych czynszowników do gruntu, c) oznaczenie rozległości oraz gatunku cząstek czynszowych, d) określenie wysokości czynszów pieniężnych i zamienionych na pieniądze naturalnych powinności czynszowniczych, e) obliczenie czynszów niedopłacanych właścicielowi za czas ubiegły, f) kapitalizacya sposobem wskazanym w artykułach 14—17 ustawy powyższej powinności czynszowniczych oraz określenie wysokości sumy wykupnej za każdą cząstkę wieczyście czynszową i g) obliczenie dla każdego władania wieczyście czynszowego wysokości pożyczki rządowej i dodatkowych do niej spłat. Względem wszystkich wymienionych przedmiotów komisya wydaje specyalną decyzyę i na zasadzie tej ostatniej zakłada czynszowe akta wykupne podług formy zatwierdzonej przez ministra spraw wewnętrznych. Dokumenty powyższe przedstawiają się stronom obecnym, na dowód czego ściągają się od nich deklaracye w obecności przynajmniej trzech świadków. Przytem prezes komisyi objaśnia strony, jaki jest porządek i termin do zaskarżenia (46).

Gubernialna komisya do spraw włościańskich przy rozpatrywaniu czynszowych aktów wykupnych i przy rozstrzyganiu skarg na postanowienia powiatowych komisyi czynszowniczych, kieruje się artykułami 99—103 ustawy o wykupie, oraz artykułami 127, 128, 130—132 ustawy o gubernialnych i powiatowych instytucyach do

spraw włościańskich (48). W razie uznania aktu wykupnego za zasługujący na zatwierdzenie, komisya gubernialna przesyła całe akta do głównego urzędu wykupnego (49). Jeżeli zaś na postanowienia komisyi gubernialnej, podaną zostanie skarga do Rządzącego Senatu, to przesłanie akt wykupnych do głównego urzędu wykupnego zostanie wstrzymane; jeżeli zaś akta są już przesłane, to komisya gubernialna zawiadomi o podaniu skargi urząd wykupowy, ażeby tenże zwrócił akta i nie przyznawał pożyczki aż do rozpatrzenia skargi w Senacie (50). Wszelkie skargi na postanowienia gubernialnych komisyi podane, też komisye przesyłają do Rządzącego Senatu wraz z objaśnieniami i całemi aktami, w ciągu miesiąca od dnia podania skargi. Do czasu rozstrzygnięcia skargi w Senacie wykonanie decyzyi gubernialnej komisyi wstrzymuje się, z wyjątkiem decyzyi o wnoszeniu rat wykupnych (31). Przed wysłaniem aktu wykupnego do głównego wykupnego urzędu, komisya gubernialna poprawia wszystkie obliczenia co do spłat, dokonane przez komisyę powiatową, po dzień od którego będzie przyznaną pożyczka wykupna i od tegoż terminu rozpoczyna się płacenie przez czynszowników do kasy powiatowej przypadających od nich rat wykupnych (52). Wreszcie główny urząd wykupny kieruje się art. 105—107 ustawy o wykupie a pożyczka wykupna przyznaje się od 1 lutego, albo od 1 maja, albo od 1 sierpnia, albo od 1 listopada, stosownie do tego, która z tych dat bezpośrednio poprzedzała ostateczne rozpatrzenie aktu wykupnego w komisyi gubernialnej.

Jako uzupełnienie ustawy o wieczystych czynszownikach wiejskich z d. 9 (21) czerwca 1886 r. należy jeszcze przytoczyć niektóre przepisy zawarte w „zdaniu rady państwa“, które w tymże dniu co i ustawa uzyskało sankcyę monarszą. Zdanie powyższe w ustępie VI przypisuje mianowicie, że nie ukończone do czasu ogłoszenia ustawy sprawy cywilne pomiędzy dziedzicami a wiejskiemi czynszownikami wieczystemi, dotyczące wieczyście czynszowego władania posiadłościami gruntowemi, z wyjątkiem spraw o przywrócenie zakłóconego władania wieczyście czynszowemi cząstkami, mają być umorzone. Niewykonane zaś jeszcze wyroki sądowe w sprawach cywilnych pomiędzy dziedzicami a wiejskimi czynszownikami, o ile są sprzeczne z ustawą o urządzeniu gruntowem wiejskich

czynszowników wieczystych, nie mają być wykonanemi (40). Wreszcie osoby, które w guberniach zachodnich i białoruskich władają bezterminowo cząstkami gruntu po za obrębem miast i miasteczek, bądź w majątkach prywatnych, bądź skarbowych lub należących do rozmaitych instytucyi, jeżeli im władze wprowadzające w wykonanie ustawę o urządzeniu gruntowem wieczystych czynszowników wiejskich, nie przyznają praw wieczyście czynszowych do tych cząstek, zachowują władanie rzeczonemi posiadłościami, na zasadach dotychczasowych, w ciągu lat pięciu od dnia uprawomocnienia się postanowień odrzucających ich żądania. Po upływie zaś tego terminu, osoby wspomniane mają prawo pozostawać na zajmowanych przez się cząstkach tylko wówczas, gdy za dobrowolną ugodą z dziedzicami kupią też cząstki, lub zawrą o nie należyte kontrakty dzierżawne na podstawie prawnej. Jeżeli zaś tego nie uczynią, to zajmowane przez nich cząstki winny być niezwłocznie opuszczone.

Przedstawiwszy treść ustawy o urządzeniu gruntowem wiejskich czynszowników wieczystych z d. 9 (21) czerwca 1886 r. przystępuję obecnie do drugiego zadania a mianowicie do przedstawienia zarzutów jakie głównie prawodawcy a w części i mojej pracy czyni „Wiestnik Ewropy“. Poważne miesięczne wydawnictwo rosyjskie oświadcza przedewszystkiem, iż ustawa z 1886 r. dużo wprawdzie daje ale zarazem i dużo pozostawia niezaspokojonych pragnień. Znaleźć też w niej można obok dodatnich stron i niezaprzeczone niedostatki, ale w żadnym razie nie można jej nazwać istotnie sprawiedliwą, jak to czyniły niektóre petersburskie liberalne gazety. Dodatnie strony ustawy z 1886 r. staną się, zdaniem „Wiestnika Ewropy“ wtedy jasnemi oraz zrozumiałemi, jeżeli je porównamy z prawem z d. 3 czerwca 1882 r. dotyczącem tak zwanych „wolnych ludzi“ w północno-zachodnim kraju. Położenie też owych „wolnych ludzi“ zbliżało się wielce do doli wieczystych czynszowników wiejskich, albowiem i jedni i drudzy, pomimo długoletniego często dziedzicznego faktycznego władania ziemią, narażeni byli na eksmisyę z gruntu; dalej jedni i drudzy zmuszeni byli do prowadzenia długich a niszczących procesów i wreszcie jedni i drudzy potrzebowali pomocy i opieki prawodawczej, nie mogąc się jej doczekać od władz sądowych oraz administracyjnych. Prawodawca,

przystępując też do uorganizowania rolnych stosunków wolnych ludzi oraz czynszowników, uwzględnił należycie stan faktyczny zarówno jak i ekonomiczne warunki bytu powyżej wymienionych klas społecznych. Z tem wszystkiem wszakże o ile się zdaje, w pewnych kierunkach zrobiono dla wieczystych czynszowników więcej aniżeli dla wolnych ludzi. Wolnym ludziom bowiem, w razie skupiania przez nich praw właścicieli, rząd przychodzi z pomocą w formie pożyczki ograniczonej wszakże tylko 85% szacunku stanowiącego sumę wykupna. Pozostałe 15% winien zapłacić sam kupujący i prawodawca pozostawia mu jedynie termin sześcioletni do wypłaty. Przy wykupnie jednakże cząstek wieczyście czynszowych, pożyczka rządowa dosięga pełnej wysokości sumy wykupnej i wieczysty czynszownik nie ma nic do dopłacania właścicielowi, chyba w tym jednym wypadku przewidzianym artykułem 20 ust. z r. 1886 gdy suma wykupna przenosi najwyższą normę pożyczki rządowej, wskazanej w odpowiedniej tabeli; wówczas bowiem resztującą sumę czynszownik winien również wypłacić dziedzicowi w całości przy zawieraniu aktu wykupnego, albo w ratach za zobopólną zgodą.

Nietylko jednak tę jedną różnicę upatruje „Wiestnik Ewropy“ między ustawą o wolnych ludziach z 1882 r. a ustawą o wieczystych czynszownikach z r. 1886. Istnieją bowiem jeszcze inne, które kategoryę „wolnych ludzi“ stawiają w nierównie gorszych warunkach ekonomicznych niż wieczystych czynszowników. Jeżeli też skup praw właściciela dopełnionym zostaje przez „wolnego człowieka“, wówczas „ipso facto“ znikną jego dawniejsze prawa serwitutowe i wzamian za nie strąca się jedynie 10% z ceny wykupnej przysługującej dawnemu właścicielowi. Przy skupie jednakże na rzecz wieczystych czynszowników prawa serwitutowe tych ostatnich pozostają nadal nienaruszalnemi, chybaby inaczej w tym względzie postanowiła dobrowolna umowa między właścicielem a czynszownikiem. Wreszcie jeżeli posiadana przez „wolnego człowieka“ cząstka ziemi psuje całość gospodarczą właścicielowi i tym sposobem w znaczeniu ekonomicznem przynosi mu szkodę, może być przez niego zamienioną na inną cząstkę a prawo pozostawia nawet właścicielowi tę swobodę, iż dla wolnego człowieka może on na zamianę kupić gdzieindziej cząstkę ziemi, jeżeli wydzielanie jej z własnego majątku

jest mu niedogodnem. Prócz tego prawo określiło nawet taki wypadek, w którym właściciel może wcale wolnemu człowiekowi nie wydzielić żadnej cząstki gruntu. Ma to miejsce wówczas, jeżeli właściciel oddał już tyle ziemi wolnym ludziom, że reszta jego własności w razie nowego skupu nie wynosiłaby stu dziesięcin gruntu. Wszystkich powyżej wymienionych przepisów, nieprzyjaznych w wysokim stopniu dla wolnych ludzi, nie zamieściła ustawa o czynszownikach z 1886 r. i to stanowi jej dodatnią stronę podług zdania „Wiestnika Ewropy".

Ale od świetnych stron medalu trzeba przejść do ciemnych, i zadanie powyższe podejmuje z gorliwością czasopismo rosyjskie. Przedewszystkiem należało ustawie z 1886 roku, zdaniem „Wiestnika Ewropy" rozstrzygnąć ważną kwestyę, kogo mianowicie należy uważać za wieczystego czynszownika. Z formalnego bowiem punktu widzenia prawnego, jak to samo czasopismo rosyjskie przyznaje, działalność nowej ustawy o wieczystych czynszownikach powinna się była ograniczyć na stosunkach wytworzonych do 1831 roku w guberniach białoruskich a do 1840 w guberniach zachodnich. Wiadomo przecie, że takiej formy władania ziemią, jaką było prawo wieczysto-czynszowe, ustawy rosyjskie nie znały zupełnie i nie znają. Ukazy też z 1831 i 1840 lat zatwierdziły prawomocność stosunków wieczysto-czynszowych, powstałych za dawnego porządku rzeczy, ale zarazem odjęły im grunt legalny do dalszego rozwoju. Mimo to wszakże na drodze faktycznej stosunki wieczysto-czynszowe na nowo powstawały i liczba wieczystych czynszowników wzrastała. Zapomnienie tu więc o podobnym fakcie przy ostatecznem rozstrzygnięciu kwestyi czynszowej nie było możliwem i summum jus zamieniłoby się tym razem więcej niż kiedykolwiek w summa injuria... „Wykreślenia też jednem pociągnięciem pióra wszystkich czynszowników wieczystych późniejszego pochodzenia nie projektowali nawet tak żarliwi obrońcy interesów większej własności jak Rembowski, pragnąc jedynie, aby opieką prawa otoczone były te z powyższych stosunków wieczysto-czynszowych, które się opierają na dokumentach piśmiennych". Ustawa jednak z 1886 r. poszła dalej niż życzenia powyżej wymienionego autora. Władanie bowiem czynszowe powstałe przed 1831—40 rokiem może być dowodzone za pomocą świadków

oraz okolicznych ludzi i tylko stosunki wieczysto-czynszowe powstałe po tej dobie winny być dowodzone piśmiennymi dokumentami. Surowość ostatniego przepisu złagodzoną jest do pewnego stopnia tem, że cząstki leżące wśród ziem uznanych za wieczyście czynszowe mogą być nawet w razie wątpliwości dowodu piśmiennego przyznawane wieczystym czynszownikom.

Podobne rozstrzygnięcie kwestyi nie wydaje się „Wiestnikowi Ewropy“ konsekwentnem. Niewątpliwie bowiem za czasów porządku prawnego litewsko-polskiego, umowy wieczysto-czynszowe powstawały niekiedy w formie słownej; również nie da się zaprzeczyć, że po wprowadzeniu rosyjskiego prawodawstwa, sposoby wytwarzania się praw wieczysto-czynszowych nie uległy zmianie. Logiczne następstwo zatem tych dwóch faktów jest bardzo jasne i zadość uczynić można mu tylko, znosząc różnicę między dwoma kategoryami wieczystych czynszowników, jakie ustanowił prawodawca, a tem samem dozwalając i tym co powstali po 1830—40 r. dowodzić swych praw za pomocą świadków, zwłaszcza jeżeli istnieje początek dowodu na piśmie. Bardzo się także nie podobają „Wiestnikowi Ewropy“ artykuły 4 i 5 ustawy z 1886 r. przepisujące: że osoby, których użytkowanie z gruntów zaczęło się w ciągu ostatnich dziesięciu lat przed wydaniem ustawy niniejszej, nie mogą dowodzić praw wieczysto-czynszowych do wymienionych gruntów, oraz że: prawo wieczysto-czynszowe, uznane w należytej drodze, rozciąga się tylko na te grunta, które w chwili wydania ustawy niniejszej będą pozostawać w rzeczywistem użytkowaniu i rozporządzeniu posiadaczów czynszowych. Dziesięć lat temu, oświadcza „Wiestnik Ewropy“ nie wydarzyło się nic takiego, coby położyło kres umowom wieczysto-czynszowym. Posiadają też one te same warunki i tę samą treść jurydyczną, co umowy zawarte przed lipcem 1876 roku, a więc niema żadnego motywu istotnego, któryby mógł usprawiedliwić rozporządzenie prawodawcy.

Co się zaś tycze faktycznego posiadania gruntów wieczysto-czynszowych, które prawodawca chce uczynić źródłem prawa, to „Wiestnik Ewropy“ czuje się w obowiązku przypomnieć niektóre okoliczności zaczerpnięte z referatu p. Pichno z roku 1876. Kiedy około 1860 r., tak brzmi osnowa wymienionego referatu, poruszoną

została kwestya wieczysto-czynszowa, wówczas więksi właściciele zrozumieli szybko, iż z tej strony może powstać dla nich wielkie niebezpieczeństwo. Postanowili też wydobyć się z matni krótkim manewrem, a mianowicie zamieniając umowę wieczysto-czynszową na umowę dzierżawną. Zazwyczaj wieczystym czynszownikom przedstawiali dziedzice następującą alternatywę: albo zawrzeć umowę dzierżawną na termin ograniczony, albo wynosić się z gruntu. Przytem upewniano czynszowników, że zgadzając się na dzierżawę nic nie tracą faktycznie, albowiem umowy powyższe odnawianemi będą w podobny sposób jako wieczyste t. j. z ojca na syna. Nic dziwnego zatem, że wieczyści czynszownicy, bojąc się utracić mienie, zgadzali się na wszystko i często w jednym dniu większa liczba czynszowników podpisywała umowy dzierżawne. Niekiedy wszakże, gdy upór wieczystych czynszowników okazał się wytrwałym, uciekali się dziedzice do następującego podstępu. Przedstawiano czynszownikom nowe kontrakty do podpisania, które się nazywały bezterminowemi i czynszowemi, a w końcu dodawano zastrzeżenie, że na mocy takich a takich rozdziałów „Swoda Zakonow“. kontrakty powyższe mają być dwunastoletniemi. Tym sposobem, jak twierdzi pan Pichno, prawo czynszowe stało się przedmiotem zeskamotowania a „Wiestnik Ewropy“, opierając się na powyższej prawdziwie wschodniej legendzie, utrzymuje, iż uznając stan faktycznego posiadania za źródło prawa wieczysto-czynszowego, prawodawca rozminął się z wymaganiami sprawiedliwości.

Przynajmniej że zasłużył na uznanie „Wiestnika Ewropy“ artykuł ustawy z 1886 r. powstrzymujący egzekucyę wyroków sądowych, wydanych w sporach między właścicielem a wieczystym czynszownikiem a dotychczas jeszcze nie wykonanych. Jeżeli jednak prawodawca zyskał niespodzianie pochwałę powyższego czasopisma rosyjskiego, to jedynie dlatego, iż wyroki sądowe mogły być dawniej łatwo wydanemi przeciwko czynszownikom, albowiem sądy nie mogły jeszcze wówczas w wymiarze sprawiedliwości kierować się wskazówkami Ustawy z 1886 roku. Za to wszakże „Wiestnik Ewropy“ nie może się pogodzić z myślą, iż „prawodawca zdecydował się iść drogą wskazywaną przez Rembowskiego“ i zapragnął właścicieli odpowiednio wynagrodzić za skupywane prawa. Wprawdzie

i tym razem prawodawca zredukował znowuż desiderata Rembowskiego, który uważał, że mnożnik 25% dla czynszu i wszelkich powinności w celu wytworzenia ceny skupnej, byłby odpowiednim. Ale dla „Wiestnika Ewropy“ mnożnik $16^2/_3$ przyjęty przez ustawę jest również wadliwym, należało bowiem przedewszystkiem za podstawę wykupu przyjąć nie wartość czynszu i powinności, mnożoną przez jakąbądź cyfrę, ale wartość ziemi i to wartość określoną przez władze rządowe.

Nawet skromne „pium disiderium“ Rembowskiego, uwzględnione do pewnego stopnia przez prawodawcę, a domagające się, aby obywatelstwo miejscowe, czyli reprezentanci większej własności, przyjmowali udział w pracach komisyi operacyę skupu przeprowadzających nie miało szczęścia podobać się „Wiestnikowi Ewropy“. Czasopismo powyższe nadmienia też z przekąsem, że ustawa z 1886 r. nie uznała za stosowne wezwać do współudziału w komisyi nikogo z pośród wieczystych czynszowników. W końcu dostaje się jeszcze jedna pochwała prawodawcy i to za przepis, mocą którego czynszownicy-mieszczanie będąc zaliczonemi do wiejskich obywateli, pozostają na dal na równi z mieszczanami wolnemi od kar cielesnych.

Na tem zakończam przedstawienie zarzutów „Wiestnika Ewropy“ nadmieniając dodatkowo, że znajdują się jeszcze w poprzednim tomie tegoż czasopisma inne, uczynione bezpośrednio mojej pracy, które pominę dlatego, iż polegają jedynie na przekręceniu tekstu, na rabulistycznem przeistoczeniu myśli i zupełnej nieznajomości historyi stosunku wieczysto-czynszowego. Krytykowi „Wiestnika Ewropy“ chodziło wyłącznie o dowiedzenie, że praca moja napisana była w celu obrony interesów małej garstki większych właścicieli a z obojętnością i nawet z niechęcią dla interesów milionów biednych ludzi(!). Około też tego zadania obraca się cała argumentacya i z tym jedynie zarzutem, ponieważ on pośrednio dotyka i Ustawę z 1886 r. liczyć się będę.

Przedewszystkiem nadmienić winienem, że myślą przewodnią pracy mojej, którą sobie niektórzy z czytelników „Niwy“ może przypomną, nie był interes żadnej wyłącznej klasy, czy to większych właścicieli, czy czynszowników, tylko interes, jeżeli już zgodnie z wymaganiami socyalnej nauki użyjemy tego terminu, całego kraju.

Sądziłem również, że prawodawca nie może stanąć na innem stanowisku, a nawet że mu niewolno tego czynić bez skażenia swego wysokiego posłannictwa, które nakazuje mu w każdym człowieku widzieć istotę mającą równe prawa do jego opieki a w każdym ważnym społecznym interesie przedmiot równie godny jego poparcia. Rzeczą też prawodawcy jest stać ponad wszelkiemi stronnictwami, nieutożsamiać się bynajmniej z jedną choćby najważniejszą klasą lub interesem, lecz uosabiać zawsze te prawo, które stoi na straży dobra całego państwa „quod ad statum Reipublicae spectat". W tych zatem wypadkach, w których interwencya państwowej władzy okazuje się niezbędną dla uratowania licznej ludności od ekonomicznego zniszczenia, prawodawca nie powinien porzucać swego podniosłego posłannictwa i zapominać o pieczy nad całością kraju, ale należy mu przedewszystkiem mieć na względzie sprawiedliwość, która jest podwaliną państwowego porządku i ochrania na równi swobodę oraz mienie każdego.

Ponieważ nie miałem zamiaru rozwijać teoryi „Wiestnika Ewropy" ale pragnąłem pracą moją objaśnić odpowiednie sfery o naturze stosunku wieczysto-czynszowego, przeto musiałem się trzymać tej nieodzownej drogi, która godziła dobrobyt i pomoc okazaną czynszownikom, ze sprawiedliwością wogóle oraz z dobrobytem innych klas. Powyższe przekonanie wyrobiło we mnie, nietylko teoretyczne maksymy wskazane prawodawcy jeszcze przez Arystotelesa[1]), ale i to ważne doświadczenie nabyte podczas reform agrarnych XIX wieku, które niezbicie każdego przekonać mogło, kto tylko nie dał się owładnąć doktrynom socyalistycznym: że podnieść ekonomicznie można ludność bezrolną tylko pomocą daną w zamian za dzielną pracę, ale nie darowizną całkowitą lub częściową, budzącą instynkta spoliacyjne oraz nadzieję złowróżbną: że zawsze tą drogą będzie można otrzymywać chleb obfity wraz z podeptaniem sprawiedliwości oraz praw własności „małej garstki dziedziców". Najlepszy przykład mamy na reformach agrarnych, przeprowadzonych w Księstwie Poznańskiem i Królestwie Galicyi. W pierwszej z wy-

[1]) Polityki Arystotelesowej, to jest rządu Rzeczypospolitej księgi, tłom. Petrycego. 1605, str. 98.

mienionych prowincyi rząd pruski przystąpił do uwłaszczenia z zamiarem sprawiedliwego wspomożenia włościan i niewywoływania waśni socyalnej [1]). Owoc też reformy agrarnej był zacnym i zadowolił nawet bardzo wymagających krytyków [2]). Przedewszystkiem jednak sprawiedliwa reforma doprowadziła prawodawcę do pożądanego celu, albowiem stworzyła stan włościański zamożny, pracowity i zdobywający coraz to żywsze poczucie publicznego dobra. Tymczasem darowizny galicyjskie sprowadziły wprost przeciwny skutek, i jak twierdzi jeden z głębokich znawców miejscowych stosunków [3]), nie mogło być inaczej. „Świat materyalny bowiem nierozerwanemi węzły łączy się z moralnym. Co jednemu szkodę przynosi, na drugi wpływa fatalnie. Zasada też prawa i moralności zwichnięta w umysłach, w stosunkach materyalnych objawiła się ruiną rolnictwa, przemysłu i handlu i wydarła z rąk mieszkańców miliony, któreby z ziemi i ożywionej pracy dobyć było można. Ten sam zaś wpływ co włościanom w Galicyi okazał źródło zysku w zaborze i nieprawem posiadaniu, był przyczyną owej zadziwiającej nieprodukcyjności gruntów włościańskich".

Wobec powyższych, niezaprzeczonych faktów, które w pracy mojej rozwinąłem obszerniej, nie mogłem przyjść do tych przekonań, które wygłosił „Wiestnik Ewropy". Małe też tylko dzielą nas różnice: i tak np. „Wiestnikowi" chodzi przedewszystkiem o owe miliony biednych, mnie zaś o całą ludność kraju; „Wiestnik" pragnąłby tylko biednym przyjść z pomocą, bez względu na sprawiedliwość, ja zaś reformę odpowiednią uważam za konieczną, z tem jednak drobnem zastrzeżeniem, aby pomoc dana jednym nie była wyraźnem skrzywdzeniem drugich. „Wiestnik Ewropy" pragnie najobficiej uposażyć w pomoc państwową biednych czynszowników, czyli inaczej mówiąc, uczynić z nich dostatnich właścicieli, ja zaś pragnąłbym widzieć w nich prócz tego, pracowitą i uczciwą, a nie trwoniącą i żebrzącą o publiczne wsparcie, klasę społeczną. „Wiestnikowi Ewropy" chodziło przedewszystkiem o chwilowe zażegnanie

---

[1]) Patrz dokładnie dzieło Klebsa p. t. „Die Landeskulturgesetzgebung, deren Ausführung und Erfolge im G. H." Posen. Berlin 1856.

[2]) Kalinka — Dezydery Chłapowski. Str. 77 i 78.

[3]) Kalinka — Galicya i Kraków str. 189.

waśni i nędzy socyalnej za pomocą jednorazowego wsparcia, mnie o trwałe zorganizowanie ładu socyalnego, któryby umożliwił wspólne pożycie i wspólną pracę. Dlatego to właśnie uważałem dowód ze świadków za bardzo niebezpieczny przy stwierdzaniu umów wieczysto-czynszowych i dziś, nawet pod zarzutem obojętności dla doli milionów ludzi, nie mogę twierdzeń moich cofnąć. Owszem przekonanie moje w tym względzie wzmocniło się jeszcze bardziej, od czasu jak poznałem dość rzadką pracę Kalinki p. t. „Galicya i Kraków“ [1]), gdzie znajduje się dowód niezbity na to: jakim środkiem łupiestwa może stać się dowód ze świadków, gdy jest używany podczas reform agrarnych. Jakim też sposobem można przypisywać pewną jurydyczną wartość zeznaniu człowieka mającego nadzieję nabycia korzystnego, bezpośredniego lub pośredniego własności, zwłaszcza gdy to zeznanie odnosi się do odległych czasów, których pamięć zacierać się musi? Jakim sposobem może mieć wartość podobne zeznanie odnoszące się do chwili niedawnej, jeżeli chciwość, pieniactwo i nieprzeparte pragnienie cudzego dobra, zamąciły wszelkie poczucia etyczne? Rozwiązanie powyższych wątpliwości znajdowało się wprawdzie w teoryach „Wiestnika Ewropy“ ale na nieszczęście pozostaną one mi zawsze obcemi.

„Wiestnik Ewropy“ jak to już nadmieniliśmy, niezadowolony jest z prawodawcy, dlatego iż dowodowi ze świadków położył pewną tamę, a mianowicie odnośnie do tych czynszowników, których umowy powstały po r. 1840. Poco bowiem ustanawiać dwie kategorye czynszowników, kiedy wiadomo, że przed, zarówno jak i po 1840 r. bywały zawierane umowy słowne a więc eo ipso, w następstwie ściśle logicznem wszystkim czynszownikom bez ograniczenia powinien przysługiwać dowód ze świadków. Pozwolę sobie pokrótce zwrócić uwagę na oryginalne teorye jurydyczne, jakie głosi „Wiestnik Ewropy“. Umowę słowną, która w stosunkach wieczysto-czynszowych była rzadkim wyjątkiem i która stanowiła wyrodzenie się prawa zwyczajowego t. j. abusus a nie usus, poważne czasopismo rosyjskie przyjmuje za istotę, czyli naturę jurydyczną kontraktu i na niej opiera swą argumentacyę. Również kiedy prawodawca przepisuje 10-letnie

[1]) Tamże. Str. 118—126.

uprzednie posiadanie, jako warunek dochodzenia praw wieczysto-czynszowych, „Wiestnik Ewropy“ zapomina o elementarnych zasadach przedawnienia prawnego, a gdy ustawa z r. 1886 w artykule 5 określa, że jej przepisy odnoszą się tylko do tych gruntów, które w chwili wydania prawa znajdują się w faktycznem posiadaniu czynszowników, teorye jurydyczne „Wiestnika Ewropy“ dochodzą do szczytu oryginalności.

Prawodawca zdaniem rzeczonego, poważnego czasopisma nie powinien był uznawać stanu faktycznego dlatego, że p. Pichno odkrył, iż wielu dziedziców namówiło swych czynszowników do zamiany umów wieczysto-czynszowych na dzierżawne i do tego był użyty podstęp, który poprzednio przytoczyłem. Pytam jednak: czy wpływ czysto moralny inteligentnego człowieka na mniej oświeconego obala tytuły praw dobrze nabytych lub umowy dobrowolnie zawarte? Czy następnie ustawa zabroniła wieczystym czynszownikom sprzedawać lub przeistaczać swe prawa i czy właściciele dopuszczali się nadużyć? Jeżeli też owe podstępy p. Pichno, którym dziwnym zbiegiem okoliczności sądy Cesarstwa spokojnie się przypatrywały, będą przyjęte za podstawę do obalania faktycznego stanu, to na mocy tej samej argumentacyi każde nabycie większej własności przez rozumnego człowieka, uznanem być może, w moc teoryi „Wiestnika Ewropy“ za wyłudzenie jej od biedniejszego i ciemniejszego, i doktryna powyższa zastosuje względem wszelkiej własności, nie nadanej przez państwo, znaną tezę Proudhona „La propriété c'est le vol“.

Ale czy przynajmniej „Wiestnik Ewropy“ opierał swe zarzuty prowokujące zemstę spoliacyjną na faktach istotnych — czy nie za daleko się posunął przyjmując za prawdę referat p. Pichno! Piszącemu niniejsze słowa nie były obcemi inne i dość liczne referaty osób zasługujących w Cesarstwie na większą wiarogodność niż pan Pichno, a jednak nie zdołał w nich dostrzedz ryczałtowego potępienia większych właścicieli. Owszem wszystkie referaty, prawie bez wyjątku, przyznawały, że nadużyć dopuszczono się daleko więcej ze strony czynszowników, a akta niesprawiedliwości popełniane przez dziedziców były rzadkiemi.

Nie będę się długo zastanawiał nad pragnieniem niezaspokojonem „Wiestnika Ewropy“ aby wynagrodzono właścicieli na podsta-

wie szacunku ziemi przez władze rządowe. Nadmienię tylko, że nawet mianowanie większych właścicieli członkami komisyj wykupnych oraz włościańskich wywołało niezadowolenie „Wiestnika Ewropy“. Czasopismo powyższe nie uwzględniło nawet tak prostych motywów jak te: że właściciele więksi zostali wezwani do współdziałania w charakterze biegłych i że należało to uczynić, aby cała ludność nabrała przekonania do sprawiedliwego postępowania władz, widząc że takowe uwzględniły zdanie wywłaszczonych. Podług „Wiestnika Ewropy“ trzeba było do grona komisyi wezwać i czynszowników, czyli stworzyć sui generis komisye reprezentacyjne, odpowiadające wymaganiom jakiegoś nowego parlamentaryzmu administracyjnego.

Na tem kończę rozbiór zarzutów „Wiestnika Ewropy“ dotyczących Ustawy z 1886 r., oraz mojej pracy. Żałuję bardzo, że w pojęciach poważnego czasopisma rosyjskiego nie będę się mógł i w przyszłości uwolnić od zarzutu obojętności dla doli milionów ludzi, ale ponad pseudo liberalne ideały droższemi pozostaną mi przestrogi pewnego człowieka z Stagiry utrzymujące: „że nie masz większej niesprawiedliwości jak obdzierać kogo z własności, a jeśliby większa część ludzi, mniejszej pobrała majętności y niemi się podzieliła, nie jest wątpliwą rzecz, iż taka Rzeczpospolita musi zginąć y zniszczyć“ [1]).

[1]) Polityki Arystotelesowej, to jest rządu Rzeczypospolitej księgi. Przekład S. Petrycego. Kraków, 1607, str. 228.

5.

NOWE PRAWO O CUDZOZIEMCACH[1]).

z dnia 14 (26) marca 1887 roku.

Kto chce się przekonać o tem, że prawo międzynarodowe rozwinęło się znakomicie w XIX wieku i że przejęło się nawskróś etyką polityczną, ten niech tylko obserwuje stanowisko cudzoziemców w przebiegu historycznym. Dawniej, za czasów starożytnego klasycyzmu jedynie obywatel, lub należący do ludów sprzymierzonych albo uciekających się pod protektorat państwa rzymskiego, mógł liczyć na opiekę prawa. Cudzoziemiec zaś, nieprzyjaciel, to były wyrazy tak blizkoznaczne, iż zdawało się, że żadna między niemi nie zachodziła różnica[2]). Poddany też państwa, które osobnego przymierza z narodem rzymskim nie zawarło, był, ściśle rzeczy biorąc, praw pozbawiony, a nawet Rzymianin będący w mocy nieprzyjaciół, jak długo zostawał w niewoli, był uważany w samym Rzymie za cywilnie nie istniejącego, i dopiero po wyswobodzeniu mógł się powołać na jus postliminii[3]). Za obywateli zatem w zakresie prawa publicznego i prywatnego uważano w świecie klasycznym „cunctos populos, quos clementiae nostrae regit imperium“. Poza związkiem państwowym jednak, t. j. poza obrębem rzymskiego imperium, znajdowali się tylko hostes lub barbaros, a względem jednych i drugich panowała aeterna auctoritas.

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Tygodniku Illustrowanym“ w r. 1887.

[2]) Bluntschli: „Das Völkerrecht“ str. 23.

[3]) Bar: „Prawo międzynarodowe prywatne i karne“ str. 32.

W wiekach średnich nie było lepiej. Wiadomą jest rzeczą, powiada Bar w powyżej cytowanym traktacie (str. 36), że podług praw germańskich obcy był pozbawionym praw (wildfang, biesterfrei), jak to także postanowionem było w dawnem prawie rzymskiem, i aby używać opieki prawnej, takową dopiero w każdym poszczególnym przypadku z osobna nabywać musiał. Nabywanie jednak owych poszczególnych praw nie było tak łatwem i narażało cudzoziemca za życia, a po śmierci jego spuściznę na nieustające wyzyskiwania materyalne. W nowszych czasach trudno się było doczekać humanitarniejszego traktowania cudzoziemców; zresztą nawet względem własnych poddanych, absolutyzm XVII wieku nie był w stanie uszanować granicy prawa. Właśnie jednak wówczas, kiedy król-słońce, wybijający na swoję chwałę medale z napisem „Heidelberga deleta“, wyganiał z Francyi masy pracowitych Hugonotów, przekonano się, że mieszanie się w imię polityki lub wyznania religijnego do swobody indywidualnej i praw prywatnych obywatela, naraża państwo przekraczające naturalny zakres władzy na znaczne straty zarówno w ekonomicznym jak i społecznym kierunku.

Przy schyłku też XVII wieku, kiedy Ludwik XIV swoją despotyczną polityką zmuszał Hugonotów do opuszczenia Francyi, znalazło się inne państwo, posiadające rząd również despotyczny, ale oświecony, które postanowiło przyjąć gościnnie niefortunnych emigrantów (refugiés), otoczyć ich pracę odpowiednimi przywilejami i traktować ich pod względem praw prywatnych na równi a może lepiej, niż własnych poddanych. Państwem powyższem były Prusy a ową rozsądną polityką względem cudzoziemców była polityka Hohenzollernów. Nie będę się wdawał w szczegóły postępowania rządu pruskiego z coraz to liczniejszemi koloniami francuskiemi, odsyłając ciekawych do pracy Beheim-Schwarzbacha p. t. „Hohenzollernsche Colonisationen“. Nadmienię tylko, że wówczas cieszyli się cudzoziemcy wogóle a Francuzi w szczególności takiem poszanowaniem i samodzielnością w Prusiech, że zdarzały się wypadki, iż poddani dawni chcieli się do nich przyłączać, uważając położenie cudzoziemskich kolonij za korzystniejsze.

Że państwo pruskie nie straciło nic na powyższej polityce, mamy na to niewzruszalne dowody w historyi. Cudzoziemcy odpła-

cili się przybranej macierzy pracowitością. Ożywili nadto przemysł krajowy, stworzyli wiele nowych gałęzi wyrobnictwa, a zlewając się towarzysko z mieszczaństwem Prus, wszczepili w nie dużo ruchliwości oraz inteligencyi. Historycy niemieccy poczytują też bardzo słusznie za wielką zasługę Hohenzollernom, iż nie ograniczając się ciasnem pojęciem poddanego, umieli zrozumieć doniosłość pracy cudzoziemców i przywabili oraz wyzyskali ją zręcznie dla swojego kraju. Z początkiem XIX wieku, rozgałęzione i coraz to ściślejsze stosunki społeczeństwa europejskiego, zmuszają rządy do przyznania cudzoziemcom opieki prawa i to w pewnych kierunkach tak rozległej, że się niczem od opieki zagwarantowanej własnym poddanym różnić nie może. W dziedzinie prawa publicznego cudzoziemiec, jako poddany obcego państwa, nie mógł z krajowcem być równouprawnionym, ale za to prawo międzynarodowe powoli wyrobiło zasadę, iż pod względem prawa prywatnego i karnego, o ile niema wyraźnych wyjątków, cudzoziemiec z poddanym państwa równej zdolności prawnej używać powinien [1]). Pomimo też, że kodeks cywilny francuski upośledził przybyszów wobec Francuzów, jeden z najpoważniejszych komentatorów Demangeat oświadczył, że: „pour nous l'étranger a la jouissance de tout les droits civils qui appartiennent au Français, à l'exception de ceux, qui lui sont positivement déniés". Kodeks zaś cywilny Królestwa Polskiego w art. II przepisał, iż cudzoziemcy używać będą równie jak Polacy, praw cywilnych, a następnie wyliczył wszystkie wyjątki od powyższej zasady.

Zdolność prawna cudzoziemców w zakresie prawa prywatnego, stała się też powodem, iż na kongresie wiedeńskim starano się urobić pojęcie poddanego mieszanego czy połowicznego — sujet mixte. Bezpośrednim powodem podobnego usiłowania była ludność polska, która tworząc dwadzieścia lat temu wstecz jedno państwo, następnie została między trzy sąsiadujące mocarstwa podzieloną. Związki rodzinne i stosunki ekonomiczne dawnych dzielnic polskich, stanowiących następnie obcy zabór, wiązały całą ludność tak ściśle, że ograniczenie zdolności prawno-prywatnej dałoby się najdotkliwiej uczuć i byłoby skrępowaniem swobody indywidualnej w wysokim stopniu.

---

[1]) Bar — str. 100.

Otóż na kongresie wiedeńskim, w celu ulżenia nienaturalnemu i niedogodnemu położeniu dawnych polskich prowincyi, urobiono termin „sujet mixte“, który miał oznaczać cudzoziemca równouprawnionego z poddanym tylko w zakresie własności i prawa cywilnego. Traktaty Rosyi z Prusami i Austryą z r. 1815 określają jasno i ściśle owo pojęcie sujet lub propriétaire mixte. Pozwolę sobie z „Traité du sixième partage de la Pologne, entre la Russie et l'Autriche“ z 21 kwietnia r. 1815, przytoczyć odpowiedni ustęp [1]). Otóż artykuł XV powyższego traktatu przepisuje wyraźnie, że: le propriétaire mixte qui a fait sa declaration de domicile, ou qui est censé l'avoir faite, conformément aux stipulations de l'art. XIII, n'est pas tenu à se défaire, à quelque epoque que se soit, des possessions qu'il pourrait avoir dans les Etats d'un souverain dont il n'est pas sujet. Il jouira, à l'égard de ses propriétés, de tous les droit qui sont attachés à la possession i t. d.

Kiedy traktaty wiedeńskie urabiały pojęcie poddaństwa mieszanego czy połowicznego, w celu udogodnienia stanowiska cudzoziemców, filozof niemiecki Kant marzył o zaprowadzeniu obywatelstwa światowego (Weltbürgerrecht), któreby zaściankowemu poddaństwu kres położyło. Naturalnie, iż marzenia Kanta przyjęli mężowie stanu z lekceważeniem, nie mniej przeto, jak słusznie zauważył Laurent w swojem słynnem dziele „Histoire de droit des gens“ (T. I), wyrabiać się poczęła w społeczeństwach i rządach europejskich „conscience de l'unité humaine“, która w tymże kierunku pragnęła zreformować prawo międzynarodowe. Odosobnione państwo — der isolirte Staat — Thünena, było zarówno pod względem ekonomicznym jak i politycznym niemożliwością. Społeczeństwa zbyt gorąco pragnęły wymiany myśli, pracy, kapitałów i wszelkiej produkcyi, oraz tyle tej wymiany potrzebowały, że nie można było jak dawniej zakazać wszelkich stosunków z cudzoziemcami. Przeciwnie nawet, państwa europejskie przyszły w połowie XIX wieku do tego przekonania, że żadne mocarstwo nie ma prawa odosobniać się bezwzględnie od innych i wzbraniać cudzoziemcom kategorycznie

---

[1]) D'Angeberg: „Recueil des Traités, Conventiones et actes diplomatiques, concernant la Pologne“, str. 655.

przystępu. W imię też tej nowej zasady, Anglia zmusiła Chiny w roku 1842 do zawiązania stosunków handlowych z Europą, a Stany Zjednoczone Ameryki północnej uczyniły to samo z Japonią w roku 1858.

Od tego czasu, jak twierdzi Bluntschli, prawo międzynarodowe zrobiło ważny krok naprzód. Rządy państw europejskich siliły się, aby udogodnić o ile możności położenie cudzoziemców, a teoretycy, jak np. Unger, utrzymywali, że wogóle niema żadnego związku między publiczno-prawną a prywatno-prawną osobistością, że, przeto można pod względem prywatno-prawnym należeć do zagranicy, a pod względem stosunków prawa publicznego do swojej ojczyzny[1]). Jako wyjątek wszakże od równego traktowania obcokrajowych i krajowców pod względem prywatno-prawnej zdolności, uznanym został przez prawo międzynarodowe odwet (retorsio), t. j. stosowanie upośledzających przepisów prawnych do cudzoziemców w przypadku, jeżeli państwo, do którego należą, też same lub podobne przepisy wobec poddanych państwa naszego stosuje. W takim razie jednak złośliwość (malitia) powinna być widoczną. Jeśliby bowiem przyczyna przypadkowego upośledzenia poddanych danego państwa tylko na odmienności ustaw zagranicznych polegała, a poddany owego państwa w danym wypadku w taki sam sposób był traktowany, wtedy niema podstawy do odwetu. Odwet dozwolonym jest tylko w tym celu, aby niesłuszność wobec poddanych państwa danego skarcić, oraz na przyszłość takowej przeszkodzić, nie zaś aby zmusić obce państwo do stosowania ustaw drugiego państwa.

W chwili kiedy powyższe zasady prawa międzynarodowego zdawały się być ustalonemi a nawet niewzruszalnemi, i gdy stanowisko cudzoziemców, pracujących spokojnie i nie mieszających się do spisków, zdawało się być zapewnionem, rząd pruski wniósł do sejmu projekt wydalenia z granic swojego państwa poddanych Królestwa Polskiego, bez względu na to, czy ci poddani posiadają w Prusiech majątek nieruchomy lub nie, i bez względu na to, ile lat przedtem przemieszkali w rzeczonej prowincyi. Proskrypcya ogólna, zdająca na łaskę samowoli ministeryalnej, byt ekonomiczny

---

[1]) Bar: str. 119.

tysięcy ludzi, tem bardziej była niespodziewaną, że nie licowała z dawną polityką kolonizacyjną Hohenzollernów, a następnie, że nie była uzasadniona żadną koniecznością polityczną. Pojąć łatwo, że w razie wojny jedno państwo może zerwać stosunki z drugiem i odosobnić się od niego za pomocą blokady zwykłej lub nawet za pomocą blocus hermétique, jaki Thiers proponował przeciwko Szwajcaryi w r. 1836, ale za to trudno pojąć, z jakich powodów rząd pruski wydalił poddanych Królestwa Polskiego, a nawet wogóle poddanych rosyjskich z obrębu własnego kraju, żyjąc z cesarstwem rosyjskiem w stosunkach życzliwości sąsiedzkiej i nie mając wydalonym ze względów politycznych nic do zarzucenia. Cokolwiek bowiem przytoczono ze strony ministrów pruskich na usprawiedliwienie średniowiecznego przepisu wydalania cudzoziemców i jakiemikolwiek zarzutami obarczono ludność polską, a poddanych Królestwa w szczególności, wszystkie te motywa i zarzuty nie wytrzymywały poważnej krytyki i nie mogły być przyjętemi przez rząd rosyjski za wiarogodne lub wystarczające. Rząd pruski wydalił tysiące robotników, utrzymujących się z pracy rąk i z codziennego zarobku, objaśniając, że tym środkiem pragnie zapobiedz agitacyi narodowej i ubezpieczyć wschodnią granicę od zalewu wrogich elementów. Niestety! agitacye, rewolucye i odbudowywania dawniej istniejących państw, któremi się miała zajmować cała ludność polska, były tylko dziełem fantazyi biurokracyi pruskiej, i zarzuty podobne nie mogły być usprawiedliwione najmniejszemi pozorami dowodów. Zwłaszcza w powyższym wypadku rozminięto się nawet ze wszelkiem prawdopodobieństwem, albowiem ludność wydalana, zajęta zarobkiem i przygnębiona ciężarem biedy i strapienia, była w stanie przechować silne przywiązanie do rodzinnej wiary i języka, ale nie mogła absolutnie służyć za podatny materyał dla agitacyi politycznej.

Rządowi pruskiemu wydalanie miało też służyć za jeden z licznych środków do osiągnięcia celów czysto politycznych, i dążąc ku nim, nie wahał się cofnąć do średnich wieków i wykonać aktu, który Leroy-Beaulieu nazwał słusznie; „Un acte d'inhumanité et d'imprévoyance“ [1]). Jeżeli też przejrzymy uważnie „Rozprawy

[1]) „L'Economiste“, 1886, nr. 40.

w sejmie pruskim nad kwestyą polską“ (Lwów 1886), to istotny zamiar rządu pruskiego, znajdujący żywe współczucie w reprezentacyi narodowej, nie może być nikomu tajnym. W toku owych niezmiernie charakterystycznych obrad oświadczono: że „naród pruski nie zezwoli nigdy, ażeby w nasze (t. j. pruskie) prowincye, we wschodnie i zachodnie Prusy wbił się polski klin, lub żeby prowincye powyższe tak zmieszane były z polskiemi elementami, żeby się stały niezdolnemi do oporu. Poznańskie przecie leży zanadto blizko rezydencyi Berlina — o tem nie zapominajcie! I dlatego to wniosek nasz jest uroczystem oświadczeniem, w tem znaczeniu, że odrzucamy wszelką próbę stanięcia w drodze pruskiemu rządowi w jego postępowaniu“ [1]). Z powyższych wyrażeń możemy się przekonać, iż broszura polemiczna generała Grollmana, tchnąca nienawiścią i duchem eksterminacyjnym względem Polaków, stała się programem reprezentacyi oraz rządu pruskiego, i że nawet nad najdrobniejszemi sprawami prywatnemi tej ludności złamano miecz, wznosząc okrzyk: „delenda est!“

Wydalanie jednak poddanych rosyjsko-polskich z obrębu Prus miało także swe ekonomiczne powody. Biedni robotnicy, przybywający na wschodnie granice po zarobek, wypierali niemiecką ludność, skłaniając ją do emigrowania na zachodnią granicę cesarstwa niemieckiego. Konkurencya z nimi była trudną, albowiem zadawalali się mniejszym zarobkiem, a właścicielom ziemi lub fabryk dawali w zamian równie dobrą pracę, jak i Niemcy. Trzeba było zatem żywioł pracowity, oszczędny i spokojny usunąć za pośrednictwem nietolerancyi władzy państwowej dlatego jedynie, że zazdrość oraz zawiść kawałka chleba zamanifestowała się w sferach rządowych i kazała w zwykłych stosunkach socyalnych upatrywać agitatorskie wypieranie żywiołu germańskiego ze wschodniej granicy. W zaślepieniu politycznem, wśród którego przebijały się tylko dwa hasła: „Germanisiren“ (Mohl) i „Ausrotten“ (Hartmann), zapomniał rząd pruski o niemieckiem: „Drang nach Osten“, jak również i o tem, że w razie, gdyby rządowi rosyjskiemu przyszła chęć ucieczenia się do odwetu (retorsio) najzupełniej legalnego, wówczas interesa

[1]) Rozprawy, str. 9.

ekonomiczne ludności pruskiej mogłyby doznać miłych niespodzianek.

Rząd pruski wszakże miał nadzieję, że ministeryum rosyjskie nie zwróci uwagi na system wytępienia zastosowany do polskiej ludności. Przecież to tylko chodziło o garść robotników i o Polaków, a więc dla takiej bagatelki nie warto narażać stosunków życzliwości sąsiedzkiej z potężnem mocarstwem. Prócz tego prasa półurzędowa i ministrowie pruscy starali się przekonać rząd rosyjski, że wydalając masę robotników, nie narusza rząd pruski niczyich praw rzeczowych i pozostawia stosunki majątkowe nietkniętemi. Do ograniczenia zaś swobody indywidualnej czuł się upoważnionym z powodu manifestującego się ducha agitacyjnego, który rządowi rosyjskiemu aż nadto dobrze jest znanym. Tymczasem rachuby pomyliły. Rząd rosyjski nie uciekł się wprawdzie do odwetu wyraźnego, ani też nie uważał za stosowne wprowadzać nieludzkich ograniczeń swobody indywidualnej obcokrajowców. Odpowiedział tylko ogólnym ukazem o cudzoziemcach, w którym jednakże prasa niemiecka dostrzegła jednozgodnie grot wymierzony przeciwko rządowi pruskiemu, za jego samowolne i nieludzkie postępowanie.

Trzeba przyznać, że w szeregach niemieckich uczonych znaleźli się mężowie trzeźwo oceniający niestosowność użytych przez rząd pruski środków, a co większa, przewidujący możliwość jawnego lub skrytego odwetu ze strony rządu rosyjskiego. Bar w artykule „Ausweisungen“ („Nation“ 1886, N. 14) wyraźnie zaznaczył, że: „einstweilen — bis zum Erscheinen einer solchen eingehenden Rechtfertigung, wird das Ausland wenigstens ganz überwiegend die Ansicht haben, dass die vorgenommenen Ausweisungen den Traditionen und dem Geiste des modernen Völkerrechts sehr entschieden widersprechen“; a następnie dodał, że jakkolwiek obecnie ministeryum rosyjskie nie zdaje się być zaniepokojonem wydalaniami, jednakże nie należałoby zapominać, że „die Kabinete wechseln, die Völker bleiben und mit ihnen leben oft lange Zeit die in ihrem Geiste angehäuften Sympathieen und Antipathieen. Den sogen. Realpolitikern können Antipatieen anderer Völker vielleicht vollständig gleichgültig erscheinen, und bei der gegenwärtigen Machtkonstellation mögen sie auch nicht den geringsten wägbaren Uebelstand herbeiführen. Aber

bei veränderten Konjunkturen können sie centnerschwer ins Gewicht fallen". Otóż nie przewidywano prawdopodobnie, że owe konjunktury tak szybko nadejdą, i że znajdą nie dwuznaczny wyraz w prawie z d. 14 (26) marca 1887 r.

Nim przejdę do uwag nad środkiem prawodawczym, jaki rząd rosyjski uważał za stosowne przedsięwziąć względem cudzoziemców, pozwolę sobie w najkrótszym zarysie przedstawić jego treść jurydyczną. Przedewszystkiem dowiadujemy się ze wstępu, iż prawo z d. 14 (26) marca 1887 r., ma, na równi z innemi wydanemi od r. 1864, wzmocnić własność ziemską na zachodnich kresach państwa rosyjskiego i zbliżyć te kresy do pozostałych części państwa. Następnie, zgodnie z powyższą przewodnią ideą, zabrania się obcym poddanym, poza obrębem miast portowych i innych miast, nabywać prawa własności do dóbr nieruchomych, jak równie prawa posiadania i prawa użytkowania nieruchomości, oddzielnego od prawa własności wogóle, w szczególności zaś wypływającego z umów o najem i dzierżawę (art. 1). W guberniach Królestwa Polskiego zabrania się także poddanym zagranicznym zawiadować dobrami nieruchomemi, położonemi poza obrębem miast, w charakterze pełnomocników lub rządców.

Cudzoziemcy mogą wprawdzie zyskiwać zabezpieczenie uprzywilejowanego prawa, zapewniającego im zwrot wierzytelności, przez wzięcie nieruchomości w zastaw, lecz podobne zabezpieczenie, jak i wogóle dochodzenie w drodze przymusowej swoich pretensyi, nie może spowodować dla cudzoziemskich wierzycieli ani nabycia na własność majątku, ani objęcia go w posiadanie rzeczywiste, ani też użytkowania z niego.

Nowe prawo zaprowadziło także w porządku dziedziczenia ważne modyfikacye. Dziedziczenie z prawa w prostej linii zstępnej, oraz między małżonkami, majątku pozostałego po zagranicznym poddanym, jest dozwolonem na podstawie istniejących obecnie zasad, jeżeli spadkobierca osiedlił się w Rosyi przed wydaniem niniejszego prawa (art. 3). We wszystkich zaś innych wypadkach dziedziczenia z prawa, oraz w wypadku spadkobrania na mocy testamentu, poddany zagraniczny jest obowiązany w ciągu lat trzech, od czasu nabycia przez się praw do majątku, sprzedać ten majątek podda-

nemu rosyjskiemu. Moc ustaw ograniczających rozciąga się naturalnie do wypadków nabycia przez cudzoziemców praw własności dóbr nieruchomych, na zasadzie umów zawartych przed ogłoszeniem niniejszego prawa, jeżeli wspomniane powyżej osoby nie objęły jeszcze majątku w rzeczywiste posiadanie. Umowy i akta zdziałane, zgodnie z obowiązującemi przepisami na termina określone, na mocy których cudzoziemcy nabyli prawo do nieruchomości, nie mogą być po upływie wskazanych w nich terminów, ani odnawiane, ani prolongowane. Moc i skutki przepisów powyżej wyrażonych rozciągają się zarówno na towarzystwa, spółki handlowe i przemysłowe, oraz towarzystwa założone na podstawie praw za granicą obowiązujących, chociażby tym towarzystwom było dozwolone działanie w granicach Rosyi. Wszelkie zaś umowy naruszające lub obchodzące niniejsze prawo, są uznane za nieważne. Gdyby wszakże umowa obchodząca prawo z d. 14 (26) marca 1887 została wykrytą przez władzę miejscową gubernialną lub naczelną, wówczas władze rzeczone wystąpić powinny do właściwego sądu z żądaniem uznania rzeczonej umowy czy aktu za nieważne.

Z przytoczonego streszczenia łatwo poznać, że prawo o cudzoziemcach z d. 14 (26) 1887 r. trzymało się w najgłówniejszych zarysach, zupełnie odmiennej drogi, niż rząd pruski. Przedewszystkiem też nie swoboda indywidualna, tylko majątek nieruchomy poza obrębem miast uległ ograniczeniom, i nie uboga, pracująca na zarobek dzienny ludność, lecz klasa posiadająca własność lub prawa rzeczowe została dotkniętą. Wprawdzie łączność tych dwóch sfer prawnych, jest tak silnie spojoną i sfery te tak wzajemnie są od siebie zależne, iż nie można nawet pomyśleć ograniczeń swobody indywidualnej bez niekorzystnego wpływu na własność, i odwrotnie: ograniczeń majątkowych bez dotkliwego skrzywdzenia swobód indywidualnych. W każdym razie jednak wydalania pruskie zwróciły się bezpośrednio przeciw swobodzie indywidualnej cudzoziemców, a prawo z r. 1887 postanowiło w odwecie pomścić się na własności nieruchomej i na prawach majątkowych cudzoziemców.

Przedewszystkiem nadmienić winienem, że prawo z d. 14 (26) marca 1887 r., sprawia w sferze cywilno-prawnej całego społeczeństwa miejscowego niezmierne zamieszanie, które przyczyni dużo i to

bardzo dotkliwych kłopotów poddanym Królestwa i Cesarstwa. Wszelkie prawa wyjątkowe lub interwencya władz państwowych w sferze interesów, które załatwia najlepiej swoboda i staranność indywidualna, przynoszą większą krzywdę zarówno moralną jak i materyalną miejscowemu społeczeństwu aniżeli pożytek. Upoważniając też władze administracyjne do wkraczania w dziedzinę prywatno-prawną obywatela lub cudzoziemca, powinien prawodawca być jak najdokładniejszym i bardzo wyraźnym, aby powstającemi na każdym kroku wątpliwościami, nie ośmielać władz administracyjnych do samowoli, a sądów do wdzierania się w zakres prawodawcy. Tymczasem myśl cywilno-prawna zawarta w nowem prawie o cudzoziemcach, jest bardzo niedomówioną i pod względem jurydycznym nieścisłą. Pozwolę sobie w tym względzie powołać się tylko na artykuł p. Taraszkiewicza w „Gazecie Warszawskiej“ (1887 N. 153), w którym autor bardzo sumiennie stara się zgnębić myśl nowego prawa i ocenić jego wpływ na stosunki cywilne w Królestwie i Cesarstwie. W artykule tym czytamy, że: ograniczenia praw cudzoziemców w spadkobraniu, stosują się tylko do spadków otwartych po cudzoziemcu, niema zaś wyrzeczonej jasno i wyraźnie woli prawodawczej odnośnie do tego wypadku, gdy cudzoziemiec dziedziczy po krajowcu, i już w tym razie, mogącym się przytrafić bardzo często, trzeba się odwołać do argumentacyi a fortiori, która sądy może doprowadzić do niejednakowych wniosków. Również p. Taraszkiewicz słusznie zauważył, że nowe prawo nie wspomina wcale o tem: jaka władza, administracyjna, czy sądowa ma rozstrzygać spory odnośnie do tego, czy cudzoziemiec zawiaduje majątkiem w charakterze rządcy lub plenipotenta. Autor opierając się na art. I praw cywilnych, słusznie utrzymuje, że: każdy spór o prawie cywilnem podlega kompetencyi władz sądowych, ale wniosek jego, jakkolwiek przekonywający, może się trafić do przekonania władz administracyjnych, które milczenie prawodawcy będą uważały za upoważnienie do samowolnego rozstrzygania wątpliwości.

Z tego, co p. Taraszkiewicz przytoczył w swoim artykule, przekonać się można, iż wola prawodawcy nie jest pod względem cywilistycznym ujętą w zbyt ścisłą formę prawa. Tymczasem chociaż powyższy autor ujawnił gruntowną znajomość obowiązujących

przepisów, jak również ścisłość argumentacyi jurydycznej, nie mniej przeto nie mógł przewidzieć wszystkich wątpliwości płynących z nowej ustawy, które dopiero przy zastosowaniu wyjdą na jaw w całej pełni. Można zatem przypuszczać na pewno, że nowa ustawa o cudzoziemcach wywołała mnóstwo kwestyj i spowoduje zamieszanie nawet w sferze krajowców. Co się tycze załatwienia z prawami własności i innemi rzeczowemi, służącemi cudzoziemcom, przyznać trzeba, iż nowa ustawa nie zadała sobie wielkiego kłopotu. Prawo zastawu, jakie służy wierzycielowi cudzoziemcowi, jest, jak to słusznie p. Taraszkiewicz zauważył, tylko fikcyą, a termin trzyletni do wyprzedania się jest zbyt krótkim, i w niektórych guberniach, gdzie nabywanie własności ziemskiej ulega już ograniczeniom znacznym, zbliża się prawie do wywłaszczenia, bez odpowiedniego wynagrodzenia. Również zakaz wzbraniający cudzoziemcom pełnienia obowiązków plenipotentów, rządców lub dzierżawców, musi być uważany za surowe ograniczenie swobody indywidualnej i za interwencyę państwową do tej sfery interesów, w której wolna wola stron decydować powinna. Wogóle zaś rezultat powyższej interwencyi zapowiada się niezbyt pomyślnie. Tam bowiem, gdzie władza państwowa sferę prywatną zaczyna normować prawami wyjątkowemi, odpowiadającemi wymaganiom polityki chwilowej, powstaje zwykle system środków, służących do obejścia szkodliwej ustawy i rozpoczyna się panowanie symulacyjnych umów. Interesowani znajdą też niewątpliwie sposoby formalnego pogodzenia się z literą nowej ustawy, a nadaremnie byłoby oczekiwać od władz administracyjnych odkrycia symulacyi lub zapobieżenia wytworzeniu się pośredników tak szkodliwych do dziśdnia dla Irlandyi. Pomimo największej gorliwości, władze administracyjne zawiodą w tym względzie oczekiwania rządu, albowiem nie posiadają ku temu odpowiednich kwalifikacyj, ani czasu, który poświęcić muszą właściwej służbie. Jedynym ratunkiem tychże władz będzie uciekanie się do samowoli, ale tem się nie zwalcza symulacyi, tylko podkopuje się moralność, zarówno społeczeństwa jak i władz administracyjnych.

Jeżeli zatem prawodawca uciekł się do przepisów o cudzoziemcach tak pod względem prawa cywilnego wątpliwych, to musiał być do podobnego prawa zmuszonym powodami politycznymi i czer-

pać w prawie publicznem wogóle, lub międzynarodowem w szczególności, swoje uzasadnienia. Istotnie, pierwsza myśl jaka się nasuwa po przeczytaniu prawa z dnia 14 (26) marca 1887 r., jest odwet — czyli używając terminu prawa międzynarodowego: „retorsio, — do jakiego uciekł się rząd cesarstwa rosyjskiego w zamian za wydalania pruskie. Przedewszystkiem więc winienem zaznaczyć, jak się na odwet w prawie międzynarodowem zapatrują najpoważniejsi teoretycy. Pozwolę sobie nasamprzód przytoczyć krótki ustęp z Bluntschliego, który brzmi jak następuje: „Die moderne Rechtsbildung liebt übrigens die Retorsion nicht. Als diplomatisches Mittel der Verhandlung und Drohung lässt sie sich wohl gebrauchen, aber ihre Ausführung gereicht oft dem Retorsion übenden Staate ebenso zum Schaden wie dem Retorsion leidenden. Ueberdem entstellt der erstere Staat seine Gesetzgebung durch Retorsionsbestimmungen, deren Unbilligkeit und Unzweckmäsigkeit an sich er vollständig einsieht und die er meist in der sehr unsichern Hoffnung einführt, den Nachbarstaat dadurch zu bessern“ [1]). Do słów powyższych dodać jeszcze winienem, że i ojciec nowożytnej ekonomii społecznej, Adam Smith, nie miał wielkiego zaufania do retorsyi. Zapatrując się też na powyższy środek ze stanowiska polityki ekonomicznej, przyszedł on do przekonania, że odwet i zemsta są złymi czynnikami gospodarskiemi, i dlatego też niemi prawodawca, ani mąż stanu, kierować się nie powinien [2]).

Jedynym motywem, skłaniającym rząd danego państwa do użycia odwetu czyli retorsyi, jest konieczność polityczna i pożytek własnych poddanych.

Konieczność polityczna w tym wypadku, wtedy miałaby miejsce, gdyby rząd pruski dopuszczał się wydalań w celu prowokowania rządu rosyjskiego i w chęci okazania mu swego nieprzyjaznego usposobienia. Jak wiadomo wszakże, rzeczy się miały inaczej. Chodziło tu tylko o Polaków, i rząd pruski, jak to już nadmieniłem, miał nadzieję, że dla takiej bagatelki trwała przyjaźń z Rosyą nie zostanie naruszoną. Politycznej konieczności zatem nie było i jedy-

---

[1]) Das Völkerrecht, str. 283.

[2]) Meyer: Neuere Nationalökonomie, str. 13.

nie pożytek własnych poddanych mógł skłonić rząd rosyjski do podjęcia retorsyi.

Wątpić jednakże można, czy w ten sposób, w jaki prawo o cudzoziemcach z dnia 14 (26) marca 1887 r. załatwiło kwestyą, najważniejszy cel osiągniętym zostanie. Zwykle bowiem retorsya ucieka się do podobnych środków, jakich używało państwo wywołujące odwet. Tymczasem nowe prawo z d. 14 (26) marca nietylko odstąpiło zupełnie od utartego zwyczaju, ale wyjątkowe prawa przeciw cudzoziemcom rozszerzyło po nad wszelką potrzebę. Jak to już poprzednio nadmieniłem, wydalania pruskie zwróciły się głównie przeciwko swobodzie indywidualnej cudzoziemców, gdy tymczasem prawo z r. 1887 r. wywarło odwet na prawie własności nieruchomej poza obrębem miast. Wyznać trzeba, że podobne ograniczenie w połączeniu z zabronieniem sprawowania funkcyi plenipotentów, rządców etc., jest także wkroczeniem w sferę indywidualnej swobody, i to bardzo dokuczliwem, jakkolwiek pośredniem. Tak samo bowiem, jak rząd pruski, nakazując wydalić się posesyonatom cudzoziemcom, utrudniał im zarząd majątkiem i przyprawiał o straty ekonomiczne, tak rząd rosyjski, zabraniając posiadać własność i zajmować gospodarcze stanowiska cudzoziemcom, zmuszał ich pośrednio do opuszczenia obszarów Królestwa i Cesarstwa, wśród których nie przebywali bynajmniej dla zdobywania estetycznych wrażeń. Nie bez pewnej też słuszności, dzienniki niemieckie zaznaczyły wyraźnie, iż prawo z r. 1887 jest daleko dotkliwszem w swych skutkach, niż wydalania, a więc może być uważane za zbyt rozszerzony odwet międzynarodowy.

Chociażby nawet retorsya, rozszerzona do środków dokuczliwszych, była przyjętą jako zwyczaj prawa międzynarodowego, wielkie pytanie, czy przyniosłaby jakikolwiek pożytek własnym poddanym? Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że państwa dotknięte tym przepisem, odpowiedziałyby odpowiedniemi rozporządzeniami odwetowemi, i dokuczanie cudzoziemcom mogłoby bardzo szybko na tej drodze odzyskać średniowieczny charakter. Zwrócenia się zatem ustawy z d. 14 (26) marca 1887 r. do praw majątkowych, nie uważamy za zbyt fortunne obostrzenie odwetu, a co najważniejsza, za nieodpowiadające zamierzeniom i szkodliwe najwięcej dla wła-

snych poddanych. Rząd pruski, wyrzucając ze swych granic ludność zarobkującą, nietylko zmarnował ich szczupłą egzystencyą ekonomiczną, ale przyczynił rządowi rosyjskiemu wiele kłopotu, zwalając na niego ciężar opieki i troski nad zubożałą ludnością. Ograniczenia praw majątkowych cudzoziemców, przedsiębrane przez prawo z roku 1887, nie osiągną podobnego rezultatu, i zamiast pożytku przyniosą tylko szkodę własnym poddanym. Niemcom bowiem, dotkniętym nowymi przepisami, łatwo będzie pokryć materyalne straty i przenieść się z uszczuplonemi kapitałami na inny gościnniejszy rynek, ale co uczynią miejscowi poddani, gdy cena ziemi spadnie, kultura gleby się obniży, a stosunki kredytowe jeszcze bardziej się utrudnią?

Niemcom osiedlającym się w Królestwie i Cesarstwie trzeba było przyznać to, co Leroy-Beaulieu przyznał im we Francyi, a mianowicie, iż mogą posiadać wiele błędów, ale „ils n'ont pas celui d'être paresseux“ [1]). Przemysł też krajowy zawdzięcza im wiele a nieufność i panika, wywoływane nowymi przepisami, zachwieją niektóremi jego gałęziami niewątpliwie. Wydaleniem zaś pośredniem kapitalistów cudzoziemców, rząd Cesarstwa bynajmniej nie dotknie Prus. Już teraz cieszą się organa półurzędowe z tego, że inteligencya i kapitały niemieckie powrócą do własnego kraju, aby tam się poświęcić dobru ojczyzny, i trzeba przyznać, że zbytecznie martwić się nie mają żadnej potrzeby.

Prócz tego, ogólny ton przepisów prawodawczych z r. 1887, może wywołać cały szereg innych bardzo poważnych komplikacyj. Jeżeli istotnie należy uważać nowe prawo za retorsyą skierowaną przeciw Prusom, to dlaczegóż ograniczenia dotkliwe skierowano przeciwko wszystkim cudzoziemcom? Tym sposobem, jak to zauważyła „Gazeta rolnicza“ (1887 Nr. 22), zniesiono różne miedzynarodowe konwencye (między innemi z Belgią z r. 1846, z Portugalią 1844) i dotknięto te państwa, które poddanym rosyjskim ofiarowały zawsze szczodrze prawo gościnności. Najdokuczliwszemi jednak w następstwach dla mieszkańców Królestwa i Cesarstwa będą ograniczenia, płynące z prawa 1887 r., jeżeli kategorya „sujets-propriètaire mixtes“, wytworzona za czasów kongresu wiedeńskiego

[1]) „Economiste“ Nr. 40. 1886. Les expulsions en masse d'etranger.

w r. 1815, zaliczoną zostanie do rzędu cudzoziemców. Podczas bowiem kongresu w 1815 uwzględniono, głównie za staraniem cesarza Aleksandra I króla polskiego, przykre położenie ludności polskiej, stanowiące niegdyś samodzielne państwo a obecnie rozdzielonej między trzy zabory. Stosunki rodzinne i majątkowe wiązały powyższą ludność w jednę całość i trudno było bez znacznego uszczerbku i krzywdy uważać poddanych w jednym zaborze za cudzoziemców w drugim. W tym celu właśnie i głównie, jak się zdaje, za wpływem cesarza Aleksandra I, utworzono — „sujet mixte“ t. j. poddanego, mieszanego, nieurzędowego połowicznego czyli takiego, który w zakresie prawa prywatnego traktowany był na równi z obywatelami Królestwa Polskiego. Oto jak określa prawa owego „sujet, propriètaire mixte“ artykuł XV Traité du sixieme partage de la Pologne, entre la Russie et l'Autriche z d. 3 maja 1815 r.: „Le propriètaire mixte, n'est pas tenu à se defaire, à quelque époque que se soit des possessions qu'il pourrait avoir dans les Etats d'un souverain dont il n'est pas sujet. Il jouira à l'égard de ces propriètés, de tous les droits qui sont attachés à la possenssion. Il pourra en dépenser les revenus dans le pays où il aura élu son domicile sans subir aucun détraction au moment de l'exploration. Il pourra vendre ces mêmes possessions et l'en transporter le montant, sans être soumis à aucune retenue quelconque“ [1]). Dodać jeszcze należy, że odpowiedniemi konwencyami zagwarantowano owym sujet mixtes ulgi handlowe i że starano się istotnie, podług słów cesarza Aleksandra I (list do hr. Ostrowskiego), uczynić następstwa rozdziału o ile możności jak najlżejszemi.

Pojęcia „sujet mixte“ trzymał się dotąd rząd rosyjski, nie dlatego bynajmniej, aby groza uchwał kongresu wiedeńskiego go przestraszała, ale dlatego, że ono odpowiadało wybornie pożytkowi własnych jego poddanych. Jeżeli nowe prawo z r. 1887 nie uszanuje powyższego pojęcia, w takim razie skutki odwetu zwrócą się nie ku Niemcom, ale prawie wyłącznie ku własnym poddanym. Nie uciekając się też do rabulistyki, możnaby oczekiwać od władz rzą-

[1]) Angeberg: Recueil des traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne. Str. 655.

dowych, iż nowych praw nie będą wcale stosowały do tej kategoryi, która się nazywała „sujets mixtes“. Pojęcie bowiem poddanego wyklucza możliwość traktowania tegoż poddanego jak cudzoziemca, a bądź co bądź ludność polska w trzech zaborach uważaną była za poddanych połowicznych, i zdaje się, że pojęcie powyższe należy uważać za owoc rozumnej polityki Aleksandra I, która dla Cesarstwa i Królestwa nie przyniosła złych skutków.

Jeżeliby zaś władze rządowe nie czuły się skłonnemi do podobnego stosowania nowych przepisów z d. 14 (26) marca 1887 r., w takim razie nie możnaby ograniczeń cudzoziemców uważać za retorsyą oraz za środek nie wymierzony przeciw własnym poddanym. Nowa ustawa byłaby tylko przeistaczaniem praw prywatnych, podług wymagań systemu politycznego, i usunięciem względem własnych obywateli zasady równości prawnej, co się z pod poważnej krytyki zupełnie usuwa.

6.

ZNEUTRALIZOWANIE PAŃSTWA

W PRAWIE MIĘDZYNARODOWEM [1]).

Wśród piętrzącego się stosu najróżnorodniejszych definicyj państwa, jaki ułożyli filozofowie, statyści i juryści, odnaleźć można jedno znamię wspólne, jeden objaw ogólnie uznany. Bez względu na to: czy państwo pojętem zostało jako instytucya prawna, lub stowarzyszenie „sui generis“ (Genossenschaft-Gierke), zawsze nie ośmielono się zaprzeczyć temu faktowi, iż państwo ma swą niezawisłą wolę, którą wykonywa wewnątrz terytoryum własnego i w stosunkach z innemi państwami. Wola państwa, w zetknięciu się z wolą indywidualną, lub zamiarami całych grup społecznych, przybiera zawsze charakter władzy najwyższej, która „privatorum pactis mutari non potest“, a w rzeczywistości przejawia się w pojęciu określonem jednym wyrazem „majestas, souveraineté“, które Modrzewski oddał w dosadnem słowie: „Zwierzchnictwo“.

Jeżeli jednak uczeni wszelkich odcieni zgodzili się na to, że z istoty państwa wypływa zwierzchnicza władza, której wszyscy poddani ulegać muszą, to inaczej się rzeczy mają z określeniem zakresu i charakteru tejże władzy. Nietylko dawniej, ale i dziś, wyrażono przekonanie, że zwierzchnicza władza w wypadkach „in concreto“, gdy działa w sferze interesów publicznych, nie jest krępowaną prawem państwowem, jak to ma miejsce w razie kolizyi z interesami indywidualnymi, na straży których stoi istotnie prawo prywatne. Pogląd, redukujący prawo państwowe i międzynarodowe

[1]) Pracę powyższą wydrukowałem w „Niwie“ w r. 1889.

do rzędu norm lub wskazówek, zawisłych od kaprysu władzy państwowej, a czyniący tem samem zwierzchnictwo państwowe pojęciem samowolnem, pozbawionem charakteru prawno-politycznego, zyskał w nauce politycznej nowszych czasów bardzo uzdolnionych i wymownych rzeczników.

Przedewszystkiem Lasson [1]) oświadczył, że państwem kieruje „in aller Thätigkeit sein Interesse und weiter nichts". Jeżeli się zaś wymaga od państwa czegoś obyczajowego (sittliches), co się sprzeciwia jego samolubstwu, to żąda się od niego zdrady powierzonych mu interesów, a więc czynów, pozbawionych etyki [2]). Państwo, zdaniem Lassona, jako osoba moralna, jest zwierzchniczą, która nie urodziła się poddanym i poddanym nigdy zostać nie może. Nigdy więc państwo nie jest w stanie poddać się wyrokowi prawnemu i sen, przedstawiający jakiś porządek prawa po nad państwem, lub między państwami „ist ein wüster und widersinniger Traum".

Państwo zatem na zewnątrz „ist ein ungebändigter, ungezügelter Wille der Selbstsucht". Nie obowiązuje tej zwierzchniczej woli żaden etyczny obowiązek, żaden porządek prawa. Cóż bowiem znaczy prawo bez gwarancyi urzeczywistnienia? Stosunki zaś między państwami oparte są na ostrzu miecza. Tylko że osoba państwowa, przesiąknięta nawskróś najohydniejszemi instynktami, ma mieć nareszcie wysoką inteligencyę; „der Staat ist intelligenter, zweckmässig sich bestimmender Wille, und für die mangelnde Rechtsordnung schafft er sich aus kluger Selbstsucht einen Ersatz" i t. d.

Przytoczyłem najdosadniejsze wyrażenia Lassona, aby przekonać, że jego zdaniem tylko prawo prywatne, w którem państwo nie jest sędzią, we własnej sprawie może być za prawo uważanem. W zakresie zaś spraw publicznych, zwierzchnictwo państwowe kieruje się zasadą użyteczności na wewnątrz a egoizmem na zewnątrz i nie zna żadnej szranki prawa państwowego lub międzynarodowego.

Do podobnego rezultatu badań, tylko łagodniej wyrażonego i popartego znaczną erudycyą, doszedł Gumplowicz [3]). Podług niego,

[1]) „Princip und Zukunft der Völkerrechts", Berlin 1871. Str. 15.
[2]) Tamże. Str. 21—26, 31—36.
[3]) „Rechtsstaat und Socialismus", Innsbruck 1881. Str. 12—13.

jeżeli prawo prywatne jest prawem, wówczas prawo państwowe powinno być inaczej nazwanem. Najodpowiedniejszą zaś byłaby nazwa norm państwowych „Staatsnorm-Staatssatzung“. Zresztą, czyż władza państwowa, która pomogła do wytworzenia porządku prawa prywatnego, która ten porządek wprowadziła w życie, zabezpieczając mu istnienie i siłę, byłaby kiedykolwiek skłonną do skrępowania siebie samej podobnie obowiązującem prawem? Naturalnie, że nie, — a tem samem i zwierzchnictwo państwowe, zdaniem Gumplowicza, nie jest prawnie ograniczonem i tylko chwilowe okoliczności polityczne mogą dla władzy państwowej stanowić rodzaj przejściowego hamulca.

Przeciwko podobnym poglądom, dawniej już przez Stahla wyrażonym, wystąpił Bähr w dziele, po dziś dzień mającem wysoką naukową wartość, p. t. „Der Rechtsstaat“ (Cassel 1864). Nowszymi czasy Gneist („Der Rechtsstaat und die Verwaltungsgerichte in Deutschland“ 1879) i Stein („Rechtsstaat und Verwaltungsrechtspflege“, 1879, „Zeit. für d. privat und öffe. Recht“), wykazywali głównie błędy podobnego poglądu. Poza nimi wszakże znajduje się cały legion drugorzędnych powag, które się czuły w obowiązku zaprotestowania przeciw takiemu ryczałtowemu unicestwieniu prawa państwowego i międzynarodowego.

Nie mogę przesądzać pobieżnie sporu tak wielkiej doniosłości. Ponieważ jednak określenie zwierzchnictwa państwowego jest mi koniecznie potrzebnem, jako punkt wyjścia do scharakteryzowania państwa zneutralizowanego, a zwierzchnictwo państwowe, wykonywane przez władzę państwa, uważam, nie za coś nieujętego i dowolnego, lecz za pojęcie prawne, określone na wewnątrz prawem państwowem i administracyjnem, na zewnątrz zaś prawem państwowem i międzynarodowem, przeto wątpliwości, wyrażonych przez Lassona i Gumplowicza, nie mogę pominąć zupełnem milczeniem.

Odkładając też sobie na przyszłość szczegółowy rozbiór poglądów, odmawiających prawu państwowemu i międzynarodowemu charakteru prawa, ograniczam się na uwadze: że do rezultatów badań, jak mnie się zdaje, nieuzasadnionych, doszli Lasson i Gumplowicz, identyfikując władzę państwową z państwem samem. Zbytecznemby było przypominać tak wytrawnym teoretykom, że państwa

nie uosabia się wyłącznie we władzy zwierzchniczej, lecz że w pojęciu jego istnieje, prócz tego, politycznie zorganizowany lud i terytoryum państwowe — czyli dana przestrzeń ziemi.

Tymczasem wywody Lassona i Gumplowicza robią wrażenie, jak gdyby brały władzę państwową za państwo samo i jak gdyby owa władza była jakimś automatem z obcych światów, nieprzyjmującym żadnych prądów od społeczeństwa. Już Gneist zwrócił uwagę, do jak błędnych konsekwencyj dojść można, zapominając o owym organicznym węźle („Rechtsstaat“, str. 2) i o owych prądach społecznych, przejmujących nawskróś organizm państwowy. Więcej jeszcze razi utożsamianie władzy państwowej z państwem, jeżeli się uważniej rozejrzymy w którejkolwiek definicyi państwa. Weźmy najkrótszą Bluntschliego: „der Staat ist die Volksperson eines bestimmten Landes“. Z niej przekonać się łatwo, że składowemi elementami państwa jest lud zjednoczony i ziemia, a dopiero tak spojony organizm państwowy wykonywa zwierzchnicze prawa.

Jeżeli zaś przestaniemy brać władzę państwową za państwo samo, wówczas szybko runąć musi cały przemyślany gmach wywodów, zbudowany z przenikliwością dużą przez Lassona i Gumplowicza. Państwo bowiem konstytucyjne wykonywa swą zwierzchniczą władzę przez organa, rekrutowane z miejscowego społeczeństwa i przy współudziale ludu, zarówno we władzy prawodawczej, jak i wykonawczej (samorząd). Ze społeczeństwa zatem wchodzi krew i życie w organizm państwowy. Prądy umysłowe, przejmujące lud, udzielają się najprzód prawodawcy, a następnie przenikają zarząd wewnętrzny. Wszelkie też abstrakcyjne prawa zwierzchnicze, sprzeczne z dobrem społeczeństwa, prędzej lub później, stracić muszą wszelką podstawę, jako owoc spekulacyi sprzeczny z istotą rzeczy.

Państwo nie może się krępować w sferze własnej, ani zechce uledz jakiemukolwiek wyrokowi, gdy chodzi o publiczne interesa. Wykonanie zatem norm państwowych, lub administracyjnych, będzie zależało od jego dobrej woli i tego stosunku żadnym sposobem zmienić się nie da. Tak dowodzą Lasson i Gumplowicz, mając mimowoli przed oczami państwo dawne policyjne, a zapominając o rozwoju państw konstytucyjnych.

Państwo nowożytne uważa przedewszystkiem sprawiedliwość

za najwyższe dobro publiczne i nie lęka się bynajmniej wymiaru sprawiedliwości w zakresie prawa publicznego, jak to czyniło dawne państwa policyjne [1]). Hasłem XIX wieku jest państwo praworządne (termin prof. Oczapowskiego), czyli tak zwany „Rechtsstaat [2]), a państwo, zwane tem mianem, uznaje przedewszystkiem odpowiedni zakres swobód indywidualnych i wkraczając w ten samodzielny obręb, aby zaczerpnąć dla siebie indywidualną pracę, mienie lub krew, czyni to tylko na mocy prawa, które otoczone jest prawie równie silnemi gwarancyami, jak prawo prywatne. Nie pojmuję również dowodzenia, że państwo jest w sferze publicznej sędzią we własnej sprawie, a więc prawo może uledz dowolnemu stosowaniu. Jeżeli bowiem władza prawodawcza uważa ustawy za normy przejściowe i obraża poczucie sprawiedliwości, to jeszcze państwo, czyli lud zjednoczony, może drogą wyborów i nacisku opinii złe naprawić. Jeżeli zaś rząd lekceważy prawo, wówczas sądownictwo polityczne i administracyjne jest go w stanie zwrócić na legalną drogę. W każdym razie jednak, błędy prawodawcy lub rządu nie są jeszcze samowolą państwa, tylko samowolą jednego z jego organów.

Nie ulega wątpliwości, że prawo państwowe konstytucyjne i prawo administracyjne nie jest jeszcze tak wykończone jak prawo prywatne. Gwarancye wymiaru sprawiedliwości są w pierwszym razie mniejsze, niż w drugim, lecz niezaprzeczonem jest dążenie społeczeństw do zapełnienia dotychczasowych luk i do coraz silniejszego zbliżenia prawa administracyjnego z prawem prywatnem w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości [3]).

Z powodów powyżej przytoczonych uważam prawo państwowe łącznie z administracyjnem i prawo międzynarodowe za prawo w pełnem znaczeniu tego wyrazu, a nie za użytecznościową normę przejściową. Tem samem zaś zwierzchnictwa państwowego nie mogę utożsamiać z samowolą, lecz zdefiniować je winienem, jako szereg funkcyj władzy państwowej, określony prawem państwowem i administracyjnem na wewnątrz a prócz tych i prawem międzynarodowem na zewnątrz kraju.

---

[1]) Bähr: „Rechtsstaat“, str. 134.
[2]) Stein: Heft I, str. 29.
[3]) Dareste: „La justice administrative en France“, str. 674.

Państwa jako osoby, czyli podmioty, w zakresie prawa międzynarodowego, mają sobie przyznane, bez względu na rangę, równe prawa zwierzchnicze w koncercie europejskim. Znajdują się jednakże, prócz osobowości politycznych równouprawnionych i państwa półzwierzchnicze, oraz zneutralizowane, których władza państwowa w zakresie prawa międzynarodowego jest ograniczoną.

Do półzwierzchniczych państw (halbsouveräne Staaten) w Europie zaliczano zwykle miniaturowe kraiki, jak np. rzeczpospolitą Krakowską do roku 1846, wyspy Jońskie do 1863, rzeczpospolitę Andorra, księstwo Monaco, rzeczpospolitę San Marino i księstwo Bulgarskie, począwszy od roku 1878. Stosunki międzynarodowoprawne wśród półzwierzchniczych państw, jak przyznaje Holtzendorf, są bardzo niejasnemi [1]). Charakterystycznem znamieniem, najważniejszem ze wszystkich, zdaje się być protektorat zbiorowy lub pojedyńczy, jakim półzwierzchnicze państwo zwykle bywa otoczone. Prawo reprezentacyi takiego państewka bywa silnie ograniczone, chociaż prawo zawierania traktatów, zwłaszcza dotyczących interesów ekonomicznych, zostaje przyznanem. Co się tyczy spraw wewnętrznych, to przysługuje państwom półzwierzchniczym autonomia, nie wykluczająca bynajmniej prawem określonych obowiązków względem protektora.

Pominę państwa półzwierzchnicze, znajdujące się poza Europą, chciałem bowiem zwrócić uwagę tylko na to, iż pomiędzy państwami półzwierzchniczemi a zneutralizowanemi niema zbyt wyraźnej linii demarkacyjnej, tak, że w wybornem dziele o prawie międzynarodowem, wydanem przez Holtzendorfa, znajdujemy rzeczpospolitą Krakowską, zamieszczoną pomiędzy państwami półzwierzchniczemi i pomiędzy zneutralizowanemi.

Przedewszystkiem zaznaczyć winienem, że państwem zneutralizowanem jest tylko to, które traktatami zostało trwale do zachowania neutralności zobowiązanem, a bynajmniej nie to, które w danej wojnie zajęło stanowisko neutralne wobec walczących. Zwykle też przy zneutralizowaniu trwałem państwa, występował specyalny motyw polityki międzynarodowej, którego przy powstawaniu państw

---

[1]) „Handbuch des Völkerrechts. T. IV. Halbsouveräne Staaten“, str. 107.

półzwierzchniczych nie było. Motyw powyższy czerpany był z zasady równowagi politycznej, która nakazywała pewne kraje, posiadające ważne przesmyki górskie, lub ujścia rzek, uczynić nieprzystępnemi dla przemarszów wojsk obcych i tym sposobem uchronić je od pożądliwości ościennych mocarstw. Kraj taki, zagarnięty przez którekolwiek z państw obcych, stałby się kością niezgody i dla pokoju europejskiego przedstawiałby trwałe niebezpieczeństwo. W poczuciu więc wspólnego interesu, mocarstwa europejskie 20 marca 1815 roku przyznały: „que la neutralité et l'inviolabilité de la Suisse, ainsi que son independance de toute influence etrangère est conforme aux véritables intérêts de la politique Européenne“ [1]). Kongres wiedeński następnie gwarantował w artykule 8 kongresaktu trwałą neutralność Szwajcaryi i charakter powyższy został po dziśdzień nienaruszony przez żadne mocarstwo.

Drugi przykład zneutralizowanego państwa stanowi Belgia, od traktatu z dnia 15 listopada 1831 r.. Artykuł 7 rzeczynego traktatu, zawartego przez pięć mocarstw, oświadcza: „la Belgique dans les limites indiquées formera un état indépendant et perpétuellement neutre. Elle sera tenu d'observer cette même neutralité envers tous les autres états“ [2]). W r. 1839, po uregulowaniu stanowczem granic między Holandyą i Belgią, zawarty został traktat między pięcioma mocarstwami i Holandyą, w którym powtórzono prawie dosłownie artykuły traktatu z roku 1831.

Zneutralizowanie Belgii przetrwało również nienaruszenie, chociaż miało w dziejach swych momenta krytyczne. W r. 1851 i 1866 nosił się rząd francuski z myślą wcielenia Belgii do Francyi, lecz ostatecznie uznał przedsięwzięcie za zbyt ryzykowne. Aby zapobiedz grożącemu pogwałceniu neutralności Belgii w r. 1870, zawarła Anglia specyalne traktaty z Prusami i Francyą, na wypadek, gdyby jedna ze stron walczących zapomniała o obowiązkach względem Belgii. Traktaty powyższe okazały się skutecznemi i Belgia przebyła szczęśliwie wszelkie przesilenia.

---

[1]) Holtzendorf: „Handbuch des Volkerrechts. T. I. Neutralisirte Staaten“, str. 637.

[2]) Tamże t. I, str. 641.

Traktat z d. 18 maja 1867 r. porównał z Belgią W. Księstwo Luksemburskie. Artykuł 2 rzeczonego traktatu określił: „Le grand duché de Luxembourg formera désormais un état perpetuellement neutre. Il sera tenu d'observer cette même neutralité envers tous les antres états". Między gwarantami jednak neutralności luksemburskiej nie znajduje się Belgia. Zneutralizowanie Luksemburga przetrwało także nienaruszenie, pomimo, że ks. Bismarck w roku 1867 chciał uważać traktat podstawowy za zniesiony. Beust wszakże zdołał mu wytłomaczyć, że ocenienie, czy w danym razie zneutralizowane państwo dopełniło swych obowiązków, lub nie, należy do wszystkich gwarantów, a nie do jednej strony, prowadzącej wojnę i dlatego traktat z 1867 r. musi być uważany za obowiązujący.

Traktat z dnia 14 listopada 1863 r., w którym Anglia zrzekła się protektoratu nad wyspami Jońskiemi, określił w artykule 2, że: „Les îles Joniennes après lear reunion au royaume de Grèce jouiront des avantages d'une neutralité perpetuelle".

Lecz końcowe artykuły traktatu zaznaczają, że: „Les hautes parties contractantes s'engagent à respecter les principes de neutralité", a tylko jeden król grecki: „s'engage de son côté à maintenir cette neutralité". Pominę nieco wątpliwy wypadek zneutralizowania części Sabaudyi, niedaleko Ugine, oraz wypadki zneutralizowania pewnego obszaru wód, a natomiast zajmę się obowiązkami, jakie ze stosunku zneutralizowania dla obu stron wypływają.

Jeżeli półzwierzchnicze państwa nie mogły się obyć bez protektorów, to zneutralizowane państwa posiadają swych gwarantów, którzy mają obowiązek strzedz zneutralizowane państwo od zdobywczych zachcianek pojedyńczych sąsiadów. Nietylko też w razie zamiaru wcielenia mogłoby państwo zneutralizowane odwołać się do pomocy gwarantów, lecz i w tym wypadku, gdyby którekolwiek mocarstwo użyło obszaru neutralnego do przemarszu wojsk. Dotychczas gwaranci okazywali się zawsze skrupulatnymi w wykonywaniu swych obowiązków, a groźby kanclerza niemieckiego, wymierzone w 1889 roku przeciw Szwajcaryi, okazały się płonnemi, albowiem rząd niemiecki mógł się przekonać, iż tak samo, jak w roku 1867, w sprawie Luksemburgu, pozostałby odosobnionym

i reszta gwarantów oświadczyłaby się stanowczo za poszanowaniem praw neutralności Szwajcaryi.

Państwo zneutralizowane ma również ważne obowiązki do wypełnienia i to nietylko względem gwarantów, lecz wogóle względem wszystkich państw pozostałych. Nasamprzód, w razie wojny, winno zachować względem walczących charakter ściśle neutralny. Społeczeństwo może żywić specyalne sympatye i pragnienia dla jednego z walczących, rząd jednakże o swym charakterze neutralnym zapomnieć nie jest w stanie. Następnie państwo neutralne winno strzedz nienaruszalności swego terytoryum. Żadnemu z państw niewolno obszaru neutralnego używać za podstawę do operacyj militarnych i w roku 1870/71 Belgia i Szwajcarya czyniły nawet kosztowne wysilenia, aby swych obowiązków względem gwarantów dopełnić.

Wogóle można twierdzić, że państwo zneutralizowane zobowiązane jest do wypełnienia tych obowiązków względem innych państw, które płyną bezpośrednio z charakteru neutralnego. W wiernem i lojalnem wykonaniu tych obowiązków leży ich główna siła. Wszystkie bowiem mocarstwa z zachowania neutralności ciągną pożytek i mają interes w jej utrzymaniu. Zwierzchnictwo jednak państwa zneutralizowanego w zakresie prawa międzynarodowego doznaje pewnego ograniczenia. Charakter neutralny nie dozwala państwom zneutralizowanym zawierać przymierzy zaczepno-odpornych i zbrojeniom się kładzie pewną granicę. O ile bowiem pożądanem jest, aby państwo zneutralizowane posiadało odpowiednią siłę militarną, któraby była w stanie obronić ziemie neutralne od pomniejszych zamachów, o tyle zbrojenie się nadmierne, budzące podejrzenie co do zawartych potajemnie przymierzy, sprzeciwiłoby się charakterowi neutralnemu i wywołałoby protestacye.

Zwierzchnictwo państw zneutralizowanych, w zakresie spraw wewnętrznych, jest daleko pełniejszem i napozór wydaje się być takiem samem, jak u państw nieposiadających trwałego charakteru neutralnego. Pomimo to jednakże jest pewna drobna różnica, która prawodawcy państwa zneutralizowanego każe się liczyć z względami międzynarodowego znaczenia. Gwaranci mają w każdym razie prawo domagać się, aby obszar trwale neutralny nie stał się azylem spiskowców i ogniskiem, z którego pożar rewolucyjny, lub propa-

ganda socyalistyczna, przenosiłaby się na sąsiednie dzierżawy. Prawodawca zatem w państwie zneutralizowanem musi się zawsze liczyć z temi warunkami i baczyć na to, aby na rząd krajowy nie spadła ciężka odpowiedzialność. Właśnie w roku bieżącym Szwajcarya naraziła się na cierpkie noty ks. Bismarcka, które zarzucały rzeczypospolitej Helweckiej niedopełnienie obowiązków zneutralizowanego państwa. Powód do tak ciężkiego zarzutu był ten, że władze kantonalne zatrzymały agenta policyjnego niemieckiego (Agent provocateur, Lock-Hetzspitzel) i następnie, jako burzącego bez potrzeby spokój publiczny, wydaliły go z granic Szwajcaryi. Nota kanclerska powoływała się na przeciwprawne przechowywanie w Szwajcaryi żywiołów niebezpiecznych dla Niemiec, co się sprzeciwia charakterowi ściśle neutralnemu i groziła rewizyą obowiązków, poza którą domyśliwać się było można cofnięcia gwarancyi.

Władze Szwajcaryi dowiodły jednak, że działały w zakresie prawa i z dobrą wiarą. Nietylko charakter neutralny upoważniał rząd Szwajcaryi do usunięcia obcego agenta, który prowokacyami wzniecał w kraju niepokój, lecz prócz tego i specyalne traktaty Niemiec z Szwajcaryą, regulujące sprawę osiedlania się. Kanclerz Niemiec szybko spostrzegł, że groźne noty nie zastąpią tytułów prawnych. Naprężone przez chwilę stosunki z Szwajcaryą przybrały napowrót charakter „dobrych sąsiedzkich“ i nowe przesilenie, grożące zneutralizowanemu państwu, przeszło spokojnie i szczęśliwie.

Pozostaje mi tylko poświęcić słów kilka sprawie dość ważnej, a mianowicie: w razie niedopełnienia obowiązków przez jedną ze stron międzynarodowych, gdzie szukać sprawiedliwości i jaki sąd ją wymierzy? Sprawa ta dla nieuznających prawa publicznego za prawo zamyka się w krótkiej definicyi rzymskiej „pro justitia, pro foedera — stat ensis“. Ze stanowiska teoryi jednak są także pewne wątpliwości, albowiem każdy podręcznik prawa międzynarodowego zawiera zasadę, że państwo, jako osobowość zwierzchnicza, nie podlega żadnej egzekucyi, a więc wyrok jakiegokolwiek sądu pozostaćby musiał bez wykonania.

W istocie, sądu, wyroku i egzekucyi, tak, jak je spotykamy w prawie i procedurze prywatnej, trudno się doczekać w prawie międzynarodowem. Niemniej jednak poczucie prawa (das gemein-

same Rechtsgefühl), lub jak Laurent nazywa „conscience de l'unité humaine", zmusza zarówno gwarantów, jak i zneutralizowanych, do trzymania się wiernie przyjętych zobowiązań, pomimo, że egzekutor wyroku sądowego nie grozi żadnemu państwu. Cesarstwo niemieckie nie potrzebowało zaiste obawiać się Szwajcaryi i nota kanclerska brzmiała dość bezwzględnie. Z tem wszystkiem Szwajcarya, mając za sobą prawo, nie ustąpiła nic ze swych praw zwierzchniczych i przypomniała księciu Bismarckowi to, co już w 1867 r. Beust mu odpowiedział, a mianowicie, że obowiązki zneutralizowanego państwa nie mogą być interpretowane jednostronnie przez obrażone mocarstwo, lecz że wszyscy gwaranci mają prawo sądzenia o danym wypadku.

W razie też, gdyby rząd niemiecki trwał w zamiarze jednostronnego przesądzenia konfliktu szwajcarskiego, niewątpliwie pozostałby odosobnionym i uciecby się musiał do walki, w której Szwajcarya nie byłaby opuszczoną i wydaną na łup silniejszego. Do tej ostateczności jednak książę Bismarck nie dopuścił i prawo międzynarodowe odniosło nowy tryumf nad samowolą jednego mocarstwa.

7.

FRAGMENT Z HISTORYI PRAW

PRZECIW CUDZOZIEMCOM.

(Kwestya chińska w Ameryce północnej) [1]).

Napływ Chińczyków do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej (przedewszystkiem do Kalifornii) i środki prawodawcze, skierowane ku powstrzymaniu żółtej powodzi społecznej, grożącej rzeczypospolitej amerykańskiej złowróżbnym zalewem, mają dla nas nietylko naukowy interes. Rząd pruski bowiem, bez upoważnienia prawodawczych czynników, wydał w r. 1885 dekret banicyjny przeciw rosyjskim poddanym polskiej narodowości i pod pozorem ekonomicznego współzawodnictwa, szkodliwego dla miejscowej ludności, wygnał ze wschodnich prowincyj znaczną ilość mieszkańców, oddawna osiadłych, pracowitych, spokojnych i nieprzedstawiających pod względem politycznym, ani ekonomicznym dla państwa pruskiego żadnego niebezpieczeństwa.

W historyi prawa międzynarodowego postępek rządu pruskiego znalazł w XIX wieku jedyny wzór w Ameryce północnej i to właśnie wzór, polegający na prawodawstwie, zwróconem przeciw Chińczykom. Uczeni niemieccy i francuscy, którzy w imieniu nauki czuli się w obowiązku zaprotestować przeciw tak wyraźnemu podkopywaniu zasad prawa międzynarodowego, zaznaczyli podobieństwo sytuacyi i porównywali doniosłość etyczną środków, użytych przez rząd pruski i amerykański. Wszystkie zdania niepodległe i otoczone aureolą nauki, nieprzejętej służalczym duchem, oświadczyły się prze-

[1]) Artykuł powyższy został wydrukowany w „Niwie“ w r. 1889.

ciw rządowi pruskiemu, nie usprawiedliwiając jednak w zupełności amerykańskiego (v. Bar i Leroy-Beaulieu). Zgodzono się jednakże i na to, że rząd pruski napiętnował swe postępowanie daleko większą pogardą zasad prawa międzynarodowego, oraz daleko bezgraniczniejszą samowolą, liczącą na konsekwencyę, że nikt wobec potężnego państwa militarnego nie będzie śmiał uciec się do retorsyi.

W każdym razie faktem pozostanie niezaprzeczonym, że prawodawca północno-amerykański wytworzył dla prawa międzynarodowego niebezpieczny prejudykat, którym w dowolny sposób mogą się posługiwać inne rządy. Stany bowiem Zjednoczone Ameryki północnej przedstawiane były przez największych uczonych europejskich za istną ziemię obiecaną dla swobód politycznych [1]), a sami pisarze amerykańscy nie wahali się uważać swego państwa za zwiastuna nowej ery dla Europy. Ameryka północna powstała, jak miłość i piękność, z piany spokojnych wód Oceanu. Jej powołaniem było: zastąpić dziedziczne przywileje naturalną równością ludzi, a nieodpowiedzialną władzę dynastów — rządem, opierającym się na publicznej opinii i z niej czerpiącym swą siłę. Pojawienie się też Stanów Zjednoczonych napełniła radością narody drugiej strony świata. Poczęły one czerpać otuchę i nadzieję, wzdychając za odrodzeniem.

Temi mniej więcej słowy kreślił wpływ Stanów Zjednoczonych na Europę Bancroft [2]), a jakkolwiek poglądy zdolnego historyka zawierają nieco przesady, w każdym razie przyznać należy, że dla rządu pruskiego było to wydarzeniem bardzo przyjemnem, że prawodawca w państwie, ceniącem wysoko swobody polityczne, odstąpił od zasad prawa międzynarodowego i zamiast sprawiedliwością, dał się powodować socyalną mściwością przeciw cudzoziemcom. Podczas jednak dyskusyi w sejmie pruskim członkowie ministeryum nie ośmielili się bynajmniej powołać na wzór północno-amerykański [3]). Jakkolwiek minister spraw wewnętrznych pragnął przestarzałem dziełem Hefftera udowodnić, że rząd pruski, wydalając pracowitych

[1]) Tocqueville: „Democratie en Amérique“ i E. Laboulaye: „Paris en Amérique“.

[2]) „Geschichte der Amerikanischen Revolution“, tł. Drugulin, T. I, s. 9.

[3]) „Rozprawy w sejmie pruskim nad kwestyą polską“, Lwów 1886.

i osiadłych cudzoziemców, działał w zupełnej zgodzie z prawem międzynarodowem [1]), to jednakże nie odważono się powołać na przykład Stanów Zjednoczonych. Wstrzemięźliwość gabinetu pruskiego łatwo zrozumieć można. Fałszowanie zasad prawa międzynarodowego ze stanowiska doktryny nie tak łatwem jest do pochwycenia i napiętnowania. Zawsze się znajdzie teoretyczna powaga, istotna lub pozorna, którą się rząd osłoni, gdy tymczasem powołanie się naprzykład innego mocarstwa może spowodować niemiłe wyjaśnienia.

Właśnie z takiemi wyjaśnieniami wystąpił niemiecki uczony, v. Bar, a wyraźne jego oświadczenie, że rząd pruski dopuścił się daleko cięższych wykroczeń przeciw nowożytnemu prawu międzynarodowemu, niż północno-amerykański, budzi interes dla historyi praw przeciw cudzoziemcom, w dumnym ze swych swobód i cywilizacyi XIX wieku. Ze względu też, że wydalania rządu pruskiego dopiero wówczas wystąpią w całej swej bezwzględności i samowoli, gdy zostaną z wydalaniami północno-amerykańskiemi porównane, postanowiłem skreślić krótki obraz, przedstawiający napływ mongolski do Ameryki, a zarazem historyę praw, które przeciw tej powodzi skierowane zostały. Zaznaczam z góry, że nie idzie mi bynajmniej o wyczerpującą wszystkie szczegóły historyę, lecz o główny zarys, na którym będzie można w końcu oprzeć porównawcze wnioski a zarazem stworzyć podstawę do krytycznego a przedmiotowego ocenienia działalności rządu pruskiego.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej były oddawna olbrzymim zbiornikiem, do którego napływały ludy odmiennych ras. Prąd europejski podążał głównie od wschodu, afrykański od południa, a mongolski od zachodu. Że prądy te, przy spotkaniu, musiały na polu socyalnem stoczyć bój i walczyć zawzięcie o przewagę ekonomiczną, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości [2]).

Przedewszystkiem zaznaczyć należy tę okoliczność, której Prusy doświadczyć nie mogły, że napływ cudzoziemców do Ameryki dzielił się na trzy prądy rasowe. Spotykali się na jednem teryto-

---

[1]) v. Bar: Die Ausweisungen, Die Nation, N. 14, 1886.

[2]) v. Studnitz: „Nordamerikanische Arbeiterverhältnisse“, str. 370.

ryum biali, żółci i czarni reprezentanci ludzkości, którzy przynosili wraz z sobą zupełnie odrębne nawyknienia, odmienne uzdolnienie do pracy i głęboko wszczepiony przez naturę wstręt wzajemny, przeistaczający się przy zbliżeniu w odrazę i pogardę.

Mowa Chińczyków wydaje się przybyszom europejskim szwargotem, rozdzierającym uszy; mieszkanie mongolskie zionie wyziewami, przejmującemi wstrętem rasę kaukaską, a widok wystających kości policzkowych i skośnych oczu wywołuje poniżenie uczucia godności ludzkiej, potęgując odrazę [1]). Niemniej odrażającym był stosunek białych do czarnych i wiadomo dobrze, ile się ten stosunek przyczynił do wojny secesyjnej, oraz na jakie przesilenie kraj naraził. Cokolwiekbądź jednak było w przeszłości, obecnie niebezpieczeństwo już nie grozi Stanom Zjednoczonym ze strony czarnych i gruntowni znawcy społeczeństwa amerykańskiego przyznają, że choć na południu istnieje dotąd wrogie usposobienie białych do czarnych, to jednak w północnych Stanach stosunek wzajemny przeszedł w łagodniejszą formę i pozwala żywić nadzieję, że klęska walki rasowej nie nawiedzi rzeczypospolitej amerykańskiej.

Rasa czarna jednakże nie dążyła tak wyraźnie do zachowania swojej odrębności, jak żółta. Negrzy pragnęli przedewszystkiem pozyskania równości prawnej, aby się stać obywatelami Stanów Zjednoczonych i brać żywy udział w akcyi politycznej. Przyzwyczajenia swe i pojęcia starali się Negrzy wznieść do poziomu kultury rasy kaukaskiej i ściślejsze stosunki społeczne, wytwarzające się przez małżeństwa mieszane, były przez nich pożądanemi, a nawet upragnionemi. Odraza rasowa tym sposobem zmniejszyła się i trudno było prawodawcy amerykańskiemu, w imię różnicy rasowej, uciekać się do prześladowania czarnych przybyszów.

Inaczej się jednak rzecz miała z napływem mongolskim. Chińczycy, jak to słusznie zauważył v. Bar, starali się przedewszystkiem zachować wszystkie, choćby najwstrętniejsze zwyczaje narodowe i dążyli do tego, aby w Ameryce stanowić państwo w państwie [2]).

[1]) Sartorius: Die Chinesen in den Vereinigten Staaten von Amerika. Zeitschrift f. d. g. Staatswissenschaft, 1883, 2 H., str. 391.

[2]) L'expulsion des étrangers. Journal du droit international privé. 1886, str. 15.

Tym sposobem, nietylko że wstręt rasowy nie zmniejszył się z biegiem czasu, lecz gdy przesilenia ekonomiczne uczyniły położenie robotnika kaukaskiego pochodzenia trudniejszem, do rasowej odrazy dołączyła się nienawiść socyalna i pod ich podwójnym naporem musiał prawodawca amerykański odstąpić od zasady również prawnej, którą się tak szczycił wobec starej Europy.

Jakkolwiek stosunki handlowe między Ameryką północną a Państwem Niebieskiem istniały już od dość dawna, jednakże ściślejsze zbliżenie się polityczne należy datować od traktatu, zawartego między obu mocarstwami w dniu 3 lipca 1844 r., w wiosce Wanghia, niedaleko Macao [1]). Wkrótce potem, bo w roku 1848, mityczne prawie wieści, rozgłoszone o minach złota w Kalifornii, skłoniły ubogą ludność Kantonu i Hongkongu do szukania poza swą ojczyzną dość ryzykownego szczęścia. Dopiero bowiem w r. 1850 została Kalifornia jako stan oddzielny wcieloną do rzeczypospolitej amerykańskiej, a organizacyi sądowej i administracyjnej tego Stanu, w pierwszych latach po wcieleniu do Ameryki północnej, nie można było uważać za dostateczną i zadawalającą.

Mimo to „febris aurea“ była owym bodźcem, który już z końcem 1852 roku przypędził do Kalifornii około 18.000 Chińczyków. Jako przedsiębiorcy samodzielni przy kopalniach złota, byli oni od samego początku niechętnie widziani, lecz mechaniczne a żmudne czynności mycia złota powierzano chętnie sumiennym i wytrwałym robotnikom chińskim. Przywozem Chińczyków zajmowało się sześć Kompanij (później liczba ich się powiększyła), które posiadały wyborną organizacyę, dużą władzę nad emigrantami i otaczały wychodźców opieką, zmuszając ich do solidarnego postępowania i do życia w najsurowszem stowarzyszeniu. Kto przeczytał w cennem dziele Kapp'a „Aus und ueber Amerika“ pełne posępnej grozy ustępy, malujące losy emigracyi europejskiej na Oceanie i na lądzie amerykańskim, ten musi przyznać, że Kompanie chińskie zaoszczędziły swemu narodowi wiele bolesnych przejść i doświadczeń.

Duch stowarzyszenia we wszystkich kierunkach społecznego oraz ekonomicznego życia przejmował nawskróś napływ mongolski

---

[1]) Sartorius: Die Chinesen i t. d. str. 321.

i temu duchowi stowarzyszenia zawdzięczają Chińczycy możność przetrwania naporu społeczeństwa i prawodawcy amerykańskiego [1]). Jeżeli wszakże Kompanie chińskie zdołały wychodźcom zapewnić opiekę i pomoc przy poszukiwaniu zatrudnienia, to z drugiej strony utrzymywały ich w zupełnej prawie odrębności od społeczeństwa miejscowego i zachowywały nad nimi tajemną a rozległą władzę. Przedewszystkiem przybysze mongolscy starali się zupełnie odosobnić od innych ras i zająć na mieszkania odrębną dzielnicę (Chinatown) miasta.

Daremnie jednakże władze amerykańskie upominały się o zachowanie przepisów sanitarnych w dzielnicy chińskiej. Przybysze w swych domostwach organizowali natychmiast „sui generis“ tajemny samorząd, przeciw któremu przez długi czas daremnie policya i sądy amerykańskie protestowały. Ponieważ przeważna ilość Chińczyków w Ameryce żyła bez rodzin, przeto mieszkali w takiem skupieniu, o jakiem europejczyk nie ma wyobrażenia. Tym sposobem zaoszczędzano na mieszkaniu, pomimo, że tak skupiona ludność mogła się istotnie stać dla miasta zarazą. Prócz dzielnicy jawnej, posiadali Chińczycy podziemne krużganki, które dla policyi amerykańskiej przez długi czas były tajemnicą. W owych tajemniczych norach odbywały się posiedzenia, w całem tego słowa znaczeniu, podziemnego trybunału, który szafował szczodrze życiem tych, co usiłowali rozerwać łańcuch solidarności, wiążący ich z rodakami. Policyi i sądom amerykańskim niemożliwem było dowiedzieć się, czy przybysz mongolski uległ chorobie, czy też został zamordowany podstępem. Zwykle bowiem w podziemnych norach posiadali Chińczycy więzienia, w których przestępców zagładzali na śmierć i dopiero, gdy bliscy byli agonii, posyłano ich do szpitali, lub pozostawiano na ulicy, aby zatrzeć wszelkie podejrzenia.

Pojęcie moralności, zarówno jak i zwyczaje, oraz nawyknienia Chińczyków, oburzały rasę kaukaską. Pomijam już szkodliwy nałóg palenia opium, albowiem znaleźli się poważni publicyści amerykańscy, którzy whisky, używane przez europejczyków, uważali za szko-

[1]) Semler: Die wahre Bedeutung und die wirklichen Ursachen der Nordamerikanischen Concurrenz. Str. 166.

dliwsze od opium. Napomknę tylko o innych przyzwyczajeniach, które musiały budzić głęboką odrazę ku Chińczykom w społeczeństwie amerykańskiem. Nadmieniłem już, że przeważna ilość przybyszów osiedlała się czasowo w Ameryce, pozostawiając żony i dzieci w Państwie Niebieskiem. Życie samotne robotnika chińskiego pozwalało mu czynić różne oszczędności i dawało mu w ekonomicznej walce stanowczą przewagę nad robotnikiem pochodzenia kaukaskiego.

Inaczej się jednak rzeczy mają ze stanowiska moralnego. Pozbawieni rodziny Chińczycy oddawali się prostytucyi i to w sposób najohydniejszy. Kompanie kupowały zwykle pewną ilość tych nieszczęśliwych istot w Kantonie i zaopatrzywszy je w najformalniejsze a symulowane kontrakty, w których przedmiotem umowy był najem roboty, przewozili je do Kalifornii. Prostytutki traktowane były na terytoryum wolnej Ameryki jako urodzone niewolnice. Daremnemi były wszelkie ich wysilenia, w celu uwolnienia się od terroryzmu Chińczyków. Jeżeli jednej z tych istot udało się uciec, wówczas fałszywi denuncyaci oskarżali ją o najpotworniejsze zbrodnie, a fałszywi świadkowie potwierdzali denuncyacyę. Gdy zaś powyższy sposób się nie udał, wówczas radzono sobie za pośrednictwem stowarzyszenia wynajmujących się do skrytobójstwa i obmyślano szereg zasadzek, w których prędzej czy później nieszczęśliwą chwytano.

Odrębność Chińczyków w sferze zwyczajów i obyczajów rozszerzała się także i na wiarę religijną. Wprawdzie Chińczycy nie zrażali sobie chrześcijańskiej ludności fanatyzmem religijnym, lecz do pewnego stopnia zmylili obliczenia misyj katolickich. Jeżeli też Chińczycy słuchali ciekawie nauk misyonarskich i uczęszczali do szkół amerykańskich, to jedynie dlatego, aby się języka miejscowego nauczyć; zwykle jednak okazywali wierność swej wierze i tylko bardzo mały procent przeszedł na łono kościoła katolickiego.

Pod względem ekonomicznym i socyalnym, religijnym i zwyczajowym, żółci przybysze pragnęli zachować najzupełniejszą odrębność. Dążność jednak separacyjna, tak uporczywie podtrzymywana, musiała i pod względem politycznym wydać się niepożądaną amerykanom. Rząd Stanów Zjednoczonych nie mógł się łudzić na-

dzieją, aby napływ chiński osiedlił się stale w Ameryce, lub przywiązał do kraju, który mu ofiarował gościnność i zarobek. Każdy z Chińczyków, przybywających do Kalifornii, dlatego tak był nieprzystępnym dla cywilizacyi europejskiej, że nie rozłączał się w myśli z Państwem Niebieskiem ani na chwilę, i zebrawszy mały kapitał na utrzymanie rodziny, powracał czemprędzej do swych rodzinnych stron. Wszelkie oszczędności przesyłali Chińczycy skwapliwie z Kalifornii do Państwa Niebieskiego, wszelkie artykuły żywności, lub odzienia, a nawet małe domki mieszkalne, sprowadzali z Chin, aby tylko z zarobku swego jak najmniej oddać amerykanom. Zgodnie zaś z wierzeniem religijnem, odsyłali do Państwa Niebieskiego zwłoki swych zmarłych i corocznie specyalne okręty przewoziły masy nieboszczyków do ziemi rodzinnej.

Z tak zmiennego i ruchomego żółtego napływu nie mógł się spodziewać żaden amerykański mąż stanu jakiegokolwiek politycznego pożytku. Pierwiastek mongolski nie obiecywał żadnych ustępstw na rzecz miejscowego społeczeństwa i jedynem jego hasłem był zarobek dla siebie, swej rodziny i swego społeczeństwa, z pozostawieniem Stanów Zjednoczonych na uboczu. Wobec podobnej odrębności, manifestującej się zawsze jaskrawo, niechęci socyalne, podniecane wstrętem rasowym, musiały rosnąć i wywierać napór na prawodawstwo. W początkach też, gdy dobrobyt Kalifornii nie wzrósł jeszcze do wysokiego stopnia, trzymano wstręt rasowy do Chińczyków w pewnej mierze. Ograniczano się więc na zabieraniu dla siebie korzystniejszych przedsiębiorstw lub wyższych zarobków, pozostawiając Chińczykom nużące, mechaniczne zajęcia i lichą płacę. Gdy jednak ludność Kalifornii wzrosła i o średni zarobek było trudno, wówczas napływ Chińczyków wydał się zarobkującej ludności miejscowej klęską narodową.

Poświęciwszy kilka słów organizacyi napływu mongolskiego do Ameryki północnej, muszę z kolei rzeczy zastanowić się nad uzdolnieniem robotnika chińskiego i nad jego wartością, oraz siłą oporną w przesileniach ekonomicznych. Podług zdania ludzi, którzy na miejscu i bez uprzedzenia badali kwestyę, robotnik chiński posiada znacznie mniejsze uzdolnienie od europejskiego. Semler w krót-

kich słowach zawarł pochwałę robotnika mongolskiego [1]). To jednak skromne określenie przymiotów przybiera w praktyce daleko rozleglejsze rozmiary. Chińczyk współubiega się tylko z europejczykiem o pracę monotonną, nużącą, mechaniczną, a przedewszystkiem mało płatną; zdobywszy raz jednak stanowisko, zdumiewa swą wytrwałością i sumiennością w działaniu. Nawet w rolnictwie, do którego mało czuli usposobienia, Chińczycy zaznaczyli chlubnie swą działalność. Jak Semler świadczy, można było na skalistych opokach spotkać robotnika chińskiego, jak z niesłychanym mozołem pielęgnował i hodował rośliny do użytku aptecznego.

Trudno też odmówić pracy Chińczyków wysokiego dla Kalifornii znaczenia. Nie ulega żadnej wątpliwości, że przedewszystkiem przedsiębiorczy duch Jankesów przyczynił się do wzrostu tego Stanu. Wzrost ten wszakże nie byłby nigdy tak szybkim i tak olbrzymim, gdyby nie mrówcza praca Chińczyków [2]). Podrzędniejsze mechaniczne czynności w fabrykach wykonywał Chińczyk wzorowo; w kopalniach tak samo nużące mycie złota jemu poruczano, wiedząc o tem dobrze, że nie posunie się do przywłaszczenia cudzego mienia. Przy budowie kolei żelaznych okazywał się Chińczyk nieocenionym, a jak trudną i męczącą była ta praca dla niego, najlepszy dowód stanowi legenda, opowiadająca, że pod każdym podkładem kolei „Centralpacific“ spoczywa czaszka żółtego. Również przy budowie kanałów, tam, a nawet przy zbieraniu bawełny drzewnej, okazywali się robotnicy chińscy wytrwalszymi, niż europejscy i czarni. Co się zaś tyczy siły konkurencyjnej, to ta w szczupłym zakresie, który wymieniłem, była morderczą dla europejczyka. Dość zaznaczyć, że chiński robotnik gotów był pracować za jedną trzecią zarobku, który trzeba było zaofiarować robotnikowi europejskiemu, a ta jedna okoliczność zdobywała dla pierwiastku mongolskiego przewagę.

Jakim sposobem mógł Chińczykowi wystarczać tak skromny zarobek? Na to pytanie znawcy dawali odmienne odpowiedzi. Przedewszystkiem starano się tajemnicę wyświetlić za pośrednictwem

---

[1]) „Viel Nachahmungstalent, aber wenig Erfindungsgabe“ str. 165.
[2]) Sartorius, str. 354.

różnicy rasowej i nią wytłómaczyć wszystko. Zdaje się wszakże, że tym jednym powodem nie usunie się wszystkich wątpliwości. Studnitz utrzymywał, że antagonizm ras wywołany został odrębnością uzdolnień i funkcyj ekonomicznych, z którą idzie w parze odmienność potrzeb materyalnych (str. 376). Semler przeczy jednak temu stanowczo, aby robotnik chiński miał mniejsze potrzeby życiowe od europejskiego. Owszem, przybysze włoscy i portugalscy, którzy w Ameryce północnej trudnią się głównie uprawą jarzyn, żyją daleko skromniej, niż Chińczycy, a jednak nikt im tego nie brał za złe i nie przytaczał jako dowód ich barbarzyństwa (165). Również i wyłączność uzdolnień ekonomicznych nie zdaje się być przyczyną główną przewagi konkurencyjnej robotnika chińskiego. Przewaga powyższa jest raczej rezultatem wielu przyczyn, wśród których odrębności rasowe odgrywają tylko pewną rolę. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że rozszerzony wśród Chińczyków duch stowarzyszenia pozwala im się we wszystko taniej zaopatrywać. Brak rodziny, a raczej pozostawienie jej w Państwie Niebieskiem, staje się bodźcem do oszczędności, nakoniec wytrwałe dążenie do zdobycia choćby małego kapitału (1—2000 dolarów) pozwala robotnikowi mongolskiemu zadawalać się małym zarobkiem, który przynajmniej dawniej wydawał się europejczykowi nędzą i ruiną.

Stosunki towarzyskie między robotnikami mongolskiego a kaukaskiego pierwiastku nigdy, co prawda, nie były dobremi. Wstręt rasowy był wielkim, a odosobnianie się Chińczyków drażniło i podniecało gniew w robotniku europejskim. Na obelżywem traktowaniu rasy, na znieważaniu jej i znęcaniu się nad nią, nigdy też nie brakło, zwłaszcza przy pracy w kopalniach. Południowe Stany, w r. 1872, tak uprzejmie przyjęły robotników, że Kompanie raz na zawsze postanowiły zerwać z tak niegościnną ziemią i nieludzkiemi jej mieszkańcami. Pomimo że Chińczyk przy zbiorach bawełny okazał się zdolniejszym i pracowitszym od Negra, nie wypłacono mu zarobku i wypędzono do lasów, gdzie przez długi czas żywić się musiał jak zwierzę. Wybawienie od śmierci głodowej zawdzięczają Chińczycy tylko przypadkowemu przejazdowi bogatego Chińczyka, który, dowiedziawszy się o ich opłakanem położeniu, wyratował ich z niedoli i dał pieniędzy na powrót do kraju.

W Kalifornii nie wzięto zupełnego rozbratu ze sprawiedliwością, lecz nie należy sobie wyobrażać, aby położenie robotników chińskich było różowem. W roku 1862 uorganizowano w San-Francisco komisyę, która się miała zająć kwestyą napływu mongolskiego i zbadać przyczyny społecznego niezadowolenia. Komisya powyższa skonstatowała, że Chińczycy doznają takiego obchodzenia się ze strony europejczyków, iż może ono stanowić dowód hańby i upokorzenia dla Ameryki [1]). Pokazało się, że żółtych mordowano bezkarnie, a w dodatku poborcy podatkowi w kopalniach zatorturowali na śmierć jedenastu Chińczyków. Przyznać trzeba na pochwałę Stanu Kalifornijskiego, że dwóch poborców za morderstwa powieszono, resztę jednak ukarano łagodnie, nie chcąc oburzać opinii publicznej.

W roku 1873—79 nastąpiło w stosunkach ekonomicznych ciężkie przesilenie, zmuszające robotnika europejskiego do zadawalania się mniejszym zarobkiem. Wówczas to wyrobiło się między uboższą ludnością przekonanie, że przyczyną wszystkiego złego są Chińczycy i powstała agitacya namiętna a uporczywa przeciw „żółtej zarazie“. Kluby, ligi, prasa, sprzysięgały się przeciw chińskiemu napływowi, który w całych Stanach nie przekroczył, jak się zdaje, nigdy cyfry 100.000 ludzi. Przedsiębiorcy zmuszeni byli uwalniać choćby najtańszych robotników chińskich, a w całym kraju rozbrzmiewało hasło: „precz z żółtymi“. Rząd i prawodawca amerykański, wobec tak gwałtownego naporu społeczeństwa, dał się nakłonić do takiego postępowania przeciw Chińczykom, że nietylko poczucie sprawiedliwości zostało zdeptane, lecz nawet godność polityczna, z której amerykanie są tak dumni, była silnie obniżona.

Administracya, sądy i prawodawca amerykański zapomnieli najzupełniej o równości prawa, którą się tak szczycili i o zobowiązaniach, jakie z zawartych z Państwem Niebieskiem traktatów międzynarodowych płynęły. Jakiem było postępowanie poborców podatkowych względem robotników chińskich, to przechodzi wszelkie wyobrażenie ludzkie. Ściągano od Chińczyków niesprawiedliwe i zupełnie samowolne opłaty, wystawiano fałszywe pokwitowania, aby

[1]) Sartorius, 339.

drugi raz od nich opłaty egzekwować, a gdy oni, powołując się na prawo, nie chcieli płacić, torturowano ich gorzej, niż w średnich wiekach europejczyków, sprzedawano za bezcen całą ich chudobę, uważając grabież za łup najgodziwszy w świecie.

Sądy kalifornijskie nie zapewniały bynajmniej Chińczykom należytej osłony i opieki. Nietylko że żaden Chińczyk nie mógł być członkiem „jury“, lecz świadectwo Chińczyka przeciw białemu nie miało żadnej wobec sądu wartości. Skłonność Chińczyków do krzywoprzysięstwa, zwłaszcza gdy szło o dopomożenie żółtemu, skłoniła prawodawcę do powyższego kroku, lecz jeżeli pewne ograniczenia w tym kierunku były koniecznemi, to odpowiednią granicę przekroczono nadmiernie. Przedewszystkiem systemem taks najdowolniejszych starał się rząd kalifornijski zmusić Chińczyków do opuszczenia kraju. Na każdym kroku wydzierano żółtym cząstkę ich zarobku, a sądy rzadko kiedy uznawały wymagania opłat za niekonstytucyjne.

Począwszy też od roku 1876, rozpoczyna się systematyczna kampania wszystkich władz kalifornijskich przeciw Chińczykom. Komisye sanitarne zwiedzają dzielnice chińskie, usiłując zaprowadzić porządek w ich mieszkaniach. Sądy występują przeciw handlowi robotnikami (kulihandel), aby nie przybierał form niewolnictwa i utrudniają na każdym kroku działanie Kompanii. Policya nakazuje aresztowanym Chińczykom golić warkocze, czem ich zmusza do opłat nadmiernych, w celu uniknięcia owej hańbiącej straty. Opłaty wyzyskują każdą funkcyę chińskiego robotnika i nawet zwłok swoich ziomków nie może on odesłać do Państwa Niebieskiego, nie złożywszy dani rządowi kalifornijskiemu.

W roku 1881 przedstawił nareszcie deputowany kalifornijski, Page, izbie reprezentantów w kongresie projekt zupełnego powstrzymania napływu żółtych przez lat 20; lecz prezydent Arthur położył przeciw powyższej uchwale swe veto; a to z tej zasady, że łamie traktat, zawarty z Państwem Niebieskim, w którym dozwolono Stanom Zjednoczonym regulować, ograniczać i suspendować przypływ robotników chińskich do Ameryki, lecz niewolno bynajmniej przybycia im zakazywać. Tymczasem przedłużenie zakazu na lat dwadzieścia nie może być uważane przez rząd chiński za zgodne z du-

chem traktatu. Senat przyjął jednakże projekt zakazu przypływu robotników na lat dziesięć (1882) i tym razem prezydent nie położył swego veto, a rząd chiński nie uważał za stosowne upominać się o ścisłe wykonanie traktatu. Od 1876 r., t. j. od chwili, kiedy agitacya przeciw żółtym poczęła się rozszerzać, przypływ mongolski do Ameryki północnej nieustannie się zmniejszał. Prócz tego, rządowi chińskiemu nie mogło przecież nic na tem zależeć, aby poddanych jego dręczono wszelkimi możliwymi sposobami i wyzyskiwano na każdym kroku ich pracę.

Prawo, ograniczające na lat dziesięć przypływ robotników chińskich do Ameryki północnej, poczęło obowiązywać od dnia 4 sierpnia 1882 roku. Wszystkim jednakże robotnikom, którzy przed powyższym terminem opuścili Amerykę północną, a po 4 sierpnia chcieli napowrót przybyć w celu zarobku, powrót został dozwolonym, co przekonywa, że rząd amerykański, wydając zakaz, starał się go łagodnie przeprowadzić.

Nietrudno dostrzedz, że zakaz powiększania inwazyi chińskiej w obszarach Stanów Zjednoczonych ma inną prawno-międzynarodową fizyonomię, niż wydalania pruskie z roku 1885. Niemiecki uczony, v. Bar, zauważył też słusznie, że napływ mongolski do Ameryki był jedynym w swoim rodzaju i z ograniczeń prawnych, jakich się rząd Stanów dopuścił, nie można dla państw europejskich wywodzić żadnego prawa wydalania cudzoziemców [1]). Również Leroy-Beaulieu wykazał kardynalną różnicę, zachodzącą między pierwszem a drugiem wystąpieniem przeciw cudzoziemcom. Stany Zjednoczone nie wypędziły bowiem reskryptem władzy administracyjnej masy pracowitej ludności, lecz zapobiegły powiększeniu się napływu obcego na przyszłość i to na drodze prawodawczej, uwzględniającej położenie już osiadłych przybyszów [2]).

Istotnie, zastanowiwszy się nad dwoma powyżej przytoczonymi wypadkami podkopania zasad międzynarodowego prawa, trudno nie dostrzedz okoliczności łagodzących nadużycie prawa w Stanach Zje-

---

[1]) „Journal du droit international privé“, 1886, str. 15.

[2]) „L'Economiste“. Octobre 1885. D'une forme particulièrement dangereuse d'arbitraire gouvernamental, str. 1.

dnoczonych, a obciążających sumienie pruskich mężów stanu. Przedewszystkiem zaznaczyć winienem fakt, że skutkiem odrębności moralnej, ekonomicznej, socyalnej i różnic rasowych, wszystkie warstwy ludności amerykańskiej domagały się usunięcia „żółtej zarazy“ z kraju i napór silny całego społeczeństwa na rząd i prawodawcę był niezaprzeczonym. Wiadomo dobrze, jak trudno reprezentantom władz publicznych stać na straży litery prawa, gdy cały naród domaga się natarczywie usunięcia artykułów ustaw. Tem trudniejsze jest powyższe zadanie, jeżeli przybysze cudzoziemscy wyłamują się nieustannie z pod prawa obowiązującego, jeżeli chcą stanowić państwo w państwie i nadają wielu swym czynnościom charakter przestępny.

Tego ostrego bodźca, który uformował się w konieczność dla amerykańskiego prawodawcy, rząd pruski nie doznawał zupełnie. Wschodnie prowincye Prus nie były bynajmniej oburzone na przyszów z Królestwa Polskiego. Nietylko przedsiębiorcy i właściciele ziemscy, lecz sami robotnicy miejscowi, nie uważali przybyszów za szkodliwą zarazę. Zachowanie się zaś robotników przybyszów było pod każdym względem wzorowem. Pracowici, spokojni, ponosili zgodnie wszelkie ciężary publiczne i nie uważali Prus za miejsce przejściowego wyzysku. W Prusach też społeczeństwo nie wymuszało na prawodawcy barbarzyńskiego postępowania, lecz wprost przeciwnie, rząd dawał inicyatywę i starał się reskryptem zaszczepić socyalną zawiść i prześladowczą namiętność w społeczeństwie.

Zasada równości prawnej, teoretycznie pojęta, nie zna wywyższenia „białych“, a upośledzenia „żółtych“, polityka jednakże państwowa pozwoli sobie robić jeszcze długo małe odstępstwa od doktryny prawa międzynarodowego. Będzie też to znacznem usprawiedliwieniem dla prawodawcy amerykańskiego, że miał do czynienia z odrębną, a dla europejczyka wstrętną rasą. Rząd pruski jednak z daleko większą bezwzględnością traktował ludność chrześcijańską tejże samej narodowości, co miejscowi poddani. Być bardzo może, że wiele zarzutów, podnoszonych przeciw Chińczykom, było przesadzonych, w każdym razie jednak faktem jest bezspornym, że moralność ich ulegała poważnym zarzutom i cały naród uważał

ich za klęskę. W Prusach podobnych powodów nie było. Dla społeczeństwa miejscowego nie stanowili wydalani cudzoziemcy żadnej, bądź ekonomicznej, bądź moralnej klęski, tylko stawali się niewygodnymi dla polityki kierujących mężów stanu.

Jedynym zarzutem, jaki rząd postawił cudzoziemskim robotnikom we wschodnich prowincyach, była ich narodowość. Podług oficyalnych zapewnień, narodowość ta występowała zaczepnie i chciała ze wschodniej granicy usunąć pierwiastki niemieckie. Wydalania zatem ubogich robotników były zabezpieczeniem całości Niemiec i ochroną jej narodowości od zgubnych zamysłów. Cała obrona pruskich mężów stanu, nietylko że zadaje kłam prawu międzynarodowemu, lecz jest poprostu jego wyszydzeniem. Jakie prawo państwowe, czy międzynarodowe, nadaje rządowi pruskiemu miecz, wytępiający spokojną narodowość, to już pozostanie jego tajemnicą, ale zarzut zamachu na żywioł germański na wschodniej granicy, uczyniony garści ubogich, a pracowitych ludzi, jest poprostu śmiesznym w swej bezczelności.

Prawdą jest, że postępowanie władz kalifornijskich względem Chińczyków obudzało niekiedy ohydę i zgrozę, nadmienić jednak należy, że organizacya Stanu Kalifornii nie była doskonałą i wykończoną, że posługiwano się doraźnymi sądami (Lynchjustiz) nietylko przeciw Chińczykom, a wreszcie, że sądy amerykańskie potrafiły niekiedy gnębicieli Chińczyków wieszać. Jeżeli jednak postępowanie władz amerykańskich nie było wolnem od zarzutu, za to prawodawca okazał się możliwie względnym dla zobowiązań traktatowych, pomimo, że mógł być spokojnym o to, że Państwo Niebieskie na drodze retorsyi szukać odwetu nie będzie.

Postępowanie rządu pruskiego okazało się w samym fakcie wydalania daleko samowolniejszem i surowszem. Liczono także na to, że dobrobyt prowincyj pruskich nie ucierpi skutkiem retorsyi sąsiedzkiej a w poczuciu swej nieodpowiedzialności zapomniano o godności narodowej, zdeptano prawo międzynarodowe i napiętnowano własną politykę znamieniem, obcem duchowi chrześcijańskiemu, a wstrętnem dziewiętnastemu wiekowi. Parlament niemiecki nie uważał za stosowne rozważyć postępowania rządu pruskiego, jakkolwiek,

zdaje się, iż miał do tego prawo [1]). Tylko sejm pruski obradował nad postępowaniem swego rządu i znalazł je zgodnem z dobrem kraju i z poczuciem sprawiedliwości! Obrady sejmowe wszakże są cennym dokumentem dla nas, z nich bowiem przekonywamy się, jakie zarzuty stawiał gabinet i posłowie wydalonym cudzoziemcom. Zarzuty powyższe są żadnemi. Wieje z nich tylko duch narodowej nienawiści, którego twórcą i zwiastunem jest sam rząd pruski.

---

[1]) v. Bar: Die Ausweisungen. Nation. 1886, N. 14, str. 199.

8.

FRANCISZEK DEÀK[1]).

(Studyum dra Gustawa Steinbacha).

Istnieje nieliczny zastęp mężów stanu, którzy potrafili wycisnąć tak niezatarte piętno na konstytucyi swojego państwa, że nie można pomyśleć o danej epoce, nie wskrzesiwszy w pamięci ich postaci. Trwały ten wpływ, za który naród uwił swym wybranym mężom stanu wieniec wdzięczności, nie polega bynajmniej na wykończeniu drobiazgowem ustaw, na wypełnieniu lub zreformowaniu wszystkich specyalnych gałęzi administracyi lub na sformułowaniu pomysłowej doktryny, do którejby się odwoływali statyści po subtelności polityczne, lecz raczej na zgłębieniu dążeń i pragnień swego społeczeństwa, oraz na uwzględnieniu palących potrzeb w organizacyi państwowej swego kraju. Tym sposobem nieraz mimo formalnych anachronizmów w ustroju konstytucyjnym, mimo pozornych logicznych sprzeczności, w reformach owych mężów stanu panował duch rzeczywisty, jednoczący działanie wszystkich i pokrywający niedostatki teoretyczne obudzeniem w piersi każdego obywatela poczucia obowiązku publicznego i potrzeby prawa, jako nieodzownego regulatora stosunków ludzkich.

Liczba jednakże owych wybranych mężów stanu, którzy potrafili na stosunkach państwowych danego kraju wycisnąć piętno swej potężnej indywidualności, nie jest nieprzejrzaną. Jeżeli nazwisko Hamiltona jest nierozdzielnem z pewną epoką rozwoju konstytucyj-

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1889.

nego Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, imiona Steina i Hardenberga z momentem odrodzenia się Prus, Cavoura z dobą zjednoczenia się królestwa włoskiego, to prawdopodobnie szeregu powyższego bardzoby przedłużać nie było można. Sądzę jednakże, iż można śmiało do tego wytwornego grona dołączyć Franciszka Deàka, którego postać zacna a oryginalna przypomni się zawsze wtedy, gdy będzie mowa o ugodzie Austryi z Węgrami z roku 1867 oraz o podstawach konstytucyjnych, które nakreślone ręką Deàka do dziśdnia służą niewzruszenie porządkowi państwowemu monarchii Habsburgów.

Jeżeli wszakże historycy i politycy narodowi odwdzięczyli się swym wybitnym mężom stanu, czyniąc ich pracę i projekta przystępnemi całemu ucywilizowanemu światu, to dotychczas przynajmnej, inaczej się rzecz miała z Deàkiem i węgierskimi uczonymi. Zasługi Hamiltona doznały oceny we wszystkich poważniejszych literaturach europejskich, dzięki pracom Story'ego i innych uczonych amerykańskich. Prace Steina i Hardenberga wywołały całą literaturę w Niemczech a przez Niemcy stały się rozgłośnemi i w innych krajach. Cavourowi zjednały rozgłos studya Artoma, Massariego i Mazada, prócz których należy wymienić staranne wydawnictwa wszelkich listów i mów włoskiego męża stanu. Działalność margrabiego Wielopolskiego równie została rozjaśnioną miejscowemu społeczeństwu pracami Spasowicza, Tarnowskiego i Lisickiego, a prócz tego umiejętne streszczenie własnej pracy w języku francuskim, podane przez p. Lisickiego, uprzystępniło dla obcego świata poznanie się z oryginalną i ciekawą postacią margrabiego Wielopolskiego.

Cóż dopiero mówić o niezamkniętej jeszcze a tak bogatej księdze żywota publicznego księcia Bismarcka? Patryotyzm odrodzonego cesarstwa nie czekał ani zgonu swego genialnego ulubieńca, ani uzupełnienia dowodów historycznych, dotyczących jego osoby. Wystawiono mu już za życia pomnik, a postać jego przybrano legendowym prawie urokiem. Literatura niemiecka może też uposażyć ciekawego całą biblioteką utworów o księciu Bismarcku. Począwszy od poważnego wydawnictwa Hahna, który z sumiennością wydaje wszystkie mowy i utwory dyplomatyczno-polityczne księcia kanclerza, a skończywszy na książkach odkrywających nieprzebrane taj-

niki domowych zwyczajów i poufnych zwierzeń księcia Bismarcka, naliczyćby chyba można sporą liczbę tomów, poświęconych wyłącznie pierwszemu kanclerzowi odrodzonego cesarstwa.

Węgrzy jednak dotychczas pozostawili w cieniu Franciszka Deàka, pomimo że swego czasu cenił go cały świat cywilizowauy, a w monarchii Habsburgów cieszył się nawet ów szlachcic węgierski popularnością, opartą na rzetelnym szacunku. Nie jestem w stanie utrzymywać na pewno, że literatura węgierska nie posiada pełniejszej biografii politycznej Deàka. W każdym razie prace i mowy węgierskiego męża stanu ukazały się dopiero teraz w języku ojczystym, wydawane przez Konyi'ego i z nich to prawdopodobnie korzystał Steinbach przy pisaniu swego powabnego i niezmiernie interesującego studyum o Deàku.

Ponieważ, o ile mi się zdaje, książka Steinbacha jest pierwszą, z której można powziąć dokładniejsze wiadomości o węgierskim mężu stanu, przeto rzut oka pobieżny na treść w niej zawartą nie będzie i dla naszych czytelników bez interesu. Pozwolę sobie zatem przytoczyć kilka charakterystycznych szczegółów, które przynajmniej w zarysie ogólnym dadzą możność wyrobienia sobie zdania o Deàku a zarazem odkrycia powodów, dla których tak prosta postać węgierskiego szlachcica zdołała wywierać nieprzeparty urok na kraj cały.

Franciszek Deàk urodził się w r. 1803, w wioseczce węgierskiej Sajtor. Należał on do rodziny staroszlacheckiej, ale nie zasobnej w bogactwa. Ukończywszy studya filozoficzne i prawne w Peszcie, pozyskał dyplom adwokata, lecz nie uważał za stosowne poświęcić się temu zawodowi, tylko udał się do Zalarskiego komitatu, aby w samorządzie oryginalnym węgierskim odbyć pierwszą szkołę życia publicznego.

Kto nawet zna gruntownie dzieje „selfgovernmentu“ angielskiego, oraz wszystkich samorządów lokalnych na zachodzie Europy, ten nie może mieć jeszcze dokładnego wyobrażenia o samorządzie komitatów węgierskich. Samorząd powyższy przypomina bardzo nasze dawne „rządy sejmikowe“, które znalazły tak gruntownego badacza w prof. Pawińskim. Były owe komitaty w każdym razie żywą reminiscencyą dawnych stanowych instytucyj, których anachro-

nistyczny w XIX wieku obraz odtworzył słynny węgierski uczony i poeta Eötvös w interesującej powieści „Notaryusz“, tłómaczonej swego czasu na język polski.

Chociaż komitaty węgierskie ze swemi instytucyami sądowo-administracyjnemi nie licowały z teoryą konstytucyjną XIX wieku, niemniej jednak przejawiało się w nich najgoręcej życie publiczne szlachty i dlatego też zwano je małemi parlamentami, oraz podwaliną najkapitalniejszą konstytucyi węgierskiej. Powyższą szkołę publiczną przebywał najprzód Deák i jej to zawdzięcza gruntowne obznajmienie się z duchem ustaw krajowych i ów praktyczny zmysł stanu, zapewniający mu niejednokrotnie przewagę nad tymi, którzy go znacznie przewyższali bogactwem wiedzy. Wśród Zalarskiego komitatu wyrobił sobie Deák wcześnie taką powagę, że gdy w roku 1833 brat jego, Antoni, reprezentujący od 1825 roku tenże komitat, w sejmie złożył mandat poselski, oświadczając, iż przyśle im na swoje miejsce kogoś, co w małym palcu ma więcej zmysłu stanu, niż on cały, od razu dorozumiano się, że ową tajemniczą zdolnością jest Franciszek Deák i stronnictwo liberalne uznało go swoim przywódcą.

Żeby dokładnie ocenić tak nawskróś oryginalną postać narodową, jaką tworzy Deák, trzeba koniecznie uprzytomnić sobie ówczesny stan społeczeństwa węgierskiego. Steinbach czyni też zadość owym koniecznym wymaganiom i opierając się głównie na dziejach węgierskich Horwatha, kreśli nam obraz treściwy a barwy stosunków w pierwszej połowie XIX wieku. Na zapytanie: czem były Węgry w owej dobie, znajdujemy mniej więcej następującą odpowiedź: Węgry — było to kilka setek tysięcy uprzywilejowanych indywiduów obok milionów uciśnionego ludu, żyjącego bez niezbędnych gwarancyj prawa; było to społeczeństwo zastygłe w swym rozwoju i dlatego szybko zdążające do upadku. W społeczeństwie tem panowały przestarzałe instytucye, obyczaje nawpół barbarzyńskie, a brak wszelkich środków dobrobytu i kultury żywo odczuwać się dawał. Jednem słowem, społeczeństwo węgierskie było zupełnie zacofanem i takiem samem prawie, jak w połowie XVIII wieku.

Własność gruntowa znajdowała się w niewielu rękach, a była skrępowana feudalnemi instytucyami, dozwalającemi osiągnąć zaledwie mały dochód z ziemi. Industrya i handel były spętane, za-

niedbane i pogardzone, a w tych warunkach o ich rozwoju nawet mowy być nie mogło. Nauki i sztuki spoczywały w pieluchach, albo nie oglądały jeszcze światła dziennego; instytucye oświaty narodowej były szkołami ogłupiania i zabobonu. Zdawało się, że sen wiekuisty zaczyna ogarniać społeczeństwo węgierskie i że jakaś noc ciemna i głucha przygniata wszelkie światło ducha narodu.

W takich barwach kreśli Michał Horváth stan społeczeństwa węgierskiego w pierwszej połowie XIX wieku, i wśród takich to warunków trudnych musiał swą pracę publiczną rozpoczynać Deák. Właśnie wówczas, gdy w r. 1833 występował po raz pierwszy na szerszej arenie politycznej, to jest w sejmie węgierskim, stanął na czele stronnictwa reformy hrabia Széchenyi, „największy z madziarów“. Projekta Széchenyi'ego, dążące do uregulowania stosunków celnych i handlowych Austryi z Węgrami, zostały przez Metternicha przyjęte jak najnieprzychylniej i zjednały sobie jedynie szorstką odpowiedź w tym duchu, że tylko cesarzowi należy oceniać, o ile stosunki ekonomiczne krajów koronnych winny uledz zmianie.

Na tym samym sejmie w roku 1833, Franciszek Deák złożył dowody wysokiego zmysłu stanu, połączonego z spokojem i talentem oratorskim, a pozbawionego sentymentalizmu i przesadzonego patosu, lecz błyszczącego nieprzepartą logiką, treściwością i dosadnością wyrażenia, w połączeniu ze szczerym, rodzimym humorem. Pierwszą kwestyą, w której Deák zabrał głos i zdobył sobie trwałe uznanie, było wyswobodzenie i uwłaszczenie włościan. Dla Węgier była to kwestya pierwszorzędnej wagi, chodziło bowiem o stworzenie ośmiu milionów obywateli, a zarazem o stworzenie narodu politycznego, który dotąd był reprezentowanym przez kilkakroć sto tysięcy uprzywilejowanych. Egoizm właścicieli ziemi był jednakże jeszcze zbyt silnym, aby go prąd opinii mógł przełamać. Dzieło wyswobodzenia włościan w Węgrzech musiało się doczekać roku 1847, niemniej jednak występy sejmowe Deáka w tej sprawie należą do najświetniejszych. W występach tych humanitarne poczucie walczy o lepsze ze zmysłem stanu i przenikliwością praktycznego reformatora.

Deák przewidział wybornie w roku 1833 prądy ekonomiczno-socyalne, jakie przebiegły Europę zachodnią w roku 1848. On był

jednym z pierwszych zwiastunów tej prawdy, która dowodziła, że swoboda i własność są najpotężniejszemi dźwigniami pracy włościańskiej. Zdaniem Deáka istniały tylko dwie siły, przywiązujące lud roboczy do ojczyzny i do poszanowania prawa: temi siłami były zawsze — swoboda i własność. Gdy Deákowi stronnictwo reakcyjne odpowiedziało tekstem z Corpus juris: „omnis terrae proprietas ad dominum spectat“, żądał przynajmniej tego ustępstwa, aby dobrowolna umowa mogła tytuł własności ziemi na włościan przenieść. Gdy mu toż samo stronnictwo zasłaniało się tradycyami konstytucyi węgierskiej, odpowiadał z wzniosłem oburzeniem: „Cóż to za nędzna konstytucya, która nie pozwala wyżywić się milionom ludzi“.

Na sejmie z roku 1833 zabrał Deák jeszcze głos w sprawie zniesienia lub przynajmniej ścisłego ograniczenia fideikomisów. Posiadanie umarłej ręki — mawiał Deák — jest szkodliwe dla ekonomicznego rozwoju kraju, i w tym kierunku można również podziwiać jego trzeźwy pogląd na sprawy narodowe. Liberalne reformatorskie dążenia Deáka obudziły jednak wśród wyborców Zalarskiego komitatu silne niezadowolenie. W roku 1842, zwłaszcza gdy sprawa opodatkowania szlachty była przedmiotem żywych rozpraw, okrzyczało stronnictwo reakcyjne Deáka zdrajcą stanu, i na sejmie 1843 r. nie zasiadł on wcale na ławach poselskich.

W roku 1847 już stronnictwo liberalne wzmogło się na siłach i przypomniało sobie zasługi Deáka. Jakkolwiek Kossuth pozyskał wówczas znaczną popularność, jednakże liberalni uważali za stosowne wybrać Deáka na swego przywódcę. W roku 1848, gdy stosunki apostolskiego królestwa Węgier z koroną Habsburgów zaostrzały się coraz bardziej, ulegając życzeniom ogólnym, przyrzekł Deák hrabiemu Batthyany, iż przyjmie tekę w gabinecie, któremu on przewodniczyć będzie. W tym też roku jeździł w deputacyi kilkakrotnie do Wiednia i konferował z arcyksiążętami, bez żadnego jednak dla sprawy pojednania pożytku.

Im więcej wpływu zyskiwało w Węgrzech stronnictwo ruchu, tem więcej cofał się Deák do życia prywatnego, aż nareszcie osiadł w początku 1849 roku w majątku rodzinnym, Kehida, w którym młodość swoją spędził. Jak go jednak ceniło nawet stronnictwo ruchu, przekonywa najlepiej fakt, że gdy w roku 1849 Maurycy Jokai

odwiedził Kossutha, ten mu oświadczył co następuje: jeśli zwyciężymy, wówczas cofnę się z życia publicznego, albowiem kraj będzie potrzebował roztropnego i trzeźwego męża stanu, jakim jest Deák. Po niefortunnym roku 1849, ze skromnej wioski Kehidy wyszło hasło „bierność“, które obiegło kraj cały i uchroniło społeczeństwo od rozdwojenia. W roku 1850 Schmerling zaprosił Deáka do przyjęcia udziału w zamierzonej reformie sądownictwa; na to zaproszenie odpowiedział jednak Deák kategoryczną odmową.

W roku 1858 rozpoczyna się znowu publicystyczna działalność Deáka, a artykuły jego w formie listów, drukowane w „Pesti Naplo“, były, bez przesady mówiąć, regulatorami opinii publicznej. Przedewszystkiem chodziło Deákowi o utrzymanie, w epoce terroryzmu, zamiłowania do swobód konstytucyjnych; z niezachwianą bowiem wiarą wypowiadał zdanie, iż Węgry mogą znów odzyskać państwo konstytucyjne w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Od roku 1861 wpływ Deáka na sprawy publiczne Węgier staje się coraz silniejszym, i używa on go skutecznie zarówno dla poskromienia centralistów austryackich, jak i utrzymania w karbach szowinistów narodowych. Pierwszym oświadcza Deák, że Węgry nie potrzebują darowanej konstytucyi, albowiem mają własną, rozwijaną i zastosowywaną do potrzeb narodu, a uświęconą wiekami. Szowinistom narodowym zaś odpowiadał, iż polityka, którą się kieruje, nie jest polityką zuchwalstwa ani trwogi, ale polityką zastosowaną do siły i połczenia kraju. Przypominał on zapaleńcom, że dla kraju można wszystko poświęcać, tylko samego kraju poświęcać nie należy, a tym, którzy wrogie usposobienie Austryi i smutne dzieje terroryzmu przypominali, odpowiadał przepysznym frazesem: że silniej kocha kraj swój, aniżeli nienawidzi jego nieprzyjaciół, a więc musi czynić tylko to, czego dobro kraju wymaga.

W tymże czasie Deák napisał rozprawę o prawie państwowem węgierskiem, która była odpowiedzią na uczony traktat Lustkandla, dotyczący tego samego przedmiotu. Praca Deáka była faktem politycznej doniosłości i uważano ją jako tryumf narodowy, odniesiony nad uczonością austryacką. Po 1861 roku nastała znowu chwilowa reakcya. Deák znika ponownie z widowni publicznej, aby już wyraźniej w roku 1865 wziąć w obradach sejmowych udział. Kiedy

stronnictwo oportunistów chciało za daleko posunąć się ze swemi ustępstwami dla rządu, Deák w słynnej mowie, wygłoszonej w r. 1866, wykazał całą jego moralną nicość. On też jest istotnym inicyatorem systemu dualistycznego, będącego podstawą budowy konstytucyjnej Austryi; a jakkolwiek każdy ustrój polityczny ma swe wady i z czasem się zużywa, nic dotychczas nie dowodzi, aby upadek dzieła Deáka się zbliżał.

W roku 1873 wygłosił ostatnią mowę sejmową w obronie swobody wyznania i potępiał walkę kulturalną, jaka się z całą zaciętością poczęła w Niemczech rozwijać. Był to jego śpiew łabędzi, a w roku 1876 Deák zakończył żywot. Rzadko który wydatny charakter, powiada Steinbach, składał się z pierwiastków tak zwykłych i prostych, jak Deáka. Wielkość jego polegała na prostocie, otwartości i niepokalanej zacności. Całe jego życie było walką, a jednak nie pozostawił ani jednego nieprzyjaciela.

Jakkolwiek książka Steinbacha jest dopiero szkicem biograficzno-politycznym postaci Deáka, niemniej jednak zasługuje ona na uznanie, albowiem zapoznaje nas dokładnie z oryginalnym mężem stanu królestwa węgierskiego. Dzięki też temu pięknemu studyum, łatwiej zrozumieć ów wykończony typ szlachcica węgierskiego, obdarzonego zdrowym rozumem, znającego wybornie instytucye krajowe i przesiąkniętego nawskróś tradycyami madziarskiemi.

Najwięcej Deák przedstawia podobieństwa z Cavourem, jakkolwiek powtórzyć winienem, że wydaje się być zrośniętym z rodzimemi pierwiastkami i jest typem wielce oryginalnym. Obaj jednak mężowie stanu, Cavour i Deák, siedząc w rodzinnych wioskach, poczuli w sobie nieprzeparty zmysł polityczny i chęć dźwignięcia kraju z niemocy. Jak niegdyś Machiavelli, zastawiając sidła na kwiczoły lub grając w przydrożnej karczmie w kości, marzył o jedności Włoch i odgadywał prawa, rządzące organizmem państwowym, tak Cavour, jako porucznik wojsk, siedząc w forcie górskim Bard, marzył o ideałach Machiavellego i tak samo Deák, siedząc w Kehidzie, pragnął wskrzeszenia dawnej potęgi Arpadów w swej ojczyźnie.

Cavour i Deák przejęci byli nawskróś uznaniem dla systemu parlamentarnego i nie uważali go za wygodny środek do przepro-

wadzania samowoli. Zawsze też starali się oświecić izby i pozyskać ich zgodę, a nie występowali nigdy z lekceważącą wyniosłością względem opozycyi, jak to zwykł czynić książę Bismarck. W przemówieniach Cavoura i Deàka znajdujemy równą prostotę i brak wszelki patosu teatralnego. Siła argumentacyi i bogactwo wiedzy mniejsze jest u nich, aniżeli w mowach kanclerza niemieckiego, lecz za to znajdujemy nieprzebrane skarby etyki politycznej i brak wszelkiej tendencyi, nakręcającej fakta.

Zarówno Cavour jak i Deàk, nie będąc nawet członkami gabinetu, wywierali wpływ przeważny na opinię kraju. Z ich mieszkań prywatnych wychodziły hasła, których się społeczeństwo wiernie trzymało. Zachowali też, mimo walki, ten wyborny humor, co stworzył z nich postacie legendowe, popularne nawet wśród całego ludu. Jak pamiętniki Bluntschliego głoszą, było ulubioną dewizą księcia Bismarcka „viel Feind — viel Ehre“, hasłem Cavoura było znaczące „alere flammam“. Praca Steinbacha nie podaje nam ulubionej dewizy Deàka, ale za uwieńczenie polityki całego życia można uważać jego podniosłe słowa: „Potrafię silniej kochać mój kraj, aniżeli nienawidzić jego nieprzyjaciół“.

Niewątpliwie Cavour był uniwersalniejszą postacią od Deàka i więcej należał do całej Europy, niż szlachcic węgierski. Zdolności Cavoura były także rozleglejszemi i obejmowały dalsze horyzonty polityczne, ale niezależnie od tego, historyk, oceniający wpływ obu mężów stanu na stosunki rodzinnych krajów, nie będzie mógł pozostawić ich nazwiska bez przydomka „szlachetny“.

9.

MEMORYAŁY WILHELMA v. CANITZ UND DALLWITZ [1]).

(Des Freiherrn Carl Ernest Wilhelm von Canitz und Dallwitz Denkschriften. dwa tomy).

I.

Kto tylko uważnie przeglądał historyę dziewiętnastego stulecia Gervinusa lub nowożytną historyę Niemiec Treitschkego, która autorowi zjednała tak zaszczytne uznanie cesarza Wilhelma II, ten mógł się dostatecznie przekonać, jak ważnem źródłem dziejowem są pamiętniki osób wysoko postawionych w hierarchii państwowej i wywierających wpływ znaczny lub przeważny na rządy kraju. Oddziaływanie instytucyj politycznych da się odtworzyć należycie ze stosów archiwalnych dokumentów, polityka rządu jednakże pozostawiona nieraz dyskrecyonalnej władzy mężów stanu, ma często motywy głęboko ukryte, które jedynie pamiętnik lub memoryał należycie wyświetlić potrafi. Prócz tego w interesie rządu leży niekiedy ukrycie istotnych motywów, zwłaszcza polityki zagranicznej. Archiwa państwowe zawierają więc szczupłe wskazówki w tym kierunku i nie będą w stanie objaśnić dziejopisa nawet wówczas, gdy potrzeba tajemnicy przeminie. Gdzie jednak wtedy szukać rozwikłania zawiłości dyplomatycznych, gdzie światła wśród ciemności, a prawdy wśród wątpliwości, jeżeli nie w pamiętnikach, t. j. w tem źródle, które przechowuje całą osobę wraz z jej wszystkiemi ambicyami i namiętnościami.

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1889.

Ze pamiętniki przyśpieszają moment rozwiązania zagadek politycznych i ułatwiają znakomicie pracę historykowi, tego mamy najlepszy dowód w pamiętnikach La Marmory, które odkryły maskowany zręcznie przez Bismarcka system polityki „Stoss-ins-Herz“, wymierzonej przeciw Austryi. Zresztą pamiętniki wyjaśniają nam, a raczej wykończają portret tej osobistości, która za pośrednictwem pamiętników chce usprawiedliwić swą działalność przed historyą lub błędy własne zwalić na cudze barki. Czyż pamiętniki Metternicha lub Beusta nie dają nam wyobrażenia dokładnego o autorach samych? Czy wstrętny pamiętnik Görgöy'a nie jest jakby aktem oskarżenia siebie samego?

Postanowiłem więc poświęcić uwagę zbiorowi dwutomowemu memoryałów Dallwitza, z tego względu, że nie mogą one być zupełnie obojętnemi naszym historykom. Dallwitz przedewszystkiem brał udział w wojnach Napoleońskich, a nawet jako oficer korpusu Yorka musiał razem z pułkami polskimi słuchać komendy marszałka Macdonalda. Następnie w roku 1831 znajdował się przy boku feldmarszałka Dybicza oraz Paskiewicza i przyglądał się przebiegowi polsko-rosyjskiej kampanii, której niedawno generał Puzyrewski sumienne studyum poświęcił. Następnie Dallwitz dosłużył do rangi generał-adjutanta Fryderyka Wilhelma IV i był przez kilka lat ministrem spraw zagranicznych. Na tych wysokich stanowiskach mógł poznać bliżej interesującą i niezwykle zdolną postać monarchy pruskiego, oraz dokładnie scharakteryzować ówczesną politykę rządu tego kraju.

Dallwitz nie pozostawił właściwie pamiętników w ścisłem znaczeniu tego słowa, lecz zbiór memoryałów. Różnica między jego opracowaniami a pamiętnikami polega na tem, że autor mniej zajmuje się osobistościami i szczegółami, należącemi do prywatnego życia, a trzyma się więcej publicznej sprawy. Pamiętniki też bywają najczęściej spisywane jako reminiscencya ubiegłych epok w życiu, gdy tymczasem memoryały Dallwitza noszą charakter systematycznego opracowania, jakby ich przeznaczeniem miało być oddziałanie na monarchę i na swych kolegów.

Zbiór memoryałów poprzedzony został biografią Dallwitza, skreśloną barwnie i żywo przez jego córkę. Ponieważ Dallwitz brał

żywy udział w wojnach napoleońskich, które i nasz kraj ogarnęły, przeto pozwolę sobie przytoczyć kilka interesujących szczegółów z jego życia. Przedewszystkiem Dallwitz urodził się w roku 1787, a służba jego wojskowa przypadła właśnie w dobie największych upokorzeń dla Prus. Że jednak młody oficer nie zasługiwał na lekceważenie, jakie od bitwy Jenajskiej stało się udziałem armii pruskiej, dowodzi najlepiej wypadek, jaki miał miejsce w roku 1808. Dallwitz, obrażony przez oficera francuskiego, póty jeździł za pułkiem cudzoziemskim, aż nareszcie dotarł do pułkownika i skłonił go do tego, iż oficera, który się dopuścił urazy, zmusił do dania satysfakcyi honorowej. Gdy stanęli na placu, a pierwszy strzał dany był oficerowi francuskiemu, Dallwitz uprzedził przeciwnika przez swego sekundanta, aby mierzył starannie, albowiem jeżeli chybi, Dallwitz go oszczędzać nie myśli. Los oświadczył się mimo to za Prusakiem, Francuz bowiem chybił i za chwilę padł trupem od kuli nieprzyjacielskiej.

W kampanii 1814 roku otrzymał Dallwitz krzyż żelazny pierwszej klasy, lecz zarazem doznał przykrego wrażenia, gdy korpusowi Yorka nie pozwolono brać udziału w tryumfalnem wejściu do Paryża, dlatego, że żołnierze skutkiem trudów kampanii mieli dziurawe buty a ubranie prawie w łachmanach. Zaszczyt tryumfalnego wkroczenia do Paryża przypadł w udziale gwardyom pruskim, które na polach bitew daleko mniej ucierpiały.

Pierwszy memoryał poświęcił Dallwitz kampanii 1812 roku i osławionej konwencyi Yorka. Napoleon zapatrywał się swego czasu na powyższą konwencyę, jako na ohydną zdradę i przyznawał jedynie, że była ona dla niego dotkliwym ciosem. Dallwitz naturalnie tłómaczy postępowanie swego generała motywami politycznemi i patryotycznemi, oraz położeniem rzeczy, które uczyniło Yorka czemś większem od zwykłego generała dywizyi. Szczęściem dla oddziału pruskiego, powiada Dallwitz, była ta okoliczność, że został oderwany od wielkiej armii i połączony z wojskami marszałka Macdonalda. Wielu było z tego niezadowolonych, że minie ich sława bojowa, rzeczywiście bowiem oddział pruski musiał się ograniczyć na staczaniu małych potyczek z garnizonem Rygi, które pod względem militarnym małego były znaczenia.

Interesującymi są szczegóły, które Dallwitz zamieszcza o charakterze Macdonalda. Marszałek francuski mało się komunikował z oddziałem pruskim i żołnierze Yorka nie widzieli go nigdy w ogniu bojowym.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, ażeby Macdonald miał być mniej odważnym od innych marszałków, tylko że wojska, któremi komenderował, były rozproszone wśród wielkich obszarów, i nie miały potrzeby występować w zjednoczeniu przeciwko nieprzyjacielowi. Zresztą w rzadkich zetknięciach się z oficerami pruskimi był Macdonald uprzedzająco grzecznym i wyrozumiałym.

W otoczeniu marszałka Francyi znajdował się generał artyleryi Taviel, który żartobliwie oświadczył oficerom pruskim, że wolałby spokojnie odpoczywać po trudach tylu kampanij we Francyi, w swoich majątkach ziemskich, niż tu komenderować Prusakami. Postępowanie Macdonalda było nieco odmiennem od innych marszałków francuskich. Nie dopuszczał się on żadnych nadużyć, ani bogacił na rekwizycyach, a życie wraz z otoczeniem prowadził skromne. Zachowanie się Macdonalda wogóle było pełne godności i rozwagi, a względem Prusaków okazywał zawsze pełne taktu poczucie sprawiedliwości, które mu jednakże w korpusie Yorka nie zjednało popularności. Stosunki osobiste między marszałkiem a dowódcą wojsk pruskich były bardzo oziębłe, ograniczające się jedynie na raportach służbowych. Pomiędzy oficerami pruskimi krążyły nawet pogłoski, że się wodzowie nigdy ze sobą nie spotykali, co zdradzało, że w szeregach Yorka, pomimo pobratymstwa bojowego, głęboka niechęć do Francuzów panowała.

Dallwitz przyznaje, że w głównej kwaterze Yorka mówiono zawsze i głośno takie rzeczy, które Macdonaldowi niebardzo się mogły podobać. Im zaś groźniejsze dochodziły wieści od wielkiej armii, tem usposobienie Prusaków stawało się nieznośniejszem. Król pruski nie mógł mieć dokładnych wiadomości o zniszczeniu wielkiej armii, ani przypuszczał, aby klęska była tak straszliwą, York wszakże był w stanie ogrom rozprzężenia wielkiej armii zbadać dokładnie, i dlatego obowiązkiem jego było powziąć decyzyę samodzielną. Później rozpuszczono wieści, że York odstąpił Francuzów, głównie przez zemstę osobistą nad Macdonaldem, lecz wersyi podobnej za-

przecza Dallwitz najzupełniej. Powodów do zemsty nie było żadnych, albowiem postępowanie Macdonalda było zawsze pełne godności. Prawdą jest tylko to, że oziębłe stosunki, jakie między wodzami panowały, ułatwiły Yorkowi zawarcie konwencyi z Rosyą. Nie możemy się dziwić Dallwitzowi, że oślepiony patryotyzmem pruskim, podnosi zdradę Yorka do wysokości bohaterstwa, zapominać bowiem o tem nie należy, na jakie upokorzenia Prusy były przez Napoleona wystawione po klęsce Jenajskiej i że sojusz militarny przeciw Rosyi był jedynie aktem bezgranicznego despotyzmu Napoleona. Zresztą przyznać należy, że zdrada Yorka wyglądała cokolwiek inaczej, niż zdrada Sasów z Normanem na czele, w bitwie pod Lipskiem. Przynajmniej korpus Yorka nie strzelał do tych, z którymi przed godziną wspólnie walczył, i konwencya zachowała pozory aktu politycznego wysokiej doniosłości.

W 1812 roku Dallwitz wysłany był w tajemniczej misyi do Wilna i to właśnie w tej chwili, gdy szczątki wielkiej armii obdarte, skostniałe i najzupełniej zdemoralizowane ciągnęły bezładnie ku zachodowi. Dallwitz miał się naocznie przekonać o tem, co może być jeszcze warta wielka armia pod względem militarnym, a jego zdanie miało stanowczo wpłynąć na postanowienie Yorka. Uczynił też Dallwitz wycieczkę do Wilna pokryjomu, starając się zręcznie o to, aby z jego pasportów nie można było odgadnąć celu podróży. Obraz Wilna, jaki nam Dallwitz kreśli, przypomina najzupełniej obraz Daniela, przedstawiający rynek wileński napełniony przeciągającemi wojskami a zamieszczony w reprodukcyi w Albumie wileńskim.

Pierwszym, do którego się Dallwitz w Wilnie zwrócił po objaśnienie, gdzie się poczta znajduje, był nawpół zmarznięty Portugalczyk, który tylko o tem jedynie wiedział, że mu strasznie zimno. Wszyscy żołnierze szli piechotą, ciągnąc za sobą wynędzniałe konie a przekleństwa rozpaczliwe napełniały powietrze. Wszystkie ulice i miejsca publiczne pokryte były różnolitą mieszaniną broni i narodowości, a spotkać było można wszędzie tak wielką ilość generałów, że zdawało się, iż połowa Europy na nią się złożyć musiała.

Jedyni grenadyerowie gwardyi króla neapolitańskiego, rozstawieni przed niektóremi domami jako szyldwachy, zachowali postawę militarną, zresztą cała masa porzuciła broń i jedynie ci, co dostali

się do sanek, zachowali szablę lub karabin. Neapolitańczycy i oddział nadreński przybył do Wilna w zupełnym rozstroju. Zapewniano Dallwitza, że cała dywizya tych wojsk, nie przyzwyczajonych do zimy północnej, została zniszczona, nie widząc nieprzyjaciela. Mróz i zimno były owymi żywiołami niszczącemi.

Nareszcie nadciągnęła do Wilna gwardya napoleońska, to samo dumne wojsko, które Dallwitz widział w całym blasku w Insterburgu. Zaledwie mógł uwierzyć temu, że i te zawsze zwycięskie szeregi zostały zupełnie przez mróz zwyciężone i nie przedstawiały już nic innego, jak gromadę nieszczęśliwych ludzi. Wszyscy gwardziści, z którymi Dallwitz zawiązał rozmowę, opowiadali zgodnie, że szczątki gwardyi istniały do przejścia Berezyny, lecz od tej pamiętnej doby nie było gwardyi wcale, i nie było armii. „C'est fini, il n'y a plus d'armée". Wszyscy wyżsi oficerowie, z którymi Dallwitz rozmawiał, byli zdania, że cała wielka wielka armia jest nieodwołalnie zniszczona i musi być zastąpioną przez nowe szeregi. Znajdowali się jednak tacy, co nawet wobec niesłychanej katastrofy nie zwątpili w gwiazdę Napoleona i byli przekonani, że on potrafi stworzyć nowe legiony i odzyskać dawną sławę. To, co Dallwitz zobaczył w Wilnie, było dostatecznym sygnałem ostrzeżenia dla Yorka, i dowódca pruski postanowił też zawrzeć na własną odpowiedzialność konwencyę, nie czekając pełnomocnictwa od swego monarchy.

W 1827 roku wysłany był Dallwitz w misyi dyplomatycznej do Konstantynopola. Memoryał wszakże, opisujący położenie Porty Ottomańskiej, mniej zawiera ciekawych dla nas szczegółów, dlatego pomijamy go, poświęcając obszerniejszą uwagę rozdziałowi, w którym Dallwitz zdaje sprawę z militarnego przebiegu kampanii w 1831 roku.

Nad kampanią polsko-rosyjską z roku 1831 zastanawiali się już oficerowie dość rozgłośnego nazwiska. Ze źródeł polskich zasługują na wyróżnienie Prądzyński i Mierosławski. Memoryał Prądzyńskiego, pisany na szczególne żądanie cesarza Mikołaja, posiada wysoką wartość militarną, jakkolwiek za ostatnie słowo zdolnego generała-kwatermistrza, później szefa sztabu, uważany być nie może. Prądzyński kreślił swój memoryał wkrótce po 1831 roku, a więc wówczas, gdy znajdował się w stanie najwyższego rozgoryczenia,

zaciemniającego jasność sądu. Znajdują się wprawdzie późniejsze pamiętniki obszerne Prądzyńskiego, te wszakże, skutkiem dziwnego zbiegu okoliczności, dotychczas ogłoszonemi nie zostały. W każdym razie oba powyżej wymienione źródła polskie, lekceważonemi być nie mogą i każdy poważny pisarz wojskowy bez ich pomocy nie będzie się w stanie obejść.

Z niemieckich pisarzy opisywał szczegółowo kampanię z 1831 r. generał Willisen. Pomimo wysokiego uzdolnienia i teoretycznych wiadomości, znać jednak w dziele jego nieznajomość polskich źródeł. W studyum Willisena panuje jednakże wysokie poczucie sprawiedliwości wraz z doświadczeniem wojennem. Przymioty powyższe zapewnią też pracy jego poważne miejsce w literaturze specyalnej. W literaturze rosyjskiej znajdowało się dość monografii, poświęconych przebiegowi kampanii w r. 1831. Nasamprzód Okounief wystąpił z namiętną broszurą, pisaną po francusku, która dziś nie budzi żadnego interesu. Następnie „Russkaja starina“ zamieszczała krytyczne rozbiory pojedyńczych bitew, a nakoniec wystąpił Puzyrewski, pułkownik sztabu generalnego, z dziełem znanem naszemu społeczeństwu p. t. „Polsko-Russkaja Wojna“.

Puzyrewski uważał sobie za obowiązek zapoznać się nietylko z cennym materyałem, przechowanym przez archiwa rosyjskie, lecz i ze źródłami polskiemi, których była poważna ilość. Praca jego jest też sumiennem studyum, w którem autor, od początku do końca, stara się pozostać na czysto przedmiotowem stanowisku. Dallwitza memoryał nosi odrębny nieco charakter i można go jedynie porównać z memoryałem Prądzyńskiego, choć i w tym razie należy poczynić liczne restrykcye. Istotnie Dallwitz jak i Prądzyński przypatrywali się własnemi oczami ówczesnym rycerzom i przebiegowi wojny. Jednakże Dallwitz jako cudzoziemskie attaché, rezydujący przy boku feldmarszałków Dybicza a następnie Paskiewicza, mógł tylko powierzchownie obserwować fakta i ludzi. Z tajemnicami bowiem i planami strategicznymi żaden z wodzów rosyjskich z pewnością się przed nim nie zdradzał. Prądzyński zaś był spiritus movens armii polskiej, wtajemniczony we wszystkie arkana zamysłów strategicznych. Nietylko jako zwycięzca z pod Ignań, lecz jako pomysłowy szef sztabu, wyrobił sobie w dziejach sztuki wojennej tak

zaszczytne stanowisko i tak wyjątkowe uznanie, że z nim trudnoby przyszło współzawodniczyć nietylko Dallwitzowi, lecz wszystkim generał-adjutantom Fryderyka Wilhelma IV.

Dallwitz zatem pozostawił na poły pamiętnik, a na poły memoryał, odnoszący się do kampanii 1831 roku, który wielkiej doniosłości dziejowej mieć nie będzie i nowego nic nie przynosi, lecz w każdym razie posłuży do objaśnienia w szczegółach poglądu na rzeczoną kampanię. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że lekki cień sympatyi i życzliwości zachowuje autor dla obozu i wodzów rosyjskich. Dziwić się temu nie można, boć przecie był u nich w gościnie i jako niższy stopniem oficer obdarzany był przez słynnych wodzów rosyjskich przyjaznemi względami. Wdzięczności swej nie posuwał jednak Dallwitz nigdy do wyraźnej stronniczości lub niechęci względem obozu polskiego. Przyznać też mu można, że pozostał na stanowisku badacza, tylko zarzucić należy, że nie starał się dostatecznie poznać obu stron walczących. Dallwitz nawet ortograficznie nazwiska Prądzyńskiego napisać nie potrafi, a o jego zdolnościach, tak wysoko cenionych przez Willisena, nic a nic zdaje się nie wiedzieć.

Z tem wszystkiem jednakże Dallwitz wypowiada niekiedy jasno swe przekonanie i motywuje je gruntownie, usuwając na bok wszelką zapalczywość polityczną. Tak naprzykład utrzymuje stanowczo, że gdyby Chłopicki udał się z 40.000 wojska na Litwę, w grudniu lub styczniu, byłby mógł zwycięsko posunąć się aż do Dniepru, objąć w trwalsze posiadanie militarne Litwę i Wołyń, oraz uczynić walkę dla Rosyi daleko krwawszą i dotkliwszą. Nie bawiąc się w rozbiór rzeczonego poglądu, nadmienię jedynie, że zdanie swe Dallwitz motywuje z głębokiem przekonaniem i zręczną argumentacyą.

Opisanie krytyczne bitwy pod Grochowem jest bardzo zajmujące i autor nie waha się czynić feldmarszałkowi Dybiczowi poważnych zarzutów. Przedewszystkiem jako świadek naoczny utrzymuje, że armia polska, po rzeczonej morderczej bitwie, nie była ani zdemoralizowaną, ani pobitą w ścisłem tego słowa znaczeniu. Razem z rannymi pozostawiło wojsko polskie na placu zaledwie 500 ludzi wziętych do niewoli, co się znaczy, że zdrowych żołnierzy nie ujęto

wcale z bronią w ręku i zadowolić się musiano małą garstką tych, co już chlubnie spełnili swój żołnierski obowiązek. Wieściom, rozpowszechnianym przez pseudo-historyka Schmitta, a utrzymującym, że Dybicz po bitwie Grochowskiej mógł zdobyć, jak Suwarow, Pragę i że cofnął się jedynie przed straszliwym krwi rozlewem, zadaje Dallwitz kłam. Zdobycie przyczółka mostowego na Pradze uważał on za przedsięwzięcie dla wojsk rosyjskich bardzo ryzykowne, które mogło się skończyć straszną katastrofą.

Nie będę powtarzał opisu kampanii, skreślonego przez Dallwitza, pozwolę sobie przytoczyć uwagę autora, która mu się nasunęła przy opisie szturmu Warszawy. Przedewszystkiem fachowego żołnierza uderzyć musiał brak jedności w komendzie wojskiem i w zorganizowaniu obrony Warszawy. W krytycznej chwili Chłopicki znajdował się bezczynny w Krakowie, Skrzynecki musiał opuszczać Warszawę, a książę Czartoryski, który mógł być bardzo pożytecznym przy negocyacyach, jako mąż znacznej powagi, przebywał przy korpusie Ramorina. Gorzkie się też nasuwają Dallwitzowi słowa na powyższy widok. Ludzie, którym Polska powierzyła swe losy w tak rozpaczliwej chwili, nie potrafili nic pożytecznego uczynić, tylko strącili ją w przepaść. Zdanie powyższe może sąd historyi cokolwiek złagodzi, w każdym razie jednak nie usprawiedliwi ani ułaskawi tych ludzi, co popełniwszy tysiące błędów w charakterze wodza, nie potrafili spełnić obowiązków żołnierza i powodując się osobistemi drażliwościami, patrzyli ze spokojem Jowiszowym na ginącą sprawę.

Do opisu kampanii z 1831 roku dołączył Dallwitz szereg sylwetek znakomitszych osobistości armii rosyjskiej. Sylwetki powyższe, jakkolwiek kreślone z wyraźną sympatyą dla rosyjskiej armii i wodzów, nie są wszakże zaciemnione pochlebstwem ani uniżonością. Można je z prawdziwym interesem przeczytać, bo są skreślone żywo z wysokim darem uplastyczniania figur. Nasamprzód Dallwitz maluje nam feldmarszałka Dybicza, z precyzyą, któraby przynosiła zaszczyt artyście. Bohater zabałkański, który w 1831 roku zdobył sobie przydomek „przedwiślańskiego“, nie cieszył się piękną fizyczną postacią. Nie był to „okazały żołnierz“ i wogóle organizm jego wydawał się ociężałym. Pomimo to, że nie miał należytego spokoju i unosił się bardzo łatwo, serce posiadał dobre i jako zacny czło-

wiek zyska prawdopodobnie większe uznanie w dziejach, aniżeli jako wódz. Po klęsce pod Dębem Wielkiem, Dybicz był prawie złamany i nie mógł się otrząsnąć od przygnębiającego wrażenia, przypominającego mu nieustannie, że laury tak długo i mozolnie zbierane zostały mu wydarte. Dopiero po bitwie Ostrołęckiej podniósł się cokolwiek moralnie a jak wiadomo nie na długo, albowiem śmierć pozbawiła go możności naprawienia złego i ofiarowała wawrzyny, po które Dybicz zaczął ręce wyciągać, komu innemu.

Krótkim a charakterystycznym ustępem maluje Dallwitz wrażenia, jakie sprawiały klęski armii rosyjskiej w głównej kwaterze. Zdawało się, że jakiś ponury duch zawładnął wszystkimi. Hałaśliwe biegania adjutantów ucichły, a cały sztab generalny pogrążył się w milczeniu. Tylko jeden przenikliwy generał Neidhardt wdawał się w rozmowę z agentami dyplomatycznymi, goszczącymi w głównej kwaterze i chwalił żywo a z przejęciem się zręczne manewra nieprzyjaciela. Jednym, który w tych złowróżbnych dniach nie okazywał zewnętrznego przygnębienia, był generał Toll. Stał on się tylko nagle więcej rozmownym, a mniej szorstkim, niż w promiennych dniach dobrego porządku, lecz gniew zamknął głęboko w piersi, a głowę nosił dumnie, jak gdyby się nic a nic armii nie przytrafiło.

Dallwitz następną sylwetkę poświęca feldmarszałkowi Paskiewiczowi. Zdaniem jego Paskiewicza można było zaliczyć do okazałych żołnierzy, którzy nawet w młodości swej byli pięknymi. Zwykle surowa i marsowa fizyonomia, ożywiona dużemi oczami, potrafiła niekiedy przybierać wyraz marzycielski. Zdrowie feldmarszałka nie było dobrem i podkopane zostało silnie febrą azyatycką, zdobytą wraz z laurami w perskich i tureckich kampaniach. Skutkiem chorowitości Paskiewicz nie był równego usposobienia i gdy zwykle widziano go milczącym, ożywiał się czasami bardzo i był niewyczerpanym w opowiadaniu anegdot z dawnych kampanij. Pomimo wielkiej przenikliwości, wykształcenia ogólnego posiadał niewiele, a Dallwitz nie może ochłonąć z wrażenia, że hr. Erywański mógł utrzymywać, iż język perski jest tylko dyalektem tureckiego.

Przywykły do walczenia z ludami wschodniemi, książę Paskiewicz, jak utrzymuje Dallwitz, zdumiony był siłą odporną, jakiej

dawała dowody armia polska. Rzadko kto był z takiem uznaniem dla jej waleczności, jak wódz armii rosyjskiej. Ponieważ Dybiczowi zarzucali wszyscy, że lekkomyślnością i lekceważeniem przeciwnika naraził armię na dotkliwe porażki, przeto Paskiewicz postanowił być ostrożnym i nieraz w tej ostrożności przesadził. Przeprawę przez Wisłę nie uważa Dallwitz za zbyt szczęśliwy pomysł. Udał się wprawdzie, wobec nieczynności zupełnej nieprzyjaciela i wobec tego, że naczelne dowództwo w obozie polskim prawie nie istniało, lecz inaczejby rzeczy mogły wyglądać, gdyby całe siły polskie przybyły do Dobrzynia i zechciały sobie przypomnieć, że istnieje Wisła, której przebycie może być utrudnionem.

Zbytnią ostrożność zarzuca Dallwitz Paskiewiczowi i w szturmie Warszawy. Wola bowiem została zdobyta o godzinie 9 rano, a więc dość było czasu, aby sforsować dalsze linie obronne. Niewątpliwie też Toll byłby to uczynił, lecz Paskiewicz lękał się, odkładając na dzień następny stanowcze zwycięstwo. Jeżeli Dybiczowi robiono zarzut, że nie wyzyskał należycie bitwy Grochowskiej, to z daleko większą słusznością można uczynić zarzut Paskiewiczowi, że przerwał niepotrzebnie zwycięstwo, odniesione pod Wolą. Ociąganie się wodza rosyjskiego było tem niezrozumialszem, że Ramorino ze swym korpusem mógł lada chwila nadejść, co byłoby walkę uczyniło niezmiernie krwawą, a rezultat, przynajmniej chwilowo, wątpliwym.

Czy zarzuty, stawiane przez Dallwitza Paskiewiczowi, okażą się w zupełności słusznemi, to wielkie pytanie. Dallwitz uważał zdobycie fortyfikacyi Warszawy za rzecz stosunkowo dość łatwą, lecz zdania tego nie podziela ani Mierosławski, ani Barzykowski, ani Puzyrewski. Po zdobyciu Woli, trwała też długo zacięta walka, w czasie której wojska rosyjskie straciły więcej żołnierzy, aniżeli w samym szturmie. Wojska polskie wystąpiły zaraz z silnym naporem w celu odebrania Woli i ataki zwolniały dopiero wówczas, gdy Dembiński padł na ziemię nieprzytomny, rażony kontuzyą kuli działowej. Tam więc, gdzie bezpośrednio po zdobyciu pierwszej linii fortyfikacyjnej wojsko oblężone występuje zaczepnie i z wielką energią, niebezpiecznieby było liczyć na demoralizujący wpływ wzięcia Woli i lecieć bezmyślnie do szturmu. Puzyrewski też, który nie

jest bynajmniej olśniony genialnością Paskiewicza, nie robi mu jednak tym razem zarzutu ze zbytniej ostrożności. We wszystkich bowiem silniejszych punktach oblężeni bronili się do ostatniego, nie poddając się nigdzie i jedynie przewaga liczebna, umiejętnie a oględnie użyta, mogła przynieść pożądany rezultat.

Dallwitz poświadcza, że dnia 7 września o godzinie 2 po południu, rykoszetująca kula działowa kontuzyonowała feldmarszałka Paskiewicza silnie w lewą stronę ciała. Wódz rosyjski spadł natychmiast z konia, a Dallwitz należał do rzędu tych, którzy go podnieśli z ziemi i przenieśli do bezpieczniejszego miejsca. Przez pewien czas leżał Paskiewicz opatrzony przez chirurgów na ziemi, dopiero w kilka godzin sprowadzono powóz, którym wodza rosyjskiego przewieziono do Woli. Komenda główna pozostała przy generale Tollu i przy jego boku pozostał Dallwitz. Nazajutrz rano pojechał odwiedzić Paskiewicza i zastał go leżącego w łóżku, oraz uskarżającego się na ból dotkliwy. Dnia 8 września Paskiewicz nocował już w Belwederze, a w ciągu kilku dni wyzdrowiał zupełnie.

Dallwitz zeznaje, że generał Toll oświadczył mu w formie poufnego zwierzenia, że dużo liczy na raport, jaki on prześle królowi pruskiemu. Widocznie generał przypuszczał, że w raporcie jego wodza, przesłanym cesarzowi, jego zasługi nie zostaną przedstawione w należytem świetle. Gdy zaś po opuszczeniu Warszawy, wojska polskie, skoncentrowane około Modlina, zamierzały stawić dalszy opór, książę Paskiewicz był głęboko zakłopotany i przewidywał poważne trudności. W obozie polskim panowało jednak, jak Dallwitz twierdzi, takie rozprzężenie i czuć się dawał taki brak jakiejkolwiek moralnej lub militarnej powagi, że o energicznym oporze nawet marzyć nie było można.

Gdy nadeszła wieść, że rząd pruski nie przepuści przez swą granicę cofających się wojsk polskich, pierwszy Paskiewicz prosił Dallwitza, aby wyjednał u monarchy pruskiego decyzyę przychylną, któraby skróciła niepotrzebny przelew krwi.

Dallwitz też wyjednał swobodne przejście dla korpusu Rybińskiego i od tej chwili powstanie i wojna z 1831 roku mogły być uważane za skończone. Pomimo że Dallwitz stawia wyżej zdolności Dybicza od tych, jakiemi Paskiewicz był uposażony, przyznaje

jednak, że w chwilach stanowczych miał daleko więcej spokoju i mocy panowania nad sobą. Zresztą tego samego zdania jest i Puzyrewski, który pierwszy odważył się zaprotestować, aby szczęście miało stanowić jedyne kryteryum przy ocenianiu zasług i zdolności wodza.

Sylwetka trzecia poświęcona jest wielkiemu księciu Michałowi, dowodzącemu korpusem gwardyi. Jak wiadomo, gwardye nie brały prawie żadnego udziału w bitwach, zdolności więc strategiczne nie mogły się w wielkim księciu rozwinąć. Za to jednak porządek w korpusie gwardyi był wzorowo utrzymywany, choć bezczynność rezerwy musiała ujemnie wpływać, zwłaszcza na wyższych oficerów. Podczas negocyacyi pomiędzy Paskiewiczem a Krukowieckim, wielki książę Michał oddał znaczne usługi, a zachowanie się jego rozsądne i pojednawcze zyskało uznanie w obozie przeciwników.

Następnie poświęca Dallwitz uwagę generałowi Toll, którego przymioty wojenne wysoko ceni a prowadzenie w dniu 8 września szturmu do Warszawy chwali krótkiemi a dosadnemi słowy: że był takim, jakim wódz być powinien. Generała Berga przedstawia korzystnie, jako oficera, który „pourra aspirer à tout“, a w dalszym ciągu spotykamy coraz bardziej miniaturowe sylwetki mniej wybitnych generałów, jak Murawiew, Kuruta, Dehn, Tscheffkin, Geismar, Neidhardt, Obruczew, Gorczakow, Pahlen, Rosen i hr. Witte.

Memoryał Dallwitza, poświęcony kampanii w r. 1831, nie jest tak gruntownie opracowany, jak przez Willisena lub Puzyrewskiego. W każdym razie jednakże ciekawą wskazówką historyczną pozostaną zdania fachowego wyższego oficera pruskiego, który miał wprawdzie swoje sympatye, ale te nie zdołały go sprowadzić z drogi poszukiwania prawdy i nie pozwoliły mu zapomnieć o poczuciu sprawiedliwości.

II.

W tomie pierwszym memoryałów Dallwitza znajduje się, między innymi, krótki artykuł, poświęcony szansom napadu Rosyi na Prusy. Autor zastanawia się nad frazesem napoleońskim: „rejeter la

Russie en Asie", nie podając właściwie nic nowego a ważnego. Sądzę zatem, że najlepiej będzie pominąć milczeniem niniejszy memoryał, a natomiast poświęcić uwagę poglądom Dallwitza na stosunki kościoła katolickiego w Prusach.

Pozwolę sobie uprzednio nadmienić, że memoryał Dallwitza, poświęcony kościołowi katolickiemu w Prusach, napisany był w r. 1838, a więc w chwili, gdy stosunki rządów Fryderyka Wilhelma III z episkopatem katolickim były jak najgorsze. Już w roku 1826 rozpoczęły się poważniejsze nieporozumienia odnośnie do pewnych kwestyj liturgicznych, oraz do wykonywania królewskiego prawa przyzwalania (jus placeti regii). Gdy książę biskup wrocławski, wystąpił z potępieniem dyscyplinarnem przeciwko tym duchownym, którzy poczęli wprowadzać język niemiecki do służby bożej, nowy nadprezydent Śląska zawiesił czynności biskupie, lecz spór został wkrótce przez Bunsena załagodzony.

Do większego jednak podrażnienia stosunków doprowadziło wystąpienie arcybiskupa kolońskiego, Droste von Vischering, przeciwko profesorowi teologii w Bonn, Hermesowi, w roku 1837. Biskup koloński nie chciał uznawać „jus placeti regii", uważał się za niezależnego kierownika wydziałów: teologicznego i seminaryów, zdającego ze swego postępowania sprawę jedynie przed papieżem. Gdy jednak arcybiskup w kwestyi małżeństw mieszanych odstąpił od dawnych zwyczajów i nie chciał poczynić rządowi żadnych ustępstw, uważano za stosowne zaaresztować go i odesłać do Minden.

Postępowanie policyjne wszakże przeciwko arcybiskupowi kolońskiemu, jak to słusznie Friedberg zauważył, nie było zbyt szczęśliwym pomysłem i wywołało jedynie nowe konflikty [1]). Arcybiskup gnieźnieński, Dunin, postanowił w sprawie małżeństw mieszanych naśladować arcybiskupa kolońskiego i wydał odpowiedni okólnik do duchowieństwa. W roku 1838 rozporządzenie ministeryalne unieważniło jednak list pasterski Dunina, a w roku 1839 wyrokiem został on za nieposłuszeństwo i samowolne zarządzanie swą dyecezyą skazany na pozbawienie godności i sześć miesięcy aresztu w twierdzy. Wprawdzie wyrok surowy zawieszono, zobowiązawszy

[1]) „Die Gränzen zwischen Staat und Kirche", str. 345.

Dunina, aby z Berlina nie wyjeżdżał, dopiero gdy przyrzeczenie nie zostało dotrzymanem, został Dunin osadzony w twierdzy Kołobrzegu [1]).

Nie będę przypominał, w jaki sposób, po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV, a więc po 1840 roku, został załatwiony spór z arcybiskupami kolońskim i gnieźnieńskim, chodziło mi bowiem głównie o zaznaczenie, że w epoce, w której powstał memoryał Dallwitza, istniało między katolicką i protestancką ludnością Prus znaczne rozdrażnienie, i duchowieństwo katolickie uważało się za uciemiężone niesprawiedliwie przez rząd protestancki. Można więc było bez przesady porównać dobę 1838 roku z późniejszym kulturkampfem, rozpoczętym w roku 1873. Dlatego też poglądy Dallwitza, jako wysokiego dygnitarza prusko-protestanckiego, nabierały dla nas pewnego interesu.

Dallwitz przedewszystkiem uważa za stosowne zaznaczyć, w jak dziwnem położeniu, pod względem stosunków kościelnych, znajdowały się Niemcy od czasów pokoju westfalskiego. W Saksonii katolicki monarcha pozostał nadal dyrektorem „Corporis Evangelicorum“, a protestanccy książęta rządzili nadal jako biskupi katoliccy Osnabrücku lub Lubeki. W Prusach jednakże został zaprowadzony stosunek zupełnie nowy i z ducha nowożytnego prawa państwowego poczęty, t. j. stosunek, polegający na zupełnem równouprawnieniu obu wyznań. Katolicki kościół w Prusach nie jest i nie był tolerowanym, jak np. protestancki w Austryi, ani zwał się wyznaniem większości narodu, jak np. katolicki we Francyi, lecz miał prawo do zupełnie równej opieki monarszej, jak protestancki, pomimo to, że ostatecznie król należał do jednego tylko, t. j. do protestanckiego kościoła.

Już powyższa krótka wzmianka, jak Dallwitz utrzymuje, powinna przekonać każdego, że zadanie rządu pruskiego nie może się ograniczać na tem, aby kościół protestancki bronić od domniemanych napaści i uroszczeń kościoła katolickiego. Zadanie to jest nierównie szerszem i podnioślejszem, a dąży ono do utrzymania i pielęgnowania prawdziwego pokoju między obu wyznaniami. Aby wyjść

[1]) Friedberg, str. 347.

ze stanu bezradności, w jakim się dziś rząd pruski (t. j. w r. 1839) wobec kościoła katolickiego znajduje, pozostają dwie drogi: własne prawodawstwo i konkordat z papieżem. Jeżeli jednak ma być mowa o ustawie obowiązującej, która stosunki kościelne katolickie ma normować, to nie należy pomijać milczeniem ważnego a trudnego pytania: o ile władza świecka ma prawo rozkazywać w rzeczach kościelnych?

Pokój między wyznaniami, a co za nim idzie, wierność i oddanie się monarsze katolickich poddanych, z trudnością da się osiągnąć na drodze rozkazów. Jeżeli też ma być mowa o obowiązującej ustawie, to nietylko o takiej, która broni państwo od samowoli kościoła, lecz zarazem i o takiej, która gwarantuje temuż kościołowi należyte ustępstwa. Jak niebezpiecznem jest właśnie teraz wikłać władzę monarchiczną w sprawy kościelne, i przez to obrażać najdroższe uczucia poddanych w Westfalii, w prowincyach nadreńskich i poznańskiem, tego dowodzić chyba nie potrzeba, dlatego Dallwitz nie zatrzymuje się dłużej nad rzeczoną kwestyą.

Czy lepiej będzie unormować stosunek z kościołem katolickim na drodze ustawy obowiązującej, czy za pośrednictwem ugody z papieżem, to najlepiej, zdaniem Dallwitza, objaśnić można przykładem. Weźmy sprawę małżeństw mieszanych, których papież nie zakazuje, choćby to uczynić powinien, chcąc surowo trzymać się konsekwencyi logicznej. Punktem niezgody i waśni jest, jak wiadomo, przyrzeczenie w małżeństwach mieszanych, że dzieci będą wychowywane po katolicku. Przyrzeczenie samo przez się nie może być zakazanem przez świecką ustawę, albowiem co dozwolonem jest czynić, to dozwolonem być musi jako przyrzeczenie. Tymczasem ustawa świecka ma zabronić duchownym, aby powyższe przyrzeczenie stawiali za warunek uprzedni małżeństwa mieszanego. Zakaz jednak rządu nie osiągnie celu, a tylko obrazi dotkliwie swobodę sumienia. Jedno zaś słowo papieża, nakazujące duchownym, aby o wzmiankowanem przyrzeczeniu nie wspominali, unicestwia cały groźny kontrowers.

Katolicki duchowny powinien mieć prawo odmówienia pobłogosławienia związku, jeżeli dany wypadek niepokoi jego sumienie. Za postępowanie swe będzie odpowiadał przed biskupem, a nie przed władzą świecką. Dla nowożeńców zaś wypadek powyższy nie przed-

stawia nadzwyczajnych trudności. Duchowny bowiem drugiego wyznania może dać zupełnie ważny ślub, i nikt nie potrzebuje być zmuszonym, a swoją drogą prawo obowiązujące zostanie wykonanem. My protestanci, powiada Dallwitz, którzy papieża uważamy za człowieka, nie uposażonego boską nieomylnością, nie powinniśmy się bardzo temu dziwić, że polityka kuryi rzymskiej względem nas była zawsze podejrzliwą i samolubną, ile razy od niej wymagaliśmy jakichkolwiek ustępstw. Trzeba sobie bowiem przypomnieć, z jaką zapalczywością był prowadzony spór religijny zaraz po reformacyi, i z jakiem roznamiętnieniem nauczano w protestanckich kościołach i szkołach, że papież jest antychrystem a papiestwo instytucyą zorganizowaną przez dyabła. Ileż to żółci i szyderstw wylali dawniej przeciw papieżowi ci ludzie, którzy służyli gorliwie sprawie protestantyzmu? Czyż wobec podobnego stanu rzeczy można się temu dziwić, że papież obawia się wszelkiego zbliżenia do nas i stara się usilnie o ocalenie resztek swej władzy?

Z drugiej strony znowu, często słyszeć się dają wyrzekania przeciw papizmowi, jezuityzmowi, prozelityzmowi i przeciw niewoli pod jarzmem rzymskiem. Wszystkie te narzekania jednak nie zwiastują żadnego istotnego niebezpieczeństwa, jeżeli będziemy brać rzeczy takiemi, jakiemi one są. Przedewszystkiem zaś starać się należy o to, aby nas katolicy nie uważali za swych nieprzyjaciół, i aby mogli się wyrzec wrogiego usposobienia względem nas. Mogą nas uważać w dalszym ciągu za błądzących, pozostaje nam spór naukowy, byleśmy tylko w praktyce życia pozostawieni byli w spokoju.

W porównaniu z czasami, w których Pius VII więziony był przez Napoleona I, i gdy Rzym stał się prowincyą francuską a kardynałowie zamienili się w dworskich urzędników cesarskich, niewątpliwie władza papieska spotężniała. Jakkolwiek też protestanckie pojęcia naukowe uważają papiestwo za dzieło ludzkie i do chrześcijańskiej wiary nie należące, chrześcijańska polityka musi jednak bezwarunkowo przyznać, że papież stanowi istotną potęgę. Wrzaski, nazywające go antychrystem, siedzącym w Rzymie, nie mają dziś żadnego sensu, a jeszcze gorzej jest, jeżeli katolicy w odwecie protestantów uważają za wrogów kościoła chrześcijańskiego. Protestancki król, panujący nad pięcioma milionami katolików, nie ubliży

w niczem swej godności, jeżeli uzna kościół rzymski takim, jakim on jest w istocie. A że do tego kościoła należą bezspornie papież i biskupi, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Król zaś może zachować dla siebie prawo majestatu, które go zabezpiecza od nadużyć wszelkiej władzy kościelnej.

Układy z papieżem winny być prowadzone oględnie i ostrożnie, ale w każdym razie tak, aby je można było w danym razie ujawnić. Jeżeli zaś papież odrzuci proponowany mu w dobrej wierze pokój, w takim razie król będzie w zupełnem prawie bronienia się z konieczności i może zakazywać i usuwać wszystko, co tylko jest przeciwko niemu zwrócone. Królowi pruskiemu powinno przedewszystkiem na tem zależeć, by wszyscy jego poddani byli dobrymi chrześcijanami, a wzgląd czy są katolikami lub protestantami, jest już drugorzędnym. Dla masy narodu staje się to jednakże niezbędnem, aby każdy był przywiązany do swego wyznania. Główne bowiem niebezpieczeństwo leży w indyferentyzmie.

Trzeba przyznać, że myśli, zawarte w memoryale Dallwitza, są niezmiernie rozważne i oględne. Od protestanta, wysokiego dygnitarza, ubóstwiającego państwo Hohenzollernów, więcej wymagać nie można, i jedynie żałować przychodzi, że duch wyrozumiałości i pragnienie rzeczywiste pokoju religijnego, nie przeszły na następców w pruskim rządzie w roku 1873. Jakże bowiem odmienny był ton przemówień Falka i księcia Bismarcka, jakież namiętne lekceważenie, przechodzące w pogardę dla katolików kościoła rzymskiego i papieża objawiało się na każdym kroku. Wobec takiego brutalnego znieważania uczuć poddanych katolickich, jakiego się dopuszczali sterownicy Prus i odrodzonych Niemiec, wydają się poglądy Dallwitza zwiastunem pokoju i miłości prawdziwie chrześcijańskiej.

Następny memoryał poświęcił Dallwitz organizacyi kościoła protestanckiego, a zasługuje on na bliższą uwagę z tego względu, że autor, zapatrując się na stosunki własnego kościoła, nie stracił wysokiego poczucia sprawiedliwości. Nasamprzód Dallwitz zastanawia się nad pytaniem bardzo ważnem, a mianowicie: czy słusznym jest tryumfalny okrzyk katolików, obwieszczający wszem, że dzisiejszy protestantyzm jest w rzeczywistości tylko samem przeczeniem,

że nie uznaje nic pozytywnego, że nie posiada w istocie żadnej religii i rządzi się jedynie momentalnemi systemami, wytworzonemi przez mistrzów mądrości, którzy zdobyli sobie sławę jednodniową. Zdaniem Dallwitza, należy się poważnie zastanowić nad tem, jak zapobiedz destrukcyjnemu wpływowi racyonalizmu, indyferentyzmu i separatyzmu na kościół ewangelicki, bo że ten wpływ rozkładowy istnieje, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Dallwitz uważa kościół za zbawienną i niezbędną instytucyę, albowiem wszystkie pierwiastki duchowe, zjawiające się na ziemi, potrzebują pewnej formy. Niemniej jednak należy odróżniać ducha od rzeczy powierzchownych i zewnętrznych. Istota chrześcijanizmu nie może istnieć bez swobody, niemożliwem jest bowiem ducha czysto zewnętrznemi środkami zmusić do wierzenia religijnego. Środkiem zaś wpływającym na ducha jest słowo i nauka. Przedewszystkiem więc rząd powinien rozwijać i pielęgnować te środki. Prusy nie mogą w żadnym razie naśladować Anglii i nazywać się państwem protestanckiem. Poddani bowiem katoliccy króla pruskiego nie byli nigdy uważani za zwyciężonych i zgnębionych wrogów. Domowi Hohenzollernów nie można powtórzyć zarzutu, stosującego się do domu Hanowerskiego, iż powołani zostali na tron dzięki swarom konfesyjnym. Swobodne przekonanie, a nie obowiązujący traktat i litera prawa, służą za podstawę wyznaniom religijnym pruskiego domu królewskiego. W tym ważnym kierunku cieszymy się też, powiada Dallwitz, daleko większemi swobodami, aniżeli te, które Anglii zagwarantowała Magna charta i rewolucya z 1688 roku.

Zaprowadzenie w Prusach kościoła państwowego byłoby anomalią, z tego względu, że właściwie nie może rządowi chodzić o teroryzowanie katolików. Wyrażenie przyjęte we Francyi, a nazywające kościół uprzywilejowany kościołem większości narodu, również w Prusach nie byłoby właściwem. Przedewszystkiem powinno chodzić królowi o to, aby poddanym wszystkich wyznań wymierzał sprawiedliwość, a obowiązku powyższego bynajmniej nie należy utożsamiać z obojętnością względem własnego kościoła. Tylko że dawny protestantyzm oznaczał walkę zaciętą z kuryą rzymską, gdy tymczasem dziś walka podobna nie ma żadnej racyi bytu i sprowadziłaby jedynie we wszystkich stosunkach społecznych zamieszanie.

Organizacya ewangelickiego kościoła powinna być zawsze świadoma swego głównego celu, jakim jest rozwój czystej nauki ewangelicznej, lecz nie powinna przekonań swych i nauki nikomu siłą nakazywać, ani obrażać praw i swobody sumienia katolików. Nikt bowiem nie może zaprzeczyć temu, że oba wyznania spokojnie obok siebie istnieć powinny, a nawet ci, którzy się domagają kościoła państwowego protestanckiego, nie idą tak daleko w wymaganiach, aby chcieli kościół katolicki pozbawić majątku lub uciemiężać katolików, jak się to działo niegdyś w Irlandyi.

Nauka katolicka o władzy i powadze papieża nie może być w zupełności odrzucaną przez panujących w Prusach. Zdanie tego rodzaju, że państwo nowożytne nie ma nic do czynienia z papieżem, oznacza tylko niechęć i gniew, lecz za zupełnie trafne uważanem być nic może. Kompletne ignorowanie papieża, zastosowane w polityce królów angielskich, byłoby dla Prus niezupełnie odpowiedniem, a ustanowienie rady nad biskupami, któraby zastąpiła władzę papieską, nie byłoby dobrem i w praktyce wywołałoby nieustanne scysye.

Niezadowolenie, panujące obecnie wśród katolików, da się usunąć jedynie potęgą prawdy, drogą prawa i swobody sumienia. Sprzecznością jednak widoczną staje się postępowanie rządu, które z jednej strony pragnie pozostawić kościołowi katolickiemu wolność w zakresie religii, a z drugiej strony zmusza duchowieństwo, aby postępowało wbrew przepisom własnego kościoła. Pozostanie też to na zawsze problematem nie do wykonania, aby katolickim lub ewangielickim kościołem można było rządzić za pomocą urzędników świeckich. Najmędrszy z śmiertelników nie osiągnie powyższego celu, bez wywołania niezadowolenia i skarg, a najrozleglejsza władza państwowa nie zdoła zapobiegnąć złym następstwom. Monarchizm w Prusach powinien przedewszystkiem pozostać w trwałej harmonii z prawdziwą swobodą, powinien żyć w pokoju z kościołem katolickim, być potężną podporą kościoła ewangielickiego, a dla całego chrześcijaństwa stać się przykładem i wzorem chrześcijańsko-germańskiej monarchii, nie takiej wprawdzie, o jakiej przeszłość marzyła, lecz zastosowanej do potrzeb epoki bieżącej.

Poczucie sprawiedliwości, jakie dostrzedz było można w po-

przednim memoryale, nie opuściło Dallwitza i wówczas, gdy się zastanawiał nad zasadami własnego kościoła. Potępienie kościoła państwowego, jako obrażającego swobodę sumienia mniejszości poddanych i postawienie zasady równouprawnienia obu wyznań, jako idei przewodniej monarchizmu pruskiego, godnem jest zaznaczenia ze stanowiska nauki prawa państwowego. Dallwitz w obu swych memoryałach wniknął głęboko w naukę stosunku kościoła do państwa, otrząsnął się z wpływu wymagań polityki bieżącej i pozostawił studyum, odznaczające się trzeźwością i przedmiotowością sądu, oraz logiką zrozumiałą, jasną a liczącą się z nauką polityki.

W drugim tomie memoryałów Dallwitza znajduje się również kilka artykułów interesujących, choć nie dotyczących bezpośrednio naszego społeczeństwa. Opisując pierwsze lata panowania Fryderyka Wilhelma IV, Dallwitz podał ciekawą charakterystykę ówczesnego ministeryum, które najzupełniej nie odpowiadało potrzebom czasu. Rada stanu nie pozyskała bynajmniej uznania Dallwitza, nie waha się on wytknąć monarsze błędnego postępowania. Falanga urzędników, cały oddział generałów, a na czele generał, adjutant królewski, ożeniony z rozwódką, wszystko to nazwane radą stanu, robiło rządowi zaciekłą opozycyę w imię zasług wolnomyślno-oświeconych i protestancko-ewangielickich. Król sam pozwalał się wciągać do dyskusyi i to nad prawami bardzo drażliwemi, przez co stawiał koronę w pozycyi, jaka się jej nie należała ani w systemie monarchicznym, ani reprezentacyjnym.

Zastanawiając się w roku 1844 nad kwestyą konstytucyjną w Prusach, przychodzi Dallwitz do przekonania, że głównym celem, do którego polityka Prus dążyć powinna, jest wzmocnienie wewnętrzne bez ubiegania się za zdobyczami. Stosunki społeczne, jakie istnieją w Anglii, nie dadzą się szybko w Prusach wytworzyć, a konstytucyj, przejętych przez niektóre państewka niemieckie od Francyi, Prusy zaprowadzić u siebie nie mogą, albowiem są na to za dużem państwem. Wreszcie prawodawcza władza w Prusach spoczywa w rękach monarchy i nie powinna przechodzić do innych czynników politycznych. Nie należy robić ustępstw tak zwanemu duchowi czasu i wpajać w naród przekonanie, że obowiązek posłuszeństwa względem rozkazów królewskich potrzebuje przedewszyst-

kiem zgody stanów. Jeżeli też do konstytucyi pruskiej zostanie przyjętą zasada, że wówczas tylko podatki będą mogły być prawnie pobierane, gdy zostaną przez stany uchwalonemi, to wtedy cała administracya, egzystencya armii, a nawet monarchii, zostanie podana w wątpliwość. Idea zjednoczenia Niemiec ma niewątpliwie realne podstawy i nie jest bynajmniej chimerą. Nie należy jednak zapominać o tem, że duch czasu mało się pyta i kłopocze o dynastye, oraz o obowiązujące prawo. Król pruski, czyniąc ustępstwa duchowi czasu i żeglując z wiatrem doktryn konstytucyjnych, mógłby prawdopodobnie zostać królem Niemiec. Niebezpieczeństwo wszakże główne w temby leżało, że raz zostałaby usuniętą trwała podstawa prawa i oddanoby się na łaskę falom, któreby nagle zniszczyć mogły dzieło zjednoczenia i to właśnie w chwili, kiedyby się tego jak najmniej spodziewano.

W krótkim artykule, zatytułowanym „Moje powołanie do Berlina“, znajduje się ciekawy ustęp, opisujący stosunek Fryderyka Wilhelma IV do swego brata, a do późniejszego cesarza Wilhelma I. Jak tylko Fryderyk Wilhelm IV wstąpił na tron — opowiada Dallwitz — ofiarował zaraz bratu swemu takie stanowisko w rządzie, jakie sam za życia ojca, jako następca tronu, zajmował. Pierwiastek wszakże synowskiej czci i posłuszeństwa nie został przelany na księcia pruskiego i stąd wytwarzało się niejednokrotnie fałszywe położenie. Dallwitz zwrócił uwagę księcia pruskiego na anormalne położenie rzeczy i odebrał na to odpowiedź następującą: „Król wyznaczył mi miejsce wśród ministeryum, czyż mam pozostać człowiekiem słomianym?“ Dallwitz jednakże nie dał się zbić z tropu i dowodził, że „votum“ następcy tronu ma zupełnie inną doniosłość, aniżeli zwykłego członka ministeryum i za każdym razem opozycya następcy tronu musi wśród rządu wywołać pewne zakłopotanie i zamieszanie.

Dallwitz zaprzecza jednak temu stanowczo, aby książę pruski bawił się w systematyczną opozycyę przeciw rządowi. Król zanadto imponował swemu bratu przewagą rozumu, aby duch opozycyjny mógł się w nim stale rozwinąć. Wahanie się jednak monarsze i chwiejność jego polityki wywołały między innemi i to szkodliwe następstwo, że książę pruski w roku 1845 i 1846 występował z projektami,

przeciwnymi królewskim. Dallwitzowi król powierzył misyę skrytykowania projektów brata. Z tego powodu wszakże nie przyszło do żadnych między nimi nieporozumień i tylko małżonka księcia, późniejsza cesarzowa Augusta, okazywała Dallwitzowi nawet w dziecinny sposób swe niezadowolenie. Ostatnią radą, jaką Dallwitz księciu pruskiemu udzielił, było to, aby dowództwa nad wojskami przeznaczonemi do stłumienia powstania nie przyjmował. Rada została wprawdzie dobrze przyjętą, lecz, jak wiadomo, nie zastosowano się do niej.

Stosunek Prus do Niemiec w r. 1848 pojmował Dallwitz w ten sposób, że nasamprzód należy wszystko uporządkować we własnym domu, zanim się da pomoc sąsiadowi. Pierwej trzeba stać silnie na własnych nogach, zanim się przedsięweźmie daleką wyprawę. Zresztą przymierze Prus z Austryą jest i pozostanie najpewniejszym fundamentem zjednoczenia Niemiec i bez tych podstaw celu zupełnie osiągnąć niepodobna.

Kreśląc ostatnie dni starej monarchii pruskiej w roku 1848, Dallwitz z goryczą krytykuje postępowanie rewolucyjnych reformatorów. Znajduje się w powyższym rozdziale kilka szczegółów, odnoszących się do Księstwa Poznańskiego, jakkolwiek autor stara się o ile możności wyminąć drażliwą kwestyę narodowości i tylko z niechęcią omawia ją, nie dopuszczając się jednakże namiętniejszych lub gniewnych wycieczek.

Na jednym tylko punkcie przekonania Dallwitza zbliżają się nieco do poglądów księcia Bismarcka. Jest to mianowicie kwestya konstytucyonalizmu. Dallwitz nie ma zaufania do całej doktryny konstytucyjnej, polegającej na fikcyach, złudzeniach i notuje skrzętnie rozczarowanie Francuzów, oraz błędy owej „charte-vérité“, która w roku 1831 miała uszczęśliwić naród francuski. Drogę rozwoju Prus upatruje Dallwitz w silnej i poważnej monarchii, wszelkie też ustępstwa na rzecz reprezentantów narodu przejmują go trwogą. Pamiętniki Bluntschliego zapoznały nas z poufnemi zwierzeniami księcia Bismarcka, odnośnie do systemu reprezentacyjnego. Lekceważenie teoryj konstytucyjnych i uznawanie rozległe władzy monarchicznej, występuje w owych zwierzeniach silnie i tylko książę Bismarck musi się liczyć z faktami bardzo poważnymi, bo z prawem

obowiązującem, czego Dallwitz czynić nie potrzebował. Uwielbienia swego dla monarchii pruskiej nie posuwa jednak Dallwitz aż do zaślepienia i pragnie ją zawsze widzieć w harmonii z prawdziwą swobodą i na straży wymiaru sprawiedliwości.

Jakkolwiek memoryały Dallwitza nie są nacechowane wyższemi zdolnościami politycznemi autora, jednakże dużo w nich znaleźć można rozwagi i wiele spostrzeżeń głębokich. Dla historyi dziewiętnastego stulecia memoryały Dallwitza stanowić będą ważny przyczynek, a dla historyi walki kulturalnej w Prusach pozostaną niewątpliwie cennym materyałem.

10.

W SPRAWIE SAMORZĄDU [1]).

Antoni Wrotnowski: „Autonomia Galicyi i jej samorząd“ (Kraków, 1889) oraz „Reformy gmin wiejskich w Galicyi“ (Przegląd literacki do „Kraju“ r. 1887).

Jeżeli który dział historyi prawa może być wymownym świadkiem niestrudzonej pracy człowieka i niezniechęconych żadnemi zawodami wysiłków jego myśli, to z pewnością historya kontynentalnego konstytucyonalizmu. Nie jest ona rozległą i zaledwie we Francyi liczy w bieżącym roku sto lat rozwoju, a jednakże jak jest zasobną w doświadczenie, jak sędziwą i dojrzałą przez rozczarowania i ciężkie przesilenia, które niejednokrotnie sprowadzały społeczeństwa nad przepaść zwątpienia i martwoty! Mimo wszelkie zawody, myśl ludzka nie zrażała się ani na chwilę i pracowała bez wytchnienia nad wynalezieniem odpowiednich form nowożytnemu państwu. Gdy się pokazało, że obliczenia pierwotne nie były ścisłe i forma państwowa nie zdołała wśród różnorodnych elementów społecznych wyrobić poczucia politycznej jedności, wówczas szukano środków nowych, form doskonalszych, jakby żyło wśród społeczeństw przekonanie cycerońskie: że niema dla duszy ludzkiej szlachetniejszego zatrudnienia nad staranie o dobro kraju rodzinnego [2]) i że niemasz nic więcej zbliżającego mądrość ludzką do bóstwa, jak zakładać nowe państwa, albo już założone zachowywać [3]).

---

[1]) Pracę powyższą wydrukowałem w „Niwie“ w r. 1889.

[2]) „O rzeczypospolitej“ str. 123. Rykaczewski.

[3]) Tamże str. 7.

Mężowie stanu i prawodawcy, którym na kontynencie Europy przypadł zaszczyt wprowadzenia nowego porządku politycznego, znajdowali się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Wiadomem było, że dawny ustrój absolutyzmu oświeconego, tolerującego przywileje małej garstki społeczeństwa, nadal stał się niemożliwym, i że trzeba było w całych masach narodu obudzić poczucie obywatelstwa. Wskrzeszenie tego poczucia mogło jedynie nastąpić przez bezpośredni udział społeczeństwa w sprawach publicznych, a udział ten wywołał system reprezentacyi w organach prawodawczych, który należał do najważniejszych gwarancyj swobód i stał się treścią reformy w konstytucyach na początku XIX wieku.

Wystąpił jednak wkrótce cały szereg dowodów przekonywających, że karty konstytucyjne w pierwotnej swej osnowie stawały się martwemi, a organa reprezentacyjne, powołane do udziału w prawodawstwie, były zaledwie piękną dekoracyą polityczną, która duchowi nowożytnego państwa niejednokrotnie nie była w stanie torować drogi. Konstytucyonalizm kontynentalny bowiem od samej kolebki pozbawiony został najważniejszej podpory, jaką była zgoda społeczna i uważać go raczej należało za postulat inteligentnych klas społecznych, które nawet wówczas nie stanowiły większości. Jeżeli nie wszędzie zainaugurowany został konstytucyonalizm teroryzmem pewnego stronnictwa, jak to miało miejsce we Francyi, to jednakże przyznać należy, że nigdzie udział społeczeństwa w sprawach publicznych nie został osiągnięty bez pewnego rozdwojenia socyalnego, które na późniejszy rozwój konstytucyjny wywierać musiało wpływ ujemny.

We Francyi era konstytucyjna rozpoczęła się od stanowczego rozdziału młodej od starej Francyi, które przez całe stulecie zawziętą z sobą prowadziły walkę. Waśń socyalna, podkopująca gmach konstytucyjny, trwa tam po dziśdzień, a końca jej w obecnej chwili nawet przewidzieć nie można. W mniejszym stanie przejawił się ów złowróżbny rozdział socyalny i w innych państwach kontynentu. Monarchizm, wraz z klasami uprzywilejowanemi, jeżeli się zgodził na oktrojowanie karty konstytucyjnej, to jedynie dlatego, aby zażegnać nadciągającą burzę. Inteligentny zaś stan mieszczański, choć nie stanowił jeszcze wszędzie przeważnej siły, miał już pewien wpływ

na ludność rolniczą, która wyzyskiwana przez feodalizm, zaczynała być przystępną dla haseł wielkiej rewolucyi [1]).

Oktrojowanie karty konstytucyjnej nie oznaczało jednak bynajmniej pojednania się szczerego monarchizmu i klas uprzywilejowanych z nowym porządkiem rzeczy. Walka podziemna poczęła się toczyć w dalszym ciągu i przeniosła się do łona samej doktryny konstytucyjnej. Łatwo też było wówczas system reprezentacyjny zredukować do czczego formalizmu, nie czerpiącego sił w masie narodu, gdy w gruncie rzeczy reprezentacya narodowa była postulatem małego grona wybranych, a resztę społeczeństwa ogarniało tylko bezwiedne niezadowolenie i apatya. Zresztą doktrynerzy konstytucyjni, jak Sièyés i Constant, nie posiadali należytego doświadczenia, formy reprezentacyjne przez nich opracowane okazywały się na każdym kroku niedostateczne, a piastunowie władzy wykonawczej dość mieli sposobności, aby wady i niedokładności wyzyskać na swoją korzyść.

Do połowy XIX wieku spotykać się daje na kontynencie europejskim konstytucyonalizm połowiczny i noszący na sobie ślady poprzedniej epoki. Konstytucye z tej epoki nazwane zostały słusznie stanowemi (Ständeverfassungen) a monarchizm, stojący na czele władzy wykonawczej, mógł im w wielu razach okazywać lekceważenie. Przedewszystkiem cała podstawa państwa konstytucyjnego, spoczywająca w samorządzie lokalnym i w administracyi państwowej, przejęta była dawnym duchem i ustrój nowożytny przedstawiał obraz gmachu, w którym tylko dach był nowym, lecz fundamenta pozostały starymi. Pokazało się więc, że udział ludności w wykonywaniu funkcyj prawodawczych będzie tylko czczym formalizmem, jeżeli nie będzie mu towarzyszył udział tejże ludności w administracyi kraju. Dopiero też w drugiej połowie XIX wieku poczęto zwracać pilniej uwagę na zasadniczą sprzeczność, jaka leżała na dnie doktryny konstytucyjnej kontynentalnej. Sprzeczność owa polegała w tem, że społeczeństwo miało rozstrzygać kwestye prawodawcze politycznej doniosłości, a nie mogło i nie umiało zająć się sprawami gminy, które były dlań przystępniejsze i zrozumialsze. Przypomniano też

[1]) Hardenberg w dziełach Rankego. 5. 3. Str. 61.

sobie po 1850 roku, że budowa parlamentaryzmu brytańskiego rozpoczęła się od parafii, i dlatego prawodawcy angielscy okazywali zawsze dużo doświadczenia, zmysłu praktycznego, umiejąc utrzymać władzę wykonawczą w należytych karbach.

Po 1848 roku, a więc i po uwłaszczeniu włościan, konstytucyonalizm kontynentalny wypełnia się udziałem ludności miejscowej w administracyi, a przedewszystkiem w organach samorządu. Postąpiono niezaprzeczenie krok naprzód, lecz nie zdołano dla samorządu lokalnego wynaleźć odpowiedniego ustroju i znowu trzeba było korzystać z doświadczenia, aby naprawiać pierwotne błędy prawodawcze. Stworzenie i uorganizowanie organów samorządu, czyli przypuszczenie ludności do udziału w administracyi lokalnej, było daleko trudniejszem, aniżeli uorganizowanie tegoż udziału we władzy prawodawczej. Nasamprzód pierwotne prawa wyborcze ograniczały i ścieśniały koło wyborców, przez co do reprezentacyi państwowej wchodziły żywioły jednolitsze i mniej więcej o równym poziomie inteligencyi. Wspólna praca i porozumienie się było zatem łatwiejsze, o ile waśń socyalna, jak np. we Francyi, nie zaostrzała walk stronniczych.

Cokolwiek inaczej jednak rzecz się miała z organizacyą lokalnego samorządu. Z przeznaczenia swego instytucye samorządu musiały się posługiwać siłami, rekrutowanemi z różnych warstw społeczeństwa i o różnym stopniu inteligencyi. Zadaniem samorządu było właśnie zjednoczenie sprzecznych żywiołów socyalnych w codziennej służbie publicznej. Ubogie warstwy miały tym sposobem wyjść z martwoty i wskrzesić w sobie poczucie obowiązków obywatelskich. Wyższe, dawniej uprzywilejowane klasy miały wytępić w sobie uczucie odrębności i wyższości, a samorząd miał je nauczyć, iż obowiązkiem ich jest pracować i poświęcać się dla uboższych współbraci [1]).

Klasy uprzywilejowane, po uwłaszczeniu włościan, nie były jednakże przejęte duchem pojednawczym względem poprzednich swych poddanych. Monarchizm, jako piastun władzy wykonawczej, patrzył się wszędzie z pewnem niedowierzaniem i nieufnością na

---

[1]) Holtzendorf: „Der englische Landsquire“ str. 129.

udział ludności w administracyi lokalnej. Organa samorządu, reprezentowane przez ludzi niewydyscyplinowanych i niezawodowych urzędników, przedstawiały dla władzy wykonawczej, ulegającej dawnym wpływom biurokratycznym, element rozstroju, któremu funkcyj publicznych nie można było powierzać bez narażenia administracyi państwowej na dezorganizacyę. Dostrzedz też można przez długi czas macosze obchodzenie się prawodawcy z organizacyą samorządu i określeniem jego kompetencyi. Albo wyższym organom samorządu wyznaczono tak mało zadań z dziedziny administracyi lokalnej, że istotnie zrodzić się musiało zapytanie: czy tak kosztowna instytucya opłaca się ludności i czy ją należycie kształci w sprawach publicznych, albo uchwałom organów samorządu odjęto wykonalność, czyniąc egzekutywę zależną od uznania i woli organów rządowych, albo wreszcie, w najniższym, lecz zarazem i najważniejszym organie samorządu, gminie, utrzymywano rozdział obszarów dworskich od gminnych, odejmując jej tem samem możność spełnienia najważniejszego ządania, t. j. pojednania w służbie publicznej żywiołów miejscowych.

Pomimo jednak, że porządek konstytucyjny świecił poważnymi brakami, zarówno w organizacyi prawodawczej, jak i wykonawczej władzy, widoczną była nieustanna praca, dążąca do wykończenia budowy nowożytnego państwa. Starano się bez przerwy, i to staranie łatwo dostrzedz w obecnej chwili w tem, aby organizacyę państwową uczynić rzeczywistą przez odpowiednią organizacyę i ustosunkowanie wyborów (proporcyonalność), aby kompetencyę reprezentacyi określić właściwie, aby organizacyę jej udoskonalić do tego stopnia, żeby zapobiegała uniesieniom namiętnym i pośpiechowi. W zakresie administracyi także przejawia się ciągła dążność do udoskonalania się. Nietylko umysły pracują wszędzie nad tem, aby elementa samorządu spoić trwale z państwowemi do wspólnej publicznej pracy, lecz nadto dostrzegać się dają usiłowania w celu zorganizowania odpowiednich organów samorządu i zaprowadzenia sądownictwa administracyjnego, któreby państwu nadawało cechę praworządności. Jakkolwiek cel ostateczny tych usiłowań jest daleki, trzeba jednak tymczasowo zaspokoić się cycerońskiem zapewnieniem,

że ustrój państwa nie jest dziełem ani jednej epoki, ani jednego człowieka i w tem przekonaniu pracować dalej usilnie.

Era konstytucyjna w monarchii austro-węgierskiej nie jest długą i rozpoczęła się nie pod najlepszemi auspicyami. Absolutyzm oświecony Józefa II zniweczył wprawdzie wspomnienie dawnych reprezentacyj stanowych, lecz w wyswabadzaniu pracy rolnego ludu od wyzyskujących przywilejów, nie okazał się twórczym, jak absolutyzm pruski. Józefiński system pragnął złamać wpływ patrymonialny możnowładztwa gruntowego i zastąpić ten wpływ biurokracyą. Nie szło mu też, jak pruskim monarchom [1]) o wyswobodzenie pracy rolnej i uczynienie jej tem samem płodniejszą, lecz o pobudzenie we włościanach niechęci względem klas wyższych, uprzywilejowanych i o zapewnienie włościanom samodzielności, która i z próżniactwem mogła iść w parze. Chcąc się przekonać o rozkładowej treści systemu józefińskiego, dość jest przeczytać cenną, choć nieco namiętną pracę Kalinki p. t. „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem“ (1853). Z niej się dowiedzieć można, jak gorliwie uprawianą była polityka waśnienia wszystkiego i wszystkich, w tym celu, aby dla powaśnionych władza monarchiczna stała się jedynem i nieuniknionem zbawieniem.

W roku 1848, wśród wstrząśnień politycznych rewolucyjnej natury, rozpoczęła się w Austryi era konstytucyjna. Wypadki ówczesne nie były tego rodzaju, aby mogły koronę i społeczeństwo całe usposobić do zgodnej budowy nowego gmachu konstytucyjnego. Przeprowadzenie w tymże roku uwłaszczenia włościan zaszczepić musiało wśród klas rolnych, przynajmniej na czas jakiś, pewne rozdrażnienie, a monarchizm, posługujący się biurokratyzmem najgorszym i najobojętniejszym na dobro kraju, nie mógł być dla reform konstytucyjnych przychylnie usposobionym. Prócz tego zwolennicy reformy nie mieli w przeszłości wskazówek na przyszłość. Dawnej reprezentacyi z nową nawiązać nie było sposobu. Wspomnienia bowiem były już zatarte czasem oraz staraniem absolutyzmu i jeden

[1]) Stadelmann: „Preussens Könige in ihrer Thätigkeit für Landeskultur“.

Deak mógł w imieniu Węgier zaprotestować słusznie przeciw teoryi zużycia się konstytucyi swego kraju [1]).

Prawodawcy r. 1848 musieli pracować w warunkach niezbyt korzystnych i nie mogli wystawić monumentalnej budowy. Panowało wśród nich to głębokie przekonanie, iż trzeba nowego ustroju dla Austryi, ale namiętność nie dozwalała im obmyślić form odpowiednich i trwałych. Dość tylko przeczytać głosy ówczesne, np. Kudlicza: Musimy wybudować dom wygodny dla wszystkich mieszkańców, a nie dla próżniaków, którzy na najpierwszych miejscach się rozpościerają, gdy lud poddasza i piwnice zajmuje, na nich pracując [2]).

Nie będę zatrzymywał się nad faktami, które zaraz po 1848 r. nastąpiły, odsyłając ciekawych do książki p. d' Abancourt pod tytułem „Era konstytucyjna austro-węgierskiej monarchii". Nadmienię tylko, że klęski stanowcze dwóch kampanii zdołały dopiero koronę austryacko-węgierską przekonać o niemożliwości istnienia nieograniczonej monarchii i potrafiły zwrócić ją na drogę reform konstytucyjnych. Że ten zwrot w roku 1861 był słabo zaakcentowany i dopiero w roku 1867 nabrał większej siły, temu się zbytecznie dziwić nie można. W każdym razie prawodawca, rozpoczynając budowę konstytucyjną, przy tej rozmaitości plemion, narodowości, wyznań, wyczerpanych i powaśnionych systemem „divide et impera", miał zadanie jedno z najtrudniejszych, i nie można mu czynić z tego zarzutu, że popełnił wiele błędów, które następnem pokoleniom przyszło naprawiać.

Galicya otrzymała na równi z innymi krajami koronnymi reprezentacyę prowincyonalną w roku 1861, uzupełnianą następnie późniejszymi statutami i ordynacyami. Ludność miejscowa powołaną została do udziału w sprawach publicznych, lecz zakres i formy tego udziału nie były w stanie zaspokoić pragnień prowincyi, a praktyka odkrywała w dziele prawodawczem coraz to więcej niedostatków. W roku 1871, grono ludzi poważnych i około dobra publicznego

---

[1]) Verwirkungstheorie — w dziele „Ein Beitrag zum ungarischen Staatsrecht". Pest 1865. Str. 214.

[2]) Verhandlungen des deutsch-oester. Reichstages. 1848. I B. Str. 424.

zasłużonych opublikowało owoc długich narad p. t. „Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi“. W zarysie tym poddano rozważnej krytyce istniejące urządzenia, a zarazem naszkicowano projekt reformy prowincyonalnej administracyi. Jakkolwiek z biegiem czasu dostrzedz można było w powyższym gruntownym projekcie pewne niedokładności i wątpliwości, w każdym razie był on wymownym dowodem, że inteligencya prowincyonalna zajmuje się sprawami kraju i myśli nad poprawą samorządu miejscowego.

W roku 1876 ukazał się drugi, pomniejszy projekt, przypisywany mężowi wybitnemu i zasłużonemu (Dunajewski), a w r. 1880 prof. Kasparek opublikował pracę p. t. „Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacyi gminnej i wnioski reformy“. Z tytułu sądząc, mogłoby się zdawać, że p. Kasparek tylko organizacyi gminnej poświęca uwagę, tymczasem w cennej swej monografii poddał on gruntownej krytyce cały samorząd prowincyonalny, a co ważniejsza, że nietylko zajmował się galicyjskimi stosunkami, lecz uważał za stosowne mieć na oku administracyjne urządzenia innych krajów austryackich. Nie będę wymieniał monografij, zajmujących się specyalnemi kwestyami, albowiem z niemi spotkamy się jeszcze później, ograniczę się tylko na znaczeniu, że przeważnie prof.: Pilat, Kleczyński, Lewicki, Biliński i ostatniemi czasy Bobrzyński przyczynili się do wyjaśnienia stosunków galicyjskich, do czego wydział krajowy sumiennemi publikacyami statystycznemi skutecznie dopomagał.

Wśród społeczeństwa galicyjskiego panowało przeświadczenie o tem, że ustrój samorządu prowincyonalnego nie odpowiada należycie potrzebom prowincyi i powinien uledz gruntownej reformie. Przeświadczenie to powiększone zostało pracą Szczepanowskiego p. t. „Nędza w Galicyi“, w której autor nie omieszkał wypowiedzieć społeczeństwu, że skrywanie rzeczywistości doprowadza jedynie do fałszywego łudzenia się i do zaspakajania wszystkich braków czczym szowinizmem narodowym. Od przeświadczenia jednak inteligentnych ludzi do silnego przekonania, panującego wśród całego społeczeństwa, jeszcze daleko. Tymczasem takiego silnego przekonania koniecznie potrzeba, albowiem tylko ono zmusi prawodawcę do powzięcia nieodzownych reform.

Praca p. Wrotnowskiego, dążąca do wyrobienia wśród społe-

czeństwa galicyjskiego owego silnego przekonania, o którem powyżej nadmieniłem, już przez to samo zyskiwała poważną racyę bytu. Autor, znany od dawna z prac ekonomicznych i publicystycznych, pragnął przedewszystkiem zebrać i usystematyzować swe spostrzeżenia praktyczne, dotyczące funkcyonowania galicyjskich organów samorządu. P. Wrotnowski nie ogranicza się jednak wyłącznie na krytyce. Dowodząc, że stan obecny potrzebuje gruntownej naprawy, podaje zarazem projekt rekonstrukcyi samorządu prowincyonalnego. Sam autor uprzedza wszakże, że plan reformy nie rości prawa do samodzielności, lecz zaczerpnięty jest przeważnie z „Zarysu organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi“. W każdym razie autor, w celu udowodnienia konieczności reformy, nie ogranicza się na wykazywaniu braków, lecz ucieka się również do teoretycznych wyjaśnień.

Na samym wstępie p. Wrotnowski poucza czytelnika, że pojęcia samorządu z pojęciem autonomii ani łączyć, ani brać za jedno nie należy. Każda bowiem z tych nazw uwydatnia inny stosunek polityczny, odrębną dziedzinę prawa i odmienną jego podstawę. Na tejże samej jednak stronnicy znajduje się twierdzenie, zupełnie odmienne od poprzedniego, a dowodzące, że autonomia, zarówno jak samorząd, są pojęciem z dziedziny prawa publicznego, lecz tylko pierwsze przedstawia równocześnie cechę prawa międzynarodowego.

Zdaniem p. Wrotnowskiego, samorząd oznacza stosunek rządzonych do najwyższej władzy państwowej, określa bowiem, jakie i w jakim zakresie sprawy miejscowe interesu ogólniejszego mają być załatwiane przez samo społeczeństwo i zależeć od jego decyzyi. Autonomia zaś oznacza uznawanie i poszanowanie odrębności narodowej kraju, wchodzącego w skład jednej z aglomeracyj państwowych, uwydatnia bowiem tę odrębność i zachowuje jego mieszkańcom prawo do rozwoju własnego organizmu narodowego. Samorząd nie istnieje pod formą rządu, która władzy państwowej nie zakreśla ściślejszych granic. Autonomia Galicyi nie polega bynajmniej na tem, że ogólne ustawodawstwo państwowe dopuściło mieszkańców tego kraju do głosu w pewnych sprawach miejscowych interesu ogólnego. Lecz uznawanie i szanowanie narodowości jest właśnie treścią i ostatecznym wyrazem autonomii.

Przytoczyłem kilka zdań p. Wrotnowskiego, aby uwydatnić jak najlepiej jego pojęcie o samorządzie i autonomii. Na określenia powyższe zgodzić się nie mogę i mniemam, że autor byłby uniknął sprzeczności w określeniu samorządu i autonomii, gdyby zamiast do aktów kongresu wiedeńskiego udał się był po pomoc do którego z podręczników nauki prawa administracyjnego. Wówczas byłoby się pokazało, że zarówno samorząd, jak i autonomia, są pojęciami prawa administracyjnego, a definicya ich jest nieco odmienną od tej, jaką p. Wrotnowski podaje.

Podług Steina, nietylko uczonego; lecz i wybornego znawcy prawa publicznego austryackiego, treścią samorządu jest udział obywateli w wykonywaniu woli państwowej [1]). (Die Theilnahme des Staatswillens im Gesetz, sondern auch bei der Vollziehung desselben). Udział ten wymaga wytworzenia różnych organów samorządu, a autonomią w ścisłem znaczeniu tego słowa będzie prawo owych organów samorządu, do stanowienia w tych wszystkich sprawach publicznych, które tymże organom przez państwo powierzone zostały. Zgodnie z Steinem pojmuje samorząd i autonomię drugi autorytet prawa publicznego austryackiego, Ulbrich. Twierdzi on bowiem, co następuje: „Das dem Kronlande als Selbstverwaltungskörper eingeräumte Recht Anordnungen ueber das Maass der Zwangsbeiträge sowie Verwaltungsregulative selbständig zu erlassen, bildet die Autonomie desselben“ [2]).

Definicyom nauki administracyi nie można bynajmniej zarzucić nieścisłości i niejasności. Owszem, przy ich pomocy rozwiąże się wszelkie wątpliwości, nasuwające się p. Wrotnowskiemu, i to bez uciekania się do pomocy prawa międzynarodowego lub specyalnie do traktatów kongresu wiedeńskiego. Przedewszystkiem wszędzie, gdzie jest samorząd, a takowy istnieć może najzupełniej i przy formie monarchii nieograniczonej [3]) egzystować muszą specyalne organa samorządu, za pośrednictwem których ludność miejscowa bierze udział w zarządzie funkcyj publicznych. Pierwszem prawem samorządu jest wybieranie przez ludność miejscową urzędników, składa-

[1]) Handbuch der Verwaltungslehre. Wyd. 2, str. 33.
[2]) Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts. Str. 301.
[3]) Rosya: Ziemstwa i wołosti.

jących swe organa. Jeżeli ludność powyższego prawa pozbawioną zostanie, wówczas mowy o samorządzie niema. Jeżeli zaś je posiada, wówczas tylko pozostaje kwestya inna do wyjaśnienia, a mianowicie: jaki zakres samorządu przyznany został przez państwo obywatelom. Jeżeli istnieje samorząd w obrębie gminy, a więc jeżeli ludność miejscowa ma prawo wybierać jedynie organa samorządu gminnego, wówczas i autonomia, powierzona tym organom, może być paraliżowane wieloma innymi wpływami.

Samorząd jednakże może ogarnąć daleko większe jedności administracyjne. W okręgu (Kreis) lub w powiecie, organa samorządu, zasobniejsze w siły umysłowe, mogą wpływ daleko rozleglejszy wywierać na rozwój społeczeństwa swą szeroką autonomią. Naturalnym rzeczy biegiem, wielomilionowa prowincya, pozyskawszy samorząd prowincyonalny, którego organa uposażone zostaną rozległą autonomią, czyli mocą stanowienia w rzeczach administracyi, jest w stanie odrębności i tradycyom prowincyonalnego społeczeństwa nadać więcej siły i znaczenia. Że zaś z natury samorządu płynie, jako nieunikniona konsekwencya poszanowanie odrębności miejscowej, czyli jak się p. Wrotnowski wyraża, poszanowanie narodowości, to mamy najlepszy dowód w polityce rządu pruskiego, który nie stosował w Księstwie Poznańskiem ustawy okręgowej z roku 1873 [1]), obawiając się tego, iż większości polskie wybiorą reprezentacye okręgowe polskie i tym sposobem samorząd okręgowy stanie się potężną dźwignią znienawidzonej narodowości.

Nie dziwię się bynajmniej temu, że p. Wrotnowski, mając głównie na na celu krytykę istniejących stosunków, teoretyczne określenia nieco zaniedbał. Niedostatki, jakie jego praca w powyższym kierunku przedstawia, są tem bardziej do uwzględnienia, że jak sam Stein przyznaje, określenie prawne samorządu jest nowem [2]), a po dziśdzień teoretycy angielscy rozszerzają jego zakres i nawet parlament uważają za najwyższy organ samorządu.

Daleko bardziej interesującą jest praca p. Wrotnowskiego, gdy przechodzi do krytycznego rozbioru statutu krajowego galicyjskiego

---

[1]) Kreisordnung.

[2]) Handbuch der Verwaltungslehre wyd. 2, str. 33.

z roku 1861. Nasamprzód autor zaznacza, iż redaktorowie statutu mniemali, że samorząd nie byłby zupełny, gdyby obok sejmu i rad powiatowych nie zostały ustanawiane nowe władze administracyjne, od istniejących władz rządowych odrębne. Zaprojektowali przeto istniejący dualizm. Następnie redaktorowie statutu, nie zwracając uwagi na to, że Galicya jest ze wszystkich krajów kontynentu najuboższą, że przez 80 lat systematycznie zubożana, była w r. 1861 najmniej w gotowiznę zasobna, zaprojektowali to, czego właśnie unikają najstaranniej kraje najzamożniejsze: organizacyę samorządu, nakładającą na społeczeństwo znaczne powiększenie ciężarów. Samo utrzymanie biur wydziału krajowego dochodzi do 250.000 złr. rocznie, utrzymanie biur wydziałów powiatowych do 600.000 złr. Dla jakich więc powodów nałożono na kraj tak wielkie ciężary, które od roku 1861 do dziś pochłonęły przeszło 20 milionów? Samorząd, zdaniem p. Wrotnowskiego, nie wywoływał przecież potrzeby organizowania oddzielnej dla tych spraw a tak kosztownej administracyi. Sejm, rady powiatowe i gminne dawały wszędzie społeczeństwu dostateczną rękojmię. Wykonywanie zaś decyzyj tych organów mogło być poruczone władzom krajowym, ustanowionym przez rząd.

Wprawdzie autor nie dziwi się temu, że pokolenie, działające w roku 1860, nie mogło mieć i nie miało zaufania do ówczesnych władz rządowych, sama bowiem geneza ustanowienia tych władz w Galicyi i 80-letnia ich działalność, musiała wzbudzić jego nieufność.

Od długiego przecież czasu powyższy stan rzeczy uległ zupełnej odmianie. Dziś już wszystkie władze, nie pochodzące z wyborów, są bez wyjątku i z zasady w ręku krajowców. Usuniętą więc została ośmdziesięcioletnia zapora, a wobec tego istnienie dualizmu nie znajduje żadnego usprawiedliwienia.

P. Wrotnowski uprzedza, że źródła tych ujemnych następstw nie możnaby upatrywać w osobach, powoływanych przez sejm do składu wydziału krajowego. Wina nie leży po ich stronie — nawet w spisie członków tegoż wydziału, od początku jego istnienia do dziś, spotykamy w pokaźnej liczbie nazwiska mężów ożywionych gorącą miłością dobra publicznego. Wyjątkowa jednakże zdolność jednostek, ich energia, poświęcenie i praca, mogą tylko na pewien

czas i tylko do pewnego stopnia zobojętniać szkodliwe następstwa wadliwego ustroju. Tymczasem redaktorowie statutu krajowego nie zwrólili uwagi na konieczność zapewnienia jednolitości w składzie wydziału krajowego, i zamiast postawić go w takim stosunku do sejmu, w jakim stosunku stoi wszędzie gabinet ministrów do parlamentu, zamiast przeto wybór członków tegoż wydziału pozostawić marszałkowi krajowemu, przy ustaleniu zasady, że następować ma zmiana całego składu, ilekroć kierownictwo spraw nie otrzyma ze strony sejmu przychylnego ocenienia; lub wreszcie zamiast zapewnić tę jednolitość w jakibądź inny sposób, wprowadzili do statutu zasadę, pojęciu o wszelkim rządzie i o wszelkiej władzy najzupełniej przeciwną. Wybrani bowiem z różnych kuryj mają być pod przewodnictwem marszałka krajowego „czynnikiem“ zawiadowczym i wykonawczym reprezentacyi krajowej. Przy tak różnorodnym zaś składzie członków są do przewidywania dwie alternatywy: albo ciągła między nimi walka o zasady, albo apatya.

Sejm, oświadcza w dalszym ciągu p. Wrotnowski, jako reprezentacya kraju, powinien mieć władzę ustawodawczą i kontrolę nad biegiem spraw kraju, nie zaś administracyę tych spraw. Każde stawianie sejmu w konieczności, aby w składzie stukilkudziesięciu członków prowadził administracyę, wytwarza dlań warunki trudne, a na bieg spraw i na rozwój społeczny wpływające ujemnie. Mieliśmy tego przykłady w działalności dawnych sejmów polskich, ilekroć one chciały rządzić i administrować, zamiast pisać ustawy. Tymczasem w Galicyi nie wydział krajowy, lecz sejm administruje dziedziną samorządu. Wydział bowiem, poprzestawszy na roli „czynnika zawiadowczego i wykonawczego“, ogranicza się na biernem spełnianiu poleceń sejmu, zamieniając się tym sposobem w stałą delegacyę tegoż sejmu.

Skutkiem tego, przedstawianych sejmowi własnych projektów i wniosków wydział nie broni w taki sposób, w jaki bronić je winien organ, stojący u steru spraw i ogarniający wzrokiem całość potrzeb ogólnych dziedziny samorządu. Reprezentacya zaś, nie widząc przed sobą żadnej władzy, któraby zwracała uwagę na wynikłości postanowień przychodzących pod uchwałę i nie znajdując żadnego regulatora, staje się wszechwładną. Wszechwładność ta ma

jednak często następstwa ujemne. Uwydatniają się one szczególniej przy każdorocznem uchwalaniu budżetu krajowego.

Gdzie istnieje samorząd, wydatki zależne od wyłącznej decyzyi miejscowego społeczeństwa wzrastają w danym okresie czasu w stosunku jeszcze wyższym niż podatki państwowe. Wszędzie bowiem ciała obradujące w liczniejszym składzie, a złożone z osób zaszczyconych wyborem społeczeństwa, są z natury rzeczy bardziej usposobione do jednostronnego poglądu przy uchwalaniu budżetu. Żywiej odczuwając potrzeby lokalne, oraz pożyteczność każdego z osobna wydatku, nie dostrzegają odwrotnej strony medalu. To usposobienie do uchwalania wydatków, przewyższających siłę płatniczą mieszkańców, istniejących we wszystkich ciałach, obradujących w liczniejszym składzie, nie będące przeto wyłączną właściwością sejmu galicyjskiego, czyni sprawę budżetu krajowego dla mieszkańców jeszcze donioślejszą od sprawy budżetu państwowego. Gospodarz i regulator jest więc dla dziedziny samorządu i dla budżetu krajowego jeszcze bardziej pożądanym.

Obowiązek regulatora z samej natury rzeczy powinienby spadać na wydział krajowy. I w istocie składa on corocznie sejmowi projekt budżetu, lecz postawy biernej, zajmowanej względem wszystkich swoich projektów i wniosków, nie zmienia. Wydział porzuca tę bierną postawę tylko wtedy, ilekroć jest mowa o zmniejszeniu liczby jego urzędników, lub o nieprzyjęciu jego wniosków, dążących do jej powiększenia, albo do stanowienia wyższej cyfry etatu służbowego. Czytając uważnie statut krajowy, zdawaćby się mogło, że redaktorom chodziło przeważnie o nadanie marszałkowi i wydziałowi pozorów władzy. Możnaby mniemać, że owa zmora, która w ciągu ubiegłych wieków, wzniecając w umysłach obawę o „absolutum dominum“, stawiała przeszkody wytworzeniu w Polsce rządu silnego i energicznego, zawisła znowu nad Galicyą w roku 1860.

Zdaniem p. Wrotnowskiego, jednego z pomiędzy zarzutów, podnoszonych przeciw wydziałowi krajowemu, a mianowicie zaprowadzonego w tymże wydziale biurokratyzmu, nie możnaby zwracać przeciw redaktorom rzeczonego statutu. Z formalistyki biurokratycznej były od dawna słynnemi austryackie władze administracyjne. Trudno jednakże odgadnąć, jakim sposobem biurokratyzm wydziału

krajowego prześcignął te nawet wzory, które sobie przyswajał. Dziś bowiem jest on jeszcze więcej rozwiniętym, jeszcze chętniej dającym pierwszeństwo formalistyce nad samą rzeczą, niż obecnie władze krajowe. Na udowodnienie swego twierdzenia autor przytacza ciekawe fakta, które zarzutowi biurokratyzmu nadają istotną siłę.

Następnie p. Wrotnowski poświęca uwagę ustawie o reprezentacyi powiatowej z r. 1866. Zastanawiając się nad wydziałami powiatowymi, zajmującymi analogiczne wydziałowi krajowemu stanowisko, autor dochodzi do tego przekonania, że redaktorowie ustaw wychodzili z założenia, że znajdzie się w kraju 518 ludzi, którzy w 74 wydziałach powiatowych będą w możności oddania się bezpłatnej pracy. Założenie było najwidoczniej mylne. Jakoż do rzadkich wyjątków zaliczać należy tych prezesów i członków wydziału powiatowego, którzy są w możności własne swe interesa i obowiązkową swą pracę porzucać, w celu wyłącznego zajmowania się codziennemi zadaniami samorządu. Posiedzenia wydziałów nie mogą się przeto odbywać tak często i w pełnym komplecie, jakby tego wymagało energiczne prowadzenie administracyi. W ogólnej więc regule o jakiejbądź ścisłości oraz ciągłości pracy nie może być mowy. Że w takich warunkach działalność wydziałów powiatowych może być sporadyczną i nie może odbywać się bez spornej przymieszki dyletantyzmu, rzecz widoczna. Nie wydział powiatowy, ale ostatecznie sekretarz rady wprowadza w wykonanie jej uchwały. Bez niego ustawałaby nawet ta działalność wydziałów powiatowych, na jaką obecnie patrzymy.

Wadliwość obecnego ustroju Galicyi od dawna, jak twierdzi p. Wrotnowski, zwracała na siebie uwagę umysłów politycznych. Wadliwości te zostały podane do wiadomości ogółu w roku 1871 w pracy p. t. Zarys organizacyi władz administracyjnych". Ta mała książeczka nie utraciła do dziśdnia swej aktualności, i zasługuje, aby ją ogółowi przypomnieć. Autor streszcza też „Zarys", nazywając myśl przeistoczenia namiestnictwa w rząd krajowy wysoko polityczną, myśl zaś wytworzenia wydziału I-go i unormowania jego atrybucyi i składu, dominującą w projekcie — genialną. Interesującą i cenną ze wszech miar broszurę kończy p. Wrotnowski uwagą, że wzrastanie nadmierne podatków wywołało wśród ludności wiejskiej znie-

chęcenie do tego stopnia, że gotów całą autonomię oddać za miskę soczewicy. Podawszy w streszczeniu główne myśli, znajdujące się w pracy p. Wrotnowskiego, pozwolę sobie w następstwie wyrazić kilka uwag i wątpliwości.

Spostrzeżenia, często trafne i bystre, zawarte w pracy pod tytułem „Autonomia Galicyi“ i t. d., dowodzą niewątpliwie, że autor obserwował pilnie i starannie funkcyonowanie organizmu prowincyonalnego galicyjskiego i wiele błędów oraz usterek nie uszło jego uwagi. Praktyka zaabsorbowała jednak przeważnie autora, objawy bieżącej chwili zasłoniły mu nieco szerszy widnokrąg, co nie przeszkadza, że praca jego pozostanie rzetelnym obywatelskim czynem w dziejach społeczeństwa galicyjskiego. Przedewszystkiem p. Wrotnowski nie przypomniał sobie należycie zalecenia i przestróg starożytnych pisarzy „imprimis necessarium est nosse rempublicam“, a tem państwem, które mu nieodzownie poznać należało, była nietylko Galicya, lecz Austrya. Tymczasem prawo państwowe i administracyjne austryackie nie zostało należycie przez p. Wrotnowskiego wystudyowane i dlatego w argumentacyi czuć się daje niekiedy brak ścisłości, która winna być nieodzownym przymiotem prac tego rodzaju.

W książce p. Wrotnowskiego znajdują się także określenia teoretyczne. Autor poucza czytelnika, czem jest system parlamentarny, jakiemi być powinny atrybucye sejmu, wydziału krajowego i gabinetu wobec reprezentacyi narodowej. Przytem, jako wzór godny naśladownictwa, cytowana jest Anglia. Nie sądzę jednak, aby określenia powyższe odpowiadały wymaganiom naukowym a w każdym razie nie są one w zupełności ani wystarczającemi, ani odpowiedniemi. Już Szczepanowskiemu można było uczynić zarzut, że za często zestawiał Galicyę z Anglią, przez co wrażenie stawało się zbyt silnem a porównanie zbyt jaskrawem. P. Wrotnowski jednakże mógł był śmiało pozostawić Anglię na uboczu a natomiast powinien był pilną poświęcić uwagę innym krajom austryackim, które posiadały samorząd prowincyonalny, podobny do galicyjskiego.

Prof. Kasparek uczynił już to w swej pracy i przez to nabyła ona pełności spostrzeżeń i gruntowności w argumentacyi. Prawodawca austryacki z 1861 roku nie obdarzył przecież jednej Galicyi statutem i samorządem. Statuta innych krajów były wszystkie po-

częte z jednej doktryny konstytucyjnej i nie jedna Galicya uczuła wadliwości ustroju prowincyonalnego oraz nietylko Galicya sama zebrała gorzki owoc doświadczenia. Zapoznanie się z funkcyonowaniem samorządu prowincyonalnego austryackiego, poza obrębem Galicyi, było obowiązkiem każdego piszącego o reformie stosunków w Galicyi i zaniedbanie się pod tym względem nadaje pracy pana Wrotnowskiego cechę jednostronności.

Również pozostawienie na uboczu spostrzeżeń naukowych, zawartych w pracach poprzedników, nie może być poczytane p. Wrotnowskiemu za przymiot. Powołanie się na jeden zarys organizacyi władz administracyjnych w Galicyi z r. 1871 nie jest wystarczającem. Autorowie zarysu byli niewątpliwie ludźmi zacnymi, doświadczonymi i pełnymi przywiązania dla kraju, lecz projekt ich ułożony został przed 18 laty i sam czas uczynił modyfikacye nieodzownemi. Zarys też organizacyi poddany był krytyce umiejętnej przez prof. Kasparka, a wreszcie rozwój społeczeństwa galicyjskiego uczynił niejedną myśl, zawartą w zarysie, niemożliwą. Wszystko więc, co poprzednicy napisali o zarysie, a zwłaszcza co napisali gruntownie, należało p. Wrotnowskiemu uwzględnić. Tym sposobem bowiem przekonałby się, że zarzuty, uczynione samorządowi galicyjskiemu w jego pracy, były już dawniej podnoszonemi a co więcej ściśle wymotywowanemi.

Kiedy p. Wrotnowski podnosi głównie jeden zarzut dualizmu przeciw organizacyi samorządu, w pracy prof. Kasparka znajdujemy ich aż dziewięć (str. 5), a wszystkie zostały jasno i ściśle określone oraz oparte na doświadczeniu wszystkich prowincyj austryackiej Cislitawii. Nie będę przytaczał wszystkich dziewięciu zarzutów, albowiem stałbym się zbyt rozwlekłym, ograniczę się też na zaznaczeniu, iż samo pojmowanie dualizmu przez p. Wrotnowskiego nie zupełnie jest ustalonem i nawet uważnego czytelnika może wprowadzić na błędne drogi. P. Wrotnowski twierdzi, że redaktorowie statutu krajowego mniemali, iż samorząd nie byłby zupełny, gdyby obok sejmu i rad powiatowych nie zostały ustanowione nowe władze administracyjne, od istniejących władz rządowych odrębne. Zaprojektowali przeto istniejący dualizm. Z powyższego określenia zdaje się wypływać to: że przez dualizm władz rozumie p. Wrotnowski istnienie, obok sejmu i rad powiatowych, wydziału krajowego i wydziałów powiatowych.

Na podobne pojmowanie dualizmu władz w Austryi trudno się zgodzić, chociaż swoją drogą przyznać należy p. Wrotnowskiemu, że nazywając rzecz niewłaściwem mianem, czyni wiele uwag trafnych nad wadliwością organizacyi samorządu galicyjskiego. Nie podnosiłbym też wcale powyższej niedokładności, gdyby nie ta okoliczność, że dualizm władz jest jedną z największych, a może największą wadą organizacyi Galicyi, a wada ta nie polega bynajmniej na wytworzeniu wydziału krajowego i powiatowego obok sejmu i rady powiatowej.

Wiadomo dobrze, że gdzie tylko samorząd został wprowadzony, tam dualizm władz z natury rzeczy powstać musi. Administracya państwowa funkcyonować może za pośrednictwem organów rządowych; zadania zaś publiczne, powierzone samorządowi, wykonywane być winny przez organa samorządne. Tego dualizmu uniknąć nigdy nie można, albowiem są zadania administracyjne, które tylko zawodowi i specyalnie wykształceni urzędnicy wykonać mogą, inne znowu, które tylko wybrani i z lokalnemi stosunkami obeznani urzędnicy należycie przeprowadzić potrafią. Pomimo to jednakże dualizm władz galicyjskich i wogóle austryackich, polega na czem innem, a mianowicie na wadliwem uorganizowaniu stosunku organów rządowych do samorządnych.

Zarówno władze rządowe, jak i samorządne wykonywają zadania publiczne i to wykonywają nie samowolnie, lecz w sposób, określony przez prawo. Władze te więc powinny mieć tak określoną kompetencyę i tak unormowany stosunek wzajemny, aby działały w zgodzie i w zjednoczeniu, popierając się wzajemnie doświadczeniem i uznając zakres swego działania. Tymczasem dualizm władz austryackich polega na tem, że tego spojenia organów rządowych z samorządnemi nie ma, że są one niejako współrzędnemi i zamiast jednoczyć się i wspomagać, potrafią lekceważyć się i paraliżować wzajemnie swą działalność.

Austrya — powiada słusznie prof. Kasparek (str. 10) — wprowadziła oryginalny dualizm władz rządowych i autonomicznych, które się tylko u dołu schodzą w gminie, zostającej tem samem pod podwójnym naciskiem i władz rządowych i autonomicznych, a u góry zupełnie się od siebie oddzielają i żadnej wspólnej, najwyższej nie

ulegają instancyi. Dualizm władz austryackich najjaskrawiej uwydatnia się w tem, że władze rządowe są zawsze w możności sprzeciwienia się wykonaniu uchwał organów samorządu, co przy wielkości instancyi i nieoddzielonej należycie kompetencyi wprowadza a przynajmniej wprowadzić może istny chaos do administracyi.

Pozwolę sobie przytoczyć jeden ustęp z pracy prof. Kasparka, dowodzący, jak ujemnie wpływa na bieg spraw publicznych ów dualizm, czyli brak należytego zespolenia władz rządowych z samorządnemi. „Przypuśćmy np. (str. 17), że starosta powiatowy energicznie popiera sprawy, natenczas na każdym kroku spotyka się z tysiącznemi zaporami, o które się jego najlepsze rozmysły rozbijają, jeżeli z mniej życzliwym zejdzie się wydziałem powiatowym, albo gminami, opór stawiającemi. Przypuśćmy znowu na odwrót, że wydział powiatowy pojmuje swoje zadanie i gorliwie krząta się około instytucyj powiatowych a spotka się ze starostą pedantycznym i powolnym, aliści znowu sprawy nie postępują naprzód, bo starostwo przez odmówienie wykonania uchwał na czas powziętych, pod pozorem naruszenia ustaw, czyni te uchwały niewykonalnemi. Słowem, i rząd sparaliżowanym i samorząd staje się koszlawym, a cała administracya podobną się staje do działania dwóch rąk, ale obu spętanych“.

Gdyby p. Wrotnowski był uwzględnił pracę prof. Kasparka, byłby z pewnością wady organizacyi prowincyonalnej Galicyi wszechstronniej poznał a dualizm władz lepiej określił. Być bardzo może, że wówczas wydałyby mu się niektóre pomysły zarysu organizacyi władz administracyjnych nieco ryzykownemi a projekt parlamentaryzmu prowincyonalnego niemożliwym do wykonania w rzeczywistości. P. Wrotnowski bowiem zarzuca redaktorom statutu krajowego, że nie zwrócili uwagi na jednolitość składu w wydziale krajowym i nie postawili go w takim stosunku do sejmu, w jakim stoi wszędzie gabinet ministrów do parlamentu. Zdaniem p. Wrotnowskiego, należało wybór członków tegoż wydziału pozostawić marszałkowi krajowemu, przy ustaleniu zasady, że następować ma zmiana całego składu, ilekroć kierownictwo spraw nie otrzyma ze strony sejmu przychylnego ocenienia.

Zaznaczyć winienem, że jakkolwiek „Zarys organizacyi władz

administracyjnych“ (str. 36) podał odmienny sposób reorganizacyi samorządu prowincyonalnego, to jednakże myśl przewodnią od niego przejął p. Wrotnowski. Myśl owa polega na tem, aby prowincyonalny samorząd przybrać w szaty parlamentarne. Autorowie „Zarysu organizacyi“, podnosząc myśl odpowiedzialności namiestnika wobec sejmu krajowego, zauważyli słusznie (str. 39), że to kwestya trudna, aby się można łudzić nadzieją należytego, wszystkich zadowalającego rozwiązania. Z nieprzepartą siłą logiczną odpowiedział też prof. Kasparek na rzeczony pomysł (str. 104) co następuje: Odpowiedzialność namiestników wobec 17 sejmów rozerwałaby wszelką jedność w państwie. Któryż rząd mógłby się na to zgodzić, ażeby każdy namiestnik mógł się zasłaniać odmiennem zapatrywaniem swego sejmu, aby nie wykonać poleceń rządowych? Jakiż w rządzie zapanowałby chaos, z którego żaden mąż stanu wybrnąćby nie potrafił? Prowadziłoby to do rozbicia zupełnego państwa, zwłaszcza przy tak różnobarwnym składzie monarchii i przy tak różnych, czasem przeciwnych zapatrywaniach poszczególnych sejmów krajowych.

Pan Wrotnowski w projekcie reorganizacyi odstępuje od pomysłu pomieszczonego w „Zarysie“ i pragnie z marszałka sejmowego stworzyć szefa gabinetu, a z wydziału krajowego — gabinet ministeryalny. System parlamentarny zatem, zaczerpnięty z Anglii, ma się zagnieździć w Galicyi i usunąć wady płynące z poprzedniego porządku rzeczy. Wyznać muszę, że pomysł p. Wrotnowskiego nasuwa mi dużo wątpliwości, jakkolwiek braki dotychczasowego porządku przedstawia autor często starannie i z dużą dozą publicystycznego wykształcenia. System parlamentarny okazał się zarówno w Anglii, jak i na kontynencie, względnie możliwym i dobrym, gdy służył za podstawę ustroju organów, w całem znaczeniu tego słowa prawodawczych, jak np. parlament Anglii lub Francyi. Inaczej się jednak rzeczy mają, gdy tenże system parlamentarny ma być przeniesiony do organów administracyi, gdzie ludność miejscowa bierze udział nie w prawodawstwie, lecz w administrowaniu zadań samorządu lokalnego, czy prowincyonalnego. Zdaje mi się, że p. Wrotnowski powodował się zbytecznie formami ustroju i opierając się na pewnem podobieństwie i zbliżeniu, identyfikował sejm pro-

wincyonalny galicyjski, będący organem samorządu z sejmami, będącemi organem władzy prawodawczej i dlatego zaprowadzenie systemu parlamentarnego w Galicyi wydało mu się tak łatwem.

Podług teoretyków austryackich wszakże kraje koronne, do których się i Galicya zalicza, są tylko organizmami samorządnemi, posiadającemi pewną, ustawami określoną samodzielność w zakresie prawa administracyjnego [1]). (Die Länder sind als solche Selbstverwaltungskörper für die Kollectivbedürfnisse des Verbandes). Samodzielność ta polega na mocy stanowienia i wykonywania postanowień w zakresie lokalnej administracyi. Aby jednakże organa samorządu mogły stanowić uchwały zgodne z dobrem prowincyi, powiatu lub gminy, otrzymują zasady organizacyjne od państwa, co do pewnego stopnia czyni konstytucyę wyższych organów samorządu zbliżoną do konstytucyi państwowej [2]).

Niewolno jednakże zapominać o tem, że sejmy prowincyonalne, a między niemi i galicyjski, są w konstytucyi samorządu lokalnego organami przeznaczonymi do stanowienia w zakresie prawa administracyjnego. W Mayerhofera dziele p. t. „Handbuch für den politischen Verwaltungsdienst“ (T. 2 str. 85) wyliczono owe „Landesangelegenheiten“, w granicach których sejmy mogą stanowić. Nie tworzą one zbyt szerokiego zakresu w dziedzinie administracyi wewnętrznej i nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że sejmy prowincyonalne są tylko organami samorządu, za pośrednictwem których ludność miejscowa wykonywa pewne zadania administracyi.

Otóż czy uposażenie sejmów prowincyonalnych ustrojem parlamentarnym nie wywrze ujemnego wpływu i czy nie powiększy wadliwości ustroju prowincyonalnego samorządu, to wielkie pytanie, na które w pracy pana Wrotnowskiego nie znajduję zadowalającej odpowiedzi. Ustrój parlamentarny, czyniący gabinet ministeryalny zawisłym od większości parlamentu, okazał się (przynajmniej w Anglii) dobrym dla organów, w całem znaczeniu tego wyrazu politycznych, w których naród wykonywał funkcyę prawodawcy. System parla-

---

[1]) Ulbrich: „Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts“ str. 360.
[2]) Stein: „Handbuch der Verwaltungslehre“ wydanie 2, str. 37.

mentarny okazał się dlatego odpowiednim, że w sferze wielkich interesów politycznych (przedewszystkiem polityka zagraniczna), odpowiedzialność gabinetu sięga poza granicę sumienności, gorliwości i uczciwości, a wymaga nawet trafności i instynktu politycznego od sterowników nawy państwowej.

W zakresie jednak odpowiedniości dróg lokalnych, budowli publicznych, zakładów dobroczynnych i zadań kultury krajowej, wątpić należy, czy instynkt polityczny odgrywać będzie pierwszorzędną rolę i czy z tego stanowiska oceniać będzie można działalność samorządu. Sądzę też, że w obrębie skromniejszych zadań administracyi wewnętrznej, zwracać trzeba głównie uwagę na pracowitość i gorliwość urzędników oraz należy liczyć na to, że z tymi przymiotami wyrobią się na doświadczonych administratorów.

Nadto system parlamentarny nietylko zdaje się być przeznaczonym dla organów politycznych, lecz w dodatku jest obliczonym na państwo, w którem lud dojrzał politycznie i gdzie stronnictwa nie są rozbite na frakcye identyfikujące swój interes z dobrem publicznem. Jedna Anglia uporała się jako tako z tym systemem; Prusy się go zawsze instynktownie obawiały, a inne państwa kontynentalne, które go od Anglii przejęły, nie mogą się z nim oswoić i wspaniała ta szata dokucza im bez przestanku. Jeżeli też pisarz tego pokroju, co Chaudordy (De l'Etat politique de la nation française) uważał system parlamentarny dla Francyi za niewłaściwy i radził, aby trzecia rzeczpospolita przyjęła system konstytucyjny, panujący w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, to przyznać trzeba, że wprowadzenie rzeczonego systemu do Galicyi wydaje się cokolwiek ryzykownem, albowiem proklamowanie społeczeństwa galicyjskiego za więcej dojrzałe politycznie od francuskiego mogłoby gdzieniegdzie obudzić nieufność i wątpliwości.

Jakkolwiek więc p. Wrotnowski mógł nawet wybrednego czytelnika przekonać o tem, że organizacya samorządu galicyjskiego nie jest arcydziełem, to znowu z drugiej strony projekt jego reformy nie ma dostatecznej siły przekonywającej. Pomimo postępu, jaki społeczeństwo galicyjskie w wielu kierunkach uczyniło i pomimo wzrastającego poczucia ofiarności obywatelskiej, jakie się w Galicyi objawia, możnaby się słusznie obawiać, aby system parlamentarny

w zastosowaniu do sejmu prowincyonalnego nie zamienił się w smutną parodyę parlamentaryzmu.

Następnie p. Wrotnowski wyrzeka, że nie wydział krajowy, ale sejm administruje; dalej gani wydział krajowy, że się zamienia w stałą delegacyę tegoż sejmu i jako przestrogę historyczną cytuje dawne sejmy polskie, które chciały rządzić i administrować, nie sprostawszy naturalnie żadnemu z tych zadań. Zdaje się, że autor znowu zapomniał o różnicy, jaka między sejmikami, będącemi organami władzy prawodawczej, zachodzi i teoryę konstytucyjną z jednych zbyt literalnie przeniósł na drugie. Zarzucanie też wydziałowi krajowemu, że się niewłaściwie poczuwa do charakteru delegacyi sejmowej, nie zdaje się być ściśle opartem na prawie obowiązującem austryackiem. Jakkolwiek bowiem nie ulega zaprzeczeniu, że wydział krajowy jest w szczupłym zakresie funkcyj samodzielnym organem administracyi oraz instancyą administracyjną kontrolującą, to z drugiej strony przeznaczeniem jego było „Besorgung gewisser Geschäfte für den Landtag und in dessen Vertretung“, a przedewszystkiem nosił charakter „eines permanenten parlamentarischen Ausschusses des Landtages“ [1]). Pocóż więc czynić tak surowe wyrzuty wydziałowi krajowemu za to, że się uważa za delegacyę sejmu, kiedy prawo obowiązujące go taką delegacyą czyni, nadmieniając wyraźnie, że jest tylko „Vollzugsorgan des Landtages und als solches an dessen Instruktionen gebunden“.

Że sejm galicyjski może w swych instrukcyach ograniczać zbytecznie i niewłaściwie wydział krajowy, jako organ wykonawczy, to być bardzo może. Wszystkie sejmy i sejmiki żywiły stale powyższą dążność, nie wyjmując nawet parlamentu angielskiego. Za co się jednak dostał gorzki przytyk dawnym sejmom polskim, to trudno zrozumieć, albowiem nie przypuszczam ani na chwilę, aby autor, znany z zacnej pracy obywatelskiej, przejmował od Niemców potępiające wykrzykniki w tym rodzaju, jak np. „der polnische Reichstag“ lub „die polnische Wirthschaft“. Wszystkie dawne sejmy, czy to szwedzkie, czy francuskie, hiszpańskie, duńskie lub niderlandzkie, nietylko uchwalały prawa, lecz wdzierały się bezpośrednio do admi-

[1]) Ulbrich, str. 326.

nistracyi. Dlaczegóż więc znamię wspólne, od którego nie był wolnym nawet parlament angielski, czynić hańbiącem piętnem dawnych sejmów polskich? Wady tychże sejmów tkwiły gdzieindziej i skutkiem tych wad sejm walny ani praw uchwalać (liberum veto), ani administrować nie był w możności (sejmiki). Dość już tych zarzutów, które czyni historya prawa państwowego! poco wyszukiwać nowe, od których się żadne zgromadzenie sejmowe uwolnić nie było w stanie.

Muszę rozstać się z rozprawą p. Wrotnowskiego, aby poświęcić uwagę dawniejszemu jego artykułowi, traktującemu o reformie gmin wiejskich. Zaznaczyć tylko winienem na końcu, że jakkolwiek teoretyczne wnioski autora nie wydały mi się dość ścisłemi, ani projekt reformy dość pożytecznym, to jednakże w pracy jego wiele uwag i obserwacyj znajdowało się trafnych, z których prawodawca niewątpliwie może skorzystać. Przedewszystkiem też broszury p. t. „Autonomia Galicyi i jej samorząd“ nie należy uważać za traktat teoretyczny, naukowy, ale za produkt gorliwości obywatelskiej, który inteligencyi galicyjskiej i autorowi bardzo korzystne wystawia świadectwo.

W roku 1887 w Przeglądzie literackim „Kraju“ zamieścił pan Wrotnowski artykuł p. t. „Reformy gmin wiejskich w Galicyi“, w którym porusza jedną z najważniejszych kwestyj reorganizacyi samorządu w Galicyi. Zdaniem p. Wrotnowskiego, należy kraj podzielić na okręgi gminne, obejmujące po 8—10.000 ludności i do ich składu zaliczyć wszystkie wsi i wszystkie obszary dworskie, granicami każdego okregu gminnego objęte. Na czele takiego okręgu stałaby rada gminna, złożona z wójtów gmin dzisiejszych i z reprezentantów wszystkich obszarów dworskich temi granicami zajętych, rada, zbierająca się kilka razy na rok dla załatwienia ważniejszych spraw gminnych. Administracyę zaś gminy, a więc władzę wynikającą z ustroju autonomicznego (własny zakres działania) i wykonywanie zleceń urzędników powiatowych (zakres poruczony) spełniałby wydział, złożony z naczelnika gminy i kilku członków, wybieranych przez pełną radę, z jej łona.

Załatwiwszy się pospiesznie z ustrojem galicyjskiej gminy wiejskiej, podnosi p. Wrotnowski akademickie pytanie: czy ustawodawstwo gminne postąpiło źle lub dobrze, nie włączając obszaru

dworskiego do tej gminy, jaka obecnie istnieje? Przedewszystkiem, zdaniem p. Wrotnowskiego, połączenie takie byłoby bezcelowem, gdyż jeden obszar dworski, razem z jedną wioską, jeszcze nie zdołałby wytworzyć urzędu gminnego, dostatecznie uzdolnionego do sprawowania władzy, stosunkowo rozległej, i cała działalność w zakresie dzisiejszych gmin pozostałoby nadal bez jakiegobądź polepszenia. Nie da się zaprzeczyć, dowodzi w dalszym ciągu p. Wrotnowski, że ten rozdział obszarów dworskich od włościańskich — zły czy dobry, przed ćwierć wiekiem — wpoił jednak w umysły włościan silne poczucie samodzielności, przyuczył ich myśleć i decydować, jak chcą, o swych interesach gminnych a odzwyczaił od przyjmowania i spełniania rozkazów, wychodzących dawniej ze dworu.

Wszelki przeto udział właściciela obszaru dworskiego, chociażby tylko w naradach gminnych, włościanie poczytywaliby niewątpliwie za uszczuplenie dotychczasowych praw, za zmniejszenie służącej im swobody samoistnego decydowania o sprawach wspólnych gminnych, w których właściciel obszaru dworskiego albo własnego interesu nie ma, albo czasami mógłby nawet mieć interes przeciwny. Pokątna agitacya, czyhająca na każdą sposobność zakłócenia spokoju, nie zaniedbałaby i z niej skorzystać, tłómacząc włościanom, że pod władzę właściciela dóbr napowrót wracają. To zaś tłómaczenie mogłoby przez nich być przyjmowane z łatwością, wobec faktycznego wpływu z tej strony, będącego naturalnem następstwem wykształcenia i majątku, a więc stawać się powodem oporu lub zaburzeń.

Obecnie, na przestrzeni całego kraju, między włościanami a właścicielami obszarów dworskich istnieje harmonia, właśnie dlatego, że poczytują się wzajemnie za sąsiadów i z obu stron stosunki sąsiedztwa usiłują uczynić dobremi; do utrzymania zaś tej harmonii pomaga niemało fakt, przed oczami włościan przez właścicieli obszarów dworskich codziennie spełniany, udział mianowicie, jaki biorą w ponoszeniu ciężarów gminnych, takich nawet, z których rzadko odpowiedni ciągną pożytek. Płacą oni bowiem na równi z włościanami dodatki do podatków, nietylko na pokrywanie wydatków kraju i powiatu, nietylko na utrzymywanie dróg, kościołów i budynków

parafialnych, ale uiszczają także składki na utrzymywanie szkoły ludowej, na koszta budowy tejże szkoły i t. p.

Rozdział między obszarami dworskiemi a dzisiejszemi gminami, wytwarzając stosunki zwykłego sąsiedztwa, utrzymanie wzajemnej harmonii czyni łatwem. Połączenie, przeistaczając to sąsiedztwo na przymusowe małżeństwo, byłoby źródłem licznych niesnasków, nie uniknionych w każdem takiem małżeństwie. Orzeczenie przeto Zjazdu prawników i ekonomistów w tym przedmiocie nie mogłoby znaleźć posłuchu, w razie gdyby nawet do dzisiejszych gmin wiejskich miało być odnoszonem. Rzecz bowiem niewątpliwa, że żaden mąż stanu nie zechciałby przyłożyć ręki do dzieła, grożącego zakłóceniem harmonii społecznej.

Nie będę się wcale zatrzymywał nad projektem uorganizowania gminy zbiorowej przez pana Wrotnowskiego, albowiem jest on nietylko dowolnym, ale nawet samowolnym szkicem, niewymotywowanym ani terytoryalnemi, ani populacyonistycznemi względami. Wobec takiego szerokiego a ogólnikowego zarysu musi pozostać na uboczu wiele pytań i wątpliwości a między innemi i to: dlaczego gmina zbiorowa w Galicyi ma liczyć aż 8—10.000 ludności, kiedy w Królestwie Polskiem funkcyonują lepiej niż kiedykolwiek w Galicyi organa gmin, liczących zaledwie od 2—3000 ludności. Tą lekką formacyą gminy zbiorowej, która przynajmniej autorowi dużo kłopotu nie sprawiła, zajmować się nie będę a tylko na zakończenie zwrócę uwagę na rozdział obszarów dworskich od gminnych, służący za podstawę ustawie dla gmin wiejskich w Galicyi. Wprawdzie to tylko akademicka kwestya, ale odgrywała ona i odgrywa w Galicyi po dziśdzień pierwszorzędną rolę; warto zatem przyjrzeć się jej jeszcze raz ze stanowiska naukowego a nie wyłącznie z punktu widzenia praktyki galicyjskiej.

Po uwłaszczeniu włościan, a więc przeważnie w drugiej połowie XIX wieku, gdy państwo konstytucyjne potrzebowało nieodzownie pomocy organów samorządu, spotykamy się prawie wszędzie z gminą, przypominającą dawny porządek rzeczy. Wytłomaczyć sobie można zjawisko powyższe w ten sposób, że uwłaszczenie włościan czyniło wprawdzie samorząd gminny niezbędnym, lecz wywołało wszędzie pewne rozdrażnienie między klasami społecznemi. Von der

Goltz w cennej rozprawie „Die ländliche Arbeiterfrage“ świadczy, że nawet w państwach niemieckich, gdzie starano się uwłaszczenie oprzeć na zasadach ścisłej sprawiedliwości, nie obyło się bez pewnych nieporozumień. W Królestwie Polskiem, jak świadczy Milutyn, reformy spowodowane były bezpośrednio rozruchami między ludnością wiejską [1]), a Cesarstwo rosyjskie nie uniknęło również podobnych objawów [2]).

Nic więc dziwnego, że wobec takiego usposobienia ludności wiejskiej, prawodawca zawahał się, gdy przyszła stanowcza chwila zreformowania gminy odpowiednio do potrzeb państwa konstytucyjnego. Zdawało się, że w zjednoczeniu dawnych większych i uprzywilejowanych właścicieli z włościanami, można widzieć zapowiedź nieustającej rozterki, która wszelkim obliczeniom teoretyków kłam zada. Zachowano więc w wielu krajach rozdział dawnych dominiów od obszarów włościańskich i każdą z tych połów uczyniono imitacyą organu samorządu, imitacyą powtarzam, albowiem żadna z nich nie posiadała dość materyalnej i duchowej siły, aby w możliwy sposób spełniać zadania publiczne.

Zachowując jednakże gminie dawną podstawę terytoryalną, rozdzieloną na dwie części i skazując przez to samorząd gminny na najnędzniejszą wegetacyę, prawodawca istotnie rozpoczął budowę gmachu konstytucyjnego od dachu, nie zwracając uwagi na tę prostą i zwykłą prawdę, że „dans la vie ordinaire un homme, qui voudrait bâtir le toit de sa maison avant les fondations passerait pour fou“ [3]).

Przekonano się też wkrótce, że podobny ustrój gminy jest najjaskrawszą sprzecznością w konstytucyi państwa nowożytnego, sprzecznością, którą zachowano dzięki aprioristycznej obawie rozruchów socyalnych. Jakim sposobem bowiem oczekiwano po konstytucyach, że wytworzą we wszystkich klasach społecznych poczucie jedności politycznej i wskrzeszą ducha obywatelskiego, gdy organ, powołujący do służby publicznej masy całe, t. j. gmina, niszczyła w zaro-

[1]) Izsliedowanje w Carstwie Polskom. T. I, str. 27.

[2]) Iwaniukow: „Padienje kriepostnawo prawa w Rossii“. Str. 9.

[3]) Les libertés communales et monsieur le comte de Paris. La réforme sociale. I Stycz. 1889, str. 49.

dzie samym tę jedność i zachowywała najtroskliwiej poczucie odrębności dawnej a tem samem i dawnych niechęci. Coby teoretycy i mężowie stanu powiedzieli dzisiaj na to, gdyby chciano okręgi lub wyższe organa samorządu lokalnego rozdzielić na włościańskie i dawne szlacheckie i gdyby instytucyom publicznym, w prawie państwowem czerpiącym istnienie i ustrój, chciano wciskać piętno socyalne, w jakie przystrojono gminę. Gmina w tym kształcie, jaki jej pozostawiono, musiała rozstrajać i rozpraszać to, co do ładu i jedności doprowadziła konstytucya państwowa. Jedność polityczna, poczucie obywatelstwa, zgoda społeczna, zrozumienie swobód szerszych, wyrabia się tylko we spólnej, codziennej pracy publicznej wszystkich klas i tylko taką zjednoczoną i jednoczącą gminę nazwał Tocqueville szkołą swobód politycznych, a nazwał ją, mając wzory północnoamerykańskie a nie galicyjskie przed oczami.

Czy rozdział ustroju gminnego podług klas społecznych może się gdziekolwiek poszczycić rezultatem dodatnim? — nie sądzę. We wschodnich prowincyach Prus wywołały odrębne obszary dworskie (Gutsbezirk) tylko narzekania i kwestya reformy ustroju gminnego jest na porządku dziennym [1]). W Cesarstwie rosyjskiem podniosły się przeciwko rozdziałowi samorządu poważne głosy, dowodzące, że bez udziału inteligencyi w sprawach gminnych, samorząd lokalny musi uledz korupcyi a dwoistość w organizacyi gminnej pociągnie za sobą jak najgorsze następstwa [2]). Tymczasem tam, gdzie zniesiono rozdział ustroju gminnego, jak np. w Królestwie Polskiem w roku 1864, obawy socyalnych rozterek okazały się płonnemi i jak słusznie zauważył Spasowicz, antagonizm między dawnymi panami a włościanami znikł do tego stopnia, że ci ostatni wybierali pierwszych chętnie na urzędy gminne [3]). Dziś też wśród teoretyków jedno panuje zdanie, że ażeby gmina mogła się stać podstawą życia konstytucyjnego, musi przejąć zasady kardynalne prawa państwowego w swym ustroju, a otrząsnąć się z dawnych feodalnych pleśni. Jeżeli

---

[1]) Die Reform der Landgemeinendeordnung in den östlichen Provinzen. National Ztg 20 lipca 1888.

[2]) Gołowin: „Nasze miestnoje uprawlenje i miestnoje priedstawitielstwo". Str. 10.

[3]) „O gminach i gminnych sudach w Carstwie Polskom", str. 585.

państwo przeistoczyło się i wyswobodziło od rozdziałów stanowych, to i na gminę przyszedł już czas ostatni. Swobody polityczne staną się rzeczą niemożliwą, jeżeli tylko państwo do nich będzie lud przygotowywać. Podług doktryny zatem konstytucyjnej musi być „la Commune libre dans l'Etat libre“ i gmina winna być przedewszystkiem elementarną szkołą w życiu publicznem.

Co się tyczy rozdziału ustroju gminnego, panującego w Galicyi, to był on echem systemu „divide et impera“ i zarazem wyznaniem zasad następnych: „niech bogatszy nie bierze udziału w ciężarach gminnych z ubogim, niech mądry nie obdziela światłem swego rozumu niedoświadczonych, niech pan nie łączy się z gromadą“ [1]). Ustawa gminna galicyjska z 1866 r. była wybornym azylem dla tego rodzaju haseł, jak „naj my budem sobi osobno“ lub „pan sobie, chłop sobie“ [2]), a co tego rodzaju zasady znaczyły dla samorządu i porządku konstytucyjnego, tego powtarzać nie będę, przypominając tylko, że je hr. Adam Potocki wybornie scharakteryzował jako owoc rzezi galicyjskiej.

Co w rzeczywistości przyniósł rozdział gminny dla Galicyi? Pan Wrotnowski twierdzi, że stosunki sąsiedzkie włościan z panami są wyborne, a więc i wpływ zły rozdziału był niejako przesadzonym. Żałuję bardzo, że na punkt obserwacyi zarówno jak i na wyniki obserwacyjne zasadniczo zgodzić się nie mogę. Przedewszystkiem samorząd gminny nie jest instytucyą prywatną dla kształcenia włodarzy, ekonomów i sąsiadów na wsi, lecz organizmem administrującym zadania publiczne, związane specyalnie z interesem miejscowym. Celem pierwszym i elementarnym samorządu jest kształcić i urabiać obywatela a nie sąsiada. Jakich zaś obywateli wykształciła ustawa z 1866 r., na to odpowiada cenna praca dra Kleczyńskiego p. t. „Życie gminne w Galicyi“, której nieprzepartej siły dowodowej, spoczywającej w mozolnie zebranych cyfrach, nie obalą zapewnienia p. Wrotnowskiego o dobrych sąsiedzkich stosunkach.

Na jedną tylko uwagę pana Wrotnowskiego zgodzić się mogę, t. j. na to, że połączenie obszaru włościańskiego z dworskim nie

---

[1]) Lewicki: „Samorząd gminny w Galicyi“, str. 17.
[2]) Tamże str. 30, 46.

byłoby jeszcze wytworzyło żywotnej gminy. Byłaby ona zawsze jeszcze za małą. Zyskanoby jednak odrazu odpowiednią podstawę, którą rozszerzyć przyszłoby łatwo. „Zbliżonoby i zjednoczono to, co siłą i podstępem zostało rozbite i rozdzielone“ (słowa Adama Potockiego), a zasileniem gmin elementami wykształconemi uwolnionoby samorząd galicyjski od zastoju i korupcyi, które na kraj rzucają nieeuropejskie światło. Najpoważniejsze zdania w Galicyi były też od dawna za zniesieniem rozdziału. Jedni za przymusowym a książę Sanguszko „za wolnym wyborem połączenia“ [1]) — nikt jednak prawdopodobnie nie uczuł się zadowolonym z dotychczasowego rezultatu samorządu gminnego. Dobre też sąsiedzkie stosunki są określeniem nieznanem w prawie administracyjnem, a chcąc zreformować gminę, trzeba przedewszystkiem zbadać to, czego od niej wymaga państwo konstytucyjne, wskazówki zaś dokładne po temu znajdują się w nauce administracyi.

---

[1]) „O gminie zbiorowej“ str. 13.

11.

Projekta reformy konstytucyi francuskiej [1]).

(Chaudordy „La France à la suite de la guerre de 1870—71“. 1887. — „De l'état politique de la nation française“ 1888. — Lavelaye: „La réforme du régime parlementaire“ 1888. — Du Petit-Thouares: „L'Etat et l'Eglise. Esquisse d'une separation liberale“. 1887).

Obserwując rozwój systemu konstytucyjnego w Europie, trudno nie przyznać słuszności słowom Altenstéina, utrzymującego, że: „jede Grundverfassung ist das Resultat menschlicher Handlungen aber zugleich die Erfüllung eines Gesetzes des Weltplans“ [2]). Istotnie bowiem żadna konstytucya nie może się uwolnić od wpływu społeczeństwa, od naturalnych warunków, wytwarzających do pewnego stopnia żelazne prawo przyrody. Tymczasem zmysł polityczny człowieka walczy z tytanicznem wysileniem, aby społeczną treść za pośrednictwem organizacyi państwowej uszlachetnić. Zmysł powyższy nie poddaje się bynajmniej warunkom naturalnym, lecz pragnie społeczne przywary ujarzmić, rozstrzelone siły skupić w jedność polityczną, a rozbujałą prywatę stłumić poczuciem dobra publicznego i obowiązku obywatelskiego poświęcenia się. Dlatego też konstytucyę państwową można uważać za rezultat ścierania się odwiecznych praw utajonych w naturze społeczeństwa, z polityczną działalnością człowieka. Rozwój konstytucyi — to całe dzieje inteligentnej pracy, bohaterskich wysileń, aby z rozkładowych żywiołów, na które się

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1890.

[2]) Ranke: „Hardenberg und die Geschichte des Preussischen Staates“. T. 3. str. 59.

składa egoizm społeczny, stworzyć jednolity organizm, który myśli i działa w imię ogólnego dobra.

Wynalezienie wszakże odpowiedniej formy konstytucyjnej, któraby naporowi społecznemu się nie poddawała, lecz rozwijała w społeczeństwie dojrzałość polityczną, nie jest rzeczą łatwą. Starożytni zdolność stwarzania i organizowania państwa zaliczali do przymiotów boskich, przez co chcieli wyrazić trud niezmierny, jaki oczekuje męża stanu, jeżeli zdąża do powyższego celu. Istotnie też, działalność ludzka zaznacza się w rozwoju konstytucyjnym powoli, lecz wytrwale. Najczęściej błędy popełnione oświecają drogę reformatorom, wskazując, w jakim kierunku postępować należy. Jakaś teorya zwodnicza, pociągająca prawdopodobieństwem przypuszczeń, jakaś zasada abstrakcyjna, usuwająca na bok historyę i naturę społeczną, wcieliwszy się w instytucye polityczne, obdarzają naród cały bolesnem doświadczeniem i nakazują nową pracę nad udoskonaleniem gmachu konstytucyjnego.

Ze wszystkich krajów stałego lądu Europy, niewątpliwie najwięcej interesu naukowego budzi polityczna praca francuskich mężów stanu, oraz statystów. Gmach konstytucyjny wzniósł się bowiem w końcu zeszłego wieku na waśni społecznej, dzielącej Francyę na dwa prawie narody, z których jeden nazwano starym, a drugi nowym. Zjednoczenie Francyi, jej niepodzielność i zcentralizowanie pod względem prawodawczym i administracyjnym, dosięgły wysokiego stopnia, wyższego nawet niż za czasów dawnego monarchizmu, lecz organizm państwowy przejmował ze społeczeństwa, pogrążonego w rozterce, krew zakażoną.

Nie będę przypominał, ile to rozczarowań przyniosły Francyi teorye konstytucyjne, począwszy od wielkiej rewolucyi. Dość powiedzieć, że gmachy państwowe, wzniesione na podstawie subtelności logicznych i analogij matematyczno-geometrycznych, zapadały się jedne po drugich, a skutkiem zbyt licznych zawodów, społeczeństwo francuskie poczęło ogarniać zniechęcenie i apatya, to jest owe złowróżbne uczucia, będące zwiastunami awanturników politycznych i ogólnej skłonności do szukania ratunku na drodze ciemnej, lecz nadzwyczajnej.

Dzieje wytężonej pracy w celu pojednania rozdzielonego spo-

łeczeństwa francuskiego w gmachu konstytucyjnym, przedstawił Duvergier de Hauranne w klasycznem dziele p. t.: „Histoire de gouvernement parlamentaire en France“. Po roku wszakże 1870, t. j. po nieszczęsnej wojnie z Niemcami, Francya przeszła nową epokę doświadczeń i podjąć musiała świeżą, a niezmiernie trudną pracę, w celu wytworzenia gmachu konstytucyjnego. Jak wiadomo powszechnie, poniesione na polach bitew klęski zadały cios legendzie napoleońskiej. Tron, wsparty na powodzeniu bojowem, runął, i Francya rozstrzygnąć musiała kwestyę: jaką formę nadać konstytucyi państwowej. I musiała to rozstrzygnąć w chwili, gdy boleść narodowa pozbawiła organa reprezentacyjne spokoju i rozwagi, a hydra niezgody zuchwale podniosła głowę.

Na domiar złego, wszystkie formy monarchiczne we Francyi zniszczyły wiarę społeczną w ich żywotność i zdolność zapewnienia krajowi szczęścia. Monarchia legitymistyczna, na równi z emigracyą, niczego się nie nauczyła i o niczem nie zapomniała. Orleani zaś skompromitowali brakiem wszelkiej etyki ugodę monarchii z rewolucyą. Imperyalizm znowu socyalistyczny, schlebiający robotnikom, a straszący klasy wyższe krwawem widmem, stracił pod Sedanem urok, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na długo, a jeszcze dodać należy, że wszystkie odcienie monarchizmu, nietylko w łonie własnem zawierały elementa rozkładu, lecz w dodatku zwalczały się wzajemnie, z niezwykłą zaciętością. Ktokolwiek więc zawładnąłby tronem Francyi, ujrzałby natychmiast reprezentantów innych odcieni monarchizmu w szeregu swych nieprzejednanych wrogów, walczących w imię dewizy: „Ote toi pour que je m'y mette“.

Wobec takiego położenia, forma republikańska wydawała się koniecznością polityczną we Francyi, pomimo, że naturze społeczeństwa zdawała się więcej odpowiadać forma monarchiczna. Rzeczpospolita przynajmniej mogła stanąć otworem dla wszystkich ludzi dobrej woli, mogła ścisłym wymiarem sprawiedliwości, oraz przyzwyczajeniem do samorządu, zatrzeć dawny rozdział i wytworzyć łącznik między starą a młodą Francyą. Przyznać jednak trzeba, że przyjmując formę republikańską, wbrew usposobieniu i tradycyom narodu i wbrew dojrzałości politycznej mas, które nie stały na odpowiedniej wyżynie, Francya podejmowała zadanie niezmiernie trudne,

a dla nauki polityki bardzo ciekawe i ważne. Teraz bowiem dopiero rozpocząć się musiała olbrzymia walka rozumu politycznego z naturą społeczeństwa, teraz dopiero ukazał się w całym majestacie cel konstytucyi republikańskiej, t. j. zjednoczenie społeczeństwa w codziennej publicznej pracy i stworzenie na miejscu dwóch walczących, jednej, zgodnej i pracującej dla cywilizacyi, Francyi.

Zgromadzenie narodowe, powołane do tak ciężkiego zadania, posiadało jednak mało niezbędnych politycznych przymiotów, a nadewszystko pozbawione zostało spokoju i poczucia zgody, wobec ogromu nieszczęścia, jakie spadło na kraj cały. Klęski wywołały z konieczności wewnętrzną rozterkę, a zawiści stronnicze ocknęły się zbyt szybko, owładnąwszy wyborami, dzięki którym zjawiły się w zgromadzeniu narodowem. Wszystkie dawniejsze przywary zostały spotęgowane w chwili, gdy organ reprezentacyjny potrzebował wysokiej równowagi ducha, a jeszcze większej miłości kraju, aby Francyę uratować z nieuchronnej toni. Sorel w swej pięknej pracy p. t.: „La guere diplomatique franco-allemande“ skreślił wyraziście wszelkie trudności, z jakiemi spotykało się zgromadzenie narodowe. Ribert zaś, widząc z jak chwiejnych materyałów zlepioną została przypadkowa większość tego zgromadzenia, nie omieszkał je nazwać: „l'assemblée la plus inconsistante peut-être qu'on ait jamais vue“ [1]).

Pomimo jednak licznego szeregu wad, wytkniętych umiejętnie przez Ribert'a i pomimo otwartego wyznania tegoż statysty, że konstytucya z 1875 r. „malgré le titre de rèpublique n'est pas faite pour nous inspirer, à nous républicains, le moindre enthousiasme“ [2]). Przychodzi jednak Ribert do przekonania, że „telle qu'elle est pourtant, avec tous les vices dont elle peut paraître entachée, la Constitution de 1875 a un mérite capital, celui d'exister. Elle est le fait devenue le droit“ (str. 2).

Dopóki też stronnictwo republikańskie jednoczyło się około Gambetty i wytwarzało poważniejszą większość w parlamencie, wady konstytucyjne nie występowały zbyt jaskrawo i nie przejmowały śmiertelnym dreszczem serc, żywiących miłość dla Francyi. Zgon

---

[1]) „Esprit de la constitution du 25 Fév.“ 1875, str. II.
[2]) Esprit, str. II.

jednak tego charakterystycznego męża, wywołał rozbicie się stronnictw na egoistyczne, a w pojęciach ciasne frakcye. Frakcye zaś uniemożliwiły stałą większość, podkopały silną egzekutywę i zakaziły najkompletniej parlamentaryzm francuski. Pochyłości jednak przeistoczyły się nagle w przepaść, gdy lat temu dwa, a najwyżej trzy, obok parlamentu zaczęła wyrastać w Paryżu niewidzialną ręką kierowana równie tajemnicza potęga, zwana ulicą. Ulica składała się z odpadków i wyrzutków wszystkich klas społecznych, a jej gwiazdą przewodnią była awantura, wiodąca do nieznanej i dlatego nęcącej zmysły przyszłości. Nowa ta demoniczna potęga, znana w czasach wielkiej rewolucyi, w dobie największego teroryzmu, żywiła nieprzejednaną nienawiść do systemu reprezentacyi i obrzucała szyderstwem a nawet jawną pogardą parlament rzeczypospolitej.

Ponieważ popularność mas, zdobyć najłatwiej było wyszukaniem opatrznościowego mściciela krzywd narodowych, noszącego zawodowy pałasz przy boku, zwany zwykle górnolotnie „mieczem Francyi“, przeto ulica stworzyła sobie ciekawą kreaturę „sui generis“ w osobie generała Boulanger'a dawniejszego ministra wojny, którego legenda uliczna zaczęła skwapliwie przerabiać na nowe wydanie wielkiego Bonapartego. Przeszłość tego zwiastuna wojny zdradzała co najwyżej przeciętnego porte-sabre, lub dosadniej wyrażając się: rębacza (Haudegen), lecz pozowanie na opatrznościowego męża i spekulowanie na najniższe instynkta mas, przekonały, że ulica znalazła godnego awanturnika, nieodrodną krew z krwi własnej.

Parlamentaryzm trzeciej republiki nie przedstawiał dostatecznej zapory przeciw podziemnej i otwartej konspiracyi Boulanger'a, a cały gmach konstytucyjny zdawał się być w posadach wzruszonym. Masa społeczeństwa przyglądała się wybrykom ulicy z obojętnością, a awanturnikowi, komicznemu w swej ograniczoności, z apatycznym smutkiem. Hydra nienawiści podniosła jednak głowę w tych frakcyach, które oddawna czyhały na spuściznę po rzeczypospolitej i nawet reprezentanci monarchizmu wszelkich odcieni nie omieszkali wchodzić w pertraktacye z nowym opatrznościowym samozwańcem.

Wobec tak smutnego położenia, obniżającego znaczenie Francyi w koncercie europejskim, musiała nastąpić w umysłach głębszych, politycznych, chwila rozwagi i zastanowienia nad tem: czy konsty-

tucya z 1875 r. jest odpowiednią i czy system parlamentarny, służący jej za podstawę, nie jest przyczyną zobojętnienia narodowego dla instytucyj republikańskich. Już w roku 1872 jeden z najpopularniejszych statystów, Laboulaye, przyznając, że Francya powinna mieć przedewszystkiem „gouvernement de la nation par la nation, et pour la nation“, dowodził jednocześnie, że system jednoizbowej reprezentacyi grozi wielkiemi niebezpieczeństwy. „La mer n'est ni plus orageuse, ni plus perfide, qu'une assemblée unique surtout quand cette assemblée est nombreuse“ [1]). Nadto już dawniejsi statyści francuscy ostrzegali przed systemem jednoizbowym. Clermont-Tonnere twierdził, że „une seuee chambre sera eternellement despote ou esclave“, a Boissy d'Anglas nazywał jedną izbę: „l'empire du brigandage et de la terreur“ [2]).

Konstytucya z 1875 r. wsparła się więc na systemie dwuizbowym, lecz pomimo to, że senat rzeczypospolitej zgromadził w swem łonie arystokracyę demokratyczną w pojęciu Cieszkowskiego, t. j. uosabiającą „hérédité selon l'esprit et non selon la chair“ [3]), parlamentaryzm doprowadzał rzeczpospolitą do kompletnego moralnego bankructwa. Kapryśna i żadnym programem nieujęta większość parlamentarna, przesuwające się i znikające jak w kalejdoskopie ministerya, dezorganizacya zarządu, spowodowana gospodarką egoistyczną frakcyi, marnotrawstwo finansowe, powierzchowność reform wojskowych, a przedewszystkiem brak etyki w życiu publicznem i redukowanie swych obowiązków do czczego formalizmu, obrachowanego na osobistą karyerę — wszystko to przestraszyć mogło te serca, które żywo biły dla Francyi. Nic więc dziwnego, że głębsze umysły poczęły się zastanawiać nad konstytucyą republikańską i pragnęły życiu publicznemu nadać więcej stałości.

Pierwszym statystą, któremu uwagę poświęcę, jest Chaudordy, członek starej szlachty francuskiej i w służbie dyplomatycznej wytrawny a zasłużony. Dwie prace poświęcił Chaudordy stanowi obecnemu Francyi i w obu wystąpił z programem reformy konstytucyi republikańskiej. Pierwsza książka: „La France à la suite de la

[1]) „Questions constitutionnelles“. Str. 20 i 338.
[2]) „Questions constitutionnelles“. Str. 352.
[3]) „De la pairie et de l'aristocratie moderne“. Str. 129.

guerre de 1870—1871“, wyszła w r. 1887 i zawiera ciekawy rzut oka na stan socyalny dzisiejszej Francyi. Ponieważ reformy są potrzebami socyalnemi wymotywowane, przeto pozwolę sobie główniejsze myśli Chaudordy'ego przytoczyć. Autorowi nie uszło uwagi, że społeczeństwo francuskie od 1789 r. uległo olbrzymiemu rozbiciu i rozproszeniu się. Dawna quasi-nieruchomość starych rządów przeistoczyła się, dzięki podmuchom demokracyi, w nieustającą zmienność. Interes indywidualny, w dzisiejszych czasach, tracił często z oka dobro kraju, lecz za to poczucie dobroczynności przechowało się nieskażone.

Profesye liberalne we Francyi okazują niezwykłą energię i zdolności w zawodowej pracy, lecz później nabywają ambicyj politycznych, które państwu małe korzyści przynoszą. Kraj na niedoświadczonych usługach nic nie zyskuje, gdy tymczasem wysokie magistratury, korporacye naukowe, tracą dużo, pozbawiając się doświadczonych sił, które z chwałą dla nauki lub z pożytkiem dla administracyi pracowały. Wielcy właściciele ziemscy bardzo mało zajmują się lokalnym patronatem, który natura stosunków im powierzyła. Niewątpliwie przyjemniej jest podróżować i pobierając czynsz dzierżawny, przebywać w wielkich miastach, nie ambarasując się ani sprawami włościan, ani samorządem lokalnym. Tylko nie należy się w takim razie uskarżać na rozwój ducha rewolucyjnego na wsi. Z tem wszystkiem bowiem taż sama wieś jest najwdzięczniejszem polem dla działalności konserwatywnej i tam może ona przynieść jak najlepsze rezultaty.

Co się tyczy włościan, to ci, uprawiając w pocie czoła ziemię, żywią ślepe przywiązanie do pewnych zdobyczy wielkiej rewolucyi. Klasę powyższą trudno jest określić i scharakteryzować, z powodu sprzeczności, jakie w sobie zawiera, a jednak przyznać trzeba, że ta klasa, a nie inna, rozstrzygać będzie o przyszłych losach kraju ilością swych wotów. Włościanin jest produktem wczorajszym. Stworzył go rok 1789, dając mu równość prawa, a uporczywa praca dając mu własność. Nikt go jednak dostatecznie nie wychował, nie wykształcił i nie wyrobił; stąd widnieje w nim jednocześnie uczucie zadowolenia i zawiści, zmysł rewolucyjny i konserwatywny, stąd powstaje pragnienie lepszego bytu i serwilizm dla rutyny. Każdy,

kto niepokoi jego prawo własności, staje się dlań nieprzejednanym wrogiem i z tą właściwością powinni się liczyć mężowie stanu, oszczędzając drażliwość włościańską w powyższym kierunku. Od lat sześćdziesięciu Francya znakomicie się wzbogaciła, lecz najbardziej w niej wzbogacili się włościanie. Niewątpliwie wśród tej klasy uczucie religii i patryotyzmu zostało zaćmionem, lecz niepodobieństwem jest, aby ludność tak pracowita i uposażona, w tyle dodatnich przymiotów, nie potrafiła stworzyć normalnych rządów we Francyi. W każdym razie tego się po niej spodziewać należy.

W społeczeństwie francuskiem, zdaniem autora, dają się zauważyć dwa objawy, dominujące nad innemi, a mianowicie: wzmagający się rozwój namiętności demokratycznych i postęp ciągły interesów materyalnych. Stan ekonomiczny był przez pewien czas olśniewającym, lecz doniosłość jego moralna była ujemną. Pragnienie używania zabija poczucie obowiązku i poświęcenia. Poco się obarczać troską o dobro publiczne, krajem, naukami lub sztuką, kiedy tak wygodnie zapomnieć o wszystkiem? W wyższych też klasach obojętność poczęła zastępować wiarę, spekulacya pracę, a wyczerpane zdolności siły i gust, fizyczne i moralne zdrowie. Ideałem mas było zwalenie wszelkich obowiązków i ciężarów na barki klas posiadających, a zachowanie dla siebie wszelkich beneficyów. I pomyśleć sobie, że w pewnej chwili głosowanie powszechne może doprowadzić do podobnych doktryn, które urzeczywistnią się jedynie na gruzach porządku społecznego!

Dwa prądy, przejmujące nawskróś społeczeństwo francuskie, t. j. prąd demokratyczny i materyalistyczny, są jeszcze wypaczone szczególnym faktem nadzwyczajnej przewagi miasta Paryża. Paryż stał się w całem znaczeniu tego słowa, sercem i mózgiem Francyi, a historya przekonywa, że państwa, które się dawały absorbować przez wielkie miasto, upadały razem z niem. Przedewszystkiem nie należy zapominać o tem, że Paryż jest blisko granicy i że pierwsza batalia musi być stoczoną prawie pod jego murami, a w razie jej przegrania, stolica kraju zostaje oblężoną przez nieprzyjaciela. W Paryżu wszyscy marzą o tem, jak rządzić światem idei, a zapominają, że Francya ma granice i to niestety granice więcej ścieśnione.

Niedawno jeszcze urzędnik francuski, pomimo następujących

po sobie rewolucyj, którym się przypatrywał, pozostał prawdziwym wzorem w swoim rodzaju. Lecz wszystko się zmieniło na złe. Usunięto bowiem starych urzędników i dziś znikły z dziedziny administracyi elementa solidne, czynne, energiczne, stanowiące istotną siłę rządu po każdej rewolucyi. Rządzący nie pojmowali, że przez zmianę personalu urzędniczego pomnażają tylko opozycyę, która zyskuje ludzi pełnych wartości i zdolnych do służenia sprawie publicznej. Również dodatnim rezultatem nie mogą się poszczycić napaści na duchowieństwo. Jeżeli jeszcze nieszczególny pomysł zniesienia konkordatu się urzeczywistni, wówczas duchowieństwo nie będzie skrępowane niczem wobec państwa i pocznie brać udział w walkach politycznych. Wogóle dążność do zapewnienia we wszystkiem przewagi żywiołowi świeckiemu, poczętą jest w obłudnej nienawiści, a nie w nieodzownej potrzebie.

W drugim rozdziale Chaudordy przedstawia wyraziście stronnictwa polityczne Francyi. Zdawałoby się, twierdzi autor, że po śmierci Napoleona III, księcia cesarskiego, Thiersa, Gambetty i hr. Chamborda, położenie się uprościło i dawny rozdział się zmniejszył. Tymczasem nic się nie zmieniło na lepsze. Legitymizm pozyskał nowego przywódcę w hrabim Paryża, uosabiającym kompromis legitymizmu z rewolucyą. Napoleoński cezaryzm, niezgodny w swem łonie, uosabiał w dalszym ciągu pojednanie się imperyalizmu z radykalizmem, a republikanie, swoją drogą, posiadają własną prawicę, centrum, lewicę i skrajną lewicę. Do szeregu republikanów z zasady i przekonania, przybyło wielu republikanów z rozumu, przekonanych wpływem Thiersa. Dla tych ostatnich jedynie rząd republikański miał pewne warunki trwałości i dlatego należało go popierać. Lewice uważały znowu rzeczpospolitą za dogmat, istniejący na mocy odwróconego „jus divinum“, i z tego punktu widzenia rozstrzygały wszelkie wątpliwości.

Wśród masy ludu znajdują się jeszcze liczni zwolennicy socyalizmu, który samodzielnie walczy z podwalinami porządku społecznego. Przedewszystkiem pragnąc ciału dać uciechy zmysłowe, socyaliści walczą z chrześcijanizmem na wszystkich polach. Teorye ich podkopują w pierwszym rzędzie miłość kraju, gdy tymczasem religia chrześcijańska potęguje rzeczone uczucie w wysokim stopniu.

Czyż więc nie należałoby w trudnych chwilach przesilenia podtrzymywać religię podnoszącą ducha? W każdym razie wychowywanie mas bez opieki religijnej byłoby krokiem niesłychanie ryzykownym.

Poniżej socyalistów, mających sformułowany program, niema już stronnictw politycznych, tylko znajdują się grupy, noszące nazwy komunistów, blanquistów, anarchistów i t. p. Istnieje wprawdzie jeszcze jedno stronnictwo oportunistów, stworzone przez Gambettę, a dążące do tego, ażeby około sztandaru rzeczypospolitej zgromadzić wszystkich ludzi dobrej woli. Po śmierci Gambetty stronnictwo powyższe przestało się kierować prawami rozsądku politycznego i mimo chwilowego powodzenia, upadło. Największym błędem oportunistów była niewątpliwie polityka kolonialna.

Po bardzo zajmującym, choć treściwym zarysie socyalno-politycznym Francyi dzisiejszej, Chaudordy oświadcza, że rząd obecny, tak jak jest zorganizowany, nie odpowiada niezbędnym potrzebom narodu, pragnącego żyć. Zmiany nieustanne ministrów, usunięcie na podrzędny plan prezydenta rzeczypospolitej i wygórowany wpływ parlamentu — oto są najkardynalniejsze wady systemu. Rozpatrzywszy się w położeniu ogólnem Europy, trzeba przyznać, iż Francya otoczona potęgami militarnemi i straciwszy granice, potrzebuje dla zachowania reszty władzy — sprzymierzeńców, a co najmniej, przyjaciół. W tem położeniu forma monarchiczna byłaby najodpowiedniejszą dla Francyi, lecz niestety, nie utrzymałaby się długo, ze względu na istnienie bonapartystów i na usposobienie demokratyczne kraju. Trzeba więc z konieczności pomyśleć o innych reformach, które więcej trwałości obiecują w przyszłości.

Nasamprzód Chaudordy zwraca uwagę na brak równości dający się uczuć w przeprowadzeniu zasady głosowania powszechnego. Żołnierze np., pozostający na służbie, pozbawieni są prawa głosowania, gdy tymczasem żołnierze, znajdujący się na urlopie, używają w pełni wyborczego przywileju. Zapobiedz jednak tej niesprawiedliwości łatwo, postanawiając, że prawo wotowania przysługuje obywatelom od 24-go lub 25-go roku życia.

Dalej, trudno nie dostrzedz, że izba deputowanych jest zbyt liczną i z tego powodu staje się wielkim ciężazem w kongresie, albowiem liczba senatorów jest mniejszą. Zdaje się, że cyfra depu-

towanych nie powinna być większa nad 500, a prace izby z pewnością szłyby lepiej i łatwiej. Wybór senatorów przez gminy, czyli ich reprezentantów, był w zasadzie pomysłem szczęśliwym. Prawo obowiązujące wszakże wykoszlawiło ten pomysł. Trzeba nieodzownie, aby wszyscy członkowie rad municypalnych byli wyborcami senatorów.

Ponad dwoma czynnikami parlamentu należy jednak stworzyć władzę najwyższą, silną i niepodległą. Władza powyższa winna być wybraną z pozostawieniem namiętności i interesów prywatnych na stronie, jedynie ze względu na dobro publiczne. Władza ta również musi mieć zorganizowaną odpowiednio administracyę, nieprzystępną dla przejściowych kaprysów stronniczych lub ambicyj osobistych wszelakiego rodzaju. Aby jednak stworzyć podobny rząd, trzeba mu dać możność nie ulegania jadowitym wpływom, lecz normowania ich, lub nawet panowania nad niemi w potrzebie. Celu tego wszakże nie osiągnie się z jedną izbą i ministeryum, zawisłem od wotów tejże izby. Podobna organizacya mogła być wystarczającą w wieku złotym, a trzeba się nareszcie pogodzić z tą myślą, że Francya w tym wieku się nie znajduje.

Konstytucya republikańska odznacza się z samej natury rzeczy wielką ruchliwością i zmiennością instytucyj. Wadę powyższą naturalną trzeba więc o ile możności łagodzić i dlatego to konstytucya Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej nie dozwala ministrom brać udziału i asystować parlamentarnym dyskusyom, a konstytucya szwajcarska, jakkolwiek nie zabrania ministrom udziału, przepisuje wszakże kategorycznie, że mimo wszelkich wotów, zgromadzenia pozostać mogą przez trzy lata niewzruszenie w służbie.

Prezydent rzeczypospolitej francuskiej powinien być otoczony należytą powagą, albowiem tym tylko sposobem potrafi wzbudzić ufność zagranicą i utrzymać należyte stosunki z szefami innych narodów. Siedmiolecie jest dostatecznym okresem jego rządów, tylko trzeba, o ile możności zapobiedz powtórnemu wyborowi, co się pokazało pożytecznem w Północnej Ameryce. Wybór prezydenta przez cały lud zanadto by wkraczał w system bonapartystowski, lecz zarazem wybór przez obie izby parlamentu nie uosabiałby należycie woli całego kraju. Możnaby jednak uniknąć podwójnej niedogodno-

ści, dołączając do kongresu, jako ciała wyborczego, po jednym członku rad generalnych. Tym sposobem powaga szefa rządu wzmocniłaby się, a mimo to, nie posiadałby odpowiedniej siły, aby wystąpić przeciwko parlamentowi.

Powyżej przytoczone motywy skłoniły Chaudordy'ego do zaproponowania następujących zmian w konstytucyi francuskiej: 1) nadać prawo wotowania obywatelom mającym 25 lat wieku, 2) do dzisiejszego ciała, wybierającego senatorów, dołączyć wszystkich członków rad municypalnych, 3) ograniczyć liczbę deputowanych do 500, 4) do ciała, wybierającego obecnie prezydenta rzeczypospolitej, dołączyć delegatów rad generalnych, 5) utrzymać siedmiolecie urzędowania prezydenta rzeczypospolitej, nie dopuszczając wszakże powtórnego wyboru, 6) pozostawić prezydentowi rzeczypospolitej swobodny wybór ministrów, 7) postanowić, aby ministrowie nie brali udziału w deliberacyach izb, ani nie ustępowali ze stanowiska skutkiem votum nieufności, lecz ażeby wykonywali ściśle uchwały parlamentu, 8) dopuścić, aby komisarze mianowani przez przezydenta rzeczypospolitej, na wniosek ministrów, mogli w pewnych wypadkach dać wyjaśnienia izbom, 9) utworzyć specyalną komisyę do sprawdzania i uznawania za ważne spornych wyborów. Komisya powyższa ma się składać z członków rady stanu i sądu kasacyjnego.

Chaudordy poświęca jeszcze uwagę organizacyi ministeryów, które za trzeciej rzeczypospolitej pozostawiały dużo do życzenia. Przedewszystkiem, jego zdaniem, prezes rady ministrów nie powinien nigdy być obarczony specyalną teką, bo nie będzie miał czasu na wykonanie należycie swych obowiązków. W żadnym razie zaś nie powinien obejmować równocześnie teki ministeryum spraw zagranicznych. Zwyczaj podobny, który się ustalił w trzeciej rzeczypospolitej, jest z gruntu wadliwy. Zwykle teka dostaje się ludziom biegłym w dyskusyi parlamentarnej, a nie posiadającym fachowego wykształcenia. Tymczasem w przyszłości należy czynić staranniejszy wybór z pomiędzy mężów, odznaczających się kompetencyą i doświadczeniem. Nie należy nigdy zapominać o tem, że nawet średniej inteligencyi minister, znający tradycyę pracy fachowej, uniknie wielu błędów, które niezawodnie popełni mąż niezwykłej inteligencyi, świeżo podejmujący ministeryalne obowiązki.

W ostatecznej konkluzyi Chaudordy wyraża nadzieję, że naród, który przeżył tysiąc lat, nie zginie w dniu jednym, lecz zarazem przestrzega, że jakkolwiek ów dzień zagłady może trwać wiek cały, niemniej jednak się zbliżać będzie, jeśli rozum polityczny nie zapobiegnie wzrastającym błędom. Obecnie istnieją trzy przyczyny, grożące poważnie przyszłości Francyi, a mianowicie: podatek progresywny, wbrew oczekiwaniom tych, co za nim przemawiają, zniweczy fortunę publiczną i unicestwi majątki prywatne. Nikt nie będzie chciał zaoszczędzać, gdy mu nie będzie wolno zachować owocu swej pracy, kapitały szybko wyniosą się za granicę, a w ich ślady pójdą właściciele. Separacya kościoła położy kres jedności społeczeństwa i wywoła walkę między katolicyzmem a państwem. Wreszcie gmina paryska zaszczepi ziarno wojen cywilnych i sprowadzi nieobliczone klęski, jeżeli odpowiednie reformy nie zapobiegną jej rozkiełznaniu.

W roku 1888 wydał Chaudordy drugą broszurę p. t.: „De l'état politique de la nation française“. W pracy powyższej rozwinął tylko nieco obszerniej zasady, wyrażone w poprzedniej książce i dołączył więcej tła historycznego, zwłaszcza odnośnie do ostatnich czasów monarchii starej, oraz do wielkiej rewolucyi.

Nie będę historycznych reminiscencyj przytaczał, albowiem są one dość znane z wybornych prac Tocquevill'a i Taine'a; ograniczę się tylko na przytoczeniu kilku charakterycznych ustępów, wykazujących wadliwości dzisiejszego systemu parlamentarnego we Francyi.

Wobec dzisiejszej organizacyi, jak twierdzi Chaudordy, rząd z konieczności musi się pozbyć inteligencyi w swoich czynach i wystawiać kraj na nieustające błędy. Marzenia o powrocie do przeszłości raz zdruzgotanej są czczemi, albowiem naród nie może powrócić do tego, co raz zniszczył. Trzeba się pogodzić z prądami demokratycznemi, oraz równościowemi obecnej chwili i przyjmując za podstawę położenie istotne, budować z materyału socyalnego, jaki jest, dzieło narodowe.

Następnie kreśli Chaudordy barwny a treściwy obraz korrupcyi, jakiej ulega kandydat na deputowanego. Otrzymawszy zaś mandat, członek reprezentacyi narodowej zwykł nie mieć pojęcia o swych obowiązkach i starając się utrzymać wpływ w departamencie, popiera prywatne interesa, dezorganizując całą administracyę, która

dziś straciła już w pełni tak słusznie nabytą powagę. Wzór konstytucyjny Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej poleca i tym razem Chaudordy do naśladowania, lecz dodaje, że ażeby zwrócić Francyę na pomyślniejsze tory, nie wystarczy już sama reforma konstytucyi. Jeżeli dzieło rekonstrukcyi narodowej ma być trwałem, wtedy muszą się przeistoczyć stronnictwa polityczne i pozbyć owego ducha wyłączności, jaki je ogarnia. Stronnictwa przyzwyczaiły się być tak wrogo usposobionemi względem siebie, jak gdyby należały do innych krajów. Nienawiści wzrosły do tej wysokości, że nie zwykły cofać się nawet przed groźnemi katastrofami narodowemi i poniżeniem Francyi. Siły kraju muszą się też wyczerpywać wobec bratobójczych usposobień i jeżeli na to złe nie znajdzie się środka, wówczas Francya stoczy się niechybnie w ostateczną przepaść. Kończy Chaudordy swą pracę przytoczeniem zdania Clevelanda o francuskiej republikańskiej konstytucyi. Nie potrzeba dodawać wszakże, że zdanie to nie jest bynajmniej zachwytem.

Z programu reformy konstytucyjnej, z jakim wystąpił Chaudordy w obu interesujących pracach, łatwo dostrzedz, że konstytucya Stanów Zjednoczonych służyła mu w ogólnych zarysach za wzór godny naśladowania. Myśl umiejętnego przeistoczenia systemu parlamentarnego w system konstytucyjny, uposażony silniejszym i stalszym rządem, jest bardzo doniosła; lecz zanim poświęcę jej słów kilka, przytoczę program reformy innego statysty francuskiego, który się zbliża do pomysłów Chaudordyego i pozwala tem samem nad obydwoma wspólnie się zastanowić.

II.

Emil de Laveleye należał już od dość dawna do rzędu tych statystów francuskich, których dzieło zwracały na siebie uwagę całego cywilizowanego świata. Nic też dziwnego, że mała broszurka jego p. t.: „La réforme du régime parlamentaire“ nie przeszło niepostrzeżenie, lecz była rozbieraną i komentowaną przez francuskich i obcych uczonych. Laveleye zaznacza przedewszystkiem konieczność szybkiego zbadania fenomenalnych zjawisk, grożących poważnem nie-

bezpieczeństwem instytucyom republikańskim. I on, również jak Chaudordy przyznaje, że masy ludu francuskiego przejęte są tradycyami monarchicznemi a przywiązują się instynktowo więcej do człowieka, niż do instytucyi.

Najgroźniejszem wszakże niebezpieczeństwem dla porządku republikańskiego jest złe funkcyonowanie rządów parlamentarnych. Parlament robi wrażenie kalejdoskopu: nigdy dwie sesye nie przedstawiają tego samego położenia spraw. Grupy społeczne są w nieustannem przeistoczeniu. Interpelacya, porządek dzienny, przesilenie i zmiana ministeryum, oto zdaje się cały mechanizm rządowy. Czyż jednak gabinety, atakowane nieustannie przez izby i zajęte zachowaniem przychylnej dla siebie większości, mogą poświęcać czas sprawom państwa? Nikt je nawet o to nie posądza, a jeżeli hrabia Paryża lub generał Boulanger obarczają parlamentaryzm zarzutami, to ich krytyka jest tylko echem ogólnego usposobienia.

Wiadomo w jaki sposób konstytucya Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej uniknęła błędów i wad rządów parlamentarnych. Prezydent, za zgodą senatu, wybiera sobie ministrów niezależnych od izb. Niema zatem interpelacyj, ani wotów obalających gabinet. Ministrowie zachowują teki przez lat cztery a nawet dłużej, jeżeli prezydent zostanie powtórnie wybranym. System powyższy niewątpliwie od francuskiego doskonalszy, ma prócz tego jeszcze i ten przymiot, że jest specyalnie zastosowany do formy demokratycznej. W Ameryce prezydent może wybrać do każdego działu administracyi odpowiednio uzdolnionego męża. Zasada: „the right man in the right place“ znajduje tam zastosowanie w pełnem znaczeniu tego słowa, gdy tymczasem we Francyi konieczność parlamentarna nie pozwala oddać teki nawet najkompetentniejszemu człowiekowi, jeżeli nie należy do stronnictwa rządzącego. Czyż jednak jedno stronnictwo, choćby najpotężniejsze, może posiadać taką ilość uzdolnionych mężów, aby wszystkie funkcye publiczne były odpowiednim siłom powierzone? Jest to wprost niepodobieństwem i dlatego w następstwie sprawy zagraniczne bywają powierzane nie dyplomacie, lecz adwokatowi, wojskowość nie żołnierzowi, lecz inżynierowi, a finanse nie ekonomiście lecz legiście.

Przedewszystkiem jednak należy nie zapominać o tem, że jest

wiek spraw publicznych, wpływających na pomyślność kraju, a domagających się w rozwoju pewnej konsekwencyi, a w przewodniej idei — pewnej stałości. Chroniczna chwiejność rządów, wydająca się nieuniknioną wobec licznych i zmiennych stronnictw, jest złem olbrzymiem, które instytucye republikańskie nieuchronnie podkopać musi. Trzeba więc koniecznie dla Francyi gabinetów pozaparlamentarnych. Tym tylko sposobem uczyni się z izby deputowanych maszynę do robienia praw, a pozbawi się ją dzisiejszego charakteru areny, na której się odbywają walki stronnicze lub turnieje oratorskie.

Zdaniem Laveleya trzeba koniecznie powrócić do dawnego systemu wyborczego, dozwalającego tylko na listę jednonazwiskową. System dzisiejszy „scrutin de liste“ jest opłakany w swych następstwach. Niepodobna jest bowiem wyborcom samym ułożyć listy wielonazwiskowej i skutkiem tego cały wpływ i akcya przedwyborcza przechodzi do komitetów, złożonych z pozamiejscowych polityków. Przy panującym systemie, mniejszości wyborcze, choćby były bardzo poważnemi, nie mają najmniejszego wpływu i są na rzecz większości poświęconemi. Okoliczność powyższa zaostrza jednak walkę wyborczą i wpływa podniecająco na namiętności polityczne. Przeciwko systemowi jednonazwiskowemu wyborów, przytaczano nieustannie ogólnik, że właściwie uosabia on nie zasadę polityczną, lecz interesa. Zarzut podobny nie ma jednak żadnego rzeczywistego znaczenia. Idee i zasady rozpowszechniają się za pomocą pióra i prasy, tymczasem masa wyborców może składać wota ze znajomością rzeczy tylko w tych kwestyach, z któremi się styka codziennie i blisko. Zresztą zapomniano chyba o tem, że system reprezentacyjny powstał na gruncie interesów lokalnych, a nie wystrzelił bynajmniej jako pomysł lub idea z głowy jakiegoś nowożytnego Jowisza.

Laveleye zaznacza również, że odnowienie całkowite izby za pośrednictwem wyborów pociąga za sobą liczne niedogodności. — Przedewszystkiem gorączka wyborcza ogarnia kraj cały i często wybory odbywają się pod wpływem chwilowego niezadowolenia, jak n. p. te, które opanowało Francyę z powodu wyprawy do Tonkinu. Niefortunnym pomysłem nazywa Laveleye myśl radykalistów, dą-

żącą do wytworzenia systemu reprezentacyjnego jednoizbowego, czyli, inaczej mówiąc, domagającą się zniesienia senatu. Izba deputowanych, dzięki monstrualnej koalicyi monarchistów z radykalnymi, podkopuje na dobre rządy parlamentarne i zagraża ruiną swobodom, gdy tymczasem senat jest złożony z żywiołów wyborczych i może się stać ostatnią ucieczką rzeczypospolitej. Gdyby też wartość brać za podstawę, wówczas nie senat, lecz izba deputowanych powinna zniknąć z systemu reprezentacyi.

Laveleye wysila się też, aby przekonać masę wyborczą francuską, że jedynie system dwuizbowy jest racyonalny. Walczy więc z dawną a ułudną teoryą Siéyesa, powołując się na doświadczenie Anglii i Stanów Zjednoczonych. Zastrzega jednak Laveleye, aby senat nie uosabiał w sobie wyłącznie bogactwa lub pierwiastku zachowawczego aż do skrajności. Rozum, nauka, tradycye i przenikliwość umysłu — oto są tytuły, które wszystkim powinny otwierać wrota do senatu.

Wreszcie Laveleye żywi to przekonanie, że niebezpieczeństwo, grożące Francyi pod postacią generała Boulangera, prawdopodobnie przeminie, lecz za to inna groźba, daleka od zniknięcia, stawać się będzie dla rzeczypospolitej coraz to poważniejszą. Groźbą zaś ową jest niezadowolenie ogólne, płynące ze złych rządów parlamentarnych. W kraju, gdzie stronnictwa są tak wrogo względem siebie usposobione, jak we Francyi, najlepszym środkiem reformy jest wyrzeczenie się rządów gabinetowych Anglii, a przejęcie od demokracyi amerykańskiej systemu ministeryów pozaparlamentarnych. System rzeczony należy jednak wzmocnić skrutynium jednonazwiskowem i częściowem odnowieniem Izb. Prócz tego trzeba wzmocnić senat, a nie osłabiać go, a wzmocni się tę pożyteczną instytucyę powołując do niej ludzi zdolnych, wyrobionych i przyzwyczajonych dbać o dobro wszystkich klas, a nadewszystko o pomyślność klas robotniczych.

Prawdziwy patryotyzm, oświadcza w końcu Laveleye, nakazuje konserwatystom pracować nad skonsolidowaniem swobodnych instytucyj na drodze reform nakazanych przez doświadczenie, nie zaś dążyć do pogrążenia rzeczypospolitej w przepaści. Oświadczenie ich, że pragną przejść przez morze Czerwone, aby się dostać do Ziemi

obiecanej, jest niczem więcej, jak dążeniem do wojny domowej i zagranicznej. Nie należy bowiem zapominać o tem, że każdy rząd, obalony za pośrednictwem zamachu stanu, pozostawia licznych zwolenników, którzy marzą jedynie o tem, jakby go znowu mocą brutalnej siły przywrócić. Na tej drodze Francya nie zdoła nigdy wytworzyć stałego i poważnego rządu.

Powoływania się statystów francuskich na konstytucyę amerykańską i czerpanie w ojczyźnie Washingtona wzorów do reformy rodzinnego gmachu państwa, nie było objawem czysto przypadkowym. Europa konstytucyjna powierzała zwykle rządy monarchizmowi, który był w stanie kaprysom stronniczym silniejszą stawić zaporę. Związek szwajcarski, pomimo ustroju republikańskiego, nie mógł Francyi z wielu powodów służyć za przykład. Ustrój bowiem państw trzeciorzędnych nie da się zastosować do mocarstw dbających o sławę i stanowisko pierwszorzędnej potęgi militarnej. Zresztą przeszłość narodowa i socyalna, oraz warunki etnograficzne, stawiały obie rzeczypospolite w tak odmiennych warunkach, że najzuchwalszym reformatorom odbiegała chęć szukania analogii. Dość tylko wspomnieć, że w Szwajcaryi posługiwano się trzema równouprawnionymi językami (włoskim, francuskim, niemieckim), że element związkowy przechowywał się w samoistności kantonalnej (Cantön ligeist) i że natura górska kraju dzieliła państwo na części samorządne, kładąc zapory nieprzełamane zjednoczeniu administracyjnemu, aby przekonać, jaka przepaść, pomimo jednakiej nazwy, dzieliła obie rzeczypospolite Europy kontynentalnej.

Niewątpliwie żadnemu z poważnych statystów francuskich nie było tajnem, że pomiędzy konstytucyą francuską a ustrojem Stanów Zjednoczonych liczne i doniosłe zachodzą różnice. W każdym razie choć usiłowaniom Hamiltona udało się związek państw przeistoczyć tylko w państwo związkowe i konstytucyi amerykańskiej nadać kształt tylko nieco jednolitszy, to jednakże jedna okoliczność mogła zachęcać reformatorów francuskich, aby ku tym odległym stronom zwracali się po środki ratunku. Okolicznością powyższą był fakt, że Stany Zjednoczone stały się bezspornie wielkiem mocarstwem, a jeżeli nie były jednocześnie wielką potęgą militarną, to jedynie dlatego, że nie miały w swej części świata współzawodnika, mogącego się

stać dla nich w przyszłości groźnym. — Zresztą w czasach wojen domowych pokazało się, że konstytucya Stanów nie stoi na przeszkodzie rozwojowi sił militarnych, więc łatwo wysnuć wniosek, że gdyby sytuacya polityczna wymagała, Ameryka Północna, nie zmieniając ustroju, mogłaby się przemienić w potęgę militarną pierwszego rzędu.

Pomimo więc licznych różnic, wytwarzanych przez odrębną przeszłość obu krajów, istniał jeden ważny punkt zbliżenia. Niejednokrotnie też uczeni francuscy zachwalali konstytucyę amerykańską i to zachwalali w czasach, gdy nie marzono o instytucyach republikańskich dla Francyi. Czyż mogło więcej uwielbienia dla konstytucyi Stanów Zjednoczonych wyrazić jakiekolwiek dzieło od „Democratie en Amérique“ Tocquevilla?

Po słynnym Tocquevillu nastąpił znowu Laboulaye z swą wyborną historyą Stanów Zjednoczonych i ze swemi przepysznemi, pełnemi humoru, fantazyi i rozumu, satyrami politycznemi (Prince Caniche. Paris en Amérique).

Wiedziano o tem dobrze, że Francyę oddziela od Ameryki Północnej samorząd lokalny (selfgovernment), przeszczepiony wraz z kolonistami angielskimi na drugiej części świata. Doświadczenia wielkiej rewolucyi, uczynione z samorządem lokalnym, skończyły się na anarchii, a napoleońskie rządy zorganizowały wybornie centralizacyę administracyjną, która wszelkie zarodki samorządu szybko zdławiła. Odtąd wygodną i sprawną maszyneryą administracyjną posługiwały się naprzemian wszystkie rządy Francyi, bez względu na ich nazwę i formę, a municypalności były automatami, kierowanemi przez równie automatycznych merów.

Uczeni francuscy wykazywali niejednokrotnie sprzeczność administracyi z duchem konstytucyi republikańskiej. Leroy-Beaulieu w dziele p. t.: „L'administration locale en France“, Ferrand w książce p. t.: „Les institutions administratives en France et à l'étranger“ i w drugiem studyum: „Les pays libres“, wreszcie Aimès w pracy p. t.: „La réforme administrative et le favoritisme“, przekonywali o konieczności dostrojenia konstytucyi wraz z administracyą do jednego tonu, a dostrojenie to mogło mieć miejsce jedynie przez zaprowadzenie samorządu lokalnego.

Każdy krok uczyniony na drodze rozwoju samorządu lokalnego zmniejszał przestrzeń, rozdzielającą konstytucyę Francyi od ustroju Ameryki północnej, ale wytworzenie organów samorządu, funkcyonujących prawidłowo i nie mieszających polityki z interesami czysto miejscowemi, nie jest dziełem jednej chwili. Do samorządu trzeba masy ludu przyzwyczaić, trzeba w nie wszczepić patryotyzm lokalny i poczucie obywatelstwa w drobnym domowym zakresie; tymczasem rządy francuskie począwszy od wielu wieków, czyniły wysilenia we wprost przeciwnym kierunku i zebrały też obfity plon w postaci silnej apatyi i zniechęcenia. Niedostateczny rozwój samorządu lokalnego długo też będzie stanowił różnicę między obu republikańskiemi instytucyami, a różnica wzmiankowana nie będzie bynajmniej jedyną.

Trzecia rzeczpospolita francuska przyjęła, jak wiadomo, ustrój parlamentarny, który się głównie w Anglii wykształcił. Ameryka Północna, pomimo wysoko rozwiniętego samorządu lokalnego, dostrzegła w rzeczonym systemie wiele niebezpieczeństw dla siebie i dlatego zaprowadziła rządy pozaparlamentarne. Ameryka Północna nie posiadała przedewszystkiem jednego warunku niezbędnego do prawidłowego funkcyonowania rządów parlamentarnych, t. j. władzy monarchicznej. Następnie samoistność pojedynczych stanów, ich prawdopodobne rywalizacye, aby w rządzie centralnym mieć wpływ należyty, kazały przewidywać cały szereg innych poważnych trudności. To były główne powody, które prawodawców amerykańskich zniechęciły do rządów parlamentarnych.

Przyznać trzeba, że Francya jeszcze mniej posiadała warunków do przyswojenia sobie rządów parlamentarnych, niż Ameryka. Nasamprzód władza monarchiczna została usuniętą, a w dodatku owe wewnętrzne zatargi z monarchizmem różnych odcieni, wpoiły w lud francuski pewną nieufność i niedowierzanie władzy wykonawczej, w czyjemkolwiek ona spoczywałaby ręku. Rewolucye i przewroty wpłynęły na to, że organ prawodawczy uczuł się zwierzchniczym spadkobiercą monarchizmu, a w przeświadczeniu, że on uosabia cały naród, zdradzał na każdym kroku zachcianki autokratyczne w wyższym stopniu, niż napoleoński imperyalizm. Wobec parlamentu rzeczypospolitej nie mogło też być mowy o niezbędnej samoistności

rządu. Podejrzliwość i zwierzchnicze zachcianki skłaniały parlament do nieustannego wdzierania się w głąb administracyi i do ciągłego jej dezorganizowania. Wobec zaś takiego postępowania mogło się zdawać, że parlament chce być nietylko organem prawodawczym, lecz i administracyjnym.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że i parlament angielski przekraczał czasem zakres czynności prawodawczych, lecz następstwa omnipotencyi parlamentarnej nie były tak fatalnemi. Organizacya stronnictw politycznych w Anglii była spoistą i silną. Rządy gabinetowe torysów i whigów nie były oparte na wzajemnej nienawiści, lecz na chęci uzupełniania reform i na pragnieniu lepszego służenia dobru publicznemu. Prócz tego od administracyi państwowej w Anglii należy odłączyć masę funkcyj powierzanych samorządowi lokalnemu, a w tych warunkach łatwo zrozumieć, że mieszanie się parlamentu brytańskiego do administracyi nie mogło wytworzyć groźnych niebezpieczeństw. Stronnictwa republiki francuskiej inny wszakże przedstawiały obraz. Rozproszenie się stronnictw na frakcye liczne, drobne i bez stałego programu, czyniło istotnie z parlamentu kalejdoskop, przez który jak widma przeciągały ministerya. W jednej kwestyi wszystkie stronnictwa godziły się wszakże zdumiewająco, a mianowicie we wzajemnej nienawiści, w nieubłaganem zwalczaniu się i w eksploatowaniu publicznego dobra w imię egoizmu. Takie jednodniowe większości parlamentarne, pozbawione rozumu politycznego i poczucia zgody, musiały skończyć na parodyi rządów parlamentarnych.

Wszystkie więc projekta reformy, podane przez Chaudordy'ego i Laveleya, są na dobie, jako zwiastuny grożącego niebezpieczeństwa, któremu zapobiedz należy. Tylko zachodzi pytanie: czy organa prawodawcze zdołają się opamiętać? czy zrozumieją, iż tylko droga reform, nie zaś przewrotów, potrafi zapewnić pokój Francyi? Niewątpliwie doktrynerów dobrej wiary przekonać łatwo, że „scrutin de liste“ podnieca agitacyę i podszczuwa stronnictwa przeciw sobie, że senat jest nieodzownym, albowiem system jednoizbowej reprezentacyi prowadzi do anarchii, że samorząd lokalny jest wstępem do swobód politycznych i t. p. Któż jednak zdoła przekonać egoistyczne frakcye

o nieodzowności reform tępiących egoizm i prywatę, a domagających się na każdym kroku poświęceń obywatelskich?

Tymczasem niewątpliwie zrzeczenie się systemu rządów parlamentarnych, a zaprowadzenie zasad konstytucyjnych Ameryki Północnej, byłoby abdykacyą samolubstwa i nienawiści, a wstępem do zjednoczenia się dwóch powaśnionych Francyj. Silna władza wykonawcza potrafiłaby ograniczyć wpływ parlamentu na administracyę, a nadewszystko byłaby w stanie położyć hamulec zwierzchniczym zachciankom izb, przypominając im, iż są jedynie organem prawodawczym. Dlatego jednak właśnie, że silna władza wykonawcza mogłaby tego dokonać, jest ona podejrzywaną przez wszystkie stronnictwa o autokratyczne zamiary, na które najradykalniejszym medykamentem — omnipotencya parlamentu. Codzienni politycy stronnictw wiedzą o tem dobrze, jak prezydenci Stanów Zjednoczonych potrafili używać swej rozległej władzy łącznie z senatem, aby stworzyć zależną od siebie maszyneryę urzędniczą, która była powolnem narzędziem dla przyszłych wyborów. Właśnie ta niezawisłość rządów, mająca w Ameryce Północnej niewątpliwie i swe ujemne strony, straszy wszystkie stronnictwa Francyi. Prezydentura bowiem w rękach jednej frakcyi — to nie zapowiedź zgody i wymiaru sprawiedliwości, lecz początek wyzysku i mściwego odwetu. Tak sobie przynajmniej wyobrażają reformę frakcye republikańskiego parlamentaryzmu i słusznie można wątpić, czy poważne głosy Chaudordy'ego i Laveley'a powyższe wątpliwości rozproszyć potrafią.

Obaj statyści francuscy spełnili wszakże należycie swój obowiązek. Wiedząc, że nie zdobędą pospolitego lauru, zwanego popularnością i poklaskiem tłumu, wypowiedzieli swemu narodowi gorzkie a bolesne prawdy. Wypowiedzieli zaś owe prawdy nie dlatego, aby ranić i obrażać czyjekolwiek uczucia, lecz aby to wielkie rozszarpanie Francyi na starą i młodą, spoić, rany zabliźnić, a w tak uleczony organizm tchnąć ducha, ożywionego gorącą miłością kraju. Pomysły Chaudordy'ego i Laveley'a nie są rozwlekłymi traktatami, imponującymi erudycyą lub wykończeniem. Są one szkicem reformy, ożywionym jedną ideą, którą trzeba będzie dopiero wcielić w całe szeregi ustaw. Jeżeli się większość wyborców ze wspomnianą ideą pogodzi, wówczas się dopiero rozpocznie prawodawcza działal-

ność i rewizya konstytucyi nie będzie pustym frazesem. Czy ta era się zbliży niezadługo, lub czy też głosy Chaudordy'ego i Laveley'a rozbiją się o rozstrój społeczeństwa francuskiego, na to pytanie nie ośmielam się dać odpowiedzi, zaznaczając jedynie, że dla cywilizacyi europejskiej bolesneby to było widowisko, gdyby serce wielkiego narodu nie drgnęło na widok zbliżającej się zguby i nie szukało w odpowiednich reformach ratunku.

Wiadomo z dziejów, że wielka rewolucya francuska rozdarła nietylko społeczeństwo stare i nowe, lecz zarazem zerwała organiczny węzeł, łączący Kościół z państwem. Zaliczając instytucye kościelne do średniowiecczyzny, wystąpiła przeciwko nim ze słynnem i osławionem hasłem: „Ecrasez l'infâme". Wszystko, co tylko było w rozkiełznanej mocy ludzkiej, to się wysiliło, aby wstrząsnąć podwaliny opoki Piotrowej. Świątynie starożytnej Francyi, najstarszej córy Kościoła, opustoszały, a ołtarze Pańskie musiały nieraz być świadkiem scen niezwykłych, lub widzieć nowe bóstwa rozumu, przyjmujące lub rozdające pocałunki. Kler francuski, rozpędzony na wszystkie strony, tułał się na obczyźnie, a nowe pokolenie wzrastało bez chrztu świętego, wdychając w siebie nienawidzący wszystko doktryneryzm Voltaire'a i Rousseau'a.

Wśród takich nadzwyczajnych okoliczności, pierwszy konsul pierwszej rzeczypospolitej zawarł konkordat z papieżem Piusem VII (1801 r.). Konkordat ten został uzupełniony artykułami dodatkowemi, nie aprobowanemi przez kuryę rzymską i ogłoszony za prawo, obowiązujące kler i katolików nowej Francyi. Zbytecznemby było dowodzić, że konkordat nie był dziełem sprawiedliwego, pojednawczego ducha, lecz że żywił uboczne cele, które później stanęły na czele imperyalizmu napoleońskiego. Konkordat dążył do uczynienia z Kościoła katolickiego powolnej służebnicy rządu absolutnego. Za okruch chleba, ciśnięty z dawnego majątku, kler miał zostać „sui generis" policyą państwową, a im bardziej słońce napoleońskie wstępowało do góry, tem większe było lekceważenie samodzielności Kościoła i tem silniejsze pragnienie uczynienia go ornamentacyą absolutyzmu.

To wplatanie Kościoła do polityki, jakie miało miejsce za starych rządów i za napoleońskiego imperyalizmu, otoczyło Kościół

podejrzeniami młodej Francyi. Zwłaszcza gdy się pokazało, że kler katolicki sympatyzuje z restauracyą i z wszelkiemi odcieniami monarchii legitymistycznej, poczęło się rozpowszechniać mniemanie, że Kościół stoi na straży dawnych przywilejów i jako nieprzejednany wróg nowego porządku, godzien jest wszelkiego ucisku ze strony rzeczypospolitej. Republikańscy mężowie stanu nie zastanawiali się nawet nad tem, że Kościół doznał od rewolucyi tylko wyrafinowanych krzywd i ślepej nienawiści, a uczucia podobne nie mogą w uciśnionym rozbudzać zaufania i miłości.

Uprzedzenia jednak wybujałe za czasów pierwszych rzeczypospolitych stały się udziałem wybitniejszych mężów stanu trzeciej rzeczypospolitej. Konkordat z 1801 r., uważano za zbyt wspaniałą ochronę dla Kościoła i myślano o przeistoczeniu radykalnem stosunku do państwa, lecz i w tym nowym przyszłościowym porządku Kościół istniałby jedynie na mocy prawa o stowarzyszeniach, a co najwyżej, zostałby uposażony charakterem osoby prawnej, odwołalnym w razie potrzeby, a więc prekaryjnym, t. j. zawisłym od łaski rządu.

Republikanów gniewał etat skromny, jaki konkordat zapewniał duchowieństwu, zniesienie zatem konkordatu oznaczało proste skreślenie etatu dla Kościoła, bez żadnego wynagrodzenia ze strony państwa i z pozostawieniem na łasce wiernych całego kleru. Prócz tego, program separacyi Kościoła od państwa, jakkolwiek miał być niby zapożyczony u Stanów Zjednoczonych, oznaczał jednak we Francyi zupełnie co innego. Charakter zwykłego stowarzyszenia, nadany Kościołowi katolickiemu, nie mógł liczyć na opiekę sądową i poszanowanie administracyi, jak to miało miejsce w Ameryce północnej. System mściwości byłby prowadzony dalej zarówno przez większość parlamentarną, jak i przez organa wykonawcze i Kościół znalazłby się wkrótce w położeniu stowarzyszenia „sui generis“, będącego pod ścisłym nadzorem policyi i pozbawionego przymiotu osoby prawnej za najmniejszym objawem niepowolności dla władz administracyjnych.

Obawy powyżej wymienione skłaniały reprezentantów Kościoła do trzymania się wytrwale konkordatu. Jakkolwiek niedostateczny i, jako w 1801 r. zawarty, nieodpowiadający już zmienionym sto-

sunkom, był on jednakże jaką taką ostoją dla duchowieństwa, które poza nim widziało jedynie chęć do ucisku i udręczenia w obozie republikanów. Teorye zaś polityczne uczonych francuskich grzeszyły też jednostronnością i jeżeli domagały się separacyi Kościoła, to dojrzeć było można łatwo w rzeczonym programie utajoną niechęć i jedynie pozorne naśladownictwo Stanów Zjednoczonych.

Pierwszą dopiero chęć przekroczenia granicy wyznaczonej podejrzliwością i nienawiścią objawił du Petit-Thóuars w rozprawie p. t.: „L'Etat et l'Eglise — Esquisse d'une séparation libérale". Na wstępie samym autor zaznacza, że państwo nowożytne nie ma bynajmniej charakteru wyznaniowego. Obojętność, czyli indyferentyzm, zastępuje coraz więcej miejsce dawnych wierzeń i trzeba ostatecznie przyznać, że pierwiastek świeckości ogarnia wszechwładnie państwo, czyli, inaczej mówiąc, dokonywa się sekularyzacya państwowa. Jakkolwiek jednak neutralność państwa w sprawie wierzeń religijnych, jako uczuć indywidualnych, zdaje się płynąć z samej natury rzeczy, to jednakże neutralność dzisiejsza jest tylko obłudną. Zwalcza się bowiem w imię świeckości religię państwową dlatego jedynie, aby w jej miejsce podstawić urzędową bezreligijność. Rozdział Kościoła od państwa, jeżeli ma być przeprowadzonym, to już wszechstronnie, a więc nietylko od Kościoła wolnomyślnych. Tymczasem kapłanom wolnomyślności pozostawiono do dyspozycyi siły państwowe, w celach propagandy filozoficznej, niweczącej dawne wierzenia. Gniotąc dawny ultramontanizm odwrócony („ultramontanisme retourné") splagiowano stare rządy, które tak zapamiętale potępiano. Jeżeli więc Du Petit-Thóuars twierdzi, że państwo w kwestyi wiary powinno być neutralnem, to nie dlatego, aby chciał mu nadać charakter ateistyczny i aby zdradzał dla pierwiastku religijnego lekceważenie, lecz dlatego jedynie, że natura państwa musi równą, sprawiedliwą i neutralną opieką otoczyć wszystkie wyznania, jako część integralną swobód indywidualnych.

Autor przyznaje, że projekt separacyi doznawał najsilniejszego oporu ze strony samego duchowieństwa. Dziwić się temu bardzo nie można, albowiem separacya jest obosieczną. Separacya może być gwałtowną i prześladowczą lub pojednawczą i szanującą nabyte prawa. Nieszczęściem jest, że nie posiadamy dwóch odrębnych ter-

minów na oznaczenie tych dwóch, przepaścią oddzielonych separacyj. Polityka separacyi gwałtownej ma przynajmniej tę jedną zasługę, że jest otwartą i w swej brutalności, szczerą. Nie można tego bynajmniej powiedzieć o drugiej seryi wrogów Kościoła, więcej niebezpiecznych, chociaż mniej brutalnych. Ci drudzy, okryci powłoką obłudnej względności, pragną utrzymania konkordatu z Rzymem dlatego jedynie, aby uczynić z Kościoła wyborny a powolny środek do rządzenia. Należąc do opozycyi, ci wrogowie Kościoła głoszą system separacyi, gdy jednak dojdą do władzy, są za utrzymaniem konkordatu dlatego jedynie, że się boją wolności Kościoła. Twórcą tego rodzaju przebiegłej polityki był Gambetta, a jej przenikliwym komentatorem — Paweł Bert.

Podług komentarzy tego ostatniego, trzeba się tylko umieć posługiwać konkordatem, a rządzącym odejdzie zaraz chętka separacyjna. Ścisłe wykonanie konkordatu da rządowi potężną broń w rękę. Dość tylko przytoczyć, że zwolnienie kleryków od wojskowości nie było immunitetem reklamowanym przez Piusa VII, lecz łaskawą koncesyą samego Napoleona, który nie pozbawił się mimo to prawa posłania w danym razie całego seminaryum do odpowiedniego pułku. Takich słabych punktów konkordat posiada dużo i dziwić się temu nie można, boć układanym był w odmiennych warunkach i innych czasach.

Czyż pomiędzy Kościołem, pragnącym dawnej władzy, a jakobinami pracującymi nad jego ruiną, niema rozwiązania pośredniego? Powyższe pytanie zadaje sobie Du Petit-Thóuars i odpowiada, że właśnie tego rozwiązania należy się domagać od republikańskiego liberalizmu. Liberalizm rzetelny powinien się stanowczo rozstać ze skrajnemi stronnictwami i przyjąć względem Kościoła hasło: „żadnych przywilejów“, a względem jakobinów inne: „żadnego prześladowania“.

Wolność dla wszystkich oto prawdziwie liberalna dewiza. Pytanie jednak zachodzi, czy przyjaciele Kościoła zgodzą się kiedykolwiek na to, aby instytucya, rządząca się prawem boskiem i mająca w historyi Francyi tyle świetnych kart, wsparła się wyłącznie na prawie powszechnem, przybierając charakter zwykłego stowarzyszenia? Z tem wszystkiem, mimo oporu konserwatystów, należy

separacyę, zarówno jak samą rzeczpospolitą, uważać za rozwiązanie nieuniknione. Rozwiązanie to bowiem, pomimo antypatyi wyrażanych przez przyjaciół przeszłości, stało się ideą ogarniającą społeczeństwo nowożytnej Francyi.

Nikt nie będzie temu przeczył, że konkordat z 1801 roku, zapewniał Kościołowi katolickiemu niejakie korzyści, ale trzeba przyznać, że korzyści rzeczone okupione były drogo, bo utratą samodzielności Kościoła. Konkordat zamienił religię w rodzaj usługi administracyjnej (service administratif), a Kościołowi w zamian za niepodległość ofiarował skromny kawałek chleba. Obecnie należy rozstrzygnąć kwestyę: czy konkordat wytworzył prawo dla Kościoła, czy też był tylko aktem stwierdzającym tytuły, nabyte uprzednio przez Kościół. Przedmiotowe studyum faktów przeszłych nakazuje przyznać, że duchowni nie byli nigdy prostą służbą administracyjną, której państwo dowolnie pozbywać się mogło, a tem samem etat Kościoła nie wyrażał pensyj urzędniczych, lecz wierzytelność kościelną, przyznaną za zabór dóbr. Konkordat też nie stwarzał praw kościelnych, lecz był stwierdzeniem praw uprzednich. Zniesienie go zatem nie mogło niszczyć praw, które przed nim istniały. Państwu przysługuje niewątpliwie prawo odmiany umów międzynarodowych i przeistoczenia konkordatu, lecz to nie usuwa konieczności szanowania praw Kościoła. Konkordat może nawet zniknąć zupełnie, lecz wierzytelność Kościoła powinna być przyznaną i uiszczoną. Za przykład może służyć Belgja, gdzie Kościół oddzielony od państwa, pobiera indemnizacyę za zabrane dobra, pomimo że sprawa powyższa nie była przez żaden konkordat uregulowana.

Dla Kościoła konkordat był niezbędnym tylko o tyle, o ile zapewniał mu zakres niezbędnej swobody. Tymczasem w artykułach organicznych, któremi konkordat został uzupełniony, zamierzono przeistoczyć Kościół na wzór napoleońskiego państwa. Trudno też o coś mniej liberalnego, a więcej upokarzającego dla Kościoła, trudno o coś więcej obrażającego sumienie wiernych, jak ów konkordat. Za jego to pomocą Napoleon pragnął z duchownych uczynić rodzaj poświęcanej żandarmeryi i chełpił się, że nic niema takiego, czegoby nie był w stanie wykonać przy pomocy swych żandarmów i księży. Przy pomocy też swych księży ułożył istotnie godny po-

dziwu katechizm, w którym on sam figuruje jako obraz Boga na ziemi. Komicznem w ówczesnej dobie było to, że księża hiszpańscy w katechizmie umieścili Napoleona jako dyabła. Jednocześnie więc zajmował ów geniusz militarny tak niepodobne do siebie, a dla człowieka tak nieprzystępne stanowiska.

Nauczony doświadczeniem Kościół powinien przyjść do przekonania, że tylko te dusze może uważać za zdobyte, które mu się oddały z przekonania i w wolności. Przymierze Kościoła z władzą ziemską nie podtrzymuje bynajmniej jego moralnej powagi, lecz jej nadużywa i kompromituje. Protekcya państwowa usypia tylko Kościół zwodniczemi upewnieniami i zabezpieczeniami, oraz obłudnem podtrzymywaniem jego illuzyj. Liczenie na protekcyę władz państwowych, a nie na siłę etyczną wewnętrzną może tylko skompromitować Kościół. W tem przymierzu władz kapłan utraca pierwiastek boski, a przedstawia się przeważnie jako przyjaciel rządu, zwątpienie więc musi ogarnąć lud patrzący na wyzyskiwanie wierzeń świętych w celach i interesach bardzo znikomej natury. Jeden więc tylko system uwalnia Kościół od owej kompromitującej solidarności, a tym systemem jest właśnie separacya.

Dlaczego, powiada Du Petit-Thóuars, nie mielibyśmy uczynić tego, co uczyniła wielka demokracya amerykańska? W Stanach Zjednoczonych kościoły są uwolnione od podatków, a księża oswobodzeni od służby wojskowej. Możemy też śmiało pozostawić duchownym immunitety, których używali, a przez to zasada równości nie poniesie żadnego uszczerbku. Odstępstwo od równości usprawiedliwi się tym razem wyższemi względami, a mianowicie spokojem religijnym i zgodą z Kościołem, które przedewszystkiem należy osiągnąć.

Przyjęcie systemu separacyi powinno skłonić rząd rzeczypospolitej do rezygnowania z prawa nominowania biskupów. Wybór powinien należeć do synodów z zachowaniem władzy prerogatywy instytucyi kanonicznej. Nadawanie zaś Kościołowi charakteru osoby prawnej nie powinno bynajmniej zależeć od samowoli władz rządowych. Przymiot osoby prawnej należy bowiem do rzędu swobód indywidualnych, niezależnych od państwa, który tylko odpowiednie władze zatwierdzać powinny. Zresztą du Petit-Thóuars tłumaczy

przyjaciołom Kościoła, że właściwie nie powinni się obawiać zasady Cavoura: „libera chiesa in libero stato“. Hr. Arnim też, osławiony ambasador niemiecki, przeistoczył zasadę Cavoura, utrzymując, że jej bezpośredniem następstwem jest: „chiesa armata in stato disarmato“. Du Petit-Thóuars jest przekonany, że gdy Kościół katolicki raz skosztuje systemu separacyi, będącego wyrazem wolności, zastosuje się do niego zupełnie i stworzy sobie wygodny byt. Nieuniknionemi są bowiem nadużycia wolności ludzkiej, lecz najlepszą korekturą systemów opartych na wolności jest wolność sama i dlatego to francuski statysta uważa separacyę za nieuniknioną konieczność, która Kościołowi i rzeczypospolitej przyniesie pożytek.

Cokolwiekbądź klerykalne stronnictwo we Francyi powie na pomysły du Petit-Thóuars'a, jedno przyznać będzie musiało a mianowicie, że nowy duch wieje z jego pracy, duch sprawiedliwości, zgody i wolności. Autor z głębokiem przekonaniem i z dużą wiedzą przemawia za rozdziałem, którego się tak mocno Kościół obawia. W projekcie reformy, przedstawionym powyżej, niema żadnych rabulistycznych forteli, żadnych egoistycznych pułapek, lecz pragnienie gorące, aby rzeczpospolita względem Kościoła przyjęła zasadę justyniańską „suum cuique tribue“, będącą podwaliną wszelkiej swobody. Czy stronnictwa polityczne zrozumieją należycie idee, ożywiające francuskiego statystę, czy pojmą, że instytucye amerykańskie są niemożliwe do naśladowania bez ducha obywatelskiego poświęcenia, wyrobionego w Amerykanach — to już inne pytanie, na które odpowiedzą w niedalekiej przyszłości parlamenty rzeczypospolitej. W każdym razie, uczeni Francyi spełnili uczciwie swój publiczny obowiązek, wykazując, że konstytucya republikańska nie może się opierać na rozdartej, lecz na zjednoczonej Francyi, oraz że Kościół katolicki musi pozostać w zakresie spraw religijnych swobodnym i pozbyć się dawnego upokarzającego charakteru służby administracyjnej.

12.

MEMORYAŁ PRĄDZYŃSKIEGO [1]).

Wydawca „Memoryału“ w przedmowie utrzymuje, że pracę swą generał Prądzyński napisał na żądanie cesarza Mikołaja I-go, który go powołał do Petersburga, i pozwolił mu korzystać z materyałów, potrzebnych do ułożenia powyższego sprawozdania. Wyjaśnienia podobnego nie mogę uważać za ścisłe. Prawdą jest niewątpliwie, co sam autor w końcu memoryału wyznaje, że spisywał swe wspomnienia, spełniając wolę monarchy, dodaje również, że była to dla niego praca ciężka i bolesna, i że wykonał ją jedynie otrzymawszy wyraźny rozkaz. Nie chciał też być niedyskretnym i zamykając się wyłącznie w granicach zadania, poruczonego przez cesarza, zdaje mu się, że je spełnił, a przynajmniej starał się spełnić najlepiej. Cesarz Mikołaj nie powoływał jednak bynajmniej generała Prądzyńskiego do Petersburga. Prądzyński był jedynie za udział w rewolucyi internowany w Gatczynie, gdzie napisał swój memoryał, a wątpić należy, czy mu komunikowano jakiekolwiek dokumenta, potrzebne do pisania historyi. Na historyę bowiem było jeszcze zawcześnie, a monarcha polecił mu jedynie spisanie osobistych wspomnień, któreby były niejako usprawiedliwieniem jego postępowania w r. 1831.

Zresztą sam autor we wstępie do memoryału najlepiej objaśnia znaczenie swej pracy. „Dzisiaj — oświadcza on — nie czuję się na siłach do pisania historyi okropnych wypadków, które wypełniają

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Bibliotece Warszawskiej“ w r. 1898.

ten rok nieszczęśliwy dziejów Polski... a przytem, jakkolwiek przyjmowałem w nich czynny udział, i dzięki pozycyi swojej, zebrałem mnóstwo o niej szczegółów, to jednak część ich pozostała dla mnie nieznaną. Działania wojenne oddzielnych korpusów znam tylko z raportów, otrzymywanych przez sztab generalny, a o niektórych nawet z tego źródła nie można było powziąć żadnej wiadomości, wskutek przerw w komunikacyi. Ograniczę się więc do zdania sprawy z wypadków, w których albo sam przyjmowałem udział, albo też o których powiadomiony jestem dokładnie. Jako autor, świadek i opowiadacz, muszę tu mówić o sobie. Z góry wyznaję, jaką obawą jestem przejęty, abym nie był posądzony o zbyteczną miłość własną, mówiąc o sobie dużo. Z drugiej zaś strony, o tchórzostwo, gdybym milczeniem pokrył swój udział w wojnie przeciw panującemu, któremu właśnie memoryał ten ma być podany. Oba te uczucia są mi najzupełniej obce, postaram się więc tylko godnie odpowiedzieć włożonemu na mnie zadaniu".

Już z tego przekonać się można, iż Prądzyński pozostawiony był w Gatczynie sam sobie, swej wybornej pamięci, i że nawet dokumentów, uzupełniających jego obszerną wiedzę, trudno było na razie znaleźć w Petersburgu, chyba jedynie z wyjątkiem raportów głównej komendy rosyjskiej, z którymi poprzednio Prądzyński zaznajomić się nie zdołał. Polski przekład memoryału nastąpił z francuskiego tekstu, który generał Puzyrewski wydrukował w swem cennem dziele, wojnie polsko-rosyjskiej w roku 1831 poświęconem. Mam jednak powód niejaki mniemać, że tekst francuski nie był oryginalnym manuskryptem Prądzyńskiego, albowiem, zdaje się, że autor, memoryał swój napisał w Gatczynie po polsku i polski oryginał był, prawdopodobnie, przez kogoś innego tłumaczony na język francuski. Prądzyński po wyjeździe z Gatczyny mieszkał na wsi w Królestwie Polskiem, i miał ów memoryał polski przy sobie uzupełniony, posyłał go nawet tajemnie Chłopickiemu do przejrzenia, do Krakowa z prośbą o poczynienie uwag lub sprostowań na marginesie. Chłopicki ograniczył się na uczynieniu lapidarnej uwagi, zawartej w jednym wyrazie: „łżesz", zdaje się w tem miejscu zamieszczonej, gdzie Prądzyński oświadcza, że na polach Grochowa radził Chłopickiemu, ażeby przed przybyciem korpusu grenadyerów

Szachowskiego, uderzył z całemi rozporządzalnemi siłami na armię rosyjską. W każdym razie zaznaczyć należy, że zawartość memoryału Prądzyńskiego znaną już była dawniej historykom naszym. Mierosławski Ludwik, w swem obszernem dziele, kampanię w 1831 roku przedstawiającem, cytował wyjątki z owego memoryału, a zwłaszcza ustępy, dotyczące negocyacyi dyplomatycznych podczas szturmu Warszawy.

Memoryał Prądzyńskiego jest niewątpliwie ważnym z wielu względów dokumentem, i to zarówno historycznym, jak i politycznym. Wdzięczni więc powinniśmy być generałowi Puzyrewskiemu, iż, publikując tekst francuski, dał tem samem możność rozpowszechnienia polskiego przekładu „Memoryału“, który co najwyżej bardzo mało i niedostatecznie był znanym naszemu społeczeństwu. Historycznym dokumentem do dziejów kampanii z 1831 roku, był „Pamiętnik“ Prądzyńskiego bardzo ważnym i cennym z tego względu, że w nim mógł autor wiernie skreślić swój udział w tej walce, a to jedno było dostatecznem, aby memoryałowi zapewnić trwałą i niespożytą wartość. Prądzyński rozwinął bowiem w ciągu kampanii zdolności strategiczne w sposób zdumiewający, jako wódz pod Iganiami okazał się zdeterminowanym, a jako żołnierz, nieustraszonym, zarówno w ogniu, jak i wobec przemagających sił nieprzyjaciela. Willisen w swem znanem dziele: „Theorie des grosen Krieges“, uznaje zdolności Prądzyńskiego i mniema, że były nawet zbyt wielkiemi jak na szefa sztabu, dając tem do zrozumienia, że wobec takich zdolności, samodzielność wodza naczelnego musiała być na szwank narażoną. Istotnie też, wyjątkowe zdolności zapewniały Prądzyńskiemu wyjątkowy wpływ w armii polskiej. Opisanie więc tego wpływu osobistego było dla historyi cennem źródłem, chociaż posiłkujący się niem dziejopisarz powinien zachować niezbędne środki ostrożności, albowiem autor memoryału mógł powiedzieć o wypadkach, a przedewszystkiem o kampanii 1831 roku „quorum pars magna fui“, a więc opisy jego i wspomnienia zawierać musiały z konieczności dużo pierwiastków politycznych, przystępnych dla namiętności i tendencyi.

Prądzyński mimowoli był zniewolony zastanowić się nad powodami rewolucyi 1831 roku, również niejednokrotnie wyrażał swój

sąd krytyczny odnośnie do postępowania rządu, sejmu i naczelnych wodzów armii. Zanadto zaś był bystrym i przenikliwym, aby nie przewidzieć zarzutów, jakie przeciwko niemu podniosą historycy polityczni i wojskowi za zachowanie się jego podczas szturmu Warszawy. Z góry zatem można było oczekiwać, że w jego memoryale ujawnią się pewne tendencye polityczne, dążące do usprawiedliwienia siebie, a potępienia przeciwników. Słusznie więc uczynił generał Puzyrewski, posiłkując się memoryałem Prądzyńskiego oględnie i ostrożnie. Łatwo bowiem było z owej oryginalnej dyskretności, jaką autor memoryału względem faktów i ludzi zachował, dostrzedz, że charakter jego nie dorównywał zdolnościom, o których można było powiedzieć, że prawie były genialnemi.

Pomimo, że Prądzyński uprzedził o tem, iż mało może powiedzieć o wypadkach, które poprzedziły wojnę, znajdujemy jednakże w memoryale kilka szczegółów o postępowaniu Nowosilcowa, następnie o zachowaniu się ówczesnego naczelnego wodza, które świadczą, iż na odwadze cywilnej mu nie zbywało. Słuszności też jego uwagom i spostrzeżeniom nie można było odmówić, gdy utrzymywał, że w rewolucyi polskiej nie było ani śladu nienawiści plemiennej przeciw Rosyi; co więcej, ani wśród narodu, ani również wśród wojska nie było nigdy niechęci ku monarsze. Co prawda, sam przedstawiciel władzy, przed którym wszystko się korzyło i któremu potęgę nadał sam cesarz, przyjął za zasadę osłabiać powagę swojego monarchy, bądź przez wyniosłą impozycyę, okazywaną najwyższym urzędom, bądźto z powodów natury czysto prywatnej. Zdaniem Prądzyńskiego, ruch rewolucyjny warszawski w początkach swoich nie był bynajmniej poważniejszym, od takiegoż ruchu w Petersburgu w roku 1825. Gdyby też do Warszawy wkroczyły wszystkie wojska, jakie były pod ręką, gdyby dano dowód takiej odwagi, jaką okazał cesarz w podobnym wypadku, rewolucya zostałaby stłumioną w zarodku. Wojska polskie, które zewsząd dążyły ku Warszawie, wyruszyły przecież w celu oddania się pod rozkazy Wielkiego Księcia, i słuchały jego rozporządzeń.

Jasno i logicznie wykazał Prądzyński, na kogo spadała główna wina nieumiejętnego działania, które samorzutnemu ulicznemu ruchowi, pozwoliło rozwinąć się w pełną rewolucyę. Również wyro-

zumiałym, i w wielu razach trafnym jest sąd autora memoryału o zachowaniu się rady administracyjnej i sejmu. Dopiero gdy przyszła kolej na wojsko polskie, spotykamy się z zarzutami, w których słuszność niepodobna zupełnie uwierzyć. Prądzyński największe niedostatki i demoralizujący wpływ na wojsko, przypisuje wprawdzie ówczesnej naczelnej komendzie, w czem, jak to już powtórnie konstatuję, daje dowód niezwykłej odwagi cywilnej, ale niepojętą pozostanie lekkomyślność, okazana w następujących słowach: „Od tego czasu (przed 1830 rokiem), dowódcami pułków i bateryi stali się ludzie, którzy zapatrywali się na służbę wojskową wyłącznie tylko, jako na środek zdobycia majątku, ciągnąc korzyści z administrowania tem, co posiadali w swych rękach, i uważając swoje oddziały za rodzaj starostw. Co się zaś tycze generałów, ci po największej części byli ludźmi zużytymi, traktującymi swoje obowiązki jako synekury, które im pozwalały kończyć swą karyerę w sposób najdogodniejszy“.

Sądem doraźnym uczynił więc Prądzyński wszystkich wyższych oficerów wojsk polskich niedołęgami, a co gorsza, ludźmi, którzy zapomnieli o elementarnej zasadzie rzymskiego prawa: „suum cuique tribuere, neminem laedere et honeste vivere“, Ważniejszem jest jednak, iż owe krzywdzące i hańbiące zarzuty uczynił gołosłownie, przyrzekłszy z góry zachować dyskretność w swoim memoryale. Niema najmniejszej potrzeby odpierania nieudowodnionych niczem zarzutów; pozwolę też sobie jedynie nadmienić, iż żaden z późniejszych pisarzów nie potwierdził takowych, owszem, panowało jednozgodne przekonanie, że wszelkie wyzyskiwania swego oficerskiego stanowiska były za naczelnego dowództwa W. Ks. Konstantego niezwykle trudnemi do uskutecznienia. Naczelny wódz ścigał z nieubłaganą surowością wszelkich samozwańczych starostów, a system denuncyacyjny, panujący wówczas wszechwładnie, dawał gwarancyę pewną, iż podobne przewinienia nie pozostaną długo w ukryciu. Gdzież jest więc lista procesów przeciwko pułkownikom i dowódcom bateryj? gdzie przynajmniej dowody, że opinia publiczna wytykała i wskazywała podobnych winowajców? Nic z tego nie przytoczył Prądzyński, i bez żadnego dowodu zohydził w swym memoryale

szereg oficerów, którzy prawie bez wyjątku, wywalczyli sobie chlubne i nieposzlakowane imię w kampaniach napoleońskich.

Zarzut Prądzyńskiego, uczyniony generałom polskim, że byli zużytymi, uważać należy również za nieoględny i niesłuszny. W owe czasy, gdy memoryał był pisany, we wszystkich armiach europejskich, pozostawiano generałów brygad, dywizyi i korpusów, pomimo sędziwego wieku na swem stanowisku. Sędziwość nie przeszkodziła też ani Kutuzowowi, ani Blücherowi, ani później Radeckiemu dowodzić całą armią; tembardziej więc, nie uważano za nic nadzwyczajnego spotykać się ze starymi generałami niższych stopni. Ale czy owi starzy generałowie wypełniali źle swe obowiązki na polu bitwy w 1831 roku? Czy tracili tak wiele na porównaniu z młodymi? O Dwernickim mawiano na przykład, że nie potrafi dosiąść konia i odbyć kampanii; nie przeszkodziło mu to niejednokrotnie szarżować na czele jazdy, i zdobyć sobie przydomka dostawcy armat (Fournisseur de canons. Canonen-lieferant), a Willisen upatrywał w jego temperamencie bojowym dużo podobieństwa do Blüchera. Sierawski, który pod Borysowem w roku 1812 zdobył sobie szlify generalskie, dał na czele młodych pułków dowody nieustraszonej odwagi i niewyczerpanych sił. Wreszcie Sowiński, który pod Możajskiem w roku 1812 utracił nogę i zginął na stanowisku, które sobie wyprosił, śmiercią bohatera — wszyscy owi zużyci generałowie w kampanii 1831 roku zachowywali się, jak pełni energii młodzieńcy, a wszystkie błędy, jakie popełnili, spadają w postaci ciężkiej winy na naczelną komendę.

Istotnie, jeden tylko zarzut, uczyniony przez Prądzyńskiego generałom polskim, wydaje się być uzasadnionym, a mianowicie, że żaden z nich nie miał wybitniejszych kwalifikacyj na naczelnego wodza. Żaden z nich, zdaniem Prądzyńskiego, nie potrafił ułożyć jasnego planu ruchów całej armii, nikt nie umiał przeprowadzić bitwy z zimną krwią i bystrością umysłu, nikt nie pojmował znaczenia jednoczesnego użycia rozmaitych broni w taki sposób, aby pomagały sobie wzajemnie, i wspólnem działaniem wywoływały największy, możliwy efekt. Z tem wszystkiem bitwa pod Grochowem przekonała szybko Prądzyńskiego, że Chłopicki był nietylko dzielnym żołnierzem, ale i doświadczonym generałem, pomimo, że brak

mu było orlej przenikliwości, która potrafi natychmiast dostrzedz błędy nieprzyjaciela, i w lot z nich skorzystać.

Najpowierzchowniejszą jednak była ocena wojska polskiego, zawarta w memoryale Prądzyńskiego. Zdaniem autora, w epoce rewolucyi, wojsko polskie było doskonale przygotowane do świetnych parad, ale nie do wojny. Jego entuzyazm tylko na czas krótki mógł zastąpić brak karności, entuzyazm równie szybko znika, jak powstaje, pierwsze niepowodzenie go zabija. Tylko karności, wrodzonej geniuszowi narodowemu, i wzmocnionej przez sam czas, oraz przez instytucye tradycyjne, karności takiej, jaka panowała w wojsku rosyjskiem, jaką się również odznaczali Rzymianie, nie osłabiają ani zwycięstwa ani porażki. Dziwić się należy, że Prądzyński nie dostrzegł, w jak rażącej sprzeczności pozostaje jego paradoksalny ustęp z treścią całego memoryału. Po niepowodzeniach bowiem pod Grochowem, Ostrołęką, entuzyazm zarówno starych, jak młodych pułków, zamiast ginąć, ciągle się potęguje. Karność ugruntowana na patryotycznem uczuciu, utrzymuje się nieustannie, i żołnierz idzie w ogień nieustraszony, słuchając głosu swych dowódców. Owe też pierwszorzędne przymioty niekłamanego zapału i wzorowego posłuszeństwa zachowało wojsko polskie nawet podczas śmiertelnych zapasów w szturmie Warszawy, a więc w dobie, kiedy Prądzyński zdołał zapomnieć o tem, jakie zajmuje stanowisko, i jakie na nim ciążą obowiązki.

Po usunięciu się Chłopickiego, ubiegali się otwarcie o główne dowództwo: Krukowiecki, Szembek, Skrzynecki i nieco później Umiński, gdy przybył do Warszawy. Wojsko i publiczność wskazywały przytem na Rybińskiego, Kołaczkowskiego, Chrzanowskiego i Prądzyńskiego. Ci, którzy rozpoczęli rewolucyę, pragnęli mieć wodzem Zaliwskiego, albo Sierawskiego. Później nieco Władysław Zamoyski, Ramorino i Bem znaleźli się również w szeregu kandydatów na tę godność. Dzisiaj, gdy cały bieg wypadków wykazał wartość tych osób, pisze Prądzyński, jestem przekonany, że tylko jeden Chłopicki był odpowiedni na wodza. Jednakże ów Chłopicki, zdaniem autora memoryału, nietylko skrępował organizacyę armii, ale na polu bitwy pod Grochowem, okazał się duchowym krótkowidzem, nieumiejącym ocenić rad strategicznych Prądzyńskiego. Zresztą,

Chłopicki, raniony pod Grochowem, znikł z widowni wojennych wypadków, a ambicya fałszywa, przybierająca postać pospolitej buty, nie pozwoliła mu zjawić się napowrót w obozie, aby przynajmniej spełnić obowiązek obywatela-żołnierza, gdy nie było mu danem na stanowisku wodza zjednać sobie powszechnego uznania.

Kwestya naczelnego dowództwa była też na porządku dziennym, i trzeba przyznać, była kwestyą najkapitalniejszą, od której zależało powodzenie i ostateczny ratunek całej sprawy. Prądzyński przyznaje, iż jeszcze przed bitwą grochowską wojsko i publiczność wskazały między innymi na niego, jako na jednego z kandydatów na naczelnego wodza. Wojsko i publiczność! Te dwa ważne i cenne czynniki, i co one mogły sobie upatrzyć w młodym oficerze inżynieryi, który w kampanii 1812 roku nie zdziałał nic sławnego ani imponującego. Współkandydaci Prądzyńskiego mieli już pewną przeszłość wojskową. Rybiński naprzykład pod Borodinem na czele batalionu piechoty opanował wzgórze (Mamelon), stanowiące główną pozycyę nieprzyjaciela, i nie dał się przez godzinę czasu wyrzucić całemu korpusowi Tuczkowa, który w tem starciu poległ. Chrzanowski zaś jako oficer inżynieryi, odbył wojnę turecką pod rozkazami feldmarszałka Dybicza, a więc polecało go krajowi doświadczenie świeżo nabyte, Prądzyńskiego jednak mogły polecać wyłącznie świetne zdolności na stanowisko naczelnego wodza, i musiało wojsko zarówno jak i publiczność o tych zdolnościach coś wiedzieć i mieć o nich należyte przeświadczenie, jeżeli zamieściło go w rzędzie swych ulubieńców i upragnionych kandydatów.

Bitwa pod Grochowem wystawiła Prądzyńskiemu jaknajświetniejsze świadectwo. Być bardzo może, że wojsko nie dowiedziało się tak prędko o jego trafnych, i niestety nieposłuchanych radach, ale widziano go na czele piechoty, wyrzucającego nieprzyjaciela z Olszynki, a gdy wojsko było już bez naczelnej komendy, on to wysłał bateryę Skalskiego przeciwko kirasyerom ks. Alberta, i demoralizował racami kongrewskiemi ową wspaniałą jazdę. W bitwie pod Grochowem rozwinął więc Prądzyński niepospolity talent strategiczny. Wzrok jego na pobojowisku okazał się przednio orlim, a nieustraszoność szła z talentem w zawody, i można mu wierzyć, gdy

zapewnia, że w Olszynce Grochowskiej miał razem z Chłopickim ubranie, podziurawione kulami jak rzeszoto.

Bitwa Grochowska obudziła wprawdzie w Prądzyńskim szacunek dla wojska polskiego, ale nie obudziła w nim bynajmniej świadomości i wiary w potęgę własnego ducha, ani pragnienia, aby dla zbawienia sprawy stanąć na czele armii, która chrzest bojowy przebyła w tak świetny sposób. Sam też pomagał Skrzyneckiemu do otrzymania naczelnej buławy, nie dlatego bynajmniej, aby go uważał za odpowiedniego, ale że go popierał ks. Adam, i że wyobrażano sobie, że gdy Skrzynecki stanie na czele, mając przy boku swoim przewodników, dyrygujących jego akcyą, wszystko pójdzie lepiej. Przyznaje się Prądzyński do tego, że się zawiódł na Skrzyneckim, ale owego przyznania się nie można uważać za usprawiedliwienie, albowiem Prądzyński wiedział o tem dobrze, że Skrzynecki nie posiadał tej iskry ognia świętego, która tworzy wodza, i której nie można zdobyć ani przez czytanie, ani w szkole, lecz potrzeba się z nią urodzić.

Pomógłszy Skrzyneckiemu do otrzymania naczelnej komendy, Prądzyński przypisuje mu zaraz skryte zamiary, które nie mają nic wspólnego z dyskretnością, jaka miała panować w memoryale. Zdaniem Prądzyńskiego, Skrzynecki, stanąwszy na szczycie, pragnął zyskać możność utrzymania się na tej wysokości zakończeniem sprawy bez wojny. Powziął więc myśl wystąpienia do feldmarszałka z propozycyami pokojowemi, a uszczęśliwiała go nadzieja, że będzie mógł zastąpić Zajączka na stanowisku namiestnika w Królestwie. Po bitwie zaś pod Dembem-Wielkiem, plany jego sięgały daleko wyżej. W krzywdzących insynuacyach względem Skrzyneckiego posunął się Prądzyński nawet tak daleko, że pomówił go o robienie oszczędności na stanowisku naczelnego wodza. Taki sąd nieubłagany wolno było wydawać historykowi, mającemu pewne dowody w ręku, w ustach jednak Prądzyńskiego owe gołosłowne zarzuty i zjadliwe pomówienia przykre czynią wrażenie, bo zdają się być obliczonemi na odwrócenie uwagi od podobnych negocyatorskich zachceń, jakie ogarnęły Prądzyńskiego podczas szturmu Warszawy.

Najważniejszemi dla historyka pozostaną te ustępy memoryału Prądzyńskiego, w których opisuje, jak błędy naczelnej komendy

nieprzyjacielskiej nasunęły mu myśl zniweczenia armii Dybicza. „Z uwagą, pełną niepokoju — pisze Prądzyński — śledziłem ruchy wielkiej armii rosyjskiej. Zdawało mi się, że uśmiecha się nam szczęście, którego dotąd nie oczekiwałem. Zdawało mi się bowiem, iż można było wówczas, wyszedłszy z Pragi z 50,000 ludźmi (około 8 (20) marca) napaść na obozy feldmarszałka i rozbijać jego armie po kolei, a wówczas, idąc naprzód, oddzielić ostatecznie na cały czas wojny korpus gwardyi od korpusu, którym dowodził generał Toll. Takim marszem zmusilibyśmy obu do odwrotu, zajęlibyśmy gubernie zachodnie, któreby wówczas dały znaczne zasiłki do dalszego prowadzenia wojny, i dopiero po tych wypadkach moglibyśmy zyskać sobie jakiego sprzymierzeńca, albo interwencyę państw europejskich“.

Niedość, iż Prądzyński orlim wzrokiem ogarnął cały horyzont wojenny, i obmyślił po mistrzowsku zgubę nieprzyjacielowi, ale w dodatku przedsiewziął przygotowawczo szereg rekonesansów, któreby zamaskowały jego myśl przewodnią. Okoliczności złożyły się sprzyjająco po temu, ale trzeba było na wykonanie owych rozległych planów pozyskać zgodę naczelnego wodza. Wtedy też mógł się Prądzyński stanowczo przekonać, że w dziejach nie powtarzają się podobne zdarzenia, i że stosunek Gneisenaua do Blüchera nadaremnie pragnął on wskrzesić w swoim stosunku do Skrzyneckiego. Bądź co bądź, odbywały się częste narady nad owym planem z naczelnym wodzem, którym asystował Chrzanowski. Prądzyński przekonywał, że nawet roztopy wiosenne sprzyjają armii polskiej, albowiem paraliżują działania artyleryi, w którą wojsko nieprzyjacielskie było zasobniejsze.

Zanim Skrzynecki zdołał powziąć ostateczną decyzyę, wystąpił Chrzanowski z nowym planem, podług którego należało prawie z całem wojskiem iść pod Modlin, na prawy brzeg Narwi, i stoczyć przedewszystkiem bój z gwardyą. Chrzanowski i Prądzyński bronili gorąco swoich projektów, ale, zdaniem autora memoryału, Skrzynecki nie był zdolny do rozważenia owych projektów krytycznie, a tembardziej do skreślenia planu własnego. Skłaniał się jednak w stronę Chrzanowskiego, uśmiechała mu się bowiem myśl zmierzenia się z gwardyą. Projektowi zaś Prądzyńskiego zarzucał,

iż niepodobna atakować Geismara, gdyż ten zamknął się w wałach i zajmuje miejsce, na którem Polacy dwa razy przegrali bitwę. W każdym razie, Skrzynecki nie był jeszcze zdecydowanym, ale widocznem się stawało, iż albo wpływ osobisty Chrzanowskiego, lub Prądzyńskiego zwycięży i skłoni wodza do wybrania jednego z owych projektów.

„W tym czasie — pisze Prądzyński — zachorowałem obłożnie, Chrzanowski objął kierunek w zakresie mojej służby, pod nieobecność moją, naturalnie jego wpływ zwyciężył. Naczelny wódz polecił mu wydać odpowiednie dyspozycye, i to tem chętniej, iż one nie zmuszały go do opuszczenia Warszawy, na co podczas całej wojny decydował się z najwyższą niechęcią i trudnością. W tym właśnie czasie, odzyskawszy władzę mówienia, której byłem pozbawiony, natychmiast pobiegłem do Skrzyneckiego, ażeby jaknajsilniej zaprotestować przeciwko wszystkiemu, co uczynił, twierdząc natomiast, że nietylko z lekkiem sercem wyrzeka się zwycięstwa, które los nam ofiaruje, ale co większa, gubi armię i całą sprawę, która wskutek takiego rozdrobnienia sił nie potrwa dłużej niż miesiąc. Rozpoczęliśmy gwałtowną kłótnię między sobą, rozwinąłem cały zasób swej wymowy, dowodziłem mu, że zwycięstwo nad Geismarem nie podlega najmniejszej wątpliwości, i że nawet gdybyśmy nie narażali się na walkę z feldmarszałkiem, którego imię miało coś przerażającego dla Skrzyneckiego, to i wówczas taka nowa wycieczka z Pragi uniemożliwi mu przejście przez Wisłę, a przez to, tym jednym krokiem ocalimy Warszawę. Zdawało mi się, że ta myśl uderzyła Skrzyneckiego, podwoiłem więc usiłowań, aż osłabł w swoim oporze, ale wstrzymywał go jeszcze wstyd fałszywy odwoływania wydanych rozkazów i przerywania akcyi, w części już uskutecznionej. Upewniłem go więc, że wszystko, co dotychczas uczyniono, wytłumaczymy, jako bardzo uczony manewr, w celu oszukania nieprzyjaciela. Nakoniec udało mi się wywalczyć zgodę naczelnego wodza na wykonanie mojego planu“. Zgoda ta jednak nie poprawiła bynajmniej opinii, jaką już wytrwale żywił o nim Prądzyński. Zdaniem autora memoryału, można już było wtedy przewidywać, w jak opłakany sposób będzie prowadzić wojnę Skrzynecki, który z taką trudnością zdecydował się na krok tak prosty, straciwszy kilka ty-

godni najgorętszego czasu na wahanie się i rozrzucanie w rozmaitych, dalekich kierunkach kilku korpusów, podczas gdy co najmniej przed piętnastu dniami powinien był wyjść z Warszawy z całem naszem wojskiem, i walcząc bez ustanku, pójść aż za Bug.

Zwróciłem uwagę na ów ważny moment w życiu Prądzyńskiego, dlatego właśnie, że zapewnił mu nieśmiertelne imię w dziejach wojskowości polskiej, a zarazem i dlatego, że przekonaćby go był powinien raz na zawsze, że najświetniejsze plany, noszące na sobie ślady geniusza napoleońskiego nie są wystarczającymi, gdy wykonanie ich zależnem jest od wypadkowego kaprysu naczelnej komendy. Ocenienie planu Prądzyńskiego przez fachowych, wojskowych historyków naszych i obcych było najkorzystniejszem, trudno przytem odmówić rzetelnego podziwu i uznania mężowi, który odzyskawszy zaledwie mowę, pobiegł do Skrzyneckiego, aby go zdobyć i zniewolić do wykonania swego planu. Zachowanie się Prądzyńskiego w przededniu poważnej i szczęśliwej akcyi wojennej i pozwalało cieszyć się nadzieją, że w stosunkowo krótkim czasie, geniusz jego strategiczny dojrzawszy, pocznie wydawać wspaniałe owoce, a w dodatku że charakter jego w walce z przeciwnościami umocni się i zapewni w przyszłości pomysłom jego oraz planom zupełne zwycięstwo wobec naczelnego wodza.

Plan Prądzyńskiego, dążący do zupełnego zniweczenia armii feldmarszałka Dybicza, został w wykonaniu opóźnionym, i dzięki całemu szeregowi błędów Skrzyneckiego, okaleczonym. Rezultat też bitew pod Wawrem, Dembem-Wielkiem i Iganiami był zupełnie skromnym w porównaniu z zamierzonym celem, ale przynajmniej był niezaprzeczonym wawrzynem, który przedewszystkiem powinien był spowić czoło Prądzyńskiego, gdyż cała akcya była poczętą z jego ducha. Jeżeli naczelny wódz nie poczuwał się do wdzięczności dla Prądzyńskiego, i własnej miernocie przypisywał laury, które zbierał, to inaczej należało sądzić o armii i kraju, które, niepodobna przypuścić, aby nie dostrzegły, komu zawdzięczają jedną z najpiękniejszych kart wojennej historyi.

Przebiegu samej akcyi powtarzać nie będę, ani też utyskiwań Prądzyńskiego nad tem, że na każdym kroku niedołęstwem wykonania zmniejszano rezultat jego planów. Zaznaczę jedynie, że i tym

razem okazał się Prądzyński nietylko wybornym strategikiem, ale i sprawiedliwym sędzią względem swoich towarzyszów. Pisze bowiem, że bitwę pod Dembem-Wielkiem wygraliśmy dzięki jednemu śmiałemu krokowi. Myśl, podana przez Chrzanowskiego, należy przyznać, była bardzo szczęśliwą. Kazimierz Skarżyński wykonał zaś ją w sposób jaknajświetniejszy. Widzimy więc, że autor memoryału nie zaparł Chrzanowskiemu pomysłu atakowania całą dywizyą jazdy nieprzyjaciela, ani Skarżyńskiemu świetnego wykonania powyższego planu. Zawiści zatem ani zazdrości, czyli owych uczuć znamionujących zazwyczaj płytkie umysły i nizkie charaktery, nie spotykamy w Prądzyńskim, i w uznaniu zasług, czy talentu swych towarzyszów, nie upatrywał własnej krzywdy, czy też własnego poniżenia.

Nazajutrz po bitwie pod Dembem-Wielkiem, Prądzyński nalegał usilnie na to, ażeby wódz korzystał z entuzyazmu, jakie w wojsku musiały wzbudzić zwycięstwa, i z całą siłą, bez najmniejszej straty czasu, dążył przeciwko Dybiczowi, przeciwko któremu mógł zgromadzić 40 tysięcy żołnierza. Ale gdy przedstawiał plan uderzenia na feldmarszałka, a co więcej, rozbicia go, Chrzanowski się irytował, a Skrzynecki żartował sobie z Prądzyńskiego. Wojska już ruszały do pochodu, a naczelny wódz jeszcze się nie mógł zdecydować, w którą stronę je posłać. Wtedy to przyniesiono tekę Rozena, znalezioną przy trupie jego kozaka służbowego. W owej tece znajdowały się instrukcye Dybicza, przesyłane Rozenowi, i one to skłoniły Skrzyneckiego do marszu na Siedlce.

Opisując bitwę pod Iganiami, w której komenderował naczelnie Prądzyński, przyznaje się otwarcie i szczerze do popełnionych błędów. Przedewszystkiem do obserwowania ważnych punktów przeznaczył za wielkie oddziały wojsk. Tymczasem, mając przed sobą bitwę, należy łączyć oddziały, a nie pozbywać się ich. Przed bitwą zaś pod Iganiami, Prądzyński, pozbył się 3,000 ludzi, którzyby mu byli bardzo pożytecznymi podczas walki. Zaledwie też w 6,000 żołnierzy stanął wobec całego korpusu Rozena, a śmiałym i obliczonym należycie atakiem, wydobył się zwycięsko z bardzo trudnego położenia, w którem go bezczynnością swoją pogrążył Skrzynecki. W każdym razie, w bitwie pod Iganiami, okazał się Prądzyński wybornym i nieustraszonym wodzem. Błyskawicznym rzutem oka

ocenił wszystkie właściwości specyalne terenu, i potrafił je wyzyskać dla odpowiednich gatunków broni. Przewagę sił nieprzyjacielskich zrównoważył zdeterminowanym atakiem, który podniósł serce żołnierza, nie zdradzając przed nieprzyjacielem niedostatecznych sił własnych. Prócz tego, wszelkie nieprzewidziane z góry zwroty i manewra armii nieprzyjacielskiej nie zastały Prądzyńskiego nieprzygotowanym, ani zdołały zachwiać jego postanowieniem stoczenia wstępnego boju. Nie usłuchał też rad Kickiego, który go namawiał do nieprzyjmowania w tak niekorzystnych warunkach boju, i gdyby nadciągnął z pomocą Skrzynecki, jak to był powinien uczynić, zwycięstwo pod Iganiami zakończonem, a raczej uwieńczonemby zostało doszczętnem zniszczeniem korpusu Rozena.

W dalszym ciągu, w memoryale swym opisuje Prądzyński porażki Sierawskiego, stratę korpusu Dwernickiego i ze zmiennem szczęściem prowadzone walki Chrzanowskiego. Pominę owe fakta wojenne ze względu, że są już należycie przez historyków wyjaśnione, a zatrzymam się dłużej nad temi ustępami, w których Prądzyński kreśli swe plany akcyi zaczepnej, i opowiada, jaką ciernistą i krzyżową dolę zgotowała mu ograniczoność i uporczywość naczelnego wodza. „Codziennie — pisze Prądzyński — przedstawiałem naczelnemu wodzowi projekt, który przedewszystkiem zależał na tem, aby zaatakować armię nieprzyjacielską 6 dywizyami, czyli trzema korpusami w ten sposób, aby w razie zwycięstwa wepchnąć ją w widły, utworzone przez trzęsawiska Kostrzynia i Liwca. Gdyby zaś armia polska została odpartą, aby się mogła cofać do Potyczy, przez kraj zarosły i obfitujący w naturalne przeszkody, osłaniające odwrót. Prądzyński występował z tej zasady, że jeżeli sami nie rozpoczniemy operacyj wojennych w czasie, gdy to będziemy mogli uczynić z korzyścią dla siebie, skończy się na tem, iż zostaniemy zaskoczeni z nienacka w najnieodpowiedniejszej chwili, i w sposób dla nas najfatalniejszy. Projekt Prądzyńskiego wywoływał między nim i naczelnym wodzem debaty bez końca, z każdym dniem coraz bardziej męczące. Raz armaty Dybicza miały stać na przeszkodzie jego wykonaniu, to znowu kirasyerzy, a wreszcie i ten wzgląd, że nie można atakować armii na pozycyi.

Pewnego dnia Prądzyński zdołał namówić Skrzyneckiego, żeby

z nim pojechał do forpoczt, w celu obejrzenia obozu rosyjskiego, który widać było stamtąd dokładnie. Spostrzegł wówczas szańce pod Suchą, i od tego czasu na wszelkie propozycye odpowiadał: Jakto? atakować fortyfikacye? A gdy wszelkie perswazye nie pomagały, wówczas Prądzyński musiał powrócić do dawnego planu wyprawy przeciw gwardyi. Na tę ostatnią zgodził się wprawdzie wódz naczelny, ale okazał tyle chwiejności i braku determinacyi, że wyprawa, zamiast zniszczeniem korpusu gwardyi, zakończyła się fatalną przegraną pod Ostrołęką.

Zachowania się Skrzyneckiego na radzie wojennej po ostrołęckiej bitwie, nie przedstawia autor memoryału w zbyt korzystnem świetle. Podczas drogi do Warszawy zalewał się łzami, powtarzając nieustannie: „Finis Poloniae“, lub: „przegraliśmy najhaniebniej bitwę“. Gorzej jednak, że naczelny wódz nie mógł ukryć swego duchowego rozstroju, i wysłał list do rządu donoszący, że wszystko stracone. Słusznie Prądzyński zauważył, że dzień Ostrołęki był istotnie dniem hańby, ale tylko dla naczelnego wodza, gdyż armia polska zasłużyła sobie na owem pobojowisku na zaszczytną wzmiankę. Co więcej nawet, Prądzyński, który zarzucał armii polskiej brak karności, utrzymując, że entuzyazm, który pierwotnie ożywiał jej szeregi, po pierwszych niepowodzeniach zniknie, teraz przyznaje, że zdemoralizowanie skutkiem klęski ostrołęckiej ogarnęło tylko Skrzyneckiego i zaledwie kilku generałów, wojsko zaś tylko przyszło do siebie i gotowe było wyruszyć przeciwko nieprzyjacielowi.

Ale naczelny wódz bynajmniej o tem nie myślał, i oddał się zupełnie podkopywaniu stanowiska ówczesnego rządu z skrytym zamiarem pochwycenia samemu steru władzy, lub przynajmniej oddania go księciu Adamowi. W tym czasie Prądzyński znowu zachorował, i leżąc w łóżku, mógł się tylko oddawać rozważaniom o położeniu sprawy publicznej i własnej. Wszystko, co robił Skrzynecki przed Ostrołęką i pod Ostrołęką doprowadziło Prądzyńskiego do przekonania, że gubi całą polską sprawę i skazuje całą armię na śmierć, bez żadnej nadziei wywalczenia jakiegokolwiek rezultatu. „Zdawało mi się, — pisze Prądzyński — że jest moim obowiązkiem, tak względem naszej sprawy, jak i względem mych kolegów, zakomunikować rządowi moje spostrzeżenia, które miałem sposobność

zrobić, zajmując stanowisko generalnego kwatermistrza. Nadto skłaniał mnie do tego wzgląd i na samego siebie, gdyż uważano mnie ogólnie za kierownika wszystkich operacyj. Nie mogłem więc milczeć, nie przyjmując za niego na siebie odpowiedzialności za wszystkie głupstwa, dotychczas popełnione". Począwszy więc od księcia Adama, podał Prądzyński kilku członkom rządu myśl, aby skłonili Skrzyneckiego do zrzeczenia się naczelnego dowództwa, za coby mu powierzono albo gubernatorstwo Warszawy, albo stanowisko członka rządu.

Skrzyneckiego nie tak łatwo było jednak wysadzić z siodła; czuł, iż ma silną partyę w sejmie, a w dodatku wszyscy członkowie rządu podzielali to samo przekonanie i bali się energiczniej wystąpić przeciwko niemu. Skończyło się na tem, że Prądzyński wystąpił ze sztabu, a Łubieńskiego zamianowano szefem sztabu, ale i w tem smutnem położeniu wyszła na jaw przewaga moralna Prądzyńskiego, i jego uznanie, jakie pozyskał sobie w armii. Nowy szef sztabu nie śmiał przedsięwziąć nic samodzielnego, i przedstawiał naczelnemu wodzowi jedynie plany Prądzyńskiego, tając starannie ich pochodzenie i autora. Nareszcie, gdy niedołęztwo naczelnej komendy stawało się coraz to widoczniejszem, za inicyatywą Niemojowskiego Bonawentury utworzono komisyę do rozejrzenia spraw wojennych, które się składała z członków rządu, ośmiu członków sejmu i około 12 generałów. Prezesem tej komisyi został książe Adam, ale wiceprezesem mianowano Skrzyneckiego, wbrew wszelkim względom przyzwoitości. W wigilię posiedzenia, Prądzyński otrzymał od szefa sztabu wezwanie; aby przyjął udział w rzeczonej komisyi, i wtedy, kierując się głosem swego sumienia, napisał memoryał, w którym wyłożył cały przebieg wojny, i uzasadnił przekonanie, że naczelne dowództwo jest ciężarem zbyt wielkim dla sił Skrzyneckiego. Memoryał powyższy zakomunikował Prądzyński księciu Adamowi, ale na sesyi znaleźli się wszyscy w przykrem położeniu, z powodu obecności Skrzyneckiego. W dodatku, naczelny wódz oświadczył, że zabrania swoim generałom mówić cokolwiekbądź nad to, co zostało dozwolonem, i zdołał zmusić tym wykrętnym manewrem Prądzyńskiego do milczenia. Sesya wzięła nawet obrót męczący i śmieszny; jedyną jej korzyścią było to, że wszyscy generałowie jednogłośnie oświadczyli, że uważają sytuacyę za bardzo ciężką, i że nie pozo-

staje nic innego do zrobienia, jak tylko wyjść z całą armią na spotkanie feldmarszałka Dybicza, aby mu wydać bitwę przy pierwszem zetknięciu się, zanim się wzmocni nowemi posiłkami. Bitwa owa powinna się stać walką na życie i śmierć obu armii.

Nazajutrz po owej bezowocnej sesyi, Prądzyński odstąpił kwatermistrzostwo generalne Kołaczkowskiemu, a sam objął dyrekcyę nad oszańcowaniem Warszawy. Z tem wszystkiem Skrzynecki nie mógł się obejść bez niego, i wezwał go wkrótce do głównej kwatery, w celu wzięcia udziału w naradach, które się okazały bezużytecznemi, a nawet szkodliwemi. Dzięki też beztaktownemu postępowaniu naczelnego wodza, oświadcza Prądzyński, spadła na nas ostatnia plaga, od której dotychczas byliśmy wolni, tchórzostwo. Uciekano z szeregów w głąb kraju i dezercya wkrótce wzrosła ogromnie. Młodzi oficerowie czynili osobiście Skrzyneckiemu gorzkie wymówki i zarzuty; główna kwatera więc była widownią skandalicznych scen, które nareszcie przekonały wszystkich, że Skrzynecki nie potrafi dowodzić armią. Nareszcie, powtórna komisya, zbadawszy wszystkich wyższych i znaczną część niższych oficerów, przyszła do przekonania, że Skrzynecki jest niezdolnym, i dlatego odjęła mu wzmiankowaną godność, pozostawiając prowizorycznie naczelną komendę w rękach Dembińskiego.

Nareszcie więc pozbyto się Skrzyneckiego. Prądzyńskiemu mogło się słusznie wydawać, że przynajmniej prowizoryczny wódz podda się jego wpływowi, i w tej nadziei skreślił ryzykowny plan, który jednakże mógł być uwieńczony wielkimi rezultatami. Prądzyński postanowił z całą armią debuszować przez Sochaczew i Kocieszow, napaść i zgnieść awangardę pierwszego nieprzyjacielskiego korpusu wraz z jazdą generała Nostitza, a następnie iść dalej, nie zatrzymując się nigdzie, w celu wydania bitwy na lewym brzegu Bzury. Prądzyński przyznaje, że polskie wojsko w razie przegranej, mogło być odrzucone do Sochaczewa, ale z drugiej strony, armia nieprzyjacielska, mając za sobą Bzurę, mogła zostać rozbitą. Było to wielkie ryzyko, pisze autor, ale sprawa znajdowała się w stanie tak rozpaczliwym, że można było zaryzykować wszystko. Wydałem więc rozkazy i ruszyliśmy naprzód. Jakkolwiek Dembiński był mianowany tylko prowizorycznie, jednak zbudziła się w nim nagle

ambicya. Obraziło go to, że mu dodano doradców. Zauważono, że naradza się ze Skrzyneckim, któremu zawdzięczał swe wyniesienie, i że obaj do owych narad wezwali jeszcze Chrzanowskiego. Ci generałowie rozbudzili w Dembińskim obawę co do rozpoczętego działania, i tenże odwołał wszystko, czyli dał rozkaz do odwrotu.

Tymczasem rząd, korzystając ze swej prerogatywy, przystąpił zaraz do obioru naczelnego wodza, i mianował nim Prądzyńskiego, przesyłając wiadomość do głównej kwatery w Serokach, gdzie takową deputacya z Morawskim, ministrem wojny na czele, Prądzyńskiemu zakomunikowała. W tej ciężkiej okoliczności, pisze Prądzyński, było nad czem się zamyśleć. Gdybym chciał wybrać drogę pewniejszą i bezpieczniejszą, mógłbym, opierając się na armii, zażądać rozwiązania sejmu, oraz rządu, pochwycić władzę w swoje ręce, aby pogodzić Polaków z Cesarzem, i tym sposobem wyciągnąć z tego jak największe osobiste korzyści, ocalając zarazem swych ziomków i towarzyszów. Nie miałem jednak czasu na wszystkie te rozmyślania, musiałem zdecydować się odrazu, i jeden motyw spowodował moje postanowienie. Chciałem przedewszystkiem zachować nietkniętą opinię swoją, jako uczciwego człowieka. Tymczasem widziano ogólnie, w jaki sposób występowałem zawsze przeciwko sposobowi prowadzenia wojny przez Skrzyneckiego. Nie mogłem więc teraz objąć dowództwa, nie narażając się zarazem na podejrzenia, iż pracowałem nad upadkiem jego, aby zająć samemu posiadane przez niego miejsce, tak, jak on zrobił z ks. Radziwiłłem. Odrzuciłem więc zaszczyt zostania naczelnym wodzem, bez względu na nalegania ze strony pp. komisarzy, którzy powrócili do Warszawy.

W kilka dni później, minister wojny wraz z kilkoma posłami sejmowymi przybył znowu do głównej kwatery z powtórną nominacyą Prądzyńskiego na naczelnego wodza, z rozkazem rządu i prośbami tych, o których wiedziano, że mogli wpłynąć na niego, aby przyjął ten ciężar na swoje barki. Sam Umiński nalegał na mnie — pisze autor — osoby bardzo szanowne nakłaniały mą żonę, aby na mnie wpłynęła, a pomiędzy innymi i czcigodny Kazimierz Małachowski, któremu po mnie ofiarowano to stanowisko, a który wyrzekł się go ze względu na swój wiek podeszły. Niepodobna było więcej się upierać, byłoby to już bowiem uporem, a nawet tchórzostwem.

Oświadczyłem więc pp. komisarzom, że przyjmuję naczelne dowództwo pod jednym warunkiem, który łatwo będzie dopełnić. Przedewszystkiem obawiam się generała Krukowieckiego, obdarzonego usposobieniem niezgodnem względem tych, co stoją ponad nim, a który obecnie między nami przedstawia w sobie jedyną władzę i potęgę. Pozwolą więc panowie, iż rozpoczniemy od upewnienia się względem kierunku jego postanowień.

Zaraz wieczorem udaliśmy się do generała Krukowieckiego, którego wobec komisarzy zapytałem, czy dąży do objęcia naczelnego dowództwa? „Nie — odpowiedział — bynajmniej. Mam obowiązki względem Warszawy i im się poświęcę". — A więc generale, — zapytałem — jeżeli ja obejmę dowództwo, czy mogę rachować na pańskie poparcie i posłuszeństwo? — „Daję panu na to słowo honoru" — odpowiedział Krukowiecki, wyciągając do mnie rękę. — W takim razie, — zwróciłem się do komisarzy — macie panowie we mnie naczelnego wodza. Noc, podczas której byłem naczelnym wodzem, była dla mnie okropną, czułem bowiem cały ciężar brzemienia i odpowiedzialności, które przyjąłem do siebie. Na niepewność losów rzuciłem nietylko siebie, ale i całą moją rodzinę, z którą przychodziło mi się pożegnać raz na zawsze". W tej dla Prądzyńskiego tak okropnej nocy, przychodziły mu na myśl różne rzeczy, między niemi najpilniejsze, jak naprzykład: wskrzeszenie karności w armii, ale pozostało autorowi dość czasu i na inne sprawy, które mógł był w zupełności i z pożytkiem dla siebie pominąć. Oto bowiem, co pisze Prądzyński w dalszym ciągu o marzeniach swoich w tej okropnej nocy: „Zastanawiałem się głęboko nad kwestyą, w jaki sposób mogę najszerzej korzystać z zakresu swej władzy, aby stać się zupełnym panem swych czynów, i uniknąć oporu ze strony swych zwierzchników. Mianowicie egzystencya sejmu, a nawet rządu, stała mi też na przeszkodzie i była prawdziwem nieszczęściem wobec tej strasznej ostateczności, do jakiej doprowadzano naszą sprawę. Postanowiłem nie zwracać na obie te instytucye żadnej uwagi".

Dnia 17-go sierpnia, gdy o świcie Prądzyński siadł na konia w celu udania się do obozu, a następnie, zrobienia przeglądu korpusów, oraz przedstawienia się wojsku w nowej roli, zatrzymał się

po drodze u Dembińskiego, aby odebrać od niego dowództwo. „Zastałem tam generała Krukowieckiego — pisze Prądzyński, — obadwaj przyjęli mnie bardzo wyniośle“. Dembiński twierdził, że on tylko może ocalić sprawę, gdyż posiada ku temu środki, i uczynił już w tym względzie niektóre kroki, a więc w podatnej chwili oddawać dowództwo, znaczyłoby to samo, co zepsuć wszystko i ostatecznie zgubić sprawę. Krukowiecki ze swej strony hałaśliwie oznajmiał, że wprawdzie wczoraj obiecał mi swą pomoc, ale naturalnie tylko pod warunkiem, iż mu dam wszystkie środki do utrzymania Warszawy, a wiedział, że domagał się rzeczy niemożliwych. Pozostały mi w tych okolicznościach tylko dwie drogi: albo utrzymać całą powagę swej władzy, albo się jej zrzec zaraz. Przy pewnym wysiłku znalazłbym w swoim charakterze dość energii, aby opornych nauczyć rozumu, do tego jednak potrzebnymi były środki. Tymczasem armia dotychczas nie wiedziała nic o mojej nominacyi, a rząd, zamianowawszy mnie, przestał o mnie myśleć. Nawet batalion stojący na straży przy głównej kwaterze, wiedział tylko o tem, że generał Dembiński jest naczelnym wodzem, a Krukowiecki, któremu chwilowy terror nadał powagę, przybył do głównej kwatery ze swoją eskortą. Do moich nieszczęść brakowało tylko skandalu, jakiby wywołała walka, może nawet krwawa, między dwoma wodzami armii. Nie mogłem na to się zgodzić, chcąc więc ułatwić rozwiązanie tej kwestyi, bez wahania wyrzekłem się dowództwa i przysiągłem obu jedność i zgodę“.

Zatrzymałem się dłużej nad sprawą złożenia Skrzyneckiego z dowództwa, oraz nad zachowaniem się w tej smutnej dobie Prądzyńskiego, albowiem dwa owe wydarzenia rzucają pełne światło na charakter autora memoryału. Dotychczasowy przebieg kampanii przekonał Prądzyńskiego stanowczo, iż żaden z generałów polskich nie jest zdolnym do komenderowania całą armią, a co ważniejsza, że żadnemu z nich wygórowane i fałszywe ambicye nie pozwalały ocenić i wykonać dobrych rad, udzielanych przez Prądzyńskiego. Chłopicki nie umiał się na nich poznać pod Grochowem, Skrzyneckiego obawa przed śmiałą inicyatywą planów owych doprowadziła do katastrofy. W tym nawet wypadku, w którym się Skrzynecki dał powodować myślom Prądzyńskiego, nieudolnem działaniem i połowi-

cznem rozumieniem planu, popsuł całą wyprawę, i zamiast całą armię zniweczyć, przyprawił zaledwie jeden korpus o poważne straty. Dembiński także zaledwie otrzymał prowizoryczną komendę, a już była mu niewygodną opieka Prądzyńskiego, i pragnął się od niej w zupełności uwolnić.

Doświadczenie zatem powinno było pouczyć Prądzyńskiego, że jedynie wówczas może liczyć na wykonanie swych planów, gdy naczelne dowództwo spocznie w jego ręku. Znając zaś jego plany i widząc jego zachowanie się w boju, trudno przypuścić, aby nie pożądał tego zaszczytnego stanowiska, choćby w imię tego, że słusznie i sprawiedliwie mógł się uważać za najzdolniejszego i najodpowiedniejszego. To samo przekonanie podzielał rząd i sejm, przysyłając mu nominacyę na naczelnego wodza, a w dodatku, wśród generałów polskich było wielu takich, którzy w jego zdolnościach nadzwyczajnych widzieli jedyną rękojmię zwycięstwa. Na to powszechne i dwukrotne uznanie oraz na dwukrotną nominacyę odpowiada Prądzyński odmową, nasamprzód dlatego, że chce zachować opinię uczciwego człowieka, w przeciwnym razie bowiem można go było posądzić o to, że kopał dołki pod Skrzyneckim, a gdy powtórnie otrzymuje nominacyę, zgadza się pod warunkiem, że mu Krukowiecki przyrzecze protekcyę i łaskę.

W obu tych złowróżbnych momentach trudno zrozumieć, a tem trudniej usprawiedliwić postępowanie Prądzyńskiego. W chwili wybuchu rewolucyi nie wahał się złamać przysięgi swemu monarsze, a następnie zajmując stanowisko kwatermistrza generalnego armii, zapomina, że jedynym celem, jedynem zadaniem, któremu wszystko poświęcić był winien, to była owa starorzymska zasada — suprema lex, salus patriae. W owej stanowczej godzinie, i to bezpowrotnie straconej, zamiast ocalenia publicznego, stają przed oczyma Prądzyńskiego egoistyczne, i to w dodatku urojone względy. Kto bowiem mógł nazwać Prądzyńskiego nieuczciwym człowiekiem? kto mógł posądzać go wprost o dziecinne pobudki? gdy rząd, sejm i najwybitniejsi, oraz najzacniejsi w kraju mężowie błagali go, aby przyjął nominacyę urzędową? Nie ulega też żadnej wątpliwości, że podczas pierwszej odmowy sumienie obywatelskie Prądzyńskiego uległo zupełnemu odrętwieniu. Nic go nie ostrzegało, że tym lekkomyślnym

krokiem powiększa jedynie anarchię i podkopuje powagę rządu za to, że tenże uznał w nim zdolności i zasługi.

Następne przyjęcie naczelnego dowództwa pod warunkiem pozyskania aprobaty i poparcia Krukowieckiego, daje o charakterze Prądzyńskiego jeszcze smutniejsze wyobrażenie. Kimże bowiem był w owej dobie Krukowiecki? Niewątpliwie jedyną władzą i potęgą, ale samozwańczą, i którą terror uliczny wytworzył. Jeżeli więc pierwszą odmową Prądzyński osłabiał znaczenie rządu i sejmu, to drugiem, warunkowem przyjęciem wzmacniał i skrzepiał uliczny autorytet Krukowieckiego, o którym zresztą był najgłębiej przekonany, że przyczynić się zdoła jedynie do zaprzepaszczenia całej sprawy, Ową straszną noc, która istotnie była straszną dla kraju, ale bynajmniej nie dla Prądzyńskiego, przedstawia nam autor memoryału w sposób, który mu nie zdobędzie szacunku czytelnika. Wśród owych medytacyj nocnych staje mu przedewszystkiem, jako wodzowi naczelnemu na myśl, rodzina, z którą niewiadomo dlaczego, dopiero teraz przychodzi mu się pożegnać na zawsze. Następnie, mając zapewnioną protekcyę potęgi ulicznej i terrorystycznej Krukowieckiego, zastanawia się nad nicością rządu i sejmu, dzięki którym został wodzem, i obiecuje sobie w przyszłości nic z nich nie robić. Winienem jeszcze nadmienić, że kilka dni przedtem, zastanawiał się prócz tego nad ewentualnością oryginalnego rozwiązania całej kwestyi i chlubi się, że mogąc za obfite judaszowe srebrniki sprzedać całą sprawę, jednakże tego nie uczynił.

Ustąpienie z dowództwa, które dwukrotnie z rąk rządu i na zalecenie sejmu otrzymywał, motywuje Prądzyński chęcią uniknięcia skandalu, a może i rozlewu krwi między dwoma wodzami. Po tem jednak, co dnia poprzedniego uczynił, rezygnacya jego nabierała pozoru trwogi przed Krukowieckim, i wydała się być aktem tchórzostwa przed samozwańczą potęgą, która swoje powstanie i wzrost zawdzięczała terroryzmowi ulicznemu. Niepotrzebnie się zresztą obawiał Prądzyński skandalicznej walki między dwoma wodzami polskimi, gdyż mogła być mowa tylko o walce między wodzem a uzurpatorem, w którejby Prądzyński miał za sobą wszystkie władze, upoważnione reprezentować kraj, a przeciwko sobie kilku albo zaledwie dwóch niesfornych generałów, których łatwo było w przeciągu

dni kilku nauczyć posłuszeństwa i karności. Wreszcie zaprzysiężenie Dembińskiemu i Krukowieckiemu jedności i zgody, wyglądało wobec opinii, jaką Prądzyński miał o tych generałach, na zaprzysiężenie zguby sprawie, bronionej dotąd zaszczytnie przez siebie. W każdym zaś razie, zły duch natchnął Prądzyńskiego w owej dobie. Wypróbował on na sobie trafności orzeczenia Göthego: „Das ist die Frucht der bösen That, dass sie fortzeugend schlechteres muss gebähren“. Pierwsza bowiem odmowa, małoduszna i świecąca nicością obywatelskiego sumienia, zrodziła drugą, hańbiącą, bo zdradzającą tchórzostwo wobec brudnej, ulicznej potęgi, a w dodatku, pozbawioną wszelkiego zmysłu politycznego. Jeżeli też pierwsza odmowa podkopała znaczenie rządu i sejmu, druga rozzuchwaliła samozwańczych potentatów ulicy i zaszczepiła niekarność wśród ambitnych generałów, czyli, jednem słowem, w miejsce rozwijającej się dopiero anarchii, stworzyła demoralizacyę wyższych oficerów, rządy ulicznych wielkości i ogólne zwątpienie w możliwość zwycięstwa.

Zły duch, który opętał Prądzyńskiego, zdawał się od chwili zawarcia sojuszu z Krukowieckim i Dembińskim, coraz większą mieć nad nim władzę. Posłuchajmy tylko samego autora memoryału. Najważniejszą, jego zdaniem, była wyprawa przeciwko generałowi Rozenowi, przeciwko któremu miał wyjść cały korpus Ramoriny i dywizya kawaleryi rezerwowej, czyli około 20.000 najlepszego żołnierza z 42 armatami. Wszystkie nadzieje polegały na tej wyprawie; w istocie bowiem, należało obmyśleć takie zwycięstwo, któreby mogło okupić nawet utratę Warszawy. Rozpoczęto narady nad wyborem wodza. Czułem, że rozwinąwszy całą energię, możnaby odnieść walne zwycięstwo, ofiarowałem się więc na dowódcę. Krukowiecki odmówił, twierdząc, że obecność moja była niezbędną w Warszawie. Pozbawiono mnie tym sposobem możności skorzystania ze wszystkich wielkich szans powodzenia, które los ofiarował wysłanemu korpusowi, z drugiej strony, przeszkodzono mi zapobiedz wielkim błędom, które sprowadziły za sobą upadek Warszawy.

Tymczasem wiadomości, jakie otrzymaliśmy o korpusie Ramoriny, oraz jego własne raporty, dowodziły nam, że zdolności jego nie odpowiadały zupełnie owemu przedsięwzięciu, które nie zależało bynajmniej na walczeniu dla przyjemności, ale nakładało obowiązek

odniesienia wielkiego zwycięstwa w możliwie najkrótszym czasie. Ks. Czartoryski, który towarzyszył Ramorinie i zdrowo patrzył na rzeczy, pisywał codziennie do generała Krukowieckiego, domagając się, aby mnie tam posłano. Prezes rządu zgodził się na to, rozkazał mi udać się do Ramoriny w roli doradcy, i dał mi list do księcia z prośbą, aby zechciał być naszym pojednawcą w chwilach, gdybyśmy się z Ramoriną nie zgadzali na jedno. Była to bardzo zła kombinacya. Zobaczymy, w jaki sposób, dzięki jej właśnie, Polacy pozbawili się ostatniej szansy, która na samym końcu mogła była poprawić ich sprawę. Zrobiłem wielkie głupstwo, że przez skromność nie na miejscu podjąłem się takiej roli, tembardziej, że wiedziałem, w jak fałszywem położeniu znajduję się względem Ramoriny. Powinienem był oświadczyć, że zgadzam się na wyjazd, ale tylko w roli dowódcy armii. Znajdowałem się w pozycyi takiej, że nie mogłem się narazić ani na odmowę, ani na posądzenie o ambicyę, gdyż niedawno odmówiłem przyjęcia naczelnego dowództwa, a następnie zmuszony do przyjęcia takowego, złożyłem je dobrowolnie.

Pomimo przybycia Prądzyńskiego do obozu Ramoriny, wyprawa przeciwko Rozenowi chybiła celu. Nie pozostawało zatem nic innego do czynienia, jak bez najmniejszej straty czasu ruszyć ku Warszawie, aby być w możności przyjęcia udziału w jej obronie. Prądzyński nastawał też na to z naciskiem, i gdy na radzie wojennej uzasadniał swe zdanie, przybył adjutant naczelnego wodza, hr. Rzewuski, z wyraźnym rozkazem powrotu do Warszawy. Nie było się więc czego wahać, pisze Prądzyński. Gdybyśmy natychmiast wyruszyli, przybylibyśmy w sam czas, aby wziąć udział w szturmie Warszawy, i nie podlega wątpliwości, że tak świetna rezerwa, wpadłszy niespodzianie na atakujące pułki, mogłaby sprawie nadać zupełnie inny obrót.

Ramorino czuł jednak, że tylko z jego winy wymknął się nam z rąk Rozen i Brześć Litewski. Może się wreszcie bał odpowiedzialności, na którą zasłużył. Miał przytem jakąś nadzieję nieokreśloną, że idąc do Brześcia, spotka odpowiednią do naprawienia swych błędów sposobność. Jednem słowem, stanowczo wypowiedział posłuszeństwo i oświadczył, że nazajutrz wyruszy na Terespol. Wtedy oświadczyłem mu ze swej strony, iż nie chcę brać na siebie odpowiedzial-

ności za liczne jego błędy i za nieposłuszeństwo, któreby mogło sprowadzić bardzo ważne następstwa, i że wracam do Warszawy, gdzie nie omieszkam zdać raportu prezesowi rządu. Po oświadczeniu tegoż księciu Czartoryskiemu i Zamoyskiemu wyruszyłem w drogę.

Jeżeli w sierpniu mógł Prądzyński dwukrotnie, objąwszy naczelną buławę, oddać sprawie polskiej nieobliczone pożytki, to za rządów Krukowieckiego trafiała mu się po trzykroć sposobność oddania na skromniejszem stanowisku dowódcy korpusu, znakomitych korzyści militarnych, któreby mogły dla armii nieprzyjacielskiej być ciosem decydującym. Prądzyński nie zdoła przekonać czytelnika o tem, że niemożliwem było dla niego wymożenie na Krukowieckim powierzenia mu dowództwa nad korpusem Ramoriny. Widocznem jest ze wszystkiego, że Prądzyński nalegał słabo, kiedy okoliczności nakazywały mu postawić kwestyę w sposób stanowczy, a mianowicie, że albo on sam podejmie się wykonania planów wyprawy przeciwko Rozenowi, albo poda się do dymisyi, zawiadamiając rząd i sejm o powodach do tak rozpaczliwego kroku. Prądzyński wybrał drogę spokojniejszą i wygodniejszą, ale zarazem pozwolił Ramorinie narobić dużo złego, które nawet trudno było w zupełności wynagrodzić i powetować. Ale nareszcie trafia się oczekiwana sposobność objęcia komendy korpusu Ramoriny. Prądzyński i tym razem opuszcza ją, jadąc do armii, jako doradca, a nie jako wódz, rozkazujący Ramorinie. Nie zatrzymuję się dłużej nad tym czynem Prądzyńskiego, albowiem on sam nazywa owo znalezienie się wielkiem głupstwem. Nadmienię tylko, że owa spóźniona skrucha nie okupuje bynajmniej błędu, czy winy, albowiem jej następstwa fatalne wytoczyły nadaremnie najserdeczniejszą krew wojska polskiego.

Trzecią sposobność utracił lekkomyślnie Prądzyński, żegnając Ramorinę w chwili, gdy ten złowróżbny najmita okazał nieposłuszeństwo dla rozkazów naczelnej komendy. Prądzyńskiego nie usprawiedliwia bynajmniej owa okoliczność, że był jedynie doradcą Ramoriny, a nie zwierzchnikiem. Z listu Krukowieckiego do ks. Adama dowiadujemy się, że Krukowiecki, w razie nieporozumienia między dwoma generałami, uczynił rozjemcą księcia Adama. „En toute extremité faites valoir mon nom et mon autorité; je vous y autorise envers

tout et envers chacun“ [1]), pisze Krukowiecki, i z tego okazuje się, że książe Adam mógł rozkazywać Ramorinie, a ulegając zawsze chętnie wpływowi Prądzyńskiego, na jego kategoryczne żądanie byłby albo zmusił Ramorinę do posłuszeństwa, albo też zawiesił go w wykonywaniu funkcyi dowódcy korpusu. Prądzyński tymczasem, widząc, że Ramorino gubi nieodwołalnie całą sprawę, ogranicza się na akademickiem napomnieniu krnąbnego najmity i, grożąc mu zaskarżeniem wsiada na pocztę i podąża do Warszawy. Całe owo zachowanie się Prądzyńskiego zdumiewa obojętnością na najważniejsze losy kraju, a zarazem i ową rabulistyczną, czy talmudystyczną skłonnością do usprawiedliwienia siebie wykrętnym sposobem, i do zwalenia winy niepowodzenia na obce barki, choćby na księcia Adama nawet, i to za to, że za długo ugaszczał wojska śniadaniem w swych dobrach, chociaż owo śniadanie zajadał spokojnie sam Prądzyński, i w owej godzinie nie protestował przeciwko niewczesnemu, a nawet zgubnemu wypoczynkowi. Można też śmiało powiedzieć, że w ciągu jednego miesiąca Opatrzność dała Prądzyńskiemu pięć razy sposobność zapisania się w dziejach polskich nieśmiertelnemi zgłoskami; pięć razy zmarnotrawił ową sposobność, gubiąc za każdym razem sprawę, którą on jedynie mógł uratować.

W przededniu szturmu nadjechał nareszcie Prądzyński pocztą do Warszawy, i wówczas, jak to sam w innym swoim dokumencie wyznaje [2]), generał Krukowiecki osądził, iż więcej, niż kiedykolwiek, jest on potrzebny przy korpusie Ramoriny. Postanowił przeto, że Prądzyński niezwłocznie powróci na poprzednie stanowisko, ale już w charakterze zupełnego dowódcy. Przecież — pisze Prądzyński — gdy w tymże samym czasie odebrał Krukowiecki list od generała Witta, w którym żądano imieniem feldmarszałka konferencyi dla generała Dannenberga z osobą, któraby posiadała zaufanie rządu, generał Krukowiecki wstrzymał mój wyjazd, i wyznaczył mnie do onej konferencyi. Jak widzimy więc, szósty raz trafiała się Prądzyńskiemu sposobność objęcia dowództwa nad pięknym korpusem, zło-

[1]) Karol Forster: Teka nar. Rys historyczny, poparty papierami generała hr. Krukowieckiego. Berlin, 1873, str. 133.

[2]) Forster: Teka nar. O zdobyciu Warszawy w r. 1831. Sprawozdanie generała dywizyi, Prądzyńskiego, kwatermistrza generalnego i t. d.

żonym z 20.000 żołnierzy i 42 armat, i sposobność ową autor memoryału z lekkiem sercem z rąk wypuścił, jąwszy się jałowych i bezpożytecznych negocyacyj. Prądzyński nie zdołałby wprawdzie na czele korpusu Ramoriny uratować Warszawy, ale mógłby zniweczyć Rozena, i oddać krajowi jeszcze nieobliczonej doniosłości usługi.

Serce rycerskie jednak, ani obywatelskie sumienie nie wskazały Prądzyńskiemu drogi obowiązku, pozostał w Warszawie, którą czekały śmiertelne zapasy z przemagającemi siłami nieprzyjacielskiemi, i zobaczymy, czem się, jako utalentowany strategik i doświadczony wódz, wojskom polskim przysłużył, w ciągu dwudniowego szturmu. „Podczas mej nieobecności w Warszawie, z powodu choroby Kołaczkowskiego, poczyniono zgubne zmiany w rozporządzeniach, tyczących się obrony miasta. Podczas nocnego przeglądu fortyfikacyi, doszedłem do przekonania, że nie można ani marzyć o zmianie rozporządzeń, gdyż to wywołałoby rozstrój kompletny. Zresztą, chcąc to uczynić, trzeba było porozumieć się w mieście z Krukowieckim, gdyż na swoją rękę nie odważyłbym się na sprawienie takiego zamieszania. Nie było już zresztą czasu na to wszystko. Wiedziałem doskonale, że pojedyncze reduty, oddalone wzajemnie od siebie o 800 sążni, skazane na pierwszy ogień, nie oprą się burzy, która się na nie zwali. O świcie przybyłem do odosobnionego przed Wolą szańca, nr. 57, z zupełną pewnością, że nie unikniemy zguby“.

Opisując zdobycie redut, Prądzyński świadczy, że oddziały polskie wybite były prawie co do nogi, a oddział, broniący redutę nr. 54, widząc nieprzyjaciela już wewnątrz i wszelki opór niemożebny, wysadził się w powietrze, zapaliwszy magazyn prochowy. Spotkawszy się za Wolą z generałem Małachowskim, Prądzyński dostrzegł, że należy wesprzeć załogę Woli, ale nie mógł obmyśleć skuteczniejszego środka, nad wysłanie adjutantów do Umińskiego, z żądaniem posiłków. Umiński, zaniepokojony fałszywemi demonstracyami nieprzyjaciela, posiłków nie przysłał, skutkiem czego Wola zdobytą została. O tym smutnym, a zarazem skandalicznym wypadku, pisze Prądzyński następujące słowa: „Bronił Woli czcigodny generał Sowiński (który usilnie prosił o wyznaczenie mu zagrożonego po-

sterunku) na czele 1.200 żołnierzy z 12 armatami, co stanowiło niezmiernie małe środki dla utrzymania się w tak dużym forcie, który miał tylko ochrony wzmocnione palisadą i mało wydatne bastyony. Prócz tego, należy przyznać, że samej obronie zbywało na energii. Wódz i żołnierz okazywali tylko odwagę bierną, to jest, pozwalali się zabijać, nie mieli jednak żadnego zapału, straciwszy go bezpowrotnie wskutek pięciomiesięcznej nieudolności naczelnego wodza, oraz całej seryi klęsk rozmaitych. Wojska polskie z rezygnacyą szły na śmierć, w przekonaniu, że takie tylko może być rozwiązanie całej tragedyi. Rosyanie zaś pędzili do ataku z ogromnym zapałem, z przeczuciem zwycięstwa. Kolumny rosyjskie, zagnane powodzeniem, po kilka razy rzucały się do ataku Woli, i docierały aż do pierwszych domów przedmieścia. Byliśmy tam jednak z Małachowskim i zebraliśmy wszystkie możliwe środki obrony. Za każdym razem nieprzyjaciel był odparty, ze znacznemi stratami nawet w jeńcach. W dniu tym zabito podemną dwa konie".

Ponieważ w drugim dniu szturmu Prądzyński nie ukazał się na pobojowisku, lecz zajęty był negocyacyami, przeto pozwolę sobie scharakteryzować udział jego w boju pierwszodniowym, który zamyka zupełnie tak świetnie rozpoczętą, i tyle nadziei rokującą, jego karyerę militarną. Przenikliwym i doświadczonym wzrokiem dostrzegł Prądzyński wszystkie wady fortyfikacyi Warszawy, które Mierosławski pogardliwie zwał: „kretowiskami" [1]). We wcześniejszem sprawozdaniu ze szturmu Warszawy, Prądzyński owo błędne utrzymanie szańców zewnętrznych przypisuje Bemowi [2]), Mierosławski znowu Kołaczkowskiemu, ale pomijając zupełnie kwestyę: kto był winien, nie ulegało żadnej wątpliwości, że fortyfikacye owe unieruchomiały i więziły oddziały polskie, czyniąc je tem samem niebezpieczniejszemi dla obleganych, aniżeli dla oblegających. Prądzyński, pomimo przeświadczenia o tem, że wojsko polskie, dzięki tym kre-

---

[1]) Tom VIII, str. 3.

[2]) Forster: Teka nar. O zdobyciu Warszawy w roku 1831. Str. 207: („gdy chciano te szańce zburzyć). Sprzeciwił się mocno generał Bem, zapewniając, że według jego doświadczenia, nabytego w obronie Gdańska, szańce te mogą i powinny być bronione. Prosił o dowództwo nad niemi, o wolność urządzenia ich obrony i zaręczał za ich obronienie".

towiskom, skazane jest na zatratę, nie potrafił jednakże w niczem zaradzić złemu, ani odwlec, czy złagodzić katastrofę. Można do pewnego stopnia przyjąć usprawiedliwienie się autora, że zapóźno było zaprowadzać zmiany, któreby wytworzyły chaos. Drugiego jednak usprawiedliwienia, a mianowicie, że musiałby się naradzić z Krukowieckim, nikt za godziwe i rzetelne nie przyjmie. Na pobojowisku faktycznie nie było naczelnej komendy, a Prądzyński dał dowód pod Grochowem, że się umie znaleźć w podobnym wypadku, i że nie zwykł się liczyć z błahym formalizmem, gdy każda chwila grozi zagładą. Zresztą, jak się to w pierwszym dniu szturmu okazało, uważał za naczelnego wodza generała Małachowskiego, i potrafił go przekonać o trafności i nieodzowności swych uwag.

Wolskiej warowni wszakże Prądzyński, mimo zgody Małachowskiego, ocalić nie umiał, a jakkolwiek nie on, ale Bem pozostanie głównym winowajcą [1]), to jednakże nie poznajemy już w owej gorącej chwili ani determinacyi, ani przedsiębiorczości Prądzyńskiego, których przedtem niejednokrotnie dawał świetne przykłady. Nikt takiego wpływu nie wywierał na Umińskiego, jak Prądzyński. Gdyby więc osobiście zjawił się w jego kwaterze i zażądał posiłków, niewątpliwie zjawiłyby się takowe przed upadkiem Woli, i ocaliłyby niewątpliwie warownię, zwłaszcza, gdyby na ich czele przybiegł Prądzyński, jak to uczynił w Olszynce grochowskiej, lub pod Iganiami. Niestety, posyłanie adjutantów nie jest środkiem pewnym, ani niezawodnym. W oczach też Prądzyńskiego wysadził Ordon redutę, upadła Wola, a on, przypatrując się zdala owym klęskom, zdobył się jedynie na lekceważący sąd o obrońcach wolskiej fortyfikacyi.

Prądzyński nie zawahał się nawet rzucić cienia na bohaterską postać Sowińskiego tem niczem nieuzasadnionem pomówieniem, że

---

[1]) Forster: Teka nar. Przypiski generała hr. Krukowieckiego, zrobione w roku 1832, w czasie wywiezienia go w głąb Rosyi, do Jarosławia, na komunikowanej mu broszurze generała Prądzyńskiego: O zdobyciu Warszawy, str. 135. „Wola, lubo mężnie przez osadę broniona, wziętą została tak prędko z winy generała Bema, który, odchodząc do miasta dniem wprzód, dał był rozkaz, aby żadna baterya w szańcach bez jego wyraźnego rozkazu ruchu nie robiła“ i t. d.

razem ze swymi żołnierzami okazywał podczas obrony jedynie odwagę bierną, to jest, że pozwolił się zabić, nie okazując należytego zapału, ani energii w obronie. Pozwolę sobie powołać się na dzieło Mierosławskiego, aby przekonać czytelnika, że w tym wypadku Prądzyński rozminął się z prawdą najzupełniej, i że pozwoliwszy zginąć bez pomocy temu hufcowi walecznemu, znieważył ich ociekłe krwią mogiły zarzutem, że nie spełnili należycie żołnierskiego obowiązku. Mierosławskiego praca ma w wielu razach przewagę nad memoryałem Prądzyńskiego, chociaż i w niej mieści się dużo zjadliwości i trujących pierwiastków, wypiastowanych na obczyźnie. Mierosławski jednakże był zbyt młodym i podrzędnym oficerem w roku 1831, aby potrzebował naciągać i dostrajać historyę gwoli usprawiedliwieniu swego postępowania. Następnie jego historycznej pracy nadaje szczególną wartość, okoliczność, którą sam autor, przedstawia następująco: „W epizodycznych podaniach, nie pozwołem sobie nigdzie puszczać cugli mojej pisarskiej fantazyi, a tylko jestem referentem wzajem się kontrolujących sprawozdań każdego szefa batalionu i mnóstwa niższych oficerów, przeżywających ze mną przez lat kilkanaście i więcej tę jedyną epopeję ich żywota Jeszcze niezadowolony zgodnością opowiadań podwładnych, i ile możności, ścisłem przewertowaniem takowych odnośnie do topografii i chronologii bojowej, o tyle tylko zupełną dałem im wiarę, o ile się dokładnie wstawić dają w sprawozdania generałów, jeszcze dłużej i staranniej wybadywanych“ i t. d. [1]).

Niewątpliwie, że przy największej ostrożności do takiej skrzętnej pracy zakraść się mogą niedokładności; autor nawet uprzedza czytelnika, że się z niemi niezawodnie spotka, lecz pomimo to dziełu owemu należy dać wiarę, zwłaszcza, że uwzględniło wszystkie źródła rosyjskie, naówczas przystępne. Otóż, podług tychże źródeł, które nie miały najmniejszego powodu robić z Sowińskiego bohatera, obrona Woli nosiła na sobie cechę niezwykłej energii i przedsiębiorczości. Do zwalczenia 1.200 naszych żołnierzy, nieprzyjaciel musiał użyć dwudziestu kilku batalionów piechoty. Prawie przez pięć godzin nadaremnie się kusili o zwycięstwo generałowie: Neidhardt,

[1]) Tom VIII, str. 567—8.

Lüders, Berg i Martinow, nadaremnie uderzał z niezwykłą walecznością pułk grenadyerów Suworowa, z Martynowem na czele. Martynowa ugodziła kula, a grenadyerzy wdarli się do warowni wówczas dopiero, gdy już obrońców nie starczyło, a oczekiwana pomoc z Prądzyńskim na czele nie przybyła wcale. Z samych też sprawozdań rosyjskich można nabrać dokładnego wyobrażenia o tem, jak umiejętną i energiczną była obrona Woli. Sowiński potrafił skorzystać z każdej właściwości terenu, czy schronu fortyfikacyjnego, i ani na chwilę nie stracił zimnej krwi i przenikliwości umysłu, która mu pozwoliła chwytać w lot każdą sposobność do przedłużenia obrony. Gdy już grenadyerzy Martynowa wdarli się do szańców Woli i z dział polskich 11 umilkło, spotykamy Sowińskiego przy ostatniej, a jak Mierosławski powiada [1]), „samotnej“ armacie, jak ją z paru kanonierami do ostatniego tchu nabijał i wystrzeliwał na świtę feldmarszałka, która z pod 55 barkanu lornetowała szturm do Woli.

Wreszcie, jak pisze Mierosławski, tłum rozjuszonych grenadyerów zagniata naszą garstkę, przedzierając się do Sowińskiego, który podniesionym z ziemi karabinem odpiera jeszcze pchnięcia najbliższych, aż nareszcie przeszyty kilkoma bagnetami, chyli się na armatę, lecz nie mogąc zgiąć drewnianej nogi, przyparł się stojącym trupem do wysokiej lawety, niezłomnym posągiem, na ostatniej drzazdze ojczyzny, a z tak groźnem jeszcze spojrzeniem — piszą sami Rosyanie — że broń okrwawiona zabobonnie wypadła z ręki grenadyerom, co go zakłóli [2]). Czytałem też w odpisie list generała Korffa, zawiadamiający generałową Sowińską, która go prosiła o wieść, czy mąż jej żyje, o śmierci obrońcy Woli. Generał rosyjski w lakonicznych, ale żołnierską szczerością nacechowanych słowach zawiadomił wdowę o tem, że mąż jej nie żyje, ale dodał: „wszyscy mu tej śmierci zazdrościmy“.

Jeżeli generał Korff ocenił należycie dostojeństwo i majestat bohaterskiej śmierci, to dla Prądzyńskiego ów trup, stojący na szczudle i oparty na lawecie, powinien był stanowić nietylko wyrzut sumienia, ale przykład i opatrznościową wskazówkę, jak należy swój

---

[1]) Tom VIII, str. 97—99.
[2]) Tom VIII, str. 99.

rycerski obowiązek spełniać, i jak potrzeba w drugim dniu gorącego boju skorzystać z błędów, popełnionych pod Wolą. Prądzyński jednakże nie zrozumiał przykładu, jaki mu dał Sowiński. W drugim dniu szturmu porzucił zupełnie walczące w jeszcze niekorzystniejszych warunkach szeregi, zapomniał zupełnie o swem stanowisku militarnem, i o tem, że wojsko polskie pozbawione zostało zupełnie jednolitego dowództwa i kierunku. Podjął się za to negocyacyi i zniewolenia rządu oraz sejmu do kapitulowania, zaszczepiając wszędzie paniczny strach i krzewiąc zamęt, przez co najwaleczniejszym odejmował otuchę i mroził ducha.

Nie będę opisywał zachowania się Prądzyńskiego w drugim dniu szturmu Warszawy, gdyż znanem jest ono powszechnie. Nadmienię tylko, że nie usiłował uwolnić się od misyi negocyacyjnej, aby wesprzeć walczących, a do nowego swego zawodu, który niegdyś w Skrzyneckim potępiał, zabrał się z takim zapałem, że dał piśmienne zobowiązanie feldmarszałkowi, do czego go Krukowiecki zupełnie nie upoważnił [1]). Ciekawym jest jednak pogląd autora memoryału na zachowanie się sejmu, któremu Prądzyński nie mógł odjąć odwagi i przekonać, że nic niema do zrobienia, prócz jednej kapitulacyi. Przemówienie Prądzyńskiego do „dostojnych połączonych izb“, było tego rodzaju, że mogło wytworzyć paniczny strach i zupełne zwątpienie. Oto bowiem, jak brzmiał jeden z licznych ustępów, obliczonych na zterroryzowanie sejmu i odjęcie mu resztek odwagi: „Nieprzyjaciel, jak już powiedziałem, o godzinie 1-szej rozpoczyna atak; około wieczora będzie panem szańców; w nocy kolumny jego, upojone powodzeniem, posuną się w miasto, którego palące się zwaliska może oglądać przyszła zorza. Żołnierz rosyjski pragnie tego wypadku i rabunku, któryby mu towarzyszył: co więcej, po tem, co widziałem, wnosić muszę, że nawet niektórzy z wodzów nieprzyjacielskich wcaleby się nie gniewali z upadku miasta, którego zamożność i oświata czynią ich niespokojnymi względem przyszłego kiedykolwiek powstania sprawy polskiej“ [2]).

Temu mrożącemu przemówieniu nie ulegał jednak sejm cały.

---

[1]) Forster: Teka nar., str. 239.

[2]) Forster: „Teka nar. O zdobyciu Warszawy“, str. 217.

„Na nieszczęście — pisze w swym memoryale Prądzyński — było kilku posłów, którzy kochali się w długich przemowach i chcieli grać w Polsce rolę Rzymian. Ci panowie, jeśli chcieli dowieść swej odwagi, mogli jej dowodzić z bronią w rękach na okopach miasta. Spakowali jednak swoje manatki i gotowi byli do ucieczki w każdej chwili, gdy niebezpieczeństwo ich osób bardzo było zagrożone. Przy obecnym stanie cywilizacyi, bardzo łatwo zabłysnąć wspaniałemi frazesami na trybunie, mamy do tego gotowe formuły; trzeba mieć tylko pamięć wyćwiczoną, aby ich użyć stosownie do okoliczności. Czynem tylko można dowieść odwagi w chwilach ciężkich, i ci panowie mylą się, jeżeli sądzą, że byli wówczas odważni. Mieszkańcy warszawscy, ani myśleli iść za przykładem Saragossy, albo Moskwy, gdyż to nie przyniosłoby nikomu żadnej korzyści. Cały sejm podzielał te uczucia, z wyjątkiem trzech, czy czterech indywiduów. Nieszczęście mieć chciało, że przypadek pozwolił im sparaliżować wydane już postanowienie ogólne. Na ich czele stał p. Bonawentura Niemojowski“ i t. d. Dalsze paradoksalne, a nawet niezupełnie prawdziwe wywody i użalania się Prądzyńskiego możemy pominąć, zaznaczając, że opóźnienie szturmu do godziny drugiej, wbrew woli dwóch generałów rosyjskich i gwałtowności samego Krukowieckiego, przypisuje sobie Prądzyński, jako zasługę obywatelską, która pomogła do ocalenia miasta. „Wspomnienie tego czynu — pisze Prądzyński — pozostanie mi pociechą na całe życie“.

Poprzednio pomówił Prądzyński najniesprawiedliwiej i gołosłownie wojsko polskie o tchórzostwo, za to, że się miały ujawniać pojedyncze wypadki zbiegostwa, i to nie podczas bitwy. Zapomniał dodać autor memoryału, że przyczyna owego zbiegostwa leżała w pokojowem usposobieniu Skrzyneckiego, którego żołnierz polski posądzał o to, że się rozmyślnie bić nie chce z nieprzyjacielem, i dlatego też służbę swą uważał za zupełnie zbyteczną. Obecnie, krytykując postępowanie posłów oponentów, zarzuca im brak żołnierskiej odwagi, i to, że pakowali manatki, aby uciec na Pragę. Zapomniał jednakże dodać, że istotnie pakował cały sejm manatki, ale dlatego, że rozeszła się wieść, iż Krukowiecki zamierza oddać cały rząd i sejm w ręce nieprzyjacielowi, a w takich gorących chwilach, trudno sprawdzać pogłoski i zastanawiać się nad ich prawdopodobień-

stwem. Obciążając posłów zarzutem braku odwagi i lubowaniem się we frazesach, kiedy jedynie czynem można było stwierdzić męztwo, Prądzyński zapomniał o wielu innych, i to ważnych rzeczach. Zadaniem i obowiązkiem izby poselskiej, oraz całego sejmu nie było zajmowanie stanowiska i wypełnianie czynności prostych szeregowców. Posłowie winni byli stać na straży dobra i ocalenia sprawy publicznej, i odczuwać ducha, który przedewszystkiem ożywiał wojowników niestrudzonych i niezłamanych. Obowiązkiem ich było podnosić serca, a nie zatruwać je zwątpieniem i trwogą. Prawdą jest, że mowa Prądzyńskiego mogła zachwiać przekonaniem i najmężniejszych, ale sejm nie poprzestawał na informacyach generała-dyplomaty, który obleciał tchórzem, miał on relacye nieustające z pobojowiska, które nieco inaczej brzmiały, aniżeli dzwoniące zębami wyznania Prądzyńskiego. Dawał więc im przedewszystkiem wiarę, i uczuwał w sobie tego samego ducha, i to samo mężne serce, które ożywiało walczących rycerzy. Wymagając od posłów służby wojskowej, zamiast frazesów, czy się Prądzyński zastanowił na chwilę nad tem, co on w owej gorącej i rozpaczliwej godzinie ofiarowywał krajowi w miejsce wojskowej służby, do której był obowiązany?... A przecież jego przemowa do połączonych izb, nie była niczem innem, tylko frazesem, w którego każdem słowie, każdej literze, czuć było dreszcz trwogi, febryczną trzęsionkę przerażenia i sparaliżowanie woli wobec samego widma zbliżającego się szturmu.

Prądzyński przypisuje sobie zasługę ocalenia Warszawy i to wspomnienie ma mu być pociechą na resztę żywota. Nadmienić winienem, że przewidywane przez niego zburzenie Warszawy było bardzo problematycznem, a byłoby niemożliwem, gdyby zamiast uprawiać dyplomatyczną sztukę, stał był na czele, a przynajmniej wśród szeregów, które z niewyczerpanem i niezachwianem męstwem broniły miasta, aż do nocy drugiego dnia szturmu. Prądzyński szczyci się z obywatelskiej zasługi ocalenia murów i kamienic miasta, ale nie poczuwa się do tego, że zgubił sprawę, która ociekła krwią tysięcy jego towarzyszów, opuszczonych przez niego w najuporniejszych i najrozpaczliwszych walkach. Nie przesądzam bynajmniej, ale w każdym razie pozwalam sobie wątpić, czy w przyszłości hi-

storya przyzna ową zasługę Prądzyńskiemu, którą on sobie anticipando i samowolnie arrogował.

Prądzyński, opisując drugi dzień szturmu, w którym wcale nie brał udziału, przyznaje, że kilku generałów rosyjskich i nawet sam feldmarszałek musieli opuścić plac boju; dalej, że wojska, szturmujące do Królikarni, były kilka razy mężnie odparte przez Andrychiewicza, i że pułk czerwonych huzarów gwardyi został w zupełności zniesiony. O Krukowieckim wreszcie pisze Prądzyński, że nie zdoła nigdy oczyścić się z winy, że nie pokazał się nawet na placu boju w chwili, gdy krew wojska, którego był szefem, płynęła strumieniami, jak również z tego, że przez uniesienie, któreby nie było do wybaczenia nawet w młodziku, porzucił ster rządu w chwili najkrytyczniejszej. Imiona jego, oraz panów Władysława Ostrowskiego i Bonawentury Niemojowskiego, z powodu czynów, w tym dniu dokonanych, figurują na ciemnych kartach dziejów polskich.

Że Prądzyński pominął w zupełności bohaterskie zachowanie się Bogusławskiego na cmentarzu ewangelickim i Andrychiewicza między folwarkiem Świętokrzyskim a rogatką Jerozolimską, nie należy się temu dziwić; nie chodziło mu bowiem wcale o oddanie sprawiedliwości wojsku polskiemu, lecz o wykazanie, że sprawa w tym dniu była nieodwołalnie zgubioną i zaprzepaszczoną. Sąd swój, dotyczący Krukowieckiego, zaostrzył jeszcze Prądzyński późniejszemi czasy. W pracy pod tytułem: „Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi“, oświadczył on dosadnie, że postępowanie Krukowieckiego, przy rozprzężeniu całej sprawy, było czynnością prawdziwego waryata, a nawet tchórza (str. 91). Niestety, w tych bezwzględnych słowach zawarł Prądzyński po części ocenienie swego własnego postępowania w drugim dniu szturmu. Nawet otwarcie mówiąc, odpowiedzialność a zarazem wina jego jest o tyle większą, o ile były większemi jego zdolności strategiczne i świetniejszemi jego przymioty bojowe, zalecające go na naczelnego wodza. Wiedział o tem Prądzyński, że wojsko w nieodpowiednich fortyfikacyach i bez jednolitego kierunku zginąć musi, widział że Krukowiecki zapomniał o swych obowiązkach wodza, a zdobył się jedynie na misyę dyplomatyczną, do której nie był powołany, i która nie leżała bynajmniej w sferze jego obowiązków.

Oświadczono już dawniej, że wśród walki, ze wszystkich przypadkowych darów bogini wojny, najrzadszym jest genialny wódz [1]); otóż można bez przesady powiedzieć, że takiego wodza posiadało wojsko polskie w 1831 roku, co więcej, uważało go za swego duchowego naczelnika, i nie opuściło go nigdy, gdy je prowadził w ogień, a ten wódz stracił serce rycerskie, gdy ono biło młotem w bohaterskich piersiach wojowników, i bawił się w dyplomatę, zamiast elektryzować żołnierzy swą obecnością, i zaprowadzić ład, jedność i spójnię w owej bezprzykładnie chaotycznej obronie. Do niego też ostatecznie, a nie do wojska polskiego, można stosować hańbiące słowa Tyrteuszowej pieśni: „miecze były wśród was, a serca brakło wam“. Bezwzględny sąd Prądzyńskiego, piętnujący Ostrowskiego i Niemojowskiego, zanadto jest przepełniony gniewem, żółcią a nawet zgryzotą, aby mógł kogokolwiek przekonać. Mniemam, że owi mężowie, potępieni tak surowo, poczuwali się sami zarówno do błędów, jak i do win, ale działali w najlepszej wierze, i na usprawiedliwienie swoje mogli przytoczyć bardzo wiele łagodzących okoliczności. Jeżeli też kto, to Prądzyński nie miał prawa piętnować ich pamięci, nie przypadała mu w żadnym razie rola sędziego, ale podsądnego, który na łagodność i litość sądzących mógł liczyć, jedynie przypominając im Grochów, Iganie i Ostrołękę.

Zdaje się, że przytoczone uwagi zdołają przekonać czytelnika o tem, że namiętności polityczne przygłuszyły w memoryale Prądzyńskiego ducha sprawiedliwości i prawdy. Przedtem napisał on sprawozdanie „O zdobyciu Warszawy w roku 1831“, w odpowiedzi na „Raport ministra spraw zagranicznych“, czytany na posiedzeniu izb połączonych dnia 11 września 1831 roku, który to raport Gazeta Zakroczymska wydrukowała. Jaki ton panuje w odpowiedzi Prądzyńskiego, można się przekonać z kilku wyrażeń, zamieszczonych na początku, które brzmią, jak następuje: „Raport, przepełniony fałszami, które i prawdziwość historyczną kaleczą, i mój honor szarpią; winienem historyi, winienem samemu sobie, powstać prze-

[1]) Voide: Die Ursachen der Siegen und Niederlagen im Kriege, 1870, tłóm. Klingender. Tom I, str. 329. „Von allen Glückszufällen im Kriege der seltenste (sagt general Laer) ist ein genialer Feldherr“.

ciwko tak błędnemu dokumentowi, jakoż oświadczam głośno i uroczyście, iż wspomniany raport ministra spraw zagranicznych, Teodora Morawskiego, jest potwarczy, złośliwy i napełniony kłamstwami".

Po takim wstępie, trudno przypuszczać, aby w sprawozdaniu panowało poczucie sprawiedliwości w sądzie a przedmiotowości w zbadaniu faktów. Co jednak dziwniejsza, że nawet generał Krukowiecki, gdy mu zakomunikowano sprawozdanie Prądzyńskiego, dostrzegł w niem przeistoczenie tendencyjne faktów, domagając się ich sprostowania [1]). Memoryał wszakże, przeznaczony dla Monarchy, pisany był w Gatczyni, gdzie Prądzyński miał czas na uspokojenie się i opamiętanie duchowe. Autor zdawał się odczuwać potrzebę równowagi, spokoju i dyskretności, ale dobre zamiary spełzły na niczem. W memoryale panuje rozstrój duchowy, ratujący się paradoksalnością rozumowania, sprzecznościami w dowodzeniu, rabulistycznymi wybiegami i brutalnością wyrażenia, a co najboleśniejsze, nieubłaganem potępieniem jednych, a lekceważeniem bohaterstwa drugich, co się tłómaczyć da jedynie pragnieniem stłumienia wyrzutów sumienia i chęcią zepchnięcia win własnych na cudze barki. Pozornie jednak panuje w memoryale zupełne zadowolenie z siebie i samozwańcze przyznanie sobie obywatelskich zasług. To samo spotykamy w „Przypiskach" generała Krukowieckiego, który potępiając nawet Dembińskiego, za to, że zgubił Wolę, zapewnia, że czynił wszystko, co mu radziła miłość ojczyzny, i że sumienie żadnego mu wyrzutu nie robi [2]). Pobratymcze dusze w dniach szturmu Warszawy odszukały się znowu w swych memoryałach spokojne, nie poczuwające się do win, i wieńczące się własnoręcznie obywatelską zasługą, ale za to nieubłagane w sądzie o swych towarzyszach, i pełne katowskiej, a nie Katonowskiej dla nich surowości.

---

[1]) Forster: Teka nar., str. 231.

[2]) Forster: Teka nar., str. 135. Pomawiając o zaspanie sprawy Dembińskiego, Krukowiecki zapomniał o drobnym szczególe, a mianowicie, że przed szturmem Woli, Dembiński otrzymał ciężką kontuzyę, która go na kilka godzin pozbawiła zmysłów.

13.

JULJAN DUNAJEWSKI.

(Mowy Juliana Dunajewskiego w sejmie krajowym i w radzie państwa, przetłómaczył, objaśnił i wydał Dr Wł. Leopold Jaworski, przedmowę napisał Dr. Piotr Górski. Tom I. 1896).

W pierwszej połowie XIX-go stulecia, nauka polityczna nazwała państwo nowożytne konstytucyjnem. Nazwa zaś powyższa wyrażała więcej idealny postulat, czyli pożądanie konstytucyjnego ustroju, aniżeli fakt spełniony. W pierwszej bowiem połowie XIX-go wieku nie wszystkie państwa pozyskały konstytucyę, stwarzającą dla władz rządowych legalne szranki, i zabezpieczająca swobodę indywidualną od samowoli rządowej. W ostatnich dziesiątkach lat, postulat naukowy, zwiastowany głównie przez Benjamina Constant we Francyi a przez Rottecka w Niemczech, przybrał kształty rzeczywiste we wszystkich krajach zachodniej i środkowej Europy. Nauka polityczna jednak nie zadowolniła się pozyskanym tryumfem, i poczęła wskazywać państwu nowe zadania i nowe doniosłe cele, za któremi w ślady szły nowe nazwy, usuwające już nazwę państwa konstytucyjnego na plan drugi.

Udział, jaki państwo XIX wieku wzięło w przeprowadzeniu reform socyalnych, skłonił niektórych uczonych do twierdzenia, że najważniejsze jego zadania i cele w tym właśnie spoczywają kierunku. Rösler napisał nawet dzieło, przyozdobione oryginalnym tytułem: „sociales Verwaltungsrecht“, a Stein przekonywał, że w przyszłości, czwartym z kolei porządkiem państwowym będzie socyalny, choć zadaniem tego porządku nie będzie bynajmniej wprowadzanie

w czyn socyalistycznych mrzonek i utopij, tylko uwzględnianie w prawodawstwie i administracyi natury społeczeństwa, łącznie z jego nieodzownemi prawami rozwoju, a zapobieganie zwyrodnieniu lub wytwarzaniu się pasorzytnych, czy rozkładowych żywiołów społecznych.

Nauka nie ograniczyła się jednak na utożsamieniu państwa z konstytucyą, lub z jednem administracyjnem zadaniem. Znaleźli się uczeni, którzy państwo nowożytne przezwali państwem parlamentarnem (Parlaments-Staat) [1]), lub parlamentarnem państwem praworządnem (Parlamentarischer Rechtsstaat). I jedna i druga nazwa opierała się na tem spostrzeżeniu, że w ostatnich dziesiątkach lat, główne ognisko państwowego życia tkwiło w parlamentach, czyli sejmach, i że z tych organów przodowych płynęło prawodawcze światło na całe społeczeństwo, wraz z finansowemi zdrojami, skrzepiającymi organizm państwowy.

Niewątpliwie nazwa państwa parlamentarnego nasuwała naprzód na myśl Anglię, gdzie też prawdopodobnie określenie powyższe wzięło początek. W Anglii bowiem już od końca XVII wieku parlament uosabiał cały naród angielski, a władza jego była taką, że jak Blackstone utrzymywał jedynie mężczyzny nie mógł przeistoczyć w kobietę. Gdy zaś w XVIII wieku wyrobił się prócz tego w Anglii system rządów parlamentarnych, wymagający, aby ministeryum opierało się na większości izb parlamentu, nazwa państwa parlamentarnego zdawała się nie zawierać nic rażącego, albowiem tylko wtajemniczonym w dzieje prawa państwowego i administracyjnego W. Brytanii było wiadomem, że parlament stał się jedynie koroną wspaniałego monumentu wspartego na niespożytej opoce samorządu, który ogarniał nietylko administracyjno lokalne zadania, ale i funkcye sądowe, zwłaszcza w postaci przysięgłych.

Do krajów kontynentalnych mniej się jednak nazwa parlamentarnego państwa nadawała, i dziś nawet, w tem znaczeniu, jaki jej przypisano, nie do wszystkich krajów w równym stopniu odnosić się

---

[1]) Bucher: Der Parlamentarismus wie er ist — używa wyrażenia Parlaments-Staat, a Maurus: Der moderne Verfassungsstaat, używa terminu, der parlamentarische Rechtsstaat.

może. W każdym razie, zaprzeczyć temu objawowi trudno, że w ostatnich czasach znaczenie i wpływ parlamentów, czy sejmów wzrósł znakomicie, i że mimo wad i ułomności, jakie w ustroju tych instytucyj wystąpiły na jaw, wszelkie przepowiednie ich upadku lub zanikania w blizkiej przyszłości, mogłyby się okazać bardzo łatwo zwodniczemi.

Piętnaście lat temu zaledwie, powiada jeden z poważnych pisarzy francuskich, w roku 1893, a izby parlamentu nie zajmowały w ustroju naszym politycznym tego stanowiska, jakie zajmują dzisiaj. — Przedtem wobec władzy wykonawczej uznane były wprawdzie izby, jako niezależna potęga, ale ją nadzorowano, a nawet jej niekiedy grożono. Obok woli izb, istniała wola samoistna rządu, i przyznawano nawet, że ta druga wola winna być przewodniczką pierwszej, co sprowadziło w następstwie dużo swarów i kłótni, aż nareszcie parlament pozyskał prawo zapobiegania zbytniemu wtrącaniu się rządu do jego pracy i czynów. Dziś położenie rzeczy zmieniło się zupełnie, dziś bowiem same izby są rządem. „Les Chambres sont le Gouvernement lui-meme“. Zamiast działać samoistnie, ministrowie myślą o tem jedynie, jak przeniknąć usposobienie, oraz intencye większości. Programem ich nie jest też bynajmniej przewodniczenie tym, których wyborcy powołali do reprezentacyi kraju, ale odkrycie tajemnicy głosowania, w której tkwi pozostawienie dłuższe władzy w ich ręku. Owo przeistoczenie się stanowiska ich wobec parlamentu, nie nosi bynajmniej charakteru wyłącznego francuskiego, nastąpiło ono nietylko w całej Europie, ale rzec można, w całym świecie. Nawet w Niemczech kanclerze zmodyfikowali znacznie swe przemówienia do parlamentu, a w klasycznej ziemi wschodniego feodalizmu — Japonii, stworzono niedawno temu konstytucyę, która uposażyła izby prawie w taką samą władzę, jaką posiada izba gmin w Brytanii [1]).

Z tem wszystkiem zaznaczyć należy znaczną różnicę, jaka jeszcze po dzień dzisiejszy istnieje między państwami, w których konstytucya wypłynęła z ludowego zwierzchnictwa (souveraineté du peuple), a temi, którym zasadnicza ustawa została nadaną, czyli

[1]) Pierre: Traité de droit politique electorale et parlamentaire. Str. VI.

oktrojowaną, albo też określoną obustronną, czyli synallagmatyczną ugodą [1]). W pierwszym szeregu państw, parlament mógł w szybkim postępie zniweczyć samodzielność wykonawczej władzy, i stać się nieomal sam rządem, w drugim jednak rzędzie państw, monarchizm wprawdzie ujrzał się w konieczności zawarcia przymierza z nowożytnem społeczeństwem, i ten kompromis wyraził albo w pozornie niewymuszonem nadaniu konstytucyi, albo też w ugodzie, która sformułowała obopólne prawa i obowiązki, konstytucye jednak, będące wypływem ustępstw monarchicznej władzy, zakreślały parlamentom, czy sejmom, daleko skromniejsze stanowisko, a zachowując w ustroju ich dużo naleciałości, odziedziczonych w spuściźnie po starym porządku państwowym, nie dozwoliły im zrosnąć się z szerokiemi warstwami społeczeństwa. Przytem monarchizm zachował nadal nietylko pełną władzę wykonawczą w swem ręku i był w możności zapobieżenia wszelkiemu mieszaniu się sejmów do prerogatyw korony, ale w dodatku niepodzielnie w nim uosobione było zwierzchnictwo państwowe nawet w sferze prawodawczej, albowiem dopiero sankcya monarsza nadawała uchwałom sejmowym siłę i moc obowiązującego prawa.

Wobec takich warunków, stanowisko parlamentów, czy sejmów, nie mogło się stać odrazu przewodniem, i władza monarchiczna potrafiła niejednokrotnie kierować losami państw, wbrew najwyraźniejszej woli i pragnieniom reprezentacyi kraju. Że jeszcze kilkadziesiąt lat temu wstecz, monarchizm nie uważał sejmów za organ, któryby mu zdołał sprostać w politycznej mocy, lub w społecznym wpływie, dowodem tego, co Bismarck w wylaniu szczerości opowiedział swego czasu Bluntschliemu. Były to reminiscencye z owej doby, gdy izba poselska pruska żywiła zupełnie odmienne przekonania od Korony, której energicznym i stanowczym rzecznikiem był Bismark. Gdyby monarcha (późniejszy cesarz Wilhelm I) pewnego dnia życzył sobie uwięzić wszystkich posłów, oświadczył Bismarck, postąpiłbym wprawdzie nie jako konstytucyjny minister, ale wszyscy posłowie znaleźliby się niewątpliwie pod kluczem, w Spandawie. Pozwolę sobie

---

[1]) Borgeaud: Établissement et révision des constitutions en Amerique et en Europe. Str. 54.

wątpić w to, czyby dziś ks. Bismarck, stojąc na czele pruskiego rządu, ośmielił się coś podobnego powiedzieć, choćby nawet pośrednio, reprezentacyi kraju, a jeżeli cesarz Wilhelm udzielił kilka lat temu parlamentowi bakalarskiej nagany, za to, że w przepisany przezeń sposób nie chciał przyjąć udziału w jubileuszowych uroczystościach Bismarcka, to zimne przyjęcie cesarskiego napomnienia przez parlament, mający za sobą opinię całych Niemiec, wskazywało wyraźnie, że instytucye reprezentacyjne w państwach niemieckich, zarówno jak i w Cesarstwie przybrały politycznie na tuszy i największa forteca mogłaby stać się za ciasną i za słabą, aby te instytucye w zamknięciu kazamatowem oddzielić od społeczeństwa.

Jeżeli w Niemczech powaga parlamentu i sejmów w ostatnim dziesiątku lat znacznie wzrosła, i spójnia reprezentacyi kraju z resztą społeczeństwa, stawała się coraz to serdeczniejszą, to objawy podobne w wyższym stopniu, dawały się spostrzegać w państwach skandynawskich, Danii, Włoszech, Holandyi, Hiszpanii i Belgii, że pominę drobniejsze państewka na południowym wschodzie Europy. Wszędzie parlamenty wobec władzy monarchicznej pozyskały, jako reprezentacyjny organ całego narodu, należyty wpływ na sprawy publiczne. Wszędzie pracą prawodawczą uzupełniły i wypełniły konstytucyjną ustawę, określiły porządek prawny, normujący sferę publiczną i prywatną obywatela, starały się w sposób sprawiedliwy rozłożyć brzemię ciężarów publicznych na społeczeństwo, nie wyczerpując siły podatkowej jednej klasy na korzyść drugiej, a wreszcie nie wdzierając się w sferę atrybucyj rządowych, potrafiły tenże rząd skutecznie kontrolować, i odjęły mu ochotę do samowoli i do niepoczuwania się do samodzielności.

Ze względu, że w XVI stuleciu wszystkie prawie znaczniejsze państwa w Europie posiadały reprezentacyę stanową uposażoną przez władzę monarchiczną rozległemi przywilejami, a że w XVII wieku doniosłość i stanowisko tychże sejmów stanowych, zmalało do nieznania, albo znikło zupełnie, powstaje kwestya: czy przypadkiem i nowożytnych parlamentów albo sejmów tenże sam los nie oczekuje w niedalekiej przyszłości i czy ów niezaprzeczalny wzrost potęgi i powagi organów reprezentacyjnych z doby bieżącej, nie jest łudzą-

cym, czy nie zniknie niezadługo, ustępując miejsca monarchizmowi, utożsamiającemu się, jak za czasów Ludwika XIV z całem państwem.

Dumont zauważył swego czasu, że gdy stany generalne Francyi zakończyły swój żywot bez żadnych szczególnych ze strony monarchizmu wysiłków, parlament angielski, posiadający zrazu daleko mniejszą od stanów generalnych władzę, oparł się przez wieki całe zamachom najsamowolniejszych i najenergiczniejszych monarchów Brytanii [1]). Objaw ten zastanawiający był następstwem ważnych przyczyn, które tkwiły przedewszystkiem w tem, że parlament angielski rozstał się wcześnie z zasadami organizacyi stanowej i zdołał wypracować zwarty porządek państwowy, który się stał wzorem niedoścignionym dla konstytucyi kontynentalnych.

Niewątpliwie forma ustroju parlamentarnego angielskiego nie była do naśladowania wśród państw stałego lądu Europy. Ale porządek zasadniczy, o który się rozbiły wiekowe wysilenia monarchizmu brytańskiego, który przyjął się wszędzie i ten też daje niejaką otuchę, że los nowożytnych instytucyj reprezentacyjnych nie będzie tak smutnym, jak dzieje stanowych sejmów za starych rządów.

Zasadę rzetelnej wartości, że wszelkie królestwo w rozdwojeniu zniszczeje, można zastosować do dawnych sejmów stanowych. Murem przywilejów oraz immunitetów odgrodziły się pojedyncze stany wzajemnie od siebie, od władzy monarchicznej i od masy rolnego oraz miejskiego ludu, na którego barki ciężar cały podatków państwowych zwaliły. Na sejmach zjawiały się uprzywilejowane stany w imię interesów własnych i uważając prawo uczestniczenia za przywilej rzeczowej natury lub za mandat wypływający z prywatnego prawa, rzadko kiedy dochodziły do porozumienia się z sobą, a mniejszość nie czuła się zobowiązaną do ulegania większości. Ze zbiorowiska też tylu samoistnych, uprzywilejowanych interesów, rzadko kiedy wychodził zwycięskim interes, dobro całego państwa mający na pieczy. Najczęściej trudno było wobec tak skomplikowanej maszyneryi, jaką sejm stanowy przedstawiał, wyrozumieć wolę

---

[1]) Ouvres de Bentham (tłóm. Dumont. T. I., str. 374). Discours préliminaire de Tactique des Assemblées politiques déliberantes.

większości sejmujących stanów i zgromadzenie czyniło wrażenie niezorganizowanego, luźnego tłumu, który na nazwę korporacyi politycznej nie zasługiwał [1]).

Parlament angielski otrząsnął się wcześnie z prawno-prywatnych pierwiastków, będących właściwością organizacyi stanowej i przechowawszy w swym ustroju zasady prawa państwowego, przekazał je do uwzględnienia stałemu lądowi Europy. Przedewszystkiem konstytucya angielska nie dopuściła do owego odgraniczenia się uprzywilejowanych stanów, bądź w parlamencie, bądź to w samorządzie miejscowym, bądź to wreszcie wobec manarchy. W Anglii stany nie zdołały przeistoczyć się w rzeczpospolite, posiadające własnych poddanych i paktyzujące z koroną, a „Magna Charta“ z 1215 r. nie czyniła różnicy między uprzywilejowanemi a resztą ludu, lecz zapewniała każdemu opiekę i sprawiedliwość [2]). W parlamencie angielskim nie spotykamy też reprezentacyi w odosobnieniu stanowem i na mocy uprawnień o charakterze prywatnym zgromadzonej, lecz izbę gmin złożoną z przedstawicieli hrabstw, która od początku swego istnienia pozyskała charakter politycznej korporacyi, uosabiającej cały naród angielski. W ślad za przeświadczeniem jedności narodowej pozyskał parlament angielski i inne polityczne zasady, które zapewniły mu tak długowieczny i pożyteczny żywot. Mandat prawodawczy do izby gmin pozbył się prywatnego znaczenia, istrukcye krępujące pełnomocników na sejmach stanowych wyszły z użycia [3]) wreszcie mniejszość musiała ulegać większości, i wtedy jedynie mogła jej stawić skuteczny opór, jeżeli większość zamierzała uczynić wyłom w kardynalnych zwyczajach angielskich zwanych „Common Law“. Parlament angielski zatem pod powłoką starożytnych form wyrobił w sobie rdzennie polityczny charakter. Stanowił on mimo wadliwego prawa wyborczego rzetelną reprezen-

---

[1]) Ouvres de Bentham (tłómaczenie Dumont). T. I., str. 374. „C'etait plutôt une cohue qu'un corps politique: et leur véritable caractére peut s'exprimer en deux mots fougue pour le présent et l'imprevoyance pour l'avenir“.

[2]) Bucher: Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 62. Wybornie wykazał tęż samą właściwość Wielkiej Karty Hofman: Historya nauk politycznych w Polsce. Str. 22.

[3]) Bucher: Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 72.

tacyę kraju, która na progach gmachu zwykła składać partykularne interesa wyborców i pamiętała dobrze te znamienne słowa wyrzeczone niegdyś w izbie gmin: „miasto mnie wybrało, ale reprezentuję całą Anglię“ [1]).

Państwa stałego lądu przejęły od Anglii główne zasady parlamentarnego ustroju, ale zwłaszcza w Niemczech, w pierwszej połowie XIX stulecia, zasady powyższe nie odrazu odzyskały wyrazisty polityczny charakter, lecz pokryte zostały formalizmem odziedziczonym po stanowym ustroju. Jakkolwiek też izby wyższe kontynentu, nie miały tej społecznej siły i tego politycznego doświadczenia co izba lordów, a izby niższe nie poczuwały się do obywatelstwa zacierającego wszelkie różnice stanowe, jak to czyniła izba gmin, to jednakże, w każdym razie i jedne i drugie zyskiwały coraz więcej współczucia wśród społeczeństwa i położenie ich zrazu wobec władzy monarchicznej prekacyjne, stawało się coraz to niezależniejszem i bardziej poważnem.

Jeżeli też w pierwszej połowie XIX stulecia dzieje sejmów krajowych niemieckich notują wiele wypadków jawnego lekceważenia, z jakiem reprezentacyjne organa bywały przez panujących traktowane [2]), to w drugiej połowie tegoż wieku, zwłaszcza gdy resztki sądownictwa patrymonialnego zniknęły i wielka reforma agrarna w postaci uwłaszczenia włościan dokończoną została, wzrost wpływu i znaczenia sejmowych instytucyj jest zbyt wyraźnym i widocznym aby go przeoczyć było można. Prawo wyborcze rozszerzało coraz to bardziej koło wyborców, powołując do urny w miejsce dawnych dziesiątek, setki tysięcy, a w miejsce dawnych setek tysięcy, miliony wyborców. Dzięki temu sejm wchodził w powinowactwo polityczne z całą masą narodu, przejmował pragnienia i potrzeby wszystkich klas społecznych i przez to samo stawał się z dniem każdym coraz to poważniejszą korporacyą polityczną. Im większej zaś ofiarności domagało się państwo nowożytne od pojedynczego obywatela, im większe poświęcenie z krwi i mienia trzeba było skła-

---

[1]) Bucher: Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 91.

[2]) Dzieje sejmów krajowych niemieckich w pierwszej połowie XIX stulecia przedstawił szczegółowo i dokładnie, jakkolwiek w oświetleniu tendencyjnem Treitschke w dziele swem: Deutsche Geschichte.

dać na ołtarzu dobra publicznego, tem wymowniejszą racyę bytu zyskiwała reprezentacya kraju. Już dawna reprentacya stanów niemieckich powoływała się na zasadę „was wir nicht mitrathen, das wir nicht mitthaten“, czyli że kraj obowiązany był czynić to tylko, do czego wpływał swoją radą. Dziś tembardziej, gdy brzemię podatków państwowych i lokalnych wzrosło niesłychanie, a służba obowiązkowa wojskowa odrywa na lat kilka dorosłą młodzież od domu i rodziny, kontrola i nadzór sejmów nad szafowaniem krwią i mieniem obywateli są pożądane i uzasadnione a potrzeba uchwalania finansowej pomocy, zarówno jak i dopilnowanie, aby pomoc otrzymała właściwe przeznaczenie, stanowią coraz to obfitszy zdrój, z którego płynie siła polityczna reprezentacyi państwowej.

Jednocześnie ze znaczeniem parlamentów i sejmów rosła ich praca, zwłaszcza w dziedzinie prawodawczej. Bucher przytacza ciekawe porównawcze zestawienie parlamentu angielskiego z czasu od 1225 do 1272 roku, z epoką panowania królowej Wiktoryi od 1837 do 1850 roku. Gdy w pierwszym okresie wydał parlament aktów 15, z czego przeciętnie na rok wypadało 0.3 akta, w drugiej dobie parlament wydał aktów 5.334, czyli, że rocznie przypadała cyfra 533.4 [1]). Parlament angielski nazwano też oddawna fabryką ustaw, a przezwisko powyższe można było stosować i do parlamentów stałego lądu, zwłaszcza, że w kontynentalnych krajach, stosując się do potrzeb państwa praworządnego, trzeba było przeistoczyć całe prawodawstwo administracyjne i ze wszelkich szczelin i skrytek dawnych przepisów usunąć starą pleśń, w której zazwyczaj tkwiła samowola rządowa.

Nauka polityczna w najlepszej wierze żywiła to przekonanie, że parlamenty czy sejmy podołają wielkiemu zadaniu, i że reprezentacye kraju obejmując w swem gronie najodpowiedniejsze i najzdatniejsze pierwiastki, odczują głęboko wszelkie potrzeby społeczeństwa i państwa, a tem samem, że wytworzą prawodawstwo zgodne z naturą stosunków miejscowych, że wynajdą najsprawiedliwszy rozdział ciężarów publicznych i najskuteczniejszy sposób kontrolowania władzy wykonawczej. Ale ażeby reprezentacya kraju

[1]) Der Parlamentarismus wie er ist. Str. 150.

wypełniła tak liczne i trudne zadania, trzeba aby członkowie jej, a przynajmniej większość składu, stała na wysokości powołania, aby miała nietylko przeświadczenie o swej politycznej misyi, ale i doświadczenie jak działać należy, aby dojść do pożądanego celu, którym ostatecznie jest dobro publiczne.

Kto jednak z ustaw obowiązujących i z nauki polityki wystudyuje obowiązki, zadania i przeznaczenie reprezentacyi krajowej, a następnie ową subtelną i pełną politycznego rozumu, teoryę porówna z życiem i czynami parlamentów czy sejmów, ten niewątpliwie na razie dozna pewnego rozczarowania i zdoła się przekonać, że rozważna sędziwość jest udziałem wszelkiej teoryi, życie bowiem samo zdradza zawsze zieloność będącą także i objawem niedojrzałości. Każdy też z wyborców stający po raz pierwszy przy urnie wyborczej, każdy reprezentant wkraczający po raz pierwszy w obrąb parlamentu, dostrzega inny organizm polityczny i odmienny a na pozór zupełnie sprzeczny z tym, o jakim go teorya i ustawy obowiązujące pouczyły.

Na samym wstępie do życia reprezentacyjnego spotyka się każdy z fikcyami czyli przypuszczeniami, które wypełniają braki jakie rzeczywistość przeciwstawia postulatom nowożytnego państwa. Wyborcy np. wyobrażają całość obywateli, gdy tymczasem nawet tam gdzie zaprowadzono głosowanie powszechne nie wszystkim obywatelom przysługuje prawo głosowania i zaraz dostrzegamy fikcyę biorącą część za całość i godzącą się z usunięciem pewnych kategoryj od urny wyborczej. Silniejszem jest jednak rozczarowanie, jeżeli kto zechce uważnie śledzić: czy istotnie wyborom przewodniczy wzgląd na dobro całego państwa i czy temu ważnemu aktowi można nadać charakter polityczny. W rzeczy samej wśród wyborców, zarówno jak i wśród sejmujących, nie spotykamy dzisiaj oddzielonych odrębnemi przywilejami, oraz interesami stanów, jak to miało miejsce za starego porządku rzeczy, ale klasy w znaczeniu społecznem i stronnictwa w znaczeniu politycznem nie zniknęły ani na chwilę.

Każda z owych warstw społecznych ma swe odrębne interesa ekonomiczne zarówno jak i socyalne, które z interesami innych klas stoją nieraz w rażącej sprzeczności. Aby tym pragnieniom partykularnym nadać moc i siłę, musi się każda z tych klas starać o wpływ

polityczny, który nieuchronnie stwarza konieczność zorganizowania stronnictw politycznych. Nietylko jednak interesa ekonomicznej lub socyalnej natury stwarzają rozdział w kole wyborczem zarówno jak i w reprezentacyi państwowej. Narodowościowe, wyznaniowe, lub czysto historyczne powody służą dość często za potężne ognisko, wokół którego grupują się stronnictwa polityczne, czyli że zaraz przy urnie wyborczej spotykamy się przeważnie z takimi, którzy dobro powszechne i rozwój czy udoskonalenie porządku państwowego rozumieją przedewszystkiem o tyle, o ile ich interesa stronnicze największą przytem korzyść odnoszą. Jeżeli zaś znajdzie się jakiś maniak z poczuciem idealnem dobra ogólnego, to wpływ jego zniknie zupełnie i pędzić będzie żywot odosobniony poza zwartemi kołami stronnictw, jako „dziki“.

Gdyby wyborcy dzielili się tylko na grupy opierające się na poważniejszym publicznym interesie jakiejkolwiek bądź natury, możnaby jeszcze sposobem nieco rabulistycznym wytłómaczyć, że przewodniczy wyborcom dobro publiczne pewnego stronnictwa, które w każdym razie dąży do politycznych celów, ale niestety zbyt często trzeba się było rozstać i z temi, nawet błahemi illuzyami. Przekupstwo bowiem zarówno jak i wpływ władz administracyjnych czyniły niekiedy z wyborców trzodę głosujących (Stimmvieh), a od tych wad nie był nawet wolnym wyborca angielski, gdyż swój wolny głos ofiarowywać zwykł więcej dającemu i zazwyczaj jedno krzesło w izbie gmin kosztowało szczęśliwego kandydata, jeśli pragnął w niem zasiąść, około 30.000 rs. [1]).

Tak samo każdy reprezentant kraju spotykał się w obrębie parlamentu z szeregiem fikcyi, które z praktyką życia sejmowego zdawały się być w rażącej sprzeczności. Nauka polityczna zarówno jak i ustawa konstytucyjna pouczały każdego posła, że reprezentacya w parlamencie czy sejmie przedstawia cały naród danego państwa i dlatego zdolną jest wyrazić wszystkie jego potrzeby i pragnienia. W rzeczywistości jednak ponieważ w wyborach bierze zazwyczaj udział co najwyżej 50% wyborców, a większość absolutna

---

[1]) Maurus: Der moderne Verfassungsstaat. Str. 152, tym sposobem każde nowe wybory do parlamentu kosztują Anglię około 1½ miliona fst.

decyduje najczęściej o wyborze, reprezentacya więc uosabia w normalnych warunkach nie wiele więcej nad 25% całego narodu, a nie brakło przykładów, że przy wadliwym ustroju wyborów i roznamiętnionej walce stronniczej, stosunek w stopie procentowej obliczany, był jeszcze niższy [1]). Stronnictwa, które opanowały urnę wyborczą, występowały zazwyczaj w zgromadzeniu parlamentarnem z jeszcze większą natarczywością, zdobywając sobie zwolenników wszelakiemi sposobami, między któremi znalazły niejednokrotnie poczestne miejsce przekupstwo i postrach. Każde z tych stronnictw pragnęło wyzyskać prawodawstwo państwowe na swoją korzyść, każde pragnęło ciężar podatków z swoich bark zepchnąć na cudze, a stronnictwo rządowe dążyło zazwyczaj do unicestwienia kontroli nad władzą wykonawczą i do pozyskania swobodnego szafunku funduszem publicznym.

Gdyby kto chciał sądzić wartość polityczną nowożytnych parlamentów podług pessymistycznych poglądów niektórych uczonych, jak np. Bucher lub Maurus, ten nietylko musiałby zwątpić we wszelką przyszłość reprezentacyjnych rządów, ale w dodatku dziś już winien by reprezentacyę uważać za szkołę bezwzględnego i przebiegłego wyzysku cudzych interesów na swą własną stronniczą korzyść. Niedość jednak, że wśród tej targowicy, którą niektórzy nazywają wprost bez ceremonii szacherką parlamentarną [2]), traci każdy reprezentant możność oryentowania się w sprawach publicznych, ale w dodatku najlepsze jego chęci i zacny charakter zazwyczaj nie są poparte należytem doświadczeniem i wyrobieniem w życiu politycznem. Dla parlamentu angielskiego wyborną szkołą przygotowawczą był samorząd lokalny. Troska o dobro publiczne parafii oraz hrabstwa, uczyła rozumieć sprawy rozleglejszej natury, a przywiązanie do spraw gminnych i zajmowanie się codziennie niemi wyrabiało obywatelski charakter i dawało pewne polityczne doświadczenie.

Jeżeli angielski parlament nie we wszystkich kierunkach prawodawczej działalności stanął na wysokości zadania, to nie można się dziwić, że ta samodziałalność sejmów kontynentalnych doczekała się od pessymistycznych uczonych, sumarycznego potępienia. Samo-

[1]) Maurus: Der moderne Verfassungsstaat. Str. 137.
[2]) Tamże. Str. 145.

rząd lokalny w państwach stałego lądu zaledwie się wydobywał z powijaków patrymonialnych, ale na to tylko, aby być znowu starannie spowitym przez biurokracyę rządową. Nie mógł więc on zasilać wyrobionemi w służbie publicznej obywatelskiemi pierwiastkami parlamentów, a inne żywioły mimo wielu przymiotów nie zdołały się uporać z gmatwaniną interesów stronniczych, a tem samem często nie potrafiły tchnąć politycznego ducha w prawodawcze dzieło i pracę.

Parlamenty i sejmy dzisiejszej doby nie pozostawiły jednak swoich członków w zupełnej rozterce i na bezdrożach, gdzie panowały, przebiegłość i ślepy traf. Regulamin parlamentarny Anglii, wyrobiony wiekowem doświadczeniem zawarł wyborną taktykę, którą się kierując mogą organa polityczne obradujące ochronić się od terroryzmu interesów partykularnych i od fałszowania lub przynajmniej wypaczania woli większości. Bentham wypowiedział w mistrzowski sposób te wszystkie racye stanu, które wytworzyły regulamin parlamentarny, a praktyka reprezentacyjnych organów stałego lądu, dorzuciła do tych cennych nauk niejedno ważne spostrzeżenie. Jednem słowem, dziś dyskusya parlamentarna winna poinformować każdego członka dokładnie o programach wszelkich stronnictw, o ich sile, a przedewszystkiem o wartości ich zasad i gruntowności ich prawodawczych projektów. Dopuszczenie każdego, choćby drobnego stronnictwa do słowa, przedstawia w kontradyktoryjnym porządku projekta i jego krytyki, pozwala po wyczerpującej dyskusyi zoryentować się każdemu członkowi i wyrozumieć, gdzie się znajduje potrzeba publiczna a gdzie interes stronniczy.

Pomaga również do przejęcia się obowiązkami obywatelskiemi i do stłumienia w sobie wszelkich egoistycznych stronniczych pragnień, duch polityczny, ogarniający całą reprezentacyę nowożytną i przenikający tem samem na wskróś każdego z jej członków. Odkąd równość prawna usunęła z obrębu parlamentów i sejmów stanowy rozdział w prawno-państwowem znaczeniu, reprezentacya narodowa nie uosabia bynajmniej sumy interesów prywatnych lub publicznych, ale cele polityczne, pod płaszczykiem których jedynie ukrywały się zręcznie interesa niższej kategoryi. Stronnictwa występujące w łonie reprezentacyi nowożytnej, nosiły wybitne polityczne znamię. Programy

ich mimo ukrytych pragnień faworyzowania pewnych, wyłącznych sfer, musiały jawnie dążyć do ogólnego dobra i tym względem motywować potrzebę zmniejszenia ciężarów pewnej klasie czyli oszczędzania jej sił podatkowych.

Prawdą jest, że stronnictwa utożsamiały niejednokrotnie swój interes z dobrem całego państwa i ukrywając sprytnie ekonomiczne oraz społeczne korzyści swego programu, starały się przekonać reprezentacyę o jego wysokich politycznych przymiotach. Najpotężniejsze jednak stronnictwo, rządzące znaczną większością parlamentu nie zdołało na długo uśpić politycznego ducha reprezentacyi państwowej i wyzyskiwać go gwoli wyłącznym interesom klas społeczeństwa. Niewątpliwie znajdowały się w dziejach nowożytnego parlamentaryzmu „chambres introuvables“, oddane duszą i ciałem stronnictwu rządowemu i osłaniające swą powagą nadużycia władz administracyjnych; były reprezentacye sprzyjające więcej klasom rolniczym, niż żywiołom miejskim i wybrane nawet w tym celu przeważnie wśród wiejskiej ludności, jak np. senat ostatniej rzeczypospolitej francuskiej, aby ukarać miasta za ich anarchiczne dążenia [1]), nie brakło izb usposobionych przyjaźniej dla mieszczaństwa lub specyalnie dla drobnej własności ziemskiej, a uważających większych właścicieli za rdzę socyalną, która przypadkowo pozostała w spuściźnie po starych rządach, wreszcie znalazłyby się i takie izby, które równemu a słusznemu rozdziałowi podatków kłam zadając, z rozmysłem przeciążały jedne warstwy, a drugie zbyt wielkiemi obdarzały ulgami. Z tem wszystkiem jednak nie można pomówić rządów reprezentacyjnych nowożytnych, aby się wyparły swego posłannictwa politycznego, służąc wytrwale jednemu stronniczemu interesowi. Całe szeregi zarzutów jakiemi pisarze polityczni obecnej doby obrzucali prawodawczą działalność i finansową gospodarkę parlamentów, dowodziły więcej niedoświadczenia panującego wśród twórców nowego państwowego porządku, aniżeli złej woli, która jak to dawniej często się zdarzało, prywatę stanową kładła ponad publiczne dobro.

Dzieje sejmowania kontynentalnego są nawet jednym pościgiem

---

[1]) Bard et Robiquet: La constitution francaise de 1874. Str. 211—212.

za dogodnym ustrojem państwowym, w którymby jednostka znalazła odpowiednią swobodę dla swej działalności; ciężary publiczne zostały sprawiedliwie i słusznie rozdzielone między obywateli, a reprezentacya sejmowa przedstawiała interesa wszystkich warstw społecznych i dobro publiczne całego państwa. Wytworzenie jednak takiego ustroju, któryby utrzymał harmonię między jednostką i całością państwa, a w dodatku któryby w równym udziale czerpał podatek z tak nierównej siły i różnolitych źródeł finansowych jest niezmiernie trudnem a nawet wymarzona organizacya, w danej chwili okaże się w miarę rozwoju społeczeństwa wadliwą a życie polityczne w miarę wzrastających potrzeb publicznych i wymagań stawianych nowożytnemu państwu zmusi prawodawcę do nowych reform uzupełniających konstytucyę państwową.

Parlamenty i sejmy stałego lądu, pomimo chwilowego zwycięstwa interesów pewnej klasy, okazały się zawsze skłonnemi do reform, które instytucyom reprezentacyjnym i prawodawstwu całemu znamię polityczne powracały, a w jednostce wytwarzały poczucie obywatelstwa, łagodzące przeciwieństwa ekonomiczne, społeczne, narodowościowe, wyznaniowe i historyczno- dzielnicowe. Nie trudno byłoby z dziejów parlamentów ostatnich lat dziesiątków, przytoczyć przykłady wzniosłego patryotyzmu wobec którego zamilkły wszelkie partykularne dążenia i cele, a znajdują się również i takie momenta, w których reprezentacya kraju, mimo klęsk materyalnych, nie cofnęła się przed żadnem finansowem poświęceniem, aby tylko państwu swemu powrócić militarną, a z nią i polityczną siłę.

Duch polityczny ogarniający parlamenty i sejmy nie dozwalał długo gospodarować większości, jeżeli ona dobra ogólnego używała za pozór do osiągnięcia stronniczych korzyści. Opozycya nie omieszkała bowiem odsłonić dwulicowości postępowania większości, a sprawiedliwa krytyka poparta przez opinię całego społeczeństwa, oddziaływała prędzej lub później na koła wyborcze, które wypełniły izby żywiołami pojmującemi dobro i potrzeby publiczne lepiej i zgodniej z ich polityczną naturą oraz przeznaczeniem. Zgromadzenia parlamentarne we wszystkich jednak krajach rozdzielone są na stronnictwa polityczne, mające swoje programy, cele i pragnące ku nim skierować prawodawstwo i administracyę państwową. Każdy więc

z członków przemawiający w imieniu swego stronnictwa musi być przygotowanym na uprzedzenia i upór innych stronnictw, o które jak o puklerz odbijać się będą jego racye stanu. Nie pomoże jednak ani lekceważenie, ani oburzenie płynące z separastycznych interesów, jeżeli bowiem mówca obudzi ducha politycznego wśród zgromadzenia parlamentarnego, zdobędzie nasamprzód uważne ucho najzaciętszych przeciwników, a większość pocznie się liczyć z jego wywodami walcząc wprawdzie z niemi ale nie skazując ich na zapomnienie.

Wpływ parlamentarnego mowcy w dzisiejszych czasach, choćby nawet chodzącego luzem, czyli „dzikiego“, wzmógł się znacznie i prawdopodobnie wzrastać będzie w przyszłości, oddziaływając coraz to na szersze koła społeczne a pośrednio na wszystkich wyborców. Gdy mówca wśród dawnej reprezentacyi stanowej mógł rzadko kiedy przemawiać do całego zgromadzenia, a głos jego skrępowany instrukcyami pełnomocniczemi, nosił piętno wyraźne interesów jednego tylko stanu, w dzisiejszej reprezentacyi każdy przemawiając w parlamencie, zwraca się jako obywatel do całego kraju i głos jego zrobi tem silniejsze wrażenie i tem prędzej zdobędzie sobie uznanie większości im bardziej oddali się od jednostronności a wystąpi z czysto polityczną treścią.

Stare przysłowie powiada: „oratores fiunt“, co pozwoliłbym sobie przetłómaczyć w ten sposób: „mówcy wyrabiają się“. Gdyby mi jednak przyszło dokładnie określić w jaki sposób mają się wyrabiać mowcy parlamentarni dzisiejszej doby, byłbym w rzeczywistym kłopocie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że praca parlamentarna kształci i rozwija umysł każdego z członków reprezentacyi, i że tym sposobem wśród weteranów poselskich znajdzie się zawsze pewna ilość wytrawnych i doświadczonych mówców. Wyborcy jednak rzadko kiedy dają osiwieć w szrankach parlamentarnych tym, którzy od pierwszego wystąpienia nie zdradzili należytego wykształcenia i zdolności. Szkołę przygotowawczą a w niej pewien zasób politycznego doświadczenia i ukształcenia, trzeba zdobyć uprzednio, aby być w możności należytego ocenienia żywiołów społecznych wypełniających reprezentacyę, bez czego nie znajdzie się odpowiedniego słowa trafiającego do politycznych instynktów i sumienia większości zgromadzenia.

Że polityczna nauka nie wytwarza sama przez się parlamentarnych mowców, mamy dowód w tem, że uczeni tej miary co Guizot, Robert Mohl i Gneist, nie wsławili się nigdy parlamentarnymi występami, a nawet te zgromadzenia reprezentacyjne, w których było dużo pierwiastku uczonego, jak np. w parlamencie frankfurckim, okazały się pod względem konstytucyjnej i prawodawczej pracy prawie zupełnie bezpłodnemi [1]).

Daleko więcej korzyści obiecuje dla reprezentantów kraju, służba publiczna wśród organów samorządu, począwszy od najdrobniejszego jakim jest gmina. Już bowiem i w tym mikroskopijnym świecie publicznym, występują stronnictwa, chęć wyzyskania dobra ogólnego na korzyść pewnych interesów i owa trudność należytego określenia stosunku organów uchwalających do wykonawczych. Prócz tego służenie samorządowi miejscowemu naucza każdego, jak ściśle interesa ekonomiczne i społeczne związane są z politycznymi, i dlatego też jest ono bodźcem do zgłębienia i wyrozumienia potrzeb kraju całego, albowiem przedtem zmuszało do zastanowienia się i radzenia nad publicznemi potrzebami danej miejscowości.

Wobec wielkich i wzrastających wymagań, jakie stawiamy nowożytnemu prawodawcy, sama służba wśród organów samorządu, choć bardzo pożądana, nie może być uważana za ostatnie słowo ukształcenia reprezentantów kraju. Książe Bismarck rozpoczął od niej, ale na niej nie skończył, i zapoznawszy się dokładnie z prawodawstwem obowiązującem w swojej ojczyźnie i w innych państwach, co Pierre uważa za jeden z najważniejszych obowiązków reprezentanta kraju [2]), czerpał obficie z naukowych zdrojów, którym dał początek wielki Stagiryta.

---

[1]) Maurus: Der moderne Verfassungsstaat, str. 177 i 178. „Deutschland hat in den Jahren 1848 und 1849, das Schauspiel eines aus seinen grössten Capacitäten in der Wissenschaft und Politik zusammengesetzten Parlament gehabt... Zwar ertönten in der Paulskirche zu Frankfurt die schönsten und gelehrtesten Reden und die edelsten und uneigennützigsten Männer Deutschlands stimmten frei nach ihrer besten Ueberzeugung. Allein Hand im Hand ging damit der Mangel an Verständniss für die im Volke bestandenen realen Verhältnisse, herrschte der Eigendünckel eines plötzlich zur Macht gelangten Doctrinarismus, und das Volk war um seine schönste Idee und seine schönsten Hoffnungen betrogen".

[2]) Traitè de droit politique electoral en parlamentaire. Str. VIII. „L'etude

Służba publiczna wśród organów samorządu, czy też państwowej administracyi, musi być uzupełnioną wykształceniem politycznem, jeżeli ma stworzyć potężnego mowcę parlamentarnego w dzisiejszej dobie. Teorya winna się zbratać z praktyką codziennego życia, ażeby wytworzyć reprezentanta kraju, który uchroni się od martwego doktryneryzmu i przeniknie potrzeby wszelkie społeczeństwa i państwa, a tem samem dopomoże do tego, aby znalazły odpowiednie w prawodawstwie uwzględnienie. Im głębiej reprezentant kraju wniknie w naturę polityczną nowożytnego państwa, która panuje również i w parlamencie, im wyraźniej i jaśniej wyobrazi sobie państwo, jako żyjący organizm, a nie jako zlepek doktrynerskich formułek i definicyj, tem skuteczniej przekona większość o tem, że ustrój państwowy ma swe prawa rozwoju, swe nieustające potrzeby, których zaspokojenia nie można uczynić zawisłem od stronniczych interesów, bez narażenia istnienia całości na niechybny upadek. Stosunki polityczne danej chwili, talent krasomówczy, temperament czysto indywidualny, wypowiadający swe przekonania bądź to z porywającym patosem, bądź to z nieprzepartą logiką, mogą niewątpliwie spotęgować wrażenie i skuteczność parlamentarnej mowy. Przedewszystkiem jednak musi ją przenikać duch polityczny, stojący na straży dobra i zdrowia całego państwa. Duch ten nie powinien opuszczać mowcy zwłaszcza w tej chwili, gdy przemawia za politycznemi interesami lub prawami mniejszości, jak to ma miejsce np. z Irlandczykami w Anglii. Poczucie sprawiedliwości dziejowej należy bowiem do zasad politycznej etyki w państwie nowożytnem, a przypominanie starych krzywd i nadużyć skrzepiało, a nie osłabiało politycznego ducha Anglii.

W austro-węgierskiej monarchii, rządy reprezentacyjne torowały sobie drogę mozolniej, natrafiając na więcej zapór i przeszkód, aniżeli to miało miejsce w innych państwach stałego lądu. Warunki plemienne narodowościowe, wyznaniowe, społeczne i dzielnicowo-historyczne, przygłuszały natrętniej wśród reprezentacyjnych organów poczucie zjednoczenia, a tem samem utrudniały niezmiernie zadanie

---

mèthodique des lois existantes peut d'ailleurs conduire, par une voie tres sûre, a le découverte des rèformes necessairès", i t. d.

mowcom parlamentarnym. W przeszłości monarchii austryackiej, wszelkie próby wytworzenia ogólnej reprezentacyi stanowej spełzły na uiczem, i w spadku po starych rządach przekazaną została XIX wiekowi jedynie tradycya reprezentacyi dzielnicowej [1]). Wprawdzie organizacya sejmów krajów koronnych nie sprzyjała zbytnio wyrobieniu się prowincyonalnego indywidualizmu, ale z drugiej strony, choć służebnicza uległość reprezentacyj stanowych, w końcu XVIII i z początkiem XIX wieku, zdawała się przechodzić wszelkie oczekiwania, niemniej jednak sejmy krajowe nie mogły być uważane za zwiastunów jedności państwowej. Jedynie królestwo węgierskie wyróżniało się dobitnie od innych dzielnic koronnych swą starą konstytucyą, i ono, mimo wszelkich wysileń Józefa II, nie pozwoliło złamać siły swych sejmów i komitatowych sejmików.

Ideał Józefińskiego państwa, przetapiający wszelkie narodowości w jedną niemiecką, i stwarzający z filozofii przewodnią ideę prawodawczą [2]), a w dodatku zaprowadzający krańcową centralizacyę, i odsuwający ludność od wszelkiego udziału w samorządzie, pomimo, że naraził monarchię na liczne niebezpieczeństwa, nie przestał przyświecać i następcom Józefa II. Leopold wprawdzie zmuszony był do ustępstw niejakich, lecz Franciszek I przy sprzyjających okolicznościach starał się nietylko sejmy krajowe zredukować do czczego formalizmu, ale i konstytucyi węgierskiej odjąć wiekami wyrobiony wpływ na społeczeństwo, używając przebiegłego systemu „divide et impera“, który się uosabiał przedewszystkiem w szczepieniu socyalnej, plemiennej, narodowościowej i wyznaniowej waśni. Nie mogę dłużej zatrzymywać się nad powyższą kwestyą, ale wszystkich ciekawych poznać, jak rozległe i wszechstronne system powyższy znalazł w Węgrzech zastosowanie, odesłać muszę do pracy Horwatha [3]), zaś posługiwanie się nim w Galicyi, w najwyraźniej-

[1]) Ulbrich: Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts. Str. 19.

[2]) Gumplowicz: Oesterreichische Reichsgeschichte, str. 157. „Seitdem ich das Thron bestieg und das erste Diadem in der Welt trage, habe ich die Philosophie zur Gesetzgeberin meines Reiches gemacht“.

[3]) Fünfundzwanzig Jahre aus der Geschichte Ungarns.

szym celu zaszczepienia rozkładu społecznego, opisał szczegółowo i wybornie Kalinka [1]).

Burza polityczna 1848 roku, która o mało że nie obróciła w gruzy państwa austryackiego, zmusiła na chwilę rząd państwa do szukania ratunku w pierwiastku reprezentacyjnym, w którym społeczeństwa stałego lądu widziały najskuteczniejszy środek odrodzenia porządku państwowego. Zwołany w roku 1848 sejm, wypracował konstytucyę opublikowaną patentem z d. 25 kwietnia 1849 r., ale ani praca sejmu, ani jego dzieło, nie zdołały uśmierzyć burzy, ani zaspokoić pragnień, powiększających się z każdą chwilą. Nikt też prawdopodobnie dziwić się temu nie będzie, że pierwszy sejm austryacki, obradujący naprzód w Wiedniu, a potem w Kromieryżu, pomimo najlepszych chęci i dobrej woli, zdziałał nie więcej, jak parlament frankfurcki. Z pięknemi i wzruszającemi przemowami, między któremi Kudlicha głosy prym trzymały, z rzetelnem dążeniem do reform, łączył sejm austryacki (1848—49) sporo doktryneryzmu i niedoświadczenia politycznego, które mu odjęło wszelką siłę wobec rządu zwyciężającego rewolucyę.

Przez lat dziesięć, t. j. aż do roku 1860, trwały zarówno w Austryi jak i w Węgrzech rządy absolutne i klerykalne, które o mało co, jak Gumplowicz zauważył [2]), nie pogrążyły monarchii austro-węgierskiej w przepaści. Szczęście jednak, że rząd dostrzegł wcześnie grożące niebezpieczeństwo, i w roku 1860 Gołuchowskiemu przypadł w udziale zaszczyt torowania drogi systemowi reprezentacyjnemu w monarchii Habsburgów.

Pominę dzieje rozwoju ówczesnych reform, które w interesujący i pouczający sposób Gumplowicz opisał [3]), a zaznaczę jedynie, że reprezentacya dwuizbowego parlamentu, zwanego Reichsrathem, powołaną została do życia w roku 1861, a zorganizowaną należycie i rozwiniętą szeregiem specyalnych ustaw w r. 1867. W królestwie

---

[1]) Galicya i Kraków.

[2]) Oesterreichische Reichsgeschichte, str. 217.

[3]) Oesterreichische Reichsgeschichte. Zaznaczyć winienem, że pr. Gumplowicz napisał jeszcze jedno dzieło wyczerpujące, poświęcone prawu państwowemu austryackiemu p. t.: Das oesterreichische Staatsrecht (Verfassungs und Verwaltungsrecht). Ein Lehr und Handbuch. Wien, 1891.

zaś węgierskiem powołany został sejm w roku 1861, gdy jednakże nie chciał się zgodzić na zasiadanie z drugą połową monarchii we wspólnym parlamencie, został w tymże roku rozwiązanym, i dopiero na nowo w roku 1865 powołanym. Tym razem pod przewodnictwem Deaka ugoda doszła do skutku, i od roku 1867 sejm węgierski, jako reprezentacya całego królestwa, rozpoczął funkcye prawodawcze wykonywać prawidłowo [1]). Sejmy krajowe w liczbie aż 17, nie licząc naturalnie Węgier, powołane zostały do życia także w roku 1861, a poważniejszej zmiany w ustroju swym doczekały się dopiero w roku 1873 [2]). Reprezentacya więc ogólno-państwowa, zarówno jak i prowincyonalna w Austro-Węgrzech, nie liczy długiego żywota, zaledwie lat trzydzieści, jak rozpoczęła swą pracę jednoczącą tyle sprzecznych interesów i łagodzącą tyle i tak długo wywołanych nienawiści.

Rada państwa austryacka, gdyż tak przezwano parlament, miała najtrudniejsze do spełnienia zadanie ze wszystkich ciał reprezentacyjnych, a żywiołom, jakie ją od początku wypełniały, brakło nietylko doświadczenia, ale poczucia jedności państwowej, i chęci do wspólnej pracy. Interesa wszelakiego rodzaju i różnej mocy rozbijały reprezentacyę rady państwa na atomy liczniejsze niż gdzieindziej, a w dodatku aż do roku 1873 sejmy prowincyonalne, wysyłając posłów do rady państwa, zaszczepiały w niej rozdwojenia dzielnicowe, uzasadniające swą odrębność historyą. Nic dziwnego więc, że wobec tak długoletniego a rozkładowego oddziaływania rządów monarchicznych na ludy austryackie, rada państwa uważała się przedewszystkiem za reprezentacyę 17 dzielnic i w imię staroniemieckiego przysłowia: „Hundert tausend Jahre Unrecht ist keine Stunde Recht“, miały zamiast dobra całego państwa, przedewszystkiem odzyskanie swych praw historycznych na widoku. Samorząd lokalny nie był w stanie zasilać żywiołami rozważnymi austryackiej rady państwa. Nasamprzód był on świeżej daty i jednocześnie z reprezentacyą państwową, oraz prowincyonalną wszedł w życie, a oprócz tego nieufność wzajemna, szczepiona skwapliwie wśród społeczeń-

[1]) Ulbrich: Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts, str. 53—55.
[2]) Gumplowicz: Das oesterreichische Staatsrecht, str. 123.

stwa przez rządy reakcyjne, hamowała rozwój samorządu i nie pozwalała mu tak skutecznie w codziennej, obywatelskiej pracy jednoczyć powaśnionych klas rolnych, jak to miało gdzieindziej miejsce.

Pomimo niefortunnych warunków, jakie austryackie reakcyjne rządy pozostawiły po sobie w spuściźnie, rada państwa z roku 1866, której przypadło w udziale ważne konstytucyjne zadanie, okazała nadspodziewanie dużo rozwagi politycznej i wykształcenia, na co także w Austryi zbytecznie rachować nie było można [1]). Trzydziestoletnia praca oddziałała niewątpliwie bardzo korzystnie na ducha ogarniającego radę państwa, wpłynęła ona dużo na wyszlachetnienie stronnictw, i na usunięcie z ich wzajemnego stosunku, pierwiastku jątrzącego, który przez dłuższy czas wszelkie zbliżenie się i porozumienie udaremniał; z tem wszystkiem jednak mowca parlamentarny w radzie państwa, spotyka się jeszcze po dziś dzień z najbardziej zwartemi stronnictwami, skłonienie których do ustępstw na rzecz całej monarchii jest trudnem zadaniem, trudniejszem o wiele, niż w parlamentach innych państw.

Nawet w sejmach prowincyonalnych austryackich, zjednoczenie stronnictw i pozyskanie ich dla jakiejkolwiek reformy, napotykało na liczne trudności. Powodem tego najgłówniejszym, było bezwątpienia rozdwojenie społeczne, wywoływane i podtrzymywane przez absolutne rządy. Nietylko że zapobiegano temu z przebiegłością godną podziwu, aby dwór nie żył przypadkiem w zgodzie z włością, ale gdy uwłaszczenie włościan okazało się nieodzownem, i gdy pierwsza szlachta domagać się zaczęła, aby zniesiono pańszczyznę (Robot) i zaopiekowano się dolą rolnego ludu [2]), agitowano tajemnie, aby reformy agrarnej, wyswobadzającej stan włościan, nie przypisywano

---

[1]) Violand: Die sociale Geschichte der Revolution in Oesterreich, str. 157 i dalsze, przedstawia, jak nizkie wykształcenie można było zdobyć wówczas w szkołach i uniwersytetach austryackich, a przytem „bei der Verbannung aller Freiheit im Gebiete der Literatur herrschte und herrscht auch gegenwärtig in Oesterreich eine Unwissenheit, welche in das Fabelhafte geht.

[2]) Verhandlungen des deutsch-oesterreichischen Reichstages 1848. T. I, str. 158, jednocześnie z Kudlichem podał Sierakowski wniosek, „wegen Aufhebung aller erblichen Privilegien. Porównać Violand: Die sociale Geschichte der Revolution in Oesterreich, str. 163, dalej przyznaje, że po 1846 r. szlachta

i nie poczytywano za zasługę szlachcie, lecz wyłącznie władzy monarchicznej.

Prócz rozdwojenia stronnictw, panowało jeszcze wśród sejmów prowincyonalnych niezrozumienie potrzeb ogólnych, i wielkie niedoświadczenie oraz niewyrobienie w pracy publicznej. Tradycya sejmów prowincyonalnych istniała wprawdzie w monarchii habsburskiej i np. w Galicyi sejmy stanowe zaprowadzono w roku 1775, ale nie zdołały one nawet uprzywilejowanych stanów zaznajomić z potrzebami prowincyi, i pogrążały wszystkich w kompletnej nieświadomości politycznego złego i dobrego. W Galicyi, gdzie wyższe klasy posiadały wraz z żywem poczuciem dobra prowincyonalnego i znaczne wykształcenie polityczne, sejmy stanowe, funkcyonujące prawidłowiej od 1817 roku, zniechęcały i odstręczały najchętniejszych i najgorliwszych o dobro prowincyi od zajmowania się sprawami publicznemi. Sejmowe prace, wnioski, petycye rozbijały się o niechęć rządu, o powolność zastraszającą austryackiej procedury. Rząd, nietylko że sam nic nie robił, ale i stanom nic pożytecznego robić nie dozwalał. Skrępował ich bezczynnością, działania ich zamknął w próżnych ceremoniach, i cóż dziwnego, że najgorliwszym ręce opadały, że ogół odsuwał się od życia publicznego, gdzie oprócz własnego poniżenia nic nie znachodził [1]).

Jeżeli sejmy stanowe nie były w możności użyczyć wyższym klasom choćby odrobiny wykształcenia politycznego, to w uzupełnieniu tak niefortunnego położenia rzeczy, rządy absolutne nie zaniedbały niczego, co tylko mogło w każdej prowincyi zaszczepić nienawiści i waśni, czy to na tle socyalnem, czy narodowościowem, plemiennem lub wreszcie wyznaniowem. Rząd austryacki nie cofnął się w roku 1846 przed wywołaniem w Galicyi ohydnych rzezi, a najwstrętniejsze mordy nazywane były przez ministeryum „dowodem wierności dla tronu, i wypróbowanej życzliwości klasy włościańskiej“ [2]). W przeprowadzeniu reform agrarnych, oswobadzają-

---

galicyjska chciała włościanom pańszczyzny darować, ale Stadion zakazał im podobne darowizny przyjmować, a dobroczyńców aresztować i odstawiać władzom polecił.

[1]) Kalinka: Galicya i Kraków, str. 14.

[2]) Kalinka: Tamże, str. 153.

cych włościanina od ciężaru pańszczyzny i obdarzających go własnością ziemi, rząd austryacki nie naśladował bynajmniej wzorów pruskich, które znacznie wcześniej w sposób sprawiedliwy i praktyczny, reformę powyższą przeprowadziły. W roku 1848 manifesty zapowiedziały włościanom tę miłą obietnicę, że własności gruntowe będą porównane, a ciekawe te dokumenta rozwoziły komendy wojskowe sołtysom z rozkazem, aby ich ani dziedzicom, ani księżom nie pokazywali [1]). Nawet organizacyę prowincyonalną w Galicyi, uważano wtedy za środek do zgubienia tych klas społecznych, które przechowały wśród siebie najwięcej wykształcenia i poczucia publicznego dobra. Konstytucya bowiem prowincyonalna przyznała na sejmie 87 głosów włościanom, szlachcie zaś i mieszczanom razem 63, odwołując się do Tyrolu, gdzie włościanie mieli znaczniejszą stosunkowo liczbę głosów, a gdzie też stanowią klasę słynną przez swą zamożność, pracowitość i pobożność. Konstytucya więc oddawała włościanom los właścicieli większych i mieszczanów, i przełożyła jawnie zuchwalstwo i gwałty pierwszych, nad spokój drugich, przełożyła bezprawie nad prawo, wyuzdaną zwierzęcość nad moralność i sumienie [2]).

Wśród takich warunków społecznych i wśród tak obfitego posiewu namiętności i nienawiści wszelakiego rodzaju, nic dziwnego, iż samorząd prowincyonalny, wprowadzony w 1861 roku w życie, z trudnością mógł się tylko rozwijać, natrafiając na każdym kroku na zniechęcenie, nieufność, zobojętnienie, a nadewszystko na zwątpienie, aby praca publiczna i wspólna mogła się na cośkolwiek przydać, i aby zdolną była usunąć między klasami społecznemi tę przepaść, jaką absolutne rządy z tyloletnią zapobiegliwością wykopały. Zarówno też wśród sejmu, jak i rady powiatowej, lub gminnej, występowało na jaw znamienne rozbicie społeczeństwa na atomy i trudność zorganizowania w imię celów publicznej natury jakiegokolwiek poważniejszego stronnictwa. Następnie, gdy uformowały się stronnictwa, porozumienie się ich i usunięcie wzajemnej podejrzliwości szło z oporem i przeszkodami, tak, że dzieło najpożyteczniej-

---

[1]) Kalinka: Galicya i Kraków, str. 136.
[2]) Kalinka: Tamże, str. 162.

szej i palącej reformy nie mogło liczyć na powodzenie. Zadanie też członka galicyjskiego sejmu było nie łatwem, i po dziś dzień należy bezwątpienia do trudnych. Nie dość bowiem, że wykończenie prawodawczych przepisów, nadających samorządowi charakter polityczny i właściwość gojenia ran społecznych, czekać musi na rozwój wykształcenia politycznego i zdobycie większego doświadczenia, ale przeprowadzenie wszelkiego doniosłego pomysłu, choćby takowy zabłysnął w głowie niezwykle uzdolnionej, natrafi na szkopuły o niepospolitej sile opornej. Najwymowniejszym racyom stanu i najgorętszym obywatelskim pragnieniom, oraz zamiarom, stawało wówczas na poprzek hasło: „naj budie jak buwało“ [1]), owa nieodrodna córa systemu, „divide et impera“.

Powyższemi uwagami zdawało mi się stosownem poprzedzić powitanie, niezwykle rzadkiego i miłego gościa w naszej literaturze, jakim jest pierwszy tom mów Juljana Dunajewskiego, dawnego profesora wszechnicy jagiellońskiej, posła na sejm krakowski, posła do rady państwa w Wiedniu, i wreszcie wieloletniego ministra finansów w Austryi. Sądziłem bowiem, że aby należycie ocenić skarbnicę politycznego rozumu i politycznej etyki, jaką w rzeczonych mowach znajdujemy, należy przedewszystkiem wykazać, jak w dzisiejszej dobie jest doniosłem stanowisko reprezentata w każdem państwie konstytucyjnem, a następnie, że jeszcze większej wagi nabrało ono w Austryi, gdzie gmach konstytucyjny stawiano nie na opoce zwartej poczuciem jedności, ale na gruncie socyalnym bardzo grząskim i rozstępującym się, który żadnemu dziełu dobra publicznego, nie zapewniał należytego bezpieczeństwa.

W tak wyjątkowo trudnych a niejednokrotnie zniechęcających warunkach, pracował Juljan Dunajewski z sejmem galicyjskim od roku 1870, a z radą państwa w Wiedniu od roku 1873. Tom I objął mowy wypowiedziane w obu tych organach reprezentacyjnych, przyczem mowy wypowiedziane w radzie państwa przetłómaczył z niemieckiego dr. Jaworski, a wydawnictwo poprzedził przedmową dr. Piotr Górski, autor sumiennej pracy, samorządowi gminnemu poświęconej, a od niedawna poseł na sejm krajowy.

---

[1]) Lewicki: Samorząd gminny w Galicyi i dzieje jego reformy, str. 144.

Zanim przejdę do samych mów wysłużonego i zasłużonego męża stanu w Austryi, zarówno jak w Galicyi, pozwolę sobie zwrócić uwagę na przedmowę dra Górskiego, a to ze względu, że zawiera ona wiele trafnych i poważnych spostrzeżeń, które są niezbędnemi do należytego zrozumienia mów, a zwłaszcza niektórych zwrotów i niedomówień. Mowy powyższe, zdaniem dra Górskiego, mają znaczenie nietylko słowa, lecz czynu politycznego w historyi Galicyi. Z tego stanowiska należy je też sądzić. Każda mowa Dunajewskiego jest czynem, powiedzieć można, jakby krokiem naprzód, w rozwoju stosunków politycznych kraju.

Główną cechą mów w sejmie krajowym, jest dążenie do naprawy wewnętrznych urządzeń galicyjskich, począwszy od drobnych kwestyj szczegółowych, aż do najważniejszych zagadnień reformy całego ustroju władz administracyjnych. Głównym zaś celem i treścią mów wygłoszonych w radzie państwa, jest naprawa i podniesienie stanowiska Galicyi w państwie, wywalczenie dla niej istotnego równouprawnienia z innymi krajami koronnymi, a wreszcie i zmiana systemu rządów państwa w tym kierunku. Ażeby Dunajewskiego należycie ocenić, powiada dalej dr Górski, trzeba się cofnąć pamięcią wstecz, i przypomnieć sobie, że stosunki, które dzisiaj istnieją, były wówczas prawie niedościgłem marzeniem, i że jeżeli się do tego czasu tak dalece zmieniły na lepsze, stało się to w wielkiej mierze, dzięki stanowisku i działalności koła polskiego w Wiedniu, które liczyło wtedy wielu znakomitych ludzi, którego jednak najgłębszym, najbardziej trzeźwym i przenikliwym umysłem, prawdziwym przewodnikiem politycznym, najznakomitszym szermierzem parlamentarnym, najwięcej wpływowym i słuchanym mowcą był właśnie — Juljan Dunajewski.

Ażeby jego mowy ocenić należycie, trzeba także sobie przypomnieć, że w owej epoce, pomimo teoretycznego równouprawnienia wszystkich obywateli w państwie, kraje i ludy o nie niemieckiej narodowości, w skład monarchii wchodzące, były w rzeczywistości dalekiemi od równouprawnienia politycznego, a cała władza spoczywała w rękach centralistyczno-liberalnej lewicy niemieckiej. Interesem państwa zdał się być tylko interes lewicy, przewodnią myślą rządów, prawem politycznem w codziennem zastosowaniu, wobec na-

suwających się potrzeb religijnych, ekonomicznych i społecznych ludności, była doktryna tego stronnictwa.

W takich warunkach i z tego stanowiska mowy Dunajewskiego nabierały wyjątkowego znaczenia. Doniosłość, wartość i wpływ ich na obrót spraw parlamentarnych w Austryi, dziś, w zmienionych stosunkach, nie da się tak odczuć, jak je odczuwali ci, którzy żywe słowo z jego ust słyszeli, ale w przenośnem znaczeniu zachowają one zawsze tę samą doniosłość i wartość, i powinny po wszystkie czasy dawać nam pouczający przykład, co może zdziałać i osiągnąć w niekorzystnych nawet warunkach, polityka nie hałaśliwa, nie krzykliwa, nie namiętna, ale rozważna, pełna cierpliwości, stateczności i konsekwencyi, świadoma swych celów, nie dająca się zrazić ani trudnościami położenia ani zniechęcić niepowodzeniami chwilowemi głosowania, czy uchwał izby, pełna dzielności w obronie swych zasad, jak i przezorności w walce, pełna siły i miary w działaniu o dobro kraju.

Czytając mowy Dunajewskiego po kolei, od pierwszej aż do ostatniej odczuwa się rosnący wpływ i znaczenie stronnictwa, w imieniu którego mówca przemawia, dostrzega się, jak zasady polityczne, które mowca i jego stronnictwo wyznaje, zyskują na znaczeniu, torują sobie powoli drogę przyszłości i zwycięstwa. Dzieje się to dzięki temu, że w obronie tych zasad występuje bez uniesień i zapamiętałości, ale z głębokiem przemyśleniem, że umie bronić praw i interesów swego kraju ze stanowiska interesów całego państwa i jego potrzeb, że posługuje się argumentami rzucającemi głębokie poglądy na sprawy etyki i polityki państwowej. Dunajewski wzamian za to, że tak wytrwale praw swej prowincyi broni wobec nieprzyjaźnie usposobionej większości parlamentarnej, umie okazać gotowość i zrozumienie popierania potrzeb państwa, mocarstwowego stanowiska monarchii i wszelkich spraw, których dobro powszechne wymaga, albo słuszny interes innych prowincyi. I to właśnie daje mowcy i jego stronnictwu wielką siłę, gdyż stronnictwo rządzące stoi tylko na partyjnem i doktrynerskiem stanowisku.

Mowy Dunajewskiego są, zdaniem dra Górskiego, nieporównane, jako przykład prowadzenia walki politycznej na wielkiej arenie ciała prawodawczego, i niewielu jest wśród największych mo-

wców świata, którzyby tak jak on umieli prowadzić kampanię parlamentarną. Tak prowadzić walkę potrafi tylko wielki wódz, który widząc szczupły zastęp swoich szeregów, wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, nie chce poświęcić ani jednego strzału na darmo, nie szuka chwilowego sukcesu, ale bez względu na wszelkie ponęty i krewkość swych żołnierzy, z przezornością i oględnością wytrzymuje walkę, otoczony ze wszech stron, broni się do upadłego, ani chwili na duchu nie opada, a zawsze ufa w zwycięstwo dobrej sprawy.

Oceniając mowy Dunajewskiego z literackiego punktu widzenia, zauważyć należy, że niema w nich retoryki i krasomówstwa. Są to mowy rzeczowe, ściśle parlamentarne. Są to mowy polityczne, choć nie na jakiś ogólnikowy temat, nie rozbierające pewnych teoretycznych zagadnień prawno-politycznych, filozoficznych lub społecznych. To co stanowiło największą zaletę i siłę tych mów, a zatem kunszt politycznego traktowania pewnej sprawy, używania w danem otoczeniu i położeniu tych a nie innych argumentów, posługiwania się argumentami przywiedzionymi przez przeciwników i odwrócenia ich ostrza, dar czynienia alluzyj niesłychanie subtelnych i delikatnych, używania ironii, czasami ostrej i gryzącej, ale przesłoniętej wykwintną formą i wytwornem wyrażeniem, budzącej domysły lub obawy w kołach wtajemniczonych, a nie dotykającej nigdy rzeczy niezgrabnie, lub zbyt namacalnie, słowem, wszystko to, co poruszało słuchaczy, rozbrajało przeciwników, napełniało ufnością zwolenników i nadawało pewien obrót sprawie publicznej wśród walk parlamentarnych — uleciało dla czytelnika po większej części bezpowrotnie. Żaden komentarz, żadne objaśnienia nie są w stanie oddać, ani wskrzesić przed oczyma czytelnika obrazu takiego położenia, które tylokrotnie wydawało się izbie, kiedy na ławach polskich posłów i prawicy parlamentu zapanowało jakieś przygnębienie, kiedy lewica stawała się już blizką tryumfu, kiedy później ministerstwo Taffego wydawało się zachwianem i blizkiem upadku, a w tem, w takiej krytycznej chwili, wstał z ław poselskich, a później z krzesła ministeryalnego Dunajewski, i zaczął mówić, a pod wpływem jego słów położenie się zmienia; ufność, zadowolenie, tryumf wstępują napowrót w szeregi prawicy, która skupia się odrazu, nabiera otuchy, siły,

wytrwania i wiary w swą przyszłość, tryumfująca zaś dopiero co lewica doznaje zaniepokojenia, poznaje swe błędy i przekonywa się o swej bezsilności.

Do zewnętrznej charakterystyki mów Dunajewskiego dodać wypada, że nie pisał ich nigdy naprzód, i mówił zawsze nieprzygotowany. Ale pomimo to, mowy jego mają więcej przygotowania od wielu z tych, co swe mowy naprzód układają, lub piszą. Nieraz zdarzyło się, że proszony przez towarzyszy wśród dyskusyi, zabrał głos Dunajewski, i wypowiedział wielką mowę, choć nie miał pierwej wcale zamiaru przemawiać. Taką gotowość dawała mu nie sama łatwość słowa i biegłość dyalektyki, jak się to u wielu innych spotyka, ale przymiot o wiele rzadszy, a ważniejszy dla każdego mowcy politycznego, a tem jest głębokie przemyślenie. Tylko wielkie przemyślenie daje tę niewyczerpaną głębię, z której można zawsze bez przygotowania, wydobywać zasób niezwalczonych argumentów, jasność sądu i przekonywającą siłę. Miłość kraju była dla Dunajewskiego pobudką działania, i dała jego mowom nieporównaną podniosłość, rozum dał mu nieprzepartą siłę argumentacyi, stanowiącą prawdziwie podbijającą potęgę słowa.

Każdemu, kto przeczyta mowy Juljana Dunajewskiego, nie wydadzą się pochwały dra Górskiego przesadnemi. Niewątpliwie, że wrażenie, jakie czyniły swego czasu w parlamentarnym boju, zniknąć musiało w pewnej przynajmniej części przy ich czytaniu, ale za to tryumfy, jakie odniosły wcielając się w polityczne czyny wymownie świadczą o tem, że były dzielnym środkiem podboju wśród stronnictw parlamentarnych. Ponieważ dr Górski w swej przemowie scharakteryzował mowy i mowcę na tle żywej tradycyi parlamentaryzmu austryackiego, dając nam wykończony portret wytrawnego i wybornego szermierza sejmowego, jakim był Dunajewski, przeto nie pozostaje mi nic innego, jak podawszy w streszczeniu jego uwagi, zastanowić się nieco nad treścią polityczną, zawartą w tomie pierwszym jego mów.

Zdawałoby się na pozór, że przemawiając w sejmie prowincyonalnym w sprawie drobnych kwestyj administracyi miejscowej, nie można znaleść odpowiedniego pola do zainteresowania, a tem mniej do zaciekawienia czytelnika. Co np. z takich kwestyj uwagi

godnego wydobyć można, jak sprawa oddania obsługi i nadzoru chorych w szpitalu lwowskim siostrom miłosierdzia, sprawa omycania dróg i t. p. A jednakże począwszy od pierwszej mowy, przykuwa Juljan Dunajewski uwagę czytelnika, i zdobywa sobie jego uznanie bogatą treścią polityczną, oświecającą przy najdrobniejszej sposobności naturę, zadania i cele samorządu prowincyonalnego.

Pozwolę sobie pokrótce zastanowić się nad ważniejszemi mowami Dunajewskiego, wskazując te ustępy, w których mowca z niezwykłą jasnością i precyzyą wyraził przewodnią myśl polityczną. Zaraz w pierwszej mowie spotykamy wyborne ocenienie wartości obsługi chorych przez siostry miłosierdzia. Siostry owe, powiada mówca, służą chorym z poczucia obowiązku religijno-moralnego, tego poświęcenia żadna płaca nie zastąpi. Jeżeli my, których los smutny nie skazał na szukanie w szpitalu opieki podczas choroby, jeżeli my, nad najlepsze i najwierniejsze sługi przenosimy troskliwą, a w swej troskliwości niewyczerpaną usługę i opiekę naszych matek, sióstr i żon, to zaprawdę nieźle się zasłużył wydział około ubogich chorych, oddając ich nie pod wstrętną często opiekę zwyczajnych sług, lecz pod opiekę tej wielkiej rodziny religijnej, sióstr miłosierdzia, której zasługi uznane są wszędzie, tak w katolickich, jak i w protestanckich krajach.

Druga mowa w sprawie omycania dróg wypowiedziana, jest prawdziwem arcydziełem w swoim rodzaju, i przekonywa najlepiej, ile doniosłości i wagi spoczywa w każdem zadaniu administracyi prowincyonalnej. Myto, czyli opłata rogatkowa, jak utrzymuje mowca, ma to być niejako wynagrodzenie, płacone za używanie drogi, a więc — podatek drogowy. Na pozór nic sprawiedliwszego, ten płaci, kto korzysta z drogi. Podobny sposób zapatrywania się na podatki lub opłaty, jest zabytkiem średniowiecznych zasad, gdy nauka i sztuka opodatkowania jeszcze niejako w kolebce były; jest on cechą dziecięcego wieku — chwytać to, co najbliższe bez głębszego badania, brać to, co się samo narzuca, lub nasuwa, słowem, postępować powierzchownie. Skutki korzystne, z należytych dróg wynikające, są tak znaczne, tak powszechne, że niepodobna tu rozróżnić i wykazać, kto w społeczeństwie więcej z nich ciągnie korzyści. Drogi, to arterye gospodarstwa społecznego, roznoszące

wszystkim jego częściom soki pożywne; droga, to zbliżanie ludzi, to ułatwianie ruchu, a rogatka, to rozłączanie gospodarstwa, to utrudnienie komunikacyi. Zresztą, gdyby nawet na chwilę przypuścić, że myto jest sprawiedliwszym podatkiem, to jeszcze wymiar w projekcie przyjęty, wymiar wedle sztuki nie da się usprawiedliwić. Przecie nie od liczby sztuk bydła zależy zużycie drogi, ale od ciężaru. Prócz tego, przy wielkiej liczbie rogatek i dzierżawców, nie zawsze zysk z dzierżawy wystarczy na utrzymanie rodziny, i zabezpieczenie jej przyszłości. Stąd konieczność szukania innych dochodów. Wreszcie, gdyby to jeszcze każdej opłacie rogatkowej wszędzie odpowiadała rzeczywista droga, ale któż to nie wie, że często bardzo jest rogatka, ale drogi niema.

W mowie szóstej, wypowiedzianej w sprawie zmiany ustawy drogowej z roku 1866, znajdujemy następujące charakterystyczne spostrzeżenie. Nie powiem, że jest to usprawiedliwionem, ale jest przynajmniej w części usprawiedliwionem, że poseł kieruje się w swoich zapatrywaniach dążeniami i interesami tych warstw społeczeństwa, które go wybrały. Jeżeli jednak tak rozbieramy ustawy nam przedkładane, że wprost stosujemy się w naszych wnioskach o skuteczność ustaw do indywidualnych stosunków pojedynczych warstw, a może i osób, i jeżeli chcemy mieć taką ustawę, którąby odpowiadała wszystkim interesom, to nie trzeba się łudzić, takiego mądrego ustawodawcy niema na świecie, i niemasz takiej ustawy, by w niej wszystkie interesa znalazły załatwienie zadawalniające wszystkich, i by ona wszystkim istniejącym odpowiadała stosunkom. Na zarzut zaś jednego z przeciwników, uczyniony ustawie drogowej, że ponieważ wszystkich przymusza do pracy, więc karze tych, co mają liczną rodzinę, i uciska ubogich, odpowiedział mówca doskonale, że to, co nazwano niewolą, jest raczej równością obowiązków, kto żąda takiej wolności, aby miał usługi od społeczeństwa, a nie chce ponosić ciężarów, niech nie mówi o wolności, lecz żąda przywilejów.

W mowie jedenastej wypowiedzianej w sprawie zmiany ustawy o reprezentacyi powiatowej, Dunajewski walczyć musiał z komisarzem rządowym, który chciał termin zawieszenia wykonania uchwał reprezentacyi powiatowej, przysługującego władzom politycznym uczynić znacznie dłuższym od dni 14 t. j. od terminu proponowa-

nego przez mowcę. Dunajewski utrzymymał, że instytucye reprezentacyjne powiatowe, które mają prawo działać i uchwalać, jeżeli raz co uchwaliły, mają także prawo żądać, ażeby uchwały były wykonywane. Wszak i urzędy skarbowe, które w pojęciu ściśle austryackiem, są urzędami niezależnymi, w uchwałach, nie czekają w wykonaniu tychże na zezwolenie ministra spraw wewnętrznych, albo władz ministerstwu temu podległych. Gdzieś musi być granica dla władzy, jeżeli działalność jej ma być pożyteczna. Władza bez granic, to jak prawo bez granic, jest albo nieszczęściem, albo błędem, albo jednem i drugiem zarazem. Wprawdzie zajść mogą wypadki, w których rząd nie może polegać na zdaniu urzędnika podrzędnego. Ale nie są to czasy dawne, gdzie poczta szła pięć dni do Lwowa (z Wiednia), a więc jeżeli zajdzie jaka wątpliwość, to starosta może telegraficznie zapytać się przełożonego, a nawet nie pytając się uchwałę zawiesić. Zostawiając zaś na to 14 dni czasu, nie ograniczamy w tej mierze rządu bynajmniej. Pozwolilibyśmy wreszcie targować się z sobą o to czy 20 lub 30 dni i choćby krakowskim targiem dobilibyśmy zgody. Ale tu idzie przedewszystkiem o jakiś termin. Jeżeli się terminu nie wskaże, to prawo rządu będzie nieograniczone i nie będzie można wiedzieć, czy uchwała wejdzie w życie, czy nie.

W czternastej mowie, przedstawiającej projekt ustawy o okręgach gminnych, rozwinął mowca wielkie bogactwo politycznych myśli, pozwolę sobie zwrócić uwagę jedynie na najważniejsze z nich. Jeszcze jaskrawszy dowód, powiada Dunajewski, że nasze tak zwane gminy nie znają nawet zadań gminnych, dał nam poseł Łaskorz, który tu zasiada na mocy zaufania włościan. Oto są jego własne słowa: „Czego chcecie od naszej gminy, płacimy podatki, dostawiamy rekrutów i kochamy cesarza“. Minęły już te czasy, kiedy niższej tylko klasie służył wyłączny przywilej lojalności, ale istotnie podobne poglądy na zadania gminy dowodzą, że ustawa gminna z r. 1866 więcej wymaga od gromady, aniżeli ze względu na jej siły wymagać należy. Na zarzut uczyniony reformie, że ani obszary dworskie, ani gminy nie chcą się łączyć, odpowiedział Dunajewski potężną argumentacyą w słowach: Jakażby to była ustawa oparta na wzajemnej niechęci całych klas? Gdyby tak było rzeczywiście,

gdyby dawna niechęć z jednej strony, a pamięć zwierzchnictwa zniesionego z drugiej strony, nie dały się usunąć, to zapewne wszelkie reformy do zjednoczenia dążące pozostałyby marzeniami i zrzecby się trzeba wszelkich wolności, bo nad stanowczą i niewygasłą niechęcią klas społecznych, nie rząd na wolnych instytucyach oparty, ale rząd absolutny zapanować może.

W poparciu projektu powiedział następnie Dunajewski te rzetelnej wagi słowa: „Jeżeli każda miejscowość, każdy okrąg, każda prowincya, wszystkie sprawy publiczne załatwia o tyle na miejscu, o ile się na miejscu załatwić da, to z takiej autonomii kraj i rząd niezwykłe odniosą korzyści. Dla samego kraju, gdyby miał bezpośredni udział w załatwieniu tych wszystkich żywotnych spraw, nie małyby wpłynął moralny i polityczny pożytek; a to z tej przyczyny, że ta cząstka kraju naszego, zaprawiła się wskutek nieszczęść doznanych, na zasadniczej opozycyi przeciw wszystkiemu, co wychodzi od władzy i zatraciliśmy poczucie idei i warunków rządu. Wśród takich najcodzienniejszych spraw obywatelskich, społeczeństwo nabędzie to zdrowie polityczne, które zależy od świadomości zasad każdego rządu, a rząd nabędzie tej rękojmi, iż rzeczywiście potrzeby społeczeństwa w odpowiedni sposób są zaspakajane. Nie będzie też żadnej straty dla kraju, jeżeli za dzisiejszy pozorny samorząd nabędzie rzeczywisty współrząd.

W mowie piętnastej poruszającej sprawę reformy ustawy drogowej z r. 1866, mowca w zupełności zgadzał się na to, że w owej chwili (1866) nasuwały się nieprzebyte prawie trudności sprawiedliwego rozdziału ciężaru drogowego. Samorząd kraju był młodym, a doświadczenie nasze bardzo małe, dziś rzeczy się zmieniły i dawna ustawa ze względów zgody społecznej nie jest do utrzymania. Mamy więc powody do postarania się o nową, odpowiedniejszą naszym stosunkom. Następnie aby wskazać kierunek, w którym reforma postępować winna, przytoczył Dunajewski zdanie referenta tej sprawy w izbie francuskiej. „Jeżeli będziemy drogi wyłącznie składkami pieniężnemi budować, to niewątpliwie drogi będą nadzwyczajnie kosztowne, bo pieniędzy wspólnych, według znanego przysłowia nikt nie szanuje. Jeżeli będziemy drogi budować wyłącznie prestacyą, to będziemy mieli drogi złe“. Tu więc (w Galicyi) niema wyjścia, tu

trzeba złączyć i jedno i drugie, trzeba korzystać z tego, co nam łatwiej dać mogą, a że łatwiej dadzą nam oczywiście pracę, to nie ulega wątpliwości.

Mowa ośmnasta popierająca wniosek, w którym określono zasady, na jakich winna się opierać organizacya władz administracyjnych w Galicyi, począwszy od gmin, aż do najwyższych władz krajowych, należy niewątpliwie do najdonioślejszych pod względem politycznej treści. Ponieważ jednak kilkakrotnie pisałem dawniej o projekcie zatytułowanym: Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi, który Dunajewski izbie polecał, przeto obecnie przytoczę najważniejsze jego myśli, w których się, dojrzała i pełna mądrość polityczna mówcy uwydatnia. Proszę pamiętać, są to słowa Dunajewskiego, że był w naszym kraju organizm naturalny, wiekową pracą i dziejami wykształcony, nieodpowiedni już dzisiejszym czasom. To wszyscy wiemy i przyznajemy, ale istniał ten organizm jako dominium. Był to organizm na podstawie wieków wyrobiony, na podstawie władzy ludzi przeciętnie wykształconych na zasadzie quasi-feudalnego pojęcia panowania większej własności. Otóż to był organizm, gdyż jak każdy organizm z różnorodnych składał się żywiołów, bo życie znamionuje się różnorodnością, a gdzie jest jednostajność tam jest śmierć. Ten organizm ustawa z r. 1866 rozdzieliła, przekroiła na pół i te dwa naturalne elementa, które się wzajemnie uzupełniały, te dwa elementa rozdzieliła. To jest dzieło z r. 1866, ale dzieło sztuczne.

Nie znam w dziejach przykładu, powiada w dalszym ciągu mówca, ażeby silnym węzłem kiedykolwiek były prawa nabyte, silniejszym nierównie są wspólne obowiązki dla dobra wspólnego. Jest to kit, który łączy społeczeństwa. Jak panowie nie połączycie dworu z masą narodu w gminie, to sprawdzić się musi słowo niedawno wyrzeczone przez znakomitego historyka naszego: jest naród ale nie masz rządu i państwa. Wedle usposobienia naszego kraju i religijnych przekonań w nim panujących, zdawało się nam stosownem, aby ten, który ma pieczę około dusz, zasiadał w radzie gminnej i tam był przykładem dla wszystkich, był przykładem miłości chrześcijańskiej, kojarzył i łączył, a nie dzielił i jątrzył. Chcieliśmy go więc mieć w tych radach, ale nie na mocy wyboru, bo nie uważamy

za stosowne, aby osoba duchowna narażała się na sąd często stronniczy lub namiętne pociski przeciwników, a co gorsza, aby wskutek agitacyi wyborczej, w celu wyboru, chcąc lub nie chcąc, narażała się na zarzut, że środkami religijnymi lub kościelnymi przeprowadza swój własny wybór. Otóż wolne mieć chcemy nasze duchowieństwo od takich zarzutów, a nawet od cienia tychże.

Autonomia z ustaw 1866 r. wypływająca, jest zdaniem mowcy pozorną, bo któż nie wie, że od usposobienia i przychylności naczelnika kraju zależy, czy ma być porażona niemocą przez konsekwentne zawieszanie uchwał. Nadto według dzisiejszych urządzeń mamy dwie władze powiatowe, u jednej z życia czerpana znajomość potrzeb obok niemożności działania, — u drugiej możność i siła działania, ale często nieznajomość potrzeb życia i społeczeństwa. Dwa te braki nie mogą się wypełnić, jak tylko przez połączenie tych dwóch elementów — starostów z wydziałami obwodowemi.

W mowie dwudziestej pierwszej, wypowiedzianej w sprawie budowy gmachu sejmowego, zauważył Dunajewski, że „kto chce żyć i rozwijać się, a nie wydawać pieniędzy, ten żąda rzeczy niemożebnej. Jeżeli nas klasyfikowano dotąd na posłów włościańskich z większych i mniejszych posiadłości, i posłów z miast, to ja co do mego stanowiska muszę powstać przeciw tego rodzaju klasyfikacyi. Nie znam tutaj posłów włościańskich, ani posłów z większych posiadłości, ani posłów z miast — znam posłów krajowych, reprezentantów narodu. Ponieważ zdrowie fizyczne nie było warunkiem wybieralności, zdawałoby się, że jest to obowiązkiem tej władzy (sejmu), która czuwa nad porządkiem, dać nam takie pomieszczenie, ażeby nie tylko bardzo silni i kolosalni ludzie, ale i słabowitsi i delikatniejsi mogli przez jakiś czas wytrzymać. Mógłbym przytoczyć i przykład, gdzie od roku 1846 do roku pańskiego bieżącego (1877) władza naczelna administracyjna krakowska w tym samym gmachu się mieści i zapłaciła dotąd czynszu, który pięć albo sześć razy przewyższa wartość gmachu. Jeżeli to ma być oszczędnością, to ja wolę być rozrzutnym i ustalić siedzibę władzy. Cóż bowiem cechuje stałą władzę, jeżeli nie stała siedziba.

W mowie dwudziestej drugiej poruszającej ważną i doniosłą sprawę udzielania egzekutywy urzędom powiatowym, Dunajewski

zauważył, iż dzisiejsza autonomia, władza bez egzekutywy, to pług bez lemiesza, jak to jeden włościanin z naszych stron scharakteryzował. Wprawdzie powoływano się tu, że ta władza jako z wyborów pochodząca nie daje tej gwarancyi i rękojmi dla osób, które mają być egzekwowane, jaką daje władza nominalna, stała. Jest wprawdzie różnica w składzie władzy, ale proszę panów, z czego ona powstała tam, gdzie idzie o życie i śmierć, czem są sędziowie przysięgli... a lepiej podobno poddać się pod egzekucyę wydziałów powiatowych, jak na wyroki sędziów przysięgłych się narazić.

Na tem ograniczam cytaty z mów wypowiedzianych przez Dunajewskiego w sejmie krajowym i przechodzę z kolei do mów wygłoszonych w wiedeńskiej radzie państwa. Zaraz pierwsza z nich odnosząca się do brzmienia adresu w r. 1873, posiada niepospolitej doniosłości i trafności polityczne myśli. Wszyscy, oświadcza mowca, którzy w tej izbie zasiadamy, mamy na podstawie złożonego ślubowania równe prawo uchodzić za wierno konstytucyjnych i w całej tej wysokiej izbie, a sądzę, że z bardzo małymi wyjątkami i w całem państwie, niema przeciwników konstytucyi i konstytucyjnej wolności. Austryackiej idei państwowej, przynajmniej wedle naszego poglądu, nie można tak pojmować, jakoby naszem przeznaczeniem było zniknąć w wielkim, bez zaprzeczenia, w historyi bardzo zasłużonym, narodzie niemieckim, do tego nie byłoby potrzeba monarchii austryackiej. Dewizą przecież naszego monarchy jest „viribus unitis“, by jednak siły łączyć, by z nich stworzyć potęgę, należy je pielęgnować, utrzymywać je przy życiu i zdrowiu. Jeżeli jednak zaniedbujecie poszczególne części organizmu, jeżeli im utrudniacie ruch i działalność życiową, jakże możecie żądać, by z martwych mechanicznych sił wyrosła potęga? To jest wprost niemożliwem.

W mowie trzeciej, wypowiedzianej w sprawie wyboru posła Madejskiego, dotknął Dunajewski ważnej kwestyi prawa państwowego. Leży to w naturze zgromadzeń ustawodawczych, powiedział mówca, że przynajmniej w zasadzie, same rozstrzygać muszą w ostatniej instancyi o ważności wyboru swych członków. Jeżeli jednak komuś w ważnej sprawie, z natury rzeczy i w myśl istniejących ustaw służy dyskrecyonalna władza, to jeżeli ma być pożyteczną i dobru powszechnemu nie szkodliwą, należy ją wykonywać, nie

tylko z sumiennem zachowaniem istniejących ustaw, ich litery i ducha, ale także z pewnego rodzaju umiarkowaniem i słusznością, która nie tylko w prywatnem ale w publicznem życiu jest najpewniejszą rękojmią pomyślnego skutku. Przedewszystkiem jednak nie powinniśmy być niesprawiedliwymi. (Izba poselska). Mamy prawo rozstrzygać, czy wybór, o którym nam doniesiono, został dokonanym prawnie, czy nie, ale bynajmniej nie mamy prawa wybierać między dwoma posłami i orzekać, który jest właściwie godnym zasiadania tutaj, gdyż wtedy stajemy się wyborcami i wyszukujemy sobie prawa, które nam nie służą. Słusznie też czy nie, ale nasuwa się myśl i podejrzenie, że każdorazowa, stosownie do zmieniającej się społecznej i ludzkiej natury, odmienna większość, używa w danej chwili swej władzy, aby do izby powołać członka, który jej przekonaniom więcej odpowiada niż inny.

W mowie dziewiątej dotyczącej regulaminu obrad izby posłów, znajduje się następujący ustęp: prawa publicznego nie trzeba mierzyć tą samą drobiazgową miarą, jaką się mierzy i ocenia prawo prywatne. W prawie prywatnem wychodzi się ze stanowiska, że każdy proces musi się zakończyć i że nawet wyrok musi być przez władzę państwową wyegzekwowanym; jest to ogólna zasada, a przeciwko temu nic nie da się zarzucić. Jeden przecież wyjątek istnieje od tej reguły, w prawie małżeńskiem wyraźnie postanowiono, że małżonkowie powinni wzajemnie się kochać, proszę to wyegzekwować. W prawie publicznem jednak nie należy wychodzić ze stanowiska nieufności większości przeciwko mniejszości lub mniejszości przeciwko większości lub obu przeciwko rządowi lub rządu przeciwko pewnym osobom. Ta nieszczęśliwa zasada nieufności nie doprowadziła jeszcze nigdy do pomyślnych rezultatów. Należy opierać się na zasadzie wzajemnego zaufania, na bona fides ze wszystkich stron.

Z jedenastej mowy, wygłoszonej w dyskusyi generalnej nad budżetem na rok 1878, pozwolę sobie przytoczyć jedynie kilka myśli, zaznaczając, iż odznaczają się niezwykłem bogactwem politycznej treści. Przypominając to, co ktoś inny powiedział, że w Austryi można rządzić podług zasad stronnictwa ale nie stronniczo, mówca jest tego zdania, iż rząd Austryi powinien przedewszystkiem stanąć na

stanowisku „równa miara dla wszystkich“. Nadto praktyka tych krajów, które pod względem prawa państwowego za wzór służyć nam mogą, uczy nas, że gdy które stronnictwo dostaje się do władzy, przewódcą tego stronnictwa jest rząd, właściwym bowiem przewódcą może być tylko rząd. Rząd ma, a przynajmniej mieć powinien stałe cele, pewne postanowienia i lepszy pogląd na drogi, które mu obrać wypada, niż wielogłowe stronnictwo. Im liczniejsza większość tem więcej w niej głów, gdyby ona miała być przewodnikiem rządu, sądzę, że byłby to upadek państwa.

W mowie dwunastej poruszającej sprawę reformy administracyi politycznej, spotykamy znowu dużo cennych uwag, krytycznej przeważnie natury. Mówiąc o Galicyi, Dunajewski oświadcza, że antypatya przeciw biurokratycznemu zarządowi polegała tam nie na teoretycznych zasadach, ale na doświadczeniach przeżytych wskutek biurokracyi importowanej z innych prowincyj i nie mającej żadnego oparcia w kraju, szukającej go przeto tam, gdzie dobra administracya pod żadnym warunkiem go szukać nie była powinna. Szukała ona tego oparcia nakształt roślin rosnących na kamienistym gruncie, wciskając się coraz głębiej w szczeliny społeczeństwa i rozkładając je, o ile to od niej zależało, coraz bardziej. Mówca popierając i udowodniając w następstwie konieczność reformy administracyi politycznej, wyrzekł: Moi Panowie, nie pytajcie się o nazwę rzeczy, o nazwę i charakterystykę państwa, które budujemy i budujcie państwo wedle potrzeb całości i części. Nazwa znajdzie się sama; nauka jest zawsze w tym względzie następczynią życia, powie ona nam, jak i gdzie nas należy umieścić, byleśmy tylko dokonali budowy. Jak administracya służy państwu a państwo człowiekowi, tak też i konstytucya nie ma innego uprawnienia do egzystencyi, jak uniemożliwienie dobrej administracyi. Prusy doszły do konstytucyi przez wiekową dobrą, sprężystą i silną administracyę. My zaś otrzymaliśmy ją wskutek złej administracyi, wskutek odziedziczonych wad.

W dwudziestej pierwszej mowie wypowiedzianej w 1879 r. w generalnej dyskusyi nad adresem, znajdujemy kilka myśli godnych zaznaczenia. Decentralizacya jako taka, powiada Dunajewski, jest to wielkie niebezpieczeństwo, przeciw któremu panowie z prze

ciwnej (lewej) strony izby tak zacięcie się bronią. Lecz czyż decentralizacya nie jest konieczną i torującą sobie w europejskiem życiu publicznem coraz to więcej nowych dróg, myślą właściwej wolności? Czyż wolność polegać ma na tem, by na czele państwa stało wielkie prawodawcze ciało, a u dołu najważniejsze interesa państwa, materyalne i duchowe interesa ludności rozstrzygała wszechmoc urzędnika? Nasuwa się tu jednak pewna myśl, czy też zarzut: naruszenie jedności i potęgi państwa. Wracając do tej jedności i potęgi państwa, która ma być zagrożoną przez ogólne zdanie zaznaczające decentralizacyę w administracyi, to pytam się: któż nie wie, że Anglia co do zewnętrznej jedności i potęgi państwa zajmuje dominujące stanowisko w Europie. Któż nie wie jak pomyślnie rozwijają się publiczne stosunki w małej Belgii, by już nie mówić o Niemczech, które nie są jednolitem państwem, ale zawsze państwem czyli rzeszą. Życzyłbym Austryi, by taką potęgę, jedność i przeważne stanowisko w Europie na stałe zajęła, jakie ma państwo niemieckie.

W dalszym ciągu powyższej znakomitej mowy, gdy przeciwnicy wszelkiej reformy konstytucyi, oświadczyli krótko i węzłowato, iż ani kroku dalej nie postąpią ku porozumieniu, usłyszeli w odpowiedzi następujące słowa: Czy mężom stanu należy przypominać, że polityki, umiejętności, czy sztuki życia, nie można uprawiać wedle konsekwencyi logiki, bo życie nie jest logicznem, bo życie składa się z samych ustępstw i kompromisów, bo z ustępstw i kompromisów składa się ostatecznie całe państwowe życie. Przeciwieństwa zacierają się. Czyż pragniecie panowie takie przeciwieństwa jakiemi zaklęciami wywoływać? Proszę pamiętać, że państwo, jak każdy człowiek, tylko tem żyje, że się rozwija i rośnie, że bez rozwoju, t. j. bez zmiany, życie nie jest możliwem. Jeżeli przeto panowie uważacie konstytucyę, jak ona obecnie istnieje, za taką, że bez niebezpieczeństwa nagłej śmierci nie może się dalej rozwijać, to głosujcie za tym ustępem. Ale wtedy ci panowie, którzy za tem będą głosować, nie powinni dawać sobie miana wiernokonstytucyjnych. Wiernym konstytucyi nie jest ten, który ją pozbawia wszelkiej zdolności rozwoju, a przez to i zdolności życia; wiernym jest

ten, który czuwa nad jej wzrostem i rozwija ją, i przystosowuje do zmienionych potrzeb państwa i jego poszczególnych części.

W mowie dwudziestej siódmej, wykazującej potrzeby uniwersytetu jagiellońskiego i uniwersytetu w Pradze, Dunajewski przedewszystkiem zaznaczył, że co się tyczy pierwszego z nich, to narażonym jest na niebezpieczeństwo, że jego rozwój i dobroczynna działalność dla umysłowego życia narodu ulegną zastojowi, jeżeli ministerstwo oświaty będzie uwzględniać jego potrzeby tak, jak dotychczas. Każdemu uniwersytetowi, oświadcza w dalszym ciągu mówca, a szczególnie starym i czcigodnym uniwersytetom w Wiedniu i Gracu, życzę powodzenia i rozwoju. Sądzę tylko, że minister wielkiego państwa powinien słońce i deszcz, jeżeli nie jak Opatrzność, to przecież za jej wzorem, rozdzielać sprawiedliwie. Jeżeli jednak w ten sposób rzeczy pójdą, to rząd, a w szczególności obecny, przyszły, lub inny minister oświaty zobaczy, że tak stary uniwersytet krakowski narażony będzie na krach budynkowy. Nie mamy gmachu dla wykładów, rozporządzamy tylko „Collegium juridicum“, stojącem od 400 lat. Poprzedni pan minister oświaty w powrocie z Czerniowiec, zaszczycił nasz uniwersytet odwiedzinami, i w obecności całego grona profesorów oświadczył, że jeszcze nigdzie nie znalazł tak szkodliwych dla zdrowia sal, jak nasze. Prócz tego, różne polityczne losy i zmiany terytoryalne, które uniwersytet dzielił z krajem, doprowadziły do tego, że wielka część tego majątku ulotniła się, by nie podnosić tutaj cięższych zarzutów, które zresztą nie doprowadziłyby do żadnego rezultatu.

Na zarzut uczyniony, że niektórym uniwersytetom przewodniczą nie naukowe cele, ale cel i zamiar naukowego rozwijania nowopowstałych narodowych języków, odpowiedział Dunajewski następującemi słowy: „Nie mogę przypuszczać, by nie wiedział (mój przeciwnik), że języki nie powstają jak każdy inny dowolny produkt ludzkiej siły, że język, to wielkie medyum, w którem duch narodu się porusza, tworzy się powoli i organicznie z poszczególnych narzeczy, że rośnie jak drzewo, ciągle się odmładza i odświeża. O jakimże to języku myślał pan poseł, mówiąc o językach nowopowstałych, i czy ma być nim język polski? Muszę panu posłowi powiedzieć, kwestyi językowej nie chciałem rzeczywiście poruszać, że ję-

zyk polski jest w szkole i urzędzie daleko starszym niż niemiecki. Proszę czytać dokumenta. Daleką jest mi przytem myśl ubliżenia w czemkolwiek językowi niemieckiemu. Szanuję go tak wysoko, jak każdy wykształcony człowiek, ale to rzecz powszechnie znana. Czy pan chce język czeski nazwać nowym? O tem mówili już jednak inni panowie tak dokładnie, przytoczyli tyle dat historycznych, że zbytecznem tu jest wchodzić w dalsze szczegóły, aby wykazać niesłuszność podobnego twierdzenia.

Na tem zakończam przytoczenia ustępów, zdań i krytycznych wniosków z mów Dunajewskiego. Kończę bynajmniej nie dlatego, abym wyczerpał ich treść doniosłą czysto politycznej natury, ale ze względu, że charakter sprawozdania nakazuje mi się zawrzeć w ciaśniejszych ramach. Z tem wszystkiem, rozstając się z pierwszym tomem mów Juljana Dunajewskiego oświadczyć winienem, że jeżeli jak to trafnie dr Górski zauważył, mowy Dunajewskiego stały się czynami politycznymi, to pewnie dlatego, że wszystkie, w mniejszej lub większej mierze, były zwiastunami nauki politycznej, tak cennej, jak najczystsze złoto, a zebranej tak starannie i umiejętnie z życia państwa konstytucyjnego, jak miód przez pracowite pszczoły. Nauki politycznej nie spotykamy w tych mowach w formie doktrynerskiego wykładu, obejmującego w systematycznym porządku zasady i ustrój nowożytnego porządku państwowego. Dunajewskiemu państwo przedstawiało się w kształcie wielkiego organizmu politycznego, w którym zdrowie i życie urabiały liczne organa, codzienną nieustającą pracą. Jaką ta praca być powinna, aby w całym organizmie utrzymać czerstwość długowieczną, jakiemi zadania publiczne, które nieustannie wykonywać należało, o tem wszystkiem pouczały mowy Dunajewskiego w sposób zdobywający przekonania, i bez względu na to, czy pozornym tytułem do zabrania głosu było pokrycie dachem gmachu sejmowego, zaspokojenie potrzeb szpitala lwowskiego, omycanie dróg — czy też najważniejsze kwestye konstytucyjne w państwie austryackiem.

Najdrobniejszej funkcyi administracyjnej, zarówno jak i najważniejszej sprawy konstytucyjnej nie pominął Dunajewski, aby przy tej sposobności nie wniknąć w naturę nowożytnego państwa, i w zadania oraz cele rządów reprezentacyjnych. To też rzadko kto z tą

głębokością myśli, a zarazem z tą jasnością i wyrazistością słowa, zdołał w szeregu pojedynczych spraw i okoliczności, zadania powyższe i cele wyrozumieć tak wyczerpująco. Rzadko komu przedstawił się tak żywo, a tak wszechstronnie pierwiastek reprezentacyjny, jako zwiastun społecznego spokoju i zgody, jak Dunajewskiemu, i rzadko kto w politycznym rozumie zaczerpnął tak jak on nadzieję, że i samorząd w Galicyi stanie się takim samym zwiastunem, pomimo wstrętnego widma waśni z roku 1846. Nauce politycznej, przyobleczonej często w pospolite szaty drobnych spraw administracyi miejscowej, nadawał Dunajewski podkład etyczno-polityczny w sposób niezwykle podniosły i mistrzowski. Mowy jego zawierają pełny katechizm obowiązków obywatela w nowożytnym porządku państwowym, a czytanie jego mów praktycznie obznajomi każdego z zasadami etyki politycznej i daleko gruntowniej, niż Lieber swem wybornem dziełem: „Manual of Political Ethics“, lub Skarbek swem cennem studyum: „Essai de morale civique“. Oświadczając wreszcie, że daleko silniejszym węzłem społecznym są wspólne obowiązki, aniżeli wspólne prawa, wypowiedział Dunajewski, najistotniejsze dążenie politycznej nauki, bez urzeczywistnienia którego reprezentacya i samorząd pozostaną martwą literą, a nowożytny porządek państwowy, skomplikowaną, bezduszną maszyneryą. Dopiero, gdy zasada wygłoszona tak zwięźle i jędrnie przez Dunajewskiego, ożyje w sumieniu każdego obywatela, instytucye reprezentacyjne i samorządne staną się rzetelną potęgą, i wypełnią należycie swą polityczną misyę.

Naukę polityczną uwolnił Dunajewski nietylko od wszelkich stronniczych doktryneryzmów, od frakcyjnej rabulistyki, od szowinizmu lokalnego i od wszelkiej sofistyki jakiegokolwiekbądź pokroju, ale w dodatku wypowiedział ją w sposób polityczny. Dunajewski z świadomością, czy bezwiednie, kierował się zawsze zdaniem Kołłątaja, które radziło, że „gdy idzie o dźwignięcie pospolitej rzeczy, gdy idzie o przyszłość, zapomnijmy o wadach przeszłości. Ten będzie wartał największej całego narodu wdzięczności, kto pierwszy złoży z siebie ducha pogardy, zawziętości i sprawiedliwego nawet żalu. Chcąc przejść do swobody, trzeba się napić wprzód ze zdroju

niepamięci, i nawet nie oglądać się w tę stronę, która nas zaraziła niechęcią, i upodliła zawziętością". Trzeba przyznać, że mężowi stanu w Austryi trudniej, niż gdziekolwiekindziej przychodziło owo napicie się ze zdroju niepamięci, ale Dunajewski dokonał i tego. Ton jego przemówień jest zawsze pojednawczym, uśmierzającym dawne cierpienia, łagodzącym dawne waśnie, i uciszającym namiętne swary, powstałe z taką bujnością w dobie dziesięciolecia rządów reakcyi. Z tego rozumnego toku politycznej myśli, jaki płynie z mów Dunajewskiego, przekonać się można, że żaden duch antipolityczny, choćby na razie korzystny, nie ogarnął nim ani na chwilę, lecz że zawsze pozostał w równowadze, nie zapominając o myśli przewodniej każdego politycznego mówcy: „Concordia res parvae crescunt". Wkońcu winienem nadmienić, że Dunajewski nie przeistaczał nigdy politycznej myśli w retoryczny frazes gwoli odniesieniu parlamentarnego zwycięstwa. I pod tym względem zachował on wystąpieniom swym parlamentarnym znamię szczerze polityczne.

Prócz listów Kołłątaja, pragnących się także swego czasu przeistoczyć w czyn polityczny, nie widzę w późniejszej naszej literaturze mów, czy też listów politycznych, któreby doniosłością politycznej treści lub bogactwem głębokich myśli, zaczerpniętych wprost z parlamentarnego życia, mogły iść w porównaniu z mowami Dunajewskiego. Zdolni mówcy księstwa z 1809 r., na czele których stał Godlewski, byli uczniami Kanta, i w głosach ich odczuć było można nieco doktrynerskiego krytycyzmu, który więcej rozdzielał i zniechęcał, zamiast jednoczyć. Późniejsi mężowie stanu, te same, lub zbliżone właściwości czerpali od Hegla, i dlatego w listach lub mowach swych okazywali się pozornie więcej logicznymi, ale zato więcej oderwanymi od politycznej logiki i nauki, co spowodowało, że zasadnicze ich dążenia, pragnienia i przepowiednie w czyn polityczny przyoblec się nie zdołały. Dunajewski czerpał wyłącznie z ożywczych zdrojów mądrego Stagiryty, a naukę stamtąd powziętą uszlachetnił etyką chrześcijańską. Mowy jego zawarły też zdrowe ziarno polityczne, które zdołało się przyjąć i wydać bogaty plon, nawet na tak jałowej i egoistyczno-skalistej

glebie, jaką stanowiło przez długie czasy austryackie państwo. Wielką też to musi być duchową uciechą dla zasłużonego i już sędziwego męża, że może spoglądać, jak błogie owoce wydaje jego zacna praca w poczuciu sprawiedliwości, zgody i miłości publicznego dobra poczęta. Tej uciechy, jako słusznej nagrody za szczere, obywatelskie czyny, życzę mu z serca na długie lata.

14.

PAMIĘTNIKI BISMARCKA [1]).

(Gedanken und Erinnerungen von Otto Fürst Bismark, Stuttgart 1898).

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat pamiętniki wybitnych mężów stanu nie ziściły pokładanych nadziei i przyniosły historykom XIX-go stulecia daleko mniej politycznej treści, aniżeli się po nich spodziewano. Zawód powyższy dotycze przedewszystkiem pamiętników Metternicha i Talleyranda, to jest dwóch mistrzów dyplomacyi, którzy przebiegłością i subtelnem prowadzeniem negocyacyj zdołali za życia pozyskać sobie rozgłośną sławę. Obydwaj wspomnieni mężowie stanu, zarówno jak i książę Bismarck, pozostawali u steru spraw zagranicznych; Metternich nawet bezpośrednio po bitwie pod Lipskiem, został mianowany księciem „für die gute Leistung der Auswärtigen“, a więc do pewnego stopnia wraz z ciekawością była uzasadnioną pewna wątpliwość w to, czy pamiętniki Bismarcka dorównają sławie, jaką pozyskał za życia.

Przedewszystkiem zauważyć należy, iż jakkolwiek Talleyrand i Metternich zarówno jak i Bismarck, sterowali sprawami zagranicznemi, byli jednakże odmiennymi typami mężów stanu, jak żelazny książę. Zakres działania francuskiego oraz austryackiego ministra był ściśle ograniczony dyplomatycznymi zabiegami i negocyacyami, a wewnętrzny ustrój państwa i administracyjna czynność rządu pozostały nieleżnymi lub mało dostępnymi ich wpływowi. O Metter-

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Ateneum“ w r. 1899.

nichu krążyło przez pewien czas przysłowie, że Europą wprawdzie kierował, ale austryackie sprawy wewnętrzne rozwijały się niezależnie od niego. Talleyrand zaś w puszczach północno-amerykańskich nie nabrał zamiłowania do samorządu, a działalność jego polityczna za pierwszego cesarstwa i podczas Kongresu Wiedeńskiego, jedynie na polu spraw zagranicznych zbierała zasłużone wawrzyny.

Bismarck zaś pozostał w swej karyerze wierny tradycyom pruskim i niewątpliwie przypomina, jako mąż stanu, najwięcej Hardenberga, który również przez długi czas z pomyślnym rezultatem kanclerzył Prusom i pozostawił pamiętniki, będące nieocenionem źródłem dla historyków XIX stulecia. Hardenberg jednak nietylko podczas pogromu Jenajskiego, podczas smutnej, prawie niewolniczej doby Prus i podczas Kongresu Wiedeńskiego zdobył sobie trwałe dyplomatyczne wawrzyny, ale wiekopomne administracyjne reformy z doby od 1807—1811 roku są chlubnie z jego nazwiskiem złączone. W pamiętnikach też Hardenberga spotykamy się z prawdziwem bogactwem nowych dokumentów, nowych oryginalnych spostrzeżeń i nieocenioną skarbnicą uwag politycznych, które dotyczą życia państwowego zarówno zewnętrznego jak i wewnętrznego. Memoryał Hardenberga (Ranke. Hardenberg und die Leistung des preussischen Staates) pozostanie nieporównanym dokumentem politycznej mądrości. Tak głęboko, jak on, nie ocenił nikt ze współczesnych znaczenia i doniosłości rewolucyi francuskiej, a jego dewiza „republikanische Grundsätze in einer monarchischen Verfassung“ przewodniczyła długo i z pożytkiem administracyi pruskiej.

Bismarck, zanim został kanclerzem-dyplomatą, przeszedł wyborną szkołę administracyi pruskiej, która, jak twierdził Wawrzyniec Stein, zastępowała Prusom niedostatek i brak organu reprezentacyjnego prawodawczego. Później, jako minister, pracować musiał wspólnie z sejmem, i wśród stronniczych prądów i namiętności jemu przypadła w udziale straż nad powagą i znaczeniem władzy królewskiej, która funkcyą prawodawczą podzieliła się z izbami. Z rewolucyjnych wichrzeń w Prusach w r. 1848 wyszedł monarcha zwycięsko a i chwilowe lekceważenie tronu wypływało ze słabości charakteru Fryderyka Wilhelma IV, a nie z zanikania idei monarchicznej wśród ludności. Hohenzolerni, ufni w lojalność swych pod-

danych, mogli istotnie przez długi czas nie dopuszczać karty konstytucyjnej, którą wyniośle zwali zbytecznym kawałkiem papieru, a to w tem przekonaniu, że jest ona niepotrzebną i że bez niej spełnią względem państwa, jako tradycyjni jego pierwsi słudzy, wszystkie obowiązki majestatu. Rok 1848 zrobił jednak swoje, i reprezentacya sejmowa wraz z konstytucyą została Prusom wkrótce nadaną, chociaż nie nosiła piętna ulicznej zdobyczy.

Skierowywanie prądów stronniczych na właściwą drogę, zapobieganie, aby mniejszość opozycyjna nie terroryzowała większości i aby cała maszynerya reprezentacyjna mogła pożytecznie z rządem pracować, nie krępując go w każdej sprawie i na każdym kroku, wszystkie owe doniosłe i ważne zadania przypadły Bismarckowi w udziale. On pierwszy musiał z izbami cierpliwie i wytrwale pracować, i to w dobie, gdy marzycielski, a niepraktyczny liberalizm wielkiemi hasłami podbijał lub bałamucił przynajmniej niejeden trzeźwy umysł w Prusach. W pracy tej wspólnej, zdobył książę Bismarck olbrzymie doświadczenie i z niego płynący oraz na nim oparty polityczny rozum. Dla niego nie było przedewszystkiem sprawy zewnętrznej lub wewnętrznej państwowej, którejby nie przeniknął do głębi, nie ocenił praktycznie i nie przedstawił jasno, zrozumiale. Najsubtelniejsza i najpodstępniejsza argumentacya opozycyi nie wywiodła go w pole, a krytyka, z którą występował przeciwko szumnej, choć czasami pustej frazeologii liberalno-demokratycznej, była wprost zabójczą swą nieubłaganą logiką.

Bismarck, wykształciwszy się w szkole administracyjnej, a potem parlamentarnej, nie mógł w pamiętnikach swych okazać się jednostronnym lub dyletantem. W każdym razie jednak istnieją poważne względy, które po jego wspomnieniach nie każą się spodziewać nadzwyczajności. Bismarck bowiem za życia swego wydawał nieustannie pamiętniki pod postacią mów sejmowych i parlamentarnych. Już sama objętność tego, co Bismarck, jako minister i kanclerz, wypowiedział lub napisał, jest imponującą (wydanie Hahna), a cóż dopiero mówić o politycznej treści, która, pominąwszy wypadki, gdzie namiętność przygłuszała wszelkie poczucie sprawiedliwości, zdaje się, że wypływała z greckiej krynicy Stagiryty. Pamiętniki więc Bismarcka, spisane w ostatnich latach wypoczynku i star-

czego żalu do młodego cesarza, należy uważać jedynie za uzupełnienie wielkiego i wspaniałego pamiętnika, który w mowach swych pozostawił. Niewątpliwie oczekiwać należy, że i uzupełnienie nosić będzie ślady i znamiona potężnego umysłu Bismarcka; tą myślą też powodowany postanowiłem przedstawić treść ich najważniejszą w możliwem skróceniu.

W roku 1832 Bismarck ukończył szkoły, jako panteista i prawie republikanin, bo w przekonaniu jego rzeczpospolita była najrozumniejszą formą państwową, i często zastanawiały go powody, które skłaniały ludzi do poddawania się władzy jednego, gdy w rzeczywistości słyszał od dojrzałych mężów — często lekceważącą krytykę monarchy. Wystawiając szkołom i uniwersytetom niemieckim świadectwo szczepienia liberalnego, jeżeli nie demokratycznego ducha, Bismarck uspokaja czytelnika twierdzeniem, że wychowanie rodzinne tchnęło weń przywiązanie do monarchii pruskiej, które ostatecznie nad wszystkiemi innemi wzięło górę. Historyczne jego sympatye stanęły wcześnie po stronie powagi, i Brutus wydawał mu się przestępcą, a Tell rewolucyonistą i mordercą. Wstępując do życia uniwersyteckiego, przez poczucie niemieckie zmuszony był Bismarck do zetknięcia się ze stowarzyszeniami studenckiemi „Burschenschaftami“, których specyalnym celem było piastowanie uczuć i świadomości ogólno-niemieckich. Przy bliższem poznaniu Bismarckowi akademikowi nie podobały się zbytnio owe Burschenschafty. Miał on im wiele do zarzucenia pod względem prywatnym, zarówno jak i publicznym. Odmawianie satysfakcyi honorowej i brak dobrych form oraz przyzwoitego wychowania raziło pruskiego junkra, a mrzonki polityczne Burschenschaftów wydały sie prędko Bismarckowi zwyczajną, zresztą dość płytką utopią.

Liberalizm, nabyty przez Bismarcka w uniwersytecie, zmniejszał się, a raczej wietrzał z każdą chwilą, i z młodocianych marzeń pozostał tylko dłużej i trwalej gniew, że Strasburg należy do Francyi, a widok, nie beczki Heidelberskiej, dla której żywił podziw, ale samego miasta i palatynatu usposabiał go dziwnie, mściwie i wojowniczo. Rozpoczynając służbę publiczną, jako auscultator sądowy, lub jako referendaryusz rządowy, Bismarck nie mógł przypuszczać, aby go czekała tak świetna karyera na drodze dyplomatycznej. Mi-

nister Ancillon bowiem szczególniej do junkrów wiejskich nie miał zaufania, twierdząc, że nie posiadają przymiotów, które są dla służby dyplomatycznej niezbędne. Sam Bismarck, choć niezupełnie, uznawał wszakże do pewnego stopnia słuszność poglądu Ancillona. Zazwyczaj bowiem cywilni dyplomaci pruscy nie posiadali wyrobionego poczucia służbistości i wyłamywali się z pod dyscypliny, którą przynajmniej wojskowi szanowali. O sobie powiada Bismarck, iż dzielił z szlachtą wiejską wszystkie jej przywary i błędy. Miał on zawsze zbyt wielką skłonność do krytykowania i zbytnią pewność siebie, iż wszystko wie lepiej od przełożonych. Nie był on również wolnym od ducha przekory i opozycyi, z czem się łączyła wielka drażliwość i nieustające prawie niezadowolenie.

Bismarck daje wyborną charakterystykę przeciętnego dyplomaty i wojskowego z czasów swojej młodości. Biegłe władanie językiem francuskim, jak twierdzi, było najbardziej pożądanem w dyplomacyi pruskiej. Bismarck znał wielu starszych ambasadorów, którzy, nie mając żadnego zmysłu do polityki, dzięki jedynie znajomości języka francuskiego doszli do swego wysokiego stanowiska, dosługując się od najniższego urzędu. Dlatego to właśnie obce nazwiska, jak np. Brassier, Perponcher, Savigny, Oriola, mogły liczyć na szybką karyerę w dyplomacyi pruskiej, gdyż od ich reprezentantów oczekiwano wybornej znajomości języka francuskiego. Oficerom pruskim wystawia Bismarck natomiast wyborne świadectwo, utrzymując, że przechodzili wówczas najlepszą szkołę w Europie. Szkoła ta jednak kształciła i wydawała zaledwie niższych oficerów aż do stopnia pułkownika. Na wyższych stanowiskach krew przyrodzona pruska nie okazywała już tych nadzwyczajnych uzdolnień, co za czasów Fryderyka Wielkiego. Najwybitniejsi pruscy wodzowie, jak np. Blücher, Gneisenau, Moltke, Goeben, nie byli pierwotnie Prusakami, zarówno jak Stein, Hardenberg, Motz, Grolman w służbie cywilnej; zdawało się też, że trzeba było zastosować do nich, jak do drzew, środek przesadzenia, ażeby przyrodzone ich zdolności doprowadzić do rozkwitu.

Mimo uprzedzeń Ancillona do szlachty wiejskiej Bismarck pragnął służbę rządową rozpocząć od dyplomacyi. Minister doradzał mu wszakże, ażeby wprzód złożył egzamin na asesora rządowego

i potem z administracyi wewnętrznej przeszedł do wybranego przez siebie zawodu. Bismarck usłuchał rady Ancillona, i temu zawdzięczamy wyborną krytykę sądownictwa i administracyi pruskiej, jaka się w jego pamiętnikach znajduje. Przedewszystkiem Bismarck ocenił wybornie cały ówczesny personel administracyjny i przejrzał nawskróś wszystkie jego wady i zalety. Dostrzegł on, że z ujmą dla ustroju administracyjnego rozwija się coraz bardziej na podrzędnych stanowiskach biurokracya urzędnicza, która umiejętną działalność zastępuje bezpożyteczną pisaniną, wywołującą stosy akt i bezduszną reglamentacyę. Pracowitość kolegiów rządowych była tylko pozorną, załatwiały one mnóstwo drobnych szczegółów, pozostawiając główne cele administracyi na uboczu. Robiły one „multa, non multum“, i francuski prefekt z nakładem daleko mniejszych sił byłby wstanie zdziałać daleko więcej dobrego. Co ważniejsza jednak, to, że Bismarck w ówczesnym samorządzie pruskim upatrywał wielkie wady i utrzymywał stanowczo, że jest on tylko zaostrzeniem biurokracyi, że przyczynia się do nadmiernego powiększenia urzędników, rozszerzenia ich władzy i wpływu na życie prywatne.

Poza tymi skąpo motywowanymi zarzutami przeciw samorządowi wymierzonymi, znajdują się jednak niezmiernie cenne spostrzeżenia Bismarcka, wskazujące, jak namiętności i walki stronnicze demoralizująco oddziaływają na instytucye samorządu lokalnego. Zwłaszcza drobniejsze miejscowe sądownictwo ulegać zwykło stronniczym prądom i oddala się często od niezbędnej bezstronności w większym stopniu, aniżeli władze administracyjne. Przytem Bismarck nie żywi wielkiej ufności do zasady kolegialności, czy to w niższem sądownictwie, czy to w administracyi. Kolegialność przedewszystkiem znosi odpowiedzialność osobistą, a na to miejsce zaprowadza rządy anonimowych większości. Praca w tych kolegialnych władzach znudziła się też szybko Bismarckowi i na wsi zachował jedynie poszanowanie i cześć dla stanowiska oficera landwery.

Ponieważ pomawiano Bismarcka niejednokrotnie o dążność zaprowadzenia szlacheckich rządów (Adelsregiment) i skrytych poglądów, upatrujących ludzi zupełnych jedynie wśród grona junkrów, przeto w pamiętnikach czuje się Bismarck zniewolonym do poruszenia po-

wyższej kwestyi, oświadczając bez ogródki, że urodzenia nie przyjmował nigdy w zamian za brak dzielności i uzdolnienia. Jeżeli zaś starał się przyjść z pomocą i poparciem rządowem szlachcie, to nie dlatego bynajmniej, ażeby podnieść stan, do którego należał, lecz aby uchronić rolnictwo od upadku, w czem upatrywał niepomierną klęskę dla całego kraju. Ideałem jego była monarchiczna władza, kontrolowana przez niezależną stanową lub zawodową reprezentacyę. W idealnej monarchii Bismarcka ani władca, ani parlament nie może jednostronnie zmienić istniejącego porządku prawa, mogą to uczynić jedynie wspólnie „communi consensu“, oświecone przez jawną i publiczną krytykę zarówno w prasie, jak i w sejmie. Mimo to, Bismarck stanowczo zaprzecza, aby w r. 1813 Niemcy dla uzyskania konstytucyi podjęły walkę o niepodległość. Narodowi wystarczało to, że w kraju panował cudzoziemiec, ten jeden powód był dostatecznym do podjęcia walki, a po jej zwycięskiem zakończeniu naród bynajmniej nie zamierzał podawać rachunku królowi w postaci paragrafów konstytucyjnych za to, że się sam oswobodził.

Wspominając rok 1848, Bismarck zamieścił niejeden ciekawy szczegół, oświetlający wybornie ową dobę odmętu, nietylko na ulicach miast niemieckich, ale i zamętu w umysłach doktrynerów i przywódców liberalizmu niemieckiego. Przedewszystkiem spotykamy Bismarcka w tymże roku, jak w Schönhausen, na czele własnych chłopów, gotów był zbrojnie odeprzeć deputacyę miejskiej ludności, która chciała na wieży kościelnej zatknąć czarno-czerwono-złotą chorągiew. Bismarck wywiesił białą chorągiew z czarnym krzyżem i, aby utrzymać powagę monarchicznej władzy wśród przywiązanych do Hohenzollernów włościan, wyciągnął z lamusów, bo prawdopodobnie zbrojowni nie miał, wszystkie rusznice i szturmaki, do polowania już niezdatne, i z tak zaimprowizowaną armią, godną XV, a najwyżej XVI wieku, stanął jako owa przysłowiowa skała bronzowa Hohenzollernów, przeciw miejskim rebellantom. Stanowczość, energia w połączeniu z niezachwianą odwagą odniosły skutek niezawodny; napastnicze i wichrzące mieszczaństwo nie zjawiło się, ani przysłało deputacyi, a organizator chłopskiej ruchawki mógł tylko boleć nad tem, że Opatrzność nie uposażyła tymi samymi przymio-

tami Fryperyka IV; oszczędziłoby to Prusom wiele krwi i upokorzenia.

Rok 1848 ukazał nam jeszcze Bismarcka w innym stroju i charakterze. Nieporządki w Berlinie i skrępowanie monarchy niewłaściwem otoczeniem i wpływami, skłoniły Bismarcka do przedstawienia się osobistego królowi, któremu zresztą był znanym, jako wierny i pełen poświęcenia monarchista. Przybywszy do stolicy, Bismarck nietylko musiał głęboko ukryć swój rycerski rynsztunek, w którym mu było w Schönhausen do twarzy, ale uznał za bezpieczne i dogodne ogolić brodę i przystroić się w szeroki kapelusz z różnobarwną kokardą. Aby więc w monarchę swego tchnąć odrobinę silnej woli i stanowczości w postanowieniu, Bismarck nie wahał się z średniowiecznego przywódcy pospolitego ruszenia (Heerbann) przeistoczyć się w ulicznego, barykadowego demagoga i dzięki tym garderobianym metamorfozom oraz pomocy Bogusława Radziwiłła dostał się nareszcie do króla.

Rozmowy Bismarcka z Fryderykiem Wilhelmem IV, których otwarta szorstkość tak oburzała królowę, zbyt są znane z poprzednich źródeł, abym je miał powtarzać. Zaznaczę jedynie, że podczas zwołania drugiego zjednoczonego sejmu (vereinigter Landtag) Jerzy Vincke chciał pozyskać poparcie Bismarcka do skłonienia monarchy do abdykacyi. Podług planu, powziętego przez stronnictwo, do którego Vincke należał, regantką miała być późniejsza cesarzowa Augusta, a korona jej synowi Fryderykowi miała przypaść w udziale. Książę pruski, późniejszy cesarz Wilhelm I, jako tak zwany „Kartatschenprinz“, nieprzezwyciężenie wstrętny rewolucyonistom, miał być od tronu stanowczo usuniętym, a co najważniejsza, że on sam, aby tylko króla wydobyć z niebezpieczeństwa, zgodził się na powyższą dynastyczną kombinacyę. Bismarck rozbił jednak w puch cały ów komplot stronniczy i zagroził, że w odpowiedzi nań zażąda wytoczenia procesu o zdradę stanu zuchwałemu i wichrzycielskiemu stronnictwu. W pamiętnikach jednak przypomina sobie Bismarck ze wstrętem i zgrozą owe chwile, które przepędził w niezwykłym rozstroju nerwowym.

Sąd Bismarcka o Fryderyku Wilhelmie IV jest bardzo pobłażliwy i wyrozumiały. W miękkości woli i słabości charakteru kró-

lewskiego upatruje on główną przyczynę wszelkiego złego, ale owo zło potęgowane było przez niepowołane, a może nawet zdradzieckie rady. Skutkiem tych rad oraz łez niewieścich, które nań wrażenie czyniły, pozwolił on niejednokrotnie wymknąć się zwycięstwu, wypuścił i stracił bezpowrotnie niejedną szczęśliwą sposobność i naraził politykę pruską na wiele dotkliwych upokorzeń. Bismarck jednak zadowolonym się czuje z ostatecznego rezultatu, i to na podstawie ważnych racyi stanu. Gdyby monarcha w walce ulicznej i domowej przyspieszył dzieło zjednoczenia Niemiec, nie byłoby ono tak gruntownie i szlachetnie zahartowane, jak później na polu bitew w 1866 i 1870 r. Lepiej, że Niemcy od 1848 roku czekali, jak żydzi na swą ziemię obiecaną. Wojny następne były i tak nie do uniknięcia, a w 1870 roku książęta rzeszy mogli się więcej oswoić z ideą jedności państwowej. Ostatecznie i to w końcu nadmienić należy, że wspomnienie Bismarcka, odnoszące się do 1848 r., zawarły bardzo interesujący materyał odnośnie do charakterystyki wybitnych mężów stanu i wojny. Trudno się wprawdzie uwolnić od podejrzenia, czy Bismarck bezstronnie i sprawiedliwie rozdzielił między stronnictwami światła i cienie, ale w każdym razie przyznać trzeba, że umiał po mistrzowsku ukoić wszelkie namiętne rozdrażnienie i sąd swój o ludziach i sprawach przyoblekł w łudzące pozory przedmiotowości.

W roku 1851 zjawił się Bismark po raz pierwszy we Frankfurcie, jako poseł rządu pruskiego, a więc w służbie dyplomatycznej. Pierwsza zachęta do wstąpienia na tę drogę, która z czasem miała uwić Bismarckowi tak wspaniały wieniec wawrzynowy, wyszła od samego króla. Gdy w uniformie dyplomaty zaprezentował się Bismark po raz pierwszy monarsze, tenże rzekł do niego: Musisz Pan mieć wiele odwagi, jeżeli tak bez wielkiego namysłu zdecydowałeś się objąć obce i nieznane sobie stanowisko. Bismarck, nie stropiony tem bynajmniej, odpowiedział: Odwaga jest po Twojej stronie, Najjaśniejszy Panie, ponieważ mi urząd powierzasz. Zresztą W. K. Mość nie jest bynajmniej obowiązaną utrzymać nominacyi, jeżeli się ona okaże niewłaściwą. Ja sam niemam żadnej pewności, czy zadanie, które podjąłem, nie przewyższa mych sił i zdolności, ale jeżeli się okaże, że nie dorosłem do zajmowanego stanowiska, pierwszy popro-

szę o uwolnienie. Mam odwagę słuchać, jeżeli ją posiadasz, N. Panie, aby rozkazywać. Na co król odrzekł: W takim razie możemy spróbować.

Z mów parlamentarnych. a jeszcze więcej z listów, wydrukowanych w ogólnych wydawnictwach, przekonywamy się, że Bismarck na dyplomatycznem stanowisku nudził się okropnie, szukając rozrywki w polowaniu; w pamiętnikach swych wyznaje, że oddawał się namiętnie pląsom, ponieważ we Frankfurcie tańczył cały świat a nawet 65 letni margrabia Tallenay, francuski ambasador. Namiętność do tańca przeniósł z sobą Bismark do Berlina, nie opuściła go ona nawet, gdy został ministrem, i z tego to powodu musiał znieść sarkastyczny przytyk monarchy, który pewnego razu rzekł do Bismarcka: Czyniono mi zarzut, iż wybrałem sobie lekkomyślnego ministra; tańcując, nie stwierdzaj Pan tych pozorów. W następstwie rozkazano księżniczkom krwi, aby Bismarcka do tańca nie wybierały, a on sam świadczy, że zapał taneczny, jaki stale objawiał Keudell, był niemałą przeszkodą przy jego awansach. Późniejszy bowiem cesarz Wilhelm I stanowczo nie lubił lekceważenia form i utartych zwyczajów. Zdaniem jego, tańcujący mąż stanu jedynie w honorowym kadrylu z księżniczkami krwi mógł być znośnym; jeżeli się jednak puszczał w szybkiego walca, zmniejszało się zaufanie królewskie do mądrości jego rad.

Podczas wojny Krymskiej Bismarck nie zaniedbał radzić królowi, aby energicznem postępowaniem zapewnił Prusom poważne w Niemczech i w Europie stanowisko. Okoliczności polityczne nadawały się po temu w wysokim stopniu, i jedynie trzeba było powziąć stanowczą decyzyę zmobilizowania 100.000 wojska. Położenie Francyi i Austryi było wówczas bardzo skrępowanem, a Rosya musiała w Królestwie Polskiem utrzymywać blisko 200.000 armię, która w Krymie mogłaby zdecydować losy kampanii. W dyplomacyi ówczesnej powstawały plany wskrzeszenia Polski pod patronatem Austryi, a Prusy zbrojne mogłyby łatwo, popierając jedną ze stron wojujących, zapewnić sobie przewagę, osiągając przytem niepospolite korzyści. Więc, że z tych szybko przemijających okoliczności nie skorzystano, składa Bismarck winę głównie na króla, który na wszystkie motywa i natarczywe namowy odpowiadał mu w gwarze

berlińskiej z dobrotliwym uśmiechem: Podobnie gwałtowne zamachy może wykonywać mąż w rodzaju Napoleona, ale nie ja.

Wówczas już Bismarck nazywał politykę Bethmann-Holweggowego stronnictwa marzycielską i piętnował ją znamieniem utopii. Podług tej polityki miały w pierwszym rzędzie Prusy dopomódz do rozćwiartowania Rosyi i zepchnięcia tego pierwszorzędnego mocarstwa do politycznej nicości. Prowincye nadbałtyckie łącznie z Petersburgiem miały przypaść w udziale Prusom i Szwecyi, dawna Rzeczpospolita polska miała być wskrzeszoną w pierwotnych granicach. Dziecinna ta utopia uważała naród 60 milionowy za „caput mortuum“, które do woli i syta można było znieważać i unicestwiać; ale co najważniejsza, że Prusy miały się głównie przyczynić do zmiażdżenia wiernego swego sprzymierzeńca, nie stwarzając na to miejsce nic, coby ją zabezpieczyło od nieprzyjaciół, a przedewszystkiem od Francyi. Ponieważ pokojowe załatwienie sprawy polskiej w prowincyi pruskiej, poznańskiej i śląskiej wzruszyłoby w posadach Królestwo Pruskie, przeto plany okrojenia Rosyi a wskrzeszenia Polski należały do tworów chorobliwej fantazyi, które z polityką, posługującą się zdrowemi zmysłami, nie miały nic do czynienia.

Tymczasem w liberalnym obozie dziecinne owe utopie uczepiły się nawet świetniejszych umysłów, a Bunsen w 1854 r. był do tego stopnia nieostrożnym, że przysłał ministrowi Manteuffiowi obszerny memoryał, domagający się odbudowania Polski, rozszerzenia austryackiego władztwa aż do Krymu i zmian dynastycznych w Saksonii. Królowi nieroztropność i nieostrożność Bunsena stała się nieznośną; kazał on udzielić mu nieograniczonego urlopu, równającego się dymisyi, ale długo ścigała go za to nieubłagana i zjadliwa krytyka, która niepowodzenie śmiertelnych zamiarów przeciw Rosyi przypisywała ruskiej intrydze. Utopie antiruskie tem dłużej kołatały się na dworze pruskim, że późniejsza cesarzowa Augusta czuła się nieprzychylnie usposobioną dla Rosyi, a serce ciągnęło ją mimowoli do Anglii. Bismarck jednak zapobiegł temu, aby pruska polityka nie stała się mglistą i uczuciową. Potrafił on późniejszemu cesarzowi wytłómaczyć, jak niepolitycznem i pozbawionem wszelkich słusznych motywów byłoby wystąpienie zbrojne Prus przeciw Rosyi,

a jak niebezpiecznem byłoby wszelkie poruszenie sprawy polskiej w Prusach. Znając usposobienie drażliwe księcia pruskiego, Bismarck nie zaniedbał wyzyskać jego słabostek i zdruzgotać sympatyj angielskich Augusty; oświadczył on bowiem otwarcie księciu, że Prusy, wydając wojnę Rosyi, przyjęłyby niepotrzebnie rolę indyjskich wasalów, którzy niewolniczo muszą życie nieść w ofierze dla dobra i sławy Anglii. Usłyszawszy podobne słowa, zaperzony książę odrzekł: niema tu wcale mowy o żadnych wasalach albo jakiejkolwiek trwodze. Odtąd angielski wpływ przestał Bismarckowi przez czas jakiś urządzać niespodzianki.

Dokuczliwe ciernie, jakie cesarzowa Augusta słała Bismarckowi niestrudzenie na dyplomatycznej drodze, odbiły się w jego pamiętnikach należycie. Spotykamy się z temi wspomnieniami w ustępie, zatytułowanym: „Sansouci et Coblentz“. Bismarck zaznacza przedewszystkiem, że mimo to, iż na dworze Wejmarskim oddychano wyłącznie atmosferą, jaką stworzyli Schiller i Goethe, to jednakże dawał się uczuwać wszystkim alpejski ciężar, gniotący bezlitośnie uczucia i dusze niemieckie. Dla Augusty pozostał Francuz, a nawet Anglik czemś subtelniejszem cywilizacyjnie od Niemca, a zapatrywanie powyższe, panujące w Wejmarze przed 70 laty, dawało się uczuć następnie Bismarckowi, sprowadzając mu różne kłopoty. Podczas wojny Krymskiej Augusta pokonywała swą niechęć i wybierała ruskich dyplomatów do tańca albo do rozmowy. Z tem wszystkiem owa niechęć była niezaprzeczoną i nie rozstawała się z nią Augusta, będąc cesarzową. Uczucie powyższe nazywa Bismarck niewytłómaczonem psychologicznie i przypuszcza, że było ono następstwem idyosynkrazyi, jaką w niej wywoływała potężna postać cesarza Mikołaja.

Książę Wilhelm pruski miał zwyczaj, który i jako cesarz, zachował, że podczas śniadania małżonka składała mu sprawozdanie z bieżących listów i artykułów gazeciarskich. Nie ulega wątpliwości, że Schleinitz miał obowiązek i zadanie dostarczania Auguście pewnych listów i artykułów, gdy ta chciała na ukartowaną kwestyę zwrócić uwagę swego małżonka i odpowiednio ją oświetlić i Bismarck wypowiedział księciu swe podejrzenia i wywołał ze strony małżonka uroczyste zapewnienie, że jego przypuszczenie jest bezasadnem.

Książę Wilhelm wiedział dobrze o owych podstępach niewieścich, ale wobec osób trzecich, bez względu na ich pozycyę, nie chciał zdradzać politykomanii, której jego małżonka ulegała. Z francusko-angielskiemi sympatyami łączyła cesarzowa Augusta od młodości wielkie poszanowanie dla katolicyzmu. Biskup katolicki wydawał się jej zazwyczaj więcej czcigodną postacią, aniżeli protestancki superintendent, a sprawy katolickie, zwłaszcza w prowincyach nadreńskich, miały w niej zawsze gorącą popleczniczkę. W otoczeniu dworskiem chętnie widziała katolików, a nawet lubiła, aby jej dobierano służbę powyższego wyznania. Nic też dziwnego, że ludność katolicka okazywała jej przy każdej sposobności dużo przywiązania i czci, czego się współmałżonek nigdy nie doczekał.

Ciekawemi są uwagi, które na początku ery konstytucyjnej w Prusach, Bismarck zakomunikował swemu monarsze. Dotyczyły one ustroju zasadniczego izby panów, którą opinia publiczna uważała za nieudolną podporę królewskiej władzy i za proste zdwojenie (doublure) jej wpływu i powagi. Bismarck starał się wpłynąć na króla, aby tenże oparł ustrój pierwszej izby na żywiole wyborczym, któryby uzupełniał dziedzicznych panów. Korporacyę wyborczą najliczniejszą mieli zawsze stanowić posiadacze majątków rycerskich, których było około 13.000; do nich miały się przyłączyć magistraty znaczniejszych miast i grupa najwięcej opodatkowanych, która własności ziemskiej nie posiadała. Część wybieralna izby panów, zdaniem Bismarcka, winna zarówno jak i izba poselska, odnawiać się w okresie wyborczym i ulegać rozwiązaniu na równi z izbą drugą. Jakkolwiek pomysły swoje motywował Bismarck potrzebą wzmocnienia monarchizmu, król jednak odrzucił je szorstko, i Bismarck stracił nadzieję, aby kiedykolwiek mógł dla nich pozyskać uznanie królewskie.

W lecie roku 1855 odwiedził Bismarck Paryż, będąc zaproszonym przez ambasadora pruskiego, hr. Hatzfelda, w celu obejrzenia wystawy. Politykę i spostrzeżenia głębszej natury pozostawił jednak Bismarck na uboczu, opowiadając zaledwie o niedostatecznem urządzeniu przyjęć dworskich w Wersalu. Dopiero później, gdy powrócił do Berlina, opowiadał Królowi swój pogląd na Napoleona III, który wywołał nawet scenę humorystyczną. Na zapytanie bowiem

królewskie, wypowiedziane w tonie ironicznym, Bismarck odpowiedział, że Ludwik Napoleon wydaje się mu być zręcznym i dobrodusznym człowiekiem, ale że tak mądrym nie jest, jakim go świat sądzi, który jemu przypisuje wszystko, co się tylko stanie. Nawet, jeżeli w Azyi Wschodniej deszcze upadną, mają być tego powodem machinacye cesarza, który powszechnie jest uważanym za geniusza złego, pragnącego światu najwięcej sprawić odmętu i szkody. Zdaniem Bismarcka, Napoleon bardzo jest zadowolony, jeżeli może spożyć coś dobrego w spokoju, i wogóle przyzwyczajono się przeceniać jego rozum z krzywdą serca, albowiem w gruncie rzeczy jest on nawskróś dobrotliwym i posiada rzadką cnotę, bo umie być szczerze wdzięcznym za każdą wyrządzoną przysługę.

Gdy Bismarck wynurzał się przed królem, tenże śmiał się w sposób, który go dotknął niemile. Odważył się więc zapytać, czy J. K. Mość pozwoli mu odgadnąć powód śmiechu, a gdy monarcha zezwolił, rzekł Bismarck, co następuje: Generał Canitz zwykł był młodym oficerom w Akademii wojskowej opowiadać rzecz o kampaniach Napoleona. Jeden z pilnych słuchaczy zapytał go, dlaczego Napoleon mógł taki a taki manewr pominąć, na co Canitz odpowiedział: widzisz pan, ten Napoleon był rdzennie poczciwym chłopem, ależ był głupim, głupim — na co wszyscy słuchacze wybuchnęli homerycznym śmiechem. Otóż obawiam się, czy myśli W. K. Mości o mnie nie są podobne do tych, które Canitz żywił o Napoleonie! Na to król śmiejąc się znowu odrzekł: za mało znam Napoleona, aby ocenić należycie, czy jego serce jest lepszem od głowy, możesz więc mieć racyę; ale Bismarck dodaje, że jego pogląd na cesarza Francuzów jeszcze bardziej nie podobał się Auguście.

W listach, do Gerlacha pisanych, wyraził Bismarck oryginalny i ciekawy pogląd na rewolucyę francuską i Bonapartych. Jeżeli jednak w memoryale Hardenberga znajdujemy podobne refleksye, wywołane skłonnością do teoretycznych zaciekań się, to Bismarcka polityczne rozmyślania spowodowane zostały kwestyą żywotną i praktyczną. Bismarck był przygotowanym do zbliżenia się z Napoleonem, gdy tymczasem opinia publiczna i podejrzliwość książąt niemieckich stały temu na przeszkodzie, przedstawiając Napoleona III zarówno, jak i pierwszego, jako wcielenie rewolucyi we wszystkich

kierunkach. Bismarck zaprzeczał temu, ażeby w rewolucyi francuskiej lub w Bonapartych tkwiło coś szczególnego, z czego możnaby zrobić jakieś dziwne straszydło dla Europy. Że majestat Bonapartych nie miał świetnego dynastycznego blasku, w tem nie należy upatrywać nic nadzwyczajnego, to samo dzieje się w Szwecyi, a jednak żadna z niepożądanych konsekwencyi dotąd się nie ujawniła. Cóż wreszcie w tej rodzinie jest tak szczególnego? Bonaparci nie stworzyli przecież rewolucyi, i z ich wytępieniem doszczętnem nie byłaby rewolucya ze świata usunięta. Rewolucya jest daleko starszą od Bonapartych, a podstawy jej daleko są szersze, ażeby je jedna Francya ogarnąć była w stanie. Gdybyśmy ziemskie początki rewolucyi wyśledzić chcieli, kto wie, czybyśmy się do Anglii nie musieli udać albo do Niemiec lub Rzymu i nie wertować troskliwie historyi reformacyi.

Zdaniem Bismarcka, dynastya Bourbonów przyczyniła się więcej do rewolucyi, niżeli wszyscy Bonaparci razem, choćbyśmy do tego domu nie zaliczali Filipa Égalite z jego awanturniczą przeszłością. Bonapartyzm nie jest wcale ojcem rewolucyi, on był tylko, jak każdy zresztą absolutyzm, żyznem polem dla jej zasiewów. Zaborcze wojny nie były też wyłącznym przymiotem Bonapartych. Prawowici dziedzice starych koron, jak np. Ludwik XIV, potrafili w Niemczech równie barbarzyńsko gospodarować, jak Napoleon I. Dążność do zdobywania ujawniała się w Anglii, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Rosyi zarówno, jak i we Francyi. Jak się tylko dogodna okoliczność zdarzyła, korzystali z niej zarówno dziedziczni monarchowie, jak i uzurpatorzy w rodzaju Bonapartych. Napoleon III nie jest bynajmniej niewolnikiem instynktów zdobywczych. Czuje on, iż nie jest wodzem i że wielkie wojny mogłyby łatwo zwrócić uwagę armii na szczęśliwego generała z pominięciem cesarza. Tylko więc wewnętrzne niebezpieczeństwa i niepokoje mogą skłonić Napoleona do podjęcia walki, a w tem samem położeniu znaleźliby się obecnie i prawowici monarchowie Francyi. Wreszcie Bonapartystowskie rządy wewnętrzne ze swą surową centralizacyą, niweczącą wszelką samodzielność, ze swem nieposzanowaniem prawa i swobody, ze swem oficyalnem kłamstwem, swą korrupcyą w państwie i na giełdzie, swymi uniżonymi i pozbawionymi sumienia pi-

smakami nie są bynajmniej unikatem w Europie. Kwitną one bowiem i rozwijają się w Austryi, z tą jedynie różnicą, że Napoleon zastał je we Francyi, jako produkt historyi, niemożliwy do zmienienia, gdy tymczasem w Austryi powoływane były do życia z własnej woli i przeświadczenia. Tym wszystkim też, którzy Bismarcka odstraszali od Napoleona twierdzeniem, że Francya nigdy nic nie zrobi dla Prus, odpowiadał on treściwie a trzeźwo, że ani Austrya, ani niemieckie państwa, ani nikt wreszcie nie uczyni nic zgoła dla Prus, jeżeli w tem nie ujrzy interesu i korzyści własnej. Postępowanie zaś Austryi jest zniechęcające do tego stopnia, iż wszelka wspólność w polityce nie jest możliwą bez radykalnych wewnętrznych reform.

W roku 1857 udał się Bismarck do Paryża, gdzie brał udział w konferencyach, które miały załagodzić spór, między Szwajcaryą a Prusami wynikły. Konferencye dały mu sposobność zbliżenia się do Napoleona III i prowadzenia z nim bardzo interesujących politycznych rozmów. Zdaniem Bismarcka, Napoleon zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakiemi groziła Francyi szczęśliwie nawet zdobyta granica Renu. Mniemał on, że linia ta stanowi „un dépôt que l'Europe coalisée un jour viendra reprendre“, gdyby się Francyi dostała i jedynie dla zaspokojenia dumy starodawnej, pragnął une petite rectification des frontières, chociaż nawet i bez niej może czuć się zadowolonym. Zacząwszy raz od wynurzeń, Napoleon wyspowiadał się przed Bismarckiem i z tego, że nie myśli morza Śródziemnego zamienić we francuskie jezioro „mais à peu près“. Francuzi, dodaje Bismarck, nie są żeglarzami z natury, ale za to wybornymi żołnierzami lądowymi; wszelkie zatem powodzenie na morzu schlebia im niepomiernie. Temu to uznaniu przypisać należy fakt, że dopomogli do zniszczenia floty rosyjskiej na morzu Czarnem, bo obawiali się, że Rosya, posiadająca w Grekach wyborny materyał marynarski, może współzawodniczyć z nimi na morzu Śródziemnem.

Ciekawym jest opis ostatnich chwil Fryderyka Wilhelma IV, zamieszczony w pamiętnikach Bismarcka. Utrzymuje on, że ostatni atak apoplektyczny, po którym świadomość umysłowa królowi nie wróciła, nastąpił skutkiem podróży wspólnej z cesarzem Aleksandrem II, który lubił dużo palić, gdy tymczasem monarcha pruski

nie znosił zapachu tytoniu. W chwili zasłabnięcia króla przewidywano możność zmiany rządów, i książę Wilhelm wezwał Bismarcka, aby z nim rozważyć tę okoliczność, czy, w razie wstąpienia na tron, ma przyjąć bez zastrzeżeń konstytucyę, czy też poddać ją uprzedniej rewizyi. Bismarcka zdaniem, możnaby tylko w takim razie odrzucić konstytucyę, gdyby prawo lenne miało zastosowanie. Podług zasad tego prawa bowiem, dziedzic winien się stosować do rozporządzeń ojca, ale nie brata. Względy polityki przemawiają jednak za nieporuszaniem powyższej sprawy i nie pozwalają nawet warunkowem odrzuceniem konstytucyi powiększać niepewności, w jakiej się państwo znajduje. Nie należy w żadnym razie wywoływać obawy, że każda zmiana tronu wywoła zmianę systemu rządzenia. Wszelkie nieporozumienie między koroną a sejmem zmniejszyłoby znacznie powagę i znaczenie Prus zagranicą, nie mówiąc już o tem, że całe liberalne stronnictwo w Niemczech zwróciłoby się przeciw monarchii pruskiej. Na zapytanie czy nie dałoby się dłużej sterować nawą państwową z podpisem królowej, późniejszy kanclerz odpowiedział szorstko, iż nigdy nie był zwolennikiem rządów haremowych.

Z epoki parlamentarnego konfliktu pozwolę sobie zwrócić uwagę na list króla Wilhelma do Vinckego, który zamieszczony został w pamiętnikach Bismarcka. List to bardzo charakterystyczny, doniosły, który przekonywa o zapatrywaniach monarszych na konstytucyę oraz na dojrzałość polityczną pruskiego ludu. „Powiadasz Pan — pisze w owym liście król Wilhelm — że naród (Volk) domaga się wykonania § 99 konstytucyi. Chciałbym wiedzieć, ilu to ludzi w tym narodzie wie o istnieniu § 99, a ilu słyszało, jak go wykonywano. Dla rządu jest ta sprawa wszakże obojętną, ponieważ § 99 istnieje i powinien być wprowadzonym w życie. Kto jednak uniemożliwił wykonanie powyższego paragrafu? Czyż nie uczyniłem koncesyi, modyfikujących niestety budżet militarny? Czyż nie uczyniłem innych koncesyi, ażeby izbom okazać gotowość do porozumienia się i zgody? Izba poselska odpowiedziała na te wszystkie uprzejmości, nic nie czyniąc, przez co uniemożebniła wszelkie rządy. Kto taki robi użytek z przysługującego mu prawa, kto budżet redukuje w ten sposób, że wszystko w państwie przestaje istnieć, ten powinien być odesłanym do domu waryatów. Gdzież to jest napi-

sanem w konstytucyi, że tylko rząd powinien robić ustępstwa, a izba poselska nigdy. Ponieważ zaś posłowie użyli tego prawa na zniszczenie armii i kraju, przeto musiałem uzupełnić owo „nic“ i, jako dobry ojciec rodziny, prowadzić dalej cały dom, aby zdać później z gospodarstwa rachunek. Nie ja więc uniemożliwiłem wykonanie § 99 konstytucyi“. Z listu powyższego przebija niezmierna dojrzałość polityczna pruskiego króla i jego trafny a trzeźwy pogląd na prawa konstytucyjne, z których nie należy wyprowadzać konsekwencyi logicznych, stwarzających konflikty i waśnie, ale których najwyższym celem jest zgoda korony z reprezentacyą — owa concordia, zapomocą której i małe rzeczy wzrastają.

Wspominając konwencyę Alvenslebena, poświęca Bismarck uwagę polsko-rosyjskim stosunkom w r. 1862—1863. Gabinet pruski musiał w tej dobie stać na czatach i mieć czujne oko i ucho, aby w Petersburgu nie ogarnęła sfer rządowych myśl zbratania się z Polakami, która objawiła się już wśród inteligencyi w 1862 roku. Bismarck stwierdza, że dążność zbratania się z Polakami szczerzej i lojalniej była pojętą przez społeczeństwo rosyjskie. Z Polaków zaś nie było ani jednego, któryby pragnął owego zbliżenia się bratniego. Wszyscy oni uważali ówczesny prąd za taktyczną ewolucyę, mającą na celu omamienie Rosyan do czasu, gdy się to okaże właściwem i pożytecznem. Szlachta polska jednak łącznie z duchowieństwem okazywała nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiego bratania się z Rosyanami, zarówno, jak i z Niemcami. Jeżeli Polacy okazywali więcej nieufności i niechęci do Niemców, niż do Rosyan, to, zdaniem Bismarcka, należy ten objaw tłómaczyć tem, że żywili do Niemców wstręt, jako do obcej rasy, z tem przekonaniem, że w pożyciu wspólnem Polacy będą mogli wywierać wpływ przeważny na Rosyan, czegoby się od Niemców nie doczekali.

Bardzo interesującemi są wzmianki Bismarcka o rozmowach, jakie jeszcze przed 1863 rokiem prowadził z cesarzem Aleksandrem II i z księciem Gorczakowem. Z rozmów tych doszedł Bismarck do przypuszczenia, że cesarz Aleksander II skłoniłby się chętnie do pozbycia Królestwa Polskiego, po granicę Wisły z wyjątkiem wszakże Warszawy, która potrzebną mu była, jako przyczółek mostowy i garnizon dla wojska. Cesarz Aleksander uważał Królestwo Pol-

skie za źródło niepokojów i niebezpieczeństw dla Rosyi, gdy tymczasem daleko lepiej i bezpieczniej załatwiliby się z kwestyą germanizacyi Prusacy, mając po temu odpowiednie i niezawodne środki. Trudno zadać kłam prawdziwości owych rozmów, ale pozwolę sobie wyrazić przynajmniej niejakie w tym względzie wątpliwości. Pomysł odstąpienia Królestwa Polskiego po Wisłę Prusakom owładnął chwilowo umysłem cesarza Mikołaja I, gdy gniew z powodu powstania w 1831 roku nie pozwolił mu jasno widzieć politycznych korzyści Rosyi. Że owe zachcianki monarchy rosyjskiego trwały niedługo i rozwiały się pod wpływem rozumnych rad ks. Paskiewicza, o tem wiemy z korespondencyi, jaka się między nimi toczyła i którą niedawno opublikowano. Mało jest jednak prawdopodobieństwa w tem, aby cesarz Aleksander II przed rokiem 1863 podejmował znowu niefortunną i chwilową myśl, porzuconą przez rodzica. Całe postępowanie ówczesne cesarza, nacechowane wyrozumiałością i dobrotliwością, pozwala przypuszczać, że, jeżeli podobne rozmowy istotnie miały miejsce, to były prowadzone w celu wypróbowania pożądliwości pruskiej i uwolnienia się od podejrzliwości a wywiadowczej, podchwytliwej taktyki, której się ambasador pruski zwykł trzymać. System reform, zastosowany w 1862 r. w Królestwie Polskiem, a powiększający znakomicie samorząd kraju, przekonywa zupełnie, iż cesarz Aleksander II nie mógł się nosić z myślą, przypisywaną mu przez Bismarcka. Należy raczej owe opowieści, w pamiętnikach zawarte, uważać za mistyfikacyę samego kanclerza, który chciał usprawiedliwić swą namiętną, a nieubłaganą walkę wytępienia, z jaką zawsze i wszędzie występował przeciw Polakom.

Bismarck wyjaśnia nawet powody swej zawziętości i uporczywości w powyższej walce, przekonywając, że dyktowaną była pruskiej polityce z nieodzowną koniecznością. Cesarstwo austryackie znajdowało się pod tym względem w daleko lepszem położeniu; królestwo pruskie jednak, dążenia polskiej ludności prowincyi wschodnich i zachodnich Prus narażały na poważne niebezpieczeństwa. Nasze położenie geograficzne, powiada Bismarck, przytem pomieszanie obu narodowości we wschodnich prowincyach łącznie ze Śląskiem nakazywały nam, o ile możności, stłumiać kwestyę polską w 1853 r. Gdy ta kwestya przez Rosyę wprowadzoną została na

porządek dzienny, naszem zadaniem było dawać pilne baczenie, aby nie przybrała ona zbyt dużych rozmiarów, a w dogodnej chwili usuniętą została z widowni. Rozjaśnia sie też Bismarckowi oblicze, gdy w lutym 1863 r. zawartą została przez Alvenslebena konwencya z rządem rosyjskim. Uważa on ją za stanowcze zwycięstwo nad żywiołem, sympatyzującym z Polakami w rządzie rosyjskim, i ocenia wysoko jej doniosłość dyplomatyczną. Zwie ją też udanem posunięciem szachowem, które rozstrzygnęło całą partyę. Rzecz o Polakach i 1863 r. wypełnia Bismarck ciekawymi szczegółami o oryginalności w postępowaniu Gorczakowa i o zachowaniu się wielu wybitnych ówczesnych osobistości. Zgodnie jednak z myślą przewodnią, która wszędzie występuje nieubłagana, jak fatum, głoszoną, jest bez przerwy potrzeba i konieczność zagłady polskiej, gwoli spokojowi i powodzeniu Prus — jednem słowem Bismarck uporczywie powtarza starożytne — delenda est Carthago.

Bismarck upewnia, że wszelkie wieści, które puszczano w obieg o trwałych nieporozumieniach między nim a ówczesnym następcą tronu, były zupełnie mylnemi. Istniało tylko chwilowe przemijające oziębienie stosunków, wywołane podróżą księcia Fryderyka do Gdańska w maju 1863. Następca tronu w odpowiedzi do nadburmistrza miasta zaznaczył zbyt wyraźnie i dobitnie, iż w obmyśleniu i doradzeniu środków, które wywołały rozdrażnienie między koroną a narodem, nie brał żadnego udziału, a nawet ze smutkiem niedawno się o nich dowiedział. Do Bismarcka zaś napisał książę Fryderyk list z gorzkiemi wymówkami, w którym potępia surowo całą jego politykę. Zwie on ją pozbawioną dobrej woli i szacunku dla ludu, a opartą na bardzo wątpliwym wykładzie konstytucyi. Następstwa powyższej polityki będą opłakane, pozbawią bowiem konstytucyę wszelkiej wartości w oczach ludu, a ludność zachęcą do szukania zadośćuczynienia na drodze pozakonstytucyjnych dążeń. Ministeryum w tem położeniu, w jakiem się znalazło, będzie się ratowało coraz zuchwalszymi wnioskami, aż nareszcie doradzi królowi złamanie konstytucyi. Z wyłuszczonych powodów następca tronu nie omieszka prosić króla, aby go uwolnił od uczestniczenia na posiedzeniach owego ministeryum, i to, dopóki ono istnieć będzie.

Zdawało się, że tak wyraźnie i kategorycznie wypowiedziane

zarzuty, położą ostateczny kres wszelkim stosunkom Bismarcka z następcą tronu. Stało się jednak inaczej dzięki temu, że Bismarck, jak nas zapewnia, nie pragnął bynajmniej następstwa ministeryalnego na wzór następstwa tronu. Drogę do porozumienia utorowało polecenie królewskie, aby Bismarck nakłonił księcia Fryderyka do bywania na radach ministeryalnych, albowiem tylko w ten sposób może on zdobyć doświadczenie i dojrzałość polityczną. Kanclerz musiał się zatem zdecydować na krok nieprzyjemny i zapytał następcę tronu, dlaczego tak uporczywie stroni od posiedzeń ministeryalnych, kiedy przecież niezadługo może ten rząd stać się jego własnym, w którym, jeżeli będzie uważał za stosowne, może przeprowadzić inne zasady. Nawet w tym celu udział w rządzie przyda mu się więcej, niż stanowisko opozycyjne, będzie mógł bowiem dokładnie obmyśleć środki przygotowawcze, tymczasowe. Książę Fryderyk odpowiedział zrazu niezbyt zachęcająco, w przekonaniu, iż Bismark pragnie utorować drogę dalszemu swemu rządzeniu, ale kanclerz wytrzymał z zimną krwią wyniosłe zachowanie się i ostre spojrzenie księcia, perswadując w dalszym ciągu z wymuszoną flegmą, że do rozmowy powyższej spowodowało go przywiązanie dynastyczne i chęć zbliżenia go z ojcem, czego bezwarunkowo dobro kraju wymaga. Bismarck już wcześniej czynił wszelkie wysilenia, aby ów chłód między ojcem a synem usunąć i aby króla skłonić do tego, by nie działał ab irato. Zresztą Bismarck upewniał księcia, że był zawsze przywiązanym sługą jego ojca, i życzył mu, aby posiadał równie przywiązanych do siebie ministrów. Wreszcie zapewniał go, iż za nowego panowania nie będzie ministrem, czem rozbroił zupełnie następcę tronu, zyskując jego przychylność, a nawet szczere uznanie.

II.

W drugim tomie pamiętników rozstał się Bismarck z epoką, której zarzucał „zu viel Bildung“, a rozpoczął rozpamiętywać dobę, w której „Blut und Eisen“ spoiły i wzniosły olbrzymi gmach państwa niemieckiego [1]). Już w końcu 1863 r. Bismarck był przeko-

[1]) Const. Frantz: „Das neue Deutschland“ str. 287: „so werden auch

nany, że inicyatywa i należyte skrzepienie pruskiej polityki nie wypłynie ani z izb, ani z prasy; właściwe źródło ożywcze spoczywać będzie w wojsku i w potędze państwowej, która zdobędzie się na najlepszą odpowiedź na wszelkie doktrynerskie pretensye Augustenburgów. W sprawie duńskiej zajął też Bismarck wyraźną i stanowczą pozycyę. Jego zdaniem, które otwarcie na radzie ministeryalnej wypowiedział, należało księstwo Szlezwig-Holsztyńskie zaraz po śmierci Fryderyka VII przyłączyć do Prus. Prócz tego przypominał królowi, że każdy z jego bliższych przodków, nie wyłączając brata, przyczynił się do powiększenia państwa; Fryderyk Wilhelm IV przyłączył do Prus księstwa Hohenzollern i okręg Jahde, Fryderyk Wilhelm III prowincye nadreńskie, Fryderyk Wilhelm II prowincye polskie, Fryderyk II Śląsk, Fryderyk Wilhelm I część przodową Pomorza, a wielki Kurfürst Zapomorze z Magdeburgiem i Minden. Dobrzeby więc było, aby i obecny monarcha naśladował przykład swych poprzedników, i Bismarck nie zaniedbał mu przedstawiać konieczności politycznej takiego czynnego i stanowczego postąpienia.

W protokułach posiedzeń ministeryalnych dostrzegł Bismark, że najsilniejsze jego wyrażenia opuszczono. Radca tajny, Costenoble, który prowadził pióro, objaśnił, że królowi zdawało się, że samemu Bismarckowi będzie przyjemniej, jeśli niektóre jego wyrażenia opuszczonemi zostaną. J. K. M. przypuszczał, że owe kategoryczne plany powstały pod wpływem i natchnieniem Bacchusa, lepiej więc, że ich wyraźniejszy ślad nieco zatartym zostanie. Bismarck upomniał się stanowczo o zamieszczenie wszystkich powypuszczanych wyrażeń, a następca tronu, który przy tem był obecny, wzniósł ręce ku niebu, jakby je wzywał na świadka, że w umyśle Bismarcka coś się psuć zaczęło. Koledzy zaś uporczywie milczeli, dając do zrozumienia, że niedalecy są od przeczuć następcy tronu, a Bismarcka ta lodowata i zniechęcająca atmosfera nie zdołała wywieść na manowce. Celem jego głównym od początku do końca pozostała anneksya księstw, i, przewidując wszelkie możliwe trudności i przeszkody, pracował wytrwale, aby powiększenie Prus

---

an dem Gedächtniss des Grafen Bismarck immer die Worte von Blut und Eisen und zu viel Bildung haften“ i t. d.

wprowadzić w czyn i życie, co, jak wiadomo, znakomicie mu się udało.

W r. 1866, kiedy już oręż rozstrzygnął zatarg międzynarodowy na stronę Prus, Bismarckowi przypadło ciężkie zadanie wyjednania pokoju, który stronnictwo wojskowe pruskie uważało dla siebie i dla armii za sromotę, a za hańbę dla całego państwa. Bismarck w Nikolsburgu zapytał Moltkego, co zamierza uczynić na wypadek francuskiej zbrojnej interwencyi, i otrzymał odpowiedź, że w takim wypadku przyjętą będzie względem Austryi postawa obrony w granicach Elby, a przeciwko Francyi zostanie prowadzoną główna wojna. Powyższe zdanie, powiada Bismarck, skłoniło mnie do doradzenia monarsze zawarcia pokoju z Austryą na podstawie zachowania integralności terytoryalnej tego państwa. Bismarck bowiem rozumował daleko subtelniej i obrachowywał politycznej następstwa nagłej interwencyi francuskiej. Podług jego przewidywań, w powyższym wypadku Prusy byłyby zniewolone zawrzeć z Austryą pokój pod warunkami, daleko więcej umiarkowanymi, i wyszukać sobie sprzymierzeńca, ażeby w przyjaznych i korzystnych okolicznościach módz zaczepić Francyę. Druga ewentualność przedstawiała się także inaczej, jak Moltke sobie wyobrażał. Prusy bowiem, zalawszy pospiesznie swemi wojskami Austryę i wywołując niezadowolenie w Węgrzech, a nawet w Czechach, mogły zgnieść zupełnie swego przeciwnika, ale do czasu musiałyby jedynie odpornie i ochronnie występować przeciwko Francyi. Bismarck przewidywał, że Francyi nie wiele sił zostanie do wojny zaczepnej, ale wierzył w szybkie jej skrzepienie się, gdy Prusy wciągnięte zostaną wewnątrz Francyi, a w takim razie Austrya z Niemcami południowymi na tyłach mogłaby się stać niebezpieczną. Francya zresztą, choćby poparła interwencyę tylko 60.000 wojska, trafiała na wojska bawarskie i inne południowe niemieckie i wraz z niemi utworzyłaby armię 200.000 pod jednolitem i energicznem dowództwem, której z Berlina nie przeciwstawionoby sił odpowiednich bez niebezpiecznego zaniedbania linii Elby. Wobec przypuszczalnego wmieszania się Napoleona, wątpliwej postawy Rosyi i szerzenia się cholery w wojsku pruskiem, nic dziwnego, powiada Bismarck, żeśmy się musieli ratować od

klęski i korzystać ze wszelkich narodowych waśni, czy to w Niemczech, czy Węgrzech, czy wreszcie w Czechach.

Kłopoty Bismarcka tymczasem wzrastały szybko, zamiast się zmniejszać; stronnictwo wojenne pozyskało króla i chciało koniecznie wkroczyć zwycięsko do Wiednia. Do stanowczego upokorzenia Austryi potrzeba było przełamania linii fortyfikacyjnej pod Floridsdorf, na co potrzebne były ciężkie działa z Magdeburga, których sprowadzenie wymagało 14 dni czasu. Wojskowi obiecywali sobie zupełny sukces, opłacony najwyżej życiem 2000 ludzi, ale Bismarckowi wydawała się strata 14 dni najważniejszą i widział nieustannie zbliżającą się zmorę interwencyi francuskiej. Wreszcie dla polityki pruskiej wejście wojsk do Wiednia nie miało żadnego znaczenia i było jedynie zaspokojeniem chełpliwości wojennej, a położenie ówczesne nakazywało wymagać od nieprzyjaciela, co było politycznie koniecznem, a nie tego, co było chwilowo możliwem.

W chwili, kiedy trzeba było sobie zdać sprawę z telegramu Napoleona III z d. 4 lipca i zdecydować się na zajęcie odpowiedniego stanowiska, król pruski naszkicował mniej więcej następujące warunki pokoju: reforma związku pod kierownictwem Prus, pozyskanie Szlezwig-Holsztynu jednego okręgu Czech, austryackiego Śląska, wschodniej Fryzyi i oddanie rządów w Hanowerze, Kurhesyi, Meiningen i Nassau ich następcom tronu. Wkrótce potem król Wilhelm porobił jeszcze w powyższym szkicu zmiany, pragnąc przyłączyć do Prus części Saksonii, Hanoweru i Hessyi, a szczególniejszy nacisk kładąc na Ansbach i Beyreuth, które przyłączyć chciał do swego domu. Tymczasem Karolyi nie zgadzał się na najmniejsze ustępstwa terytoryalne, Moltke dawał coraz to więcej zagadkowe odpowiedzi na zapytanie, jakie szanse przedstawia wojna, a wojskowe stronnictwo nie chciało nic słyszeć o umiarkowaniu. Wszyscy generałowie pragnęli nowych i łatwych zwycięstw, król coraz bardziej ulegał ich wpływowi, a Bismarckowi wydawało się brzemię odpowiedzialności ministeryalnej coraz to cięższem Stan jego nerwów był fatalnym, i żelazny książę ulegał atakom spazmatycznego płaczu, w przekonaniu, że chełpliwość i krótkowidztwo zmarnują dojrzały owoc zwycięskiej kampanii. Bismarck bowiem dyplomatycznie wyrozumiał od Benedettiego, że Francya w powiększeniu się Prus

o jakie 4 miliony czyli w urządzeniu się najwygodniejszem w związku północnym nie widzi żadnego powodu do interwencyi. Austrya decyduje się również na wystąpienie ze związku północnego, główny cel zatem, to jest swoboda poruszania się i działania w Niemczech jest Prusom zapewniona, a wszystkie te korzyści mogły być przez zaborcze plany króla i wojskowych pogrzebionemi na zawsze. Z drugiej strony upokorzona i okaleczona Austrya musiałaby się stać nieprzejednanym wrogiem Prus, nawet jej antyrosyjskie interesa byłyby niewątpliwie porzuconymi i zaniedbanymi, aby tylko umożliwić odwet za upokorzenie i klęskę.

Zresztą była jeszcze inna kwestya, która Bismarckowi spokoju nie dawała. Na wypadek rozbioru Austryi zastanawiał się on nieustannie nad tem, jaka będzie przyszłość i przeznaczenie Habsburskich dzierżaw. Przenikliwość polityczna Bismarcka ukazywała mu wielką europejską próżnię, i na miejscu Austryi rozrastał się bujnie pierwiastek rewolucyjny. Pierwiastek ten groźny miałby grunt, podatny szczególniej na Węgrzech i w dzielnicach słowiańskich, w zysku zaś Prusom za szczepienie zarazku rewolucyjnego, nie przypadłoby nawet arcyksięstwo austryackie w udziale; Wiedeń bowiem nie zgodziłby się nigdy na odgrywanie podrzędnej roli wobec Berlina. Gdy Bismarck pozostawał w nieopisanem przygnębieniu i na myśl mu przychodziły rozpaczliwe postanowienia, wszedł niespodzianie do jego pokoju następca tronu i kładąc rękę na jego plecach, rzekł: wiesz pan dobrze o tem, iż byłem przeciwko wojnie, którą pan uważałeś za konieczną i za którą też pan odpowiedzialność ponosisz; jeżeli pan jesteś przekonanym, że cel już został osiągniętym i że obecnie należy pokój zawrzeć, to gotów jestem poprzeć pana wobec mego ojca i przedstawić mu twoje poglądy. Co rzekłszy, następca tronu poszedł do ojca i, wróciwszy w pół godziny, rzekł tym samym spokojnym i życzliwym głosem: sprawa była trudną, ale ostatecznie ojciec się zgodził. Ustępstwo króla Wilhelma wyrażone było w kilku wierszach, skreślonych ołówkiem, które przeznaczone były przeważnie dla stronnictwa wojennego. Decyzya królewska brzmiała jak następuje: gdy mnie mój prezydent ministrów opuścił wobec nieprzyjaciela, a nie jestem w możności zastąpienia go kim innym, rozważyłem całą sprawę z mym synem, a gdy i ten

przechylił się na stronę poglądów prezydenta ministrów, z bolcścią widzę się zmuszonym po tylu świetnych zwycięstwach ugryźć to kwaśne jabłko i zawrzeć haniebny pokój.

Napoleon III nie widział w związku północnym niemieckim żadnego niebezpieczeństwa dla Francyi. Dawne wspomnienia związku reńskiego krępowały zbytecznie trzeźwość politycznych jego przewidywań, i sądził uporczywie, że południowe Niemcy będą zawsze gotowe na jego skinienie stronić, a nawet bronić się od narodowego zjednoczenia. Bismarck nie wątpił nigdy o tem (tak nas przynajmniej zapewnia), że dzieło zjednoczenia Niemiec będzie mogło być urzeczywistnionem i zahartowanem w wojnie z Francyą, ale rozwaga i przenikliwość nakazywały mu tę wojnę odłożyć na później, aby do niej przygotować jak najlepiej Prusy i przygotować dla nich najpomyślniejsze okoliczności polityczne. Przedewszystkiem Bismarck pożądał zwłoki dlatego, aby organizacya wojenna pruska mogła ogarnąć Hanower, Hessyę i Holsztyn oraz, aby się mogło urobić w południowych Niemczech pewne poczucie potrzeby zjednoczenia. To były najważniejsze powody, poza którymi kryły się i drugie mniejszej wagi. Bismarck przyznaje się, że po korzyściach, jakie wojska francuskie odniosły w kampaniach: krymskiej i włoskiej, przeceniał niebezpieczeństwo wojny Prus z Francyą i wogóle organizacyę, porządek, a nawet liczbę armii francuskiej uważał za większą, aniżeli się ona okazała w r. 1870. W każdym razie armia francuska miała wówczas cichego sprzymierzeńca w żądzy odwetu, która mimowoli skrywała się w sercu Austryi i w pragnieniu Rosyi utrzymania równowagi politycznej, a tymczasem każdy rok uzyskanej zwłoki wzbogacał Prusy o 100.000, a nawet więcej, wyćwiczonego i wybornego żołnierza. Ten ostatni wzgląd starczył za wszystkie inne i zdobywał Bismarckowi przekonania nawet najuporczywszych przeciwników.

Utworzenie szczęśliwe związku północno niemieckiego, zwróciło uwagę Bismarcka i na głosowanie powszechne. W rozdziałach, poświęconych tej instytucyi prawa państwowego europejskiego, Bismarck nietylko odsłonił ciekawe polityczne pobudki, które kierowały pruskim prawodawcą, ale nadto ocenił krytycznie dwulicowość powyższej reformy i dowiódł, jak głęboko umie spoglądać w ustrój

państwowy i jak subtelnie obliczać potrafi następstwa wszelkich międzynarodowych czy prawno-państwowych aktów. Przyjęcie głosowania powszechnego w Niemczech — powiada Bismarck — spowodowane było wojną. Użyte ono zostało, jako środek bojowy przeciwko Austryi w łonie nieniemieckiej jedności i wreszcie, jako ostateczna groźba przeciwko wszelkiej prawdopodobnej koalicyi. W walce na śmierć lub życie nie przebiera się zwykle w broni, ani nie zastanawia się nad wszelkiego rodzaju dobrami i zdobyczami cywilizacyjnemi, które idą na marne. Najwyższym doradcą w takim wypadku jest dobry skutek, a przedewszystkiem obrona niezależności państwowej na zewnątrz. Zlikwidowanie szkód i wygładzenie ich ostateczne przez odpowiednie reformy jest to zwykłe zadanie rządu po zawarciu pokoju. Zresztą Bismarck uważał i później głosowanie powszechne zarówno w teoryi, jak i w praktyce, za usprawiedliwione zasadniczo, jeżeli się tylko od niego odłączy wszelką dziwaczność, która pozostaje w zupełnem przeciwieństwie z niemieckim charakterem.

Wpływy i zależności, które praktyczne życie ludzkie z sobą przynosi, są od Boga pochodzącemi rzeczywistościami, i tych ignorować nie wolno. Jeżeli się ich w życiu publicznem nie uwzględni, wtedy między prawem państwowem a realnością ludzkiego żywota wytwarzają się przeciwieństwa i sprzeczności, które spowodowują nieustanne starcia społeczne, kończące się zazwyczaj niefortunnymi wybuchami. Rozwiązanie owych powikłań jest teoretycznie przypuszczalne na drodze socyalno-demokratycznych szaleństw, które znajdują oddźwięk w tej okoliczności, że wielkie rozruchy społeczne mają przenikliwość zbyt stępioną i są zazwyczaj zbyt mało rozwinięte, aby mogły nie wpaść w zasadzkę i sidła zręcznych retorów i ambitnych, a pożądliwych przywódców. Jedyną przeciwwagę w społeczeństwie może stanowić wpływ wykształconych ludzi, który wzmocni się niewątpliwie przez to, że wybory będą jawnymi tak, jak to ma miejsce w sejmie pruskim. Większa rozwaga klas inteligentnych będzie zawsze uważała zachowanie własności za podstawowe. Niewątpliwie dążenie do nabycia własności jest zupełnie uzasadnione, ale zawsze dla bezpieczeństwa i rozwoju państwa jest po-

żyteczniejszą i ważniejszą przewaga tych, którzy uosabiają własność i takową już posiadają.

Organizm państwowy, którego rządy spoczywają w rękach pożądliwych, tych mężów, co są „rerum novarum cupidi“, lub mówców obłudnych, posiadających niezwykłą zręczność w okłamywaniu tłumów, skazanym będzie na wiekuisty niepokój w swoim rozwoju, który temu organizmowi państwowemu wyrządzi ostatecznie nieobliczone szkody. Ciężkie i wielkie masy społeczne, do jakich znaczne narody niewątpliwie w swem życiu i rozwoju należą, mogą się tylko poruszać z oględnością i rozwagą, albowiem tory, prowadzące do niepewnej i zagadkowej przyszłości, nie mają szyn wygładzonych. Wielkie upaństwowione społeczeństwa, pozbywając się oględnego i hamującego wpływu warstw posiadających i wykształconych, muszą wpaść w szalony wir zmian politycznych, jak to uczyniła wielka rewolucya francuska. Niewątpliwie owe pożądliwe pierwiastki powinny w wielkich masach społecznych pozyskać z czasem przewagę i uznanie, ale starać się należy o to, aby owo zdobycie uznania i wpływu nie sprowadziło onego wiru w rozwoju i nie rozbiło ostatecznie ustroju państwowego.

Jeżeli się powyższym objawom nie zapobiegnie, to przebieg historyczny zakończy się w owych państwach szybko dyktaturą, t. j. panowaniem przemocy. Masy bowiem społeczne zapragną wkrótce porządku i, aby go pozyskać, wyrzekną się nawet tych swobód, do których i z któremi zrosły się zupełnie. Bismarck uważałby to za poważne nieszczęście, gdyby Niemcy miały kiedykolwiek wpaść w wir historycznego obiegu Francyi. Absolutyzm oświecony pruski, zdaniem Bismarcka, byłby niewątpliwie idealną konstytucyą dla Niemiec, gdyby nie ten wzgląd, że zarówno monarcha, jak i jego urzędnicy, pozostają zawsze tylko ludźmi, którym nie dana jest ani nadludzka znajomość rzeczy, ani nadludzka rozwaga lub poczucie sprawiedliwości. Najidealniejszy monarcha potrzebuje krytyki, któraby go ostrzegała o każdem zboczeniu na manowce. Krytykę taką w Niemczech mogą dokonywać tylko z pożytkiem parlamenty i wolna prasa. Aby oba te kryterya nie stępiły się skutkiem nadużycia, winna nad tem czuwać polityka prawodawcza, która z kolei rzeczy musi przebyć walkę zarówno w prasie, jak i w parlamencie. Wynalezienie

właściwej granicy, którąby przez owe wewnętrzne starcia szanowaną była i zapewniła krajowi kontrolę nad rządem, jest rzeczą politycznego taktu i pewnej miary w oku. Jeżeli monarcha posiada owe przymioty, to stanowią one szczęście dla kraju, które jak każde szczęście, jest przemijającem, ale w każdym razie daje mu możność dobrania sobie odpowiednich ministrów, którzy mu do osiągnięcia politycznych celów i zadań dopomogą. Monarcha winien przedewszystkiem mieć możność i władzę osłonięcia ministrów przed chwilowemi głosowaniami większości parlamentarnych, zarówno jak i przed skrytemi intrygami dworskiej kamaryli. Widzimy więc, że zwolennikiem systemu parlamentarnego, igrającego z zabawkami ministeryalnemi, Bismarck nie był, pragnął on niezmiennie niezależności ministra wobec izb i wobec kamaryli dworskiej, a panowanie Wilhelma I odpowiadało mniej więcej jego idealnym wymaganiom.

W każdym razie Bismarck zaznacza kilkakrotnie z naciskiem, że absolutyzmu nie uważał za formę odpowiednich i możliwych rządów dla Niemiec. Jego zdaniem, nawet konstytucya pruska, jeżeli się pominie kilka artykułowanych frazesów, zapożyczonych z konstytucyi belgijskiej, jest w głównych zasadach znośną i rozsądną. Składa się ona z trzech faktorów, króla i dwóch izb, z których każdy może zapobiedz nagłym i nieoględnym zmianom. W tym troistym składzie tkwi słuszny podział władzy prawodawczej. Poddanie jej jawnej krytyce w prasie jest ze wszech miar pożądanem ze względu na terroryzm większości parlamentarnych. Wszelka zmiana panującego status quo winna być osiągnięta na drodze wspólnego porozumienia się, i pod tym względem niewiele jest w pruskiej konstytucyi do poprawienia.

Przechodząc do pruskich depesz i do zawikłań z Francyą, Bismarck tłómaczy jasno i przekonywująco, że kandydatura hiszpańska Hohenzollerna nie była nigdy ani skrytą, ani jawną prowokacyą do wojny. Dzięki jedynie zaślepieniu i uroszczeniom gabinetu oraz dyplomacyi francuskiej nieporozumienie rosło w oczach i wytworzyło niebywałe drażliwości, którym żadne ustępstwa pruskie nie były w stanie uczynić zadość. Bismarck nawet myślał o tem, aby się usunąć do prywatnego życia, gdyż widok upokarzającego postępowania Prus był dla niego zanadto dotkliwym. Poczucie honoru,

do którego się odwołał monarcha, kazało mu pozostać na trudnem i odpowiedzialnem stanowisku. Pozostawszy jednak, Bismarck uczynił wszystko, aby położyć kres zuchwalstwu Francyi i aby dla Prus zyskać sympatye narodu niemieckiego i całej Europy, jako dla napadniętego państwa. Stronnictwo wojskowe pruskie, a przedewszystkiem Roon i Moltke zachwyceni byli polityką Bismarcka, dla nich bowiem rezultat kampanii nie mógł być wątpliwym, a pożądali go niecierpliwie z całej duszy. O fałszowaniu jednak depesz, o co namiętna publicystyka posądzała Bismarcka, nie mogło być mowy; zresztą fałszowania niepotrzeba było w owym podnieconym stanie. Dość było przeinaczeniem formy nadać inny ton depeszy, a zaperzony kogut gallijski uważał to za wyraźną i rozmyślną prowokacyę do walki.

W Wersalu spotkał się Bismarck z wyraźną niechęcią wojskowego stronnictwa, do którego wszelako Roon ani Moltke nie należeli. Stronnictwo powyższe dało mu do poznania, iż nie życzy sobie, ażeby brał udział w naradach wojennych, jak to miało miejsce podczas kampanii czeskiej. Generalicya pruska nie mogła żelaznemu księciu przebaczyć, że doradził królowi marsz do Preszburga zamiast do Wiednia i tym sposobem wawrzyny ich uczynił skromniejszymi. Bismarcka nie dziwiło żądanie wojskowych, załatwiania spraw wydziałowych samodzielnie bez interwencyi cywilnych pierwiastków, ale z tem wszystkiem tłómaczy niezbędność, aby główny doradca korony, który ma upatrzeć odpowiednią chwilę do zawarcia pokoju, był powiadomionym dokładnie o sposobie prowadzenia wojny i o stanie sił obu stron walczących. Położenie Bismarcka w roku 1870 było takiem samem, jak w r. 1866. Pragnął on położyć kres pogromowi Francyi, bynajmniej nie z powodu współczucia lub litości, jakie żywił dla tego kraju, ale, ażeby zapobiedz porozumieniu się państw neutralnych, których wystąpienie mogło rokowania pokojowe bezpożytecznie przedłużać. Tymczasem różne względy utrudniały Bismarckowi zadanie. Nietylko sympatye angielskie cesarzowej Augusty i następczyni tronu grały tu rolę, ale nawet żony wybitniejszych generałów w imię swego angielskiego pochodzenia dowodziły zgodnie z brytańską prasą i rządem, że Paryż należy ogłodzić, albowiem bombardowanie tego wszechświatowego ogniska cy-

wilizacyjnego byłoby niesłychanem barbarzyństwem. Do serca Bismarcka nie przemawiały bynajmniej owe pseudohumanitarne postulaty brytańskie, które w miejsce zwykłego, choć twardego środka wojennego, podsuwały ciche i obłudne okrucieństwo, pochłaniające nierównie więcej ofiar i demoralizujące w niesłychany sposób całe masy społeczne. Bismarck otwarcie stawia zapytanie, czy głodzenie wielkiego miasta jest łagodniejszym środkiem prawa międzynarodowego, niż bombardowanie, i dochodzi do tego oryginalnego spostrzeżenia, że owa głodna kuracya Paryża, obniżając poziom moralności i budząc instynkty zwierzęce, przyczyniła się znacznie do wywołania krwawego widma komuny.

W Wersalu doznał Bismark dużo kłopotów, zanim zdołał skłonić swego monarchę do przyjęcia tytułu cesarza niemieckiego, Fryderyk Wilhelm IV czuł także nieprzezwyciężony wstręt do zmienienia tradycyjnej swojej królewskości, ale tym razem Wilhelmowi I proponowało zrzeczenie się nie zgromadzenia doktrynerów, które przyszłym Niemcom budowało w swej chorobliwej wyobraźni wspaniałe gmachy. Jakkolwiek pobudki były tym razem daleko poważniejsze i wytworzone zwycięstwami, a nie czczą wyobraźnią, król pruski długo nie chciał nic słyszeć o nowym tytule, a następnie oświadczył kategorycznie, że się nie zgodzi na przyjęcie tytułu cesarza niemieckiego, lecz co najwyżej zgodzi się na tytułowanie „Cesarzem Niemiec“. Tymczasem tytuł cesarza niemieckiego, stał się już artykułem konstytucyi nowego cesarstwa, i to uchwalonym przez sejm pruski; upór królewski był więc fatalną zaporą, powstałą w najniewłaściwszym czasie i miejscu, i Bismarck, znając narowistość swego starego władcy, był w prawdziwym ambarasie, jak się z tym niewyrozumowanym wstrętem uporać. Odwołanie się do nadzwyczajnych środków, które tyle razy skutkowały, zawiodło kompletnie. Następca tronu bowiem, wysłany kilkakrotnie do ojca, tylko go rozdrażniał, przemawiając za kanclerzem, i skrzepiał jego upór oraz niechęć. Bismarck uciekł się wreszcie do erudycyi i do starej tradycyi domu Hohenzollernów, ale i to nie na wiele pomogło. Doczekał się tylko tego, że król Wilhelm nie uwierzył odrazu jego wywodom i na uboczu sprawdzał wiarogodność jego dowodzenia. Bismarck bowiem wykazywał, że wszyscy monarchowie używają przy-

miotnikowo swego tytułu, a nie rzeczowników w drugim przypadku. Mamy tytuł cesarza francuskiego, austryackiego, wszechrosyjskiego, na co król pruski odrzekł, że to nie może być, gdyż jako szef pułku, odbiera z Rosyi papiery z intytulacyą „pruskomu“; nadaremnie Bismarck objaśniał, że jest to tylko dativus tego samego przymiotnika, król jego znajomości rosyjskiego języka nie dawał wiary, a później, gdy go przekonano, że nie miał racyi, nie zmienił w niczem swego zdania. Daremnie Bismarck odszukał stare fryderycyańskie talary, na których widniał napis „rex Borussorum“. Pomimo, że Fryderyk II pozostał dla króla Wilhelma ubóstwianym ideałem wodza i monarchy, talarom jego nie chce przypisać Wilhelm żadnego historycznego znaczenia, może w przypuszczeniu, że jego gardzący niemoralnością Machiavella przodek rozszerzył kunszt fałszowania monety i napisów. Jednem słowem dzień proklamacyi cesarstwa niemieckiego się zbliżał, a upór króla Wilhelma trwał nieprzełamany niczem. Wówczas Bismarck starał się uprosić w. księcia Badeńskiego, który miał pierwszy przemowę do króla Wilhelma, jako do cesarza, aby go przekonał o konieczności ustępstwa. Zdaje się, że i tym razem perswazye spełzły na niczem, ale za to w. książę Badeński użył zręcznego wykrętu, za który gniew proklamowanego cesarza spadł na Bismarcka, jako na przypuszczalnego wynalazcę. W przemówieniu bowiem w. książę Badeński opuścił oba sporne tytuły, wymawiając jedynie tytuł cesarza Wilhelma, czem tak rozgniewał monarchę, że ten ostentacyjnie nie podał ręki Bismarckowi, i trzeba było dłuższego czasu, aby się rzeczy ułożyły do dawnego trybu.

Osobny i bardzo ciekawy rozdział poświęcił Bismarck rozpamiętywaniom o przebiegu walki kulturalnej w Prusach czyli starcia się kościoła z państwem pruskiem, które nie przebierało w środkach i w mściwości swej okazało się nieubłaganem. Jeszcze w Wersalu bawiąc, Bismarck ulegał złudzeniu, że władza papieska pomoże mu do uspokojenia drażliwości francuskiej, a tem samem do zawarcia pokoju. Dwaj dygnitarze kościelni, Ledóchowski i Bonnechose, czynili nawet zabiegi w tym celu, ale ostatecznie pokazało się, że władzy papieskiej brak należytej siły lub dobrej wiary, i Bismarck rozczarowany, lub może nawet rozgoryczony został owemi

niedoszłemi usługami prałatów katolickich. W walce kulturalnej podnieconym był Bismarck od samego początku jej znamieniem polskiem. Do tego kanclerz niemiecki przyznaje się najotwarciej, głosząc się wyłącznym wrogiem polonizmu, a nie katolicyzmu. Już w r. 1865 proponował Kettelerowi objęcie arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego, ale rzecz cała zahaczyła się w Rzymie o to, że Ketteler nie umiał po polsku w każdym razie dążenia jego i cele były już wtedy jasno wytkniętymi i zdeterminowanymi. Przedewszystkiem Bismarck nie mógł wybaczyć Fryderykowi Wilhelmowi IV, że w systemie Flottwell-Grolmanowskim zrobił szczerbę, urządzając oddział katolicki w ministeryum wyznań. Od tego czasu, jak Bismarck zapewnia, wzmógł się pierwiastek polski kosztem niemieckiego nietylko w Poznańskiem, Prusach zachodnich, ale i na Górnym Śląsku, gdzie wśród wasserpolaków zaczął się budzić duch nowy, jakby zmartwychpowstały. Szafranek, ich poseł w sejmie pruskim, ośmielił się nawet na posiedzeniu przytoczyć polskie przysłowie, zapowiadające, że nigdy Niemiec Polakowi nie będzie bratem, a gdy wrocławski książę biskup zabronił mu „zasiadać na lewicy“, ten silnie zbudowany ksiądz stał po dziesięć godzin przed ławami lewicy i wygłaszał swe namiętne mowy przeciwko Niemcom.

Wobec takiego położenia rzeczy zniesienie oddziału katolickiego w ministeryum wyznań było celem najpożądańszym dla Bismarcka. Pragnął on zniesienia tej instytucyi i z tego względu, że na jej czele stał Krätzig, jak się wyraża, niewolnik, czyli sługa domu Radziwiłłów, z których Wilhelma i Antoniego, jeszcze, jako pruskich oficerów, znosił, ale do Bogusława żywił wstręt zupełny. Otóż w oddziale katolickim panował niepodzielnie wpływ Radziwiłłów, czyli polonizmu i władza królowej Augusty, co było wystarczającem, aby ściągnąć na siebie nienawiść Bismarcka. Przyznaje się też on otwarcie, że długo i wytrwale pracował nad przekonaniem monarchy, zanim go źle usposobił dla katolickiego oddziału. Bismarck dowodził, że nawet nuncyusz papieski w Berlinie byłby dla Prus mniej szkodliwy od katolickiego oddziału i nareszcie przełamał wpływ królowej i Radziwiłłów, co uważa za tryumf nielada.

Za duchowego ojca praw majowych Bismarck uchodzić nie

pragnie, dowodząc, że Falkowi, jako juryście, pozostawiał samodzielność, nie będąc w stanie kontrolować wszystkich szczegółów. Jednakże przeciwko intrygom kamaryli dworskiej, do której należała cesarzowa Augusta, bronił i podtrzymywał kanclerz Falka, nie uczuwając żadnych skrupułów sumienia z powodu rozkładowych środków, jakich względem kościoła katolickiego używał minister wyznań, który, poprostu mówiąc, był jego kreaturą. Wogóle Bismarck zadowolonym jest z wyników walki kulturalnej. Twierdzi on, że z konstytucyi usunął niewygodne dla państwa paragrafy, że usunął nienawistną sobie sekcyę katolicką i zaopatrzył rząd w środki, które mogły zdusić w zarodku wszelkie dążenia separatystyczne kleru katolickiego. Jedność władzy państwowej była więc zabezpieczoną na długie lata w Prusach, pokuszenia kleru o wywieranie wpływu na władzę państwową zniweczone zostały do gruntu. Był to więc rezultat, zdaniem Bismarcka, godny trosk i zabiegów, a że dla osiągnięcia jego zburzono spokój katolickich sumień, że je pozbawiono przez czas dłuższy wszelkich religijnych pociech, nawet przy łożu śmierci, to drobnostka, na którą się w wielkiej publicznej akcyi nie zwraca uwagi.

Zato chełpi się Bismarck, że zabezpieczywszy szkołę i państwo pruskie od wpływów katolickich, on pierwszy dał impuls do pojednania się z kościołem katolickim i do porzucenia całego podchwytliwego Falkowskiego aparatu. Jemu przewodniczyły zawsze zbyt wielkie polityczne cele, aby miał przywiązywać wagę do tak pospolitych środków, jakimi Falk dysponował, i daje wyraźnie do zrozumienia, że postępował zawsze, jako mąż stanu wysokiej miary, który tolerować musi do czasu pułapki, wykręty kauzyperdów. Zawarty z kościołem pokój nie wyklucza możliwych w przyszłości zatargów w Niemczech. Bismarck nawet jest zdania, że kurya rzymska ma dużo po temu zapalnego materyału w prowincyach polskich, w jej żądnej władzy szlachcie i klerze, który za pośrednictwem zabobonów kieruje tłumami. Względy powyższe trzeba jednak przyjąć, jako nieuniknione, i zgodzić się na to, że z kuryą rzymską zarówno, jak i z Francyą, nie będzie można zawrzeć wiecznego pokoju.

Jako prawdziwy uczeń fryderycyańskiej szkoły, znający hasło mistrza: „in meinem Reiche kann jeder nach seiner Façon selig

werden", zapewnia Bismarck kilkakrotnie, że jest na wskróś tolerancyjnym i że nie żywi względem innych wyznań uprzedzenia, a tem bardziej niechęci. Gniew a nawet nienawiść budzi w nim jedynie kler katolicki przez swą pożądliwość doczesnej władzy i przez utrzymywanie zabobonów wśród tłumów, aby nimi dowolnie kierować. Pomimo zapewnień, że wstrętnym był jedynie kanclerzowi polonizm w katolicyzmie, znajdują się w pamiętnikach Bismarcka ustępy, które tym zapewnieniom odejmują wszelką wiarogodność. Tak np. Bismarck opowiada, że spotykał w Niemczech chłopów, którzy wierzyli w to święcie, że od stojącego przy łożu śmierci kapłana zależy posłanie duszy umierającego do piekła lub nieba, a więc że bezpieczniej jest żyć z nim politycznie czyli dać mu się za nos wodzić przez całe życie. Z polskim chłopem dzieje się to samo, a może nawet gorzej. Skłonnym on jest do uwierzenia kapłanowi nietylko w to, co uwierzył chłop niemiecki, ale prócz tego skłonnym się czuje do utożsamiania luteranizmu z niemczyzną, a katolicyzmu z polskością. Z ustępu powyższego przekonywamy się, że polonizm poduszczał w Bismarcku jeszcze większy gniew, niż katolicyzm, ale w każdym razie tolerancyjny jego nastrój i chrześcijańska wyrozumiałość oraz pobłażliwość ulegają pewnym wątpliwościom.

Są nawet ustępy w pamiętnikach księcia Bismarcka, które dowodzą, że ów tolerancyjny mąż stanu, kierujący się niby wyłącznie polityką, nie był w gruncie rzeczy wolny od zaciekłości heretycko-sekciarskiej. Opowiadając swą rozmowę z Kettelerem, Bismarck zaznacza swą niewiarę, gdy na zapytanie dygnitarza kościelnego, czy, Bismarcka zdaniem, katolicy będą mogli być zbawionymi? bez długiego namysłu kanclerz rzekł, iż podług jego przekonania katolicy, laicy i świeccy, bez żadnego wątpienia mogą być zbawieni, ale co do kleru ma pewne skrupuły, popełnia on bowiem grzech przeciwko Duchowi świętemu i brzmienie Pisma św. jest przeciwko niemu. Na tego rodzaju zarzut, odpowiedział Ketteler ironicznem milczeniem, do którego dołączył ceremonialny ukłon, jakby na stwierdzenie tego, iż zdaje sobie sprawę, że wielki mąż do niego przemawia. Że w podrażnieniu, w jakie go wprawiał kler katolicki, mógł Bismarck coś podobnego powiedzieć katolickiemu biskupowi, to jest jeszcze zrozu-

miałem, jako dowód, że nigdy wyrozumiałość wielkich nie sięga tak daleko, aby słabszym nie dała uczuć swego lekceważenia lub pogardy. Że jednak Bismarck uważał za stosowne przekazać powyższą rozmowę potomności, jako coś oryginalnego lub ważnego, to słusznie zadziwić i zastanowić każdego powinno.

W roku 1871 otrzymał Bismarck tytuł księcia z przydomkiem „Durchlaucht“ i z tego powodu zamieścił kilka ciekawych spostrzeżeń w swym pamiętniku. Wogóle opinia społeczna w Prusach nie sprzyjała zbytecznie takim nadzwyczajnym wynagradzaniom politycznych zasług. Nie raziło to nikogo, gdy wiejski junkier dochrapał się tytułu ekscelencyi, a nawet gdy wysłużył sobie tłustą dotacyę; Jaśnie Oświeconość jednak raziła sztuczną demokratyczną równość, wymaganą przez opinię publiczną, wzbudzając prócz tego zawiść i zazdrość. Nadanie tytułu księcia w Prusach nie pozostawiło przytem zbyt szczęśliwych wspomnień. Hardenberga i Blüchera, potomkowie nie mogli z powodu ubóstwa używać tego tytułu, a dopiero w 1861 roku skutkiem bogatego ożenku z katoliczką rodzina Blüchera przystroiła się nanowo w swą książęcą godność. Bismarck podzielał zupełnie przekonanie opinii publicznej, sądząc, że tytuł księcia nie przystoi chudopachołkowi, za którym nie przemawia wielka fortuna. Przemyśliwał też o tem, przynajmniej tak nas zapewnia, jak zręcznie wymówić się monarsze od tej odznaki, nie urażając w niczem jego łaskawości i dobrych chęci. Przyjęcie serdeczne, jakiego doznał w pałacu cesarskim od całej monarszej rodziny, rozbiło na marne wszelkie jego zamiary i chęci. Stary bowiem Wilhelm wziął Bismarcka w objęcia i, ze łzą w oku dziękując mu za usługi, zwał go „Durchlaucht“; po nim naturalnie rozrzewniła się i dziękowała cała rodzina, jednem słowem wytworzył się nastrój, tak uroczysty i rozczulający, że w nim stopniała prostota pomorskiego junkra, i odlany został dla potomności pomnik żelaznego księcia, zachowujący jednak nieco mieszczańskiej, a więcej junkrowskiej patyny.

W osobnych rozdziałach skarży się Bismarck na podstępność i nielojalność Arnima oraz innych, którzy nieustannie i z dużą dozą bezczelności podkopywali jego znaczenie u monarchy. Upewnia jednak, że nie kierowała nim bynajmniej mściwość w postępowaniu

przeciwko Arnimowi, czuł się on raczej obrażonym, jako lekceważony zwierzchnik i pragnął dać uczuć Arnimowi, że do bagatelizowanych stworzeń zaliczać go jest cokolwiek niebezpiecznie. W 1875 roku posądzano Bismarcka o to, że knuł w cichości nowy najazd na Francyę, rozpuszczając wieść, że jedynie zabiegom ks. Gorczakowa udało się młodej rzeczypospolitej uratować spokój. Bismarck zaprzecza tej legendzie, najkompletniej dowodząc, że wytworzyła ją intryga, uknuta przeciwko niemu, której zupełnie nie wierzył cesarz Aleksander II. Ks. Gorczakow pragnął protegować Francyę i zasłonić ją przed fikcyjnemi niebezpieczeństwami. Cesarz Aleksander przeniknął jednak na wskróś dyplomatyczny manewr swego kanclerza i skłonił Bismarcka do wyrozumiałości dla jego starczej próżności (vanité sénile). Polityczne położenie w owej dobie nie pozwalało zupełnie myśleć na trzeźwo o najeździe na Francyę. Nietylko nowe cesarstwo niemieckie nie odniosłoby z najświetniejszych wawrzynów żadnych korzyści, ale w dodatku owe 300.000 francuskiego żołnierza, którzy powrócili do kraju z niemieckiej niewoli, czyniło chwilę najazdu jeszcze niebezpieczniejszą, niż kiedykolwiek indziej.

Kongres w Berlinie opisuje Bismarck zajmująco, tłómacząc się z zarzutu, który mu uczyniono, że tylko idealne usługi gotów był Rosyi oddawać. Broni swej reputacyi uczciwego meklera i twierdzi, że jedynie ks. Gorczakow był z jego usług niezadowolonym, oskarżając jego lojalność przed cesarzem Aleksandrem II. Hrabia Szuwałow jednak odmiennego był przekonania, i zdaje się, że monarcha wszech Rosyi nie dawał wiary podejrzeniom swego kanclerza. Przymierze z Austryą, które się później zamieniło w trójprzymierze, opisał Bismarck znakomicie, składając dowód trzeźwości poglądów i przenikliwości w obrachowaniu odległych konsekwencyi politycznych. Nie tak łatwo przyszło Bismarckowi wybrać przymierze z Austryą na wypadek wojny z Rosyą; wiele względów przemawiało za przymierzem z Rosyą, które mu się chwilami więcej uśmiechało. Zdecydował się jednak, wiedziony uczuciami germańskiemi, na Austryę, ale to nie przeszkadza mu żywić się na Węgrów i Polaków, za ich pogardliwe usposobienie dla szwabów i za ich sympatye francuskie. Pociechą i gwarancyą w tem przymierzu

jest dla Bismarcka charakter pewny i w twardej szkole doświadczenia wyrobiony cesarza Franciszka Józefa. Ale nie może tego zataić i skrywać przed sobą, że ta gwarancya, która go uspokaja, jest przemijającą. Gdy raz zabraknie Franciszka Józefa, sytuacya polityczna się zmieni, i polityka niemiecka znajdzie się na rozdrożu.

Znakomitym jest rozdział pamiętników Bismarcka, traktujący o radzie stanu (Staatsrath). Instytucyę ową miały Prusy w roku 1817, która była przeznaczoną wyłącznie do zasilania absolutnego króla radami. W r. 1852 rozszerzono zakres działania rady stanu. Opracowywała ona nietylko królewskie postanowienia, ale i vota ministeryalne. Przygotowywanie projektów do praw przez ministeryum państwowe okazało się dość wcześnie niemożliwem z powodu przeciążenia pracą, jakiemu ulegali wszyscy ministrowie wydziałowi. Przytem po większej części minister, będąc produktem biurokracyi, nie jest w stanie należycie ocenić praktycznego wpływu projektowanego prawa na życie społeczne. Znajdują się wprawdzie ministrowie, którzy na dany projekt zapatrują się ze stanowiska ogólnej polityki, i którzy głębiej wnikają w stosunki społeczne, ale tych jest niewielu, i stanowią oni najwyżej 5% ogólnej cyfry.

Prace rady stanu, które objaśniały absolutnego króla przed 1848 rokiem, ocenia Bismarck przychylniej, aniżeli te, które po roku 1852 miały miejsce. Ostrzega jednak, że mylnem jest przekonanie, jakoby w systemie konstytucyjnym reprezentacya narodowa zaradzała złemu i poprawiała należycie wadliwe projekta ministrów. Jako przenikliwy i doświadczony obserwator, Bismarck zbadał naturę stronnictw i frakcyj parlamentarnych, na które się każda reprezentacya rozpada i odtworzył ich politykę, jaką względem projektów prawodawczych zachowują. Większość posłów pogrążoną zwykle bywa w błogiej nieświadomości dobrego i złego, oczekując hasła swoich przywódców, a przywódcy mają przedewszystkiem wzrok, zwrócony na stronnicze pożytki; techniczne obrobienie lub celowość projektu na podrzędnym stawiając planie. Zwołane w 1884 roku pod prezydencyą następcy tronu posiedzenia rady stanu wywołały, zdaniem Bismarcka, korzystne wrażenie. Książę Fryderyk przysłu-

chiwał się uważnie referatom i nie wpływał na samodzielność przewodniczących, a udział uczonych nadawał obradom rzeczywistą doniosłość. W każdym razie zaznaczyć należy, że Bismarck odczuł i przeniknął wybornie ducha administracyi pruskiej, obawiając się urzędniczej biurokracyi, nie rozumiejącej potrzeb społecznych i zasklepiającej się w odrębności klasowej, w dodatku pragnął odświeżania i zasilania organów administracyjnych pierwiastkiem obywatelskim, pozostającym w nieustającej łączności z życiem społecznem. Krytykę prasy i parlamentu, na którą zwykle był wrażliwy, tym razem uważał za pożyteczną i niezbędną, stanowczo też potępiał wszechmocność ministeryalną, unikającą krytyki, i żądał administracyi światłej, działającej na podstawie prawa — takiej, jakiej wymagało państwo praworządne teoretyków niemieckich, t. j. tak zwany „Rechtsstaat“.

W końcowych rozdziałach pamiętników Bismarcka znajduje się ciekawa charakterystyka starego Wilhelma, dla którego kanclerz żywił stale prawie synowski sentyment. W stworzeniu portretu historycznego króla Wilhelma uprzedził Bismarcka Sybel, którego historyi nowożytnych Niemiec [1]) poświęcałem przed laty uwagę w „Niwie“. U Sybla jednak wszyscy wybitniejsi mężowie stanu czy wojny ze swym monarchą na czele, otoczeni byli aureolą olimpijskiej chwały, która z nich czyniła orszak nadludzki (Uebermensch), mężów uposażonych w cnoty i charaktery, nie spotykane zazwyczaj u śmiertelników innych narodowości. Bismarck jednak nie zniżył się nigdy do tonu urzędowego chwalcy-historyka. Przyznaje się do tego, że kochał Wilhelma I, jak swego ojca, i że miał dużo powodów być mu wdzięcznym, ale owego długu wdzięczności nie czuje się w obowiązku spłacać wytwarzaniem mu jakiegoś kunsztownego posągu, któryby zacierał ludzkie pochodzenie i słabostki ukochanego monarchy. Bismarck odtworzył nam Wilhelma I takim, jakim był w życiu politycznem i wojskowem. Ocenił należycie trzeźwość i rozwagę w sądzie, siłę woli, pewność i nieugiętość charakteru, oraz nieustraszoność, t. j. odwagę zarówno bojową, jak i cywilną. Cesarz Wilhelm I, zdaniem Bismarcka, był w całem tego słowa zna-

[1]) „Die Begründung des deutschen Reiches“ i t. d.

czeniu gentelmanem, ożywiało go nawskróś poczucie honoru i obowiązku, a ideą rycerską, która mu świeciła nieustannie, było „noblesse oblige“.

Najniewdzięczniejszą pracą dla Bismarcka było redagowanie wszelkich mów tronowych, do których trzeba było używać czczej frazeologii konstytucyjnej, wyczerpanej już przez Leopolda Belgijskiego i Ludwika Filipa Orleańskiego. Niekiedy cesarz Wilhelm I podejmował zadanie, ciążące zwykle na Bismarcku, i mimo niepoprawności języka wywiązywał się lepiej od samego kanclerza. W miejsce bowiem pustych frazesów, zużytych w innych krajach, potrafił monarcha, jak świadczy Bismarck, zamieścić zawsze coś pociągającego szczerością i prostotą, coś porywającego ciepłem wewnętrznem i rzetelnem przywiązaniem do dobra publicznego. Bismarck nie tai bynajmniej, że około roku 1875 umysł monarchy zaczął leniwieć i że pojętność jego w sprawach zewnętrznych i wewnętrznych zaczęła słabnąć. Zamach Nobilinga wstrząsnął jednak organizmem królewskim korzystnie; Wilhelm sam uczuł polepszenie i rzekł żartobliwie do Bismarcka: Nobiling był dla mnie najlepszym lekarzem i przepisał mi najkorzystniejszą kuracyę, albowiem potrzebowałem przedewszystkiem tęgiego upustu krwi. Wspomnienia Bismarcka przedstawiły nam postać Wilhelma w pięknem i sympatycznem świetle. Tem bardziej portretów zastanawiać będzie historyków, że genialny mistrz nie nadużył w kolorycie barw jaskrawo chwalących, noszących znamię służalcze.

Kończąc sprawozdanie, pragnąłbym jeszcze kilkoma uwagami podzielić się z czytelnikiem. Obawiam się jednak, ażeby luźnych spostrzeżeń nie wzięto za chęć popisania się z krytycznem studyum nad polityczną działalnością Bismarcka. Chęć podobną uważałbym za nieuzasadnioną pretensyonalność, gdyż stan źródeł, pozwalających zbadać polityczny żywot żelaznego księcia, jest niedostateczny, i potrzeba jeszcze dłuższego czasu, aby spuściznę po tak wielkim dyplomacie odszukać, zebrać i uporządkować. Najlepszym dowodem, że procedury historycznej przyspieszyć nie można, jest Cavour, o którego politycznem życiu dopiero teraz zaczynają traktować coraz

to poważniejsze, chociaż nie zupełnie wyczerpujące prace [1]). Pamiętniki Bismarcka, a nie sam żelazny książę obchodzą mnie wyłącznie, pragnę też jedynie zastanowić się nad tem, o ile wiarogodnem i ważnem źródłem historycznem staną się dla przyszłych badaczy jego pamiętniki. Trudnem niekiedy jest zoryentowanie się, czy pamiętniki były pisane dla objaśnienia czy dla zamaskowania faktów, t. j. czy piszący miał odwagę szczerości i prawdy, czy też używał rabulistycznych wykrętów i paradoksalnego rozumowania, aby wywieść w pole trybunał historyi.

Jeżeli Cycero twórców czyli założycieli państwa zaliczył w poczet bogów, to niewątpliwie, zjednoczenie swego narodu w mniej lub więcej potężne państwo należy do zasług najpodnioślejszych, o jakich śmiertelnik zamarzyć może. Jakkolwiek też wieniec zasług Bismarcka może być obfitym i bogatym, zawsze kwiat zjednoczenia Niemiec zaćmiewa wszystkie inne swoją pięknością, i w imię tego wspaniałego dzieła rodzinne społeczeństwo zapomniało wiele poniesionych krzywd, stawiając mu pomniki za życia. Współzawodnikiem zawodowym Bismarcka był jeden tylko Cavour, któremu zjednoczenie zawdzięczają Włochy. Obydwaj dla osiągnięcia wielkiego celu nie wahali się poświęcić krwi swego narodu i przelać jej obficie na licznych pobojowiskach. Cavour jednak, którego pamięć przyozdobiła historya przydomkiem szlachetnego, na usprawiedliwienie swe mógł przytoczyć nieuniknioną konieczność historyczną. W ojczyźnie jego gospodarował wróg i rządził przy pomocy brutalnych wojsk, oraz nikczemnej biurokracyi, nie wahając się szczepić wszędzie rozkładu i waśni w imię józefińskiego hasła „divide et impera“. Cavour po Machiavellim wziął w spadku wielkie hasło, które spoczywało w głębi serca każdego Włocha, i ciskał je wielokrotnie w parlamencie lub licznych zgromadzeniach trwożliwym rzeszom

[2]) Już w roku 1869 wydrukował Treitschke piękne studyum o Cavourze, które nosi przeważnie charakter publicystyczny i pragnęło dowieść wyższości Bismarcka nad Cavourem, i zjednoczenia niemieckiego nad włoskiem. („Historische und Politische Aufsätze. Tom 2-gi“). W roku 1875 ukazała się praca Massariego o Cavourze, tłómaczona na niemiecki, a w roku 1884 sumienne studyum L. Chiali o Cavourze, które jest jednak dalekiem od wyczerpania przedmiotu.

w namiętnych słowach: fuori i barbari [1]); że Włochy od wieków znosić musiały gospodarkę rabunkową tak zwanych barbarzyńców i żyć w podziałowej rozterce, to nie przesądzało bynajmniej o przyszłości. Cavour miał z przodków dość germańskiej krwi w swoich żyłach, instynktownie też odczuwał doniosłość starego germańskiego przysłowia, które twierdzi: Hundert tausend Jahre Unrecht ist keine Stunde Recht i w dążeniach swych do oswobodzenia i zjednoczenia Włoch znajdował gorące uznanie i poparcie swego narodu.

Nietylko naród włoski rozumiał konieczność historyczną, służącą za podstawę polityki Cavoura, ale i obce rządy oraz społeczeństwa doszły wkrótce do tego samego przekonania. Uprawnienie Włochów do powyższych dążeń oraz nieunikniona konieczność odwołania się do oręża były tak zrozumiałemi i wyraźnemi, że nawet historycy rosyjscy przebaczyli prawdopodobnie Cavourowi wysłanie wojsk włoskich do Krymu, w tem przekonaniu, że mąż stanu włoski pragnął żołnierzem narodowym dla swego państwa zjednać pomoc Francyi i miejsce w koncercie europejskim.

W odmiennem położeniu znajdował się Bismarck i na usprawiedliwienie swej pławiącej się w krwi polityki nie mógł wyszukać prawdziwych barbarzyńców. Naród niemiecki, zjednoczony duchowo, dzieliły tylko państwa niemieckie, które posługiwały się żołnierzem i urzędnikiem własnym. Nieustannemu zbliżaniu się i brataniu tych politycznie rozdzielonych społeczeństw nie stało nic na przeszkodzie, i pokojowe dzieło zjednoczenia niemieckiego zdawało się płynąć z natury germańskich stosunków. Bismarck nie opierał się tak, jak Cavour, na niewzruszonej podstawie konieczności historycznej, postulatem jego była kwestya potęgi (Machtfrage), to jest stworzenie z wielu państw niezależnych niemieckich jednego wielkiego mocarstwa, któreby zdołało zatrzeć w historyi ślady upokorzeń, jakich doznawało monstrualne imperyum rzymskie narodowości niemieckiej lub związek reński pod protektoratem Napoleona. Bardzo naturalnie, że i Bismarckowi przewodniczyły w polityce ważne motywy, których nie skrywał bynajmniej. Liczne państwa i państewka niemie-

[1]) Chiala: „Camillo Cavours, gedrukte und ungedruckte Briefe“ (tłóm. Bernardi). T. I, str. IX.

ckie otwierały na rozcież wrota wpływom obcych państw i czyniły z nich igraszkę dla swych interesów. Potężne mocarstwo kładło temu upokarzającemu postępowaniu raz na zawsze kres, i dlatego Bismarck go pożądał, a ponieważ pokojowe osiągnięcie celu wymagało dłuższego czasu i cierpliwości, idąc kunsztem dyplomatycznym, krwią i ogniem przyspieszył historyczną procedurę, stwarzając z wielu niemieckich państw jedno mocarstwo.

Naród myślicieli, za jakich się Niemcy chętnie uważają, nie mógł ani jednomyślnie, ani gorąco przyjąć polityki Bismarcka tak, jak nie mógł kwestyi potęgi, rozniecającej walkę wewnętrzną niemiecką, utożsamiać z koniecznością historyczną. Trudno było także ukryć i zataić, że między ideałem zjednoczonych Niemiec a potężnem mocarstwem Bismarcka zakradło się jakieś nieporozumienie, jakaś dziwna sprzeczność. Do politycznego ustroju Niemiec kanclerz wtłoczył przemocą zbłąkanych i obłąkanych francuskim duchem, braci z Alzacyi i Lotaryngii, ale wyrzucił z niego austryackich Niemców i monarchów, choć ci tworzyli przez tyle wieków integralną część dawnego świetnego rzymskiego imperyum i dali im dynastyę Habsburgów za cesarzy. Mocarstwo Bismarcka kaleczyło więc boleśnie ideały narodowego zjednoczenia Niemiec i nadawało im charakter rozszerzonych Prus, którym ma się niewolniczo wysługiwać reszta germańskiej drużyny.

Przyznać należy, że pamiętniki Bismarcka odtwarzają wiernie jego poglądy na zjednoczenie Niemiec. Od początku do końca idzie mu głównie o powiększenie Prus, o wyrzucenie z Niemiec Austryi. Dla Prus mają być zdobytemi księstwa Szlezwicko-holsztyńskie, dla wygody Prus przykrojoną została konstytucya Niemiec. Wola Prus ma być decydującą w radzie związkowej. Jednem słowem, w epoce odrodzenia swego politycznego Niemcy mają być sprusaczonymi poddanymi cesarstwa Hohenzollernów. Potęga zjednoczonych Niemiec jest dostatecznym powodem do wytężenia wszystkich sił narodowych i do złożenia w obywatelskiem poświęceniu morza krwi niemieckiej. W imię osiągnięcia tej potęgi uświęcone są przez Bismarka wszystkie środki. Mąż stanu, który nienawidził z serca jezuitów, zżył się kardynalnie z zasadą, przypisywaną powyższemu zakonowi. Gdy chodzi o wybór środków, nie zna Bismarck żadnych

skrupułów sumienia, żadnej etyki chrześcijańskiej. Jedyny cel przewodniczy jego polityce międzynarodowej, to jest zmiażdżenie przeciwnika, jedynem jego hasłem jest osławione „Stoss ins Herz“. Opowiada zaś Bismarck o niezbędności użycia takich środków, jak prowokowanie rewolucyi w Węgrzech i Czechach, bombardowanie lub ogłodzenie Paryża, z takim spokojem i naturalnością, że czytelnik otrzymuje wrażenie, że słucha opowiadań kata, który wieszanie, ucinanie głów i tym podobne drobnostki uważa za rzeczy niewinne i bardzo zwyczajne. Wprawdzie i Bismarck jest czasami wyrozumiałym, a nawet ludzkim. Gdy cel jego dążeń politycznych osiągniętym został, nie uważa za stosowne ponad potrzebę krzywdzić, kaleczyć i upokarzać przeciwnika. Bismarck chlubi się, że zapobiegł niepotrzebnemu podziałowi Austryi, że przyspieszył zawarcie pokoju z Francyą i nie ominął żadnej sposobności, aby okiełznać szowinizm wojskowy. Może być, że w wielu razach praktyczny zmysł męża stanu, rachujący się nawet z przypuszczalnemi niebezpieczeństwami [1]), odniósł u Bismarcka zwycięstwo nad mściwością i okrucieństwem, ale jakoś dziwnie wygląda jego ludzkość w pamiętnikach, gdy opowiada, że przekładał bombardowanie Paryża nad ogłodzenie, co wygląda na austryackie ułaskawienie „vom Strange zu Pulver und Blei“, a w końcu tragedyi zgodził się z lekkiem sercem i na bombardowanie i na ogłodzenie, bo ono jedynie doprowadzić mogło do pożądanego pokoju.

Polityce zagranicznej Bismarcka przewodniczyła zasada „pro foedera, pro iustitia stat ensis“, która była posiewem nieprzejednanych sąsiadów na kresach i wypływała z ducha Fryderyka II. W polityce wewnętrznej natomiast, Bismarck wyniósł się ponad fryderycyańskie ideały. Krótko, jasno i z nieprzepartą logiką wykazał on niemożliwość absolutnych rządów i niewykonalność mrzonki, uważającej monarchę za pierwszego sługę państwa. Żywioł konstytucyjny wszakże, samorząd, ogarniający wszystkie sfery życia publicznego, uważa on nie za zbyt wielkie szczęście ludzkości. Przyjmuje raczej ów czynnik ożywczy, jako najważniejsze zło, i to w do-

---

[1]) Klaczko: „Deux chancelliers“ (str. 260 i dalsze) przekonywa, że niebezpieczeństwa te mogły łatwo się urzeczywistnić.

datku zło konieczne, a godząc się na ową codzienną pracę w pocie czoła całego narodu, robi skrzywioną minę, jak chory po połknięciu gorzkiej mikstury. Zato Bismarck przejrzał nawskróś wszystkie niedokładności, wady i sprzeczności, spoczywające na dnie każdego życia konstytucyjnego. Wykazując nicość i obłudę frazeologii liberalnej, zgłębił do gruntu istotę i charakter parlamentów, stronnictw i frakcyi, samorządu lokalnego, prasy i czy to w kwestyach konstytucyjnych, czy administracyjnych wypowiedział tyle rozumnych i mądrych uwag, że wystarczą one na długie lata na pokarm dla teoryi uczonych niemieckich.

Bismarck, oddany kultowi potęgi mocarstw z tego świata, to jest kultowi żywiołu ziemskiego, czuł nieprzezwyciężony wstręt do najważniejszych czynników duchowych, do katolickiego kościoła i do narodowości. Od polityki odpędza on zarówno luteranów, jak i katolików, albowiem długie suknie nie są w stanie nic dobrego i pożytecznego zdziałać w politycznem życiu, czy są noszone przez księży, czy przez niewiasty. Do katolickiego kościoła jednak ma pretensyę wielką za to, że twarda opoka Piotrowa nie da się urobić na wygodny środek do cezaro-papistycznego systemu i że cała jego wszechmocność i podstępność nie wystarcza na to, aby z Hohenzollerna zrobić w kościele katolickim najwyższego biskupa, któryby tak, jak luteranom, dawał swe wskazówki i kierownictwo. Z pamiętnika Buscha o Bismarcku [1]) dowiedzieliśmy się, że kanclerz nietylko sam mówił po polsku i admirował przywiązanie Polaków do mowy ojczystej, ale że nawet namawiał następcę tronu, ażeby się nauczył po polsku. W pamiętnikach Bismarcka nie znajdujemy słowa wzmianki o tem niespodziewanem uznaniu, natomiast występuje często dowodzenie, nieubłagane i zimne, jak cięcie katowskiego toporu, utrzymujące, że polskość jest dla Prus groźbą rozkładu i zagłady. W tym ostatnim wypadku Bismarck był pojętnym uczniem fryderycyańskiej szkoły i zapamiętał sobie dobrze słowa mistrza: „Nous communierons du même corps eucharistique qui est la Pologne [2]).

Dla przeciwników w międzynarodowem czy wewnętrznem życiu

---

[1]) Les mémoires de Bismarck.

[2]) Janssen: „Zur Genesis der ersten Theilung Polens".

państwowem Bismark trzymał się jednej i tej samej zasady: „Stoss ins Herz“. Wprawdzie odpowiedzialność za prawa Majowe radby zrzucić na Falka, ale Majunke potrafił coś opowiedzieć o owym jadzie trującym, który Bismarck pragnął zaszczepić w katolickim kościele [1]). Starokatolicyzm, proboszcze rządowi i tym podobne rzeczy gnieździły się w przepełnionej nienawiścią duszy Bismarcka, którą dyszą i Pamiętniki. Kościół katolicki doznał dopiero wtedy pewnej pobłażliwości od Bismarcka, gdy cele polityczne t. j. właściwe ustępstwa, pozyskanymi zostały. Jedynie niemożliwych zdobyczy potrafił się kanclerz wyrzec, ale i to, jak się zdaje, do czasu, pokładając nadzieję w pomyślnej przyszłości.

Dla nas nie poprzestał Bismarck na ogólnem haśle „Stoss ins Herz“, ale odszukał specyalny aparat praw wyjątkowych i dał życie systemowi rządowemu, dążącemu jednocześnie do „Germanisiren und Ausrotten“. Przemilczał on o tem zupełnie i w Pamiętnikach swych nie żąda brevet d'invention na owe wynalazki. Ale nie w tym jednym wypadku zawiodła kanclerza pamięć. Zapomniał on bowiem, że w 1866 r. groził rządowi rosyjskiemu wywołaniem powstania w Królestwie Polskiem, jeżeli tenże nie zgodzi się na jego samowolną gospodarkę w północnych Niemczech [2]). Był nawet czas, że i wobec Polaków przybierał postawę domniemanego wskrzesiciela [3]) niewątpliwie po to tylko, aby, wyzyskawszy ich łatwowierność, postąpić z nimi, jak z Węgrami, których w r. 1866 wydał w ręce Austryi.

W polityce wewnętrznej, jak i zewnętrznej, bezwzględnością swą wytworzył Bismarck rozdwojenie i licznych nieprzyjaciół. Ciskając co chwila rękawicę opozycyi i drażniąc ją pogardliwemi szyderstwami, Bismarck dowiódł, że nie pojmował siły talizmanicznej, jaka spoczywała w rzymskiej zasadzie: „concordia res parvae crescunt“. Dewiza jego „viel Feind viel Ehr“, mogłaby mu zdobyć wiele barw i serc niewieścich w średniowiecznym turnieju, ale dla ludzkości pozostanie sympatyczniejszą dewiza Cavoura: „alere flammam“. Zmysłu do piękna w poezyi okazał Bismarck w pa-

[1]) „Geschichte des Kulturkampfes in Preussen-Deutschland“.
[2]) Sybel: „Die Begründung des deutschen Reichs“
[3]) Bismarck: „Zwölf Jahre deutscher Politik“ str. 352.

miętnikach mało. Podniosły patos wielkich pieśniarzy Niemiec był mu obcym nawet wtedy, gdy myślał o zjednoczonej Germanii. Zato przypominał mu się niekiedy Szekspir. Widocznie geniusz tragedyi przemawiał potężniej do jego duszy, zwłaszcza gdy w „Ryszardzie III“, jako rozbójnik-najmita głosił: „Nie bawimy się w słowa, czyn naszem rzemiosłem“. I w tym razie upodobanie Cavoura okazało się odmiennem od Bismarcka. Współbratymiec boskiego Danta zachwycał się eposem Mickiewicza i odczuwał brzemię żalu i tęsknoty, jakie tłoczyło duszę narodowego wieszcza [1]).

Może być jednak, że Bismarck miał i inne powody niechęci do poetów niemieckich. Znęcali się oni bowiem długo i uporczywie nad plejadą książąt niemieckich, nie szczędząc przytem i Hohenzollernów. Bismark, sławiąc Wilhelma I, powiada, że był królem w każdym calu (jeder Zoll ein König); zdaje się być to odpowiedzią na to, co Heine utrzymywał o jednym z Hohenzollernów, że jest czem innem w każdym calu (jeder Zoll ein Hengst). Z pamiętników Buscha o Bismarcku dowiedzieliśmy się, jaka chrześcijańska dusza tkwiła w żelaznym księciu. W jego własnych wspomnieniach nie odnajdujemy tego poczucia zupełnie. Bismarck niejednokrotnie czerpał wiedzę z greckiej krynicy Stagiryty, ale etyka polityczno-chrześcijańska, opierająca się na poczuciu sprawiedliwości, miłości bliźnich i poszanowaniu słabszych państw, pozostała mu obcą. Pamiętniki jego olśniewają nas wiedzą polityczną, przenikliwością, doświadczeniem i zdolnością, ale państwo, które ze wspomnień Bismarcka wyziera i które jest jego dziełem i ideałem, przeraża nas ilością bagnetów i siłą wojsk, straszy pożądliwością dóbr doczesnych i wzbudza dreszcz zewnętrznym ładem i służbistością niemal pokorną obywatela. Potężne mocarstwo pamiętników Bismarcka mimo form konstytucyjnych, przypomina też uporczywie „magnum latrocinium“ świętego Augustyna, z którego duch sprawiedliwości chrześcijańskiej odleciał daleko. Nie ulega wątpliwości, że geniusz narodu niemieckiego potrafi przeistoczyć w przyszłości mocarstwo Bismarcka w szlachetnem i ludzkiem zrozumieniu rzeczy, ale dzieło potężne

[1]) Artom et Albert Blanc: „Oeuvre parlamentaire du comte de Cavour“ str. 60.

żelaznego kanclerza przedstawia się, jako „latrocinium Borussicum“, które wprowadzając w czyn znaną, choć przerobioną dewizę: „Tu regere imperio populos, Borusse, memento“ [1]), zapewniało społeczeństwu dokładny i surowy „Drill“, stawało się wygodną siedzibą i obiecaną ziemią tylko dla Prusaków, i to wyłącznie Bismarckowskiego pokroju.

---

[1]) Const. Frantz: „Das neue Deutschland“ str. 288. W drugiem dziele tegoż autora p. t.: „Literarisch politische Aufsätze nebst einem Vorwort ueber die Verdienste des Fürsten Bismarck und einem Nachwort ueber die deutsche Politik“, znajduje się wyborna krytyka działalności kanclerza.

15.

W SPRAWIE NASZEGO KOŚCIOŁA [1]).

Niedawno temu parę dzienników rosyjskich z dziwną uporczywością zaofiarowało społeczeństwu naszemu dar, w postaci tak zwanego „Kościoła narodowego“. Zasady owej proponowanej nam organizacyi narodowo kościelnej obracają w niwecz ustrój Kościoła katolickiego, do którego odwiecznych i wiernych wyznawców należy znakomita większość społeczeństwa naszego. Ni mniej, ni więcej bowiem, pragną owi wnioskodawcy, aby duchowieństwo polskie zerwało ze Stolicą Apostolską, druzgocąc tym sposobem zasadniczy ustrój hierarchiczny swego Kościoła, i aby toż duchowieństwo porzuciło niewygodny i zbyteczny celibat, a w związkach małżeńskich szukało osłody i zachęty do należytego wypełniania obowiązków, nierozdzielnych z jego wzniosłem posłannictwem.

Istnieje jeden wzgląd, zniewalający nas do poświęcenia kilku uwag owym pomysłom, a względem tym jest wyraźna ze strony pism rosyjskich insynuacya, utrzymująca otwarcie, że politycy-separatyści polscy dlatego tylko odrzucają z oburzeniem wymieniony projekt, iż wiedzą doskonale, że złotym owocem, któryby kwitnący u nas Kościół narodowy prędzej czy później wydać musiał, stałoby się usunięcie narodowych drażliwości i kordyalny stosunek polsko-rosyjski. Prasa polska została tym sposobem pomówiona o niechęć dla projektów dzienników rosyjskich jedynie z motywów politycznych. Jej przywiązanie gorące i szczere do swojego Kościoła po-

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Bibliotece Warszawskiej“ w r. 1897.

dane zostało w wątpliwość, a przytem zaznaczony został rozbrat tejże prasy z rodzimem społeczeństwem, to bowiem, co ona odrzuca z oburzeniem i pogardą, społeczeństwo samo przyjmuje z zaciekawieniem i bez uprzedzeń.

Dzienniki rosyjskie zdają się nic nie wiedzieć o tem, że Kościół katolicki w Królestwie Polskiem, zarówno jak i w Cesarstwie, stoi na opoce prawnej, którą za porozumieniem się ze Stolicą Apostolską stworzyli i utrwalili cesarze Wszech Rosyi i królowie polscy Aleksander I i Aleksander III [1]).

Otóż pozwalamy sobie przypomnieć komu należy, że zanim się w roku 1818 ukazały bulle „Militantis Ecclesiae“ i „Ex imposita nobis divinitus“, organizujące zasadniczo Kościół katolicki w Królestwie Polskiem a zaopatrzone następnie w monarszy „Placet“, podpisanem zostało w r. 1817 przez cesarza Aleksandra I postanowienie królewskie o organizacyi duchowieństwa, normujące szczegółowo nadzór władz państwowych nad Kościołem katolickim. Otóż w postanowieniu powyższem, zwanem w 1864 r. w cyrkularzu Dyrektora Głównego Spraw wewnętrznych ks. Czerkawskiego), Ukazem Najwyższym, uznany został ustrój hierarchiczny kościoła katolickiego w całej pełni, zarówno jak i prawo kanoniczne, którem się Kościół rządzi. Prócz tego w postanowieniu z r. 1817, które po dziś dzień obowiązuje, znajdują się dwa artykuły (4 i 24), które objaśnić mogą rosyjskie dzienniki, dlaczego nikt nie mógł wprowadzić do katolickiego kościoła owych odradzających pierwiastków w postaci „księży-małżonków“. Przedewszystkiem bowiem prawo obowiązujące, wprowadzone w życie podpisem cesarza Aleksandra I, stawiało zaporę wszelakim reformatorskim, a raczej nowatorskim zamysłom.

Jeżeli zaś gazety rosyjskie wyobrażają sobie, że prawo z roku 1817 choć obowiązujące, przestarzało się, i że można na nie bezkarnie napadać, to pozwalamy sobie przypomnieć, że w następstwie konsystorza z 15 marca 1883 r. bulle prekonizujące biskupów w Cesarstwie i Królestwie pozyskały „Placet“, czyli zezwolenie monarsze, przekonywując każdego, że stosunki rządu Cesarskiego z Kościołem

[1]) Taki sam charakter nosi organizacya Kościoła katolickiego w Cesarstwie. Dość przypomnieć: Articles convenus entre les Plenipotentiaires de S. M. L(Empereur et S. S. Le Pape à Rome le 22 Juillet (3 Août) 1847.

katolickim nie uległy zasadniczo żadnej zmianie. Cesarz Aleksander III niejednokrotnie wyraził przekonanie, zgodne z poglądami swego przodka, a podług tego przekonania, stolica Apostolska była w rzeczach religii i Kościoła najwyższą kierowniczką swych wiernych. Ustrój też hierarchiczny, zarówno jak i przepisy kościelne miały niezaprzeczone prawo liczyć na jego, w duchu sprawiedliwości poczętą opiekę. Wreszcie nietylko, że cesarz Aleksander III życzliwemi słowy winszował Leonowi XIII jego pięćdziesięcioletniego jubileuszu biskupiego, ale zaopatrzył prócz tego w monarszy „Placet“ dwie encykliki: jedną w kwestyi socyalnej, a drugą do biskupów polskich wystosowaną, wyrażając tem zaufanie do stolicy Apostolskiej, nietylko jako do najwyższego kościelnego prawodawcy, ale i jako do nauczyciela.

Czem więc wobec tego usprawiedliwią dzienniki rosyjskie systematyczne podkopywanie prawnego porządku Kościoła katolickiego, który przez monarchów rosyjskich sankcyonowany został? Czem uzasadnią owo usiłowanie wywołania ducha krnąbrności i nieposłuszeństwa wśród duchowieństwa katolickiego? czem owo zakłócenie spokoju sumienia całemu społeczeństwu? Czem wreszcie ową dotkliwą obelgę, którą ciskają w twarz duchowieństwu katolickiemu i całemu społeczeństwu, obrażając jego Kościół ojczysty?

Prawda! Dzienniki rosyjskie na swe usprawiedliwienie przytoczą zapewne ów fakt, że to sami duchowni polscy domagali się zerwania z Rzymem i celibatem. Nie będziemy się z dziennikami owemi spierali ani o rzetelność informacyi, ani o liczbę występnych księży, pragnących zwyrodnienie własne upozorować pobudkami szlachetniejszej natury. Przypuśćmy na chwilę, że wszystko, co dzienniki rosyjskie przytoczyły, jest najszczerszą prawdą, i cóż to wszystko na usprawiedliwienie prowokowania narodowo-religijnej rozterki przydać się może?

Nie było w dziejach Kościoła katolickiego ani jednej chwili, w którejby się nie zjawiali obojętni (tepidi) i zdrajcy (traditores). Wszakżeż w gronie apostolskiem znalazł się jeden „traditor“, a od tego czasu worek Judaszowy, napełniony srebrnikami, wiódł i zawiódł na pokuszenie niejednego katolickiego kapłana. Ale czy fakt powyższy, nie tajony, ani ukrywany przez wybitnych pisarzy katoli-

ckich, może stanowić jakikolwiek dowód przeciw Boskiemu posłannictwu Kościoła, mocą którego przez tyle wieków nauka Chrystusa odradzała etycznie świat ucywilizowany?

Człowiek wnosi ze sobą wszędzie namiętności i instynkty poziome. Nawet spoista organizacya Kościoła katolickiego, zwracająca nieustannie umysł duchownego do celów i pragnień nadziemskich, nie była zawsze w możności pohamowania nizkich pragnień. Nie zawsze człowiek-kapłan mógł zapanować nad człowiekiem-zwierzęciem i takie wypadki notowała ze smutkiem historya, uważając je za wpływ ułomnej natury człowieka.

Czy jednak dzienniki rosyjskie nie mogły znaleźć odpowiedniego kryteryum do ocenienia podobnego postępku garstki duchownych, którzy wśród rumowisk ojczystego Kościoła pragnęli sobie usłać gniazdko rodzinne i stworzyć kult, będący tylko apoteozą ich egoizmu? Czemuż dzienniki rosyjskie nie chcą nic wiedzieć o „Kulturkampfie“ w Prusach, w którym przecież ludność Wielkiego Ks. Poznańskiego przeszła przez główną ogniową próbę i złożyła dowód, jak niewygasłą żywi miłość dla swego ojczystego Kościoła? Przecież nie ubiegło jeszcze ćwierć wieku od czasu, gdy w Księstwie Poznańskiem można się było spotkać z proboszczami państwowymi (Staatspfarrer), narzuconymi przez rząd i administrującymi parafiami bez instytucyi kanonicznej. Pomimo wszelkich wysileń nie przebierającego w środkach bojownika, jakim był książę Bismarck, w niektórych prowincyach pruskich nie można było wyszukać ani jednego kandydata na ten nowy i ciekawy urząd. Ogół proboszczów państwowych w Prusach wynosił cyfrę 24, z tej zaś na Księstwo Poznańskie przypadło 12, a zatem stosunkowo więcej, niż w innych dzielnicach [1]). Czy jednak owe występne i wyrodne indywidua w liczbie dwunastu, przekonały rząd pruski, a nadewszystko księcia Bismarcka o tem, że Polacy w Księstwie stracili przywiązanie do swego kościoła?

Dzienniki rosyjskie miały dość czasu, aby się dowiedzieć, że wogóle dla całych Prus walka kulturalna posiadała skutki groźnej

---

[1]) Majunke: Geschichte des Culturkampfes in Preussen-Deutschland. Str. 411. Dodać należy, że cyfra 24 przypadła na 4.000 księży katolickich.

i niszczącej burzy, której ostatecznym rezultatem było oczyszczenie powietrza i usunięcie z łona Kościoła katolickiego wszelkich zaraźliwych pierwiastków. W Księstwie Poznańskiem zaś skutki owe okazały się jeszcze zbawienniejszemi. Garść nędzników, zarządzających parafiami w imię misyi Bismarckowskiej, ocuciła jedynie sumienie narodowe i obudziła wstręt nieprzezwyciężony do tych, co ośmielili się podeptać najświętsze obowiązki kapłańskie.

Może dzienniki rosyjskie oddają się złudzeniu, że w wyrazie „kościół narodowy“ tkwi dla naszego społeczeństwa jakiś urok magiczny, jakieś tradycyjne pragnienie, piastowane troskliwie od XVI wieku? Nauka polityki stworzyła przecież w XIX stuleciu takie hasła, jak: „wolny Kościół w wolnem państwie“ lub „rozdział Kościoła z państwem“, może więc i Kościół narodowy w pojęciu dzienników rosyjskich ma rozpocząć u nas nową erę rozwoju i nowego dokonać odrodzenia siły narodowej, której dawny Kościół utrzymać nie potrafił?

Ośmielimy się w krótkich słowach objaśnić dzienniki rosyjskie, czem jest w naszem przekonaniu ów dar, które one nazwały Kościołem narodowym. Gdy w XVI stuleciu część katolickiego świata oderwała się od Rzymu, powstały Kościoły protestanckie, które obok nazwy narodowych, musiały przyjąć i nazwę drugą — terytoryalnych. W krajach też protestanckich wyrobiła się zasada prawa państwowego „cujus regio, ejus religio“ i w protestanckich państwach monarchowie stali na czele swego terytoryalnego Kościoła, uważając duchowieństwo za odrębną tylko gałąź służby administracyjnej.

Przewaga władzy świeckiej nad duchowną, jaką zdobyli szybko monarchowie protestanccy, skłoniła i władców katolickich do dążeń emancypacyjnych wobec stolicy Apostolskiej. Niema ani jednego państwa katolickiego, w któremby prądy reformacyjne w mniejszym lub większym stopniu nie zjawiły się, bądź to wśród uprzywilejowanych stanów, bądź też wśród drużyny panujących. Przeważnie jednak monarchom katolickim dziedzicznym uśmiechała się zasada „cujus regio, ejus religio“ i w ich rzędzie spotykamy się najczęściej ze zwolennikami Kościoła terytoryalnego.

Podług nauki Kościoła katolickiego, monarcha nietylko był

pomazańcem Boskim, którego serce spoczywało w ręku Boga, nietylko, że podczas koronacyi przystrajany bywał w szaty kapłańskie, a następnie obdarzony przez stolicę Apostolską zaszczytnymi przydomkami, ale wybitni pisarze kościelni nie wahali się zwać monarchów katolickich obrazem Boga na ziemi i tłómaczeniu zasady „omnis potestas a Deo“, nadawali jak najszersze znaczenie. Nic też dziwnego, że monarchizmowi dziedzicznemu, sławionemu przez kler miejscowy, zwierzchnictwo stolicy Apostolskiej było niewygodnem; im też byli potężniejszymi, tem goręcej pragnęli rozluźnić węzeł Kościoła terytoryalnego z Papiestwem i rozciągnąć swą wszechwładzę nad duchowieństwem i nad sumieniem poddanych.

W czasach nowożytnych jedna z podobnych prób podjęta była przez cesarza Józefa II, w austryackich dzierżawach, i to podjęta z uporem filozofa, który panować miał wszechwładnie w austryackiem prawodawstwie. Monarcha ten, w dobrej wierze, chciał sam zastąpić duchownym i poddanym swoim Stolicę Apostolską, a policyjnemi przepisami wkraczał nietylko w dziedzinę władzy papieskiej, ale episkopalnej a nawet proboszczowskiej, tak, że Fryderyk II pruski przezwał go „mon frêre le sacristain“ [1]).

Jeszcze wyraźniej zaznaczył swą potężną wolę w tym kierunku Napoleon I. Wprawdzie, zawarłszy konkordat w r. 1801, uznał on Stolicę Apostolską za najwyższego sterownika katolickiego Kościoła, ale w r. 1811 zapragnął Kościoła niezawisłego zupełnie od władzy papieskiej, a czem ten Kościół narodowy miał być podług jego rozumienia, to sam niejednokrotnie i w niedwuznaczny sposób wypowiedział. W państwie nowożytnego Cezara religia i Kościół miały stanowić „un service administratif“, a duchowieństwo „une sorte de gendarmérie sacré“ [2]).

W podobnym kierunku szedł też przed ćwierćwiekiem i kulturkampf pruski. Rządowi pruskiemu chodziło przedewszystkiem o rozbicie ustroju hierarchicznego katolickiego Kościoła, czyli o zerwanie

---

[1]) Geffken: Staat und Kirche in ihrem Verhältniss geschichtlich entwickelt. Str. 330.

[2]) D'Haussonville: L'Eglise romaine et le premier Empire, począwszy od tomu trzeciego. Porównać: Du Petit-Thouars, L'etat et l'eglise. Esquisse d'une séparation liberale. Str. 62.

wszelkiego zwierzchniczego stosunku między prymatem a episkopatem, między episkopatem a duchowieństwem, a wreszcie między duchowieństwem a wiernymi [1]). Nowa organizacya kościelna, określona w ustawach majowych, stwarzała właśnie w Prusach ów Kościół narodowy, wymarzony dla nas przez dzienniki rosyjskie, a Kościół ten w Księstwie Poznańskiem miał być najdzielniejszym środkiem germanizowania, czyli wynarodowienia ludności polskiej.

Odpowiedzieliśmy najtreściwiej na pytanie: czem był ongi i czem pragnął być w XIX stuleciu Kościół, zwany przez dzienniki rosyjskie narodowym, a teraz z kolei rzeczy zastanowić się musimy nad wrzekomym dowodem historycznym, zaczerpniętym przez dzienniki rosyjskie z dzieł nieboszczyka Maciejowskiego, a głoszącym, jakoby społeczeństwo polskie marzyło często o zerwaniu z Rzymem, a więc pragnęło stworzyć Kościół narodowy.

Prądy reformacyjne przyjęły się w Polsce w XVI wieku, podobnież jak w innych państwach katolickich. Znalazła się pewna liczba różniących się w wierze (dissidentes), których konfederacya w r. 1573 osłoniła swoją opieką [2]), pojawiły się również prace polemiczne, sławiące reformacyę, zarówno jak dygnitarze kościelni, pomówieni o obojętność dla Stolicy Apostolskiej, a nawet kilku księży, którzy niewiasty pobrali za żony (Orzechowski). Wszystko to prawda, tylko, że prądy reformacyjne, z wyjątkiem Prus królewskich, pędziły u nas suchotniczy żywot, a pragnienie Kościoła narodowego, oderwanego od Rzymu, mogło być udziałem kilku, i to nic nie znaczących osobistości. Faktem jest bowiem bezspornym, że monarchizm dziedziczny w Polsce, którego dążenia w owej epoce odgrywały najważniejszą rolę, trwał niewzruszenie w swej wierności dla Stolicy Apostolskiej. Ostatni Jagiellon, Zygmunt August, nie pomyślał ani na chwilę o wprowadzeniu w życie zasady „cujus regio, ejus religio“, jaką reformacya pragnęła zjednać sobie władców świeckich, i z jego własnych królewskich ust usłyszeli sejmujący w roku 1569 następujące słowa: „Niech mnie też żaden tak nie rozumie, abym kogo miał przywodzić do wiary okrucieństwem albo srogością jaką, albo czyje

---

[1]) Majunke: Geschichte des Kulturkampfes i t. d. Str. 304—305.

[2]) Volumina legum, t. I, f. 841.

sumienia obciążać. Iszcie, że nie jest ta intencya moja. Bo też wiary nie moja rzecz budować. Wiem, że to sprawa Ducha świętego“ [1]). Następni monarchowie elekcyjni polscy pozostali bez wyjątku wiernymi synami katolickiego Kościoła i usprawiedliwili najzupełniej przydomek prawowiernych (orthodoxus), jakim ich Stolica Apostolska obdarzyła.

Wykazawszy właściwe znaczenie Kościołów, nazwanych przez dzienniki rosyjskie narodowemi, możemy wypowiedzieć jasno: czem jest dla nas i czem był Kościół rzymsko-katolicki, odziedziczony po przodkach w narodowej spuściznie.

Przewodniczenie Stolicy Apostolskiej Kościołowi naszemu, a tem samem i wszystkim jego wiernym synom, nietylko w przeszłości oddało nam nieobliczone pożytki. Dziś zwłaszcza, gdy Prymat stał się czysto duchową potęgą, jest on przez nas uważany za opokę Piotrową, na której wsparł się cały nasz ustrój kościelny. Władzy papieskiej, przechowującej ze czcią tradycye apostolskie, powierzyliśmy od wieków pieczę nad skarbnicą naszej religijnej wiary, a to w tem przekonaniu, że wzniosłe i wielkie posłannictwo rzymskiego Prymatu zapewni nam spokój sumienia. roznieci w duszach naszych najjaśniejsze światło Chrystusowej nauki i uwolni nas od duchowej rozterki, która bujnie zwykła kwitnąć tam, gdzie w każdego człowieka i w każdego duchownego mocy leży przesądzanie o najdonioślejszych dogmatach religijnych i o najsubtelniejszych wątpliwościach teologicznych.

Stolica Apostolska, stojąc na czele walczącego w imię prawd Chrystusowych Kościoła, zwalczała przedewszystkiem barbarzyński zwyczaj średnich wieków, chroniła sumienie wiernych od wszelakiego ucisku, wpajała zasady nauki Chrystusa w serca monarchów katolickich i odradzała etyczną siłą cały organizm państwowy. Prymat rzymski przypominał nieustannie możnym tego świata, że w myśl św. Augustyna, podstawą i fundamentem państwa winna być sprawiedliwość, i że w myśl św. Tomasza z Akwinu, choć każda władza pochodzi od Boga, ale mimo to winna być sprawiedliwa. Monarchowie katoliccy uważani byli przez Stolicę Apostolską za pierwszych

[1]) Dyaryusz sejmu lubelskiego (Kojałowicz) str. 633.

synów Kościoła, i bez względu na ich świecką potęgę i władzę, Papieże stali się stróżami oraz sędziami ich sumienia.

Nawet w bieżącej dobie, gdy Stolicy Apostolskiej pozostała jedynie władza i moc ducha Chrystusowego, nie omieszkał Leon XIII przypomnieć w jednej z encyklik władcom katolickim „potentes potenter tormenta patientur“ [1]), co znaczy, że mocarze świata tego będą surowiej karani za zaniedbanie swoich obowiązków.

Kościół katolicki, ze Stolicą Apostolską na czele, uszlachetniał nietylko organizm państwowy, ale ducha narodowego, przez to właśnie, że obejmował świat cały i nie solidaryzował się wyłącznie z żadną narodowością, ani z żadną władzą polityczną. Prymat rzymski rozumiał to wybornie, że prawdy nauki Chrystusa przenikną tylko wówczas do głębi serca wiernych, jeśli duchowieństwo zespoli się z duchem narodu i jeśli nauki religijne głosić będzie w mowie ojczystej. Kościół też katolicki ze Stolicą Apostolską na czele, upominając wiernych, aby spełniali uczciwie obowiązki poddanych władzy świeckiej, nie zaniedbał nauczać wzniosłej miłości ziemskiej ojczyzny i sam, za pośrednictwem swego duchowieństwa, przodował w pracy obywatelskiej, a przez długie czasy w naukowej i cywilizacyjnej działalności.

Jeżeli zaś w dziejach każdego kraju katolickiego spotykamy całe szeregi nazwisk duchownych, zapisanych w rzędzie bohaterów narodowych, mężów stanu, uczonych, poetów i wybitnych obywateli, to dlatego, że duchowieństwo katolickie, poświęcając całe swe życie Kościołowi, było zawsze zdolnem do zaparcia się egoistycznych instynktów i do podniosłej pracy w duchu posłuszeństwa, jedności i zgody.

Czy dzienniki rosyjskie mniemają, że w naszych sercach Kościół katolicki nie zapisał się podobnemi dziejowemi zasługami? W takim razie może pozwolą sobie przypomnieć, że Stolica Apostolska przygotowywała szczerze tryumfy naszym monarchom i równie szczerze radowała się niemi. W rzędzie duchowieństwa katolickiego spotykamy bohaterów narodowych (Kordecki), mężów stanu, poetów

---

[1]) Hammerstein: De ecclesia et statu juridice consideratis, str. 4 w encyklice: „De civitatum constitutione christiana“.

i uczonych, z pomiędzy których dość chyba wymienić jednego Kopernika. Nic też dziwnego, że Kościół katolicki tak się zespolił z sercem naszem, że go uważamy za drogocenny klejnot w narodowej naszej spuściźnie. Przecież to w tym Kościele duch narodowy urobił się naprzód. Przecież to w obrębie tej samej świątyni kapłan był i jest naszym piastunem moralnym od kolebki aż do grobu. Nic więc dziwnego, powtarzamy, że jak przodkowie nasi, tak i my, Kościół katolicki w tym ustroju, jaki był i jaki jest, uważamy za płaszcz niebiański Jasnogórskiej Dziewicy, ochraniający przez wieki ducha narodowego od zwątpienia i upadku.

A teraz możemy szybko przyjść do ostatecznej konkluzyi. Czem był i czem jest nasz Kościół rzymsko-katolicki? Był i jest nietylko piastunem wiary Chrystusowej i szafarzem łask nadziemskich, ale potężnym czynnikiem cywilizacyjnym i wielką narodową potęgą. Czem zaś byłby dla nas ów Kościół pseudonarodowy dzienników rosyjskich? Byłby gorzej, niż zwykłem samobójczem narzędziem, jest bowiem i będzie środkiem, zaprzepaszczającym w otchłani prostytucyjnej ducha naszego narodowego i skazującym go tem samem na niechybną a hańbiącą zagładę.

Nauka porównywała często narodowość do serca w organizmie społeczno-politycznym, a ponieważ Kościół i mowa ojczysta są najistotniejszemi pierwiastkami narodowości, więc to samo porównanie stosować się winno i do Kościoła. Dopóki też medycyna nie wynajdzie sposobu zastąpienia serca bijącego w żywej piersi ludzkiej mechaniczną imitacyą, dopóty o wprowadzeniu rzekomego Kościoła narodowego dla naszego społeczeństwa mowy być nie może. Wszelkie tego rodzaju chorobliwe pokuszenia rozbić się muszą o wzniosłe Chrystusowe posłannictwo i naturę Kościoła, który zrósł się z naszem społeczeństwem w jeden, tradycyą wiekową urobiony, organizm.

16.

STARE I NOWE HASŁA[1]).

W dobie dwudziestego stulecia, mimowoli ogarnia każdego skłonność do rozpamiętywania przeszłości i jak do dzieciństwa i młodości własnej, tak uporczywie wraca myśl człowiecza do zarania gasnącego wieku, pragnąc odtworzyć minione obrazy nadziei, dążeń, zawodów, burz i cierpień, nurtujących w łonie ludzkości. W tym pożegnalnym rozrachunku, uprzedzającym wyrok historyi najbardziej zaciekawia pytanie: jakie idee i hasła przewodniczące życiu społeczno-politycznemu, przejął nasz wiek gasnący od swego przodka? Następnie, czy w tem bogatem, choć w krwi i ogniu poczętem dziedzictwie, okazało się wszystko trwałem i zdrowem? i wreszcie, co nasze stulecie uczyniło z duchową spuścizną, czy ją pomnożyło nowemi zdobyczami, czy przeciwnie, zmarnotrawiło cząstkę ojcowizny?

Schyłek XVIII stulecia pogrążył myśl ludzką w anarchicznym odmęcie społeczno-politycznych przeciwieństw i sprzeczności. Ustrój stanowy rozdzielał wciąż ludy na stany broniące, nauczające i żywiące (Wehr - Lehr - Nähr - Stande), z których dwa pierwsze uciemiężały i wyzyskiwały najsłabszy, zwany przez Jana Sobieskiego „robakiem ziemi“. Ówczesnym reprezentacyom stanowym przewodniczyła stara dewiza Rafała Leszczyńskiego: „malo periculosam libertatem, quam quietum servitium“, ale z tej dewizy tryskała płomienna miłość do uprzywilejowanej wolności, zapewniającej swobodę jednym kosztem drugich.

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w książce p. t.: „Sami sobie“ Warszawa 1900.

Obok starożytnych gmachów państwowych, przynoszących szczęście możnym tego świata, powstała nieznacznie skromna i prosta budowa zachodniego oświeconego monarchizmu z jeszcze skromniejszym napisem: „le roi est le premier serviteur de l'Etat“. Naczelne to hasło, wyrażające przesadnie idee oświeconego monarchizmu było zwiastunem zagłady dla przywilejów stanowych i objawiało się w niestrudzonem dążeniu ku zjednoczeniu klas społecznych, w politycznem pojęciu całego ludu, jako zbiorowiska poddanych. Monarchizm oświecony dążył niewątpliwie do państwowego dobra i każda jego czynność, każde niemal tchnienie poświęcone było temu celowi. Ale w tej absolutnej budowie panował spokój cmentarny, swoboda obywatelska uleciała z pośród rzeszy rekrutów i opodatkowanych, pozostawiając tylko nienawiść i waśń socyalną, pragnącą złupić bezkarnie możnych i bogatych.

Z za oceanów przypłynęło do Europy pierwsze hasło, pierwsza idea nowego porządku, wraz z deklaracyą niepodległości Stanów Zjednoczonych (1776). W szeregu prawd, wypowiedzianych we wstępie do owej deklaracyi, wystąpiła wyraźnie idea zjednoczenia narodu, nie będącego ani zbiorem uprzywilejowanych stanów, ani pozbawionych swobody poddanych. Zjednoczony naród stawał się jednocześnie niepodległem i zwierzchniczem państwem, a obywatelska wolność i samorząd miejscowy, będący jej wielką strażnicą, nie opuściły młodego społeczeństwa, które ustami Bancrofta wypowiedziało z słuszną dumą, że gmach nowego państwa powstał, jak legendowy geniusz miłości i piękna z piany Oceanu i jego to zadaniem było zastąpienie przywilejów dziedzicznych nowym porządkiem.

Wkrótce po tem wspaniałem zjawisku, dokonano na stałym lądzie Europy zjednoczenia narodowego na gruzach starego porządku (Francya). Dążeniom i pragnieniom reformatorów torowały jednak drogę nienawiść do wszystkiego, co było pokryte pleśnią stanową, oraz instynkt spoliacyjny, pragnący „ściągnąć na dół to, co było na górze, a umieścić to u szczytu, co tyle wieków musiało cierpieć poniżenie“.

Nowy porządek polityczny, poczęty w duchu nienawiści i zawiści zapewnił narodowi zjednoczonemu władzę zwierzchniczą tak

olbrzymią, że jak to już Machiavelli przeczuł, żaden tyran poszczycićby się nią nie mógł, i jedynie anonimowe większości Rzeczypospolitej posiąść ją zdołały. Ale nienawiść i zawiść nie są w stanie wytworzyć swobody obywatelskiej. Z tych uczuć wypłynęło tylko namiętne dążenie do równości i to do równości naturalnej, nieuznające przymiotów i dojrzałości politycznej, a osłaniające swą mściwość powagą rzymskiej definicyi: „omnes homines natura aequales sunt“. Dążenie do usunięcia i zatarcia wszelkich różnic stanowych, dostało się do pierwszych konstytucyi francuskich, jako przepis zaprowadzający równość wobec prawa. Najdosadniej wyrażonem zostało powyższe hasło w konstytucyi francuskiej z 1793 r. (art. 1) słowami: „Tous les hommes sont egaux par la nature et devant la loi“.

Wraz z wolnością indywidualną zniknęło jej najskuteczniejsze urzeczywistnienie — samorząd miejscowy. Bezduszna centralizacya administracyjna wtórowała szaleństwom samowoli parlamentarnej, a z tego wiru zmieniających się stronniczych większości wydobywały się czcze konstytucyjne frazesy, proklamujące swobodę wyznań, przekonań, sumienia i zakazujące innym czynić to, co uczynione samemu sobie jest niemiłem. Wiek XIX przejął wszystkie te puste frazesy razem z trującym pierwiastkiem wielkiej rewolucyi. Orły napoleońskie zaszczepiały równość wobec prawa na gruzach starego porządku, a jeszcze konstytucya Królestwa Sardynii z 1848 roku przepisuje „tous les reqnicoles, quels que soient leurs titres on leur rang, sont egaux devant la loi. Tous jouissent êgalement des droits civils et politiques et sont admissibles aux emplois civils et militaires“ (art. 24).

Z tem wszystkiem, z dążenia do równości wiek XIX usunął nienawiść i zawiść socyalną. Już konstytucye: bawarska z r. 1818, badeńska z r. 1818 i wirtemberska z r. 1819, uwzględniły szczątki odrębności stanowych, o ile one nie były dla innych klas szkodliwemi i zastrzegały drobne odstępstwa od absolutnej równości prawa, w imię użyteczności państwowej, czyli, jak konstytucya sardyńska się wyraziła: „sauf les exceptions determinées par les lois“. Konstytucye Szwecyi, Norwegii i Węgier, zostały prawie nienaruszonemi przez straszliwy huragan, przelatujący przez cały europejski konty-

nent, a w reszcie państw większości parlamentarne wobec konstytucyjnego monarchizmu, nie mogły prowadzić dalej w tym stopniu swego rozkładowego dzieła.

Wprawdzie w konstytucyi francuskiej z 1848 r. (art. 4) występuje jeszcze nowe hasło, proklamujące w pustym frazesie ogólne braterstwo, a w konstytucyi portugalskiej z roku 1852 i brazylijskiej z r. 1824 ukazuje się doktrynerski paragraf o władzy „moderateur“, zaczerpnięty z dzieł B. Constant'a, ale wogóle konstytucye państwowe, zwłaszcza z drugiej połowy XIX stulecia, pozbywały się kodyfikowanej retoryki, zaopatrzonej w paragrafy i otaczając swobodę indywidualną prawami organicznemi, etykę polityczną niepochwytną dla przymusu pozostawiły sumieniu obywateli. Dowodem tego rozwoju może być konstytucya Transwalu z roku 1858, która się uwolniła od balastu czczych haseł, nie posiadających treści polityczno-prawnej.

Samorząd miejscowy, będący podług Tocquevilla, tem dla politycznej swobody, czem są szkoły początkowe dla wiedzy, począwszy od pruskiej ustawy municypalnej z 1808 roku, rozwijał się w coraz piękniejszy kwiat, wzorując się w treści, lecz nie w formie na wielko-brytańskim Selfgovermencie. Reprezentacye państwowe, zwłaszcza w kolebce konstytucyonalizmu Anglii, zdumiewały prawodawczą zabiegliwością około dobra całego ludu, około indywidualnej swobody i potęgi państwa. Na kontynencie europejskim okazały parlamenty w końcu XIX stulecia objawy pewnego zwyrodnienia i rozbicia się na stronnictwa, ożywione nizkimi instynktami, a rządzące się duchem plemiennych lub narodowych uprzedzeń (Austrya). Objawów tych jednak nie przekazuje nasze gasnące stulecie wiekowi dwudziestemu, jako ideę i hasło odrodzenia. Przechodzą one raczej, jako smutne memento, t. j. jako przestroga na przyszłość, oraz jako upokarzające wspomnienie.

Następnie, aby prawom konstytucyjnym zapewnić trwały rozwój w XIX wieku ujęto administracyę państwową w coraz ściślejsze karby sprawiedliwości i prawa. Sądownictwo administracyjne pragnęło usunąć z czynności rządowych wszelką cechę samowoli, czyli, że państwo miało być na wskróś praworządnem (Rechtsstaat) i urzeczywistnić postulat św. Augustyna: „Justicia regnorum funda-

mentum". To nowe państwo przemawiające do swych obywateli w imię sprawiedliwości i prawa, oraz troszczące się o ich wszechstronny rozwój i pomyślność, wymagało za to wyjątkowego stanowiska w sercach swych poddanych. Miara poświęceń obywatelskich w godzinie niebezpieczeństwa miała nie znać granicy i najmici lub uprzywilejowani obrońcy ustępowali coraz bardziej miejsca hasłu: „Das Volk im Waffen", które znalazło miejsce w konstytucyi portugalskiej, w słowach: „Tous les Portugais sont obligés de prendre les armes pour la conservation de l'independance du royaume et de l'integrité du territoire, et pour le defendre contre les ennemis exterieurs comme intèrieurs". (Art. 113 konst. z 1852).

Wiek XVIII przekazał XIX, wraz z ślepą nienawiścią do religii i Kościoła, wolteryańskie hasło „écrasez l'infame„. Nasze stulecie przeistoczyło je wszakże najzupełniej. I na początku bieżącego wieku zaświeciła na chwilę złowroga doktryna: „L'Etat — Athée", jak w drugiej połowie anarchiczna filozofia Nietscha, ale pierwsze hasło stłumiło cavourowskie: „libera chiesa in libero stato", a filozofię obłędu odepchnęły społeczeństwa ze wstrętem od siebie. Pomimo też wszelkich walk kulturalnych, wiek XIX przekazuje następcy głęboką cześć dla religii i poszanowanie dla Kościoła w tem rzetelnem przekonaniu, że był on najpierwszym i najważniejszym piastunem cywilizacyi, który w miłości chrześcijańskiej jednoczył wszystkich, pocieszając pokrzywdzonych, krzepiąc zwątpiałych i słabnących. Wiek XIX przelewa też na następcę, w miejsce nienawiści, to szczere przeświadczenie, że Kościół urobił w znacznym stopniu serce narodowe, spajając duszę całego ludu we wspólnej modlitwie, a krzepiąc ją nadzieją w chwilach bezmiernej niedoli.

Schyłek wieku XVIII pozostawił kobiecie swobodę obyczajowego rozpasanta i umieścił ją na dawnych ołtarzach, jako bóstwo mądrości, obdarzające braterskimi pocałunkami rewolucyjne wielkości. Wiek XIX rozwijał powoli i ostrożnie ideę emancypacyi niewieściej. Pozornie przekazuje on swemu dziedzicowi starożytne: „Taceat mulier in Ecclesia et in politicis", ale nieustannie pragnął rozszerzyć działalność publiczną kobiety i uczynić ją towarzyszką mężczyzny w życiu gminnem i państwowem, czyli inaczej mówiąc obywatelką. W sferze administracyjnej, a przedewszystkiem w zakresie

szkolnictwa, zrobiono już znaczny wyłom dla pracy kobiecej, ale w dziedzinie prawodawczej wyjątkowe próby w niektórych terytoryach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej (Utah, Washington, Wyoming) nie wytrzymały krytycznej próby. Nasze stulecie przekazuje też następcy to przekonanie, że prawa polityczne przysługiwać mogą w całej pełni tylko tym, którzy ich bronić potrafią, czyli, że z prawami państwowemi nieodłączne są obowiązki, z których najważniejszym jest służba wojskowa.

Dla czynnika cywilizacyjnego, jakim są narodowości, wyraził wiek XVIII wielką obojętność a nawet pogardę. Fryderyk II pruski z wyrafinowanym cynizmem obwieszczał swe komunikowanie się nietylko ciałem ale i duchem naszego narodu, a w naszem stuleciu rozwijał dalej rząd pruski prostytucyjną ideę swego monarchy. Grolmann w r. 1848 podżegał władze pruskie do wyniszczenia pierwiastków rodzinnych w Wielkopolsce, a w zaraniu dwudziestego stulecia urzędowy dzwon pruski wydzwania nam, jak przed stu laty, z cmentarną powagą dwa grobowe tony: „Germanisiren, ausrotten — germanisiren, ausrotten“.

W prawie międzynarodowem zostały dokonane w XIX stuleciu duże przeistoczenia w duchu sprawiedliwym i humanitarnym. Jeżeli Józef II szydził z marzeń Stanisława Leszczyńskiego o wiecznym pokoju, jako z utopii i jeżeli w końcu w. XVIII zawierano i zaprzysięgano traktaty, aby ich nie dotrzymywać, to nasze stulecie oddaje następcy znacznie uszlachetnione międzynarodowe pojęcia i zasady. Państwa, jako podmioty międzynarodowego prawa, przestały się chlubić ze złej wiary, z pogardy dla sprawiedliwości i nietylko myśl wiecznego pokoju, choć niewykonalna, została poważnie podjętą, ale złagodzenie następstw wojny i wyczerpanie środków pojedunawczych przed odwołaniem się do miecza, stało się dążeniem ogólnem i nieustającą troską wszystkich rządów. Obrona orężna swych praw państwowych pozostała i nadal pobudką do słusznej wojny. Jak w końcu XVIII w. Ameryka Północna, tak w końcu XIX w. Afryka Południowa (Transwal) wystąpiła do śmiertelnej walki, o swą niezależność w imię odwiecznej starogermańskiej zasady: „Hundert tausend Jahre Unrecht ist keine Stunde Recht“. Wprawdzie nie towarzyszy Burom tak ogólne współczucie,

które Amerykanom swego czasu sprowadziło „najdumniejszą szlachtę Polski wraz z rycerstwem całej Europy“ (Bancroft), ale za to rodzić się poczyna rzetelny podziw, dla niezłomnego męstwa Burów, więcej druzgocącego, niż waleczność szeregów Washingtona.

Pozostaje jeszcze kwestya socyalna, która jako przedwiekowe widmo łupiestwa i pożarów zjawiła się w naszem stuleciu, proklamując w roku 1848 złowieszcze hasła: „Vivre en travaillant ou mourir en combattant“ i grożąc Paryżowi w roku 1871 ostateczną zagładą. W sprawie socyalnej przekazuje nasze stulecie swemu następcy zaszczytną i cenną spuściznę. Wcześnie, bo w r. 1807 rozpoczęto usamowolnienie i uwłaszczenie włościan, było dokonane w tem przekonaniu, że w społeczeństwie nie może być klas wydziedziczonych, które w nowym porządku państwowym nie mają nic do zyskania ani do stracenia. Reformami włościańskiemi (Prusy) nie chciano bynajmniej wywoływać mściwego i kosmopolitycznego ducha proletaryatu, ale swobodna praca kmieci, zarówno jak i swobodna własność, miały torować drogę poczuciom rządnego gospodarza i rozsądnego obywatela.

Prawodawstwo niemieckie dotyczące ludności przemysłowo-fabrycznej, ogarnęło tą samą opieką miasta z robotniczo-fabrycznemi dzielnicami, jak dawniej wieś z rzeszą kmiecą. Państwa postanowiły stawić zaporę rozwijaniu się wpływu kapitalizmu do ostatecznych konsekwencyi (Grosse Fische essen kleine Fische). Administracya państwa, zarówno jak i nowe możnowładztwo, miały przyłożyć ofiarną rękę, aby podtrzymać zdrową siłę robotniczą, a w chwili losowej niedoli lub nieszczęścia wesprzeć ją skuteczną pomocą. Prócz tego dobroczynność publiczna, popierana zarówno przez Kościół, jak i przez państwo, łagodziła różnice społeczne i szczepiła w miejsce dawnej nienawiści, wzniosłe poczucie miłości bliźniego.

Wszystkie czynniki cywilizacyjne XIX wieku wystąpiły zgodnie przeciwko wojującemu socyalizmowi. Dawne hasło: „sperate miseri, cavete felices“ zostało z gruntu przeistoczonem. Ubodzy i nędzni mogą się istotnie wiele spodziewać od dwudziestego stulecia, bo klasy posiadające, równie jak państwa nowożytne doszły do przekonania, że „w szczęściu wszystkich, wszystkich cele“, że nie powinno być takich, o których zapomniano przy wielkiej uczcie,

jaką natura zastawiła, albowiem wytrwała i uczciwa praca do uczestniczenia dają w niej prawa. Z nadziejami ubogich niema jednak nic wspólnego trwoga bogaczy. Duch ofiarności, poczucie obowiązków ochroni ich od spoliacyi, otwierając pole do współzawodnictwa w pracy i do zaszczytnej obywatelskiej zasługi. W imię wielkich prawd Chrystusowych nawoływał Leon XIII bojowników socyalizmu do miłości i zgody a możnych tego świata do poświęcenia i wyrozumiałości. Do współzawodnictwa w tym celu stanęła nauka (Kathedersocialisten) i wiek dwudziesty dziedziczy dążenia poważne i wytrwałe całej ludzkości, aby w socyalizm wojujący tchnąć ducha chrześcijańskiego.

Nasze stulecie więc schodzi do historyi z tą nadzieją, że jego praca nie pójdzie na marne, lecz że stanie się pochodnią w dalszym postępie i że nareszcie kiedyś, przy pomocy tego wiekowego znoju i mozołu, „wyjdzie z zamętu świat ducha, miłość go pocznie w swem łonie a przyjaźń w wieczne utwierdzi spójnie“. Wiek XIX przerobił wiele trujących haseł, stworzył zaś dużo nowych zwodniczych lub rzetelnych. We wszystkich dziedzinach życia społeczno-politycznego dążył do poznania prawdy i tę najobficiej znalazł w nauce Chrystusa. Nic też dziwnego, że w szeregu haseł, przekazanych następcy, naczelne miejsce zajmować będą odwieczne słowa Boskiego Mistrza: „et cognoscetis veritatem, quia veritas liberabit vos“.

17.

KRASZEWSKI PRZED SĄDEM W LIPSKU [1]).

Kiedy zionący na nas nienawiścią i obelgami list kanclerski odczytano w sądzie lipskim, oddawaliśmy się złudzeniu, że sędziowie wobec jawnego zamachu, dławiącego niezależność zdania, podniosą się do wysokości zadania i wnikną głębiej w specyalną naturę przestępstwa politycznego, o jakie obwiniono Kraszewskiego. Dziś możemy powtórzyć klasyczne słowa: „et dissipatae sunt omnes cogitationes“, rozwiały się wszelkie marzenia, albowiem wyrok uznał Kraszewskiego winnym, nietylko wydania Francyi dokumentów, ale i namówienia Adlera do zdrady kraju, skazując go na lat trzy miesięcy sześć twierdzy. Historya spraw kryminalnych zna słynne morderstwa popełnione przez sąd (Justitzmord) i zna wypadki, gdy właściwie role powinny były być zamienione, albowiem sędziowie wobec sumienia narodowego występowali prędzej jako zbrodniarze. Wyrok Kraszewskiemu ogłoszony może też być podług przepisów procedury obowiązującej wyrokiem ostatniej instancyi, na sędziów spadną nietylko awanse i ordery za zajadłość przybraną w pozory sprawiedliwości i za służalstwo rządowi, ale spotka ich również wyrok własnego społeczeństwa, które, pod wpływem namiętnego zaślepienia, może będzie wtórowało przez czas jakiś aktowi zemsty narodowej, podyktowanemu przez mściwego kanclerza, ale wkońcu przyjdzie niewątpliwie do przekonania, iż wyrok na Kraszewskiego był aktem hańby dla ludu niemieckiego.

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Gazecie Polskiej“ w r. 1884.

Kraszewskiemu zarzucono zdradę kraju, jakiej się dopuścił względem Niemiec, wydaniem francuskiemu rządowi niektórych dokumentów o wymarszu armii i telegrafach polowych. Ale dowodu na to, że istotnie miał stosunki z rządem francuskim i że doręczył temuż rządowi wymienione dokumenta, nie było wcale. Podejrzenia nie stanowią dowodu, a prawdopodobieństwo pewności, zwłaszcza, że w tym wypadku wnioski prokuratoryi ciągle zmieniające się, list kanclerza i zeznania policyi saskiej dostarczyły dużo faktów, które przemawiały za obwinionym, osłabiając wrażenie pozornych podejrzeń. Kiedy bowiem akt oskarżenia zarzucał Kraszewskiemu wydania tajemnic obcemu mocarstwu, list kanclerza konstatuje fakt, iż Kraszewski nie z obcym rządem, lecz z garstką wychodźców polskich był w stosunku i dla nich wyłącznie pracował. Owi zaś niegdyś żołnierze, zmarli oddawna w ubóstwie i nędzy, mieli być gniazdem szpiegów, sprzedających obcym mocarstwom tajemnice stanu.

Choćby nawet słowa niemieckiego kanclerza nie były fałszem, to i w takim razie identyfikowanie obcego mocarstwa z garścią prywatnych ludzi, byłoby ze stanowiska prawnego niemożliwem. Trzebaby wprzódy dowieść, że towarzystwo weteranów było domem komisowym, przyjmującym zamówienia obcych mocarstw na tajemnice stanu, i że Kraszewski, z całą świadomością czynu, tym domem w stosunkach z Francyą się posługiwał. Ale twierdzenia kanclerskie to nie dogmaty wiary, a prócz nich, żadnego dowodu nie znajdujemy.

Sąd lipski mało się też okazał wymagającym i w traktowaniu teoryi dowodowej był bardzo wspaniałomyślnym — ale dla własnej swobody sumienia. Wystarczała mu wiadomość, że Kraszewski otrzymał dokumenty, że je zamówił u Hentscha i Adlera, oraz że drogo za nie zapłacił. Ponieważ zaś drogo płacił, a więc musiały to być pieniądze Francyi; ponieważ dokumenty wysyłane były do Francyi na imię Zaleskiego, a więc nie kto inny, tylko rząd rzeczypospolitej był ich odbiorcą. Cóż to sumienie obchodzi, że pomiędzy temi podejrzeniami a prawdą może istnieć tysiąc innych kombinacyj, wywracających na nice argumentacyę prokuratoryi. Dość, że były podejrzenia, a słowa samego księcia Bismarcka w liście wyrażone, nadały im piętno niezbitej pewności. Jakżeż więc nie wierzyć podejrzeniom i słowu kanclerza, kiedy chodzi zaledwie

o zgnębionego starca, reprezentującego narodowość, która tyle krzywd wyrządziła monarchii pruskiej i księciu Bismarckowi, bo nie oddała wiary, mowy i resztek ziemi narodowej za tyle dobrodziejstw i za promienie światła spływające z kultury niemieckiej na krainę pogrążoną niegdyś w ciemności i barbarzyństwie.

Jeden z najgenialniejszych filozofów niemieckich Leibnitz, wygłosił zasadę, iż sprawiedliwość winna być miłością kierowaną przez rozum — charité réglée suivant la sagesse. Starożytny świat pozostawił maksymę „in dubiis mitius“, a chrześcijańskim sądom przewodniczyła myśl, że lepiej jest sto winnych uwolnić, aniżeli żeby miał cierpieć jeden niewinny. Sąd lipski opierając swój wyrok na podejrzeniach, stanął w sprzeczności z wymaganiami cywilizacyi, a miał nie jeden powód, aby się do nich zastosować.

Przedewszystkiem za odrzuceniem podejrzenia a za oparciem wyroku na niewzruszonych dowodach przemawiała natura przestępstwa politycznego. Przestępstwo bowiem polityczne jest wykroczeniem i obrazą państwa, a więc trzeba istotnie zbadać, czy państwu stała się krzywda i czy w rzeczywistości czyn inkryminowany mógł zagrozić jego bytowi i przyszłemu rozwojowi. Pod tym względem jednak wielka ścisłość jest konieczna, albowiem inaczej, nawet tchnienie ludzkie będzie można poczytać za niebezpieczne dla państwa. Czyż jednak komunikaty marszu do granicy zachodniej i instrukcye dla telegrafów polowych, choćby istniały, stanowią niebezpieczeństwo dla państwa niemieckiego? Sąd lipski, składający się z dobranej inteligencyi niemieckiej, nie miał nawet pretensyi rozstrzygać o tem — on zgóry wyrzekł: „non mihi liquet“, a stanowcze orzeczenie o niebezpieczeństwie wydało ministeryum wojny i fachowi wojskowi, których bezstronność ulegała aż nadto wątpliwościom.

Zresztą zarzut zdrady stanu uczyniono Kraszewskiemu jako poddanemu saskiemu i formalnie miano racyę, ale tylko formalnie. Wiadomo bowiem, że jedynie z musu przyjął Kraszewski gościnność Saksonii, za którą nawiasem mówiąc dobrze zapłacił i że pozostał w jawnem słowie i czynie, synem innego narodu. Zdradzać można tylko kraj własny, z którym serce jednakowo bije i wówczas zdrada jest piętnowana najwyższą pogardą, na jaką się człowiek zdobyć

może. Zdradzać wreszcie można sprzymierzeńca, z którym się walczyło i obiecało walczyć razem w przyszłości.

Zdrajcą był Jork, generał pruski, opuszczający potajemnie armię Napoleona w r. 1812 i zdrajcą był Norman dowódca wojsk saskich, strzelający pod Lipskiem do Francuzów, do tych samych Francuzów, z którymi razem przed chwilą bił się przeciw swym współbraciom. Ale Kraszewski — zdrajcą państwa niemieckiego, to formalnie prawne — gdyby był dowód, ale w duchu prawa państwowego, zupełnie śmieszne. Formalnie prawnem było również skazywanie i prześladowanie księży za odprawianie mszy św. i udzielanie Sakramentów; formalniejszem nawet, niż obecne postępowanie, bo zwykle dowodzono zarzucanych czynów. Ale czy znajdzie się nawet w obrębie Niemiec sprawiedliwy człowiek, któryby działalność rządu i sędziów w tego rodzaju sprawach uważał za co innego niż za akt zemsty?

Nie wahamy się też wyrzec, że sąd lipski skazał Kraszewskiego nie posiadając niewzruszalnego dowodu winy i sądził opierając się jedynie na formie, nie zaś na duchu prawa. A wreszcie jakże samowolnie wygląda postępowanie prokuratoryi, rządu i sądu w całej tej smutnej sprawie. Prokuratorya rzucająca obelgi na narodowość, której nikt bronić nie śmie ani może, odwołująca się nawet do romansów, aby tylko zohydzić obwinionego wobec sędziów-Niemców, a wkońcu kopiąca już skazanego wymaganiem, aby odsiadywał karę w pruskiej, nie zaś saskiej twierdzy, aby i tam jeszcze pruski komendant dał mu uczuć ową wspaniałomyślność dręczenia, zdobiącą pruskich zwycięzców. Rząd wreszcie, który przysyła na początku sprawy list kanclerski, odczytany wbrew porządkowi proceduralnemu i obliczony na to, aby zdławić wszelkie sympatyczne dla obwinionego objawy nietylko w samych Niemczech. List kanclerski bowiem pragnie zohydzić narodowość polską, jako wiecznie spiskującą wobec całej Europy i odgrywa rolę denuncyanta. W chwilach naprężonych stosunków, emisaryusze księcia Bismarcka przebiegali prowincye polskie pragnąc rozluźnić lojalne węzły ludności miejscowej z rządami; gdy jednak kombinacye polityczne się zmienią, wówczas ten sam rząd, który podżegał, denuncyuje i zohydza

nas, wiedząc o tem dobrze, że niema trybunału, przed którybyśmy go pozwać mogli.

W ciskaniu obelg bezbronnym poznajemy tę samą odwagę, co we Francyi, w pięciu przeciw jednemu zwyciężała. W denuncyowaniu nas przed Europą poznajemy tę samą grę bismarckowską, jakąśmy już w r. 1866 widzieli, t. j., gdy naczelników rewolucyjnych węgierskich, których rząd pruski prowokował i wspierał, oddano po traktacie praskim w ręce dowódców austryackich. Jest to próbka z onej — cruciferorum fides. Co się tyczy sądu lipskiego, to i jego działalność nie była bez zarzutu. Odczytanie listu kanclerskiego na sesyi sądowej i odmówienie prośbie chorego Kraszewskiego, aby mógł podczas badania Hentsch'a pozostać w domu, nie są faktami zbyt zrozumiałymi.

Co się wreszcie obrony tyczy to była ona uczciwą, ale nie wystarczającą. W procesie politycznym trzeba takiego głosu, jaki zabrał niegdyś Gneist w polskim procesie w Berlinie, lub Holtzendorf w sprawie Arnima. Tylko głęboka znajomość nauk politycznych może nadać obronie ów, wysoki, czasom prawie natchniony ton, do którego się nigdy obrońcy zwykłych złodziei i oszustów nie dostroją. Dr. Saul, obrońca Kraszewskiego, nie był jednak ani Gneistem, ani Holtzendorfem, pozostał sobą, t. j. obrońcą zwykłych przestępców.

Dochodzą nas wieści, że Kraszewski ma zamiar podać się do łaski i że koło polskie w Berlinie z taką samą prośbą do tronu wystąpić zamierza. Nie myślimy z tego kroku czynić zarzutu nieszczęśliwemu starcowi, gdyby się ten krok miał sprawdzić; pojmujemy bowiem dobrze, że w tym wieku, przy takim stanie zdrowia inaczej się znosi olbrzymie gromy, niż w normalnych warunkach. Co się nas jednak tyczy, to wyrok skazujący Kraszewskiego uważać będziemy tylko za jeden moment polityki, kierowanej zasadą: „pro justitia stat ensis“, i uważalibyśmy za niezmiernie upokarzające odwoływanie się do — takiej łaski.

18.

KSIĄDZ DINDER [1]).

Z dnia 10 marca 1886 r. telegramy przyniosły wiadomość, że nominat na arcybiskupstwo gnieźnieńskie ksiądz Dinder z Królewca został już prekonizowany, i że wkrótce ukaże się breve papieskie, ogłaszając nominacyę, a mianowany dygnitarz kościelny przybędzie do swej metropolii jeszcze przede świętami Wielkiej-Nocy.

Wiadomość powyższa była niestety spodziewaną od dość dawna, a mianowicie od chwili, kiedy poprzedni arcypasterz, kardynał Ledóchowski zapowiedział swoją rezygnacyę i uprzedził ludność archidyecezyi gnieźnieńskiej o możliwości mianowania nowego metropolity. Jakkolwiek też ludność polska w pruskiem królestwie mogła się przygotować na wieść, która obecnie zamieniła się w fakt dokonany, to jednakże wrażenie wywołane powołaniem ks. Dindera na stolicę św. Stanisława i Wojciecha, oraz rzewne pożegnanie się księdza kardynała Ledóchowskiego ze swymi wiernymi, będzie dość długotrwałem, i nakłoni niewątpliwie ludność rzeczonej archidyecezyi do zastanowienia się, oraz do ocenienia wypadków, tak głęboko z interesami etyczno-narodowemi połączonych.

Od chwili powstania walki kulturalnej w Prusach po r. 1873 i od czasu banicyi księdza Ledóchowskiego wiadomem było każdemu, że przy znanych tendencyach księcia Bismarcka względem prowincyj polską ludnością zamieszkałych, obsadzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nowym metropolitą przedstawiać będzie niezmiernie wielkie

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Gazecie Polskiej“ w r. 1886.

trudności. Można było łatwo przewidzieć, że subhastowany, więziony a następnie jeszcze po udaniu się do Rzymu, wyrokami zaocznemi sądów pruskich ścigany arcybiskup, nie powróci do swej stolicy dopóki żyje ks. Bismarck. Wybór zaś nowego kandydata stać się musiał wobec sporu państwowo-kościelnego, przedmiotem długoletnich negocyacyj i celem wytężonych usiłowań, oraz zabiegów kanclerza niemieckiego.

Dopóki żył Pius IX, nie można się było spodziewać obsadzenia arcybiskupstwa nowym metropolitą, i trudno było zarazem oczekiwać szybkiego zakończenia walki kulturalnej w Niemczech. — Zmarły zwierzchnik Kościoła katolickiego odznaczał się niezmiernie wielkiem poczuciem sprawiedliwości i owem idealnem pojęciem zadań Kościoła, które bez względu na materyalne korzyści, nakazywało mu zawsze iść za głosem sumienia, a dążyć do moralnych zwycięstw. Idealne usposobienia wszakże mają w sobie pewną siłę oporną, płynącą z wewnętrznego przekonania, która nie dozwala przeciwnikom wytargować ustępstw, a pertraktacyom dyplomatycznym ważne stawia zapory. Z drugiej strony nadmienić trzeba, że rząd pruski za życia Piusa IX powtarzał zbyt często, że nie pójdzie nigdy do Canossy, a bezwzględnością środków policyjnych, zastosowywanych względem duchownych, uniemożliwił wszelkie porozumienia.

Ze wstąpieniem na tron pontyfikalny Leona XIII, sytuacya polityczna zmieniła się znacznie. Nasamprzód bolesne doświadczenie nauczyło obie strony jak wielkie straty ponosi ludzkość, gdy dwa czynniki najpotężniejsze cywilizacyi: Kościół i Państwo, zamiast wspierać się wzajemnie, toczą zaciekłą walkę i gdy, jak to ze strony władzy politycznej miało miejsce, nie cofają się przed środkami wyraźnego gwałtu usprawiedliwianego obłudą konieczną.

Rozumnemu i zacnemu Papieżowi, jakim jest niewątpliwie Leon XIII, nie mogły też być obcemi olbrzymie straty, które poniósł Kościół katolicki w Niemczech, skutkiem kulturalnej walki, która zdawała się rozwiązywać rządowi ręce i upoważniać go do tendencyjnego rozszerzenia korupcyj przez krępowanie władzy dyscyplinarnej Kościoła. Opustoszenie dyecezyi i parafii, brak duszpasterstwa normalnego, prowokowanie nieposłuszeństwa wśród duchownych i nagradzanie, lub protegowanie jawne występnych księży, to były

fakta, którym się światły Leon XIII nie mógł przypatrywać bez wielkiej boleści i bez gorącego pragnienia położenia kresu takiej antycywilizacyjnej walce.

Z drugiej strony kierownik miecza świeckiego królestwa Hohenzollernów, mógł się także przekonać, że gwałt przeciw Kościołowi wymierzony, jest gwałtem przeciw sumieniu ludzkiemu i kopaniem grobu wszelkiej swobodzie indywidualnej. Pobudzanie też fanatyzmu protestanckiego Niemiec przeciw Kościołowi katolickiemu i posiłkowanie się wyrafinowaną, a obłudnie serwilistyczną filozofią, w celu wystawienia wpływów tegoż Kościoła na śmieszność i pogardę, chybiły najzupełniej upragnionego celu.

Trzeba przyznać na pochwałę księcia Bismarcka, iż mimo całej gwałtowności temperamentu, czyniącej niekiedy wrażenie wybuchającego wulkanu, a niekiedy tylko przybierającej pozory przebiegłości dyplomatycznej, nie łudził się ów zdolny i przezorny mąż stanu nigdy, co do rezultatów osiągniętych działaniem własnem i nie zaślepił pozornem powodzeniem.

Wcześnie dostrzegł też Bismarck, że propagowanie ateizmu w szkole, nienawiści religijnych w społeczeństwie, pozbawianie milionów katolickich Niemców ostatnich pociech religijnych i podkopywanie porządku oraz dyscypliny w Kościele, zamiast wytworzyć starokatolików lub zachęcić kogokolwiek do przyjęcia reformy, ożywiło jedynie w stygnących sercach wiarę i zwiększyło aureolę męczeńską Kościoła.

Książę Bismarck, wiedząc o tem doskonale, jak wszelcy męczennicy są niewygodni dla władzy politycznej, postanowił też od dość dawna nie pozować dłużej na Lutra w pruskim hełmie i wyczekiwał na dogodną sposobność zawiązania rokowań. Z początku gdy opozycya parlamentu niemieckiego była nieco słabszą, pragnienia swe ograniczył kanclerz na spotykaniu się u wód zagranicznych z nuncyuszami. Poważniejsze jednak wystąpienia centrum pod przewodnictwem zacnego, a niezmordowanego Windthorsta i spór o wyspy Karolińskie, wpłynęły nagle na przyspieszenie porozumienia.

Nie będziemy powtarzali przebiegu ostatnich wypadków, o których swego czasu zdawaliśmy szczegółowo sprawę. Przypominamy tylko, że nie dzieliliśmy bynajmniej oburzenia prasy katolicko-nie-

mieckiej, wywołanego rozmaitemi grzecznościami, jakiemi Leon XIII obsypał Bismarcka dla tego powodu, że interes Kościoła wymagał koniecznie zakończenia walki, a oparcie stosunków kościelnych na podstawie konstytucyjnej warte było niewątpliwie powyższych grzeczności.

Ostatnią jednak przeszkodą do przywrócenia normalniejszych stosunków kościelnych w Niemczech, było niewątpliwie obsadzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. W tym względzie długoletni opór kuryi rzymskiej, i zaciętość z jaką książę Bismarck odrzucał wszelkich kandydatów Watykanu, najlepiej dowodzi jak wielką wagę przywiązywały obie strony do przeprowadzenia swojego planu. Plan zaś księcia Bismarcka był jasny, wyraźny i można go uważać za ostatnie słowo w przeprowadzanym konsekwentnie systemie, oraz za ostatnie słowo krzyżackiej przebiegłości.

Książę Bismarck postanowił wprawdzie pozornie ustąpić Kościołowi, i przyszłość pokaże, czy z owych urywkowych projektów Gosslera, nie wyrodzi się nagle rabulistyczna interpretacya, pozbawiająca Kościół oczekiwanych korzyści. W każdym razie jednak, tak postanowił ks. Bismarck, ale w zamian za to pragnął otrzymać i otrzymał ustępstwo w tej formie, iż sprawę katolicyzmu odłączono od sprawy narodowej ludności we wschodnich prowincyach, a na stolicy św. Wojciecha i Stanisława osiadł kandydat czysto rządowy, narzucony długiemi staraniami rządu, kuryi rzymskiej.

Wprawdzie kapituły poznańskie nie posiadają prawa wyboru biskupa [1]), ale jakiekolwiek pod tym względem prawa przysługiwałyby rządowi, dla władzy papieskiej prezentowanie kandydatów było tylko prostem wskazaniem osoby, nie obowiązującem bynajmniej do prekonizowania. Ustępstwo zatem kuryi rzymskiej, jest ważnem, jest pierwszą wielką zdobyczą księcia Bismarcka, która na ludności polskiej, musiała sprawić bardzo przykre wrażenie.

Nie potrzebujemy bynajmniej dowodzić, że kurya rzymska ustąpiła dopiero w ostatniej chwili i to pod presyą nieustającą księcia Bismarcka. Widzieliśmy bowiem jak długo trwały negocyacye, od których przywrócenie normalnych stosunków w całych Niemczech

[1]) Rittner: Prawo kościelne katolickie. T. I. str. 269.

zawisło. Uwzględnić także winniśmy fakt, że kurya reprezentuje interes całego Kościoła, obejmującego ludzkość, a nie jedną narodowość, że zatem w duszy Leona XIII odbywać się musiała bardzo poważna walka o to, czy dla nominacyi jednego arcybiskupa wypada narazić spokój kościelny w Niemczech na dalsze rozterki i waśnie z rządem.

Prócz tego jeszcze, koncesyi uczynionej rządowi nie przypisywano może w Watykanie zbyt doniosłych praktycznych następstw. Ksiądz Dinder bowiem jest wprawdzie obcym polskiej narodowości i wątpimy czy posiada stosownie do przepisu soboru Trydenckiego, w należytym stopniu język, jakiego używa lud jego archidyecezyi, ale zaszczyt jaki go spotkał ze strony księcia Bismarcka, nie jest bynajmniej dowodem, aby miał być złym kapłanem i aby nowej godności kościelnej używał dla propagandy politycznej i do obrażania najdroższych uczuć swych wiernych. Niejednokrotnie już na podrzędniejszych biskupstwach zjawiali się nieznani księża z obcem ludności nazwiskiem, którzy następnie okazywali się wybornymi pasterzami i otoczeni byli, wbrew oczekiwaniom rządowym, miłością swych owieczek. Pytanie zatem czy ks. Dinder nie zawiedzie, jak niegdyś Marwitz, oczekiwań rządowych i czy zacna dusza kapłańska nie stłumi w nim natchnień bismarckowskich?

Bądź co bądź wszakże, nominacya ks. Dindera wywarła na umysłach polskich bardzo przykre wrażenie, właśnie dlatego, że to ustępstwo pochodzi od tak szlachetnego Papieża, jak Leon XIII i właśnie dlatego, że ludność archidyecezyi gnieźnieńskiej okazywała w groźnych chwilach tyle gorącej wiary i tyle przywiązania dla Kościoła. Władza papieska jest na wskróś kościelną, a nie polityczną. Dla wiernych więc zwierzchnik Kościoła jest szafarzem sprawiedliwości idealnej, nie zamąconej żadnemi względami ziemskich korzyści i pocieszycielem w strapieniu tem większym, im boleść większa, im krzywda niesprawiedliwsza. Czyż jednak mianowanie księdza Dindera na stolicę św. Wojciecha i Stanisława jest aktem idealnej sprawiedliwości, czy jest pociechą dla strapionych? Wątpimy bardzo i sądzimy tylko, że jest ono wyrazem konieczności dla Kościoła, a wyraz ten przychodzi dla wschodnich prowincyj w bardzo niefortunną chwilę.

Nie wątpimy wszakże, że ludność archidyecezyi w tak tru-

dnych i bolesnych przejściach nie zawaha się spełnić swego obowiązku, a za obowiązek uważamy zastosowanie się do postanowień papieskiej władzy, i nie wzniecanie rozterek, któreby powiększyły tryumf i ohydną radość sfer rządowych pruskich. Niewinna wzmianka korespondenta Gazety Warszawskiej, proponująca przesłanie do Watykanu prośby o niemianowanie księdza Dindera arcybiskupem, przetłómaczoną została natychmiast w szacownym organie p. Pindtera, i posłużyła za denuncyacyę na Polaków przed centrum. — „Patrzcie, wołała płatna gadzina prasowa, jakiemi są oni (polacy) katolikami, religia służy im tylko do robienia rewolucyi, a jak Papież nie chce im służyć, wtedy buntują się przeciw niemu“. — Niewątpliwie więc wszelkie akty nieposłuszeństwa lub niezadowolenia byłyby pracą „pour le roi de Prusse“, a wątpimy bardzo, czy tego rodzaju zajęcie odpowiadałoby pragnieniom agitatorów.

Uważając też propozycyę korespondenta Gazety warszawskiej za wyraz uzasadnionego rozdrażnienia, sądzimy iż po chłodniejszej rozwadze należy od wszelkich aktów waśni, protestów i niezadowoleń chronić się skwapliwie. Ludność archidyecezyi gnieźnieńskiej może to uczynić tem bezpieczniej, iż poczucie publicznych obowiązków jest w niej tak głęboko rozwiniętem, wytrwałość w obronie sprawiedliwości, prawa i rodzinnej ziemi, jest tak wielką i silną, że nie potrzebuje się obawiać niepewnych nominacyj i może być wyrozumialszą dla konieczności, w jakiej się znalazła kurya rzymska, której spokój kościelny w Niemczech musiał być drogim.

II.

KRYTYKI NAUKOWE.

1.

DR. M. W. OLENDZKI [1]).

Historya nauk politycznych od wieku XVI do najnowszych czasów. Część I. Teorye polityczne XVI wieku, poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich. Poznań, 1873.

Praca niniejsza, której rozbiór krytyczny zamierzamy podać, winna była już tem samem zwrócić uwagę publiczną, iż starała się zapobiedz dotkliwemu niedostatkowi, panującemu w literaturze naszej, a dla historyi nauk politycznych stanowiła ciekawy przyczynek, podający w starannem opracowaniu, przebieg tychże nauk w XVI wieku wraz z zastrzeżeniem, iż w krótkich odstępach czasu, wyjdą nowe części, traktujące o wiekach następnych.

Nadmieniamy pokrótce, iż innym literaturom nie brak ani prac, rozbierających krytycznie poglądy znamienitszych pisarzy politycznych [2]), jak Machiavelli, Bodin, Grotius, ani też dzieł, podających rozwój nauk politycznych w całości. Na czele tych ostatnich, jako utwór pomnikowy i jedyny w swoim rodzaju, należy wymienić R. Mohla: Geschichte und Literatur der Staatswissenschaften, gdzie obok zdumiewającej erudycyi, spotkać można wyczerpującą krytykę i prawie idealnie bezstronny sąd. Obok tego dotąd nieporównanego dzieła, zasługuje także na uwagę Bluntschliego: Geschichte des allgemeinen Staatsrechts und der Politik. Bluntschli podaje historyę nauk

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Ekonomiście w r. 1874.

[2]) Nic. Machiavelli doczekał się tak licznych krytyk i rozmaitego wykładu swych myśli politycznych, iż prace o nim stanowić mogą odrębną literaturę.

politycznych od XVI wieku począwszy, gdyż starożytni pisarze są zaledwie kilku słowami uwzględnieni; praca jego jest więcej luźnem zestawieniem różnych teoryj, bez wykazania ich organicznego związku z życiem politycznem, a przedewszystkiem z prawodawstwem pozytywnem. Nietylko dla wymienionych powodów dzieło jego stoi o wiele niżej od pracy R. Mohla, lecz i dla niedbałości z jaką jest wiek XIX przedstawiony. Pisarze tej doniosłości co Tocqueville, Eötvös, Mohl, Buckle, Laboulaye, Mill, są tylko pobieżnie wzmiankowani, a sąd o ich pracach nie jest w stanie zadowolnić.

Nie tyle głębokim poglądem krytycznym, jak dokładnością przedstawienia i wdzięcznością formy odznaczają się dzieła, w każdym razie znacznej wartości, pp. Janet i Czyczerin (Histoire de la science politique i Исторія Политическихъ ученій), chociaż u Janet'a spotykać się dają pewne opuszczenia, odnośnie do literatury niemieckiej. Tak np. prócz małej, nic nie znaczącej wzmianki o Anti-Machiavellu Fryderyka Wielkiego (t. II, str. 110), nie napotykamy żadnego rozbioru jego pism politycznych — co w każdym razie jest pewnem zaniedbaniem, przynoszącem ujmę tak poważnemu pisarzowi.

Literatura polska jest dotychczas w tym kierunku bardzo ubogą. Nietylko wyczerpujących monografij trudnoby się było doszukać, (za takie bowiem nie można brać ulotne pisemka o Machiavellim, jakie się ukazały), lecz nawet pobieżnej historyi nauk politycznych, opracowanej choćby podług obcych dzieł, a nie opartej na bezpośrednich źródłach, dotąd nie posiadaliśmy. Jednakże niezbędna potrzeba takiej pracy da się łatwo wykazać, jeśli wogóle rozkrzewianiu się nauk politycznych wśród społeczeństwa zechcemy przypisać pewną wartość. Jedynie znając rozwój nauk politycznych, a mianowicie: jak się powolnie oddzielały od teologii, moralności, od dziedziny prawa prywatnego, jak się kształciły same w sobie, rozkładając na nowe gałęzie, jak z luźnych faktów, spostrzeżeń nie mających pozornie związku, przeistaczały się w naukę świadomą celów — jedynie na tych podstawach możemy dojść do prawideł rozwoju nauk politycznych, a przedewszystkiem mieć stałe, najlepszemi rękojmiami otoczone kryteryum dla prac tegoczesnych. Zarówno w tym kierunku, jak i w innych, okazuje się historya naszą mistrzynią, ową „magistra vitae", bez której trudno stawiać pierwsze

kroki, a cóż dopiero posuwać naukę naprzód, pchać ją nowemi tory. Z tych też powodów dr. Olendzki, zapowiadając historyę nauk politycznych od wieku XVI do najnowszych czasów i poddając pod sąd publiczny część pierwszą, obejmującą teorye XVI wieku, mógł słusznie spodziewać się, iż obudzi zainteresowanie się ogólne i zajęcie jego pracą.

Teorye polityczne dra Olendzkiego są poprzedzone wstępem, w którym autor stara się wykazać główne spory, zachodzące w wiekach średnich. Wstęp też okazał się niezbędnym ze względu, iż trzeba było uprzedzić czytelnika choć w kilku słowach o stanie nauk przed XVI wiekiem, o głównych potęgach społecznych, ich stosunku wzajemnym do siebie, o organizacyi politycznej, gdyż ich wpływ na naukę da się wykazać na każdym kroku i bez znajomości tych stosunków nauka jasną stać się nie może. Jakkolwiek wstęp powyższy w całości rozważany, zaleca się żywością i jasnością przedstawienia, chociaż znać oczytanie się autora i przygotowawcze studya, to jednakże pozwolimy sobie zwrócić uwagę na pewne miejsca, które winny być dokładniej rozwinięte i ściślej sformułowane. Wstęp miał za zadanie scharakteryzować stan społeczeństw i państw przed XVI wiekiem, wykazać przyczyny walk społeczno-politycznych w poprzednich czasach, aby na tej podstawie zrozumieć można było teorye XVI wieku i zaciekły spór, toczący się o właściwy stosunek kościoła do państwa. Jedną z takich walk XIII, XIV i XV wieku, która miała niezmierną doniosłość dla ustroju politycznego państwa, była walka możnowładztwa z mieszczaństwem, czyli inaczej mówiąc, współzawodnictwo kapitału z własnością uprzywilejowaną gruntową. We wstępie dra Olendzkiego nie spotykamy się z wykazaniem skutków, jakie ta walka wywarła i wogóle dostrzedz można pewne zapoznanie potęgi mieszczaństwa, chociaż ocenienie właściwe należało bezwarunkowo do zakresu jego pracy. Z tego powodu, wzrost władzy monarchicznej w XV i XVI wieku, walka władzy państwowej z kościołem, notowane i akceptowane są przez dra Olendzkiego, jako fakta dokonane; wykazanie przyczyn jednak, które temi objawami kierowały, pozostawia zawsze coś do życzenia.

Wykazanie wpływu i znaczenia mieszczaństwa, bez którego

historya XIII, XIV i XV wieku jest niezrozumiałą, byłoby ochroniło wstęp powyższej pracy od pewnych niedokładności, a nawet pośrednio wyjaśniło walkę religijną wieku XVI. Od XIII wieku miasta, reprezentujące coraz wybitniej uorganizowaną pracę przemysłową, przedstawiają dla historyi jak najważniejsze pole badań. Jak tylko kapitał dosięga pewnego znaczenia i stosunki przemysłowo-handlowe, zaczynają się krzewić, prawa dawne germańskie okazują się niedostatecznemi, a wykończone i będące zabytkiem wyższej kultury prawo rzymskie, za pośrednictwem miast, zostaje w Niemczech recypowane [1]).

Inne i ważniejsze jeszcze następstwa wywołało starcie się możnowładztwa z mieszczaństwem w XIV i XV wieku i w niem należy szukać bezpośredniej przyczyny nagłego wzrostu władzy monarchicznej w tymże czasie. Nie tu miejsce przypominać, jakie pobudki wywołały tę walkę, zresztą wspominaliśmy o nich już na innem miejscu [2]), obecnie tylko powtarzamy, iż monarchizm, wyzyskując zręcznie strony walczące, zdołał odzyskać część funkcyj władzy państwowej, pozyskać od miast środki materyalne, niezbędne do utworzenia armii stałych. Jednem słowem zrzucił z siebie dotychczasowy charakter opiekuńczy i wystąpił czynnie jako reprezentant najwyższy państwa i jego zadań. W logicznem następstwie, tak jednolitej i wzmocnionej władzy państwowej, dotychczasowy stosunek do kościoła podobać się jej nie mógł, w rzeczywistości bowiem, zapewniając jednostce bezpieczeństwo i rozwój pracy, miała ona równe prawo jak i kościół, nazwać się „anima“, lub porównywać ze słońcem. Państwo przyszło w XV i XVI wieku do samowiedzy i poczucia własnych sił, — nikt nie mógł zaprzeczyć, iż równie jak kościół, czy to za pośrednictwem szkoły, czy rozsądnemi prawami przyczyniało się do uobyczajenia jednostki, a starcie z kościołem, który w tej dziedzinie przypisywał sobie monopol, musiało być nieuniknionem. W tej walce również mieszczaństwo, reprezentujące inteligencyę, oświadczyło się za monarchizmem i z niezachwianą wiernością stało po jego stronie. W niem też znalazła władza państwowa najwa-

---

[1]) Dankwardt: Nationalökonomisch-civilistische Studien, str. 29.

[2]) O gminie, jej organizacyi i t. d., patrz: Historyę gminy miejskiej.

żniejszą podporę w walkach przeciw możnowładztwu i kościołowi i dlatego pominięcie tej najważniejszej potęgi społecznej wieku XIII, XIV i XV, musimy zaliczyć do stron ujemnych wstępu dra Olendzkiego.

To co autor na str. 33 mówi o partyi ludowej, stronnictwie ludu i t. p. nie zmniejsza niejasności, gdyż te same wieki obfitują w walki klas rolniczych z możnowładztwem, które przyczyniły historyi kilka scen prawdziwie tragicznych (wojny chłopskie), ale na ustrój państwowy oddziałały nieznacznie.

Tak samo, pomimo wielu ciekawych szczegółów, nie znajdujemy dość stanowczo zdefiniowanych przyczyn, jakie wywołały spór między kościołem a państwem w XVI wieku i o jakie roszczenia głównie tę walkę toczono, a jednak wartość tej pracy przez powyższe, ściśle naukowe streszczenie niechybnieby się zwiększyła.

Pojmujemy dobrze, iż w ogólnym wstępie trudno wszystko pomieścić, dlatego też bynajmniej nie przeceniamy wartości stawianego zarzutu, w każdym jednak razie, wyrażamy żal, iż autor nie zwrócił uwagi na pracę Ostroroga [1]), z której tak łatwo mógł dojść do najważniejszych punktów sporu kościoła z państwem i przekonać się, iż nie były lokalnemi, lecz uniwersalnemi.

Całą literaturę polityczną XVI wieku, dzieli autor na trzy części: 1) Teorye reformatorów i pamflety polityczne protestantów; 2) teorye i pamflety partyi katolickiej; 3) pisma i teorye partyi polityków umiarkowanych, starających się o pojednanie przekonań skrajnych i w tym też porządku podaje dr. Olendzki poglądy znakomitszych autorów. Do kategoryi pierwszej są zaliczeni reformatorzy, prócz tego Seb. Castalion, T. Beza, Fr. Hottoman, J. Poynet, G. Buchanan, H. Languet i de la Boëtie.

Zanim przystąpimy do uwag o tej części pracy dra Olendzkiego, musimy wyrazić nasze zdziwienie, iż między pisarzami politycznymi XVI wieku, nie spotykamy w jego książce Machiavella. Nic. Machiavelli urodził się w prawdzie w 1469 r., lecz pisał w XVI wieku, a pierwsze wydanie jego dzieł wyszło dopiero w 1531 r.; przytem

[1]) Monumentum comitiis generalibus regni sub rege Casimiro pro reipublicae ordinatione congestum.

stanowisko jego w historyi nauk politycznych, wpływ na pisarzy późniejszych nakazywały nie pomijać tak wyniosłej postaci i brak podobny przynosi zawsze ujmę pracy dra Olendzkiego. Historya prawa państwowego, niezależną swą egzystencyę datuje nie od Booin'a, jak to autor mieć chce lecz od uczonego włoskiego, któremu przyznano w historyi zasługę oddzielenia teologii od nauk politycznych [1]) i zastosowanie do tych ostatnich dokładniejszej metody doświadczalnej [2]). Przytem opracowanie dokładne poglądów N. Machiavelli, ile nie przedstawiało zbytecznych trudności, ze względu na wyborne prace krytyczne, znajdujące się w literaturze niemieckiej, o tyle byłoby z pewnym pożytkiem dla społeczeństwa, gdyż w pismach włoskiego polityka istnieją znaczne sprzeczności (dość porównać uwagi o księgach Liwiusza z traktatem o księciu), wymagające objaśnień.

W ustępie pierwszym o pismach stronnictwa protestanckiego, spotykamy się z dość trafnem i dokładnem ocenieniem poglądów Lutra, to jednak, co autor pisze o Franco-Gallii Hottomana, musimy uważać za zupełnie mylne. W określeniu Hottomana, iż ten rząd najlepszy, „który łączy w sobie i miarkuje potrójny element królewszczyzny, arystokracyi i ludowładztwa i t. d.“ niema ani iskry samodzielności i jest to tylko powtórzenie tak zwanej formy państwa mięszanej, określonej przez Cycerona, a którą i Machiavelli udoskonalił i w zupełności przyjął.

W Cycerona traktacie o państwie, księdze pierwszej [3]), spotykamy wszystko, co Hottoman wygłosił, tylko że polityk rzymski odznaczał się nierównie większą przenikliwością myśli i logicznością w stawianiu wniosków. Tak samo N. Machiavelli w traktacie o państwie (czyli uwagi nad księgami Liwiusza), przyjmuje zasadnicze myśli Cycerona [4]), a za wzór takiej formy państwa uważa Rzym, a po części Spartę. Trudno więc pojąć dlaczego dr. Olendzki w zapatrywaniu się Hottomana, w którem myśli i słowa wiernie są kopiowane, widzi „ni mniej, ni więcej jak tylko zasadę konstytucyi

[1]) Bluntschli: Geschichte des allg. Staatsrechts, str. 8.
[2]) Mohl: Gesch. und Liter. der Staatswissenschaften. T. III, str. 539.
[3]) Tłómaczenie Rykaczewskiego, str. 39.
[4]) Niemieckie tłóm. Zieglera, t. I, str. 15.

angielskiej". którą przeczytawszy „osłupiał ze zdumienia" (str. 59). Gdyby tak było rzeczywiście, to zasady konstytucyi angielskiej byłby już przewidział Cycero i takowe nie różniłyby się w niczem od podstaw konstytucyi rzymskiego państwa. Lecz i na ten wniosek dra Olendzkiego, nie jesteśmy w stanie się zgodzić. Podstawy, na których opierała się trwała budowa państwowa Anglii, spoczywały nieco głębiej i nie dadzą się objaśnić tak czczemi słowami, jak łączenie i miarkowanie elementu królewszczyzny, arystokracyi i ludowładztwa. Podwaliny te istniały w swobodnej pracy zarówno rolnej, jak i przemysłowej, o której Cycero nie mógł mieć jasnego wyobrażenia i w równości prawnej, to jest w zasadach, do których ląd stały po uporczywych walkach, zaledwie w najnowszych doszedł czasach. Te wcześnie w Anglii zdobyte zasady, nie dozwoliły przykuć klas rolniczych do gleby, utworzyć się mieszczaństwu w stan oddzielny, pozyskać arystokracyi odrębnych przywilejów, ale łącząc wszystkie warstwy społeczne wspólnemi prawami i obowiązkami, wytworzyły tę pełność życia politycznego, ów zdrowy i silny organizm państwowy, który, jak słusznie zauważył Gervinus [1]), łączył w sobie przymioty rządów monarchicznych, teokratycznych, arystokratycznych i demokratycznych. Dla tych też powodów, na krytykę Hottomana i wnioski stawiane przez dra Olendzkiego, w żaden sposób zgodzić się nie możemy. Z innych teoryi, jakie autor ocenia, zaleca się przedewszystkiem dokładnością przedstawienia rzecz o Bodinie, co tem bardziej jest uznania godnem, iż znaczenie Bodina dla nauki jest niezmierne, a literatura polska, prócz jego nauki o wpływie klimatu na państwo, ocenionej w tymże roku przez prof. Oczapowskiego [2]), nie posiada pełniejszego opracowania. Lecz i tu musimy dra Olendzkiego zaczepić o kilka szczegółów. Tak np. na str. 132, ze słów Bodina: „państwo winno naśladować naturę", wnioskuje dr. Olendzki w przypisku, iż Bodin „kładzie widocznie początki dla uważania państwa, jako jestestwa organicznego". Ze słów tak niewyraźnych jak przytoczone, trudno wnioskować o wykształconem pojęciu u Bodina, inaczej bowiem, postępując tą metodą, moglibyśmy u wszyst-

[1]) Geschichte des XIX Jh., patrz Einleitung.
[2]) Wpływ klimatu na państwo, publikowane w Ekonomiście.

kich pisarzy dopatrzeć się tej teoryi, np. Hobbes, w definicyi państwa wyraża się: „civitas ergo est persona una“ i t. d., coby równe domysły sprowadzić mogło, a jednak całość dzieła wykazuje, iż do zwolenników powyższego poglądu, bynajmniej nie należał. Również pozostanie niezrozumiałem dlaczego Bodin miał „kłaść widocznie początki“, dla poglądu uważającego państwo jako organizm, gdy Arystoteles uczynił to w sposób nierównie wydatniejszy, nie ulegający żadnemu zaprzeczeniu. Tak samo nie możemy się zgodzić z autorem, aby pogląd powyższy miał znaleść w dzisiejszych czasach najznakomitszego przedstawiciela w osobie prof Bluntschliego. Zasłużony uczony Szwajcaryi, nie był ani pierwszym w nowszych czasach, który pomysł wspomniany na nowo rozwinął, ani też nie opracował go najkonsekwentniej.

Przed nim już Krause i Trendelenburg [1]), położyli w tym kierunku znaczne zasługi, a opracowanie powyższego poglądu przez Steina (Vollziehende Gewalt), ma daleko większą wartość jak Bluntschliego. Również wątpliwem jest to, co autor na str. 291 mówi, iż Bluntschli później przekonania swoje, jakie ogłosił w Psychologische Studien über Staat und Kirche umiarkował. gdyż czwarte wydanie Allgemeines Staatsrecht (1868), t. I. str. 76 przekonywa, iż poglądy z 1844 r. najzupełniej potwierdził i za słuszne uważał.

Na stronie 147 czytamy, iż „najnowsi systematycy prawa publicznego potworzyli nieskończoną moc definicyj państwa, z których najobjektywniejszą wydaje się dr. Olendzkiemu definicya profesora Zoepfla „der Staat ist der gesellige Zustand einer ansässigen Völkerschaft“, lecz i tu nie możemy się zgodzić ze zdaniem dra Olendzkiego, gdyż definicyę Zoepfla uważamy za jedną z najsłabszych, a to z następujących powodów: Każda definicya winna być uogólnieniem treści, jaka się w rzeczy definiowanej zawiera, w niej abstrakcyjnie muszą być przedstawione najważniejsze momenta, jednem słowem to, co bezwarunkowo istotę rzeczy stanowi. Tymczasem definicya Zoepfla jest pod tym względem najzupełniej niewystarczającą. Państwo przedstawione jako „stan uspołecznienia osiadłego ludu“,

---

[1]) Ueber die sogenannte organische Staatstheorie. A. v. Krieken, str. 98 i dalsze.

nie zawiera właśnie istotnych cech państwa, chociaż do pewnego stopnia znajdujemy stan podobny w historyi, który może istnieć po dziś dzień w częściach świata, mających mniej rozwiniętą kulturę. O organizacyi politycznej ludu, w której jednostka poddaną być musi wyższej zwierzchniczej i świadomie działającej woli, niema tu ani wzmianki, a jednak bez tego, państwo nie da się określić dokładnie. Nie rozumiemy też, dlaczego dr. Olendzki nie poszedł tym razem za Bluntschlim, o którym słusznie ze czcią się wyraża, i nie przyjął jego definicyi, którą musimy za nierównie lepszą uważać, mianowicie: „der Staat ist die politisch organisirte Volksperson eines bestimmten Landes“ (All. Staats. t. I, str. 41, 1868), lub ostatecznie z uwag Gerbera, wyrażonych we wstępie do jego cennej pracy [1]), nie ułożył trafniejszego określenia.

Na tem kończymy uwagi o części traktującej poglądy zagranicznych pisarzy i przechodzimy do rozdziału pod tytułem: „teorye publicystów polskich“.

Jeżeli gdzie, to w powyższym rozdziale otwierało się rzeczywiście wdzięczne pole do pracy dla dra O., jeśli bowiem w poprzedniej części trzeba było niezwykłego talentu, aby utworowi nadać piętno samodzielności i uchronić się od zarzutu kompilacyi, wobec takich dzieł jakie obce literatury posiadają, to w polskiej literaturze politycznej pozostawało dużo do zrobienia. Nieliczne prace, jakie spotkać można, bynajmniej nie wyczerpują przedmiotu, a teorye najznakomitszych pisarzy politycznych, jak np. Leszczyński, Konarski, Kołłątaj [2]), są pozostawione bez oceny, lub jak Ostroroga, Modrzewskiego, ocenione niedostatecznie. Do tej pory słowa w Zwiastunie Ewangelicznym wygłoszone [3]), wyrażają zupełną prawdę, iż „smutek napełnia serce, na widok synów, którzy ojcowskich pomników nie potrafili wydobyć na jaw i powiedzieć swoim i obcym, patrzcie — to chwała naszej przeszłości“. Spodziewać się też należało, iż autor przystąpi do tej części z wszelką gorliwością, iż ją opracuje starannie, z zamiłowaniem przedmiotu, jakiem się jego studyum w ogóle odznacza, lecz oczekiwanie to, musimy z żalem

[1]) Grundzüge eines Systems des deutschen Staatsrechts, str. 1 i dalsze.
[2]) Praca Schmitta o Kołłątaju, może tylko uchodzić za biografię.
[3]) Rozprawa o Modrzewskim, r. 1863, str. 121.

doznało zawodu. Wprawdzie w szeregu przedstawionych teoryj, widzimy rzeczy drugorzędnej wartości, jak np. pisma bezimienne, lub utwory Andrzeja Wolana, co dowodzi niezaprzeczenie, iż dr. Olendzki zbierał skrzętnie materyały; również na krytykę Orzechowskiego, chętniebyśmy przystali, zastrzegając się tylko przed niektóremi krewkiemi wyrażeniami. Nie brak więc i tu stron dodatnich, ale niedostaje wogóle wykazania cech charakterystycznych, teoryj polskich pisarzy, jak te cechy wypływały z życia narodu, a przedewszystkiem ocena najwznioślejszego pisarza XVI wieku w Polsce, Frycza Modrzewskiego jest niedbała, i zdaniem naszem w wielu miejscach mylna. Winniśmy się usprawiedliwić z zarzutu, dlatego też przystępujemy bezpośrednio do bliższych wyjaśnień.

Opisując życie Frycza, dr. Olendzki nadmienia, iż wyczerpujący rozbiór dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej“, napisał tylko p. Tarnowski. Inne zaś prace o Fryczu prócz tej i Małeckiego, nie zasługują na wzmiankę. O ile rozprawa zasłużonego literaturze prof. Małeckiego posiada w swym zakresie wartość, nie tutaj właściwe miejsce orzekać, to jednak pewna, iż nie zajmuje się wcale krytycznym rozbiorem teoryj politycznych Frycza i pozostawia tę ważną pracę innym uczonym.

Co do rozprawy Tarnowskiego, ta znowu, pod względem świetności stylu, śmiało za wzór służyć może, gdzieniegdzie dadzą się spotkać i trafne uwagi, lecz cóż, kiedy mimo cytowania Machiavella znać brak zasad nauk politycznych i najważniejsze kwestye są zazwyczaj pominięte.

Istnieje jednak jeszcze jedna praca w polskiej literaturze, godna pod każdym względem wzmianki, a nią jest rozprawa bezimiennego autora, zamieszczona w Zwiastunie Ewangielicznym za r. 1863. Ma ona bezwątpienia mniej pretensyonalności i niepotrzebnych opowiadań, jak rozprawa hr. Tarnowskiego, ale odznacza się wiernem przedstawieniem najważniejszych poglądów Frycza i trafnym, choć krótkim sądem.

Charakteryzując pisma Frycza, dr. Olendzki dochodzi do przekonania Tarnowskiego, „że Modrzewski to moralista, nie polityk“ i zdanie powyższe dość często w swej ocenie powtarza. Nie możemy się zgodzić na podobne pojęcie, jakkolwiek ono zapo-

życzone od hr. Tarnowskiego i przedewszystkiem winniśmy sobie zdać sprawę, kogo możemy nazwać politykiem, lub pisarzem politycznym. Myśliciel, który stawia sobie za zadanie, zbadać istotę państwa, zakres władzy państwowej, cele jakie objąć winna i ustrój, w jakim się pojawić musi, nie może być zaliczonym do kategoryi moralistów. Że w XVI wieku pisząc, nie mógł Frycz wytworzyć tak skończonego traktatu, jakby się tego po uczonych niemieckich XIX wieku spodziewać było można, to się rozumie samo przez się. Że w XVI wieku nauki polityczne nie zdołały się jeszcze w zupełności wyzwolić od nauki moralności, teologii i praw prywatnych, że wskutek tego w utworach tego czasu spotykamy wiele rzeczy, dziś wydających się niepotrzebnemi, to nie odejmuje im charakteru właściwego i autorowie ich pozostaną w całem znaczeniu tego słowa, politykami XVI wieku. Jest to może jedyny przykład w literaturze powszechnej XV wieku, aby się kto tak wyłącznie oparł na gruncie prawno-politycznym, jak Ostroróg; — jeśli jednak weźmiemy późniejsze utwory, jak np. pisma Miltona, słusznie cenione w historyi, ileż tam żywiołów obcych właściwemu przedmiotowi. Nawet Grotius, pomimo, iż dzieło jego stanowi epokę w historyi prawa międzynarodowego, nie jest bynajmniej wolnym od powyższego zarzutu, a gdybyśmy zechcieli przejrzeć literaturę XVIII wieku i tam znajdziemy nie jeden przykład. Czem są np. obszerne ustępy o tem, jak się ma kształcić monarcha, jakimi obyczajami winien się odznaczać? które spotykamy w pismach Fryderyka Wielkiego, a jednak wśród tej obcej przymieszki, narzuconej duchem czasu, tkwiły w pismach wzmiankowanych myśli prawdziwie polityczne, które im zapewniły wiekopomne miejsce w historyi nauki i trudno dla podobnych przyczyn przekształcać Frycza na moralistę. Właśnie zadaniem dra Olendzkiego, było wydobyć na jaw wszystkie pojęcia polityczne Frycza, oczyścić je z niewłaściwych elementów, oświetlić krytyką i wyznaczyć odpowiednie miejsce w literaturze powszechnej, to jednak jest albo zaniedbane, lub też mylnie wykazane, a jednak postaramy się choć w krótkości udowodnić, iż nie brak było dziełom Frycza, myśli czysto-politycznych, które przodowały swemu wiekowi, lub wzięte od innych, dokładniej zostały rozwiniętemi. Tak np. pojęcie państwa, przejęte z Arystotelesa i wyłożone jasno przez Frycza, jest

rzeczą dość ważną i nie zasługującą na lekceważenie. Jeżeli Bluntschli [1]) przypisywał dziełom Fryderyka Wielkiego po części dlatego wysoką wartość, iż arystotelowskie pojęcie państwa, jako organizmu, znowu jasno przedstawiły, to trudno zrozumieć dlaczego Frycz, uczyniwszy to samo przed dwoma wiekami, niema zyskać uznania i dlaczego dr. Olendzki ten objaw zupełnie obojętnie traktuje. Pojęcie Arystotelesa nie było definicyą „wiecznie tą samą“, którąbyśmy „mogli znać na pamięć“, z innych autorów XVI i poprzednich wieków. To tylko powiedzieć można o jego podziale form państwa. pojęcie zaś „organiczne“ państwa zaginęło na długi czas, ani Machiavelli, ani Bodin nie przejęli go na nowo, i wskrzeszenie go w historyi nauk jest niemałą zasługą Frycza. Przystępujemy teraz do rozdziału o królu, który dr. Olendzki nazywa „czczą gadaniną“, „bez najmniejszej szczypty politycznego rozumu“ ograniczając się na tem absolutnem orzeczeniu i nie przytaczając żadnego dowodu. Rozdział o królu odznacza się przedewszystkiem oryginalnością pojmowania, gdyż stara się dla politycznych racyj uzasadnić monarchię elekcyjną. Widzimy tu niezaprzeczony wpływ stosunków miejscowych na Modrzewskiego, że z nich czerpał wątek do swoich teoretycznych wniosków, a jakkolwiek przyszłość okazała mylność jego obliczeń, gdyż elekcya królów sprowadziła na państwo wiele złego, to jednakże nie można zaprzeczyć rozumowaniom ani logiczności, ani zręczności. — Ale pomijając wybieralność królów, gdzie konsekwencyi politycznych nie zdołał przewidzieć, starajmy się zrozumieć u Frycza zasadnicze pojęcie monarchizmu i jego misyi politycznej, a z pewnością przyznamy, iż żaden z pisarzy XVI wieku nie stoi na jego wyżynach. „Monarcha jest przełożonym ludu, nie dla siebie, ale dla tegoż ludu [2]), nic nie masz jego własnego, ale wszystko Rzeczypospolitej; a o te rzeczy, które są wspólne wszystkich, będzie się starał, jakoby wszystko przynosiło zacność i pożytek Rzeczypospolitej; dla swoich pożytków, nic chciwie nie będzie poczynał, on dobra ludu swego nigdy nie odłączy“. Dalej uważa to za obowiązek, aby król całą Rzeczpospolitą umiłował, a nie dopuścił żadnej części jej być opusz-

[1]) Geschichte des allg. Staatsrechts und der Politik, str. 240.

[2]) O naprawie Rzeczypospolitej, wyd. z 1770 r., por. str. 87. 72, 73 i 78.

czoną, przedewszystkiem zaś o to winien się starać, aby postanowił między obywatelami, ileby mogło być porównanie. Nie rozumie tu Frycz absolutnego porównania — aby wszystkie rzeczy były między niemi wspólne, albo żeby bogatym ujmować, ubogim dawać, ale każdego w karbach utrzymać, a jeśli przejrzymy uważnie ustęp o statutach, to i aby równość wobec praw przeprowadzić". „Takieć też y sprawiedliwość y zgoda prawa a stateczna y trwała między obywatelami nie będzie, bez onego porównania, które w sercach ludzkich sprawić na samego tylko króla należy". Cytowane ustępy wystarczą, abyśmy „rozwlekłą gadaninę" ocenili trochę inaczej. Pojęcie monarchizmu jakie Frycz rozwinął, stoi nawet na wysokości dzisiejszej nauki, i śmiało możnaby go użyć na określenie monarchizmu konstytucyjnego. Przeniesiemy się teraz do rozdziału o prawach, aby wykazać jak doskonale Frycz rozumiał, że niezbędnym warunkiem zdrowego ustroju państwa, jest równość prawna. „Nic tedy nie jest Rzeczypospolitej szkodliwszego, jako praw a karania różność, wedle różności występujących, bo jednym, a jednakim głosem prawo ma do wszystkich mówić [1]). Jakoż tedy to prawo może być chwalone, które nie jednako jest wszystkiej Rzeczypospolitej pożyteczne, które jednakie cnoty nie jednakiemi zapłatami nagradza ani teyże złości, której się różni jednako dopuszczają, nie jednakiem karaniem karze?" — Świetnym jest ustęp, w którym wykazuje następstwa różności praw, tej podwaliny organizacyi stanowej, i jak ona rozdwaja społeczeństwo. „Izali dla Boga ta sprawa nie jest takowa, która dwu Rzeczypospolitych potrzebuje dla tych dwoyga rodzaju ludzi? a tak dalece od siebie oddalonych, iż z jednej do drugiej przystęp żaden nie może być, że też jedna od drugiej pomocy nie potrzebuje, tak, że się ich obywatele między sobą nie pojmują, ani się znają, naostatek że też ani wody, ani powietrza, ani słońca nie mają wspólnego. Bo to co u nas jest w obyczaju, iż oboi ludzie, mieszkając w jednej Rzeczypospolitej, dla jednej przyczyny jedne ścinają a drugim folgują, aza nie poszło na dziw?" I tu wyprzedził Frycza Ostroróg w jednym zwięzłym artykule [2]),

---

[1]) O naprawie Rzeczypospolitej, porów. str. 288, 280 i 282.

[2]) Monumentum i t. d. Cap. XXXII.

ale konsekwencye są mimo to tak jasno postawione, doniosłość równości praw tak głęboko pojęta, iż tym razem Frycz odczuł zupełnie potrzeby państwa konstytucyjnego, w dzisiejszem znaczeniu tego słowa.

Przystąpimy teraz do rozdziału o Senacie, Izbie poselskiej i rozważymy go łącznie z rozdziałem o walnych sejmach. Dr. Olendzki zaledwie wzmiankując o nich, oświadcza, iż powyższe instytucye traktuje Frycz, „jako surowy moralista“, chociaż jeżeli gdzie, to przynajmniej w tych artykułach, powinien się był czegoś więcej dopatrzeć nad surową moralność.

W rozdziałach tych potrzebę reprezentacyi tłómaczy Frycz tem, iż król nie może spełnić wszystkich powinności i urzędów, przeto musi być pewien podział pracy i dlatego jest wszędzie obyczaj, „iż królom senatory i inne urzędniki przystawiają, którzyby z nimi Rzecząpospolitą rządzili [1])“. Przeważne miejsce naznacza Frycz w zgromadzeniu prawodawczem senatowi, który ma być przedewszystkiem pospolitego dobra i zacności stróżem, przygotowywać prawa, rozbierać najważniejsze kwestye, t. j. zająć mniej więcej takie stanowisko, jak izba lordów w Anglii w XV wieku (prócz dziedziczności urzędu). Izbie poselskiej jest przeznaczone więcej bierne, chociaż i tak ważne stanowisko, zgodne z tem, jakie zajmowała izba niższa w Anglii w XV wieku. „Posłowie ustawy wszystkie pilnie przeglądają, jeśli co Rzeczypospolitej szkodliwego być widzą, aby się przeciw temu zastawili. A przetoż żadne prawa, ani ustawy nie są ważne, jedno na które posłowie ziemscy pozwolą“. Trudno tu wszystkie ciekawe ustępy przytaczać, jak np. o radzie przybocznej króla i t. d., musimy jednak zwrócić uwagę na dwa miejsca niepospolitej doniosłości, gdyż w nich okazał Frycz tyle zmysłu prawdziwie politycznego, wniknął tak głęboko w naturę rządów reprezentacyjnych, iż ani Machiavelli, ani Bodin, nie mogą tym razem stanąć obok niego.

Na str. 94 narzeka Modrzewski, iż posłowie na sejmie, uważają się za reprezentantów stanu, nie zaś Rzeczypospolitej, iż nie tak dalece o Rzeczpospolitą dbają, jako pilnie wolności swoich bronią i ostrzega: „aby z tego, kiedy Rzeczpospolita wielkiej szkody nie

[1]) O naprawie Rzeczypospolitej, porów. str. 92, 98.

wzięła z wielką stanu ich sromotą i nędza". Trudno było określić lepiej w kilku słowach obowiązki reprezentantów państwa. Drugi ustęp nadzwyczaj ciekawy (str. 91) mówi o stanowisku króla wobec sejmu i motywuje potrzebę jednolitej władzy wykonawczej, oraz siły rządu. Jest on za długi, abyśmy go mieli w całości przytaczać, poprzestaniemy też na wiernem streszczeniu. „Reprezentacya jest dlatego, iż trudno, aby jednemu człowiekowi, któryby nie umiał rządzić i namiętnościom, albo popędliwościom serdecznym dał się unosić wszystka sprawa Rzeczypospolitej miała być poruczoną". Dlatego też król musi się podpierać cnotą i mądrością wielu ludzi, ale sam rządzi. Bo łacniej jednego panowaniu posłusznym być niźli wielom, łacniej jednego bystrość pohamować i nazad cofnąć, niźli wielu. Król zatem ma ustawy około sprawowania rzeczy czynić [1]) i wykonywać, niepewne a wątpliwe rzeczy rozwiązywać, każdego obywatela w prawie i powinności utrzymać, być wodzem, pokój zachować i od nieprzyjaciela bronić. Gdyby bowiem było wiele władz takich w Rzeczypospolitej, częstoby się trafiały i zawikłane trudności i każdy chciałby to czynić, coby mu się lepszem zdawało. Równie bogatym w myśli polityczne jest krótki rozdział o walnych sejmach (str. 375), dowodzi on dostatecznie jak wybornie pojmował Frycz stanowisko reprezentacyi w państwie i o ile wyżej wzniósł się pod tym względem od pisarzy współczesnych. Przedewszystkiem chce Frycz dobrych i dostatecznych sądów, ażeby od sejmów odłączyć element sądowniczy, przez co czas sejmowania skróciłby się. Sejm winien się zbierać co rok, dla opatrzenia ran wszystkich Rzeczypospolitej i dla ulepszenia jej; dla posłów postronnych, którzy od swych panów na sejm bywają wysłani, dla wywiedzenia się o chęci postronnych narodów przeciwko nam, czy od nich bezpiecznо, czy trzeba wojnę podnieść i jak zabieżyć nieprzyjacielowi, czy trzeba podatek dla Rzeczypospolitej ustanowić. Są i inne sprawy, które bez sejmu nie powinny się odbywać, choć w innych krajach, pozostawiono je zwierzchnim panom, a najważniejszą z nich jest rozchodów z skarbu liczba y ostatka dopatrzenie", — czyli jednem słowem, całe gospodarstwo finansowe państwa, chce Frycz poddać

[1]) T. j. rozporządzenie jak wykonać prawo.

kontroli sejmu. Obrady sejmowe winny trwać tydzień, lub dwa, a służba posłów winna być honorową, żeby zbytecznie skarbu publicznego nie obciążać. Jeśli zdania cytowane, pełne politycznego rozsądku i przenikające nawskróś istotę rządów reprezentacyjnych, porównamy z pojęciami Bodina (Teorye polityczne, str. 158), które się nie wzniosły ponad wadliwą reprezentacyę stanową i przyznawały stanom tylko prawo obrady, prośby, przedstawienia, pozostawiając monarsze tworzenie ustaw, to wyższość naszego „surowego moralisty“ będzie w tym razie niezaprzeczoną. Ale i Frycz doznaje w pracy dra Olendzkiego pochwał; — zastanowimy się cokolwiek nad niemi. Na str. 316 czytamy: „zapatrywanie się Modrzewskiego na porządek prawny wogóle, w szczególności zaś na sądownictwo i plan nowej zupełnie jego reorganizacyi, odznacza się niepospolitym rozumem i gruntownością. Pod tym względem wyprzedził nasz autor o lat przeszło sto, nietylko swój kraj rodzinny, ale instytucye całego europejskiego kontynentu“.

Prócz ogólnego frazesu, nie spotykamy u dra Olendzkiego żadnego wyjaśnienia, czem Frycz wyprzedził cały kontynent? jakie były jego pojmowania odnośnie do organizacyi władzy sądowej? i czytelnik zmuszony jest przyjąć powyższy wykrzyknik za dogmat wiary, do czego tym razem nie jest zupełnie obowiązany. Ustęp powyższy jest jednak w związku z pracą hr. Tarnowskiego, który zachwyca się poglądami Frycza o wybieralnym urzędzie sędziego i twierdzi, iż jedne Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zdołały zrozumieć wielkość tej myśli. Rozważmy jednak, czy rzeczywiście zasada powyższa była nową i postępową. W XIV i XV w., w chwili gdy konstytucya stanowa zupełnie w państwach przeważała, spotykamy wszędzie wybieralne sądownictwo. Każdy stan, zawarty w sobie, wybiera sędziów i opiera się wszelkiemi siłami władzy monarchicznej, która funkcye sędziowe chce stanowczo pozyskać. Jednocześnie z wybieralnością sędziów, widzimy różność praw; — korporacyjne przywileje i zastarzałe te instytucye, były z sobą w nierozdzielnym związku. W Anglii zaś, od chwili gdy stanowa organizacya ustępuje miejsca w XIII i XIV wieku konstytucyi reprezentacyjnej, opartej na równości prawnej i swobodnej pracy, urząd sędziego otrzymuje nominacyę od króla, a sędziowie stają się niezależnymi od agitacyi wyborczej i od monarchy

przez zastrzeżenie, iż funkcyonować będą „quamdiu bene gesserint“. Tak samo i na stałym lądzie w XVII i XVIII wieku, urzędy sędziów coraz ogólniej otrzymują nominacyę od władzy monarchicznej, lub naczelników władzy wykonawczej, a w XIX wieku żadna z konstytucyi europejskich państw cywilizowanych Europy, prócz Szwajcaryi [1]), nie ośmieliła się uczynić urzędu sędziego wybieralnym, lecz wszystkie szły drogą utorowaną przez Anglię, korzystając z jej olbrzymiego politycznego doświadczenia. Przeciwstawiając temu wiekowemu doświadczeniu wszystkich prawie państw, zasadę wybieralności, trafiającą się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, trzeba było wykazać, jak ona oddziaływała w Ameryce? czy jest godną naśladowania? t. j. podjąć kwestyę naukowo, a nie załagodzić ją niewinnym kwiatkiem retorycznym. Gdyby hr. Tarnowski przeczytał uważnie drugi tom Laboulay'a, Historyi Stanów Zjednoczonych, traktujący o konstytucyi, byłby się doszukał objawów, które samym Amerykanom czynią wybieralność sędziów niezbyt przyjemną. Zdarzały się np. częste wypadki, iż wyborcy stawiali kandydatowi za warunek, iż pewne wykroczenia będzie uniewinniał z ujmą praw obowiązujących. Kto też ma elementarne pojęcie o wpływie agitacyi wyborczej i partyj politycznych, ten zrozumie, iż nawet dożywotność urzędu sędziego, nie może być dostateczną rękojmią jego samodzielności, jeśli ten urząd jest obieralnym. Naprzód bowiem mogą być położone uprzednie warunki, od których wybór będzie zależnym, a następnie, czyż można mieć wykształconych sędziów, którzy poświęcą się czynnościom swym, jako stałemu zawodowi, jeśli nie będą mieli pewności, iż kwalifikacye zapewnią im stanowisko, lecz będą zależnymi od swych przekonań politycznych, łaski wyborców i t. p., które na długi czas mogą im absolutnie wzbronić wstępu do służby. Wszystko to są względy, które zarówno hr. Tarnowski jak i dr. Olendzki, powinni byli rozważyć, jeśli chcieli

---

[1]) W Szwajcaryi Bundes Gericht składający się z 11 członków, bywa wybieranym przez Bundes Versammlung, a nie bezpośrednio przez obywateli. Najwyższe sądy kantonalne również powstają z wyborów, do jakich to jednak nadużyć doprowadza, o tem ciekawe szczegóły podaje Rüttimann, w dziele swem: Das nordamerikanische Bundes Staatsrecht, verglichen mit den politischen Einrichtungen der Schweiz, tom I, pag. 375.

poglądom Frycza o sądownictwie przypisać taką wagę. Co do nas, to nie wahamy się oświadczyć, iż pomimo wielu ciekawych pojedyńczych uwag, jakie się w tym ustępie znajdują, samą myśl o wybieralności sędziów musimy nazwać przestarzałem pojęciem, zaczerpniętem z organizacyi stanowej, które dowodzi, iż Frycz w tym razie nie wzniósł się ponad swój czas.

Równe pochwały znajdujemy u dra Olendzkiego dla ksiąg Frycza o wojnie i szkole, które są rzeczywiście pochwały godnemi, ale całe przedstawienie poglądów i ocena krytyczna mieści się w słowach: „mnóstwo w nich sentencyj wzniosłych, myśli szlachetnych i donośnego znaczenia, dla ówczesnych czasów“. Z takiego rozbioru nie można wiedzieć, jakie stanowisko winien zająć w literaturze polskiej i powszechnej Frycz Modrzewski i w czem polega jego zasługa. Księga o kościele troskliwie przez hr. Tarnowskiego pominięta, jest i tu jakby zapomnianą, co tem bardziej razi, iż w ocenieniu Bodina (przy którem posiłkować się można wybornem studyum Baudrilliart'a), umiał się dr. Olendzki doszukać jak najmniejszych szczegółików. To też jeszcze raz powtarzamy, iż ocena Frycza i przedstawienie jego poglądów, jest zupełnie niedbałem.

Kończąc sprawozdanie, musimy zrobić dr. Olendzkiemu ostatnią uwagę, iż ustępy takie jak na str. 369 „precz z marzeniami i t. d., o ile mogłyby służyć za ozdobę wymowy kaznodziejskiej, o tyle rażą w książce naukowej, gdzie powinien panować spokój i zajęcie się traktowanym przedmiotem. Zresztą w pracy dra Olendzkiego, jak to już wzmiankowaliśmy, znać zamiłowanie przedmiotu, staranność w zebraniu materyałów, nie brak również trafnych uwag, tak, iż należy się spodziewać, iż części następne, przy dobrych chęciach autora, pozbędą się usterek, jakie znajdujemy w części pierwszej i staną się prawdziwie pożytecznemi dla naszego społeczeństwa.

2.

PROF. OKOLSKI.

O stosunku państwa do oświaty narodowej [1].

Badającemu rozwój nauk społecznych i prawnych w literaturze polskiej, nie trudno dostrzedz, iż podział pracy umysłowej w nierównym następuje stosunku. Od kilku dziesiątek lat nauka ekonomii, oraz statystyka, pozyskały grono poważniejszych współpracowników, wśród których prace Cieszkowskiego, L. Wołowskiego, otoczone zostały uznaniem całego uczonego świata, a Supińskiego i Bilińskiego, stały się cennym nabytkiem dla literatury krajowej. Nauki prawne jednak wypadnie nam podzielić na dwie części: jedna z nich, w której skład wchodzi prawo prywatne i część prawa publicznego, bezpośredni dla nas mająca interes, doznaje jeszcze pewnego uwzględnienia i nierzadko spotkać się można z traktatem posiadającym prawdziwą naukową wartość. Inaczej się rzeczy mają z drugą nader ważną częścią prawa publicznego zajmującą się specyalnie państwem, i która w ogólności nazwą nauk państwowych lub politycznych oznaczoną bywa. W tej części zaniedbanie jest widocznem; prac mało, i dlatego też każde studyum posiadające wartość z podwójną winniśmy przyjmować wdzięcznością.

Niedostatek powyższy, dający się dotkliwie uczuć każdemu ukształconemu, nie oddawna zapanował w naszej literaturze; jeśli cofniemy się do końca XVIII wieku, spotkamy tak obfity materyał w tej dziedzinie nauk a przedewszystkiem w przedmiocie prawa

[1] Artykuł powyższy wydrukowany został w „Gazecie sądowej“ z r. 1875.

państwowego i polityki [1]), że śmiało można twierdzić, iż nie ustępowaliśmy Zachodowi i posiadaliśmy pisarzy pierwszorzędnego talentu jak np. Kołłątaj. — Początek XIX wieku zastał nasz kraj zajęty celami niezbyt sprzyjającemi spokojnej nauce; lecz od 1815 roku następuje znowu pewne ożywienie, jakkolwiek prac naukowych okazało się nie wiele. Tłómaczenie polityki (Cours de politique const.) B. Constant, opatrzone uwagami W. Niemojowskiego, lub książka Wybickiego o rządzie reprezentacyjnym nie może rościć pretensyi do wielkiego znaczenia; ale za to dyaryusze sejmowe ciekawy dla nauk państwowych przedstawiają materyał. Zwracamy tylko sposobem przykładu, uwagę na protokół izby poselskiej z 1830 r. lub wogóle na uwagi nad raportami Rady Stanu [2]), aby wykazać iż znajdują się tam rozprawy wywołane żywotną potrzebą, które nie grzeszą pedantyzmem naukowym, lecz przekonywują dotykalnie o niezbędności wydoskonalenia prawa państwowego. — Dopiero też od lat kilkudziesięciu zobojętnienie staje się coraz większem.

Jeśli też rozważymy jak gospodarstwo społeczne na każdym kroku wpływa na działalność ekonomiczną pojedynczego człowieka, że np. pojęcia kapitału, wartości, ceny, wymiany, i t. p. które podaje nauka ekonomii, mają bezpośrednie, praktyczne dla niego znaczenie; jeśli uwzględnimy, że umiejętne kontrolowanie faktów życia społecznego i świata fizycznego oraz wysnucie z nich pewnych norm, opartych na sile prawdopodobieństwa, stanowi niezbędną podstawę, na której jednostka musi oprzeć swe ekonomiczne działanie; to rozwój tych nauk w naszej literaturze wcale nas nie zadziwi, albowiem interes społeczeństwa nakazywał zajmować się niemi. To samo da się powiedzieć o prawie prywatnem, karnem i procedurach, gdy tymczasem prawo międzynarodowe i państwowe nie posiadało tychże samych warunków, a prawo administracyjne bez dokładnego obznajomienia się z państwowem i nauką polityki, do wyższego stopnia rozwoju nigdy dojść nie może. Nauki państwowe nie mogły stać się

---

[1]) Bliższe szczegóły w cennej rozprawie Pilata: „O literaturze politycznej sejmu czteroletniego". Kraków 1872.

[2]) Szkoda, iż dyaryusze drukowane nie obejmują wielu projektów, adresów i petycyj uzupełnienie konstytucyi mających na celu, gdyż te dla nauk państwowych są najciekawszemi.

dla nas żywotną potrzebą, lecz musiały pozostać na stanowisku, jakie zajmuje nauka oderwana od życia, na którą ogół zapatruje się jako na rzecz niepraktyczną i staje się skłonnym uważać ją za szereg mrzonek pozbawionych racyi bytu.

Jeszcze drugi wzgląd stawiał wogóle nauki polityczne w gorszem położeniu aniżeli resztę nauk prawnych, a mianowicie: instytucye, które przeważnie wpływają na krzewienie nauki jak np. Uniwersytety, (mówimy tu o uniwersytetach państw zachodnich) obchodziły się i po dziś dzień, w znacznej części, obchodzą się jeszcze z tym działem nauk po macoszemu. Tam, gdzie je wykładano na wydziałach prawnych, zajmowały wszędzie podrzędne stanowisko i przedstawiały małoznaczący dodatek do prawa rzymskiego oraz kanonicznego. W Niemczech np., jak trafnie zauważył Stein [1]), kształcono przyszłych urzędników państwowych wyłącznie na podstawie prawa rzymskiego, które zasadniczo jus publicum wyklucza, oraz niemieckiego, które o jus publicum niema pojęcia; a jednak głównem zadaniem tych ludzi miało być stosowanie owego jus publicum. W niektórych uniwersytetach południowych Niemiec nauki państwowe, będąc przyłączonemi do wydziału filozoficznego, doznały szerszego uwzględnienia ale i ten system posiadał znaczne wady. Jeśli bowiem w pierwszym wypadku młodzi juryści zwykli byli odmawiać charakteru prawnego naukom państwowym i uważali je za zbiór ciekawych lecz luźnych uwag, lub co najmniej pojęcia praw prywatnych przenosili wprost do nauk państwowych, bez względu na ich istotną różnicę; to za to w drugim wypadku nauki państwowe, bez gruntownego wykształcenia prawnego, nie rokowały zdrowego i pożytecznego rozwoju. Prawo państwowe a nawet po części prawo międzynarodowe, wymagają znajomości dokładnej wielu pojęć, znajdujących się w prawie prywatnem. Wymieniamy tu tylko sposobem przykładu jedno pojęcie osoby prawnej. Zresztą pomimo całej odmienności treści, prawo państwowe posługuje się często formą prawa prywatnego [2]) i nie będzie przesadzonem twierdzenie, iż jedno bez znajomości drugiego gruntownie po-

[1]) Die vollziehende Gewalt, 1869. T. str. XII.

[2]) Bliższe rozwinięcie u Gerbera: Über öffentliche Rechte.

znanem być nie może. Jeśli zaś na zachodzie Europy, nauki państwowe nie osiągnęły jeszcze zupełnego równouprawnienia i muszą je sobie upornie wywalczać, tembardziej ma to miejsce u nas. Tymczasem stosunki stałego lądu nieustannie przypominają, iż naukom powyższym muszą być ważne problemata oddane do rozstrzygnięcia. Od właściwego oznaczenia stosunku państwa do pojedynczego obywatela, od trafnego, z naturą rzeczy zgodnego rozgraniczenia ich sfer działania, od odpowiedniej organizacyi władz państwowych, zależy harmonijny rozwój społeczeństwa i rozwiązanie, jeśli nie w zupełności, to przynajmniej w znacznej części kwestyi socyalnej.

Jakkolwiek też nieustanne usiłowania na zachodzie Europy, przekonywują nas o niedostateczności dzisiejszego prawa państwowego, administracyjnego i międzynarodowego; z drugiej strony wszakże, wykazują ich ważność i potrzebę pełniejszego wykształcenia, zachęcając tym sposobem do dokładniejszych studyów.

Praca, której naszą uwagę poświęcić zamierzamy, wkracza przeważnie w sferę jednej z najmłodszych nauk tej gałęzi, a mianowicie: nauki administracyi, którą Stein nazwał pandektami nauk państwowych [1]).

Autor dał się już poznać sumiennemi rozprawami z dziedziny teoryi prawa karnego i procedury a nawet nauki państwowe zawdzięczają mu jedną pracę ważną (o sporach administracyjnych) zalecającą, się gruntownym rozbiorem przedmiotu, i jeden pobieżny artykuł: (O znaczeniu instytucyi miejskich; odczyt).

Dzieło o stosunku państwa do oświaty narodowej traktujące, które się tylko w języku rosyjskim ukazało [2]) posiada wszelkie warunki aby obudzić żywe zajęcie się naszego społeczeństwa. Sam przedmiot wywołuje po dziś dzień żarliwe spory, dotyka przytem najważniejszych kwestyj prawa państwowego, jak np. swobody kościoła, wolności indywidualnej, i od jego rozstrzygnięcia zależy pomyślność narodu i stanowisko, jakie w przyszłości zająć będzie w stanie. Szczęście pojedynczego człowieka oraz całych państw, jak

---

[1]) Die vol. Gewalt. T. I, str. XII.

[2]) Dzieło to zostało napisane dla pozyskania stopnia doktora.

słusznie zauważył Kołłątaj [1]), zależy od trafnego rozwiązania tego zadania, albowiem „prawdziwa nędza człowieka jest niemieć dobrego wychowania, a prawdziwem nieszczęściem wolnego narodu zawsze będzie nierówność edukacyi bogatego i ubogiego“. Pomimo poczucia potrzeby światła, płynącego z głębi natury ludzkiej, istnieją jednak pytania mniej jasno się nam przedstawiające, które wymagają ścisłego rozbioru i zastanowienia jak np.: kto ma brać udział w ogólnem kształceniu narodowem i czyja działalność jest najodpowiedniejszą?

Łatwo zauważyć, iż natura wyznaczyła rodzinie pewne zadania, którym prawodawca sprzeciwić się nie może; również i kościół spełnia misyę ważną w tym kierunku, a dawniej oświata przeważnie pozostawioną była jego staraniom. Społeczeństwo samo poczuwa się do tego niezaprzeczonego obowiązku i działalność prywatna wymaga także pewnego uwzględnienia. Czyż więc te czynniki są dostatecznymi? Trzeba na to dowodów. Następnie trzeba wyjaśnić jakie stanowisko winno zająć państwo. Czy musi usunąć zupełnie dawne potęgi? Czy je winno uzupełniać? Za pośrednictwem jakich organów spełni swe zadanie? Skąd będzie czerpać środki materyalne? i t. p. Jednem słowem cały szereg ważnych pytań przedstawia nam traktat prof. Okolskiego a każde z nich zdolne zaciekawić do najwyższego stopnia.

Zanim przystąpimy do bezpośredniego rozbioru dzieła, musimy w kilku słowach, usprawiedliwić się, dlaczego zaliczyliśmy je przeważnie do nauki administracyi; w powyższej pracy bowiem nie znajdujemy wyjaśnienia a wątpliwości łatwo mogłyby się nasunąć. Tak np. jeśli weźmiemy „allgemeines Staatsrecht“ Bluntschlego, znajdziemy rozdziały traktujące o stosunku państwa do oświaty. Jeśli zechcemy przejrzeć Escher'a „Handbuch der praktischen Politik“ i tam widzimy powyższą kwestyę rozbieraną. To samo ma miejsce w Steina „Innere Verwaltungslehre“, gdzie cały tom (Bildungswesen) poświęcony jest wspomnianej materyi. Łatwo więc o powikłanie pojęć i o niejasność, do której z nauk wypada właściwie

[1]) Do Stanisława Małachowskiego R. K.: O przyszłym sejmie, Anonyma listów kilka. T. III, str. 178.

powyższy przedmiot zaliczyć. Rozdział nie jest jednak rzeczą tak łatwą w tym wypadku i dlatego też wyraziliśmy się powyżej, że dzieło niniejsze wkracza przeważnie w sferę nauki administracyi, gdyż nie jest zupełnie obcem ani prawu państwowemu ani nauce polityki.

Stanowisko jakie państwo zajmie wobec oświaty narodu, jest kwestyą tak ważną i na trwały rozwój konstytucyi wpływającą, że prawo państwowe pominąć jej nie może, lecz musi się zająć jej unormowaniem. Z drugiej strony jednak prawo państwowe może się jedynie zajmować najkardynalniejszemi zasadami, jak np. określeniem przymusu szkolnego, udziału kościoła w szkole, zabezpieczeniem działalności prywatnej, unormowaniem nadzoru państwa, uznaniem swobody uczenia i nauczania i t. p. Uzupełnieniem jednak tych zasad, wprowadzeniem ich w życie, nie może się zajmować jeśli nie chce się stać prawem państwowem chińskiej monarchii [1]). Przedmiotem prawa państwowego mogą być tylko normy stałe, w których się organizm państwa i jego władza przejawia; uchwycić zaś wszystkich szczegółów, i ująć w normy prawodawcze nie można. Im ogólniejsza zasada, im ściślej można ją sformułować, tem więcej samodzielności trzeba pozostawić władzy wykonawczej, aby ją bezpośrednio zastosowała do życia. Wtedy przedstawią się wszystkie praktyczne trudności, okażą niezbędnemi praktyczne uzupełnienia i dopiero przez administracyę państwową szkielet prawa nabierze kształtów żywotnych. Jakkolwiek więc kwestye zasadnicze należą niewątpliwie do prawa państwowego, to oświata narodu, jako jedno z najważniejszych zadań administracyi wewnętrznej, daleko bardziej szczegółowe znajduje uwzględnienie w nauce administracyi.

Nauka polityki znowu, dając baczenie, aby państwo odpowiedziało godnie swoim celom, zgłębia właściwość użytych środków oraz ich odpowiedniość do pewnych danych okoliczności. I w niej więc znajdujemy rozstrzygane kwestye oświaty, ale z innego punktu widzenia. Nauka polityki przygotowuje niejako materyał dla prawa państwowego i administracyjnego: zajmuje się bowiem zaprowadzeniem harmonii między prawem i jego wykonaniem, a rzeczywistemi

---

[1]) Gneist: Die Selbstverwaltung der Volksschule, str. 122.

potrzebami społeczeństwa. W niej spoczywa głównie pierwiastek kształcący prawo i dążenie, aby wszelki przepis odpowiadał naturze rzeczy.

Studyum prof. Okolskiego objęło wszystkie zadania, trudne do rozłączenia w monografii i dlatego też nie uważaliśmy za właściwe zaliczyć je wyłącznie do nauki administracyi. Wstęp dzieła zajmuje się wykazaniem ważności oświaty dla rozwoju społeczeństwa; lecz autor nie miał bynajmniej zamiaru wyczerpać tu swoich motywów, tylko wymienił najkardynalniejsze pobudki, dochodząc do słusznego przekonania, iż wszystkie polityczno-socyalne kwestye w oświacie zwłaszcza niższych warstw społeczeństwa, znajdują swoje rozwiązanie. Następny rozdział zawiera historyczny przebieg oświaty a mianowicie: jakie stanowisko zajmowała rodzina, kościół i państwo w kształceniu narodu i o ile literatura wpływała na postępy prawodawcze. Nie możemy wdawać się w szczegóły i przytaczać wszystkich trafnych uwag świadczących o gruntownej rozwadze autora; musimy się ograniczyć na najważniejszych poglądach charakteryzujących epokę i z nich wziąć miarę o całej historycznej części.

W Grecyi odróżnia autor dwa typowe systemy t. j. spartański i ateński. Pierwszy z nich wychowanie i oświatę uważał jedynie za środek przymnożenia pożytków duchowych państwa, a za cel położył sobie wykształcenie dzielnych żołnierzy. Dlatego też gimnastyka doszła w Sparcie do wysokiego rozwoju a nauki stały nisko. Ateński system pozostawił człowiekowi większą samodzielność wobec państwa; samo społeczeństwo rozwija już pewną działalność, a nauki, zwłaszcza filozofia, dochodzą do wysokiego stopnia rozwoju.

W Rzymie zwracano głównie uwagę na nauki kształcące rozsądek i odpowiadające bardziej praktycznym celom obywatela i państwa. Prawa kobiety pozyskały większe uznanie jak w Grecyi, i widzimy już pewien zasadniczy rozdział między wychowaniem i wykształceniem, przyczem pierwsze staje się wyłącznie dziełem rodziny. Najważniejszy zarzut, jaki można uczynić wszystkim systemom starożytnego świata, jest ten mianowicie, iż czyniły oświatę przystępną tylko zamożniejszym klasom pozostawiając resztę narodu w grubej ciemnocie, że nie wspomnimy już o niewolnikach.

Chrześcijaństwo stanowiło w dziejach oświaty epokę, ważną przez swą zasadę równości wszystkich ludzi. W wiekach średnich kościół i duchowieństwo były nauczycielem kształcącym ludy, w następstwie czego oświata przybrała charakter kościelny, nie na długo będąc zdolną zadość uczynić potrzebom czasu. Szkołom klasztornym i działalności cywilizacyjnej duchowieństwa autor na wzór Escher'a, Friedberg'a i Macaulay'a nie odmawia zupełnie zasługi, ale z całą bezstronnością wykazuje wady, które zwłaszcza od Grzegorza VII stały się zatrważającemi. Kościół katolicki, przejąwszy organizacyę od państwa rzymskiego dążył do uniwersalnej władzy; i nauki miały tylko posługiwać teokratycznym celom, a utrzymywanie niższych klas społecznych w nieświadomości, w zabobonie, zdawało się po części odpowiadać jego zamiarom. W tymże samym czasie jednak, gdy ogólny upadek szkół klasztornych stał się faktem bezspornym i oświacie ze strony kościoła zagrażało rzeczywiste niebezpieczeństwo, występuje nowa potęga ożywcza w tworach geniuszu narodowości romańskich i giermańskich, które będąc zrozumiałymi dla mas ludu, budzą umysły z odrętwienia.

W podobnym kierunku pracują w XIII wieku powstające uniwersytety, ratując oświatę a tem samem i cywilizacyę od zupełnego upadku. Wzrost mieszczaństwa miał i dla oświaty niezwykłe znaczenie; jeśli bowiem odtąd wykształcenie publiczne miało przystęp do klas wyższych, to z rozwojem szkół miejskich, powstających z szybkością, rozpowszechnia się między klasami średniemi. I tu jednak kościół zdołał rozciągnąć swoją opiekę, uporczywie obstając przy wyłącznym przywileju kierowania oświatą; co zaś oznaczał podobny przywilej, dość przytoczyć, iż kościół uważał świeckie społeczeństwo za zupełnie niedojrzałe, nie dozwalał mu się nawet uczyć pisać, a oprócz nietęgiej łaciny, niezbędnej do służby Bożej i pieśni religijnych, resztę nauk pozostawiał w zupełnem zaniedbaniu.

Reformacya miała też niezwykły wpływ na rozwój oświaty i autor poświęca jej z całą troskliwością swoją uwagę. Jeśli kościół katolicki uważał szkoły za środek do osiągnięcia swych specyalnych celów i pozwalał kształcić się o tyle, o ile to odpowiadało jego dążeniom, to reformacya występowała w imię swobody indywidualnej i potrzebowała samodzielnego rozwoju ducha ludzkiego.

Dlatego też Luter i Cwingliusz wymagali, aby współcześnie z reformą kościelną, reforma szkolna wstępowała w życie, albowiem: „junge Schüler und Studenten sind der Kirche Saamen und Quellen“.

Przytem już w dziełach Lutra znajdujemy myśl, którą dopiero wiek XIX umiał ogólniej wprowadzić w wykonanie, a mianowicie, że władza świecka ma obowiązek przymuszania dzieci, bez różnicy płci, aby uczęszczały do szkoły.

Pisma Lutra i Melanchtona oddziałały korzystnie na ówczesne prawodawstwo; w pierwszej też połowie XVI w. spotykamy: Schulordnungen i Kirchenordnungen, które ważne zajmują miejsce w historyi oświaty. Przedewszystkiem jako zasługę reformacyi trzeba wymienić fakt, iż właściwie dała początek narodowej oświacie, wypowiadając otwarcie potrzebę wykształcenia wszystkich klas społecznych i nie poddając się bezwarunkowo językom klasycznym.

Dla zapobieżenia postępom reformy, kościół ustanowił zakon jezuitów, którego zadaniem miała być walka, duchową bronią, za dobro i znaczenie kościoła. Wykształcenie młodzieży katolickiej przechodzi odtąd pod opiekę wspomnianego zakonu, a ratio studiorum, wypracowana w r. 1588 pod przewodnictwem Aquavivy, miała służyć za podstawę ich systemu edukacyjnego.

Nie ulega wątpliwości, iż system zakonu, w porównaniu z dawnem wykształceniem klasztornem, odznaczał się postępem, uznanym wreszcie przez ludzi tego znaczenia co Bacon, a w najnowszych czasach Buckle, mimo to jednak ważne posiadał wady, a przedewszystkiem obliczony był głównie na korzyść zakonu, zabijał w uczniu wszelką samodzielność i napajał go nieubłaganą nienawiścią dla innowierców. Rezultaty wreszcie, osiągnięte w krajach katolickich przekonały dostatecznie o wewnętrznej wartości edukacyi jezuickiej; porównawszy je też ze stanem nauk w krajach protestanckich, widzimy ogromną różnicę, przemawiającą za systemem, w tych ostatnich panującym.

Wiek XVII z powodu długich, wyczerpujących wojen, upadku miast, i przywiązania włościan do gleby nie odznaczał się wielkim rozwojem oświaty. Dwie jednak myśli przewodniczące dają się wyśledzić z pośród ogólnej działalności i dowodzą, iż nawet w cza-

sach, zwanych ogólnie calamiteux, trübselige Zeiten, nie było powszechnego zastoju, i duch ludzki nieustannie postępował.

Przedewszystkiem język narodowy w szkołach elementarnych dochodzi do coraz większego uznania; poważne głosy w literaturze przemawiają za jego potrzebą; a oprócz tego państwo rozciąga powoli nadzór nad kościołem i oświatą publiczną, jakkolwiek uznaje jeszcze szkołę za instytucyę kościelną. Dopiero w XVIII wieku szkoła wyswobadza się z pod przeważnego wpływu kościoła i prawodawstwo państwowe zaczyna się nią jako instytucyą własną, opiekować.

Nie będziemy dalej śledzić za autorem w jego pochodzie historycznym, a to dlatego, iż działalność prawodawcza rozdrabnia się w XVIII wieku znacznie, i trudno ją streścić w kilku słowach, a z kwestyami zasadniczemi XIX wieku będziemy się spotykali na każdym kroku; musielibyśmy się więc niepotrzebnie powtarzać.

Przytoczone przez nas pobieżne poglądy, są tylko niedokładnem streszczeniem bogatego materyału historycznego rozebranego przez prof. Okolskiego z zupełną bezstronnością, bez żadnych uprzednich tendencyj, i z prawdziwym zmysłem krytycznym. Każdy fakt jest wszechstronnie badany, jego konsekwencye pilnie śledzone, a sąd rozważny, pozbawiony drażliwego roznamiętnienia, uwzględnia dodatnie i ujemne strony. Do poglądów na chrześcijaństwo, reformacyę, zakon jezuitów, jakoteż ich wpływ na oświatę narodową, nic dodać nie potrafimy i ograniczymy się jedynie na uwagach, dotyczących pewnych opuszczeń historycznych, którym autor, zdaniem naszem, powinien był zaradzić.

Tak np. część historyczna uwzględnia nietylko działalność kościoła, społeczeństwa i państwa dla oświaty, ale zajmuje się ruchem literackim i wykazuje jego wpływ na prawodawstwo; spotykamy też poglądy Lutra, Melanchtona, zwanego „praeceptor Germaniae“ a myśli tych mężów rozjaśniają najlepiej prawie, znaczenie i stanowisko reformacyi w historyi narodowej oświaty. Pomimo tego słusznego uwzględnienia, nie widzimy jednak żadnej wzmianki o Fryczu Modrzewskim, co tembardziej jest przykrem, iż autor, pisząc swe dzieło w języku ruskim, powinien był troskliwiej dbać o wyjednanie naszym statystom odpowiedniego uznania. W poglądzie na ową

epokę t. j. na wiek XVI, w którym pisarze tej doniosłości co Bodin [1]) kwestye oświaty narodu zupełnie pomijali, a zapatrywania się samych reformatorów dalekiemi były od wyczerpania przedmiotu i tylko kilka zasadniczych myśli podały, w tym poglądzie, jak powtarzamy, należało również wspomnieć o statyście, co w dziele, o naprawie Rzeczypospolitej [2]) całą księgę poświęcił szkole, o przyjacielu Melanchtona, któremu prof. Okolski tak starannie swoją uwagę poświęca.

Księga o szkole jednak, jak i całe dzieło Modrzewskiego, zaleca się wysoką wewnętrzną wartością, a choć nie dorównywa myślom Lutra i Melanchtona, posiada nie mniejsze oryginalne cechy, któreby bezwątpienia obudziły dla niej interes. Postaramy się streścić zasadnicze pojęcia Frycza, aby usprawiedliwić stawiany zarzut.

Przedewszystkiem uderza w polskim statyście XVI wieku głębokie pojęcie doniosłości szkoły i przekonanie, iż na niej spoczywają moralność i prawo; „bo szkoły najprzód otwierają źródła y przyczyny wszystkich cnót: na których zasie, jako na fundamentach postanowione są te prawa, któremi Rzeczpospolita bywa rządzona“, — lub „wyznajmyż to przeto, że rodzicielką najlepszych praw jest szkoła“.

Również Frycz dokładnie jest świadom różnicy, jaka zachodzi między kazalnicą a szkołą i wykazuje, iż pierwsza nie może wystarczyć oświacie narodu. „Bo nie może się tak wszystko dokładnie na kazaniu powiedzieć, które do uszu wszego mnóstwa bywają przystosowane, jako na dysputach szkolnych, w mnóstwie ludzi uczonych, gdzie wszystkiego dowodnie jako na złotarskiej ważce doświadczają“.

Najbardziej postępową myślą Frycza, która się nieustannie w jego księdze o szkole przebija, jest ta mianowicie: iż „staranie o szkołach winna mieć Rzeczpospolita“, albowiem w ich (szkół) „dobrem postanowieniu położone są wielkie żywota ludzkiego y nabożeństwa ozdoby, a w zaniedbaniu ich wielkie oszpecenie“. — Dlatego też stan nauczycielski winien być otoczony należną czcią,

---

[1]) Patrz Baudrillart'a: Bodin et son temps.

[2]) Modrzewski jest cytowany podług wydania 1770 roku.

bo „zasługami przeciw Rzeczypospolitej, o porównanie z najwyższemi stany spór wieść może“, i tak dla studentów, nie mających na naukę nakładu, chce słuszną zapłatę obmyślić. Fundusz na to odpowiedni znajdzie się w ten sposób, iż z dochodów klasztornych, a nawet majątku świeckich duchownych, pewna część na szkoły obrócona będzie. Ciężar ten oznacza Rzeczpospolita i nakaże klasztorom trzymać pewną liczbę studentów, „którzyby się przez mistrzów na to najętych“ (zatem niekoniecznie klasztornych) uczyli, lub też rozkaże ich posyłać do Akademii. — Modrzewski narzeka na zaniedbanie się kościoła w kwestyach oświaty, wytyka duchowieństwu, iż majętności kościelne, „które wedle starodawnych ustaw dla nauczania y usługowania wiary świętej było poświęcono, oni pożądliwości w niewolą oddali“. Zachęca kościół, aby do urzędów przypuszczał tylko ludzi uczonych, aby duchowni byli życzliwi „rozumowi y dowcipowi: to jest sławie kościelnej y pożytkom Rzeczypospolitej“, nie szczędzi nawet gróźb w razie dalszej opieszałości, wyrażając je jednak w słowach pełnych szlachetności i spokoju. „Wy (duchowni) z tej powinności liczbę przed najwyższym sędzią dać macie, karanie też, jeśli w tem niedbale postąpicie, słusznie odniesiecie“.

W rozdziale, traktującym o sposobie postanowienia szkół, zwraca Frycz uwagę na to, iż nauczyciele winni być nauczania godni, a uczniowie do przywykania sposobni; również znajdujemy tu jego myśli o systemie edukacyjnym. Podług Frycza, studenci winni naprzód ćwiczyć się w trzech naukach, „t. j. gramatyce, dyalektyce, y retoryce; potem filozofii i innych nauk trzeba uczyć, a najpierw języków, bez których z nauki Chrystusowej, y innych nauk, ludziom potrzebnych, nie może się żaden dobrze wyuczyć. Trzeba się też ćwiczyć w pisaniu dysputacye y deklamacye sprawować. Do drugiego ćwiczenia szkolnego zda się, że trzeba przyłączyć sądy, aby się też w sądach ćwiczyli“.

Posad nauczycielskich nie trzeba dawać „jedno, którzyby jaki znak nauki swej okazali, a siebie y nauki swe ludziom uczonym zalecili“. Trzeba też ustanowić jakąś władzę, aby była jako sędziowie y pospolici ludzi uczonych dozorcy“.

Porównawszy przytoczone poglądy z przewodniczącemi myślami

reformatorów, łatwo dostrzedz, iż program nauk ułożony został pod wpływem wyobrażeń starożytnego świata, (co przedewszystkiem objawia się w przepisaniu praktyki sądowej dla młodzieży) i ustępuje o wiele programowi Melanchtona. Nie spotykamy tu ani fizyki, ani matematyki, ani historyi, które nauczyciel Germanii uznał, i to słusznie, za niezbędne do zupełnego wykształcenia. Również z księgi o szkole, jakoteż z całego dzieła Frycza, można wnosić, że szkołę uważał za potrzebną tylko dla wyższych klas społeczeństwa, a włościan, względem których tyle razy zalecał ludzkość, tym razem przepomniał zupełnie.

Widzimy więc, iż w wielu kwestyach nie dorównywał Frycz reformatorom, a mianowicie Lutrowi, który wypowiedział jasno potrzebę przymusu szkolnego; jednakże zrozumieniem, iż szkoła winna być przedewszystkiem instytucyą Rzeczypospolitej i nie może bezwarunkowo ulegać kościołowi, oraz wykazaniem doniosłości szkoły, jej uszlachetniającego wpływu na religię, obyczaje i prawa, w zupełności doścignął, jeśli nie przewyższył reformatorów. Dla tych powodów sądzilibyśmy, iż wypadało uwzględnić dzieło F. Modrzewskiego i nie pomijać milczeniem prac, które są naszą narodową spuścizną.

Rozbierając literaturę XVII wieku w Niemczech i zastanawiając się nad poglądami Rattich'a, Komenius'a, autor opuścił także dzieło v. Seckendorff'a „Teutscher Fürsten-Staat“ 1660, które zdaniem naszem zajmuje wybitne stanowisko w historyi oświaty. Uczonemu, który zgromadził tak obfity materyał historyczny i tak sumiennie go traktował jak prof. Okolski, byłoby śmiesznością zarzucać opuszczenie jakiegoś drobnego szczegółu, nie mającego dla danego przedmiotu rzeczywistego znaczenia. Nie sądzimy jednak, abyśmy tym razem dopuszczali się przesadzonego pedantyzmu, rozdział bowiem (Cap. XIV) pod tytułem „von Beschaffenheit der Schulen“, jaki w dziele Seckendorff'a spotykamy, należy do bardzo ważnych, a nawet ważniejszych od tych, które autor przytoczył. Nietylko iż w nim wykazana potrzeba języka narodowego, zwłaszcza w szkołach elementarnych, gdzie go trzeba za język wykładowy używać, nietylko, iż uznany zupełnie przymus szkolny i odnośnie do szkół elementarnych, gimnazyów i uniwersytetów mnóstwo postę-

powych uwag, lecz spotykamy jasne naukowe określenie zadania szkoły ludowej i uznanie jej ogromnej ważności. Szkoły elementarnej (którą nazywa nöthigste und unentbehrlichste Art der Schulen) właściwym celem jest „der notdürftige Unterricht Christlicher Lehr, und die Erlernung gemeiner zu allen Ständen erforderten Geschicklichkeiten“. Jeśli określenie powyższe porównamy z definicyą Bluntschlego [1]), wykazującą, iż zadaniem szkoły ludowej jest podać to, co „als das gemeinsame Bedürfniss Aller für Alle gewährt werden muss“, to pewne pokrewieństwo myśli nie da się zaprzeczyć. — Nie możemy wchodzić w ściślejszy rozbiór pracy Seckendorff'a gdyż na to jej obszerność nie dozwala, również wzgląd, iż oddalilibyśmy się zbytecznie od głównego celu, zmusza nas do ograniczenia się na przytoczonych uwagach.

Odnośnie do literatury XVIII wieku, zaznaczamy opuszczenie zupełne dzieł Kołłątaja [2]) zwłaszcza jego pracy: „Do St. Małachowskiego R. K. o przyszłym sejmie listów kilka“; jakkolwiek z góry uprzedzamy, iż zarzut powyższy ma tylko podrzędne znaczenie. W dziele tem bowiem spotykamy się jedynie z rozrzuconemi uwagami o edukacyi publicznej, a chociaż niektóre z nich są ważne, zwłaszcza ustęp, przemawiający za wykształceniem kobiet (T. III, str. 189) to jednakże tylko z tego względu można wyrazić żal do autora, iż dzieła naszej literatury winny być ściślej uwzględnionemi.

Ustęp o stosunku rodziny do oświaty narodu przejdziemy pokrótce, notując tylko iż autor odróżnia wychowanie t. j. troskę o fizyczne wykształcenie i obyczaje od właściwego umysłowego wykształcenia i w pierwszym razie, przyznając rodzinie niezmierną doniosłość, wykazuje, iż w drugim wypadku siły jej są niedostatecznemi. Nad rozdziałem o stosunku kościoła do oświaty narodu traktującym musimy się jednak nieco zatrzymać, gdyż jest to punkt sporny i przedmiot usilnych zabiegów hierarchii duchownej.

Nikt nie zdoła zaprzeczyć, iż przez długi czas szkoła była

---

[1]) Allgemeines Staatsrecht. T. II, str. 353.

[2]) To samo dałoby się powiedzieć o dziele Staszyca: Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego 1785, str. 7—43.

instytucyą kościelną i że skutkiem tego wytworzyło się niejakie prawo historyczne, na które do pewnego stopnia kościół powołać się może. Ważniejszym jest jednak ten wzgląd, iż religia wszczepia zasady moralności w umysłach kształcącej się młodzieży; zachodzi więc pytanie: czy nie należy duchownym nauczycielom pozostawić pewnego wpływu na resztę nauk, czyli jednem słowem na szkołę, a to w celu zapobieżenia, aby taż sama moralność nie została zniweczoną a indyfferentyzm lub ateizm rozpowszechniony. Kwestya powyższa, dostatecznie wyzyskana przez reprezentantów kościoła, została rozstrzygniętą przez prof. Okolskiego w sposób zgodny z nauką; przyczem dobitnie wykazano bezzasadność pretensyi hierarchii duchownej.

Autor ograniczył się w tym rozdziale na wykazaniu nieodpowiedniości kościoła do kierowania oświatą, a uzasadnienie działalności państwowej odłożył do ustępów następnych; zobaczmy jednak, jaki udział pozostawił kościołowi i czem stara się go poprzeć. Prof. Okolski stanowczo sprzeciwia się, aby naukę religii wykluczono z planu szkolnego chce tenże przedmiot powierzyć duchownym odpowiedniego wyznania, motywując swoje przyzwolenie w ten sposób: iż państwo winno się starać o zachowanie w narodzie wiary, moralności, miłości bliźniego, i t. p. i że wykształcenie publiczne musi się rozwijać harmonijnie, co jest możliwem, jeśli religia zostanie należycie uwzględnioną. O ile na pojęcie doniosłości religii, w zupełności się zgadzamy, o tyle jednakże sposób dowodzenia nasuwa znaczne wątpliwości, i bynajmniej nas nie zadawalnia. Prof. Okolski oparł się tym razem na pobudkach czysto moralnych a doświadczeniem historycznem pogardził, nie wspominając ani słowa o Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Nadmieniamy więc, że nietylko w Anglii były projekta podobnego rozdziału, ale takowy rozdział istnieje w rzeczywistości w Ameryce Północnej. Państwo nie troszczy się tam bezpośrednio o naukę religii i do niej zupełnie się nie miesza. Szkoły państwowe są jedynie dla świeckich nauk przeznaczone; podczas godzin szkolnych nie wolno odbywać żadnych praktyk religijnych; również nauka kościelna nie może się mieścić w planie szkolnym, tylko poza obowiązkowemi godzinami wolno

duchownemu dla tych, którzy zechcą się zgromadzić, mieć wykład noszący zupełnie charakter prywatny [1]).

Jest więc jak widzimy państwo i to jedno z przodujących cywilizacyi, które rozdział przeprowadziło; trzeba było zatem nietylko fakt ten przytoczyć, ale wyśledzić jego wpływ na moralność narodu. Co do moralności i i skutków rozdziału, to pozwolimy sobie przytoczyć w wiernem tłómaczeniu wyjątek, z poważanej przez uczonych rozprawy Thompsona [2]), który nas dostatecznie objaśni: „Byłoby to wielkim błędem wierzyć, że dzieci w Stanach Zjednoczonych wyrastają w niewiadomości prawd religijnych, dlatego, że w publicznych szkołach nie uwzględniono wyznaniowego wykształcenia; przeciwnie, w żadnym kraju dzieci nie otrzymują tak troskliwie nauki religii jak w Stanach Zjednoczonych. Jakkolwiek prawnie nauka religii z państwowych szkół jest wykluczoną, to jednak niedostatek ten wynagradza się zupełnie za pośrednictwem szkół niedzielnych, utrzymywanych dobrowolnie przez kościół i w których najmniej 5 milionów dzieci się zgromadza aby nauki religii słuchać. Te szkoły są miejscem prawdziwej pobożności i moralności“.

Jeśli też zdrowy rozwój społeczeństwa, pojęcie właściwe obowiązków względem rodziny i kraju, jest najlepszym dowodem moralności narodu i jego religijnego wychowania, to czy Stany Zjednoczone ze swym rozdziałem gorszy przedstawiają widok jak np. dzisiejsza Francya lub Hiszpania? Nie pójdziemy jednak za daleko. Rozumiemy dobrze, iż stosunków Ameryki Północnej wprost na stały ląd przenosić nie można i że w krajach mniej oświeconych wykluczenie religii z programu szkolnego wywołałoby może zgubne lekceważenie, lecz traktat naukowy, uwzględniający dane polityczne winien przedewszystkiem rozbierać zasady: oświadczając się też za włączeniem wykładu religii do programu szkolnego, nie można się ograniczyć na wywodach ogólno-moralnych a fakta historyczne niezmiernej wartości traktować per non sunt.

Tak samo nie zadawalnia nas krótka wzmianka o szkołach

---

[1]) Thompson: Kirche und Staat in den vereinigten Staaten von Amerika. Str. 128.

[2]) Tamże str. 127—8.

wyznaniowych (confessionelle Schulen) z której nie można wiedzieć czy autor uważa je za twór szczęśliwy, lub nie; i żałować wypada iż nie uwzględniono we właściwem miejscu gruntownej pracy Gneista: „Die confessionelle Schule“, z której można się przekonać, iż w Prusach ani Landrecht ani konstytucya na takie szkoły nie dozwalała i egzystencya ich była zupełnie nielegalna.

W tymże samym rozdziale autor wyraża przekonanie, iż kościołowi nie można pozostawić tej swobody zakładania szkół co pojedynczemu człowiekowi, gdyż wpływ jego stałby się niebezpiecznym a działalność prywatna musiałaby ustąpić. Rzeczywiście jest to stwierdzone faktami spostrzeżenie, jeśli się zwrócimy np. do Belgii; inaczej się rzecz ma i tu z Ameryką Północną. Sądzimy też, że ów węzeł gordyjski tkwi gdzieindziej a mianowicie: w oznaczeniu prawnem stosunku kościoła do państwa i jeśli ta kwestya jest załatwioną, ograniczenia specyalne co do zakładania szkół okażą się zbytecznemi. Jeśli bowiem weźmiemy pod rozwagę stosunki np. belgijskie, to spotykamy tam kościół uznany za korporacyę niezmiernie uprzywilejowaną. Państwo przyjęło na siebie ciężkie zobowiązania, samo zaś nie wymagało żadnych; dlatego też te niezgodne z naturą rzeczy przywileje doprowadziły do niekoniecznie zadawalniających rezultatów [1]).

Tymczasem w Ameryce Północnej ta sama wolność nauczania nie zdołała wywrzeć tak fatalnych skutków; przyczynę zaś różnicy, upatrujemy w tem, iż kościół jako korporacya nie posiadał żadnych specyalnych przywilejów i że państwo za korporacyę uważało nietylko hierarchię kościelną ale całą gminę, kładąc tym sposobem tamę zbytniej centralizacyi kościelnej.

Wogóle za wadę tego rozdziału poczytujemy nieuwzględnienie prawodawstwa Ameryki Północnej, co autora doprowadza czasem do małych niedokładności, tak np. na str. 243 czytamy, iż żaden kościół w Ameryce Północnej nie otrzymuje zapomogi od państwa; tymczasem w 1870 r., w Stanie New-York, szkoły specyalne katolickie, zostające pod zarządem duchownych otrzymały zapomogi państwowej

[1]) Laurent: l'Eglise et l'Etat. T. II, str. 452.

412.062 dolarów i dzienniki republikańskie z oburzeniem nadmieniały, że kościół katolicki uzyskał uprzywilejowane stanowisko [1]).

Następny rozdział jest wstępem, zmierzającym ku uzasadnieniu działalności państwowej, w nim bowiem autor krytykuje poglądy, które odmawiają państwu prawa do kierowania narodową oświatą. Przedewszystkiem wykazuje prof. Okolski jednostronność poglądu uznającego państwo jako instytucyę wyłącznie prawną, a następnie rozbiera wywody Buckle'a, przeciwstawiając im myśli drugiego zwolennika samorządu Mill'a, przemawiającego stanowczo za zarządem państwowym. Zarzuty stawiane Buckle'owi odznaczają się gruntownością i dowodzą, że sama historya Anglii sprzeciwia się poglądom swego znakomitego autora: albowiem, mimo wielkiej czynności społeczeństwa, miliony dzieci pozbawione były w Anglii wszelkiego wykształcenia i pomoc państwa okazała się nieuniknioną.

Doszliśmy nareszcie do ustępu w którym autor uzasadnia działalność państwową i wykazuje przyczyny, z których wypływa prawo i obowiązek państwa do kierowania oświatą narodu. Nie potrzebujemy dowodzić iż dla nauki jest to kwestya najważniejsza, i że od jej rozstrzygnięcia wszystkie inne zawisły. Musimy się też cokolwiek nad powyższym rozdziałem zastanowić a to w celu wykazania, jak sumiennie i z erudycyą naukową autor swój przedmiot traktował, oraz aby wypowiedzieć niektóre wątpliwości nasuwające się nam z powodu przytoczonego pojęcia państwa. — Naprzód objawia nam autor, że wyliczanie pojedynczych pożytków, jakie oświata przynosi dla państwa, nie rozstrzyga jeszcze stanowczo kwestyi, iż przedewszystkiem wypada udowodnić, iż przyczyna działalności w tym kierunku tkwi w samem państwie t. j. w jego wewnętrznej istocie. Następnie wykazane są dokładnie niedostatki dotychczasowych teoryj a mianowicie: iż uważanie państwa za instytucyę prawną, lub też mającą za zadanie uobyczajenie, lub uszczęśliwienie ludzi, grzeszy jednostronnością i pojedynczy objaw czynności bierze za wyłączny cel państwowy. Aby uzasadnić prawo do kierowania oświatą narodu, uważa autor za niezbędne poznać przedewszystkiem naturę państwa i oprzeć się bezpośrednio na jej właściwościach. Spotykamy się też

[1]) Ruttimann: Kirche und Staat in Nordamerika, str. 63.

z pojęciem, które dopatrując w państwie, trzy oddzielne objawy, t. j. organiczny, mechaniczny, oraz duchowy, takowe szczegółowo rozbiera. Rezultat badań odnoszących się do istoty państwa nie zadawalnia nas jednak zupełnie, jakkolwiek i tu nie odmawiamy prof. Okolskiemu erudycyi naukowej, ani też logicznego rozumowania. Pierwsze wrażenie, jakie jego pogląd wywołuje, jest to brak jednolitości; i trudno sobie właściwie zdać sprawę, czem jest to państwo kołyszące się między objawami organicznemi, mechanicznemi i duchowemi.

Prócz tego sądzimy, że podnoszenie strony duchowej i mechanicznej w naturze państwa, jest rzeczą zbyteczną, nie mającą uzasadnienia, a to dlatego iż mieści się już w pojęciu organicznem. Sam autor objawił zdanie, iż państwo jest niezbędnem dopełnieniem człowieka, a człowiek jego najważniejszym organem; jeśli więc organizm ludzki posiada przymiot duchowości; jeśli w jego naturze leży potrzeba umysłowego rozwoju; to tak samo organizm państwowy będący niezbędnem dopełnieniem istoty ludzkiej, musi przejąć te same przymioty i takowe w sobie rozwijać. Duchowość zatem uważamy jako przymiot organizmu państwowego a nie jako coś odrębnego od jego organicznej natury. To samo powiemy i o stronie mechanicznej. Organizm ludzki np. jest także w części nader kunsztownym mechanizmem: pojedyncze organa funkcyonują podług praw, których człowiek nie zmieni i każdy z nich, pracując bezwiednie dla obcego im celu, jest częścią doskonałej maszyneryi. Sądzimy więc, że zapoznawanie zupełne w organizmie strony mechanicznej i przeciwstawienie jej w państwie jako coś zupełnie odrębnego nie przyczynia się do jasnego pojęcia. Tak samo nie możemy się zgodzić na niektóre pojedyncze wywody, jak np. na str. 268, gdzie objawiono, iż jeśli od organizmu oddzielimy część, to ona traci poprzednie swoje znaczenie, gdy zaś od państwa oddzielimy okręg, prowincyę, miasto, to nic nie stracą ze swego znaczenia, lecz mogą się stać samodzielnem państwem. Nauka nie wykazała jeszcze dostatecznie, wiele sił umysłowych i materyalnych potrzeba do wytworzenia państwa; jeśli więc część wytworzyć może w danym razie samodzielną całość, dowodzi to jedynie, iż odpowiedni materyał się znajdował. Jeśli jednak odłączymy człowieka pojedynczego od

państwa i wystawimy go sobie w zupełnem odosobnieniu, to straci na swem pierwotnem znaczeniu. Gdy nie będzie tego organizmu, który, jak słusznie nadmienił prof. Okolski, dopełnia naturę ludzką, nie ujrzymy już człowieka, świadomego swych działań i swego przeznaczenia, lecz kompletnie zezwierzęconego barbarzyńcę. Mniemamy więc, że uznaniem w państwie natury organicznej można objaśnić wszystkie jego zjawiska i cele, jakkolwiek nie jesteśmy bynajmniej za przesadzonemi porównaniami z organizmem człowieka, jak to uczynił Bluntschli [1]) i czujemy potrzebę wykazania odrębnych właściwości, oraz specyalnych przymiotów. Zdaje się jednak, że ważny krok na tej drodze uczynił Stein; żałujemy też, że prof. Okolski nie zwrócił bliższej uwagi na jego badania, zawarte w dziele „die vollziehende Gewalt". (Wyd. 1869).

Nadmienić jeszcze musimy, iż w samej pracy prof. Okolskiego napotykamy dowód, że wszystkie zadania państwa dadzą się wysnuć z jego organicznej natury, tam bowiem gdzie jest mowa o celu państwa (293), a ustęp ten odznacza się wzorową jasnością i dokładnością, odwołuje się autor jedynie do organicznych właściwości, a mechaniczno-duchowe strony znikają zupełnie.

W następnym rozdziale oznaczony jest udział jednostki w rozpowszechnianiu narodowej oświaty. Autor wykazuje w nim, iż monopol jest jej niezbędnem uzupełnieniem. Z monopolu wytwarza się bowiem łatwo duch rutyny i zastój umysłowy, gdy tymczasem zabiegi i próby indywidualne gromadzą potrzebne doświadczenie i skłaniają państwo do zaprowadzenia reform. Mówiąc o organizacyi władz, zajmujących się oświatą ludową, autor zwraca uwagę, iż w Anglii piecza w tym kierunku pozostawioną była samemu społeczeństwu i dopiero w r. 1870 po długoletniem doświadczeniu, państwo zdecydowało się nie zostawać dalej przy systemie „laissez faire", lecz czynnie się zająć wykształceniem ludu.

We Francyi znów samorząd został przytłumiony zupełnie i staranie o oświacie wzięła administracya państwowa w opiekę. Przytem organizacyę szkół i władz nadzorczych uważano za środek do rozprzestrzeniania wpływów politycznych, przez co naturalnie cel bezpo-

---

[1]) Psychologische Studien über Staat und Kirche.

średni musiał cierpieć znacznie. Prusy starały się zjednoczyć dwa skrajne kierunki, łącząc działalność administracyi z czynnością samorządu lokalnego, lecz uczyniły to w sposób niezadawalniający i grzeszący znacznemi wadami. Rozbierając trzy powyższe systemy, autor dochodzi do przekonania, iż organ główny, kierujący oświatą, winien posiadać ustrój ministeryalny nie zaś kolegialny i że działalność stowarzyszeń może być wielce pożyteczną, jeśli tylko nie dąży do bezprawnych celów. Motywa, jakimi autor popiera swe przekonania, odznaczają się gruntownością, a rozdział ten jak poprzedni zaleca się jasnym wykładem i dokładnem opracowaniem. Następne rozdziały, aż do traktującego o przymusie szkolnym, przejdziemy jeszcze pobieżniej, nie dlatego jednak, abyśmy je uważali za mniej ważne lub nie zasługujące na uwzględnienie, lecz że mnóstwo kwestyj specyalnych i bogaty materyał zebrany przez prof. Okolskiego, utrudnia nam zadanie. Rzeczywiście też ustępy: o systemie instytucyj naukowych, o środkach do ich utrzymania i o nauczycielach szkół ludowych, opracowane zostały z sumiennością; nietylko iż prawodawstwa Anglii i Niemiec, Francyi i Rosyi zostały dokładnie rozebrane, lecz obfity materyał statystyczny i wiadomości hygieniczne, pozwalają się nam wszechstronnie rozejrzeć w traktowanym przedmiocie. Zastanowimy się jednak pokrótce nad kwestyami, budzącemi po dziś dzień w nauce pewne wątpliwości i które przez swoją ważność mają prawo do szczególnego zajęcia się społeczeństwa. Przedewszystkiem za taką uważamy plan nauk w szkołach elementarnych, czyli owe minimum, które każdy człowiek obowiązany jest nauczyć się, aby mógł dokładnie zrozumieć obowiązki swe względem państwa i społeczeństwa. Prof. Okolski poświęcił temu przedmiotowi troskliwą uwagę, a rezultaty, do jakich doszedł, zupełnie przemawiają do przekonania. Szkoła elementarna nie ma się ograniczać na nauce czytania, pisania i rachowania. lecz zadaniem jej winien być rozwój człowieka pod względem moralnym, estetycznym i umysłowym, aby przyszedł do samowiedzy swej godności ludzkiej i obowiązków z niej wypływających. Tym sposobem pośrednio zaprzecza autor zdaniu Steina, i to słusznie, iż szkoła elementarna sama przez się nie ma treści i wartości, lecz że jest tylko niezbędnym warunkiem do nabycia wiedzy t. j. wykształcenia. Rzeczywiście tak mogło być dawniej

na stałym lądzie, jeśli zwrócimy uwagę na wzrastające dążenie do powiększenia planu nauk, a przedewszystkiem na Stany Zjednoczone, gdzie w szkołach elementarnych wykładają początki chemii, astronomii i konstytucyę amerykańską, to na zdanie uczonego niemieckiego nie będziemy się mogli zgodzić i uznamy słuszność wywodów prof. Okolskiego. Przedewszystkiem też autor wymaga w szkole elementarnej nauki języka ojczystego, geografii, historyi, zwłaszcza swego kraju, a w celach rozwoju estetycznego, rysunku i śpiewu. Wykład ważniejszych instytucyi krajowych i lokalnych ma ułatwić poznanie publicznych obowiązków, co w państwach, zwłaszcza konstytucyjnych, jest prawie nieodzownem. Odnośnie do ostatniego punktu, pozwolilibyśmy sobie szczególny położyć nacisk na wykład konstytucyi, który nietylko w Ameryce, ale o ile nam wiadomo i w niektórych kantonach Szwajcaryi [1]) został zaprowadzony do szkół elementarnych i przedewszystkiem tam, gdzie jest głosowanie powszechne, uznany został za nieodzowny. Prawo państwowe bowiem i publiczne obowiązki trudniej jest pojąć ludziom niższego wykształcenia, aniżeli prawa prywatne i pewną część prawa publicznego. Pochodzi to stąd, iż prawo państwowe posiada daleko więcej elementu abstrakcyjnego, posiłkuje się częściej fikcyami prawnemi, tembardziej więc potrzeba zapoznać z niem niższe warstwy i wytłómaczyć jego właściwe znaczenie. Rolin-Jaequemyns [2]), zastanawiając się nad nadużyciami w wyborach i tłómacząc, iż żadna ustawa wyborcza nie jest w stanie im zapobiedz, jedyny widzi ratunek w oświeceniu jednostek, t. j. aby w małym zakresie wykładano prawa konstytucyjne w szkołach elementarnych. To samo można powiedzieć i o popularnym wykładzie zasad ekonomii, jakkolwiek praktyczne trudności będą znaczne. Zdrowe pojęcie o własności i o warunkach gospodarstwa społecznego uchroni niższe klasy od wielu przesileń ekonomicznych, jak również nie dozwoli im stać się ofiarami agitacyj demagogicznych oraz politycznych utopij, przynęcających złudnemi obietnicami. Trudno jednak taić, że przy dzisiejszym stanie nauki ekonomii t. j. przy jej małem rozpowszechnieniu i sporze, zacho-

[1]) Rolin-Jaequemyns: De la retorme électorale, str. 89.
[2]) Tamże str. 88.

dzącym odnośnie do najważniejszych pojęć, zadanie podobne może być jedynie postulatem dla przyszłości i popularyzowanie nie jest rzeczą tak łatwą.

W tychże rozdziałach spotykamy gruntownie rozebraną kwestyę, czy wykształcenie elementarne ma być darmo, czy też należy pobierać od rodziców opłatę? Autor, wykazując niedostateczność wywodów Gneista, przemawiającego za zniesieniem opłaty, przyjmuje je jedynie jako względy polityczne nie zaś jako absolutną zasadę.

Rozdział o przymusie szkolnym rozbiera jedną z najsporniejszych kwestyj z tą samą ścisłością, jaką się odznaczają poprzednie artykuły. Statystycznemi cyframi dowodzi autor jak niedostatecznem jest wykształcenie w krajach, gdzie przymus nie egzystował, i że Ameryka Północna, ciesząca się względnie najlepszymi rezultatami, uznaje przymus za nieodzowny i zaprowadza go w swojem prawodawstwie, samo uzasadnienie naukowe przymusu szkolnego nie pozostawia nic do życzenia i wszystkie zarzuty pseudo-liberalnej partyi są przez prof. Okolskiego zwycięsko odparte.

Mówiąc o wykształceniu kobiet, autor uznaje, iż w ich ręku spoczywa przyszłość narodu i dochodzi do przekonania, które już Kołłątaj wymownie wypowiedział, a mianowicie: „że ta połowa społeczności była zapomniana i że matki Rzeczypospolitej winny być najgruntowniej oświecone“ [1]).

Kończąc nasze sprawozdanie i uwagi o dziele prof. Okolskiego, winniśmy jeszcze powtórzyć, iż uważamy je za sumienne studyum, odpowiadające pod każdym względem wymaganiom nauki. Przedewszystkiem jednak jako ważną zaletę wymieniamy jasność wykładu i głębokie poczucie prawdy historycznej, objawiające się w spokojnym, bezstronnym sądzie. Żałować też wypada, iż praca powyższa nie została spolszczoną, przez co mogłaby się stać przystępną i dla czytelników nieznających języka ruskiego.

[1]) Do St. Małachowskiego R. K. O przyszłym sejmie, Anonyma listów kilka. T. III, str. 189—190.

3.

DR. RYSZARD ROEPELL [1]).

Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts

Tak już przywykliśmy do zawodów i smutnych rozczarowań, czytając prace cudzoziemskich autorów, odnoszące się do naszych dziejów, iż wiadomość o nowej publikacyi w tym kierunku przyjmowaną jest zwykle obojętnie i wkrótce pokrywa ją zapomnienie. Nawet ozdobiona efektownym tytułem praca Hüppego „Verfassung der Republik Polen“ złożona w hołdzie, naówczas jeszcze hrabiemu, Bismarckowi, nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Specyaliści podejrzywali ją z góry o powierzchowność, albowiem niedostatek prac przygotowawczych, rozproszenie źródeł historycznych, czyniły gruntowny rozbiór konstytucyi naszej prawie niemożliwym. Ogół zaś publiczności, tyle razy zwiedziony szumnym tytułem, pokrywającym tendencye obce naukowym badaniom, strzegł się i tym razem od nowej niespodzianki, zachowując względem pracy i autora, zresztą nie bez zdolności, zupełną obojętność.

Zainteresowanie się też prasy naszej książką Richarda Roepell'a, nie było faktem zupełnie powszednim. Publiczność przypomniała sobie jego dzieło „Geschichte Polens“ w r. 1840 napisane, które po dziś dzień należy do najlepszych, jakie w tym przedmiocie wydano. Ceniąc też od dawna sumienność autora w badaniu źródeł, jego

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1876.

zmysł prawdziwie krytyczny i zamiłowanie prawdy, mieliśmy prawo spodziewać się, że nowa praca będzie równie pożytecznym nabytkiem dla literatury niemieckiej i polskiej a przedewszystkiem, iż wśród namiętnych głosów potępienia, jakiemi nowsi historycy Niemiec nas traktują, głos Roepell'a będzie poważny, sprawiedliwy i płynący ku nam z wyżyn prawdziwie naukowych.

Zamierzamy też bliżej zastanowić się nad powyższą pracą; zanim jednak podamy własne uwagi, poczuwamy się w obowiązku przedstawić przynajmniej w ogólnym zarysie, treść zawartą w rozbieranej przez nas książce.

W rozdziale pierwszym zatytułowanym „die Republik", o którym później najwięcej wypadnie nam powiedzieć, autor kreśli stan nasz polityczny, społeczny, duchowy, moralny i wyraża na samym początku przekonanie, które następnie stara się udowodnić, iż pod każdym z wymienionych względów znajdowaliśmy się w upadku bez nadziei i pociechy (trostlosester Verfall). Następny rozdział „Idee der Reform" i t. d. przedstawia pobieżnie myśli reformatorskie Jabłonowskiego, Garczyńskiego, Karwickiego i Leszczyńskiego [1]), przyczem nacisk położono na fakt, iż zasługa tych pisarzy jest głównie literacką, gdyż pisma ich bardzo szybko zostały zapomnianemi i nie wywarły wpływu na stosunki kraju. W tymże samym rozdziale autor zaznajamia nas z historyą rodziny Czartoryskich, kreśląc w zajmujący sposób dwie wybitne postacie tej rodziny t. j. księcia Augusta i Michała. W trzecim rozdziale rozpoczyna się dopiero właściwe opowiadanie historyczne dziejów Rzeczypospolitej, które od roku 1733 przez następne rozdziały aż do 1763 roku jest doprowadzone. Wszystkie ważniejsze sprawy wyczerpująco i jasno przedstawione zostały; przedewszystkiem jednak dokładna znajomość źródeł spostrzegać się daje w kreśleniu stosunków dyplomatycznych dworów obcych, przyczem archiwum berlińskie było autorowi niemałą pomocą. W końcu książki przytoczono kilka ciekawych ustępów z pamiętników współczesnych; tak np. rozdział „das Tribunal von Petrikau" jest wyjętym z pamiętników Króla Stanisława Augusta.

---

[1]) „Skrupuł bez skrupułu", — „Anatomia Rzeczypospolitej", — „De ordinanda Republica" — i „Głos wolny".

W drugim artykule spotykamy ciekawy memoryał generała Poniatowskiego (ojca króla Stanisława) w formie listu do swego przyjaciela, który Roepell z tajnego archiwum w Berlinie za pośrednictwem prof. Droysena otrzymał. W końcu listu czytamy wprawdzie wzmiankę, że takowy miał być pierwotnie przed sejmikami w 1744 r. drukowany w polskim języku, zdaje się jednak, iż należy do wielkich rzadkości i dlatego zamieszczenie go w książce uważamy za szczęśliwy pomysł. Prócz tego znajduje się jeszcze jeden ustęp z pamiętników Stanisława Augusta i manifest kilku senatorów oraz posłów przeciw zrywaniu sejmów podany w tłómaczeniu francuskiem. Najważniejszemi z całej pracy są bezwątpienia dwa pierwsze ustępy. W nich bowiem jest skreślony stan polityczny i społeczny Polski w XVIII wieku. W pierwszym wykazano słabość konstytucyi, wady ekonomicznego i obyczajowego rozwoju. W drugim zaś, autor śledzi za ideami reformatorskiemi, dowodząc zarazem, jak były niedostatecznemi i mało wywarły wpływu na postęp kraju. Zastanowimy się też bliżej nad niemi, gdyż one wyrabiają w czytelniku stanowczy pogląd na stan Polski t. j. usposabiają przychylnie lub też skłaniają do potępienia.

Przedewszystkiem poważamy się stawić zarzut artykułowi „die Republik“ zatytułowanemu, iż jest zanadto pobieżnym i niektóre objawy życia społecznego oraz politycznego niedokładnie rozświeca. Wykazane tam niedostatki konstytucyi naszej, znajdujemy już w literaturze XVIII wieku, a mianowicie w dziełach Karwickiego, Leszczyńskiego, Konarskiego, Jabłonowskiego, Kołłątaja, Staszica i innych, a Roepell nietylko nie dorzuca nic nowego, lecz wiele trafnych uwag tych uczonych, pomija. Społeczeństwo polskie za pośrednictwem swoich pisarzy, a społeczeństwo niemieckie za pośrednictwem Hüppego, wie już bardzo dobrze, że liberum veto, dożywotność urzędów, słabość władzy królewskiej, wybieralność sądownictwa i t. p., były zgubnemi i sprowadziły anarchię. Powtórzenie ogólnikowe tych znanych i przesądzonych od dawna zarzutów, zyskałoby wiele, gdyby autor zechciał ich przyczynę odszukać w naturze konstytucyi stanowej i gdyby określił rzeczy mniej znane a dla XVIII wieku bardzo ważne, np. jaką władzę posiadała rada senatu podczas nieustannego zrywania sejmów i czy nie wkraczała faktycznie w atrybucye

sejmów, lub też, jakie znaczenie posiadał wówczas senat wobec izby poselskiej, i dlaczego zmysł konserwatywny, jaki powszechnie panował w senatach, tak mało oddziaływał na anarchiczne usposobienie posłów Rzeczypospolitej?

Prócz tego ogólnego zarzutu, musimy autora zaczepić wprost o kilka szczegółów. Tak np. na stronie 17 mówiąc o włościanach, Roepell zaznacza tylko ich zubożenie i głęboki upadek, a nie wspomina nic o wzrastającem dążeniu do poprawienia ich losu, jakie w tymże czasie się okazuje; usiłowania magnatów postępowych, rozkrzewiających zasady fizyokratów, są też pokryte milczeniem [1]).

Tak samo kreśląc w kilku wyrazach stan mieszczaństwa naszego t. j. ograniczając się na powiedzeniu, iż upadło zupełnie, nie wyczerpuje się kwestyi. Autor przepomniał, że miasta Prus zawsze posiadały znaczne przywileje, miały nawet udział w prawodawstwie i znajdowały się w dość kwitnącym stanie [2]); że prócz tego w XVIII wieku spostrzegać się daje usiłowanie prawodawcze, podniesienie dobrobytu miast na celu mające. Są ustanowione w tym zamiarze komisye boni ordinis [3]), o których Roepell nie uważał za stosowne wspomnieć. Jeżeli gdzie jednak to w tym przedmiocie można się było spodziewać od autora wyczerpującego obrazu, gdyż zajmował się dawniej specyalnie prawami miejskiemi w Polsce i jest autorem broszury p. t.: „Ueber die Verbreitung des magdeburger Stadtrechts im Gebiete des alten polnischen Reichs“.

Na stronicy 6 spotykamy się z ustępem następującym: „der Adel allein hatte die Macht im Lande, er war in seiner Gesammtheit Souverain dieses Staatswesens, welches nicht mit Unrecht die

---

[1]) Wspominamy tylko najwcześniejsze reformy przedsiębrane przez miasto Poznań w r. 1733 we wsiach Zegrz i Rataj, przez Świnarskiego w Kaczanowie w r. 1742, Jabłonowskiej w Siemiatyczach w r. 1761, Andrzeja Zamoyskiego w 1760 r. i t. p., ciekawe szczegóły zamieszczone w rozprawie ks. Lubomirskiego: „Rolnicza ludność w Polsce“, patrz Bibl. Warsz. z roku 1862. Zeszyt 5.

[2]) Skrzetuski: „Prawo polityczne narodu polskiego“ t. II, str 95.

[3]) Tamże. T. II, str. 148. Wprawdzie komisya powyższa ustanowiona dopiero za Stanisława Augusta, lecz autor charakteryzując ujemne strony, często odwołuje się do faktów późniejszych t. j. z czasów panowania Stanisława Augusta.

„Republik“ genannt war“. Zdanie to wygłoszone jest na miejscu dość wybitnem i Roepell zdaje się uważać je za swoje, tymczasem spotykamy je w rozprawie przypisywanej Leibnitzowi [1]) i jest ono tylko przypomnieniem dawnej zwrotki „bonum reipublicae cum bono Nobilitatis in Polonia jure coincidit, ergo et respublica jure in nobilitatis potestate est. Ergo persona Reipublicae in Nobilitatis personam translata est“.

W drugim ustępie „Idee der Reform“ znajdujemy także pewne usterki. Sąd o literaturze politycznej w XVIII wieku wydaje nam się jeszcze pobieżniejszym niż o konstytucyi i o stanie społecznym. Autor rozbiera tylko dzieła Leszczyńskiego (Głos wolny), Karwickiego, Garczyńskiego i Jabłonowskiego, lecz bardzo ogólnikowo i nie podnosząc bynajmniej charakterystycznych cech. Nie zarzucamy bynajmniej Roepellowi, iż nie znał pięknego i nader ważnego dzieła: „O skutecznym rad sposobie“ Konarskiego, do czego się sam z góry przyznaje, jakkolwiek żałować wypada, iż nie czerpał swoich uwag z prac tak potężnych myślicieli, lecz z pamiętników Kitowicza lub Kożmiana. Przemilczeć jednak tego zarzutu nie można, iż Roepell nie znał i innych dzieł ówczesnych, a te które miał pod ręką, znał niedokładnie. Tak np. niema żadnej wzmianki o projekcie reformy p. t. „Rozmowa ziemianina z sąsiadem o teraźniejszych okolicznościach“ 1733 r. którą przypisywano Konarskiemu [2]), a Poklateckiego, którego cytuje kilkakrotnie, nie wiadomo dlaczego nie zestawia z innymi pisarzami. Prócz tego, powtarzamy zarzut, iż rozbierani pisarze musieli być przez Roepella tylko pobieżnie przeglądanymi. Upoważnia nas do tego fakt następujący. O memoryale generała Poniatowskiego, który autor szczęśliwie odnalazł, spotykamy bardzo dokładne sprawozdanie; gdy tymczasem o Leszczyńskim i innych istnieje tylko pobieżna i niedokładna wzmianka. Roepell chwali nad zasługę Anatomię Rzeczypospolitej Garczyńskiego, nie wchodząc naturalnie w szczegóły, a o Leszczyńskim zaledwie wzmiankuje, nie wspominając nic o jego poglądach na swobodną pracę rolną i przemysłową, oraz na odpowiedzialność ministrów, które to

[1]) Die Werke von Leibnitz, wyd. Klopp'a 1866, t. II, str. 28.
[2]) Hoffman: Historya reform publicznych. Str. 199.

poglądy, śmiało rzec można, przodowały owej epoce. Takie pominięcie oceny dzieł i charakterystyki autorów musimy uważać za stronę ujemną w pracy Roepella nie mówiąc już o zarzucie jaki słusznie uczynił dr. Liske [1]) a mianowicie: że autor nie znał naszych prac krytycznych o ówczesnych pisarzach, któreby mu rozjaśniły niejedną wątpliwość.

Nietylko samo przedstawienie literatury XVIII wieku pozostawia wiele do życzenia, lecz ocenienie jej wpływu na stosunki kraju uważamy za mylne. Tak np. na str. 29 czytamy „ogół szlachty, nawet w początkach panowania Stanisława Augusta, prawie nic nie czytał, tem się też objaśnia, iż pisma powyższe wkrótce po ich ukazaniu się zapomnianemi zostały“. W dopiskach zaś przytoczony jest w udowodnieniu fakt, iż dzieło Leszczyńskiego p. t. „Głos wolny“ dopiero w 1790 r., prace zaś Karwickiego, Jabłonowskiego dopiero przed kilkoma laty przedrukowanemi zostały, a Garczyńskiego praca dotąd się tego zaszczytu nie doczekała. Na szczęście jednak są dowody przeczące twierdzeniu Roepella. Że myśli Leszczyńskiego oddziałały bezpośrednio na dobrobyt kraju, mamy dowód w tem, iż wkróce po ich wygłoszeniu magnaci wprowadzają reformy w stosunkach włościańskich, a kwestya polepszenia dobrobytu miast występuje na porządek dzienny. Czemże też wytłómaczyć objaw powyższy, że w projekcie Andrzeja Zamoyskiego [2]), który popierała znaczna partya z królem na czele znajdują się artykuły wprost czerpane z dzieł Leszczyńskiego? Że poglądy tych autorów nie zaginęły lecz od chwili wstąpienia na tron Stanisława Augusta stały się powszechną własnością, dowodzi historya stronnictw politycznych za tegoż panowania, a przedewszystkiem ich programy. Fakt ten, iż dzieła już były przedrukowywane, nie dowodzi nic stanowczego i dziwimy się, że tak bystry i zdolny historyk jak Roepell mógł go w udowodnieniu przytoczyć. Przy ówczesnem życiu szlachty, otoczenie t. j. dwór każdego magnata był żyjącem wydaniem jego dzieł i poglądów. Jakkolwiek śmiesznem wydać się może podobne porównanie,

[1]) Przewodnik naukowy i literacki. T. IV, zeszyt 2.

[2]) Porównaj: „Głos wolny“ Leszczyńskiego, rozdział „Plebei“ i „Zbiór praw sądowych“, str. 94—99.

to jednakże pozostaniemy przy niem i zdaje się nam, że np. Karol Radziwił nie potrzebował fatygować się drukowaniem swych przekonań, albowiem na zawołanie posiadał kilkanaście tysięcy dworzan i przyjaciół, którzyby się podjęli je wykładać i popierać na sejmikach, wobec reszty panów-braci.

Że na tej drodze musiały zyskiwać i postępowe przekonania pewien rozgłos, nie zachodzi żadna wątpliwość, zwłaszcza, że wychodziły od monarchy Leszczyńskiego, lub od magnatów: Jabłonowskiego, Garczyńskiego i t. d. i pozyskały względy monarchy Stanisława Augusta.

Nie oceniwszy naszej literatury politycznej, nie porównawszy jej wcale z literaturą innych narodów, Roepell nie poczytuje jej też za żadną zasługę, i ona nie sprzeciwia się bynajmniej temu, iż znajdowaliśmy się w najzupełniejszym duchowym upadku. O literaturze pięknej, jaka się w prozie lub poezyi pojawiła, o sztukach niema ani wzmianki, choć autor nie gardził nawet najdrobniejszymi szczegółami tam, gdzie chodziło o wykazanie, iż szlachcic na sejmiku a duchowny na prywatnej zabawie często się upijał. Przypomnimy jednak Roepellowi słowa, które niegdyś sam z angielskiego na niemiecki tłómaczył a zamieszczone w pomnikowej rozprawie Miltona [1]). „Książki — to nie umarłe rzeczy; w nich spoczywa żywotna siła działająca tak samo, jak duch co je stworzył, a którego są tylko owocem. Książki też zachowują jak fijołek, najczystszą siłę i treść żyjącego ducha“. Czyż te głębokie i poetyczne słowa śpiewaka „Raju utraconego“ nie dadzą się zastosować do całego narodu? Czyż w literaturze nie przebija się dokładnie duch całego ludu, jego siła twórcza, a zarazem czyż literatura nie jest dziejową zasługą narodu i najlepszym dowodem jego cywilizacyi? Zgadzamy się chętnie z autorem, że dzieła naszych pisarzy nie dają bynajmniej miary o wykształceniu włościan i w ogóle uboższych klas, lecz moglibyśmy się spodziewać po tak wytrawnym historyku, iż ze względu na literaturę zwolni nas od zarzutu, zupełnego upadku duchowego.

Przeciw owym dwom artykułom pracy Roepella mamy jeszcze inne zarzuty, których pominąć nie możemy. Dotyczą one sposobu

[1]) Areopagitica: „Eine Rede für die Pressfreiheit“ wydane w r. 1851.

traktowania przedmiotu. Nie myślimy tak zdolnemu historykowi narzucać naszego przekonania, zdaje nam się jednak, iż w monografii poświęconej pewnej epoce, sąd, aby bardziej zbliżał się do prawdy, winien być porównawczym i opierać się na gruntownej znajomości prawa państwowego oraz stanu społeczeństw innych krajów w tej epoce. Dopiero zdając sobie sprawę z tego, w czem byliśmy lepsi, w czem gorsi od innych, możemy dojść do dokładnego poznania naszego stanu t. j. mieć wyobrażenie o wartości naszej konstytucyi, naszych podstaw ekonomicznych i obyczajowych. Sąd oparty na porównaniu jest tembardziej konieczny, iż bez niego nawet wykształcony czytelnik staje się skłonnym do jednostronnych namiętnych poglądów, bujających między pogardą i uwielbieniem. W pracy Roepella, dla porównania niema jednak miejsca. Stan nasz polityczno-społeczny wystawił pod pręgierzem, nad którym zamieścił napis: „zbutwiałość i zgnilizna“, a nie uwzględnił, iż wady nasze były wadami XVIII wieku i że dopatrzeć je można w każdem prawie państwie i społeczeństwie ówczesnem. Odpowiadałoby to jednak więcej uczuciom sprawiedliwości historycznej, gdyby autor zamiast nas piętnować znamieniem wyjątkowej monstrualności, chciał wykazać, że np. wady naszej konstytucyi były wspólne wszystkim stanowym ustrojom XVIII wieku, i że pod tym względem nie tworzyliśmy bynajmniej wyjątku. Dożywotniość niektórych urzędów, słabość władzy wykonawczej, wadliwa organizacya stanów sejmujących a w następstwie chaos w prawodawstwie i bezsilność w rządzie były zarówno w Szwecyi, Holandyi, Niemczech jak i u nas. Nawet owo osławione „liberum veto“ w zbliżonej formie daje się odszukać w konstytucyi holenderskiej [1]), a nasze konfederacye w prawie państwowem niemieckiem jako „Recht des bewaffneten Wiederstandes“. Oprócz Szwecyi, ratującej się ciągłymi zamachami stanu, i Holandyi, którą olbrzymi rozwój ekonomiczny podtrzymywał, konstytucya kantonalna szwajcarska w XVIII wieku przedstawia także ogromne błędy, o ustroju zaś świętego państwa rzymskiego, germańskiej narodowości, wyrzekł jeden z największych statystów niemieckich XVIII wieku, iż była formą zapewnie nieregularną, prawie

[1]) Treitschke: „Historische und politische Aufsätze“. T. II, str. 449.

monstrualną [1]). We wszystkich też stanowych organizacyach da się spostrzedz to wybitne znamię, iż wola jednostek sformowanych w stany, czyli wola stanu, góruje nad wolą państwa i wyzyskuje dobro ogólne na swój własny pożytek. Nawet państwa, które w XVIII wieku posiadały formę monarchizmu absolutnego, oświeconego nie znajdowały się w lepszem położeniu od tych co zachowały ustrój stanowy. Przyznać wypada, iż objawiały nierównie większą siłę na zewnątrz, lecz bynajmniej nie stwierdziły większej żywotności. L'Ancien regime Francyi, skreślony tak wspaniale przez Tocqueville'a, przemawia zupełnie za naszym poglądem, a gdy stary gmach Rzeczypospolitej, podług przysłowia „stojący nierządem" wytrzymywał gwałtowne burze, czyż biurokratyczno-militarna budowa ojca Fryderyka Wielkiego, która jako „rocher de bronze" wiekom czoło stawiać miała, nie runęła sromotnie w jednym dniu bitwy jenajskiej?

Tak samo przedstawiając stan włościan, miast, literatury, obyczajów, wypadało nas porównać z innymi krajami i na tej podstawie wyrzec ostatnie słowo. Nierównie sprawiedliwszym wydałby się sąd Roepella, gdyby wykazał, iż nie posiadaliśmy swobodnego włościaństwa, czem się Szwecya poszczycić mogła, ani tak potężnego mieszczaństwa jak Niemcy i Holandya, że wady naszej konstytucyi były więcej rozwinięte niż gdzieindziej i, jak to słusznie Bluntschli [2]) zauważył, były ostatniem słowem stanowości.

Zepsute obyczaje szlachty i duchowieństwa, tak dosadnie skreślone przez Roepella nie były także wyjątkowe. Kto przeczytał dzieło Laurent „L'église et l'état" ten może się przekonać, iż duchowieństwo nasze w porównaniu z innemi posiadało nierównie więcej przywiązania do ogólnego dobra i więcej moralności. Co się zaś dotyczy, przedajności zamożniejszych rodzin, to autor chyba zapomniał o Anglii w XVII wieku, o Szwecyi w XVIII wieku. W porównaniu z faktami, jakie się w Szwecyi i w Niemczech spotykać dały, gaśnie egoizm naszych bogatszych rodzin i wina ich względem społeczeństwa wydaje się mniejszą. Kreśląc też postacie z późniejszych

---

[1]) Puffendorf: „De statu imperii Germanici", wyd. w r. 1708, str. 328.
[2]) Allgemeines Staatsrecht. T. I, str. 485.

czasów, gdy te pomagały do uwydatnienia zepsucia (Karol Radziwiłł) autor nie chce nic wiedzieć o kanclerzu Zamoyskim; opisując gmin szlachecki, ciemny, hulaszczy i nie mający pojęcia o dobru publicznem, Roepell nie życzy sobie poświęcić ani litery tym, co ze szczytnym zapałem biegli zapełniać szeregi Washingtona. Nierównie większe poczucie sprawiedliwości historycznej objawił tym razem historyk rosyjski Iłowajski. W pracy swej poświęconej przebiegowi sejmu grodzieńskiego, był także zmuszony kreślić historyę smutnego upadku narodowego, a jednakże zdołał spostrzedz dodatnie strony i takowym swego uznania nie odmówił.

Musimy także zwrócić uwagę na wybór epoki uczyniony przez Roepella, a który musi być dla nas nader dotkliwy. Czas największego zepsucia i upadku, jest obranym przez autora za przedmiot studyów. Jakby naumyślnie rozpoczyna dzieje od chwili, gdy rządy idyotycznego Sasa, pogrążały nas w coraz większą przepaść, a kończy na czasie, gdy Stanisław August wstępuje na tron, gdy dążenie do reform staje się wybitnem, poczucie obowiązku silniejszem, tak, że nie łatwo przyszłoby mu usprawiedliwić ponurą dewizę swej pracy, dającą się streścić w słowach — najkompletniejszy i najwszechstronniejszy upadek. Tak samo nie sądzimy, aby doniosłość, jaką autor przypisuje pamiętnikom, jako źródłom historycznym, była zupełnie uzasadnioną. Bardzo często, zwłaszcza przy kreśleniu stanu obyczajów, spotykamy wyjątki cytowane z pamiętników Stanisława Augusta, Kitowicza, Kajetana Kożmiana, a które są przyjmowane jako dowód bez żadnych zastrzeżeń. Nie wątpimy, że pamiętniki tego rodzaju są nader ważnymi dokumentami dla scharakteryzowania pewnej epoki, a przedewszystkiem dla dokładniejszego poznania wybitnych osobistości. Wrażenie życia, jakie pozostawiają w czytającym, ma swoją korzystną stronę. Przeszłość za ich pośrednictwem staje się dla nas zrozumialszą; nie są to już minione fakta, lecz minione życie, które jako jedną organiczną całość z nich odczuwamy. Z tem wszystkiem jednak zapominać nie można, że pamiętnik jest tworem ulegającym w wysokim stopniu indywidualnym usposobieniom i zapatrywaniom piszącego. Sfera, w której się wychował i w której żył, zawód, któremu się poświęcił i t. d., w historyi wspomnień własnego życia, odgrywa większą rolę niż w pracy

naukowej. Tu autor nie jest zmuszony wyrzec się osobistych poglądów, namiętniejszych zdań, na korzyść prawdy, lecz może złożyć przed czytelnikiem szczere wyznanie wiary. Z tych też powodów sądzilibyśmy, że historyk powinien materyał zawarty w pamiętnikach, dokładnie ocenić, zanim go użyje do poparcia swoich wywodów. Roepell kreśląc obyczaje nasze, opiera się często na pamiętnikach Kożmiana, podając z nich wypisane ustępy. Tymczasem nie uwzględnia bynajmniej, iż Kożmian nawyknienia gorszące szlachty sejmikowej dość przesadnie opisał, i że pole jego do obserwacyi było dość szczupłe. Przedewszystkiem Kożmian poznał te obyczaje, będąc bardzo młodym; ujemne strony mogły mu się przedstawić zanadto jaskrawo; fakta wyjątkowe mógł brać za stan ogólny; zresztą niekiedy rzecz samą mylnie przedstawiał [1]). Prócz tego, wadą większej części pamiętników jest to, że wpadają w dwie ostateczności, to jest albo w przesadzone uwielbianie cnót narodowych lub ponure kreślenie upadku, co już zdaje się leżeć w samej naturze utworu. Historyk jednak jest obowiązany wydzielić z tego surowego materyału prawdę dziejową i nie może uważać pierwszego lepszego pamiętnika za dowód zupełny. Na tym też materyale pamiętniczym wsparty, skreślił Roepell obyczaje szlachty, dość prawdziwie, lecz zawsze jednostronnie. Obyczaje zaś i typy ludu wiejskiego, tak pięknie odtworzone przez księcia Tad. Lubomirskiego [2]), pozostały mu obcemi, a to samo odnosi się i do mieszczaństwa.

Wiele z postawionych zarzutów pominęlibyśmy chętnie, gdyby nie to, iż Roepell jest historykiem, po którym mieliśmy prawo spodziewać się owych tacytowskich „imagines quibus pulsentur animi“. Pierwsza jego praca uczyniła nas wymagającymi i od historyka tych zdolności mogliśmy żądać wszechstronniejszego poznania dziejów i gruntowniejszego sądu o nich.

W każdym razie pracy Roepella nie brak licznych stron dodatnich. Obeznanie się z literaturą znaczne. Przedstawienie faktów dokładne i związek logiczny pilnie śledzony. Systematyczny umysł

---

[1]) Np. w pamiętnikach Łubieńskiego sprawdzić możemy, jak mylne wiadomości podał Kożmian o życiu samego ministra sprawiedliwości Łubieńskiego.

[2]) Patrz: Rolnicza ludność w Polsce i o jurysdykcyi patrymonialnej.

autora odniósł znaczne zwycięstwo w przedstawieniu licznych stronnictw i planów ciągle zmieniających się w magnackich rodzinach. Prawdziwą zasługę zdobywa sobie jednak Roepell wyświetleniem stosunków dworów zagranicznych do rządu Rzeczypospolitej i jej pojedynczych rodzin, przyczem obznajmia nas znowemi źródłami jakie w tajnem archiwum berlińskiem odnalazł. Język wszędzie piękny, niepretensyonalny. Skreślenie postaci Augusta III, Brühla, Czartoryskich żywe i zajmujące. Cała zaś praca przedstawia się jako dość prawdziwy, niekiedy piękny obraz, lecz często pokryty Rembrandtowskiemi cieniami. Jakkolwiek też nie podzielamy zdania dr. Liske[1]), który książkę powyższą zalicza do znakomitych, to jednakże uważamy ją za sumiennie studyum, dowodzące znacznych zdolności, lecz dalekie od wyrzeczenia ostatniego słowa o dziejach naszych w połowie XVIII wieku.

[1]) Przewodnik naukowy i literacki. T. IV, zeszyt 2.

4.

MAKUSZEW [1]).

Społeczne i polityczne pytania w polskiej literaturze XVI wieku.

W krótkim wstępie, który pozwolilibyśmy sobie nazwać przedmową, autor niniejszej broszury wyraża przekonanie, iż żadne ze słowiańskich plemion nie zasługuje na tak szczerą i troskliwą uwagę oraz badanie ze strony rosyjskiego społeczeństwa jak plemię polskie. Stwierdzając fakt, iż dotychczas dzieje nasze mało są znane sąsiedniemu rosyjskiemu narodowi, p. Makuszew dochodzi do trafnego wniosku, a mianowicie: że nieznajomość powyższa, wpływała niejednokrotnie na wzajemne błędy w stosunkach obu społeczeństw i wytwarzała nieodpowiednie postępowanie.

Zapobiegając też niedostatkowi, autor postanawia zapoznać rosyjski ogół z polskim narodem w jego przeszłem i obecnem życiu, a rozpoczyna wykonanie zamiaru od broszury niniejszej, którą streścić i rozebrać zamierzamy.

Przedewszystkiem w krótkości nadmienić winniśmy, że zadanie podjęte przez p. Makuszewa, uważamy za bardzo ważne i bardzo wdzięczne. Ważne — dlatego, że pominąwszy nawet naukowe względy, których lekceważyć niepodobna, istnieją jeszcze cele doniosłości praktycznej, które właśnie dla przyszłości plemion słowiańskich mogą mieć znaczną ważność.

Celem tym jest usunięcie tradycyjnych, wiekowym zwyczajem

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1877.

uświęconych przesądów i niechęci społecznych za pomocą gruntownego oraz beznamiętnego przedstawienia sprawy historycznej. Przytem trudno o wdzięczniejsze zadanie dla autora, który pragnie wyrządzić rzetelną usługę swemu społeczeństwu.'

Praca bowiem tego rodzaju, może wywołać inne, może zainteresować obszerniejsze koła i wytworzyć nareszcie wzajemne zrozumienie się i zbliżenie, które dla słowiańskiej przyszłości nie będzie bez znacznego pożytku.

Wreszcie, występując wobec społeczeństwa nieobeznanego jeszcze z przedmiotem, autor miał zadanie dość ułatwione. Nikt od niego nie wymagał zdobyczy naukowych, rozjaśnienia faktów dotąd wątpliwych, dokładnego poznania i zrozumienia wszystkich źródeł historycznych. Stanowisko jego było więcej pedagogiczne, mógł więc bezpretensyonalnie zająć miejsce sumiennego referenta, korzystać z opracowań poprzedników i na mocy tego co już wyjaśnionem zostało, przedstawić historyczny obraz, dołączając do niego własny krytyczny pogląd.

Uznając też najzupełniej powody, skłaniające p. Makuszewa do podjęcia niniejszych studyów, zobaczymy jak się wywiązał z powziętego zadania i czem są jego pytania polityczne i społeczne w polskiej literaturze XVI wieku.

Przedewszystkiem odpowiedź na postawione pytanie: czem jest praca p. Makuszewa, nasuwa pewne wątpliwości.

Pobieżny rzut oka przekonywa, że nie są to dzieje polityczne XVI wieku. Tem mniej możnaby położyć nazwę „dzieje cywilizacyi w XVI wieku", gdyż bardzo ważne czynniki cywilizacyi są zupełnie pominiętemi. Nie jest to również historya poglądów jakie w XVI wieku w literaturze polskiej panowały, gdyż widzimy tylko niektórych pisarzów występujących w pracy p. Makuszewa a najważniejsze pytanie społeczne i polityczne przez nich poruszane są przez autora niniejszej broszury przemilczanemi.

Jest to więc tylko niekompletny wyciąg z kilku pisarzów XVI w. i na tej tylko wątłej podstawie oparty sąd autora o naszej przeszłości.

Streścimy naprzód poglądy p. Makuszewa, przedstawimy źródła, na których się opierał, jak je zrozumiał i tłómaczył, a do

tego dołączymy własne uwagi i ocenienie wartości powyższej broszury.

We wstępie pretendującym do scharakteryzowania poprzednich dziejów Polski, oraz społeczno politycznego jej rozwoju, autor nadmienia o XVI wieku: „iż nigdy przedtem ani potem Polska nie dosięgła takiej sławy i takiej potęgi, nigdy literatura polska nie miała tak wielkiego znaczenia pod względem społecznym i politycznym. Kto chce znać Polskę i Polaków ten powinien zająć się badaniem XVI wieku, jego politycznej historyi oraz historyi literatury tak ściśle związanych ze sobą i niezrozumiałych jedna bez drugiej".

Trudno przeciw powyższym słowom mieć coś do zarzucenia. Rzeczywiście, podzielamy w zupełności zdanie autora, określające znaczenie wieku XVI dla społecznego i politycznego rozwoju Rzeczypospolitej polskiej. Życie publiczne występuje w pełnym blasku. Potęgi społeczne zaznaczają wyraziście swe przyszłe stanowisko. Umysłowy stan narodu dosięga znakomitych wyżyn i pozwala śledzić z wielką dokładnością wszelkie tajniki domowego i publicznego życia. Co do wyboru epoki zatem trzeba przyznać, że takowy był nadzwyczaj trafnym. Autorowi w zadaniu nie chodziło o łatwe wawrzyny, lecz o scharakteryzowanie doby, zdaniem wszystkich historyków najświetniejszej, aby już wśród owych „złotych czasów" ukazać skryte wady i znamiona przyszłego rozkładu.

Streszczenie dziejów poprzedzających wiek XVI rozpoczyna p. Makuszew od opisu ziem i plemion składających ówczesne państwo polskie. Zamiast jednak podać charakterystykę tych ziem i plemion, odmienności ich życia domowego i publicznego, stosunki potęgę i historyę zabiegów, zjednoczenie na celu mających, autor poświęca całą uwagę rozwojowi kościoła rzymskiego i zajmuje się historyą spolszczania rusińsko-litewskich prowincyj za pośrednictwem uciskania greckiego kościoła. Środki gnębiące, które autor podaje, były następujące: bojarzy przyjmujący rzymską wiarę otrzymywali prawa polskiego szlachectwa, wszystkie uposażone urzędy dostawały się katolikom, nawet mieszczaninem polskiego miasta mógł być wyłącznie katolik, a we Lwowie rusini zamieszkiwali tylko ulicę rusińską, uczestniczyli w rusińskich bractwach i zajmowali się jedy-

nie drobnym handlem. Zresztą autor nie troszczy się bynajmniej o udowodnienie tej niewoli ludu, duchowieństwa i bojarów, kończy zaś tem, że stanowisko rusinów w Polsce XV i XVI wieku nie było lepszem jak Słowaków w Węgrzech, w naszych czasach.

Wobec faktów ucisku cytowanych przez p. Makuszewa, dziwną się wyda wzmianka znajdująca się w tymże samym rozdziale, a która dotyczy postępowania Witolda. Niezgadzający się bowiem w kwestyach reformy z Jagiełłą, Wielki Książę Litwy do innych uciekał się środków względem katolicyzmu. Środkami tymi były ni mniej ni więcej, jak zniszczenie i okrucieństwo. Powierzchownem także jest tłómaczenie objawów reformy religijnej na Litwie, która pojawiła się, zdaniem autora niby skutkiem nienawiści dawno tkwiącej do katolicyzmu. Pan Makuszew nie trudzi się bynajmniej udowodnieniem tego oryginalnego objawu, przeczącego ogólnym znamionom reformy w Polsce oraz na Zachodzie, lecz poprzestaje na krótkiej, tonem absolutnym wypowiedzianej wzmiance. Wątpimy jednak, czy autor, szukając w historyi dowodów dla swych gołosłownych twierdzeń, mógłby w niej znaleść jakiekolwiek poparcie. W Wielkiem Księstwie Litewskiem, jak w całej Polsce wreszcie, jak i na Zachodzie Europy, dążenia reform nie powstały skutkiem dawnych nienawiści i chęci powrotu do poprzedniego stanu, lecz skutkiem przekonania, iż w łonie kościoła muszą być usuniętemi pewne nieprawidłowości i przeprowadzonemi niektóre ulepszenia. Fakt to był bezwątpienia powszechny i objawiał się we wszystkich prowincyach dawnej Polski, a Litwa, pod względem rozmiarów, jakie przybrały reformatorskie dążenia, nie była bynajmniej w wyjątkowem położeniu, albowiem miała rywalkę w Wielko-Polsce, której autor nie mógłby chyba przypisywać jakichś dawno tkwiących nienawiści. Zresztą, jeśli pod względem historycznym zarzut powyższy nie wytrzymuje żadnej krytyki, to i strona logiczna nasuwa nam znaczne wątpliwości. Gdyby bowiem nienawiść do katolicyzmu tkwiła w litewskiem społeczeństwie oddawna, i gdyby się objawiało przywiązanie do dawnego wyznania, w takim razie reforma wystąpiłaby w innej postaci t. j. jako powrót do dawnego stanu a nie jako nowe wyznanie nie mające z tradycyą narodu żadnej styczności.

Następnie p. Makuszew kreśli położenie niemieckich kolonistów

w Polsce, ograniczając się również na kilku apodyktycznie wypowiedzianych zdaniach, bez wyczerpania i należytego zrozumienia faktów historycznych. Kolonie niemieckie, podług autora, powstały na początku XI w., były one uwolnionemi od podatków i powinności państwowych a uformowane w gminy tworzyły statum in statu Rzeczypospolitej. P. Makuszew daje tylko krótki, zupełnie niedostateczny obraz organizacyi miejskiej, zbywa cechy i bractwa kilkoma słowami, nazywając je inwencyą niemiecką i nie zwraca uwagi na ekonomiczne podstawy ówczesnych praw miejskich. Następnie, podług p. Makuszewa „owe niemieckie i zniemczone miasta, stanowczo w XVI w. upadają, skutkiem ucisku szlachty, która nietylko ścieśniała ich samorząd miejski i poniżała mieszczan ale literalnie grabiła miasta. W XVI też wieku handel i przemysł znajdowały się przeważnie w ręku niemców, „tych pasorzytów Polski“; ale obok tego zdania czytamy zaraz, iż polski element zaczyna się wzmagać w miastach w XVI wieku, usuwając zewsząd niemczyznę“.

Z ustępu powyższego pracy p. Makuszewa nietylko się nic nowego nie dowiadujemy, ale mniej nawet niż od poprzedników, którzy o tym przedmiocie pisali a nawet mniej niż z pracy p. Bogdanowa „Нѣмецкое право въ Польшѣ и Литвѣ“. Ogólniki powyższe nie objaśniają nas o tem, jak silny był napływ ludności obcej, w których prowincyach przeważał, jakie było jego oddziaływanie na ducha narodowego, a jakie na wzrost przemysłu i handlu.

Na te bardzo ważne pytanie, rozświecające historyę naszego mieszczaństwa, odpowiada p, Makuszew tylko namiętnym wykrzyknikiem: „Niemcy — to pasorzyci Polski“.

Prócz niedokładności, znajdują się jednak w tym krótkim ustępie kompletne błędy, wypływające z nieznajomości historyi powszechnej mieszczaństwa. I tak np. p. Makuszewowi zdaje się, że wszystkie osady na tak zwanem prawie niemieckiem fundowane, składały się z ludności niemieckiej i dlatego dochodzi do wniosku, iż owe niemieckie osady tworzyły statum in statu Rzeczypospolitej. Podobne pojmowanie rzeczy musimy nazwać błędnem. Wszystkie bowiem odcienia praw niemieckich stosowane były także u nas do

osad miejskich i wiejskich, gdzie ludności niemieckiej nie było[1]). lub było tak mało, iż musiały egzystować inne powody, które na rozpowszechnienie tych praw oddziaływały. P. Makuszew zapomniał o ekonomicznych przyczynach, a zwrócił uwagę na czysto formalną stronę t. j. na pochodzenie niemieckie; przytem nie dojrzał tego, że ani cechy, ani prawa miejskie nie były wynalazkiem niemieckim, lecz pojawiały się we wszystkich państwach zachodnich, wywołane potrzebą uorganizowania oraz zabezpieczenia przemysłu, handlu, rękodzielnictwa, jednem słowem, rozwijających się potrzeb mieszczaństwa.

Trudno więc przypuszczać, że cechy dlatego w naszych miastach istniały, żeśmy je od Niemców wzięli, albo że dlatego, że Niemcy wprowadzili do nas swoje prawa, myśmy bez żadnej wewnętrznej potrzeby, będąc państwem zupełnie samodzielnem, rozpowszechniali je po wsiach i miastach, gdzie ludności niemieckiej nie było, lub też gdzie istniała w bardzo małej liczbie. Rozpowszechnienie się nagłe praw teutońskich nietylko po miastach ale i po wsiach winno było naprowadzić p. Makuszewa no myśl, że istniały głębsze podstawy ekonomiczne i to podobne tym, jakie z mieszczaństwa na zachodzie wytworzyły stan odrębny. Nietylko też osady niemieckie tworzyły „statum in statu“ w Rzeczypospolitej, lecz wogóle całe mieszczaństwo i to z tych samych powodów, z jakich w zachodnich państwach Europy uformowało odrębny stan w znaczeniu prawnem i społecznem.

Rozumowanie p. Makuszewa w kwestyi miast jest bardzo słabem i zawierającem nawet sprzeczności. Gdy bowiem w jednem miejscu nazywa Niemców pasorzytami Polski, to w drugiem miejscu twierdzi, że osady niemieckie kwitnęły bogactwem, przybierały narodowość miejscową a upadały tylko skutkiem ucisku szlachty, która poniżała mieszczan, ograniczała ich samorząd miejski i literalnie grabiła miasta. Nie musiał to więc być taki element pasorzytniczy, jeśli rozwijał w kraju potęgę przemysłowo-handlową i zlewał się z narodem polskim, a pomijając już sprzeczność powyższą i przechodząc do zarzutu, że szlachta ograniczała samorząd miejski a zatem

---

[1]) Roepell: „Ueber die Verbreitung des Stadtrechts im Gebiete des alten polnischen Reichs“. Str. 3.

nie polityczny, i grabiła miasta, to musimy je nazwać tendencyjną nieprawdą historyczną, którą też p. Makuszew pozostawia bez najmniejszego dowodu.

Następne uwagi o żydach, pomijamy, gdyż są tak pobieżne, iż o niczem nas nie pouczają. Jest jednak i w tych kilku wierszach wycieczka nienawistna przeciw szlachcie, a mianowicie, iż „w XVI wieku sprzyjała żydom owa marnotrawna szlachta, potrzebująca nieustannie pieniędzy“ i że Stefan Batory zrównał ich w wielu prawach z chrześcijanami. W jakim zakresie jednak porównani zostali, o tem niema mowy, lecz pozostawiono dopełnienie bujnej fantazyi czytelnika.

Następnie przechodzi p. Makuszew do skreślenia stanu rolnictwa i położenia włościan. Streścimy jego poglądy. „Ulubionem zajęciem Polaka było wiejskie gospodarstwo, lecz i ono było w XVI wieku w upadku. Szlachcic bowiem rzadko się niem zajmował, a obcy ludzie pracujący za niego myśleli tylko o osobistych pożytkach. Może się to wydawać dziwnem, iż chlebodajna Polska, słynąca jako śpichlerz zachodniej Europy, często sama cierpiała głód. Pochodziło to stąd, że nadmierna ilość zboża wychodziła za granicę gwoli panom. Postępom wiejskiego gospodarstwa przeszkadzały nienormalne stosunki szlachty do chłopów. Chłopi byli niewolnikami bez praw, przytwierdzonemi do pańskiej ziemi, a nad niemi pan miał prawo życia i śmierci“.

Oto cały prawie ustęp poświęcony scharakteryzowaniu stanu rolnictwa i włościan. Nie potrzebujemy dodawać, że autor nie powołuje się na żadne źródła, poprzestając jedynie na swem absolutnem orzeczeniu.

Twierdzenie, jakoby rolnictwo upadło w XVI wieku w Polsce i to z tego powodu, że wywóz zboża za granicę był zbyt wielki a włościanie nieswobodni, jest za ogólny i nieścisły. Przedewszystkiem gdzie p. Makuszew ma dowody na to? Stawiski w specyalnej monografii [1]) dochodzi do przekonania, że rolnictwo upadło dopiero w XVII wieku skutkiem zmiany małofolwarcznego gospodarstwa na

[1]) Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego.

wielką uprawę i powiększenia się pańszczyzny [1]). Co się zaś tyczy zbytniego wywozu zboża za granicę, to zarzut powyższy jest powierzchownym, bo jeśli co, to skala wywozu stwierdzała produkcyę rolniczą [2]), a wysokość produkcyi — dobry stan rolnictwa.

W kwestyi włościańskiej tkwi cokolwiek prawdy, ale nie twierdzimy bynajmniej, aby p. Makuszew rozumiał i tym razem całą doniosłość zarzutu. Że przejście włościan ze stanu swobodnego do niewolnego, musiało zły wpływ wywrzeć na gospodarstwo wiejskie, dając nierównie gorszą pracę rolną, to jest zbyt ogólnie stwierdzonym faktem, abyśmy się nad nim zatrzymywać mieli. Niewątpliwie miało powyższe przekształcenie zły wpływ, chociaż p. Makuszew zapomina, że stan ten trwał w całej Europie z wyjątkiem Anglii i kilku miejscowości na kontynencie. Przytwierdzenie do ziemi (glebae adscriptio), przedsiębrane w interesie wielkiej własności, miało także złe skutki dla rolnictwa, choć i tu przypomnieć wypada, że pojawiało się prawie wszędzie na stałym lądzie. Na ostateczny jednak upadek rolnictwa wpłynęło najbardziej znoszenie gruntów chłopskich, które pod pewnymi warunkami posiadali, wcielenie ich do gruntów pańskich i oparcie systemu gospodarczego na niewolnej pracy i wielkiej własności. Otóż ta epoka przypada w Polsce na wiek XVII i wtedy dopiero datuje się rzeczywisty upadek rolnictwa. Za wielkie to jednak subtelności dla p. Makuszewa, który nie zwykł się widocznie zapuszczać w badania historyczne. Przytem p. Makuszew, wyciągający skrzętnie wszystkie szczegóły naszej zgnilizny, i tłómaczący w tym celu nawet rabulistycznie niektórych pisarzów naszych, jak np. Skargę, zapomniał, że owo przytwierdzenie włościan do ziemi nie było jeszcze tak powszechnym faktem i, że owi włościanie nie byli tak jak w innych krajach przygnieceni brzemieniem niewoli.

Autor nic nie wie o rękojemstwie zwanem przez ks. T. Lubomirskiego „habeas corpus“ [3]) kmiecia polskiego, a które na Ma-

---

[1]) Pańszczyzna zaczyna się powiększać dopiero po śmierci Zygmunta Augusta.

[2]) Właśnie w XVII wieku, gdy rolnictwo upadło, wywóz zboża się zmniejszył.

[3]) Ks. Tad. Lubomirski: Rolnicza ludność. Biblioteka Warszawska, 1857 i 1862.

zowszu istniało do 1576 r., w innych zaś prowincyach Korony pojawiało się jeszcze w początkach XVI wieku. Nie wspomina również, że w Bełzkiem dochowały się resztki swobodnych sądów gminnych w tychże czasach. Nie wiedząc zaś, co to było rękojemstwo i że istniało, nie może o tem wiedzieć, że w XVI wieku nie mogła powstać tak straszna niewola i przytwierdzenie do ziemi.

Ale — idźmy dalej. Autor, sądząc naszą historyę, pozwala sobie za wiele rzeczy nieznać. Prócz tego bowiem, że historyi polskiej jest tylko pobieżnie i powierzchownie świadom, nieznа on historyi powszechnej, inaczej bowiem nie mógłby nam stawiać tak przesadzonych zarzutów. Powinienby przecież znać stan włościan w ościennych państwach, np. w owych dziś „światło i cywilizacyę niosących Niemczech“. Musiał przecież coś zasłyszeć o owych wojnach chłopskich i okrucieństwach panów, które najzagorzalsi patryoci niemieccy XIX wieku przyznać i potępić muszą [1]). Czy wie, jakie było usposobienie względem tychże włościan inteligencyi niemieckiej? Gdy w Polsce wszystko, co tylko wyższym obdarzone było umysłem, wołało w niebogłosy o sprawiedliwość dla włościan, o polepszenie ich doli, gdy poniewierane wszędzie duchowieństwo katolickie brało ich w opiekę, gdy nawet surowy Skarga w końcu XVI wieku przyznawał [2]), że było wielu takich panów, co się z nimi dobrze obchodzili, gdy w sejmach objawiały się za nimi głosy współczucia, a w kraju niektórzy magnaci dawali im dobrowolnie ulgi [3]), gdzież podobne objawy w Niemczech, w których sam reformator Luter, uosabiający tak wiernie ducha Germanii, odrzucił bardzo skromne wymagania włościan, a nauczając, że niewola ludu opiera się na Biblii, sprawił że nietylko ustawy, lecz i opinia publiczna potępiła ich sprawę.

Ale p. Makuszewowi nie chodzi o porównawczy pogląd i wyrobienie sobie na tej podstawie sądu historycznego.

---

[1]) Kolb: Culturgeschichte der Menschheit. T. 2, str. 392.

[2]) Kazania sejmowe, wydanie Turowskiego, str. 95. O prawach niesprawiedliwych, wyrzekając na ucisk kmieci i postępowanie panów powiada: „Acz wiem, iż tego nie wszyscy u nas czynią, ale według złego i dzikiego jakiegoś a niesprawiedliwego prawa, czynić na swoje potępienie uchowaj Boże, mogą“

[3]) Wspominamy tu hetmana Tarnowskiego i Jana Zamoyskiego.

Dalej p. Makuszew twierdzi, „że w końcu XVI wieku prawo i ustawa w Polsce istniały tylko dla szlachty; wszystko co było niższem od szlachcica, zostało pozbawionem wszelkich cywilnych i politycznych praw. Cała państwowa władza prawodawcza, sądowa i administracyjna była zjednoczoną w rękach szlachty. Wybierany przez szlachtę król w zupełności był zależnym od senatu i sejmu, który się mieszał do osobistych jego spraw. Ugranianie się za uposażonymi urzędami było charakterystyczną oznaką szlachty XVI wieku i ona też zajmowała wszystkie urzędy nietylko państwowe, ale i kościelne, — nic też dziwnego, iż szlacheckiego pochodzenia duchowieństwo, było wiernym sprzymierzeńcem szlachty. Zajęte było wyłącznie polityką, jeździło na sejmy, intrygowało, tworzyło partye. Oto przyczyna, dla której duchowieństwo polskie w XVI wieku tak nizko upadło. Szlachta nie chciała ulegać sądom duchownym, śmiała się z klątwy kościelnej, a nowe wyznania, dzięki przyjętej zasadzie tolerancyi, swobodnie się szerzyły po ogromnem państwie polskiem“.

Przyjrzyjmy się, o ile jest prawdziwą owa wyroczniowa charakterystyka Rzeczypospolitej polskiej w XVI wieku.

Przedewszystkiem, czy prawdą jest, że ustawy w Polsce były wyłącznie dla szlachty, że ona zajmowała wyłącznie władzę prawodawczą, sądową i administracyjną, a tem samem, czy jest prawdą, że szlachta absorbowała wtedy całe życie społeczne a w innych sferach znajdowała się tylko martwota, śmierć znamionująca.

Otóż przypominamy p. Makuszewowi, że nawet włościanie w XVI wieku, osłonięci byli na Mazowszu zwyczajem prawnym rękojemstwa, który jakkolwiek rzadko, lecz zawsze pojawiał się i w innych prowincyach w tejże epoce. Przytem są świadectwa u pisarzów tych samych, których p. Makuszew cytuje, że nie obchodzono się z nimi tak surowo, jak w sąsiednich państwach, i włościanin XVI wieku nie był jeszcze owym „tristis usque ad mortem“, jakim go znajdujemy u nas na początku XVIII wieku.

Co do mieszczaństwa, to p. Makuszew pozwolił sobie nieznać bardzo elementarnych faktów historycznych. Najpierw wchodzili mieszczanie miast pruskich i kilku miast Korony w skład sejmu, a zatem mieli udział we władzy prawodawczej, tym najdrogocen-

niejszym przywileju. Dyaryusz lubelski (1569 r.) obejmuje nazwiska mieszczan krakowskich, którzy się na sejmie znajdowali, a miasta pruskie i później jeszcze prawo to zachowały dla siebie. Dalej — władza sądowa w sądach miejskich, o ile nam wiadomo, powierzoną była mieszczanom [1]), i apelacye od nich nie szły nawet do sądów szlacheckich, lecz do sądów zadwornych, czyli do króla, który miał sposobność bronić ich od nadużyć i zapewnić im słuszny wymiar sprawiedliwości.

Co do administracyjnej władzy, to jest, co do powierzania urzędów tak państwowych jak i kościelnych, wyłącznie szlachcie, to i tu pozwolimy sobie zarzucić p. Makuszewowi nieznajomość przedmiotu. Oto naprzód co do urzędów państwowych mamy dowody w Dyaryuszu z r. 1569 [2]), jakie wysilenia izby poselskiej i senatu, aby wszystkie urzędy skarbowe pozyskać dla szlachty, poszły na marne. Król pomimo kilkakrotnych instancyi obu rad stanowczo żądaniom odmówił i postanowił nadal urzędy, mitników celników i zupników powierzać nieszlachcie.

Co do dostojeństw kościelnych, to wprawdzie konstytucya z r. 1510 i 1550 przyjęły zasadę „plebei ad majores ecclesias non recipiendi“, lecz przecież pan Makuszew powinien był śledzić, czy zasada ta została rzeczywiście wykonaną, i czy odepchnięto w XVI wieku inne warstwy społeczne od dygnitarstw kościelnych. Otóż w Dyaryuszu z r. 1555 [3]), a zatem z drugiej połowy XVI wieku istnieje dowód, ile to dostojeństw duchownych znajdowało się w posiadaniu nieszlachty, a na wyrzuty rycerstwa król się bynaj-

---

[1]) Skrzetuski: Prawo polityczne narodu polskiego. T. 2. Str. 376.

[2]) Дневникъ Люблинскаго Сейма 1569, wyd. Kojałowicza, str. 562 i 564. Sam król gorzko odpowiada radom: „Nie miejcie mi tego za złe, lecz tego nie mogę uczynić, bom się już wam związał wsitek ze wsitkiemi sprawami swemi, a prawem jest od was krępowan“.

[3]) Dzienniki sejmów walnych koronnych za panowania Zygmunta Augusta z r. 1555 i 1558. Wyd. ks. Lubomirskiego. Czytamy na str. 50 wykaz urzędów kościelnych posiadanych przez nieszlachtę: „W Paradiżu nieślachcic opat, w Bledowie nieślachcic opat nowo postawion, w Miechowie nieślachcic, w Andrzejowie nieślachcic, w Mszowie nieślachcic, w Ploczku nieślachcic opat, w Gerowie nieślachcic opat, w Częstochowie nieślachcic, w Klodowie nieślachcic proboszcz, w Strzemesznie nieślachcic, w Górze i Lenczicze nieślachcic proboszcz et alii quam plurimi“.

mniej nie kwapił z odbieraniem urzędów i egzekwowaniem ustawy, lecz ufny w swą powagę, pozostawił sobie nadal władzę dysponowania.

Te fakta są również wybornem objaśnieniem zdania p. Makuszewa, iż król był w zupełności zawisłym od senatu i sejmu, i nic bez ich woli nie był w stanie uczynić. Gdyby autor był znał źródła historyczne, które powinien był przestudyować, nie popadłby w tak ciężkie błędy, a poznawszy choć pobieżnie historyę Polski, nie byłby zarzucił takim monarchom jak Zygmunt Stary, Zygmunt August, Stefan Batory a nawet Zygmunt III, zawisłości kompletnej od senatu lub sejmu. Zamiast też wykazać, jaki wpływ wywarła monarchia elekcyjna na pojęcia o monarchizmie w Polsce, co o tym fakcie pisali statyści, co myślał gmin szlachecki i jak elekcya wpłynęła na przeistoczenie istoty monarchizmu, zamiast, jednem słowem przedstawić nam zjawiska, które wówczas zajmowały najpoważniejsze umysły w Europie, jak np. Bodina, autor raczy nas samemi ogólnikami i to niczem nie udowodnionemi.

Nareszcie przechodzimy do zarzutu wymierzonego przeciwko duchowieństwu, a mianowicie: że było wiernym sprzymierzeńcem szlachty, i że wraz z kościołem tak nizko upadło w XVI wieku, że nawet szlachta naśmiewała się z klątwy i sądów duchownych.

Co do sprzymierzania się ze szlachtą, to pan Makuszew i tu zapomniał o historyi powszechnej, to jest, że objaw powyższy nierównie silniej występował w sąsiednich nam państwach. Duchowieństwo splótłszy się z polityczną organizacyą, uważanem było w owych czasach nietylko za stan duchowny, ale za pierwszy stan polityczny, i ciągnęło korzyści z przywilejów ówczesnej konstytucyi państwowej. Czy jednak u nas solidaryzowało się tak jak we Francyi i w Niemczech ze szlachtą, lub też z monarchią samowładną, i czy utwierdzało w umysłach ludu pojęcia o słuszności gniotących przywilejów, to o tem wątpić należy. Przecież sam autor cytuje Skargę, a mógłby cytować Birkowskiego, Wereszczyńskiego i powinienby przypomnieć sobie, jak surowo karcili występki szlachty, a upominali się za ludem wiejskim.

Co do wyśmiewania się z klątwy i sądów duchownych, to pan Makuszew zapomniał dojrzeć i tutaj istotę rzeczy. Gdyby był przej-

rzał dyaryusze sejmowe z owej epoki, byłby się przekonał, że wyśmiewanie to i lekceważenie było bardzo względne, albowiem ograniczało się na pewnym wyłącznym zakresie. Duchowieństwo owej epoki wkraczało często w atrybucye władzy świeckiej i używało duchownej władzy dla przeprowadzenia czysto ziemskich interesów. Było to zresztą objawem powszechnym nietylko nam właściwym. Otóż rycerstwo powstawało na używanie klątwy, jako środka przymuszającego do wykonania umów prywatnych, w których kościół był interesowanym i lekceważyło sądy duchowne, gdy te zagarniały sprawy czysto świeckie. Był to spór, który u nas nierównie łagodniej przeszedł, niż w innych krajach, a tem samem nie może służyć bynajmniej za dowód upadku kościoła.

Zresztą odpowiadając jeszcze raz na zarzut ogólnikowy, stawiany przez p. Makuszewa, mamy zaszczyt zwrócić jego uwagę tylko na sam rezultat historyczny, który dostatecznie objaśni. U nas duchowieństwo nie potrzebowało w obronie swych praw uciekać się do wojen religijnych, jak we Francyi i w Niemczech; nie niszczyło spokoju narodu i nie wytwarzało nieprzejednanych stronnictw, jak gdzieindziej. Reforma rozwijała się łagodnie, a duchowieństwo reflektowane przez rozsądnych, wzniosłego umysłu monarchów, nie zapominało o swych obywatelskich obowiązkach. Że światowość i czysto ziemskie usposobienia zawładnęły niem i w Polsce, temu nikt zaprzeczać nie myśli; ale przyczyny tych objawów tkwią głębiej, t. j. w samej organizacyi kościoła i jego stosunku do państwa. Zresztą w chwili niebezpieczeństwa, nie wychodząc ze szranek legalnych, umiało sobie duchowieństwo zapewnić przewagę i błyszczało w historyi pierwszorzędnemi zdolnościami.

Krótki ustęp poświęca p. Makuszew, jezuitom, puszczając tu, jak we wszystkich miejscach dotyczących kościoła katolickiego, wodze gniewowi swojemu. Znajdujemy w powyższym ustępie kilka ogólników, takich np.: że kardynał Hozyusz sprowadził zakon jezuitów do Elbląga w 1564 r., że się tenże następnie za Zygmunta III bardzo rozpowszechnił i doszedł do znacznych bogactw, że zagarnął wykształcenie publiczne, prześladował nauki i literaturę, wychowując młodzież dla celów zakonu. Dzięki też takiej czyn-

ności jezuitów, nietylko nauki i literatura, lecz i całe państwo polskie musiało upaść.

Otóż p. Makuszew pisał o XVI wieku w Polsce i o społeczno politycznych potęgach, jakie się w tymże wieku pojawiały. Właśnie też dlatego dziwi nas cały ów ustęp o jezuitach i ich wpływie na wykształcenie elementarne w Polsce. Gdyby p. Makuszew pisał o XVII wieku, może niektóre jego uwagi, gruntowniej przedstawione i poparte, rzeczywiście historycznemi studyami, byłyby odpowiedniemi, lecz tu są przedwczesnemi, bo skutki wykształcenia jezuickiego, ich wpływ ujemny i potężne stanowisko, jakie zakon ten zdołał zająć, to wszystko historya XVII a nie XVI wieku. Sam autor umiał przecież doczytać się owego faktu, że pierwszy raz zakon pojawił się w Polsce w 1564 r., t. j. w drugiej połowie XVI wieku, zanim się jednak rozpowszechnił, nabył dostatków i zagarnął wykształcenie publiczne, już wiek XVI zbliżył się ku końcowi, a wiek XVII nastąpił. Zresztą objaw powyższy, zgodny jest z historyą zakonu jezuitów i dość przypomnieć sobie kilka faktów, aby dojść do przekonania, że zarzuty stawiane przez pana Makuszewa, mogą się odnosić tylko do XVII wieku.

Zakon jezuitów powołany został do istnienia w r. 1534. Wiadomem jest jednak, że dopiero za Lainez'a (1558) otrzymał organizacyę odpowiednią założonym celom i świadom był swego kościelnego przeznaczenie [1]). To wszystko jednak spoczywało przeważnie w idei. Przejście w czyn, t. j. przeprowadzenie organizacyi, wykształcenie odpowiednich organów, nabycie dostatków i ogarnięcie wykształcenia — nie było dziełem jednej chwili, lecz rezultatem dłuższego procesu.

Przypuśćmy jednak, że się p. Makuszew nie pomylił o jeden wiek, że owe ujemne wpływy sprowadzające upadek całego państwa istniały już w XVI wieku, a przyjrzyjmy się, jak je p. Makuszew przedstawił i czy rozświetlił choć jednę z licznych wątpliwości jakie się nasuwały. Oto np. znajdujemy wzmiankę, że jezuici prześladowali nauki i literaturę. Jakżeż się zdziwi czytelnik powyż-

[1]) Właściwie dopiero w 1584 r. wyszedł ów sławny Corpus institutorum Societatis Jesu.

szym rezultatem badania, gdy sobie przypomni, iż jezuici w stosunkowo dość krótkim czasie, wytworzyli znaczną literaturę, że wypracowali charakterystyczną, choć dość niebezpieczną teoryę moralności, że w naukach państwowych złożyli dowody znakomitej bystrości umysłowej i niepospolitej pracy.

Z ich to szeregów wyszli tacy pisarze jak Bellarmin, Mariana, Escobar, Suarez i t. p. Zdeklarowani też nieprzyjaciele Zakonu jak Kolb [1]) nie mogą mu odmówić wyższości umysłowej od duchowieństwa innych wyznań, a pisarz tej doniosłości co Buckle [2]) nie mający bynajmniej powodu do stronności, przyznaje im te same przymioty co Kolb i wpływ ich przypisuje wyższemu, choć później przewrotnemu systemowi wykształcenia. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden ustęp ze znanego dzieła o historyi cywilizacyi Anglii, brzmi on jak następuje: „Jezuici oddawali przynajmniej przez pięćdziesiąt lat od czasu utworzenia ich zakonu, niezmierne usługi cywilizacyi, częścią przez miarkowanie świeckim żywiołem więcej przesądnych wyobrażeń swych poprzedników Dominikanów i Franciszkanów, częścią przez uorganizowanie systemu wychowania o wiele wyższego od wszystkich dotyczasowych w Europie. W żadnej wszechnicy nie było tak rozległego jak ich systemu naukowego i nikt pewno nie rozwinął tyle zdolności w prowadzeniu młodzieży i nie okazał tyle głębokiego poglądu na czynności ducha ludzkiego wogóle. Słusznie dodać należy iż znakomite to towarzystwo, pomimo swej żarliwej i częstokroć niepohamowanej pychy, było przez długi przeciąg czasu wiernym zwolennikiem umiejętności i literatury i że dozwalało członkom swoim swobodnie i śmiało zaciekać się w dziedzinę myśli“.

Jakkolwiek też wpływy potężnego zakonu okazały się u nas w XVII w. szkodliwemi i wydały nieszczególne owoce, to jednakże przyczyn tej ujemnej strony p. Makuszew nie wykazał.

Przystępujemy wreszcie do ostatniego zarzutu, uczynionego rycerstwu polskiemu XVI wieku. P. Makuszew twierdzi, że jak duchowieństwo mało się troszczyło o obronę wiary i kościoła, tak i szlachta mało się zajmowała obroną państwa od zewnętrznych

---

[1]) Culturgeschichte der Menschheit. T. II, str. 363.

[2]) Historya cywilizacyi Anglii. T. II, str. 43, (tłóm. Zawadzkiego).

nieprzyjaciół. Powinność wojskową spełniała niechętnie zbierając się leniwie i ze wstrętem na pospolite ruszenie, co zresztą podług pana Makuszewa jest bardzo naturalnem, gdyż owo rycerstwo tonęło w rozkoszy, lenistwie i zniewieściałości.

Rzeczywiście, zarzut powyższy posiada przynajmniej jedną zaletę wątpliwej wartości, a mianowicie: jakkolwiek jest nieprawdziwym jest przynajmniej dość oryginalnym. Że p. Makuszew twierdzi, iż rycerstwo nie myślało o obronie państwa, nie wprawia nas to bynajmniej w podziw, gdyż autor nie zna bardzo ważnych źródeł dziejowych odnoszących się do XVI wieku, jakimi są dyaryusze sejmowe i nie zna literatury o rzeczach wojennych z tychże czasów. Owe źródła byłyby go poinformowały, ile to trudów poświęcał król z rycerstwem aby wytworzyć stałą armię zdolną obronić granice państwa i że w powyższej epoce była to pierwsza i najważniejsza kwestya. Być może, że uorganizowanie tej obrony okazało się później niedostatecznem i nieodpowiedniem, że np. przy tak otwartych granicach państwa zbyt mało zwracano uwagi na fortyfikacye lecz i tu, formując zarzut, trzeba zwracać uwagę na historyę sztuki wojennej, aby nie popaść w przesadę i nie wymagać rzeczy, które wobec ówczesnej nauki i ówczesnych finansów były niemożliwemi.

Zresztą i tu w broszurze p. Makuszewa spotykamy sprzeczności, twierdząc bowiem, że szlachta nie dbała o obronę, oblicza on że wojsko w XVI wieku dochodziło do 200.000, włączając naturalnie kozackie drużyny. Nie wiemy naprzód skąd pan Makuszew wziął tę cyfrę i na mocy jakich kombinacyj doszedł do niej. Raczył tym razem otoczyć tajemniczym cieniem swój wynalazek. W każdym razie przy ówczesnym organizmie państwowym i ówczesnych finansach, cyfra ta wydaje nam się nadzwyczaj przesadzoną, zwłaszcza że w dyaryuszach liczba wojsk kwarcianych podanych, jest niezmiernie mniejszą [1]). Lecz pomijając ten zarzut i wracając do pierwszego, chcielibyśmy wiedzieć, opierając się na historyi innych krajów, jakim sposobem można rycerstwu czynić zarzut, że nie dbało

[1]) W dyaryuszu lubelskim spotykamy się zaledwie z cyfrą kilkunastu tysięcy.

o obronę, gdy wówczas t. j. w XVI wieku zdołało wystawić 200.000 armię na obronę granic.

Wiadomości podane przez p. Makuszewa o wojsku kwarcianem i wogóle o organizacyi jego są bardzo pobieżne i niezadawalniające. Co zaś do zarzutu, „że szlachta niechętnie ściągała na pospolite ruszenie to rzeczywiście dowodzi on, jak i wiele innych miejsc, że autor niema elementarnych wiadomości z dziedziny nauk państwowych, wymagając poświęceń i czynów sprzecznych z naturą rzeczy, czyli po prostu niemożliwych.

Pospolite ruszenie, jak to zresztą pisarze XVI wieku [1]) dobrze rozumieli, nietylko że chybiało celu, t. j. dla obrony kraju okazywało się niepraktycznem i niewystarczającem, lecz burzyło porządek i bezpieczeństwo wewnątrz kraju, a przedewszystkiem odciągając od pracy i zajęć gospodarskich masę ludzi, stawało się pod względem ekonomicznym, środkiem, zbyt drogim, prawie niemożliwym. Trudno się też dziwić, że przy nieustannych wojnach, nużący ten środek, nieraz zawodził do pewnego stopnia i że wśród rzeszy szlacheckiej znalazł się jeden i drugi, co w podobnym wypadku, będącym dla niego nietylko poświęceniem krwi, lecz rujnującym wydatkiem, uciekał się do wybiegów, aby pozostać w domu.

Z tych pojedynczych faktów, koniecznych i nieuniknionych w każdem społeczeństwie ludzkiem, wnosić o zaniedbaniu i lekceważeniu powinności wojennej, kiedy podług samego autora, armia 200.000 służyła do obrony granic, jest to posuwać się w tendencyjnem potępieniu za daleko. P. Makuszew zapomniał, że jeżeli która siła państwowa, to ta przedewszystkiem ceni się podług skali czynów. Wartość armii, jej duch zwycięski i dyscyplinarny, jej poświęcenie, zaparcie się w chwilach niebezpieczeństwa, jednem słowem, wewnętrzna wartość jej organizacyi i wartość żołnierza, okazuje się i stwierdza dopiero w czynie t. j. w dokonanych kampaniach. Historya kampanii nie była jednak bynajmniej wskazówką

---

[1]) Pisma polityczne X. Józefa Wereszczyńskiego, patrz Votum ze strony podniesienia wojny potężnej przeciwko cesarzowi tureckiemu bez ruszenia pospolitego a iżby każdy gospodarz zostawszy w domu swoim mógł bezpiecznie zażywać gospodarstwa swego. I. M. Panom na sejm Warszawski 1597 podane, str. 60.

dla p. Makuszewa. Cóż bowiem znaczą dla wyroczniowego historyka fakta tak drobnej doniosłości np. jak te, że w XV wieku owe liche armie i zniewieściałe pospolite ruszenia zgniotły jedną z większych potęg militarnych w Europie, jaką był zakon krzyżowy, a w XVI wieku zwycięstwo było prawie nierozdzielnem z ich sztandarami.

Na pochwałę rycerstwa, które nawet podług surowego Skargi, było nieustraszonem [1]), na pochwałę hetmanów, których nawet obcy monarchowie naówczas chwalili [2]), nie znalazł p. Makuszew ani jednego słowa. Możemy mu tylko powinszować jego sposobu pojmowania historycznych faktów oraz widocznego aż nazbyt, zamiłowania prawdy.

Nawet tam, gdzie było rzeczywiście pole do wytknięcia wad, jak np. w kwestyi wymiaru sprawiedliwości karnej przez króla podczas sejmu, okazał się autor stronnym, bo nie wykazał, iż błąd ten był zrozumianym przez społeczeństwo ówczesne i że wytworzyło się w łonie sejmów silne stronnictwo, które starało się temu niedostatkowi zapobiedz.

Kończy wreszcie p. Makuszew ów opis charakterystyczny organizmu społeczno-politycznego Polski XVI wieku temi słowy: „Takim był w ogólnem naszkicowaniu stan polskiego państwa w XVI wieku, zewnątrz błyszczącego, wewnątrz zgniłego. Polski Złotousty Skarga porównywał je do gnijącego wewnątrz jabłka dla uratowania którego niema żadnego środka“. Pozwolimy sobie przytoczyć powyższy ustęp Skargi, brzmi on jak następuje: „do takich utrat i przeklęctwa pewnie was ta wasza niezgoda i roztyrki domowe przyprawią. Nie tak rychło i nie tak żałośnie wojną i najazdem zginąć możecie jak waszą niezgodą. Jabłko gdy z wierzchu się psować zacznie wykroić się zgniłość może iż potrwa, ale gdy, wewnątrz gnić i psować się pocznie, wszystko zaraz porzucić musisz i o ziemię uderzyć“ [3]). Otóż wydaje nam się, że pan Makuszew cokolwiek źle zrozumiał, ustęp kazania Skargi. Nie jest to bowiem twierdzenie, iż Rzeczpospolita jest zgniłem jabłkiem, dla którego niema żadnego

[1]) Kazania sejmowe str. 21 (Turowski).
[2]) Consilium rationis bellicae (wydanie Turowskiego) patrz wstęp.
[3]) Kazania sejmowe (wyd. Turowskiego) str. 37.

ratunku, ale w zrozumieniu zwykłem, w dobrej wierze, jest to napomnienie, że jeżeli dłużej niezgoda wewnętrzna czyli owa zgnilizna trwać będzie, to się owem jabłkiem stać może.

Zresztą w cytowaniu niniejszego ustępu p. Makuszew okazał pewne skrupuły, albowiem powołał tylko stronnicę wydania Turowskiego, gdy tymczasem inne dobrze cytowane ustępy, mimo niepotrzebnego rozszerzenia swej pracy, najskrupulatniej dosłownie wypisywał. O tem już niema mowy u p. Makuszewa, że Skarga nie może służyć do charakterystyki wieku XVI wogóle, lecz tylko do końca XVI wieku; różnica czasu bowiem niknie wobec z góry postawionych tendencyj.

Obiecuje nam nareszcie p. Makuszew rozebrać poglądy panujące w literaturze polskiej XVI wieku, o szlachcie, o wychowaniu, o rządzie państwowym, o prawach i sądach, o obronie wojennej, o władzy królewskiej, o mieszczanach, o położeniu cudzoziemców i innowierców, wreszcie o włościanach. Szereg zapowiedzianych artykułów rozpoczyna dość obszerny ustęp o szlachcie a raczej o panach i szlachcie.

Na samym początku czytamy wyjęte z Hüppego zdanie, że proklamowana w ustawach równość szlachecka nigdy nie istniała w Polsce, była ona takim samym, prawdopodobnie niedoścignym ideałem jak liberum veto. Najdawniejsi kronikarze znają już odmienne tytuły i jednych czcili przydomkiem barones, primates, nobiles, drugich zaś fratres. W XVI wieku zaś panowie nazywają się proceres, optimates, ordo senatorius, a szlachtę, nobiles, ordo equester. Za Piastów tylko panowie przyjmowali udział w sprawach państwowych a szlachta służyła jedynie w wojsku. W roku 1537 panowie chcieli nawet ustawą zapewnić sobie stałą przewagę, lecz niezliczona szlachta oparła się temu i unicestwiła wszelkie dążenia w powyższym kierunku.

Następnie czytamy zdanie, które z wypisanem z Hüppego stoi w pewnej sprzeczności, albowiem p. Makuszew przyznaje, iż prawo nie czyniło żadnego rozgraniczenia między panami i szlachtą, tylko że różnicę pewną obyczaj sankcyonował. W ogólnej opinii stara szlachta postawioną była nierównie wyżej od świeżo nobilitowanej. Pokrótce także wzmiankuje autor o różnicy między posesyonatami

i takimi co nic nie posiadali, o rozdrobnieniu własności ziemskiej szlacheckiej i wreszcie objawia znowu zdanie sprzeczne z poprzedniemi a mianowicie: że nietylko obyczaj lecz i prawodawstwo odróżniało między starą i rodowitą szlachtą a nowonobilitowaną, między posesyonatami a rzeszą bez ziemi, między panami a ich wasalami. Znowu zatem równość nie egzystowała. Historya objaśnia p. Makuszewa, że wśród szlachty wynoszącej dziesiątą część ludności całej Polski i dochodzącej do cyfry miliona, rządziło niewielu bogatych i potężnych panów.

Po tych ogólnych uwagach, autor przytacza poglądy Łukasza Górnickiego, Frycza Modrzewskiego, Reja z Nagłowic i Sebastyana Klonowicza a wśród nich upatruje dwa kierunki. Jeden z nich reprezentowany przez Łukasza Górnickiego każe „pana swego prawdziwie miłować i we czci jako ziemskiego Boga mieć“. Drugi kierunek, do którego należy Modrzewski, Klonowicz i Rej, powstaje przeciw herbowej szlachcie, zasługom przodków a wygłasza nową naukę o wyższości osobistych zasług. Nie będziemy przytaczali dalszej treści ustępu o szlachcie, gdyż jest właściwie prostem przepisaniem polskich pisarzów, bez żadnych ogólno-historycznych wyjaśnień.

W powyższym rozdziale o panach i szlachcie, widzimy jedną przewodnią chęć wykazania, że wśród szlachty równość była mrzonką, a w rzeczywistości panowała zawisłość od magnatów. Tylko że autorowi nie bardzo szczęśliwie się udaje z odróżnieniem społecznej i prawnej zależności, dlatego też zmuszonym jest nieustannie błąkać się ze swym sądem i umieszczać wprost przeciwne zdania. Że w Rzeczypospolitej równości w społecznem znaczeniu wśród rycerstwa być nie mogło to nic dziwnego bo, takowa po dziś dzień w żadnem społeczeństwie nie istniała i prawdopodobnie w zupełności nigdy istnieć nie będzie. Autor z prawdziwem zdumieniem przedstawia fakta przepisane z Hüppego, robiąc nam z nich zarzuty a nie uwzględnia iż takowe wszędzie miały miejsce z wyjątkiem chyba dzikich, koczowniczych plemion. Przypominamy tylko nawiasowo Anglię i stanowisko lordów. Czyż nie wywierali znakomitego wpływu na miasta i pomniejszą szlachtę? czyż nie zakupywali gło-

sów w parlamencie, czyż nie posiadali książęcych dworów i nie nazywano ich ziemskiemi bogami?

Wykazując między szlachtą nierówność prawną, którą raz przyznaje p. Makuszew, drugi raz odwołuje, wypadało być cokolwiek ściślejszym. Autor powołuje się tylko w jednem miejscu na Moraczewskiego, twierdząc, że Gorajskim oddany był pewnego rodzaju nadzór nad szlachtą szczebrzeszyńską, lecz nie przytacza bynajmniej na czem polegał ów nadzór, który mógł być stosunkiem czysto prywatnym nie publicznym, i na jednym bardzo drobnym fakcie buduje cały system lenny wasalstwa.

Dziwnem się także wydaje p. Makuszewowi, że do urzędów państwowych i do sejmu nie dopuszczano gołoty, czyli szlachty nie posiadającej własności ziemskiej. Ale czyż przypuszczano takową do parlamentu angielskiego i czyż census powyższy nie był naówczas niezbędną dla godności państwowych gwarancyą? Czytamy następnie, że panowie tylko przyjmowali udział w sprawach państwowych, tworzyli ordo senatiorus a rycerstwo zajmowało się wojną. Fakt powyższy jak zwykle niczem nie udowodniony przez autora, jest jednak nieprawdziwym, bo nikt ścisłego prawnego a nawet społecznego rozdziału między panami a rycerstwem nie jest w stanie przeprowadzić dlatego, iż tak zwani panowie rekrutowali się nieustannie z bogatszego i potężniejszego rycerstwa. Senat polski nie składał się jak chce mieć p. Makuszew z panów lecz z dygnitarzy koronnych, t. j. z wyższych urzędników państwowych podobnie jak w Anglii początkowo izba lordów. Urzędnicy zaś brani byli przez monarchę ze wszystkich warstw szlacheckich, często nawet dość nizkich. Jakżeż jednak p. Makuszew zdefiniuje prawną różnicę pana od rycerza, gdzie się rozpoczyna jego pan a gdzie kończy szlachcic i jakie odróżniają ich przywileje prawne? O tem wszystkiem niema mowy. Wpływ społeczny starego rodu, zasługa dawna polityczna lub wojenna, znaczenie bogactw i stosunków, wreszcie niezwykłe zdolności, to jest wszystko to, co wytwarza nierówność społeczną, uważanem bywa przez p. Makuszewa za nierówność prawną i napełnia go nieustannem zdumieniem.

Przecież powinien sobie był przypomnieć p. Makuszew ów żywy związek jaki istniał między panami a rycerstwem i że nieustannie

szeregi jednych zapełniały się wybrańcami drugich, czego tak wybitnym przykładem był Jan Zamoyski ożeniony z krewną królewskiego domu a tylko prosty i uzdolniony rycerz. Tak samo, cyfra milionowa szlachty XVI wieku, którą nas obdarzył p. Makuszew, jest mocno zagadkową. Skąd ją autor wziął, lub z czego wywnioskował, jednem słowem, jakie dane służyły za podstawę jego hypotezie, o tem nie wiemy. Nareszcie ostatnia uwaga autora, że wśród milionowej rzeszy szlacheckiej panowało tylko niewielu bogatych magnatów, jest znacznie przesadzoną. Jeśli bowiem na Litwie i w Małopolsce objawiało się więcej arystokratyczne urządzenie społeczeństwa, to zato Wielkopolska wcześnie otrzymała szlachecko-demokratyczne usposobienia i w tej prowincyi, rzesza rycerska przyszła już w XVI wieku do pełnego poczucia swej potęgi.

Nad dalszym ciągiem powyższego ustępu zastanawiać się nie będziemy, gdyż jak to już nadmieniliśmy, jest on prostem przepisaniem poglądów polskich statystów. Nadmieniamy tylko, że obszerne wyciągi nie streszczane i nie zestawiane systematycznie nużą niezwykle czytelnika a brak porównawczego poglądu i nieznajomość historyi szlachty w ogóle, odejmuje ustępowi powyższemu wszelką wartość krytyczną.

Następny rozdział traktuje o wychowaniu i o szkołach publicznych w XVI wieku. Autor nadmienia, iż wielu pisarzów tej epoki pozostawiło nam swoje poglądy na powyższe pytania, przyznając zgodnie zły stan szkół, zły system wychowania i proponując, każdy według swego rozumienia rzeczy, niezbędne projekta reformy.

Na niedostatek szkół, podług p. Makuszewa, nie można się było uskarżać, ilość ich bowiem była dostateczną i w ciągu XVI wieku powiększała się nieustannie. Lecz liczne szkoły katolików i innowierców więcej szkodziły państwu aniżeli przynosiły pożytku. One się znajdowały w rękach duchowieństwa, które goniło za własnemi celami, bynajmniej się tem nie trudząc, aby wychowańcy odebrali wykształcenie pożyteczne dla nich samych lub też dla państwa.

Następne uwagi poświęca p. Makuszew Akademii Krakowskiej zajmującej się wyłącznie sporem scholastycznym Tomasza Akwiniańskiego z Dunks-Skotem i tak nizko upadłej, że młodzież polska

musiała wyjeżdżać do zagranicznych uniwersytetów. Akademia ta wytwarzała jedynie złotą miernotę, wpośród jej profesorów znajdowali się biskupi i arcybiskupi a wychowańcami swymi napełniała klasztory odejmując państwu tysiące pożytecznych rąk i głów. Zamiast światła rozprzestrzeniała tylko zabobony i przesądy.

W drugiej połowie XVI wieku zjawiają się szkoły jezuickie, którym autor poświęca równie ogólnikowe jak poprzednio, uwagi dodając tylko ten jeden szczegół, że Jan Zamoyski aby zgubnemu wpływowi tych szkół przeciwdziałać, założył na wzór włoskich uniwersytetów akademię w Zamościu w 1595 r.

Kilka bardzo pobieżnych wzmianek znajdujemy także o wychowaniu kobiet i spotykamy znowu zdanie wprost przeciwne temu, jakie niedawno p. Makuszew wygłosił. Gdy bowiem na początku autor przyznaje, że wielu polskich pisarzy zajmowało się w XVI wieku kwestyą wychowania, na stronicy 59, wygłasza znowu, że zdumiewającem jest jak mało zajmowała Polaków i cudzoziemców piszących o Polsce, kwestya wychowania młodzieży. Pomimo najgorszego usposobienia dla szkół naszych, autor nie może jednak zaprzeczyć, iż znajomość języków a przedewszystkiem łaciny stała bardzo wysoko, tak, iż współcześni cudzoziemcy zauważyli, że Polska pod tym względem stała wyżej od Włoch. Również przyznaje, powtarzając słowa Kromera, że studia humanitatis, medycyna, nawet muzyka nie były tak bardzo zaniedbanemi i że do szkół uczęszczała nietylko szlachta lecz mieszczanie i chłopi.

Następnie spotykamy się z rozwlekle przedstawionemi poglądami Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Piotra Zbylitowskiego, Klonowicza, Łukasza Górnickiego, Stanisława Orzechowskiego i Frycza Modrzewskiego. O tym ostatnim czytamy następujące zdanie. Nikt z polskich pisarzów XVI wieku, nie pojął tak głęboko kwestyi wychowania jak Modrzewski, co należy przypisać nietylko jego wysoko wykształconemu politycznemu umysłowi, lecz także i temu, że był protestantem. Katolik nie mógłby z takim spokojem i tak beznamiętnie sądzić o przyczynach upadku szkół w Polsce, nie mógłby proponować tak radykalnych środków dla naprawy dzieła zepsutego przez katolickie duchowieństwo. To duchowieństwo było głównym sprawcą upadku szkół i dlatego też Modrzewski domaga

się wmieszania państwa. W końcu p. Makuszew nadmienia, że przedstawił wszystkich lepszych pisarzów polskich, dzieląc ich na dwa obozy, jedni chcą realnego kierunku, do nich należy Rej z Nagłowic, reszta zaś nierównie liczniejsza pragnie klasycznego wykształcenia.

Poświęcimy chwilkę uwagi temu ustępowi.

Najważniejszy zarzut, jaki p. Makuszew stawia wykształceniu szkolnemu XVI wieku w Polsce, jest kościelny charakter, który stanowczo przybrało i udział duchowieństwa w ogólnem kierowaniu szkołą, jakiemu się poddało. Jest to rzeczywiście fakt bezsporny i mógłby stanowić zarzut, gdyby nie ten wzgląd, iż był powszechnym, że wypływał z ducha epoki i żadne społeczeństwo ucywilizowane nie zdołało się od niego uchylić. Radzibyśmy wiedzieć i prosilibyśmy p. Makuszewa o wyjaśnienie, w jakich to krajach w XVI wieku, państwo objęło pieczę nad oświatą publiczną, uważało szkołę za instytucyę własną i uwolniło ją od opieki kościoła. P. Makuszew nie zauważył, że jeżeli system ówczesny był wadliwym i duchowieństwu poważne można było czynić zarzuty, to jednakże udział jego w wykształceniu publicznem był niezbędnym i najśmielszy reformator, jeśli był tylko mężem stanu nie zaś marzycielem, nie mógł pomyśleć o zupełnem jego usunięciu. Przedewszystkiem skąd państwo ówczesne t. j. XVI wieku, miało wziąść odpowiedni stan pedagogów i czy się w tej mierze mogło obejść bez niższego duchowieństwa. Przypominamy tylko, że gdy w XVIII wieku duchowieństwo zaniedbało jeszcze bardziej oświatę kraju a państwo zajęło się na seryo kierownictwem szkoły, stan nauczycielski ludowy składał się naówczas tylko z okaleczonych podoficerów, wachmistrzów i najniższych oficyalistów służby administracyjnej t. j. z ludzi, którzy o wszystkiem mogli marzyć, tylko nie o tem, że się staną pedagogami i że będą rozprzestrzeniać światło na tym ziemskim padole.

Jeżeli jednak w XVIII wieku, kierownictwo państwowe w dziedzinie oświaty okazało się niedołężnem, to cóżby się stało w XVI w., gdy stanowisko kościoła było nierównie potężniejszem, wpływ jego na umysły nierównie silniiejszym i gdy kościół, bądź co bądź mimo znacznych wad, wśród ówczesnego społeczeństwa reprezentował potęgę inteligencyi. Zarzucać więc naszej szkole XVI wieku, że się

dostała pod opiekę kościoła jak to miało miejsce w całej Europie i co wynikało z natury ówczesnych stosunków, jest to, popełniać co najmniej niesprawiedliwość. Sąd prawdziwy powinien wykazać o ile u nas wpływ kościelny był silniejszy niż gdzieindziej i czy duchowieństwo więcej zaniedbywało oświatę aniżeli w sąsiednich państwach.

Prócz tego winien był także p. Makuszew wykazać czy wśród sejmów nie było reformatorskich dążeń i nareszcie obowiązany był przedstawić literaturę przedmiotu t. j. owe poglądy pisarzy XVI wieku, któremi się jego praca ma przecież zajmować. Otóż tego wszystkiego p, Makuszew nie dopełnił. Wymaga bowiem: 1) od państwa XVI wieku rzeczy niemożebnych; 2) sejmowych prac nie zna wcale; 3) bardzo ważne dzieła w tym przedmiocie pozostały niniejszej broszurze obcemi.

Ponieważ pierwszy zarzut uzasadniliśmy poprzednio, przejdziemy zatem do drugiego, t. j. że p. Makuszew nie troszczył się o to bynajmniej, aby poznać postępowe dążenia w sejmach, pomimo, że najdrobniejsze objawy zgnilizny śledził z prawdziwą przyjemnością. Mamy zaszczyt przypomnieć p. Makuszewowi, że jakkolwiek skromnemi były dążenia sejmów, to były jednakże i wypadało je temu znać, kto specyalną monografię pisał o powyższym przedmiocie. Tak np. na sejmie piotrkowskim w 1562 r. podano projekt reformy szkół, ważny pod tym względem, iż miały one przejść pod stały nadzór państwa. Oto co czytamy w dyaryuszu „przeto naprzód prosimy W. Kr. Mość, abyś cztery osoby do tego godne, tu na tym sejmie ze zezwoleniem wszystkich stanów raczył deputować, ale takie aby mogły rectum judicium o tem rzemiośle (szkołach) czynić. Gdyżby próżno szewcom aptekarze rewidować poruczono a k nim przydać radę krakowską; a tam jako je Pan Bóg nauczy, uczynili taką reformacyę jakoby i dobrzy lektorowie czytali i karność na posłuszeństwo, aby była i aby to w konstytucyę włożono było, aby na każdy rok i każdego sejmu walnego były takowe cztery osoby wybierane ku tej radzie krakowskiej, którzyby zawżdy wywiadywali się przestępków roku przeszłego a jeśliby znaleźli, że i tacy lektorowie wedle postanowienia zamieszkawali sobie zwierzonych i poruczonych, a wedle takowej kaźni, jaka będzie ustano-

wiona na to nie karali i komu to będzie poruczono, tak nie powściągał, tedy aby winą taką pokarani ci byli za to, jaka teraz w konstituciey na nie napisana będzie [1]).

Przechodzimy nareszcie do trzeciego zarzutu t. j. że p. Makuszew nie znał bardzo ważnych dzieł z XVI wieku odnoszących się do szkolnictwa pomimo to, iż w końcu z zadowoleniem wyznaje, że przedstawił poglądy lepszych pisarzów polskich. Nie będziemy wyrzucali p. Makuszewowi, że nie miał w ręku drobniejszych rzeczy o wykształceniu, jakie się w XVI wieku ukazały, a które tak starannie przedstawił Piotr Chmielowski w swej rozprawie p. t.: „Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce w XVI wieku“ [2]), lecz nie możemy pominąć takiej kardynalnej wady t. j. ażeby autor piszący specyalną monografię nie znał Maryckiego dzieła: De scholis i t. d. i zupełnie pominął je milczeniem. Frycz Modrzewski pisze o tej pracy co następuje. „Niedawno też Szymon Maricus z Pilzna, nasz Polak, dosyć mądrze i ochędożnie o tem swoje księgi napisał, a wszystek początek szkół, postanowienie i sposób z wielką pilnością wynalazł i na piśmie pokazał“ [3]). Że dzieło Maryckiego jest nader ważnem dla charakterystyki ówczesnych dziejów oświaty, że wnika głęboko w istotę i zadanie szkoły, to nie ulega żadnej wątpliwości. Zresztą porównawszy je z księgą Modrzewskiego o szkole, widnieje w Maryckim przewaga pedagogicznego doświadczenia, gdy tymczasem Modrzewski góruje zrozumieniem politycznej doniosłości szkoły. Słuszna uwaga Chmielowskiego, że Modrzewski pisząc po Maryckiego dziele, kwestye pedagogiczne zbywał ogólnikami, z tej też przyczyny dzieła ich uzupełniają się wzajemnie i żadnego z nich nie można pomijać milczeniem.

Przejdziemy wreszcie do Modrzewskiego, o którym p. Makuszew powiada, że był protestantem, gdyż katolik nie byłby w stanie podać tak radykalnych środków reformy. Skąd, i na mocy jakich danych p. Makuszew przychodzi do przekonania, że Modrzewski

---

[1]) Źródłopisma do dziejów polskich, wydanie Działyńskich. Dyaryusz sejmu 1562, str. 121.

[2]) Bluszcz.

[3]) Księga o szkole.

był protestantem, nie wiemy. Że był wychowany w katolickiej wierze, że miał być sekretarzem poselstwa na koncilium trydenckiem w 1556 roku, że z kościołem katolickim, pomimo sporów, ścisłe łączyły go węzły, i nigdy z nim nie zerwał zupełnie, o tem niema najmniejszej wątpliwości, zresztą sam w epilogu do dzieła: „Defensio eorum quae antea scripsit de Concilio universo“, objaśnia: „Żyłem zawsze wedle obyczajów w społeczeństwie i kościele przyjętych i jako żyją w Rzeczypospolitej, tak też i do kościoła nie przestałem należeć, chociaż ani jego nauka, ani obrzędy nie ze wszystkiem zdaniu memu odpowiadają“. Zarzutom powyższym, iż katolik nie mógłby być spokojnym i sprawiedliwym, odpowiada najlepiej szlachetna postać Frycza, która nie jest jedyną w historyi, bo i to przypomnieć należy, że inny uczony tej epoki, należący do najwybitniejszych postaci XVI wieku, a przejęty na wskróś zasadami tolerancyi i postępu, Bodin był katolikiem.

Drugie zdanie, że Modrzewski należał do rzędu tych co podawali radykalne środki reformy, musimy uważać za bardzo powierzchowne i niezgodne z prawdą. Kto czytał Modrzewskiego dzieło: „O naprawie Rzeczypospolitej“, ten musi podziwiać ów zmysł zachowawczy, połączony z dążeniem rozumnem do postępu. Niema miejsca, któreby zdradzało radykalizm, t. j. nagłe zerwanie z przeszłością i ubiegało się w reformach politycznych za szematami czysto logicznemi. Tak samo w księdze o szkole, Modrzewski nie usuwa duchowieństwa od wykształcenia publicznego, lecz żąda nadzoru państwowego, czyli opieki Rzeczypospolitej dla nauki.

Kończąc rozbiór niniejszego rozdziału, musimy powtórzyć jeszcze raz, iż jest bardzo słabym. Przytem znać bardzo małe obznajmienie się autora z historyą oświaty wogóle i z historyą literatury w tym dziale nauki. Pan Makuszew nie wykazał wcale ważności dzieła Modrzewskiego, nie objaśnił, czy poglądy jego były dla nauki nowemi i jakie stanowisko winien zająć wobec Lutra i Melanchtona.

Następnym rozdziałem, traktującym o życiu domowem szlachty, zajmiemy się tylko pokrótce, pomimo, iż jest najdłuższym i najwięcej zawiera drobiazgowych szczegółów. Najmniejsze drobiazgi domowego życia, t. j. ubiór, urządzenie domowe, zabawy, są

z różnych pisarzów pozbieranemi skrzętnie, jeśli przeciw nam przemawiają, starannie zaś pominiętemi, jeśli nas w dobrem przedstawiają świetle. Kończy zaś p. Makuszew ustęp ów a zarazem pracę swoją temi słowy, które dla dosadności wyrażenia podajemy w oryginale: „Тунеядство, роскошь, обжорство, пьянство, и развратъ составляютъ отличительныя черты домашней жизни Польской шляхты XVI вѣка.

Nadmieniamy tylko, iż p. Makuszewowi widocznie nie jest znaną historya obyczajów szlachty francuskiej, angielskiej i niemieckiej, jeśli tak dziwne wymagania i krytykę do nas stosuje. Z dzieł takich, jak np. Tain'a o Francyi (Les origines de la France contemporaine), mógłby się przekonać, że nie byliśmy bynajmniej w wyjątkowem położeniu i że wokół nas działo się jeszcze gorzej.

Skończywszy szczegółowy rozbiór, zastanówmy się jeszcze trochę nad całością powyższej broszury i sposobem traktowania historyi przez p. Makuszewa.

Najważniejszym błędem, który tyle razy wytykaliśmy panu Makuszewowi, jest brak wszelkiego porównawczego poglądu w jego pracy, wskutek czego sąd historyczny musiał być jednostronnym i bardzo powierzchownym. Jesteśmy w głębi duszy przekonani, że historykowi nie wolno się unosić żadnemi sympatyami i antypatyami, oraz, że jedyną tendencyą przewodniczącą jego pracom, winno być szukanie prawdy, choćby nader niemiłej. Przestaliśmy też w uniesieniu śpiewać z psalmistą: „wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie“ — lecz właśnie dlatego i w imię tego, musimy uczynić p. Makuszewowi poważne zarzuty. Podobne zestawienie faktów, jakie u niego znajdujemy, bez uwzględnienia ducha epoki, rozwoju społeczno-politycznego i literatury współczesnej innych krajów, nie może być wystarczającem i nie jest w stanie służyć narodowi rosyjskiemu do pouczenia się o przeszłości naszej. Stosując powyższą metodę, p. Makuszew wylicza nam całe szeregi błędów i wad, analizuje naszą zgniliznę społeczno-polityczną, nadaje nam jakiś charakter wyjątkowości i ukazuje nas jako curiosum sui generis w Europie. Przeciwko temu musimy zaprotestować stanowczo. We właściwych miejscach nadmieniliśmy, że wady nasze były wadami wszystkich państw XVI wieku na Zachodzie. Uciemiężenie włościan, upośledzenie mie-

szczan, światowe usposobienie duchowieństwa, rozkiełznane obyczaje szlachty, niedostateczne wykształcenie publiczne i t. d. i t. d. nie były naszym wynalazkiem, lecz istniały wszędzie.

Zadaniem historyka bezstronnego było wykazanie, o ile te wady grożniejszy u nas przybrały rozmiar, dlaczego szkodliwsze wywarły skutki i nie dały się następnie pohamować. Za takie bezstronne przedstawienie dziejów XVI wieku, bylibyśmy z pewnością wdzięcznymi p. Makuszewowi i nie wymagaliśmy od niego bynajmniej panegiryków. Ale tem nas nie zobowiązał wcale, że z uprzedzeniem wydobywał najjaskrawsze miejsca z naszych pisarzów, co wykrywały nasze cienie, a pomijał troskliwie ustępy przemawiające za nami.

Nie spotykamy też bynajmniej w pracy p. Makuszewa głębszego zrozumienia faktów historycznych, autor nie jest bystrym spostrzegaczem i nie umie źródeł, które ma pod ręką odpowiednio użyć. Tak np. przytacza nieustannie p. Makuszew ustępy z kaznodziejów, poetów i statystów, zarzucając nam wady i to uważa za oznakę zgnilizny kompletnej. Wątpimy jednak, czy pogląd p. Makuszewa jest trafnym. Ów głos sprawiedliwości względem samego siebie, przejawiający się na kazalnicy, na sejmie, w pieśni poważnej i żartobliwej, to właśnie znamię, że poczucie obowiązku tkwiło głęboko we wszystkich warstwach i że nie przebaczano odstępcom. Niegdyś w XVII wieku, miał ten głos osłabnąć i zamienić się w pochwalne hymny dla wad naszych, ale wiek XVI z tą czujnością nad dobrem ogólnem, z tą jawnością działań publicznych i prywatnych, będącą podwaliną rządów reprezentacyjnych, inny i wcale pocieszający przedstawia widok. P. Makuszew zapomina, że w życiu państwowem XVI wieku, przejawia się przywiązanie i harmonia wszystkich klas, że w sejmach ciągle myślą o dobrobycie miast i włościan, że u nas ziemia nie zrumieniła się krwią przelaną w walkach domowych, jak to gdzieindziej miało miejsce i pomimo starć stronniczych, poczucie wysokie obywatelstwa istniało niezaprzeczenie. Dlatego też Rzeczpospolita odnosiła świetne i nieprzypadkowe tryumfy. Łączyły się z nią ziemie, przynęcone dobrocią instytucyi politycznych i zachęcone mądrą polityką.

W zużytkowaniu źródeł, widzimy także u pana Makuszewa

usterki. Pomijając już fakt, że p. Makuszewowi, bardzo ważne dzieła były nieznanemi, musimy zauważyć, że bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń cytuje Skargę, Klonowicza, Kochanowskiego, t. j. kaznodziejów i poetów, nie zwracając bynajmniej uwagi, na naturę ich utworów. Niewątpliwie stanowi poezya zarówno jak i wymowa kaznodziejska, ważny przyczynek do charakterystyki swego czasu, ale trzeba go stosownie zużytkować.

Kaznodzieja z przeznaczenia swego zawodu, dąży do ideału moralności, poeta do ideału piękna, obaj zaś mierzą społeczeństwo skalą owych wykończonych szlachetnych form, które na ziemi tak rzadko się pojawiają i pragną ludzkość podnieść na wyżyny doskonałości, wyrzucając jej ciągle błędy i zboczenia. Kaznodziei wolno też ponuro zarysować obyczaje współczesne, bo one zawsze wobec ideałów będą wadliwemi, poecie wolno żalić się, lub szydzić z życia społecznego, bo do ideału piękna zawsze mu dużo niedostawać będzie. Ale trzeba zarazem pamiętać o tem, powołując się na podobne źródła, że ani kaznodzieja, ani poeta, nie jest obowiązany prześladować wyłącznie powszechne wady, lecz że dla nich dość jest, aby się znajdowały wyjątkowe okazy. Stąd też historyk winien koniecznie z ich tworów odsunąć pewną dozę przesady, która się w nich musi znajdować, wyłącznie w artystycznych celach, t. j. dla lepszego uwydatnienia w podobnem przeciwstawieniu ideałów piękna lub moralności. U pana Makuszewa nie spotykamy jednak tego uwzględnienia, tam wszystko musi na równi służyć do udowodnienia z góry powziętego zamiaru.

Również cytowanie pisarzów XVI wieku, przez p. Makuszewa, podlega ważnym zarzutom. Autor przytacza ustępy, wytykające nam wady, to prawda, ale nie chce wiedzieć, że ci sami pisarze, których tak uważnie czytał, przepełnieni są prawdziwą dumą narodową i zachwytem, wiele razy porównywują stosunki Rzeczypospolitej z innymi krajami. Wtedy to przyznają, że mimo wad bynajmniej nietajonych i nietolerowanych, społeczeństwo nasze i polityczny organizm nie przedstawiają się tak złemi i są przedmiotem zazdrości innych.

Pozwalamy sobie sposobem przykładu zwrócić uwagę na najsurowszego ze wszystkich pisarzów, na kaznodzieję Skargę. W jednem z kazań wyznaje, że gdy wszędzie pokój zburzony i obo-

wiązki względem Boga zaniedbane, u nas tylko resztki sług wiernych [1]). Następne kazanie zaś (o mił. oj.) [2]), tchnie prawdziwą dumą narodową i prawie pogardą dla innych.

Wady jakie wytknęliśmy p. Makuszewowi, biorą swój początek z dwóch źródeł: 1) z braku dokładnej znajomości historyi powszechnej i polskiej; 2) z tendencyi. Roepell kreśląc chwile naszego największego upadku [3]) umiał się dopatrzeć stron jaśniejszych. Iłowajski przedstawiając ostatnie usiłowania, umiał być sprawiedliwym i uznać chybione lecz szlachetne działanie [4]), p. Makuszew odtwarzając najpiękniejszą dobę naszego dziejowego życia, doszukał się tylko przerażającej zgnilizny. Dlaczego? Dlatego, że nie chodziło mu w zasadzie o naukową pracę, lecz o wyrafinowane napiętnowanie naszej przeszłości.

Zamiar jednak nie został nawet zręcznie przeprowadzonym, bo zasoby naukowe okazały się zbyt małemi. Rzeczywiście zastosować możemy tym razem stare zdanie: „Vana sine viribus ira“.

Nie poświęcilibyśmy też tyle uwagi niniejszej broszurze, gdyby nie drugi cel, do którego dąży, a mianowicie, aby społeczeństwo rosyjskie obeznać z naszą przeszłością. Mamy jednak nadzieję, że naród rosyjski za przewodników na drodze światła obierze sobie takich, co rozumieją dobrze, że nienawiść kala tylko naukę.

---

[1]) Kazania Skargi str. 14.
[2]) Tamże str. 20.
[3]) Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts.
[4]) Sejm Grodzieński.

5.

LUDWIK GUMPLOWICZ [1]).

Filozoficzne prawo państwowe.

Z pośród wydawnictw niemieckiej literatury prawniczej, jakie się ostatnimi czasy ukazały, nie bez interesu, choćby ze względu na pochodzenie autora, będzie zapoznanie naszej publiczności z dziełem, którego tytuł powyżej podaliśmy. Dr. Gumplowicz pracował dawniej w prasie codziennej i peryodycznej krakowskiej, przeszłością swą związany jest z naszem społeczeństwem i może w naukowych studyach publikowanych w języku niemieckim, obznajmiać świat erudytów Germanii z literaturą polityczną Polski, przez co oddałby nam niemałe usługi.

W krótkiej jego rozprawie „Race und Staat“ widzimy pewne uwzględnienie przeszłości naszej, chociaż poglądy autora są zbyt ryzykownymi. W drugiej zaś pracy, nad którą się pokrótce zastanowić zamierzamy, spotkać można raz zacytowanego Orzechowskiego, przyczem Dr. Gumplowicz powyższego pisarza polskiego z XVI wieku chlubną obdarzył wzmianką.

We wstępie autor zaznajamia nas z tem, jaki cel miał w pisaniu powyższego podręcznika prawa państwowego. Chodziło mu głównie o to, aby młodzieży uniwersyteckiej w naukach państwowych dać sposobność przeprowadzenia realistycznego poglądu na świat. Co jednak podziwiać należy w Dr. Gumplowiczu, to z pe-

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1877.

wnością ten objaw, że ponad monograficzne studya przeniósł pisanie podręcznika, któremi literatura niemiecka jest prawie przepełniona.

Sam termin „filozoficzne prawo państwowe“ nie uważamy za szczęśliwie dobrany. Zawsze wyraz „filozoficzne“ będzie przypominał owe przyrodzone prawo natury i czytelnik mimowolnie skłonnym się czuje do podejrzeń, że autor w miejsce prawa podaje nam metafizyczne ćwiczenia. Tymczasem z dr. Gumplowiczem rzecz się ma zupełnie inaczej. W całej jego książce widać wstręt do dedukcyi i pierwsze rozdziały są poświęcone dowodzeniu, że nauki państwowe mogą się stać umiejętnością ścisłą jedynie za pośrednictwem rzeczywistej indukcyjnej metody. Na str. 10 znajduje się określenie owego filozoficznego prawa państwowego, które przekonywa, iż autor nie szuka dla swego przedmiotu podstaw w abstrakcyi. Podług dra Gumplowicza filozoficzne prawo państwowe jest filozofią pozytywnego prawa tak jak filozofia prawa, jest filozofią pozytywnego prawa. Chodzi więc o to, aby prawo państwowe, które wolelibyśmy nazwać ogólnem, razem z profesorem Kasparkiem [1]) lub wreszcie powszechnem, zbadało istotę wszystkich praw państwowych obowiązujących, aby w formach różnorodnych dostrzegało treść samą i od zmiennych, przejściowych pierwiastków odłączyło element stały. Z określeniem powyższem można się zgodzić zupełnie. Daje ono bowiem nauce za podstawę rzeczywiste życie państwowe i z różnorodnością jaką każde życie przedstawiać musi, każe umiejętnie wydobyć istotę rzeczy, oraz wywnioskować jakim ona prawom podlega.

Szkołę prawa natury odsądza autor od wszelkiej zasługi i znaczenia dla nauki — oto co czytamy na str. 13: „Romans polityczny (Staatsroman) i prawo natury są w gruncie rzeczy jednem i tem samem: albowiem gdy pierwszy przedstawia nam fantazyjne państwo, które nigdzie nie istniało, drugie podaje nam fantazyjne prawo, które nigdzie nie obowiązywało. Zarówno jedno jak i drugie niema dla nauki żadnej wartości“. Jakkolwiek na następne uwagi autora zgadzamy się zupełnie t. j. istnienie prawa w stanie bezpaństwowym czyli w stanie natury uważamy za myt filozoficzny, co

---

[1]) Prawo polityczne ogólne z uwzględnieniem austryackiego. — Kraków. 1877.

nawiasem mówiąc i Hobbes już dobrze pojmował, to jednakże na zupełne utożsamienie romansu politycznego z prawem natury i odmówienie im wartości dla nauki, niezupełnie moglibyśmy się pisać.

Przedewszystkiem romansom politycznym służyła za podstawę fantazya nie krępująca się ani stosunkami rzeczywistymi ani logicznem rozumowaniem. Środki zaradcze mające sprowadzić wiek złotej szczęśliwości na ziemi, nosiły na sobie najczęściej piętno cudowności czarnoksięskiej i miały jak balsam alchemika koić rany społeczne wytworzone wiekami. Prawu natury jednakże, jak sądzimy, nie służyła za podstawę fantazya, lecz logika.

Uwolniła się ono wprawdzie od rzeczywistości i nie czerpała z historyi swego rozumowania, lecz z drugiej strony, nie uwalniała się od praw ścisłego myślenia i chodziło jej o ujęcie całości przedmiotu w system oraz o konsekwencyę w stawianiu wniosków. Prawdą jest, co twierdzi dr. Gumplowicz, że prawo natury nie wytworzyło obowiązującego prawa i że nieraz w dedukcyi logicznej dochodziło do rezultatów graniczących z fantazyą tworząc stan, który autor zwie „mytem filozoficznym“. Z tem wszystkiem jednak szkoła „prawa natury“ zdaniem naszem ma zasługę w historyi i nie można jej odmówić ważności pod względem naukowym z powodów następujących.

Naprzód, choć metoda badania, jaką owa szkoła wytworzyła, jest bezwarunkowo wadliwą i służyć może za przestrogę, że myśl ludzka nie jest wstanie zawrzeć się sama w sobie, lecz jedynie badając otoczenie w historycznym rozwoju, może dojść do istoty przedmiotu, to jednakże zważywszy poprzednie metody ograniczające się na konstatowaniu form prawnych i wykazywaniu powierzchownych różnic, musimy szkole prawa natury przyznać pewną wyższość. Punkt wyjścia był wprawdzie złym, albowiem obserwując tylko pojedynczego człowieka tworzono społeczeństwo i państwo, lecz za to przyuczano się nie kontentować formą, wnikać w istotę prawa, nauki nie uważano za luźny zlepek szczegółów lecz za systematyczną całość wynikającą z natury przedmiotu i wymagano ścisłego konsekwentnego myślenia.

Tak samo romansów politycznych, nie uważalibyśmy za niemające dla nauki najmniejszego znaczenia. Gorączkowe te utwory

objaśniają nas bowiem o stanie społeczeństwa w pewnej epoce. Ideały społeczno-politycznych urządzeń tam zamieszczane, wypływają przedewszystkiem z niedostatku urządzeń rzeczywistych i są znamieniem ówczesnych ran społecznych. Czyż dzisiejszym utopiom niektórych pisarzy socyalistycznych można odmówić wartości dla nauki, dlatego że są błędnemi i zamiast zaradzić złemu, karmiły społeczeństwo światem czczych złudzeń? Sądzimy, że nie — albowiem dla zbadania kwestyi socyalizmu, utwory powyższe stanowić będą ważny przyczynek.

W następnym rozdziale spotykamy się z definicyą państwa, która brzmi, jak następuje „państwo jest naturalnie wzrosłą organizacyą panowania ludzi nad ludźmi dla dobra ludzkości". Podajemy też definicyę w niemieckim tekscie: „der Staat ist eine naturwüchsige Organisation der Menschen ueber Menschen zum Volke der Menschheit". Rozumiemy dobrze jakie trudności spotyka każda definicya państwa i jak dużo płonnych wysileń zanotowała w tym kierunku historya nauk państwowych. Słusznie twierdzi Bastiat[1]), że w tych kilku pytaniach, czem jest państwo? co czyni? co ma czynić? znajduje się talizman do rozwiązania najtrudniejszych kwestyj społeczno-politycznych. Nie robimy też dr. Gumplowiczowi bynajmniej zarzutu, że definicya jego nie wydaje nam się doskonałą. Niezmierna trudność zadania tłómaczy autora, w każdym razie jednak spełniając obowiązek krytyka winniśmy przedstawić i uzasadnić nasze wątpliwości. Samo wyrażenie „naturwüchsige Organisation" jako zastąpienie wyrazu „Organismus" nie wydaje nam się trafnem, przytem, panowania ludzi nad ludźmi, przedstawione jako najistotniejsze znamię państwa nie uważamy za zgodne z prawdą. Z powyższych słów możnaby wnosić, że pewna część ludzi panująca nad drugimi, posiada tęż władzę na własność, lub że ją dzierżyć może i wykonywać bez względu na resztę opanowaną. Tymczasem nam się ta kwestya inaczej przedstawia. W państwie musi być wprawdzie wola, przed którą się każdy z obywateli ugiąć musi; wyrażać prawnie tę wolę muszą ludzie i wykonawcami jej muszą być ludzie, lecz nie sądzimy aby ludzie już przez to panowali nad ludźmi, że są piastu-

[1]) Patrz Kasparka: Prawo polityczne ogólne. Str. 3.

nami władzy państwowej. Zarówno piastujący władzę jak i nie piastujący są opanowani przez tęż władzę i ponad niemi wszystkiemi, stoi wola państwowa w ustawie wyrażona. Zdaniem też naszem określenie dra Gumplowicza nie jest szczęśliwem bo formę przeistacza w treść i władzę państwową identyfikuje z ludźmi, którzy ją tylko chwilowo spełniają i to w sposób z góry przewidziany oraz opatrzony gwarancyą odpowiedzialności.

Jeżeli definicya państwa dra Gumplowicza nasunęła nam pewne wątpliwości, to za to dołączony rozbiór określeń państwa innych autorów zadowolnił nas zupełnie. Autor okazał tu wiele bystrości i rzeczywistego zmysłu krytycznego.

W następnym rozdziale „o powstawaniu państw“ dr. Gumplowicz dochodzi do przekonania, że zawsze akt gwałtu czyli przemocy jednego szczepu nad drugim, objawiający się w podbiciu i opanowaniu słabszego, dawał początek państwu. Założyciele pierwotni państw nie mieli nigdy pojęcia o idei państwa. W nich istniało tylko poczucie i świadomość siły oraz potrzeba dobrobytu. Idea prawa powstała dopiero pod opieką państwa, od niego się wywodzi i jest tem samem od niego późniejszą. Powyższem przekonaniem zadaje autor kłam licznym poglądom przypisującym powstanie państw, uczuciu lub świadomości prawnej społeczeństw.

Trudno zaprzeczyć, iż rozumowanie dra Gumplowicza jest bardzo logiczne i przyciąga nas siłą argumentacyi. Poważylibyśmy się tylko zarzucić autorowi, iż zaniedbał tym razem zupełnie udowodnienie historyczne. Twierdzenia jego przybrałyby przez to charakter niezbitej pewności a tem samem wartość naukowa wykładu zwiększyłaby się niezmiernie. Laurent w swem dziele „Histoire du droit des gens“ na poparcie każdego z podobnych zdań przytacza niezmiernie bogaty materyał historyczny. Dr. Gumplowicz mógł exempli gratia przytoczyć choć kilka wybitniejszych faktów.

W następnym rozdziale są rozbieranemi podstawy lub raczej dosłownie tłómacząc „socyalna treść państwa“.

Autor zwraca głównie uwagę na szczepy, klasy i stany jako na części składowe społecznie państwa. Słusznie zbija pogląd uważający państwo za powiększoną familię lub gminę i usiłuje dowieść, że państwo musi mieć za podstawę różność szczepów, które nastę-

pnie przetwarzają się w klasy a później w stany. Tutaj musimy powtórzyć to samo co i o poprzednim rozdziale powiedzieliśmy a mianowicie, że autor historyę usuwa na bok poprzestając na logicznej argumentacyi. Twierdzenie iż szczepy z biegiem czasu przetwarzają się w klasy a klasy w stany, jest niedostatecznem. Przedewszystkiem różnica klasy od stanu nie jest tym sposobem wyjaśnioną jak również pozostaje niewiadomem na mocy jakich prawideł to przekształcenie następuje.

W artykule zastanawiającym się nad szczepami, w którym autor zaprzecza tradycyjnym podaniom o jedności rodu ludzkiego, spotykamy dopiero pewne uzasadnienie z góry postawionej tezy, że państwo składać się musi społecznie z kilku szczepów. Jakkolwiek i tu autor wszelki dokładniejszy rozbiór historyczny pomija, to przynajmniej daje nam spostrzeżenia, że nigdy panowie i niewolnicy w starożytności a możnowładcy gruntowi i poddani w średnich wiekach nie należeli do jednego szczepu oraz że dzieje początkowe każdego państwa rozpoczynają się od niewoli.

Określając lud, przyjmuje dr. Gumplowicz definicyę Zachariaego i następnie przechodzi do zbadania narodowości, której obszerniejszy ustęp poświęca. Podług autora z różnorodności szczepów wytwarza się naprzód polityczna jedność t. j. lud a następnie moralna jedność t. j. narodowość. Za pośrednictwem narodowości państwo wypełnia swe wielkie zadanie i dochodzi do końca swojego wielkiego dzieła. Jeżeli szczep uważać należy za objaw natury lub za objaw polityczny, to narodowość jest rozwojem historyi czyli dziełem kultury. Narodowością więc nazywa autor zbiór tych właściwości, które lud w rozwoju historycznym państwa nabiera. Właściwościami temi są wspólność języka i należenie przez pewien czas do jednego państwa, za to wspólność pochodzenia czyli jedność szczepowa nie jest bynajmniej niezbędną.

Nie będziemy przytaczać wszystkich wywodów dra Gumplowicza, nadmieniamy tylko, że ustęp powyższy należy do bardzo starannie opracowanych i że autor istotę narodowości zbadał bardzo gruntownie. Nie zgodzilibyśmy się tylko na niektóre wywody następnego artykułu, w którym są rozbierane prawa narodowości.

Następne rozdziały traktujące o społecznych organizacyach

i rozwoju państwa, zawierają gdzieniegdzie trafne spostrzeżenia a częściej jeszcze bystre uwagi krytyczne, lecz nie rozwiązują najważniejszych zagadnień. Tak np. badając rozwój nauki o społeczeństwie i wytykając wady definicyi R. Mohla i L. Steina, autor okazuje rzeczywisty dar spostrzegawczy, jednakże sam nie wyjaśnia wcale w jaki sposób społeczeństwo powstało, jakie prawa kierowały jego rozwojem i nie podaje żadnego określenia.

Rozwój państwa odbywa się podług dra Gumplowicza w sposób następny. Naprzód, bez przeciwieństwa szczepów niema państwa, następnie różnice szczepowe przejawiają się w kastowej organizacyi a wkońcu w klasach opierających się na powołaniu. Nie wchodząc w prawdopodobieństwo powyższego twierdzenia, nadmienimy tylko, że wypowiadając je apodyktycznie bez uzasadnienia historycznego, nadaje mu autor charakter hypotezy, którą dopiero sprawdzić wypada.

Rozbierając różnorodne formy państwa dr. Gumplowicz nie podaje własnej klasyfikacyi, lecz rozbiera tylko podziały Bluntschliego i Rob. Mohla. Główna zasługa polega zatem i tu na krytycznych spostrzeżeniach. Musimy jednak nadmienić, że uwagi o patryarchalnem państwie Mohla, które dr. Gumplowicz zalicza do illuzyjnych i zarzuty stawiane Bluntschliego poglądowi na teokracye należą do bardzo trafnych i przekonywujących. Następnie autor krytykuje państwo praworządne Mohla i monarchię konstytucyjną Bluntschliego, zarzucając obu tym pisarzom, iż konstytucyjne państwo widzieli tylko w Anglii, gdy tymczasem podług słów Montesquieu'go ono już w lasach Germanii poczęło się rozwijać. Jest w tych zarzutach cokolwiek słuszności, lecz posuwa je dr. Gumplowicz za daleko. Naprzód, wątpimy czy lasy Germanii pod tym względem miały jakie specyalne właściwości wyróżniające je od lasów kastylskich lub nadwiślańskich, przytem choć nie ulega wątpliwości, że reprezentacye stanowe były wstępem i przygotowaniem do nowożytnego państwa konstytucyjnego, to znowu identyfikować ich nie można, ani też przywiązywać się do tego jednego znamienia t. j. do reprezentacyi. Państwo konstytucyjne wymaga dla swojej reprezentacyi pewnych podstaw, których reprezentacye stanowe nie posiadały, temi podstawami są równość prawna i swobodna praca. Anglia dlatego

mogła służyć za wzór dla Bluntschliego, że wcześnie oparła reprezentacyę na wzmiankowanych podstawach, skutkiem czego powstał samorząd miejscowy będący szkołą zdrowego parlamentaryzmu. Ze zewnętrznie dwie te formy przedstawiają pewne podobieństwa, to nie ulega wątpliwości. Konarski też np. [1]) porównywał dawne rządy polskie z angielskiemi lecz umiał pomimo pozornych podobieństw, dostrzedz istotne różnice. To też sądzimy, że utożsamiać tych dwóch przejawów nie można.

W miejsce praworządnego państwa Mohla i konstytucyjnej monarchii Bluntschliego, dr. Gumplowicz przedstawia swe nowożytne państwo kultury (moderner Culturstaat), które unikając jednostronności, połączy krytyczny racyonalizm Mohla z poglądem filozoficzno-historycznym Blutschliego i da nam wreszcie poznać istotę nowożytnych państw. Zadziwia nas jednak, że państwo to nowożytnej kultury mamy przedstawione tylko w pojedynczych objawach, a definicyi ogólnej autor wcale nie podaje. Objawy charakterystyczne, po których owo państwo kultury poznać winniśmy, są następujące: 1) że panowanie osoby nad osobą znika a panuje nad ludźmi ustawa; 2) że wykształcone klasy średnie mają przeważny wpływ i udział we władzy prawodawczej i administracyjnej; 3) że rząd państwowy nie ogranicza się tyle na panowaniu, lecz dąży do wyższych, idealnych, ogólno-ludzkich celów. Jakkolwiek znamiona przytaczane przez autora istnieją rzeczywiście i są trafnie obserwowanemi, to wątpić należy, aby zupełnie wyczerpały ducha państw nowożytnych.

Przytem przeglądając też znamiona, jeszcze bardziej nam się uwydatnia niedokładność definicyi państwa, jaką autor na początku dzieła podał. Tam najpoważniejszym objawem jest panowanie nad ludźmi, tu się dowiadujemy, że nie ludzie lecz ustawa panuje i że władza państwowa nie ogranicza się jedynie na panowaniu, lecz dąży do wyższych, idealnych, ogólno-ludzkich celów. Sprzeczności tej nie potrafimy pogodzić, jak nie rozumiemy przyczyn, dla których definicya ogólna państwowa miałaby być odmienną od definicyi państwa nowożytnego.

---

[1]) O skutecznym rad sposobie. Część III, str. 287.

Następny rozdział traktujący o czynności państwowej (die Thätigkeit der Staaten), uważamy za udatniejszy. Wprawdzie dr. Gumplowicz nie potrzebował torować nowych dróg przedmiotowi lecz przynajmniej dowodzenie jest poparte pewną siłą argumentacyi. Słusznie autor występuje przeciw poglądowi Montesquieu'go o podziale władzy państwowej, twierdząc, że władza państwowa musi być jednolitą i że rozdział jest tylko formalnym, spowodowanym naturalną potrzebą podziału pracy. Wolelibyśmy, aby autor nadmieniał także, iż przy rozwiniętych stosunkach społeczno-politycznych, uorganizowanie tejże czynności państwowej nie może być jednolite, lecz zastosowane do natury przedmiotu, na który się ta czynność państwowa rozciąga. Władza państwowa pozostaje jedną i niepodzielną, lecz w miarę jak ogarnia inny przedmiot, musi się w odpowiedni przyoblec ustrój, aby czynność odniosła swój skutek. Że organizacya nie może być jednakową mamy dowód w tem, iż ostatecznie organizacyi ciał prawodawczych nie można przenieść do organów wykonawczych lub sądowych, ani organizacyi tych ostatnich do parlamentu.

Następnemu rozdziałowi traktującemu o samorządzie, mamy do zarzucenia kilka rzeczy. Naprzód uważamy, iż jest za rozwlekły. W formie opowieściowej autor wykazuje, że samorząd wytworzył się jako reakcya przeciw biurokratyczności absolutyzmu w XVIII wieku, lecz nie spotykamy się nigdzie z jasnem określeniem samorządu i z wykazaniem rzeczywistych jego podstaw. W miejsce tego autor podaje nam znamiona, po których samorząd poznać można. Znamiona powyższe są następujące: 1) prawo zarządu własnym majątkiem, 2) prawo zarządu gospodarskiemi (wirthschaftliche) sprawami, jeżeli takowe bezpośrednio nie dotykają interesu państwa, a tem samem nie należą do władzy centralnej, 3) zarząd policyi, o ile takowy miejscowe a nie państwowe ma znaczenie, 4) zarząd ksiąg stanu cywilnego i urząd sędziego pokoju. Że w powyższych funkcyach nie wyczerpał dr. Gumplowicz istoty samorządu, i że nie dał właściwie o nim wyobrażenia, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości.

Naprzód samorząd nie polega na wykonywaniu tylko gospodarskich spraw, które nie dotyczą bezpośrednio państwa i na nu-

merycznem wyliczeniu kilku podrzędnych funkcyj, jak np. listy stanu cywilnego i t. p., lecz na wykonywaniu wszelkich funkcyj, publicznych (nawet bezpośrednio państwo obchodzących, jak np. oświata, rozkład i pobór państwowych podatków) przy współudziale ludności miejscowej, jeśli tylko takowe przez miejscowe materyalne i inteligentne siły mogą być lepiej wykonane niż przez państwo.

Zdawaćby się także mogło z tego, co czytamy na stronnicy 98, że autor nie podziela powszechnie w nauce przyjętego twierdzenia, że samorząd wciąga do życia publicznego cały lud i wszczepia weń pojęcie właściwe obywatelstwa. Wyraża bowiem przekonanie, że przeprowadzenie samorządu w niższych warstwach społecznych napotyka znaczne trudności i że samorząd w rękach takich warstw jest tylko przeszkodą do rozwoju owego państwa kultury; albowiem samorząd jest nietylko prawem lecz i obowiązkiem a ciemne warstwy zaniedbują obowiązek.

Tutaj zatem zapomniał autor o tem, że nietylko samorząd jako system administracyi państwowej, lecz całe publiczne prawo jest zarazem prawem i obowiązkiem (oeffentliches Recht, oeffentliche Pflicht). Konstytucyonalizm dzisiejszy opiera się na takimże samym obowiązku, tylko że jego zrozumienie dla niższych warstw jest daleko trudniejszem. Jeżeli więc samorząd jest przeszkodą do rozwoju owego państwa kultury, to cóż się stanie z całym konstytucyonalizmem? W razie zaś uznania samorządu za niewłaściwy i niepraktyczny, jaki środek będzie mógł owe ciemne warstwy dźwignąć z ciemnoty, nauczyć obowiązku względem państwa i wszczepić pojęcie obywatelstwa? Na to pytanie fikcyjne państwo kultury dr. Gumplowicza nie daje nam odpowiedzi. Prawdą jest, że w każdem państwie znajdują się klasy niedojrzałe jeszcze do samorządu, ale też jest to jedyny środek przyuczający inteligentne klasy, do niesienia materyalnej i duchowej pomocy niższym.

Tak samo uwagi o samorządzie angielskim, mieszczące się w końcu powyższego rozdziału, nie wydają nam się dostateczne. Autor twierdzi, że w Anglii nie było o tem nigdy mowy, aby w gminie wiejskiej sprawy załatwiano przez wyborcze urzędy. Samorząd bowiem wykonywany był przez delegowanych przez państwo honorowych urzędników, mianowanych z pośród miejscowej osiadłej lu-

dności. Za wzór służył tu drowi Gumplowiczowi urząd sędziego pokoju (justice of the peace). Przypominamy jednak, iż pogląd powyższy nie da się przeprowadzić ze ścisłością. Jakkolwiek bowiem sędzia pokoju był najważniejszym urzędnikiem miejscowego samorządu, to jednakże nie wyczerpywał go w zupełności. Oprócz tego istniały liczne urzędy gminne wybieralne, jak np. churchwardens, waywardens i t. d. i t. d. i znajdujemy także gdzieniegdzie wybieralne select vestry, tak że twierdzenie dra Gumplowicza utrzymać się nie może.

W następnym rozdziale, zastanawia się autor nad reprezentacyami i prawem wyborczem, to jest nad jednemi z najważniejszych kwestyj w prawie państwowem. Rezultat badania mieści się na trzech stronicach i nie znajdujemy w nim prawie nic z tego cośmy się znaleźć spodziewali.

Oprócz ogólników czasem dość trafnych, niema przedstawionych systemów organizacyi reprezentacyjnej, wyborów parlamentarnych t. j. przedmiotów bardzo ważnych i bardzo ciekawych. Mimowoli przypominamy sobie tytuł książki: „Filozoficzne prawo państwowe i definicya tegoż filozoficznego prawa“ t. j. że jest ono treścią, czyli filozofią pozytywnego prawa. Przypomniawszy sobie to, nie widzimy jednak, aby autor w tym artykule dochował wiary powyższym definicyom, gdyż właśnie owej treści, czyli filozofii pozytywnych praw o reprezentacyi i o wyborach nie spotykamy wcale. Uderza to tem bardziej, że następne rozdziały poświęcone są takim przedmiotom jak np. „Obyczajowość i prawo“, „związek obyczajowości z przyrodzeniem“, „zwyczaj i wychowanie“, „obyczajowe i prawne idee abstrakcyjnej filozofii“. Rozdziały powyższe nie są bynajmniej treścią pozytywnego prawa państwowego a szermierka metafizyczna z Trendelenburgiem mniej ma doniosłości dla traktowanego przedmiotu jak np. system jedno i dwuizbowy parlamentu, głosowanie powszechne, reprezentacye mniejszości i t. p. i t. p.

Rozdziałom które wymieniliśmy nie możemy poświęcać uwagi z powodu iż zbyt są abstrakcyjnemi. Zastanowimy się jednak nad rozdziałem w którym autor traktuje o podziale prawa. Czytamy w nim ustęp następujący: „jest jasnem, że między prawem prywatnem a publicznem czyli państwowem, nietylko formalna lecz istotna

i zasadnicza panuje różnica. Gdy bowiem prawo prywatne jest normą, regułą, przepisem dla pewnych czynności i przypadków, prawo państwowe jest faktem, faktycznem urządzeniem i faktycznym stosunkiem. Prawo państwowe jest państwem samem". Na str. 136 znajduje się takie samo utożsamienie prawa państwowego z państwem (dass das Staatsrecht der Staat selbst sei), na które w żaden sposób zgodzić się nie możemy. Nie jesteśmy w stanie pojąć tej subtelnej różnicy, skutkiem której człowiek może być podmiotem prawa prywatnego a państwo nim być nie może w sferze prawa państwowego. Dlaczego prawo państwowe ma być państwem samem, kiedy my w państwie widzimy organizacyę polityczną ludu w pewnym obrębie ziemi i ten lud uorganizowany w państwo jest podmiotem praw tak dobrze, jak pojedyńcza jednostka? Na to pytanie, nie znajdujemy przekonywującej odpowiedzi w poglądach dra Gumplowicza.

W rozdziale traktującym o prawie międzynarodowem autor nadmienia znowu, że prawo międzynarodowe i państwowe pod pewnym względem nie jest prawem, dlatego że im brak najistotniejszych cech prawa t. j. wyższej władzy, którąby mu posłuszeństwo zjednać mogła. Państwo w prawie państwowem, wypowiada normy, jakiemi w sprawach publicznych kierować się zamierza, lecz nikt go nie może przymusić do wykonania. Naturalnie, jeśli prawo państwowe może nie ulegać egzekucyi i zależy od kaprysu państwa, cóż dopiero mówić o prawie międzynarodowem.

Pogląd powyższy dra Gumplowicza, wydaje nam się mylnym a o względną oryginalność ubiegać się może tylko w sferze prawa państwowego, gdyż odnośnie do prawa międzynarodowego poglądy są czerpane z pracy Lassona (Princip und Zukunft des Völkerrechts), która, zdaniem autora tworzy epokę nową w historyi nauki prawa międzynarodowego. Co do możności niewykonania prawa państwowego przez samo państwo, to kwestya ta przedstawia nam się zupełnie inaczej. Państwo poddaje się normom nie z kaprysu lecz z konieczności, podyktowanej mu przez jego istotę. Normy prawne mogą być zastępowane nowemi lecz wykonanemi być muszą, bo od tego istnienie państwa zależy. Wykonanie w sferze prawa publicznego może nie być tak dokładne, jak w sferze prawa prywatnego

lecz trudno zaprzeczyć, że prawo państwowe nieustannie się wykształca i że dążeniem dzisiejszego czasu, jest możliwe dorównanie prawu prywatnemu, pod względem ścisłej egzekucyi.

Tak samo w poglądzie na prawo międzynarodowe dr. Gumplowicz okazał się bardzo jednostronnym. Akceptując poglądy Lassona, nie przytoczył ani nie rozebrał tych dowodów, które przedstawili pisarze przeciwnego obozu.

W następnym rozdziale p. t. „Prawo i państwo“ spotykamy także zdanie nasuwające pewne wątpliwości. Tak np. twierdzenie iż prawo własności stoi zupełnie od państwa niezależnie i takowe nie może nań wywrzeć żadnego wpływu, uważamy za przesadzone. Nietylko że istnieją prawa wywłaszczające, lecz wiele norm budowlanych i agrarnych ogranicza samowolę jednostki i ścieśnia obręb absolutnego prawa własności. Tak samo nie wydaje nam się uzasadnionem twierdzenie, że w sferze prawa familijnego państwo nic zdziałać nie może. Nie może np. ojca uwolnić od wypełniania ojcowskich obowiązków. Wydawać ustawy przeciwne naturze rzeczy, państwo nie może zarówno w sferze prawa prywatnego jak i państwowego. Czyż może państwo dozwalać sędziom, aby w sądzeniu trzymali się swych indywidualnych poglądów a nie ustawy, aby władza wykonawcza wypełniała ustawy wtedy tylko, jeśli to uzna za stosowne! i t. p. i t. p. Przytem i państwo musi przedsiębrać i przedsiębierze niejednokrotnie reformy w dziedzinie prawa familijnego, na to mamy nieustanne dowody. Samo prawo małżeńskie jakiż przykład nasuwa nam przed oczy, przecząc poglądom dra Gumplowicza.

Końcowe rozdziały zajmują się usystematyzowaniem nauk państwowych i historyą prawa państwowego. Jeszcze raz musimy przedstawić określenie prawa państwowego filozoficznego znajdujące się w pierwszym z tych rozdziałów, gdyż odstępuje od dawnego i nadaje traktowanemu przedmiotowi większą rozciągłość. Czytamy bowiem jak następuje: „co do indywidualnego państwa należy, co lgnie do pojedynczego a nie wypływa z istoty gatunkowej, to nie włącza się do filozofii państwowej, lecz co najwyżej do specyalnego pozytywnego prawa państwowego. Staats-Philosophie zajmuje się ogólnemi pytaniami dotyczącemi istoty państwa, jego powstania,

rozwoju i istoty jego urządzeń. Ona to analizuje treść państwową, w jej częściach składowych i w jej czynnościach". Dowiadujemy się jednak wkrótce, że filozofia francuska, o której autor wspomina, jest temże samem filozoficznem prawem państwowem, że między niemi żadnej niema różnicy, albowiem dr. Gumplowicz nazwy takie jak: nauka o państwie, filozofia państwa, umiejętność państwowa i filozoficzna, prawo państwowe uważa za jedno i to samo, tylko skutkiem indywidualnego usposobienia, wybrał tę ostatnią nazwę.

Nie będziemy rozbierali szczegółowo o ile mieszanie prawa państwowego z nauką o państwie jest niewłaściwem, podejmowanie bowiem podobnych sporów, rozszerzyłoby zbyt zakres zwykłej krytyki. Nadmieniamy tylko, iż dr. Gumplowicz popada w sprzeczność w swoich definicyach, albowiem obie inny obszar wyznaczają traktowanemu przedmiotowi. Tak np. podług pierwszego określenia, filozoficzne prawo państwowe ma być filozofią pozytywnego prawa i ta definicya zdaniem naszem była dość trafną. Podług drugiego określenia już znika granica pozytywnego prawa a prawo państwowe ma się zajmować powstawaniem i rozwojem państwa t. j. przedmiotami leżącymi poza szrankami pozytywnego prawa. Tego ostatniego poglądu trzymał się dr. Gumplowicz w układzie swej pracy, sprzeniewierzywszy się pierwotnej trafniejszej definicyi. W książce jego spotykamy zaledwie kilka rozdziałów należących do prawa państwowego i te są najpobieżniej opracowane a reszta należy do nauki o państwie.

Zwracamy jeszcze uwagę na pojęcia autora o polityce zaliczające takową do przepisów roztropności (Staatsklugheit) i odmawiające jej doniosłości nauki. Poglądy nasze na naukę polityki wyraziliśmy w ocenie pracy profesora Oczapowskiego w „Ateneum", nie będziemy tu więc powtarzać, nadmieniamy tylko, że samo motywowanie poglądu dra Gumplowicza, jest niedostatecznem i autor zbyt ogólnikowo przechodzi kwestyę.

Ostatni nareszcie rozdział, zatytułowany „Historya prawa państwowego" zapowiedzianą historyą zupełnie nie jest. Znajdujemy w nim polemikę z kilkoma pisarzami, jak np. Frantzem, Leo, Post i t. p., ale ani całości literatury, a tembardziej historyi prawa państwowego nie znajdujemy. Zresztą dużo trafnych krytycznych uwag

zdobi powyższy rozdział, tak, że wartości naukowej odmówić mu nie można.

Przeszedłszy pojedyncze ustępy pracy dra Gumplowicza zastanowimy się jeszcze chwilkę nad całością. Wogóle powyższemu studyum nie można odmówić znaczenia dla nauki. Kilka myśli głębszych zdradza zdolności autora, a wiele krytycznych uwag dowodzi przenikliwości umysłu. Z tem wszystkiem i wady są znaczne. Autor w definiowaniu nie jest szczęśliwym i w ogóle unika tej ostateczności, ratując się krytyką cudzych definicyi. Również historyczne podstawy jego pracy są słabe, wszędzie prawie spotykamy się z twierdzeniami, którym nie towarzyszy żaden dowód dziejowy. Systematyka jest jeszcze słabszą u dra Gumplowicza, niż definicye. Zamiast rozdziału, autor pomieszał wszystkie nauki i nie przekonał nas ani o potrzebie ani o pożyteczności podobnego chaosu. W studyach autor zbyt wyłącznie oparł się na literaturze niemieckiej i dziwnem przeznaczeniem łosów nie osiągnął tych właśnie przymiotów, które niemieckich pisarzów odznaczają. Język jest dobry, sposób przedstawienia wogóle jasny i zrozumiały. Jednakże pracę powyższą jako podręcznik naukowy, mający przeprowadzić realistyczny pogląd na nauki państwowe, musimy uważać za rzecz nieudatną i chybioną. Brak systematyki, dobrych definicyj a natomiast przepełnienie pracy materyałem polemiczno-krytycznym, nie może jej zalecać do szkolnego użytku. Jako podręcznikowi naukowemu, zwłaszcza w niemieckich uniwersytetach, nie jesteśmy w stanie wróżyć pracy dra Gumplowicza świetnej przyszłości. Jako studyum, nie da wprawdzie autorowi wybitniejszego stanowiska lecz niewątpliwie nakaże uczonym niemieckim liczyć się z jego myślami co jak na pierwszy występ nie jest zbyt małym rezultatem.

6.

DR. FRANCISZEK KASPAREK.

Prawo polityczne ogólne z uwzględnieniem austryackiego, razem ze wstępną nauką ogólną o państwie [1]).

Jeszcze dzieło prof. Oczapowskiego p. t.: „Władza i układ państwa“ nie zostało ukończonem a już pojawiła się w handlu księgarskim nowa i obszerna praca prof. Kasparka, wzbogacająca literaturę nauk państwowych w naszym kraju. I tym razem autorem jest profesor Jagiellońskiego uniwersytetu w Krakowie, wykładający tamże nauki państwowe.

Książka prof. Kasparka ma być przeznaczoną przedewszystkiem dla młodzieży, jak to zresztą widnieje ze samego wstępu autora, więc powinny być rozpatrywane dwie strony 1) naukowa, 2) pedagogiczna, albowiem niewątpliwie przyjdzie tej pracy spełniać podwójne zadanie t. j.: 1) traktatu naukowego, 2) podręcznika szkolnego.

Mam zamiar zapoznać czytelników bliżej z powyższem dziełem i dołączyć przytem uwagi krytyczne. Powodów zamiaru nie trzeba chyba motywować. Stanowisko, jakie autor zajmuje, sumienna praca, jaką się odznaczył na katedrze i w pracach naukowych [2])

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ z r. 1878.

[2]) Prócz tej są jeszcze inne prace prof. Kasparka a mianowicie: Zasady o prawie interwencyi, Kraków 1872. Pogląd na życie i pisma Hugona Grocyusza, Kraków 1873. Usiłowania najnowsze około reformy prawa międzynarodowego 1873. Jeszcze słów kilka o reformie prawa międzynarodowego 1873. Zasady główne ustaw małżeńskich kościoła katolickiego ze stanowiska filozofii prawa.

wkładają obowiązek na społeczeństwo, aby się zajęło jego dziełami, zwłaszcza jeżeli są one rezultatem kilkoletnich mozolnych studyów, a przytem jeśli bodźcem do nich była pomoc naukowa dla uniwersyteckiej młodzieży.

Przechodzę do samej pracy, zatrzymując się pokrótce na liście zamiast przedmowy, jaki znajdujemy na samym początku dzieła. Prócz dedykacyi teściowi swojemu, autor zamieścił zamiast przedmowy, list obszerniejszy do tegoż teścia, na który zwracam dlatego uwagę, iż prócz wyrażenia uczuć rodzinnych, zresztą dla każdego bardzo zrozumiałych, zawiera uwagi dotyczące poglądu autora na swoje studya naukowe. Wypada mi otwarcie wyznać, iż podobną formę przedmowy uważam za nieodpowiednią z tego powodu, iż za dużo pozostawia miejsca dla objawu czysto osobistych, domowych, że się tak wyrażę spraw. Jeżeli dedykacye zyskały sobie powszechne prawo obywatelstwa, jeżeli nawet krótki przypisek, jaki spotykamy u J. S. Milla w rozprawie o wolności, poświęcający powyższą pracę swej żonie, sprawia na nas miłe wrażenie i przebaczamy łatwo autorowi, że imię dozgonnej towarzyszki chciał na zawsze złączyć z pracą własnego ducha — to inaczej rzecz się ma z długimi listami. Te czynią wrażenie, jakiego się doznaje, spotykając pewien oznaczony przedmiot na miejscu nieodpowiedniem. Jednem słowem są jakby zabłąkanemi w tej sferze.

Prócz tego sądzę, że praca prof. Kasparka nicby nie straciła na wartości, gdyby słowa prof. A. W. Maciejowskiego, odnoszące się do kandydatury p. G. R. zostały zupełnie pominiętemi. Sąd o nich wydał już Uniwersytet Jagielloński, a autor mógł śmiało liczyć na zmysł krytyczny społeczeństwa, że słów okolicznościowo wydrukowanych nie będzie uważać za prawdę nieomylną. W tymże liście, który w następnych wydaniach mógłby z pożytkiem przyjąć formę przedmowy, znajdujemy jedną myśl, zasługującą na podjęcie i rozbiór. Autor (str. VI) stawia sobie pytanie, czy tylko w dziedzinie prawa (jak chce mieć prof. W. A. Maciejowski), ma istnieć tak ogromny rozbrat między praktyką a teoryą, że praktyk nie może się z korzyścią poświęcić nauce? Na powyższe pytanie autor bardzo słusznie odpowiada „że kto nie zajrzał prawu w oczy, kto nie widział w życiu, jak to prawo powstaje, wyrabia się, walczy

i gaśnie, na jakie niebezpieczeństwa jest narażone, jakie środki najstaranniej go chronią, nigdy nie będzie dobrym teoretykiem a tem mniej filozofem prawa". Przeciw temu poglądowi trudno coś nadmienić, gdyż rzeczywiście nic takiej pewności i gruntowności nie może dać prawnikowi, jak dobrze skierowana praktyka, lecz zdaje się, że pojęcie praktyki przez prof. Kasparka zanadto zostało ścieśnionem a przynajmniej iż nie był wskazany jej punkt najważniejszy dla nauk państwowych. Prof. Kasparek uważa bowiem, a przynajmniej nadmienia tylko o praktyce sądowej, odnoszącej się do stosowania prawa prywatnego i karnego, gdy tymczasem nie sądzę, aby to było wystarczającem dla nauk państwowych. Praktyka sądowa lub też mówiąc w tym wypadku ściślej i otwarciej, spełnianie urzędu sędziego może bardzo wiele wpłynąć na ukształcenie ogólno-prawnicze i ugruntować zrozumienie prawa, lecz po za tem pozostaje jeszcze specyalna praktyka dla nauk państwowych. Dla tychże nauk ważniejszą odegrywają rolę parlamenty, rada stanu, ministerya, sądy administracyjne, urzędy samorządu miejscowego, wreszcie udział w pracach stronnictw politycznych i t. p. W po wyższych organizacyach znajdujemy dla nauk państwowych to, co istnieje dla nauki prawa prywatnego i karnego w sądach t. j. że wytwarzają one w ściślejszym obrębie praktykę dla nauk państwowych.

Kończąc uwagi nad listem, wypada w streszczeniu przytoczyć charakterystyczniejsze ustępy, obznajmiające nas z poglądem autora na własną pracę. I tak (str. IX) prof. Kasparek zaznacza, iż stojąc na gruncie realno-idalnym, dążył li tylko do wyjaśnienia prawdy bez względu na stronnicze poglądy naukowe, religijne lub polityczne. Tym sposobem spodziewa się, że dzieło jego znajdzie przystęp w gronie światłej publiczności. Nauka, którą się zajmuje jest tak ważną i żywotną, że byłby nader szczęśliwy, gdyby obudził zamiłowanie do tego przedmiotu, które niestety u nas jest jeszcze zbyt słabe. Od przyjęcia, którego ta praca dozna, będzie też zależeć, czy spełnić potrafi zadanie życia, które sobie zakreślił. Jest niem przedstawienie całego szeregu nauk, które wykłada w uniwersytecie Jagiellońskim, a więc przedewszystkiem prawa narodów i obejmującego całość nauk prawnych i politycznych, systematu

filozofii prawa. Wreszcie autor prosi o bezwzględną, surową ale sprawiedliwą krytykę, polecając dzieło swoje ukochanej młodzieży.

Przechodząc do samego wykładu, zatrzymam się krótko nad § I. p. t. przedmiot dzieła. Chcę tylko podnieść kwestyę terminu naukowego, która na samym wstępie się nadarza, a jest nią owo „prawo polityczne“, które sam autor nazywa prawem politycznem czyli państwowem. Na intytulacyi dzieła spotykamy tylko wyraz „prawo polityczne“, choć zdaje się, że właściwiej było używać terminu „prawo państwowe“ dla samego ustalenia i dla większej odpowiedniości. W niemieckiej literaturze państwowo-prawniczej gdzie oddawna z taką troskliwością ubiegają się o dokładność i ścisłość terminów naukowych, zarzucono już wyraz polityczny, a zastąpiono go wyrazem „Staatsrecht, Staatswissenschaften“. Polski odpowiedni termin „prawo państwowe“ jest bardzo dokładnym i jasnym, nie razi bynajmniej ucha i ma już przeszłość swoją [1]), która powinna mu stanowczo wyjednać prawo obywatelstwa.

W § II o naukach politycznych w ogólności traktującym, autor nadmienia, iż Grecy uważali jedną naukę o państwie vel politykę za wystarczającą. Dopiero później z powodu wykrycia różnych stron w życiu państwowem i w zastosowaniu zasad o podziale pracy, nauki państwowe rozrosły się w szereg odrębnych umiejętności. Autor przedstawia nam także nauki, ścisły związek z umiejętnościami państwowemi mające, a do takowych zalicza naukę o społeczeństwie, gospodarstwo narodowe, dzieje narodowe i statystykę. Nauki zaś państwowe dzieli następująco: 1) na naukę o państwie, 2) prawo państwowe, 3) prawo międzynarodowe, 4) politykę, 5) naukę administracyi i t. d.

Nie wchodzę tym razem w subtelne podziały szanownego autora, szło mi bowiem tylko o przedstawienie najkardynalniejszego podziału. W następstwie nie będę nawet zastanawiał się nad kwestyą

---

[1]) Zasady prawodawstwa i instytucyj policyjnych przez Ludwika Henryka Jakob tłómaczone przez Jana Plichtę 1815. W przedmowie znajdujemy następujące słownictwo: Staatsverein — Związek państwowy. Staatsrecht — prawo państwowe. Staatsverfassung — ustawa państwowa i Staatswissenschaft — nauka państwowa.

systematyki, która jako najsporniejsza i przedstawiająca pole do zamieszczania indywidualnych poglądów, zajęłaby zbyt dużo miejsca, ograniczę się tylko na wskazaniu miejsc, które zdaniem mojem winny być albo usuniętemi, albo ściślej określonemi. Do pierwszej kategoryi zaliczyłbym obszerną cytatę z Bastiata, wykazującą potrzebę trafnej definicyi państwa. Jest ona w tem miejscu zbyteczną, bo autor traktuje o podziale nauk a nie o poglądach i definicyach państwa. Nierównie pożyteczniej też mogła być ona spożytkowaną w następnych rozdziałach.

Do drugiej kategoryi zaliczyłbym następujące miejsca: 1) naprzód autor (patrz str. 4) naukę o społeczeństwie odłącza od nauk państwowych, z zasady, iż nauki państwowe zajmują się państwem, a społeczne — społeczeństwem; na str. 5 powiada jednakże, że „nauka o społeczeństwie należy niezawodnie do polityki, jeżeli nie społeczeństwo samo przez się będzie przedmiotem badania, tylko społeczeństwo, jako podstawa życia i rozwoju państwa, mianowicie utworzenia się i przeobrażenia państwa“.

Z ostatnim poglądem nie mogę się zgodzić z tych powodów, że polityka nie jedną naukę może pomocniczo używać jak np. ekonomię społeczną, nawet do pewnego stopnia nauki przyrodnicze, mimo to jednak nie wejdą one w skład nauki polityki, t. j. nie staną się naukami państwowemi.

Że nauka o społeczeństwie jest ważną dla nauki polityki, że wykrywa nieraz tajniki reform politycznych, to udowodnił już z niezwykłą bystrością umysłu Stein w swem dziele „Geschichte der socialen Bewegungen in Frankreich“, lecz mimo to, jest ona tylko nauką pomocniczą i mając odrębny przedmiot badania, nie może być identyfikowaną z nauką polityki.

Tak samo uważam za niezadawalniający pogląd, w którym autor nadmienia, że gospodarstwo narodowe mieści w sobie dwie umiejętności polityczne, 1) o skarbowości t. j. naukę o gospodarstwie państwa i 2) politykę ekonomiczną, gdyż na str. 8 też same nauki t. j. skarbowość i polityka ekonomiczna zaliczone są do nauk państwowych.

Wiadomem jest, iż co do tych kwestyj panuje dotąd spór

w nauce, który i u nas ma reprezentantów różnych poglądów [1]), jednakże spór ten bynajmniej się nie usuwa tym sposobem, że się jedną naukę zamieści w dwóch odmiennych działach. Zawsze wątpliwość na nowo powstanie i trzeba będzie zdać sobie sprawę z tego, jakim sposobem nauki państwowe mogą być zaliczonemi do gospodarstwa narodowego. — Otóż wypadało ten punkt stanowczo wyjaśnić, aby młodzież uniwersytecka nie miała żadnych wątpliwości. Zdaje się również, że można znaleźć sposób wyjścia, nie uciekając się do zaliczania skarbowości i polityki do obu działów nauki. Punktem tym, który zdaniem mojem winien być decydującym, jest sam przedmiot badania. Co się tyczy skarbowości, to takowa rozbierając państwo ze strony jego gospodarczej, należy zupełnie do nauk państwowych, jakkolwiek odwoływać się musi na każdym kroku do pomocnicy swej — ekonomii społecznej. Co się zaś tyczy polityki ekonomicznej, to zależy zupełnie od definicyi samej nauki. Jeżeli bowiem przez powyższą politykę rozumieć będziemy zbiór prawd ekonomicznych, mających na celu zreformowanie, czyli stopniowe udoskonalenie gospodarstwa społecznego, wtedy należeć będzie nauka powyższa do ekonomii społecznej. Lecz jeżeli się zajmie stanowiskiem państwa do gospodarstwa społecznego i zechce wykazywać, co władza państwa może, lub powinna zdziałać w tym kierunku — w takim razie będzie należeć do nauk państwowych.

W § 3 prof. Kasparek oddziela pojęcie prawa od polityki. Spotykamy w powyższym rozdziale dużo myśli trafnych i odróżnienie w ogóle dobrze jest przeprowadzonem. „Państwo takiem jak ono jest w swych stosunkach uregulowanych, ma być przedmiotem prawa politycznego, polityka zaś stanowi pomost między ideą a rzeczywistością. Na podstawie rozwoju historycznego i obyczajów wyrobionych, w miarę istniejących w narodzie sił i zasobów, rozwija polityka warunki i wskazuje najwłaściwsze środki i drogi roz-

[1]) Biliński: System nauki skarbowej, str. 2, uważa zaliczenie skarbowości do nauk ekonomicznych za racyonalniejsze, gdy tymczasem Oczapowski (Biblioteka warszawska 1877, str. 222. O układzie i metodzie nauki skarbowej) twierdzi, że w gospodarstwie skarbowem przeważa strona techniczno-administracyjna.

woju prawa i państwa". Lecz na pogląd autora, w którym politykę uważa bądź za sztukę, bądź za umiejętność, a nawet więcej za sztukę niż umiejętność (str. 11) nie mogę się zgodzić. Zaliczanie polityki do kategoryi sztuk, uważam za spadek po ubiegłych wiekach, t. j. z czasów, gdy rządy absolutne uczyniły z niej wyższy rodzaj zręcznego kuglarstwa. Pogląd ten coraz bardziej znika i sam autor przyznaje, że „w miarę, jak zmysł polityczny, przenikać zaczyna coraz szersze warstwy ludności, wzrasta znaczenie polityki, jako umiejętności politycznej". Rzeczywiście zaś wraz z pojęciem polityki, jako sztuki, zakrada się przekonanie, iż jest ona tylko rodzajem biegłości technicznej, zręczności w podchwytywaniu wypadków odnoszących się do spraw państwowych — jednem słowem, kombinowaniem doraźnem faktów, stosownie do potrzeby chwili. Przypuszczenia takie krzywdzą politykę będącą nauką w całem znaczeniu tego słowa.

Jeśli bowiem polityka ma za zadanie, co zresztą sam autor bardzo dobrze rozwinął, złączyć prawo z potrzebami życia państwowego i tym sposobem badając podstawy panującego porządku prawnego, śledzić jego niedostatki i przygotowywać reformy przyszłe, to nie wystarczy jej żadna sztuka zręcznie kombinująca objawy, lecz nauka, która zbada gruntownie istotę państwa, uchwyci w system wszystkie jego potrzeby, oraz przepisze środki zaradcze.

Zawsze zaliczano politykę do rzędu sztuk, mając zwrócone oczy na praktycznych mężów stanu i uważano ich za sztukmistrzów polityki w przeciwstawieniu do uczonych katedry, którzy mieli reprezentować naukę. Sądzę, że i tu wkradła się mała pomyłka. Polityka mając do spełnienia zadanie reformy praw, musi się w tym celu posługiwać odpowiednimi i specyalnie uzdolnionymi organami. Organa te mają wyrozumieć potrzeby państwa w danej chwili, czyli w pewnym określonym wypadku mają postawić dyagnozę polityczną. Chodzi tu o znajomość nauki i znajomość życia i o zastosowanie rezultatów pierwszej do drugiego. Sztuka nie pomoże w tym razie, tylko nauka czerpana z teoryi i z praktycznego poznania instytucyj państwowych, oraz potrzeb społeczeństwa a przytem gra dużą rolę uzdolnienie osobiste. Ta zdolność indywidualna, dar lub

talent, stosowania rezultatów nauki do pojedynczych wypadków, najczęściej uważaną bywa za sztukę chociaż niesłusznie.

Przecież lekarza stosującego naukę lekarską do pojedynczego wypadku, czyli stawiającego dyagnozę, nie nazywamy sztukmistrzem. Im trafniej ją podał, tem był zdolniejszym, tem głębiej wniknął w tajniki swej nauki i tem gruntowniej poznał naturę organizmu ludzkiego. Na mężów stanu winno też państwo wybierać najzdolniejsze umysły, będące w stanie zgłębić naukę polityki do tego stopnia, iżby mogła służyć za wskazówkę rzeczywistości. Z powyżej przytoczonych powodów, na pogląd prof. Kasparka przypisujący nauce polityki ową dwoistość charakteru, zgodzić się nie mogę, upatrując w niej jedynie naukę, a nie kompozycyę nieujętych niczem przepisów.

Spotykamy także na str. 12 wzmiankę, iż amerykanin Hamilton był założycielem nowej nauki polityki i nowej praktyki państwowej. Zdanie to luźnie rzucone i nie objaśnione w całem dziele, wątpię, aby mogło być udowodnionem. Przynajmniej, o ile poznałem teorye Hamiltona z prac E. Laboulay'a i R. Mohla[1]) wydaje mi się, iż mimo nadzwyczajnych zdolności i zasług, nie może być tenże statysta uważanym za założyciela nowej nauki polityki. W końcu, muszę zwrócić autorowi uwagę na fakt, który dość często będę wspominał, a mianowicie na zbyteczne powtarzanie myśli; i tak czytamy w tym paragrafie już przedtem zamieszczoną uwagę, że starożytni Grecy nazywali całą umiejętność o państwie, polityką.

W § 4 znajduje się definicya prawa prywatnego i publicznego. Pominę tu ustępy odnoszące się do prawa prywatnego, a zastanowię się tylko nad definicyą prawa państwowego. Brzmi ona jak następuje: „Ogół tych prawideł prawnych, jakie regulują życie wspólne w państwie, prawa i obowiązki władzy państwa wobec obywateli, jako członków państwa i odwrotnie, tudzież stanowisko organów państwa i obywateli w ustroju, całości, stanowi prawo polityczne czyli państwowe".

Określenie powyższe razi długością i to zmniejsza znacznie, jeśli nie naukową, to przynajmniej pedagogiczną jego wartość.

---

[1]) Patrz: „Geschichte der Staatswissenschaften". T. I, str. 249.

Przytem nie sądzę, aby pierwsze zdanie było odpowiednio zamieszczonem t. j., że i ogół tych prawideł prawnych jakie regulują życie wspólne, należy do prawa państwowego. Zdanie to mogłoby bez przeszkody być wypuszczonem, gdyż życie wspólne reguluje po części prawo prywatne, oraz prawo publiczne nie będące państwowem. Przytem wypada nadmienić, iż cały wywód, powstawania prawa dotyczący, jaki znajdujemy na początku tego artykułu, nie należy do powyższego dzieła, lecz do filozofii prawa, a wyrażenia takie, jak np.: „nawet w niebie wśród aniołów i świętych obejść się może wprawdzie bez przymusu, jaki się zwykle wiąże z naszem niedoskonałem prawem ziemskiem, lecz nie można sobie pomyśleć braku wszelkiego porządku prawnego, nawet w dziedzinie tych duchów świętych i czystych“ — i do filozofii prawa trudno odesłać.

W każdym razie jednak uwagi prof. Kasparka, odnoszące się do określenia natury prawa państwowego są trafne. Owa zasada „oeffentliches Recht, oeffentliche Pflicht“ jest dobrze motywowaną tak iż łatwo zapomnieć o drobnych niedostatkach.

Następny paragraf jest poświęcony prawu społecznemu i kościelnemu. Co do pierwszego, to autor dochodzi do przekonania, iż niema samoistnego prawa społecznego, obok prawa publicznego i prywatnego, tylko prawo społeczne jest albo prywatnem albo publicznem. Przyjdzie mi jeszcze raz zastanawiać się nad tym poglądem, tym razem więc przechodzę do prawa kościelnego. Prof. Kasparek trafnie zauważył, że jakkolwiek kościół nie jest wyłącznie instytucyą prawną i polega na zupełnie innej idei, to jednakże ma niezawodnie swą stronę prawną. Na tej uwadze ograniczył się tym razem autor, pozostawiając na ustroniu inne kwestye.

W § 6 prof. Kasparek poświęca uwagę różnym gałęziom prawa publicznego i na str. 36 spotykamy znowu określenie prawa państwowego, w paragrafie zaś 7 znajduje się trzecia długa definicya z również długimi motywami. Sądzę, że można było uniknąć takiego powtarzania się i zredukować śmiało owe trzy definicye do jednej. Zresztą w ostatnich wywodach niema niezbędnej zgodności myśli. — Tak bowiem gdy raz autor oświadcza, iż jeśli będziemy wyszukiwać normy idealne, które z ogólnego pojęcia, o przezna-

czeniu państwa wypływając, winny w rzeczywistości obowiązywać, to dojdziemy do prawa państwowego ogólnego, w innem miejscu (str. 41) znowu znajdujemy wzmiankę, iż „prawo państwowe ogólne nie mieści w sobie li tylko prawdy idealnej, lecz rzeczywistą prawdę“. Tak samo przy zdaniu autora (str. 41) że ogólne prawo polityczne przedstawiać ma wspólne przekonanie ludzkości cywilizowanej europejskiej, należało nadmienić, iż to przekonanie przejawia się właśnie w prawodawstwie pojedynczych krajów i ich wspólnych cechach.

W paragrafie następnym autor zastanawia się nad nauką o państwie, której określenie już poprzednio podał.

Podług prof. Kasparka winna taż nauka zawrzeć podstawowe pojęcia o państwie a nie może należeć do prawa politycznego z tego powodu, iż prawo polityczne może być dopiero jednym ze skutków państwa. Nauka powyższa ma stanowczo przekonać o tem, że państwo nie jest wyłącznie instytucyą prawną i że prawnicy ze swemi ograniczonemi środkami konstrukcyi prawnej, nie będą w stanie państwa pojąć i przedstawić. Na powyższe uwagi autora łatwo się zgodzić, uważam jednak za zupełnie zbyteczną polemikę z prof. Oczapowskim prowadzoną, która nawet cokolwiek odskakuje od przedmiotu. Można ją było co najwyżej uwzględnić kilkoma słowami w odsyłaczu, lecz nie w samym tekscie i to w takiej rozciągłości.

W § 9 traktowane są nauki pomocnicze, do których jak widzimy prof. Kasparek powtórnie wraca. Cały ten ustęp uważam za niefortunny z następnych powodów: 1) uwagi o statystyce i gospodarstwie narodowem były już raz produkowanemi, 2) niema zasady filozofię w ogólności jako naukę pomocniczą uwzględniać daleko szczegółowiej, aniżeli ekonomię społeczną i statystykę. Tymczasem o filozofii spotykamy długie i nużące wywody, ujęte w formę najnieodpowiedniejszą, bo w nieustanny spadek z cytaty w cytatę. Zamiast wykazać treściwie, jaką pomoc daje filozofia naukom państwowym, spotykamy się naprzód z ubolewaniem, iż filozofia jeszcze lat temu 30, królowa wszystkich umiejętności, dziś z powodu olbrzymiego postępu, jaki uczyniły nauki przyrodnicze, musiała tymże odstąpić przodowania wśród umiejętności. Później idzie obszerna

cytata z Kremera, po niej taka sama z Langego, po niej z Exnera, po niej z Bluntschlego, po niej z Mohla, po niej z Herbartha, po niej z Czerkawskiego, a nareszcie w końcu wiersz Krasińskiego: „Wszystko ludzkie znika, ginie — Prysła ziemskich chwil zawiłość“ i t. d., którego potrzeby w tem miejscu nie mogę dostrzedz. Wszystkie powyższe cytaty z wyjątkiem naturalnie Krasińskiego, zaznajamiają więcej ze znaczeniem filozofii, co nie należało do powyższej pracy, a dotykają tylko pośrednio związku z naukami państwowemi, co należało uczynić wyłącznie przedmiotem zapatrywania.

Paragraf ten jest obszernym, bo 84 stronic zajmującym traktatem o metodzie badania w naukach politycznych. Jest to w rzeczywistości monografia nienadająca się zupełnie do podręcznika nauk państwowych. W Logice J. S. Milla, wreszcie w dziele traktującem o filozofii prawa, byłaby praca ta na swojem miejscu, lecz w tej rozciągłości przysposobi młodzieży uniwersyteckiej znaczne trudności. W podręczniku nauki o państwie i prawie państwowem winny być metody badania wyłożone krótko i jasno. Przymioty i ujemne strony każdej z nich należało treściwie przedstawić, aby nieprzyzwyczajony do subtelności umysł nie gubił się w tysiącznych zastrzeżeniach i pojęciach względnych, tracąc z oka całość przedmiotu. Tymczasem w obszernych wywodach i cytatach z J. S. Milla, Comte'a i t. d. tylko umysł bardzo wytrawny znaleźć się potrafi. Przy tej rozwlekłości i obfitości poglądów, można napotkać niekiedy wyrażenie niezbyt przekonywujące. Podniosę tylko jedną wątpliwość (str. 93), gdyż miejsce nie jest po temu, aby w kwestyi najwięcej spornej i ważnej dla nauki wyczerpywać wszelkie zarzuty, zwłaszcza, że wypadłoby je poprzeć odpowiedniemi dowodami, a tem samem zamiast krytyki napisać dzieło.

Sądzę więc, że szan. autor nie weźmie za złe, iż traktatem jego o metodach badania, nie zajmę się tak, jakby ze względu na staranność opracowania należało, lecz że zrobiwszy mu ogólny zarzut ze stanowiska pedagogicznego, ograniczę się na wykazaniu jednego punktu zdaniem mojem niejasnego.

Na str. 92 autor nadmienia „pokrewną z metodą historyczną jest metoda prawdziwie filozoficzna, konkretnie dedukcyjna, która

nietylko abstrakcyjnie myśli, lecz konkretnie bada i z tego powodu łączy ideę z rzeczywistością. Jeśli metoda historyczna bierze za podstawę badania historyczny rozwój i zjawiska, metoda konkretnie dedukcyjna bada przedewszystkiem ducha ludzkiego i z tego stanowiska rozpatruje objawy ducha tego w historyi się wyjawiające [1]). Otóż w tym ustępie chyba cokolwiek za wiele przyznano metodzie konkretnie dedukcyjnej z pokrzywdzeniem naturalnie metody indukcyjnej. I metoda indukcyjna łączy ideę z rzeczywistością, choć może nie w tym stopniu doskonałości, także myśli abstrakcyjnie i bada, choć odmiennym systemem. Nie przesądzając zatem kwestyi wyższości zdaje się, iż autor zanadto zredukował doniosłość metody indukcyjnej, a przytem konkretnie dedukcyjną przedstawił w ten sposób, że ją zbliżył do oderwanej spekulacyi. Kazał jej bowiem badać przedewszystkiem ducha ludzkiego, a nie dodał, iż na tem wyłącznie poprzestać nie może. Kończąc uwagi nad powyższym traktatem, nadmienić wypada, iż jak wiele innych miejsc w tem dziele, jest dowodem rzeczywistej pracowitości autora.

W § 11 rozbiera prof. Kasparek znaczenie nauki ogólnej o państwie i ogólnego prawa politycznego dla umiejętności i praktyki. Cały ustęp ten kwalifikuje się do bardzo wielkiego skrócenia. Uwagi wstępne o wpływie prawa państwowego ogólnego na reformę prawodawstwa obowiązującego, mogłyby pozostać, choćby je gdzieindziej wypadało zamieścić. Resztę zaś możnaby przedstawić w kilku wierszach, łącznie z przemową końcową do młodzieży.

W § 12 obejmującym prawie 137 stron (138—275) znajdujemy literaturę i bibliografię ogólnej nauki o państwie i prawie politycznem. Autor twierdzi, iż bez znajomości literatury można się wprawdzie błąkać po nauce, ale nie można być nigdy panem przedmiotu, z tego powodu podaje przegląd bibliograficzny, zastrzegając sobie charakterystykę dzieł najważniejszych i autorów. Pomijam na

---

[1]) Ustęp ten czerpany jest z dzieła Bluntschlego: „Lehre vom modernen Staat". T. I. str. 8, choć myśl nie oddana należycie, tam czytamy: „Verwandt mit ihr (historyczna metoda) ist die wahrhaft philosophische Metode, welche nicht bloss abstract speculirt, sondern concret denkt und eben darum Idee und Realitaet verbindet". — Zwracam uwagę sz. autora iż Bluntschli cały wykład o metodach umieścił na kilku kartkach.

ten raz fakt, iż dla obznajomienia się z literaturą nauk państwowych są dzieła odrębne, tytułowane zwykle „historyą nauk państwowych“ i że na tem miejscu traktowanie osobne historyi literatury nie jest zupełnie odpowiedniem. Przypuśćmy jednak, iż autor nie zważając na względy systematyki, chciał po prostu w widokach pedagogicznych dołączyć krótki rys historyczny nauk państwowych, to w każdym razie należy wyznać, iż wykonanie a przedewszystkiam sam układ jest wadliwy, i że od samego początku do końca spostrzegać się daje chwiejność w zdecydowaniu się autora, czy to co pisze ma być bibliografią, czy historyą nauki. Prócz tego pierwsze pytanie, jakie czytelnik sobie zada przeglądając ten długi ustęp będzie brzmieć jak następuje, jaką racyę bytu ma powyższy rozdział? Czy ma nas obznajomić z bibliografią? Tego bynajmniej nie potrzebuje czynić, gdyż na początku każdego paragrafu spotykamy bardzo obfitą bibliografię nie wspominając o jeszcze liczniejszej, jaka się w środku ustępów znajduje. A więc ma nas zapewne zaznajomić z historyą nauki? I to nie, albowiem od stronnicy 601 do 988 spotykamy wyłożoną historyę nauki w rozdziale zatytułowanym: „Historyczny rozwój idei państwa w praktyce i w teoryi, oraz w następnym p. t. „prądy najnowsze“. Wobec tych ustępów niknie zupełnie nadzieja odgadnięcia rzeczywistego zadania, jaki ma mieć ów bibliograficzno literacki a w części krytyczny katalog.

Przytem nie jest on jednolicie przeprowadzonym, gdy bowiem literatury obcych krajów składają się przeważnie z bibliograficznych wzmianek, literatura w dawnej Polsce przybiera charakter przeglądu krytycznego. Zdaniem też mojem, w następnych wydaniach, ustęp powyższy winien być zupełnie usuniętym a literatura polityczna polska, w dokładniejszem obrobieniu zamieszczoną na końcu — jeśli autor koniecznie chce zamieścić historyę nauk państwowych w środku wykładu nauki o państwie.

Ponieważ ustęp traktujący o naukach politycznych w Polsce jest do pewnego stopnia nowością, gdyż dzieła, któreby przedstawiło całokształt przedmiotu w krytycznem opracowaniu dotąd niema — przeto wypadnie mi zwrócić szczególniejszą uwagę na powyższy ustęp i rozebrać go z większą pilnością. Sam autor przyznaje, iż w tym ustępie trudne podjął zadanie, gdyż prac uprzednich nie było

wiele, a dzieła Hofmana, Olendzkiego i Pilata obejmowały pewne tylko epoki nie wyczerpując jeszcze sądu krytycznego o tychże. Z tem wszystkiem mimo okoliczności łagodzących zarzut, trudno nie dostrzedz, iż prof. Kasparek nie zdecydował się stanowczo, jaki charakter ma przybrać jego praca o literaturze polskiej: 1) czy ma być wykładem bibliograficznym? 2) czy kompletnym poglądem krytyczno historycznym, 3) czy wypisem z prac przygotowawczych i bez pretensyi do samodzielności. Trzecie przypuszczenie odrzucam zupełnie, lecz mimo to przejrzawszy uważnie cały ustęp, nie mogę dostrzedz zamiaru autora i rodzi się wątpliwość, czy w wykonaniu towarzyszyła mu jaka myśl przewodnia. Cały ten ustęp traci jednak bardzo wiele z powodu braku owej jednolitości, jaką nadaje wyłącznie świadomość założenia u autora Czytelnik nie może wytłómaczyć sobie dlaczego jedni pisarze są uwzględnieni, drudzy równie ważni lub ważniejsi przemilczani — dlaczego nad dziełami jednych autor się zastanawia, prace innych autor pozbywa prostą wzmianką — dlaczego wreszcie w sądzie o najdzielniejszych statystach, polega tylko na cudzem zdaniu, i nie pragnie sprawdzenia, które, niestety, nieraz było bardzo potrzebnem. Prawdą jest, iż zasłużył się autor społeczeństwu nie pomijając miejscowej literatury przeszłych wieków, ale nie powinien był poprzestać na tak pobieżnym i niedokładnym przeglądzie, zwłaszcza, iż trudności mogły być tylko nowym bodźcem dla tak pracowitego badacza.

Uwagi wstępne, o wrażliwości, dowcipie i bystrości naszego narodu, uważam za zupełnie zbyteczne, jako nie należące do przedmiotu. Dalej — razić musi, pozbycie Ostroroga nic nie znaczącą wzmianką, Ostroroga, który jako poprzednik Machiawellego, mógł śmiało zadziwiać zmysłem politycznym i nowemi naówczas poglądami. Postać taka winna być krytycznie rozebrana w najmniejszych drobiazgach, aby czytelnik mógł powziąść wyobrażenie, jakie stanowisko winna zająć w literaturze politycznej powszechnej.

Wiek XVI został przedstawiony bardzo pobieżnie i niewystarczająco. Wiśniewski, Olendzki, Tarnowski służyli głównie za materyał przygotowawczy prof. Kasparkowi i nie znać tej pewności sądu, jaka wypływa z poznania bezpośrednich źródeł. Prace przygotowawcze, na których się autor głównie opierał, mogły niejedno-

krotnie być spożytkowanemi, lecz nie dozwalały pomijać źródła. Wiśniewskiego literatura posiada bezwątpienia znakomitą wartość, jako taka, lecz nie przesądza o teoryach politycznych ze stanowiska nauki państwowej. Olendzkiego praca nie pozbawiona zalet, grzeszy jednak niejednokrotnie bezwzględnością sądu, a Tarnowskiego studya mają przeważnie wartość świetnych wypracowań etyczno-stylistycznych. Skutkiem tego w ocenie Modrzewskiego, Orzechowskiego nie spotykamy się u prof. Kasparka, z najważniejszemi poglądami, nie ma określonego ich stanowiska, wykazanych odrębnych szkół, jakie w XVI wieku się znajdowały i nie wiadomo, jaką doniosłość mogą ciż statyści mieć dla literatury powszechnej. Trudno sobie również wytłómaczyć, dlaczego autor pominął statystę znacznej doniosłości XVI wieku, Karnkowskiego, którego prace: „De primatu senatorio regni Poloniae i Exorbitancye i naprawa koła poselskiego“ są nader ciekawe i ważne. Dlaczego nie wspomniał wcale o Kromerze? choć nic go do takiego zapomnienia nie upoważniało.

Wiek XVII przedstawia autor w tych słowach, (patrz str. 171) „smutne wieki, które po złotej epoce XVI w. nastały, nie były czasem do rozwoju literatury politycznej, dopiero z początkiem XVIII wieku takowa znowu budzić się poczęła i t. d.“ Zdaje się, iż tego rodzaju treściwem przedstawieniem trudno zadowolnić nawet mało wymagających. Podział się gdzieś zupełnie Fredro, znikł Opaliński, którego satyry, choć wierszem pisane, mają dla nauk państwowych wartość, a Januszowski równie pozostał w cieniu, jakkolwiek na początku XVII wieku, przeprowadził oryginalny pogląd na państwo, który w przeszło 200 lat później, odtworzył na nowo Bluntschli, nie myśląc wcale, iż miał tak wczesnych poprzedników [1]).

Jednakże uwzględnienie tych autorów i innych jeszcze, oraz podanie ogólnej charakterystyki prawa państwowego polskiego w owym czasie byłoby właściwszem, aniżeli wiersz Kalderona, przypominający nam, iż „miłość grzeje i przyjaźń szczęście stanowi“.

Przedstawiając wiek XVIII, prof. Kasparek, zbywa dzieło Karwickiego „de ordinanda Republica“ prostą wzmianką, choć za-

[1]) W „Niwie“, moja ocena poglądu Januszowskiego r. 1875.

sługiwało na bardzo pilną uwagę. To samo się stało z bardzo ważnem dziełem Konarskiego: „O skutecznym rad sposobie“, Garczyńskiego zupełnie pominięto, a niektórym drobiazgom literackim zbyt wielką poświęcono uwagę. Przytem sąd o Leszczyńskim i jego Głosie wolnym jest zbyt powierzchownym i nie daje żadnego wyobrażenia o stanowisku autora w historyi nauk państwowych. Tem bardziej razi taka pobieżność, iż zaraz następuje wypisany ustęp z R. Mohla [1]) o jednym ze słabszych utworów króla Stanisława, który jest nierównie więcej wyczerpującym i nie traktuje naszego statysty z lekceważeniem.

Krótką epokę rozpoczynającą się w przeddzień sejmu czteroletniego, przedstawia prof. Kasparek głównie na podstawie pięknej pracy Pilata: „O literaturze politycznej sejmu czteroletniego“. Sąd o Kołłątaju i Staszycu jest stamtąd wprost czerpany, jakkolwiek zdawałoby się, że właśnie prof. Kasparek winien był powyższe poglądy cokolwiek zmodyfikować, rozbierając wzmiankowanych dwóch autorów ze stanowiska nauki państwowej. Kołłątaj rzeczywiście jako mąż stanu, należał do najpotężniejszych umysłów ówczesnego wieku. Jako pisarz władał wspaniałą formą i miał dar stosowania nauki do potrzeb chwili w sposób tak obrazowy i porywający, iż przyczynić się mógł więcej niż ktokolwiek do przeprowadzenia reform. Spostrzegamy w jego dziełach odbłyski Miltonowskiego zapału, a niektóre ustępy mogłyby służyć za wzór parlamentarnej wymowy. Inna rzecz jednakże, jeśli go sądzić będziemy jako uczonego statystę. W tym charakterze nie dorównywa on obywatelowi i mężowi stanu. Braknie mu przedewszystkiem spokoju, porównawczego poglądu a nawet co jest bardzo zadziwiającem, praktycznego zmysłu w nauce. Jego pożądana konstytucya [2]), którą jako postulat przedstawia, jest ciężką, niepraktyczną maszyneryą, czuć w niej doktryneryzm i mimo świetnych ustępów zdumiewających przenikliwością umysłu, przeglądają niekiedy nawet naówczas przestarzałe zasady. Ten sam zarzut, którym obciążyłem prof, Kasparka, odnośnie do

---

[1]) Geschichte und Literatur der Staatswissenschaften I l. str. 208.

[2]) Patrz: „Prawo polityczne narodu polskiego, czyli układ rządu Rzeczypospolitej“.

Kołłątaja, stosuje się zarówno do Staszyca. Autor osądził tych dwóch pisarzy, jako obywateli i mężów stanu, a nie jako uczonych, przedstawił wprawdzie pobieżnie ich teorye, lecz nie ocenił ich, dlatego też nie można wiedzieć, jakie stanowisko winni zająć w historyi nauk państwowych.

Przechodząc do wieku XIX, autor poświęca dość obszerny ustęp pracy Supińskiego p. t.: „Myśl ogólna fizyologii powszechnej“ — jakkolwiek się ona tylko pośrednio do nauk państwowych odnosi; tymczasem poprzestaje na prostej wzmiance o dziele Cieszkowskiego p. t.: „De la pairie et de l'Aristocratie modérne“ — oraz pracy Skarbka p. t.: „Essai de morale civique“ — choć one należą bezpośrednio do przedmiotu, a autorowie należeli do pisarzy, bardzo uzdolnionych i zasłużonych. Za to jednak spotkać można na str. 192 ustęp w formie dytyrambu o prof. Dunajewskim. Brzmi on jak następuje: „gruntowność, wytrawność zdania, wytworność języka, rozległe wiadomości, trafne zestawienie, głęboki zmysł polityczny i t. p. i t. p,“ wszystko jest w prof. Dunajewskim sławione. Lecz w końcu czytelnik zapyta, gdzie są owe prace, które zjednały prof. Dunajewskiemu pierwszorzędne a może najpierwsze stanowisko w historyi nauk państwowych XIX wieku u nas, a w odpowiedzi na razie nie zobaczy nic, tylko wzmiankę o wykładach w uniwersytecie, a później dopiero na str. 195 istnieje nareszcie pewien dowód. Przyjrzyjmy się mu bliżej — brzmi on jak następuje: „sprawy organizacyi autonomicznej rozebrane są nader starannie w piśmie dra Dunajewskiego: Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi, w Krakowie 1871 r.“ Więcej niema nic. Otóż pozwalam sobie nadmienić, że nawet ów krótki zarys, mający być projektem, nie może być uważany za pracę dra Dunajewskiego. Autora niema tam wymienionego zupełnie, lecz we wstępie jest wskazówka, że była to praca wspólna. Czytamy bowiem „przedmiot ten rozbierany w rozmowie prywatnej, dał powód do podniesienia myśli, zajęcia się ułożeniem projektu“; również i to jest mi wiadomem, że redakcyą tego projektu zajmował się przeważnie p. D. Skarżyński.

Przejdźmy jednak na chwilę do samego projektu i przypuśćmy że jest dziełem prof. Dunajewskiego, to pozostaje drugie zapytanie — czy posiada tego rodzaju zalety, aby dawał prawo wstępowania na

takie wyżyny, na jakich się nie znajdowali: Cieszkowski, Skarbek, Wołowski, Hofman, Biliński i inni. Odpowiedź może być tylko przeczącą. Pierwsza strona projektu objaśnia nas, iż był wadliwym, bo zachowywał w organizacyi gminnej obszary dworskie, które dla Galicyi okazały się niefortunnemi i sprzeciwiały się nawet zasadom nauki.

Pozostają więc jedynie wykłady uniwersyteckie (bo o pracy rozpoczętej lecz nie skończonej w Ekonomiście, dr. Kasparek nie wspomina); lecz czyż te dają prawo wstępu do historyi nauk państwowych? Gdyby prof. Kasparek pisał historyę zasłużonych pedagogii mężów, lub historyę profesorów krakowskiego uniwersytetu, lub nareszcie swoje pamiętniki, cały ustęp o prof. Dunajewskim uważalibyśmy za właściwy. Gdy jednakże jest to historya nauk państwowych a w niej tacy uczeni, jak Cieszkowski, Skarbek, Hofman znajdują bardzo skromne pomieszczenie, tacy pedagodzy i uczeni jak Leon Biliński, prostą wzmiankę bez wyliczenia nawet spisu dzieł [1]) a tacy uczeni jak R. Hube, nie znajdują wcale przystępu [2]), tam rzeczywiście ustęp o prof. Dunajewskim możnaby, nie znając autora, uważać za ironię. Mam nadzieję, że mi szan. autor wybaczy tę uwagę, ale uczyniłem ją właśnie dlatego, iż cenię na równi z nim praktyczną działalność prof. Dunajewskiego a mowę jego z dnia 6 grudnia 1875 r. w rozprawie ogólnej nad budżetem, podziwiałem jako wzór zręczności parlamentarnej, elegancyi wyrażeń i gruntownej znajomości prawa państwowego. Sądzę więc, że profesorowi Dunajewskiemu nie potrzeba stwarzać sztucznego stanowiska, bo posiada już bardzo zasłużone jako pedagog, obywatel i takowe lada chwila zdobyć sobie może w historyi nauk państwowych.

Prof. Kasparek dał się tym razem unieść wspomnieniom własnej młodości, był pod wrażeniem tradycyi uniwersytetu, który go wychował, a jakkolwiek względy powyższe łagodzą zarzut, to jednakże trudno zaprzeczyć, iż tym sposobem skrzywdził drugich za ich uczciwą pracę dla nauki. W przedstawieniu literatury bieżą-

[1]) Jakim sposobem prof. Kasparek pominąć mógł zupełnie „System nauki skarbowości“, trudno zrozumieć.

[2]) Wyborna praca Hubego p. t.: „Prawo polskie w wieku XIII“ ma znaczenie i dla prawa państwowego.

cego wieku są znaczne opuszczenia. Jak już wspomniałem, prace Leona Bilińskiego są zupełnie pominiętemi, statystyka Korzybskiego nie jest wzmiankowaną. Ważna praca Hofmana zamieszczona w „Przeglądzie Poznańskim“ (patrz T. 5, 6, 8, 9) została zupełnem pokryta milczeniem a o dziele R. Hubego „Prawo polskie w XIII wieku“, ważnem dla nauk państwowych i o pracy ks. T. Lubomirskiego p. t.: „Trzy rozdziały z historyi skarbowości“, autor nie chce wiedzieć, choć uważa za stosowne wzmiankować o namiętnych dziennikarskich artykułach składających tekę Stańczyka. Dział historyi i pamiętników jest równie pobieżnie przedstawiony, a prace traktujące o prawie publicznem polskiem w wiekach ubiegłych są, nawet pod względem bibliograficznym niedokładnie zebrane. Wreszcie końcowe uwagi o Kaulbachu, Krasińskim i Słowackim, jako też cytatę z listu prywatnego Randy, uważam za zupełnie nieodpowiednie. — Zamykając spostrzeżenia nad powyższym rozdziałem, nadmienić winienem jeszcze raz, że jest wadliwym, że nie spełnia zadania ani jako przegląd bibliograficzny, ani jako krytyczna historya nauk państwowych, a co najważniejsze, że jest pozbawionym cech samodzielnego owładnięcia przedmiotem.

Po bibliograficznych notatkach rozpoczyna się nauka o państwie i w § 10 autor bada rozmaitość sfer życia. Cały ten ustęp napisany, jak sam prof. Kasparek zeznaje, podług Mohla Encyklopedyi, mógłby być zredukowanym do kilku wierszy, a mianowicie do przedstawienia następnych sfer życia: 1) sfera życia indywidualnego, 2) rodzina, 3) szczep (naród), 4) gmina, 5) społeczeństwo 6) państwo, 7) połączenie państw. Reszta uwag i cytaty z Hobbesa, Ballanch'a i Arystotelesa wydają się zupełnie zbytecznemi.

§ 14 rozbierający człowieka jako indywidualność, nie należy zdaniem mojem do nauki o państwie. Uwagi tego rodzaju jak np. iż wszyscy jesteśmy obdarzeni jednakowemi siłami, naturalnemi i duchowemi, że u wszystkich, powstanie, przebieg życia i śmierci tym samym ulega prawidłom i t. p. — mogą być wprawdzie bardzo słusznemi, tylko że nie należą do nauki o państwie, jak i wiersze Heinego, Szekspira i naszego Macieja Rybińskiego, opiewające jak — mijają nasze lata gdyby sen i jak podobni jesteśmy do podciętego siana. Dopiero w § 11, traktującym o rodzinie do-

tknął autor przedmiotu, który poniekąd należy do nauki, pracą niniejszą objętej. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, aby rodzina i jej prawa, miały w tem miejscu być szczegółowo rozbieranemi. Tylko ze względu na ważność związku rodzinnego, z uwagi, iż jest szkołą obyczajowości niczem zastąpić się nie dającą i że na trwałość instytucyj państwowych ważny wpływ wywiera, państwo nie może się do praw familijnych obojętnie odnosić i niektórym pojęciom musi nadawać charakter publiczny.

Właśnie w nauce o państwie, należało te tylko punkta podnieść i doniosłość ich dla państwa wykazać. Zdaje się jednak, że prof. Kasparek, program nakazywany specyalnością nauki, przekroczył i wtargnął w dziedziny innych praw a nawet moralności. W najważniejszych miejscach trzyma się autor poglądów Bluntschlego; lecz jeśli w dziele tego uczonego spotykamy dość zbytecznych uwag, to prof. Kasparek pomnożył ich liczbę jeszcze o wiele. Uwagi nad monogamią są trafnemi; przeprowadzenie różnicy między państwem a rodziną dobre, a pogląd na równouprawnienie małżonków i zabezpieczenie praw dzieci bardzo uzasadniony; w całym ustępie jednak o kobietach spotykamy się przeważnie z uwagami moralnemi, z faktami dotyczącemi historyi obyczajów, które oddalają się znacznie od przedmiotu. Tak np. dowiadujemy się z dzieła, które zawiera naukę o państwie, iż „matka najpierw uczy nas modlić się, pojęcia religijne zaś czerpiemy od mężczyzny, że matka uczy nas zaparcia się, ojciec otwiera nam naprzód widok na świat, że matki mężów wielkich, pierwsze położyły podstawy do ich przyszłej wielkości, że istniała miłość małżeńska Hektora i Andromachy, wierność bezprzykładna Penelopy, bohaterska miłość Alkesty, ofiarność dziecięcia Antygony i t. d.; że wyrafinowana rozwiązłość Grecyi i Wschodu, znalazła przytułek w Rzymie, że na tle świetlanem miłości romantycznej, wyrastają owe piękne i urocze postacie: Laury Petrarki i Beatrycy Dantego; że miłość idealna staje się przedmiotem pieśni poetyckich rozlegających się po całej Europie, że zmysłowy popęd płciowy, który stanowi cechę charakterystyczną małżeństwa u narodów wschodnich, w małżeństwie chrześcijańskiem podnosi się i uzacania i przybiera charakter miłości, która jest także źródłem wyższych duchowych rozkoszy; że żona jest obowiązaną do posłuszeń-

stwa mężowi; że niewiasty chrześcijańskie dokupiły się czci najwyższej krwią męczeńską; że gdy człowiek ma serce burzą światową skołatane, niesmakiem żywota zamrożone, niech spojrzy na śpiące niemowlę swoje, a ten spokój głęboki, anielski na twarzy dziecięcia, ukołysze mu duszę pokojem, wygoi serca boleści; że gdy towarzystwo dzieli się na dwa obozy, męski i żeński, w pierwszym wznoszą się wnet kłęby dymu, przychodzą karty i piwo, tłuste żarty i anegdoty, góruje prostactwo, w drugiem rozprawa schodzi z pola ogólnego na pole strojów, plotek i rzeczy kuchennych lub domowych. Przytoczyłem tylko niektóre ustępy z pośród daleko większej liczby, aby zaznaczyć, że prof. Kasparek dał się unieść poczuciu piękna, i naukę o państwie splótł tym razem zbytecznie z pojęciami moralnemi i estetycznemi.

W § 16 traktuje autor rzecz o rasie, szczepie i narodowości. Spotykamy się znowu z istotną monografią rozbierającą najdrobniejsze szczegóły, prawie na stu stronicach. Trudno i tym razem zastanawiać się nad wszystkiemi uwagami zebranemi z uznania godną skrzętnością lecz przytem trudno przemilczeć, że i w powyższym rozdziale wiele jest zbytecznych cytat, zwłaszcza z dziedziny nauk przyrodzonych. Zaznaczę tu tylko główne poglądy autora na rasę i szczep a następnie przejdę do pojęcia narodowości, które nasuwa zdaniem mojem pewne wątpliwości. — „Rasę, podług prof. Kasparka, stanowią różne trwałe odcienia rodu ludzkiego, które się od siebie typownie różnią przez całą budowę ciała, mianowicie ubarwienie skóry, kształt oblicza, włosy i t. p. Rasa składa się ze szczepów i narodów. Szczep zaś wytwarza się z pojedynczej rodziny, stopniowo, przez powolne i ciągłe rozradzanie się dorosłych dzieci i założenie przez takowe nowych rodzin, w stosunku geometrycznym. Naturalnemi następstwami są pewne podobieństwa kształtów ciała i przymiotów duszy; z temi łączy się podobieństwo obyczajów i pojmowania życia, a stąd wypływa zdolność do wspólnego pożycia, wyradzają się te same potrzeby, skłonności i te same zdolności“.

Nadmienić winienem, iż główne definicye są jasne i dość trafne, lecz drobiazgowe przeprowadzenie różnicy między rasą i szczepem z jednej strony, a ludem w politycznem znaczeniu, z drugiej strony,

uważam za zbyteczne, gdyż następstwa te wypływały z samych definicyj i nie potrzeba im było tyle czasu poświęcać.

O narodowości powiada nam autor co następuje: „Narody, na które się rasy dzielą, lub które powstały z krzyżowania się ras różnych, są oczywiście płodem i wytworem historyi. Narody tedy są historycznymi członkami ludzkości i jej ras. Właściwość narodów tedy mniej się wyjawia w ich zjawisku fizycznem aniżeli w ich duchu i charakterze t. j. języku i prawie. W dziejach przedstawiają się narody, przedewszystkiem jako naturalne jednostki, które nie są ani zbiorem indywidualności, ani stowarzyszeniem rodzin. Najważniejsze okoliczności, jakie mogą wpłynąć na utworzenie się narodowości, są następujące: — 1) Pochodzenie wspólne — kilka wierszy potem czytać jednak możemy, iż po narodzie nie wymaga się jedności pochodzenia, tylko, że w nim musiał istnieć jakiś rdzeń jednoplemienny, stanowiący punkt krystalizacyjny narodu. 2) Religia — i tu znów spotykamy zastrzeżenie zbijające nas z tropu, a mianowicie, iż jest to cechą naszych czasów, że dziś religia nie wywiera więcej tak silnego wpływu na nowe utworzenie i rozdział narodowości. Potęga narodowości pomija dziś wyznanie wiary. Niemcy doszli do poczucia swej wspólności narodowej nie troszcząc się o to, czy są protestantami, czy katolikami, żydami lub panteistami. — 3) Wspólność językowa, tu już niema zastrzeżeń i rozdział ten obfituje w piękne i szlachetne myśli. — 4) Wspólność siedziby i kraju. — 5) Sposób życia, zadania życia, obyczaj. Jeśli do tych wszystkich okoliczności wytwarzających spójnię między ludem przystąpi węzeł polityczny i wspólne kilkowiekowe dzieje w jednem państwie, natenczas węzeł narodowy będzie tem silniejszy, poczucie narodowe tem wznioślejsze. Jakkolwiek jednak najważniejsze narody miały swój byt polityczny, to jednakże do pojęcia narodu, istnienie związku politycznego tak mało należy jak tożsamość wiary. Narody są utworami cywilizacyi, albowiem tak ich wewnętrzna łączność, jakoteż ich oddzielenie się od obcych narodów, przeważnie powstały wskutek rozwoju oświaty i ponieważ one wywierają przeważnie wpływ na rozwój cywilizacyi. Że narodowości są utworami cywilizacyi nowszej, tego dowodem przedewszystkiem ta okoliczność, że u narodów niższej cywilizacyi, mianowicie u narodów wschodnich,

niema wcale narodów, tylko istnieją rasy i szczepy. Kościół katolicki z początku tamował rozwój narodowości, kładąc zbytni nacisk na jedność ludzką. Dzieło wytworzenia narodowości, utwierdziła i stanowczo zakończyła reformacya religijna“ [1]).

Dalej czytamy nie bez zadziwienia zdanie, że „po wszystkie czasy narodowość w dziejach ludzkości wywierała wpływ potężny na państwo i na politykę, że poczucie narodowego pokrewieństwa i narodowej właściwości zapalało hellenów do walki z persami; że w imię wolności narodowej walczyli starzy germanowie przeciw rzymianom i t. p. Również ze zdziwieniem dowiadujemy się, iż naród jest tylko wspólnością naturalną i obyczajową nie zaś wspólnością polityczną. Dalej czytamy, iż nie zawsze staranne przestrzeganie czystości rasy powstrzymywało naród od upadku, a państwo od zniszczenia; że pracować nad wydoskonaleniem rasy jest jednem z największych zadań męża politycznego: że narodowość z pojęcia naturalnego staje się dopiero pojęciem kultury. — Uważam wreszcie za stosowne podać określenie narodowości, znajdujące się na str. 354, które brzmi jak następuje: „narodowość jest to pewnemu ludowi faktycznie służąca właściwość cielesna i duchowa, różniąca go od innych ludów, która zewnętrznie wyjawia się w kształcie, duchowo przedewszystkiem w mowie, dalej zaś w ogólności w całym charakterze obyczajowym, która ostatecznie polega na wrodzonych i trwałych przymiotach naturalnych, następnie zaś pod wpływem wydarzeń historycznych, bliżej bywa wyrobioną i w szczegółach wykształconą“.

Przeciw powyższym poglądom, które o ile możności starałem się streścić, będę miał dużo do nadmienienia. Zanim jednak przejdę do rozbioru krytycznego, streszczę w krótkich słowach artykuł p. t.: „narodowość i ludzkość“, naprzód dlatego, iż jest w bezpośrednim stosunku z traktowanym przedmiotem, a powtóre, iż zawiera dużo głębszych spostrzeżeń i pięknych myśli.

W rozdziale powyższym prof. Kasparek wykazuje, iż narodowości są konieczne dla wydoskonalenia człowieka; że każdy naród

---

[1]) Myśli powyższe są streszczeniem całego rozdziału a nie w porządku następstwa wypisane.

przedstawia pewną ideę, którą ma powołanie przedstawić w języku sztukach, filozofii i państwie. Gdyby ich nie było, istniałaby wówczas zabójcza jednostajność, nie byłoby indywidualności, oryginalności, nie byłoby życia tylko śmierć. Możnaby pominąć mnóstwo cytat, które przeplatają główniejsze myśli, lecz wypada się zgodzić z autorem i przyznać, że w tym rozdziale wywiązał się dobrze z zadania.

Inaczej się ma jednak z poprzednimi ustępami o narodowości i odnośnie do nich, nie mogę powtórzyć tego samego zdania. Przedstawię też wątpliwości, jakie mi się nasuwają, rozpoczynając od terminologii. W całym rozdziale spotykamy dwa wyrazy na oznaczenie tego samego przedmiotu t. j. naród i narodowość. Wypadało jednak zdecydować się stanowczo na jeden termin, a mianowicie na narodowość, gdyż w dawnej literaturze wyraz „naród“ był używany na oznaczenie ludu w politycznem tego słowa znaczeniu i w tem rozumieniu po dziś dzień bywa często brany. Następnie zadziwić może słusznie, iż prof. Kasparek w nauce o państwie zamieścił kompletny traktat o narodowości, które należy zarówno i do prawa państwowego i do nauki polityki. Wszystkie spostrzeżenia należące do zupełnie obcych dziedzin zamieścił autor pod jedną rubryką i mimowolnie zapytujemy, coby o tejże narodowości podał nowego, gdyby mu np. przyszło napisać naukę polityki.

Do nauki o państwie, o ile mnie się zdaje, należeć winno tylko przedstawienie, jak się narodowość wytwarza, jakie potęgi składają się na to i jakie skutki wywiera na państwo. Do prawa państwowego zaś należy wykazać, o ile prawodawstwa liczyły się lub liczą z powyższem pojęciem — czyli inaczej mówiąc, winno przedstawić narodowość w istotnem uprawnieniu. Wreszcie nauka polityki wykazuje nam czem narodowość być może, czem być dla państwa powinna, o ile państwu należy ją spożytkować, lub w jakich razach zapobiegać jej rozwojowi. W pracy prof. Kasparka zlewają się te trzy dziedziny, przez co nietylko pedagogiczna lecz i naukowa wartość cierpi znacznie.

Wreszcie proces wytwarzania się narodowości przedstawiony jest dość chwiejnie u prof. Kąsparka, Naprzód narodowość lub naród jest wytworem historyi, następnie cywilizacyi a przedewszystkiem

oświaty. Potem znów narody są naturalnemi jednostkami, rozwijają się koniecznościowio organicznie. Wobec tylu na różnych miejscach wyrażonych poglądów, można się rzeczywiście cokolwiek zachwiać. Jeżeli bowiem narodowość jest produktem cywilizacyi historycznie rozwijającej się, to jakże może być naturalną jednostką, rozwijającą się koniecznościowo. Jeśli więc przyłączymy się do pierwszego zdania, które zdaje się być słuszniejszem, to w jaki sposób pogodzimy z niem pogląd drugi. Że istnienie ogólne narodowości w historyi można uważać za konieczność, to jeszcze łatwo zrozumieć; ale że wobec wymaganych warunków, narodowość musi koniecznie się rozwinąć i jest daną naturalną, to trudniej pogodzić z wyobrażeniem produktu cywilizacyi. Przez to, iż są dane naturalne podstawy dla narodowości, jak np. język, siedziby wspólne i t. p. nie jest jeszcze daną narodowość i potrzeba długiego procesu oraz dogodnych warunków, aby się przedstawiła jako jednostka historyczna spełniająca swe posłannictwo dziejowe. Mimo wszelkich podstaw naturalnych może nie powstać narodowość, jeśli wspomnianych warunków nie obejmie świadomość wspólności zadań historycznych, przenikająca przynajmniej większą liczbę członków.

Jeżeli proces wytwarzania się narodowości, w dziele prof. Kasparka nasuwał pewne wątpliwości, to tak samo rzecz się ma z przedstawieniem historycznej chwili, w której narodowości czyli narody się ukazały. Raz bowiem autor twierdzi, że narody są utworami cywilizacyi nowszej, na ukształcenie której przeważnie wpłynęła reformacya, zatem wiek XVI, innym zaś razem odsyła nas do głębokiej starożytności, do walk hellenów z persami i rzymian z germanami [1]). Do podobnych sprzeczności musiał autor dojść, nie przeprowadzając ściśle jednego poglądu. Gdyby był zatrzymał pierwsze pojęcie, iż narodowość jest wytworem cywilizacyi, nie byłby nigdy popełnił niedokładności, lecz przedstawił, iż narodowość pojawiała się zawsze choć w odmiennem natężeniu, albowiem będąc wytworem history-

[1]) Gdy raz z Mohlem autor powtarza, że kwestya narodowości powstała w najnowszych czasach, w innem miejscu twierdzi, że po wszystkie czasy narodowość w dziejach ludzkości wywierała wpływ potężny na państwo i ludzkość.

cznym, musiała ulegać prawu udoskonalenia się [1]). Również zwracam uwagę sz. autora, że niekiedy szczep i narodowość uważa za pojęcia jednoznaczne; tak np. na str. 379 dowodząc, iż państwo jest obszerniejsze niż naród i obejmuje czasami kilka narodowości, przytacza autor jako przykład, iż w Anglii obok narodowości Anglo-Saskiej, znachodzimy szczepy celtyckie, iż w Rosyi obok wielkich narodowości rosyjskich mieszka wielka ilość innych szczepów. Źle to są dobrane przykłady.

Przechodzę nareszcie do owych podstaw naturalnych i mam zamiar wykazać jak je autor historycznie objaśnia.

Podług prof. Kasparka istnieją następujące podstawy narodowości: 1) język, 2) wspólność siedzib, 3) wspólność pochodzenia, 4) jedność religii lub brak takowej i 5) sposób życia, obyczaj. Byt państwowy i wiara nie są rzeczami koniecznemi dla wytworzenia narodowości. Wyznać muszę, iż z poglądem autora, zwłaszcza przy dołączonych historycznych dowodach, zgodzić się nie jestem w stanie; i niech mi wolno będzie także w zarzutach powołać się na tęż samą mistrzynię nauki — historyę. Ponieważ co do języka i wspólnych siedzib żadnych zastrzeżeń niema, przeto nie będę się nad tymi punktami zastanawiał. Chodzi mi głównie o wiarę i ustalenie pod tym względem pojęcia.

Autor nieodpowiednio stawił kwestyę, formułując ją jako wspólność religii, gdy tymczasem zdaniem mojem, należało przedewszystkiem postawić pytanie, czy wiara religijna wogóle, należy do podstaw naturalnych narodowości, czy nie? Na powyższe pytanie pośrednio wprawdzie można znaleść w pracy prof. Kasparka przeczącą odpowiedź. Kościół katolicki bowiem, zdaniem szan. autora, stawiając jedność ludzkości jako cel najwyższy, sprzeciwiał się wytwarzaniu narodowości, a niemcy doszli do poznania swej wspólności narodowej, nie troszcząc się o to, czy są protestantami, katolikami i t. p. Wprawdzie pewne wątpliwości w rozumieniu przykładów historycznych muszą powstać, gdy na innem miejscu autor

[1]) Tegoż zdania jest Eötvös. Patrz: „Die Nationalitäten Frage“ 1865, str. 13. „Daraus erhellet, dass das Nationalitätsgefühl nichts Neues sei und es gibt in der ganzen Geschichte keinen Zeitabschnitt, in welchem sich nicht gewisse Kundgebungen dieses Gefühles nachweisen liessen“.

objaśnia, iż najwięcej na wytworzenie się narodowości wpłynęła reformacya religijna XVI wieku; ale pomijając tę sprzeczność i przechodząc do głównej zasady autora, to jestem tego zdania, iż odmawianiu wierze religijnej stanowiska wśród potęg naturalnych, służących za podstawę narodowości, przedewszystkiem przeczy historya, której produktem jest narodowość.

Cóż bowiem nazywamy siłą naturalną, przy pomocy której historya wyrabia ową narodowość? Oto siłę tę stwarzają wszelkie stałe wewnętrzne objawy lub zewnętrzne, które w wysokim stopniu obudzają w społeczeństwie świadomości duchowej spójni, tak w przeszłości jak i w przyszłych zadaniach. Świadomość ta, którą zwykle nazywamy duchem narodowym, odbija się we wszelkiego rodzaju pracach, nadając im właściwe piętno, zwykle zwane geniuszem narodowym. Jeśli się więc zgodzimy na powyższe pojęcie siły, lub podstawy naturalnej, to trudno zaprzeczyć, iż wiara religijna jest jedną z najważniejszych w tym szeregu. Jeżeli gdzie, to w kościele urabiało się pojęcie łączności i wspólności; pod jego to opieką błysły pierwsze promienie oświaty i estetycznego smaku; on wyrabiał i przechowywał pojęcie tradycyi w najszerszem tego słowa znaczeniu, otwierając swe przybytki dla pomników narodowego ducha i dla zasług jego bohaterów. Na kazalnicy ciemne masy usłyszały najpierw swój własny język w piękniejszej formie i wśród obrębu świątyni łagodziły się pojęcia stanowe a wyrabiało poczucie ogólnoludzkie, przybrane w szaty narodowe.

Autor tym razem zapomniał o swem własnem twierdzeniu, że narodowość jest wytworem historyi i cywilizacyi, albowiem nie uwzględnił należycie, jakie to potęgi w historyi pomagały do wytworzenia się narodowości. Przykład cytowany o Niemczech uważam za zupełnie nieodpowiedni. Jeżeli w którym kraju bowiem to z pewnością tam należy datować wzrost szybki poczucia narodowego od epoki reformacyi t. j. gdy kościół zmuszony był podwoić usiłowania w celu nauczania ludu. Dziś nawet, gdy uczona klasa ludności niemieckiej, rozdrażniona namiętnym sporem, rada odmówić kościołowi w bieżących czasach wszelkiej zasługi i co najwyżej skłania się do uznania dawnych działań, dziś nawet bezstronny badacz nie może jej przyznać zupełnej słuszności. Którekolwiek z najwykształ-

ceńszych społeczeństw istniejących będziemy obserwowali, w każdem spotkamy masy ciemne ludu, dla których kościół jest jedyną prawie szkołą. W tej sferze kościół zawsze urabia ducha narodowego, przemawiając językiem znanym, zachwycając serce i ucho pieśnią i melodyą znaną, zdumiewając wreszcie pomnikami sztuki i otaczając aureolą świętości zasługi narodowe. Szkoła elementarna ma dla tych mas daleko mniejsze znaczenie, brzemię życia zaciera w nich do pewnego stopnia to, czego się w niej nauczyli. W szkole zresztą widzą tylko reguły suche i nudne i to widzą przez czas krótki, a nie będąc zdolnemi do abstrakcyjnego myślenia, zachowują przeważnie obojętne po niej wspomnienie. Kościół zaś ogarnia ich urokiem cudowności, trzyma ich wiecznie nadzieją przyszłego szczęścia i przemawia do nich tyloma środkami zrozumiałemi i widocznemi, że masy ciemne zawsze się do niego zwrócą po słowo ukojenia i pociechy na nędzę doczesnego życia.

Kościół więc w zasadzie wyrabia spójnię duchową przez pojęcie jednakie zaziemskiego życia i tem toruje drogę narodowości, która jest spójnią obejmującą szerokie sfery ziemskiego życia. Jestem więc zdania, że i dziś kościół jest niezbędnym dla wzmacniania się narodowości. Narodowość bowiem tem jest silniejszą, geniusz jej, którym zaznacza swe zadania dziejowe, tem jest wspanialszym, im więcej świadomość przeszłych i przyszłych celów obejmuje narodowe społeczeństwo, im głębiej poczuwa się takowe na stanowisku, nietylko produktu lecz i posłannika cywilizacyi. Obudzić tę świadomość w niższych klasach może tylko kościół, i gdy wyższe klasy ulegają często procesowi rozkładu, goniąc pozornie za kosmopolitycznemi celami, on odżywia narodowość nową siłą wydobytą z mas ciemnych a tem samem dotąd obojętnych. — Sprawdźmy teraz pogląd autora na oddziaływanie kościoła katolickiego w szczególności a mianowicie na to, czy tenże kościół stawiając jedność ludzkości za cel najwyższy, sprzeciwiał się wytworzeniu narodowości. Kościół katolicki rzeczywiście za cel najwyższy postawił jedność ludzkości; ale też postawił ją za cel ostateczny, do którego się dochodzi po odpowiedniem przygotowaniu. Na czele tego kościoła stali zbyt doświadczeni kierownicy, aby zapoznali potęgę, jaka spoczywała w narodowości i aby wyobrażali sobie, że można rządzić świat jedynie dogmatem

bez znajomości natury społeczeństwa. Jaki był ostateczny cel kościoła, to nam jest w tej chwili obojętnem; ale to pewna, że kościół budził uczucia narodowe, uwzględniając je we własnej sferze, i że dokładnie zrozumiał, iż tam spoczywa potęga cywilizacyjna, której przeczyć nie można, lecz którą spożytkować należy. Być bardzo może, że w wyobrażeniach najzdolniejszych reprezentantów kościoła, narodowość stanowiła szkołę przejściową, w której się wyrabiało pojęcie ogólno-ludzkie i że kościół podług nich, winien był uszlachetniać narodowość, nie dozwalając jej zamknąć się w sobie zupełnie; lecz mimo to ciż sterownicy nie niszczyli jej w imię jedności, tylko udoskonalali; a tak samo rzecz się miała z państwem. I państwo przecież, wychodząc z ogólnej dewizy jedności, sprzeciwiało się programowi kościoła, a jednakże kościół nie wyobrażał sobie, iż będzie je można znieść, tylko starał się spożytkować takowe dla własnych celów.

Jeżeli zgodzimy się na poprzednio skreślone wyższe oddziaływanie kościoła w ogólności, to kwestya wspólności wiary ma już drugorzędne znaczenie. W życiu społeczeństwa trudno wymagać jednolitości i prawidłowości mechanicznej, trzeba się z góry przygotować na współdziałanie i kombinacye najróżnorodniejszych wpływów. Chociaż narodowość składać się będzie z kilku wyznań, niemniej jednak każdy kościół w sferze swoich wyznawców będzie oddawał wymienione pożytki, a brak jedności może niekiedy zastąpić szlachetne współzawodnictwo.

Przechodzę w następstwie do drugiej wątpliwości, którą nasuwa twierdzenie autora, a mianowicie do kwestyi: czy rzeczywiście może istnieć narodowość bez współdziałania choćby czasowego, związków politycznych t. j. czy nie potrzeba do wytworzenia narodowości, żadnej udzielności państwowej, choćby przez pewien czas bytującej. Sam autor twierdząc, że takowa udzielność jest zupełnie zbyteczną, czuje iż na niepewnym stoi gruncie i błahy materyał historyczny zostaje mu do rozporządzenia. Otóż jedni słowacy mają służyć za przykład narodowości, która w procesie historycznym nie spotrzebowała żadnego pomocniczego czynnika politycznego, spoiwszy się jakoś bezwiednie w jednolitą całość. Prof. Kasparek przyznaje zresztą sam, iż daleko częściej rzecz się miała przeciwnie i że naj-

wybitniejsze narodowości czerpały nowe siły w wytworzonych przez siebie instytucyach politycznych.

Ze zdaniem szan. autora i tym razem nie mógłbym się zgodzić, albowiem uważam, iż choć czasowy związek polityczny, objawiający się choćby w postaci udzielności niekompletnej, np. prowincyonalnej, jest koniecznym dla wytworzenia narodowości. W jednem miejscu autor sam zaznacza, że narodowość potrzebuje wspólności prawa, a wspólności takiej bez udzielności nie mogłaby chyba osiągnąć. Zresztą, aby stworzyć odrębnego ducha ogarniającego wszystkie prawie sfery życia ludzkiego, aby ten duch wytrwał wśród prądów przeciwnych i zaznaczył swój pochód dziejowy własnymi tory, czyli krótko mówiąc, aby był posłannikiem cywilizacyi, potrzeba choć chwilowo związków ściślejszych, któreby naturalne podstawy, jak język, wiarę i t. p. spoiły tradycyą własnych instytucyj i praw. Bez tego sztuki nie mają bohaterów prawdziwych, literatura zostaje pozbawioną własnej treści i musi ją czerpać ze sfer obcych. Prócz tego niknie świadomość wspólnej przeszłości, niknie przekonanie, iż ta spójnia była pożyteczną dla ludzkości, a tem samem poszanowanie dla niej i duch poświęcenia.

Taki stan nie może natchnąć ufnością w przyszłość, najśmielszy umysł bowiem zawaha się wobec wyroku dziejów i będzie skłonnym do odstępstwa. Innym jest zupełnie rezultat w razie związków politycznych; nie będę go przedstawiał, lecz zwrócę uwagę szan. autora na niezmierną wytrwałość i poświęcenia, jakie się w tym razie objawiają. Wreszcie nie mogę sobie wyobrazić położenia, jakim sposobem, przy różności pochodzenia i różności wiary, które są możliwemi podług samego antora, wytworzy się narodowość, bez współdziałania udzielności państwowej? Takie kombinacye jednak zdarzały się najczęściej. Co wówczas złączy odmienne elementa i wytworzy nowe życie, którego siłę i pożytki sam autor tak pięknie nakreślił? Na to nie znajdujemy w jego pracy odpowiedzi.

Nareszcie przykład ze słowaków podany, nie mogę uważać za przekonywujący dowód. Może być, że skutkiem oświaty zaczyna się między nimi obudzać poczucie narodowe, utrwalane samorządem gminnym, ale są to słabe zaczątki; proces historyczny dopiero się

rozpoczął i wątpię czy podług samego autora możnaby ich zaliczyć do rzędu narodowości.

Wkońcu, przypominając cytowaną powyżej definicyę narodowości nadmieniam, iż za mały nacisk położony jest na proces historyczny, na wiarę religijną i wspólność instytucyi politycznych, czyli na to wszystko, co wyrabia historyczną samowiedzę, nadającą tajemniczą potęgę narodowości, a za wiele cenionemi są fizyczne podobieństwa.

§ 17 przedstawia rzecz o gminie. Ustępowi temu mam naprzód do zarzucenia to co i poprzedniemu, a mianowicie, iż nie rozdziela ściśle uwag należących do nauki o państwie, od tych, jakie winny być zamieszczonemi w prawie państwowem i polityce. Pomięszanie i tu się znajduje, choć wyznać wypada, iż w mniejszym stopniu, niż w poprzednim rozdziale.

Zresztą spotykamy dużo uwag trafnych i samo pojęcie gminy dobre. Autor nadmienia, „iż gmina jest organizacyą wspólności miejscowej, jak państwo jest organizacyą wspólnego życia ludowego. Cele takiego wspólnego uporządkowania życia na jakimś obszarze ziemi mogą być rozmaite i ważne. Dawniej różnice między wsią i miastem były znaczne, dziś się zacierają, lecz mimo to życie gminy wiejskiej jest więcej proste, zbliżone do przyrody, jednostajne — odpowiada mu zatem urządzenie demokratyczne. Życie miejskie zaś jest więcej różnorodne i skupione, interesy przemysłu, handlu i oświaty, większe mają pretensye do miasta. U ludności miejskiej większa jest rozmaitość co do wykształcenia, powołania, majątku. To wszystko wymaga więcej skomplikowanych urządzeń. Tej istotnej i naturalnej różnicy miasta i wsi nie powinno ustawodawstwo zacierać i przykładać równą miarę do Londynu i do małej wioski rybackiej; przeciwnego zdania Rembowski, Gmina str. 30“. Niewątpliwie, że pogląd szan. autora jest słusznym i że niedokładność wyrażenia w mojej pracy dała powód do mniemania, iż chciałem zupełnego zrównania. Rzeczywiście i dziś jestem tego zdania, że samorząd gminny zarówno na wsi jak i w mieście powinien się opierać na jednakich podstawach, czerpanych analogicznie z prawa państwowego t. j., że urzędy powinny być wybieralnemi i odpowiedzialnemi, że powinna być jawność działań a przedewszystkiem

jawność gospodarstwa publicznego, że wola obywateli gminnych lub ich reprezentantów winna być decydującą w kwestyach interesu lokalnego i t. p. i t. p.; to jednakże nie pociąga za sobą konieczności jednolitej organizacyi i zacierania różnic tak uwydatnionych przez naturę. Owszem, jestem zdania, że ustawa wyborcza nie może być jednakową na wsi i w mieście, choć na jednakich prawnych oprze się podstawach. Tak samo organizacya władzy wykonawczej musi być odmienną, bo liczniejszemi są zadania publiczne w mieście niż na wsi, jakkolwiek tu i tam stanowią interes miejscowy. Nie tylko więc zacieranie formalne różnic organizacyi jest niewłaściwem, lecz nawet czystem niepodobieństwem, i dlatego też wysiłki dotychczasowe w tym kierunku pozostały bezskutecznemi. Ostatniego jednak porównania szan. profesora nie mogę przyjąć za ścisłe, a mianowicie tego, że nie można jednej miary przykładać do Londynu i wioski rybackiej. Porównanie to idzie za daleko, gdyż nasuwa myśl, że Londyn, a idźmy dalej, Wiedeń, Paryż i t. p. to jest owe olbrzymy europejskiego, miejskiego życia — są gminami. Przeciw temu zastrzedz się muszę i tu nie służy za obronę powoływanie się na interes miejscowy, jako na podstawę życia gminnego.

Prof. Kasparek nie zwrócił uwagi na prawodawstwo obowiązujące, a przedewszystkiem na kartę municypalną miasta Londynu. Otóż Londyn nie tworzy bynajmniej jednej gminy i nie posiada jednolitej organizacyi gminnej, bo takowa nawet byłaby niemożliwą. Samo miasto (city) Londyn, które tworzy nie gminę lecz hrabstwo, liczy tylko 200.000 mieszkańców i jeśli jest w znaczeniu społecznem miastem, to w znaczeniu prawnem nie jest gminą, albowiem posiada atrybucye przysługujące wyższym organom samorządu t. j. departamentom, prowincyom i t. p. Reszta owej trzech-milionowej ludności Londynu, jest podzieloną na cztery hrabstwa i mnóstwo parafij, które to ostatnie są dopiero gminami w rzeczywistem tego słowa znaczeniu. W innych stolicach możeby autor napotkał więcej jednolitą organizacyę aniżeli w tej, którą jako przykład zacytował, lecz wszelkie dane jakieby mógł zebrać byłyby tylko złudnemi pozorami. Jakżeż można nazwać gminą to, co, jak słusznie zauważył Leroy-

Beaulieu [1]), przedstawia się jako całkowity naród, co zresztą ma nierównie więcej zadań publicznych do spełnienia aniżeli niejedna prowincya lub państewko i dlatego też potrzebuje obszerniejszego samorządu przysługującego wyższym organom administracyjnym. Czyż jest możliwem powoływać się tym razem na interes miejscowy? Czyż jest jakakolwiek społeczna łączność między jedną dzielnicą a drugą? i czy przy takiem zrozumieniu interesu miejscowego nie możnaby powiedzieć, że i państwo całe jest na nim wyłącznie oparte?

Z wyżej wymienionych względów, jestem zdania, iż porównanie przytoczone przez prof. Kasparka nie jest odpowiedniem, gdyż większe miasta, w znaczeniu prawa administracyjnego winny być uważanemi — nie za gminy lecz za organa wyższe administracyi, które należy podzielić na mniejsze części samodzielne, będące dopiero gminami.

Prócz tego pojęcie gminy administracyjnej podane przez szan. autora nasuwa pewne wątpliwości, którym chwilkę uwagi poświęcić wypadnie. I tym razem zachodzi sprzeczność zdań, między prof. Kasparkiem a mną (O gminie str. 23); lecz jakkolwiek określenie moje nie jest zadawalniające i zarzuty prof. Kasparka uznaję za słuszne, to jednakże rozwiązanie trudności nie zostało dokonanem przez wytworzenie nowego poglądu, jaki znajdujemy u autora. W przeciwstawieniu gminy administracyjnej, gminie miejscowej czyli lokalnej miałem głównie na myśli przeszłość, a to w tem znaczeniu, iż dawniej gmina lokalna nawet publiczne zadania wypełniając na mocy specyalnych przywilejów, nadawała im charakter prywatny, czysto miejscowy. Interes gminy usuwał się ile możności i o ile mu dozwolono z pod opieki państwa, a organa gminne nie pomagały administracyi państwowej, uważając się wyłącznie za jedność odrębną lub miejsce, a nie za część całości czyli za organ całego systemu. Tej gminie przeciwstawiłem pojęcie gminy administracyjnej, która się uważa za części całości i jest organem administracyi państwowej. W definicyi powyższej jest jednak znaczna wada, polegająca w tem, iż nie objaśnia dzisiejszego położenia,

[1]) L'administration locale en France et en Angleterre str. 125.

albowiem i dziś istnieją pojęcia gminy administracyjnej i lokalnej. Jakaż więc między niemi różnica? Zarzut więc prof. Kasparka jest słusznym i wdzięczny mu jestem za udzielone spostrzeżenia. Charakterystykę jednak gminy administracyjnej, jaką autor podał w zamian, nie mogę uważać za wyczerpującą, i znajdują się w niej punkty równie słabe, budzące wątpliwość. Najpierw łączy prof. Kasparek gminę zbiorową z gminą administracyjną i przeciwstawia ją gminie miejscowej w sposób następujący: „gminy miejscowe nie są dowolnym wytworem państwa, tylko historycznymi wytworami osiedlenia są ludności na ziemi. Są to pierwotne osady, kolonie. Otóż te gminy, które państwo powinno szanować i nie rozrywać sztucznie ani łączyć nienaturalnie, stanowią pierwsze naturalne ogniwa organizacyi gminnej. Obok gmin miejscowych, także wskutek stosunków historycznych, wytworzyły się większe związki kilku lub kilkunastu gmin (Gaue i t. p.), które znowu łączy wspólny interes miejscowy większego tego obszaru, jak np. wspólna obrona, urządzenie dróg i t. p. Otóż te okręgi terytoryalne większe, obejmujące więcej gmin, celem zaspokojenia wspólnych interesów miejscowych, nazywamy gminami wyższego rzędu. Takiemi są w Austryi, powiaty i prowincye“.

Oto jest pierwsza cecha gminy administracyjnej, podana przez prof. Kasparka. Zatrzymajmy się chwilkę, aby zauważyć, iż jest pewnego rodzaju niedokładność w powyższem przedstawieniu; albowiem jeśli gmina administracyjna, podług prof. Kasparka, jest także wytworem historycznym, a więc także nie możnaby jej dowolnie zmieniać. Następnie zaś stopniowanie na gminy niższego i wyższego rodzaju, oparte na mniejszym lub większym interesie miejscowym a przedewszystkiem identyfikowanie powiatów i prowincyj z gminami, jest niezadawalniającem i nieścisłem, gdyż idąc tą drogą można powiedzieć że i państwo opiera się na interesie miejscowym szerszym, a zatem jest gminą najwyższego rzędu.

Przejdźmy do drugiej cechy, którą o ile możności w streszczeniu podamy. — „Zwykle obejmuje gmina tak niższego jak i wyższego rzędu, ogół wszystkich celów wypływających z interesów miejscowych; istnieją także takie, które ograniczają się tylko do spełnienia pewnych celów (nie wszystkich). Takie tylko połączenie

do celów szczegółowych, gdzie już po części znika konieczne u gminy miejscowej ograniczenie miejscowe i związek terytoryalny, nazywamy gminami administracyjnemi, związkami, gminami zbiorowemi".

Ta druga cecha w połączeniu z pierwszą zaciemnia pojęcie gminy administracyjnej jeszcze bardziej. Gdy poprzednio występuje gmina administracyjna jako wytwór historyczny, tu znika powyższy jej przymiot i nie zna żadnych ograniczeń miejscowych. Gdy w pierwszym razie każda gmina zbiorowa była gminą administracyjną, w drugim wypadku tylko pewna kategorya kwalifikuje się do tej nazwy, a mianowicie połączenie do celów szczegółowych (nie wszystkich). Trzeba więc jeszcze trzeciego pojęcia dla zbiorowych gmin, obejmujących wszystkie cele miejscowe. Prócz tego, podług prof. Kasparka, gmina administracyjna winna być połączeniem kilku gmin dla celów szczegółowych, gdy tymczasem rzeczywistość temu nie raz zaprzeczy; tak np. parafia w Królestwie Polskiem jest właśnie zjednoczeniem dla celów szczegółowych, a bynajmniej nie jest systematycznem połączeniem kilku gmin. Wobec tak różnorodnych określeń trudno rzeczywiście przyjść do jasnego pojęcia i zdać sobie sprawę z położenia rzeczy, lecz zarzut ten nie stosuje się wyłącznie do prof. Kasparka: jest on i moim udziałem a przedewszystkiem należy się Steinowi, bardzo zresztą dla nauki administracyi zasłużonemu pisarzowi albowiem ciągle w nowych edycyach pojęcia gminy administracyjnej i miejscowej zmieniał.

Spróbujmy jeszcze raz dojść do jakiegokolwiek rezultatu w określeniu różnic między gminami, administracyjną i miejscową. Naprzód nadmienić wypada, że pojęcia te z dawnych czasów, kiedy oznaczały co innego, przeniesiono do dzisiejszych, gdzie mają wyobrażać treść odmienną; stąd te częste pomięszania oraz trudności w odróżnieniu. Przedewszystkiem też zastanowić się wypada nad pytaniem, czy jest jaka zasadnicza różnica między gminą administracyjną a miejscową, czy opierają się na odmiennych podstawach, czy istnieją organy administracyi państwowej zwane lokalnymi i administracyjnymi, czy piszą się odmienne ustawy dla gmin lokalnych i administracyjnych, czy jest zatem jaka odmienność w po-

jęciu prawnem. Na to pytanie jest jedna podług mnie odpowiedź — niema rożnicy.

Pojęcie samorządu gminnego dzisiaj jest jednolitem; pojęcie prawne gminy jako organu administracyi państwowej, który spełnia zadania publiczne związane ściśle z interesem miejscowym jest również jedno. Zatem różnica cała może być tylko odmiennością organizacyi władz, które odpowiednio do potrzeb kraju zdolne są przybierać odmienne formy. I tak np. gdy w jednych państwach dobrem jest zachowywanie jednego obrębu terytoryalnego dla wszystkich zadań gminnych i złączenie wszystkich władz w jednem centrze, w innych krajach jest pożyteczniejszą większa swoboda w zmianach obrębu terytoryalnego i tworzeniu samoistnych władz gminnych dla jednego zadania. W pierwszym i drugim razie wszystkie funkcye samorządu muszą być wypełnione przy współudziale miejscowej ludności i w sposób przez ustawę przewidziany, tylko że uorganizowanie władz jest odmienne. W pierwszym wypadku, organizacya jest jednolitą: obejmuje wszystkie zadania miejscowe, w jednym obrębie terytoryalnym i jednej władzy gminnej — wtedy ją nazywamy gminą miejcową. W drugim wypadku dla każdego zadania tworzy inny obręb terytoryalny i inną władzę — wtedy ją nazywamy gminą administracyjną.

Jest to więc tylko kwestyą systemu organizacyi władz w zastosowaniu do potrzeb pewnego kraju, ale obu tym systemom jedno i to samo pojęcie prawne służy za podstawę. Jeden z tych systemów (gmina administracyjna) wykształcił się przeważnie w Anglii [1]) drugi (gmina miejscowa) na stałym lądzie. Rozkład ludności o ile się zdaje, głównie na to wpływał. Wczesne wyswobodzenie ludności wiejskiej w Anglii, pociągnęło za sobą swobodę jej ruchu. Zwarte wioski zamieniły się tym sposobem w osady pojedyncze ulegające częstszym zmianom terytoryalnym. Stąd też rozmaitość obrębów i większa swoboda w zmienianiu ich pojawiły się w Anglii oddawna w zastosowaniu do samorządu gminnego, gdy tymczasem na stałym lądzie dopiero przyjmować się zaczyna, gdyż swobodniejszy ruch

[1]) I na stałym lądzie spotkać się można gdzieniegdzie z gminami administracyjnemi. Patrz Stûve: „Wesen und Verfassung der Landgemeinde“.

ludności niedawno się rozpoczął i nie zniósł jeszcze w tym stopniu zwartej wioskowej organizacyi.

Na tem uwagi moje kończę, przechodząc w następstwie do rozdziału o społeczeństwie, który jest kompletnym traktatem zawierającym 56 stronnic. Przedewszystkiem przypomnieć winienem, iż podług prof. Kasparka, nauka o społeczeństwie jest raz, tylko pomocnicą nauk państwowych, drugi raz jest nauką państwową, trzeci raz nie jest samodzielną nauką lecz mieści się lub raczej niknie w nauce prawa prywatnego i publicznego. Sądzić więc należało, iż wątpliwości, jakie tak różnorodne twierdzenia nasuwają będą na początku tego traktatu rozwiązanemi i że czytelnik dowie się nareszcie czem jest owa nauka o społeczeństwie; z jakiej zasady należy do nauk państwowych i dlaczego istnieje w nauce o państwie cały traktat jej poświęcony, gdy np. w Bluntschlego obszernym podręczniku cała kwestya wyczerpuje się na trzech stronnicach. Otóż wątpliwości te nie są po większej części przez prof. Kasparka usuniętemi. Wprawdzie znajdujemy definicyę społeczeństwa; ale mimo to nie wiemy stanowczo, czy zaliczyć naukę o temże społeczeństwie do nauk państwowych czy tylko pomocniczych. Obszerny traktat tej nauce poświęcony każe się domyślać, iż jest państwową, w przeciwnym razie bowiem i inne nauki pomocnicze byłyby równie drobiazgowo uwzględnionemi, czego w dziele prof. Kasparka nie znajdujemy. Z określenia zaś społeczeństwa widzimy, że treść nauki o niem nie nadaje się dla nauk państwowych i stanowi zupełnie odrębną sferę badania. Tak więc i nadal czytelnik nie znajdzie rozwiązania kwestyj, które na samem czele winny być rozjaśnionemi.

W traktowaniu samej nauki o społeczeństwie, prof. Kasparek szedł przeważnie śladami R. Mohla; lecz jeśli z tego nie robimy bynajmniej zarzutu autorowi, to jednakże zwrócić musimy uwagę na to, że brak jest w całym ustępie treściwości, ścisłego następstwa myśli i ograniczenia się na przedmiocie należącym do traktowanej nauki.

Na samym początku przedstawia nam autor obraz, w jaki sposób wytwarza się społeczeństwo. Streścimy tu ważniejsze myśli i przytoczymy definicyę społeczeństwa. Otóż między ludźmi „różne wspólne powstają stosunki i z tego powodu wytwarzają się trwałe

grupy mieszkańców, łączących się z sobą i oddzielających się od innych warstw ludności. Osią tych stosunków jest najpierw ważny i trwały interes, który nasuwa wszystkim udział biorącym i uczestniczącym w tymże interesie, wspólny cel dla woli i czynności, wytwarza tym sposobom wspólny obyczaj, podobny pogląd na życie, wspólne instytucye, wreszcie mniej lub więcej udoskonaloną organizacyą. Otóż te, należeniem do pewnego wielkiego i trwałego interesu, wywołane stosunki, nazywają się społecznemi, a ich ogół w pewnym kraju stanowi społeczeństwo. Nauka o tych stosunkach nazywa się nauką o społeczeństwie, a ogół tych nauk stanowi nauki społeczne".

Dotąd następstwo myśli było bardzo uzasadnione; lecz zaraz potem spotykamy się z nieustannem pomięszaniem historyi społeczeństwa z poglądami sprzecznemi na toż społeczeństwo, tak, iż uwaga czytelnika nieustannie się rozprasza. I tak np. na str. 437 poruszona jest w tekscie, nie w odsyłaczu, kwestya terminologii, potem idą poglądy Arystotelesa i Platona — kilka wierszy potem, znajdujemy się już obok Rousseau oraz komunistów i socyalistów, potem kończy się historya poglądów a rozpoczyna historya samego społeczeństwa, bo porządek rodowy, stanowy i obywatelstwa politycznego [1]). Kończąc jednak uwagi swe o porządkach społecznych, prof. Kasparek powraca do historyi poglądów i przedstawia zdania Gneista, Oczapowskiego, Stahla, Herbarta, Treitschkego Bluntschlego i t. p. i t. p. Następnie wraca do pojęcia społeczeństwa, które na początku było ustalonem, i przedstawia je bardzo rozwlekle; potem znów idzie zarys historyi społeczeństwa i t. d. i t. d. Nie będę dłużej wykazywał systemu, jaki autor przyjął w traktowaniu nauki o społeczeństwie, z tego bowiem co przytoczonem zostało, widnieje znaczna wadliwość, przynosząca ujmę podręcznikowi naukowemu.

W następstwie przejdę do niektórych poglądów autora, które nie wydają się dość uzasadnionemi, lub też wymagają ściślejszego określenia. Przedewszystkiem wypada mi uczynić zarzut ogólny, iż prof. Kasparek nie rozróżnił ściśle i zasadniczo prawnego zakresu od społecznego, co odbiło się niekorzystnie na całym traktacie. Dzieje

[1]) Geschlechter-Ordnung, Staende-Ordnung i Staatsbuergerliche-Ordnung.

stanów społecznych, powiada autor, ściśle są połączone z dziejami politycznemi narodu. Świadomość ścisłej spójni jest zatem u prof. Kasparka, ale nauka winna właśnie rozdzielić umiejętnie te sfery dla lepszego poznania, a tego w pracy powyższej nie znajdujemy.

Jakże też wytłómaczy sobie czytelnik takie wątpliwości, gdy np. zobaczy stany, kasty w historycznym rozwoju, przedstawione u Bluntschlego jako organizacyę prawną, a u prof. Kasparka jako organizacyę czysto społeczną. Co mu posłuży za kryteryum rozstrzygnięcia, do którego zdania ma się przyłączyć?

Kasty, a przedewszystkiem stany, tak jak je prof. Kasparek przedstawił, są przeważnie organizacyą prawną, która się odbiła zarówno w sferze prawa publicznego jak i prywatnego. Społeczeństwo ze swymi interesami, potrzebami, dzieląc się na pewne warstwy, bez wątpienia, wpływało na urabianie się norm prawnych, ale normy te raz urobione, należą do innej nauki, a nie do nauki o społeczeństwie. Tak samo wyznać muszę, że inaczej rozumiałem podział Steina na trzy porządki społeczne, jak prof. Kasparek. Niewątpliwie Stein miał na myśli ten fakt, że potrzeby społeczne wywołały te trzy porządki i że one początek wzięły w sferze interesów czysto socyalnych; lecz w czemże się objawiły, jeśli nie w odrębnem prawie cywilnem, karnem, administracyjnem, państwowem i t. p., czyli w odmiennej organizacyi prawnej. Do nauki o społeczeństwie, może zatem należeć wykazanie, że istniały interesa odrębne społeczne, wywołujące potrzebę organizacyi stanowej, kastowej i t. p. ale historya tych organizacyj wkracza w dziedzinę prawa i jest prawem od początku do końca.

Weźmy sposobem przykładu mieszczaństwo i spróbujmy rozdzielić je między te dwie nauki. Otóż historya wytwarzania się interesów handlowo-przemysłowych, ich niezbędność dla rozwoju kultury i cywilizacyi, oraz konieczność wytworzenia się stanu opartego na tych interesach w danej epoce, należy do nauki o społeczeństwie.

Lecz jeżeli mówić będziemy o stanie mieszczańskim, to mówimy tylko o organizacyi prawnej, wywołanej odrębnym interesem społecznym. Stan mieszczański — to przywileje, to statuta miejskie;

inaczej mówiąc, to stanowisko mieszczan w gminie, państwie, ich prawa prywatne, karne, administracyjne i t. d. Rozdziału powyższego, który mi się wydawał koniecznym, nie spotykamy jednak w pracy prof. Kasparka i dlatego też dostało się do niej dużo rzeczy zbytecznych.

Prócz tego ogólnego zarzutu, nie mogę pominąć jeszcze kilku szczegółów; i tak na str. 442, autor twierdzi, iż najsilniej występuje zamknięcie i ścisłe oddzielenie się klas społecznych w porządku kast — tu więc widnieje myśl, iż na wytwarzanie się organizacyi kast, wpływały głównie interesa społeczne, i że klasy społeczne zamykały się w odrębnych kastach. Na następnej stronicy jednak spotykamy się z odmiennem zdaniem, albowiem prof. Kasparek utrzymuje: że „nowsi historycy wykazali, że kasty indyjskie powstały wskutek walk i wydarzeń historycznych, zdaje się wtedy, gdy ludność aryjska podbiła rodzimą i zepchnęła ją do rzędu niewolników — później dopiero przybrały cechę niezmienności, i otoczone zostały uświęceniem religijnem“. Dwa te zdania są do pewnego stopnia w sprzeczności. Jeśli bowiem kasty powstały skutkiem walk odmiennych ras ludzkich, to oddzielały się do siebie powodowane naturalnemi różnicami, a nie interesami społecznemi. Tak samo nie uważałbym wraz z prof. Kasparkiem zdania Bluntschlego za słuszne, w którem dowodzi, iż porządek kastowy nie jest urządzeniem państwa, lecz ogólnym, wszystkie stosunki przenikającym, odwiecznym porządkiem światowym.

Tak często cytowane przez autora dzieło Laurent[1]) dowodzi najlepiej, iż w praktyce owa odwieczna nieruchomość kast nieco odmienniej się przedstawiała i dozwala przypuszczać, że były one jednym z pierwotnych ustrojów politycznych.

Dużo uwag o szlachcie jest zbytecznych; a przedewszystkiem zastanawianie się nad sposobami odnowienia znaczenia szlachty, nie należy do nauki o społeczeństwie lecz do polityki. Mówiąc o miastach autor wspomina iż powstały w nich luźne związki (gildonia, conjuratio, fraternitas), które miały charakter demokratyczny, a nie wspomina bynajmniej o tem, jakie interesa czysto społecznej natury

[1]) Histoire de Droit des gens.

wywołały owe związki — co właśnie należy do nauki o społeczeństwie. Na str. 454 spotykamy się znowu ze sprzecznościami, i tak czytamy naprzód: „charakterystyczne cechy stanu mieszczańskiego średniowiecznego były a) nie stanowił on stanu uprzywilejowanego, jak kler i szlachta“; na tejże samej stronicy jednak znaleźć można zdanie: „mieszczaństwo uzyskało jednak w średnich wiekach takie stanowisko i znaczenie polityczne które łączyło obywateli różnych miast państwa w jedną korporacyę stanową; potem inne zdanie: „wobec osłabionej władzy politycznej, miasta średniowieczne cieszyły się wielkim stopniem samoistności i niepodległości“. Nadmienić również muszę, że historya miast i włościan, mimo że dużo zabiera miejsca, jest pobieżnie tylko i niewystarczająco przedstawioną. Uwagi o prawie magdeburskiem w Polsce są za obszerne, a zdanie końcowe, iż dopiero po zrównaniu różnicy stanów przez monarchię absolutną, mogła rewolucya francuska proklamować zasadę równości wszystkich w obliczu prawa — uważam za nieścisłe. Monarchia absolutna we Francyi przedrewolucyjnej nie zrównała bynajmniej stanów, tylko je usunęła od udziału w sprawach państwowych, czyniąc je tym sposobem bardziej znienawidzonemi i nieznośnemi dla uciemiężonego ludu. Organizacya ta stała się skutkiem tego instytucyą czysto prywatną, której pożytku dla dobra publicznego nikt zrozumieć nie mógł [1]), ale mimo to istniała. — Ostatni ustęp o społeczeństwie, zatytułowany: „dzisiejszy stan społeczeństwa i klasy społeczne“ zawiera kilka trafnych spostrzeżeń, lecz także mieści wiele zbytecznych uwag. Tak np. opowiadanie o stanie trzecim i wystąpieniu Sièys'a należało już w poprzednim rozdziale pomieścić. Zdania zaś tego rodzaju, jak np. że Napoleon III, polegając na oklaskach tłumów, gnębił stan trzeci, sam zaś przez te same masy po przegranej, został pozbawiony tronu, wymagają sprawdzenia. Tego rodzaju spostrzeżenia zaś jak np. „że każdego uderza różnica między wesołym i hałaśliwym Wiedniem lub Paryżem a ponurym Berlinem, między Krakowem więcej w sobie zamkniętym i przypominającym kobietę piękną, która jest zgryźliwą z powodu, że czas zabójczy niszczyć poczyna jej wdzięki, a swobodną i wesołą War-

[1]) Toqueville „L'ancien regime et la Revolution, wyd. 1856, str. 66.

szawą“, lub „że koteryjność szczególnie np. w niektórych miejscach kąpielowych w Galicyi działa zabójczo na ducha towarzyskiego“ winny być zupełnie usuniętemi.

W krótkim rozdziale p. t.: „społeczeństwo i państwo“ autor wykazuje, że państwo pozostawać musi wprawdzie w związku ze stanem istniejącym społeczeństwa, charakter jego zmienia się istotnie według stanu społecznego ludzi, lecz ponieważ niema żadnych interesów społecznych i stoi ponad walką społeczeństwa, może w interesie powszechnym ująć w karby te sprzeczności. W tym celu państwo usuwać winno wszystkie przeszkody, które rozwojowi klas społecznych stoją na przeszkodzie, jak dawniejsi poddani, byli wyzyskiwani i przytłumiani przez inne.

Wreszcie państwo winno popierać dodatnie cele społeczne, o ile takowe mają znaczenie ogólne i siłami społeczeństwa samego osiągnięte być nie mogą.

Uwagi, które zacytowałem, są słusznemi, lecz i w tym rozdziale nie zachował autor niezbędnej treściwości: cytaty i zdania wtrącane mięszają tok opowiadania tak, iż trzeba wyszukiwać co należy do przedmiotu.

Nareszcie zbliżamy się do ostatniego rozdziału należącego do nauki o państwie, a rozdział ten ciągnący się od stronicy 480—600, zastanawia się nad samem państwem. Przedewszystkiem uczynić muszę zarzut, który prawie wszędzie powtarzałem, a mianowicie, że w całym traktacie znajduje się mnóstwo spostrzeżeń należących do polityki a nie do nauki o państwie. Przytem i tym razem mięsza autor ciągle materyał historyczny z dogmatycznym wykładem, co utrudnia czytelnikowi objęcie całości przedmiotu, zwłaszcza iż rozwlekłość nużąca i tu czuć się daje.

Na początku rozdziału czytamy, że „jest rzeczą niezbędną ażeby dla każdej części ludzkości, na pewnem terytoryum wspólnie z sobą żyjącej istniał jednolity silnie uposażony organizm, któryby obejmował wszystkie pojedyncze kółka życia ludzkiego. Taką organizacyą jest państwo. Ono jest jedynie środkiem dopięcia ludzkich celów“ i t. d. Jakkolwiek autor dużo w tem miejscu mówi o państwie, jednak zastrzega się w odsyłaczu, aby tych zdań nie uważać za określenie pojęcia państwa, gdyż takowe nastąpi później, i za-

miast definicyi, którą bezwarunkowo w tym punkcie wypadało nam poznać, daje rozdział nowy p. t.: „Połączenie państw — państwo światowe“. Nie wiedząc zatem co to jest państwo, ma czytelnik zrozumieć jedną z najbardziej skomplikowanych kwestyj w naukach państwowych, to jest kwestyę państwa związkowego i związków państw. Przytem, wiedząc z poprzedniego rozdziału, że państwo jest jedynym środkiem dopięcia ludzkich celów, w następnym (str. 484) czytelnik dowiaduje się, że „ostateczny cel rozumnego ukształcenia ludzkiego życia nie jest jeszcze osiągniętym przez założenie (?) i urządzenie państwa pojedynczego“. Gdy w innem miejscu (str. 485) organizacya wspólna państw, i wszystkich narodów jest ideałem całego bytu ludzkiego, który rozumowo uznać należy, choć urzeczywistnienie jego leży w odległej przyszłości; to znowu w drugim ustępie autor traci zupełnie wiarę w to, aby ideał ten mógł się kiedykolwiek urzeczywistnić, gdyż mówiąc o współistnieniu kilku państw, wyraża przekonanie, iż taki stan istniał zawsze i może zawsze pozostanie.

Zresztą uważając państwo światowe za postulat przyszłości, właściwiej byłoby uwagi o niem pozostawić dla polityki, a zająć się jedynie objawami tegoż państwa w historyi. Lecz i tu musimy uczynić zarzut autorowi, że skreślenie powyższych objawów pomięszał z pracami naukowemi, jakie literatura polityczna posiada. Przeczytawszy ustępy opisujące, jak Aleksander Wielki chciał zostać rex terrarum omnium ac mundi, jak Napoleon I uległ świętemu gniewowi narodów i t. d. cofamy się znowu do dwóch marzeń Henryka IV, do dzieł Bernardin'a, Saint Pierra, J. J. Rousseau, G. Benthama, Anacharsisa Clotz, Emanuela Kanta, Lamennais, Krausego i t. d. jednem słowem występuje cała literatura powyższego przedmiotu w drobiazgowy sposób przedstawiona.

Paragraf p. t.: „Droga właściwa do uzyskania pojęcia państwa“ jest zupełnie zbytecznym i kwalifikuje się do kompletnego usunięcia. Uwagi tego rodzaju, jak np. „przedewszystkiem błędną drogą poszli ci, którzy szukali pojęcia państwa li tylko na drodze konstrukcyi filozoficznej a priori“ lub — „co nawet najpłodniejszy filozof wysnuć może z głowy, to znowu będzie drobną i nędzną łataniną wobec obfitości i bogactwa myśli wyjawiających się w dziejach

ludzkości“ — nie mają żadnego celu, gdyż autor napisał obszerny, nawet za obszerny traktat o metodach badania nauk państwowych i metoda tam uznana za odpowiednią i najlepszą, winna tem samem posłużyć nam do uzyskania dobrego pojęcia państwa.

W następnym paragrafie spotykamy się z najistotniejszemi cechami i pojęciem państwa. Następujące okoliczności muszą zachodzić, aby pewien organizm życia wspólnego nazwać było można państwem: 1) Pewna ilość ludzi (lud). 2) Obszar, ziemia (ojczyzna). 3) Organizacya, wspólność. 4) Władza państwowa. 5) Ustrój. 6) Cel państwa. 7) Państwo musi być urządzeniem. I podaje nam autor następującą, dawno oczekiwaną definicyę państwa. „Państwo jest trwałym, jednolitym organizmem, zespalającym lud na pewnym obszarze ziemi, stale osiadły, przez zbiorową władzę najwyższą w pewien sposób urządzoną i pod osłoną zbiorowej siły w tym celu, aby popierać każdoczesne dozwolone zadanie życia ludowego — począwszy od życia jednostki aż do życia społeczeństwa, o ile takowe wymagają zbiorowego poparcia, nie mogą być osiągnięte własnemi siłami interesowanych, przez to zaś stają się przedmiotem potrzeby ogólnej“.

Co do istotnych cech to pozwoliłbym sobie nadmienić, iż obszar czyli ziemia może niezbyt słusznie jest identyfikowaną z pojęciem ojczyzny. Ten ostatni termin bowiem, oznacza więcej ziemię w połączeniu z ludem i wyobraża związek trwały, historycznie wyrobiony tych dwóch elementów. W oznaczeniu cech państwa spostrzegać się daje pewne przeciwieństwo. I tak, gdy raz państwo jest żywym organizmem, mającym pewien ustrój, pewną formę zewnętrzną, innym razem jest tylko pewnem urządzeniem, instytucyą. Nie jest to jasnem, zdaniem mojem, czem się ma instytucya czyli urządzenie różnić od ustroju, a powtóre, w objaśnieniu jakie autor podaje, trudno pojęcie organizmu z instytucyą pogodzić.

Wreszcie samo określenie państwa jest niezmiernie długie, dla użytku pedagogicznego zupełnie niepraktyczne i zawiera dużo omówień, których powtarzać nie było potrzeby, gdyż płynęły z istoty pojęcia organicznego. Tak np. zbytecznem jest powtarzać o jednolitym organizmie; dalej wzmianka o stale osiadłym ludzie jest zbyteczną, bo jeśli państwo zespala lud z ziemią, to tem samem lud

musi być stale osiadły. Tak samo ciągłe powtarzanie o zbiorowej władzy — pod osłoną zbiorowej siły — o ile potrzebują zbiorowego poparcia i t. d. jest zupełnie zbytecznem, bo płynie z samego pojęcia państwa jako organizmu. Wola jaką tenże organizm objawia, musi być wyobrażeniem woli całości, a siła, za pomocą której przeprowadza postanowienia swej woli, musi także wyobrażać siłę całego organizmu. Wreszcie wyrażenie, że państwo ma popierać każdoczesne dozwolone zadania życia ludowego, począwszy od życia jednostki aż do życia społeczeństwa — winno uledz znacznemu skróceniu. Naprzód wyraz „dozwolone zadania“ jest zupełnie zbyteczny, bo tak samo z pojęcia organicznego płynie, że państwo nie może dążyć do celów przeciwnych swej istocie a te tylko mogą być niedozwolonemi; wkońcu zaś objaśnienie, iż zadanie życia ludowego obejmuje życie jednostki i społeczeństwa — jest zupełnie zbytecznem i niepotrzebnie rozszerza i tak nader długą definicyą.

W paragrafie 23 p. t.: „Państwo jest organizmem i osobą zbiorową“ spotykamy kilka uwag trafnych, i pojęcie organizmu jest dość ściśle przeprowadzonem jednakże wymotywowanie w zasadzie słusznej myśli, iż państwo, będąc organizmem, posiada zarazem osobowość, jest dość słabem i traci na rozwlekłości. Przedstawia przytem i w tym ustępie, przeplatanie długiemi, często zbytecznemi cytatami, nuży tylko czytelnika i rozprasza jego uwagę. Wreszcie powtórnie prof. Kasparek objawia zdanie, że wymyślenie porównania organizmu ludzkiego z państwem należy się Bluntschlemu, gdy tymczasem na początku XVII wieku Januszowski wygłosił ten sam pogląd z całą drobiazgowością.

Następny paragraf p. t.: „Państwo ma zbiorową wolę i siłę“, uważam za zupełnie zbyteczny, gdyż treść jego wypływa z samego pojęcia organicznego państwa, zatem omawianie jej drobiazgowe jest niepotrzebnem.

Dalsze ustępy począwszy od § 25 a skończywszy na § 35 (str. 527—591) zajmują się celem państwa i na kilkudziesięciu stronicach przedstawiają to, co u Bluntschlego zabiera daleko mniejszy obszar, mimo iż podręcznik jego należy do najobszerniejszych. Nie będę tu czynił autorowi zarzutu z tego, iż nie wytłómaczył pokrótce dlaczego naukę o celach państwowych włączył do nauki o państwie,

a nie do polityki jak np. Holtzendorf; lecz w każdym razie nie mogę przemilczeć, iż systematyka jest bardzo słabą, a większa część uwag kwalifikuje się bezwarunkowo do polityki. Przytem rozwlekłość nużąca nieopuszcza i powyższych rozdziałów, będąc wierną towarzyszką w pracy prof. Kasparka od początku do końca. W artykułach powyższych, autor czerpał główne myśli z Bluntschlego, lecz rozszerzał jego poglądy cytatami z innych autorów. W środku rozdziału, znowu się spotykamy z materyałem historycznym w ustępach p. t.: „teorya prawna, teorya dobrobytu, teorya etyczna“; prócz tego, to poczytuję za największy błąd w tych rozdziałach, że znajduje się w nich pomięszanie treści, albowiem autor raz mówi o celu państwa i nie skończywszy swego przedmiotu, traktuje o działaniu państwa t. j. jakiemi sposobami winno dochodzić do wskazanego celu.

Przytem, czytając opis działalności państwa, jak się ona ogólnie przedstawia bez względu na ograniczenie miejsca i czasu, spotykamy się nieraz z tak nieujętemi w treści wyrażeniami, iż rzeczywiście użyteczność ich budzi poważne wątpliwości. Tak np. za podobne wyrażenie poczytuję na str. 556 podane określenie działalności państwowej — jest ono następujące: „Działanie państwa wszędzie będzie wskazane, gdzie wedle istoty świadczenia, wyłączne lub jednolite kierownictwo, z jednego punktu jest konieczne albo bardzo stosowne; równocześnie zaś oddanie kierownictwa innym mianowicie gospodarzom prywatnym jest niebezpiecznem, bo łatwo mogłoby powstać nadużycie władzy, monopol faktyczny lub prawny, a z drugiej strony kontrola państwa nie mogłaby usunąć te niebezpieczeństwa“. Także w paragrafie p. t.: „granice działalności państwa“ spotykamy uwagi nierównie odpowiedniejsze dla nauki polityki aniżeli dla nauki o państwie. Czy państwo winno krępować wyjawienie zdania, działalność sędziowską, wolność indywidualną? i t. d. są to pytania, które z pożytkiem, nie ograniczając się na ogólnikach, może tylko nauka polityki rozwiązać. Znajdują się także ustępy nie należące zupełnie do nauk państwowych, jak np. na str. 577: „Czy słuchając requiem Mozarta lub operę Moniuszki, zachwycając się obrazami Grottgera — myślimy o tem, że te dzieła

nie dopisały może celowi artysty, że nędza im częstokroć doskwierała“ i t. d. i t. d.

W rozdziale p. t.: „Sposób działania państwa — państwo jako urządzenie“ razi nas przedewszystkiem termin „państwo — urządzenie“ stojący w sprzeczności z pojęciem organicznem, które sam autor podziela, i każący się domyślać konstrukcyi mechanicznej zależnej od ludzkiego kaprysu. Ustępy o tem traktujące jak ma być represya, lub prewencya państwowa urządzoną, należą do polityki administracyjnej i na tem miejscu są zupełnie zbytecznemi. Wreszcie na str. 583 spotykamy ustęp dający nam cokolwiek odmienne pojęcie państwa aniżeli to dotąd miało miejsce. Czytamy bowiem: „państwo nie jest atomistyczne, tylko wytwarzając silne instytucye, które jak kolumny je wspierają i podtrzymują, samo staje się tym sposobem instytucyą dla życia i rozwoju ludzkiego niezbędnie potrzebną. Ażeby to lepiej zrozumieć, musimy sobie należycie wytłómaczyć pojęcie i znaczenie instytucyi. Tu następuje obszerne objaśnienie wyrazu „urządzenie, instytucya“, wzięte z Liebera. Otóż winienem nadmienić, iż ten pogląd musi wreszcie zachwiać przekonania nawet wytrawnego czytelnika. Przedtem autor tyle miejsca poświęcił, aby przekonać studyujących, że państwo jest organizmem, teraz zaś na innem miejscu pokazuje się, iż to pojęcie jest niewystarczającem, że oprócz tego iż państwo jest organizmem jest jeszcze instytucyą. W jakim stosunku do siebie zostają, że dwa pojęcia, jak się uzupełniają, o tem niema wzmianki. Przytem nadmienić winienem, iż wyciąg z Liebera jest tak chaotycznym, że tak jest przepełniony kazuistyką i przykładami wątpliwej ścisłości, iż trudno sobie zdać sprawę, z tego co jest ową instytucyą w porównaniu z urzędem.

Oto są cechy, które mają oznaczać instytucyą: 1) żywotna całość ustaw lub zwyczajów, 2) która ma wpływ rozległy lub skutki donośne, 3) działa w sferze ściśle określonej, 4) ma w wysokim stopniu trwanie niezawisłe, 5) ma własną samoistną działalność, częstokroć samorząd, 6) ma własnych urzędników lub członków. Jako przykłady, autor przytoczył — bank, parlament, trybunał sądowy, stan adwokacki, kościół, poczta, państwo, uniwersytet, obrzędy religijne, inkwizycye, księgi gruntowe, niedziela, system lenny, kasty

indyjskie, stany, weksel, francuska akademia, areopag, koleje, gry olimpijskie, towarzystwa asekuracyjne, janczary, prawo pospolite angielskie, biskupowie, trybuni, korona, niemiecki handel księgarski, cech złotników w Londynie, nasze izby reprezentacyjne, urząd sędziego, związek państw, patent, prawo nakładowe, domy obłąkanych, towarzystwo wschodnio-indyjskie.

Prawdopodobnie pierwszy raz państwo i związek państw ujrzały się zestawionemi z domem obłąkanych; lecz pomijając już kwestyę czy im to porównanie wyjdzie na korzyść, pozwalam sobie jeszcze raz nadmienić, iż powyższe pojęcie i powyższe przykłady nie dają żadnego punktu oparcia i niweczą w zupełności pogląd organiczny. Przecież jeśli państwo jest organizmem, to musi mieć funkcye stałe organiczne, wypływające z jego istoty; a te funkcye muszą mieć stałą organizacyę ubraną w formy prawne. Organizacya znowu potrzebuje organów nazywanych zwykle urzędami, a które wykonywa indywiduum. Można więc przeprowadzić konsekwentnie pojęcie organiczne i objaśnić wszystkie wątpliwości, bez zapożyczenia terminu instytucya aż z innej części świata [1]). Przytem pod względem pedagogicznym ileż traci dzieło prof. Kasparka, rozpraszając kwestye, które winny być w bezpośrednim następstwie traktowane.

W paragrafie 35 spotykamy się z błędnemi określeniami pojęcia państwa w niektórych względach. Zamiast, dając definicyę państwa, przedstawić błędne lub jednostronne pojęcia, autor kazał nam na nie długo czekać i znowu powiadamia czytelnika o umownem państwie Rousseau i Kanta, o społeczeństwie cywilnem Schlötzera i t. d. a na stronicy 660 spotykamy się jeszcze ze sprzecznością; i tak bowiem: raz autor twierdzi, że wyraz ojczyzna maluje miłość i przywiązanie obywatela do państwa jako wielkiego ciała, któremu poświęcić się jest najwyższym zaszczytem dla męża, w dopisku zaś czytamy: „wyrazu ojczyzna nie można użyć na oznaczenie państwa, gdyż istnieć może ojczyzna bez państwa“. Rzeczywiście zdanie ostatnie jest słusznem i nawet prawo państwowe zna podobne wypadki [2]); lecz z tego wynika, że autor nie zdecydował się stanowczo

[1]) Lieber był amerykaninem.

[2]) Najważniejsze prawa tyczące się W. Ks. Poznańskiego, wydał St. hr. Skórzewski str. 23.

na to co ma oznaczać wyraz, który rozbiera; albowiem już poprzednio uważał, że obszar stanowi ojczyznę, teraz zaś znowu ma być ona państwem. Ostatecznie też nie można odgadnąć myśli autora i rzecz zostaje nierozstrzygniętą

W dopisku są znowu cytowane rymy, które i Bluntschli przytacza w swym podręczniku. Należą one do Eurypidesa i Schillera. Jestem zdania, iż jeśli w monografii tego rodzaju ozdoby mogą uchodzić, to nigdy w podręczniku uniwersyteckim. Jeśli zaś odnośnie do tego przedmiotu prof. Kasparek chciał przytaczać wiersze to nie potrzebował się uciekać do podręcznika Bluntschlego. W rodzimej literaturze byłby znalazł równie piękne kwiaty uczuć ludzkich. Przypominam tylko Krasickiego i koniec ustępu poświęconego temu samemu przedmiotowi. „Byle cię tylko można kochać — wspierać. Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać".

Ostatnim dwom paragrafom p. t.: „Historyczny rozwój idei państwowej w praktyce i w teoryi" oraz „Prądy najnowsze" krótką tylko poświęcę uwagę, gdyż zajmują się historyą nauk państwowych i wynoszą 398 stronnic; chcąc je więc rozebrać specyalnie, trzebaby samemu zamiast krytyki napisać kompletny traktat.

Nadmienię tylko, iż w przedstawieniu materyału historycznego prof. Kasparek niejednokrotnie powtarza to, o czem już poprzednio wzmiankował, i że nie rozdzielił należycie idei państwowej, jaka się rozwinęła w nauce, stąd pewne pomięszanie pojęć panuje w dwóch ostatnich paragrafach, co przy tak znacznej rozwlekłości jeszcze bardziej razi. Zwłaszcza ostatni rozdział pod względem naukowym i pedagogicznym jest bardzo wadliwym. Pod względem naukowym, dlatego, — iż dużo wiadomości o dziełach krytykowanych jest branych tylko z drugiej ręki, zatem nie dają należytej pewności. Pod względem pedagogicznym zaś, dlatego, iż sposób traktowania materyału historycznego jest bardzo nieodpowiednim, a to z powodów następujących: naprzód niema dokładnie zaznaczonych ważniejszych kierunków naukach państwowych XIX wieku i kierunki te nie są ogólnie scharakteryzowane tak, aby mogły służyć za kryteryum przy przedstawieniu pojedynczych prac. Powtóre, bez ogólnej charakterystyki, podając tylko dzieła, za dziełami i do każdego z nich dołączając uwagi krytyczne, prof. Kasparek stworzył historyę literatury

niemożliwą do użytku uniwersyteckiego. Z podobnego labiryntu uformowanego z dzieł, cytat, krytycznych uwag i wykazywań subtelnych różnic, umysł rozpoczynający się uczyć nie wyjdzie pomimo najenergiczniejszych wytężeń pamięci. Nawet w dziełach tak specyalnych jak Janet'a [1]), nie przeznaczonych na podręcznik dla uniwersyteckiej młodzieży, spotykamy się z ogólną charakterystyką każdej szkoły, co nam pozwala oryentować się wobec tylu sprzecznych poglądów, a prof. Kasparek nie trzymał się tej, zdaniem mojem, jedynej drogi. Mniej szczegółów a więcej cech wspólnych i podobieństw należało wykazać w historyi, tem bowiem rozpoczynającemu naukę ułatwia się jej zrozumienie i objęcie.

Na tem kończę szczegółowy przegląd dzieła prof. Kasparka. W uzupełnieniu podam tylko kilka uwag ogólnych dlatego, aby po całych szeregach zarzutów przyjść nareszcie do stanowczego zdania o pracy krytykowanej, czyli inaczej mówiąc, aby uczynić bilans stron dodatnich i ujemnych.

Niewątpliwie, podejmując tego rodzaju pracę jak podręcznik naukowy, prof. Kasparek miał do spełnienia bardzo trudne zadanie. Dokładne i wszechstronne studya, logiczny i systematyczny umysł, wreszcie dar jasnego przedstawienia przedmiotu są w książce przeznaczonej dla celów pedagogicznych, nierównie więcej potrzebnemi, aniżeli w pracach wyłącznie naukowych.

Biorąc dzieło prof. Kasparka do ręki, można było z góry przewidzieć, iż nie zdoła w zupełności odpowiedzieć swemu zadaniu, a to z tego powodu, iż autor, mimo niezwyklej pracowitości i sumienności, nie miał czasu zawładnąć całym przedmiotem i nie wszędzie zdołał dojść do pożądanej samodzielności poglądu. Zdaje się iż prof. Kasparkowi do dziesiątka lat studyów nad naukami państwowemi jeszcze dość czasu niedostaje, gdy tymczasem podręcznik Zoepfla, Bluntschlego są owocem kilkodziesięcioletniej pracy, a pierwsze ich wydania były także wadliwemi i wypadało je uzupełnić.

W tym razie więc trzeba uwzględnić trudności znakomite, jakie miał autor do zwalczenia i nie kłaść na karb jego winy, że nie

[1]) Histoire de la science politique.

wszędzie zdołał stworzyć nowe poglądy, lecz że w wielu razach musiał iść utartymi szlakami. Prócz tego jednak wypada nadmienić że w dziele powyższem znajdują się inne wady, których powtórzenia autor w następnych częściach może łatwo uniknąć, a to z wielką korzyścią dla pedagogicznego pożytku. Temi wadami są: niezwykła rozwlekłość w przedstawieniu, brak ścisłej systematyki, nieustanne powtarzanie się, a nawet częste sprzeczności. Definicye znajdujące się w tej pracy, grzeszą niezwykłą długością i są zbyt opisowe. Wreszcie przepełnienie cytatami bezpośrednio po sobie idącemi, odrywa umysł od przedmiotu i zatraca w nim zmysł krytyczny. Język jakkolwiek obrazowy, nie jest jednak wszędzie poprawnym.

Z drugiej strony, nie brak również stron dodatnich w pracy prof. Kasparka. Za najważniejszy przymiot jednak poczytywałbym brak tendencyjności i zamiłowanie prawdy, jakie się wszędzie objawia. Jest to, dziś zwłaszcza, cenna i nie bardzo powszednia ozdoba pisarza — którą też tem bardziej uznać należy. W odpowiednich miejscach zaznaczałem już trafniejsze myśli — tutaj jeszcze raz przypomnieć winienem niezwykłą pracowitość, która przy zamiłowaniu prawdy, dozwala od prof. Kasparka oczekiwać licznych i pożytecznych prac.

7.

Przegląd prac odnoszących się do samorządu gminnego w Galicyi [1]).

1) Pogląd historyczny na urządzenie gminne w Galicyi przez prof. dra Tadeusza Pilata. 2) Statystyka gmin i obszarów dworskich w Galicyi przez prof. dra Tadeusza Pilata. 3) Statystyka gospodarstwa gminnego przez dra Józefa Kleczyńskiego. 4) Życie gminne w Galicyi, opisał dr. G. Kleczyński.

Odkąd zasady równości prawnej i swobodnej pracy tak wymownie polecane w 1848 roku, przez syna włościańskiego Kudlicza [2]) stały się myślą przewodnią prawodawstwa austryackiego, od chwili, gdy pojęcia „Gutsunterthan i Staatsbürger“ nie mogły się nadal spokojnie znosić, a obywatelstwo państwowe wsparło się na podstawach prawa publicznego — nowa organizacya gminna, porządkująca odmienne stosunki miejscowe, stała się w Austryi koniecznością i dlatego też rok 1848—1849, znoszący sądownictwo patrymonialne, oraz ciężary wieczyste, pozostanie dla prawodawstwa gminnego austryackiego, ważną i pamiętną epoką.

Ponieważ czasy reakcyi powstrzymały na lat kilkanaście rozwój samorządu, do którego dążyła ustawa gminna z 1849 r., a w Galicyi nie została ona nawet zupełnie wprowadzoną, dlatego niektórzy, a między nimi Block nie dostrzegając jej reformatorskich wpływów, przyjęli rok 1862 za chwilę stanowczego przekształcenia się stosun-

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ z r. 1879.

[2]) Verhandlungen des deutsch-oester. Reichstages 1848. Str. 426 i dalsze.

ków gminnych w Austryi, nie zwracając bynajmniej uwagi na rok 1849 [1]).

Rzeczywiście ustawa gminna z 1862 r. była już drugim momentem postępu, albowiem uzupełniła reformę w 1849 r. rozpoczętą, starając się, choć nie zawsze dość szczęśliwie, nadać gminie organizacyę odpowiednią do nowych wymagań społeczeństwa. Lecz dodać należy, że ustawa z 1862 r. wskazywała tylko zasady główne, zachowując je jednak, mogły kraje koronne opracować dla siebie osobne ustawy gminne, bardziej odpowiadające warunkom miejscowym.

Korzystając z tego prawa, Galicya pozyskała zmodyfikowaną ustawę w 1866 r. i wyszła ze stanu tymczasowości, jaki cechował jej stosunki gminne od 1849 r. Chociaż przy uchwalaniu tej ustawy na sejmie w roku 1866 nie tajono sobie, że nie odpowiada ona w zupełności stosunkom i potrzebom największej części gmin, a nawet z pomiędzy tych, którzy przyczynili się do jej przeprowadzenia, poważne głosy wyznawały otwarcie, iż tylko dlatego za nią głosują, że potrzeba organizacyi gminnej jest naglącą, a odpowiedniejsza organizacya nie może w danej chwili przyjść do skutku, ze względu na konieczność trzymania się zasad wypowiedzianych w ustawie z 1862 r. [2]), to jednakże od tej chwili t. j. od r. 1866, życie gminne w Galicyi nabiera dla nas szczególnego interesu i otwiera obszerne pole dla ważnych spostrzeżeń.

Wpływ nowej ustawy na dobrobyt ludu, na jego rządność prywatną i publiczną, rozstrzygnie w pewnej części o doniosłości i znaczeniu samorządu gminnego dla rozwoju społeczeństwa. Jak wiadomo, nauki państwowe od początku XIX wieku, ulegając wpływowi reform Steina, upatrywały w samorządzie miejscowym potężny środek wzmocnienia organizmu państwa i zarazem sposób uśmierzania wszelkich starć socyalnych.

Dotąd ten pogląd trwa niezachwianie w nauce a pozyskał przytem na obronę swoją nowe historyczne dowody. I teraz samorząd jest uważany za najlepszą szkołę ludu, za środek podnoszący

---

[1]) Les communes et la liberté, str. 172.

[2]) Wiadomości statystyczne (rocznik czwarty) 1878, patrz przedmowę.

moralnie, umysłowo i materyalnie całe masy społeczne. Uczeni obiecują sobie, że najbardziej może przy jego pomocy, dadzą się pokojowo zreformować socyalne trudności zarówno na wsi jak i w mieście [1]), a bez samorządu, bez współdziałania gminy, nie widzą możności utrzymania spójni między klasami zwaśnionemi, sprzecznymi socyalnymi interesami.

W Galicyi tymczasem od roku 1866, samorząd gminny posiada wszelkie warunki normalnego rozwoju. System konstytucyjny odniósłszy stanowcze zwycięstwo, zmusił administracyę do poszanowania prawa. Ustawy z dnia 25 lipca 1867 r. o odpowiedzialności ministrów i z 21 grudnia 1867 r. o wykonywaniu władzy rządowej, są pewnemi gwarancyami, że wyższe organa władzy wykonawczej, nie będą mogły lekceważyć współudziału ludności miejscowej w sprawach publicznych, i że nie będą mogły spożytkować go dla odrębnych celów, lecz ograniczą się jedynie na inteligentnej opiece w granicach prawa.

Przytem możność usuwania niedostatków i uzupełniania ustawy gminnej, pozostawiona sejmowi krajowemu, nadaje jeszcze większą ważność samorządowi gminnemu w Galicyi.

Gorliwość bowiem, z jaką reprezentanci kraju zajmowali się wypracowaniem odpowiedniej organizacyi gminnej, umiejętność, jaką okazali w wyszukiwaniu środków zachęcających wyższe klasy do przyjmowania udziału w pracy gminnej, będą zarazem ważnym dowodem dojrzałości politycznej kraju i świadectwem zrozumienia obowiązków publicznych przez inteligentne klasy społeczeństwa.

Dobra ustawa znamionuje tylko, że w kraju znalazły się umysły wyższe, zdolne do tego, aby potrzeby społeczne ująć w odpowiednie kształty prawne, ale dopiero zżycie się z ustawą, wyzyskiwanie jej dla ogólnego dobra, przyzwyczajenie się za jej pośrednictwem do samorządu, z którym nierozdzielnymi są swoboda i porządek — cechują społeczeństwo świadome swych cywilizacyjnych zadań i dorosłe do samodzielnego prowincyonalnego życia.

---

[1]) Patrz v. der Goltz: Die ländliche Arbeiterfrage, str. 334 i dalsze, oraz Ludwig Bamberger: Die Arbeiterfrage unter dem Gesichtspunkte des Vereinsrecht, str. 232.

Od roku 1866 spotykamy niezaprzeczenie w Galicyi dość gorliwe zajęcie się sprawami gminnemi i ruch umysłowy w tym kierunku powoli się wytwarza. Wkrótce po ustawie ukazał się „Podręcznik dla zarządów gminnych“ (Lwów w 1868 r. już trzecie wydanie), a w 1867 roku wydanym został „Komentarz dla ustawy gminnej, wyłącznie dla urzędów gminnych wiejskich, pouczający o ich zakresie działania“, przez Henryka Langego, (Wadowice 1867).

Komentarz p. Langego jest tylko krótkim wyciągiem odnośnych przepisów prawa obowiązującego i pozostawia jeszcze pod względem opracowania wiele do życzenia. Drugi jednak podręcznik, systematycznym układem, jasnem i wyczerpującem objaśnieniem przepisów prawa obowiązującego, zasługuje na uznanie i może służyć za cenną wskazówkę dla tego, któryby u nas w Królestwie podjął podobne zadanie.

W tychże czasach zaczęto wydawać czasopismo „Gmina“ w celu nieustannego śledzenia rozwoju życia gminnego i wykazywaniu niedostatków nowej ustawy. Żałować wypada, iż tak pożyteczne wydawnictwo, zapewne dla braku poparcia, wkrótce istnieć przestało; w każdym razie i ono zaznaczyło swój krótkotrwały byt sumiennymi artykułami, na które się dotąd powołują poważni pracownicy miejscowi.

Powstały także w Galicyi projekta uzupełniania nowej ustawy gminnej, świadczące, że społeczeństwo nie odnosiło się apatycznie do samorządu miejscowego. Do tego rodzaju projektów zaliczyć wypada pracę bezimiennego autora p. t.: „Projekt ustawy sądów gminnych wiejskich, z przejściem do powiększonej administracyi gminy“ (Kraków 1871), która pomimo rozwlekłego oraz napełnionego czczemi ogólnikami wstępu, zawiera wiele uwag trafnych, odnoszących się do kwestyi reformacyi sądów gminnych i pragnie przedewszystkiem w rozdziale I połączenia małych gmin galicyjskich, niezdolnych do samoistnego życia, w jeden okrąg sądowy i administracyjny.

Drugi projekt p. t.: „Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi“ (Kraków 1871), będący jak wstępne słowo zapowiada „objawem zdań szczupłego kółka ludzi, nie mających innego celu“ jak tylko sprowadzić opinię kraju ze szczytu nader wygo-

dnych ogólnikowych formułek politycznych, do rozbioru szczegółów prawodawczych i administracyjnych, poświęca na samym początku uwagę reformie gminnej. I w tej pracy występuje przedewszystkiem myśl utworzenia znaczniejszych okręgów gminnych, któreby się składały: 1) z gromad wiejskich, 2) z obszarów dworskich i 3) z miast i miasteczek.

Widzimy więc, że autorowie „projektu“ chcieli usunąć stanowisko nienormalne obszarów dworskich i pracowali nad udoskonaleniem systemu reprezentacyjnego w prawodawstwie gminnem galicyjskiem, ale nie uwolnili się także w zupełności od poglądów prawno-prywatnych, żądając, aby okrąg gminny obejmował — o ile możności — a) całość parafii tego wyznania, b) całość gromad wiejskich, miast i miasteczek, c) całość obszarów dworskich do jednego właściciela należących. Obu projektom można jeszcze i to zarzucić, że ubiegały się przeważnie o wykończenie subtelne organizacyi gminnej, lecz nie starały się bynajmniej przekonywać, że stan istniejący jest bardzo wadliwy, wymagający jak najpospieszniejszej reformy.

Zresztą tak w sejmie jak i w prasie galicyjskiej poruszano niejednokrotnie niedostatki nowego prawodawstwa gminnego, chociaż nie uzbrojono ich w należyte dowody, jakich dopiero umiejętnie kierowane biuro statystyczne dostarczyć może.

W Austryi, statystyka dość późno, bo dopiero w roku 1841 [1]) zaczęła objaśniać o potrzebach publicznych administracyę państwową i stawała się powoli owym pulsem zdradzającym stan zdrowia społecznego. Ówczesne biuro statystyczne nielicznie i ubogo uposażone, nie mogło się spodziewać skutecznej pomocy od organów administracyjnych, któremi się posługiwać musiało i dlatego też rezultaty jego pracy były dość niedostatecznemi, tak, że nie doprowadziły nawet do ścisłego obliczenia ludności i powierzchni ziemi w Węgrzech, oraz Siedmiogrodzie.

Reformy z 1866 roku uzupełniając autonomię prowincyj ko-

---

[1]) Fallati: Stand der administrativen Statistik in Deutschland im Jahre 1848—1849. Zeitschritt für gesammte Staatswissenschaft r. 1850. T. VI, str. 742—743.

ronnych, uczyniły pomoc statystyki tem niezbędniejszą. Rozwój nowego konstytucyjnego porządku jego wpływ na postęp moralny i materyalny ludności; wreszcie niedostatki nowych zmian prawodawczych — wogóle wszelkich objaśnień w tym kierunku powinna była dostarczyć statystyka i organizacyą jej biur przedewszystkiem trzeba było udoskonalić.

W celu też zaradzenia naglącej potrzebie, uchwałą sejmową z dnia 28 listopada 1872 r. upoważniony został wydział krajowy galicyjski do czynności przygotowawczych około utworzenia biura statystycznego. Jak czytamy we wstępie „Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych, opracowanych przez dr. Tadeusza Pilata“ (Lwów rok 1873) — potrzebę takiego biura uznawano oddawna i jest też ona zupełnie usprawiedliwioną. W kraju, który tak pod względem obszaru, jak pod względem ludności, stanowi więcej jak $^1/_4$ część Cesarstwa, (Przedlitawii) zarząd autonomiczny, sprawowany przez wydział krajowy, tudzież układanie projektów do ustaw, nie mogą się obejść bez pomocy statystyki, pomocy zaś takiej nie jest w stanie udzielić statystyka rządowa, która innym służy potrzebom i dlatego nie obejmuje bardzo wielu stosunków, których znajomość potrzebną jest sejmowi i wydziałowi krajowemu.

Najczynniej uorganizowaniem biura krajowego statystycznego zajmował się profesor Tadeusz Pilat ze Lwowa i jemu się należy rzetelne uznanie, za urzeczywistnienie uchwały sejmowej z 1872 roku.

Rozprawy, którym w niniejszem sprawozdaniu mam zamiar chwilę uwagi poświęcić, powstały w pewnej tylko części z materyałów statystycznych, jakich biuro krajowe statystyczne dostarczyło, ale za to wszystkie zostały wywołane istnieniem tego biura i dziś już pozwalają się nam dokładnie rozejrzeć w rozwoju samorządu gminnego w Galicyi.

Prof. Pilat i dr. Kleczyński, podzielili się pracą, której ostatecznym celem miało być wyjaśnienie — o ile ludność wiejska okazała się uzdolnioną do samorządu miejscowego i o ile nowa ustawa odpowiada potrzebom tejże ludności. W tym celu przedewszystkiem niezbędnem się okazało studyum historyczne wykazujące jak poprzednie prawodawstwa gminne kształciły ludność wiejską, jak ją przy-

sposobiły do ustawy z 1866 roku, — i to zadanie podjął prof. Pilat, następnie zaś materyał statystyczny powinien był wykazać ustawę z 1866 r. w praktycznem oddziaływaniu na ludność Galicyi i to drugie zadanie podjął dr. Kleczyński.

Przejdę w możliwem streszczeniu rezultaty obu tych starannych i pouczających prac. Rozpocznę od historycznego studyum prof. Pilata p. t.: „Pogląd historyczny na urządzenia gminne w Galicyi“.

Ze względu na zniesienie poddaństwa i połączonych z niem urządzeń, oraz wynikłe w dalszym toku przemiany ekonomiczne i socyalne, autor uważa rok 1848 za chwilę najważniejszego zwrotu w stuletnich wewnętrznych dziejach Galicyi. Do roku 1848, władza miejscowa sądownicza i administracyjna w Galicyi, podobnie, jak z małymi wyjątkami, w innych krajach austryackich, należała, w miastach mających własną juryzdykcyą, do magistratów, zaś we wszystkich innych miejscowościach, do tak zwanych dominiów.

Każdorazowy właściciel majętności ziemskiej, obejmującej jedną lub więcej osad poddańczych, które uiszczały jeszcze powinności ze związku poddańczego wypływające, był zarazem właścicielem władzy sądowej i policyjnej w obrębie swego terytoryum.

Ze względu na przywiązaną do posiadania dominikalnych, czyli tabularnych dóbr władzy publicznej, podlegały takowe ograniczeniom prawnym w dwojakim kierunku. Po pierwsze, nie było wolno dzielić dóbr tabularnych chyba za uprzedniem zezwoleniem krajowej władzy politycznej. Później ustanowiono jako granicę, do której podziały dóbr tabularnych mogą być dopuszczane, iż każdy z majątków odrębnych, powstałych skutkiem podziału opłacać winien przynajmniej 300 złr. podatku gruntowego dominikalnego.

Powtóre, prawo nabywania i posiadania dóbr tabularnych służyło tylko osobom należącym do stanu magnatów, lub do stanu szlacheckiego, tudzież obywatelom miejskim, uprzywilejowanego w tym względzie stołecznego miasta Lwowa.

Zakres juryzdykcyi dominikalnej obejmował sądownictwo

i administracyę miejscową. W pierwszym względzie należały do tej juryzdykcyi sprawy cywilno-sądowe, sporne i niesporne wszystkich osób zamieszkałych w okręgu dominikalnym, tak poddanych jak i innych z wyjątkiem osób stanu szlacheckiego, korporacyj świeckich i duchownych, oraz poddanych Porty Otomańskiej. W sprawach karnych należały ciężkie przestępstwa policyjne, lecz wyższą instancyę stanowiły władze polityczne.

W zakresie administracyi należała do władz dominikalnych policya miejscowa, utrzymywanie ksiąg konskrypcyjnych, pobór i ściąganie podatków bezpośrednich i udział przy rekrutacyi.

W Galicyi stany krajowe oświadczyły się z chęcią bezpłatnego sprawowania juryzdykcyi nad poddanymi, co też przez rząd przychylnie przyjętem zostało w r. 1784. Podlegające juryzdykcyi dominikalnej osady, posiadały prócz tego starszyznę miejscową z łona swego wybraną, która jednak nie miała samodzielnego zakresu działania w sprawach administracyi, nie miała też żadnej władzy karnej, lecz była jedynie organem wykonawczym i pomocniczym dla dominiów.

Starszyznę miejscową składał wójt i przysiężni. Na wójta przedstawiała gromada trzech kandydatów odpowiednich, z których dziedzic wybierał jednego, przysiężnych wybierała gromada w porozumieniu z wójtem.

Drugą równorzędną z dominiami kategoryą juryzdykcyj miejscowych — stanowiły magistratury miejskie, które w imieniu miasta jako właściciela juryzdykcyi sprawowały tak sądownictwo jako też administracyą, w zakresie nie różniącym się wogóle od zakresu działania dominiów. Własną juryzdykcyę, posiadały przed rokiem 1848 wszystkie miasta wolne królewskie, następnie zaś te miasta poddańcze, w których rząd uorganizował, czyli jak wtedy nazywano uregulował magistraty, przekonawszy się poprzednio, że przychody miasta wystarczają na utrzymanie odpowiedniego personelu urzędniczego.

W tych ostatnich miastach przeniesiono juryzdycyę od dominiów na nowo utworzone magistraty, pozostawiając zresztą bez zmiany dawne prawa dominikalne a mianowicie prawo do czynszów, prawo do propinacyi i t. p. Reszta miast poddańczych, którym ze

względu na szczupłe dochody nie nałożono obowiązku utrzymywania magistratu, pozostała nadal pod juryzdykcyą dominialną.

W tych miastach zarząd miejscowy zawiadujący gospodarstwem gminnem i policyą miejscową nosił nazwę kameraryi miejskiej (städtische Kämerei). Skład magistratu zależał od wielkości miasta i od jego przychodów. W miastach większych, magistrat składał się z burmistrza, syndyka i kilku asesorów, następnie sekretarza jednego lub więcej, kasyera, kontrolera, służby municypalnej i wykonawczej. W mniejszych miastach był tylko jeden, albo też nie było wcale asesorów, urzędników, a w najmniejszych miejsce burmistrza zastępował syndyk.

W roku 1805 uchylono prawo gmin miejskich do wybierania sobie urzędników przy wszystkich posadach, przy których przepisane były egzamina sądowe i administracyjne, albo też potrzebnemi były wogóle wiadomości fachowe i specyalna rutyna. Polityczna władza krajowa, t. j. gubernium i urzędy obwodowe obsadzały tedy wszystkie posady w magistratach z wyjątkiem najpodrzędniejszych.

Obok magistratu istniały w gminach miejskich tak zwane wydziały miejskie (städtische Ausschüsse), które w sprawach gospodarstwa gminnego miały kontrolować czynności magistratu, mianowicie sprawdzać rachunki, kontrolować kasę i razem z magistratem układać preliminarze, a następnie wybierać urzędników, których wybór zastrzeżony był gminie.

Członkowie wydziału miejskiego byli wybierani przez mieszkańców miasta mających prawo miejskie. Sprawozdanie sądownictwa i administracyi miejscowej przez magistraty mianowane i niemające żadnego samodzielnego zakresu działania, nie miało w niczem cechy samorządnej. Gospodarstwo miejskie podlegało także drobiazgowej kontroli władz rządowych i potrzebowało w każdym cokolwiek ważniejszym wypadku bieżącego gospodarstwa, ich upoważnienia. Zależność tę objaśni najlepiej fakt, iż wszelkie reperacye budynków miejskich, których koszta przenosiły 25 złr. potrzebowały zezwolenia urzędu obwodowego, a reperacye przenoszące 50 złr. takiegoż zezwolenia gubernialnego.

Przedstawiwszy bardzo drobiazgowo prawodawstwo gminne

w Galicyi, autor wykazuje odmienność urządzeń wolnego miasta Krakowa. Podczas, gdy w Galicyi utrzymała się do roku 1848, juryzdykcya patrymonialna i miejska, w okręgu Krakowskim od czasu złączenia go z Księstwem Warszawskiem w r. 1810, takowa uchyloną została i władza miejscowa sprawowaną była tak na wsi jak w mieście, nad wszystkimi mieszkańcami bez różnicy, jedynie przez publiczne urzędy. Ze względu jednak, iż prawodawstwo Księstwa Warszawskiego jest naszym czytelnikom lepiej znane, pominę ten ustęp pracy prof. Pilata.

W drugim rozdziale przedstawionej rozprawy znajdujemy epokę prawodawczą od 1848 roku, a przedewszystkiem zaznajamiamy się szczegółowo z prowizoryczną ustawą gminną z dnia 17 marca 1849 roku, obowiązującą we wszystkich krajach składających dzisiejszą Przedlitawię, a zatem i w Galicyi.

Ustawa ta postawiwszy na czele zasadę słuszną lecz ogólnikową, zbyt często odtąd powtarzaną, że: „podwaliną wolnego państwa, jest wolna gmina“, wprowadziła władze gminne z wyborów wychodzące i wyznaczyła tym władzom zakres działania samoistny, czyli własny, a obok tego uczyniła je organami wykonawczymi władz rządowych w tak zwanym poruczonym zakresie działania.

Pod względem zakresu działania gminy, ustawa z 1849 roku wprowadziła do prawodawstwa austryackiego, rozróżnienie między zakresem własnym i poruczonym, które zachowała i ustawa z 1862 roku. Zresztą inne właściwości tej ustawy, dokładnie przedstawione w pracy prof. Pilata, mniejszą mają doniosłość dla nas, gdyż ustawa prowizoryczna z 1849 roku, w tymże samym roku reskryptem ministeryalnym została wstrzymaną i wcale nie weszła w życie w Galicyi.

Następnie, autor zaznajamia nas z zasadami urządzeń organicznych państwa austryackiego, zawartemi w piśmie odręcznem cesarskiem z 1851 roku, które w prawodawstwie gminnem zwiastują nowy zwrot reakcyjny. Ciekawsze ustępy tego odręcznego pisma są następujące: 1) przy organizacyi gmin wiejskich, wielka własność ziemska, niegdyś dominikalna może być wydzieloną ze związku gminnego pod pewnymi warunkami, które dla każdego kraju koronnego mają być bliżej oznaczone i podporządkowane bezpośrednio

urzędom powiatowym, 2) w gminnych sprawach, ważniejsze czynności i uchwały gmin mają podlegać rozpoznaniu i zatwierdzeniu władz rządowych, 3) publiczność obrad gminnych ma być uchyloną z wyjątkiem pewnych uroczystych czynności i 4) organizacye gminne mają polegać na tej zasadzie, że przeważającym interesom należy też w ustroju gminnym przyznać przewagę i z tego powodu należy dać głos stanowczy własności gruntowej.

Na wystosowane wezwanie właściciele dóbr, z bardzo małymi wyjątkami, oświadczyli chęć pozostania poza obrębem gminy, pozostająca też poza obrębem gminy posiadłość dworska, tworzyła odrębne samoistne ciało administracyjne, podlegające bezpośrednio urzędowi powiatowemu i równorzędne z gminą pod nazwą: posiadłość dziedzica (gutsherrliches Gebiet).

W ustępie III przedstawia prof. Pilat, ustawodawstwo gminne z 1862 i 1866 roku, a nareszcie w ostatnim ustępie IV podaje wszystkie projekta zmian, jakie sejmowi podanemi zostały, nadmieniając przytem jakim losom takowe uległy.

Spotykamy w ostatnim ustępie ciekawą uwagę wyjaśniającą nam rozdział obszarów dworskich od gmin. Już przy obradach nad rządowym projektem ustawy w komisyi sejmowej i na sejmie, panowały sprzeczne poglądy, ale ostatecznie za utrzymaniem rozdziału przemówił ten wzgląd, iż ustawa z 1862 r. nie zna przymusowego łączenia kilku gmin, a więc przeciwny temu projekt nie otrzymałby zapewne sankcyi monarszej, i co jest bardzo ważnym faktem, myśl łączenia się z obszarami dworskimi nieprzychylnie była ocenioną przez ludność wiejską, która nie życzyła sobie podobnego połączenia.

Na tem kończę streszczenie pierwszej pracy prof. Pilata, dodać wszakże winienem, iż przedstawienie historyczne prawodawstwa gminnego, pod względem ścisłości i jasności jest wzorowem. Ze stosu dzienników praw i mnóstwa rozporządzeń, autor utworzył treściwy i pouczający obraz. Prawnoprywatna strona organizacyi gminnej, dominikalnej jest wybornie przedstawioną, i możemy z całą dokładnością śledzić, jak prawo publiczne w gminnym ustroju powoli zyskiwało uznanie.

Odnośnie do stosunków gminnych w Królestwie Polskiem nie

posiadamy dotąd podobnego historycznego studyum, i dla podejmującego powyższe zadanie praca prof. Pilata, może być w wielu razach pouczającą. Przez pomyłkę zapewne spotkać można w niniejszej pracy nazwę „Wielkie Księstwo Warszawskie“, gdy konstytucya znała tylko „Księstwo“ (por. art. 3, 5, 10, 36, 69, 80, 84) i dlatego też Skarbek pisał historyę Księstwa Warszawskiego.

II. W drugiej pracy p. t.: „Statystyka gmin i obszarów dworskich w Galicyi“, czytamy we wstępie, że zadaniem statystyki gminnej jest podać ile możności dokładny i wszechstronny obraz życia gmin, przedstawić jakiemi są i jaką działalność rozwijają w rozmaitych kierunkach owe najważniejsze w obrębie państwa, publiczne korporacye.

Użyteczność praktyczną podobnej pracy kreśli autor w słowach następujących: „dokładna znajomość administracyjnego podziału kraju, zatem ilości okręgów ustanowionych dla rozmaitych gałęzi administracyi, ich kategoryj i stopni, obszaru i ludności, wreszcie znajomość wzajemnego stosunku tych podziałów, jest rzeczą nadzwyczajnie potrzebną dla praktycznej administracyi, a zarazem niezbędną podstawą dla statystyki we wszystkich jej gałęziach. Ta bowiem, przedstawiając szczegółowy obraz stanu kraju, musi najczęściej opierać się na podziale administracyjnym.

Najpierw spotykamy w powyższej pracy wyjaśnienie terminów prawnych, jakie się znajdują w ustawodawstwie gminnem galicyjskiem. Autor objaśnia nam różnicę prawną obszaru dworskiego od gminy administracyjnej, dalej — czem jest gmina kadastralna, gmina kościelna, miejscowy obręb szkolny, i wreszcie osada lub miejscowość.

Następnie przechodzi prof. Pilat do właściwej statystyki i powiadamia nas o rozdziale gmin na powiaty. 20 powiatów ma wyżej stu gmin, 16 powiatów ma 76—100 gmin, 31 powiatów 50—75 gmin, a 33 powiatów mniej niż 50 gmin.

Co do obszarów dworskich to rozdział ten przedstawia się następująco: trzy są powiaty, w których ilość przełożeństw obszarowych przenosi cyfrę 80, 15 powiatów ma 50—80 takich okręgów, 41 powiatów ma ich 25—50, 16 powiatów mniej niż 25.

Liczba gmin miejskich w powiatach dochodzi niekiedy tylko do 10, najwięcej jednak 20 powiatów ma tych gmin po 4.

Stosunek gmin administracyjnych do kadastralnych przedstawia się następująco: przeważnie, bo w 54 powiatach, gminy administracyjne są mniejsze od kadastralnych, w 10 powiatach jest więcej gmin kadastralnych niż administracyjnych, w 10 powiatach gminy kadastralne zgadzają się z administracyjnemi.

Rozkład przestrzeni kraju między gminy i obszary dworskie przedstawia się następująco: 57·7% całej przestrzeni Galicyi przypada na gminy, zaś 42·3% na obszary dworskie. Między powiatami znaczne w tym względzie zachodzą różnice. Jest 7 powiatów, w których obszary dworskie zajmują 50—60% całego obszaru, a pięć powiatów, w których mniej niż 30%.

W całym kraju wypada na jedną gminę 1233 morgów ziemi, na jeden obszar dworski 1004 morgi. Cyfry te jednak malują niedokładnie rzeczywiste położenie, gdyż w niektórych powiatach górskich wypada po 4046 morgów na gminę, w innych znowu nie dochodzi do 500.

Podział gmin i obszarów dworskich na kategorye ze względu na ilość domów przedstawia się następująco: najliczniejsze są kategorye liczące od 50—100 i od 100—200 domów; zresztą jest kilka gmin liczących mniej niż 10 i więcej jak 500 domów. Obszary dworskie przedstawiają się inaczej: do 10 domów liczy 84% obszarów, od 11 do 20 domów 12%, a więcej jak 20 domów tylko 3.

Rozdział ludności w gminach przedstawia się następująco: od 501—1000 ludności, posiada 34·3% gmin, od 301—500 ludności liczy 23·4% gmin, od 1000—2000 ludności 17·8% gmin, od 2000—5000 już tylko 4·8% wyżej 5000 tylko 0·7%. Z drugiej strony od 100—300 mieszkańców, natrafiamy tylko 17·3% zaś niżej 100 mieszkańców w 0·7% gmin. Powiaty, w których na obszarach dworskich prowadzone jest przeważnie lasowe gospodarstwo, mają najmniejszą ilość ludności; w przecięciu na jednym obszarze mieści się 6—3 mieszkańców.

Rozdział ludności między wsie i miasta jest następujący: 80% ludności wiejskiej, a 20% ludności miejskiej. Wypadków połączenia się gmin z obszarami dworskimi, było do roku 1868 15, a po 1868

roku nie zdarzył się ani jeden. Wypadków rozłączenia osad stanowiących dotąd jedną gminę administracyjną, było dotąd trzy.

Widzimy, że materyał podany w drugiej pracy prof. Pilata jest nadzwyczaj ważnym i niewątpliwie może służyć za cenną wskazówkę przy zmianach podziału administracyjnego kraju. Tylko też przy ścisłej kontroli statystycznej można z ogólnych teoryj dojść do praktycznego podziału administracyjnego kraju i wywnioskować należycie, wiele sił materyalnych i intelektualnych, to jest obszaru terytoryalnego i ludności, potrzebuje gmina, aby jako samorządna jednostka administracyjna mogła należycie spełnić swe zadanie.

III. Trzecia praca, dra Kleczyńskiego p. t.: „Statystyka gospodarstwa gminnego“, pragnie tak usystematyzować gospodarstwo publiczne gminy, aby statystyczna kontrola mogła uwydatnić najważniejsze momenta rozwoju i przedstawić z całą ścisłością finansową działalność gminy.

Statystyka finansowa, jak autor na początku swej pracy nadmienia, wymaga, oprócz fachowego wykształcenia, tak dokładnej znajomości stosunków, tak gruntownego zapoznania się z ustawodawstwem i teoryą nauki, że ich nabyć można dopiero przez długie studya specyalne.

Trudności powyższe jeszcze bardziej potęgują się wobec gospodarstwa gmin.

Nawet w obrębie jednego kraju spotykamy się z różnorodnymi stosunkami, każda prawie miejscowość posiada odrębny charakter, miejscowe warunki bytu i życia, które wyrobiły się w szeregu wieków i potrzebują specyalnych badań.

Zadanie zaś statystyka nie może się ograniczyć na samem zestawieniu cyfr, gdyż musi on każdą cyfrę ważyć, aby ocenić nie tylko jej bezpośrednią wielkość, ale i doniosłość w miejscowych stosunkach. Musi on dokładnie zapoznawać się ze wszystkiemi danemi każdej gminy, aby mógł przez stosowne zestawienie uzyskać konieczną jednolitość.

Prace nad gospodarstwem gmin przedstawiają jeszcze największą trudność manipulowania z nadzwyczajną liczbą cyfer. Gminy w całej Europie są po większej części drobne, w każdem państwie większem bywa ich po kilkadziesiąt tysięcy, dochodzenia

jakiekolwiek dotyczące tak wielkiej liczby jednostek, nie dają wyraźnych rezultatów gdyż kombinacye żadne nie dadzą się zastosować przy takiem rozproszeniu przedmiotów badania, a tworzenie grup i łączenie gmin w pewne całości wymaga znacznej mitręgi czasu.

Wszystkie więc powody składają się na tworzenie trudności w opracowaniu statystyki gospodarstwa gminnego i nie można się dziwić, jeśli ta część nauki dotychczas pozostaje w pierwszej fazie rozwoju. Na kongresie statystycznym w Paryżu w r. 1855, zajmowano się statystyką wielkich miast i omówiono warunki niezbędne do poznania ich stanu finansowego. Na następnym kongresie w Wiedniu w r. 1857, zajmowano się wprawdzie tylko finansami państwowemi, ale zapadłe tam postanowienia, dotyczące sposobu przedstawienia finansów państwa, dadzą się analogicznie zastosować do gmin.

We Florencyi w r. 1867 zajmowano się znowu sprawą gospodarstwa gminnego, ale uchwały tam powzięte nie były dość szczegółowe. Dopiero w Hadze w r. 1869 doprowadzono do postawienia całkowitego systemu dla zestawienia gospodarstwa gminy, a to przyjmując wnioski sprawozdawcze Jakobiego, zmierzające do szczegółowego określenia sposobu, w jaki mają być prowadzone rachunki gmin.

Dochody zostały zebrane w 76 rubryk, wydatki w 88. Zbytnia rozciągłość i drobiazgowość sprawiła, że wzory te nigdzie nie zostały zastosowanemi i że nie zrobiono nawet żadnej próby uczynienia zadość życzeniu wyrażonemu przez kongres, aby corocznie ogłaszane były budżety i zamknięcia rachunków gmin, według powyższych wzorów. Pruskie biuro statystyczne ułożyło następnie uproszczony więcej formularz, obejmujący tylko 43 rubryki w wydatkach i 25 w dochodach, ale pomimo, że wzory były bardzo zrozumiałe a rubryki ułożone z wielką umiejętnością, to jednakże z drugiej strony życie gminne nie było w nich należycie zrozumiane i uważano je za dodatkowe do ogólnych celów państwa. To też prace statystyczne biura pruskiego nie obejmują ani całości życia gminnego, ani nawet całości dochodów gminnych, chociaż w badanym zakresie odznaczają się wielką sumiennością.

Trudności, jakie statystyka gospodarstwa gminnego napotykała w innych krajach, dały się w znacznej części usunąć we Włoszech, gdzie corocznie ogłaszają statystykę gospodarstwa gminnego.

Zawdzięczają to Włochy głównie tej okoliczności, że gminy włoskie są wielkie, jak okazuje się stąd, że w całych Włoszech jest gmin 8631, a wydatki przeciętne jednej gminy miejskiej wynosiły 483,884 lirów, wiejskiej zaś 15,864 lirów.

Dr. Kleczyński porównywa ze sobą statystykę gospodarstwa gminnego we Włoszech z lat czterech (1866—1869) i wykazuje, że pierwotne formularze były ograniczone do 15 rubryk dochodu i 14 rubryk wydatków; w ostatnim zaś roku użyto wzorów szczegółowych, obejmujących przeszło 30 rubryk w dochodach i tyleż w wydatkach.

Wzory powyższe odznaczają się szczególną prostotą i każdy musi oddać sprawiedliwość znakomitemu wykonaniu, które stawia statystykę włoską gospodarstwa gminnego na pierwszem miejscu między pracami tego rodzaju.

We Francyi, Belgii, Holandyi, Danii i w innych krajach statystyka zajmowała się gospodarstwem gmin, ale mimo licznych prac nie doprowadzono jeszcze do ustalenia zasad układania statystyki gospodarstwa gminnego, a w wielu krajach finanse gminy nie zostały nawet pobieżnie zestawionemi. W celu zapobieżenia tym niedostatkom, komisya przygotowująca ostatni kongres peszteński w roku 1876, zajęła się ułożeniem danych o gospodarstwie miast.

Kongres istotnie obradował nad wnioskami Körösiego urządzenia statystyki finansowej porównawczej wielkich miast i przyjął je z nieznacznemi zmianami. Körösi wyszedł ze słusznej zasady, że statystyka porównawcza skarbowa nie może zapuszczać się w cały labirynt podrzędnych szczegółów, ale musi ograniczać się na wskazaniu głównych kierunków gospodarstwa gminnego i powinna opierać się na czystym jedynie dochodzie.

Statystyka międzynarodowa nie może być statystyką ruchu kasowego, ale musi być statystyką porównawczą dochodów i potrzeb gminy. Niemniej doniosłem było usiłowanie jego uproszczenia poszukiwań finansowości miast, wskutek czego ograniczył się on

pierwotnie do 20 rubryk w dochodach i wydatkach, a liczba rubryk wskutek uchwał kongresu została tylko nieznacznie powiększoną, czyli o 10 rubryk w dochodach a 14 w wydatkach.

Autor czyni jednak poważne zarzuty wzorom Körösiego, a mianowicie ten, że trudno zrozumieć, jaka myśl przewodniczyła utworzeniom rubryk, oraz ich następstwom po sobie i że szczególniej w wydatkach panuje istny chaos. Wydatki szkolne np. włożono pomiędzy wydatki na czyszczenie ulic i komunikacye, czyli budowę tychże ulic. Kanalizacya i wodociągi nie mają przeznaczonego miejsca i nawet nie wiadomo, czy i gdzie je wpisywać należy.

Dochody mniej wprawdzie grzeszą chaotycznem rozproszeniem, ale opuszczono pojęcie opłaty, a natomiast rozszerzono błędnie pojęcie podatków pośrednich. Körösi nie postawił sobie jasnego pojęcia o celu swej pracy. Powiada on wprawdzie, że statystyka powinna przedstawić stan finansowy miasta i że należy się ograniczyć do pytań mających wyłącznie finansowe znaczenie; ale podług jego teoryi trudnoby było rozstrzygnąć kwestyę, jakie przedewszystkiem dochody i wydatki mają znaczenie finansowe, a jakie go nie mają.

Najlepszą krytyką rubryk Körösiego jest własna jego uwaga, że w jego rubryki weszło w dochodach 74% w Peszcie, w Wiedniu 91%, w Monachium 65%. Jeszcze gorzej w wydatkach, w Peszcie 55%, w Rzymie zaś zaledwie 37½. Cóż więc może być za porównanie stosunków na podstawie tak różnych kwot procentowych. Na podstawie przez Körösiego przyjętej nie było sposobu podać statystyki międzynarodowej miast i trzeba też z przykrością stwierdzić, że dzieło jego o gospodarstwie miast nie przedstawia żadnej wartości naukowej i jest wcale nie do użycia.

Przegląd prac dokonanych kończy autor wzmianką o usiłowaniach w tym kierunku podjętych przez galicyjskie biuro krajowe statystyczne, które przygotowało do druku wyniki gospodarstwa gmin wiejskich.

Na tem kończy autor część pierwszą swej pracy. Streściłem ją dlatego dokładniej, że zawiera historyczny rozwój statystyki badania gospodarstwa gmin, gdy tymczasem z części drugiej, podającej w krytycznem opracowaniu projekt formularza usuwającego niedogodności wykazywane w poprzednich wzorach, ponieważ ją

trudno streścić, bo wszystko jest w niej ważnem, przytoczę tylko ostateczny rezultat wraz z kilkoma teoretycznemi uwagami.

Dr. Kleczyński zauważył, że w badaniach statystycznych, przedmiot tak wielki jak mały może być wzięty na uwagę, ale każde badanie musi obejmować przedmiot całkowicie. Jeżeli np w pewnej okolicy, czy mieście, chcemy poznać zajęcia rzemieślnicze ludności, winniśmy objąć w badaniu całą ludność, oddającą się zajęciom rzemieślniczym, badanie zaś będzie niezupełne, jeżeli wybierzemy sobie kilka rodzajów zajęcia i stosunki np. krawców i szewców będziemy uważali za stosunki wszystkich rzemieślników.

To samo można powiedzieć o badaniu gospodarstwa gminnego. Gospodarstwo gminy czy państwa, wzięte jako przedmiot badania, stanowi w sobie całość zwartą, skończoną i zamkniętą. Przedmiotu tego nie wolno ani ścieśniać poza rzeczywistość, ani rozciągnąć na stosunki mu obce; natomiast potrzeba pamiętać, że gospodarstwo gminy a rachunek kasy, są to rzeczy zupełnie odmienne: więc niekoniecznie wszystkie wpływy i rozchody stanowić mają część gospodarstwa gminnego. Wkońcu jednak dodać należy, iż tylko jednolite traktowanie gospodarstwa publicznego może wprowadzić pewien ład i porządek do tego przedmiotu pierwszorzędnej wagi.

Po ogólnych uwagach, bardzo ściśle i jasno motywowanych, dochodzi autor do przekonania, że następujący wzór objąłby dokładnie całe gospodarstwo gmin; I) Dochody: 1) z majątku, 2) z podatków dochodowych, 3) z podatków konsumcyjnych, 4) z opłat, 5) z subwencyj, dotacyj, darów, zapisów, 6) ze sprzedaży majątku, 7) z pożyczek, 8) z zapasów gotówki przelanej z poprzedniego okresu i 9) z różnych dochodów. II) Wydatki: 1) utrzymanie i zarząd majątku, 2) koszta zarządu, 3) komunikacye, 4) utrzymanie porządku, 5) koszta utrzymania bezpieczeństwa i policyi, 6) koszta straży ogniowej, 7) zdrowie i dobroczynność, 8) koszta sprawiedliwości, 9) koszta wojskowe. 10) oświata, 11) wydatki wyznaniowe, 12) nabytki majątkowe, 13) długi, 14) inne wydatki, 15) wydatki osobiste i 16) wydatki nadzwyczajne.

Rozprawa dra Kleczyńskiego, jakkolwiek traktuje bardzo specyficzne pytanie, nie przestaje być jednak interesującą dla szerszego koła czytelników, albowiem przystępnie i ściśle wyjaśnia: iż staty-

styka może być wprawdzie najważniejszym środkiem kontroli życia publicznego, lecz jeśli jest odpowiednio i umiejętnie traktowaną. Nie dosyć bowiem wynajdywać cyfry, nie dość porównywać je, aby dojść do objawów prawidłowości, lub też zboczeń, ale trzeba przedmiot badań poddać umiejętnej obserwacyi i trzeba kombinacye nowe tworzyć, aby tylko istota badanego przedmiotu mogła być wszechstronnie poznaną.

W końcu jeszcze dodać winienem, że motywowanie teoretycznych wskazówek, nie pozostawia pod względem jasności i gruntowności nic do życzenia w powyższej rozprawie dra Kleczyńskiego; historyczny materyał jest przytem starannie i krytycznie podany tak, iż studyum niniejsze zasługuje w zupełności na miano sumiennej i wielce pożytecznej pracy.

IV. W ostatniej rozprawie p. t.: „Życie gminne w Galicyi“, tenże sam autor postawił sobie za zadanie, zbadać gminę w stanie ruchu — ponieważ dopiero życie jest najlepszą krytyką ustaw, ono bowiem najlepiej wskazuje na potrzeby społeczne, oraz daje poznać, czy i w jaki sposób można im zadość uczynić. Dr. Kleczyński, sposobem przykładu, poucza nas, jak się cyframi statystycznemi posługiwać należy i jak za ich pomocą można kontrolować samorząd miejscowy.

Dowiadujemy się przytem, że materyał statystyczny zbierany był podług wskazówek biura krajowego, ale przez wydziały powiatowe, gdyż gminy Galicyi posiadały tak mały zasób inteligencyi, że nie można było liczyć na relacye członków zwierzchności gminnych; pisarze zaś gminni oprócz słabego wykształcenia przedstawiali żywioł zanadto niepewny pod względem dobrej woli, aby można było śmiało polegać na ich sprawozdaniach.

Ponieważ samorząd spoczywa przedewszystkiem na ludziach, gdyż wymaga głębokiego zrozumienia stosunków miejscowych, przeto autor rozpoczyna od zapoznania się z żywiołami, mającymi wprowadzać go w życie. Omijając zbadanie stosunków osobistych członków reprezentacyi gminnej, gdyż te są zbyt jednostajnemi, zwraca dr. Kleczyński uwagę na jeden szczegół, a mianowicie: jak małą jest liczba gmin, posiadających radnych bez wyboru. W 52 powia-

tach niema ich wcale wykazanych, a zresztą spotykamy ich tylko w 138 gminach, w liczbie 191 osób.

Objaw ten wypływa z obojętności na sprawy gminne, co jest tem dotkliwsze, że właśnie klasy zamożniejsze winnyby wywierać wpływ korzystny na rozwój stosunków gminnych i ten wzgląd miano również na oku, kiedy radnym bez wyboru zapewniano wyjątkowe stanowisko w reprezentacyi gminnej.

Zajęcia wójtów i przysiężnych są bardzo jednostajne. Wójtów rolników jest 99·2%, a przysiężnych rolników 99·65%. Wszystkiego trzech wójtów i pięciu przysiężnych jest żydów, a jeden wójt i jeden przysiężny są szynkarzami. Pomiędzy pisarzami gminnymi przemagają również rolnicy, gdyż jest ich 47½%, jednakże zaraz po nich reprezentowane są zajęcia umysłowe, bo 22·2%. Pisarzy wyznania mojżeszowego jest 1·15%.

Z pomiędzy pisarzy jest zaledwie 13% takich, którzy umieją czytać i pisać, a $^1/_5$ wszystkich wójtów umie choć cokolwiek czytać lub pisać. Pomiędzy przysiężnymi stosunki jeszcze są mniej pomyślne: zaledwie 8% umie czytać i pisać a 11% posiada przynajmniej początki czytania. Przytem wójtów umiejących tylko po niemiecku jest 49, a przysiężnych 79. Znajduje się 6 powiatów, w których niema ani jednego przysiężnego umiejącego chociaż trochę czytać; a w ogóle zapatrywania się wydziałów powiatowych na pojęcie obowiązków zwierzchności gminnych, nie są zbyt pocieszającemi.

W całym kraju jest około $^2/_5$ pisarzy gminnych zdolnych $^1/_5$ mało uzdolnionych i $^2/_5$ niezdolnych zupełnie, właściwie jednak ci mało uzdolnieni nie wiele różnią się od niezdolnych, jak to wynika z wielu uwag poczynionych przez wydziały powiatowe. Nawet pisarze podani za zdolnych, nie zawsze mogą uchodzić za takich; zdolni są oni tylko wobec zupełnego niedołęztwa innych.

Bez przesady więc powiedzieć można, że większa część gmin galicyjskich posiada administracyę zupełnie niedołężną, gdzie obok ciemnoty zwierzchności gminnej, rozpościera się nieudolność pisarza, będącego jedynym organem pomocniczym, mogącym wywierać wpływ na tę zwierzchność.

Przeszło 1000 gmin w Galicyi, czyli prawie 18% nie prowa-

dzi księgi uchwał a oprócz tego w wielu gminach księgi są prowadzone niedbale i nie dają pewności, że wszystkie uchwały są w nie wpisywane, jako też, że uchwały zostały wpisane wiernie i oddają właściwie myśl, jaką miano na oku. Na 100 gmin jest 27 takich, w których wcale posiedzeń nie bywa, które zatem obchodzą się nawet bez uchwalania budżetu, bez wysłuchania rachunków z zarządu majątkiem i kasą gminną.

Na 100 gmin jest 62, które nie czynią zadość przepisom nakazującym mieć przynajmniej 4 posiedzenia na rok. Gmin mających od 4 do 6 posiedzeń na rok, jest tylko 29%, a gmin, w których przypada jedno posiedzenie na miesiąc 4%. Niektórzy wójci nie zwołują rad, nie chcąc mieć nad sobą kontroli i nie chcąc się stosować do uchwał rady. Radni znowu często po długich sporach rozchodzą się do domów nic nie uchwaliwszy; bywa to zwykle wtedy, gdy idzie o datki na potrzeby gminne.

W takim razie radni, albo wcale na posiedzenia nie przybywają, albo dowiedziawszy się o co idzie, opuszczają takowe, aby nie dać powodu do ściągnięcia na siebie oburzenia gminy.

Zwierzchność gminna kary nie nakłada na opieszałych w uczęszczaniu na zebrania rady, chociaż ma do tego prawo, a przytem podobne kary nie stosują się do dekompletujących posiedzenie. Dekompletowanie posiedzeń przeszkadza powzięciu uchwał wprowadzając demoralizacyę polityczną do najniższych warstw społecznych, zarażając cały organizm autonomiczny galicyjski.

Na 5760 gmin, które nadesłały relacye o stosunkach policyjnych, jest 13·04% takich, które utrzymują stałą służbę policyjną, a obok tego mają polowych lub leśnych, oraz dozorców gospodarczych. 31·46% posiada samą służbę policyjną. Reszta gmin nie utrzymuje stałej służby policyjnej, a między niemi jest jeszcze 14·43½ takich, które przynajmniej mają stałych strażników polowych lub leśnych, gdy pozostałe 41·07% nie utrzymują żadnej stałej służby policyjnej.

Powszechnie też wiadomo, że w gminach wiejskich nikt nie troszczy się o zachowanie przepisów policyi ogniowej i budowlanej, że wskutek tego nietylko bezpieczeństwo od ognia, ale i zdrowie ludności bywa na szwank narażone. Przepisy policyi zdrowia zale-

dwie wyjątkowo bywają zastosowywane i to kiedy władza wyższa z większym występuje naciskiem. Policya nad przedmiotami żywności nie bywa zwykle wykonywaną. Czuwanie nad obyczajnością ogranicza się do rzadkich wypadków przytrzymania pijaka. Policya nad czeladzią nie jest wykonywaną.

Dwie trzecie gmin czyli 67% nie wydaje żadnych orzeczeń czyli wyroków, 27% gmin wydaje od 1—10 orzeczeń i niespełna 6% gmin jest takich, w których liczba orzeczeń przechodzi cyfrę 10%. Przyczyną tak małej liczby orzeczeń jest zazwyczaj wydawanie ustnych orzeczeń i nieprowadzenie lub niedbałe prowadzenie ksiąg.

O działalności sądów rozjemczych w Galicyi niema dotychczas żadnych szczegółów. Rozwiązanie rady gminnej nastąpiło w roku 1864 tylko w dwóch wypadkach. Ilość rekursów przeciw orzeczeniom zwierzchności gminnych w całej Galicyi wniesioną została w 677 wypadkach. 39·58% zmieniono a w $^2/_5$ razach został rekurs bez skutku.

Ilość wypadków wstrzymania wykonania uchwał rady gminnej wynosi tylko 69, a zarządzenie środków zaradczych na koszt gminy zdarzyło się w 225 wypadkach.

Wogóle wiadomości posiadane wskazują wyraźnie na to, że liczba faktów nieprawidłowego działania zwierzchności gminnej jest znacznie wyższą, aniżeli interwencya władz. Z tem wszystkiem istnieje 4147 wypadków zastosowania w ciągu jednego roku nadzwyczajnych środków dla usunięcia nieprawidłowego działania zwierzchności gminnych, pominąwszy już, że cyfra ta nie jest kompletną i nie obejmuje upomnień, wskazówek, których zliczyćby prawie nie było podobna, gdy tymczasem w całej Anglii, samorząd parafii, hrabstwa i innych związków dał powód w 1860 roku tylko do 275 wypadków interwencyi, licząc w to już nawet nadużycia przeciw wolności osobistej.

Widocznem więc jest, że w Galicyi nadzór zamienił się w ciągłą opiekę i władze przyzwyczajają się prowadzić gminy na pasku, lub narzekać na samorząd, co musi wywierać wpływ demoralizujący na usposobienie ludności i na jej zaufanie we własne siły.

W 5693 gminach wiejskich wydatek na płace wynosi 400.000 złr., z czego blizko połowa przypada na pisarzy gminnych a czwarta część na wójtów. Wójci, którzy przy stałej pracy nie mają żadnych innych dochodów, stanowią 40·66%. Całkiem bezpłatnie pełni obowiązek 12·51%, a przeszło $^2/_5$ wójtów pobiera wynagrodzenie w naturze, bądź jako dodatek do stałej płacy, bądź jako wyłączne wynagrodzenie. Z pomiędzy przysiężnych 18·03% pobiera wyłącznie płacę, 50·37% pełni obowiązki bezpłatnie, zatem 31·60% pobiera wynagrodzenie w naturze, obok lub bez wynagrodzenia w pieniądzach.

Ogół też wydatków na płace zwierzchności i sług gminnych wynosi niewątpliwie 600.000 złr.

Gminy galicyjskie posiadają około 600.000 morgów ziemi, z czego blisko $^2/_5$ w pastwiskach. Grunta orne wynoszą zaledwie 21.000 morgów, lasy 130.000 morgów, a nieużytki 72.000 morgów. Przytem kapitał mają znaczny, bo prawie 7 milionów guldenów, z których $^2/_3$ w obligacyach indemnizacyjnych, przeszło milion w wierzytelnościach, tylko zaś 264.000 złr. w gotówce. Dochód od kapitału wynosi przeszło 300.000 złr. Jest wogóle $8^1/_2$% gmin, którym na bieżące wydatki wystarczają dochody od kapitałów posiadanych.

Na wsi dodatki od podatków konsumcyjnych, od mięsa lub wina, nie zdarzają się prawie nigdy, wszelkie więc dodatki są brane tylko do podatków stałych. Dodatki te pobierane bywają w 76·42% gmin i wynoszą najczęściej od 10—50%. Dochód ogólny z podatków i składek wynosił 321,347 złr. Ogół dochodu 263 gmin miejskich czynił 3,655.793 złr. Najwięcej wpływu na ogólny dochód przypisać wypada podatkom konsumcyjnym wraz z propinacyą. W 5 powiatach, dochód z miast z tego źródła pochodzący przewyższa 70%, w 16 powiatach 60%, w 3 powiatach 50% i t. d. Stanowisko podatków bezpośrednich tem jest wybitniejsze, im ogólne dochody miast są mniejsze, i na odwrót przy wyższych dochodach ogólnych, procent dochodu z podatków bezpośrednich jest bardzo mały.

Nareszcie co do wydatków, to takowe są następujące: 1) podatki płacone od majątku gminnego wynoszą razem 265.627 złr.;

wydatki administracyjne w 264 miastach wynoszą 782.764 złr., służba policyjna wynosi 203.000. Utrzymanie dróg, bruków i mostów sprowadza wydatków około 300.000 złr. Koszta straży ogniowej w 91 z pomiędzy miast objętych, wynoszą 103.000 złr. Wydatek na utrzymanie zdrowia ponosi tylko 82 miast w sumie 89.006 złr. (z wydatkiem na ubogich 190.005 złr.) Wydatki szkolne wynosiły kwotę 454.000 złr. Wydatki parafialne wynoszą wogóle 9000 złr. Koszta wojskowe wynoszą razem około 212.000 złr. Nabytki majątkowe wykazane w 23 miastach 115.000 złr. Długi w ogólnej kwocie 162.000 złr. Różne wydatki 120.000 złr.

Przedstawione cyfry dają tylko bardzo niedokładne wyobrażenie o ścisłem i wybornem opracowaniu materyału statystycznego, oraz o krytycznych uwagach znajdujących się w powyższej pracy. Dr. Kleczyński, przystąpił do niniejszego studyum z dokładną znajomością prawa administracyjnego austryackiego, poprzedził też cyfry statystyczne odpowiedniemi objaśnieniami prawnemi, ułatwiając zapoznanie się z rzeczywistym stanem samorządu gminnego w Galicyi.

Spotykamy przytem nietylko cyfry ogólne, podające rezultat otrzymany w całej prowincyi ale tablice szczegółowe objaśniające nas o stanie każdej okolicy kraju z fotograficzną dokładnością.

Widzimy też, czy większa lub mniejsza własność ziemska, ludność rolna lub mało-miasteczkowa, okolica uprawna, lesista lub górzysta i t. p. nadaje się korzystniej dla rozwoju samorządu.

Ciekawsze uwagi wydziałów powiatowych są notowane troskliwie, a przytem niedokładności wszelkie materyału statystycznego wykazano sumiennie, tak, iż nietylko mamy podany materyał statystyczny, ale i krytykę tego materyału.

We wnioskach zachowana jest, godna wszelkiego uznania, przedmiotowość i logiczność, oraz zupełne wyswobodzenie się od wpływów stronniczych lub narodowościowych. Autor nie kryje faktów, które mogą być przykremi dla Królestwa Galicyi i nie używa materyału statystycznego jako broni dla namiętnych przywidzeń, dla celów politycznych obcych nauce, lub dla schlebiania krajowi. Godność nauki, sumienność badacza przebija w toku całej

pracy i jedynie w odsłonięciu prawdziwego stanu rzeczy, autor widział możność usłużenia swemu społeczeństwu.

Kończąc powyższe sprawozdanie, nie mogę się powstrzymać od wypowiedzenia kilku uwag, jakie mimowolnie się nasuwają po odczytaniu wybornej pracy dra Kleczyńskiego p. t.: „Życie gminne w Galicyi“. Rzeczywiście pierwsze wrażenie, jakie każdy z tego studyum odnieść musi, nie jest zbyt pocieszającem, albowiem stan samorządu gminnego w Galicyi, jaki tam przedstawiano jest smutny — nawet bardzo smutny.

Mimowolnie też powstają wątpliwości w umyśle każdego, formułując się w pytanie: czy owe teoretycznie doskonałe instytucye nie są tylko jedną z dość licznych mrzonek konstytucyjnych i czy rzeczywiście od samorządu gminnego można się spodziewać pożytków dla organizacyi państwowej, upatrując przyczynę dotychczasowych niepowodzeń w uporczywie dotąd trwających okolicznościach, które powoli usuwać należy.

Dotychczasowe objawy, jakie samodzielne życie gminne w Galicyi wyrobiło, są następujące: współudział ludności wiejskiej w samorządzie jest niedostatecznym, obznajmienie się takowej ze sprawami miejscowemi prawie żadne, stąd administracya lokalna nędznie prowadzona. Współudział wyższych klas jest równie słaby, i dlatego życie gminne nie objawia potrzebnej samodzielności; gmina nie jest bynajmniej instytucyą z którąby się społeczeństwo zżyło, lecz nowością trudno się przyjmującą, którą wyższę władze administracyjne muszą się nieustannie opiekować.

Trzeba naprzód zauważyć, iż Królestwo Galicyi nie znajduje się bynajmniej w wyjątkowem położeniu i że stan samorządu gminnego w innych krajach stałego lądu Europy, nie jest także kwitnącym, chociaż zapewnie gdzieniegdzie znacznie lepszym niż we wspomnianym kraju. W Niemczech np. a przedewszystkiem w Królestwie Pruskiem stosunki gminne wiele jeszcze pozostawiają do życzenia [1]), utrudniając reorganizacyę administracyi państwowej; we Francyi życie gminne również nie przedstawia niezbędnej samodzielności, tak,

[1]) Hugo von Willamowitz-Möllendorf: „Die Provinz Posen und die neue Kreisordnung“. Berlin 1877.

iż zarzuty obciążające Królestwo Galicyi są zarazem brzemieniem gniotącem i inne państwa.

Powód słabego rozwoju samorządu gminnego leży też jak się zdaje, przedewszystkiem w młodocianym jego wieku, czyli wyraźniej mówiąc, w niedawności jego istnienia. Przyjrzyjmy się pokrótce, kiedy to powstał w tych kształtach w jakich obecnie się przedstawia, i jakie powstaniu jego towarzyszyły warunki.

Rzeczywiście dopiero rok 1848, t. j. chwilę uwłaszczenia włościan i uczynienia pracy rolnej swobodną, można przyjąć w znaczniejszej części Europy, za moment, w którym organizacya gminna stanowczo przeistoczyć się musiała. Ale czy w istocie odrazu się przeistoczyła? czy przyjęła kształty, jakie niezbędnemi były, aby ją uczynić podwaliną nowego porządku państwowego? Wątpić należy w każdym razie.

Nietylko słuszną jest uwaga, jaką Stein uczynił [1]) a mianowicie: iż w tejże epoce wszystkie społeczeństwa, nadto były zajęte zreformowaniem władzy prawodawczej, aby się miały troszczyć o to, jaką treścią prawną zaopatrują nowe organa prawodawcze swoje społeczeństwa; ale oprócz tego inna okoliczność utrudniała jeszcze zajęcie się organizacyą gminną zastosowaną do nowych potrzeb. Była to sprawa niezmiernej doniosłości zwana agrarną.

Reforma powyższa absorbowała zupełnie uwagę rządów i społeczeństw, poruszała egzystencyą majątkową całych mas społecznych, drażniła niebezpieczne skłonności ubogiego ludu, osłabiając pojęcia własności, a dlatego też wymagała niezmiernie rozważnej i bacznej czynności rządu. W owych to czasach, jak trafnie zarzucał Klebs rządowi pruskiemu [2]), cała działalność państwa skupiała się około porządkowania stosunków prawno-prywatnych, jak np. skup serwitutów, wieczystych powinności, ustalenie tytułu własności i t. p., a strona prawno-państwowa, jaka właśnie przez wyswobodzenie

---

[1]) Rechtsstaat und Verwaltungsrechtspflege. Zeitschrift für das Privat- und öffent. Recht (Grünhut) T. VI, zeszyt 1, str. 32, r. 1879.

[2]) Die Landeskultur-Gesetzgebung, deren Ausführung und Erfolge in G. H. Posen, Berlin 1856, str. 308 i 309.

pracy rolnej pozyskała w ustawie gminnej prawo bytu, została zaniedbaną.

Przypatrzmy się teraz, czy rok 1848 wywołał w istocie nową organizacyę gminną odpowiednią do nowych potrzeb? Jak widzieliśmy, ustawa austryacka została wkrótce zawieszoną i nastały czasy reakcyi, a Prusy nie pożądały nawet wielkich zmian, tak, że mimo uznanej równości prawnej i swobodnej pracy, w organizacyi gminnej przechowywał się i po 1848 r. pierwiastek stanowy niezgodny z konstytucyami państwowemi.

Spotykamy się też z faktem, że dziedziny dawne szlacheckie są wyłączone z obszarów gminnych i stanowią zawsze odrębny porządek gminny; że dawni pańszczyźniani dziedzice otrzymują w obrębie swych dóbr władzę policyjną pod odrębnym nadzorem państwa. Jednem słowem, rządy pragną podrażnionych reformą agrarną większych właścicieli ugłaskać kosztem organizacyi gminnej t. j. zachowując dla nich odrębne stanowisko w gminie i czyniąc przez to reformę ustawy w duchu konstytucyjnym niemożliwą.

Przytem nadmienić wypada jeszcze, w jakich to okolicznościach danem było nowemu porządkowi gminnemu, którego istnienie zaledwie lat kilkanaście liczy, stawiać pierwsze kroki. Reforma agrarna, jakkolwiek np. w Prusach ze względnością wprowadzona, powaśniła jednak wszędzie na dłuższy czas, klasy społeczne rolne [1]). Więksi właściciele i włościanie pozostali przez pewnę epokę, w nieszczególnem usposobieniu względem siebie, nie byli skłonnymi pracować wspólnie, a prócz tego organizacye gminne ówczesne nie zbliżały ich zbytecznie do siebie.

Dlatego też ani interesa wspólne, ani przejściowe organizacye gminne, nie mogły wpływać na pomyślny rozwój samorządu gminnego i pozostał on jedynie postulatem przyszłości, któremu gorące słowa poświęcono w izbach sejmowych.

Królestwo Galicyi znajdowało się może w nieco gorszem położeniu niż inne prowincye państw zachodnich. Rok 1848 przeminął

---

[1]) W dziele Klebsa: „Die Landeskulturgesetzgebung“ i t. d., mamy na to najlepsze dowody, Porównać przytem ciekawe uwagi w pracy v. d. Goltza: „Die ländliche Arbeiterfrage“. Str. 14.

dla miejscowej organizacyi gminnej bez wpływu pozostawiając sprzeczne socyalne interesa, bez ogniska jednoczącego, a rok 1846 w niektórych miejscowościach pozostawił bolesne wspomnienia, rozdzielające na długo obywateli jednego kraju. Ustawa z 1866 roku zastała też grunt bardzo nieprzygotowany, najeżony zewsząd olbrzymiemi trudnościami i dlatego nie dziw, że w 11 latach nie stworzyła tego, co kilka wieków wytrwale niszczyło, że nie nauczyła jeszcze pracować dzielnie wspólnemi siłami, gdy tyle czasu uczyło żyć oddzielnie, w ciasnem kole obwarowanem przywilejami.

Przytem ustawa z 1866 roku nie wszędzie wywiązała się należycie ze swego zadania, nie zawsze przeprowadziła konsekwentnie myśl przyświecającą nowemu porządkowi konstytucyjnemu. Nie chcę przez to bynajmniej obwiniać prawodawców, gdyż ci nie mieli nigdzie gotowych wzorów a rachować się musieli z wieloma pozostałościami lat ubiegłych, lecz pozwolę sobie przynajmniej uczynić dwie uwagi czysto teoretycznej natury, wykazujące, że nawet w ciągu tych 12 lat, istniały przeszkody w samej ustawie z 1866 roku, tamujące rozwój samorządu gminnego.

Pierwszą przeszkodę stanowił podział na obszary dworskie i gminne, wytwarzający dwa rodzaje gmin, w których odrębnie włościanie niezależni i więksi właściciele żyć mogli. Nie wchodzę w to, że sejm krajowy widział się prawie zmuszonym podział ten w roku 1866 zachować; nadmieniam tylko, iż tego rodzaju organizacya władzy publicznej, oddzielająca klasy społeczne od siebie zamiast je łączyć, jest niezmiernie szkodliwą i utrudnia postęp samorządu.

W Rosyi, gdzie również są organa samorządu wyłącznie włościan obejmujące (wołost), zauważono także [1]), iż samorząd z tego powodu przybiera postać chaotyczną. Wprawdzie po dziś dzień spotykamy głosy sprzeciwiające się utworzeniu w Rosyi ogólnej gminy

[1]) О всесословной волости — Кошелевъ, patrz Бесѣда 1872 r. str. 104; porównać przytem w tejże Бесѣда T. IX. r. 1872 rozprawę Koliupanowa p t.: Есть-ли настоятельная необходимость въ немедленномъ у насъ учрежденіи всесословныхъ волостей; por. także Dmitriewa: Всесословная волость по проэктамъ петер-бургскихъ дворянъ r 1875.

(wsiesosłowna wołost), ale przytem przytaczane powody są mylne, i większość żąda reformy [1]).

Podział ten istniejący w Galicyi utrudnił postęp samorządu miejscowego. Zarząd spraw lokalnych przedstawia się rzeczywiście chaotycznie; widać w radzie brak wpływu inteligentnych warstw i większą apatyą w oświeconych klasach, aniżeli np. w Królestwie Polskiem, gdzie tego rozdziału po 1864 roku nie było. Wśród włościan osamotnionych większa się objawia niezaradność i większe symptomata zepsucia zwłaszcza od 1875 roku.

Drugim błędem, jaki w ustawie z 1866 r. spotykamy, jest ten mianowicie: iż organizując gminę, która miała być podwaliną nowego porządka konstytucyjnego, zachowała stary obręb terytoryalny, wytworzony dawnemi i odmiennemi potrzebami miejscowemi. Łączenie dobrowolne obszarów nie zaradzało bynajmniej złemu i nie usuwało niedogodności.

Gmina na to, aby została organem władzy publicznej spełniającym liczne zadania miejscowe, potrzebuje koniecznie zasobów duchownych i materyalnych pod postacią ludzi i ziemi. Gdzież zaś da się przeprowadzić system reprezentacyjny w ustroju gminnym, w jaki sposób może ona zostać podstawą życia konstytucyjnego, jeśli jej obszar będzie wynosił kilkanaście włók, lub obejmował kilku zaledwie wyborców.

Będzie to tylko parodyą gminy, a tego rodzaju organa władzy publicznej nie będą nigdy w stanie spełnić tych zadań, jakich po nich nowy porządek państwowy wymagać będzie.

Dlatego też dawne jednostki terytoryalne, bez względu na ich historyczne uprawnienie, winny być zniesionemi, a gminę należy uposażyć w taki zasób ziemi i ludzi, jakiego jej istota i jej zadania wymagają. Dawne pozostałości winny ustąpić potrzebom nowego porządku a przedewszystkiem musi koniecznie pozyskać uznanie charakter publiczny samorządu gminnego, przed którym winna ustąpić wola miejscowej ludności.

Jak widzimy więc, zaledwie lat kilkanaście oddziaływała

---

[1]) Wasilczykow w dziele swem: О самоуправленіи stanowczo się oświadcza za powyższą reformą.

ustawa z 1866 roku na społeczeństwo galicyjskie, i to oddziaływała w warunkach trudnych, nie pozbywszy się zasadniczych błędów w swojem łonie. Owoc też osiągnięty nie mógł być zbyt wspaniałym i pozostało jeszcze dużo do zrobienia. Ale mimo to niema najmniejszych powodów do zniechęcenia i winienem jeszcze raz powtórzyć, że lat kilkanaście pracy nie może usunąć w zupełności błędów wytworzonych wiekami.

8.

WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI [1]).

Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich.

Zaciekawiającym rzeczywiście tytułem ozdobione zostało studyum p. Smoleńskiego, poświęcone bardzo drobiazgowej kwestyi z historyi prawa państwowego w Polsce.

Jeżeli bowiem przypomnimy sobie z jaką troskliwością i pieczołowitością pamiętało prawo państwowe polskie, o pożytkach rycerstwa, jakich przywilejów używali owi „electores regum et destructores tyrannorum“, to wyda nam się prawie niepodobieństwem, abyśmy tych samych „małych monarchów“, jak ich nazywał Fredro, których „kondycyi nie równało się nic w Europie, ba! nawet na całym świecie“, ujrzeli w upokarzającej sytuacyi poddanych i to nawet nie żadnego z książąt biskupów, ale w poddaństwie zwykłego proboszcza płockiego, którego godność książęca była bardzo podejrzanego pochodzenia.

Sam więc tytuł pracy, jak wspomniałem, zachęca każdego do poznania treści, a takowa przedstawia się następująco.

We wstępie autor nadmienia, że już w pierwszej połowie dwunastego stulecia, z powodu dokonanego przez Bolesława podziału Polski, powaga staropiastowskiej centralizacyi została zachwianą, w następstwie czego wszystkie warstwy społeczne pragną zrzucić z siebie jarzmo państwowej niewoli.

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1879.

Z książęcych przywilejów korzystało przedewszystkiem rycerstwo i stan duchowny; ostatni nawet, niezadowolniony z czynionych mu ustępstw, najwcześniej ku wyższym wspina się celom, a nie małem to dla ich dążeń było poparciem, skoro sami książęta z nieufności we własną potęgę, czy z pobożności a poszanowania dla władzy duchownej, rozporządzenia swoje osłaniali puklerzem kościoła.

Dość wspomnieć statuta Mikołaja Trąby, edykta wieluńskie z r. 1433, jedlnieńską konfederacyę z r. 1439 i lauda krakowskie, by zaznaczyć doniosłość zdobyczy, jakie hierarchia duchowna na tem polu zdołała osiągnąć. Wprawdzie pod koniec XV wieku teokratyzm zostaje rozbity; wetując jednak stratę dawnej pozycyi a ze słabości państwa umiejąc korzystać, duchowieństwo wciąż się z niego jako ciało odrębne wynurza i nigdy z wyjątkowego nie chce ustąpić stanowiska. Mie mogąc być w Rzeczypospolitej głową, woli w niej egzystować jako ułomny, lecz samodzielny organizm, niż jako zdrowy, choć służbie państwowej całości oddany członek.

Działałyż na Rzeczpospolitą dodatnio kościelne księstwa: łowickie, warmińskie, siewierskie, pułtuskie i mikroskopijne sieluńskie? Autor kreśląc historyę jednego z tych księstw, t. j. sieluńskiego, ma zamiar rozjaśnić naukowo niniejsze pytanie.

W pierwszym rozdziale spotykamy się też z dziejami biskupstwa płockiego, od którego się później tak zwane „księstwo sieluńskie“ odłączyło. Dowiadujemy się stamtąd, iż przed ośmioma wiekami założone biskupstwo płockie przerastało inne decyzye nietylko rozległością granic, ale i bogactwami. W r. 1203 należało do biskupstwa pięć kastelatur zawierających wsi około dwustu trzydziestu, a oprócz lasów i łąk, polowania, rybołostwa, i bobrów, dochodów z karczem i targów, szły na korzyść biskupa, podymne i stróża, wpływające niegdyś do skarbu książąt.

W r. 1231 panujący uwalniają dobra biskupie od danin, posług rządowych i podwórowego, narazu, przewodu, budowy zamków, warzenia piwa, podejmowania pisarzy, łowczych i sokolników książęcych – wyłączają przywiązanych do ziemi poddanych kościoła z pod sądu książąt i oswabadzają ludność dóbr duchownych od obowiązku wypraw wojennych. W ośm lat później Konrad nowy wy-

stawia dokument, w którym nietylko przywiązanych do ziemi, lecz i ludzi swobodnych wyłącznie oddaje pod sąd ich panów.

Dobiło się przeto biskupstwo płockie do praw książęcych. Członkowie jego wolni byli od ciężarów państwowych i, wyjąwszy z majątków nieruchomych, nie odpowiadali przed sądem świeckim, a nad ludźmi swoimi nieograniczoną posiadali władzę.

Po złączeniu Mazowsza z Koroną, biskupi zyskują od Zygmunta I potwierdzenie nadanych im przez książąt przywilejów i rozwijają znakomicie swój wpływ, zasługując się sprawie katolickiego kościoła. Jako przykład ich skutecznego działania może służyć fakt, że za rządów biskupa Noskowskiego, jedyny w dyecezyi heretyk musiał się przenieść do innych dzielnic.

W XVI wieku powtarzają się też na Mazowszu te same starcia stanu rycerskiego z duchownym, co w innych prowincyach Rzeczypospolitej i posłowie mazowieccy skarżą się, „jako jest uciśniony i stan rycerski i człowiek pospolity od panów duchownych“. W XVII i XVIII wieku, stosunki te pogarszają się jeszcze znacznie, szlachta procesuje się z biskupami, nie zbywa nawet na burzliwych agitacyach i buntach na małą skalę, skutkiem których, burmistrz, rajcy, ławnicy i całe pospólstwo Wyszkowa wypowiada biskupom posłuszeństwo, odmawia podatków, powinności i danin.

W drugim rozdziale spotykamy się dopiero z historyą odłączonej już w XIII wieku od biskupstwa płockiego ziemi sieluńskiej, jako uposażeniu proboszczów płockich. Obwód sieluński składał się z pięciu kluczów zawierających pięć wójtostw i wsi siedmnaście. Proboszcz płocki tak z pozycyi w kościele jak z dochodów i znaczenia w swych dobrach „figurę miał znaczną“, pisał się „praepositus magnus“ w kapitule był pierwszym prałatem, a jako pan zwierzchni za zgodą kolegów czynił nadania gruntów, lasów, zarośli, i łąk w obwodzie sieluńskim. Włości swoje przenosił z prawa polskiego na niemieckie, stanowił wójtostwa, sołectwa, wszystkich urzędników kreował, a zasłużonych nagradzał wsiami, pod warunkiem czynienia posług i ponoszenia pewnych ciężarów.

Ponieważ oprócz znakomitego uposażenia proboszczowie nieograniczoną posiadali władzę, nie dziw przeto, że o tak ponętną po-

zycyę ubiegali się ludzie z najznakomitszych pochodzący rodzin i że prepozyturę przekładano nad niejedno biskupstwo.

Wśród wzmiankowanej ziemi sieluńskiej znajdowało się dwadzieścia kilka osad zamieszkałych w XVIII wieku, blisko przez siedmset szlachty. Rycerstwo tej ziemi posiadało różne przywileje, ale stan jej w porównaniu z Koroną nie był bynajmniej znośnym.

Ogół szlachty mazowieckiej wciąż się uginał pod brzemieniem książęcych danin i jedynie drogą spokojnych ustępstw, rycerstwo pozyskiwało swobody. Jednakże ten czysto ekonomiczny, bez politycznego zabarwienia charakter mazowieckiego ruchu, przywiązanie szlachty do księstwa jako do państwa niezmiernie osłabiał. To nam wyjaśniło, dlaczego szlachta sieluńska z własnej inicyatywy zerwawszy stosunki z księstwem, wyosobniła się z niego i sama weszła pod protektorat płockich proboszczów, których majętności od wszelkich uwolnione ciężarów, stanowiły statum in statu.

A więc korzyści materyalne i niezawodnie niekłamany afekt ku sługom kościoła, nęciły prawowierną szlachtę w stronę proboszczów, ci zaś ostatni, radzi bardzo zwiększyć powagę przez ujęcie pod skrzydła swej władzy, w obrębie pięciu kluczów mieszkające rycerstwo, wzajemnem rozgorzeli uczuciem.

Na końcu XV wieku, gdy proboszczem płockim został syn księcia Ziemowita, Henryk, urabia się stanowczo stosunek zwierzchniczy proboszczów nad szlachtą i to nietylko przez afekt dla kleru, ale jako następstwo rekognicyi ku krwi panujących książąt. Rycerstwo udawało się chętnie do sądów nadwornych proboszczów i zamiast do Ostrołęki lub Rożana z zeznaniami sprzedaży, kupna i zamian, udaje się do Sielunia i od 1413 roku rozpoczynają się tego rodzaju zeznania „in fortalitio Schelun“, a proboszcz, wydając z tej okoliczności przywilej, nazwał rycerstwo — „terrigenae nostri“.

Na początku XV wieku, proboszczowie płoccy za pośrednictwem zamiany gruntów, starali się rozbić skupioną szlachtę rozprószyć po różnych wioskach i, mieszając z chłopami zetrzeć z niej cechę pochodzenia.

We wszystkich też aktach z końca XV i początku XVI wieku,

zeznający uznali się w zależności feudalnej od swoich panów proboszczów, a ci przywłaszczali sobie nad szlachtą władzę udzielną cum jure gladii i bez odwoływania się do księcia.

Po złączeniu Mazowsza z Koroną, szlachta sieluńska na swój stosunek do wielkich proboszczów innem poczęła spoglądać okiem.

Pod każdym względem korzystniejszem teraz było uważać się za obywateli Rzeczypospolitej, niż zostawać w poddaństwie księży, zapragnęła przeto protektoratu się pozbyć.

Każdy ze szlachty okazawszy w grodzie swojego powiatu nadania i przywileje książąt, stawał się wolnym, a że rycerstwo sieluńskie dokumenty odziedziczone po ojcach starannie chowało w skrzyni i w każdej chwili mogło je w urzędzie okazać, narażali się przeto proboszczowie na utratę kilkuset rodzin dotychczas poddańczych, a co ważniejsza, z obowiązku zależności spory dających dochód.

Stracie tej zapobiegł proboszcz Mikołaj Półkozic Wolski. W r. 1558 zbrojnymi otoczony ludźmi napada na chaty rycerskie, odbija w mieszkaniach skrzynki, znalezione w nich papiery zabiera, a niektórych ze szlachty, że opierać się śmieli, zamyka w więzieniu. Jeden tylko oryginalny ocalał przywilej na wioskę Rupino.

Wszystkie skargi na gwałtowny postępek Wolskiego pozostały bez skutku, a tymczasem lauda ziemi rożańskiej nie przyznawały się do spójni z bracią poddaną proboszczom i proboszczowie nakładali w dalszym ciągu na rycerstwo sieluńskie podatki i rozciągali nad nią dominium vitae ac necis.

Jedyną drogą, jaka szlachcie w tak trudnych okolicznościach pozostała, było udowodnienie pochodzenia rycerskiego i spełniania obowiązków właściwych tylko rycerstwu. Jednak tego rodzaju usiłowania w niezbyt świetny dojrzały owoc, albowiem trzech tylko mężów zdołało potrzebne dowody zgromadzić.

Mimo to wszakże szlachta protestowała ciągle przeciw wtłaczanemu na nią siłą — charakterowi poddańczości, biorąc udział na zjazdach pod Wolą, a Rzeczpospolita nie odmawiała szlachcie sieluńskiej w zupełności praw obywatelstwa, skoro nietylko że jej

dozwalała pełnić obowiązki właściwe rycerstwu, ale nawet wymagała od niej takowych.

Jednakże rząd Rzeczypospolitej, jak autor słusznie objaśnia, okazał się względem szlachty sieluńskiej dziwnie niekonsekwentnym. Zobowiązał ją bowiem do ponoszenia ciężarów i służby wojennej, a obok tego zależności poddańczej względem proboszców jakby nie widział. Pomimo tego braku poparcia w r. 1760, mężowie największej wśród sielunian powagi, we własnem i współbraci imieniu pozwali proboszcza i kapitułę płocką przed sąd ziemski różański. Sądy jednak zawyrokowały niepomyślnie, zaliczając rycerstwo do rzędu „incolas jure regni non gaudentes".

Szlachta jednak nie zrażona tem niepowodzeniem, przeciw kondemnacyi trybunalskiej wniosła skargę i zyskała przynajmniej moralnie cośkolwiek, albowiem jej sprawę trybunały w r. 1767 odesłały do sejmu.

Dopiero w roku 1776 przyszedł spór szlachty sieluńskiej przed rozpoznanie sejmujących, lecz nie został bynajmniej załatwionym tylko odesłanym do sądów sejmowych, a następnie znowu do trybunału.

Na sejmie czteroletnim ukazuje się ponownie ta sama sprawa a w roku 1791 proboszcz Szeptycki zrzeka się dobrowolnie wszelkiej nad szlachtą władzy, czyli, że dzień 29 listopada 1791 roku jest ostatecznym kresem tego sporu a zarazem i poddaństwa szlachty.

Autor kończy swą interesującą pracę życzeniem, aby doszła do rąk potomków szlachty sieluńskiej „niech synom rozmiłowanych w swobodzie rycerzy przypomni trzywiekowe zapasy z panami, w ich piersiach niech wznieci ten szczery zapał, jakim nieustannie nieszczęśliwi gorzeli ojcowie".

Przystępując do uwag krytycznych z góry zastrzedz winienem, iż nie uznaję się kompetentnym do rozstrzygnięcia pytania, czy autor spożytkował wszystkie materyały archiwalne i czy to uczynił w sposób odpowiedni?

Pod tym względem mogę tylko podzielić się z czytelnikiem prostem wrażeniem, jakie sprawia przejrzenie źródeł zebranych przez autora, a tem jest, że starannie i skrzętnie je zgroma-

dził, aby z kwestyi suchej i drobiazgowej stworzyć pełen życia obraz.

Przechodząc do rozprawy, to najwięcej chyba będę miał do zarzucenia samemu tytułowi. Tytuł bowiem książki brzmi: „Mazowiecka szlachta w poddaństwie proboszczów płockich“ i nie określa ściśle tego co rozprawa zawiera. Poddaństwo jest wprawdzie terminem oznaczającym stosunki i obowiązki obywatela względem państwa lub monarchy — ale daleko częściej było używanem w znaczeniu ekonomiczno-prawnem jako określenie stosunku włościanina względem możnowładcy. Różnica tych dwóch pojęć była znaczną, jakkolwiek obejmował je jeden termin i dlatego też tytuł pracy p. Smoleńskiego nie wyraża, czy poddaństwo było tylko politycznej, czy i ekonomicznej natury, rzeczywistości zatem musimy szukać skrzętnie w środku rozprawy. Jakkolwiek też nie mogę autorowi formalnie uczynić zarzutu, aby użył złego terminu, sądzę jednak, iż właściwszym byłby nadpis: „Zwierzchnictwo proboszczów płockich nad szlachtą mazowiecką“, jako malujący lepiej położenie rzeczy.

Powtóre, zdaje mi się, że tytuł pracy nie pozostaje w zgodzie z jej treścią. Tytuł bowiem zapowiada poddaństwo szlachty a treść dowodzi jedynie, że szlachta niewylegitymowana, która przywilej pochodzenia rycerskiego zatraciła, pozostawała w tym stosunku. Owszem, w tejże samej pracy istnieją dowody, że szlachta w całem znaczeniu tego słowa, t. j. mogąca swe pochodzenie udowodnić nie zostawała w poddaństwie dygnitarzy kościelnych, lecz używała praw na równi z resztą rycerstwa Korony.

Szkoda także, że autor odosobnił położenie szlachty sieluńskiej od podobnego położenia rycerstwa w księstwie pułtuskiem, warmińskiem i t. p. Łącząc powyższe przedmioty, byłby nam rozwiązał jedno z drobiazgowych pytań prawa państwowego polskiego i dozwolił dokładnie wniknąć w naturę tych anormalnych stosunków. Tak zaś wiemy, że prawa zwierzchnicze proboszczów płockich powstały na drodze gwałtu, iż całkowicie nigdy nie były uznanemi przez Rzeczpospolitą i tembardziej jesteśmy zaciekawieni, czy na tej samej drodze powstały przywileje wielkich dygnitarzy duchownych, uposażonych księstwami.

Muszę jeszcze autora zaczepić o kilka wyrażeń, zamieszczonych we wstępie, a to dlatego, iż są zbyt pobieżnie rzucone i mogą dać powód do złego tłómaczenia. Tak np. mówiąc o stosunkach naszego kraju, autor twierdzi, „iż pod koniec XV wieku teokratyzm zostaje rozbity“. Terminu tego „teokratyzm“ nie możemy tutaj zrozumieć. Jeśli bowiem ma oznaczać teokratyczne rządy, to wprowadzałby na mylne tory, gdyż teokracyi u nas nie było i nauka prawa państwowego pod teokracyą zupełnie co innego rozumie. Może być też mowa o teokratycznych dążeniach duchowieństwa, ale nigdy o teokracyi, jako stanie istniejącym i wątpię, aby autor miał coś podobnego na myśli, tylko przypisuję pozór cały nieodpowiedniemu doborowi wyrażenia.

Również kreśląc dążenia i wpływ stanu duchownego, szkoda, iż autor nie wniknął bardziej w istotę konstytucyj stanowych i nie porównał wpływu duchowieństwa z działaniem innych stanów. Może byłby wówczas złagodził niektóre wyrażenia, zwłaszcza te, co w obecnem zaostrzeniu mogą być poczytanemi za zbyt surowe potępienie. Pokazałoby się bowiem w takim razie, iż do każdego możnego stanu da się stosować dewiza: „non pascunt, sed pascuntur“ i że żaden potężny stan nie abdykuje dobrowolnie z uprzywilejowanego stanowiska, lecz musi być do tego okolicznościami sprzyjającemi zmuszonym.

Porównanie takie usunęłoby pewien cień rozdrażnienia i harmonizowałoby lepiej z tonem objektywnym, jaki panuje w całej rozprawie.

Ustęp ostatni, przypominający synom rozmiłowanych w swobodzie rycerzy trzywiekowe zapasy i t. d. uważam za niedpowiedni, któryby można z pożytkiem dla pracy opuścić zupełnie. Ci sami bowiem rycerze rozmiłowani byli w swobodzie bardzo egoistycznej, bo wyłączającej włościan i mieszczan, a ten szczery zapał, jakim gorzeli, nie umiał się godzić z porządkiem i obowiązkiem publicznym; lecz objawiał się w równie szczerem, równie zapalonem gnieceniu słabszych.

Już to samo, że czyniąc zarzuty pracy p. Smoleńskiego musiałem się ograniczyć na samych drobiazgowych zastrzeżeniach,

zdradza moje przekonanie, iż szereg dodatnich stron rozprawy jest nierównie większy. Rzeczywiście przedmiot na pozór suchy i bardzo specyalny przedstawiony jest tu z dokładnością i ujęty, w pełen wdzięku obraz. Szkoda tylko — muszę jeszcze raz powtórzyć, że autor nie rozszerzył cokolwiek zakresu swej pracy i nie przedstawił nam położenia szlachty pułtuskiej, warmińskiej, siewierskiej i łowickiej.

9.

ŚWIĘTOCHOWSKI. — CHMIELOWSKI [1]).

Wolter, w stuletnią rocznicę jego śmierci, przez Aleksandra Swiętochowskiego. Rousseau, w stuletnią rocznicę jego śmierci, przez Piotra Chmielowskiego.

Stuletnia rocznica śmierci Woltera i Rousseau'a była owym sygnałem dziejowym, przypominającym potężne walki i nowe kierunki, jakimi zarazem przestraszał i zachwycał schyłek wieku XVIII.

Wszędzie też poświęcono tym dwom zagorzałym szermierzom nowego porządku społecznego, obszerniejsze lub krótsze wzmianki, a literatura nasza nie zrywając tradycyjnego związku z pracą umysłową Zachodu, zaznaczyła również swą o owych mężach pamięć, występując z szeregiem studyów, zastanawiających się nad ich naukową działalnością.

Przedewszystkiem wypada jednak wspomnieć prace p. Świętochowskiego i Chmielowskiego, gdyż one rozpoczęły szereg i uprzedziły inne, wywierając przez to znaczniejszy wpływ na przekonania swego społeczeństwa.

Postanowiłem też zająć na chwilę uwagę czytelnika powyższemi studyami i w tym celu zastanowię się naprzód nad ich charakterem.

Treściwe przedstawienie nietylko historyi życia, ale i stosunków społeczno-politycznych XVIII w., oraz doniosłości prac Woltera i Rousseau, przekonywa, że piszący nie mieli zamiaru stworzyć wyczerpującego studyum, któreby mogło wzbogacić naukę wykazywa-

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1877.

niem nowych, dotąd niedostrzeżonych stron w pracach rozbieranych autorów, ale że pragnęli podać swojemu społeczeństwu udatny i zgodny z prawdą szkic, któryby nie walczył o lepsze w zakresie subtelności naukowych, lecz uwydatnił doniosłość naukową Woltera i Rousseau, oraz wykazał wpływ ich na rozwój ówczesnego społeczeństwa.

W studyach panów Świętochowskiego i Chmielowskiego przebija właśnie ów cel popularyzowania pojęć o naukowej działalności tych dwóch mężów, a do wypowiedzenia tego czuję się tem bardziej upoważnionym, iż autorowie opierali się niekiedy tylko bezpośrednio na pracach rozbieranych autorów, przeważnie zaś posiłkowali się studyami, jakich im obce dostarczyły literatury.

Zaznaczenie tego kierunku prac panów Świętochowskiego i Chmielowskiego uważałem za tem potrzebniejsze, iż ten kierunek wpłynie znacznie na wymagania i sąd krytyka. Zarzuty, iż wiele szczegółów pominięto, iż nie wszystkie przymioty i wady dzieł rozbieranych podniesionemi zostały, upadają same przez się, gdyż autorowie nie traktat naukowy w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz studyum literackie, uprzytomniające najważniejsze wyniki działalności naukowej, mieli na celu.

Zakreśliwszy sobie w ten sposób granicę dla uwag krytycznych, przechodzę naprzód do pracy pana Świętochowskiego o Wolterze.

Przedstawiwszy krótko stan społeczno-polityczny w XVIII wieku, p. Świętochowski dochodzi do przekonania, że już od połowy przeszłego stulecia słychać było we Francyi rwanie się i pękanie wewnętrznych wiązadeł, widać było złowrogie rysy w ścianach budowy, która wkrótce z takim łoskotem runęła.

„Zapewnie wielu miało prawo do przyznania sobie udziału w tej ruinie, powiada p. Ś., ale nikomu tron z jej gruzów nie należał się słuszniej, jak wielkiemu patryarsze rewolucyi, który dotąd na nim króluje, Wolterowi“.

Dalej następuje piękna charakterystyka talentu Woltera, czerpana z Tain'a, którą w streszczeniu krótkiem podaję. „Tego rodzaju umysł (jak Woltera) nie jest zdolny do hamowania się: z natury wojowniczy i gwałtowny, łaje, lży, improwizuje, pisze pod natchnie-

niem wrażenia, nie gardzi w potrzebie żadnem słowem, nawet najrubaszniejszem. Każda jego myśl jest wybuchem, wzruszenia skokiem, obraz iskrą. Oddaje się czytelnikowi całkiem i przez to go zdobywa. Niepodobna mu się oprzeć, tak silnie zaraża. Istota z powietrza i płomienia, najwrażliwsza, jaka kiedykolwiek była, złożona z eteryczniejszych i ruchliwszych atomów, niż inni ludzie i t. d.“

W dalszym zaś ciągu czytamy: (str. 5) „Nie był to umysł zdolny do wielkich odkryć w dziedzinie wiedzy lub nieśmiertelnych tworów w dziedzinie sztuki, ale był to umysł, przerabiający najgłębsze prawdy na pojęcia gotowe do powszechnego obiegu i stwarzający artystyczne dzieła, godne czci swojego czasu“.

„Nie w jego duszy tryskały źródła nauki, którą naokoło siebie rozlewał, ale w nim ona najobficiej się zbierała i najszerzej rozpłynęła. Był Wolter, jeżeli tak rzec można, duchowym telegrafem swej epoki, którego druty przez pół wieku sprowadzały wiedzę z najznakomitszych jej ognisk i rozsyłały do najodleglejszych zakątków. Jeśli każdy pisarz jest pojedynczą umiejętnością, Wolter był encyklopedystą, jeśli każdy zapaśnik nowych idei pojedyńczą bronią, Wolter był arsenałem. Jak słusznie wyraża się Haettner, on wyniósł na powszedni targ to, co dotąd było w milczeniu i tajemnicy chowaną nauką odosobnionych kółek“.

Następnie zauważył p. Świętochowski, iż natura dała bezwątpienia Wolterowi nietylko zdolności, ale i specyalną wrażliwość wolnomyśliciela, warunki wszakże życia pomogły mu wielce do szybkiego i swobodnego rozwoju. „Gdy za panowania Ludwika XIV Francuzi odsuwali się od Anglii, gardząc jej barbarzyństwem, w drugiej połowie XVIII wieku poczyna się ścisły związek duchowy obu narodów i silne oddziaływanie Anglii na Francyę, a główną sprężyną tego ruchu był Wolter, który poznawszy przed innymi angielskie piśmiennictwo i społeczno-polityczne życie, zaczął pospiesznie przeszczepiać zdobyte w tem badaniu idee na grunt ojczysty“.

Potem wykazuje autor, że najsilniej przemówiła do Woltera fizyka Newtona. Nietylko jej zasady rozwinął i spopularyzował, ale nadto oparł na nich całą niemal swoją filozofię. Teizm angielskiego badacza stał się dla niego głównym religijnym i moralnym dogma-

tem. Zarzuty zaś, oskarżające Woltera o materyalizm i zaprzeczenie istności Boga, są zdaniem p. Świętochowskiego bezzasadnemi.

„W psychologii postępując za Lockiem, zawahał się Wolter na czas pewien, gdy go mistrz doprowadził do uznania zależności woli. Jako teista, wyznawca boskich rządów świata, wniosku tego szkoły deterministów przyjąć nie mógł. W etyce swojej poszedł Wolter za ogólnym XVIII wieku zwyczajem podsłuchiwania głosów natury i spisywania jej kodeksów. Wtedy filozofia praktyczna odbywała rewizyę wszelkiego ustawodawstwa i wykrywała jego nadużycia. Jak reformacya w religii powstawała przeciwko sfałszowaniu biblii (sic), tak rewolucya w etyce powstawała przeciwko sfałszowaniu prawd natury i usiłowała przywrócić właściwe ich brzmienie“.

„Najgłówniejszym i najszerszym wyłomem, jaki Wolter zrobił w przesądach swojego wieku, było głębokie poszczerbienie wszystkich warowni fanatyzmu“.

„Po burzy, jaką sprawiły jego pisma, zdławione piersi świeższem odetchnęły powietrzem, którego wcale nie zdołał zaswędzić dym stosów, na których pisma te palono. Kiedy Franklin przedstawił Wolterowi swego wnuka, sędziwy poeta pobłogosławił go słowami: Bóg i wolność. Było to rzeczywiście naczelne hasło jego całej walki“.

„Wolter, jak surowy i nieustraszony apostoł nowej wiary, kruszył te bałwany fanatyzmu z bezprzykładną odwagą. Gdy mu wyrzucano, że nic natomiast nie stawia, odpowiadał: Ja was uwolniłem od dzikiego zwierza, który was pożerał, a wy chcecie, ażebym coś na jego miejsce postawił“.

Następnie stawia p. Świętochowski pytanie: dlaczego Wolter, którego etyka wcale nie stanęła na krańcu przeciwległym Chrystusowi, który głosił zasady miłości i sprawiedliwości, był i jest przedmiotem zapamiętałych prześladowań duchowieństwa? — a odpowiedź na to znajduje łatwą, — twierdząc, że uderzał w te struny, które w sercach ogółu przyjaznem echem odezwać się mogły, że pokonywał fanatyzm bronią praw i uczuć powszechnie ludzkich — dlatego ściągnął na siebie jego nienawiść.

„W religijnem bowiem umiarkowaniu Woltera spoczywała jego siła i niebezpieczeństwo dla przesądów, z któremi walczył“.

„Wolter z zasady i głównie występował przeciwko uciskowi hierarchii duchownej, świecką napadał jedynie częściowo i pośrednio. Rząd kościoła chciałby bezwzględnie usunąć, rząd państwa tylko ulepszyć. Najlepiej podobno określa pogląd jego w tym kierunku Haettner, gdy wyznanie polityczne Woltera nazywa — oświeconym despotyzmem“.

Przytem z dziedziny polityki przytacza p. Świętochowski następujące maksymy polityczne Woltera. We wszystkich społeczeństwach tylko bojaźń trzyma naród na wodzy. Honor jest główną pobudką u tych, którzy nie tyle troszczą się o swoje utrzymanie, ile raczej o swoją próżność. Cnota ożywia jedynie małą liczbę ludzi, jest bardzo rzadką we wszystkich krajach i wiekach. Lud do samodzielnego ukształcenia się nie posiada ani czasu, ani zdolności. Zdaje się koniecznem, aby istniało ciemne pospólstwo; gdy ono zacznie rozumować — wszystko stracone.

Zaznaczam obecnie tylko nawiasowo, iż powyższe maksymy wraz z teoryą oświeconego absolutyzmu wychodziły z tych samych ust, co owe namaszczone błogosławieństwo, dane Franklina wnukowi, zawarte w słowach: Bóg i wolność.

Do powyższego pesymizmu, objaśnia p. Świętochowski, doszedł Wolter wtedy dopiero, gdy jako posiadacz ziemski zetknął się bliżej z ludem. Przedtem w pismach, powstałych niezależnie od tego doświadczenia, przechyla on się tak dalece na stronę demokracyi, że nie prędzej obiecuje uwierzyć w wyższość szlachty, aż rycerz narodzi się z ostrogami u pięt, a chłop z siodłem na grzbiecie.

Wolter poruszył wszystkie swoje wpływy i siły, ażeby jurajskim niewolnikom ulżyć jarzmo poddaństwa. Gdy Turgot musiał ustąpić z ministeryum, wtedy ze wzburzonego serca Woltera wyrwał się krzyk zgrozy, a równocześnie zapłonęło ono niepohamowanem uwielbieniem dla pokonanego bohatera. Widziano go, jak rzucił się na ręce Turgota, zrosił je łzami i, całując mimo oporu, wołał głosem, łkaniami przerywanym: pozwól mi ucałować tę rękę, która podpisała zbawienie narodu.

Następnie rozbiera p. Świętochowski wawrzyny Woltera, na polu historyi, twierdząc, iż nikt jego zasług w tym kierunku sprawiedliwiej nie ocenił jak wielki następca — Buckle. Dopiero Wolter

nauczył dziejopisów zwracać uwagę na przedmioty rzeczywistej ceny, pomijając błahe szczegóły, któremi dawniej historyę zapełniano. A że ten postęp wynikł o tyle z ducha czasu, o ile z istoty autora, przekonywa ta okoliczność, że tęż samą dążność znajdujemy w dziełach Montesquiego, Turgota, którzy byli niezaprzeczenie największymi z współczesnych. Obaj przyjęli podobną metodę pisania, a pomijając opisy królów, dworów i wojen, zwracali się do tych zjawisk, które uwydatniają charakter ludzkości i ogólny rozwój cywilizacyi.

„Wolter był zarazem pierwszym dziejopisem, który się zajął badaniem feudalizmu, zalecał wolność handlu i dopatrzył stosunek między wzrostem żywności a zaludnieniem. Przytem rzec można (Buckle) z całą pewnością, że najważniejsze dowody Niebuhra na zbicie baśni początkowych dziejów Rzymu, były już przedtem użyte przez Woltera".

Następnie p. Świętochowski poświęca kilka uwag Wolterowi jako poecie i w konkluzyi przyznaje, że ten (na str. 14) „surowy i nieustraszony apostoł nowej wiary, był wprawdzie promienistem słońcem ale z plamami, że charakter jego pokalał się kilkakrotnie moralnemi skazami, tak że Fryderyk II, nie pozujący bynajmniej na surowego apostoła, nie mógł się powstrzymać od uwagi, że Wolter pismami zasłużył sobie na pomniki, a czynami na kajdany". Ale o wadach tych niema potrzeby mówić pan Świętochowski, bo jak twierdzi, nie pisze biografii Woltera, tylko wspomnienie o jego zasługach.

Wreszcie z końca pracy dowiadujemy się, iż choć większa część życia Woltera była nieprzerwanym ciągiem prześladowań, choć go potępiano i ścigano, doznał jednak pod koniec życia świetnego przyjęcia w Akademi, która go wybrała na dyrektora, a lud otaczał go oznakami najwyższego szacunku.

Kończy swą pracę p. Świętochowski następującym fragmentem: „Zdaje się, iż na czole Woltera błyszczą głębokie słowa, które nasz wielki, duchem mu pokrewny Staszic wypowiedział — umysłowa niewola zabezpiecza niewiadomość, wolność, prawdę odkrywa".

Studyum p. Świętochowskiego o Wolterze, odznacza się pięknym językiem, ustępami pełnemi życia i malowniczości, choć niekiedy barwy są zbyt jaskrawemi. Nie spotykamy w tej pracy bła-

hych i zużytych ogólników, lecz znajdujemy często spostrzeżenia trafne znamionujące umysł głębszy, zastanawiający się nad duchem rozbieranej epoki. W każdym razie, jedna wada widoczną jest w tonie całego studyum, a mianowicie: panuje w niem brak odpowiedniego spokoju i poddawanie się entuzyastycznym uniesieniom, które nie pozwalają autorowi utrzymać się na stanowisku krytyka, oraz ważyć ściśle a sprawiedliwie na szali historycznej zasługi.

Przedewszystkiem też nadmienić winienem, iż na pojęcie historycznej zasługi z p. Świętochowskim zgodzić się nie mogę. Przyznając, że istnieją plamy na wolteryańskiem słońcu, autor pozostawia ukazanie ich specyalnym badaczom, a sam pisze tylko wspomnienie o zasługach. Lecz takie jednostronne wyszukiwanie stron dodatnich z pominięciem ujemnych, może stworzyć jedynie panegiryk, nie zaś urobić dokładne pojęcie o zasługach człowieka.

Pojmowałbym jeszcze, że uczony odkryciem nowem na polu wiedzy, zdobywa sobie trwałą zasługę, choć zresztą popełnił dużo błędów w tejże samej nauce, a życie jego nie przedstawia nic budującego; ale znaczenie i wpływ Woltera były innego rodzaju: on rozpowszechniał tylko zdobyte już pojęcia, wpływał na kształcenie się narodowego ducha nowej Francyi; zasługa jego zatem mogłaby istnieć w przewadze wpływów dodatnich nad ujemnymi, w owem plus, które pozwala zapomnieć o usterkach, lecz nie w samych faktach dodatnich, wyrwanych z kalającego otoczenia.

Zwłaszcza w oddziaływaniu na rozwój społeczeństwa, w kwestyi burzenia dawnego a wytwarzania nowego ładu socyalnego, trzeba bardzo ściśle oceniać wartość wpływów i działalności człowieka, aby przyjść do słusznego pojęcia zasługi. Często bowiem powiem pozory mogą być niezmiernie łudzące i odsłoniwszy drobne wawrzyny, dostrzega zdumione oko trujące kolce przeznaczone dla ludzkości.

Po tej ogólnej uwadze przystępuję do specyalnych zarzutów.

Najsamprzód widnieje w powyższej pracy pewna chwiejność w oznaczeniu stanowiska naukowego Woltera. Gdy bowiem na str. 5 „nie w duszy Woltera tryskały źródła nauki, tylko w nim się ona najobficiej zbierała“ na str. 25 — Wolter był pierwszym dziejopisem, który się zajął badaniem feudalizmu, zalecał wolność

handlu i dopatrywał stosunek między wzrostem żywności a zaludnieniem.

Powołał się tym razem p. Świętochowski na rozgłośne imię Buckle'a, ale mimo to nie zadowolnił tych, którym przedewszystkiem idzie o ścisłość w pracy.

Gdyby bowiem tak rzeczywiście było, jak Buckle twierdzi, to pierwsze zdanie, uważające Woltera jedynie za popularyzatora nauki, nie byłoby tak bardzo wiarogodnem. Sądzę jednak, że tym razem zdanie Buckle'a nie jest bardzo niewzruszalnem, i tak bowiem co do pierwszego punktu t. j. co do zgłębiania feudalizmu, to całe szeregi badających ten przedmiot, istniały już przed Wolterem, a między innemi i Bodin i także dziejopis Machiawelli. Co się tyczy wolności handlu, to przed Wolterem istniała cała szkoła holenderskich ekonomistów, która, począwszy od Grotiusza, rozwijała nawet krańcowe pojęcia wolności handlu jak np. Delacourt w 1669 roku [1]). Wreszcie co do kwestyi stosunku między wzrostem żywności a zaludnieniem, to i tu Wolter powtarzał jedynie myśli wyrzeczone poprzednio przez ekonomistów i filozofów, jak np. Leibnitza, Wolfa i Seckendorfa [2]).

Dalej p. Świętochowski wspomina między innemi, że Wolter poznał społeczno-polityczne życie Anglii i zasady tamże panujące przeszczepiał do Francyi. Otóż i ta zasługa wydaje mi się wątpliwą z tej przyczyny, iż myśli o politycznym ustroju Anglii brał Wolter od Monteskiusza, który głównie zapoznał francuzów z konstytucyą angielską i zaszczepił dla niej zamiłowanie. Zresztą, jak wiadomo, ani Wolter ani Monteskiusz, ani de Lolme, nie poznali dokładnie społeczno-politycznego ustroju Anglii i wygłosili o niej tylko powierzchowne zdania, które nie odkryły bynajmniej źródła trwałości i siły prawa państwowego Brytanii.

Tak samo w imię ścisłości nie mogę się zgodzić na zdanie, aby dopiero rewolucya miała w etyce powstawać przeciwko sfałszowaniu praw natury i starała się im przywrócić właściwe brzmienie. W klasycznem dziele Toqueville'a: „l'Ancien régime et la Revolu-

---

[1]) Roscher: „Geschichte der National Oekonomik in Deutschland", str. 225.

[2]) Tamże, str. 224.

tion“ spotykamy niezbite dowody na to, iż rewolucya objęła tylko spadek po oświeconym absolutyzmie, który łącznie ze szkołą prawa natury, już od połowy XVII wieku, nieustannie choć powoli, dążył do tych samych celów, jakie rewolucya gwałtownie osiągnąć pragnęła.

Wystąpienie Woltera przeciw kościołowi katolickiemu rozbiorę na samym końcu, obecnie zaś zastanowię się nad ową specyalną naturą i wrażliwością wolnomyśliciela, jaką dostrzegł w Wolterze p. Świętochowski. Samo studyum na udowodnienie owych przyrodzonych skłonności, nieszczególne i niezbyt przemawiające przytacza przykłady; i tak bowiem ten sam wolnomyśliciel uważa oświecony absolutyzm za bardzo dobrą formę kształcenia ludu i wygłasza ni mniej, ni więcej, tylko takie zdanie: „Zdaje się koniecznem, aby istniało ciemne pospólstwo; gdy ono zacznie rozumować, wszystko stracone“.

Jak widzimy więc, Wolter proponował taką formę społeczno-państwowego ładu, która stanowczo znikczemniała człowieka i już w owym czasie nie była zdolną oddawać posług społeczeństwu; przytem wątpił, aby owe niższe uciśnione warstwy mogły mieć zdolności oraz pragnienia ludzkie i każe im, tylko w innej formie zostać pod biczem Atylli.

Wobec takich faktów nie wystarczą dekoracyjne sceny z wnukiem Franklina, ani całowania rąk Turgota, nawet z dołączeniem pewnej dozy łez, aby wykazać było można u Woltera jakąś specyalną wrażliwość wolnomyśliciela. Nawet zasługi Woltera położone około polepszenia doli włościan, nie są tak wielkie, jakby się zdawało z pracy p. Świętochowskiego. Wystąpienie w obronie ludności jurajskiej pochlebiało znaczeniu Woltera i powiększało jego popularność wśród mas, ale czy pomógł, jak mógł dopomódz swym rzeczywiście znakomitym talentem, dziełu Turgota? Czyż w formie przystępnej, przekonywującej i wabiącej, jaką po mistrzowsku władał, wykazał wpływ swobodnej pracy na rozwój moralny, ekonomiczny i polityczny swego społeczeństwa? Czy przekonywał szlachtę francuską, jak to u nas czynił Leszczyński, że swobodna praca wzbogaci nietylko włościan, lecz przedewszystkiem szlachtę, że w tym celu niedość jest znieść servitude personelle, ale wypada przedsię-

wziąć zupełną reformę agrarną, i to nie gwałtem, czyniąc z krzywdzonych krzywdzących, ale na drodze wzajemnych ustępstw i porozumienia.

Że zaś postępowanie tą drogą mogło przynieść obfitszy rezultat, niż wzniecanie nienawiści i obrzucanie szyderstwem, przekonywują nas fakta przytaczane przez Taine'a, iż sama szlachta francuska w drugiej połowie XVIII wieku, przeprowadzała reformy rolne i zajmowała się polepszeniem doli ludu.

Za to jednak zbliżywszy się osobiście do tych znękanych rolników gleby, jakżeż wstrętnie i niesprawiedliwie ich Wolter ocenił. W tym ludzie wyniszczonym pracą, dostrzegł tylko naturę zwierzęcą, niezdolną do przyjęcia oświaty i pogodził się łatwo z myślą pozostawienia ich w tym stanie, utrzymującym posłuszeństwo pod błogosławionem panowaniem oświeconego absolutyzmu.

Zasługi Woltera na polu historyi, jakkolwiek znaczne, są jednak zdaniem mojem, przecenionemi w pracy p. Świętochowskiego. Wolter ma być pierwszym, podług Buckle'a, którego p. Świętochowski przytacza, co zaczął pisać historyę cywilizacyi nie zaś dworów, życiorysów, i od niego Turgot oraz Monteskiusz mieli przejąć metodę historycznego badania. Nie sądzę, aby pogląd ten był ścisłym.

Prace historyczno-polityczne Monteskiusza jak np.: „Lettres persannes“ ukazały się w 1721 r. zatem przed pierwszą pracą historyczną Woltera (Karol XII), która się ukazała między 1726 a 1729 rokiem. Druga ważna i prawie epokę tworząca książka Monteskiusza „Les considerations sur les causes de la grandeur des Romains et de leur decadence“ wyszła w 1734 r. czyli poprzedziła studya Woltera nad dziejami rzymskiemi [1]) i dlatego też naśladownictwo metody mogło iść w kierunku odwrotnym od wskazanego w pracy p. Świętochowskiego.

Ale przed Monteskiuszem a zatem i przed Wolterem istniały dzieła historyczne Vicona [2]), który daleko głębiej wniknął w po-

[1]) Janet: Histoire de la science politique. T. II, str. 438.

[2]) Bluntschli: Geschichte des allgemeinen Staatsrechts und der Politik, str. 252. Ważne dzieło: Principi di una scienza nuova d'interno alla commune natura delle Nazioni — wyszło w 1725 r.

trzebę pisania historyi cywilizacyi i pierwszy na tem polu uczynił przełom. Niemcy też tak ściśli w ocenianiu zasługi a przedewszystkiem tak trudni w odstępowaniu swoich wawrzynów na rzecz obcych narodowości, musieli jednak przyznać, że Niebuhr miał poprzednika w zbijaniu baśni rzymskich, ale nim był Vico nie Wolter [1]).

Ci nawet, którzy upatrują zasługę Woltera w jego napaściach na błędy ówczesnego duchowieństwa, przyznać muszą, że i ta działalność nie może być tak chwaloną i w blasku takiej apoteozy przedstawianą, jak to uczynił p. Świętochowski. W tym kierunku dowiódł właśnie Wolter, iż nie ożywiały go bynajmniej te dwa uczucia, jakie mu p. Świętochowski przypisuje, t. j. miłość i sprawiedliwość.

Bardziej nieubłaganej nienawiści, jadowitszego szyderstwa, gorętszego gniewu i rządzy zniszczenia, trudno dostrzedz w innym autorze. A przypomnieć wypada, że uczucia te udzielały się ludowi ciemnemu, zgnębionemu, który nie umiał rozróżnić między istotą Kościoła, a błędami i nadużyciami duchowieństwa, ulegającego wpływom na wskroś zepsutego wieku, lecz zemstę swoją pragnął wywrzeć na wszystkiem.

Po burzy, jaką sprawiły jego pisma, piersi nie odetchnęły świeższem powietrzem, bo zamiast swobody sumienia, nastała stokroć gorsza tyrania sumienia, która, w postaci bogini rozumu, dawała z ołtarza równie nieczyste pocałunki dygnitarzom Rzeczypospolitej, jak Wolter wolności.

Jeszcze słówko w celu wykazania, jak to się Wolter rządził poczuciem sprawiedliwości. Sam p. Świętochowski wykazuje, iż niszcząc fanatyzm, występował Wolter głównie przeciw niezależności kościelnej a oszczędzał państwo; tymczasem owe ofiary, owych Sirvenów, Calasów i t. d. wyrywał Wolter nie konsystorzom kościelnym, lecz parlamentom, które były instytucyami państwowemi.

Jednym ze sprawców fanatyzmu, za który p. Świętochowski wyłącznie robi duchowieństwo odpowiedzialnem, był w XVIII wieku oświecony absolutyzm; on to w celu osłonięcia własnych nadużyć

---

[1]) Bluntschli: „Geschichte des allgemeinen Staatsrechts und der Politik“, str. 244.

użyczał miecza fanatyzmowi, aby w duchowieństwie mieć wiernego sprzymierzeńca, i trudno pojąć tego rodzaju sprawiedliwość, która przeciw jednemu z winowajców zwraca się z nieubłaganą nienawiścią, a drugiego toleruje, a nawet uważa za zbawienie ludzkości dlatego, że się go obawia, że żyje wygodnie wyżebranemi od niego pieniędzmi i stroi się w służalcze jego szaty.

Tak samo obraz ucisków i prześladowań Woltera, jaki nam przedstawia p. Świętochowski, uważam za zbyt jaskrawy. Szyderstwa, intrygi, mogły narazić wprawdzie Woltera na niejedną przykrość, ale wcześnie pozyskał miejsce w Akademii (1750), wsparcia i urzędy od króla Francyi, potem znaczną pensyę (6000 tal.) i szambelaństwo od Fryderyka II, nareszcie przy schyłku życia, świetne uznanie we własnym kraju, tak, iż te bajeczne prześladowania i cierpienia jakim uległ, zupełnie inaczej z bliska wyglądają.

Na zapytanie też, dlaczego Wolter był tak znienawidzonym od duchowieństwa? daje p. Świętochowski odpowiedź, objaśniając, iż właśnie w umiarkowaniu religijnem Woltera upatrywało duchowieństwo główne niebezpieczeństwo dla Kościoła. Zdania tego nie podzielam w zupełności; zgodziłbym się raczej na spostrzeżenie następne p. Świętochowskiego, gdy wykazuje, iż Wolter formą przystępną, wabiącą, działał na masy ludu, budząc wśród nich nienawiść dla Kościoła, gdy tymczasem tacy ateusze jak Holbach, byli zawiłymi i niezrozumiałymi dla ludu, i dlatego to większe obawy w duchowieństwie budził Wolter.

W końcu wypada jeszcze zwrócić uwagę na owo pokrewieństwo duchowe Staszica i Woltera, o jakiem wspomina p. Świętochowski, ograniczając się wprawdzie na gołosłownem twierdzeniu. Właśnie ceniąc zdolności autora, mamy tem większe prawo wymagać od niego ścisłości w wyrażeniach i unikania paradoksalnych wykrzykników, a za taki musimy uważać owo pokrewieństwo duchowe Staszica z Wolterem.

Wątpię, czy sam p. Świętochowski na podobieństwie kilku wyrazów chciałby opierać pokrewieństwa duchowe autorów; w takim razie bowiem łatwoby udowodnił pobratymczość Tomasza z Akwinu z Robespierem, a Arystotelesa z Rousseau. Jedynie wspól-

ność metody badania wpływania na społeczeństwo, lub wspólność osiągniętych rezultatów, lub nareszcie wspólność temperamentów, mogą decydować o owem pokrewieństwie duchowem, którego w żadnym razie między Wolterem a Staszicem nie było.

Gdy Wolter, podług samego p. Świętochowskiego popularyzował naukę, gdy jeden z bardzo względnych i zdolnych krytyków, którego pracy p. Świętochowski nie uwzględnił, nazwał go zaledwie uczniem w każdej nauce [1]), gdy szyderstwo, ironia i wyuzdane napadanie stanowiły jego broń główną; Staszic był spokojnym, sprawiedliwym i gruntownym reprezentantem nauki, gardzącym namiętnymi krzykami. To też ekonomia polityczna, statystyka, prawo państwowe, administracyjne, międzynarodowe i nauki przyrodnicze, miały w nim prawdziwego mistrza, nie ucznia.

Tak samo, gdzież jest podobieństwo w pojedynczych rezultatach? Wolter się korzył przed oświeconym absolutyzmem. Staszic był jego wrogiem nieubłaganym, choć chłostającym sprawiedliwie i naukowo, nie krzykliwie i potwarczo. Gdy Wolter we włościaninie upatrywał zwierzęcą naturę, niezdolną do samorządu, Staszic nie uwiódł się pozorami — ukochał lud rolny gorąco i pracował całe życie aby mu samorząd zapewnić. Gdy Wolter w podszczuwaniu klas społecznych, w posiewie nienawiści upatrywał wolność i dlatego królował nad ruinami, Staszic zachęcał do poświęcenia i miłości wszystkie klasy, wykazywał im drogę obowiązku, oświecał umysły i upadający gmach pragnął zmienić w trwałą budowę.

I życie Staszica nie przeszło na różach. Ubogi mieszczanin wielkopolski, musiał nieraz znieść upokorzenie wśród szlacheckiej republiki i twardą pracą torować sobie drogę żywota. Koźmian w pamiętnikach swych opowiada, że gdy w mieszkaniu u Małachowskiego Staszic zbyt gorąco przemawiał za włościanami, marszałek sejmu czteroletniego wskazał mu bezceremonialnie drzwi. Takich wypadków było więcej. Ale w tej wspaniałej swą powagą i posępnością postaci, nie mieściła się dusza motłochu, pragnąca przedewszystkiem mścić się za osobiste urazy, łaknąca popularności oraz własnego wyniesienia. Ten małomiasteczkowy mieszczanin był

[1]) Janet: Histoire de la science politique. T. II, str. 566.

patrycyuszem w całem znaczeniu tego słowa, zaćmiewającym najczystsze klejnoty szlacheckie w swej ojczyźnie, a to dlatego właśnie, że zapominał o swych krzywdach i poniżeniu, że był sprawiedliwym dla wszystkich i umiłował całą Rzeczpospolitę.

Staszic nie symulował nigdy, jak to czynił Wolter, swych przekonań, nie przemilczał i nie chwalił wielkich krzywd narodowych, gdy mu za to zapłacono, nie usprawiedliwiał rozbojów i gwałtów, jakiemi w politycznym kierunku odznaczał się wiek XVIII, nie stroił się w szaty służalcze, gdy mu je przywdziać pozwolono, nie zdradzał swych dobrodziejów i dlatego nie będzie nigdy patryarchą ruin, ideałem rewolucyi, lecz pozostanie zawsze wzorem szlachetności, uczciwej pracy i obywatelskiego poświęcenia.

Ani też w życiu prywatnem ani w publicznem, nie było żadnego pokrewieństwa duchowego między tymi ludźmi.

II.

Praca p. Chmielowskiego o Rousseau jest zawartą w ściślejszych szrankach studyum literackiego t. j. nie przesądza stanowczo o naukowej działalności pisarza, lecz więcej ze sprawozdawczego stanowiska odzwierciedla jego poglądy, konstatuje wpływy a ocenienie porównawcze pozostawia specyalistom.

P. Chmielowski nie przedstawia Rousseau'a jako promieniste słońce, nie wyszukuje jedynie stron dodatnich, nie unosi go talent i marzycielstwo oryginalnego filozofa, który był także jedną z wyroczni dla wzburzonych tłumów. ale natomiast rozpościera przed czytelnikiem całkowite życie i działalność pisarza, dozwala nam poznać najważniejsze jego wpływy i poglądy, budując tym sposobem trwałą podstawę dla sądu krytycznego.

Na początku zapoznajemy się z tym ciekawym i awanturniczym żywotem, do jakiego tak silnie usposabiała druga połowa XVIII wieku. W dalszym ciągu życie towarzyskie owej epoki, skreślił autor dosadnie, wykazując, iż silne przeciwieństwa społeczne pobudziły Rousseau do wystąpienia przeciw takiej uprawie umiejętności, która idzie w parze z zepsuciem obyczajów.

Zaciekawia nas także polemika przeprowadzona z St. Leszczyńskim w tym przedmiocie i uznanie, jakiem otaczał Rousseau dobroczynnego filozofa.

Dalej wykazuje p. Chmielowski, jak Rousseau, pisząc Nową Heloizę wypowiedział wojnę galanteryi i wszystkiemu co było z nią w ścisłym związku. W tym utworze wystąpił słynny filozof w imię cnoty, jako obrońca świętości związków małżeńskich. Podług niego bowiem powrót do natury wymagał powrotu do cnoty.

Pisząc „Emila“ Rousseau przemówił znów w imię dzieci, chcąc je uchronić od demoralizującego wpływu ówczesnego wychowania. Przeciw nienaturalności i sztuczności, przeciwko zaniedbaniu i opuszczeniu, przeciwko rutynie i pedantyzmowi, postawił Rousseau zasadę, że naturalną karmicielką i wychowawczynią dziecka powinna być matka, że rozwój ciała powinien iść w równej mierze z rozwojem duszy. „Emil“ spalony ręką kata, wskutek nakazu parlamentu, znalazł wielbicieli zarówno w prasie jak i w publiczności. Kobiety wielkiego świata zaczęły same karmić swe niemowlęta, a przemieniając zaraz obowiązek na środek kokieteryi, robiły to wśród wielkiego nawet zgromadzenia.

Rousseau wierzył w Boga, wolność woli i nieśmiertelność duszy tak gorąco i tak stale, że nigdy się pod tym względem nie zawahał. Z przewagi danej uczuciu nad rozumem wynikają wszystkie jego wywody.

Wiara Rousseau'a gorąca, namiętna, nie ma nic wspólnego ani z materyalizmem, ani nawet z deizmem rozumowym, opierającym tę wiarę na potrzebie jakiegoś mechanika, który stworzył machinę wszechświata. On wiary nie traktuje „w sposób lekki, szyderczy, jak to robił nieraz Wolter“. Owszem wiara jest dla niego świętą, jako uczucie najdroższe, najkonieczniejsze dla jego osobistego życia; sprawę Boga, łączy ściśle ze swoją własną. (Zaznaczyć wszelako wypada, że te poglądy religijne Rousseau'a, dążące do utworzenia państwowej religii i państwowego kościoła, i nie mając żadnej dogmatycznej ścisłości nie mogły się zgadzać z zasadami katolicyzmu i dlatego też przez Kościół potępionymi zostały).

Rousseau pozostawił także społeczno-polityczne poglądy, których zarodek tkwi już w pierwszej jego głośnej rozprawie o szko-

dliwym wpływie sztuk i nauk na obyczaje. Był on plebejuszem i odczuł boleśnie wszystkie gorzkie potrawy, jakie w uczcie społecznej zastawiono wówczas przed nieuprzywilejowanymi; zgromadził też w sobie masę żółci, która następnie zaprawić miała wszystkie jego potężną namiętnością oddychające wycieczki, przeciwko nierówności stanów i ogólnemu ustrojowi społeczeństwa.

Pan Chmielowski streścił bardzo udatnie rozprawy społeczno-polityczne Rousseau'a, jako to: o początku i podstawach nierówności wśród ludzi, następnie: o umowie społecznej, które to prace, jak świadczy Mallet Dopan, w klasach średnich i niższych miały sto razy więcej czytelników niż Wolter. Naobszerniej jednak zastanawia się p. Chmielowski nad — uwagami nad rządem polskim — Rousseau'a. Jakkolwiek nie mają one tego znaczenia dla nauki co „umowa społeczna“ i nie przedstawiają tak typowo i z takiem subtelnem cieniowaniem szkoły, do jakiej pisarz ten należał, trudno jednak mieć za złe autorowi, iż właśnie powyższe studyum rozebrał dokładniej, gdyż zawiera dużo oryginalnych, choć niepraktycznych pomysłów i całe marzycielstwo Rousseau'a występuje tu w pełnym blasku.

P. Chmielowski w końcu nadmienia, iż z owych „uwag nad rządem polskim“, jedna tylko myśl weszła w urzeczywistnienie t. j. utworzenie wychowania publicznego (komisya edukacyjna), a druga o stopniowem wyswobodzeniu włościan, przyjęta była przez stronnictwo tak zwane patryotyczne i otrzymała zastosowanie o tyle, że zapewniono chłopom opiekę prawa. Co do ostatniego punktu, to pozwoliłbym sobie nadmienić, iż stronnictwo patryotyczne nie potrzebowało przejmować myśli o stopniowem wyswobodzeniu włościan od Rousseau'a, albowiem od XVI wieku program tego rodzaju powoli się rozwijał, i dojrzał w pracach Leszczyńskiego, oraz w reformach pojedynczych obywateli i miast, jeszcze przed ukazaniem się „uwag“ Rousseau'a.

W końcu poświęca p. Chmielowski kilka ustępów scharakteryzowaniu Rousseau'a, nadmieniając, iż umysł jego nie był szeroki i świetny, ale odznaczał się natomiast głębokością i nieprzepartą logiką w rozwijaniu tematu, chociażby najbardziej paradoksalnego. Całą siłę swoją umiał na jeden punkt ześrodkować i wskutek tego,

wywierał tak potężny wpływ na usposobienia i przekonania współczesnych a nawet potomnych.

Winienem jeszcze raz powtórzyć, że p. Chmielowski nie kusił się o krytykowanie poglądów ekonomicznych i politycznych Rousseau'a, nie oceniał ich też ze stanowiska specyalnych nauk, chociaż niektóre jego uwagi o umowie społecznej są bardzo trafnemi. Za to jednak zestawił umiejętnie najwybitniejsze myśli Rousseau'a, pozwolił nam dokładnie zapoznać się z tworami jego ducha, a tonem spokojnym, uwzględnieniem trudnych warunków ówczesnej epoki, przysposobił czytelnika do gruntownego zrozumienia wpływu i działalności Rousseau'a. Sądzę też, że praca powyższa spełniła dobrze zadanie studyum literackiego.

10.

DR. LUDWIK GUMPLOWICZ [1]).

Prawo narodowości i języków w Austro-Węgrzech.

W żadnem innem państwie na zachodzie Europy, ostatnich lat kilkanaście nie zaznaczyło swego pochodu tak licznemi i ważnemi reformami prawa państwowego jak w Austro-Węgrzech. Epoka przekształceń rozpoczyna się wprawdzie już w 1861 r., ale jestto dopiero słaby i blady przedświt radykalnych zmian, które nastąpiły po upokarzającym dniu Sadowy. 1866

Od owej pamiętnej daty, cały szereg zasadniczych praw zmienił do niepoznania dawną fizyonomię dziedzictwa Habsburgów, i ci, co pamiętają smutne dni reakcyi, jaka niedawno, bo po 1849 r. rozpościerała swe wszechwładne rządy, patrzą ze zdumieniem na obfity plon, jaki w krótkim czasie i pod złowróżbnemi znakami zebranym został szczęśliwie.

Nietylko, że w ciągu lat kilkunastu zmienił się stosunek prowincyi do metropolii, że organizacya i stosunek władzy prawodawczej do wykonawczej, stosunek kościoła do państwa i t. p. uległy radykalnej zmianie; ale prócz tego przyznać należy, iż w austro-węgierskiej monarchii spotykamy niezaprzeczenie szczere usiłowania, aby wstrząśnięty gmach państwa oprzeć na podstawach samorządu, aby obudzić obywatelskiego ducha, aby administracyę pozbawić

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1880.

samowoli, słowem, aby prawo państwowe oprzeć na zasadach sprawiedliwości.

Mimo tak serdecznego pojednania się z wymaganiami czasu, reformy konstytucyjne Austro-Węgier nie cieszyły się względami uczonego świata. Czy to dzień Sadowy obudził za silne uczucie zwątpienia w lepszą przyszłość? czy obok wschodzące pod protekcyą Prus nowe państwo absorbowało uwagę powszechną? Dość, że świat uczony austryacki, składający się naówczas przeważnie z niemieckich żywiołów, zachował się dość biernie i nawet tak płodny oraz głęboki statysta jak L. v. Stein, nie dał się poruszyć, lecz patrzył obojętnie na reformy, które się dokonywały pod jego okiem [1]).

Naturalnie, iż obojętności, o ktorej wspomniałem, nie należy utożsamiać z zupełnem milczeniem. Począwszy bowiem od uczonych sporów Lustkandla z Deakiem, spotykamy dość dużo pomniejszych rozpraw, studyów rozproszanych po czasopismach specyalnych; lecz te, objaśniając nas o wielu szczegółach, nie dają pojęcia o całości dokonanej reformy, czyli inaczej mówiąc — nie zapoznają z prawem państwowem austryackiem [2]).

Mimowoli też nasuwa się na uwagę wybitny kontrast, jaki pod tym względem tworzą z Austryą Niemcy. Fortuna darząc nowe imperyum łaskawemi uśmiechy, zjednała im również myśli uczonych; począwszy bowiem od sędziwego Mohla, skończywszy zaś na całym szeregu młodszych pisarzy, wszyscy poczuli się w obowiązku, prawo państwowe niemieckie wziąść za przedmiot naukowego obrobienia, a zapał, jaki ożywiał ich szeregi, obudził nawet zajęcie poza granicami Niemiec i wywołał prace w obcych literaturach, do których należy także polska i rosyjska [3]).

Od niedawnego czasu jednakże, obojętność, w której można

---

[1]) Dopiero w rozprawie „Rechtsstaat und Verwaltungspflege“ zwrócił L. v. Stein uwagę i na austryackie stosunki. Patrz: „Zeitschrift für das privat. und öff. Recht“. Grünhut. T. VI, zeszyt 1 r. 1879

[2]) Rozprawy powyższe są przytem rozproszone po mniej znanych czasopismach prawnych, tak, iż trudno nawet o nich powziąć wiadomość.

[3]) W polskim języku mamy pracę Skrochowskiego p. t.: „Studya do historyi nowego cesarstwa w Niemczech. Część I od roku 1848—1866. Kraków, 1874, a w rosyjskim języku jest praca Gradowskiego, o której pisałem krytykę do „Gazety Sądowej“.

było upatrywać niedowierzanie trwałemu rozwojowi państwa austryackiego, zaczyna znikać i pojawiają się zawsze jeszcze monografie, ale już staranniejsze w opracowaniu, pełniejsze w treści i posiadające rzeczywistą naukową wartość.

Pierwszym bodźcem dla uczonego świata w Austryi stała się reforma sądownictwa administracyjnego (r. 1871—1874), będąca najlepszym probierzem państwowego prawa.

Fakt tej doniosłości, jak otoczenie prawa państwowego i administracyjnego gwarancyami wymiaru sprawiedliwości, fakt, którego odpowiedzialność ministrów nigdzie nie zdołała wprowadzić w życie, wywołał szereg studyów niepośledniej wartości naukowej [1]).

Drugą kwestyą stwarzającą pewien ruch naukowy jest sprawa narodowości [2]), niezmiernie ważna dla przyszłego rozwoju państwa austryackiego i której już w roku 1865 poświęcił uwagę „najgłębszy polityczny myśliciel Austryi“ [3]) Eötvös.

Chociaż jednak praca węgierskiego statysty pozostanie zawsze dla nauk państwowych cenną pamiątką i choć rzuciła nowe zupełnie światło na kwestyę narodowości, to jednakże zajmowała się ona jedynie pytaniem teoretycznem — czem jest narodowość? a historyę wytwarzania się narodowości i stanowisko dotychczasowe prawodawstw do powyższej kwestyi, pozostawia na uboczu.

Uzupełnienie tego niedostatku i rewizyę naukową teoretycznych zagadnień w tym kierunku podjął właśnie dr. Gumplowicz, w pracy, której tytuł zamieściliśmy na czele [4]).

Zajmując się kwestyą narodowości, trzeba było autorowi poznać przedewszystkiem stosunki Austro-Węgier, które w tej mierze przedstawiały niezmiernie bogaty materyał dla studyów. Obszar ko-

---

[1]) Wymieniam tylko prace: Kisslinga, Grünwalda, Ulbricha, Kaiserfelda i Pana.

[2]) Używam wszędzie terminu narodowość nie zaś naród, gdyż ten ostatni bywa używany i w znaczeniu ludu politycznego.

[3]) Fischof: Oesterreich und die Bürgerschaften seines Bestandes, str. 57.

[4]) Polska literatura zawiera prócz tego krótką rozprawę: O narodowości w czasopismie p. t.: „Dekada polska“ i wiele myśli do tej kwestyi odnoszących się znajdujemy w rozprawie Libelta: „O miłości ojczyzny“. Patrz: Rok 1844 pod względem oświaty i t. d. Poznań 1844

rony Habsburgów zamieszkiwały tak rozliczne narodowości i plemiona, przytem żyły one w takiem pomięszaniu z sobą, iż trudności praktycznego rozwiązania powyższej kwestyi musiały tam być jak największe i bardzo trafnemi są słowa Fischhofa, odnoszące się do Austryi: „Der Nationalitätsgedanke kann sein nützlichster Allirter, oder sein verderblichster Gegner sein, und in der Mannigfaltigkeit seiner Bevölkerung liegt das Geheimniss seiner Macht, wie seiner Schwäche“ [1]).

W dodatku nadmienić wypada, że związki plemienne i narodowe, wplecione były od początku XIX wieku w Austryi do gry politycznej, że służyły za wygodny środek waśnienia prowincyj koronnych i stanowiły najpotężniejszą dźwignię austryackiej maksymy z czasów reakcyi „divide et impera“. Ale dlatego też właśnie kwestya plemienna i narodowościowa występuje w Austro-Węgrzech najwybitniej, przedstawia w całej pełni dodatnie oraz ujemne strony, i słusznie uczynił dr. Gumplowicz, biorąc stosunki powyższego państwa za podstawę swej monografii.

Nasamprzód zatrzymać się muszę nad treścią zawartą w powyższej pracy, jest ona bowiem rezultatem starannych i gruntownych studyów historyczno-politycznych. Dr. Gumplowicz, biorąc za podstawę stosunki monarchii Habsburgów i uwzględniając je szczegołowo, nie ograniczył jednak zakresu swych badań nad tym najciekawszym wprawdzie, ale zawsze jedynym tylko okazie eksperymentacyjnym. Historya ogólnego rozwoju narodowości jest należycie uwzględnioną, a przytem w równej mierze idzie historya naukowych poglądów, oraz wpływ ich na stosunki prawodawcze.

We wstępie dr. Gumplowicz konstatuje fakt, że kwestya narodowości jest bezpośrednio uważana za nową i wyłącznie wiekowi XIX przynależną. W średniowiecznem państwie, ani idea narodowości, ani język macierzysty nie odgrywały wielkiej roli w sprawie rozwoju narodowego ducha. W średnich wiekach nie znano też państw opierających się głównie na narodowościach (Nationalstaaten). Średniowieczne państwa ugruntowane zostały mocą podboju, a panowanie zdobywczych plemion dało początek państwowemu życiu,

---

[1]) Oesterreich und die Bürgschaften seines Bestandes. 1869, str. 63.

które wśród różnych przemian i przewrotów ciągnie się po dziś dzień w Europie.

Przytem Kościół katolicki, stanowiący tak wielką wówczas potęgę, nauczał o jedności wszystkich ludów chrześcijańskich i stawiał zaporę rozwojowi różnic narodowych. Katolicka nauka, jak twierdzi dr. Gumplowicz, uważała narodowości za resztę barbarzyństwa, (?) a różność mowy jako następstwo grzechu i odstępstwa od Boga.

Mimo tak niesprzyjających okoliczności spotykamy już i w średnich wiekach zjawiska, które nam przypominają starcia narodowościowe naszych czasów. Pierwszy przykład stanowi Anglia za czasów Wilhelma Zdobywcy, który dla usunięcia wszelkich śladów rządów poprzednich, wprowadził język francuski normanów do wszelkich spraw urzędowych, w miejsce dawnego anglosaskiego. Tak samo w końcu wieków średnich, sprawa urzędowego języka powstaje w Węgrzech i Czechach, ale była ona zawsze symbolem panowania jednego szczepu nad drugim; myśl zaś, że razem z mową narodową broni się palladium ducha narodowego i narodowej cywilizacyi, powstała dopiero w nowszych czasach.

W pierwszym ustępie opowiada nam dr. Gumplowicz dzieje oświeconego absolutyzmu, wypełniającego epokę od połowy XVIII do połowy XIX wieku; zauważyć jednakże winienem, że już w tym rozdziale ścieśnił autor nieco zakres swoich badań, ograniczając się na przedstawieniu jedynie austro-węgierskich stosunków.

Oświecony absolutyzm, podług dra Gumplowicza, przyszedł wcześnie do przekonania, iż z urzędowym łacińskim językiem nie przeciśnie się do niższych warstw społeczeństwa, o co mu usilnie chodziło. Od 1772 roku pojawiają się też w Austryi coraz liczniejsze dekreta, aby do szkół i urzędów wprowadzać obok łaciny i język niemiecki, ale przytem o rozwoju innych języków przepomniano zupełnie. Najlepiej charakteryzuje ówczesny prąd polityczny głos uczonego urzędnika państwa w r. 1780 (Gebber) w słowach: „państwo musi pracować nad tem, aby się stać jednym ludem“.

Tej powodzi austryacko-germanizującej opierały się przez pewien czas skutecznie Węgry. Na sejmie koronacyjnym w 1741

roku nie pozwolono nawet drażnić się chwilowym dźwiękiem niemieckiego języka, ale za czasów Józefa II podjęto znowu z niezwykłą energią sprawę unifikacyi języka urzędowego i tym razem nie oszczędzono nawet madziarskiego narodu.

Tem boleśniejszą była owa germanizacyjna tendencya dla Królestwa Węgier, że z językiem niemieckim zjawiali się także urzędnicy niemieccy, a tem samem poniewierano konstytucyę narodową, która między innemi gwarantowała, „że sprawy węgierskie tak wewnątrz kraju jak i poza granicami takowego, tylko przez rodowitych Węgrów załatwianemi będą“.

Ze śmiercią Józefa II, gdy program tego monarchy okazał się niemożliwym do wykonania, wytwarza się powoli ruch odmienny i tak np. podnoszą się w roku 1790 serbowie, żądając zatwierdzenia swych narodowych przywilejów; jednocześnie rumunowie w Siedmiogrodzie pragną uczestnictwa w politycznych prawach a słowacy i rusini nie pozwolili również długo na siebie czekać.

Następstwem tego nowego zwrotu, przynajmniej w Węgrzech, był dekret z 1791 r., przywracający językowi łacińskiemu dawne urzędowe znaczenie. Wkrótce jednak, mimo podejrzliwości rządu austryackiego, postanowił sejm węgierski (1792), iż każdy uczestniczący w publicznych szkołach winien się uczyć po węgiersku, gdyż rząd zamierza znajomość tego języka uważać za warunek niezbędny do wykonywania państwowych urzędów.

Dopiero pod brzemieniem napoleońskich rządów, gdy w Niemczech zaczyna się budzić świadomość jedności, kwestya narodowości potęguje się w Europie. Od 1814 roku wywiera wszędzie powyższa sprawa wpływ na prawodawstwa, wszędzie, gdzie tylko istniały narodowe różnorodne żywioły, tak że nawet w dalekiej północy norwegska konstytucya z 4 listopada 1814 roku przepisuje: iż wszystkie prawa winny być publikowane w norwegskim języku.

Od tego też czasu kwestya narodowości w Austro-Węgrzech, przedstawia się w daleko ostrzejszych zarysach i dr. Gumplowicz w interesujący sposób opowiada nam przebieg walk, oraz usiłowań węgierskich, zakończonych szczęśliwym rezultatem w r. 1843—1844, w którym to czasie język madziarski uznanym został w zupełności

za urzędowy i tylko juryzdykcyom niższym, oraz gminom pozostawiono swobodne używanie miejscowej mowy.

Rozdział III opisuje dziesięciolecie reakcyi, obejmujące przeciąg czasu od 1849—1859 roku. Hasło Palackiego — federacyjna konstytucya Austryi, jako następstwo różnic narodowościowych, a tem samem jako nieunikniona konieczność — zastąpił w owej epoce program rządowy, zamieniający wielość ludów (Völker Vielheit) na pojęcie wielości ziem koronnych (Kronländer Vielheit).

W 1849 roku rozpoczął Haynau w Węgrzech swoje gospodarstwo militarne od tego, iż oddalił urzędników węgierskich i zniósł przymus uczenia się madziarskiego języka. W niemiecko-słowiańskich prowincyach, minister Bach za najwyższy cel, do którego dążył, uważał dwa środki przeciwne zupełnie zasadom wygłoszonym niedawno przez konstytucyę, a środkami tymi były: centralizacya i germanizacya. Co dziwniejsze jednak, to fakt, że walkę przeciwnarodowościową wypowiedział właśnie w imię równouprawnienia narodowości, przyczem plemiona pomniejsze, bez tradycyi, bez literatury i urobionego języka, wbijano w dumę i podszczuwano na niebezpieczne swem poczuciem narodowem ludy.

Rozdział IV obejmuje epokę nowego przekształcenia się stosunków austro-węgierskich, jaka się ciągnie od 1860—1870 roku. Zwiastunem nowego zwrotu jest rozporządzenie ministeryalne z dnia 8 września 1859 r., które niezadowolonym stronnictwom narodowym obwieszcza: iż N. Pan zezwala, aby rozporządzenie z 1854 roku wprowadzające język niemiecki jako wykładowy, nie obowiązywało nadal, lecz jedynie, aby przy egzaminach dojrzałości zwracano pilną uwagę na znajomość języka niemieckiego.

Dalszy i wyraźniejszy objaw tego samego kierunku, stanowią dwa pisma odręczne cesarskie: pierwsze do hr. Vay, odnoszące się do języka urzędowego w Węgrzech, a drugie do hr. A. Gołuchowskiego, odnoszące się do języka wykładowego w Galicyi. W pierwszem piśmie cesarz austryacki wyraźnie zapowiada, iż wszelkim niewłaściwym wywoływaniom, popieraniom i zaostrzaniom narodowo-językowych przeciwieństw, stanowczo trzeba zapobiedz tak, iż zdawałoby się ze słów cesarskich, że radykalny przełom w powyższym kierunku niewątpliwie w Austryi nastąpi.

Tymczasem powołane do rządów w grudniu 1860 r. ministeryum Schmerlinga, podjęło napowrót sztandar germanizacyjny i nawet węgrów nie zostawiło w spokoju. W 1861 roku sprzeciwiono się żądaniom sejmu galicyjskiego, aby język miejscowy był wykładowym i urzędowym. W tymże samym roku wykreślono z ustawy wyborczej węgierskiej warunek obowiązujący deputowanych do znajomości języka madziarskiego.

Tak chwiejne i dwuznaczne postępowanie rządu wywołało w łonie sejmów prowincyonalnych protestacye i dążenia, aby raz sprawę narodowości oprzeć na podstawach słusznych i zgodnych z historyą uzasadnionych żądań.

Dr. Gumplowicz przedstawił nam obraz tego dążenia bardzo dokładnie i szczegółowo, nie mogę jednak powtarzać mnóstwa ciekawych fragmentów, w jakie ustęp ten obfituje; nadmienię tylko, że ze strony czechów, głównie Rieger, ze strony słowaków, Cerne, a ze strony galicyan, Smolka i Borkowski atakowali ministeryum Schmerlinga. Pięć lat (1861—1865) trwały owe bezpłodne usiłowania, pragnące pod płaszczem swobód konstytucyjnych, prowadzić dalej system Bacha. Wreszcie po pewnych wahaniach w 1867 roku pod przewodnictwem Beusta, zwyciężył stanowczo prąd nowy, wyrzekający się germanizacyjnych dążeń.

Kończąc obraz tych chaotycznych prądów, dr. Gumplowicz zwraca uwagę na nieścisłości, „ustawy o ogólnych prawach obywateli państwa“ wydanej po 1866 roku, w której znajduje się wzmianka o prawach szczepowych. Autor krytykuje bardzo słusznie, iż w ten sposób powikłane zostały niepotrzebnie dwa zupełnie odrębne pojęcia.

Rozdział V poświęcił dr. Gumplowicz teoretycznemu rozwojowi pojęcia narodowości i uwzględnił w nim starannie zarówno dawniejsze poglądy (Fichte, Zachariae, Puchta) jak i nowsze z ostatnich dziesiątków lat. Obszerniejsze krytyczne uwagi zdobią przedewszystkiem prace Fichtego, Martiniego i Stahla; lecz wogóle przy każdym poglądzie autor zatrzymuje się chwilę, wykazując sprzeczności lub niedokładności teoretycznych wywodów.

Rozdział VI zatytułowany został: „Ustawa i praktyka roku 1867—1868“. W ustępie powyższym znajdujemy w systematycznem

uporządkowaniu stosunki prawne narodowości, w ich najważniejszym objawie, t. j. w ojczystej mowie. Dr. Gumplowicz zauważył, iż zasada równouprawnienia narodowości i języków, która się w marcowych dniach 1848 na kromieryżskim sejmie zrodziła, a następnie w konstytucyi 1849 r. i ustawach organicznych 1877 r. przechowała, zbyt idealny posiadała charakter. Przypominała ona owe zwiastujące słowa rewolucyi francuskiej z 1789 r., które zaspakajają pewne idealne potrzeby ludzkiego uczucia i chwilowo odurzają lub łagodzą wielkie historyczne objawy boleści.

Tymczasem stosunki językowe w państwie muszą się ułożyć w hierarchiczny system podporządkowania. Prawo następstwa lub pierwszeństwa, jakie w tym systemie każda z narodowości uzyska dla swego języka, będzie określonem wyłącznie i jedynie przez wewnętrzną wartość duchową, przez moralną potęgę, jaka w tejże narodowości spoczywa. Tym rezultatom, zdobyczą wielu stuleci pracy kulturalnej, nie zdołają zapobiedz, a tem bardziej nie zdołają ich przekształcić, przeciwne naturalnemu porządkowi reglementacye prawne.

Po tych uwagach, których słuszności trudno cośkolwiek zarzucić, grupuje dr. Gumplowicz w następujący sposób stanowisko prawne narodowych języków w Austryi. Pierwsze miejsce zajmuje tak zwana mowa państwowa (Staatssprache), którą do 1867 roku był wyłącznie język niemiecki, a po 1867 roku po wprowadzeniu dualistycznego systemu, i język madziarski w obrębie Translitawii. Charakterystyczne cechy mowy państwowej są następujące: 1) używanie jej do najwyższych aktów rządowych, t. j. cesarskich pism odręcznych i rozporządzeń, ministeryalnych reskryptów oraz publikacyj praw; 2) używanie jej jako języka obrad ministeryalnych i języka oficyalnego ministeryum; wreszcie 3) używanie jej jako języka obrad parlamentarnych i języka najwyższych instancyj sądowych.

Drugie miejsce zajmuje mowa krajowa (Landessprache) i służy za oficyalny język najwyższym władzom ziem koronnych oraz najwyższym zakładom naukowym. W trzecim rzędzie jest postawiona mowa ludu (Volkssprache) i ta została uwzględnioną przeważnie w szkołach elementarnych.

Widzimy zatem, iż właściwego równouprawnienia języków niema w Austro-Węgrzech, lecz istnieje w rzeczywistości podporządkowanie hierarchiczne, w którem mowa państwowa ma przewagę nad krajową, krajowa nad ludową, i że na wyrobienie tego stosunku wpłynęła głównie potęga kulturalna, jaką dana mowa historyczną pracą zdobyć sobie potrafiła. Kończy też dr. Gumplowicz ten rzeczywiście interesujący ustęp słowami: „każdej rzeczywistej duchowej potędze, należy się odpowiednie prawo“ (jeder wirklichen geistigen Macht das ihr entsprechende Recht).

W rozdziale powyższym znajduje się jednakże jeden ustęp, który obecnie zaznaczam jedynie; lecz przeciwko któremu w końcu, przechodząc do krytycznych uwag, będę musiał silnie protestować. Na str. 233 nadmienia dr. Gumplowicz, iż: „nie ulega żadnej wątpliwości, że każdy uniwersytet, jedynie i wyłącznie celom naukowym służyć powinien. Uniwersytetem posługiwać się w celach politycznych i to w celach wynarodowień, znaczy oddalać go od właściwego przeznaczenia“. W tym krótkim ustępie zawarł autor pogląd w ogólności słuszny, na znaczenie i doniosłość uniwersytetów, ale przytem dołączył pewny odcień rażący, nadmieniając, że zgermanizowanie uniwersytetu krakowskiego, nie obniżyło bynajmniej znaczenia naukowego instytucyi, czego nie można powiedzieć o reformie powracającej Wszechnicy Jagiellońskiej dawny język wykładowy.

Dowodem zaś upadku naukowego towarzyszącego ostatnim zmianom w kierunku narodowym, jest podług dra Gumplowicza „die famose Plagiats-Affaire“ jednego z jej profesorów wydziału prawa, którą autor obrzuca słowami pogardy, opierając się na powadze dra Artura Wiktora, znanego, o ile wiem, tylko z jednej polemicznej broszury wymierzonej przeciw prof. Kasparkowi. Cały ten wzmiankowany ustęp jest sprzeczny z ogólnym tonem pracy; ponieważ jednak mam zamiar później poświęcić mu chwilę uwagi, zatem obecnie przechodzę do następnego rozdziału p. t.: „Nowe teorye (1865—1876)“.

Ustęp powyższy należy do bardzo interesujących, wykazuje bowiem ze starannością, która zdobi całe niniejsze studyum, w jaki to sposób statystyka usiłowała wypróbować i ustalić cyframi pojęcie

narodowości. Naprzód R. Bockh w 1866, za najniemylniejszą narodowości oznakę, która można było ująć cyframi, uważał język rodziny i ten też polecał statystykom do skonstatowania. Dr. Gumplowicz zarzuca teoryi Bockha, że miesza pojęcia szczepu i narodowości, a przytem — że jest przejętą na wskróś abstrakcyjnym idealizmem i podmiotowym patryotyzmem. Dowodzi zaś tego autor bardzo umiejętnie i przekonywająco, podając jeden przykład więcej, jak powodzenia polityczne odurzały podrzędne a nawet i pierwszorzędne umysły uczonych Niemiec. Czytamy bowiem u Bockha, że rozwój i kształcenie ludów w ich rodzinnym języku, oraz zastosowanie zasady narodowości jest czynną maksymą narodu niemieckiego, tegoż samego narodu, mówiąc trafnemi słowami dra Gumplowicza, który najwięcej ze wszystkich silił się na to, aby własnym odłamkom innych szczepów odebrać rodzinną mowę, i który obojętnie zachowywał się względem własnej narodowości, gdy ta w obcych krajach była uciśnioną.

Drugim statystykiem, którego znajdujemy w tym rozdziale, jest Ficker, i jemu dr. Gumplowicz czyni te same zarzuty, że miesza pojęcia szczepów oraz narodowości. Trzeci zaś, Glatter, odrzuca zupełnie pojęcie narodowości jako nieodpowiednie dla statystycznego zbadania i zresztą samo w sobie chwiejne, a radzi wziąć oznaki rasy za podstawę statystycznych zgłębiań. Keleti starał się znowu zbadać pojęcie narodowości i wynaleźć objawy, któreby statystyka kontrolować mogła; lecz i on pomimo wielu trafnych spostrzeżeń, poza językiem narodowym, innych znamion dostrzedz nie zdołał. Nie dalej w studyach zaszedł Brie, na którym kończy się powyższy rozdział.

W ostatnim ustępie p. t.: „Rezultaty i ostateczne poglądy“, dr. Gumplowicz składa przed czytelnikiem swoje własne zapatrywania i bada istotę narodowości w jej historycznych przejawach. Stosunki państwowe zmieniają się powoli, wytwarzając duchową wspólność oraz poczucie powinowactwa, które, jak każde uczucie wiążące ludzi, ma w sobie coś podniosłego i uszlachetniającego.

Jest też to, jak słusznie zauważono, oznaką wysokiego obyczajowego rozwoju, iż nauczono się cenić owo duchowe zjednoczenie różnorodnych socyalnych elementów, jako drogocenną i niełatwą

historyczną zdobycz. Co pierwotnie wcale nie istniało, co ani poznanem, ani uznanem nie było, t. j. owa duchowa spójnia różnorodnych socyalnych elementów, to właśnie urzeczywistniło się w pojęciu narodowości, a w następstwie zyskała na doniosłości mowa ojczysta, która poprzednio była bez znaczenia.

Zasługują na szczególną uwagę, jasnością przedstawienia zarówno jak i logicznością rozumowania, ustępy poświęcone rozróżnieniu szczepu od narodowości, a przekonywujące, że równouprawnienie tychże jest rzeczą niemożliwą. Dr. Gumplowicz zaznaczył dosadnie, iż szczepy, które nie przeszły ogniowej próby siły politycznej, nadaremnie wdzierają się na wyżyny narodowościowe, będące produktem długowiecznej twórczej pracy. Takie porównanie jest przeciwnem naturze i nikt go nie uzna, albowiem zarodek nie jest owocem, a rzecz możliwa w przyszłości nie jest bynajmniej stanem istniejącym.

O równouprawnieniu też wszystkich języków i narodowości nie może być mowy, chyba że zwolennicy tej teoryi mają na myśli wyłącznie równą opiekę dla przyszłego możliwego rozwoju języków. Państwo nowożytne też winno zabezpieczyć wszystkim szczepom swobodny rozwój, dopóki tylko pozostają w naturalnych granicach swego zakresu prawnego, jaki im ich stopień duchowego rozwoju nakreśla.

Mimo to jednak państwo bierze udział w rozwoju języka, który za najwyższy, czyli że go tak nazwiemy, za państwowy uważa. Z tego jednakże nie wynika bynajmniej, aby Austrya mogła sobie stawić za zadanie, przymusowe narzucenie języka obcego ludności lub tępienie ojczystej mowy. W takim razie państwo przekroczyłoby znacznie naturalną sferę swego interesu i wyłącznie polityczny wzgląd, jaki je wiąże do narodowej mowy, zamieniłby się w lingwistyczny interes państwa, co zupełnie jest sprzecznem z jego naturą i zadaniami.

Państwo powinno przedewszystkiem szanować podstawy swego istnienia i dlatego właśnie winno szanować ową moralną potęgę, jaką reprezentuje narodowy język, który potrafił zdobyć sobie stanowisko ponad szczepowemi narzeczami.

Jednakże nadmienia w dalszym ciągu dr. Gumplowicz, iż

wspólną mowę ojczystą nie należy uważać za istotę narodowości. Wprawdzie jest ona po dziś dzień najwyrazistszym jej objawem lub znamieniem, ale istotą, jądrem narodowości nie jest. Narodowość jest wspólnością interesów kulturalno duchowych, wytworzoną wspólnem życiem państwowem, która się jednak nie koniecznie we wspólnym języku objawiać potrzebuje. Któż np. zwątpi, że szwajcar jest szwajcarem, gdy świadomość narodową, która jest najważniejszym objawem narodowości, posiada w wysokim stopniu?

Dr. Gumplowicz uważa też ostatecznie narodowość nie za produkt państwa, ale za produkt duchowy, nie związany z losami swego wytwórcy, lecz żyjący w następstwie samodzielnem życiem, i który może w dalszym ciągu przetrwać jego upadek. Jakkolwiek też żądania narodowościowe zawierają w sobie dużo przesady, niemniej jednak nowożytne państwo nic więcej uczynić nie może, jak tylko to, iż opór narodowości zwalczać będzie wolnością.

Wielonarodowościowe państwo daleko prędzej zdoła drogą sprawiedliwości i swobody stworzyć jednę narodowość o wielu językach, aniżeli za pośrednictwem systemu opartego na przymusie językowym i systemie wynarodowienia.

Jeszcze jeden ustęp spotykamy w pracy dra Gumplowicza, ale ten zawiera objaśnienia i odpowiedzi na zarzuty krytyków, odnoszące się do poprzedniego studyum p. t.: „Das philosophische Staatsrecht“, o którem i ja także w swoim czasie podałem sprawozdanie krytyczne czytelnikom „Niwy“ (rok 1877, zesz. 66).

Przechodząc do właściwej oceny, pozwolę sobie nasamprzód wyrazić ogólne wrażenie, jakie czyni ten ostatni produkt naukowych studyów dra Gumplowicza w porównaniu z poprzedniemi pracami. Wrażenie to wypada bezwarunkowo na korzyść autora i znaczny postęp widnieje w naukowem traktowaniu przedmiotu. Po części pewne ułatwienie znalazł tym razem dr. Gumplowicz w ścisłym monograficznym zakresie, który skupił jego uwagę i uczynił refleksye głębszemi aniżeli wtedy, gdy rozpraszać się musiał po nie owładniętych jeszcze dostatecznie, a rozległych dziedzinach ogólnego prawa państwowego.

W każdym razie przyznać należy, iż w ostatniej pracy jest mniej uganiania się za oryginalnością pomysłów wypowiadaną apo-

dyktycznie i bez odpowiedniego materyału historycznego, a za to więcej rozwagi upatrującej poza prawami myśli ludzkiej i logikę faktów społecznych, więcej studyów historyczno-prawnych i więcej trafnych historyozoficznych oraz politycznych spostrzeżeń, które dowodzą, iż autor zastanawiał się nad naturą społeczeństwa.

Stosunki narodowościowe Austryi przedstawione są w obrazie, który zadowolnić może zarówno obfitością szczegółów, jak i zestawieniem umiejętnem faktów. Jest to, o ile przynajmniej wiem, pierwsza praca charakteryzująca tak dokładnie sprzeczne kierunki rządowe w ostatnich kilkudziesięciu latach, owe dążenia zmienne, przypominające budowę wieży Babel, a które później dla Austryi miały się stać tym legendowym „posiewem smoczych zębów".

Pozwoliłbym sobie jednak zarzucić autorowi, iż wziąwszy stosunki Austryi za główny przedmiot badania i posiłkując się nawet drugorzędnej wartości pracami, jak np. Roggego, prawie że pominął rozprawę Hugelmana [1]), a nie wspomniał nawet o książce Fischhofa [2]), zawierającej bardzo ciekawe uwagi, odnoszące się do kwestyi narodowości. Dalej i tę wymówkę uczynić muszę dr. Gumplowiczowi, że ozdobiwszy swą pracę tak ciekawym ustępem, jakim są zapatrywania statystyków na kwestyę narodowości, nie zechciał się w takiż sam sposób zająć socyologami, pomiędzy którymi znalazłby nawet swego starszego towarzysza Schäfflego. Tem byłby uzupełnił poglądy różnych nauk i pozwolił dokładnie przyjrzeć się powyższej kwestyi ze stanowiska teoretycznego. Ale to są tylko drobiazgowe zarzuty bardzo podrzędnej natury, które uważam za następstwo rozwijającego się w krytykach zbytniego pedantyzmu.

Dopiero gdy dr. Gumplowicz przedstawia własną definicyę narodowości, pragnąc dotychczasowe poglądy przeważające w nauce obalić, muszę obszerniej wyrazić moje wątpliwości i przytoczyć powody, dla których na zdanie jego zgodzić się nie mogę.

Za przykładem Eötvös'a, widzi dr. Gumplowicz w narodo-

---

[1]) Die rechtliche Stellung der Nationalitäten in Oesterreich. Oesterreichische Zeit. für Verw. r. 1877. Nr. 39, 40, 41. Rozprawa powyższa jest tylko raz i to pod innym tytułem wymieniona.

[2]) Oesterreich und die Bürgschaften seines Bestandes. Wien, 1869.

wości duchową spójnię, wytworzoną wspólną dziejową pracą, w imię której połączyły się różnorodne elementa społeczne. Narodowość podług tej myśli, że użyję trafnego porównania Gradowskiego [1]), jest owem „cogito ergo sum“ dla społeczeństwa, t. j. momentem, w którym przynajmniej wykształceńsze klasy mają poczucie niezbędności wspólnej pracy, dlatego, że się uważają za odrębną indywidualność, pośród ludzkości, za indywidualność, która w swej odrębności skuteczniej zadaniom cywilizacyjnym zadośćuczynić jest w stanie.

Dotąd uważałem pogląd powyższy za zupełnie uzasadniony, ale gdy postawimy pytanie, jakim sposobem ta spójnia duchowa się wytwarza? gdy poszukamy analizy owego tajemniczo z łona społeczeństwa powstałego czynnika, jakim jest narodowość, znajdziemy w pracy dra Gumplowicza odpowiedzi, które trudno uważać za usuwające stanowczo wszelkie spory.

Na powyższe pytania, co prawda, nie odpowiedziały dotąd najlepsze monografie. Mohl, uważając kwestyę narodowości za jedną z najbardziej zawikłanych [2]), badał tylko szczegółowo jej wpływ na przewroty polityczne, Eötvös [3]) nawet, który pierwszy wyrzekł słowa: spójnia duchowa, świadomość historycznie wyrobiona, nie trudził się skreśleniem procesu wytwarzania się owej spójni, czyli narodowości. Tymczasem dr. Gumplowicz uważa narodowość za produkt wspólnego pożycia państwowego, za rezultat politycznych związków. Państwo jest podług niego, owym czynnikiem głównym czy też siłą wytwórczą, tak, że nawet język wspólny może nie istnieć wcale, czego dowodem Szwajcarya.

Temi słowy zniósł dr. Gumplowicz dwa pojęcia, dotąd odrębnie w nauce stojące: t. j. pojęcie ludu (Volk), oparte na spójni lub związku politycznym i pojęcie narodowości (Nationalität), oparte na związku duchowym. Lud polityczny i narodowość jednoczą się w tym

---

[1]) Nacionalnyj wopros. Patrz: Sbornik gosudarstwennych znanij. T. III. strona 250.

[2]) Die Nationalitätenfrage. Patrz: Staatsrecht, Voelkerrecht und die Politik. T. I, str. 333.

[3]) Mówię tu o dziele: „Die herschenden Ideen des XIX Jahrhunderts“ i rozprawie: „Die Nationalitätenfrage in Oesterreich“.

przykładzie Szwajcaryi i są zarówno podług tej teoryi produktem państwa. Jednakże nie mogę się zgodzić na to, aby identyfikowanie dwóch pojęć, odmienną treść zawierających, było korzystnem dla nauki, tak samo jak nie mogę się pisać na zdanie, iż narodowość jest produktem państwa, iż może się obejść bez wspólnego języka, i że wreszcie szwajcar jest przeświadczonym o swej wielojęzycznej narodowości.

Cały ten szereg następstw wysnutych dowolnie z tezy Eötvösa [1]), gdyż sam Eötvös do tego rodzaju konsekwencyi nie doszedł, wydaje mi się niemożliwym i winienem dr. Gumplowiczowi wytłómaczyć się z czynionych zarzutów.

Często w specyalnych studyach politycznych spotykamy się z faktem, iż piszący ulega jednostronnemu urokowi, jaki jeden czynnik społeczny roztacza i jemu przypisuje rozliczne wpływy płynące właściwie z odmiennych źródeł. To też jeśli się znajdowali moraliści, co uważali człowieka za produkt rodziny, gdyż ta urabia pojęcia obyczajowe; jeśli inni uważali tegoż człowieka za produkt gminy, gdyż ta jest dalszym ciągiem rodziny i rozwija pojęcie publicznego obowiązku: to dr. Gumplowicz zdaje się skłaniać do trzeciej kategoryi jednostronności, t. j. do szeregu tych uczonych, których ogarnia wszechpotężny Leviathan państwowy Hobbesa, i którzy tem samem uważają wszystko za produkt państwa.

Tymczasem tak jak człowiek, jako społeczno-duchowa istota jest produktem zarówno rodziny, gminy, kościoła jak państwa, tak samo proces urabiania się narodowości nie odbywa się przy współdziałaniu wyłącznem państwa, ale i innych czynników społecznych, które w tym wypadku jeszcze ważniejszą odgrywają rolę. Tak samo jak w rozwoju człowieka, państwo nie może zastąpić ani stworzyć wpływu gminy, rodziny i t. d.; tak i w rozwoju duchowej spójni narodowościowej, państwo nie stworzy i nie powoła do życia tych elementów, które urabiają ową spójnię i dają poczucie wspólności zadań cywilizacyjnych.

Państwo jest rzeczywiście jednym z czynników przyspieszają-

---

[1]) Owszem w pracy: „Die Nationalitäten-Frage in Oesterreich“ (str. 112) spotykamy ustęp, który nie dopuszcza podobnej interpretacyi słów Eötvös'a.

cych proces urabiania się narodowości, jeśli potęgą swej władzy wesprze inne czynniki, jeśli uszanuje duchowe życie, jakie w tej narodowości spoczywa; ale stworzyć siłą swej władzy ową spójnię duchową, tam gdzie odpowiednich elementów niema, nie jest w stanie, i nawet dr. Gumplowicz w swej pracy przytacza na to cenne przykłady.

Czyż rządy Wilhelma Zdobywcy i jego następców, rządy bezwarunkowo militarnie do kwestyi narodowości się odnoszące, silne i z nieubłaganą konsekwencyą działające; czyż, powtarzam, owo centralizacyjno-militarne państwo Normanów, może się, jako swoim produktem poszczycić tem, iż wytworzyło narodowość odrębną? Sądzę, że niema na to dowodu. Owszem, ciż sami zdobywcy ulegli powolnemu procesowi płynącemu z potrzeb społecznych i sami mimo to, iż władza państwowa spoczywała w ich ręku, przekształcili się, zlali z saksońską ludnością i nie zdołali nawet utrzymać urzędowego francuskiego języka.

Tak samo oświecony absolutyzm XVIII wieku, nie ulegający zbytniemu sentymentalizmowi w kwestyi narodowościowej, musiał się jednak rozstać z nadzieję wytworzenia własnego produktu, a natomiast, w celu pozyskania silniejszych podstaw, uwzględnił język ludności miejscowej w czynnościach urzędowych. Wreszcie sama Austrya, czyż po tylu wysileniach może się pochlubić jakiemś poczuciem austryackiem, jakimś produktem politycznej władzy, jakimś owocem wspólnego państwowego życia? Sądzę, że pod tym względem interwencya państwowej władzy niszczyła tylko zarodki duchowej spójni i że zdanie Eötvösa będzie miało pewne znaczenie, a ono świadczy, że ludy austryackie nie wzniosły się ponad patryotyzm swej prowincyi i o ogólnej spójni nie mają pojęcia [1]).

Z tych powodów uważam łączenie terminów „lud i narodowość“ za niestosowne, tak samo, jak nie mogę się zgodzić na to, aby narodowość była produktem państwa w tem znaczeniu, jakie jej chce nadać dr. Gumplowicz. Narodowość, mojem zdaniem, jest indywidualnością społeczną, polegającą na historycznie wyrobionem przeświadczeniu o wspólnych potrzebach i zadaniach cywilizacyjnych

[1]) Die Nationalitätenfrage in Oesterreich.

i dlatego właśnie główna siła narodowości spoczywa w tych elementach społecznych, które to przeświadczenie, to poczucie spójni duchowej najsilniej rozwijają. Tutaj też w pierwszym rzędzie idzie język, dalej Kościół, zwyczaj i obyczaj, wreszcie, jak to słusznie zauważył Froebel, ziemia [1]) a z nią wspólność potrzeb ekonomicznych i codzienny miejscowy publiczny interes, przybierający postać gminy; w końcu zaś, jak to, nie wpadając w drugą ostateczność, przyznaję chętnie dr. Gumplowiczowi, i państwo. Niemniej jednak narodowość nie jest produktem państwa i nie można jej identyfikować z ludem, który oznacza jedynie ogół mieszkańców podlegających władzy państwowej.

Z tej kardynalnej tezy autora: „narodowość jest produktem państwa“ płynie dalsza konsekwencya, z którą również zgodzić się nie mogę, a mianowicie, że narodowość istnieć może bez wspólnego ojczystego języka, a tem samem, jak to przykład Szwajcaryi wykazuje dobitnie, że mogą się rozwijać wielojęzykowe narodowości. Tembardziej dziwić może podobna konkluzya w pracy dr. Gumplowicza, że w poprzednich ustępach uważny czytelnik znajdzie niewątpliwie wiele głębokich myśli i bystrych spostrzeżeń, wykazujących ową siłę duchową, jaką język wyrobionej narodowości posiada. Sądzę też, że zdanie powyższe dra Gumplowicza nie ostoi się w nauce, tembardziej, że je, jak mnie się zdaje, mylnym przykładem historycznym popiera.

Wprawdzie w obrębie językowym każdej narodowości niema martwoty i jednostajności, — życie i rozwój objawia się w tej sferze w formach różnolitych, w mniejszem lub większem bogactwie kształtów; ale pomimo to, iż w języku narodowości spotkać możemy obfitość narzeczy, pomimo to, iż nieznaczny odłamek ludności włada zupełnie inną choć mniej wyrobioną mową, niemniej jednak najkardynalniejszym objawem narodowości, owym wiecznie płonącym Zniczem, wśród którego świateł powstaje i olbrzymieje geniusz indywidualny, ta historyczno-duchowa spójnia — jest język czyli mowa ojczysta. Za jej pośrednictwem urabia się i upamiętnia wszystko to, co podnosi i uszlachetnia człowieka; za jej pośrednictwem zapoznaje

[1]) Die Gesichtspunkte und Aufgaben der Politik. Str. 21 i dalsze.

się umysł z ideałami piękna i obyczajowości; za jej pomocą dogmata religijne pozbywają się tajemniczej przesądnej grozy i stają się rzeczywistą wiarą; wreszcie tylko za jej pośrednictwem, państwo może pozyskać prawdziwego obywatela.

Rzeczywiście nie umiem sobie przedstawić położenia, a tembardziej wynaleźć historycznego przykładu, któryby mnie przekonał, iż bez tego potężnego czynnika, codziennie i wszechstronnie spajającego różnorodne elementa społeczne, może się wytworzyć narodowość.

Powtarzam jeszcze raz, że nie mogę wynaleźć historycznego dowodu, — albowiem przykład Szwajcaryi uważam za mylny. Najsamprzód nie mogę się zgodzić na to, aby istniała narodowość szwajcarska; istnieje tylko państwo i lud noszący podobne nazwisko. Lud szwajcarski składa się z trzech wybitnych narodowości: francuskiej, włoskiej i niemieckiej, które etnograficzne położenie i polityczne cele złączyły w ciągu wieków w jeden choć dość luźny organizm państwowy. Szwajcar ma bezwątpienia dumę i przeświadczenie, iż jest członkiem indywidualności politycznej szanowanej w „koncercie europejskim“ mocarstw, ale to źródło przeświadczenia płynie nie z narodowościowej spójni, lecz z instytucyj politycznych.

Państwo szwajcarskie nie jest wyrazem brutalnej siły, lecz duchowej potęgi, która uszanowała i zarówno popierała wszystkie narodowości godne uszanowania. Tam właśnie panuje zasada: „jeder geistigen Macht ihr entsprechendes Rechts“, którą tak pięknie rozwinął dr. Gumplowicz. Następstwem zaś tej zasady był objaw pouczający, że przy swobodzie, waśnie narodowościowe rozdzielające ludy i wytwarzające dziedziczną nienawiść, nikną, a państwo pozyskuje dla siebie duszę obywatela, bo jest opiekunem wszystkich jego potrzeb duchowych, a nie odwraca jej od siebie, obrażając to, co jest nierozdzielną częścią indywidualności ludzkiej.

Zresztą jeśli Szwajcarya bez wspólnego języka, Kościoła, literatury i t. d. jest jedną narodowością, dlaczegóż Austrya nie tworzy zarówno narodowości austryackiej wielojęzykowej? Położenie jest zupełnie jednakowe i trafnemi słowy kreśli owo podobieństwo

Fischhof[1]) mówiąc, iż Szwajcarya „ist ein republikanisches Oesterreich, en miniature, wie Oesterreich eine monarchische Schweitz im Grossen ist“. Pomimo to dr. Gumplowicz ograniczył się tylko na jednym przykładzie Szwajcaryi i analogii z Austryą nie chce się dopatrzeć, przyznając jedynie, że w tem drugiem państwie żyją obok siebie odrębne indywidualności społeczne mające prawo do pewnej samodzielności.

Tymczasem mnie się zdaje, iż położenie jest zupełnie jednakie, tylko że świadomość ogólnego związku politycznego, którą w większym stopniu znajdujemy w Szwajcaryi, jest rezultatem odpowiedniejszego systemu, jaki władza państwowa względem narodowości przyjęła, a nie następstwem jednej wielojęzykowej narodowości.

Jakkolwiek ani z poglądem dra Gumplowicza na narodowość, ani z wieloma następnemi uwagami zgodzić się nie mogłem, przyznaję jednak, iż w pracy jego znajduje się wiele pouczających i wybornie opracowanych ustępów. Rozróżnienie plemienia od narodowości, wykazanie odmiennej doniosłości języka niewyrobionego plemiennego, od cywilizacyjnego narodowościowego, jest trafnie i ściśle skreślonem, a ustępy dowodzące, iż państwo winno szanować potęgę duchową spoczywającą w języku narodowości, są ozdobą monografii i zapewniają trwałą wartość naukową powyższej pracy.

Na tem właściwie zakończam ocenę; zwrócić muszę tylko uwagę na ustęp nie licujący wogóle z tonem pracy, a obciążający zarzutem uniwersytety galicyjskie. Autor zauważywszy, iż nauka nie może służyć za igraszkę namiętnościom politycznym i że uniwersytet winien być instytucyą poświęconą rozwojowi nauki, w końcu dochodzi do wniosku, że zniemczenie Wszechnicy Krakowskiej nie zniżyło naukowego poziomu tej korporacyi; gdy tymczasem reforma powracająca dawny język wykładowy, nie może się pocieszyć tymże samym rezultatem.

Spostrzeżenie zatem zrobione przez dra Gumplowicza jest dość smutne, a dla posłanników teutońskiej cywilizacyi, bardzo radosne. Zobaczmy jednak, czy ta rękawica ciśnięta reformom, które uważam

---

[1]) Oesterreich und die Bürgschaften seines Bestandes, str. 89.

za prawdziwe błogosławieństwo dla Królestwa Galicyi i dla rozwoju nauki, czy rzeczywiście ta rękawica jest ciśnięta po rycersku, t. j. w obronie upadającej nauki.

Od zarzutu poniżania nauki dla chwilowych politycznych namiętności, uniwersytetów galicyjskich bronić nie będę, bo ich wprost dr. Gumplowicz nie stawia i możnaby tylko z zestawienia zdań wywnioskować, iż pod tym względem nie jest zupełnie zadowolonym. Nadmienię tylko, iż ani przed zniemczeniem, ani po ostatnich reformach, uniwersytety galicyjskie nie zasłużyły sobie nawet na cień podobnego zarzutu, a w ostatnich czasach mogły służyć za wzór uniwersytetom niemieckim.

Po roku 1871, przypominam sobie bardzo dokładnie co uczyniono w sławnych i starożytnych wszechnicach niemieckich z katedrą historyi i nauk państwowych. W owym to czasie dawna zasada chrześcijańska: „et cognoscetis veritatem“ i t. d., uleciała z tych prastarych siedlisk nauki, a miejsce jej zajęła propaganda patryotyczna, wbijanie w przesadzoną dumę młodzieży z rzeczywistem poniżeniem uczucia sprawiedliwości.

Ale przechodzę do głównego zarzutu, t. j. do owego zniżenia poziomu nauki, na które ostatnia reforma wpłynęła. Zarzut powyższy robi bezwarunkowo przykre wrażenie, zwłaszcza, że ogłoszony w niemieckim języku, stanie się przystępnym szerokiemu kołu czytelników i dlatego sądzę, że trzeba się z nim raz porachować.

Uniwersytet jest rzeczywiście instytucyą poświęconą rozwojowi nauki, to nie ulega wątpliwości; ale nie ma to być maszynerya fabrykująca w swych murach uczone dysertacye, tylko instytucya rozszerzająca światło nauki wśród społeczeństwa i obdarzająca kraj obywatelami szanującymi wiedzę, pracującymi nad jej rozwojem i oświecającymi niższe warstwy. Działalność uniwersytetu nie ocenia się zatem wyłącznie wagą uczenie zadrukowanego papieru, ale poziomem naukowym młodzieży, która opuszcza instytucyę i na stanowiskach urzędników, lekarzy, pedagogów i t. p., stwierdza, jaki zasób wiedzy i zamiłowania dla nauki w uniwersytecie nabyła.

To też wartość uniwersytetu nie zależy jedynie od liczby słynnych uczonych, jakich w gronie swojem zawiera, ale i od wybornych pedagogów, którzy pracują nad młodzieżą i z młodzieżą, któ-

rzy starają się w nią wszczepić zamiłowanie do samodzielnych studyów i to poszanowanie dla nauki, które im później przyświeca nawet w trudnych zapasach z praktycznem życiem.

Z tego stanowiska rzućmy okiem na epokę, ku której zwracają się jeszcze tęskne westchnienia zwolenników germanizacyi, czyli innemi słowy: postawmy zapytanie, jak wywiązały się ze swego zadania zniemczone uniwersytety galicyjskie i czy rozsiewały tak obfitym snopem światło nauki wśród społeczeństwa?

Przed sześciu laty miałem sposobność poznać kilku tych maruderów germanizacyi dążących opieszale tam, gdzie im nowa gwiazda błyśnie; znałem również wychowańców tego systemu, oraz ludzi, co na miejscu przypatrywali się bezstronnem okiem oddziaływaniu owych zwiastunów wyższego poziomu naukowego. Mogę więc na powyższe zapytanie dać odpowiedź wspartą po części przynajmniej na własnej obserwacyi.

Rekrutowani dla Galicyi z uniwersytetów niemieckich dygnitarze nauki, przybywali w znacznej części po to jedynie, aby mieć dogodną sposobność napisania kilku rozpraw, czyli wyrażając się ściśle, nabycia uczonej renomy, a następnie, korzystając ze sławy, aby czemprędzej powrócić do Niemiec. To byli jeszcze najlepsi, bo choć sui generis egoistyczna spekulacya zasklepiała ich uczucia, ale przynajmniej poczuwali się zdolnymi do orlego polotu w sferach nauki. Cóż dopiero mówić o liczniejszej plejadzie tych, co z orlich wyżyn zstąpić musieli do poziomu zgłodniałej pustułki i katedrę uniwersytecką uważali wyłącznie za jeden z licznych środków utrzymania... Ci byli urzędnikami, lub raczej automatami wyrzucającymi słowa stanowiące kurs roczny, a poza tem nie było śladu ich działalności.

Wogóle dumni owi przybysze natrafiali na znaczne trudności, młodzież łamała się z językiem obcym i chętniej zadawalniała się pozorami nauki, ale zamiast też zdwoić usiłowania, aby pokonać przeszkody, ci uczeni spekulanci zniechęcali się ze swej strony szybko, opuszczali ręce i żaden serdeczniejszy stosunek oparty na poczuciu obowiązku i miłości młodzieży, nie wiązał katedry z audytoryum. To też uczniowie zadawalniali się zupełnie wyuczeniem kursu, bo to im było potrzebnem do otrzymania dyplomu, a dyplom był potrzebnym dla karyery i wkrótce po opuszczeniu murów uniwersy-

teckich zapominali wszystko to, co stanowiło rezultat żmudnych egzercycyj pamięciowych.

Mówiąc o poziomie naukowym uniwersytetów galicyjskich po reformie, dr. Gumplowicz zapomniał widocznie, iż jeśli polepszenie nie nastąpiło tak szybko, to było winą poprzedniego systemu, który pozostawił w remanencie znaczny pedagogiczny materyał starego pokroju, nie dający się ożywić nowym duchem, ani usunąć ze względu na dawne zobowiązania rządu. Reforma zatem w rzeczywistości oddziaływać mogła powoli, ale postępuje ona nieustannie i nowe siły reprezentujące nowy system, pracują z poświęceniem nad młodzieżą a z sumiennością nad rozwojem nauki.

W końcu, jakiż dowód przytoczył dr. Gumplowicz na stwierdzenie owego zniżonego poziomu uniwersytetów galicyjskich? Oto jeden z profesorów wydziału prawa a raczej jedna z kilku jego prac, ma na tej szali przeważyć ku naszemu potępieniu. Ten fakt choćby był najprawdziwszym nie wystarczałby zupełnie, a jeszcze pytanie, czy to fakt niewzruszalny? Nie mam zamiaru kruszyć kopii w obronie prof. Kasparka, bo tego nie potrzebuje, ale też nawet po stanowczem oświadczeniu dra Gumplowicza i dra Artura Wiktora, nie widzę się zmuszonym cofnąć cokolwiek z obszernej krytyki jaką o temże dziele prof. Kasparka dawniej w „Niwie“ napisałem.

W każdym razie jednak nadmienić winienem, iż podobne wycieczki jak przeciw uniwersytetom galicyjskim i prof. Kasparkowi, wyglądają na grot hartowany w osobistych niechęciach i mam nadzieję, iż autor nie weźmie mi za obłudę, gdy wyrażę życzenie, aby podobne ustępy nie zaciemniały na przyszłość jego sumiennych studyów.

11.

ELIZA ORZESZKOWA [1]).

Patryotyzm i kosmopolityzm.

Studyum, któremu zamierzam poświęcić chwilę uwagi, sprawiło społeczeństwu naszemu podwójną niespodziankę. Nasamprzód, jak każda poważna praca z dziedziny nauk społecznych, była i rozprawa pani Orzeszkowej dla każdego głębiej myślącego, miłem, choć niestety, dość rzadkiem zjawiskiem, a powtóre, co jeszcze bardziej zdumiało wszystkich — autorem powyższej pracy była kobieta, znana zresztą dobrze z talentu objawionego niejednokrotnie w sferze literatury pięknej.

Od chwili, gdym zamieścił pierwszą krytykę w łamach dawnego „Ekonomisty“ w roku 1874, jest to pierwszy i tem przyjemniejszy dla mnie objaw, iż widzę powstające nowe współzawodnictwo, że otwierać się zaczyna dla nas nowe źródło duchowych zasobów i szlachetna połowa naszego społeczeństwa, obdarzająca nas dotąd pieśnią lub powieścią, stwarzająca wyłącznie ideały obyczajowości lub piękna, zaczyna nam towarzyszyć w surowych badaniach kwestyj społecznych, zaczyna być ożywczą pomocą w naukowej pracy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wybrała pani Orzeszkowa przedmiot, który z całego obszaru nauk społecznych zawierał w sobie najwięcej elementu kobiecego, czyli mówiąc innemi słowy, miał dla

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1880.

jej natury kobiecej najwięcej powabu, bo się nań składało uczucie, bo był miłością, której nikt tak subtelnie zgłębić, tak instynktownie odczuć i z tak gorącem zamiłowaniem przedstawić nie potrafi, jak kobieta.

Treść pracy, jak to zresztą tytuł wyjaśnia, jest poświęconą patryotyzmowi, czyli spolszczając termin, miłości ojczyzny. Uczucie to poddaje autorka naukowej analizie i stara się je zachować w pierwotnem cieple w dawnej świeżości pod mroźnym i kalającym podmuchem kosmopolityzmu.

Przedmiot wybrany przez p. Orzeszkową jest bardzo wdzięczny, jak widzieliśmy, i dlatego też, tak w dawniejszej, jak w nowszej literaturze, przywabiał swym urokiem umysły uczonych, a przytem nie był tak łatwym do wszechstronnego zbadania, jakby się to napozór zdawać mogło.

Miłość rodzinna jest dla każdego zrozumiałą; dowody jej niezbędności są tak proste, źródła z których czerpie istnienie tak widoczne, że badacz w jasności i prostocie zjawisk ma w znacznej części ułatwione zadanie. To co jest treścią rodzinnych ogniw, zespala się tak bezpośrednio z życiem fizycznem i duchowem jednostki, geniusz ukrywający się w familijnem ognisku, przynosi tyle nieodzownych i niewyczerpanych dobrodziejstw człowiekowi, że miłość i wzajemne poświęcenie są naturalnem następstwem indywidualnego interesu, bo w rodzinie jednostka może nazwać wszystko kością z kości i krwią z krwi własnej.

Inaczej się jednak rzecz ma, gdy spojrzymy na tęż samą miłość w odmiennym objawie, t. j., gdy za przedmiot obiera ojczyznę. W tym wypadku miłość, jak to już słusznie zauważył Libelt[1]), wydaje się na pierwszy rzut oka niepojętą. Bezpośrednich i widocznych związków krwi, jak w rodzinie, ojczyzna już nie przedstawia. Egoizm jednostki zdaje się wobec niej nabierać uprawnienia i wypadałoby w logicznem następstwie, że uczucie miłości winno być słabszem i gasnąć zupełnie przed progiem rodzinnego domu.

Doświadczenie jednak zaprzecza logice. Historya poucza nas,

---

[1]) „Rok 1844 pod względem oświaty“ i t. d. Poznań, „O miłości ojczyzny“. Str. 6.

że człowiek dalekie swe ziemie wraz z ludem, który nazwał bratnim, ukochał najgoręcej. Zarówno nagie skały Czarnogóry, jak i jednostajny step Węgier wydawały mu się uroczemi, gdy je zapełniał swą duszą, wspomnieniami młodości i wcześnie przejętą tradycyą. Jeśli zaś wątpliwej piękności natura zdolna była obudzić nigdy nie ustającą tęsknotę za sobą, cóż dopiero mówić o ludzie zamieszkałym, z którym łączyły każdego wspólne radości i bóle, nadzieje i zawody. Pieśń ludu rodzinnego rozrzewnia i zachwyca najgłębiej, melodya narodowa wprawia w najmilszą zadumę, pędzel i dłuto stają się nie wyczerpanemi, gdy trzeba przedstawić piękność ziemi i szlachetność czynów ludu z nią zespolonego: jednem słowem, wszystko co człowiek miał najidealniejszego w swojej istocie, to przejawiło się w tem potężnem uczuciu.

Ale nietylko najpiękniejsze kwiaty poezyi, najwspanialsze owoce umysłu i serca niósł on w ofierze miłości ojczyzny, lecz zarazem i najlepszą krew własną. Najwznioślejsze karty historyi, zdobne w bohaterskie poświęcenia i męczeńską niedolę, wszystko to powstawało pod czarodziejskim wpływem tego uczucia. Gdy miłość ojczyzny stanęła w poprzek rodzinnemu szczęściu, skazywała je bezpowrotnie na zagładę. W szlachetnej piersi nie było wówczas wahania, to co było kością z jego kości, poświęcał chętnie wraz z sobą fikcyjnemu napozór pojęciu ojczyzny, a zamierające usta szeptały jeszcze — „byle cię można kochać, byle wspierać — nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać“.

Tak silne i nieprzezwyciężone było uczucie, którego objawy i analizę przedstawiło nam pióro kobiety. Zobaczmy przedewszystkiem co się w powyższem studyum znajduje.

Na wstępie pani Orzeszkowa zaznacza, iż stulecie nasze niewątpliwie nazwanem zostanie przez czasy przyszłe, wiekiem krytyki. Zmysł ów sceptyczny pojawił się na całej przestrzeni umysłowości i etyki dzisiejszej; możesz być inaczej na jednym z jej punktów, mianowicie na tym, kędy wszystkie dotąd wieki i ludy oddawały cześć głęboką i wątpliwościom żadnym nie poddawaną, idei, noszącej w nowożytnych mowach nazwę patryotyzmu. Autorka stawia też zapytanie: czy w tejże samej postaci wspaniałej i z tem samem niepokalanem obliczem stoi owa idea i dziś przed ludźmi? a uprze-

dzająca dowody odpowiedź jej brzmi niepocieszająco w słowach: nie wszędzie i nie przed wszystkimi.

Istnieją, jak twierdzi p. Orzeszkowa, pewne miejsca i warstwy społeczne, których krytycyzm dla przyczyn rozlicznych zwrócił się i w tym także kierunku. Przedmiotowe zatem, beznamiętne, bezstronne traktowanie przedmiotu, traktowanie oparte na dowiedzionych prawidłach nauki, na poznaniu istotnych właściwości natury ludzkiej i na wiedzy o popędach i potrzebach społeczeństw dzisiejszych, obowiązuje obecnie ściśle i niezłomnie badacza.

Obowiązek wspomniany posiada tu tem większe znaczenie a spełnienie go wydaje się tem pilniejszem i nieodzowniejszem, że naprzeciw odwiecznego tego strumienia uczuć i przekonań, wytryskuje na powierzchnię prąd inny, nie tak nowy jak o tem mniema wielu, lecz coraz wyraźniejszy i wzmagający się w siłę, prąd idei zwanej kosmopolityzmem.

Konieczność tedy zachodzi pilna, aby ludzie porywani tym nowym prądem, zapoznali się gruntownie z istotą jego, z wpływami, aby jasno ujrzeli, w jakie rozbiega się on kierunki, gdzie jest i być powinien naturalny kres jego biegu.

Aby zaś powyższy rezultat osiągnąć, trzeba się koniecznie zastanowić nad następującemi pytaniami: 1) Czem są zbiorowe grupy ludzkości zwane narodami? 2) Czem jest patryotyzm? 3) Jeżeli patryotyzm jest uczuciem i zarazem ideą, należyż uważać go za wytwór dobrych lub złych właściwości natury ludzkiej, błędnych lub ku prawdzie wiodących pomysłów i kombinacyj ludzkiego umysłu? i 4) w jakim stosunku patryotyzm zostaje względem idei innej, zjawiającej się wobec niego z pozorami absolutnego z nim antagonizmu? Czem jest kosmopolityzm? i czy istotnie te dwie idee wyłączają się wzajem bezwzględnie?

Rozdział I poświęcony jest rozbiorowi pierwszego pytania i nosi tytuł: „O przyczynach i prawach bytu indywidualności zbiorowych, czyli narodów“.

Nauka, która podług p. Orzeszkowej, pierwsza na ten punkt zagadnienia rzuca światło, jest etnologia, czyli nauka o ludach Jak daleko sięgnąć może w tym kierunku wzrok ludzki, wszędzie i zawsze jako pierwszy zawiązek uspołecznienia spostrzega on rodzinę. Ro-

dziny w przeciągu czasu rozrodzone, rozpadały się na wiele gałęzi wytwarzających sobie stopniowo odrębne i samodzielne warunki istnienia. Wielka ilość odrośli takich z jednego pnia wychodzących, tworzyła ród, ciało zbiorowe, i organizacyą daleko więcej złożoną od prostego ustroju rodziny, spojone jednak ściślej z sobą, związane pamięcią pochodzenia wspólnego i solidarnością interesów.

Przy wzrastającej liczbie osobników ludzkich, rody uczuły popęd do zlania się w spójniejszą jeszcze, solidarniejszą całość i, poddając się władzy jednego człowieka i jednych praw, utworzyły ludy, t. j. trzecie i do dziś przez ludzkość nieprzekroczone studyum uspołecznienia. W jaki sposób ludy rozłamywały się z kolei na szczepy, a te tworzyły plemiona, to już mniej zajmuje autorkę, a natomiast przedstawia nam obraz piękny i pełen wdzięcznych barw, dotyczący pierwszej historycznej doby, gdy spostrzegamy ludzkość rozbitą już na grupy liczne a różnorodne, z których każda posiada swoją własną fizyonomię, własny swój sposób bytu i pracowania, własny swój ustrój wewnętrzny, własne widzenia i dążenia, z których, słowem, każda pod wpływem przyrody i pierwotnej historyi, wytworzyła się w odrębną indywidualność.

Nie idzie zatem, aby zbiorowy osobnik taki nie ulegał nigdy zmianom żadnym, aby istnienie jego nie podlegało tak jak istnienie pojedynczej jednostki prawu przemian, przekształceń i śmierci. Indywidualność narodowa podatna być musi zmianom i przekształceniom już przez to samo, że zmieniają się i przekształcają warunki fizyczne, zamieszkiwanego przez nią punktu ziemi, a wychowanie historyczne, które otrzymuje, zmienia też, przekształca i rozmnaża psychiczne jej własności. Zdarza się nawet, że dwie indywidualności narodowe, innoplemienne, przez osiedlenie się na jednym gruncie i zmięszanie krwi tak dobrze zlewały się z sobą, że z upływem czasu wytwarzały jednolity narodowy organizm (saksoni i normandowie w Anglii).

Co do znikania i umierania narodów, to odróżnia pani Orzeszkowa dwa wielkie działy przyczyn, z których każdy ma inne znaczenie. Ludy tak jak ludzie umierają śmiercią naturalną lub przypadkową; przypadkową o tyle, o ile przypadkiem nazywamy następstwo działania przyczyn pośrednich i nie w samym ulegają-

cym mu organizmie spoczywających. Śmierć naturalna narodów wynikiem jest samoistnego zaniknięcia indywidualnych właściwości, zaniknięcia połączonego z brakiem sił do wytworzenia na ich miejsce właściwości innych. Uśmiercanie zaś ludów przez przyczyny postronne, znanemi są dziejom, chociaż jak to zobaczymy niżej, dokonywają się z trudnością wielką i bardziej pozornemi są niż istotnemi.

Każdy jednak z tych działów przyczyn posiada inne znaczenie. Śmierć naturalna dowodzi tylko powszechnego prawa natury; ze śmiercią znowu przypadkową ludów rzecz znowu inna. Tu objawia się zapoznanie praw przyrody i tkwią przyczyny niezmiernych dla ludzkości strat i boleści. Każdą śmierć taką, czy raczej każde takie wprowadzenie żywego organizmu w letarg i powolne gnicie, ludzkość odchorować musi. Zgnębiona nieprzyjaznemi wpływy indywidualność narodowa nie rozwija się, nie działa; lecz w upokorzeniu i tajemnicy żyje przecież przez wieki.

Od pierwszego zarania historycznego dnia ludzkości, osobniki zbiorowe noszące miana narodów, istniały, a gdy który z nich dla jakichkolwiek przyczyn istnieć przestawał, wnet zastąpionym bywał przez osobnik inny, lecz również odrębny, z powodów otaczających właściwą sobie naturą, wyróżniony.

W rozdziale II jest mowa o pochodzeniu, istocie i składowych częściach patryotyzmu. Nie podobna zaprzeczyć, mówi p. Orzeszkowa, że pierwszy zawiązek patryotyzmu spoczywa w uczuciowych władzach człowieka. Uczucie to wywołuje kategorya przyczyn fizycznych, takich: jak ścisłe zbratanie się organizmu z otaczającemi go żywiołami natury, siła pociągu, którą względem siebie uczuwają pierwiastki mocą przystosowania się wzajemnego i przyzwyczajenia z sobą upodobnione; wielkie nakoniec spotęgowanie zbratania się i pociągu przez tajemniczo lecz pewnie działającą na szeregi pokoleń ludzkich, moc dziedziczenia. Zgoda ta pomiędzy człowiekiem a otaczającą go naturą, mimowiednie uczuwana, tworzy najpierwotniejsze ogniwo spajające człowieka z życiem rodzinnej ziemi, tak jak usta dziecięce spajają się z życio i siło-dawczą piersią matki karmicielki.

W ten sposób przedstawiwszy zaczątek patryotycznego uczucia, p. Orzeszkowa przesuwa przed oczyma czytelników szeregi pięknych

i rzewnych niekiedy obrazów, które jednak odrywają i rozpraszają uwagę na niekorzyść ścisłego zbadania przedmiotu. Tak np. współczujemy z panią Orzeszkową, gdy strudzony robotnik wciąga w szeroką pierś owo czyste powietrze, a zmęczonem okiem toczy dokoła siebie i kocha powietrze, barwy, widoki, któremi się odżywia fizyczne i moralne jego jestestwo. Rozrzewnia nas opowieść o więźniu i towarzyszu jego niedoli, pająku, oraz, że więcej drogich i skrzepiających rzeczy powie stary i wpół skruszony odłam jakiegoś ubogiego muru, niż wznoszące się gdzieindziej arcydzieła budowniczej sztuki; ale z tem wszystkiem gubimy główny przedmiot i musimy sobie nieustannie przypominać, iż go wśród tej obfitości obrazów odszukać potrzeba.

W dalszym ciągu przedstawia pani Orzeszkowa, że istnieją związki ludzi z ludźmi, które obok miłości dla kraju wytworzonej przez wszystkie powyższe przyczyny, wytwarzają o wiele żywotniejszą i potężniejszą miłość narodu. Tu należy mieć na uwadze, nie same tylko pociągi i spójnie, które łączą człowieka z jego współczesnymi, lecz i te także, które istnieją pomiędzy nim a oddaloną, nie własną już jego indywidualną, ale narodową przeszłością i przyszłością.

Zdawałoby się, że natura usiłowała wynagrodzić człowiekowi względną krótkość indywidualnego jego istnienia, udzielając mu możność zapuszczania wzroku i myśli w wiekową przeszłość i przyszłość. Jak drzewo z korzenia swego, tak teraźniejszość narodowa z narodowej przeszłości początek swój bierze, jak z łona gwiazdy w przestrzeń promień mknący, tak z łona dziejów ojczystych mknie w czas doba nasza obecna.

Nie mniej silny składnik uczuciowej strony patryotyzmu jest to upodobanie, które ludy wszystkie, na wyższym stopniu cywilizacyi zostające, uczuwają dla tego zwierciadła swego, którem są: narodowe piśmiennictwo i narodowa sztuka. W piśmiennictwie swem, w swej sztuce naród przegląda się jak w zwierciedle i kocha je bardziej niż wszystko inne, bo najłatwiej je rozumie, najsilniejsze od nich otrzymuje wrażenia, dlatego też zapewne, dlaczego słowik rozkochał się w róży, gdy w kropli rosy zwilżającej jej listek, zobaczył obraz samego siebie.

Dotąd patryotyzm jest tylko uczuciem. Czy jednak wogóle uczuciową stronę człowieka lekceważyć należy? czy człowiek i ludzkość nie dosięgliby łatwiej i prędzej udoskonalenia swego, gdyby sprawami ich rządził sam czysty, niczem nie mącony, żadnej przeszkody w działaniach uczucia nie napotykający rozum? Pytanie takie nie istnieje w żadnej z naukowych teoryj, nie stawia ich światu żaden z przywódców umysłowości ludzkiej; lecz krążą one z ust do ust, przebiegają liczne głowy, przenikają w różne społeczne warstwy; czuć je w powietrzu.

Uczucie jednak istnieje w człowieku z mocy konieczności wynikającej z przyczyn, które spoczywają we własnej jego i świata naturze. Uczucie zaś nietylko istnieje w patryotyzmie jak wszędzie indziej, ale odgrywa w nim rolę ważną i wywiera nań wpływy potężne. Z niem przecież łączą się i w pomoc mu przybywają dwa umysłowe pojęcia: obowiązku, od spełnienia którego zależy dostojność człowieka i interesu, doścignięcie którego do człowieka i jego następców przybliża szczęście.

Obowiązek polega tu na wielce zrozumiałej konieczności moralnej zwracania zaciągniętych długów, odpłacania za otrzymane dary i usługi usiłowaniem przynajmniej wzajemnego obdarowania i służenia.

W stosunkach jednak do jednostek, obowiązek ten, ta moralna konieczność jasno stają przed ludźmi, głęboko wkorzenionemi są w obyczaj i sumienie, lub nawet wypisanemi w kodeksach prawnych, będących współczesnego sumienia i obyczaju zbiorowym wyrazem. W stosunku jednostek do ogółu, rzecz ta osnuta siecią społecznych i ekonomicznych powikłań, mniej wyraźną się staje, nie mniej przecie jest istotną i wątpieniu żadnemu podlegać nie mogącą.

Reszta rozdziału przedstawia nam znowu niezwykle długi szereg obrazów wyjaśniających dogodności, jakich człowiek doznaje od społeczeństwa i przekonywających o obowiązkach wywzajemnienia się pracą osobistą i usługami wszechstronnemi.

Rozdział III przynosi nam odpowiedź na pytanie: czem jest kosmopolityzm w samym sobie i w stosunku swym do patryotyzmu? Pani Orzeszkowa usuwa zupełnie z badań swych ów szczególny

choć najpospolitszy zapewne odcień kosmopolityzmu, który się zawarł w wyrazach: ibi patria — ubi bene, a zajmuje się drugim niezawodnie wyższym moralnie odcieniem teoryi, który mieści w sobie żądanie zniesienia wszystkich różnic i odrębności narodowych ku większemu pożytkowi ludzkości całej. Kosmopolityczne marzenia rodzaju tego, posiadają istotnie pozory wielkości i piękności. Nieskończone słodycze powszechnego braterstwa i niezmierne dobrodziejstwa wiecznego pokoju rajskimi czary uśmiechają się ku tym, w których łzy, krew, gwałty dopełniane i straszne potrzeby ich odpierania, obudzają wstręt i trwogę. W powyższym odcieniu kosmopolityzmu ukazuje nam pani Orzeszkowa dwa wielkie i piękne zjawiska. Pierwszem z nich jest poczucie, że czem jednostki w narodach, tem są w ludzkości narody, i że są to ciała ściśle związane ze sobą. Drugiem zjawiskiem jest ów mniejszy lub większy pociąg, który można nazwać solidarnością ludów.

Załatwiwszy się z pojęciem kosmopolityzmu, p. Orzeszkowa przechodzi do dziedziny historyi, zaznaczając naprzód, że prorocy izraelscy byli pierwszymi w świecie jawnymi przyjaciółmi międzynarodowego pokoju i pierwszymi kosmopolitami w słusznem i jedynie poważnem nazwy tej znaczeniu. Dalej przytoczonemi są exempli gratia, ligi, czyli t. zw. federacye greckie. Zaborcza potęga Rzymu zniweczyła na czas długi pomysły i zaczątki federacyj politycznych, nietylko w Grecyi, ale i w innych stronach Europy. Mimo to Rzym jak się później dowiadujemy, stał się miastem, w najwyższym stopniu kosmopolitycznem.

Następnie pobieżnie wzmiankuje pani Orzeszkowa o związkach miast i rycerstwa w średnich wiekach, dochodząc do przekonania, że papiestwo i łacina w obrządku i nauce były instytucyami chrześcijanizmu, które spajały rozrywający się wciąż, lecz nigdy nie niknący łańcuch międzynarodowych stosunków i wspólności. Na końcu, dzieła zbliżenia i godzenia narodów dokonywa dziś nauka za pomocą swych materyalnych i pośrednich działaczy: jak drut, para, proch, elektryczność i t. p.

Pani Orzeszkowa kończy powyższy rozdział uwagą: że ani etnologia, ani ekonomia społeczna, ani psychologia, żadna, słowem, z gałęzi wiedzy ludzkiej, żadna z wyrosłych na jej gruncie filozo-

ficznych doktryn i teoryj nie nakazują jednostce ludzkiej, pojedynczej lub zbiorowej, uczuwać miłość dla miejsc i ludzi odległych i całkiem sobie nieznanych, równą tej, którą obudzają w niej miejsca i istoty spojone z nią upodobaniem, wspomnieniami, wdzięcznością i przywiązaniem. Wymagań takich stawić, i rad takich udzielać nie może żadna z gałęzi wiedzy ludzkiej, ani żadna z wieńczących wiedzę filozoficznych teoryj, bo wymagania takie i rady byłyby wręcz sprzecznemi z naturą ludzi i rzeczy.

Jedyny kosmopolityzm możliwy i słuszny jest ten, nad którego urzeczywistnieniem chrześcijanizm pracuje. Kosmopolityzm taki, nietylko nie narusza w stopniu najmniejszym, ani w wątpliwość nie podaje prawa i potrzeby istnienia indywidualności narodowych; lecz owszem, jak widzieliśmy już wyżej, zatwierdza je, oraz silnych dostarcza mu podstaw i obron.

Rozdział IV rozbiera fałszywe kierunki patryotyzmu, które się pojawiają: 1) w międzynarodowych niechęciach i nienawiściach, jak wojny, podboje, zamykanie granic, 2) w narodowem samouwielbieniu zaślepiającem społeczeństwa. Wyznać jednak muszę, iż streszczenie tego ustępu, zniewolony jestem pozostawić na uboczu, gdy ześrodkowanie jakiekolwiek mnóstwa oderwanych spostrzeżeń i uwag, czerpanych przeważnie z Littrego i Spencera wydaje mi się niemożliwem.

Na zasadzie twierdzeń Spencera, iż społeczeństwa posiadają dziś dwie religie: religię miłości i religię nienawiści, opierają się argumentacye p. Orzeszkowej, ale z nich trudno wydobyć to, o co właściwie autorce idzie, t. j. zdefiniowanie ścisłe fałszywych kierunków patryotyzmu i środków zapobiegawczych, na jakie się społeczeństwo zdobyć powinno. W końcu ustępu uderza czytelnika tylko jedno zdanie a mianowicie: „że patryotyzm jest jedną z form, w jakich się objawia pierwiastek egoizmu; dodajemy tylko, że jest on zarazem jednym z najpotężniejszych czynników w rozwoju współczucia“.

Rozdział ostatni p. t. „Przyczyny patryotyzmu“ grzeszy najbardziej ze wszystkich rozpraszaniem się nieustannem w ogólnych uwagach, nie mających bezpośredniej styczności z przedmiotem i tem mniej od innych pozwala na jakiekolwiek streszczenie. Pani Orze-

szkowa twierdzi, iż pessymiści się mylą, przypisując antypatryotyczne pojęcia, pogorszeniu się ludzkości, upadkowi w niej pierwiastku współczucia i żądzy dążenia coraz dalej, wyżej, a zapytuje: czy lepiej widzą i trafniej rozumieją zwolennicy ogólnikowi, którzy panującą we współczesnym świecie skłonność ku niedowierzaniu i krytycyzmowi tłómaczą tak zwanym — duchem czasu?

Autorka odpowiada na to zapytanie, że ilekroć razy powstająca nowa epoka spycha dawną, tylekroć razy powstaje tak zwana epoka przejściowa, czyli powolne i mozolne przechodzenie społeczeństw ze stanu mijającego w stan nadchodzący; epoka odznaczona zazwyczaj niezmiernem pomieszaniem i niezmierną sprzecznością panujących wyobrażeń, wierzeń, ustaw i dążności. W epokach przejściowych, czyli w czasach wzajemnego zachodzenia na siebie dwóch stadyów rozwoju ludzkości, większość ludzi usposobieniami swemi należy zarazem i jednocześnie do zanikającej przeszłości i do przyszłości nadchodzącej, zachowując coś z tamtej i coś z tej sobie przywłaszczając. Stąd właśnie powstają niezmiernie dziś rozpowszechnione nielogiczności i niekonsekwencye w sposobach myślenia i postępowania, owa wiara i cześć wyznawana dla przedmiotów jednych, obok zwątpienia i lekceważenia dla innych, tęż samą naturę posiadających; owe przechowanie zwyczajów pewnych, obok zamiłowania w innych, a całkiem z tamtemi niezgodnych; owa nakoniec chwiejność i niekompletność zasad i prawideł życia, będąca wynikiem sprzecznych a jednocześnie doświadczanych wpływów i pociągów.

Widzimy też uformowane dwa obozy. W jednym panuje przekonanie, że natura ludzka, a zatem i formy bytu, oraz uspołecznienia ludzkiego, nie zmieniają się i zmieniać się nie powinny nigdy; w drugim głoszą i dowieść usiłują, że zmieniać się one mogą, i że zmieniać je należy szybko, nagle i bez żadnego względu na wszystko co istniało w przeszłości. Z jednej strony panuje ślepa i głucha cześć i miłość dla tradycyi, wiary i obyczaju dawnego; w stronie drugiej wyradza się również ślepa i głucha względem nich nienawiść i wzgarda. Przyczyną więc antypatryotycznego kierunku są ideologowie. Nauka zaś przez właściwe sobie wpływy wychowawcze, przez karność fantazyi i regulowanie prądów myśli, zapobiegać

może despotycznej sile wrażeń i wybuchom namiętności, wyrażającym się w zbyt bezwzględnych protestach, w prostowaniu garbów społecznych ciosami, niewłaściwie skierowanemi, w popędzie ku zniszczeniu, który gdy pewnych granic dosięga, nadwyręża i osłabia ludzką moc twórczą.

Na tem kończę streszczenie studyum p. Orzeszkowej i, opuszczając długie wywody o samowolnem, oraz lekkomyślnem traktowaniu przeszłości, przechodzę w następstwie do uwag krytycznych. Z góry jednak uprzedzić winienem, iż zapatruję się na pracę pani Orzeszkowej, jako na studyum społeczne, w którem, jak to zresztą sama autorka nadmienia, idzie przedewszystkiem o przedmiotowe i beznamiętne traktowanie przedmiotu, i dlatego też, będę się nieustannie zwracał z wymaganiami, jakie może artystyczny utwór zaniedbać, lecz które naukowa rozprawa zaspokoić winna.

Przeglądając pilnie studyum p. Orzeszkowej, nie dostrzegłem ani jednej wzmianki, któraby naprowadziła choć na najlżejszy ślad, iż społeczeństwo nasze zajmowało się tym przedmiotem i pojmowało jego doniosłość. W rozprawie o patryotyzmie, gdzie się tyle pięknych rzeczy wypowiedziało o literaturze narodowej, razić musi to opuszczenie, zwłaszcza, że autorka nieustannie cytuje Spencera, Lubbocka, Littrego i innych obcych autorów, a nasze prace opuszcza zupełnie, przypominając sobie jedynie ramoty Wilkońskiego i wiersze pani Konopnickiej, bardzo piękne, ale bez których, nawiasem mówiąc, w studyum społecznem obejśćby się mogło. Tymczasem na obronę swoją nie może p. Orzeszkowa powiedzieć, iż prac w tym kierunku nie posiada literatura polska, lub też, że były tak podrzędne, iż nie warto się niemi zajmować.

Przypominam sz. autorce tylko te utwory, któremiby z pewnością nie wzgardziła żadna literatura, i tak np. drugie kazanie sejmowe Skargi, p. t.: „O miłości ku ojczyźnie“. Ze względu na wiek, w którym się powyższe kazanie ukazało i z uwagi na głębokie etyczne pojęcie państwa i patryotyzmu, należeć ono będzie do najcenniejszych i nigdy nie obumierających pereł w naszej literaturze. Dalej, istnieje rozprawa Libelta p. t.: „O miłości ojczyzny“, której już choćby z tego względu pomijać nie wypadało, iż grób autora spowity jest podwójnym wieńcem nieśmiertelników: na jeden

z nich składała się działalność sumiennego uczonego, a na drugi obywatelska zasługa. Przytem rozprawy Libelta i ze względów naukowych lekceważyć niepodobna; pani Orzeszkowa, jak to później wykażę, uchroniłaby się od niejednej usterki, gdyby była chciała poza Spencerem i Littrem, dostrzedz studyum mniej rozgłośnego polskiego uczonego. Trzecią pracą jest studyum Fr. hr. Skarbka, p. t.: „Essai de morale civique“ (Bruxelles et Leipzig 1860), w którem, mówiąc o moralności obywatelskiej, stojącej na straży życia publicznego, rozbiera autor uczucie patryotyzmu i kosmopolityzmu, a to z takim zmysłem obserwacyjnym i przenikliwością, iż wiele z głębokich jego uwag, przydałoby się p. Orzeszkowej. Nie należało również zapominać o rozprawie Gumplowicza: „Das Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich-Ungarn“, a wreszcie, gdy już szanowna autorka postanowiła w pracy swojej posiłkować się wyłącznie socyologicznemi studyami, t. j. badającemi formacyę społeczeństw, toć już wypadało uwzględnić przynajmniej rozprawę jednego Supińskiego p. t.: „Myśl ogólna fizyologii wszechświata“, gdzie autor zastanawia się nad miłością, jako nad jednym „z rzutów społecznych“ łączących jednostki ludzkie.

Ale nietylko w tym wypadku okazała się p. Orzeszkowa jednostronną: posiłkując się bowiem obcemi literaturami, wybierała jedynie prace czysto socyologiczne, które nie mogły wszechstronnie i wyczerpująco zbadać przedmiotu, a opuściła cały dział nauk społecznych — nauki państwowe, które dawniej i daleko troskliwiej zajmowały się przedmiotami poruszanemi przez szanowną autorkę. Nauka o społeczeństwie rokuje bezwątpienia wielką przyszłość, ale jak każda młoda nauka przepełniona jest hipotezami i łatwo może sprowadzić na manowce; otóż wypadało jej wyniki kontrolować za pośrednictwem nauk państwowych, które musiały dawniej zajmować się narodowością i patryotyzmem, bo to były produkta publicznego życia, należące bezpośrednio do zakresu tych umiejętności. Brak owej kontroli i usunięcie zupełne nauk państwowych, nie dozwoliło sz. autorce w wielu razach być ścisłą, i wpłynęło na pomieszanie pojęć, a w następstwie na niejasność.

Przechodzę do pierwszego rozdziału, w którym pani Orzeszkowa uważa słusznie rodzinę za zawiązek społeczeństwa, potem

jako następny stopień rozwoju przedstawia ród, a ten już przekształca się w lud polityczny z formą jedynowładczą, aby się potem rozpaść na szczepy, a w końcu na plemiona. Przedstawienie podobne rozwoju społecznego wydaje mi się za ogólnikowem i podlega w niektórych punktach znacznym wątpliwościom. I tak np. rody przechodzą nierównie częściej w plemiona i dopiero jedne podbijając drugie, wytwarzają organizacyę polityczną ludu z formą jedynowładczą. To samo ma miejsce ze szczepami, które jednoczą się często w ludzie politycznym, i ten ostatni jest rzeczywiście pierwszem sformowaniem się grup społecznych w jednolitą całość, do którego społeczeństwo dochodzi drogą bardzo uciążliwego i burzliwego procesu. Później jednak już szczepy i plemiona nie stanowią bynajmniej wyższego szczebla rozwoju od politycznego ludu, albowiem lud może mieć tylko niższą lub wyższą organizacyę polityczną, może się więcej oprzeć na całościach rodowych, plemiennych i t. d., ale w każdym razie jako organizm polityczny jest najwyższym stopniem społecznego ustroju.

Jeśli jednak powyższe szczegóły uważam za usterki podrzędnej natury, to inaczej się rzecz ma z określeniem narodu, czyli narodowości, będącej głównym przedmiotem całego rozdziału. Tutaj już uczuć się dał w całej pełni brak przygotowawczych studyów z dziedziny nauk państwowych, które, bądź cobądź, najwięcej zdziałały dla zbadania i określenia istoty narodowości. Sz. autorka nie rozróżnia w ciągu całej pracy, ludu w etnologicznem znaczeniu od ludu politycznego, oraz od narodu czyli narodowości i nieustannie miesza te pojęcia z sobą, wprowadzając często zamęt i dochodząc przez to do mylnych wyników. Pod tym względem byłyby panią Orzeszkową objaśniły wybornie prace Eötvösa i najnowsze studyum Gumplowicza, a nawet u Libelta jest już to odróżnienie daleko konsekwentniej przeprowadzonem i tylko zaznaczenie granicy między narodowością i ludem politycznym, jest w niektórych miejscach niedość wyraźne. Za to jednak u Libelta spotykamy szczegółową i prawie zupełnie dobrą analizę istoty narodowości, znajdujemy także wybornie wykazane pierwiastki, z których się ona składa i urabia w historycznym rozwoju, czego p. Orzeszkowa w pracy swojej, mieszając nieustannie pojęcie, osiągnąć nie była w stanie.

Przytem na niektóre wyniki badań trudno się w zupełności zgodzić. I tak np. gdy p. Orzeszkowa twierdzi, iż dwie indywidualności narodowe (saksoni i normandowie) zlać się mogą w jedną, mięsza pojęcie plemienia lub szczepu z pojęciem narodowości, albowiem saksoni i normandowie nie doszli w procesie historycznym do tego stopnia rozwoju, aby ich można było nazwać narodowością; nie mieli tak wyrobionej indywidualności, któraby była świadomą swych cywilizacyjnych zadań, i dlatego przetworzyli się w nowy kształt narodowo polityczny. Jeżeli jednak weźmiemy inny przykład historyczny, np. Szwajcaryę, to widzimy, iż mogą istnieć wyrobione narodowości obok siebie, nie pochłaniając się wzajemnie, ani wytwarzając nowych produktów społecznych, a to dlatego, iż mają rzeczywiście wyrobioną historyczną indywidualność.

Trudno się także zgodzić na słowa p. Orzeszkowej: „iż od pierwszego zarania ludzkości spostrzegamy osobniki noszące miana narodów“. Uwaga podobna powstała również ze zmieszania pojęć i brania narodowości za lud w etnologicznem lub politycznem znaczeniu. Wyrobienie indywidualności narodowej, przejawienie się jej w zwyczaju, obyczaju, prawie, języku, literaturze, kościele i sztuce, jest rezultatem tak długiego procesu historycznego, iż możemy się jeszcze zgodzić z p. Karolem Duninem (Ateneum, krytyka Gumplowicza) przeciwko dr. Gumplowiczowi, że niektóre ludy starożytności zasługują na miano narodów, ale to jeszcze daleko do pierwszego zarania p. Orzeszkowej, które nie mogło znać narodów w tem rozumieniu, jakie do tego wyrazu przywiązujemy.

Tak samo przedstawienie śmierci naturalnej i przypadkowej, jakiej podług p. Orzeszkowej narody podlegają, nie jest ścisłem. Naprzód zdaniem samej autorki, śmierć przypadkowa jest więcej letargiem i rzeczywiście trudnoby przypuścić, aby indywidualności społeczne mogły ulegać odrębnym prawom przypadkowości. Powtóre, śmierć naturalna nie odbywa się w narodowości tak jak u człowieka i porównanie takie może być pięknem, ale ścisłem nie jest. Ze śmiercią człowieka istnienie jego zupełnie się kończy; tymczasem zamieranie indywidualności narodowych, które są przedewszystkiem produktem wyższej cywilizacyi, polegającym na objawach duchowej

natury, nie niszczy jeszcze ludu; jest to więc proces przetwarzania się, a nie śmierci, jaką spotykamy u jednostki.

Znajdującej się w drugim rozdziale, analizie uczucia patryotycznego możnaby uczynić także paważne zarzuty. Pani Orzeszkowa twierdzi, że patryotyzm istnieje w człowieku z mocy konieczności wynikającej z przyczyn, które spoczywają we własnej jego i świata naturze. Wywód powyższy uważam za zupełnie niedostateczny. W objaśnianiu i określaniu specyalnych kwestyj odwoływanie się do ogólnego porządku świata, budzi zawsze pewne niedowierzanie. Patryotyzm opiera się rzeczywiście na naturze i niezbędnych potrzebach człowieka, ale przedewszystkiem ową miłość ojczyzny czyni niezbędną: życie społeczne, które stwarza odrębną organizacyę, odrębne prawa i obowiązki publiczne. Patryotyzm stoi na straży tego życia publicznego i tych obowiązków, i jak rodzina nie byłaby możliwą bez miłości rodzinnej, tak samo żaden organizm historyczno-cywilizacyjny jak narodowość, żaden organizm polityczny, jak państwo, nie byłby możliwym bez patryotycznego uczucia.

Przedewszystkiem też wypadało szan. autorce, zamiast odwoływać się do ogólnego porządku świata i gubić w mglistych ogólnikach, zwrócić się do natury społeczeństwa i w ślad za Lieberem [1]) dowodzić, że patryotyzm jest nieuniknionem następstwem uspołecznienia ludzkiego, że powstaje już u rodzinnego ogniska, w niem czerpie ożywczą siłę i dopiero powoli z wzrastającą cywilizacyą obejmuje szersze okręgi.

Dalej nie rozumiem zupełnie ustępu bolejącego nad tem, że dotąd żadna nauka nie postawiła pytania i nie stawia go dotąd żaden z przywódców umysłowości, a mianowicie: czy uczuciową stronę w człowieku lekceważyć należy? Czy ludzkość i człowiek nie dosięgłyby prędzej udoskonalenia na drodze czystego rozumu? Co przez to chciała sz. autorka powiedzieć? i czy nie posunęła się na mylne drogi? Pytanie, które podług p. Orzeszkowej do dziś dnia pozostało bez odpowiedzi, jest, o ile mi się zdaje, rozstrzygniętem stanowczo w naukach państwowych od Aryrtotelesa czasów. Zaró-

[1]) Manual of Politikal Ethics. Str. 147 i 148. Por. Skarbek: „Essai de morale civique“, str. 6.

wno mędrcy klasycznego świata, upatrujący w piersiach człowieka najtrwalszą podstawę Rzeczypospolitej (a przez pierś rozumieli uczucie), jak i najnowsi uczeni pierwszorzędnej powagi[1]) zgodzili się na to, iż bez uczucia patryotycznego, żadne państwo, żaden naród istnieć nie może. Prawodawstwa zawsze dążyły do tego, aby całe życie publiczne podtrzymywało i ożywiało to uczucie, bo ono było strażnicą praw i siłą nieprzełamaną narodowego ducha. Dlatego też, powtarzam jeszcze raz: cały ten ustęp wydaje mi się niezrozumiały.

Mówiąc o patryotyzmie musiała p. Orzeszkowa zastanowić się nad przedmiotem tego uczucia, t. j. patryą, czyli ojczyzną. Lecz i tym razem definicya nie przekonywa swoją ścisłością; szanowna autorka tak rozszczepia uczucie patryotyzmu na dwa prądy, t. j. na uczucie dla ziemi i uczucie dla ludu, iż zdawaćby się mogło, że istnieją dwa odrębne uczucia i dwie ojczyzny. Tymczasem już u Libelta jest wybornie przedstawionem to zjednoczenie organiczne i pojęcie ojczyzny wychodzi daleko ściślejszem i dokładniejszem. Trzeba też było zaznaczyć wyraźniej, iż dlatego nagie i ponure skały są tak kochane przez swych mieszkańców, że są historyą ich pracy i wysileń — jednem słowem, że lud je uprawił i ożywił swym duchem dziejowym, a bynajmniej nie dlatego, że istnieje jakiś specyalny pociąg do pewnego kawałka ziemi.

Wymieniając składowe czynniki pojęcia ojczyzny, p. Orzeszkowa kładzie szczególny nacisk na piśmiennictwo narodowe i sztukę, a opuszcza czynnik daleko ważniejszy, który wytwarza ducha i uczucie narodowe nawet tam, gdzie piśmiennictwo nie działa t. j. mowę ojczystą. Kościół nie znalazł żadnego uwzględnienia w pojęciu ojczyzny p. Orzeszkowej, pomimo, że Libelt tak jasno i przekonywująco wyraził odmienne przekonanie. Chrześcijanizm wogóle, a zatem i kościoły chrześcijańskie wyrabiały podług sz. autorki jedynie uczucie kosmopolityczne, w szlachetnem tego słowa znaczeniu, siły narodowej jednakże, uczucia patryotycznego nie wzmacniały. Na powyższe zdanie zgodzić się nie mogę, albowiem wydaje mi się ono doktrynerstwem gardzącem codziennem doświadczeniem.

---

[1]) Lieber: Manual of pol. Et. Str. 148.

Ojczyzna jest pojęciem duchowej jedności, wytworzonej procesem historycznym i świadomością wspólnych potrzeb, oraz wspólnych zadań cywilizacyjnych. Każda też potęga, każden czynnik społeczny, budzący tę świadomość duchowej spójni, jest częścią składową ojczyzny, i uczucie miłości ogarnia go wraz z ojczyzną.

Kościół wytwarza świadomość wspólnych celów pozaziemskiego życia, w języku narodowym naucza obowiązków moralnych i stoi na straży sumienia. Kościół w zasadzie opiera się na jednej etycznej istocie człowieka i nie przyznaje różnic narodowych, ale mimo to, przemawiając do wiernych w imię miłości, poświęcenia i pociech religijnych, zachęca przedewszystkiem do spełnienia obowiązków względem własnego społeczeństwa, bo z niem jest każdy wierny związany, i abstrakcyjny człowiek, do którego kościół przemawia, przedstawia się wiernym przedewszystkiem w postaci współobywatela.

Zresztą kościoły chrześcijańskie pojmowały kosmopolityzm jedynie jako uszlachetnienie, nie zaś jako negacyę pojęcia ojczyzny i marząc o przyszłej „jednej owczarni“, nie wahał się jeden z najprawowierniejszych katolików i reprezentantów kościoła wygłosić zdania — „Bóg matkę czcić rozkazał. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka jako ojczyzna, od której imię macie; wszystko co macie od niej jest [1])“. Nietylko też Libelt, ale i inni pierwszorzędnego znaczenia uczeni [2]) przyznawali wpływ kościoła na urabianie się i potęgowanie narodowego ducha; p. Orzeszkowa nie dostrzegła tych objawów i poprzestała na abstrakcyjnym celu „jednej ludzkości“ jaki kościół wypisał na swych sztandarach.

W rozdziale III upatrując powstawanie kosmopolitycznych uczuć jedynie w mrzonkach utopistów lub ideologów, nie wyczerpuje p. Orzeszkowa należycie przedmiotu. Niebezpieczniejsze daleko źródło dla narodowych egzystencyj istnieje wśród ubogiej robotniczej ludności miast, która nie mogąc znaleźć miejsca u wspólnego stołu natury, przejmuje się nienawiścią dla najstarszych i najswo-

[1]) Kazania sejmowe Skargi, wyd. Turowskiego str. 18.

[2]) Patrz: Mohl-Staatsrecht, Volkerrecht und Politik T. I., str. 339. — Gladstone: Der Staat in seinem Verhältnisse zur Kirche, (tłómaczenie Treuherza) str. 57.

bodniejszych konstytucyj państwowych, dążąc do uniwersalnej organizacyi, któraby pracy człowieka zapewniła zwycięstwo nad wyzyskującym kapitałem. Dzieła Steina i Meyera [1]) byłyby dla pani Orzeszkowej bardzo cenną pomocą i wskazałyby jej dokładnie, że z tych sfer płynie większe niebezpieczeństwo dla uczucia narodowego niż z fantastycznych mrzonek ideologów.

Przedstawienie historycznych dążeń w celu wytworzenia uniwersalnych związków politycznych, jest w pracy p. Orzeszkowej bardzo niedokładnem — owych dążeń, którym przewodniczył tak jak starożytnemu Rzymowi posępny i złowróżbny dla słabszych ideał zawarty w słowach „et cuncta terrarum subacta“. Ligi greckie mające na celu urobienie ogólniejszej organizacyi państwowej w zakresie narodu greckiego, nie mogą być zaliczone w poczet dążeń pragnących owładnąć cały „orbis terrarum“. Związki miast, instytucye cechowe, związki rycerskie, powoływał do bytu interes ekonomiczny i chęć zabezpieczenia swego stanowiska od wyzyskiwania możniejszych, nie zaś kosmopolityczne plany. Za to rojenia o uniwersalnem państwie, jakie się ujawniły w historyi za pośrednictwem Aleksandra Macedońskiego, Karola Wielkiego, Henryka IV i wreszcie najnowszemi czasy za Napoleona I, zostały pominiętemi.

Przedewszystkiem jednak zarzucić muszę temu rozdziałowi, iż nie określił ściśle i nie zbadał gruntownie istoty kosmopolityzmu, że stawiając całe szeregi przeciw niemu zarzutów i chwaląc ogólnikowo „chrześcijański kosmopolityzm“, nie wykazał jasno, że dobrze pojęty kosmopolityzm, nietylko nie jest zbyteczny, ale jest niezbędny, tak samo jak narodowość dla społeczeństw, i że pojawianie się jego uporczywe w dziejach, zdradza samo przez się stałe powody istnienia. Sz. autorka objawia pewną, z góry powziętą niechęć, gdy jest mowa o kosmopolityzmie; z bardzo szlachetnych zresztą pobudek wytwarzają się w niej pewne podejrzenia, ale te uczucia właśnie, nie dają jej niezbędnego spokoju i nie pozwalają być przedmiotową w badaniu.

Nasamprzód uczucie ogólno-ludzkie, dążące do jednolitej orga-

---

[1]) Geschichte der socialen Bewegungen in Frankreich i Der Emancipationskampf des vierten Standes.

nizacyi społeczno-politycznej czyli jak je powszechnie nazywają kosmopolityczne, uważam za konieczne w interesie samego narodowego uczucia. Tylko chodzi właśnie o zrozumienie i określenie tego kosmopolityzmu, oraz o odróżnienie go od krańcowych odcieni, które na nim pragną oprzeć swój system społecznej ruiny. Sądzę też, że aby uczucie miłości ojczyzny było rzeczywiście potęgą uszlachetniającą człowieka, aby narodowość zachowała się cywilizacyjną w rzeczywistości, potrzeba im za podstawę dać poczucie sprawiedliwości i świadomości zasadniczej równości istoty ludzkiej.

Nawet Skarbek, zaciętszy i głębszy wróg kosmopolityzmu niż p. Orzeszkowa, przyznał tę konieczność w słowach: „l'amour de la patrie n'est point incompatible avec l'amour des hommes, ni le sentiment de la nationalité contraire aux sentiments bienveillants pour les autres nations“ [1]). Wyłączne uczucie narodowe nie zaspakaja w zupełności tych potrzeb i niezbędnem jest dla równowagi, ogólniejsze uczucie obejmujące w miłości całą ludzkość.

Przykłady historyczne uczą, że jeśli się duch narodowy wyzwoli zupełnie od tego górniejszego polotu, wtedy sam ulega zepsuciu, pozbawia się etycznej podstawy i zamiast cywilizacyjną siłą, staje się demonem zniszczenia. Czyż zasada wyłącznej narodowości, jaka się pojawiła w greckiej maksymie: „Adversus barbaros aeterna auctoritas“ — czyż rzymska dewiza: „tu imperio populos regere romane memento“, — nie okazała się zabójczą dla samych wyznawców?

Dlatego to w celu uszlachetnienia narodowości potrzebnem jest uczucie ogólniejsze, wiążące coraz ściślej pobratymczym związkiem odrębne ludy, a potrzeba podobnego uczucia staje się coraz nieodzowniejszą, tylko nie w tym kierunku, jaki mu wskazuje pani Orzeszkowa.

Uczucie kosmopolityczne ogólnie rozważane nie jest negacyą narodowych uczuć i obowiązków; pojęcie to nie staje na zgliszczach rodziny i ojczyzny, ale i poza tymi obowiązkami wskazuje i przypomina, że istnieje prawo, sprawiedliwość i że istotę ludzką bez względu na narodową szatę i treść uczcić należy. Pytanie to posta-

[1]) Essai de morale civique str. 57.

wione przez p. Orzeszkową: czyli należy kochać obcego na równi ze swoim? jest zupełnie zbytecznem i dawno rozstrzygniętem. Gdyby kosmopolityzm wymagał tej bezwzględnej, mechanicznej równości, gdyby chciał wszystkich zarówno obdzielić sercem człowieka, byłby stanowczo potępionym głębokiemi słowami Skarbka: „celui qui tend à tout, n'atteint à rien, celui, qui aime tout le monde n'aime personne, celui qui porte un egal intéret à tous les hommes ne s'interesse réellement à aucun“ [1]). Ale jeśli kosmopolityzm jest uzupełnieniem i uszlachetnieniem narodowych uczuć, jeśli stosunki wzajemne pragnie oprzeć na sprawiedliwości i uznaniu słusznych pragnień, w takim razie dziś więcej niż kiedykolwiek jest dla ludzkości niezbędnym.

Pani Orzeszkowa twierdzi, że ani etnologia, ani ekonomia społeczna, ani żadna inna nauka, nie każe nam więcej kochać obcego niż swojego. Rzeczywiście to prawda, ale dlatego, iż ani etnologia, ani ekonomia społeczna nie traktuje o miłości. Za to jednak ekonomia społeczna udowadnia, iż państwo odosobnione v. Thünena jest ze względów ekonomicznych niemożliwem, a nauki państwowe starają się wytworzyć coraz silniejszy węzeł między państwami i narodami, prawo zaś międzynarodowe prywatne wykazuje najlepiej, że odosobnienie narodowe byłoby dzisiaj rzeczą niemożliwą.

Istnieje więc obecnie niezaprzeczona i nieodwołalna potrzeba ogólniejszego uczucia, któreby nie niszczyło, ale uzupełniało obowiązki względem ojczyzny. Pani Orzeszkowa niejednokrotnie zdradza przekonanie, iż objaw kosmopolityczny w tem znaczeniu nie jest szkodliwym, ale w tem właśnie i błąd pojmowania. Uczucie takie bowiem jest niezbędnem, ma swoje nieodwołalne przeznaczenie w systemie uczuć człowieka i winno stać na straży specyalnych obowiązków; tymczasem pani Orzeszkowa toleruje je zaledwie i ciągle się zniechęca ujemnemi objawami, zapominając o tem, że fałszywe nauki i fałszywych proroków posiada zarówno narodowość jak i kosmopolityzm, który też pod ich wpływem występuje już jako choroba społeczna.

Ostatnim dwom rozdziałom będę miał mało do zarzucenia gdyż

[1]) Essai de morale civique str. 56.

mało zawierają treści. W ustępie o antypatryotycznych dążeniach, sz. autorka ogranicza się znowu na wykazaniu wpływów ideologicznych, kiedy tymczasem z samego społeczeństwa powstają podobne prądy poruszane nędzą całych klas. Tak samo w ostatnim rozdziale przypisując dzisiejszy zamęt w pojęciach temu, iż się znajdujemy w epoce przejściowej, pani Orzeszkowa wątpliwie bardzo rozstrzyga kwestyę. Epok skończonych, formacyj kompletnych, właściwie nie znajdujemy nigdy w życiu, tylko abstrakcyjnie przedstawia nam je nauka. Zawsze człowiek był produktem przeszłości i stając się nawet najpostępowszym, nie mógł się wyzwolić z jej pęt; wychodząc też z zasady p. Orzeszkowej, nie doszukalibyśmy się nigdy owych „kryształów społecznych“ i zamęt pojęć byłby stanem odwiecznymi przepisami uświęconym.

Skończywszy przegląd pojedynczych rozdziałów, winienem jeszcze raz rzucić okiem na całą pracę p. Orzeszkowej. Studyum społeczne sz. autorki, posiada zdaniem mojem, wiele usterek płynących przedewszystkiem z tej przyczyny, iż przygotowawczy materyał nie był dostatecznym i cały najważniejszy dział nauk społecznych, jak nauki państwowe, pozostał na uboczu. Nawet czysto socyologiczne prace nie zostały należycie spożytkowane; i tak np. pominięto ciekawe spostrzeżenia nad różnemi objawami uczuć patryotycznych na wsi i w mieście, w górach i w dolinie — a w tym kierunku podałyby niejedną wskazówkę prace Riehla [1]).

Historyczne dowody zgromadzone przez panią Orzeszkową, grzeszą prawie zawsze pobieżnością a czasem są nawet powierzchownemi [2]). Przytem jest nadmierne zastosowanie pierwiastku artystycznego ze szkodą naukowego ścisłego badania. Czytelnik zostaje olśniony mnóstwem świetnych obrazów, na każdym kroku witają go tęcze, różowe blaski jutrzenki, blade światło księżyca, uroczy śpiew słowika, woń róży, szmer strumyka, tak, iż upojony temi wrażeniami zapomina chętnie o tak niemiłych warunkach, jakimi są ścisłość i gruntowność badania. Na usprawiedliwienie sz. autorki dodać wypada, iż piękność samego przedmiotu utrudniała jej sta-

[1]) Die bürgerliche Gesellschaft.

[2]) Np. na str. 116 zupełnie przesadne uwagi o Rzymie.

nowisko zimnego badacza. Nawet Libelt, wydysplinowany wybornie w niemieckiej szkole, mistrz w sferze systematów, pisząc o miłości ojczyzny, tracił niejednokrotnie zimną krew i togę uczonego zamieniał na kwiecisty wieniec poety. Ale z tem wszystkiem, pomimo wszelkich usprawiedliwiań wyznać należy, iż studyum pani Orzeszkowej wydaje się więcej porywem uczuć bardzo szlachetnych i zacnych, przelanych na papier. zachwytem tkliwie czującej duszy — aniżeli ściśle naukowem badaniem.

Praca pani Orzeszkowej nie zepsuje nikogo, rozpromieni nawet niejedno wybladłe lice, rozjaśni niejedno zwątpieniem przygasłe oko — ale sceptyków nie nawróci, ci bowiem ustąpią jedynie przed nieubłaganem, zimnem obliczem nauki.

Na tem kończę spostrzeżenia; dodać tylko zamierzam jedną uwagę, ze względu, iż pani Orzeszkowa prócz zamiłowania do badań społecznych, posiada rzeczywisty talent powieściopisarski. Otóż ośmieliłbym się z tego właśnie powodu, podać sz. autorce jedną radę, a to jedynie w tym celu, aby talent powieściopisarski razem ze studyami społecznemi wydały trwałe i piękne owoce.

Prócz powieści społecznych (Eötvös, Jockay) odtwarzających nietylko pojedyncze typy, ale i całe prądy społeczne w ruchu i działaniu, istnieją jeszcze satyry polityczno społeczne w formę powieści przybrane, jakich wzory mamy w prawdziwych klejnotach Laboulay'a (Prince Caniche, Paris en Amerique). W jednej z takich powiastek uczony francuski przedstawił zdemoralizowany i pełen teatralnych efektów konstytucyonalizm francuski, w innej zestawił bezduszne dzianie centralizacyi francuskiej z ożywczym duchem samorządu Ameryki północnej, i w powabnej, nęcącej szacie powieści podał tyle wybornych i głębokich spostrzeżeń, iż te jego twory pozostaną zawsze arcydziełami sui generis.

Autorce Ezofowicza, nie szukającej bohaterów powieści w konwencyonalnym tłumie salonowym, ani też zadawalniającej się powierzchownemi, więcej formalnemi komplikacyami spraw ludzkich — ten kierunek niewątpliwie przypadłby do smaku. Studyów i tu potrzeba dużo. Bez głębokiego zmysłu obserwacyjnego i tu się obejść nie można; ale za to nie tak łatwo dosięgają zarzuty pedagoga, oraz erudyta i zachowuje się zawsze więcej swobody, której ani system,

ani metoda nie krępują. Ścisłość badania, dokładność definicyj niezbędną w studyach naukowych, wynagrodziłaby sz. autorka pięknością i żywością obrazów, w których abstrakcyjne idee przybrałyby postacie żyjących i działających osób. Artystyczny pierwiastek przebijający na każdej stronnicy powyższego studyum społecznego, rozpostarłby swe prawowite rządy i mógłby uplastycznić najważniejsze objawy społeczne, które tak trudno abstrakcyjnie uchwycić. Wpływ zaś tego rodzaju prac byłby daleko potężniejszym, niż wszelkich wieńczonych dysertacyj, i dlatego też ośmieliłem się w tym kierunku zwrócić uwagę szanownej autorki.

12.

DR. JULIUSZ AU[1]).

Socyalizm jako objaw choroby społecznej. Zarys ustroju społecznego i krytyczna odprawa socyalizmu.

Bibliografia społeczno-prawnego ruchu może dobitnie każdego przekonać, iż od niejakiego czasu najbardziej i najuporczywiej ze wszystkich pytań naukowych pochłania umysły badaczów kwestya socyalizmu. I nie dziw, w pośród całego bowiem obszaru nauk społeczno-prawnych niema kwestyi, któraby uczonym uśmiechała się więcej powabem prawie nieskończonych trudności, rozległością celów, wielkością zadania.

Przedstawiciel Kościoła, historyk, filozof badający ustrój społeczny, prawnik z całym zasobem konstrukcyjnym dla sfery indywidualnej, statysta zgłębiający istotę państwową i marzący o przyszłem udoskonaleniu stosunków międzynarodowych, wreszcie ekonomista jako wieczny strażnik słusznego wynagrodzenia pracy ludzkiej, wszyscy ci przedstawiciele odrębnych a spokrewnionych gałęzi wiedzy ludzkiej, ulegają mimowolnie urokowi, jaki przed niemi roztacza kwestya socyalizmu.

Urok to zresztą bardzo zrozumiały, albowiem każdy z badaczów widzi w tymże samym przedmiocie pole do rozległych odkryć, a odkrycia jego mogą pchnąć ludzkość całą na lepsze tory. Ogrom ten prawd tajemniczych, przytłaczający na pozór słabe siły, pobudza w rzeczywistości nieustannie do badania ludzkiego ducha. Ze

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1880.

wszystkich stron podnoszą się niespokojni tytani, idą po ów cudowny skarbiec z niezrównanym zapałem i nawet na ich grobowcach [1]) błyszczą wyryte formułki, rozwiązujące niby kwestyę socyalizmu.

Przytem od niejakiego czasu rozwinęła się nowa nauka społeczna.

Mówię tu o nauce o społeczeństwie, czyli tak zwanej Socyologii (Gesellschaftswissenschaft), która stała się nowym a silnym bodźcem do zaciekłych prób w celu rozwiązania kwestyi socyalizmu.

Dotąd bowiem dostrzegano socyalizm tylko w jego skutkach. Historyk widział krwiożercze zastępy Spartakusa, którym przewodniczyć się zdawały ponure słowa Graccha [2]). Następnie ze zdumieniem dostrzegał te same sceny, powtarzające się w ciągu stuleci i występujące w XIX wieku niejednokrotnie do walki z dewizą: vivre en travaillant ou mourir en combattant.

Reprezentant Kościoła widział we wzrastającej nędzy zmniejszanie się sił etycznych społeczeństwa i występował przeciw egoizmowi ludzi bogatych z całym zasobem środków, jakich mu dostarczała wiara religijna.

Prawnik tłómaczył sobie powyższe objawy niedostatecznem określeniem zobowiązań, własności, prawa spadkowego, które to braki dozwoliły wyzyskiwać słabych i pozbawiać ich niezbędnych środków do życia. I on pospieszy na ratunek zagrożonemu porządkowi społecznemu, ale po za zasadą równości prawnej, którą gotów coraz wytworniej wypracowywać, nie znajdzie w obrębie swej nauki innego gojącego środka.

Statysta jeszcze więcej ma powodów, aby w niedostatkach prawa państwowego i powstających stąd wadach politycznego organizmu upatrywać przyczynę socyalizmu. Jego nauka skłania tem bardziej do szukania środków utrzymujących całą budowę i do nie-

---

[1]) Wiadomo, iż v. Thumen kazał na swym grobie wyryć słynną formułę, rozwiązującą podług niego udział pracy w przedsiebiorstwach.

[2]) Słowa te są następujące: „Trzody mają obory swoje, każdy zwierz domowy ma legowisko swoje, a ludzie, którzy walczą i umierają za ojczyznę nic nie mają, nic zgoła, prócz światła i powietrza; walczą i umierają za zbytek obcy i za bogactwo obce“.

sienia pomocy nieszczęśliwym kosztem całego państwa. Ale jakkolwiek dużo może znaleźć ulgi w zasobach nauki polityki wewnętrznej, nie jest jednak zdolny szczycić się tem, aby dociekł przyczyny nieustającej nędzy, i aby usunął na zawsze grożące widmo nieszczęścia. Owszem, statysta tem prędzej musi dostrzedz, iż po za obrębem życia politycznego z całym jego ustrojem, istnieje inne życie niezależne ze swemi odrębnemi prawami, ktore go zmusza do ciągłych ustępstw, do nieustannych reform.

Ekonomista wreszcie poucza nas także, iż brak własności, jej zbytnie rozdrobnienie lub skupienie, jednem słowem nieodpowiednie ograniczenia i eksploatacya, że nakoniec zniszczenie swobodnej pracy i tysiączne zboczenia od praw ekonomicznych spowodowały nędzę; ale i on również przyznać musi, że istnieje jej niezależne źródło w rozmaitości uzdolnień człowieka, której następstw w społeczeństwie nauka ekonomii obliczyć nie potrafi.

Jak widzimy więc, najrozmaitsze nauki potrącają nieustannie o skutki socyalizmu, radzą ciągle nad tem, jak niebezpieczeństwa stąd płynące usunąć; ale żadna dotąd nie zdołała zbadać pierwotnej przyczyny kwestyi socyalnej, czyli inaczej mówiąc, nie zdołała odkryć owego bezpośredniego źródła niepokojów i udręczeń tylu stuleci.

Nauka o społeczeństwie, badająca przedewszystkiem prawa formacyi społecznej, czyni ważny krok naprzód i doprowadza, jeśli nie do rozwiązania ostatecznego, to przynajmniej do postawienia kwestyi socyalnej na odpowiedniem stanowisku. Jak każda młoda nauka, przejęta jest i ta najmłodsza gałąź wiedzy społecznej mnóstwem hipotez i apriorystycznych twierdzeń, nie dość uzasadnionych doświadczeniem historyi; ale odkąd w poważnej szacie nauki wystąpiła pod opieką Mohla, Steina i Comte'a, dojrzewanie jej następuje szybko i dziś po pracach Spencera, Lilienfelda i Schäfflego, nie można wątpić, iż do naukowego zbadania kwestyi socyalnej, najbardziej dopomoże.

Otóż dopiero w łonie powyższej nauki znajdziemy wyjaśnienie, w jaki to sposób z indywidualnych interesów, wytwarzają się często pozorne a niekiedy rzeczywiste walki całych klas, i nareszcie, jak skutkiem nierównej siły, nierównych uzdolnień i nierównych wa-

runków przyrody, klasy przedstawiające jeden interes, wyzyskują słabsze, doprowadzając je do nędzy, a w następstwie do wybuchającej wściekłością rozpaczy.

Wobec tej nauki, ruchy socyalne, czyli, — jak je jednem słowem zwykliśmy zwać „socyalizm“, — nie występuje jako przypadkowy grom z jasnego nieba, spowodowany również przypadkowem rozwielmożnieniem się nędzy; nauka bowiem o społeczeństwie poucza nas, iż skutkiem nieuniknionych praw, część pewna ludzi musi się znajdować w niedostatku, a niedostatek ten, skutkiem nieprzyjaznych warunków natury, złego położenia ekonomicznego i wadliwego prawodawstwa, może się rozszerzać na całe klasy społeczne, które się zjednoczą pod wpływem głodu i świadomości okropnego położenia.

Dlatego to spotykamy się w programie socyalizmu z całem życiem wytworzonem rozszalałą cierpieniami fantazyą [1]); a nie była to martwa doktryna rozpromieniająca szczupłe grono uczonych, ale idea ogarniająca masy, mająca swych rycerzy i męczenników, siląca się, aby przejść do rzeczywistości i oświecająca od czasu do czasu łuną pożarów stare siedziby cywilizacyjne Europy.

Wobec owego żywego, walczącego socyalizmu występuje w nauce kwestya socyalna, której praca dra Au jest właśnie poświęcona. Kwestyę powyższą nazywamy usiłowanie, aby za pomocą ścisłego oraz naukowego badania przyczyn i obecnego stanu socyalizmu, oraz za pośrednictwem krytycznej rewizyi wszystkich nauk społeczno-prawnych, wynaleźć praktyczny sposób łagodzący gwałtowne objawy socyalizmu i zapobiegający przewrotowi społecznemu.

Wszechstronność jest przy rozbiorze powyższej kwestyi niezbędną, albowiem, jak to już poprzednio starałem się wykazać, w niej jednoczą się prawie wszystkie nauki społeczno-prawne.

Zanim przejdę do rozbioru dzieła dra Au, winienem pokrótce wspomnieć dwie prace polskie, poświęcone rozbiorowi tegoż samego przedmiotu. Gdy inne kraje wyprzedziły nas olbrzymio w samodzielnych badaniach tak ważnych zagadnień społecznych, może bę-

[1]) Najściślejsze przedstawienia spotykamy u Steina: „Geschichte der socialen Bewegungen in Frankreich“. Trzy tomy.

dzie stosownem zwrócić uwagę na to, co my posiadamy i co dotychczas zrobiliśmy. Tem bardziej uczynić to wypada, że rozprawy, o których wspomnieć zamierzam, nie zostały uwzględnionemi przez dra Au i z dzieła jego nic się o nich dowiedzieć nie można [1]).

Dawniejszem studyum w „Przeglądzie Poznańskim“, zamieszczonem, jest praca p. t.: „O stosunkach socyalnych w Europie“ (r. 1852—1853. T. XV, XVI, XVII, autor nie podpisany).

Na samym wstępie tej pracy, autor ścieśnia niezmiernie zakres badania, ograniczając go przeważnie do kwestyi włościańskiej, która może być tylko jedną z form objawów socyalnych. Dalej, uczynić można zarzut, iż w badaniach swoich, autor nie odłączył faktów społecznych od politycznych: stąd praca jego, jakby jaka sui generis „silva rerum“, przedstawia chaotycznie pomieszane mnóstwo spraw i spostrzeżeń, niekiedy dość trafnych i bystrych.

Przytem materyał historyczny, odnoszący się do państw zachodnich jest bardzo skąpy i niedostateczny; jedna tylko Rosya uwzględnioną została staranniej; ale za to materyał obfitszy uległ jeszcze niedokładniejszemu obrobieniu. Autor czuł już wówczas potrzebę posiłkowania się w kwestyi socyalnej nauką o społeczeństwie, i w tym celu nawet pragnął ogólny jej zarys naszkicować; ale zamierzenie nie przyniosło zbyt pomyślnego owocu, albowiem po za familią autor nie zdołał się wysunąć, a w kreśleniu istoty społecznej rodziny nie okazał zbytniego talentu.

O jakichkolwiek środkach zaradzających złemu i dążących do pomyślnego rozwiązania kwestyi, autor nie zamarzył nawet, i dlatego też praca jego pozostanie bezładnem studyum, dowodzącem jedynie pewnego oczytania się autora.

Druga praca, księdza Pawlickiego, niegdyś profesora byłej Szkoły Głównej w Warszawie, p. t.: „Lassale i przyszłość socyalizmu“, (Kraków 1874), rozwija na tle życia słynnego agitatora niemieckiego, historyczny rys socyalizmu w XIX wieku, a w końcu podaje środki zaradcze, czyli raczej tylko jeden, ale za to, podług autora stanowczy.

---

[1]) Nie wspominam tu o pracy dra Gustawa Roszkowskiego dlatego właśnie, że się na nią powołuje dr. Au.

Na pierwszych stronnicach tej, pięknym i barwnym językiem napisanej rozprawy, przekonywamy się już dosadnie, że nie dawnego reprezentanta nauki, autora prac takich jak „Szkoła Eleatów“, „Abelard i Heloiza“ i t. p., ale przedstawiciela Kościoła mamy przed sobą.

Naprzód wprowadza nas ks. Pawlicki do najskrytszych tajników Lassalowego życia, zapoznaje z owym bezwątpienia zdolnym i oryginalnym agitatorem, którego niemcy scharakteryzowali wybornie jednem określeniem — genialer Wüstling. Artystyczne obrobienie portretu Lassalowego, jest wyborne i pełne powabu. Ks. Pawlicki stara się nietylko myśleć, ale zarazem cierpieć i boleć ze swym bohaterem; stąd też postać główna wychodzi pełna życia i ognia w czynach, pełna jasności i zapału w zamiarach.

Ale choćbyśmy uznanie artyzmu chcieli posunąć aż na van Dyckowskie wyżyny, to inaczej się rzecz ma ze stroną naukową. Ta druga strona nie zachwyca nas, ani starannością badania, ani głębokością myśli. Dla nauki pozostaje obojętnem, a przynajmniej bardzo mało ważnem, iż Lassale był zawsze starannie ubrany, że miał żywe oko wschodnie, że ujmował samą postawą gdy był wzruszony i tarzał się na łożu w bólach i bezsenności, trosząc się naturalnie zbyt żywo o polepszenie doli robotników, a daleko ważniejszem byłoby poznanie dzieł Lassala i to poznanie krytyczne. Tymczasem ks. Pawlicki staje ze zdumieniem przed pracą Lassala: „Sistem der erworbenen Rechte“, ale nic o niej nie umie powiedzieć i zdradza na każdym kroku brak znajomości tych nauk, które przedewszystkiem trzeba było znać chcąc cośkolwiek pisać o socyalizmie.

W ustępach jego pracy p. t.: „Stowarzyszenia robotnicze w Niemczech; Internationał“, część faktyczna jest dość starannie rozwinięta, choć luźnie zestawiona i opatrzona dość często dziwnemi wykrzyknikami. Ustęp jednakże p. t.: „Teorya socyalizmu“ jest bardzo słaby i doprowadza niekiedy do dziwacznych wniosków. Ks. Pawlicki uznał za stosowne pominąć zupełnie ostatnie wyniki nauki o społeczeństwie, nie wyjaśnił bynajmniej jakim sposobem pojawia się socyalizm, jakiem prawem konieczności wstępuje w historyczne szranki, lecz zadawalnia się uwagą, że „socyalizm uczy

wywracać porządek społeczny“ i podaje nam bardzo pobieżne i powierzchowne wzmianki historyczne, dowodząc, iż nie posiłkował się wcale poważnemi pracami.

Ale co może zadziwić, to zestawienie następujące: na str. 60 czytamy, że socyalizm uczy wywracać porządek społeczny, a na str. 61 znajdujemy prawdziwą niespodziankę w słowach: „socyalizm nowożytny zatem, postawił sobie zadanie to samo, nad którem chrześcijaństwo pracuje już dziewiętnaście wieków. Jest przeto konkurencya, a gdzie konkurencya tam walka na zabój“. W czemże jednak jest owa wspólność chrześcijanizmu i socyalizmu? Czy w wywracaniu porządku społecznego? Nie — autor naturalnie co innego miał na myśli.

W rzeczywistości ks. Pawlicki w tem upatrywał wspólność działań chrześcijaństwa i socyalizmu, „że dzisiejszy socyalizm, choć pała nienawiścią do chrześcijaństwa, pożyczył jednak od niego pojęcie godności równej wszystkich ludzi i uczynił podstawą systemu swojego, a przez to zmuszony rozciągnąć go do wszystkich ludzi i do wszystkich narodów“. I takie pojmowanie jest najzupełniej błędnem i zdradza zupełną nieznajomość przedmiotu.

Gdy bowiem chrześciaństwo zwróciło przygniecionemu brzemieniem klasycznego państwa człowiekowi, jego godność ludzką, starało się przedewszystkiem obudzić w nim przygasłą etyczną siłę za pośrednictwem swobody indywidualnej, i dzieje tejże są ściśle złączone z dziejami chrześcijaństwa. Tymczasem socyalizm pojmował godność ludzką bez tejże swobody, bez bogactwa indywidualnych dążeń i uzdolnień, ale identycznie równą i despotycznie kierowaną. Chrześcijanizm zwracał człowiekowi majestat ludzki przez etykę i wolność, socyalizm niszczył takowy przez mechaniczną równość, z której ulatywało wszelkie życie. Autor, wynajdując wspólne dążenia w chrześcijanizmie i socyalizmie, nieszczególną pierwszemu wyrządza przysługę. Ale przedewszystkiem przysługa ta jest — niesprawiedliwością.

Są także w pracy ks. Pawlickiego i udatniejsze momenta. Do takich zaliczyć wypada rozdział p. t.: „Socyalizm i podatki“, ale i tu zaznaczył autor małą znajomość nauki skarbowości. Kilka zarzutów uczynionych pośrednim podatkom przepisano z Lassala,

ale nie przytoczono w tym przedmiocie wyników naukowych, ani zamierzeń prawodawczych, i sąd krytyczny przepełniono powierzchownemi frazesami.

Na końcu dodać winienem, iż oryginalny środek zniweczenia socyalizmu wynalazł ks. Pawlicki. Nazywając go bowiem chwastem społecznym, nadmienia, „iż nie dość go kosić, ale trzeba go wykopać z korzeniem“. Gdzie korzeń jego? — Korzeniem socyalizmu jest sam liberalizm. Walka z pierwszym zmienia się w walkę z drugim. Od obydwóch jedna nas tylko może oswobodzić siła. Siłą tą — Kościół. Przytem kilka wierszy dalej, autor umie wynaleźć jedno tylko wyrażenie dla liberalizmu nowożytnego, brzmi ono jak następuje: „liberalizm to pogaństwo“.

Nie będę wyliczał wszystkich jednostronnych zdań i wycieczek, jakie powyższy rozdział przepełniają; nadmienię tylko, że ks. Pawlicki zrobił rzeczywiście nowe odkrycie — tylko nie drogą badania naukowego.

Jakoż dopatruje się u Schäfflego i Milla teoryi zachęcających do zbydlęconego używania, czego inni nie mogli dopatrzeć. Dalej odmawia państwu wszelkiego prawa do rozwijania etycznej strony człowieka, każe mu być obojętnym jak się kto modli do swego Boga — a więc — czy i wtedy, jeśli zechce modlitwę wyrażać za pośrednictwem kultu Molocha, Pryapa, lub całopaleń indyjskich? Państwo musi zostać obojętnem na to, jak kto dochodzi prawdy — nawet jeśli źle zrozumiana nauka zabija uczucia obywatelskie i sieje waśń między klasami społecznemi. Wreszcie państwu nie wolno się mieszać do tego, jak się kto urządza w domu własnym z żoną i dziećmi — czyli inaczej mówiąc, organizacya rodziny, z której państwo czerpie główną siłę, pozostaje obce jego wpływom i żaden środek nie pozostaje państwu do zapobieżenia, aby stanowisko żony i matki nie zostało zniżonem do roli zdeptanej służebnicy, a dla wygody zmysłom, jedność obyczajowa rodziny nie przekształciła się w poligamiczną lub poliandryjną zasadę.

Wreszcie liberalne dążenia i liberalizm cały XIX wieku, nie odróżniając go od pseudo liberalnych kierunków w Prusach i radykalnych dążeń na Zachodzie, zwie ks. Pawlicki pogaństwem, tenże sam liberalizm prawdziwy, który się sili od kilkudziesięciu lat, aby

wolność indywidualną pogodzić z równością i poczuciem obowiązku, tenże sam liberalizm, co przeprowadził w Europie uwłaszczenie włościan, a dziś pracuje nad udoskonaleniem praw fabrycznych dla robotników miast, co stosunki międzynarodowe i państwowe pragnie oprzeć na zasadzie sprawiedliwości — a przedewszystkiem ten liberalizm, co się zawsze godził z chrześcijaństwem, i pod którego ożywczem tchnieniem wzrasta nieustannie Kościół katolicki (Austrya, Belgia, Anglia, St. Zjed. Ameryki Północnej).

Ale zobaczmy, jak się wywiązał ks. Pawlicki z drugiej części zadania. Odsyłając czytelnika do Kościoła jako jedynej deski ocalenia, czy choć jednem słowem wykazał, co tenże Kościół zrobi i co zrobić powinien? Nie — zamiast odpowiedzi, spotykamy milczenie, które naturalnie dozwala nam wszystkiego się domyślać.

A jednakże ten sam pogański liberalizm powiedział coś więcej o Kościele niż ks. Pawlicki; uznając bowiem jego etyczną istotę, przyznawał Kościołowi wielkie posłannictwo w łagodzeniu objawów socyalizmu [1]). Tylko, że w tych pogańskich pracach są zarazem wskazówki, jakby to należało wykonać, aby rezultat był pomyślniejszym i niema biernego poddania się wypadkom.

Wobec takiego stanu literatury naszej, studyum poświęcone kwestyi socyalnej musiało być bardzo na czasie. Dlatego też książka dra Au poruszyła żywiej prasę codzienną i wzbudziła większe zajęcie, aniżeli to się innym pracom poważnym udało.

W przedmowie autor zapowiada, że „celem niniejszej pracy jest nietyle wyczerpujące ściśle naukowe studyum, ile raczej zapoznanie przez przystępny wykład, ogółu wykształconej publiczności z tą ważną sprawą, w której załatwieniu, jeśli inaczej ma się ostać naturalny porządek rzeczy, jeśli ludzkość ma unikać ciężkich kataklizmów, ogół udział wziąść musi“.

We wstępie dr. Au zaznacza, że „z zuchwałą pewnością siebie odzywa się już nie doktryna sama, w nieprzystępnych dla nas traktatach socyalno-filozoficznych, ale hasło głoszone przez silne uorga-

---

[1]) I tak np. dobrzeby było, aby się ks. Pawlicki zapoznał z pracą v. d. Goltza: „Die ländliche Arbeiterfrage und ihre Lösung“. Patrz rozdział: „Schule und Kirche“. Str. 321 i dalsze.

nizowane stronnictwo, wypowiadające wojnę na śmierć i życie bardzo schorzałemu organizmowi społecznemu — hasło to brzmi: socyalna demokracya to owa wzniosła świątynia, którą stawiają narody XIX wieku".

W dalszym ciągu autor stawia sobie pytanie: Czem jest socyalizm? Do czego zdąża? Jak się rozwijał historycznie? Czem zagraża społeczeństwu? Jak się wobec niego zachować winna zdrowa polityka ekonomiczna? Przeciw ugrupowaniu pytań przez autora trudno cośkolwiek nadmienić. Płyną one rzeczywiście w logicznem następstwie; ale ostatni ustęp zapowiada badanie i zapobieganie socyalizmowi tylko ze stanowiska polityki ekonomicznej, a zatem znacznie ścieśnia autor zakres studyum i ogranicza się w każdym razie do jednostronnego badania. Również ważnem pytaniem będzie bowiem, jak wobec socyalizmu ma się zachować nauka polityki, a przedewszystkiem polityka administracyjna, i powyższych zagadnień, badając raz przedmiot, w żaden sposób usunąć nie można.

W ustępie I, p. t.: „Agitacya socyalistyczna obecnej chwili i jej dążności", dr. Au streszcza system socyalistów.

Przedstawiony program socyalistów, odznacza się trafnem pochwyceniem najważniejszych momentów i pozwala dostrzedz cały stosunek tego stronnictwa do istniejącego porządku. Nie miałbym też temu ustępowi nic do zarzucenia, gdyby nie kilka zdań cechujących pessymistyczne rozdrażnienie autora.

I tak np. porównanie społeczeństwa do człowieka ciężką złożonego niemocą, otoczonego lamentującemi a swarliwemi kumoszkami, pasionego niedorzecznymi odwarami, lub pozostawionego bez ratunku i nadziei, wydaje mi się nie zupełnie odpowiedniem. Trzeba przyznać, że wobec niebezpieczeństwa potęgują się i środki ratunku, że położenie dotąd nie jest bynajmniej tak groźne jak przy schyłku XVIII wieku, a uwłaszczenie włościan, nowe prawa fabryczne, prawa o stowarzyszeniach i organizacya kredytu ziemskiego, nie należą, jeśli mamy używać porównań, do odwarów, czyli nieużytecznych lekarstw.

Tak samo obok materyalistycznego prądu stawiającego siłę brutalną ponad prawo, występuje w XIX wieku, jeszcze silniejsze dą-

żenie, dotąd nieraz zwycięskie, aby stosunki wewnętrzne i międzynarodowe oprzeć na poszanowaniu prawa i sprawiedliwości.

W drugim rozdziale p. t.: „Zarys historyczny teoryj a objawów komunistycznych i socyalnych, oraz rozwoju stosunków społecznych ze szczególnem uwzględnieniem stanu innych warstw społeczeństwa“, spotykamy się z następującym obrazem przedstawiającym początek kwestyi socyalnej.

Łowiec, czyli myśliwy dziewiczych lasów, wraca z upolowaną zwierzyną do jaskini; inny zgłodniały łowiec, któremu od dni kilku szczęście nie posłużyło i daremnie za płochliwą ubiegał się zwierzyną, trapiony głodem rzuca się na niego z zasadzki, ciężką maczugą ogłusza, lub raz mu śmiertelny zadaje, a ze zwierzęcą chciwością na upragnione rzuca się łupy. Obraz ten sielsko-dramatyczny, wzięty jest z dzieł Hobbesa (De cive i Leviathan), gdzie panuje w społeczeństwie natury wieczne: „bellum omnium contra omnes“, i „homo homini lupus“. Ale czy owe wabiące porównanie nie łudzi oka? czy jest ścisłem? Bardzo wątpię, i wątpliwości moje pokrótce przedstawię.

Owe nemrodyczne rozboje przedstawiają człowieka w kompletnym stanie zezwierzęcenia: strona etyczna jeszcze w nim nie rozbudzona, nie ma nawet iskierki ducha ludzkiego w jego postaci i dlatego nie może przedstawiać, rozbijając i mordując, kwestyi społecznej, tylko kwestyę zwierzęcą. Kwestya socyalna zaś wypływa z istoty społeczeństwa, z owej istoty, co obejmuje i jednoczy ludzi z instynktami ludzkimi, nie zwierzętami, która zawiera indywidua poświęcające często życie dla bliźniego lub społeczeństwa, a nie zabijające każdego z powodu braku szczęścia.

Kwestya socyalna w historycznym rozwoju, przedstawia nam też niezmiernie interesującą grę skłonności ludzkich w najwyższem natężeniu. Od najgorętszej miłości, zaparcia i poświęcenia, aż do najzimniejszej dumy i wyrafinowanej chciwości, znaleźć możemy całą skalę uczuć w tem społecznem starciu. Stąd też tu najlepiej poznać można psychologię społeczną i zgłębić ducha władnącego masami.

Ale jakiekolwiek obrazy przedstawią się zstępującemu do tajników społecznej nauki, to w każdym razie będą one odmiennemi od owej flamandzkiej sceny, w jakiej nam autor początek socya-

lizmu przedstawia. Sądzę bowiem, iż jest w tej kwestyi coś więcej, nad gryzienie się kilku zgłodniałych zwierząt o kość znalezioną na barłogu.

Jeżeli na powyżej przedstawiony początek kwestyi socyalnej zgodzić się nie mogłem, to i dalszemu ciągowi ustępu, jedynemu w całej pracy, który ma nas obznajomić z historyą socyalizmu, muszę uczynić zarzuty.

Cała historya socyalizmu, ciągnąca się od zarania ludzkości aż do dzisiejszych czasów i rozwijająca się wśród takiego bogactwa objawów, przedstawiona została na ośmiu kartkach. W następstwie tego autor musiał biedz niezmiernie hyżo i najważniejsze fakta notował jedynie chronologicznie bez objaśnień krytycznych. Przytem zestawienie samo nie posiada odpowiedniego ładu. Raz skończywszy rzecz o klasycznym świecie, przechodzi autor do wieków średnich, potem się cofa znów do klasycyzmu i wtrąca niepotrzebnie anegody o Rothschildzie.

Ale najważniejszy zarzut, jaki uczynić muszę jest ten mianowicie, iż autor, historyi socyalizmu nie przedstawił w dwóch odrębnych typowych formach, t. j. na wsi i w mieście. Przez to wykład zyskałby na jasności i systematyczności. Żałować też wypada, że autor więcej się nie posługiwał pracami Dühringa i Meyera [1]) oraz, iż nie uzupełnił studyum historyą mieszczaństwa i włościan.

Rozdział III p. t.: „Prawidłowość ustroju społecznego i pojęcia zasadnicze“ mało zawiera treści zgodnej z intytulacyą. Dr. Au zauważył wprawdzie, „że panuje na tym świecie dziwna sprawiedliwość i harmonia, że organizm społeczny przypomina opowiadania z tysiąca i jednej nocy“, ale na udowodnienie tej cudowności harmonijnej, przytacza tylko powszechnie znane i cytowane fakta Buckle'a o prawidłowości, jaka istniała w organizacyi pracy rolnej i przemysłowej.

Za to spotykamy się ze starannie rozwiniętemi pojęciami dostatków, majątku, bogactwa, a w końcu ze szczegółowym rozwojem

---

[1]) Geschichte der Nationaloekonomie und des Socialismus — i Der Emancipationskampf des vierten Standes.

pojęcia wartości — co zdaniem mojem kwalifikowało się jedynie do podręcznika ekonomii społecznej.

W ustępie IV p. t.: „Stosunki zasadnicze w ustroju społecznym“ dr. Au w pięknym obrazie przechodzi od nocy pogodnej, co na czystym lazurze nieba ukazuje mu snujące się miryady iskrzących gwiazd, do prawa powszechnego przyciągania i akkomodacyi, nad któremi zastanawiali się Supiński i Kamieński. Dalej przedstawia owe stosunki zasadnicze treściwie, jasno i wypowiada kilka myśli głębszych, zdradzających rozleglejsze studya nad naukami społeczno-prawnemi.

Interes jednostki i interes ogółu, czyli dbałość o własne istnienie i poczucie jedności pomiędzy ludźmi — oto podług dra Au dwie siły wzajemnie na siebie oddziaływające, a w zdrowym ustroju społecznym w zupełnej zostające zgodzie. Wolność osobista a wolność powszechna w podobnym do siebie zostają stosunku, jak interes jednostki i interes ogółu. Granicą wolności jednostki jest wolność innych. Jednostronny jej objaw niweczyłby harmonię społeczną a prowadził do swawoli i ucisku. Rozwój wolności powszechnej jest warunkiem rozwoju wolności osobistej. Trzecim naturalnym czynnikiem jest własność, której niezbędną konieczność dr. Au przekonywująco uzasadnia.

Jakkolwiek owe stosunki zasadnicze w społeczeństwie są w powyższym rozdziale zaledwie naszkicowane i nie wyczerpują bynajmniej tego, co nam już dziś nauka o społeczeństwie podaje, to jednak spotykamy się często z głębszem spostrzeżeniem i rozdział ten nie jest bez naukowego znaczenia.

W ustępie V p. t.: „Wytwarzanie dostatków“, dowiadujemy się, że takowe odbywa się przy współdziałaniu trzech czynników, t. j. przyrody, pracy i kapitału. Każdemu też z owych trzech czynników dr. Au poświęca w szczególności uwagę, a poznawszy je, przypatruje się formie produkcyi zwanej przedsiębiorstwem.

Przyznać należy, że rozbiór czynników produkcyi jest jasny, przystępny i oparty na gruncie naukowym. Ale jedna rzecz nasuwa się mimowoli na myśl, gdy czytamy ów rozbiór interesujących szczegółów, który zwykle w nauce ekonomii społecznej spotykamy, a mianowicie: powstaje pytanie, jaki jest związek przyczynowy tych

szczegółów z kwestyą socyalizmu? Objaśnienia na to nie znajdujemy wcale.

Rozdziały następne są jakby wstawione. Czytamy całe ustępy z dziedziny ekonomii społecznej, nie wiemy dokąd one zmierzają a socyalizm tracimy zupełnie z oczu. Wada powyższa występuje najdobitniej w następujących rozdziałach: „Obieg dostatków, podział dostatków i spożycie dostatków. Równowaga między tworzeniem a spożyciem. Przyczyny chorób społecznych“. Są to rozdziały napisane przez człowieka znającego ekonomię społeczną, ale które nie objaśniają nam kwestyi socyalnej, bo do zrozumienia tego objawu należało przyjść już z gotowym zasobem pojęć ekonomicznych, a nie słuchać poprzedniego wykładu ekonomii.

Dopiero w ustępie IX p. t.: „Krytyczny rozbiór nowszych teoryj socyalistycznych“ spotykamy się znowu z głównym przedmiotem pracy. Nowsze teorye jednak zredukowane zostały do teoryi Marksa i Hartmanna, które w niezupełnie odpowiedniem pomieszaniu przedstawionemi zostały wraz z krytycznymi zarzutami. Ścieśnienie zakresu badania, jakiego własnowolnie autor się dopuścił, stanowić będzie zawsze ujemną stronę pracy, gdyż obraz tak ważnych dążności społecznych staje się przez to niewykończonym i nie daje należytego pojęcia o znaczeniu kwestyi. Trudno też usprawiedliwić tego rodzaju opuszczenie, jak to np.: aby w książce specyalnej nie znajdowało się prawie żadnej wzmianki o teoryi Proudhona. Wreszcie przeplatanie kwestyj polemicznemi wycieczkami i oderwanemi uwagami, utrudnia tylko pochwycenie wątku i zdanie ostateczne sprawy z poglądów autora.

W ostatnim rozdziale p. t.: „Środki zaradcze przeciw chorobom społecznym w ogólności a socyalizmowi w szczególności. Załatwienie kwestyi socyalnej“ — pragnie dr. Au stanowczo rozwiązać kwestyę socyalną. W ustępie powyższym dość starannie opracowanym, spotykamy jednakże wiele ogólników, które z pożytkiem dla pracy możnaby usunąć, jak np.: „Ktokolwiek zamiast dopilnować interesu a w domu zaradzić, wyłącznie się zajmuje sprawami obcemi, lub w szynku rozprawia o polityce, naraża się na konieczny naturalny upadek“. Znajdujemy również na nowo usprawiedliwiane zdania, które już w ostatnim rozdziale powinny były ucho-

dzić za dowiedzione pewniki. Do rzędu takich należy np. zdanie, iż „kwestya socyalna nie jest bynajmniej zjawiskiem przypadkowem i odosobnionem, lecz że zostaje w ścisłym związku z niegospodarstwem, jakie opanowało stosunki społeczne, a właściwa kwestya robotników jest jednym tylko z jej objawów, do którego przyłącza się cały szereg innych palących kwestyj ekonomicznych“.

Po tych omówieniach przystępuje dr. Au do głównego przedmiotu t. j. do środków zaradczych. Czytamy też co następuje: „Środki zaradcze w pierwszym rzędzie zastosowane być powinny przez państwo, w drugim przez strony interesowane bezpośrednio t. j. przedsiębiorców i robotników, a nareszcie przez ogół społeczeństwa. Rozumie się, że załatwienie kwestyi tyle zawiłej jak socyalna, wymaga czasu, wytrwałości i przedewszystkiem dobrze obmyślanego planu. Pierwszem też zadaniem państwa byłoby albo stworzenie odpowiedniej osobnej organizacyi urzędowej (co drowi Au widzi się najwłaściwszem) albo stosowne uzupełnienie istniejącej organizacyi administracyjnej“.

„Przy wytknięciu systematycznem programu działalności dla władz jako i współdziałania prywatnych, niezawodnie wykaże się niedostatek materyału statystycznego. Chcąc zaradzić socyalnym niedomaganiom, potrzeba zdaniem dra Au, ile możności ścisłych i szczegółowych danych, w tym celu też autor przedstawia specyalny szemat dla biur statystycznych a niezbędny dla przyszłych reform społecznych“.

Dalej staraniem państwa być powinno, usunięcie robotnika z pod demoralizującego wpływu stosunków, wśród których raz to zarabia więcej aniżeli wymaga stopa życia do której przywykł, to znów zaledwie tyle, że od głodu uchronić się zdoła. Zapobiegać więc rząd powinien przesileniom ekonomicznym, grożącym nieustannie zachwianiem stopy życia robotnika“.

„Oprócz tego zaś prawodawstwo ułatwić powinno stowarzyszenia robotnicze (Gewerkvereine), mające na celu uzdolnienie robotników do konkurencyi przez zjednoczenie, ustanowić sądy polubowne (Einigungsämter) pośredniczące w sporach pomiędzy przedsiębiorcami a robotnikami, a nareszcie zapewnić robotnikom w wypadkach, gdzie urzędownie stwierdzono, iż przedsiębiorcy, w celu wyzy-

skania niemocy robotników, opierają się słusznym ich żądaniom, pomoc państwową. Udzielałby jej rząd, dając zatrudnienie robotnikom w czasie bezrobocia, wybuchłego wskutek nieuzasadnionego oporu przedsiębiorców, przy budowie dróg wicynalnych, w magazynach publicznych i t. p.“

„Urządzenia fabryczne pod względem zdrowia robotników, użytkowania pracy dzieci i kobiet, maksymalnego czasu trwania pracy, powinny być pod kontrolą inspektorów fabrycznych, opatrzonych w instrukcye na przepisach prawnych oparte. Nędzy wynikającej z niezdolności do pracy lub śmierci ojca rodziny, zapobiedz może założenie państwowych zabezpieczeń dla robotników i przymus prawny do zabezpieczania się, albo w prywatnych bankach zabezpieczeń, albo w kasie urzędowej. Ułatwione być powinno urządzenie kas pogrzebowych i zapewniających pomoc w czasie choroby, zakładanych przez samychże robotników a opierających się o centralną kasę rządową“.

„Pożądanem byłoby urządzenie na wzór angielski kas oszczędności przy ekspedycyach poczty. Nareszcie drogą prawodawstwa umożebnić należy tworzenie się spółek produkcyjnych pomiędzy robotnikami“.

Dr. Au uważa również za konieczne opodatkowanie zbytku z wyjątkiem przedmiotów sztuki i nauki, oraz użytkowi publicznemu służących. Następnie przytacza ustęp Shaftesburyego dowodzący, że „wszelkie wpływy ambony, szkoły, starania około szerzenia oświaty, okażą się nadaremne, dopóki ludzie żyją w mieszkaniach gorszych od stajni, a raczej do jam podobnych, dopóki odpowiednie przepisy prawne nie zabronią ogólnie mieszkań niezdrowych, wilgotnych, ciemnych, sklepowych i nieschludnych“.

W dalszym ciągu dr. Au zauważył, iż „na schyłku XIX wieku uczuć się daje powszechny niemal brak oświaty i to nie wyłącznie wśród niższych warstw społeczeństwa“. Spotykamy też nieco dalej uwagę nie należącą bynajmniej do rozprawy o socyalizmie, a mianowicie: „iż wystarcza być ubranym wedle najnowszej mody, nosić świeże rękawiczki, umieć czytać i pisać, przeczytać kilka romansów, umieć się zgrabnie znaleźć w towarzystwie i znać kilka frazesów francuskich, aby być człowiekiem wykształconym“.

Kierunkowi też dzisiejszemu wychowania zarzuca autor, iż jest nie najpodrzędniejszą z przyczyn owego zdziczenia i ogłupienia tak powszechnie i z taką siłą się objawiającego. „Oświata sama w sobie jest celem a nie powinna być nadużywaną ani w politycznych, ani w jakichbądź stronniczych celach. To też za wzór może służyć ustawa przyjęta w r. 1863 na sejmie w W. Ks. Badeńskiem, znosząca nadzór państwa nad szkołami a poddająca je nadzorowi komisyj wybieranych przez ojców rodzin".

„Kształcić dla zawodu jest zadaniem szkół zawodowych, a wstępować do nich powinna młodzież, posiadająca już potrzebne dla każdego człowieka wykształcenie ogólne i humanitarne. Nawet szkoły zawodowe tylko wtedy sprostają zadaniu, jeśli kształcąc dla zawodu, nie zapomną przecie, że kształcą członka społeczeństwa a nie jedynie technika. Dresura jednostronna do praktyki życia, która od lat wielu już, zgubny wpływ wywiera na zasady wychowania publicznego, dała światu wybornych techników, choć zaiste nie lepszych od humanitarnie wykształconych, ale niestety nie zdołała wykształcić ludzi umiejących ująć w karby rozpasane egoistyczne popędy.

W zupełnem niemal zaniedbaniu, w wielkiej części państw europejskich i z tamtej strony oceanu, jak twierdzi dr. Au, jest oświata niższych warstw ludu. To co uczyniono w tych krajach, gdzie stosunkowo stan oświaty najkorzystniej się przedstawia, można tylko za słabe uważać początki. Jakież nędzne wyposażenie nauczycieli i samychże szkół ludowych, jakże mechanicznie, rzemieślniczo przysposobieni bywają do zawodu nauczyciela! Kształcenie ludu (Supiński) przez szkoły ludowe opiera się dotąd, jak wiadomo, niemal wszędzie na nauce pisania, czytania i rachunków: są to zapewne szczegóły główne i zasadnicze, ale same nie przygotowują jeszcze człowieka do spraw życia społecznego".

„Szkoły ludowe, jak uczy doświadczenie, nie zdołają wykształcić dostatecznie młodego pokolenia. W warunkach o które chodzi, młodzież co rychlej musi się starać o zarobek, ażeby nie być rodzicom ciężarem. Potrzeba zatem dalszego kształcenia w szkołach wieczornych i niedzielnych. Odpowiednia liczba nauczycieli pielgrzymujących powinna szerzyć oświatę po całym kraju przez wykłady publi-

czne, zakładanie stowarzyszeń, spółek zarobkowych, szkół wieczornych, wykazywanie powszechnych błędów w gospodarstwie i rzemiośle, zachęcanie do korzystania z kas oszczędności i towarzystw zabezpieczeń, rozpowszechnianie zdrowych pojęć o gospodarstwie społecznem i prawie krajowem".

Następnie państwo powinno rozwinąć działalność w zapobieganiu przesileniom ekonomicznym, sprowadzającym nieszczęścia na kraj cały. One to bowiem głównie przyczyniają się do propagandy socyalistycznej. Któż jeśli nie rząd, zdoła ochronić kraj od przesileń wynikających z wojen, rozruchów wewnętrznych i zbytku długów państwowych? Policya sanitarna skutecznie już zapobiega, a skuteczniej jeszcze może zapobiegać szerzeniu się zaraz, oraz usuwać ich przyczyny. Bank państwowy przy zbliżającem się przesileniu, przysposabiając należyte zapasy gotówki, sprawić może ulgę przy wybuchu".

„Uwięzieniu zbytniej ilości kapitału w kolejach żelaznych może zapobiedz państwo, mając władzę udzielenia lub odmówienia koncesyi a pod ręką dane statystyczne, wykazujące potrzebę i przewidywaną zyskowność przedsiębiorstwa. Najwłaściwszym zaś przedsiębiorcą w tym kierunku jest samo państwo. Przez odpowiednią politykę cłową może rząd przyczynić się do umocnienia tych gałęzi produkcyi, które mają w danych stosunkach krajowych racyę bytu. Wpływ rządu na taryfy kolejowe uchronić może produkcyę krajową od niebezpiecznej konkurencyi zagranicy, a ułatwić dowóz towarów, których gwałtowna się okazuje potrzeba".

„Najczęstszą i najniebezpieczniejszą przyczyną przesileń ekonomicznych jest szał giełdowy spowodowany przez interes dyferencyjny i nieuczciwych założycieli towarzystw akcyjnych, owych osławionych grynderów. Ze względu też na nieuczciwych założycieli towarzystw akcyjnych, potrzeba szczegółowej rewizyi przepisów prawnych i obostrzeń zapobiegających wycofaniu się pierwotnych założycieli, oraz innym nadużyciom. W dalszym ciągu autor sądzi, iż przedsiębiorcy, nietylko nie powinni sprzeciwiać się, ale owszem nakłaniać robotników do stowarzyszania się i wyboru pośredników w możliwych sporach. Przedsiebiorców rzeczą byłoby spowodować robotników do zakładania spółek spożywczych (konsumcyjnych), aby

ich wyzwolić z pod lichwy małych handlarzy. Dalsze pole działania przedstawiają towarzystwa w celu nauki, godziwej zabawy, posiadające czytelnie i biblioteki. Ważną rzeczą jest założenie tanich a wygodnych łazienek. Nieodbicie potrzebnem jest postaranie się o zdrowe i schludne mieszkanie w domkach. Domki te wynajmowanoby robotnikom, którzyby oprócz miernego czynszu, opłacali kwotę amortyzacyjną, tak że z czasem staliby się właścicielami".

Wreszcie ogół społeczeństwa przyczynić się powinien do załatwienia kwestyi socyalnej. Ogół w imię jedności między ludźmi przywrócić powinien zachwianą przez sobkostwo równowagę społeczną. Komuż wypada przodować w tym względzie, jeśli nie duchowieństwu przez krzewienie pośród ludu prawdziwej religijności, wspomaganie go radą i czynem także w doczesnych sprawach. Pamiętać należy, iż najsilniejszym węzłem społecznym jest miłość ojczyzny. Prasa i opinia publiczna w kierunku rozwiązania kwestyi socyalnej winna wpływać na wybory, prawodawstwo i rozpowszechnienie instytucyj o jakich mowa powyżej. Tworzenie spółek pożyczkowych, spożywczych, wytwórczych, magazynowych i surowcowych, oraz kuchni ludowych, czytelni, szkół wieczornych, kółek włościańskich, towarzystw przemysłowych i towarzystw oświaty, przyczyni się do wzmożenia dobrobytu powszechnego, lepszego podziału dostatków, oraz moralności powszechnej.

„Najdzielniejszym przeto środkiem prowadzącym do urzeczywistnienia harmonii jest zbliżenie się do ludu, zajęcie się jego dolą, podniesieniem go ku sobie". Kończy swą pracę dr. Au wierszem Syrokomli:

Jedź pani gdzie na wioskę, wszakże wioski macie,
Bądź aniołem pociechy w wyrobniczej chacie i t. d.

W powyższy sposób przedstawia się autorowi załatwienie kwestyi socyalnej, a tem samem uchronienie ludzkości od gwałtownych starć i przewrotów. Przedewszystkiem winienem sobie przypomnieć słowa dra Au w przedmowie wypowiedziane, iż nie ma zamiaru dać wyczerpującego studyum, aby z tego stanowiska czynić krytyczne uwagi. Otóż uwzględniając w zupełności zadanie, jakie

autor sobie założył, winienem nadmienić, iż w rozdziale powyższym w ogólności starannie opracowanym, znajduje się jeden błąd konsekwentnie powtarzający się, a mianowicie: że autor podaje nam mnóstwo środków, jakie państwo i społeczeństwo przedsięwziąć powinny aby zaradzić złemu, że przesuwa nam jakby w kalejdoskopie mnóstwo środków wabiących niby to nowością i obiecujących bogate żniwo, a nie przedstawia tego, co państwo i społeczeństwo już uczyniło w tej mierze i jaki zasób doświadczenia zebrało na powyższej drodze.

Przedstawienie stanu prawodawstwa, usiłowań administracyi byłoby nierównie więcej pouczającem, pokazałoby bowiem, że te wszystkie środki, na pozór tak proste i tak łatwo dające się wykonać, w praktyce życia natrafiają na olbrzymie trudności lub też nie zawsze okazują się odpowiedniemi.

Z pracy też dra Au czytelnik przeciętny wyniesie to przekonanie, albo raczej zdumienie, że państwo mogąc tak zrozumiałymi środkami usunąć grożące niebezpieczeństwo, nie czyni tego wcale. Jeśli zaś zechce obeznać się z prawodawstwem któregokolwiek z państw, znajdzie całe szeregi proponowanych przez dra Au środków, a w Szwajcaryi znajdzie nawet inne, pominięte w tej pracy [1]) i będzie się musiał po raz wtóry zdziwić, że mimo wytężonej pracy państwa i społeczeństwa, kwestya socyalna nadal istnieje. Pomimo więc bogatego materyału, jaki nam dr. Au podaje, nie znajdujemy dość krytycznego poglądu, a to dlatego właśnie, że autor nie zadał sobie trudu i nie zbadał stanu obecnego prawodawstw.

Dalej i ten zarzut uczynić muszę, że zadanie państwa a w szczególności administracyi państwowej jest tak pobieżnie i niedostatecznie skreślonem, iż nie będzie w stanie nawet przeciętnego czytelnika zadowolnić. Szkoły jakkolwiek bardzo ogólnikowo, ale przynajmniej dość obszernie zostały uwzględnione; jednakże w zamian za to, całe prawodawstwo odnośnie do ubogich, do ruchu ludności zostało pominiętem, i niema żadnej wzmianki o tem, jak się odno-

---

[1]) A. v. Miaskowski: Die schweizerische Allmend in ihrer geschichtlichen Entwickelung — Vorwort, szkicuje trafnie kwestyę socyalną w Szwajcaryi.

śnie do kwestyi socyalnej winny zachować organa centralne administracyjne, jak organa samorządu.

Rzeczywiście też czytając specyalne prace. v. d. Goltza, Bambergera, Le Play'a, Schmollera i z dawniejszych prac cenną monografię R. Mohla (Social-Politik. T. III. Staatsrecht, Volksrecht und Politik), traktującą o kwestyi socyalnej, przyznać będziemy musieli, iż dr. Au nie dorównał swym poprzednikom i że nie wyczerpał bynajmniej przedmiotu. Ale też zadania tego nie chciał sobie postawić. W każdym razie jednak uznać należy, że choć nie dopowiedział ostatniego słowa nauki i ledwie zaznaczył kwestye niezmiernej doniosłości, to jednakże rozbierał przedmiot na podstawie rzeczywiście naukowej i w wielu razach ani gruntowności, ani przenikliwości odmówić mu nie podobna.

Spoglądając jeszcze raz na całość pracy dra Au, zauważyć winienem, iż przebijają w niej niejako dwa piętna, dwa charakterystyczne rysy, które właściwie wykluczać się powinny. Jedna strona objawia się w jaskrawych obrazach, w porównywaniach zbyt plastycznych, obliczonych na codziennych czytelników; druga strona jest poważna, naukowa i stara się wniknąć w głębię przedmiotu. Na tym zmiennym tonie straciła najwięcej pedagogiczna strona pracy, gdy przez to niema nigdzie ciągłego i logicznego wykładu, lecz częste omówienia, porównania i odrywania się od głównego przedmiotu, które czytelnika nie znającego kwestyi, niekiedy w zadumę wprawiać będą, pomimo jasnego i obrazowego przedstawienia.

Erudycya autora jest dość znaczna, lecz cytaty nie wykazujące stronnic uniemożliwiają kontrolę i tracą przez to znaczną część wartości. Literatura polska niedostatecznie została uwzględnioną i nawet prace Bilińskiego, Kasparka i Oczapowskiego zostały pominiętemi [1]). Jedno tylko dzieło Kamieńskiego wydarł autor z ogólnego zapomnienia i za to mu się uznanie należy.

Jakikolwiek jednak byłby szereg zarzutów, w każdym razie przeważa w pracy dra Au ton naukowy, ścisłe przejęcie się badanym

---

[1]) Wykład ekonomii społecznej T. I. R. II. Walki gospodarcze i prawie cały tom II. Prawo polityczne ogólne. T. I, § 55, 10. Kierunek socyalistyczny Władza i układ państwa, część ogólna 1875.

przedmiotem i usilne dążenie do odkrycia prawdy. Studyum tego nie zabarwiają żadne obce tendencye, nie znajdziemy rozmyślnych fałszowań, lub nakręcań faktów, paradoksalnych lub symulowanych dowodzeń, lecz w całym szeregu poglądów spotykamy się z uczciwym badaczem, który chciał przysporzyć więcej naukowego światła swemu społeczeństwu.

Praca dra Au nie zaznajomi wprawdzie czytelnika ze wszystkiemi tajnikami kwestyi socyalnej, w tym labiryncie szczegółów pozostaną zawsze dla niego drogi, któremi chwiejnie zbliżać się będzie do celu — ale bezwarunkowo pobudzi do myślenia, do badania naukowego, zasili wieloma trafnemi spostrzeżeniami, wzmocni jego obywatelskie uczucia — i dlatego odda rzetelną usługę krajowej literaturze.

13.

DR. FRANCISZEK KASPAREK [1]).

Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacyi gminnej i wnioski reformy.

W ostatnich latach ukazały się w Galicyi wyborne prace rozświetlające stan miejscowego samorządu i nadające nieokreślonym dotąd pragnieniom reformy prawodawstwa gminnego cechę nieuniknionej a palącej konieczności. Wspomniane powyżej studya ułożyły się, rzec można, bezwiednie w harmonijną całość. Zgłębiają one wszechstronnie niedostatki obecne, szukają przyczyn złego w mroku przeszłości i wsparte wreszcie bogatem doświadczeniem, pragną dźwignąć kraj ku lepszej doli.

Przed innemi zasługują na zaszczytną wzmiankę: 1) T. Pilata „Pogląd historyczny na urządzenia gminne w Galicyi, podający rys wyczerpujący przeszłego prawodawstwa gminnego, a tem samem objaśniający o przygotowaniu do samorządu miejscowej ludności“, 2) J. Kleczyńskiego „Życie gminne w Galicyi“, zaznajamiające czytelnika, na podstawie umiejętnie i ostrożnie spożytkowanego materyału statystycznego, ze stanem obecnym, który jest wzorowo i niezmiernie interesująco przedstawionym. Wreszcie mając przed sobą przeszłość i stan obecny, przystąpił prof. Kasparek do rozbioru krytycznego istniejących instytucyj samorządu i do programu reformy

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1880.

opartego na wymaganiach teoryi stosowanej i umiarkowanej warunkami miejscowego życia.

Sądzę, iż nie będzie zbytecznem zaznajomić czytelników naszych z wynikami tej ostatniej pracy, zwłaszcza, że życie gminne w Królestwie budzi także niezmiernie żywe zajęcie publiczności, że pragnienie ulepszeń i tu czuć się daje; poznanie więc drogi, jaką się zmierza do dokładnego wykazania niedostatków prawodawstwa i poznanie trudności, jakie towarzyszą wszelkim projektom reformy, nie będzie i dla nas bez interesu.

Prof. Kasparek zaznacza na samym wstępie, iż myśl reformy ustawy gminnej pojawiła się prawie równocześnie z wejściem w życie nowej ustawy gminnej, ale dotychczas nie było zgodności co do kierunku, w jakim zmiana ta miała być przedsięwziętą i co do samej doniosłości tej zmiany. Oto w przybliżeniu szereg wad przedstawionych, które się odnoszą częścią do organizacyi samej, częścią do skutków tejże: 1) Niewłaściwe przeprowadzenie zasady samorządu przez zaprowadzenie dualizmu urzędujących obok siebie bez wewnętrznego związku, władz rządowych i autonomicznych. 2) Niejasność w określeniu obustronnej kompetencyi i wkraczanie jednych władz w zakres drugich, lub szkodliwe zaniedbywanie spraw publicznych. 3) Wadliwe urządzenie toku instancyj w sprawach administracyjnych. 4) Nadmierna ilość organów autonomicznych, która nie licuje wcale z trafnie pojętą zasadą podziału pracy, tylko wskutek rozstrzelenia, ubezwładnia czynności i prowadzi z nieuniknioną koniecznością do zamętu. 5) Wydzielenie obszarów dworskich z gmin wiejskich i utworzenie z pierwszych osobnych jednostek administracyjnych. 6) Pozbawienie władz autonomicznych władzy wykonawczej, którąby była rękojmią wykonania wydanych przez nich rozkazów i rozporządzeń. 7) Przeciążanie gmin w sposób jednostajny, bez względu na ich możność finansową, intelektualną i moralną, sprawami czy to własnego, czy poruczonego zakresu działania. 8) Wzrastający wskutek tego brak bezpieczeństwa publicznego z powodu nienależytego wypełniania obowiązków gminy w sprawach policyi miejscowej i w ogólności zaniedbanie szkodliwe wielu spraw żywotnych, a w końcu 9) kosztowność dzisiejszych urządzeń autonomicznych bez odpowiednich korzyści.

Odnośnie do dualizmu władz, prof. Kasparek wyraża żal, iż Austrya nie obrała sobie za wzór urządzeń francuskich, belgijskich lub badeńskich, lecz oddzielając sprawy rządowe od spraw samorządnych i powierzając pierwsze władzom rządowym, drugie organom autonomicznym, wybudowała oryginalny gmach państwa. Gdy zwyczajne państwo da się porównać z piramidą spoczywającą na szerokich podstawach, której linie jednak u góry schodzą się w punkcie centralnym, austryackie urządzenia administracyjne podobne są raczej do piramidy odwróconej, lub do drzewa wywróconego. Od podstawy t. j. od gminy biegną dwie linie w różnych kierunkach, które się nigdy nie stykają. Autor uważa też słusznie rozdział podobny spraw za praktycznie niemożliwy. Miejsce właściwe dla administracyi rządowej jest wszędzie tam, gdzie zadania administracyi tylko w sposób jednolity i jednostronny mogą być rozwiązane. Wyobrażenia zaś o tem, co wymaga jednolitego kierownictwa, są podobnie jak wyobrażenia o celu państwa, nadzwyczaj zmienne i historycznie u narodów różnych i w czasach różnych, odmienne. Rozgraniczenie sfery rządu od samorządu, według przedmiotów jest rzeczą niepodobną, niema bowiem przedmiotu, któryby nie obchodził państwa i gminy, któryby nie był tak dobrze rządowym jak autonomicznym. Również podział zadań publicznych na gminne i państwowe według funkcyj nie da się przeprowadzić. W tym względzie utrzymywano, że gmina jest związkiem li tylko ekonomicznym, a państwo związkiem zwierzchniczym. Ale i ten podział jest bezzasadnym. Pozostaje trzeci wzgląd na możność przeprowadzenia zadań administracyi. Podług tego względu wszystkie sprawy miejscowe, które gmina we własnym obszarze własnemi środkami przeprowadzić może, winny być przez gminę samoistnie wykonywane, wszystkie zaś inne, miarę możności gminy przekraczające, należą do wyższych organów samorządu, a ostatecznie do państwa. Ale jakże ocenić tę miarę możności? Ustawa gminna galicyjska nie rozróżnia żadnych kategoryj gmin, wszystkim wyznacza równą miarę świadczeń, bez względu na to, czy to Lwów lub Kraków, albo osady kilka tylko chałup chłopskich zawierające. Tym sposobem gminy często słabe, bez wiadomości rzeczy, a nawet często dobrej woli, puszczone zostały samopas na przestwór spraw najżywotniejszych, pod słabą

tylko kontrolą wyższych władz autonomicznych. Prócz tego w tym samym obszarze są organy rządowe i autonomiczne właściwe do spełnienia zadań pokrewnych, a ta okoliczność wobec wykazanej niemożności rozgraniczenia sfer obustronnych działania, sprowadzić musi wzajemne kolizye i starcia.

Odnośnie do nieścisłego określenia kompetencyi władz rządowych i autonomicznych, prof. Kasparek wylicza do ilu rozlicznych sporów dała powód ustawa gminna galicyjska. Jeżeli jeszcze był spór dodatni, t. j. jeżeli władze rządowe jak i autonomiczne roszczą sobie prawo do załatwienia jakiej sprawy, w takim razie rozstrzygał go trybunał państwowy. Lecz jeżeli istniał ujemny spór o właściwość, w takim razie nie ma na to prawnego środka. Tym sposobem drogi gminne mogą być w stanie najgorszym, moczary i bagna szerzyć zatruwające powietrze, błota utrudniać komunikacye, i jeśli wyższe organa samorządu w to nie wejrzą a władze rządowe zasłaniać się będą swoją niewłaściwością, natenczas stan rzeczy się nie zmieni.

Co się tyczy wadliwego urządzenia toku istancyi, to ono jest następstwem dualizmu władz, który pod tym względem prawdziwy chaos wytwarza. Prof. Kasparek, wykazując szczegółowo wadliwości, jest tego zdania, iż przedewszystkiem rekurs przeciw zwierzchności gminnej do rady gminnej, zwłaszcza po wsiach, jest zupełnie niewłaściwym. Następnie niezmiernie dokuczliwą staje się bez terminowość prawa kwestyonowania uchwał gminnych, jakie rządowi przysługuje. Gmina bowiem, ufając prawomocności swej uchwały zrobi np. kontrakt o dostawę materyału budowlanego; w tem przy wykonaniu powstaną spory, ktoś zakwestyonuje prawność uchwały, doniesie o tem starostwu, które po kilku miesiącach lub nawet latach zakazuje wykonania uchwały. To jest broń prawdziwie zabójcza dla samorządu i czas stracony niepowrotnie.

Krytykując nadmierną ilość organów autonomicznych, autor powstaje głównie przeciw wydzieleniu obszarów dworskich z gmin wiejskich. Był to zarzut podnoszony niejednokrotnie przeciw ustawie galicyjskiej, ale u prof. Kasparka spotykamy rzeczy nowe i interesujące. Rozbiór mało znanej pracy ks. Wł. Sanguszki: „O gminie zbiorowej“, oraz wykazanie ujemnego wpływu, jaki wywiera brak

komasacyi gruntów na administracyę obszarów dworskich, zalecają powyższy ustęp.

Jednym z ważnych zarzutów jest pozbawienie władz autonomicznych władzy wykonawczej. Wydział krajowy i rady powiatowe, we własnych sprawach gospodarczych, dopóty tylko prawidłowo mogą funkcyonować, dopóki ich uchwały i rozporządzenia na dobrowolne mogą liczyć wykonanie. Starostwo zaś wcale nie jest obowiązane temu żądaniu bezwarunkowo uczynić zadość, tylko może poddać uchwałę reprezentacyi powiatowej pod rozbiór, a w razie, jeżeli ją uzna za przeciwną ustawom, wykonania odmówić i to bez względu na czas, kiedy uchwała odnośna zapadła.

Co do przeciążania gmin w sposób jednostajny sprawami, czy to własnego, czy poruczonego zakresu działania, to prof. Kasparek stawia dwa zarzuty: 1) że ustawa gminna nie rozróżniła różnych kategoryj gmin według ich objętości i mnożności i 2) że tak ujednostajnioną gminę przeciążyła.

Ustawa gminna galicyjska odpowiada wprawdzie w znacznej części potrzebom i siłom miast, i to nam tłómaczy, że mało miast postarało się o statuty osobne, ale za to przekracza siły gmin wiejskich. W miastach widzimy błogie owoce samorządu, pomyślny rozwój, po wsiach rozstrój, nieudolność, zaniedbanie najżywotniejszych interesów. To też zarzut przeciążenia gmin, tylko względnie jest uzasadnionym, mianowicie odnosi się szczególnie do gmin wiejskich. Prof. Kasparek uważa, iż bardzo względnie i to tylko większe gminy miejskie są zdolne załatwiać sprawy następujące: a) czuwanie nad bezpieczeństwem osób i mienia, b) policya nad czeladzią i wyrobnikami, niemniej wykonywanie przepisów o czeladzi służebnej, c) sprawy ubogich, opieka nad zakładami dobroczynnymi gminy, zapobieganie żebractwu, d) policya budownictwa, wykonywanie przepisów porządku budowniczego i udzielanie policyjnego pozwolenia na budowy.

Rozdziały o nienależytem wypełnieniu obowiązków gminnych i kosztowności dzisiejszych urządzeń autonomicznych wypuszczam z tego powodu, iż opierają się głównie na pracy Kleczyńskiego: „Życie gminne w Galicyi“, o której dawałem już sprawozdanie.

II.

Druga część pracy prof. Kasparka składa się z wniosków pozytywnych do reformy gminnej. Przedstawię pokrótce ważniejsze z nich, gdy rzeczywiście one są ostatecznym celem, do którego zdążały wszystkie krytyczne argumentacye utworu. Pierwszym pozytywnym wnioskiem prof. Kasparka jest żądanie, aby rozdział gmin wiejskich i obszarów dworskich był zniesionym. Gminę zbiorową uważa jednak autor za fałszywy ideał a za jedynie praktyczną rzecz: 1) Powrót do dawnego dominium jako jednostki administracyjnej i zniesienie ustawy o obszarach dworskich. 2) Zasilenie gmin, prócz inteligencyi właścicieli większych, także duchowieństwem, któremu ma być przyznane prawo należenia do rady gminnej bez wyboru. 8) Przyznanie obszarom dworskim, co najwięcej tych praw, jakie mają obszary dworskie w Morawii.

Uchylenie dualizmu władz rządowych i autonomicznych ma się wykonać w ten sposób, iż wytworzone zostaną: komisya gminna powiatowa i krajowa, przy starostwach i namiestnictwie do łącznego nadzoru i rozstrzygania rekursów. Gdyby w skład tych komisyj wchodzili z jednej strony reprezentanci rządu i reprezentanci wyższych organów samorządu, t. j. wydziału powiatowego, oraz wydziału krajowego, natenczas nadzór nad gminami byłby jednolity i skuteczny, a gminy nie miałyby nad sobą dwóch, sprzeczne rozkazy wydających panów.

Jakkolwiek prof. Kasparek jest przeciwnikiem przymusowego połączenia wszystkich gmin w większe całości, mimo to uznaje, że uchylenie przeciążenia gmin może nastąpić, gdy słabsze gminy połączone będą w większe jednostki. Dalej życzy sobie autor, aby organa autonomiczne miały przyznane władzę wykonawczą w ten sposób, jak to uczyniła ustawa dla Tyrolu 1868 i na Bukowinie 1869 roku.

Ponieważ częste wybory są istną plagą dla ludności, a oprócz tego reprezentantom gminnym i powiatowym trudno rozpatrzeć się w sprawach w krótkim terminie trzechletnim, przeto koniecznie okres wyborczy rozszerzyć należy do lat sześciu.

Podniesienie kwalifikacyj zwierzchności i urzędników gminnych da się wykonać praktycznie tylko za pomocą następujących ograniczeń: po 12 latach ten będzie tylko obieralnym do rady gminnej, który wykaże, że uczęszczał do szkoły ludowej. Cztery posiedzenia doroczne do rady gminnej są zbyteczne. Najważniejsze są dwa: 3 listopada w celu ułożenia budżetu gminnego, drugi raz dnia 1 marca, w celu sprawdzenia i zamknięcia rachunków. Również należałoby postanowić bez ubliżenia władzy rządowej, iż prawo zakazania a względnie wstrzymania wykonania uchwał rad gminnych lub powiatowych, służy rządowi tylko przez dni 30, licząc od dnia, gdy poweźmie wiadomość o takich uchwałach.

W sprawach karnych powinny być sądy zwolnione od dochodzenia drobnych policyjnych przestępstw, a takowe przekazane sądom gminnym. Kodeks karny policyjny winien jak najprędzej być wydanym, a w tymże natychmiastowe prawo karania drobnych przestępstw np. do kary 5 złr.

W sprawach cywilnych spornych, autor przemawia za utworzeniem sądów gminnych, na wzór podobnej instytucyi w Królestwie Polskiem, w r. 1875 zaprowadzonej. Oprócz tego należałoby rozszerzyć zakres działania gmin także i w sprawach spadkowych oraz sprawach opieki, które dziś przez odległe sądy z zielonego stolika jak najgorzej bywają prowadzone.

III.

Trzecia część pracy prof. Kasparka, chcąc ułatwić zadanie sejmowi krajowemu, zajmuje się sformułowaniem reform proponowanych i to w ten sposób, aby już gotowe artykuły weszły do ustaw obowiązujących w miejsce kwalifikujących się do usunięcia.

Jak widzimy, praca prof Kasparka została podjętą w celu bardzo ważnym dla Królestwa Galicyi. Ma ona nietylko przekonać, że reforma ustawodawstwa gminnego a poniekąd i całego systemu administracyi jest niezbędną, lecz zarazem postępuje krok dalej t. j. wykazuje, jak powyższą reformę wykonać należy.

Autor czuł ważność zadania spoczywającego w jego studyum

i dlatego też towarzyszyła mu nieustannie w pracy wzorowa staranność i pragnienie gruntownego usprawiedliwienia, zarówno teoretycznego jak i praktycznego, projektów reformy. Zarzuty stawiane dzisiejszemu ustawodawstwu gminnemu w Galicyi, oraz systemowi administracyi, odznaczają się jasnością przedstawienia, logicznością wywodu. Krytyka dotychczasowych projektów reformy wszędzie wyczerpująca, a niektóre ustępy, jak np. o niemożliwej odpowiedzialności namiestnika przed sejmem, nie pozostawiają pod względem teoryi i praktyki, nic do życzenia. Przytem spotykamy skrzętnie zebrane uwagi o samorządzie gminnym innych krain austryackich, co nam rozszerza i wyjaśnia pogląd na galicyjskie stosunki.

Część druga pracy projektująca zmiany prawodawcze, o ile wnosić mogę, nie znając dokładnie poziomu wykształcenia ludu galicyjskiego, nie powinna przeminąć bezowocnie. Określa ona ściśle i podaje w gotowej prawnej formie środki zaradcze, a wiadomo, iż architektura prawodawcza, t. j. wynalezienie odpowiednich i wygodnych form dla życia społeczno-politycznego, jest rzeczą najtrudniejszą, i że prof. Kasparek musiał się, z samej natury zadania, spotykać z zawikłanymi węzłami, które potrzeba było najwyraźniej rozwiązać, nie uciekając się do rozcinania.

Pozwolę sobie tylko odnośnie do niektórych punktów poczynić uwagi, nie formułując ich nawet w stanowcze zarzuty dlatego, iż mimo, że ustawodawstwo gminne galicyjskie jest mi nieco znane, to jednakże materyał społeczny, który z samorządu ma stworzyć pierwszorzędną państwową siłę, jest mi prawie obcy i poznawałem go jedynie z cyfr statystycznych i prac naukowych.

Przedewszystkiem projekt powrócenia do dawnego dominium, jako jednostki administracyjnej, nasuwa mi pewne wątpliwości i sam autor przewiduje, że podobne rozwiązanie kwestyi może być niewystarczającem, gdy na innem miejscu pozwala łączyć słabsze gminy, które system dominialny pozostawi, albowiem nie wszystkie dominia będą odpowiednio wielkiemi.

Prof. Kasparek uważa gminę zbiorową za fałszywy ideał i pod tym względem, zwłaszcza gdy mowa o stosunkach Galicyi, zgadzam się z nim najzupełniej. Gdzie się samorząd gminny tak mało zżył z nawyknieniami i potrzebami ludu jak to ma miejsce w Galicyi,

tam o tak skomplikowanej maszyneryi jak gmina zbiorowa nie ma co myśleć. Ale czy dominium jako jednostka administracyjna gminy, jako owe terytoryalne łono, przy którem ogrzać się ma samorząd, będzie odpowiedniem? Wyznaję, iż co do tego mam pewne wątpliwości. Dominium jako jednostka przejawiająca w dziejach nieco publicznego życia, czyli jako okaz historyczny formy, w której dawniejsze życie gminne się kołatało, jest dla praktyki tak mało znacznem, iż siła tradycyi nie zrównoważy ani na odrobinę niedogodności rzeczywistych. Nasamprzód dominium przypomina ową uprzywilejowaną epokę, której pamięć starannie zacierać, nie wskrzeszać potrzeba. Dalej, jeżeli lud zachował jakąkolwiek pamięć o dominium, to odnosiła się ona więcej do prywatnej, czysto gospodarczej sfery, a nie do sfery publicznej samorządu gminnego. Nie rozumiem zupełnie przykładu z Królestwa Polskiego, jaki prof. Kasparek na str. 98 przytacza na udowodnienie, iż dominium będzie odpowiednią jednostką administracyjną. Przykład to zupełnie chybiony i rzeczywiście Królestwo Polskie służy za stanowczy dowód przeciw twierdzeniom prof. Kasparka.

Czy bowiem ukaz z 1864 roku obrał dominium za jednostkę terytoryalną, która dla administracyi gminnej służy za podstawę?

Nie. Gminy w Królestwie obejmowały po kilka dominiów z włościańskimi obszarami, a od 1864 r. objawiała się tendencya rządu do powiększenia gmin, i ta tendencya nie szła na przekór rzeczywistym potrzebom ludności. Parę cyfr wystarczy na dowód. W 1864 r. liczba gmin wynosiła 2.587, gdy cyfra dominiów wynosiła 6.064. (Por. Очерки экономическаго положенія крестьянъ въ губ. Царства Польскаго. Анучинъ 1875, str. 25, i Zbiór rachunkowych wiadomości i objaśnień dotyczących działań Tow. Kred. Ziemskiego od 1826—1869. Warszawa 1875 r.). W 1865 r. cyfra gmin wynosiła tylko 1.313, a obecnie zdaje się iż nie przenosi 1.290.

Jeśli porównywanie tych dwóch cyfr t. j. liczby gmin i liczby dominiów nie wystarcza, to jeszcze mamy inną wskazówkę: i tak w 1867 r. posiadłości większej nad 60 morgów, a zatem nie licząc prawie włościan, przypadało na jednę gminę w płockiem 14.8, warszaw. 10.55, łomżyńskiem 11.3, kaliskiem 8.6, i t. d. najniższej

cyfry dosięgnął powiat bilgorajski bo 1.64 [1]). Bywały nieliczne przykłady, że jedno dominium podzielone, wchodziło w skład trzech lub dwóch gmin, jak np. Jadów, Czemierniki, ale nigdzie niema dowodu, aby Ukaz z 1864 r. lub Komitet Urządzający wprowadzający go w wykonanie, zwracał jakąkolwiek uwagę na dominium. Czy rzeczywiście dominium miało jakiekolwiek tradycyjne znaczenie, któreby prawodawca powinien był spożytkować? I tu za Królestwo odpowiadamy, że nie. Dominium było dawną gospodarczą jednostką, w której włościan z dworem łączyły wzajemne zobowiązania i interesa ekonomicznej natury. O życiu jakiemkolwiek gminnem mowy nie było, a dekret Ks. Warsz. z 1809 r. zaprowadzający w dawnych gminach złożonych z dominiów rady gminne spełzł na niczem [2]), co Skarbek i inni przypisują nieprzygotowaniu ludu wiejskiego do podobnych instytucyj.

Jest wszakże w Królestwie Polskiem jednostka samorządu drobniejsza niż gmina, a objawiająca w zamożniejszych okolicach, pewne, samodzielne życie — ale to nie dominium bynajmniej — to gromada wioskowa, z której po dziś dzień dwór ze szkodą jest wykluczony, to osada kolonialna wybierająca na zebraniu gromadzkiem swój organ wykonawczy sołtysa, pomocnika wójta, rozkładająca podatek gminny w swej osadzie lub wiosce, lub wreszcie fundująca własną szkołę, jeżeli była zamożniejszą [3]) i t. p. Gromady te mają w niektórych okolicach księgi uchwał bardzo porządnie prowadzone, a bywały wypadki, że później powstałe osady, do których nie zastosowano Ukazu z 1864 r., własnowolnie zagarnęły prawa gromadzkie i wyższe administracyjne władze uszanowały to poczucie samodzielności. Gromada wioskowa w Królestwie odpowiada jednak wielkością oraz zasobami społecznymi dawnemu dominium, zwłaszcza

---

[1]) Объяснительная записка къ проекту программы сбора свѣдѣнія о количествѣ, распредѣленія и дохонодсти земель въ гминахъ. Kostromitinow (niedrukowane).

[2]) Okolski: Wykład prawa administr. oraz prawa administr. obowiązującego w Królestwie Polskiem, str. 436.

[3]) Okolski: Wykład prawa administracyjnego, oraz prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem, str. 456. Administracya gromad wioskowych.

jeśli do niej włączymy dwór z folwarcznemi gruntami i oficyalistami. A czyż w tym składzie może służyć jako samodzielna jednostka administracyjna samorządu, czy posiada dostateczne siły? Dotąd gromada wioskowa okazała się pożyteczną tylko jako samodzielny wykonawczy organ gminy, nie wprowadzający ani zbytniej komplikacyi, ani zamętu do organizacyi gminnej. Ale dość przejrzeć szereg zadań publicznych, jaki w rzeczywistości wykonać zdołała, aby się przekonać, iż po za zakres dzisiejszy wyjść nie może i że jedynie jako organ wykonawczy gminy i to w połączeniu z dworem będzie w stanie oddawać samorządowi gminnemu znaczne usługi.

Dlatego też sądzę, że powrót do dominium jako jednostki terytoryalnej, wśród której załatwiać się ma najważniejsza część zadań samorządu gminnego, nie byłby i dla Galicyi fortunnym. Przytem z wskrzeszania tego rodzaju pamiątek historycznych, powstałby rezultat więcej niż problematyczny. A praktyczne korzyści jakie? O nich jeszcze parę słów nadmienić muszę. Gmina powinna przedewszystkiem zawierać odpowiedni zasób umysłowy i materyalny, aby życie społeczne miejscowe w formie publicznej i pod postacią interesu lokalnego powstać mogło. Siły umysłowe są niezbędne dla wprowadzenia organizacyi gminnej w wykonanie; siły materyalne są niezbędne dla zaspokojenia zadań samorządu. Czynnik pierwszy uosabia się w obywatelu pojmującym doniosłość samorządu gminnego; czynnik drugi — w ziemi, nietylko uprawianej pracą, ale dźwigającej na sobie twory ludzkiej pracy. Gdzie jednej z tych dwóch sił nie dostaje, tam rozwój samorządu gminnego postępuje powoli, a często zamienia się w system pozorny, który teorya ma prawo nazwać Schein-Selbstverwaltung zarówno jak w podobnym wypadku przyjęła termin Schein-Constitutionalismus. Niestety! mimo całej świadomości potrzeb, teorya nie zdołała określić mi liczby obywateli ani obszaru terytoryalnego, jaki gmina zawrzeć powinna, zostawiając polityce administracyjnej rozwiązanie kwestyi na miejscu. Dlatego też prof. Kasparek, mimo całego przygotowania teoretycznego, w poszukiwaniu jednostki administracyjno-gminnej musiał trafić na znaczne trudności, i to nawet na znaczniejsze, naturą kraju

więcej spotęgowane, aniżeliby się to prawodawcy w Królestwie Polskiem przytrafić mogło.

Jak rozdzielić różnorodne i w różnym stopniu uzdolnione warstwy społeczne; jak rozdzielić ziemie tak odmienne w kulturze; jak pokonać tak rozliczne trudności z położenia naturalnego płynące — aby nareszcie wytworzyć organa samorządu lokalnego, zdolne do życia i do rozwoju? Oto był szereg pytań nasuwających poważne trudności, bez wątpienia, ale też czy im dominium będzie w stanie zaradzić? Nasamprzód czy dominium dawne przedstawi odpowiednie rękojmie materyalne, czy wytworzy środki zdolne zaspokoić żądania przepisane ustawą? Przypuściwszy nawet, że dominia galicyjskie były przeciętnie większe od istniejących w Królestwie, to i tak system powyższy będzie niewystarczającym, albowiem wiele mniejszych dominiów trzeba będzie łączyć z sąsiedniemi, a prócz tego trzeba będzie wcielać osady powstałe po uwłaszczeniu i nie należące do żadnego dominium. Wiele znowu z dawnych dominiów będzie obejmowało za wielki obszar, aby mogło tworzyć jedną gminę. Słowem, system dominialny, odpowiadający innej epoce społeczno-politycznej, okaże się dziś w praktyce tylko kazuistyką t. j. wypadkowością, którą nieustannie trzeba będzie przerabiać stosownie do dzisiejszych potrzeb gminnych.

Nie lepszą można przyszłość wróżyć jednostce dominialnej i odnośnie do umysłowych zasobów. W Królestwie Polskiem, gdzie kilka dominiów z obszarami włościańskiemi i osadami jednoczyło się w obrębie gminy, okazywał się zawsze brak inteligentnych sił do spełnienia urzędów gminnych, które przy rozwijającym się samorządzie ciągle wzrastać muszą. Nawet same urzędy wójtów a przedewszystkiem sędziów gminnych i ławników, nie mogły być zawsze odpowiednio obsadzonemi, cóż dopiero mówić o pisarzach, pełnomocnikach gminy i t. p. Od pewnego też czasu powstało przekonanie w społeczeństwie, iż obręb gminy należałoby jeszcze powiększyć, zwłaszcza od chwili, gdy sąd odłączono od administracyi gminnej a tem samem wójtom umniejszono znacznie czynności. Wreszcie można było zauważyć, iż dopiero pojawienie się większej liczby inteligentnych jednostek na zebraniach gminnych wpływa korzystnie na bieg spraw miejscowych. Wśród samych większych wła-

ścicieli, a po części wśród dawnych dominialnych panów, wyrabia się tem samem wzajemna emulacya i liczenie się ze zdaniem, a niknie chęć i możność uważania spraw gminnych za swoje prywatne. Włościanie korzystają również na tem, albowiem nietylko że są w stanie lepiej obsadzać urzędy gminne, ale mogą obdarzać zaufaniem chętniejszych obywateli i nie są zmuszeni udawać się do jedynej często, a mimo to nie sympatycznej dla nich osobistości. Czy dominium dawne galicyjskie odpowie tym nowym wymaganiom, kiedy kilka dominiów w Królestwie nie zawsze zdołało zadaniu podołać? Na to pytanie przedstawiłem powyżej moje wątpliwości.

Jedyną dobrą stroną systemu dominialnego było to, iż prof. Kasparek łącznie z nim domaga się także i zniesienia obszarów dworskich, ale chwiejność jego zdania widoczna, gdyż pod 3) przewiduje możność przyznania obszarom dworskim co najwięcej tych praw, jakie mają obszary dworskie w Morawii, a w następstwie zgadza się w ostateczności i na podobną modyfikacyę. Tymczasem wiele względów przemawiało za tem, aby wyrzec ostateczne słowo potępienia nad obszarami dworskimi. Sam autor (str. 27 i dalsze) rozumie wybornie niedogodności praktyczne płynące z tych „monstrualnych utworów politycznych w jakie jedynie Galicya i Bukowina uposażone zostały, od niego zatem spodziewać się należało, iż będzie stanowczym rzecznikiem nowego porządku i dla zgubnych półśrodków nie zostawi otwartego przesmyka. Sądzę też, że gdyby obszary dworskie uzyskały projektowane na str. 118 stanowisko, to cały system jednostek dominialnych, osłabiony jeszcze wyjątkowem położeniem pewnej części obszarów, okazałby się niemożliwym i sprowadziłby jedynie pozorny samorząd ośmieszany słusznie przez jego przeciwników.

Ze stanowiska teoryi, nawet owe na str. 118 proponowane morawskie obszary gminne, są kompletnym anachronizmem, są wyblakłym nieco ale zawsze pańszczyźnianym strzępem na reprezentacyjnej szacie państwa. Że się dotąd utrzymały, temu się nikt dziwić nie może, kto wie, z jakiemi trudnościami nowa konstytucyjna epoka walczyć musiała i jak powoli mogła dawne pierwiastki stanowe usuwać. Dziś jednak, jeśli za motto pracy służy zdanie Tocque-

ville'a „les institutions communales sont a la liberté ce que les écoles primaires sont a la sciences“ to dla obszarów dworskich w jakimkolwiekbądź odcieniu nie ma miejsca.

Gmina ma być podstawą życia konstytucyjnego, ma przygotować obywatela do państwowych obowiązków, przez to, iż go obznajmia z interesem publicznym w mniejszym zakresie. Gmina jednak powinna przedewszystkiem zacierać socyalne uprzedzenia i nienawiści przez to, iż wszystkim wspólnie każe pracować dla dobra publicznego gminy, i przez tę wspólną codzienną pracę wytwarza łączność, poczucie jedności, a zaciera dawne różnice przywilejami wytworzone. Otóż gmina może spełnić powyższe zadania, niezbędne dla państwowego nowożytnego porządku, tylko wtedy, jeśli oprze się na tymże samym reprezentacyjnym systemie co i państwo. Jakież więc uzasadnienie obok ustawy gminnej galicyjskiej przepisującej rady gminne i t. p. t. j. adoptującej system reprezentacyjny dla gminy, będą mieć owe morawskie obszary (str. 118) stwarzające w rzeczywistości gminę w gminie, i to gminę autokratycznie rządzoną przez właściciela lub jego pełnomocnika i powierzającą zarząd, nie tytułem zaufania czyli wyboru, ale tytułem przywileju, jaki nadaje większa własność ziemi. Co powołało owe obszary do życia? W kraju, gdzie porządek konstytucyjny trafiał na niezwykłe trudności, jak np. w Austryi i Prusach, po przeprowadzeniu usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, okazały się nowe ustawy gminne niezbędnemi. Dawne ustawy wsparte na patrymonialnej władzy panów runęły wprawdzie, ale znaleziono się w kłopocie, co zrobić z dawnymi panami. Zostawić władzę w ich ręku nie było podobnem. Zrobić ich zwykłymi obywatelami w gminie, wydało się ubliżającem. Chwycono się zatem półśrodka wygodnego na razie choć szkodliwego na przyszłość. Zostawiono ich w obszarach własnych, owych pruskich Rittergüter, z porządkiem gminnym odmiennym, a włościan odosobniono i poddano innym ustawom. Motyw był prawie wszędzie jednakowy, obawiano się, aby interesa panów będących w gminie w znacznej mniejszości, nie były systematycznie przez włościan krzywdzonemi. Prawie zbytecznem było dowodzenie, iż motyw ten nie miał żadnej treści. Ani samorząd Anglii, ani ustawodawstwo francuskie nie znające od 1790 r. półśrodków, nie dają

prawa do podobnych wniosków. Królestwo Polskie od 1864 r. jest zaś nowym przykładem, powstałym wśród najtrudniejszych warunków, iż i tu przejście od pana patrymonialnego do obywatela gminy byłoby możliwem, gdyby je wspierały: odpowiednie prawodawstwa rolne i organa wyższe administracyjne, za pomocą rozważnej kontroli i doświadczonej a bezstronnej rady.

Przedłużanie zaś owego odosobnienia klas społecznych, tolerowanie niemożliwych przywilejów większej własności, powinno ustać na zawsze. Jeżeli bowiem gmina ma być szkołą publicznego życia, jeśli ma być organem publicznej władzy, nie może znać wyłączeń tytułem prawa własności, jej najważniejszem zadaniem jest bowiem, wspólna praca dla dobra gminy.

14.

WALERY PRZYBOROWSKI [1]).

Włościanie u nas i gdzieindziej.

Od niedawnego dopiero czasu, zwrócono pilniejszą uwagę na stan włościański, na łan gleby przez niego uprawiany i na wiekowe usiłowania dążące do zdobycia własności rodzinnego zagonu oraz do swobodnego spożycia owocu codziennej pracy. Historya, jak to zauważył jeden z historyków włościańskiego stanu, Tourmagne [2]), była przez długie wieki kurtyzaną dworującą jedynie możnym tego świata, cierpienia i trud niższych klas pomijała chętnie, zabawiając się swobodnie na dworach monarchów, lub też rozwiązując troskliwie skomplikowane zagadnienia dyplomatów.

Konieczność jednak zwróciła uwagę dziejopisa w sfery na pozór skromniejsze ale mimo to niezbędne dla wyjaśnienia ruchów wstrząsających porządkiem społecznym. Trzeba było nareszcie zbadać co się działo pod strzechą włościańską i w ubogiem mieszkaniu robotnika miejskiego, a gdy raz myśl badacza zawitała do tych nizkich progów, odkryła cały skarbiec społecznych kwestyj i bawi wśród nich po dziś dzień, kreśląc coraz dokładniejsze historye włościan i mieszczańskiego stanu. Istotnie też badaczowi tej sfery społecznego życia otwiera się niezwykle szeroki widnokrąg, pozwalający objąć myślą najważniejsze momenta cywilizacyjnego rozwoju i przeniknąć najgłówniejsze kierunki pracy całej ludzkości.

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w Niwie w r. 1881.

[2]) Histoire du servage ancien et moderne. Str. II.

W historyi włościanina socyologowi przedstawia się najwytworniejszy obraz starcia społecznych interesów. W wytrwałej pracy przygniecionej brzemieniem ciężarów, dostrzeże on prawo społecznej obrony przeciw przewadze potężnych klas, wspartych własnością i przywilejem. Ekonomista w tymże samym włościaninie ujrzy historyę uznania swobodnej pracy, a zarazem dowód, jakiemi to wiekowemi wysileniami ludzkość dochodziła do pozyskania tej twórczej zasady, na której się wsparł dzisiejszy system gospodarstwa społecznego. Prawnikowi włościanin naszkicuje historyę upadku przywilejów i powolnego wytwarzania się równości prawnej, która łącznie ze swobodną pracą miała odrodzić ducha nowożytnego państwa. Nareszcie w statyście losy kmiece obudzić muszą dużo wspomnień z zamierzchającej przeszłości i z nowszych czasów. Wszystkie zaś, jakiekolwiek będzie ich pochodzenie, czy przybędą z opustoszałych latyfundyów Rzymu, czy z gleby uprawianej pracą martworękich i przytwierdzonych, zawsze się skupią około zasady równości prawnej w dziedzinie prawa publicznego i dzieje włościanina będą tylko zarysem powolnego dobijania się człowieka do uznania powyższej idei.

Dlatego to, jeszcze raz muszę powtórzyć, w historyi włościańskiego stanu przebija się najdokładniej pochód cywilizacyjny każdego narodu. Wczesne określenie ciężarów i zabezpieczenie opieki prawa chłopom, stanowi słuszną dumę Brytanii. W tym fakcie bowiem możnowładztwo złożyło dowód swej dojrzałości politycznej i owego umiarkowania, które Montesquieu poczytał za największą jego cnotę; przytem monarchizm zyskał źródło niewyczerpanej władzy, a państwo zdobyło nowe skarby materyalne i duchowe, które zasłoniły naród od socyalnych przewrotów. Tymczasem poniżenie włościańskiego stanu przez samowolę możnowładztwa, „tam in spiritualibus quam in civilibus“ a następnie brak wszelkiej opieki prawa ze strony państwa i zapoznanie przez władzę monarchiczną najistotniejszych obowiązków względem kmieci, stanowiły na stałym lądzie Europy ów sygnał pożaru, który zniszczył cały stary gmach polityczny i wszczepił waśń społeczną do ducha nowożytnych instytucyj.

Nic więc dziwnego, iż wobec tak wielkiej doniosłości samego przedmiotu praca p. Przyborowskiego mogła obudzić żywszy interes

w kołach wykształconej publiczności, zwłaszcza jeśli dodamy i ten wzgląd, że historya kmiecia polskiego uległa tyle razy tendencyjnym wykładom i nieprzychylnym zabarwieniom politycznym, a więc dokładne wyjaśnienie krytyczne, choćby nawet nie przynosiło nowych zdobyczy naukowych, mogło być bardzo pożądanem i miałoby niewątpliwie pewną społeczną zasługę.

We wstępie zaznacza p. Przyborowski gorącemi słowy krzywdę wyrządzoną nam przez obcych, krzywdę, która polegała na złośliwem fałszowaniu historyi. Z drugiej strony jednak uprzedza swój wykład pocieszaniem czytelnika odkryciami retorycznemi, które nieco rażą przesadą. Zapewnianie uprzednie, że „ucisk chłopa polskiego był jeszcze rajem wobec ucisku w Niemczech lub we Francyi w pewnych chwilach“ jest cokolwiek ryzykownem, jeśli autor nie zechce się trzymać literalnie swego wyrażenia, wypędzając włościan po krótkiej chwili z tego polskiego raju. Dalej kończy autor swój wstęp następnemi słowy: „w pracy tej nie wielu mieliśmy poprzedników w naszej literaturze historycznej. Częstokroć trzeba było samemu obrabiać materyał surowy by wydobyć z niego bryłkę czystej prawdy dziejowej. Nie mamy zresztą wcale pretensyi, byśmy przedmiot tak wielki i tak mało jeszcze u nas znany, opracowali wyczerpująco. Książka nasza to nie historya, ale szereg szkiców z przeszłości włościan polskich, szkiców częstokroć może nieudolnych ale zawsze prawdziwych i ożywionych najlepszą myślą“.

Naumyślnie przytoczyłem dosłownie cały ten ustęp, albowiem pragnąłem jak najdokładniej przedstawić zamiar autora i podług niego unormować wymagania krytyczne. P. Przyborowski, jak widzimy, nie przyrzeka nam dać historyi we właściwem tego słowa znaczeniu t. j. opracowującej równomiernie wszystkie epoki rozwoju stanu włościańskiego, ale wybiera sobie luźniejszą i swobodniejszą formę szkiców, w których rozwinąć można obszerniej niektóre punkta, pozostawiając inne, zdaniem piszącego mniej ważne na uboczu. Na pewną swobodę w wykładzie, wyłamującą się z żelaznego uścisku systemu, winien być czytelnik z góry przygotowanym, ale za to obiecuje p. Przyborowski opracować materyał surowy i z niego wydobyć bryłkę czystej prawdy dziejowej, co jest wyraźną zapowiedzią, iż monografia powyższa pragnie posunąć naprzód naukę,

że wśród ciemności ma zamiar rozniecić nowe światło a autor postanowił się ubiegać o najwyższą nagrodę, ową „summa palma“ przeznaczoną samodzielnym myślicielom.

Z koła zakreślonego przez samego autora nie wolno wychodzić krytykowi i dlatego też nie będę zastanawiał się nad tem, dlaczego p. Przyborowski nie podjął wdzięcznego zadania, jakiem jest kreślenie historyi włościan, ale przyjmując formę szkiców, jako fakt dokonany, z nim liczyć się będę i w następstwie opuszczę zarzuty, którebym mógł książce, jako systematycznej historyi włościan uczynić.

Przedewszystkiem uważam za właściwość płynącą z istoty wszelkich szkiców, że pewne momenta podnoszą wybitniej, rozwijają dokładniej, inne zaś pomijają pobieżnie nie zachowywując w wykładzie równomierności. Z tej zasady też opuszczenia pewnych, zwłaszcza drugorzędnej wagi szczegółów nie będą wytykanemi w pracy p. Przyborowskiego, krytyk zwróci się głównie do tych momentów, które autor z widocznem zamiłowaniem opracował i w których miał prawdopodobnie zawrzeć ową bryłkę czystej dziejowej prawdy, zapowiedzianą w przedmowie. Jedno tylko wyrażenie we wstępie muszę wytknąć, gdyż je uważam za innowacyę nie bardzo stosowną, a mianowicie, iż uprzedzając sąd czytelnika autor zapewnia go, że szkice, które mu podaje, są może nieudolne lecz zawsze prawdziwe i ożywione najlepszą myślą. Zapewnienie takie mija się zupełnie z przeznaczeniem a nawet może wywrzeć przeciwny skutek i uprzedzić czytelnika niekorzystnie względem piszącego. Dobra wiara, sumienna praca i gorące dążenie do prawdy, są obowiązkiem każdego pracownika nauki, one się nawet w nim domniemywają i „auctor“ tak samo jak każdy „homo“ praesumitur bonus ac justus donec probetur contrarium“. Sąd jednakże o tem, czy rzeczywiście autor pozostał w zgodzie z obowiązkami należy do krytyka a dowodem wyłącznym i jedynym jest praca, nie zaś zapewnienia autora. Niepotrzebnie też p. Przyborowski dawał owe „reversalia“ na swe dobre myśli i chęci, gdyż każdy uczciwy człowiek z góry mu je przypisywał. Do niego należało podać pracę i czekać spokojnie sądu, który z pewnością wymierzy mu sprawiedliwość bez

uprzednich zapewnień a nawet na przekór tymże — jeśli powody będą potemu.

Zanim przejdę do samej pracy p. Przyborowskiego, muszę się jeszcze chwilę zatrzymać nad źródłami, które mu do studyów były pomocą, oraz nad sposobem ich cytowania. Autor twierdzi, że nie chcąc w ciągu pracy odrywać uwagi czytelnika cytowaniem źródeł, wypisuje je w osobnym ustępie w porządku alfabetycznym, a potem nie powołuje się już na nie w toku pracy. Muszę wyznać, iż system powyższy, uważam za niedostateczny, albowiem nie daje on dostatecznej kontroli nad spożytkowaniem źródeł, utrudnia ocenienie samodzielności poglądów autora i dlatego budzi w krytyku mimowolną chęć podejrzywania piszącego o nadmierną skłonność do przepisywania.

Przykład jaki niedawno temu miał miejsce w Krakowie, iż jednego z uczonych prawników posądzono o skłonność do owej „Scheerenarbeit“ pomimo iż cytował źródła na początku i w ciągu pracy, przykład ten, powtarzam, winien był odstraszyć p. Przyborowskiego od podobnego ryczałtowego załatwienia się ze źródłami.

Jeżeli też praca ma rzeczywiście wykazywać zasługę autora i być ze wszech miar pouczającą, to takie ogólnikowe wymienienie źródeł, z którego nawet nie można być pewnym, czy się autor rzeczywiście niemi posługiwał, nie jest w żadnym razie wystarczającem. Każdy krok w dziedzinie studyów winien piszący dokładnie usprawiedliwić, a dla nauki jest ważnym nietylko rezultat ale i proces badania, który autora do naukowych odkryć doprowadził. Inaczej pojęte cytowanie źródeł nie daje żadnej kontroli nad postępem samodzielnej myśli autora, nad jego zmysłem kombinowania różnych wpływów społecznych, który się ujawnia w gromadzeniu źródeł a staje się jedynie pozorną dekoracyą, którą piszący chce zamanifestować swoją erudycyę.

Prócz tego źródła same które autorowi służyły za podstawę przy opracowaniu szkiców, budzą pewną wątpliwość, czy przy ich pomocy mógł piszący wywiązać się należycie ze swego zadania. Do dziejów włościan w Polsce, posługiwał się p. Przyborowski w znacznej części pracami rosyjskich autorów, z których niektóre jak np. Goremykina zbyt łaskawie ocenił, bo nie posiadają naj-

mniejszej wartości naukowej. Dzieła zaś polskie pierwszorzędnej wartości, bez których pomocy obejść się niepodobna, pominął zupełnie. Pozwolę sobie wymienić ważniejsze z nich exempli gratia i tak np. Hube: „Prawo polskie w XIII wieku“ i „Prawo polskie w XIV wieku“; Smolka: „Mieszko stary“; Dunin: „Prawo mazowieckie“; ks. Lubomirski: „O sądach patrymonialnych w Polsce“ i „Dwa rozdziały z historyi skarbowości w Polsce“; Bandkie: „Wywód historyczny praw miejskich dawniej w Polsce obowiązujących“; Hofman: „Listy o rządzie w Polsce“; Skarbek: „Historya księstwa warszawskiego“.

Co się zaś tyczy obcokrajowych autorów, którzy o stosunkach włościan polskich pisali, to p. Przyborowski nie uznał za stosowne zapoznać się z Roepella historyą polski i rozprawą „Ueber die Verbreitung des magdeburger Stadtrechts im Gebiete des alten polnischen Rechts“, ani też z pracą Budanowa „Niemieckie prawo w Polsce i Litwie“ chociaż niewątpliwie dzieła wzmiankowane przyniosłyby większy pożytek jego rozprawie niż np. Wójcickiego „Zarysy domowe“.

Jeżeli też czynię p. Przyborowskiemu zarzut iż pominął powyżej wymienionych autorów, to nie dla zadośćuczynienia uczonemu pedantyzmowi, lecz z tego powodu, że nie korzystając z archiwalnych źródeł, nie mógł należycie wywiązać się z zadania bez nieustannej pomocy tych właśnie prac, które pominął w zupełności.

Co się tyczy źródeł, które służyły p. Przyborowskiemu do obeznania się z historyą włościan w innych krajach, to te są istotnie bardzo szczupłe i dopomogły też do wytworzenia bardzo nikłego owocu. Wprawdzie w spisie źródeł figuruje istotnie klasyczne dzieło Sugenhejma p. t.: „Geschichte der Authebung der Leibeigenschaft und Hörigkeit in Europa“, mogące naprowadzić autora na dobre tory, ale niestety w całej pracy trudno wpaść na trop, któryby zdradził iż autor umiał należycie spożytkować powyższe wzorowe dzieło.

Wykład przedmiotu rozpoczyna autor od opola, jego organizacyi, bractwa kurpiów, upadku opola, statutu wiślickiego, a doszedłszy prawie do końca XIV wieku w Polsce, przenosi nas nagle do Galii i w dwóch krótkich rozdziałach (V i VI) streszcza całą

prawie historyę włościan w obcych krajach. Tym sposobem wykład porównawczy bardzo ważny dla naszej literatury, gdyż nie mamy prócz Krzyż-Topora innej pracy, którąby go uwzględniła, został prawie zupełnie pominięty, w żadnym razie bowiem owych dwóch rozdziałów (prócz tego jeszcze jeden odnoszący się do XVIII wieku) nie można uważać za historyę włościan w Europie.

Ale inne jeszcze zarzuty obarczają pracę p. Przyborowskiego. Rozpoczynając wykład od opola i kreśląc aż do XIV wieku dzieje kmiecia polskiego, musi autor konstatować ciągle obce wpływy przychodzące do nas z Niemiec, tymczasem dopiero później, kiedy uwaga została zajętą innymi przedmiotami, zwraca się bardzo pobieżnie do prawodawstw zachodnich.

Taki system, który zmusza uwagę do porzucania historycznego toku i zrywania z logiczną konsekwencyą a natomiast przyucza do nieustannych skoków wstecznych, jest bardzo wadliwy. Zamiast rozpocząć od rzeczy wcześniejszych, wykazać ich wpływ na późniejszy rozwój prawodawstwa, autor czyni przeciwnie, rozpoczyna od opola, które także miało wcześniejsze wzory na Zachodzie, konstatuje w XIII i XIV wieku wpływy obcych prawodawstw i załatwiwszy się z XIV wiekiem każe nam się cofać aż do władztwa starożytnego Rzymu.

Nietylko system przyjęty przez p. Przyborowskiego jest wadliwy ale prócz tego uwzględnienie pierwiastku porównawczego jest niedostateczne. Wielka Brytania ze swą oryginalną i pouczającą historyą włościan nie egzystuje zupełnie, a cały wykład porównawczy ogranicza się na bardzo pobieżnym zarysie historyi włościan w Niemczech i Francyi. Gdyby autor był uważnie przeczytał jedną pracę Sugenheima, którą w spisie źródeł pomieścił, byłby się mógł daleko lepiej wywiązać z zadania. Nie potrzebowałby wówczas ograniczać się na chaotycznem opowiadaniu, które nie daje żadnego pojęcia o prawach ekonomiczno-politycznego rozwoju na zachodzie Europy, nie byłby dostrzegał zasadniczych różnic między Francyą i Niemcami, które nie egzystowały zupełnie w rzeczywistości, a natomiast byłby w stanie wykazać szeregi powodów ekonomiczno-prawnych, które swobodę osobistą włościanina krępowały, istnienie małej własności gruntowej czyniły prawie niemożliwem i pomimo

rozmaitości form łudzących badacza, egzystowały wszędzie, gdzie tylko cywilizacya Zachodu zdołała przesłać swe promienie, a więc i w Polsce.

Duch feodalizmu objawiający się w pomieszaniu pojęć zwierzchnictwa politycznego i własności ziemi wycisnął wszędzie na Zachodzie swe wybitne piętno. Dlatego też dziwić może odkrycie p. Przyborowskiego na str. 65, „iż w Niemczech okrom feodalnych powinności właściwych całemu systemowi feodalizmu w Europie, wieśniak ulegał wielu obowiązkom względem państwa i króla, które z czasem przyswoili sobie panowie wyciskając je z surowością nieubłaganą. Miała np. szlachta wyłączne prawo rodzaj monopolu, stawiania młynów, pędzenia wódki, robienia piwa, utrzymywania szynków i t. d. Gdyby autor przeczytał uważniej Sugenheima pracę, którą w zbiorze źródeł zamieścił, byłby się mógł przekonać, że wszystkie owe monopole egzystowały we Francyi i innych krajach aż do końca XVIII wieku [1]), a gdyby prócz tego był zechciał jeszcze zajrzeć do wybornego dzieła Taine'a „L'ancien regime“ byłby się niezawodnie powstrzymał od patetycznego wykrzyknika który brzmi: „losy wieśniaka niemieckiego stokroć smutniejszą potoczyły się drogą niż losy chłopa francuskiego i polskiego“.

Lekceważąco traktuje autor i tę odrobinę materyału porównawczego, którą podaje, dość zaznaczyć, iż nie wspomina ani jednem słowem o nocy 4 sierpnia 1789 r. we Francyi, że cała wielka rewolucya francuska i epoka reform w Prusach (Stein-Hardenberg) dla historyi włościan nie egzystuje. Nawet wiarogodność niektórych szczegółów jest wzruszalną, i tak np. na str. 60 czytamy: „Pojawia się we Francyi w połowie XI w. i trwa aż do XIII obowiązek, że pierwsza noc małżeńska każdej zaślubionej wieśniaczki należy się baronowi, tymczasem są dowody, że prawo to istniało znacznie dłużej i nie zniknęło w XIII wieku w zupełności [2]).

Rozstając się z rozdziałem traktującym o historyi włościan na zachodzie Europy, nadmienić winienem, iż nie spełnia bynajmniej

[1]) Geschichte der Aufhebung der Leibeigenschaft und Hörigkeit in Europa. str. 95.

[2]) Tourmagne: Histoire du servage ancien et moderne, str. 230, twierdzi, iż w XVII wieku to prawo we Francyi istniało.

tego zadania, jakie spełnić był powinien. Studya ekonomiczne i prawne autora okazały się zbyt słabemi, aby zdołały do chaosu wieków średnich wnieść przynajmniej tę jasność pojęć i precyzyę przedstawienia, jakiemi się odznaczały prace niemieckie i francuskie. Dlatego też tę część pracy p. Przyborowskiego uważam za zupełnie chybioną.

Wykład historyi włościan w Polsce rozpoczyna autor od opola, którem się obszernie zajmuje. I tu uczynić winienem zarzut, że system przyjęty przez p. Przyborowskiego, wielce utrudnia dokładne i ścisłe zapoznanie się z przedmiotem. Autor nie kreśli bowiem charakteru epoki i instytucyj przez nią wytworzonych w zupełnem wykończeniu, ale z jednem opolem przebiega szybko kilka wieków (od XII w, do 1826 r.) nie bacząc na to, iż odmienna organizacya państwowa musiała także i na zmianę doniosłości opola wpłynąć. Taki wykład jednakże wywołuje liczne niedokładności a w następstwie wytworzyć musi częste powtarzania, których i autor nie uniknął w toku pracy.

Co się tyczy samego opola, jako instytucyi społeczno-prawnej, to ono nie usuwa czytelnikowi znacznych wątpliwości. I tak np. kiedy opole w wieku XII było podstawą organizacyi społecznej, (str. 10) nie wiadomo czem było wówczas w istocie. Autor raz opole nazywa gminą, nie wykazując bynajmniej, jaki zakres samorządu tej gminie przysłużał, później znowu opole miało być właścicielem ziemi i względem panującego było obowiązane do pełnienia różnych powinności. W innem miejscu (str. 28) jeszcze raz czytelnik się dowiaduje, iż opole było jednostką administracyjną i sądową, ale zakresu władzy publicznej, któraby w XII wieku opolom przysługiwała, nie znajdujemy zupełnie. Dopiero gdy już opola upadły jako organizacya powszechna, p. Przyborowski kilka wieków później, w organizacyi kurpiów i osad bartniczych, widzi wskrzeszoną starosłowiańską organizacyę a w urzędach obecnych, oraz samorządzie gminnym tych osad, dostrzega podstawy dawnego opola.

Nie wiem, z jakich źródeł czerpał p. Przyborowski swój pogląd, gdyż system cytowania przyjęty przezeń utrudnia wszelką kontrolę, w każdym razie jednak razi w autorze brak wszelkiej ścisłości w definiowaniu, a przytem są jeszcze inne względy, które

zdaniu jego odejmują grunt naukowy. Romuald Hube, którego wytwornej ścisłości i gruntowności naukowej, nikt zdaje się w wątpliwość podawać nie będzie, w dziele swem prawdziwie wzorowem p. t.: „Prawo polskie w XIII wieku“, nic nie wspomina o opolu, jako organie samorządu. Za to jednak w pięknej pracy Smolki p. t.: „Mieszko stary i jego wiek“ [1]) znajdujemy rozdział o opolu, tylko że niestety zupełnie co innego przedstawia aniżeli p. Przyborowski. Opole podług prof. Smolki nie zawierało najniższej nawet organizacyi na samorządzie opartej i w niczem nie przypominało gminy. Tak samo Dunin w pracy swej o dawnem prawie mazowieckiem [2]) twierdzi, iż spotkał się w zapiskach sądowych z nazwą zbiorową mieszkańców wsi jako to: osada, opole, vicinia, parochia, lecz nigdy nie występują one w znaczeniu osoby prawnej, a tem bardziej organu samorządu, a jedynie w charakterze prostego zebrania ludzi, najczęściej przy dowodzeniu granic, lub wyjaśnieniu innych spornych kwestyj w sprawach gruntowych.

Z tego wynika, iż wszelkie przypuszczenia p. Przyborowskiego o owem przechowaniu się opola w organizacyi kurpiów i prawie bartników są zupełnie illuzyjnemi, albowiem opole nigdy gminą nie było, jedynie związkiem sąsiedzkim, gospodarczym, na wzór szwajcarskiej Allmendy, a niezależnie od opola, istniały w owych czasach, jak dowodzi Dunin [3]) osobne gminy złożone z bartników, którzy się rządzili prawem bartnem i mieli sądy oraz starostów bartnych.

Niekiedy p. Przyborowski daje się opanować jakiemuś poglądowi i uważa go za niewzruszalny, pomimo, iż dowodów na uzasadnienie swego twierdzenia przytoczyć nie jest w stanie. Tak np. uporczywie w ciągu całej pracy powtarza autor zdanie (str. 41 i inne), iż chłop polski nigdy nie był właścicielem ziemi, ale zawsze tylko jej dzierżawcą. Zdawałoby się, iż fakt to niewzruszalny jak piotrowa opoka, gdy tymczasem ów węzeł rozcięty mieczem przez p. Przyborowskiego, daje dotąd do myślenia krakowskiej akademii

[1]) Patrz str. 129 i dalsze.
[2]) Patrz str. 65.
[3]) Patrz str. 65.

i w tej chwili nad tem pytaniem ścierają się zdania największych powag naukowych.

Zadaniem szkiców zarówno jak i systematycznej historyi jest podawanie rzeczy wątpliwych za pewne tylko wtedy, gdy się ma odpowiednie dowody w ręku. Dowodów tych p. Przyborowski nie przytoczył, a są pewne dane, które zdaniu jego odejmują powagę niewzruszalności. Tak np. Smolka [1]) mówiąc o dziedzicach małego gruntu, władykach, i wogóle o ludności swobodnej, skłania się więcej ku temu, iż nie było zasadniczej przeszkody, któraby nie dozwalała włościanom być właścicielami źrebia. Hube twierdzi [2]), że ludność wiejska nieswobodna była w źródłach nazywaną „heredes“ a ziemie ich nazywano „hereditas“. „Niema więc wątpliwości (słowa Hubego), iż prawo które posiadał nieswobodny do działu swego, tworzyło do pewnego stopnia rodzaj nietykalnej własności, której bronić mógł nawet przeciwko panu, któremu włość była nadaną przez księcia“. Dalej Hube w dziele swem p. t.: „Prawo polskie w XIV wieku“ [3]) twierdzi, iż „właścicielem dóbr nieruchomych, jak widać z różnych wzmianek statutu wiślickiego są przedewszystkiem szlachta i t. d., w końcu zaś sołtysi i kmiecie“. Dopiero o kmieciach osiadłych w dobrach szlachty i duchowieństwa powiada Hube, iż mieli jedyne prawo użytkowania. W ciekawym artykule p. Kętrzyńskiego p. t.: „O pierwotnym ustroju społecznym w Polsce“ [4]), którego jako późniejszego p. Przyborowski nie mógł spożytkować do swej pracy, czytamy, iż w XIII wieku w ziemi chełmińskiej mieli chłopi własność tak jak panowie i siedzieli jak oni na swych gruntach dziedzicznych [5]).

Kończę na powyższych wskazówkach, gdyż zdaje mi się, że one będą dostatecznemi do wykazania, że teorya wyznawana przez p. Przyborowskiego i wielokrotnie powtarzana w jego pracy, nie czerpie siły dowodowej w bezpośrednich źródłach krajowych, ani

[1]) Mieszko stary i jego wiek str. 61.
[2]) Prawo polskie w XIII wieku str. 44.
[3]) Biblioteka umiejętności prawnych za rok 1881, zeszyt 59, str. 123.
[4]) Ateneum 1881. Czerwiec, str. 470.
[5]) Za przypuszczeniem p. Przyborowskiego przemawia tylko p. Dunin w dawnem prawie mazowieckiem.

w umiejętnem porównywaniu różnych prawodawstw. Gdyby autor był zechciał starannie przestudyować historyę włościan w Europie, może przynajmniej przez pewną analogię przyszedłby do odmiennych przekonań o własności kmieciej w Polsce i nie wtłaczał jej gwałtownie w jakieś starosłowiańskie urządzenie. Pokazałoby się bowiem wówczas, iż system feodalny, nadający funkcyom publicznym charakter praw prywatnych, osłabił do tego stopnia organizm państwowy, iż ten nie był w stanie zapewnić małej własności dostatecznej opieki prawa i dlatego też, znikać ona musiała coraz bardziej pod interesowną i pochłaniającą protekcyę możnowładztwa.

Z powyższych względów mała własność kmiecia stawała się wszędzie rzadkością, ale jednak mimo to odnaleźć ją było można w niektórych stronach [1]) i nieuzasadnionem byłoby zdanie twierdzące, iż włościanie na Zachodzie nie mieli nigdy własności ziemskiej. Tak samo mogło być i w Polsce, ale zamiast rozjaśnić kwestyę logiczną interpretacyą źródeł, lub też teoryą zaczerpniętą z porównywania prawodawstw, p. Przyborowski obrał drogę krótszą i wygodniejszą, t. j. rozstrzygnął absolutnie, a ustęp to nie jedyny, w którym zdradza autokratyczne zachcianki.

Dalej charakteryzując statut wiślicki, autor stara się zabłysnąć oryginalną krytyką, i cisnąć rękawicę innym uczonym w słowach: „statut wiślicki zatem tak wychwalany przez niektórych naszych pisarzy, był ulegalizowanym zamachem na wolność osobistą kmieci“ (str. 38) a w innem miejscu „statut wiślicki żywo bardzo zajął się kmieciem przeważnie atoli na jego niekorzyść“. Zdania powyższe zadziwić mogą wprawdzie, ale nie przekonają. Nasamprzód jeśli statut wiślicki był legalnym zamachem na wolność kmiecia, to musiał wprowadzić do prawa polskiego nowy element niszczący ową swobodę; tymczasem Hube należący do „niektórych pisarzy wychwalających statut“ a co więcej do dowodzących z nieprzepartą logiką swych twierdzeń, powiadamia nas [2]), że oba sta-

[1]) Vuitry: Etudes sur le regime financier de la France avant le revolution de 1789, str. 110 i dalsze.

[2]) Bibl. um pr., r. 1881, zeszyt 61, str. 223.

tuta (wiślicki i wielkopolski) nie były niczem innem, jak sformułowaniem, oczyszczeniem a niekiedy dalszem rozwinięciem zwyczaju ziemskiego. Pod tym względem statutom możnaby przyznać słusznie restauracyę prawa ziemskiego. Jak zaś statut wiślicki rozwijał dawne prawo ziemskie odnoszące się do włościan, to informuje nas Hube [1]) w słowach, iż „przeważnie zajmuje się rozciągnięciem opieki prawnej nad stanem włościan i gdzie można było, wyrównaniem pozycyi społecznej ze stanowiskiem klas wyższych“. Ale nietylko gruntowny i uczony jurysta Hube, zasłużony dziejopis Stadnicki [2]) oddali należyte pochwały statutowi wiślickiemu za gorliwą opiekę nad włościanami, która uchroniła ich od nadużyć już sankcyonowanych prawem ziemskiem, ale i ekonomista Stawiski [3]) znajduje dla statutu wiślickiego należyte pochwały i nigdzie zamachu na wolność dopatrzyć się nie może.

W innem miejscu (str. 96) znajdujemy oryginalne wytłómaczenie powodów zamiany łanów kmiecych na folwarczne, jaka od połowy XV wieku zaczyna coraz bardziej wchodzić w użycie. W akcie samowoli dyktowanym przez gruby egoizm, autor widzi „skrzętną zabiegliwość, młodzieńczą energię ówczesnej szlachty, która też zbawiła kraj od ruiny, od głodu i innych klęsk. Ale na mocy jakich danych autor przyszedł do tego przekonania? Oto dziedzic tak robił t. j. włączał łany kmiece do folwarku, bo musiał, jeżeli się nie chciał doczekać zupełnej nędzy. Nędza ta spłynęłaby na niego z emigracyi włościan, którzy tłumnie łany opuszczali, a prócz tego państwu miała grozić ruina skarbowa (str. 85). W końcu autor daje uczuć swe niezadowolenie niepowołanym historykom obcym jak np. Bielajewowi i Goremykinowi za to, iż poważyli się żądać od szlachty wyrozumialszego postępowania.

Do rzędu tych obcych historyków, którzy ośmielili się nie podzielać zdania p. Przyborowskiego, należał również ks. T. Lubomirski [4]), za którego zdaniem i ja poszedłem [5]), gdyż je nietylko

---

[1]) Bibl. um. pr., r. 1881, zeszyt 61, str. 220.
[2]) Przegląd krytyczny rozporządzeń t. zw. statutu wiślickiego.
[3]) Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego, str. 138 i 147.
[4]) Rolnicza ludność w Polsce. Bibl. Warsz. za rok 1857.
[5]) O gminie jej organizacyi i stosunku do państwa. Str. 160.

źródła, lecz cały ustrój prawno państwowy stwierdzały. Stąd wyniknęła owa emigracya chłopska? Owo opuszczanie łanów? Źródłem tego objawu był egoizm szlacheckiego stanu, który się manifestował w usuwaniu się od ciężarów publicznych a zwalaniu na łany kmiece całego brzemienia państwowego. Tym sposobem kmieć zmuszony do składania podatków państwu, do wykonywania licznych powinności panom, nie mógł podołać ogromowi zadania i uciekał się do rozpaczliwego kroku. Przecież sam p. Przyborowski na innem miejscu, kreśląc występowanie możnowładztwa przeciw osadom na prawie niemieckiem, mimowolnie wpadał na trop owego ducha możnowładczej pożądliwości.

Gdy emigracya przybrała większe rozmiary i grunta pustoszały a folwarkom nawet mogło zabraknąć robotnika, szlachta uciekła się do środków zabezpieczających swoją egzystencyę a uciemiężających lud, t. j. do przytwierdzenia do ziemi. Mylnem jest jednak zdanie, że do uratowania kultury potrzeba było jeszcze wcielenia gruntów kmiecych do folwarku. Na to bowiem glebae adscriptio wystarczała w zupełności. Musiał więc być inny powód nieznany p. Przyborowskiemu, który skłaniał szlachtę do podobnego postępowania, i rzeczywiście powód ten istniał. Łany, na których kmiecie osiadali, płaciły na rzecz skarbu podatek łanowy, który za kmieci pan do skarbu wnosić musiał. Grunta folwarczne zaś nie płaciły łanowego. Otóż wcielając grunta łanowe do folwarcznych, szlachcic ubożył skarb Rzeczypospolitej i niszczył do reszty kmiecia, pozbawiając go samodzielnego gospodarstwa, ale podług p. Przyborowskiego dawał dowody młodzieńczej energii i ratował skarb państwa [1]). Rzeczywiście ratował go chyba w ten sposób, że cząstkę jego zachowywał we własnej kieszeni, identyfikując jak Ludwik XIV państwo z własną osobą.

W § VI przedstawia p. Przyborowski literaturę, jaka się u nas za dawnych czasów w kwestyi włościańskiej pojawiła. Dla tych, którzy mieli sposobność obeznać się z pracami w tym kierunku,

[1]) Ciekawe szczegóły co do podatku łanowego znajdują się w cennej pracy prof. Pawińskiego p. t.: „Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego“.

dziwnem się może wydawać, iż nie znajdą najpoważniejszych prawie i najzasłużeńszych imion, oraz, że całe epoki jak np. wiek XVIII ze swoją bogatą literaturą, nie egzystują w tym rozdziale zupełnie [1]). Przytem niektóre zdania autora nie wytrzymują krytyki i tak np. trudno się zgodzić na to „iż pierwszy najważniejszy a zarazem najrozumniejszy głos przeciw ustalającemu się w Rzeczypospolitej porządkowi rzeczy, odnośnie do chłopów podniósł Frycz Modrzewski“, kiedy przedtem uczynił to także wielce poważny Ostroróg. Trudno podzielić zdanie, „że po Modrzewskim nikt godniejszy nie podniesie już pióra w tej kwestyi“, kiedy Leszczyński nie ustępuje Modrzewskiemu w zasłudze a „Głos wolny“ tego króla stoi na równej wysokości z pracami poprzednika i p. Przyborowski jest pierwszym z piszących o włościanach w Polsce, który tego dzieła nie uważał za stosowne zaszczycić choćby jedną wzmianką.

Równie pobieżnie jest przedstawiony projekt Zamoyskiego z r. 1780 (Zbiór praw sądowych) i z książki p. Przyborowskiego (str. 204) nie można powziąść żadnego wyobrażenia o tem pięknem i wzniosłem dziele. Autor przychodzi do niebardzo korzystnego przekonania o projekcie, twierdząc, iż w istocie, nie wielkie przynosił ulgi chłopom, nie znosił przytwierdzenia do ziemi, ani pańszczyzny, a całą zasługą ekskanclerza było to, że dał chłopu możność wydobycia się z zależności od dworu, z poddaństwa.

Musiał p. Przyborowski pobieżnie przeglądać zbiór praw sądowych, (jeśli w ogóle nie poprzestał na jakiem streszczeniu) gdy w nim nie dostrzegł tych wysokich zalet, jakie go bezwarunkowo cechują. Nasamprzód projekt Zamoyskiego zna chłopów wolnych, używających kompletnej opieki prawa, oraz dzierżących własność zupełną (§ 15) i prócz tego zna przytwierdzonych do ziemi (§ 1, 2 i 3). Wczytawszy się jednak w projekt uważniej, widzimy takie ograniczenie przytwierdzenia do ziemi, iż rzeczywiście było ono tylko pozornem ustępstwem dla tłumu szlachty, aby go do reformy nie zniechęcić [2]). Przytoczę tylko jeden przepis w projekcie zamieszczony,

[1]) Później tylko na str. 211 i t. d., wspomina pobieżnie o Staszycu, Kołłątaju i t. d.

[2]) Patrz w mojej pracy: „O gminie jej organizacyi i stosunku do państwa“, str. 170.

który p. Przyborowski pominął, aby wykazać jak dalece przytwierdzonym zapewniona była opieka prawa. Przepis ten brzmi jak następuje: „jeśli kmieć trzymany jest dłużej nad 24 godzin w areszcie przez pana, w takim razie na zaskarżenie uciśnionego lub jego krewnych, sąd grodzki winien zesłać subdelegata, który gdy uzna byt przestępstwa, sąd może dekretem uczynić chłopa wolnym od poddaństwa. Taka troskliwość objawiała się na każdym kroku w niedoszłym prawodawcy i projekt Zamoyskiego podkopywał z gruntu przytwierdzenie do ziemi, pozostawiając prawie samą jego nazwę.

Epoka sejmu czteroletniego a zwłaszcza Księstwa Warszawskiego, odznacza się znaczną niedokładnością. Autor nie uważa nawet za stosowne zatrzymać się nad przepisami prawnymi, uzupełniającymi art 4 konstytucyi z dnia 22 lipca z 1807 r. i zaznacza tylko ogólnikowo, że były rozporządzenia regulujące umowy. Otóż dekreta Księstwa Warszawskiego, dopełniające art. 4 konstytucyi (głównie dekret z 21 grudnia 1807 r.), znajdują się w „Dzienniku Praw“ zamieszczonym przez autora w spisie źródeł, a w nich są daleko dokładniejsze przepisy o nierugowaniu przez pewien czas kmieci i o ułatwieniu im umów specyalnych a dziedzicami — p. Przyborowski nie uważał jednak za stosowno odczytać uważnie rzeczonych dekretów, a dzieło Skarbka, z któregoby się nie jednego ważnego szczegółu dowiedział, postawił zupełnie na uboczu.

Są prócz tego miejsca w pracy p. Przyborowskiego, gdzie pobieżność i niedokładność przybierają cechę zaniedbania w wysokim stopniu. Tak np. na str. 78, mówiąc o rękojemstwie, utrzymuje autor, „iż znaczenie tego wyrazu jest jasnem, było to poręczenie jednego za drugiego. Kmieć biorąc grunt w dzierżawę, stawiał poręczyciela lub poręczycieli solidarnie odpowiedzialnych, że nie odejdzie pierwej, nim czynsz wniesie, nim termin umowy upłynie“. Zdaje się, iż p. Przyborowski poszedł za błędnem zdaniem Lelewela [1]) i nie porównał określenia tego uczonego historyka, ani z bezpośredniemi źródłami prawa, ani z poglądami ks. T. Lubomirskiego a przedewszystkiem Dunina, który tę instytucyę specyalnie mazowiecką badać szczegółowo musiał.

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. T. III, str. 236.

Otóż zarówno ks. Lubomirski jak i Dunin [1]) zgodnie z tekstem prawa twierdzą, iż rękojemstwo polegało na tem, że kmieć pragnący opuścić pana, a nie będący w możności uiścić wszystkiego, czego prawo ziemskie odeń wymagało, powinien był dać za siebie poręczyciela, jednego lub więcej szlachty, że w ciągu pewnego czasu (jeden rok) wszystko co do niego należy wykona. Po za tem poręczeniem uwalniał kmiecia i miał przez jeden rok regres do poręczyciela.

Dalej czytamy na str. 103, iż miasta nasze do XVII wieku kwitnęły dobrobytem, wysyłały posłów na sejm, ale nie zasilane napływem nowej, czysto polskiej ludności, zmarniały, albo stawały się niepolskiemi. W tem miejscu należało p. Przyborowskiemu wyjaśnić, jaki to udział miały w sejmach miasta, i że wysyłanie posłów nie oznaczało bynajmniej, iż są na równi ze szlachtą organami władzy prawodawczej. Udział w sejmie konwokacyjnym, elekcyjnym i koronacyjnym nie przeszkadzał zupełnie temu, iż od r. 1573 byli mieszczanie ab activitate w sferze prawodawczej usunięci, że już na sejmie piotrkowskim w 1539 r. chciano ich z grona obradujących wyrzucić, tylko się temu stanowczo oparł Zygmunt Stary. Słusznie, choć żartobliwie porównał też Sebastyan Petrycy prawo reprezentacyi miast do osła, którego zaproszono na wesele, a któremu potem kazano wodę i drwa nosić.

Dalej na str. 105 czytamy: „Do utrwalenia i rozwoju robocizny u nas, przyczynił się bardzo wiele skarb Rzeczypospolitej ustanawiając w początkach XVI wieku podatek zwany kwartą. Podatek ten obciążał cały kraj podług jednej normy, bez względu na stan przemysłu, handlu, cen zboża i komunikacyi w danej okolicy. Jak wiadomo, podatek ten zasadzał się na tem, że każdy łan miał płacić na rzecz skarbu Rzeczypospolitej oznaczoną kwartę, niby czwartą część czystego dochodu i t. d. i t. d.“ Czytając ten ustęp sprzeciwiający się elementarnym wiadomościom z historyi skarbowości polskiej, przypuszczać należy, iż dostał się do pracy chyba skutkiem roztargnienia autora.

---

[1]) Rolnicza ludność w Polsce. Bibl. Warsz. z r. 1857 i Dawne mazowieckie prawo, str. 63.

Wreszcie na str. 213, mówiąc o odezwie Kościuszki z Połańca w 1794 r., autor dochodzi do następujących wniosków: „Kościuszko popełnił dwa zamachy na dotychczasowy stan rzeczy. Jednym znosił stanowczo przytwierdzenie do roli i nadawał chłopu zupełną swobodę osobistą, drugim zapewniał na własność ziemię na której chłop siedział. Obdarzenie zaś chłopa od razu i bez indemnizacyi własnością, było po prostu gwałtem“. Na czem p. Przyborowski opiera swój oryginalny i dotąd przez nikogo nie wypowiedziany pogląd? Oto na następujących słowach odezwy Połanieckiej: „Nie ma się ważyć żaden właściciel rugować chłopa z roli, na której siedzi, ani też bronić mu odejść z niej i osiąść tam, gdzie się jemu spodoba“. Ale rzecz dziwna! kiedy już wiemy o tem (naturalnie od p. Przyborowskiego), że szlachetny wychowaniec Washintona, popełnił gwałt oczywisty, kiedy już widzimy kmieci uwłaszczonych i swobodnych, czytamy kilka wierszy dalej w tejże samej pracy, że manifest połaniecki nakazuje zmniejszenie danin, powinności i pańszczyzny, że tam gdzie chłopi robili na tydzień sześć dni, obecnie podług odezwy mają robić cztery i t. d.

W tych dwóch ustępach jest kompletna sprzeczność, jest zupełne niezrozumienie treści prawnej manifestu... Gdzie bowiem jest mowa o uwłaszczeniu, t. j. o przyznaniu własności kmieciom, tam nie może być żadnej mowy o daninach, powinnościach, pańszczyznach. Gdzie zaś jest mowa o nich najwyraźniej, tam może być tylko mowa o dzierżawie lub co najwyżej wieczystej dzierżawie. Rzeczywiście też przeczytawszy ów pierwszy ustęp, na mocy którego autor czyni zarzuty gwałtu jednej z najsprawiedliwszych postaci historycznych, nie można się doczytać nigdzie samego owego uwłaszczenia. Jest to tylko uregulowanie stosunków dzierżawnych, gdzie właściciel czynsz i powinności wszelkie może egzekwować prawnymi środkami, tylko rugować kmiecia z posiadanej ziemi nie ma prawa. Przecież takie samo rozporządzenie nierugowania nagłego kmieci spotykamy w dekrecie księcia warszawskiego z 1807 r., a jednak nikt nie twierdził, ażeby ten przepis miał uwłaszczyć włościan.

Na tem kończę szereg poszczególnych zarzutów, wypada mi tylko rzucić pokrótce okiem na całość pracy p. Przyborowskiego. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada niedostateczne przygotowanie

ekonomiczno-prawne, które się przebija w interpretacyi ustaw i w ogólnych refleksyach nad pomnikami prawodawczemi. Autor różnych używa terminów jak np. zupełny samorząd, własność wieczystej dzierżawy, którychby nie był w stanie objaśnić, a opowiadając o starosłowiańskiej swobodzie, jakiej włościanin zażywał w opolu urządzonem komunistycznie, podaje w wątpliwość swoją naukę prawa, która swobodę indywidualną pojmuje tylko na podstawie własności osobistej i bez niej, wie jedynie o stanie sielankowego barbarzyństwa.

Nietylko że owe tło ekonomiczno-prawne jest bardzo nikłe, ale właściwe studya nad historyą włościan niedostateczne. Obce kraje prawie że są pominięte, Polska uwzględniona pobieżnie. Widać też, że źródła bezpośrednie nie były przystępnemi panu Przyborowskiemu a studya systematyczne czytał bardzo pospiesznie i mało się nad niemi zastanawiał.

Są wprawdzie w pracy p. Przyborowskiego ustępy udatniejsze, zdradzające staranność, a do nich zaliczyć winienem te rozdziały, w których autor opisuje usiłowania możnowładców w celu podniesienia ludu wiejskiego w XVIII wieku. Znajdujemy także w autorze chwalebną dążność nieobrzucania błotem własnych dziejów, choć dążność ta czasem niezbyt szczęśliwie stosowaną była. Tok opowieści w niektórych miejscach naturalny i zajmujący a do tego przyczynia się staranne zebranie szczegółów historycznych drugorzędnej natury.

Z tem wszystkiem szkice p. Przyborowskiego noszą na sobie znamiona wielkiego pośpiechu. Autor złożył w nich dowód talentu publicystycznego niewątpliwie, ale nie dotrzymał obietnicy, albowiem nie wydobył ani jednej bryłki czystej prawdy dziejowej a pracy jego z trudnością chyba przyjdzie się dobić znaczenia w sferze nauki.

15.

ADOLF PAWIŃSKI [1]).

Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego.

Z całego obszaru dawnego prawa publicznego polskiego, żadna część nie jest tak zaniedbaną i tak pełną tajni, nierozświeconych nauką, jak gospodarstwo państwowe, czyli inaczej mówiąc, skarbowość w dawnej Rzeczypospolitej. Niedostatek systematycznych prac w tym kierunku tem bardziej zadziwiać może, że przeszłość pozostawiła obfitą spuściznę, że począwszy od XV wieku, spotykamy cały szereg projektów dążących do zrównoważenia ciężarów państwowych, do spotęgowania siły podatkowej wśród uciśnionych warstw społecznych i do wykrycia odpowiednich źródeł dochodu, któreby wzrastającym potrzebom Rzeczypospolitej sprostać zdołały. Istotnie też, począwszy od Ostroroga t. j. od XV wieku, a skończywszy na sejmie czteroletnim, skarbowe sprawy nie opuszczały ani na chwilę gmachu sejmowych obrad i nie przestały zajmować podnioślejszych umysłów, którym dobro publiczne nie było obojętnem.

Ale nietylko dostatek dawniejszych prac i uporczywe szukanie drogi do naprawy skarbu, jakie znajdujemy na każdym kroku dziejów naszych, winno było zachęcić badaczów do opracowania dziejów skarbowości w Polsce; przedewszystkiem doniosłość przedmiotu domagała się naukowego światła, albowiem bez znajomości dokładnej skarbowości, prawo państwowe polskie nie mogło być należycie pojętem, ani gruntownie zbadanem.

---

[1]) Artykuł powyższy wydrukowany został w „Niwie“ w r. 1881.

Wobec tak wielkiego znaczenia spraw skarbowych, zadziwiało dawniej Hofmana[1]) i dziś zadziwiać może ubóstwo systematycznych studyów obejmujących dzieje finansowości polskiej. Jeżeli bowiem chcemy ogólnych wiadomości, w takim razie mniej lub więcej dokładnych szczegółów doszukamy się w podręcznikach Skrzetuskiego, Lengnicha, Bandkiego, Hofmana (listy o rządzie) i Hüppego. Jeżeli jednak zechcemy dokładniej poznać dzieje skarbowych urządzeń, w takim razie kilka jedynie monografij może nam być istotną pomocą.

Przedewszystkiem należy się tutaj wzmianka dawniejszej pracy Hofmana p. t.: „O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce“ (Vademecum Polskie 1839 r.), która zdaje się być jedynem usiłowaniem skreślenia całkowitego dziejowego obrazu polskiej skarbowości. Autor posiadał niewątpliwie niepospolitą wiedzę, oraz przenikliwość umysłu, ale posiłkował się prawie wyłącznie Voluminami legum, oraz kronikami, nie mając pod ręką rachunków podskarbińskich, które w tej sferze badań wielką odegrywają rolę. Dlatego też pracy Hofmana pomimo wielu trafnych i głębokich spostrzeżeń niedostawać będzie tej siły przekonywującej i tej dokładności przedstawienia jakie płyną z poznania gruntownego rzeczywistości. Hofman bowiem znał tylko wybornie konstrukcyę prawną skarbowości, tak jak się ona odcisnęła w Voluminach, a nie zbadał życia i rzeczywistości, jaka się w specyalnych rachunkach przedstawiła. Sam też autor odczuwa niedostatek własnej pracy i po części wynagradza ten brak spostrzeżeniami niezaprzeczalnej wartości. Prócz tego Hofman zrozumiał doskonale, że ocenienie naszych stosunków może nastąpić jedynie na tle porównawczem, ale pomimo głębokiego przeświadczenia, wykonanie jego postępowej myśli pozostawiało dużo do życzenia. Najczęściej nasuwały mu się do porównań stosunki francuskie, które wprawdzie dawniej z polskiemi przedstawiały pewne podobieństwo, ale od XV w. t. j. od chwili, gdy we Francyi zaczęła i w skarbowości panować zasada „quod principi placuit legis habet vigorem“ odmiennymi już zupełnie od polskich szły torami. Bądź co bądź, rozprawa Hofmana posiada znaczną wartość, wiek XVII

[1]) O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce. Str. 95.

ze swą anarchią skarbową przedstawia wybornie i dlatego też niesłusznie dotknięta jest ogólnem zapomnieniem w jakiem dotychczas pozostaje.

Druga praca Zielińskiego p. t.: „Poszukiwania historyczne nad finansami polskiemi w XIV i XV wieku“ (Bibl. Warsz. 1849), zwraca uwagę na ważny moment w dziejach skarbowości, t. j. na przywilej koszycki z 1374 r. Prócz tego autor podaje ciekawe szczegóły i wyjaśnienia odnoszące się do powstawania podatku poradlnego, wykazuje jak wcześnie rycerstwo zwaliło podatek gruntowy na łany kmiece i z jak egoistycznych względów nie pozwalało na pobór i podwyższenie poradlnego ciężaru. Jakkolwiek jednak cennemi są uwagi i spostrzeżenia Zielińskiego, który niewątpliwie należał do najgruntowniejszych i najzdolniejszych pisarzów w swoim zakresie, to jednakże nie sięgają one poza wiek XV a i badaną epokę nie wyczerpują zupełnie, ograniczając się jedynie na podniesieniu kilku ważniejszych momentów.

Trzecia praca księcia T. Lubomirskiego p. t.: „Trzy rozdziały z historyi skarbowości w Polsce“ (Kraków 1868) obejmuje epokę od 1507—1572, czyli peryod, w którym ustanowiono samodzielność i odrębność skarbu a naród oprócz uchwalenia, zyskał prawo kontrolowania wydatków. Studyum powyższe oparte zostało na cennych dokumentach metryki koronnej i litewskiej, na Voluminach legum, aktach grodzkich, rachunkach prywatnych, kronikach — jednem słowem, na najrzadszych źródłach publiczno-prywatnych, przynosząc nam dużo obserwacyj z najważniejszego okresu skarbowości t. j. z czasów, gdy współudział sejmu w gospodarstwie państwa przybrał typową formę, a wszelkie pokuszenia monarchy na samowolne nakładanie podatków zagrożone były strzałami skrytobójcy. Praca księcia Lubomirskiego posiada niewątpliwie wielką doniosłość naukową, odkrywa bowiem przed nami drogocenny materyał zdobny w niejedną głęboką uwagę. Z tem wszystkiem jednak systematyczny układ pracy nie jest zupełnie zadawalniający, prócz tego spotykać się dają niekiedy refleksye ogólno politycznej natury nie licujące z badanym przedmiotem, a w ogólności zasłużony autor nie odróżnia samorządu skarbowego opartego na pojęciach prawa pry-

watnego, od samorządu skarbowego konstytucyjnego, opartego na prawie państwowem.

Istnieją jeszcze dwie rozprawy z dziedziny skarbowości: Rosmanna: „Rys historyczny budżetu w Polsce“ (Ekonomista 1865 r.) i Larischa: „O podskarbich wielkich, ich obowiązkach i podwładnych aż do roku 1764“ (Bibl. Warsz. 1845 r.), które pominę milczeniem dlatego, iż sam prof. Pawiński poświęca im pokrótce uwagę a po części i z tego względu, iż pierwszą z nich zajmowałem się już na innem miejscu i jeszcze w toku powyższej pracy przyjdzie mi powołać się na pojęcia w niej zawarte.

Rzuciwszy pobieżnie okiem na prace poprzedników, przechodzę do dzieła prof. Pawińskiego. Słowa autora zamieszczone we wstępie objaśnią nas najlepiej, czego się po jego pracy spodziewać możemy i co skłoniło piszącego do podjęcia niniejszych studyów. Los, jak twierdzi prof. Pawiński, obszedł się łaskawiej ze spuścizną pozostałą po jedenastoletnich rządach Batorego, jak gdyby uszanowawszy pamięć wielkiego króla, chciał zachować dla potomności ślady tej ręki porządkującej, która w tak niedługim czasie tyle ładu była w stanie zaprowadzić i w zakresie spraw skarbowych. Na wszystkie też stosunki zarządu skarbowego za czasów Stefana spływa obfite światło; skarb nadworny, skarb pospolity, dochody i wydatki, stają przed nami w nieskażonej postaci jak czysta prawda historyczna. Podskarbińskie rejestra uczą nas wszystkich szczegółów zarządu, wskazują nam co się działo w podziemiach, kopalniach soli, co we własnej skrzyni królewskiej; one nas objaśniają ile każda ziemia, każde województwo złożyło podatku łanowego, co kmieć zapłacił na obronę Rzeczypospolitej szlacheckiej, ile miasta dały od swego przemysłu na rzecz dobra ogólnego; one nam dokładniej nad słowa współczesnych mówią, jaką siłę żywotną posiadał naród, skąd ją czerpał, jak soki odżywcze krążyły po całem ciele Rzeczypospolitej.

Z przytoczonych słów przekonywamy się, iż prof. Pawiński odszukał dotąd niespożytkowane materyały Archiwum Koronnego i że studya swoje oparł na dokumentach autentycznych, nadających pracy jego cechę wysokiej wiarogodności. Prócz tego autor nie ograniczył się bynajmniej na panowaniu Stefana Batorego. Tam

bowiem, gdzie trzeba było rozjaśnić lub uwydatnić rozwój gospodarstwa państwowego za czasów Batorego, cofał się do panowania poprzedników i odnośnie do wcześniejszej epoki wzbogacił pracę swoją niejednem cennem spostrzeżeniem. Przejrzawszy choć pobieżnie spisy rozdziałów w dziele prof. Pawińskiego, przekona się czytelnik o tem, z jak pełnem zbadaniem stosunków skarbowych przystąpił autor do pracy. Uczucie zaciekawienia wzrasta jednak niesłychanie, jeśli się zapoznamy bliżej z bogactwem treści i dlatego też wobec obfitego materyału, odzwierciedlającego wybornie i na podstawie autentycznych dokumentów, wybitną epokę skarbowości w Polsce, wypadnie mi rolę krytyka, zamienić w znacznej części na stanowisko sprawozdawcy. Nic bowiem więcej nie może polecić dzieła prof. Pawińskiego nad przytoczenie w odpowiedniem streszczeniu, rezultatu jego poszukiwań. Wszelkie historyozoficzne uwagi i polityczno-skarbowe refleksye są już drugorzędną, a stosunkowo daleko łatwiejszą sprawą wobec tak wyświetlonych i gruntownie przedstawionych faktycznych stosunków. Mniemam się też być upoważnionym do zajęcia uwagi czytelnika treścią niniejszego dzieła, zwłaszcza, iż jak to każdy w końcu z łatwością dostrzeże, praca prof. Pawińskiego, jest jedyną monografią polską, przedstawiającą tak dokładnie i szczegółowo obraz dawnych stosunków skarbowych Rzeczypospolitej w pewnym okresie czasu.

Pierwszy rozdział poświęcił autor dochodom skarbowym, a w nim pierwsze miejsce zajmują dochody skarbu nadwornego, gdyż do najpierwszych potrzeb powstałych wraz z zawiązkami państwa należało opatrzenie dworu książęcego. Na opatrzenie zaś tych potrzeb przeznaczonemi były: 1) dobra ziemskie królewskie: 2) żupy solne; 3) cła i myta; 4) niektóre podatki jak podwodne, stacyjne, koronacyjne; 5) dochód mennicy i olbora olkuska; 6) funtcol gdański, elbląski i rygski.

1. Dobra ziemskie, które niekiedy w XVI wieku nazywano imionami królewskiemi, albo po prostu stołem królewskim, stanowiły dawniej i za Stefana Batorego najobfitsze źródło dochodów królewskich. Był to w istocie nieprzejrzany ogrom majętności rozrzuconych po całym obszarze Rzeczypospolitej. W rozmaity sposób korzystano z tego bogactwa. Niektóre dobra jak np. starostwa gro-

dowe służyły do opatrzenia dostojników koronnych, inne znów były oddane w zakład za pożyczone Rzeczypospolitej pieniądze, tylko dzierżawy, albo do wiernych rąk oddawane majętności zapewniały skarbowi większe lub mniejsze pożytki. Dobra zastawne należały do tego rzędu imion królewskich, z których ani skarb nadworny, ani Rzeczpospolita żadnego nie ciągnęły pożytku. Służyły one jedynie jako wynagrodzenie za pożyczone pod zastaw pieniądze tak, iż wierzyciele wszelkie z nich wybierali pożytki na rzecz swoją wyłączną. Rozróżniano przytem dobra zastawne obciążone staremi sumami w ilości 675.325 złp. i dobra obciążone nowemi sumami, jakie składały pożyczkę 500.000 złp., którą Zygmunt August w roku 1565 za zezwoleniem sejmu zaciągnął. Stefan Batory starych sum nie zdołał spłacić i jedynie uszczuplił je wykonywując ściśle ustawę z 1566 roku, upoważniającą do potrącania na rzecz skarbu, czwartej części, przy każdem przejściu do innych rąk dożywocia. Z nowych sum jednak zostało do zapłacenia po śmierci Batorego jedynie 240.478 złp. Prócz tego po zgonie Zygmunta Augusta, kiedy trzeba było zapłacić zaległy żołd żołnierzom na Podolu, zastawiono dobra królewskie za sumę 210.723 zł. Z tej sumy spłacono kwartę w 1573 roku 117.000 zł., Stefan Batory zapłacił 44.950 zł., a pozostało do zapłacenia 39.772 zł.

Wogóle zauważyć należy, iż za rządów Stefana Batorego, żadne zgoła dobra nie odeszły pod zastaw od skarbu, żadnych nowych sum nie zapisano na imionach królewskich, owszem pewną część zastawionych przywrócono i uwolniono dobra od sumy z górą 150.000 zł. Znaczna część dóbr królewskich, bo wynosząca rocznego szacunku 168.565 zł., była w posiadaniu gołych dożywotników, którzy od 1563 r. jedynie na obronę potoczną czwartą część dochodów płacili. Co król Stefan pod tym względem zastał, to prawie w tymże samym kształcie przekazał swojemu następcy. Nie sprzyjała bowiem Batoremu pora do reform, których wymagało rządne gospodarstwo. Z pod murów Gdańska, Płocka, Wielkich Łuk, Pskowa, wracali dzielni żołnierze, godni ze wszech miar łaski królewskiej i których opatrzeć należało gołemi dożywociami. Część znaczną dóbr królewskich oddawano w dzierżawę czyli arendę. Z ogólnego rocznego szacunku wynoszącego 275.000 zł., skarb po-

bierał tylko pewną część stosownie do umów z dzierżawcami. Kwarta szła na obronę potoczną do Rawy, z pozostałej sumy zawsze pewna część odpaść musiała na tak zwane „wychowanie starostów i dzierżawiec“. Za Zygmunta Augusta trzymano się następującej repartycyi: kwarta wynosiła 0·20%, starostowie otrzymywali 0·20% a skarb nadworny 0·60%, ale zdaje się, iż stosunek ten nie długo się utrzymał, gdyż jeszcze za Zygmunta Augusta starostowie otrzymywali 0·58%, skarb nadworny zaś 0·28% a za Henryka Walezego stosunek ten jeszcze się pogorszył. O ile wnioskować można z rachunków przedstawionych przez prof. Pawińskiego, skarb nadworny nie otrzymał więcej nad 20% i za Stefana Batorego, a monarcha ten nie był w stanie zreformować położenia z powodu, iż dzierżawy tenuty i t. p. nie były uważane wyłącznie jako przedmioty gospodarstwa skarbowego, ale służyły do wynagrodzenia zasług senatorów, do czego właśnie za jego rządów zdarzała się większa niż zwykle sposobność. Mała cząstka dóbr królewskich była oddawaną administratorom „ad fideles manus“. Dochód z nich wynosił 50.787 zł. Roczny zaś dochód, jaki przedstawiały wszelkie dobra ziemskie za Henryka Walezego i Batorego, przewyższał cyfrę 1 miliona. Czysty zaś dochód, jaki stąd płynął do skarbu nadwornego wraz z kwartą, przenosił nieco sumę 200.000 zł.

2. Drugie ważne źródło skarbu nadwornego stanowiły żupy solne i tym „skarbem Bożym nieprzebranym“ opiekował się Stefan Batory ze starannością, rzec można, dobrego ojca rodziny. Dzięki jego zabiegliwości, dochody z soli doszły pod jego rządami do wysokiego, przedtem nieznanego stopnia rozwoju, a przytem nie żałował na nakłady zabezpieczające eksploatacyę i na wynalazki, które miały zmniejszyć jej koszta. Dochód z soli przynosiły kopalnie w Wieliczce i Bochni, warzelnie na Rusi i komory ułatwiające sprzedaż soli. Główne miejsce jednak zajmowały żupy krakowskie, z których średni dochód od 1556–1560 r. wynosił rocznie 33.000 złotych. W roku 1576 t. j. wówczas, gdy Stefan Batory przybył do Polski, żupy przynosiły około 24.000 zł. bez kwarty, po latach dziesięciu zaś dawały skarbowi także bez kwarty 66 000 zł. Sól kopalna, bałwanowa, centnarka stanowiły najgłówniejszy przedmiot wywozu żup krakowskich. Największe zaś warzelnie były na Rusi

w ziemi sanockiej i przemyskiej. Na początku panowania Batorego przynosiły one skarbowi nadwornemu po potrąceniu kwarty, 14.000 zł., a przy końcu rządów dochód z nich się powiększył o 15%. Prócz tego zawiązywały się spółki w celu zbudowania wielkich warzelni jak np. w Toruniu i Bydgoszczy i te miały warzyć sól z materyału t. j. okruchów, czyli tak zwanego „rumu“ mało przyniosły dochodu. Druga spółka założona przez Firleja z Dąbrowicy wybrała w przeciągu 5 lat 15.751 beczek rumu, za które skarb otrzymał 5.985 zł. Istniały przytem warzelnie prywatne, ale trudno o nich powziąć dokładną wiadomość. Ażeby nie przedłużać sprawozdawczej części, wybrałem z dokładnego oraz interesującego obrazu gospodarstwa salinowego, jedynie najważniejsze cyfry. Dodać jednak winienem, iż prof. Pawiński przedstawił rozwój dziesięcioletni żup i warzelni z całą możliwą ścisłością. Przytem z pracy jego możemy powziąć wyobrażenie, jak ważnym produktem była dla ówczesnego społeczeństwa sól, jak handel zamorską solą starał się konkurować z miejscową o lepsze i nareszcie jakie usiłowanie podejmował Stefan Batory, aby w ten cenny i nieodzowny dar Boży zaopatrzyć wszystkie dzielnice swej monarchii.

3. Trzeciem źródłem skarbu nadwornego były cła i myta koronne. Zarząd ich nie został zcentralizowanym, lecz Wielkopolska i Małopolska miały swą administracyę odrębną. Oddzielną całość tworzyły ziemie objęte nazwą Podlasia, Wołynia oraz Kijowa, a jako czwarta gałąź zarządu ceł, cło wodne we Włocławku na Wiśle przytoczyć należy. Cła wielkopolskie i małopolskie przynosiło skarbowi rocznie 51.000 zł. t. j. o 6000 zł. więcej, niż na początku panowania Stefana. Cło ruskie przynosiło w końcu rządów 14.000 zł. czyli o 4.200 zł. więcej niż na początku. Cło podlaskie przynosiło 8.000 zł. t. j. o 1.250 zł. więcej niż na początku rządów. Cło zaś włocławskie w przeciągu pięciu lat przyniosło 10.344 zł., lecz dochód ten skutkiem wojny z Gdańskiem nie był regularnym.

4. Czwartem źródłem skarbu nadwornego były niektóre podatki jak np. podwodne wybierane z miast królewskich w zamian za uiszczane dawniej podwody. Dochód z podwodnego wynosił około 2.500 zł. rocznie. Dalej idzie stacyjne jako ślad dawnego podatku składanego w naturze na rzecz dworu królewskiego, przynosiło

3.000 zł. rocznie i nakoniec koronacyjne t. j. opłata z miast ściągana tytułem koronacyi przyniosła za Stefana 9 902 zł. za trzy koronacye, czyli w przecięciu po 3.300 zł. za jednę.

5. Ostatniem nareszcie źródłem dochodu skarbu nadwornego były: olbora olkuska, dochód menniczy i funtcol elbląski, gdański i ryski. W Olkuszu wydobywano z rudy ołowianej srebro, które szło do mennicy skarbowej urządzonej w temże mieście. Skarb bezpośrednio nie przyjmował udziału w szukaniu i wykonywaniu rudy, trudnili się tem prywatni przedsiębiorcy, gwarkowie, miejscowi mieszkańcy Olkusza. Skarb pobierał tylko dochód od produkcyi, który się nazywał olborą. Według określenia rewizorów z r. 1569, „każdy gwarek, który w górze kopa, winien dać JKMości olborę, t. j. dziesiątą nieckę kruszcu“. Prócz tego miał skarb zapewniony od każdej niecki grosz jeden, co zwano nieckowem. Komora ołowiana olkuska przynosiła za Batorego przeciętnie po 4.000 zł. rocznie, gdy za Zygmunta Augusta dochód powyższy, nie przechodził cyfry 1.400 zł. a więc i na tem polu gospodarstwa widnieje niezaprzeczony postęp.

Kiedy Stefan Batory przybył do Polski, wyschło niemal zupełnie źródło dochodów z mennicy, gdyż ani podczas bezkrólewia, ani za Henryka Walezego nie miała Rzeczpospolita swej własnej mennicy, istniały zaś tylko prywatne, osób uprzywilejowanych w Gdańsku i Toruniu, które pewną opłatę do skarbu nadwornego wnosiły. Dopiero w r. 1578 Stefan Batory założył mennicę skarbową dla zaopatrzenia Rzeczypospolitej w rzetelną monetę obiegową. Mimo to jednak potwierdził przywilej dawniejszy braciom Gobelliuszom myncarzom z Gdańska, z mocy którego, mogli bić według wskazanej stopy i pod umówionymi warunkami monetę krajową. Nie ulega też wątpliwości, iż za Stefana Batorego skarb ciągnął korzyści z prywatnych mennic, jak niemniej i ze swojej własnej, której siedlisko było w Olkuszu. Dochód ten począwszy od r. 1580 mógł przeciętnie wynosić około 4.000 zł.

Funtcol gdański, elbląski i ryski t. j. cła portowe, były to źrodła, które się bardzo późno, bo niemal na schyłku rządów Batorego otworzyły, przez niedługi czas skarb nadworny tego króla zasilając. Istnieją tylko pojedyncze cyfry wykazujące, iż np. Gdańsk

złożył w r. 1586, 30.000 zł. funtcolu, Elbląg w tymże roku zapłacił 8.000 zł., a Ryga od 1852 r. płaciła 20.000 zł. Wogóle biorąc przeciętny dochód skarbu nadwornego za Stefana Batorego wynosił 180.000 zł., gdy za Zygmunta Augusta spadł już do cyfry 106.203 złotych.

Przedstawiwszy dokładnie i jasno dochody skarbu nadwornego, w rozdziale drugim wykazuje autor dochody skarbu pospolitego. Skarb pospolity składał się: 1) ze skarbu rawskiego, do którego płynęła kwarta i annaty na obronę potoczną i 2) ze skarbu koronnego, którego płynęły pobory sejmowe uchwalone w razie, jeśli kwarta potrzebom obrony zadość uczynić nie była w stanie.

Kwarta wpływająca do skarbu rawskiego istniała od 1562 r., a składała się istotnie z piątej części wszystkich dochodów totius corporis regni ku stołu naszemu (Zygmunta Augusta) należących. Kwartę płacili wszyscy, co posiadali dożywocia gołe, dzierżawy czasowe lub dożywotnie, celnicy i żupnicy, którzy dzierżawili cła i żupy koronne, wreszcie wszyscy administratorowie, którym do wiernych rąk dobra stołu królewskiego oddawano. Z kwarty było najwięcej dochodu w r. 1579, bo 130.000 zł. a najmniej w r. 1575 bo 82.400 zł. Wreszcie annaty, czyli opłaty za otrzymane beneficia duchowne, nie dochodziły skarbu rawskiego i tylko przypadkowo, jeśli który dygnitarz duchowny wniósł do skarbu przypadającą nań kwotę.

Dochody skarbu koronnego składały się z podatków sejmowych, oraz wpływów nadzwyczajnych. Podatki sejmowe były różnorodne, stanowiły je: pobór łanowy, szos, łanowe miejskie, podatek od rękodzieł, przemysłu i handlu, czwarty grosz celny, podatek od towarów przywożonych, od dochodu z pieniędzy wypożyczonych, od zboża i towarów leśnych, czopowe, wreszcie pogłówne żydowskie.

1. Nasamprzód przedstawia nam prof. Pawiński dochód z poboru łanowego wiejskiego, przyczem rozjaśnia wybornie znaczenie tego podatku. Pokazuje się, iż pod mianem poboru łanowego kryje się nietylko sam podatek gruntowy, ale w pewnej mierze, choć nieznaczny podatek od innych zajęć wiejskiej, rolnej ludności. Zasadę opodatkowania stanowiła włóka kmieca, folwarczne bowiem grunta wolne były od wszelkiego poboru. Płacili pobór wszyscy kmiecie,

zarówno we wsiach królewskich jak szlacheckich i duchownych. Podobnież podlegali tejże opłacie z włóki: sołtysi, wójtowie i tywunowie. Gdzie w dobrach królewskich lub duchownych sołtysa skupiono, tam dawano pobór od sołtystwa w tej samej mierze jak z roli kmiecej. Opłata wynosiła po 30 groszy z łanu, mniejszą opłatę uiszczała szlachta, która kmieci czyli poddanych nie miała; szlachta zagonowa, czyli zagrodowa płaciła tylko po 15 groszy z łanu a z włók pustych i paśnych płacono po 10 groszy czyli po $^1/_3$ tego co z włók uprawnych.

Podlegała poborom i ta ludność rolna, która na gruntach rolnych siedząc, znaną była pod mianem zagrodników i komorników. Zagrodnicy, którzy na ogrodach siedzieli a z wymłocka żyli, winni byli płacić po groszy 4. Zagrodnicy ku zagrodom role mający, płacili po groszy 6. Zagrodnicy zaś, którzy domki mają i ogrody a na czynszu bez roboty są, po groszy 12. Ogólny dochód z poboru łanowego wynosił w roku 1578 ze wszystkich ziem i województw korony 151.931 zł.

2. Szos pobierany był z szacunku samych nieruchomości miejskich t. j. domostw i zabudowań. Za rządów Stefana Batorego płaciły miasta szos podwójny zwany dwój albo duplą. Dochód z tego źródła wynosił 25.162 zł. i tę cyfrę można uważać w przybliżeniu za przeciętną.

3. Łanowe miejskie płacili mieszczanie i przedmieszczanie, sołtysi i wójci, którzy jakiekolwiek role mają i tak samo po 30 groszy z łanu. Dochód z tego źródła wynosił 6.500 do 6.800 zł.

4. Podatek od rękodzieł, przemysłu i handlu, dotykał rzemieślników zarówno jak i przekupniów, kupców, wyrobników a nawet ludzi luźnych czyli hultajów. Wogóle wszystkie rzemiosła bez wyjątku podlegały podatkom, nie byli wolni nawet ci, co domy mając szos płacili. Dochód z tego źródła wynosił najwyżej 15.000 zł.

5. Czwarty grosz celny pobierano od wszelkich towarów z Polski wywożonych. Nazwa jego „czwarty grosz“ stąd pochodzi, że do każdych trzech groszy opłaconego na komorze celnej podatku, jeszcze i czwarty trzeba było dodawać w roku poborowym. Ściągał się ten podatek nietylko do towarów, ale i do wołów wypędzanych za granicę, od których pobierano po 10 groszy. Dochód roczny wy-

nosił około 17.448 zł. Od towarów przewozowych a szczególniej ryb i śledzi była opłata od beczki, lecz nie wykazano wiele ona przynosiła skarbowi.

6. Podatek od dochodu z pieniędzy wypożyczanych, jaki szlachta od kapitałów wypożyczonych płaciła, przynosił skarbowi bardzo mało i tak np. w r. 1578 z tego tytułu wpłynęło do skarbu z województwa łęczyckiego zł. 4.

7. Podatek wodny od zboża i towarów leśnych, inaczej zwany poborem nogatowym, ustanowiony był dopiero za Stefana Batorego w 1578 r. Niezależnie od cła winni byli kupcy opłacać po groszy 30 od każdego łasztu zboża, pszenicy, żyta, jęczmienia, spławianego do Gdańska lub Elbląga. Wyjątek stanowiło zboże szlacheckie, nie przekupne, które sam szlachcic przez swego sługę do miast portowych spławiał. Dochód z tego podatku wzrósł do 32.000 złotych rocznie.

8. Czopowe stanowiło jedno z najważniejszych źródeł dochodów skarbowych. Przewyższało ono wszystkie inne podatki miejskie razem wzięte a równało się niemal temu co wpływało z łanowego w całej koronie. Przez czopowe czyli akcyzę rozumiano podatek nietylko od wyrobu ale i od szynkowania piwa i wina różnych gatunków, które z zagranicy sprowadzano. Dochód z czopowego w r. 1581 dosięgnął wysokości 211.984 zł., a zresztą zawsze czynił dla skarbu koronnego poważną pozycyę.

9. Pogłówne żydowskie płaciła ludność żydowska po złotemu od każdej głowy. W r. 1578 dochód z tego tytułu wynosił 10 018 zł.

Osobno przedstawia prof. Pawiński pobory z województw pruskich, które dążyły do zachowania dawnej, prowincyonalnej niezawisłości. Przebieg tych nieporozumień i targów z koroną niezmiernie jest pouczający, ale niestety musimy go pominąć ograniczając się na przytoczeniu samych cyfr. Łanowy pobór płaciły pruskie województwa tylko po 20 groszy z łanu, co wynosiło rocznie 42.155 złotych 16 groszy. Prócz tego przez lat kilka większe miasta (Gdańsk, Toruń, Elbląg) płaciły 75.000 zł. akcyzy. Ogólny zatem dochód wynosił 117.155, czyli $^1/_4$ dochodu jaki wpływał do skarbu z całej korony.

Do dochodów nadzwyczajnych należała donatywa duchownych, opłacana przez biskupów i opatów, po 3 grosze od 1 zł. dochodu. Dochód z tego źródła wynosił 33.000 zł., ale za rządów Stefana Batorego duchowieństwo złożyło tylko dwa razy donatywę.

Tytułem zwierzchności nad księstwami lennemi wpływały rzadko do skarbu pewne korzyści. Książę Jerzy Pruski za daną sobie opiekę zapłacił Stefanowi Batoremu 200.000 zł. w czterech ratach. Za pośrednictwem księcia Jerzego Pruskiego wyjednał również Batory od stanów księstwa, jednorazowy zasiłek 30.000 zł. Nareszcie tytułem kontrybucyi i łupów wojennych wpłynęły do skarbu od miasta Gdańska 200.000 zł. w ciągu lat 5, od kupca Winklera z Poznania z tytułu wstrzymanych gdańszczanom wypłat 10.672 zł. gr. 6, a drugi raz z tegoż tytułu 743 zł., wreszcie łup wojenny po Jankule hospodarze wołoskim wynoszący 36.376 zł. Dochód ogólny przeciętny skarbu koronnego za Stefana Batorego przyjąć można na 500.000 do 530.000 zł. do tego jednak doliczyć trzeba dochód z kwarty i dochód skarbu litewskiego.

W rozdziale trzecim rozpatruje prof. Pawiński rozchody skarbowe, rozpoczynając od rozchodu skarbu nadwornego. Według ówczesnych zasad finansowych zarządu, nie określono z góry pewnego rzędu nieodzownych wydatków, na pokrycie których przeznaczone są odpowiednie dochody, ale opędzano potrzeby w miarę dochodów, czyli wydawano mniej lub więcej, stosownie do obfitych lub mniej obfitych wpływów. Rozchody też skarbu królewskiego nie miały oznaczonej miary będąc w zupełnej zależności od dorocznych przychodów, które także częstym podlegały zmianom. Mimo to pewne wydatki należały do starych, dochodzących zawsze do jednakowej mniej więcej wysokości. Nazywano je w XVI wieku ordynaryjnemi, drugie zaś stanowiły dział wydatków niestałych, albo nadzwyczajnych, extraordynaryjnych.

Ordynaryjne wydatki, według obliczenia przypuszczalnych rozchodów, uczynionego za Stefana, wynosiły 158.000 zł., nadzwyczajne zaś według obliczenia z 1590 r. mogły dosięgać cyfry 50.000 zł. Etat więc wydatków skarbu królewskiego mógł średnio wynosić 200.000 do 208.000 zł. Królowa miała dochody odrębne na utrzymanie swego dworu. Niezmiernie ciekawe są fakta, które autor przy-

tacza mówiąc o rozchodach nadzwyczajnych t. j. o strawnem poselskiem i poselstwach opłacanych z dochodów króla. Strawne czyli dyety dla posłów, był to wydatek zależący od ilości przybyłych na sejm. Na sejmie koronacyjnym widzimy bowiem 100 posłów a na sejmie toruńskim tegoż roku 109. Nie wszystkim płacono strawne w równej mierze. Ze szczególnych wykazów widać, że były trzy różne stopnie zastosowane zapewnie do odległości miejsca skąd przybywali. I tak gdy jedni posłowie otrzymywali po 80 zł. inni mniej brali bo po 48 lub 32 zł. Ogół wydatków tego rodzaju wynosił 5.140 zł., innym zaś razem 5.024 zł., a na jednym sejmie w 1585 roku 4.831 zł. Zauważyć należy przytem iż za rządów Batorego odbyło się siedm sejmów.

Niemałym dla skarbu narodowego ciężarem stawało się przyjmowanie oraz upominki dawane posłom tureckim, tatarskim, moskiewskim i wołoskim. One najczęściej nawiedzały Rzeczpospolitę a tatarskie i wołoskie co rok przybywały w odwiedziny. Poselstwa mianowicie tatarskie wysyłane od carów perekopskich były prawdziwą dla Polski plagą. Jakaż to tłumna rzesza ukazywała się wtedy na dworze polskim. Przybywał bowiem nietylko poseł od cara, od żony cara i t. d., ale w r. 1576 znajdował się nawet poseł od szesnastego z rzędu syna carskiego, od dziesięciu jego córek (od każdej osobny), od czterech żon cara, od trzech żon pierwszego syna, od trzech żon drugiego i t. d. Naturalnie iż poczet taki musiał liczyć kilkadziesiąt, czasem do stu ludzi i kosztował kilkanaście tysięcy złotych. Wyprawiane zaś poselstwa polskie do obcych mocarstw albo do książąt chrześcijańskich, jak rejestra podskarbińskie objaśniają, nie wymagały nigdy tak znacznych nakładów, bo oznaczenie liczby osób zależało od woli samego króla, który kierując się oszczędnością bardzo nielicznych naznaczał posłów.

Do uposażenia królowej Anny należały niektóre starostwa przynoszące około 20.000 zł. po potrąceniu kwarty. Ponieważ to jednak na utrzymanie dworu wystarczyć nie mogło, przeto dodano jej jeszcze 24.000 zł. zabezpieczywszy je na dochodach celnych. Okrom tego otrzymała jeszcze królowa w W. Ks. Litewskiem dobra ziemskie przynoszące dochód 11.250 zł., etat też roczny królowej

Anny wynosił około 50.000 zł., a pod koniec rządów Stefana Batorego zwiększył się nieznacznie.

W rozdziale czwartym przedstawia nam prof. Pawiński rozchody skarbu Rzeczypospolitej, rozróżniając przytem skarb rawski oraz koronny, które przeznaczone były dla różnych celów i podlegały odmiennym przepisom pod względem szafunku pieniędzy.

1. Główny rozchód skarbu rawskiego stanowiły wydatki na wojsko służebne, które winne było strzedz granic Ukrainy i Podola od napadów tatarskich. Czasami jednak Stefan wyjednał u sejmu zezwolenie aby nie cała kwarta szła na obronę krajów ruskich, lecz mogła być użyta tam gdzie gwałtowna była konieczność. W ciągu lat 11 dwa razy całkowita kwarta była obróconą na wojsko podolskie, w innych zaś dziesięciu latach albo zupełnie albo częściowo szła na odmienne cele wojenne. Prócz tego koszta administracyi wynosiły $^1/_5\%$, co należy uważać za stosunek bardzo korzystny lubo z drugiej strony wiadomo, że odbieranie i szafowanie kwarty było dość proste i niezbyt utrudzające.

2. Rozchody skarbu koronnego stanowiły wydatki wojenne pokrywane z poborów, siedm też było wykazów wydanych na cele wojenne pieniędzy. Księgi podskarbińskie są o tyle niedokładnemi iż obejmują wydatki poczynione w gotowiźnie a pomijają te, które uczyniono za cedułami. Mamy jednak etat wydatków wojennych z roku 1578, kiedy Rzeczpospolita utrzymywała 12.000 konnicy i 10 000 piechoty, a który wynosił rocznie 1.212,939 zł. Ponieważ zaś dochód roczny wynosił zaledwie 600.000 zł. przeto powyższą siłę można było tylko dwuletnim poborem utrzymać. Wydatki na zarząd skarbowy wynosiły 4%, był to oczywiście ciężar znaczny a zarząd tym sposobem dość kosztowny.

W rozdziale piątym, obejmującym długi Rzeczypospolitej, miał autor głównie na myśli dług zaciągnięty w r: 1569 przez Zygmunta Augusta w wysokości 100.000 talarów u kapitalistów pomorskich a poręczony przez książąt tamtych krain Jana Fryderyka i Ernesta Ludwika. Po śmierci Zygmunta Augusta zaczęli się książęta pomorscy upominać o zwrócenie należności, ale mimo kilku rozmaitych ofert ze strony króla Stefana, nie zdołali odebrać długu od Rzeczypospolitej. W tym rozdziale też znajdujemy wiadomość, iż Batory

z własnych pieniędzy przelał do skarbu Rzeczypospolitej w ciągu 10 lat, 577.679 zł. a zatem uczynił ofiarę większą niż cały jednoroczny dochód Rzeczypospolitej.

Rozdział szósty poświęcony jest urządzeniom skarbowym, a pierwszy w nim ustęp zajmuje się urzędami i władzami skarbowemi. Zebranie dochodów skarbu nadwornego wymagało nie bardzo wielkiej liczby urzędników królewskich. Ponieważ wszystkie jego źródła oddawane były zwykle w dzierżawę, więc też bezpośrednio do skarbu płynęły wszelkie należności. Inaczej rzecz się miała z poborami, które sejm uchwalił. Liczba opodatkowanych obejmująca setki tysięcy kmieci rolnych, zagrodników, rzemieślników i kupców była zbyt wielką a pojedyncze ich wpłaty były zbyt drobne, aby żądać było można bezpośredniego do skarbu wniesienia podatku. Ustanowiono więc poborców, którzy w ziemi lub powiecie wybierali według określonej zasady, opłaty sejmowe. Nie byli to wszakże urzędnicy królewscy lecz ziemscy, kolektorowie zmienni, których na każdym sejmie wybierano około 60. Podskarbi koronny czyli istotnie minister skarbu piastował najwyższą godność w zakresie zarządu skarbowego Rzeczypospolitej. Niższe od niego miejsce zajmował podskarbi nadworny, tylko że do jego skarbu nieustannie dochody wpływały, gdy tymczasem podskarbi koronny wtedy znajdował sposobność pełnienia obowiązków urzędu, kiedy z uchwalonych na sejmie poborów wpływały do skarbu pieniądze.

Zdaje się jednak mimo to, że w XVI wieku podskarbi koronny czuwał nad dochodami skarbu królewskiego, którego podskarbi nadworny był niejako tylko szafarzem. Co do odbierania, chowania i zarządzania kwartą to istniały od 1569 r. szczegółowe przepisy, krępujące władzę podskarbiego, albowiem dodawano mu do boku czterech deputatów, dwóch z rady koronnej, a dwóch z posłów, a ci jeżeli istotnie nie ograniczali władzy podskarbiego, to w każdym razie uszczuplali ją o tyle, że sam podskarbi dzielić ją z niemi musiał, zwłaszcza co się tyczy odbierania i szafowania kwartą. Jak pod względem kwarty tak też i w rzeczy podatków sejmowych stawiano od czasu do czasu niejakie szranki, które obręb władzy podskarbiego zacieśniają. Szlachta okazywała się często tak

podejrzliwą, iż na sejmie tworzyła swe organa zwane szafarzami i im a nie podskarbiemu, oddawali poborcy uchwalone podatki. Król słusznie widział w przydaniu szafarzów niemałe uszczuplenie powagi podskarbich ale ustąpić musiał przed silną wolą posłów ziemskich. Szafarze winni byli dać znać podskarbiemu o ilości wypłaconych pieniędzy, ale właściwie władza jego nad niemi była bardzo słabą, prawie pozorną. Uwagi o pisarzach skarbowych i ich stosunku do podskarbich nadwornych, jakkolwiek ważne, dla szczupłości miejsca pominąć muszę i równie pobieżnie wypadnie mi się załatwić z ustępem obejmującym postępowanie skarbowe.

W skarbie nadwornym względem dzierżawców obowiązywała ustawa Zygmunta Augusta, którą autor, jako nieznaną dotąd, w całości przytacza. Przy wybieraniu podatków publicznych czyli poborów sejmowych, poborcy trzymali się pewnych zasad wyłuszczonych za każdym razem w oddzielnym uniwersale. Na każdym sejmie oznaczano stosownie do zgody sejmujących stanów: stopę podatków wszelkiego rodzaju. Wydawano więc za każdym razem uniwersały poborowe albo w przeciwnym wypadku powoływano się na najbliższy, poprzedni, lub dawniejszy. Uniwersał zaś zawierał całkowitą dla poborców instrukcyę, określał zasady opodatkowania, czas wybierania, oddania do skarbu lub do rąk szafarza. Stanowił jednem słowem wskazówkę zarówno dla opodatkowanych jak i dla poborców.

Jakim sposobem dochodził jednak poborca: ile się od kogo należało? Pobór łanowy bowiem pobierany był od ilości ról kmiecych i t. d. nie było zaś ani tabel pomiarowych, ani wykazów szczegółowych posiadanej liczby kmieci. Powstawały też często nadużycia, a takim miała zapobiedz przysięga, której od czasu do czasu używano jako środka do rzetelniejszego sprawdzenia stanu rzeczy. Osobne przepisy urządzały pobieranie czopowego, a miejscem dokąd znoszono podatki było zwykle miasto powiatowe. Wszelkie sprawy o retenta czyli zaległości z kwarty, sądził król na sejmie a później trybunały. W razie zaś, gdyby poborca nie sporządził wykazu osób zalegających w opłacie podatku a starosta w czasie właściwym nie pozywał, wtedy odpowiadał ze swego majątku nie szlachcic ale sam poborca albo też starosta. Wiadomości o skrzyniach do przechowy-

wania pieniędzy, czyli kasach, o inwentarzach dóbr, księgach kwarcianych, rejestrach poborowych, jestem zmuszony pominąć ze względu na drobiazgowość przedmiotu a zatrzymam się chwilę nad ustępem traktującym o etacie, czyli budżecie,

Już wcześnie spotykamy ślady wykazów sumarycznych, które nie były wprawdzie żadnym nadzwyczajnym pomysłem, tylko wykonaniem tego czego wymagał najprostszy w świecie porządek. W r. 1571 sporządzono w skarbie koronnym z oddzielnych rejestrów poborowych jednę ogólną księgę, która zawierała w sobie treściwe wykazy wszystkich powiatów całej korony, pod względem ilości łanów kmiecych, sołtysich, szlachty zagrodowej, miast, rzemieślników, oraz zgoła wszelkich pieniędzy podatkowych pobranych z mocy uniwersału sejmowego. Ułożono więc tym sposobem ogólny a łatwiej okiem ogarnąć się dający obraz stosunków skarbowych w całem państwie.

Za Stefana Batorego, jak twierdzi prof. Pawiński, zastajemy już poniekąd wyrobione wszystkie te pierwiastki i żywioły, które istotę budżetu stanowią, tylko brak im jeszcze postaci jaką później przybrały w Polsce pod wpływem zmienionych stosunków skarbowych. Istota nowoczesnego budżetu t. j. wyznaczanie pewnych dochodów na określone cele, tkwi już wyraźnie w samym stosunku sejmu do króla, w tej wszechwładzy jaką sobie zdobyła izba poselska w drugiej połowie XVI wieku w Polsce. Tylko co do strony zewnętrznej to mniej wyraźnie występują cechy podobieństwa budżetu owoczesnego do później wykształconego. Nie sporządzano bowiem wykazu spodziewanych rozchodów, choć były pod ręką rejestra skarbowe. Dopiero za Stefana Batorego uczyniono i pod tym względem krok stanowczy, a w 1590 r. po jego śmierci występuje budżet w udoskonalonym więcej kształcie t. j. jako przybliżony wykaz spodziewanych dochodów i wydatków, sporządzony na podstawie rejestrów skarbowych z 1578 r.

W rozdziale siódmym rozpatruje autor dzieje polityczne za Stefana Batorego pod względem skarbowym i stosunek króla do sejmu. W ścieraniu się bowiem tych dwóch potęg (króla i sejmu) na polu ustawodawstwa skarbowego tkwi nieraz główna istota dziejów politycznych pewnego państwa. Rzeczywiście też w owym wybornym

oraz interesującym obrazie zarysowują się od samego początku t. j. od wyprawy gdańskiej, najważniejsze kwestye prawno-państwowe, dające dokładne pojęcie o wewnętrznym ustroju Rzeczypospolitej. Występuje też dawne pojęcie poboru jako daru „nie z powinności jedno z chęci swej dla obrony“ z innem reprezentowanem przez króla, który poborowi rad był włożyć piętno publicznego obowiązku.

Dalej spotykamy co chwila kwestyę ważności instrukcyj dawanych posłom, spór o kompetencyę izby poselskiej, która nie chce ograniczać się propozycyami od tronu t. j. mówić o tem o czem król i rada każą debatować, ale zastrzega sobie prawo dyskutowania wszelkich spraw publicznych. Przytem niezmiernej doniosłości fakt opisuje autor, a mianowicie: jak sobie radził król Stefan gdy mu sejm odmówił poborów a groźne okoliczności domagały się pieniędzy. Pominąwszy władzę ustawodawczą sejmu odwołał się król do sejmików głównych każdej prowincyi o pomoc, a szlachta jakkolwiek narzekała na tak niezwykły kształt obrad publicznych, zezwoliła na pobór zastrzegając jedynie, aby na przyszłość w ten sposób nie odwoływano się do jej ofiarności.

Dowiadujemy się również z tego rozdziału, iż sejm pod wpływem naglących okoliczności zezwalał nawet na dwuroczny pobór, co było znacznem ustępstwem wobec wyznawanych teoryj. Duch nadzwyczajnej ofiarności nie potrwał jednak długo, gdy bowiem pod Pskowem należało zbierać owoce kilkoletnich wysileń, sejm zezwala tylko na jednoroczny pobór i niedostatkiem armii znękany król decyduje się zawrzeć pokój. Była jednak chwila, gdy rozumny kanclerz Zamoyski nie wahał się przekładać sejmowi iż należy ustanawiać pobór na dłuższy, kilkoletni czas. Gdyby jego zamiar przyszedł do skutku, wytworzyłby się ważny prejudykat na przyszłość, któryby niewątpliwie dał trwalszą podstawę władzy monarchicznej i zapewnił regularny bieg administracyi państwowej. Zbawienne projekta rozbiły się jednak o egoizm izby i jej obojętność dla wysokiej polityki Stefana Batorego.

Rozdział powyższy, którym się dłużej zajmować nie mogę, daje nam poznać w całej pełni walkę dwóch żywiołów, dwóch czynników politycznych, z których jeden (król) reprezentował ducha

publicznego, ową „salus Reipublicae“ a drugi (sejm) uosabiał prywatę przybraną w szatę stanowości. Prócz tego trudy bohaterskiego monarchy około zgromadzenia środków materyalnych w celu doprowadzenia pancernych rot do Wielkich Łuk, Połocka i Pskowa, opisał prof. Pawiński w tak zajmujący i umiejętny sposób, iż nie przesadzoną będzie chyba pochwała, iż ten rozdział przykuwa do siebie uwagę czytelnika bogactwem faktów oraz spostrzeżeń.

W rozdziale ósmym przedstawia autor krytykę stosunków skarbowych w pismach ówczesnej epoki, zastanawiajac się nad Modrzewskim i innymi statystami z końca XVI wieku. Prof. Pawiński rozbiera pomysł Łaskiego a właściwie myśl znaną już w 1468 r. i obszernie rozwiniętą u Modrzewskiego t. j. projekt utworzenia skarbu pospolitego za pomocą jednorazowej ofiary i rocznych stałych dochodów, od których jednakże chce stan kmiecy uwolnić. Powodem do takiego wyjątku ma być to: „iż rozum i przystojność radzi, aby ci, którzy ledwo wytchną, od ciężkich brzemion, wżdy od takiego podatku wytchnęli“ [1]). Inne pisma już nie były tak przychylnie dla włościan usposobione i głos Modrzewskiego pozostał odosobnionym, co tem więcej przynosi zaszczytu głębokiemu myślicielowi, którego poglądy należycie ocenił prof. Pawiński.

Następnie spotykamy się w tym rozdziale z krytyką skarbowości ówczesnej polskiej ze stanowiska nowoczesnej umiejętności skarbowej. Autor postawił sobie przedewszystkiem pytanie: jaki był rozkład ciężarów publicznych w ogóle, w jakiej mierze dźwigało je społeczeństwo i który stan ponosił największe ofiary. W odpowiedzi znajdujemy sumienne i ścisłe obliczenia, dowodzące, iż łan kmiecy płacił wraz z poradlnem od 100 do 120 groszy zwyczajnych podatków, oprócz od czasu do czasu uchwalonych poborów sejmowych, nie licząc w to pańszczyzny, która w różnych stronach różną przedstawiała wartość, zależnie od ilości dni i rodzaju odrabianej robo-

[1]) Nie mogę się zgodzić z tymi, którzy obarczają Modrzewskiego zarzutem iż chciał zaprowadzić „sui generis“ nierówność prawną faworyzującą kmieci. Z pracy Modrzewskiego nie widnieje bynajmniej chęć rozwijania jakiejkolwiek doktryny, ale ze względów praktycznych, widząc kmieci jako źródło i siłę podatkową, zupełnie wyczerpanych, chce im dać wytchnienie — czyli, że nie myśli bynajmniej o trwałej nierówności in favorem kmieci.

cizny. Mieszczanie podlegali podobnie licznym opłatom, czynszom, daninom. W innym tylko kształcie ciągnął skarb królewski lub dziedzic, zyski z posiadłości i z mieszkańców miejskich. Jeden tylko stan szlachecki, do którego należało duchowieństwo jak i szlachta zagonowa, nie uiszczał do skarbu żadnych opłat, żadnych podatków, ciesząc się zupełną w tej mierze swobodą. Jedynie tylko pośrednio przyczyniał się stan szlachecki do pomnożenia dochodów, płacąc podatek celny, ale i tym razem korzystał z bardzo ważnego przywileju, iż własne swe folwarczne zboże i woły przez siebie wyhodowane, mógł bez żadnej opłaty wyprowadzać za granicę.

Co się tyczy podatków nadzwyczajnych, uchwalonych od czasu do czasu przez sejm, to dotykano nimi ludzi wszelkich zajęć, zawodów, kupców zagranicznych, przemysłowców, rzemieślników, księży wschodniego obrządku, żydów, wreszcie i szlachtę zagrodową a niekiedy duchowieństwo — jednem słowem pociągano niemal całą ludność do opłaty i ofiary, z wyjątkiem tylko szlachty. Nawet płacąc akcyzę, umiał sobie stan szlachecki wywalczyć uprzywilejowane stanowisko, dając mniej od swoich okazów niż przemysłowcy miejscy. Jedynie tylko młyny, folusze, huty i inne zakłady przemysłowe szlachty, podlegały podatkom sejmowym na równi z podobnemi przedsiębiorstwami mieszczan.

Przedstawiwszy nam dawny system podatkowy ze stanowiska politycznego t. j. wykazując o ile takowy zachował równość w rozkładzie, przystąpił autor do ocenienia systemu podatków ze stanowiska czysto skarbowego. Najważniejszą krynicą, z której kraj czerpał, były podług prof. Pawińskiego dochody bezpośrednie z włości, z majątków ziemskich i przez to gospodarstwo finansowe miało charakter jeszcze pierwotny, średniowieczny, który się prócz tego przebijał w daninach naturalnych, składanych na rzecz króla. Wprawdzie daniny zamieniono po większej części na opłatę pieniężną, ale zdarzało się jednak iż składano ją w naturze jak np. w miasteczkach, rzeźnicy łój na świece i t. p.

Podatki pośrednie, jak cła i myta koronne stosunkowo małe czyniły pożytki skarbowi. Stosunki celne znajdowały się wówczas jeszcze w niemowlęcym stanie. Mimo to cła wewnętrzne pobierane dowolnie a będące prawdziwem utrapieniem dla kupców i przeku-

pniów ówczesnych, postanowiono znieść przypominając prawo, iż uchwalenie ceł tylko na sejmie publicznym a raczej walnym koronnym odbywać się zwykło. Jeżeli też sejm uznawał za rzecz słuszną zaprowadzić myto lub grobelne jako dochód niezbędny do utrzymania drogi, mostu na grobli, wtedy ustanawiał zarazem szczegółowszą taryfę poboru od koni, bydła, wozów i t. d. Gdy jednak władza Rzeczypospolitej nie zawsze była dość czujną i silną do zapobiegania nadużyciom, łatwo zrozumieć jaką uciążliwością dla wewnętrznego handlu stawały się te opłaty pod różnemi pobierane nazwami.

Zasady, jakiemi się rządzono przy ustanowieniu stopy opodatkowania celnego, odpowiadały ówczesnym poglądom w rzeczach ekonomiczno-skarbowych. Nie odróżniano wcale ceł właściwych od ceł protekcyjnych a instruktarz celny w ciągu kilkudziesięciu lat pozostał niezmienionym bez względu na obniżenie się wartości pieniędzy a podwyższenie wartości towarów. Prócz tego ważne oraz interesujące znajdujemy szczegóły, które wykazują w jaki sposób szlachta wyzyskiwała swe przywileje celne obchodząc ustawy wraz z kupcami i jaka szkoda wyniknęła stąd dla skarbu Rzeczypospolitej.

Zaznaczając niedostatki systemu podatkowego zasilającego skarb nadworny, autor ze stanowiska skarbowego ocenia inaczej pobory sejmowe będące u nas zawiązkiem stałych a ciągłych podatków. Systemat tych ostatnich odznacza się niepospolitem bogactwem kształtów, pod jakiemi płynęły ożywcze dla kraju soki i odznaczał się przytem rozciągłością niezwykłą oraz, jeśli się tak wyrazić wolno, przenikliwością. Sięga on wszędzie szeroko, w różne warstwy gleby zapuszcza swe korzenie dla odżywienia skarbu publicznego. W szeregu licznych podatków spotykamy tam rozmaitość prawie nowoczesną. Mamy w systemacie opodatkowania sejmowego podatek dochodowy, obok pogłównego, podatek gruntowy, podatek od domostw, rękodzieł i przemysłu, akcyzę czyli podatek konsumcyjny, podatek od pieniędzy wypożyczonych na procent i wiele innych i t. d.

Pomimo tych stron dodatnich, w zasadzie i rozkładzie oraz pod względem pobierania podatków sejmowych istniały wielkie wady i niedokładności. Tak np. podatek gruntowy ściągano z łanów bez

względu na mniej lub więcej rozległy jego zakres, który się wyraża w ilości warsztatów robotniczych i t. d.

Wszystkie te wady wymotywował autor dokładnie i przekonywująco. Wybornie jednak i z nieprzepartą siłą dowodu przedstawił najważniejszy niedostatek systematu, polegający nie tyle na nierównym rozkładzie ile raczej w tem iż podatki sejmowe były doryczce, czasowe a nie ciągłe. W zakończeniu autor tłómaczy się, dlaczego nie badał stosunków skarbowych porównawczo t. j. w zestawieniu ze skarbowością państw zachodnich i z tego usprawiedliwienia czytelnik dowiaduje się z przyjemnością, iż wkrótce okaże się nowa praca prof. Pawińskiego poświęcona właśnie temu zadaniu.

Po zakończeniu jednak, które powinnoby zamknąć dzieło, spotykamy się jeszcze z dwoma dodatkami. Pierwszy z nich przedstawia dzieje mennicy i monety, a drugi skarbowość litewską w krótkim zarysie. Odnośnie do pierwszego przedmiotu nadmienia prof. Pawiński, iż dwa bezkrólewia pozostawiły w tej dziedzinie gospodarstwa publicznego ślady strasznego spustoszenia, a tymczasem któż nie zna wysokiego znaczenia w stosunkach życia wewnętrznego, w stosunkach handlu zagranicznego dobrze uregulowanej monety obiegowej. Zygmunt August nie bił zupełnie monety koronnej, namnożyło się więc pieniędzy obcych, nieważnych, które niemałej straty i szkody stały się powodem. Nie brakło prócz tego złych a chytrych ludzi, którzy myncę dobrą a sprawiedliwą szkodzić zwykli ową piłując, ostrzygając i okrawając skąd wagę i cenę z niemałem ludzi ukrzywdzeniem zmniejszali. Sejm też warszawski w 1578 r. postanowił założyć mennicę królewską, której kierunek i zarząd powierzono wbrew dawniejszym ustawom nie podskarbiemu koronnemu, ale odrębnemu dostojnikowi. Nowy administrator zawierał tego rodzaju układ z królem, że sam niejako zakładał myncarnią swoim nakładem, przyjmując na siebie obowiązek urządzenia jej całkowicie gdzieby zechciał — czyli jednem słowem występował jako przedsiębiorca. Żeby ułatwić nowemu administratorowi spełnienie zadania, zakazał król Stefan wywozić srebro olkuskie za granicę, a żydom krakowskim polecił zwieźć do tejże mennicy 1.000 grzywien srebra. Następnie zajął się Stefan Batory wywołaniem z kraju monety nieważnej, cudzoziemskiej, ale to go do-

prowadziło do kolizyi z Gdańskiem i król musiał się zgodzić przynajmniej na czasowe ustępstwa.

Nowa mennica pod kierunkiem Leszczyńskiego nie była w stanie w tak prędkim czasie zaradzić potrzebie i nie urzeczywistniła tych nadziei, jakie król powziął co do jej skutecznej działalności. Nie wiadomo jednak w czem istniały trudności tamujące rozwój: czy srebra brakowało przedsiębiorcy? czy statków i narzędzi myncarskich? albo też ludzi sposobnych? Nie trzeba bowiem zapominać, iż za Zygmunta Augusta sztuka myncarska leżała zupełnie odłogiem.

Narzekano też, iż moneta koronna, która z olkuskiej wychodziła mennicy, została upodloną, zwłaszcza pojedyncze groszaki, które gorsze były o 15% od podobnych groszy pruskich. Zaszła więc wskutek żądania stanów ta zmiana, że zarząd mennicy oddano znów w ręce podskarbiego koronnego i przywrócono dawniejsze w tej mierze prawa. Faktem jest jednak, iż za Stefana Batorego upodlono znacznie monetę a doprowadziła do tego chęć nadmiernego zysku, nie tyle ze strony skarbu, ile ze strony myncmagistrów, myncarzy, lub wreszcie administratora mennicy.

Odnośnie do skarbowości litewskiej, autor nadmienia, iż nie miał pod ręką ksiąg podskarbińskich litewskich, które gdzieś może w prywatnych spoczywają archiwach i jedynie szczęśliwym trafem udało mu się zgromadzić kilka drobnych ułamków.

1. Skarb nadworny litewski, składający się z myt i imion ziemskich przynosił 130.000 złotych, t. j. o jakie 50.000 zł. mniej niż w Koronie.

2. Dochód z poborów sejmowych wynosił około 103.668 zł., a zatem pięć razy mniej niż w Koronie.

Zresztą jednaka służyła zasada zarówno w Koronie jak i na Litwie, wybierania łanowego od kmieci, szosu od mieszczan, czopowego od piwowarów, pogłównego od żydów i t. d.

Na tem się kończy bogata w treść praca profesora Pawińskiego.

Nasamprzód nadmienić winienem, iż tymi dniami wyszły

z druku „Podskarbińskie księgi“ [1]), które służyły prof. Pawińskiemu nie za wyłączne, ale za główniejsze źródło dla studyów. Nie za wyłączne, powtarzam, gdyż prócz tego zapoznał nas autor z wieloma cennymi a rzadkimi dokumentami z czasów Zygmunta Augusta i Henryka Walezego, które rzucają charakterystyczne światło na skarbowość poprzednich nieco czasów. Publikując „Księgi Podskarbińskie“, autor poddał ogólnej kontroli ową ważną skarbnicę z której czerpał. Nie przewidując jednak korzyści ze sprawdzania pojedynczych cyfr, uważałem za stosowne przyjąć materyał niewątpliwie nowy i ważny, za autentyczny i niewzruszalny, a tylko odnośnie do opracowania niniejszego materyału zamierzyłem wyrazić kilka uwag do uwzględnienia szanownemu autorowi i czytelnikom obznajmionym z traktowanym przedmiotem.

Ogarniając całość pracy prof. Pawińskiego, uderza przedewszystkiem oko wyborna jej budowa, czyli systematyczny układ. Przymiot to nie małej doniosłości i przy jego pomocy nietylko że się uplastycznia zawiła treść skarbowa, ale uprzytomnia się zarazem ów ład gospodarczy i prawa rządzące organizmem finansowym, które w rzeczywistości występują zwykle w skomplikowanych kształtach i rozmaitej formie.

Autor tymczasem przedstawił nam całe życie skarbowe Rzeczypospolitej za Stefana Batorego, w obrazie pełnym jasności i prostoty. Widzimy naprzód dochody stołu królewskiego, następnie skarbu Rzeczypospolitej podzielonego na rawski i koronny, dalej wydatki skarbu nadwornego a następnie w tymże samym porządku wydatki skarbu rawskiego i koronnego. Wreszcie długi Rzeczypospolitej, urządzenia skarbowe i postępowanie skarbowe. Skreśliwszy szczegółowo cały obraz skarbowości, przedstawia ją autor dopiero w związku z dziejami politycznemi, uzupełnia dążeniami reformatorskiemi w tejże epoce i oświeca gruntowną krytyką ze stanowiska polityczno skarbowego.

Jedynie dwa ostatnie ustępy (dzieje mennicy i skarbowość litewska), figurujące pod nazwą dodatków, psują wytworną architekturę

---

[1]) Źródła dziejowe. Tom IX, księgi podskarbińskie z czasów Stefana Batorego 1576—1586. Warszawa 1881.

pracy. Pierwszy z tych ustępów powinien być zamieszczony w dochodach i wydatkach skarbu nadwornego, drugi zaś powinien być rozdzielony między skarb nadworny i koronny, jako uzupełnienie całego skarbu Rzeczypospolitej. Prawdopodobnie też byłby autor zamieścił dodatki powyższe w odpowiednich miejscach, jak to uczynił np. ze skarbowością Prus, gdyby temu jak się zdaje, nie stanęły na przeszkodzie inne powody t. j. spóźnione odszukanie ważnych dokumentów, gdy już praca była w druku.

Co się tyczy naukowej doniosłości dzieła, na które się składa bogactwo nowego, dotąd w archiwach utajonego materyału i gruntowne tegoż materyału opracowanie na podstawie nauk politycznych, to doniosłość ta jest wielką i pod tym względem nie może z pracą prof. Pawińskiego iść w porównanie żadna z dotychczasowych monografij z dziedziny skarbowości. Hofman np. podał jedynie całokształt prawny skarbowości, tak jak się on odcisnął w Voluminach legum i sam czując ten niedostatek oświadcza, iż znał tylko źródła normujące finansowość, ale nie ich rezultat jaki w dokładnych rachunkach spoczywa. Ks. Lubomirski zaś pomimo wielu cennych uwag i obfitego materyału, nie zdołał stworzyć ani tak pełnego obrazu skarbowości, ani zbudować tak artystycznie swej pracy, ani wreszcie zaopatrzyć ją w taką ilość głębokich i nie odbiegających od przedmiotu uwag, jak prof. Pawiński. Inne rozprawy nie wytrzymują zupełnie porównania. Tymczasem w dziele swem podał prof. Pawiński nietylko pełny obraz prawnego ustroju, ale rzeczywistego funkcyonowania organizmu skarbowego, z którego można poznać siłę podatkową klas społecznych, ich udział w dźwiganiu nawy państwowej i ostatecznie wykształcenie polityczne, jakie się w uchwalaniu potrzeb reprezentowanych przez wydatki przejawia.

Autor podał nam wprawdzie okres skarbowości w szczupłą liczbę lat zaopatrzony, ale mimo to rzuca on jasny promień i na uprzednie i na następne dzieje skarbowości naszej. Dla nauki zaś tem większą wagę ma epoka przedstawiona przez autora, że w niej walczą wybitnie dwa pierwiastki: jeden reprezentacyjny oparty na prawie państwowem, drugi reprezentacyjno-stanowy, oparty przeważnie na pojęciach prawa prywatnego i walka ta na polu skarbowem najdokładniej się przedstawia.

Pomimo jednak, że dzieło prof. Pawińskiego przynosi obfite i cenne żniwo dla nauki, pozwolę sobie uczynić kilka uwag, które staną nieco w sprzeczności ze zdaniem autora, ale prawie całkowicie opierać się będą na materyale zawartym w jego pracy. Nie o źródła też będzie chodziło krytykowi, gdyż te zostały zgromadzone ze wzorową starannością i skrzętnością, ale o niektóre wnioski, jakie autor wsparł znakomitą powagą przytoczonych źródeł.

Nasamprzód rozmijam się najzupełniej z szanownym autorem w pojmowaniu istoty budżetu w państwach nowożytnych konstytucyjnych, a tem samem odmiennie się muszę zapatrywać i na budżet polski za Stefana Batorego. Dlatego zaś rozpoczynam moje zarzuty od budżetu, iż w nim koncentrują się prawie wszystkie pojęcia prawno skarbowe i łatwo z niego wysnuć inne różnice.

Otóż prof. Pawiński łącznie z prof. Bilińskim [1]) i Rossmannem [2]) twierdzą: że tylko w Anglii i w Polsce znajdują się zawiązki wczesne budżetu konstytucyjnego a nawet prof. Pawiński rozwija niniejszy pogląd a fortiori, dowodząc, że gdy w Anglii dają się zaledwie w XVII wieku spostrzegać zawiązki budżetu, Polska przedstawia nierównie wcześniej w skutku prędkiego rozkwitu swobód politycznych szlachty, początek rozwoju w tym kierunku. Podobieństwo polskiego budżetu do budżetu państw konstytucyjnych nowoczesnych upatruje sz. autor w tem, że izba poselska za Stefana Batorego nie tylko uchwalała wykaz przewidywanych dochodów, ale wyznaczała dochody na ściśle ograniczone cele.

Przeciwko temu poglądowi oświadczyłem się już na innem miejscu [3]) a cenna praca prof. Pawińskiego utrwala mnie jeszcze silniej w mojem przekonaniu. Naprzód jednak muszę nadmienić, iż porównanie budżetu polskiego z XVI w. z angielskim w XVII wieku i nowszemi konstytucyjnemi, jest nietylko ze względów prawno-państwowych niemożliwem, ale przedewszystkiem jest niehistorycznem. Takie bowiem budżety jak je prof. Pawiński przedstawia za Ste-

---

[1]) System nauki skarbowej. Str. 393 i: Die Gemeindebesteuerung und deren Reform, str. 2.

[2]) Rys historyczny budżetu w Polsce. Ekonomista z roku 1865, kw. IV, str. 14 i 21.

[3]) Stanisław Leszczyński jako statysta. Str. 107 i dalsze.

fana Batorego, istniały dawniej niż w Polsce, we Francyi i w Niemczech [1]) a zdaje się nawet, że we wszystkich krajach, gdzie tylko przetrwała reprezentacya stanowa [2]).

Nie ulega wątpliwości, że powodem łudzącym oko w stosunkach polskich jest ten objaw, iż w sejmie występuje tylko jeden stan dławiący inne [3]) i istnieje tylko jedna izba poselska reprezentująca całą Rzeczpospolitą, ale i pod tym formalnym względem spotykamy wcześnie podobny obraz w Niemczech, gdzie niektóre stany krajowe „Landstände“ gromadziły reprezentantów duchowieństwa szlachty i mieszczan w jednej izbie. Tymczasem pomijam tę formalną różnicę ustroju izb wotujących podatki a przechodzę do tego, co prof. Pawiński uważa za istotę budżetu t. j. do uchwalania podatków i przeznaczania ich na określone z góry cele.

Nietylko że w Niemczech i Francyi spotykamy te same istotne cechy budżetu t. j., że stany sejmujące uchwalają podatki, przeznaczając je na określone z góry przez siebie cele, ale prócz tego zyskują tak jak i w Polsce prawo współadministrowania dochodami przez szafarzy własnych, mianowanych przez stany.

Teraz z kolei rzeczy przypatrzmy się budżetowi angielskiemu nietylko z XVI ale z XVII i XVIII wieku, i osądźmy, czy on podług cech wskazanych przez prof. Pawińskiego posiada rzeczywiste podobieństwo z polskim. Gminy angielskie uchwalały podatki tak jak na kontynencie, ale ze stanowiska prawa państwowego, jak to później wykażę, uchwalanie powyższe miało odmienną doniosłość w Anglii, niż we Francyi, Niemczech i Polsce. Tymczasem już prawo przeznaczania funduszów na z góry określone cele, nietylko

---

[1]) Przedewszystkiem mówiąc o Francyi i Niemczech, powołuję się prócz cytat w Leszczyńskim zamieszczonych na cenne dzieło Jansena: „Die allgemeinen Zustände des deutschen Volkes beim Ausgange des Mittelalters“. T. I str. 501 i dalsze, oraz Dareste de la Chavanne: „Histoire d'administration en France. T. II, str. 1 i dalsze t. j. cały rozdział o historyi skarbowości. Wszystkie uwagi moje Niemiec i Francyi dotyczące, opierają się na cennych faktach z tych prac czerpanych.

[2]) O Holandyi, Szwecyi i Hiszpanii, nie mam bliższych szczegółów nad te, które podałem w Leszczyńskim.

[3]) Ks. Lubomirski: „Trzy rozdziały z historyi skarbowości“, str. 2. Bywały chwile, gdzie i u nas stan średni powołany był do szafunku skarbem.

że nie istniało w XVI w. w Anglii, ale nawet w XVII i XVIII nigdy nie było stosowanem [1]) a król, który „kan do not wrong“ przeznaczał zawsze uchwalone fundusze stosownie do własnego uznania, mimo bezsilnej ustawy, która od XVII w. parlamentowi to prawo nadawała. Trzecie zaś prawo współadministrowania funduszami uchwalonymi nie istniało w Anglii nawet pro forma, nigdy. Tam bowiem monarcha był jedynem źródłem władzy wykonawczej, o nim mawiano że „omnis libertas Regia est et ad coronam pertinet“ [2]) on sam szafował funduszami podatkowemi absolutnie i żaden z królów Brytanii nie potrzebował upominać gmin, jak Stefan Batory posłów, aby nie byli jego bakałarzami.

Nie mogę się więc przedewszystkiem z historycznych względów zgodzić na wyznaczanie budżetom polskim wyjątkowego stanowiska, któreby jedynie z angielskim budżetem i to w późniejszem stadyum mogło być porównywanem. Owszem udział stanów sejmujących w normowaniu gospodarstwa państwowego, odmienny wprawdzie od konstytucyjnego budżetu, istniał w takiej samej formie we Francyi i w Niemczech i t. d., lecz nie w Anglii a to samo podobieństwo Polski z Francyą i Niemcami a różnica z Anglią przedstawia nam się nietylko w formie, ale i w państwowo-prawnej treści.

Na stałym lądzie, gdzie się typowe organizacye stanowe wykształciły, udział stanów w normowaniu gospodarstwa państwowego wspierał się na zasadzie feodalnej „nulle taxe n'est legitime, si elle n'est pas consentie par celui qui doit la payer“ [3]). Zasada powyższa brała początek w prawie prywatnem, nie zaś państwowem i tenże sam charakter prywatno-prawny przeniosła na udział stanów w normowaniu gospodarstwa państwowego.

Powoli też cały stosunek stanów, jako organu prawodawczego do władzy wykonawczej np. panującego, wspierać się począł na

---

[1]) Tood: Ueber die parlamentarische Regierung in England. T. I, str. 400. Inni pisarze są z tym poglądem zgodni.

[2]) Gneist: Das englische Verwaltungsrecht. T. I, str. 402.

[3]) Vuitry: Etudes sur le régime financier de la France. Str. 417.

pojęciu negotium[1]) czyli interesu, co do którego dwie strony na zasadach prawa prywatnego się umawiały. Jakkolwiek natura polityczna państwa przedarła się niekiedy przez ten powój prywatnoprawnych pojęć, nie ma jednak żadnej gałęzi skarbowości, gdzieby się nie wycisnęło owo charakterystyczne stanowe piętno. Przedewszystkiem też podatek jest uważany zarówno we Francyi, Niemczech i Polsce[2]) XVI w., jako własnowolny dar, pomoc, którą jedna strona daje wskutek prośby strony drugiej, jeśli owe negotium stanowe nie położyło swojego „veto“. Gdy zaś owe „negotium“, które w potocznej mowie zwykli dziś jesteśmy zwać egoizmem stanowym, nie zezwalało na dar lub pomoc, wtedy czy wróg rozdzierał prowincye kraju, czy „respublica mole propria ruit“, stany odmawiały daru w kategoryczny sposób, dlatego jedynie, iż nie widziały interesu w dawaniu zapomogi. To co spotkało Batorego w ciężkich czasach, gdy musiał podstępować pod mury Gdańska, tego jeszcze w gorszych chwilach doznawał cesarz Maksymilian w XVI w. i królowie francuscy z poprzednich stuleci.

Jeśli nareszcie stany zdecydowały się dać zapomogę, to zaznaczały zarówno we Francyi, w Niemczech jak i w Polsce, że dają tylko dobrowolnie, jednorazowo i wszędzie odszukać się da zastrzeżenie, że uchwalono podatek „pro hac sola vice, ut ne potuerit trahi in sequelam“. Najlepiej to prywatno-prawne pojęcie podatku przebija się w tem, iż rzadko kiedy dawano go darmo, ale podług formuły rzymskiej „do ut des, do ut facias“, starano się zeń bezpośredni owoc otrzymać. Stąd też owe ustawy opakowane (tacked bill) we Francyi, Niemczech i Polsce, które za uchwaloną zapomogę wymagały od monarchów i otrzymywały ważne ustępstwa. Tym sposobem wyłudzono już od Zygmunta Augusta niektóre rzeczy[3]), w XVII wieku nie dano prawie ani grosza bez podobnych zastrze-

---

[1]) Gneist: Gesetz und Budget. Str. 102 i dalsze. Wogóle znajdujemy w tej pracy niezmiernie ważne wskazówki.

[2]) Na sejmie w 1555 r. woła jeden z posłów: „Nie chcemy być vectigales“ (Pawińskiego wstęp). Długosz zaś twierdzi, że szlachta gorzej morowej zarazy nienawidziła poradlnego.

[3]) Dniewnik liublinskawo sejma. (Kojałowicz) str. 245; porównać Zwierciadło Rzeczypospolitej z r. 1598, str. 7.

żeń [1]) a i Stefan Batory tymże samym sposobem musiał się zgodzić na szafarzy pomimo, iż szkodliwość podobnej instytucyi, od razu swym orlim wzrokiem przeniknął.

Ta prawno-prywatna podwalina skarbowości stanowej wybornie nam objaśnia, dlaczego sejmy tak skrupulatnie przeznaczały zapomogi na określone z góry cele. Zezwalając bowiem na podatek, zawierały one niejako umowę z panującym, skutkiem której tenże w zamian za otrzymane pieniądze, miał wykonać zadania ściśle określone i aprobowane przez stany. Ale pieniądze trzeba było dać z góry, a zatem wypadało zostać wierzycielem strony drugiej, a tymczasem sejmy wiedziały doskonale, jaka potęga spoczywa we władzy wykonawczej i ani myślały jej zaufać. Ten objaw wyraźnego niedowierzania i nieufności względem egzekutywy, który tak Hofmana uderzył [2]), spotykać się daje wszędzie i jest najwybitniejszem znamieniem stanowości, czerpiącej swą treść z prywatnego prawa. Władza wykonawcza uosabiana przez monarchizm, reprezentowała wszystkie stany, lecz żadnego z osobna, każdy więc ze stanów obawiał się, aby pieniędzy nie obrócono na pożytek drugiego z nich i dlatego wiecznie imputował monarchom „malitią“. Z tego też względu nie kontentowano się fikcyą prawną uważającą monarchę za stan odrębny [3]), z którym na równi paktyzować można, ale tak niebezpiecznego dłużnika starano się ograniczyć jak najściślej. Przeznaczenie też zapomogi na cel określony nie było dostateczną gwarancyą, bo dłużnik mógł użyć pożyczki wbrew ograniczeniom ze zobowiązania płynącym, dlatego to starano się współadministrować funduszami przez własnych szafarzy i uważano fundusz podatkowy aż do spełnienia umowy za swoją własność.

A teraz z kolei rzeczy przypatrzmy się jak wyglądał udział

---

[1]) Hofman: O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce, str. 156, cytuje ciekawe wypadki n. p. w 1619 roku województwo krakowskie decyduje się dać pobór pod warunkiem, ażeby arenda była utrzymana Kropiwnickiemu.

[2]) Hofman: O zarządzie i t. d., str. 135, naród odłączał się od rządu swego jak od wroga i t. d.

[3]) Powyższa fikcya prawna istniała i u nas, patrz Skrzetuski: Prawo polityczne narodu polskiego. T. I, str. 42.

parlamentu w normowaniu państwowego gospodarstwa przy brzasku ery konstytucyjnej, którą powszechnie dostrzegają w Anglii. Przedewszystkiem nadmienić winienem, iż epoka konstytucyjna odróżnia się tem od stanowej, iż w organiźmie państwowym pierwiastek publiczno prawny zwycięża prywatny; jus publicum spectat ad statum Reipublicae, nie zaś pojedynczych stanów, a co w następstwie państwowego prawa płynie pojęcie „negotium“, zamienia się w „officium“, to jest interes przeistacza się w obowiązek, gdyż — oeffentliches Recht — oeffentliche Pflicht.

Szukając tych pojęć w brytańskich instytucyach, trzeba na to koniecznie zwrócić uwagę, iż wyłoniły się tak samo jak wszystkie na zachodzie Europy z feodalnego ustroju i że oplecione były tymże samym powojem prawno-prywatnych pojęć. W późniejszych też stadyach politycznego rozwoju przedstawia się budowa państwowa Anglii, jak wspaniały gotyk spoczywający na konstytucyjnych pewnych podstawach, ale wśród wieżyc tego spojonego silnie gmachu spotykamy jeszcze bogatą feodalną ornamentacyą, której nikt nie niszczy, bo jest bez praktycznego użytku i znaczenia. Jeśli też nie formę, lecz treść, czyli ducha konstytucyi angielskiej, zechcemy porównywać z polskiemi urządzeniami XVI wieku, to dostrzeżemy znaczne różnice.

Prawda, że w angielskiej wielkiej karcie spotykamy ustęp: „nullum scutagium, vel auxilium ponatur in regno nisi per commune concilium regni nostri“ i t. d. [1]) i że gminy formalnie uważały podatek za dobrowolną ofiarę [2]), ale dzieje Brytanii przekonywują, iż naród pojmował podatek jako officium, od którego społeczeństwu ani parlamentom nie wolno się było uchylać. w Anglii też dawniej niż w Polsce uchwalano monarchom dożywotnie zapomogi w podatkach [3]), a w XVII w. prawie połowa wydatków miała zapewnione stałe dochody (Consolitadet fond) a druga ulegała corocznym zatwierdzaniom parlamentu, które jednak następowały w tak nieodwołalnej kolei jak następstwo dnia po nocy. Niema też ani jednego wypadku

[1]) Schubert: Die Verfassungsurkunden und Grundgesetze str. 12.
[2]) May: Das englische Parlament, str. 454 i dalsze.
[3]) Gneist: Budget und Gesetz, str. 7.

w dziejach Anglii, aby parlament odmówił władzy wykonawczej dochodów niezbędnych do wykonania publicznych zadań (raz tylko w XVIII w. groził tem), a nie ma dlatego, iż naród doszedł do przeświadczenia, iż podatek jest obowiązkiem — officium.

Z przywrócenia podatkom publicznego charakteru, płynęły też dalsze następstwa, i tak przeznaczanie funduszów na określone z góry cele, praktykowane w Polsce XVI w., nie istniały wcale w tymże czasie w Anglii, a począwszy od rewolucyi XVII wieku, wprowadzono owe „Appropriation Act“, ale tylko na papierze. Władza monarchiczna do początku XIX wieku szafowała funduszami dowolnie, wbrew uchwałom parlamentu a ministrowie nie byli odpowiedzialni dlatego, iż naród pojmował doniosłość polityczną władzy wykonawczej i rozumiał, że ograniczać jej nie można, albowiem ona najlepiej ocenić potrafi, jakie wydatki w danej chwili są niezbędnymi. Z tego samego powodu wszelkie uchwały podatków z zastrzeżeniem ustępstw ze strony monarchów, (tacked bill) były w Anglii stanowczo wzbronionemi [1]) i władza wykonawcza uosabiając cały kraj, mogła się bez przeszkód kierować jego wyłącznem dobrem w szafowaniu funduszami. Ażeby zaś parlament współadministrował skarbem jak w Polsce sejm przez szafarzy, o tem nawet słychać nie było. Parlament nie uważał zawotowanych pieniędzy za własność pojedynczych stanów, lecz za własność całego kraju a kraj cały uosabiała władza monarchiczna, nie było więc potrzeby otaczać ją podejrzeniami i ograniczać szafunku.

Z tych powodów zdaje mi się niepodobnem porównywanie stosunków polskich z angielskimi a tem samem: dawnego naszego budżetu z budżetami nowożytnymi konstytucyjnymi. Jeżeli zaś prof. Pawiński doszedł do powyższego poglądu, to tylko dlatego, że to co stanowi istotę budżetu, uważał jedynie za formę, a prócz tego, nie uwzględnił dostatecznie, iż na budżet trzeba się zapatrywać ze stanowiska prawa państwowego a nie prywatnego.

Uchwalanie przedstawionego projektu zamierzonych dochodów i wydatków przez parlament lub sejm, nietylko iż jest formą, lecz

[1]) May: Das englische Parlament, str. 463.

i treścią budżetu. Przez nią bowiem naród zrasta się z kardynalną zasadą skarbowości konstytucyjnej, a mianowicie: iż w państwie dochody stosować się muszą do wydatków a nie jak w prywatnem gospodarstwie wydatki do dochodów, a tem samem państwo musi i ma prawo czerpać zasoby z fortuny prywatnych a parlament może jedynie określić granice pomocy [1]).

Inne cechy są tylko wpływem tej głównej zasady budżetu, której nie znajdujemy w Polsce XVI wieku.

Jeżeli bowiem monarchowie Francyi a zwłaszcza Niemiec przedstawiali czasami projekta zamierzonych dochodów i wydatków sejmującym stanom, jak to czynił niekiedy Stefan Batory, to nie powodowali się bynajmniej nieodwołalnym obowiązkiem lecz potrzebą i dobrze zrozumianym interesem własnym, albowiem tym namacalnym dowodem starali się przekonać stany, iż dotychczasowe fundusze nie wystarczają i chcieli tym sposobem wyżebrać nieco więcej pieniędzy. Takiemu budżetowi brakowało treści prawno-państwowej, cechującej wszystkie budżety konstytucyjne [2]). Podług tych ostatnich bowiem: 1) władza wykonawcza ma nieodwołalny obowiązek przedstawienia projektu zamierzonych dochodów i wydatków i 2) parlament ma również nieodwołalny obowiązek, zamienienia przez uchwałę tego projektu w finansowe prawo. Jak widzimy więc to co w stanowym porządku było tylko negotium, zamienia się w erze konstytucyjnej w officium.

W ocenieniu reform skarbowych przedsiębranych z inicyatywy Stefana Batorego zauważyłem także jedno dość ważne opuszczenie. Wprawdzie z drugiej strony przyznać należy, iż dzieło prof. Pawińskiego przynosi w tym kierunku wiele nowego światła. Postać Batorego przedstawia nam autor jako uosobienie ładu, troski i przezorności, zarówno w opiekowaniu się najmniejszymi drobiazgami salinowego zarządu jak i w staraniu o trwałe podatki, które dobro Rzeczypospolitej zabezpieczały od kaprysu sejmujących. Niewątpliwie też do właściwego oceniania rządów tego szlachetnego i rozu-

[1]) Stein: Lehrbuch der Finanzwissenschaft, drugie wydanie, str 40 i dalsze.

[2]) Ciekawe objaśnienia w Zoepfla: Grundsätze des gemeinen deutschen Staatsrechts. T. II, str. 496.

mi ego monarchy praca prof. Pawińskiego przyczyni się należycie. Z niej przekonamy się najdobitniej, jak przenikliwym wzrokiem dostrzegał król Stefan wady organizacyi konstytucyjnej i z jaką wytrwałością starał się przeprowadzić reformę. Postać też monarchy nie zapala wyobraźni, nie olśniewa kart historyi smugami awanturniczych czynów, ale zachwyca żelazną konsekwencyą w działaniu, nieugiętem panowaniem nad sobą i przeciwnościami oraz tym rozumem wszechstronnie ogarniającym potrzeby państwa.

Jakże wybornie daje nam poznać prof. Pawiński tę posągową postać, gdy kreśli wytrwałość króla Stefana pod Pskowem! Jakże rozumnym wydaje nam się ten monarcha dowodzący, iż tylko stałym podatkiem da się zaspokoić publiczne potrzeby i że taki podatek mają sejmy obowiązek uchwalić! Gdy w zamian za stały podatek obiecywał Rzeczpospolitej całą północ rzucić pod stopy, wierzymy najzupełniej iż był zdolnym spełnić obietnicę i rozumiemy dlaczego Syxtus V jego pragnął widzieć na czele koalicyi, która miała znamię Krzyża św. zatknąć na meczecie Sofijskim.

Z tem wszystkiem jednak nie ulega wątpliwości, iż Stefan Batory przynaglony bardzo ciężkiemi okolicznościami, uciekł się do środka, który system reprezentacyjny podkopał w zupełności a na konstytucyi wycisnął nieodwołalnie piętno stanowe. Środkiem tym zaś było odwołanie się do sejmików o uchwalenie podatków, gdy sejm takowych zawotować nie chciał. W Niemczech XVI w. spotykamy ten sam porządek, którego następstwa były jak najgorsze, a jak ta innowacya oddziaływała u nas, o tem najlepiej się przekonać możemy z pracy Hofmana, która dowodzi, iż skutkiem tego środka, aż do końca rządów Sobieskiego panowała anarchia w skarbie a Rzeczpospolita przedstawiała federacyę kilkudziesięciu ziem udzielnych [1]).

W chwili też, gdy parlament angielski zaczął dochodzić do omnipotencyi, która znajdowała granicę w historycznem orzeczeniu: iż nie może zamienić jedynie kobiety w mężczyznę, w Polsce władza sejmu, pomimo oporu szlachty, dziwnym zbiegiem okoliczności

[1]) Hofman: O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce, str. 194.

została podkopaną przez jednego z najzdolniejszych i najszlachetniejszych monarchów.

Inne zarzuty dotyczące pracy prof. Pawińskiego są już podrzędniejszej natury. Tak np. wydaje mi się, iż szanowny autor nie dość stanowczo ocenił ówczesną organizacyę władz skarbowych a przedewszystkiem urząd poborców i szafarzy. Niedarmo jednak w chwili rozdrażnienia wołał król Stefan, iż ci ludzie go zgubią, istotnie bowiem taka administracya skarbu, w którą sejmiki i sejmy wprowadzały element rozstroju, nie mogła nic innego wróżyć. Dość spojrzeć na sąsiednie Niemcy, w jaki sposób przez podobne organa wpływały dochody, aby mieć wyobrażenie, iż taka, nie samorządna, lecz prywatna administracya skarbu tylko do nieodwołalnej ruiny doprowadzić mogła [1]).

Nareszcie sądziłbym, iż cokolwiek nadmienić wypadało o odpowiedzialności podskarbich wobec sejmu i o odpowiedzialności sądowej poborców oraz szafarzy za nadużycia w urzędzie popełnione. Na tem zakończam szereg zarzutów.

Jakkolwiek niejednokrotnie w toku sprawozdania zwracałem uwagę na doniosłość naukową pracy prof. Pawińskiego, to jednakże w końcu powtórzyć winienem, iż pomimo kilku bardzo drobnych zastrzeżeń, całość obfituje w niesłychanie ważny i nowy materyał oraz zaleca się gruntownem a umiejętnem jego opracowaniem. Zarząd salin, podatek łanowy, kwarta i następstwa niestałego uchwalenia podatków przez sejmy [2]) — są przedstawionemi wzorowo i równie wzorowo objaśnionemi. Nietylko jednak w tych kwestyach posunął szanowny autor naprzód naukę polskiej skarbowości, nowego światła w jego pracy wszędzie dużo. Przytem sąd zawsze wytrawny, motywa przekonywujące a język piękny bez jaskrawości niewłaściwej dla poważnych studyów.

---

[1]) Janssen: Die allgemeinen Zustände des deutschen Volkes. T. I, str. 528, przytacza ciekawy szczegół, iż gdy na sejmie w 1495 r. uchwalono dać cesarzowi 250.000 złr. tytułem pomocy, to z tej sumy zaledwie 50.000 złr. cesarz otrzymał.

[2]) Do tych uwag dołączyćby należało spostrzeżenia Hoffmana: O zarządzie... str. 200 i dalsze.

Prof. Pawiński obiecał nam dać wkrótce obraz porównawczy stosunków skarbowych w Europie XVI wieku, tem mniej więc wypada spierać się o to z autorem — gdzie egoizm uprzywilejowanych stanów, oraz ucisk włościan był większym. Pytaniom tym bowiem poświęci autor uwagę w przyszłej pracy, ta zaś, którą podał pod sąd publiczności, pozostanie cenną i niespożytą pamiątką dla narodowej literatury.

SPIS RZECZY.

I. Sprawy publicystyczne.

Str.

1. Z dziedziny spekulacyi politycznej 3
2. Pruska Wagneryada 30
3. Fikcye plemienne 64
4. Nowe prawo o czynszownikach 78
5. Nowe prawo o cudzoziemcach 100
6. Zneutralizowanie państwa w prawie międzynarodowem 117
7. Fragment z historyi praw przeciw cudzoziemcom 128
8. Franciszek Deák. (Studyum dra Gust. Steinbacha) 144
9. Memoryały Wilhelma v. Kanitz und Dallwitz 153
10. W sprawie samorządu 177
11. Projekta reformy konstytucyi francuskiej 207
12. Memoryał Prądzyńskiego 236
13. Julian Dunajewski 273
14. Pamiętniki Bismarcka 317
15. W sprawie naszego Kościoła 365
16. Stare i nowe hasła 375
17. Kraszewski przed sądem w Lipsku 383
18. Ksiądz Dinder 388

II. Krytyki naukowe.

1. Dr. M. W. Olendzki 397
2. Prof. Okolski 415
3. Dr. Ryszard Roepell 438
4. Makuszew 450
5. Ludwik Gumplowicz 481
6. Dr. Franciszek Kasparek 496
7. Przegląd prac odnoszących się do samorządu gminnego w Galicyi . . 547

Str.
8. Władysław Smoleński 577
9. Świętochowski. — Chmielowski 586
10. Dr. Ludwik Gumplowicz 603
11. Eliza Orzeszkowa 626
12. Dr. Juliusz Au 650
13. Dr. Franciszek Kasparek 672
14. Walery Przyborowski 687
15. Adolf Pawiński 706

BIBLIOTEKA NAUKOWA
UAP
+2
47320
12